

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



LEW TOŁSTOJ

Wojna i pokój

TOM III i IV

Tłumaczył Andrzej Stawar

Copyright by **Tower Press**

Wydawnictwo „Tower Press ”
Gdańsk 2001

Tom trzeci

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Z końcem roku 1811 zaczęło się wzmożone zbrojenie i koncentrowanie sił Europy Zachodniej, a w roku 1812 wszystkie te siły – miliony ludzi (licząc i tych, którzy przewozili armię i żywili ją) – ruszyły z Zachodu na Wschód, ku granicom Rosji, dokąd również od roku 1811 ścigały siły Rosji. 12 czerwca siły Europy Zachodniej przekroczyły granice Rosji i zaczęła się wojna, czyli dokonało się wydarzenie sprzeczne z rozsądkiem człowieka i jego naturą. Miliony ludzi dopuszczały się wobec siebie tak niezliczonego mnóstwa zbrodni, oszustw, zrad, kradzieży, podrabiania i puszczania w obieg fałszywych banknotów, grabieży, podpaleń i morderstw, że kroniki wszystkich sądów świata przez całe wieki by ich nie zebrały, a przecie ludzie, którzy w owym czasie dopuszczali się tych zbrodni, nie uważali ich za zbrodnie.

Co wywołało to niezwykle wydarzenie? Jakie były jego przyczyny? Historycy mówią z naiwnym przeświadczeniem, że przyczynami owego wydarzenia były: zniewaga uczyniona księciu Oldenburskiemu, nieprzestrzeganie systemu kontynentalnego, żądza władzy Napoleona, nieustępliwość Aleksandra, błędy dyplomatów itd.

A zatem wystarczyło, by Mettemich, Rumiancew czy Talleyrand zrobił mały wysiłek między audiencją a rautem i zręcznie napisał papierek lub by Napoleon napisał do Aleksandra: „*Monsieur, mon frere, je consens a rendre le duche au duc d'Oldenbourg*”¹ – a wojny by nie było.

Zrozumiałe, że współczesnym tak sprawa się przedstawiała. Zrozumiałe, iż Napoleonowi wydawało się, że przyczyną wojny były intrygi Anglii (jak właśnie mówił na Wyspie Św. Heleny), zrozumiałe, że członkom gabinetu angielskiego wydawało się, że przyczyną wojny była żądza władzy Napoleona; iż księciu Oldenburskiemu zdawało się, że przyczyną wojny był dokonany przeciw niemu akt gwałtu, iż kupcom zdawało się, że przyczyną wojny był system kontynentalny, który rujnował Europę; iż starym żołnierzom i generałom zdawało się, że główną przyczyną była konieczność użycia ich w akcji; legitymistom zaś onego czasu – że koniecznie należało przywrócić *les bons principes*², a dyplomatom owego czasu – iż wszystko stało się dlatego, że sojusz Rosji z Austrią w roku 1809 był nie dość misternie ukryty przed Napoleonem i że memorandum nr 178 było niezręcznie ułożone. Zrozumiałe, że te przyczyny i jeszcze niezliczoną i nieskończoną ilość przyczyn, których liczba zależy od bezgranicznej różnorodności punktów widzenia, wyobrażali sobie współcześni; ale dla nas – dla potomnych rozpatrujących cały ogrom tego zdarzenia, które się dokonało, i wnikających w jego prosty i straszny sens – przyczyny te okazują się niedostateczne. Dla nas jest niezrozumiałe, by miliony ludzi – chrześcijan zabijały i mordowały się wzajemnie, dlatego że Napoleon był żądny władzy, Aleksander – nieustępliwy, polityka Anglii – przebiegła, a książę Oldenburski – obrażony. Nie sposób pojąć, jaki związek mają te okoliczności z samym faktem zabójstwa i gwałtu; czemu

¹ Wasza Cesarska Mość, zgadzam się zwrócić księciu Oldenburskiemu jego księstwo.

² Dobre zasady

wskutek tego, iż księżę został obrażony, tysiące ludzi z drugiego krańca Europy zabijały i rujnowały ludzi w guberni smoleńskiej i moskiewskiej, i były przez nich zabijane.

Dla nas – dla potomnych, którzy nie jesteśmy historykami pochłoniętymi procesem poszukiwań i dlatego z nie zaćmionym, zdrowym rozsądkiem rozpatrujemy to wydarzenie, istnieje niezliczona liczba jego przyczyn. Im bardziej zagłębiamy się w dociekaniu przyczyn, tym więcej ich odnajdujemy, a przyczyny te – wzięte każda z osobna czy też wszystkie razem – wydają się nam jednako słuszne same w sobie, jednako kłamliwe ze względu na swą nicość w porównaniu z ogromem wydarzenia i jednako kłamliwe ze względu na niemożność (bez jednoczesnego udziału wszystkich innych przyczyn) wywołania zdarzenia, które się dokonało. Taką samą przyczyną, jak odmowa Napoleona wycofania swych wojsk za Wisłę i zwrócenia Księstwa Oldenburskiego, wydaje nam się i chęć lub niechęć pierwszego z brzegu kaprala francuskiego do ponownego wstąpienia do służby: gdyby bowiem ten kapral nie zechciał wstąpić do służby, gdyby nie zechciał drugi i trzeci, i tysięczny kapral i żołnierz, o tylu ludzi mniej byłoby w wojsku Napoleona i wojna byłaby niemożliwa.

Gdyby Napoleon nie obraził się, iż żądano od niego, by wycofał się za Wisłę, i gdyby nie kazał wojskom nacierać, nie byłoby wojny; ale gdyby wszyscy sierżanci odmówili ponownego wstąpienia do służby, wojna również byłaby niemożliwa. Tak samo nie mogłoby być wojny, gdyby nie było intryg Anglii, gdyby nie było księcia Oldenburskiego i gdyby Aleksander nie czuł się urażony, i gdyby w Rosji nie było samowładztwa, i gdyby nie było rewolucji francuskiej, a w jej następstwie dyktatury i cesarstwa, i gdyby nie było tego wszystkiego, co wywołało rewolucję francuską, i tak dalej. Gdyby zabrakło jednej z tych przyczyn – nic by nie mogło się stać. Czyli że te wszystkie przyczyny – miliardy przyczyn – zbiegły się w tym celu, aby stało się to, co się stało. A zatem nic nie było wyłączną przyczyną wydarzenia, a wydarzenie to musiało się dokonać tylko dlatego, że musiało się dokonać. Miliony ludzi, wyrzekłszy się swych ludzkich uczuć i swego rozumu, musiało iść z Zachodu na Wschód i zabijać swych bliźnich, zupełnie tak samo, jak przed kilkunastu wiekami szły ze Wschodu na Zachód tłumy ludzi mordując podobnych sobie.

Działania Napoleona i Aleksandra, od których słowa rzekomo zależało, żeby wydarzenie się dokonało lub nie dokonało, były równie mało dowolne, jak i postępowanie każdego żołnierza idącego na wojnę na skutek losowania czy z poboru. Nie mogło być inaczej: toteż aby się stało zadość woli Napoleona i Aleksandra (tych ludzi, od których rzekomo zależało to wydarzenie), konieczny był zbieg tych niezliczonych okoliczności, z których gdyby jednej zabrakło, wydarzenie nie mogłoby się dokonać. Było rzeczą konieczną, żeby miliony ludzi, którzy mieli w swych rękach istotną siłę, żołnierze, którzy strzelali, wieźli prowiant i armaty, żeby oni właśnie zgodzili się wypełnić ową wolę poszczególnych słabych ludzi, żeby zostali doprowadzeni do tego nieskończoną liczbą skomplikowanych, różnorodnych przyczyn.

Aby wyjaśnić bezsensowne zjawiska (to jest takie, których sensu nie rozumiemy), nieunikniony jest fatalizm w historii. Im bardziej się staramy wytłumaczyć rozumowo te zjawiska w historii, tym stają się one dla nas niedorzeczniejsze i niezrozumialsze.

Każdy człowiek żyje dla siebie, korzysta ze swobody, aby osiągnąć swe osobiste cele, i całą swą istotą czuje, że w tej chwili może wykonać jakiś czyn albo go nie wykonać, jednak jeśli już go wykona, to ów czyn, dokonany w danym momencie, staje się nieodwracalny, staje się własnością historii, w której ma znaczenie nie dowolne, lecz z góry określone.

Życie każdego człowieka ma dwie strony: życie osobiste, które jest tym swobodniejsze, im bardziej są abstrakcyjne zainteresowania człowieka, i życie żywiołowe, życie roju, w którym człowiek zmuszony jest postępować wedle narzuconych praw.

Człowiek żyje dla siebie świadomie, ale jest nieświadomym narzędziem do osiągnięcia

historycznych, ogólnoludzkich celów. Dokonany czyn jest nieodwracalny, i działanie człowieka, zbiegając się w czasie z milionami działań innych ludzi, nabiera historycznego znaczenia. Im wyżej człowiek stoi na drabinie społecznej, z im znacniejszymi ludźmi jest związany, tym więcej władzy ma nad innymi ludźmi, tym widoczniejsze staje się, iż każdy jego czyn jest z góry określony i nieuchronny.

„Serce króla – w boskim ręku.”

Król jest niewolnikiem historii.

Historia, to jest nieświadome, społeczne, zbiorowe życie ludzkości, posługuje się każdą chwilą życia królów jako narzędziem swych celów.

Mimo że teraz, w roku 1812, Napoleonowi bardziej niż kiedykolwiek zdawało się, że od niego zależy, czy *verser*, czy też nie *verser le sang de ses peuples*³ (jak w ostatnim liście pisał do niego Aleksander), nigdy bardziej niż obecnie nie podlegał on tym nieuchronnym prawom, które go zmuszały (choć mu się zdawało, że działa wedle własnej woli), iż czynił dla sprawy ogólnej, dla historii to, co się musiało dokonać.

Ludzie Zachodu szli na Wschód po to, by wzajemnie się zabijać. I na mocy prawa zbiegu przyczyn same przez się zbiegły się podporządkowane temu wydarzeniu tysiące drobnych przyczyn tego ruchu i wojny: i zarzuty nieprzestrzegania systemu kontynentalnego, i książę Oldenburski, i ruchy wojsk do Prus, przedsięwzięte (jak się Napoleonowi wydawało) po to tylko, aby osiągnąć zbrojny pokój, i zamiłowanie oraz nawyk cesarza francuskiego do wojny, które odpowiadały nastrojowi jego narodu, i roznamiętnienie ogromem przygotowań, i wydatki na przygotowania, i konieczność zdobycia takich korzyści, które by opłaciły te wydatki, i odurzenie honorami w Dreźnie, i rokowania dyplomatyczne, które – z punktu widzenia współczesnych – były prowadzone ze szczerym pragnieniem osiągnięcia pokoju, a które tylko raniły ambicję jednej i drugiej strony, i miliony milionów innych powodów podporządkowanych temu wydarzeniu, które miało nastąpić, i zbiegających się z nim.

Kiedy dojrzałe jabłko spada – czemu spada? Czy dlatego że ciąży ku ziemi, czy dlatego że usycha rdzeń, czy dlatego że wysuszyło je słońce, że stało się za ciężkie, że wiatr je strąca, czy też dlatego że stojący na dole chłopiec pragnie je zjeść?

To nie są przyczyny. Wszystko to jest tylko zbiegiem tych okoliczności, w których dokonuje się każde życiowe, organiczne, żywiolowe wydarzenie. I ów botanik, który stwierdził, że jabłko dlatego spada, że rozkłada się błonnik i tak dalej, będzie tak samo miał rację, jak i owe dziecko stojące na dole, które powie, iż jabłko spadło dlatego, że ono chciało je zjeść i modliło się o to. Tak samo będzie miał rację i nie będzie miał jej ten, kto powie, iż Napoleon ruszył na Moskwę dlatego, że tego pragnął, i zginął dlatego, że Aleksander zapragnął jego zguby, tak samo będzie miał rację i nie będzie jej miał ten, kto powie, że podkopana góra o wadze miliona pudów zwała się dlatego, że ostatni robotnik ostatni raz podważył ją kilofem. Tak zwani wielcy ludzie są dla wydarzeń historycznych etykietami dającymi nazwę wydarzeniu i tak samo jak etykiety nader mało mają wspólnego z samym wydarzeniem.

Każde ich działanie, które im samym wydaje się zależne od ich woli, w sensie historycznym nie zależy od ich woli, lecz pozostaje w związku z całym biegiem historii i jest od wieków z góry określone.

³ Przelać... nie przelać krwi swych ludów.

II

29 maja Napoleon wyjechał z Drezna, gdzie przebywał trzy tygodnie, otoczony dworem, który się składał z książąt udzielnych, książąt krwi, królów i nawet jednego cesarza. Przed wyjazdem Napoleon był łaskawy dla książąt, królów i cesarza, którzy na to zasłużyli, wylał królów i książąt, z których był niezadowolony, obdarował własnymi, to jest odebranymi innym królom perłami i brylantami cesarzową austriacką i, uściskawszy czule cesarzową Marię Ludwikę, jak powiada jego historyk, pozostawił ją nieutuloną z powodu rozłąki, której owa Maria Ludwika, uważająca się za jego małżonkę, mimo że w Paryżu pozostawała druga małżonka – nie mogła rzekomo znieść. I choć dyplomaci jeszcze szczerze wierzyli w możliwość pokoju i gorliwie nad tym pracowali, i choć cesarz Napoleon sam pisał do cesarza Aleksandra, nazywając go Monsieur, mmi frere i szczerze zapewniając, że nie pragnie wojny i że zawsze będzie go kochał i szanował – Napoleon jechał do armii i na każdym postoju wydawał nowe rozkazy, mające na celu przyspieszenie marszu wojsk z zachodu na wschód. W podróży karecie zaprzężonej w szóstkę koni, otoczony paziami, adiutantami i eskortą, jechał traktem na Poznań, Toruń, Gdańsk i Królewiec. W każdym z tych miast tysiące ludzi witało go z łękiem i entuzjazmem.

Armia posuwała się z zachodu na wschód, a rozstawione szóstki wiozły go w tymże kierunku. 10 czerwca dopędził armię i nocował w lesie wołkowyskim, w przygotowanej dla siebie kwaterze w majątku polskiego hrabiego.

Nazajutrz Napoleon, wyprzedziwszy armię, pojechał kolaską nad Niemen, aby obejrzeć miejsce na przeprawę, przebrał się w polski mundur i wyjechał na brzeg.

Kiedy po przeciwnej stronie zobaczył Kozaków (les Cosaques) i rozciągające się stepy (Jes steppes), w których śródku znajdowała się Moskou, *la mile sainte*⁴, stolica państwa przypominającego państwo Scytów, dokąd chadzał Aleksander Macedoński – Napoleon niespodziewanie dla wszystkich i wbrew zarówno strategicznym, jak i dyplomatycznym względom wydał rozkaz natarcia i nazajutrz jego wojska zaczęły przeprować się przez Niemen.

12 czerwca rano wyszedł z namiotu rozbitego w ów dzień na lewym stromym brzegu Niemna i przez lunetę patrzył na wypływające z wołkowyskiego lasu potoki swych wojsk, które się rozlewały na trzech mostach przerzuconych przez Niemen. Wojska wiedziały o obecności cesarza, toteż żołnierze szukali go oczami, a kiedy na górze przed namiotem dostrzegali z dala od świtu postać w surducie i kapeluszu, wyrzucali do góry czapki i krzyczeli: „*Vive l'Empereur!*”⁵ I wojska płynęły jedne za drugimi, niewyczerpane, wciąż płynęły z olbrzymiego lasu, który dotychczas je ukrywał, rozdzielały się i trzema mostami przechodziły na drugą stronę.

– On f era du chemin cette fois-ci. Oh! quand U s'en mele lui-meme, pa chauffe... Nom de Dieu... Le voila!... Vive l'Empereur! Les voila donc les steppes de l'Asie! Vilain pays tout de meme. Au revoir, Beauche; je te reserve le plus beau palais de Moskou. Au revoir! Bonne

⁴ Święte miasto Moskwa.

⁵ Niech żyje cesarz!

chance... L'as-tu vu, l'Empereur? Vive l'Empereur!... pereur! Si on me fait gou-yerneur aux Indes, Gerard, je te fais ministre du Cachemire, c'est arrete. Vive l'Empereur! Vive! vive! vive! Les gredins de Cosaques, comme ils filent. Vive l'Empereur! Le voila! Le vois-tu? Je l'ai vu deux fois comme je te vois. Le petit caporai... Je l'ai vu donner la croix a l'un des vieux... Vive l'Empereur !...⁶ – mówiły głosy starych i młodych ludzi różniących się charakterem i stanowiskiem społecznym. Twarze tych wszystkich ludzi miały ten sam wyraz radości, że już rozpoczął się dawno oczekiwany marsz, wyraz entuzjazmu i oddania stojącemu na górze człowiekowi w szarym surducie.

13 czerwca Napoleonowi podano niedużego, czystej krwi araba, siadł i pojechał galopem do jednego z mostów na Niemnie, ogłuszany nieprzerwanymi okrzykami entuzjazmu, które najwidoczniej znosił tylko dlatego, że nie mógł zabronić, by ludzie w ten sposób wyrażali miłość do niego, ale te okrzyki, które mu wszędzie towarzyszyły, ciążyły mu i odrywały od myślenia o wojnie, jakie nim owładnęło od czasu, gdy przyłączył się do wojska. Przejechał na drugą stronę przez jeden z mostów kołyszących się na łodziach, gwałtownie skręcił w lewo i poprowadzony przez zamierających ze szczęścia, rozentuzjasmowanych strzelców konnej gwardii, którzy pędząc przed nim oczyszczali drogę z wojsk, pogalopował w stronę Kowna. Kiedy się zbliżył do szerokiej rzeki Wilii, zatrzymał się przy pułku ułanów polskich, który stał na brzegu.

– Wiwat! – z takim samym entuzjazmem krzyczeli Polacy, łamali szyk i tłoczyli się, aby go zobaczyć. Napoleon przyjrzał się rzece, zsiadł z konia i usiadł na pniaku leżącym na brzegu. Na niemy znak podano mu lunetę, oparł ją na ramieniu pazia – który podbiegł uszczęśliwiony – i jął patrzeć w przeciwną stronę. Potem zagłębił się w badaniu mapy rozłożonej między pniakami. Nie podnosząc głowy powiedział coś i dwaj adiutanci pocwałowali do polskich ułanów.

– Co? Co powiedział? – rozległo się w szeregach polskich ułanów, kiedy adiutant przycwałował do nich.

Wydano rozkaz, by odnaleźć bród i przeprowadzić się na przeciwległy brzeg. Pułkownik polskich ułanów, piękny, starszy mężczyzna, zacerwieniony, płacząc słowa ze wzruszenia, zapytał adiutanta, czy wolno mu będzie wraz ze swymi ułanami przepłynąć rzekę nie szukając brodu. Z wyraźnym lękiem, aby mu nie odmówiono, niby chłopiec, który prosi o pozwolenie, by mógł dosiąść konia, prosił, by mu pozwolono przepłynąć rzekę w obecności cesarza. Adiutant powiedział, że cesarz prawdopodobnie nie będzie niezadowolony z tego nadmiaru gorliwości.

Jak tylko adiutant to powiedział, stary, wąsaty oficer, z uszczęśliwioną twarzą i błyszczącymi oczyma, wznosił do góry szablę, krzyknął: „Wiwat!”, zakomenderował: „Za mną!”, spiął konia ostrogami i pocwałował ku rzece. Z gniewem szarpnął konia, który się pod nim zawahał, i runął w wodę kierując się w główny nurt rzeki. Setki ułanów pognało za nim. Było zimno i strasznie w środkowym bystrym nurcie rzeki. Ułani czepiali się jeden drugiego, spadali z koni. Niektóre konie tonęły, tonęli i ludzie, pozostali usiłovali płynąć naprzód na drugą stronę, a choć o pół wiorsty był bród, szczylicili się tym, że płyną i toną w tej rzece, pod okiem człowieka siedzącego na pniaku i nawet nie patrzącego na to, co oni robią. Kiedy adiutant wrócił i wybrawszy stosowną chwilę pozwolił sobie zwrócić uwagę cesarza na oddanie Polaków dla jego osoby, mały człowiek w szarym surducie wstał, wezwał do siebie Berthiera i jął spacerować z nim po brzegu tam i z powrotem, wydając mu rozkazy i z rzadka spoglądając z niezadowoleniem na

⁶ U kaduka... O! kiedy cesarz bierze się do rzeczy, to się dopiero kotłuje. No, teraz pójdziemy szparko naprzód. Oto on... Niech żyje cesarz! Oto azjatyckie stopy. Obrzydliwy jednak kraj. Do widzenia, Beauché. Zarezerwuję dla ciebie najpiękniejszy pałac w Moskwie. Do widzenia! Powodzenia... Widziałeś cesarza? Niech żyje cesarz!... sarz! Jeśli mnie zrobią wielkorządcą Indii, Gerardzie, to zrobię cię ministrem Kaszmiru, to postanowione... Niech żyje cesarz! Niech żyje! niech żyje! niech żyje! Ależ wieją te szelmy Kozaki. Oto on! Widzisz go? Widziałem go dwa razy, jak dębie widzę. Mały kapral... Widziałem, jak przypinał krzyż jednemu z weteranów... Niech żyje cesarz!...

tonących ułanów, którzy rozpraszała jego uwagę.

Nie było dla niego nowością przeświadczenie, że na wszystkich krańcach świata – od Afryki do stepów moskiewskich – jednako budzi podziw w ludziach i przyprawia ich o szaleństwo poświęcenia. Kazał sobie podać konia i odjechał do swej kwatery.

Utonęło ze czterdziestu ułanów, choć wysłano na pomoc łodzie. Większość wydostała się z powrotem na ten sam brzeg. Pułkownik i część ułanów przepłynęli rzekę i z trudem wygramolili się na przeciwległy brzeg. Jak tylko wyszli na ląd, przemoknięci, ociekający wodą, natychmiast wykrzyknęli: „Wiwat!”, patrząc z zachwytem na miejsce, gdzie stał Napoleon, lecz gdzie go już nie było, i w tej chwili uważali się za szczęśliwych.

Wieczorem Napoleon między jednym rozporządzeniem, które dotyczyło jak najspiesniejszego dostarczenia już przygotowanych fałszywych asygnat rosyjskich, aby je wwieźć do Rosji, a drugim, żeby rozstrzelać Sasa, w którego przechwyconym liście znaleziono informacje o dyspozycjach armii francuskiej, wydał trzecie zarządzenie, żeby polskiego pułkownika, co bez potrzeby rzucił się do rzeki, zaliczyć do kawalerów Legii Honorowej (legion d'honneur), której szefem był sam Napoleon.

Quos vult perdere – dementat.⁷

⁷ Kogo chce zgubić, temu rozum odbiera. Skrócony cytat tekstu łacińskiego Quos deus perdere mit, dementat prisus. – Kogo Bóg chce ukarać, temu w pierw odbiera rozum. (Wg Sofoklesa, Amygona.)

III

Tymczasem cesarz rosyjski już przeszło miesiąc przebywał w Wilnie, urządził przeglądy i manewry. Nic nie było przygotowane do wojny, której się wszyscy spodziewali i do której przygotowania cesarz przyjechał z Petersburga. Nie było ogólnego planu działań. Po miesięcznym pobycie cesarza w kwaterze głównej powstały jeszcze większe wahania, który z proponowanych planów należy przyjąć. Każda z trzech armii miała swego wodza, ale ogólnego wodza nad wszystkimi armiami nie było, a cesarz nie chciał przyjąć tej godności.

Im dłużej cesarz przebywał w Wilnie, tym mniej przygotowywano się do wojny, znużywszy się jej oczekiwaniem. Zdawało się, iż ludzie otaczający monarchę starali się ze wszystkich sił, aby go skłonić, by mile spędzając czas zapomniał o mającej nastąpić wojnie.

Po wielu balach i fetach u polskich magnatów, u dworaków i u samego monarchy w czerwcu jednemu z polskich generał-adiutantów monarchy przyszło do głowy wydać dla cesarza obiad i bal w imieniu jego generał-adiutantów. Wszyscy przyjęli tę myśl z radością. Monarcha wyraził zgodę. Generał-adiutanci zrobili składkę. Na gospodynię balu zaproszono osobę, która najbardziej mogła być miła monarsze. Hrabia Bennigsen, ziemianin z guberni wileńskiej, zaofiarował na tę fetę swój dom za miastem i 13 czerwca miał się odbyć bal, obiad, przejażdżka łódkami i fajerwerki w Zakręcie⁸, podmiejskim domu hrabiego Bennigseny.⁹

W ów właśnie dzień, kiedy Napoleon wydał rozkaz przejścia Niemna, a jego przednie straże odparły Kozaków przekroczyły rosyjską granicę, Aleksander spędzał wieczór w willi Bennigseny – na balu wydanym przez generał-adiutantów.

Zabawa była wesoła, świetna; znający się na rzeczy powiadali, że rzadko gromadziło się w jednym miejscu tyle piękności. Wśród innych pań rosyjskich, które za monarchą przyjechały z Petersburga do Wilna, znajdowała się również hrabina Bezuchow, była na balu i swoją ciężką, tak zwaną rosyjską urodą zaćmiewała wytworne polskie damy. Została zauważona i monarcha zaszczylił ją tańcem.

Borys Drubecki, en garpon (w charakterze kawalera), jak powiadał, zostawił bowiem żonę w Moskwie, był również na tym balu, a choć nie generał-adiutant, na subskrypcyjną listę balu wpisał dużą sumę. Borys był teraz człowiekiem bogatym, obsypanym zaszczytami, i już nie szukał protekcji, lecz ze swymi wyżej postawionymi rówieśnikami żył na równej stopie. O północy jeszcze tańczono. Helene, która nie miała godnego kawalera, sama zaproponowała Borysowi mazura. Byli w trzeciej parze. Borys obojętnie patrzył na wspaniałe, obnażone ramiona Helene, wysuwające się z ciemnej gazowej ze złotem sukni, opowiadał o starych znajomych, a jednocześnie niedostrzegalnie dla siebie i dla innych ani na sekundę nie przestawał przypatrywać się monarsze, który znajdował się w tej sali. Monarcha nie tańczył; stał w drzwiach i zatrzymywał to jednych, to drugich owymi miłymi słowami, które tylko on jeden

⁸ Zakręt (Zakręt) – miejscowość opodal Wilna, na zakręcie Wilii. Bennigsen nabył majątność z rąk polskich.

⁹ Leoncjusz Bennigsen (1745–1826) – był od r. 1801 do r. 1806 generał-gubernatorem Litwy. Tytuł hrabiego otrzymał w r. 1813 za bitwę pod Lipskiem. Ożeniony był z Andrzejkowiczówną.

potrafił mówić.

Na początku mazura Borys zauważył, że generał-adiutant Bałaszew, jedna z osobistości będących bardzo blisko monarchy, podszedł do niego i wbrew etykiecie przystanął w pobliżu monarchy rozmawiającego z jedną z polskich pań. Po chwili rozmowy monarcha spojrzął pytająco i widocznie zrozumiał, że Bałaszew postąpił tak tylko dlatego, że były po temu ważne przyczyny, lekko skinął głową owej pani i zwrócił się do Bałaszewa. Jak tylko Bałaszew zaczął mówić, na twarzy monarchy odmalowało się zdziwienie. Wziął Bałaszowa pod rękę i przeszedł z nim przez salę. Nieświadomie torował sobie szeroką na trzy sążnie drogę wśród osób rozstępujących się przed nim na obie strony. Borys zauważył wzburzoną twarz Arak-czejewa, gdy monarcha przechodził z Bałaszewem. Arak-czejew, spode łba patrząc na monarchę i posapując czerwonym nosem, wysunął się z ciżby, jakby się spodziewał, że monarcha zwróci się do niego. (Borys zrozumiał, że Arak-czejew zazdrości Bałaszewowi i jest niezadowolony, że to nie on, Arak-czejew przekazał monarsze jakąś ważną, jak widać, wiadomość.)

Ale monarcha, nie dostrzegając Arak-czejewa, wyszedł z Bałaszewem do oświetlonego ogrodu. Arak-czejew, przytrzymując szpadę i ze złością rozglądając się dokoła, szedł za nim w odległości dwudziestu kroków.

Borys wykonywał dalej figury mazura, ale nie przestawała go dręczyć myśl, jaką to nowinę przywiózł Bałaszew i jak by się o niej dowiedzieć wcześniej niż inni.

W figurze, w której miał wybierać damę, szepnąwszy Helene, że chce poprosić hrabinę Potocką, która, zdaje się, wyszła na balkon, ślizgając się po parkiecie, pobiegł do ogrodu. Kiedy zauważył monarchę wchodzącego z Bałaszewem na taras, zatrzymał się. Monarcha i Bałaszew skierowali się ku drzwiom. Borys, poruszywszy się śpiesznie, jakby nie zdążył się usunąć, z uszanowaniem przycisnął się do futryny i pochylił głowę.

Z oburzeniem człowieka dotkniętego osobiście monarcha domawiał tych słów:

– Wkraczać do Rosji bez wypowiedzenia wojny! Zawrę pokój tylko wówczas, gdy ani jeden żołnierz nieprzyjacielski nie pozostanie na mojej ziemi – powiedział. Borysowi wydało się, że monarsze przyjemnie było wypowiadać te słowa:

był zadowolony z formy, w jakiej wyraził swą myśl, ale był niezadowolony, że Borys to usłyszał.

– Żeby nikt o tym nie wiedział! – dodał monarcha zachmurzony. Borys pojął, że to się odnosi do niego, zamknąwszy więc oczy, lekko pochylił głowę. Monarcha znów wszedł do sali i jeszcze około pół godziny pozostał na balu.

Borys pierwszy dowiedział się o przejściu wojsk francuskich przez Niemen, dzięki czemu miał sposobność pokazać pewnym ważnym osobistościom, że wie dużo z tego, co przed innymi jest ukryte, i w ten sposób mógł podnieść się wyżej w opinii tych osób.

Niespodziewana wiadomość o przejściu Francuzów przez Niemen była szczególnie niespodziewana po miesiącu daremnego oczekiwania, i to na balu! W pierwszej chwili po otrzymaniu wiadomości, pod wpływem oburzenia i zniewagi, monarcha znalazł te słowa, które stały się potem słynne i które mu się tak podobały i tak całkowicie wyrażały jego uczucia. Powróciwszy z balu do domu, o drugiej w nocy monarcha posłał po sekretarza Szyszkowa i kazał napisać rozkaz do wojsk i reskrypt do feldmarszałka księcia Sołtykowa i stanowczo żądał, by w tym reskrypcie zostały zamieszczone słowa, że nie zawrze pokoju dopóty, dopóki choć jeden uzbrojony Francuz będzie się znajdował na rosyjskiej ziemi.

Nazajutrz zostało wystosowane do Napoleona następujące pismo:

Monsieur, mon frere¹⁰. J'ai appris hier que malgre la loy-aute avec laquelle j'ai maintenu mes engagements envers Votre Majeste, ses troupes ont franchis les frontieres de la Russie, et je reyois d l'instant de Petersbourg une note par laquelle le comte Lauriston, pour cause de cette agression, annonce que Votre Majeste s'est consideree comme en etat de guerre avec moi des le moment ou le prince Kourakine a fait la demande de ses passeports. Les motifs sur lesquels le duc de Bassano fondait son refus de les lui delivrer, n'auraient jamais pu me faire supposer que cette demarche seruirait jamais de pretexte a l'agression. En effet, cet ambassadeur n'y a jamais etę auto-rise, comme U l'a declare lui-meme, et aussitot que fen fus in-forme, je lui ai fait connaitre, combien je le desapprouvais en lui donnant l'ordre de rester a son poste. Si Votre Majeste n'est pas intentionnee de verser le song de nos peuples pour un malentendu de ce genre et qu'elle consente a retirer ses troupes du territoire russe, je regarderai ce qui s'est passę comme non avenu, et un accommodement entre nous sera possible. Dans le cas contrcdre, Votre Majeste, je me verrai force de repousser une attaque que rien n'a provoquee de ma part. Il depend en-core de Votre Majeste d'eviter d l'humanite les calamites d'une nowelle guerre.

Je suis, etc.

(signe) Alexandre

¹⁰ Wasza Cesarska Mość! Wczoraj dowiedziałem się, że pomimo lojalności, z jaką przestrzegałem swych zobowiązań wobec Waszej Cesarskiej Mości, Jego wojska przekroczyły granicę Rosji, i w tej chwili otrzymałem z Petersburga notę, w której hrabia Lauriston powiadamia mnie, iż powodem tego wtargnięcia jest to, że Wasza Cesarska Mość uznał, iż jest ze mną w stanic wojny od czasu, gdy ksiązę Kurakin zażądał paszportu. Znając przyczyny, na których ksiązę Bassano oparł swą odmowę wydania paszportu, nie mogłem w żadnym razie przypuszczać, że postępek mego posła stał się przyczyną agresji. I rzeczywiście, jak to sam oświadczył, nie był bynajmniej upoważniony do tego kroku, jak tylko się o tym dowiedziałem, natychmiast wyraziłem księciu Kurakinowi swe niezadowolenie i poleciłem mu nadal wykonywać powierzone obowiązki. Jeśli Wasza Cesarska Mość nie ma zamiaru przelewać krwi naszych poddanych z powodu takiego nieporozumienia i zgadza się wycofać swe wojska z terytorium Rosji, puszczę w niepamięć o, co się stało, i ugoda między nami będzie możliwa. W przeciwnym razie będę zmuszony odeprzeć napaść, do której nic dałem żadnego powodu. Wasza Cesarska Mość ma jeszcze możność oszczędzenia ludzkości klęsk nowej wojny.

Pozostają etc.

(podpisano) Aleksander

IV

13 czerwca o drugiej w nocy monarcha wezwał do siebie Bałaszewa, przeczytał mu swój list do Napoleona i kazał zawieźć ten list i osobiście wręczyć cesarzowi francuskiemu. Wyprawiając Bałaszewa monarcha znowu powtórzył mu słowa o tym, że poty nie zawrze pokoju, póki choć jeden uzbrojony żołnierz nieprzyjacielski pozostanie na rosyjskiej ziemi, i kazał koniecznie powtórzyć te słowa Napoleonowi. Monarcha nie napisał w liście do Napoleona tych słów, gdyż z właściwym sobie taktem wyczuwał, że to nie są właściwe słowa, aby je przekazać w chwili, gdy się czyni ostatnie próby pogodzenia się, rozkazał jednak Bałaszewowi, by koniecznie powtórzył je Napoleonowi osobiście.

Bałaszew wyjechał w nocy z 13 na 14 czerwca w towarzystwie trębacza i dwóch Kozaków i o świcie przybył do wsi Rykonty, gdzie stały forpocztę francuskie po tej stronie Niemna. Zatrzymali go pełniący wartę francuscy kawalerzyści.

Podoficer francuskich huzarów, w malinowym mundurze i kosmatej czapie, krzyknął na zbliżającego się Bałaszewa i kazał mu się zatrzymać. Bałaszew zatrzymał się nie od razu, lecz jechał drogą stępa.

Podoficer nachmurzył się, mruknął jakieś przekleństwo i nacierając koniem na Bałaszewa, ujął szablę i grubiańsko zapytał rosyjskiego generała, czy jest głuchy, że nie słyszy, Co się do niego mówi. Bałaszew powiedział, kim jest. Podoficer posłał żołnierza do oficera.

Nie zwracając uwagi na Bałaszewa podoficer jął rozmawiać z kolegami o sprawach pułkowych i nie patrzył na rosyjskiego generała.

Bałaszewowi będącemu w bliskich stosunkach z możliwymi tego świata, jemu, który przed trzema godzinami rozmawiał z monarchą i w ogóle przywykł na swym stanowisku do honorów, wydało się niezwykle dziwne, że tu, na rosyjskiej ziemi, brutalna siła odnosi się do niego tak wrogo, a co ważniejsza – tak bezceremonialnie.

Słońce dopiero zaczynało wstawać zza chmur, powietrze było chłodne i wilgotne. Drogą do wsi pędzono bydło. Na polu jeden za drugim, niby pęcherzyki na wodzie, wyskakiwały ćwierkające skowronki.

Bałaszew rozglądał się dokoła czekając na przybycie oficera. Rosyjscy Kozacy i trębacz oraz francuscy huzarzy milczeli i od czasu do czasu spoglądali na siebie.

Pułkownik francuskich huzarów, który widocznie dopiero co wstał, wyjechał ze wsi na ładnym, spasionym siwym koniu; towarzyszyło mu dwóch huzarów. Oficer, żołnierze i ich konie wyglądali dostatnio i wytwornie.

Był to ów pierwszy okres kampanii, kiedy wojska znajdowały się niemal jeszcze w tym stanie co na przeglądach w czasie pokoju, jedynie w ubiorze miały odcień strojnej wojowniczości, a w zachowaniu odcień tego wesołego nastroju i przedsiębiorczości, które zawsze towarzyszą początkom kampanii.

Pułkownik francuski z trudem powstrzymywał ziewanie, był jednak uprzejmy i najwidoczniej

pojmował całą doniosłość wizyty Bałaszewa. Poprowadził go obok swych żołnierzy poza tyralierą i oświadczył, iż jego życzenie, aby być przedstawionym cesarzowi, prawdopodobnie będzie natychmiast spełnione, ponieważ, o ile mu wiadomo, kwatera cesarza znajduje się niedaleko.

Przejechali przez wieś Rykonty, obok francuskich wart i żołnierzy salutujących swego pułkownika i ciekawie przyglądających się rosyjskiemu mundurowi, i wyjechali na drugą stronę wsi. Jak powiadał pułkownik, o dwa kilometry był dowódca dywizji, który miał przyjąć Bałaszewa i odprowadzić go do miejsca przeznaczenia.

Słońce już weszło i błyszczało wesoło na jaskrawej zieleni.

Zaledwie zdążyli wyjechać za karczmę na wzgórzu, gdy naprzeciwko nich ukazała się w dole gromadka jeźdźców, a na jej czele na wronym koniu w błyszczącym w słońcu rzędzie jechał mężczyzna wysokiego wzrostu, w kapeluszu z piórami, z czarnymi, sięgającymi ramion, fryzowanymi włosami, w czerwonym płaszczu, nogi miał wysunięte do przodu, jak jeźdźca Francuzi. Ów człowiek ruszył galopem na spotkanie Bałaszewa. W jaskrawym czerwcowym słońcu chwiały się jego pióra, lśniły drogocenne kamienie i złote galony.

Bałaszew znajdował się już o dwie długości końskie od pędzącego na jego spotkanie jeźdźca z twarzą teatralnie uroczystą, w bransoletach, piórach, koliach i złocie, gdy francuski pułkownik Uiniere szepnął z uszanowaniem: „*Le roi de Naples.*”¹¹ Istotnie był to Murat, zwany obecnie królem Neapolu. Choć było całkiem niezrozumiałe, dlaczego był królem neapolitańskim, tak go przecie nazywano,¹² a on sam był o tym przeświadczony i dlatego miał minę jeszcze bardziej uroczystą i godną niż przedtem. Tak był przekonany, że istotnie jest królem neapolitańskim, iż gdy w przeddzień swego wyjazdu z Neapolu, kiedy z małżonką spacerował po ulicach, kilku Włochów krzyknęło: „*Viva il re!*”¹³, ze smutnym uśmiechem zwrócił się do żony i powiedział: „*Les malheureux, ils ne savent pas que je les quitte demain!*”¹⁴

Mimo że tak stanowczo wierzył w to, iż jest królem neapolitańskim, że tak współczuł smutkowi swych poddanych, których opuszczał, w ostatnich czasach, od chwili gdy mu kazano znów objąć służbę, a szczególnie po widzeniu się z Napoleonem w Gdańsku, kiedy najdostojniejszy szwagier oświadczył mu: „*Je vous ai fait roi pour regner a ma maniere, mais pas a la votre*”¹⁵ – wesoło zabrał się do roboty, którą znał, i niby koń, dobrze karmiony, ale nie zapasiony, poczuwszy się w uprzęży zaigrał w hołoblach, wystroił się jak najbardziej pstro i kosztownie i wesoło i zadowolony gnał polskimi drogami sam nie wiedząc dokąd i po co.

Kiedy zobaczył rosyjskiego generała, po królewsku, majestatycznie odrzucił do tyłu głowę z ufryzowanymi do ramion włosami i spojrzał pytająco na francuskiego pułkownika. Pułkownik z uszanowaniem poinformował jego królewską mość o godności Bałaszewa, którego nazwiska nie mógł wymówić.

– *De Bal-macheve!* – powtórzył król (swą stanowczością przewyciężając trudność, jaka wynikła dla pułkownika) – *charme de faire votre connaissance, general*¹⁶ – dodał czyniąc gest królewskiej łaskawości. Jak tylko król zaczął mówić głośno i prędko, cały królewski majestat natychmiast go opuścił i król, sam tego nie spostrzegając, wpadł w ton właściwej sobie dobrodusznej familiarności. Położył ręce na grzywie konia Bałaszewa.

¹¹ Król Neapolu.

¹² Murat otrzymał tytuł króla Neapolu w r. 1808. Mianowany przed nim królem Neapolu Józef Bonaparte został królem Hiszpanii.

¹³ „Niech żyje król!”

¹⁴ Biedacy, nie wiedzą, że jutro ich opuszczam!

¹⁵ Uczyniłem cię królem po to, abyś panował wedle mojej woli, a nie wedle swojej.

¹⁶ Balmaszew, bardzo mi przyjemnie poznać pana, generale.

– *Eh, bien, general, tout est a la guerre, a ce qu'il parait*¹⁷ – oświadczył, jak gdyby ubolewając nad okolicznościami, o których nie mógł sądzić.

– *Sire* – odpowiedział Bałaszew – *l'Empereur, mon maitre ne desire point la guerre, et comme Votre Majeste le voit*¹⁸ – mówił Bałaszew używając we wszystkich przypadkach *votre Majeste* i z nieuniknioną afektacją częstego powtarzania tytułu zwracając się do osobistości, dla której ten tytuł jest jeszcze czymś nowym.

Oblicze Murata jaśniało głupim zadowoleniem, kiedy słuchał monsieur de Balachoff. Wszelako *royaute oblige*¹⁹ odczuwał konieczność porozmawiania z wysłannikiem Aleksandra o sprawach państwowych jako król i sojusznik. Zsiadł z konia, ujął Bałaszewa pod ramię i odszedłszy z nim o kilka kroków od świty, czekającej z uszanowaniem, jął chodzić z nim tam i z powrotem i starał się mówić stanowczo. Wspomniał, że cesarz Napoleon jest dotknięty żądaniem wycofania wojsk z Prus, szczególnie teraz, gdy to żądanie stało się wszystkim wiadome, i że to znieważa godność Francji. Bałaszew odparł, że w tym żądaniu nie ma nic obraźliwego, dlatego że... Murat przerwał mu.

Więc pan uważa, że to nie cesarz Aleksander jest stroną zaczepną? – rzekł znienacka z dobrodusznym głupim uśmiechem.

Bałaszew powiedział, dlaczego istotnie uważa, że stroną zaczepną był Napoleon.

– *Eh, mon cher general* – Murat znowu mu przerwał – *je desire de tout mon coeur que les Empereurs s'arrangent entre eux, et que la guerre commencee malgre moi se termine le plus tot possible* – powiedział tonem, jakim rozmawiają słudzy, którzy chcą pozostać przyjaciółmi bez względu na spór między panami. I zaczął się dopytywać o wielkiego księcia, o jego zdrowie, wspominał wesoło i przyjemnie czas spędzony z nim w Neapolu. Potem, jakby sobie nagle przypomniał o swej królewskiej godności, wyprostował się majestatycznie, stanął w takiej pozycji, w jakiej stał podczas koronacji, i wymachując prawą ręką rzekł: – *Je ne vous retiens plus, general; je souhaite le succes de votre mission*²⁰ – po czym powiewając czerwonym, haftowanym płaszczem i piórami, połyskując klejnotami odszedł do świty, która z uszanowaniem czekała na niego.

Bałaszew pojechał dalej, sądząc ze słów Murata, że wkrótce będzie przedstawiony samemu Napoleonowi. Wszelako zamiast rychłego spotkania z Napoleonem warta korpusu piechoty marszałka Davout znów go zatrzymała w następnej wsi, jak w pierwszej linii, wezwany adiutant dowódcy korpusu odprowadził go do wsi do marszałka Davout.

¹⁷ No cóż generale, zdaje się, że zanosi się na wojnę.

¹⁸ Najjaśniejszy panie, cesarz rosyjski, mój monarcha, nic pragnie wojny, jak wasza królewska mość widzi.

¹⁹ stanowisko królewskie obowiązuje.

²⁰ Mój drogi generale, pragnę z całego serca, żeby cesarze się pogodzili i żeby wojna rozpoczęta wbrew mojej woli zakończyła się jak najszybciej... Nie zatrzymuję pana dłużej, generale; życzę powodzenia pańskiej misji.

V

Davout był Arakczejewem cesarza Napoleona – Arakczejewem nie tchórzliwym, ale równie akuratnym, okrutnym i nie umiejącym inaczej niż okrucieństwem wyrażać swego oddania.

W mechanizmie organizmu państwowego tacy ludzie są potrzebni, jak potrzebne są wilki w organizmie przyrody: zawsze są, zawsze się zjawiają i utrzymują, jakkolwiek ich obecność i bliskie stosunki z głową państwa wydają się niewłaściwe. Tylko tą niezbędnością można sobie tłumaczyć, że Arakczejew, tak okrutny, osobiście wyrывая wasy grenadierom, z powodu słabości nerwów nie mogący znieść niebezpieczeństwa, ignorant, człowiek nieobyczajny, mógł się tak mocno trzymać przy rycersko szlachetnym i delikatnego charakteru Aleksandrze.

Bałaszew zastał marszałka Davout w szopie, siedzącego na beczce i zajętego pisaniem (sprawdzał rachunki). Adiutant stał w pobliżu niego. Można było znaleźć lepsze pomieszczenie, ale marszałek Davout był z tego gatunku ludzi, którzy rozmyślnie wybierają najbardziej ponure warunki życia, aby mieli prawo być ponurymi. Dlatego zawsze się śpieszą i uporczywie są zajęci. „Co tu myśleć o szczęśliwej stronie ludzkiego życia, kiedy, jak pan widzi, siedzę na beczce w brudnej szopie i pracuję” – mówił wyraz jego twarzy. Największe zadowolenie i potrzeba tych ludzi polega na tym, by kiedy spotkają radość życia, móc rzucić w oczy tej radości swą ponurą, uporczywą działalność. Tę satysfakcję sprawił sobie Davout, kiedy wprowadzono do niego Bałaszewa. Kiedy wszedł rosyjski generał, jeszcze bardziej zagłębił się w swej pracy, a spojrzawszy przez okulary na ożywioną pod wpływem pięknego poranka i rozmowy z Muratem twarz Bałaszewa, nie wstał, nawet się nie poruszył, lecz jeszcze bardziej się nachmurzył i złośliwie uśmiechnął.

Kiedy zauważył na twarzy Bałaszewa nieprzyjemne wrażenie wywołane tym przyjęciem, podniósł głowę i zapytał oziębłe, czego sobie życzy.

Sądząc, że Davout tak go przyjął jedynie dlatego, iż nie wie, że jest generał-adiutantem cesarza Aleksandra i nawet jego przedstawicielem wobec Napoleona, Bałaszew pośpieszył wymienić swe stanowisko i rolę. Jednak, wbrew oczekiwaniu, Davout wysłuchawszy go stał się jeszcze bardziej surowy i ordynarny.

– Gdzie pański list? – zapytał. – *Donnez-le moi, je l'enverrai a l'Empereur.*²¹

Bałaszew odpowiedział, że ma rozkaz osobiście doręczyć pismo samemu cesarzowi.

Rozkazy pańskiego cesarza są wykonywane w pańskiej armii – oświadczył Davout – a tu musi pan robić to, co mu się mówi.

I jak gdyby chcąc jeszcze bardziej dać odczuć rosyjskiemu generałowi jego zależność od brutalnej siły, Davout posłał adiutanta do dyżurnego.

Bałaszew wyjął kopertę zawierającą pismo monarchy i położył ją na stole (położone na dwóch beczkach drzwi, przy których sterczały oderwane zawiasy, stanowiły stół). Davout wziął kopertę i przeczytał nagłówek.

– Ma pan najzupełniejsze prawo okazać mi szacunek albo nie okazać – rzekł Bałaszew. – Ale

²¹ Proszę mi go dać, odeślę cesarzowi.

pozwole pan zauważyć, że mam honor być generał-adiutantem jego cesarskiej mości...

Davout spojrział na niego milcząc, a pewne wzburzenie i zmieszanie, jakie się odbiły na twarzy Bałaszewa, widocznie sprawiły mu zadowolenie.

– Będzie pan traktowany, jak należy – rzekł, włożył kopertę do kieszeni i wyszedł z szopy.

Po chwili wszedł adiutant marszałka, pan de Castre, i zaprowadził Bałaszewa do przeznaczonego dla niego pomieszczenia.

Owego dnia Bałaszew jadł obiad w szopie w towarzystwie marszałka na tejsze desce na beczkach.

Nazajutrz rano Davout wyjechał. Poprosiwszy do siebie Bałaszewa powiedział mu z naciskiem, iż prosi go, by tu pozostał lub posuwał się razem z taborami, jeśli taki będzie rozkaz, i wyjąwszy pana de Castre z nikim nie rozmawiał.

Po czterech dniach samotności, nudy, poczucia zależności i nicości, szczególnie dotkliwego po tym środowisku potęgi, w którym tak niedawno się znajdował, po kilku przemarszach razem z taborami marszałka i wojskami francuskimi, które zajmowały całą okolicę, Bałaszew został przywieziony do Wilna, zajętego obecnie przez Francuzów, przez tę samą roгатkę, przez którą cztery dni temu wyjeżd

Nazajutrz szambelan cesarski, monsieur de Turenne²², przyjechał do Bałaszewa i oznajmił, że cesarz Napoleon wyraził życzenie zaszczytowania go audiencją.

Przed tym samym domem, do którego przywieziono Bałaszewa, cztery dni temu stała warta pułku Preobrażeńskiego; teraz stali tu dwaj francuscy grenadierzy w rozpiętych na piersiach granatowych mundurach i w kosmatych czapkach, eskorta huzarów i ułanów, wspaniała świta adiutantów, paziów i generałów oczekujących wyjścia Napoleona i zgromadzonych wokół stojącego przy ganku wierzchowca Napoleona i jego mameluka Rustana. Napoleon przyjmował Bałaszewa w Wilnie w tym samym domu, z którego wyprawiał go Aleksander.

²² Pan de Turenne.

VI

Pomimo że Bałaszew przywykł do dworskich wspaniałości, jednak zdumiał go zbytek i przepych dworu Napoleona.

Hrabia Turenne wprowadził go do wielkiej sali przyjęć, gdzie czekało wielu generałów, szambelanów i polskich magnatów, z których wielu Bałaszew widywał na dworze cesarza rosyjskiego. Duroc oznajmił, że cesarz Napoleon przyjmie rosyjskiego generała przed spacerem.

Po kilku minutach oczekiwania do wielkiej sali wszedł dyżurny szambelan i uprzejmie skłoniwszy się przed Bałaszewem poprosił, by poszedł za nim.

Bałaszew wszedł do małej sali, z której jedne drzwi prowadziły do gabinetu, do tego samego gabinetu, z którego wyprawiał go cesarz rosyjski. Bałaszew stojąc czekał dwie minuty. Za drzwiami rozległy się pośpieszne kroki. Oba skrzydła drzwi otworzyły się szybko, wszystko ucichło, a z gabinetu zadźwięczały kroki inne, twarde, stanowcze: był to Napoleon. Dopiero co przywdział strój do konnej jazdy. Był w granatowym mundurze rozpiętym nad białą kamizelką, opuszczoną na okrągły brzuch, w białych łosiowych spodniach, opinających tłuste łydki krótkich nóg, i w botfortach. Jego krótkie włosy były najwidoczniej dopiero co przyczesane, wszelako jedno pasmo opadało w dół pośrodku szerokiego czoła. Biała, pulchna szyja ostro występowała z czarnego kołnierza munduru, Napoleon pachniał wodą kolońską. Na jego pełnej, młodej jeszcze twarzy, z wystającym podbródkiem, malował się wyraz łaskawej i majestatycznej monarszej życzliwości.

Wszedł podrygując szybko przy każdym kroku, głowę odrzucił nieco do tyłu. Cała jego otyła, krótka postać z szerokimi i barczystymi ramionami, z brzuchem i piersią mimo woli podanymi naprzód, nadawał mu reprezentacyjny, okazały wygląd, jaki mają dobrze wypielegnowani czterdziestoletni mężczyźni. Poza tym było widać, że owego dnia znajdował się w nader dobrym nastroju.

Skinął głową odpowiadając na niski, pełen szacunku ukłon Bałaszewa, zbliżył się do niego i natychmiast zaczął mówić, jak człowiek, dla którego jest droga każda minuta i który nie zniża się do tego, by przygotowywać swe przemówienia, jest bowiem przeświadczony, że zawsze powie dobrze i to, co trzeba powiedzieć.

– Witaj, generale! – rzekł. – Otrzymałem list cesarza Aleksandra, który pan przywiózł, i bardzo rad, że pana widzę. – Swymi wielkimi oczami spojrzął wprost na Bałaszewa i natychmiast jął patrzeć w bok.

Było rzeczą oczywistą, że powierzchowność Bałaszewa bynajmniej go nie interesowała. Widać było, że tylko to, co się działo w jego własnej duszy, wzbudzało jego zainteresowanie. Wszystko, co było zewnątrz, nie miało dla niego znaczenia, dlatego że wszystko na świecie, jak mu się zdawało, zależało tylko od jego woli.

– Nie pragnę i nie pragnąłem wojny – oświadczył – wszelako zmuszono mnie do niej. Nawet i obecnie (zaakcentował to słowo) gotów jestem przyjąć wszystkie wyjaśnienia, jakie może mi pan dać. – I jasno, zwięźle jął wyklądać przyczyny swego niezadowolenia z rosyjskiego rządu.

Sądząc po umiarkowanym, spokojnym i przyjacielskim tonie, jakim przemawiał cesarz francuski, Bałaszew był całkowicie przeświadczony, że pragnie on pokoju i jest gotów rozpocząć pertraktacje.

– *Sir! L'Empereur, mon maitre*²³ – zaczął Bałaszew dawno przygotowaną mowę, kiedy Napoleon skończywszy swe przemówienie spojrział pytająco na posła rosyjskiego, ale spojrzenie skierowanych na niego oczu cesarza zmieszało go. „Zmieszałeś się – opanuj się”, powiedział jak gdyby Napoleon, z ledwie dostrzegalnym uśmiechem przyglądając się mundurowi i szpadzie Bałaszewa. Bałaszew opanował się i jął mówić. Powiedział, że cesarz Aleksander nie uważa, by zażądanie paszportu przez Kurakina było dostateczną przyczyną wojny, że Kurakin postąpił samowolnie, bez zgody monarchy, że cesarz Aleksander nie pragnie wojny i że z Anglią nie utrzymuje żadnych stosunków.

– Jeszcze nie – wtrącił Napoleon i jak gdyby bojąc się poddać swemu uczuciu nachmurzył się i lekko skinął głową, w ten sposób dając Bałaszewowi do zrozumienia, że może mówić dalej.

Powiedziawszy wszystko, co miał polecone, Bałaszew oświadczył, że cesarz Aleksander pragnie pokoju, ale przystąpi do rokowań tylko pod warunkiem, że... Tu Bałaszew zawahał się: przypomniał sobie słowa, których Aleksander nie umieścił w liście, a które kazał umieścić w reskrypcie do Sałtykowa i które kazał Bałaszewowi powtórzyć Napoleonowi. Bałaszew pamiętał o tych słowach: „póki choć jeden nieprzyjacielski żołnierz będzie na rosyjskiej ziemi”, ale powstrzymało go jakieś skomplikowane uczucie. Nie mógł wypowiedzieć tych słów, choć bardzo chciał to uczynić. Zawahał się i rzekł: „Pod warunkiem, że wojska francuskie odstąpią za Niemen.”

Napoleon zauważył zmieszanie Bałaszewa przy wypowiedzaniu ostatnich słów: twarz mu drgnęła, lewa łydka zaczęła miarowo drgać. Nie ruszając się z miejsca zaczął mówić tonem wyższym niż przedtem i spieszniej. Kiedy teraz Napoleon mówił, Bałaszew kilka razy spuszczał oczy i mimo woli widział drganie jego lewej łydki, drganie to było tym silniejsze, im bardziej Napoleon podnosił głos.

– I ja pragnę pokoju nie mniej niż cesarz Aleksander zaczął. – Czyż nie ja od osiemnastu miesięcy robię wszystko, aby go osiągnąć? Osiemnaście miesięcy czekam na wyjaśnienia. Lecz aby zacząć pertraktacje, czego się ode mnie żąda? – rzekł zachmurzony czyniąc swą małą, białą i pulchną ręką energiczny i zarazem pytający gest.

– Wycofania wojsk za Niemen, najjaśniejszy panie! – odpowiedział Bałaszew.

– Za Niemen? – powtórzył Napoleon. – Więc teraz żądacie, bym odstąpił za Niemen – tylko za Niemen? – powtórzył Napoleon patrząc wprost na Bałaszewa.

Bałaszew z szacunkiem skłonił głowę.

Cztery miesiące temu żądano wycofania się z Pomeranii, a obecnie tylko odstąpienia za Niemen. Napoleon szybko się odwrócił i jął chodzić po pokoju.

– Powiada pan, że aby zacząć pertraktacje, żąda się ode mnie odstąpienia za Niemen, wszelako przed dwoma miesiącami żądano ode mnie odstąpienia za Odrę i Wisłę, i pomimo to zgadzacie się na pertraktacje.

W milczeniu przeszedł z jednego kąta pokoju w drugi i znów zatrzymał się przed Bałaszewem. Jego twarz jak gdyby skamieniała w surowym wyrazie, a lewa noga drgała jeszcze bardziej niż przedtem. Z tego drgania lewej łydki Napoleon zdawał sobie sprawę. „*La vibration de mam mollet gauche est un grand signe chez moi*”²⁴ – mawiał później.

– Taką propozycję, żeby odstąpić za Odrę i Wisłę, można robić księciu Badeńskiemu, a nie

²³ Najjaśniejszy panie! Cesarz, mój monarcha

²⁴ Drganie mej lewej łydki to u mnie ważny znak.

mnie – Napoleon niemal krzyknął, całkiem dla siebie niespodziewanie. – Gdybyście mi oddali nawet Petersburg i Moskwę, takich warunków bym nie przyjął. Powiadasz pan, że to ja zacząłem tą wojnę? A kto pierwszy przyjechał do armii? Cesarz Aleksander, nie ja. I wy proponujecie mi pertraktacje, kiedym wydał miliony, kiedyście wy sprzymierzyli się z Anglią i kiedy wasza sytuacja jest kiepska – wy proponujecie mi pertraktacje! A jaki cel waszego sojuszu z Anglią? Co ona wam dała – mówił z pośpiechem, najwidoczniej zмирzając w swym przemówieniu już nie do tego, by wykazać korzyści z zawarcia pokoju i rozważyć jego możliwość, lecz tylko do tego, żeby dowieść swej racji i swej siły i żeby dowieść niesłuszności i błędów Aleksandra.

Celem wstępu jego przemówienia było najwidoczniej wykazanie swej pomyślnej sytuacji i udowodnienie, że mimo to gotów jest podjąć pertraktacje. Wszelako już zaczął mówić, a im więcej mówił, tym mniej był w stanie panować nad swymi słowami.

Cel jego przemówienia był najwidoczniej taki, by tylko wywyżżyć siebie, Aleksandra zaś obrazić, to znaczy zrobić to, czego jak najmniej pragnął na początku audiencji.

– Powiadają, żeście zawarli pokój z Turkami? Bałaszew potwierdzająco skłonił głowę.

– Pokój zawarty... – zaczął. Ale Napoleon nie pozwolił mu mówić. Widocznie sam czuł potrzebę mówienia, przeto ciągnął dalej z tym krasomówstwem i niepohamowanym rozdrażnieniem, do jakiego są skłonni ludzie rozpieszczeni.

– Przecie wiem, żeście zawarli pokój z Turkami nie otrzymawszy Mołdawii i Wołoszczyzny. A ja bym pańskiemu monarsze dał te prowincje, podobnie jak mu dałem Finlandię. Tak – ciągnął – obiecałem i dałbym cesarzowi Aleksandrowi Mołdawię i Wołoszczyznę, a teraz nie będzie miał tych wspaniałych prowincji. A przecie mógłby je przyłączyć do swego cesarstwa i za jednego panowania rozszerzyłby Rosję od Zatoki Botnickiej aż do ujścia Dunaju. Katarzyna Wielka nie mogłaby zrobić więcej – mówił Napoleon coraz bardziej się podniecając, chodząc po pokoju i powtarzając Bałaszewowi niemal te same słowa, które mówił w Tylży samemu Aleksandrowi. – *Tout cela il l'aurait dua mom amitie. Ah! quel beau regne, quel beau regne!*²⁵ – powtórzył kilka razy, przystanął, wyjął z kieszeni złotą tabakierkę i chciwie pociągnął nosem.

– *Quel beau regne aurait p u etre celui de l'Emperew Alexandre!*²⁶

Spojrzał na Bałaszewa z ubolewaniem, a gdy Bałaszew chciał wtrącić jakąś uwagę, znów spiesznie mu przerwał.

– Czegóż takiego mógłby pragnąć i szukać, czego by nie znalazł w przyjaźni ze mną?... – rzekł Napoleon, ze zdumieniem wzruszając ramionami. – Ale nie, uważał, że lepiej otoczyć się moimi wrogami – i to kim? – ciągnął dalej. – Zgromadził wkoło siebie Steinów, Armfeltów, Bennigsenów, Wintzingerodów. Stein – zdrajca wypędzony ze swego kraju, Armfelt – rozpustnik i intrygant, Wintzingerode zbiegły obywatel francuski, Bennigsen – nieco więcej się zna na wojnie niż inni, wszelako nieudolny, nic nie potrafił zdziałać w roku 1807 i powinien by raczej budzić w cesarzu Aleksandrze złe wspomnienia... Gdyby, dajmy na to, byli zdolni, można by ich wykorzystać – ciągnął Napoleon ledwie nadążając słowami za bez przerwy nasuwanymi przez imaginację obrazami, które pokazywały mu jego słuszność albo siłę co w jego pojęciu było jednoznaczne ale i to nie: nie nadają się ani do wojny, ani do pokoju! Powiadają, że Barclay z nich wszystkich najzdolniejszy, jednakowoż sądząc po jego pierwszych posunięciach nie powiem tego. A co robią ci wszyscy dworacy, co oni robią! Pfuel snuje projekty, Armfelt oponuje, Bennigsen rozważa, Barciay zaś, wezwany, by działać, nie wie, na co się zdecydować, a czas mija. Tylko Bagration jest człowiekiem wojny. Jest głupi, ale ma doświadczenie, dobre oko i stanowczość... I jakąż to rolę odgrywa w tej zgrai pański młody monarcha? Oni go

²⁵ Wszystko to by zawdzięczał mojej przyjaźni. Och, jak piękne panowanie, jak piękne panowanie!

²⁶ Jak piękne mogłoby być panowanie cesarza Aleksandra!

kompromitują i na niego zwalają odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje. *Un souverain ne doit etre d l'armee que quand il est general*²⁷ – powiedział wygłaszając te słowa po prostu jako wyzwanie pod adresem cesarza. Napoleon wiedział, jak bardzo cesarz Aleksander pragnął być wodzem.

– Kampania trwa już tydzień, a nie potrafiłście obronić Wilna. Jesteście rozcięci na dwoje, wypędzeni z polskich prowincji. Wasza armia szemrze.

– Przeciwnie, wasza cesarska mość – rzekł Bałaszew ledwie nadażając z zapamiętywaniem tego, co do niego mówiono, i z trudem śledząc ten fajerwerk słów – wojska płoną pragnieniem...

– Ja wiem wszystko – przerwał mu Napoleon – ja wiem wszystko, znam liczbę waszych batalionów tak dokładnie jak własnych. Nie macie nawet 200 tysięcy wojska, a ja mam trzy razy tyle, daję panu słowo honoru – rzekł Napoleon zapominając, że to jego słowo honoru nie mogło mieć znaczenia – daję panu *ma parole d'honneur que fai cinq cent trenie mille hommes de ce cote de la Vistule*²⁸. Od Turków nie będziecie mieli pomocy; niezdatni są do niczego, dowiedli tego zawierając z wami pokój. Szwedzi – ich przeznaczeniem jest, by rządili nimi zwariowani królowie. Mieli króla wariata, zmienili go i wzięli sobie innego Bernadotte'a, który od razu zwariował, gdyż będąc Szwedem tylko wariat może zawierać przymierze z Rosją²⁹ – Napoleon uśmiechnął się złośliwie i znów podniósł do nosa tabakierkę.

Każdemu zdaniu Napoleona Bałaszew chciał się przeciwstawić i miał co przeciwstawić; bez przerwy czynił gesty człowieka chcącego coś powiedzieć, lecz Napoleon przerywał mu. Co do wariactwa Szwedów, chciał powiedzieć, że Szwecja jest wyspą, kiedy za nią jest Rosja; wszelako Napoleon krzyknął gniewnie, aby zagłuszyć jego głos. Napoleon był w tym stanie rozdrażnienia, w którym trzeba mówić, mówić i jeszcze raz mówić jedynie po to, aby sobie samemu dowieść słuszności. Sytuacja Bałaszewa stawała się coraz trudniejsza: jako poseł obawiał się utracić swą godność i czuł konieczność zaoponowania; ale jako człowiek zżymał się moralnie na owo zapamiętanie się w bezpodstawnym gniewie, w jakim najwidoczniej znajdował się Napoleon. Wiedział, że wszystkie słowa jakie teraz wypowiada Napoleon, nie mają znaczenia, że on sam, kiedy się opamięta, będzie się ich wstydził. Bałaszew stał ze spuszczonej oczami, patrzył na poruszające się grube nogi Napoleona i starał się unikać jego spojrzenia.

– Co mi tam ci wasi sprzymierzeńcy! – mówił Napoleon. – Ja mam sojuszników – Polaków; jest ich osiemdziesiąt tysięcy, biją się jak lwy. A będzie ich dwieście tysięcy.

I prawdopodobnie jeszcze bardziej wzburzony tym, że powiedział tę oczywistą nieprawdę i że Bałaszew stoi przed nim w milczeniu, w postawie pokornego poddania się losowi, zawrócił gwałtownie, zbliżył się do Bałaszewa i energicznie, szybko gestykułując białymi rękami, niemal krzyknął:

– Wiedźcie, że jeśli przeciw mnie poruszyście Prusy, to zetrę je z mapy Europy – rzekł z twarzą bladą, zeszepeconą złością, i energicznym gestem jednej małej ręki uderzył w drugą. – Tak, odrzucę was za Dźwinę, za Dniepr i na nowo postawię przeciwko wam tę zaporę, którą Europa, zbrodnicza i ślepa, pozwoliła zburzyć³⁰ Oto co się z wami stanie, tyleście wygrali

²⁷ Monarcha tylko wówczas powinien znajdować się przy armii, jeśli jest wodzem.

²⁸ Słowo honoru, że mam po tej stronie Wisły pięćset trzydzieści tysięcy ludzi.

²⁹ W r. 1809 Karol XIII zawarł pokój z Rosją, z którą Szwecja od r. 1808 pozostawała w wojnie. Na zasadzie traktatu pokojowego Rosja otrzymała Finlandię wraz z Wyspami Alandzkimi. Karol XIII adoptował w r. 1810 marszałka Bemadotte, który został obrany królem przez Stany szwedzkie w r. 1810, wstąpił zaś na tron jako Karol Jan XIV w 1818. W r. 1812 Bemadotte zawarł pokój z Rosją, zapewniając sobie Norwegię w zamian za odstąpienie poprzednio Rosjanom Finlandię.

³⁰ Mowa o Rzeczypospolitej w jej przedrozbiorowych granicach. W r. 1812 istniało jedynie utworzone przez

odsunąwszy się ode mnie powiedział i milcząc przeszedł się kilka razy po pokoju, a jego szerokie ramiona drgały. Do kieszeni kamizelki włożył tabakierkę, znowu ją wyjął, kilka razy przytknął ją do nosa i stanął przed Bałaszewem. Chwilę milczał, drwiąco popatrzył prosto w oczy Bałaszewowi i rzekł spokojnie:

– Et cependant quel beau regne a u rai t p u avoir votre maitre!³¹

Bałaszew, czując potrzebę oponowania, powiedział, że dla Rosji sprawy nie przedstawiają się tak ponuro. Napoleon milczał, ciągle patrzył na niego drwiąco i najwidoczniej go nie słuchał. Bałaszew powiedział, że w Rosji wszyscy spodziewają się po tej wojnie wszystkiego najlepszego. Napoleon pobłażliwie skinął głową, jak gdyby mówiąc:

„Wiem, mówisz tak, bo to twój obowiązek, ale sam w to nie wierzysz, przekonałem cię.”

Kiedy Bałaszew kończył mówić Napoleon znów wyjął tabakierkę, zażył tabaki niby dając znak, tupnął dwa razy w podłogę. Drzwi się otworzyły, szambelan, pochylony z szacunkiem, podał cesarzowi kapelusz i rękawiczki, drugi podał chustkę do nosa. Napoleon nie patrząc na nich zwrócił się do Bałaszewa.

– Proszę zapewnić w mym imieniu cesarza Aleksandra – rzekł wzięwszy kapelusz – że jestem mu oddany jak dawniej; znam go doskonale i nader wysoko cenię jego wielkie przymioty. *Je ne vous retiens plus, general, vous recevrez ma lewe a l'Empereur*³² – I Napoleon szybko skierował się ku drzwiom. Z poczekalni wszyscy rzucili się naprzód i zbiegli w dół po schodach.

Napoleona Księstwo Warszawskie.

³¹ A jednak jak piękne panowanie mógłby mieć pański monarcha!

³² Nie zatrzymuję pana dłużej, generale, dostanie pan list ode mnie do cesarza

VII

Po wszystkim, co Napoleon mu powiedział, po tych wybuchach gniewu i po ostatnich oschłych słowach: „*Je ne vous retiens plus, general, vous recevrez ma lettre*”, Bałaszew był przekonany, że Napoleon nie tylko nie chce go widzieć, ale i postara się, żeby nie widzieć jego – obrażonego posła, a co najważniejsze, świadka swej niegodnej cesarza popędliwości.

Tymczasem ku swemu zdziwieniu otrzymał przez Duroca zaproszenie na ten dzień do stołu cesarza. Na obiedzie byli Bessieres, Caulaincourt i Berthier. Napoleon powitał Bałaszewa z wesołą i uprzejmą twarzą. Nie tylko nie zdradzał zażenowania czy nawet wyrzutu z powodu ранnego gniewu, ale, przeciwnie, starał się Bałaszewowi dodać otuchy. Było widać, że Napoleon już od dawna jest przeświadczony o swej nieomyślności, że w jego przekonaniu wszystko, co robił, było dobre – nie dlatego że się zgadzało z pojęciem dobra i zła, lecz dlatego, że on to robił.

Cesarz był bardzo wesół po konnej przejażdżce po Wilnie, gdzie tłumy witały go i towarzyszyły mu z entuzjazmem. Na ulicach, którymi przejeżdżał, we wszystkich oknach były wywieszane dywany, sztandary, jego monogramy, a polskie panie witając go powiewały chusteczkami.

Przy stole posadził Bałaszewa obok siebie i traktował go nie tylko uprzejmie, ale i tak, jakby on również należał do jego świty, jakby był jednym z tych ludzi, którzy sympatyzowali z jego planami i powinni się cieszyć z jego sukcesów. Między innymi zaczął mówić o Moskwie i jął wypytywać Bałaszewa o stolicę Rosji, nie tylko jak ciekawy podróżnik wypytyjący o nową miejscowość, którą zamierza odwiedzić, ale jak gdyby w przekonaniu, że Bałaszew, jako Rosjanin, powinien się czuć tą ciekawością pochlebionym.

– Ile Moskwa ma mieszkańców, ile domów? Czy to prawda, że Moscou nazywają *Moscou la sainte*³³? Ile cerkwi jest w Moscou? – zapytywał.

A gdy usłyszał, że cerkwi jest przeszło dwieście, rzekł:

– Po co takie mnóstwo cerkwi?

– Rosjanie są bardzo pobożni – odpowiedział Bałaszew.

– Zresztą, duża ilość klasztorów i kościołów jest zawsze oznaką zacofania narodu – rzekł Napoleon i obejrzał się na Caulaincourta, by ocenił ten sąd.

Bałaszew z uszanowaniem pozwolił sobie nie zgodzić się ze zdaniem francuskiego cesarza.

– Każdy kraj ma swoje obyczaje – rzekł.

– Ale już nigdzie w Europie nie ma czegoś podobnego – powiedział Napoleon.

– Za pozwoleniem waszej cesarskiej mości – rzekł Bałaszew – prócz Rosji jest jeszcze Hiszpania, gdzie także jest dużo kościołów i klasztorów.

Ta odpowiedź Bałaszewa, będąca aluzją do niedawnej porażki Francuzów w Hiszpanii, była, jak opowiadał Bałaszew, wysoko oceniona na dworze cesarza Aleksandra, ale na obiedzie u Napoleona była oceniona nisko i przeszła niepostrzeżenie.

Na obojętnych i zdziwionych twarzach panów marszałków widać było, iż nie pojmowali, na

³³ Świętą Moskwą.

czym polega tu dowcip, do którego aluzyjnie nawiązał ton Bałaszewa. „Jeśli nawet to był dowcip, to albośmy go nie zrozumieli, albo nie był on dowcipny” – mówił wyraz twarzy marszałków. Do tego stopnia owa odpowiedź nie została doceniona, że Napoleon nawet jej nie zauważył i naiwnie zapytał Bałaszewa, przez jakie miasta prowadzi stąd droga do Moskwy. Bałaszew, który przez cały obiad miał się na baczności, odpowiedział, że *comme tout chemin mene a Rome, tout chemin mene a Moscou*³⁴ że jest dużo dróg, a wśród tych dróg jest i droga na Połtawę, którą wybrał Karol XII. I Bałaszew mimo woli zarumienił się z zadowolenia z powodu tej udanej odpowiedzi. Bałaszew jeszcze nie zdążył domówić ostatnich słów: „Połtawa”, a już Caulaincourt jął mówić o niewygodach drogi z Petersburga do Moskwy i o swych petersburskich wspomnieniach.

Po obiedzie wszyscy przeszli na kawę do gabinetu Napoleona, który to gabinet cztery dni temu był gabinetem cesarza Aleksandra. Napoleon siadł, dotknąwszy sewrskiej filiżanki z kawą, i wskazał Bałaszewowi krzesło obok siebie.

Człowiek miewa właściwy sobie poobiedni nastrój, który wbrew wszelkim rozsądnym przyczynom każe mu być zadowolonym z siebie i uważać wszystkich za swych przyjaciół. Napoleon był w tym nastroju. Zdawało mu się, że jest otoczony ludźmi, którzy go uwielbiają. Był przeświadczony, że po tym obiedzie Bałaszew również jest jego przyjacielem i wielbicielem. Zwrócił się do niego z uśmiechem miłym i z lekka drwiącym.

– Powiadano mi, że to ten sam pokój, w którym mieszkał cesarz Aleksander. Dziwne to, prawda, generale? – rzekł, najwidoczniej nie wątpiąc, że taki zwrot nie mógł nie być przyjemny dla jego rozmówcy, świadczył bowiem o wyższości jego, Napoleona, nad Aleksandrem.

Bałaszew nic nie mógł na to odpowiedzieć i milcząc pochylił głowę.

– Tak, przed czterema dniami w tym pokoju naradzali się Wintzingerode i Stein – ciągnął Napoleon z tym samym drwiącym, pewnym siebie uśmiechem. – Czego nie mogę pojąć – rzekł – to tego, że cesarz Aleksander skupił wokół siebie wszystkich moich osobistych wrogów. Ja tego nie... rozumiem. Czy nie pomyślał, że ja mogę zrobić to samo? – zwrócił się do Bałaszewa z zapytaniem i widocznie to wspomnienie znowu go pchnęło na trop porannego gniewu, który jeszcze był w nim świeży.

– I niech wie, że to zrobię – powiedział wstając i odpychając ręką filiżankę. – Wypędzę z Niemiec wszystkich jego krewnych – Wirtembergów, Badeńskich, Weimarskich... Tak, wypędzę. Niech szykuje w Rosji przytułek dla nich!

Bałaszew skłonił głowę, dając wyrazem twarzy do zrozumienia, że pragnie się pożegnać, a słucha tylko dlatego, że nie może nie słuchać, gdy się do niego mówi. Napoleon nie dostrzegł tego wyrazu: zwracał się do Bałaszewa nie jak do posła swego wroga, ale jak do człowieka, który teraz jest mu całkowicie oddany i powinien się cieszyć z poniżenia swego dawnego pana.

– I czemu Aleksander objął dowództwo nad wojskami? Po co to? Wojna to moje rzemiosło, jego rzeczą jest panować, a nie dowodzić wojskami. Czemu wziął na siebie taką odpowiedzialność?

Napoleon znowu wyjął tabakierkę, milcząc przeszedł się kilka razy po pokoju i, znienacka podszedłszy do Bałaszewa, z lekkim uśmiechem i z taką pewnością siebie, szybko, po prostu, jakby czynił coś nie tylko ważnego, ale i przyjemnego dla Bałaszewa, podniósł rękę do twarzy czterdziestoletniego generała rosyjskiego, ujął go za ucho i lekko pociągnął uśmiechnąwszy się samymi ustami.

Na francuskim dworze uważano za wielki honor i łaskę *avoir l'oreille tiree par*

³⁴ Tak jak wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, tak i wszystkie drogi prowadzą do Moskwy.

*l'Empereur*³⁵.

– *Eh, bien, vous ne dites rien, admirateur et courtisan de l'Empereur Alexandre?*³⁶ – powiedział, jak gdyby w jego obecności było rzeczą śmieszną być czym innym *courtisan et admirateur*, a nie jego, Napoleona.

– Czy konie dla generała gotowe? – dodał, lekkim pochyleniem głowy odpowiadając na ukłon Bałaszewa. – Dajcie mu moje, na daleką drogę...

List przywieziony przez Bałaszewa był ostatnim listem Napoleona do Aleksandra. Wszystkie szczegóły rozmowy zostały powtórzone rosyjskiemu cesarzowi – i wojna zaczęła się.

³⁵ Być pociągniętym za ucho przez cesarza.

³⁶ No, wielbiciele i dworzanie cesarza Aleksandra, nic pan nie mówi?... dworzaninem i wielbicielem

VIII

Po spotkaniu się z Pierre'em w Moskwie książę Andrzej wyjechał do Petersburga w interesach, jak powiedział rodzinie, w istocie jednak w tym celu, aby tam spotkać księcia Anatola Kuragina, spotkanie to bowiem uważał za niezbędne. Jednak, jak się dowiedział przybywszy do Petersburga, Kuragina już tam nie było. Pierre zawiadomił szwagra, że książę Andrzej jedzie za nim. Anatol Kuragin natychmiast otrzymał nominację od ministra wojny i udał się do armii mołdawskiej. W tym samym czasie książę Andrzej spotkał w Petersburgu Kutuzowa, swego dawnego, zawsze dla niego życzliwego generała, Kutuzow tedy zaproponował mu, by wraz z nim udał się do armii mołdawskiej, której naczelnym wodzem został mianowany. Książę Andrzej, dostawszy funkcję przy sztabie kwatery głównej, wyjechał do Turcji.

Książę Andrzej uważał za niewłaściwe pisać do Kuragina i wyzywać go na pojedynki. Był zdania, że wyzwanie bez nowego powodu skompromitowałoby hrabiankę Rostow, przeto szukał osobistego spotkania, podczas którego zamierzał znaleźć nowy powód do pojedynku. Wszelako i w armii tureckiej nie udało mu się spotkać z Kuraginem, który wkrótce po przybyciu księcia Andrzeja do armii tureckiej powrócił do Rosji. W nowym kraju i w nowych warunkach egzystencji życie księcia Andrzeja stało się lżejsze. Po zdradzie, która tym mocniej go dotknęła, im staranniej próbował ukryć przed wszystkimi, jak bardzo ją odczuł, te warunki życia, w których był szczęśliwy, stały się dla niego bardzo ciężkie, a jeszcze cięższe były wolność i niezależność tak przedtem przez niego ceniona. Nie tylko nie snuł tych dawnych myśli, które po raz pierwszy nawiedziły go, kiedy patrzył na niebo pod Austerlitz, a które tak lubił roztaczać w obecności Pierre'a i które mu wypełniały jego samotność w Boguczarowie, a potem w Szwajcarii i Rzymie; ale nawet bał się wspominać o tych myślach otwierających nieskończone, jasne horyzonty. Obecnie interesował się tylko sprawami najbliższymi, nie związanymi z poprzednimi – sprawami praktycznymi, których miał się z tym większą skwapliwością, im bardziej przysłonięte były dawne sprawy. Jak gdyby owo nieskończone, oddalające się sklepienie nieba, które przedtem miał nad sobą, zmieniło się znienacka w niskie, ograniczone, przytłaczające go sklepienie, w którym wszystko było wyraźne, ale które nie miało w sobie nic wiecznego, tajemnego.

Ze wszystkich rodzajów działalności, jakie miał przed sobą, służba wojskowa była najprostsza i znana mu. Na stanowisku dyżurnego generała w sztabie Kutuzowa z uporem i gorliwością zajmował się sprawami zadziwiając Kutuzowa zapałem do pracy i dokładnością. Nie znalazłszy w Turcji Kuragina książę Andrzej nie uważał za konieczne pędzić za nim z powrotem do Rosji, wszelako przy tym wszystkie doskonale wiedział, że ilekolwiek by minęło czasu, nie będzie mógł spotkać Kuragina – mimo całą pogardę, jaką miał dla niego, mimo wszelkie dowodzenie sobie, że nie warto poniżać się do spotkania z nim – wiedział, że spotkawszy się z nim, nie będzie mógł go nie wyzywać, podobnie jak człowiek głodny nie może nie rzucić się na pożywienie. I świadomość, że krzywda jeszcze nie została pomszczona, a gniew – nie

wyladowany – wciąż leży na sercu, zatrzuwała ów sztuczny spokój, jaki pod maską pełnej kłopotów i nieco ambitnej, chełpliwej działalności narzucił sobie książę Andrzej w Turcji.

W roku 1812, kiedy do Bukaresztu (gdzie Kutuzow przebył dwa miesiące spędzając u swej Włoszki dni i noce) przyszła wieść o wojnie z Napoleonem, książę Andrzej poprosił Kutuzowa o przeniesienie do armii zachodniej. Kutuzow uprzykrzył już sobie Bołkońskiego z jego skwapliwą działalnością, która jak gdyby wytykała mu jego własną beczynność, więc bardzo chętnie go zwolnił i dał mu rekomendację do Barciaya de Tolly.

Przed wyjazdem do armii, która w maju znajdowała się w obozie nad Dryssą, książę Andrzej wstąpił do Łysych Gór, dokąd było mu po drodze, ponieważ leżały o trzy wiorsty od traktu smoleńskiego. W ciągu ostatnich trzech lat w życiu księcia Andrzeja zaszło tyle zmian, tyle przemyślał, tyle przecierpiał, tyle widział (objechał i Wschód, i Zachód), toteż gdy wjeżdżał do Łysych Gór, był zdumiony i zaskoczony ciągle takim samym, aż do najdrobniejszych szczegółów, nurtem życia. Wjechał w aleję i w murowaną bramę łysogórskiego domu niczym do zaczarowanego, uśpionego zamku. Była tu ta sama solidność, ta sama czystość, ta sama cisza, te same meble, te same ściany, te same odgłosy, ten sam zapach i te same nieśmiałe twarze, tylko nieco postarzałe. Księżniczka Maria była ciągle tą samą zaleknioną, nieładną, starzejącą się panną, przeżywającą najlepsze lata swego życia bez pożytku i radości, w ciągłym strachu i cierpieniach moralnych. Bourienne była tą samą zalotną panną, która wesoło korzysta z każdej chwili życia, pełna jak najradośniejszych nadziei i zadowolenia z siebie. Księżciu Andrzejowi wydało się, że Bourienne jest jeszcze pewniejsza siebie. Wychowawca Desalles, którego był przywiózł ze Szwajcarii, ubrany w surdut rosyjskiego kroju, kalecząc język rozmawiał ze służbą po rosyjsku, wszelako pozostawał tym samym ograniczenie rozumnym, zacnym i pedantycznym wychowawcą. Stary książę zmienił się fizycznie tylko tyle, że w kącie jego ust stał się widoczny brak zęba, pod względem moralnym pozostał ten sam, tyle że jeszcze bardziej narosła w nim złość i nieufność względem tego, co się działo na świecie. Tylko jeden Nikołuszka urósł, zmienił się, nabrał rumieńców, miał kędzierzawe, ciemne włosy, a kiedy się śmiał i radował, to – sam o tym nie wiedząc – unosił górną wargę ładniutkich usteczek zupełnie tak samo, jak unosiła ją nieboszczka mała księżna. Tylko on jeden w tym zaczarowanym, uśpionym zamku był nieposłuszny prawu niezmienności. Jednakowoż choć zewnątrz wszystko było po dawnemu, wewnętrzny wzajemny stosunek tych ludzi do siebie zmienił się od tego czasu, gdy książę Andrzej ich widział. Członkowie rodziny dzielili się na dwa obozy, obce sobie i wrogie, a teraz spotykali się tylko w jego obecności, dla niego zmieniając zwykły tryb życia. Do jednego obozu należeli: stary książę, Bourienne i architekt, do drugiego – księżniczka Maria, Desalles, Nikołuszka i wszystkie niańki i mamki.

Podczas jego pobytu w Łysych Górach wszyscy domownicy razem jedli obiad, ale wszystkim było nieswojo, i książę Andrzej czuł, że jest gościem, dla którego robi się wyjątek, że krępuje wszystkich swą obecnością. Pierwszego dnia podczas obiadu książę mimo woli to odczuł, przeto milczał, stary zaś książę, który zauważył nienaturalność jego zachowania również zamilkł ponuro i zaraz po obiedzie poszedł do siebie. Kiedy pod wieczór książę Andrzej przyszedł do niego i chcąc go rozruszać jał mu opowiadać o kampanii młodego hrabiego Kamieńskiego, stary książę zaczął zniechęca rozmowę o księżniczce Marii zarzucając jej przesady i nieprzyjemne uczucia dla m-lle Bourienne, która jedna tylko, jak mówił, była mu szczerze oddana.

Stary książę mówił, że jeśli jest chory, to tylko przez księżniczkę Marię; że ona rozmyślnie męczy go i rozdrażnia, że pieszczotami i głupią gadaniną psuje małego księcia Mikołaja. Stary książę wiedział bardzo dobrze, że to on męczy córkę, że ma ona bardzo ciężkie życie, ale i to wiedział, że nie może jej nie męczyć i że ona na to zasługuje. „Dlaczego książę Andrzej – choć to widzi – nic mi nie mówi? – myślał stary książę. – Może sobie myśli, że niegodziwiec albo

stary głupiec, że bez powodu oddaliłem się od córki, a zbliżyłem do siebie Francuzeczkę? Nie rozumie, tedy trzeba mu wytłumaczyć, trzeba, żeby się dowiedział” – myślał stary książę. I ją wykladać przyczyny, dla których nie mógł ścierpieć niedorzecznego charakteru córki.

– Jeśli mnie ojciec pyta – rzekł książę Andrzej nie patrząc na ojca (potępiał ojca po raz pierwszy w życiu) – nie chciałem mówić, ale skoro ojciec mnie pyta, to powiem otwarcie, co o tym myślę. Jeśli między ojcem a Maszą są nieporozumienia i niezgoda, żadną miarą nie mogę jej o to winić – wiem, jak ona kocha ojca i szanuje. Ale skoro ojciec mnie pyta – ciągnął książę Andrzej wpadając w rozdrażnienie, gdyż ostatnimi czasy zawsze był skłonny do irytacji jedno tylko mogę powiedzieć: jeśli są nieporozumienia, to ich przyczyną jest niegodziwa kobieta, która nigdy nie powinna była zostać towarzyszką mojej siostry.

Z początku starzec patrzył na syna nieruchomymi oczami i w nienaturalnym uśmiechu odsłonił nowy brak zęba, do czego książę Andrzej nie mógł się przyzwyczaić.

– Jaką towarzyszką kochasiu? He? Już uprzedzony! He? – Ojczulku, ja nie chcę być sędzią – rzekł książę Andrzej tonem szorstkim i pełnym goryczy. Ale ojciec mnie sprowokował, więc powiedziałem i zawsze powiem, że księżniczka Maria nie jest winna, lecz winien... winna jest ta Francuzeczka...

– A to osądził mnie, osądził! – rzekł stary głosem cichym i, jak się księciu Andrzejowi wydało, ze zmieszaniem, lecz potem zerwał się zniecacka i krzyknął: – Precz, precz! Żeby tu śladu po tobie nie było!...

Książę Andrzej chciał zaraz wyjechać, ale księżniczka Maria ubłagała go, żeby został jeszcze jeden dzień. Owego dnia książę Andrzej nie widział się z ojcem, który nie wychodził i nikogo do siebie nie wpuszczał, wyjąwszy m-lle Bourienne i Tichona, i kilka razy pytał, czy syn wyjechał. Nazajutrz przed wyjazdem książę Andrzej poszedł do pokojów syna. Zdrowy, kędzierzawy jak matka chłopczyk usiadł mu na kolanach. Książę Andrzej zaczął mu opowiadać bajkę o Sinobrodym, ale nie dokończył – zamyślił się. Nie o ładniutkim synku myślał w tej chwili, kiedy go trzymał na kolanach, lecz o sobie. Z przerażeniem szukał i nie znajdował w sobie ani skruchy, że rozdrażnił ojca, ani żalu, że (poróżniony po raz pierwszy w życiu) odjeżdża od niego. Najważniejsze dla niego było to, że szukał i nie znajdował dawnej tkliwości dla syna, którą miał nadzieję wzbudzić w sobie, pieszcząc chłopczyka i sadzając go sobie na kolanach.

– Opowiadajże – rzekł syn. Książę Andrzej nie odpowiedział mu, zsadził go z kolan i wyszedł z pokoju.

Gdy tylko książę Andrzej porzucił swe codzienne zajęcia, a zwłaszcza gdy tylko znalazł się w dawnych warunkach egzystencji, w jakich pozostawał w czasach, gdy był szczęśliwy, melancholia życia owładnęła nim z dawną siłą, spieszył jak najprędzej uciec od tych wspomnień i jak najprędzej znaleźć jakieś zajęcie.

Więc stanowczo jedziesz, Andre? – zapytała go siostra.

– Chwała Bogu, że mogę jechać – odpowiedział książę Andrzej – bardzo żałuję, że ty nie możesz.

– Czemu to mówisz! – rzekła księżniczka Maria.

– Czemu to mówisz teraz, kiedy jedziesz na tę okropną wojnę, a on jest taki stary! M-lle Bourienne mówiła, że pytał o ciebie... – Jak tylko zaczęła o tym mówić, usta jej zadrżały i łzy popłynęły. Książę Andrzej odwrócił się od niej i jął chodzić po pokoju.

– Ach, mój Boże, mój Boże! – rzekł. – I pomyśleć sobie, że taka nicość może być przyczyną nieszczęścia ludzkiego! – rzekł ze złością, która przestraszyła księżniczkę Marię.

Zrozumiała, że mówiąc o ludziach, których nazywał nicością, miał na myśli nie tylko m-lle Bourienne, która była przyczyną jej nieszczęścia, ale i człowieka, który zmarnował mu szczęście.

– Andre, o jedno cię proszę, błagam cię – rzekła dotykając jego łokcia i patrząc na brata lśnjącymi od łez oczyma.

– Ja ciebie rozumiem. (Księżniczka Maria spuściła oczy.) Nie myśl, że to ludzie stworzyli cierpienie. Ludzie są narzędziem Jego. – Spojrzała nieco ponad głowę księcia Andrzeja wzrokiem pewnym, nawykłym, jakim się patrzy na znajome miejsce na portrecie. – On zesłał nieszczęście, a nie ludzie. Ludzie to jego narzędzie, oni nie są winni. Jeśli ci się zdaje, że ktoś wobec ciebie zawinił, zapomnij o tym i przebac. Nie mamy prawa karać. I ty zrozumiesz szczęście przebaczenia.

– Marie, gdybym był kobietą, tak bym postępował. To cnota kobieca. Ale mężczyzna nie powinien i nie może zapominać i przebaczać – rzekł, a choć do tej chwili nie myślał o Kuraginie, wszystek nie wyładowany gniew odżył nagle w jego sercu. „Jeśli już księżniczka Maria namawia mnie do przebaczenia, to znaczy, że dawno powinienem był go ukarać” – pomyślał. I nie odpowiadając już księżniczce Marii jął teraz myśleć o tej radosnej a złej chwili, kiedy spotka Kuragina, który (wiedział to) znajduje się w armii.

Księżniczka Maria błagała brata, by poczekał jeszcze dzień, mówiła, iż wie, jak ojciec będzie nieszczęśliwy, jeśli Andrzej wyjedzie nie pogodziwszy się z nim, ale książe Andrzej odpowiedział, że prawdopodobnie niedługo znów przyjedzie z armii, że na pewno napisze do ojca i że im dłużej by obecnie pozostawał, tym bardziej by się jątrzyła ta zwada.

– Adieu, Andre! *Rappelez-vous que les malheurs vien-nent de Dieu et que les hommes ne sont jamais coupables*³⁷ – to były ostatnie słowa, jakie usłyszał od siostry żegnając się z nią.

„Tak właśnie powinno być – myślał książe Andrzej wyjeżdżając z alei łysogórskiego domu. – Ona, pożałowania godne, niewinne stworzenie, pozostaje na łup zwariowanemu starcowi. Stary czuje, że jest winien, ale nie może się zmienić. Mój chłopiec rośnie, cieszy się życiem, w którym będzie taki sam jak wszyscy – oszukiwanym albo oszukującym. Ja jadę do armii, po co? – sam nie wiem, ale tego człowieka, którym gardzę, pragnę spotkać po to, aby dać mu okazję do zabicia mnie i naigrawania się ze mnie!” I dawniej były te same warunki egzystencji, ale dawniej wiązały się one przecie między sobą, a teraz wszystko się rozleciało. Tylko bezsensowne zjawiska bez żadnego związku, jedno po drugich przesuwwały się w wyobraźni księcia Andrzeja.

³⁷ Żegnaj, Andrzeju! Pamiętaj, że nieszczęścia Bóg zsyła, że ludzie nigdy nie a winni.

IX

Książę Andrzej przyjechał do głównej kwatery armii w końcu czerwca. Wojska pierwszej armii, tej, przy której znajdował się monarcha, rozłożyły się warownym obozem nad Dryssą, wojska drugiej armii cofały się, by jak najspieszniej połączyć się z pierwszą armią, od której – jak powiadano – byli odcięci przez duże siły Francuzów. Wszyscy byli niezadowoleni z ogólnego biegu spraw wojennych w rosyjskiej armii; ale o niebezpieczeństwie najazdu na gubernie rosyjskie nikt nie myślał i nikt nie przypuszczał, żeby wojna mogła się przenieść dalej niż do zachodnich guberni polskich.

Nad brzegiem Dryssy książę Andrzej znalazł Barciaya de Tolly, do którego był przydzielony. Ponieważ w okolicy obozu nie było ani jednego miasteczka, ani osiedla, przeto ogromna liczba generałów i dworzan znajdujących się przy armii rozlokowała się w promieniu dziesięciu wiorst, zajmawszy co lepsze domy we wsiach po obu stronach rzeki. Barclay de Tolly kwaterował w odległości czterech wiorst od monarchy. Bołkońskiego przyjął oschle i zimno; oświadczył mu swym niemieckim akcentem, że zamelduje o nim monarsze, aby wyznaczył mu funkcję, a tymczasem prosi, żeby pozostał przy jego sztabie. Anatola Kuragina, którego książę Andrzej spodziewał się znaleźć w armii, nie było tu: znajdował się w Petersburgu, i ta wiadomość sprawiła księciu Andrzejowi przyjemność. Zainteresowanie ośrodkiem przygotowującej się olbrzymiej wojny zaabsorbowało księcia Andrzeja, był przeto rad, że na czas pewien uwolni się od dystrakcji, jaką stwarzała myśl o Kuraginie. W ciągu pierwszych czterech dni, podczas których nigdzie go niepotrzebowano, książę Andrzej objechał cały umocniony obóz i dzięki swym wiadomościom oraz rozmowom z ludźmi znającymi się na rzeczy próbował wyrobić sobie o nim określone pojęcie. Ale kwestia, czy ten obóz jest dogodny, czy niedogodny, pozostała dla księcia Andrzeja nie rozstrzygnięta. Ze swego wojennego doświadczenia zdążył już wynieść przeświadczenie, że w rzeczach wojny nic nie znaczą tak najbardziej przenikliwie opracowane plany (widział to w kampanii austerlitzkiej), że wszystko zależy od tego, jak się odpowie na niespodziewane, niemożliwe do przewidzenia działania nieprzyjacielskie, że wszystko zależy od tego, kto i jak kieruje całą sprawą. Aby wyjaśnić sobie tę ostatnią kwestię, książę Andrzej, korzystając ze swego stanowiska oraz znajomości, usiłował przeniknąć istotę kierowania armią, charakter osobistości i partii biorących w tym kierowaniu udział i wyrobił sobie następujące pojęcie o stanie rzeczy.

Kiedy monarcha był jeszcze w Wilnie, armia dzieliła się na trzy części: pierwsza armia pozostawała pod dowództwem Barciaya de Tolly, druga – pod dowództwem Bagrationa, trzecia – pod dowództwem Tormasowa. Monarcha znajdował się przy pierwszej armii, wszakże nie jako wódz naczelny. W rozkazach nie mówiono, że monarcha będzie dowodził, lecz tylko powiedziano, że monarcha będzie przy armii. Poza tym przy osobie monarchy nie było sztabu naczelnego wodza, lecz był sztab cesarskiej kwatery głównej. Był przy nim szef sztabu cesarza,

generał-kwatermistrz książę Wołkoński, generałowie, fligel-adiutanci, dyplomaci i wielka ilość cudzoziemców, ale nie było sztabu armii. Poza tym przebywali przy monarsze, nie pełniąc żadnych funkcji: Arakcejew – były minister wojny, hrabia Bennigsen najstarszy rangą spośród generałów, wielki książę cesarzewicz. Konstanty Pawłowicz, hrabia Rumiancew – kanclerz, Stein – były minister pruski, Armfelt – generał szwedzki, Pfuel – główny twórca planu kampanii, generał-adiutant Paulucci – uchodźca z Sardynii, Wolzogen i wielu innych. Choć te osobistości znajdowały się przy armii nie mając żadnych funkcji wojskowych, jednak ze względu na swe stanowiska mieli oni wpływ, toteż często dowódca korpusu, a nawet i wódz naczelny, nie wiedział, w jakim charakterze Bennigsen czy wielki książę, Arakcejew czy też książę Wołkoński zadaje mu pytania albo radzi to lub owo, i nie wiedział, czy we własnym imieniu rozkazuje, czy też rozkaz w formie rady pochodzi od monarchy, nie wiedział, czy trzeba, czy też nie trzeba go wypełniać. Jednakowoż to były okoliczności zewnętrzne, istotny zaś sens obecności monarchy i tych wszystkich osobistości był z punktu widzenia dworu (w obecności monarchy wszyscy stają się dworzanami) dla wszystkich jasny. Sens był mianowicie taki: monarcha nie przyjmował tytułu naczelnego wodza, lecz dysponował wszystkimi armiami; otaczający go ludzie byli jego pomocnikami. Arakcejew był wiernym wykonawcą i stróżem porządku oraz strażnikiem osoby monarchy; Bennigsen, ziemianin guberni wileńskiej, jakoby czynił honory domu, a w istocie był dobrym generałem, przydatnym do rady i do tego, by w każdej chwili zastąpić Barciaya. Wielki książę znajdował się tutaj, bo tak mu się podobało. Eks-minister Stein był tu jako przydatny do rady i dlatego, że cesarz Aleksander wysoko cenił jego osobiste zalety. Armfelt był zaciekłym wrogiem Napoleona i pewnym siebie generałem, a to zawsze miało wpływ na Aleksandra. Paulucci był tu dlatego, że był śmiały i stanowczy w słowach. Generał-adiutanci byli tu, bo zawsze znajdowali się tam, gdzie był monarcha, i wreszcie – co najważniejsze – Pfuel był tu dlatego, że opracował plan wojny przeciwko Napoleonowi i zniewoliwszy Aleksandra do uwierzenia w celowość tego planu, kierował całością spraw wojny. Przy Pfuelu przebywał Wolzogen, który przekazywał myśli Pfuela w bardziej przystępnej formie, niż to czynił sam Pfuel – gwałtowny, zarozumiały, aż gardzący wszystkimi teoretyk gabinetowy.

Oprócz tych wymienionych osobistości, Rosjan i cudzoziemców (szczególnie cudzoziemców, którzy ze śmiałością właściwą ludziom działającym w obcym środowisku co dzień przedstawiali nowe, niespodziewane myśli), było jeszcze dużo osobistości drugorzędnych, znajdujących się przy armii dlatego, że tu znajdowali się ich szefowie.

Wśród wszystkich myśli i głosów w tym olbrzymim, niespokojnym, wspaniałym i pysznym świecie książę Andrzej widział następujące bardziej wyraźne odgałęzienia kierunków i partii.

Pierwszą partię stanowili: Pfuel i jego zwolennicy, teoretycy wojny, którzy wierzyli, że istnieje nauka o wojnie, że ta nauka ma swe niezmiennie prawa, prawa obchodowych ruchów, okrążeń itp. Pfuel i jego zwolennicy żądali cofnięcia się w głąb kraju, zgodnie z dokładnymi prawami przewidzianymi przez domniemaną teorię wojny i we wszelkim odstępstwie od tej teorii widzieli tylko barbarzyństwo, nieuctwo albo szkodnictwo. Do tej partii należeli książęta niemieccy, Wolzogen, Wintzingerode oraz inni, przeważnie Niemcy.

Druga partia była przeciwieństwem pierwszej. Jak to zawsze bywa, jednej skrajności przeciwstawiała się druga. Do tej partii należeli ludzie, którzy już w Wilnie domagali się wtargnięcia do Polski i niezależności wobec wszelkich z góry obmyślanych planów. Prócz tego, że przedstawiciele tej partii byli rzecznikami śmiałego działania, jednocześnie byli również rzecznikami narodowości, wskutek czego w sporze stawali się jeszcze bardziej jednostronni. Byli to Rosjanie: Bagration i zaczynający iść w górę Jermołow oraz inni. W owym czasie kursował znany żart Jermołowa, który jakoby prosił monarchę o jedną łaskę – o awans na

Niemca. Należący do tej partii wspominali Surowowa i mówili, że nie trzeba myśleć, wbijać szpilek w mapę, ale się bić, bić nieprzyjaciela, nie puszczać go do Rosji i nie pozwalać, by wojsko traciło otuchę.

Do trzeciej partii, do której cesarz miał największe zaufanie, należeli dworscy rozjemcy między oboma kierunkami. Ludzie tej partii, przeważnie niewojskowi, do których należał również Arakczejew, myśleli i mówili to, co zazwyczaj mówią ludzie nie mający przekonań, lecz pragnący uchodzić za takich, którzy je mają. Powiadali, że wojna, szczególnie z takim geniuszem jak Bonaparte (znów nazywano go Bonapartem), wymaga niewątpliwie jak najgłębszej rozwagi, gruntownej znajomości nauki i że w tej materii Pfuella jest genialny, jednakowoż nie można nie uznać, że teoretycy są często jednostronni, i dlatego nie należy ze wszystkim im dowierzać, lecz trzeba przysłuchiwać się i temu, co mówią przeciwnicy Pfuella, i temu, co mówią ludzie praktyczni i doświadczeni w rzeczach wojny, i z tego wszystkiego wybrać drogę pośrednią. Ludzie tej partii opowiadali się za tym, żeby zgodnie z planem Pfuella utrzymać obóz nad Dryssą, ale zmienić ruchy pozostałych armii. Choć w ten sposób nie osiągnano ani jednego celu, ani drugiego, jednak ludziom tej partii wydawało się, że tak jest lepiej.

Najwybitniejszym przedstawicielem czwartego kierunku był wielki książę, cesarzewicz-następca, który nie mógł zapomnieć zawodu, jaki go spotkał pod Austerlitz, gdzie wyjechał przed gwardię w kasku i kolecie niby na przegląd, licząc na brawurowe zgniecenie Francuzów, a tymczasem dostał się w pierwszą linię i w powszechnym zamęciu z trudem uszedł. Opinie ludzi tej partii miały zalety i wady szczerości. Bali się Napoleona, widzieli w nim siłę, a w sobie słabość – i otwarcie to mówili. Powiadali: „Nic prócz nieszczęścia, wstydu i zguby z tego wszystkiego nie wyjdzie! Oddaliśmy Wilno, oddaliśmy Witebsk, oddamy i Dryssę. Jedno najmądrzejsze, co nam pozostaje, to czym prędzej zawrzeć pokój, póki jeszcze nie wypędzono nas z Petersburga!”

Ten pogląd, bardzo rozpowszechniony w wyższych sferach wojskowych, znajdował poparcie również w Petersburgu i w osobie kanclerza Rumiancewa, który z innych racji stanu także opowiadał się za pokojem.

Piątą partię stanowili stronnicy Barciaya de Tolly, nie tyle jako człowieka, ale jako ministra wojny i wodza naczelnego. Powiadali: „Jaki on tam jest (zawsze tak zaczęli), ale to uczciwy, zdolny człowiek, nie ma nikogo lepszego niż on. Dajcie mu prawdziwą władzę, gdyż wojna nie może mieć pomyślnego przebiegu, jeśli nie ma jednolitego dowództwa, a wtedy pokaże, co może zdziałać, jak pokazał w Finlandii. Jeśli nasza armia jest zorganizowana i silna i bez żadnej porażki odstąpiła do Dryssy, zawdzięczamy to wyłącznie Barciayowi. Jeśli teraz Barciaya zastąpi Bennigsen, to wszystko stracone, albowiem Bennigsen już w roku 1807 okazał swoją niezdatność” – mówili ludzie tej partii.

Szóstą partię – bennigsenowcy, przeciwnie, powiadali, że nie ma nikogo zdatniejszego i bardziej doświadczonego niż Bennigsen, że tak czy inaczej wypadnie wrócić do niego. I ludzie tej partii dowodzili, że cały nasz odwrót do Dryssy był jak najhaniańską porażką i nieprzerwanym szeregiem błędów. „Im więcej błędów narobią, tym lepiej, przynajmniej prędzej zrozumieją, że tak dalej być nie może. A potrzebny jest nie jakiś tam Barciay, lecz taki człowiek jak Bennigsen, który już dał się poznać w roku 1807, któremu oddał sprawiedliwość sam Napoleon, i taki człowiek, którego władzę chętnie by uznawano, a takim człowiekiem jest tylko Bennigsen.”

Siódmą partię stanowiły osobistości, jakie zawsze znajdują się przy monarchach, szczególnie przy młodych, a których osobliwie dużo było przy cesarzu Aleksandrze: generałowie i fligel-adiutanci gorąco oddani monarsze nie jako cesarzowi, lecz uwielbiający go jako człowieka,

szczerze i bezinteresownie, jak w roku 1805 uwielbiał go Rostow, i widzący w nim nie tylko wszystkie cnoty, ale i wszystkie zalety ludzkie. Ci wszyscy ludzie, choć się zachwycali skromnością monarchy, który wyrzekał się dowodzenia wojskiem, jednakowoż potępiali go za tę zbytnią skromność i pragnęli jedynie tego i przy tym obstawali, by monarcha wyzbył się zbędnej niewiary w siebie i otwarcie oznajmił, że staje na czele wojska, by stworzył przy sobie główny sztab naczelnego wodza i jeśli zajdzie potrzeba, zasięgając rady doświadczonych teoretyków i praktyków, sam wiódłby swe wojska, co siłą rzeczy doprowadziłoby do najwyższego stopnia entuzjazmu.

Ósma, największa grupa, która ze względu na swą liczebność miała się do pozostałych grup jak 99 do 1, składała się z ludzi, którzy nie pragnęli ani pokoju, ani wojny, ani natarcia, ani obozu obronnego nad Dryssą czy gdzie indziej, ani Barciaya, ani monarchy, ani Pfuela, ani Bennigsena, ale którzy pragnęli tylko jednego, i to najistotniejszego: jak najwięcej dla siebie korzyści i przyjemności. W tej mętnej wodzie krzyżujących się i splątanych intryg, jakie się kłębiły przy głównej kwaterze monarchy, można było osiągnąć takie sukcesy, które kiedy indziej były nie do pomyślenia. Jeden – aby tylko nie utracić swego korzystnego stanowiska – dziś zgadza się z Pfualem, nazajutrz z jego przeciwnikami, kiedy indziej utrzymywał, że nie ma żadnego zdania co do wiadomej rzeczy – tylko po to, aby uniknąć odpowiedzialności i przypodobać się monarsze. Drugi, który pragnął osiągnąć korzyści, zwracał na siebie uwagę monarchy, głośno wołając to, o czym w przeddzień napomknął monarcha, spierał się i krzyczał na naradzie, bił się w piersi, a tych, co się z nim nie zgadzali, wyzywał na pojedynek i w ten sposób dawał dowód, iż gotów się poświęcić dla ogólnego dobra. Trzeci po prostu wypraszał dla siebie między jedną a drugą naradą i w nieobecności. Czwarty przypadkowo wpadał ciągle monarsze w oczy, niby tak był obciążony pracą. Piąty, aby osiągnąć dawno upragniony cel – obiad u monarchy, zajadłe dowodzści swoich wrogów – jednorazową zapomogę za wierną służbę, wiedział bowiem, że teraz nie będzie czasu, by mu odiał słuszności albo niesłuszności jakiejś nowej opinii i w tym celu wytaczał mniej lub więcej silne i słuszne argumenty.

Wszyscy należący do tej partii łowili ruble, krzyże, rangi, a podczas tego polowania bacznie śledzili kierunek chorągiewki monarszej łaski i gdy tylko ten rój trutniów przebywających przy armii dostrzegali, że chorągiewka obróciła się, natychmiast zaczynał dać w tę samą stronę, toteż monarsze tym trudniej było zwrócić ją w inną. W tej nieokreślonej sytuacji, wobec zagrażającego poważnego niebezpieczeństwa, które wszystkiemu nadawało szczególnie niespokojny charakter, wśród tej zawieruchy intryg, ambicji, kolizji, różnorodnych punktów widzenia i uczuć, przy różnicach narodowościowych tych wszystkich osobistości – ta ósma partia, największa, partia ludzi zajętych osobistymi interesami, tym bardziej gmatwała i zaciemniała ogólną sprawę. Jakiegokolwiek powstawało zagadnienie, a już rój nowych trutni nie odbzykawszy jeszcze poprzedniego tematu – przelatywał na nowy i swym huczeniem zagłuszał i tłumił szczerze głosy dyskusji.

Wówczas, gdy książę Andrzej przyjechał do armii, z tych wszystkich partii wyłoniła się jeszcze jedna, dziewiąta, która już zaczynała podnosić głos. Była to partia ludzi starych, rozumnych, doświadczonych w sprawach państwowych, którzy – nie podzielając żadnej ze sprzecznych opinii – umieli patrzeć z ogólniejszego punktu widzenia na wszystko, co się działo w sztabie kwatery głównej, i obmyślać sposoby wyjścia z tej nieokreślonej, niezdecydowanej gmatwaniny i słabości.

Ludzie należący do tej partii mówili i myśleli, że wszystko zło wynika przede wszystkim z obecności monarchy i jego całego wojskowego dworu przy armii, z tego, że do armii przeniesiono ową nieokreśloność, względność i pełną wahań chwiejność w stosunkach, która dogodna na dworze, jest szkodliwa w armii, że monarcha powinien panować, a nie dowodzić

wojskiem, że jedynym wyjściem z tego położenia jest odjazd monarchy i jego dworu; że samą swą obecnością monarcha paraliżuje pięćdziesiąt tysięcy wojska niezbędnego do zapewnienia jego osobistego bezpieczeństwa; że najgorszy, ale samodzielny wódz naczelny będzie lepszy od najlepszego, ale skrepowanego obecnością i władzą monarchy.

W owym czasie, kiedy książe Andrzej przebywał beczynnio w Dryssie, sekretarz stanu Szyszkow, jeden z głównych przedstawicieli tej partii, wystosował pismo do monarchy, które zgodzili się podpisać Bałaszew i Arakczew. Korzystając z danego mu przez monarchę pozwolenia na roztrząsanie ogólnego biegu spraw, Szyszkow w piśmie tym – z uszanowaniem, podając jako pretekst, iż jest rzeczą niezbędną, by monarcha wzniecał zapał wojenny wśród ludności stolicy – proponował monarsze opuszczenie wojska. Potrzeba wzniecenia powszechnego zapału w narodzie przez monarchę i wezwanie narodu do obrony ojczyzny – właśnie owego powszechnego zapału (o ile był on spowodowany obecnością monarchy w Moskwie), który stał się główną przyczyną triumfu Rosji – została przedstawiona monarsze i była przezeń przyjęta jako pretekst do opuszczenia armii.

X

Pismo to jeszcze nie zostało doręczone monarsze, kiedy Barciay oznajmił Bolkońskiemu podczas obiadu, iż monarcha życzy sobie widzieć się z księciem Andrzejem osobiście, aby wypytać go o Turcję, i że księżę Andrzej ma się stawić w kwaterze Bennigsena o szóstej wieczór.

Owego dnia kwatera monarchy otrzymała wiadomość o nowych ruchach Napoleona, które mogłyby być dla armii niebezpieczne, wiadomość, która później okazała się nieprawdziwa. Tego dnia rano pułkownik Michaud objeżdżał z monarchą umocnienia nad Dryssą i dowodził mu, że ów warowny obóz, urządzony przez Pfuela i uważany dotychczas za *chef-d'oeuvre*³⁸ taktyki, mającej doprowadzić Napoleona do zguby, jest nonsensem i zgubą dla rosyjskiej armii.

Księżę Andrzej przyjechał do kwatery generała Bennigsena, który zajmował nieduży dwór ziemiański na samym brzegu rzeki. Nie było tu ani Bennigsena, ani monarchy;

Bolkońskiego przyjął Czernyszew, fligiel-adiutant monarchy, i oznajmił mu, że monarcha wraz z generałem Bennig-senem i markizem Pauluc po raz drugi tego dnia pojechał obejrzeć umocnienia obozu drysskiego, o którego przydatności mocno zaczynało wątpić.

Czernyszew z francuską powieścią w ręku siedział przy oknie w pierwszym pokoju. Prawdopodobnie ten pokój był przedtem salonem, stał tu jeszcze klawikord zarzucony jakimiś dywanami, a w kącie znajdowało się łóżko polowe adiutanta Bennigsena. Ów adiutant był tu. Widocznie zmęczony zabawą, a może służbą, siedział na zmiętej pościeli i drzemał. Z sali prowadziło dwoje drzwi: jedno prosto do dawnej bawialni, drugie, na prawo, do gabinetu. Spoza pierwszych drzwi dochodziły słowa niemieckie i od czasu do czasu francuskie. Tam, w tej dawnej bawialni, na życzenie monarchy zebrała się nie rada wojenna (monarcha lubił nieokreśloność), lecz po prostu pewne osobistości, których zdanie o przewidywanych trudnościach monarcha pragnął poznać. To nie była rada wojenna, lecz jak gdyby rada wybrańców, zgromadzonych po to, by osobiście wyjaśnili monarsze pewne sprawy. Na tę półnaradę zostali zaproszeni: szwedzki generał Armfelt, generał-adiutant Wol-zogen, Wintzingerode, którego Napoleon nazywał zbiegłym obywatelem francuskim, Michaud, Toll, człowiek bynajmniej nie wojskowy – hrabia Stein i wreszcie sam Pfuel, który, jak słyszał księżę Andrzej, był la cheville *oumiere*³⁹ całej sprawy. Księżę Andrzej miał okazję dobrze mu się przyjrzeć, albowiem Pfuel przyjechał zaraz po nim, wszedł do salonu i przez chwilę rozmawiał z Czernyszewem.

Na pierwszy rzut oka Pfuel – w źle uszytym rosyjskim mundurze generalskim, który leżał na nim niezgrabnie, niby na przebierańcu – wydał się księciu Andrzejowi jak gdyby znajomy, choć nigdy go nie widział. Miał w sobie coś z Weihrothera i Macka, i Schmidta, i wielu innych niemieckich generałów-teoretyków, których księżę Andrzej miał sposobność widzieć w roku 1805; lecz był bardziej typowy niż inni. Księżę Andrzej jeszcze nigdy nie widział takiego

³⁸ Arcydzielo.

³⁹ Sprężyna.

Niemca-teoretyka skupiającego w sobie wszystko, co mieli w sobie tamci Niemcy.

Pfuel był niewysokiego wzrostu, bardzo chudy, lecz grubej kości, budowy pospolitej, mocnej, o szerokich biodrach i wystających łopatkach. Twarz miał bardzo pomarszczoną, oczy osadzone głęboko. Z przodu na skroniach włosy miał widocznie w pośpiechu przyczesane szczotką, ale z tyłu sterczały naiwnie niby pędzelki. Wszedł do pokoju rozglądając się niespokojnie i gniewnie, jak gdyby wszystkiego się bał w tym dużym pokoju, do którego wszedł. Przytrzymując szpadę, niezręcznym ruchem zwrócił się do Czernyszewa i zapytał po niemiecku, gdzie cesarz. Widać było, że chciałby jak najprędzej przejść przez pokoje, skończyć z ukłonami i powitaniem i zasiać do roboty przy mapie, gdzie czuł się na właściwym miejscu. Spiesznie kiwał głową na słowa Czernyszewa i uśmiechał się ironicznie słuchając jego słów o tym, że monarcha ogląda umocnienia, które on sam, Pfuel, zbudował wedle swej teorii. Ostro, basem, jak mówią zarozumiali Niemcy, burknął coś do siebie: „Dummkopf...” czy też: „Zu Grunde die game Geschichte...”, czy też: „s'wird was gescheites d'raus werden...” Książę Andrzej nie dosłyszał i chciał przejść, ale Czernyszew poznał księcia Andrzeja z Pfuelem, dodając, że książę Andrzej przyjechał z Turcji, gdzie tak szczęśliwie wojna została zakończona. Pfuel ledwie spojrzał nie tyle na księcia Andrzeja, ile poprzez niego, i rzekł śmiejąc się: „*Das muss ein schoner taktischer Krieg gewesen sein!*”⁴⁰ I, roześmiewszy się pogardliwie, wszedł do pokoju, z którego dochodziły głosy.

Widać Pfuel, już i tak zawsze skłonny do ironizującego rozdrażnienia, dziś szczególnie był podniecony tym, iż ośmielono się bez niego oglądać jego obóz i wyrażać o nim sąd. Po tym krótkim spotkaniu się z Pfuelem i dzięki swym wspomnieniom spod Austerlitz książę Andrzej wytworzył sobie jasną charakterystykę tego człowieka. Pfuel był jednym z tych beznadziejnie, niezmiennie, aż męczeńsko zarozumiałych ludzi, jakimi bywają tylko Niemcy, a dlatego właśnie, że tylko Niemcy nabierają takiej zarozumiałości na podstawie abstrakcyjnej idei-nauki, czyli domniemanej znajomości doskonałej prawdy. Francuz bywa zarozumiały dlatego, że osobiście uważa się za człowieka nieodparcie pociągającego, umysłowo i cieleśnie, zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Anglik jest zarozumiały na tej podstawie, że jest obywatelem państwa najlepiej na świecie zorganizowanego, że jako Anglik zawsze wie, co powinien czynić, że wie, iż wszystko, co robi jako Anglik, jest bezwzględnie dobre. Włoch jest zarozumiały dlatego, że się wzruszył, i łatwo zapomina i o sobie, i o innych. Rosjanin jest zarozumiały właśnie dlatego, że nie wie i wiedzieć nie chce, ponieważ nie wierzy, iż cokolwiek można poznać w zupełności. Niemiec jest zarozumiały najbardziej ze wszystkich i najuporczywiej, a inaczej niż wszyscy, albowiem wyobraża sobie, że zna prawdę, naukę, którą sam wymyślił, a która jest dla niego absolutną prawdą. Taki najwidoczniej był Pfuel. Miał własną naukę-teorię okrażającego ruchu, którą wydedukował z historii wojen Fryderyka Wielkiego, a wszystko, z czym się spotykał w nowszej historii wojen, wydawało mu się nonsensem, barbarzyństwem, beładnym starciem, w którym obie strony popełniły tyle błędów, że te wojny nie mogły być nazywane wojnami: nie odpowiadały teorii i nie mogły być przedmiotem nauki.

W roku 1806 Pfuel był jednym z twórców planu kampanii, która się zakończyła Jena i Auerstaedtem, wszelako w wyniku tej wojny nie widział najmniejszego nawet dowodu niesłuszności swej teorii. Przeciwnie, odstępstwa od tej teorii były, jego zdaniem, jedyną przyczyną całego niepowodzenia, przeto z właściwą sobie radosną ironią powiadał: „*Ich, sagte ja, dass die game Geschichte zum Teufel gehen wurde.*”⁴¹ Pfuel był jednym z tych teoretyków, którzy tak kochają swą teorię, iż zapominają o celu teorii – o zastosowaniu jej w praktyce, z

⁴⁰ Głupiec... na nic cała historia... nic mądrego z tego nie będzie... Musiała to być ładna taktyczna wojna!

⁴¹ Przecież mówię, że wszystko diabli wezmą.

miłości do teorii nienawidził wszelkiej praktyki i nie chciał o niej wiedzieć. Nawet cieszył się z niepowodzenia, dlatego że niepowodzenie, które wynikało z odstępstwa w praktyce od teorii, dowodziło tylko słuszności jego teorii.

Zamienił kilka słów z księciem Andrzejem i Czernyszewem obecnej wojnie, a miał przy tym minę człowieka, który zawczasu wie, że będzie kiepsko, i nawet nie jest z tego niezadowolony. Sterczące z tyłu głowy nie uczesane pędzelki włosów, pośpiesznie przyczesane na skroniach, świadczyły o tym wymownie.

Wszedł do sąsiedniego pokoju i zaraz dobiegły stamtąd basowe i mrukliwe dźwięki jego głosu.

XI

Książę Andrzej nie zdążył jeszcze odprowadzić wzrokiem Pfuela, kiedy do pokoju wszedł spiesznie hrabia Bennigsen, który nie zatrzymując się skinął głową Bołkońskiemu i skierował się do gabinetu wydając adiutantowi jakieś rozkazy. Cesarz jechał za nim, Bennigsen wyprzedził go, aby coś niecoś przygotować i zdążyć go przywitać. Czernyszew i książę Andrzej wyszli na ganek. Zsiadający z konia monarcha miał wygląd zmęczony. Markiz Paulucci mówił coś do mego. Skłoniwszy głowę w lewo cesarz z niezadowoloną miną słuchał Paulucciego, który mówił coś osobliwie gorąco. Monarcha ruszył naprzód, widocznie pragnąc skończyć rozmowę, wszelako rozpalony i wzburzony Włoch zapomniał o przyzwoitości, szedł za nim i ciągle mówił.

– *Quant a celui, qui a conseille ce camp, le camp de Drissa* – mówił Paulucci, kiedy monarcha wchodząc na stopnie zauważył księcia Andrzeja i wpatrywał się w nieznaną twarz.

– *Quant a celui, sire* – ciągnął Paulucci rozpaczliwie, jakby nie miał siły się powstrzymać – *qui a conseille le camp de Drissa, je ne vois pas d'autre alternative que la maison jaune ou le gibet.*⁴² – Monarcha już nie słuchał Wiocha i nie chciał słuchać, bo gdy poznał Bołkońskiego, zwrócił się do niego łaskawie:

Bardzo rad, że cię widzę, wejdź tam, gdzie się wszyscy zebrali, i poczekaj na mnie. – Monarcha wszedł do gabinetu. Za nim poszedł książę Piotr Michajłowicz Wołkoński i baron Stein. Drzwi za nimi zamknęły się. Korzystając z pozwolenia monarchy książę Andrzej wraz z Pauluccim, którego znał z Turcji, wszedł do bawialni, gdzie zebrała się rada.

Książę Piotr Michajłowicz Wołkoński pełnił funkcję jak gdyby szefa sztabu monarchy. Wołkoński wyszedłszy z gabinetu przeniósł do bawialni mapy, rozłożył je na stole i przedstawił zagadnienia, co do których pragnął usłyszeć zdanie zebranych panów. Rzeczą polegała na tym, że w nocy otrzymano wiadomość (która później okazała się fałszywa), jakoby Francuzi zaczęli okrążać obóz nad Dryssą.

Pierwszy zabrał głos generał Armfelt, znienacka, aby ominąć następczą się trudności, zaproponował całkiem nową, niczym (wyjąwszy jego chęć pokazania, że on również może mieć własne zdanie) nie usprawiedliwioną pozycję na uboczu od traktu petersburskiego i moskiewskiego, gdzie armia powinna była, jego zdaniem, połączyć się i oczekiwać nieprzyjaciela. Było rzeczą widoczną, że Armfelt już dawno wykoncypował ten plan, a wyłożył go obecnie nie tyle, by odpowiedzieć na przedstawione pytania, na które ów plan bynajmniej nie dawał odpowiedzi, ile – by skorzystać z okazji i przedstawić go. Była to jedna z milionów propozycji, które by można przedstawiać równie przekonywająco, jak inne, nie mając pojęcia, jaki obrót weźmie wojna. Jedni zwalczali jego projekt, inni zaś bronili go. Miody pułkownik Toll zapalczywiej niż inni podawał w wątpliwość zdanie szwedzkiego generała i podczas dyskusji wydobył z bocznej kieszeni zapisany zeszyt i prosił o pozwolenie odczytania jego treści. W obszernym memoriale Toll proponował zupełnie inny plan kampanii – całkowicie sprzeczny z planem Armfelta i z planem Pfuela. Paulucci przeciwstawił się Tollowi i zaproponował plan

⁴² Co się tyczy tego, kto radził obóz drysski... co się tyczy jego, najjaśniejszy panie, to moim zdaniem, należy mu się albo złoty dom, albo stryczek.

posunięcia się naprzód i atakowania, albowiem, wedle jego słów, tylko to mogło nas wyprowadzić z niepewności i z potrzasku (tak nazywał obóz nad Dryssą), w którym znajdowaliśmy się. Podczas tej dyskusji Pfuel i jego tłumacz Wolzogen (jego pomost w stosunkach z dworem) milczeli. Pfuel tylko prychał pogardliwie i odwracał się, dając w ten sposób do zrozumienia, że nigdy się nie poniży do polemizowania z taką bzdurą, jaką teraz słyszy. Wszelako kiedy ksiązę Wołkoński, który kierował dyskusją, wezwał go, by wypowiedział swoje zdanie, rzekł tylko:

– Po cóż mnie pytać? Generał Armfelt zaproponował wspaniałą pozycję z odsłoniętymi tyłami. Albo atak *von diesem italienischen Herm, sehr schon*. Albo odwrót. *Auch gut*.⁴³ Po cóż mnie pytać? – rzekł. – Przecież sami wiecie wszystko lepiej ode mnie. – Jednakowoż kiedy Wołkoński, zaszepiony, powiedział, że pyta go o zdanie w imieniu monarchy, Pfuel wstał i, ożywiwszy się z nagłą, jął mówić:

Wszystkoście zepsuli, wszystko poplątali, wszyscy chcieliście wiedzieć lepiej ode mnie, a teraz przyszlście do ronię. Jak naprawić? Nie ma co naprawiać. Trzeba wszystko ściśle wykonywać wedle zasad, które wyłożyłem – mówił uderzając w stół kościstymi palcami. – W czym jest trudność? Głupstwo, Kinderspiel⁴⁴. – Podeszedł do mapy i stukając w nią chudym palcem jął mówić szybko i dowodzić, że żaden przypadek nie może zmienić celowości obozu nad Dryssą, że wszystko zostało przewidziane, i jeśli nieprzyjaciel rzeczywiście zacznie okrażać, to nieprzyjaciel niechybnie powinien być zniesiony.

Paulucci nie rozumiejąc po niemiecku jął zadawać mu pytania po francusku. Wolzogen przyszedł z pomocą swemu pryncypałowi, który kiepsko mówił po francusku, i jął tłumaczyć jego słowa, ledwie nadążając za Pfualem, który pośpiesznie dowodził, że wszystko, absolutnie wszystko, i to nie tylko to, co się zdarzyło, ale i wszystko, co się mogło zdarzyć, wszystko w jego planie było przewidziane, a jeśli teraz są trudności, to wszelka wina wynika stąd, że niedokładnie wszystko zostało wypełnione. Bez przerwy uśmiechał się ironicznie, dowodził i wreszcie z pogardą przestał dowodzić, jak matematyk przestaje sprawdzać różnymi sposobami już udowodnioną prawdziwość zadania. Wolzogen zastąpił go, nadal po francusku wykladał jego myśli i od czasu do czasu zwracał się do Pfuela: „*Nicht wahr, Excelenz?*”⁴⁵ Pfuel, jak człowiek, który rozgorączkowany w boju strzela do swoich, krzychał gniewnie i na Wolzogena: *Nun ja, was soli denn da noch expliziert werden?*⁴⁶ – Paulucci i Michaud dwugłosem po francusku atakowali Wolzogena. Armfelt po niemiecku zwracał się do Pfuela. Toll po rosyjsku tłumaczył księciu Wołkońskiemu. Ksiązę Andrzej milczał i obserwował. Ze wszystkich tych osobistości największą sympatię budził w księciu Andrzeju rozzłoszczony, stanowczy i niedorzecznie pewny siebie Pfuel. Ze wszystkich tu obecnych on jeden najwidoczniej niczego nie pragnął dla siebie, do nikogo nie żywił wrogości, a pragnął tylko jednego – wcielenia w życie planu, który opracował wedle teorii, do jakiej doszedł w ciągu lat pracy. Był śmieszny, był niemiły przez swą ironię, wszelako budził mimowolny szacunek swym bezgranicznym oddaniem idei. Poza tym wypowiedzi wszystkich, wyjąwszy wypowiedź Pfuela, miały wspólną cechę, której nie było na radzie wojennej w roku 1805 – był to paniczny obecnie, choć ukrywany strach przed geniuszem Napoleona, strach, który się przejawiał w każdym sprzeciwie. Uważano, że dla Napoleona wszystko jest możliwe, spodziewano się go z każdej strony, jego strasznym imieniem niweczono wszelkie propozycje. Wydawało się, że tylko jeden Pfuel uważa Napoleona za takiego samego barbarzyńcę jak i wszystkich przeciwników swej teorii. Jednakowoż oprócz szacunku Pfuel

⁴³ Tego włoskiego pana, bardzo pięknie... Także dobrze.

⁴⁴ Dziecinna zabawa.

⁴⁵ Nieprawdaż, ekscelencjo?

⁴⁶ No tak, cóż tu jeszcze tłumaczyć?

wzbudzał w księciu Andrzeju uczucie litości.

Z tonu, jakim się do niego zwracali dworzanie, z tego, co Paulucci pozwolił sobie powiedzieć cesarzowi, a przede wszystkim z pewnej desperacji zwrotów samego Pfuela widać było, że inni wiedzieli, a on sam czuł, iż jego upadek jest bliski. I mimo swą zarozumiałość i niemiecką burkliwą ironię był żalony z tymi włosami przyglądzonymi na skroniach, a na potylicy sterczącymi jak pędzelki. Choć to ukrywał pod maską rozdrażnienia i pogardy, widać było, że jest w rozpacz, że wymyka mu się teraz jedyna okazja sprawdzenia w olbrzymim eksperymencie swej teorii i udowodnienia całemu światu jej słuszności.

Debata przeciągała się, a im dłużej trwała, tym spory stawały się bardziej zażarte, dochodziło do krzyków i osobistych wycieczek, tym trudniej było wyciągnąć jakieś ogólne wnioski ze wszystkiego, co zostało powiedziane. Słuchając tego różnojęzycznego zgłębku i tych propozycji, planów, zaprzeczeń i krzyków, książę Andrzej tylko dziwił się temu, co wszyscy mówili. Myśli, które dawno i często nawiedzały go podczas jego działalności wojskowej, że nie ma i nie może być żadnej nauki o wojnie i że przeto niemożliwe jest istnienie tak zwanego wojennego geniuszu, stały się obecnie prawdą oczywistą. „Jakaż mogła być teoria i nauka o rzeczy, której warunki i okoliczności są nieznane i nie mogą być zdefiniowane, w której siła działaczy wojskowych tym bardziej nie może być określona? Nikt nie mógł i nie może wiedzieć, w jakim położeniu będzie nazajutrz nasza armia i armia nieprzyjacielska, i nikt nic nie może wiedzieć o sile tego czy innego oddziału. Czasem, kiedy w pierwszej linii nie ma tchórza, który krzyknie: Jesteśmy odcięci!», i ucieknie, lecz jest człowiek śmiały i wesoły, który zawoła: Hura!», – pięciotysięczny oddział wart jest tyle, ile trzydziestoty-sięczny, jak pod Schongraben, a czasami pięćdziesiąt tysięcy ucieka przed ośmioma tysiącami, jak było pod Austerlitz. Jakaż może być nauka o rzeczy, w której, jak w każdej praktycznej sprawie, nic nie może być określone, lecz wszystko zależy od niezliczonych warunków, których znaczenie precyzuje się w jednej chwili, a nikt nie wie, kiedy ta chwila nastąpi. Armfelt powiada, że nasza armia jest odcięta, Paulucci zaś powiada, żeśmy wzięli armię francuską w dwa ognie, Michaud powiada, że niedogodność obozu nad Dryssą polega na tym, iż rzeka znajduje się z tyłu, a Pfuel powiada, że to stanowi jego siłę. Toll proponuje jeden plan, Armfelt proponuje inny, a wszystkie są dobre i wszystkie złe, korzyści zaś każdej propozycji staną się widoczne dopiero w chwili, kiedy rzecz się dokona. I czemu wszyscy mówią: geniusz wojenny? Czyż geniuszem jest człowiek, który potrafi kazać w porę dostarczyć suchary, temu iść na prawo, a tamtemu na lewo? Tylko dlatego nazywa się ich geniuszami, że wojskowi są wyposażeni w sławę i władzę, a masy niegodziwców pochlebiają władzy i niewłaściwie przydają jej cechy genialności. Tymczasem zaś najlepsi generałowie, jakich znałem, to ludzie głupi albo roztargnieni. Najlepszy jest Bagration, sam Napoleon to przyznał. A sam Bonaparte! Pamiętam jego zadowoloną z siebie a ograniczoną twarz na polu pod Austerlitz. Dobry dowódca nie musi odznaczać się geniuszem, ani żadnymi szczególnymi zaletami, przeciwnie, powinien być pozbawiony wyższych, najlepszych cech ludzkich: miłości, poezji, delikatności, filozoficznego, dociekliwego wątpienia. Powinien być ograniczony, przekonany, że to, co robi, jest nader ważne (inaczej nie starczy mu cierpliwości), i dopiero wówczas może być dzielnym dowódcą. Uchowaj Boże, żeby był człowiekiem, pokochał kogoś, ulitował się, zastanawiał się nad tym, co jest sprawiedliwe, a co niesprawiedliwe. Rzecz jasna, iż w dawnych już czasach dorabiano im teorię geniuszu, ponieważ oni są – władzą. Tymczasem sukces w rzeczy wojennej zależy nie od nich, ale od człowieka, który w pierwszym szeregu krzyknie: Zginęliśmy!», albo krzyknie: Hura!», I tylko w szeregach można służyć z przeświadczeniem, że się jest pożytecznym!”

Tak rozmyślał książę Andrzej słuchając tej debaty. Ocknął się dopiero wówczas, gdy Paulucci go zawołał i gdy wszyscy się już rozchodzili.

Nazajutrz podczas przeglądu monarcha zapytał księcia Andrzeja, gdzie pragnie służyć. I księżę Andrzej na zawsze pogrzebał się w opinii dworskiego świata, albowiem nie prosił o pozostawienie go przy osobie monarchy, lecz o pozwolenie służenia w armii.

XII

Przed rozpoczęciem kampanii Rostow otrzymał list od rodziców, którzy zawiadomili go krótko o chorobie Nataszy i o jej zerwaniu z księciem Andrzejem (zerwanie to tłumaczyli mu odmową Nataszy) – i znowu prosili go, by podał się do dymisji i wrócił do domu. Kiedy Mikołaj otrzymał ten list, nawet się nie starał o urlop lub o dymisję, lecz napisał do rodziców, że bardzo mu przykro z powodu choroby Nataszy i jej zerwania z narzeczonym i że zrobi wszystko, aby spełnić ich życzenie. Do Soni napisał osobno.

Uwielbiana przyjaciółko mej duszy – pisał. – Mc prócz honoru nie mogłoby mnie powstrzymać od powrotu na wieś. Wszelako obecnie, kiedy się zanosi na wojnę, uważałbym się za człowieka pozbawionego honoru – nie tylko wobec towarzyszy, ale i wobec siebie – gdybym postawił wyżej swe osobiste szczęście niż obowiązek względem ojczyzny i miłość do niej. Lecz to ostatnia rozłąka. Wierzaj mi, że zaraz po wojnie, jeśli pozostanę przy życiu i nadal będziesz mnie kochała, rzucę wszystko i przylecę do Ciebie, by Cię przycisnąć już na zawsze do mej płomiennej piersi.

Istotnie, tylko rozpoczęcie się kampanii zatrzymało Rostowa i przeszkodziło mu przyjechać – jak obiecał – i ożenić się z Sonią. Jesień w Otradnem, polowania i zima z zapustami i miłością Soni odsłoniły przed nim perspektywę spokojnych uciech ziemiańskiego życia i spokoju, którego przedtem nie znał, a który obecnie go nęcił. „Miła żona, dzieci, smycz dobrych ogarów, z dziesięć, dwanaście sfor dzielnych chartów, gospodarstwo, sąsiedzi, godności z wyboru!” – rozmyślał. Ale teraz była wojna i trzeba było zostać w pułku. A ponieważ tak było trzeba, przeto dzięki swemu charakterowi Mikołaj Rostow był zadowolony z tego życia jakie prowadził w pułku, i potrafił to życie uczynić przyjemnym.

Po powrocie z urlopu Mikołaj, którego koledzy powitali z radością, został wysłany do Małorosji po remonty i sprowadził stamtąd wspaniałe konie, którymi się cieszył i które zyskały dla niego pochwałę od zwierzchności. Podczas swej nieobecności otrzymał nominację na rotmistrza, a teraz, kiedy pułk przestawiono na stopę wojenną i uzupełniono, on, Mikołaj, znów dostał swój dawny szwadron.

Rozpoczęła się kampania, pułk ruszył do Polski, wypłacono podwójny żołd, zjawili się nowi oficerowie, nowi ludzie, konie, a co ważniejsze – zapanował nastrój wesołego podniecenia, jaki zawsze towarzyszy początkowi wojny. Wtedy Rostow zdając sobie sprawę ze swej korzystnej sytuacji w pułku, całkowicie się oddał przyjemnościom i obowiązkom służby wojskowej, choć wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał ją porzucić.

Wojska cofnęły się za Wilno wskutek różnych skomplikowanych okoliczności państwowych, politycznych i taktycznych.

Każdemu krokowi odwrotu towarzyszyła zawiła gra interesów, konkluzji i namiętności w sztabie głównym. Wszelako dla huzarów Pawłogradzkiego pułku owa rejterada w najlepszej

porze lata i przy dostatku prowiantów była rzeczą prostą i wesołą. Martwić się, niepokoić, intrygować można tylko w kwaterze głównej, w jądrze armii nikt nie dociekał, dokąd się idzie i po co. Jeśli się martwiono, że trzeba się cofnąć, to tylko dlatego, że wypadało opuścić kwaterę, do której się przywykło, i ładniutką pannę. Jeśli nawet komuś przyszło do głowy, że sprawa przedstawia się kiepsko, to jak przystało dobremu wojakowi – starał się być wesoły i nie myśleć o ogólnym biegu spraw, tylko o swych sprawach osobistych. Z początku byli zadowoleni z postoju pod Wilnem, zawierali znajomości z polskimi ziemianami, oczekiwali przeglądów dokonywanych przez monarchę i innych wyższych dowódców. Potem przyszedł rozkaz wycofania się do Świącian i zniszczenia prowiantu, którego nie można było zabrać. Świąciany upamiętniły się huzarom tylko dlatego, że był to pijany obóz – tak nazwała armia postój pod Świącianami i że było wiele skarg na wojsko za to, że korzystając z rozkazu rekwirowania prowiantu zaliczali do prowiantu i zabierali polskim panom konie, powozy i dywany. Rostow dlatego pamiętał Świąciany, że w dniu wkroczenia do tego miasteczka usunął wachmistrza i nie mógł poradzić sobie z pijanymi huzarami swego szwadronu, którzy bez jego wiedzy zabrali pięć beczek starego wina. Od Świącian cofano się coraz dalej, aż do Dryssy, a potem znów odstąpiono od Dryssy i już zbliżano się do granic Rosji.

13 lipca pułk Pawłogradzki po raz pierwszy brał udział w poważnej akcji.

12 lipca, w wigilię bitwy, zerwała się w nocy gwałtowna burza z deszczem i gradem. Lato 1812 roku odznaczało się burzami.

Dwa szwadrony Pawłogradzkiego pułku biwakowały na polu już wykłoszonego żyta, do cna wydeptanego przez bydło i konie. Deszcz lał jak z cebra; Rostow wraz z młodym oficerem Ilinem, którym się opiekował, siedział w skleconym naprędce szałasie. Do Rostowa wstąpił oficer z ich pułku, z długimi wąsami, zwisającymi z policzków, w drodze powrotnej ze sztabu, dokąd jeździł, zaskoczył go deszcz.

– Wracam ze sztabu, panie hrabio. Słyszał pan o sukcesie Rajewskiego? – i oficer opowiedział szczegóły bitwy pod Sałtanami, których dowiedział się w sztabie.

Rostow kuląc szyję, na którą ściekała mu woda, palił fajkę i słuchał nieuważnie, spoglądając od czasu do czasu na młodego oficera Ilina, który siedział skulony obok niego. Oficer ten, szesnastoletni chłopak, niedawno wstąpił do pułku i był teraz wobec Mikołaja tym, czym Mikołaj był wobec Denisowa siedem lat temu. Ilin starał się we wszystkim naśladować Rostowa i był w nim zakochany jak kobieta.

Oficer z sutym wąsem, Zdrzyński, opowiadał pompatycznie, że sałtanowska grobla była rosyjskimi Termopilami, że na tej grobli generał Rajewski dokonał dzieła godnego starożytności. Zdrzyński opowiadał, że Rajewski wyprowadził na groblę swych dwóch synów pod straszny ostrzał i wraz z nimi ruszył do ataku. Rostow słuchał opowiadania i nie tylko nic nie mówił, co by potwierdzało entuzjazm Zdrzyńskiego, ale przeciwnie, miał nawet minę człowieka, który się wstydzi tego, co mu opowiadają, choć nie ma zamiaru protestować. Po bitwie pod Austerliz w roku 1807 Rostow wiedział z własnego doświadczenia, że opowiadając zdarzenia wojenne zawsze się kłamię, jak i on kłamał, kiedy opowiadał, poza tym miał już tyle doświadczenia, że wiedział, iż na wojnie wszystko dzieje się nie tak, jak sobie wyobrażamy i opowiadamy. I dlatego opowiadanie Zdrzyńskiego nie podobało mu się, zresztą nie podobał mu się i sam wąsaty Zdrzyński, który swoim zwyczajem pochylał się nisko nad twarzą tego, któremu opowiadał, i krępował go w ciasnym szałasie. Rostow milcząc patrzył na niego. „Po pierwsze, na grobli, którą atakowano, na pewno było takie zamieszanie i taki ścisk, że jeśli nawet Rajewski wyprowadził swych synów, na nikogo nie mogło to podzielać wyjąwszy jakichś dziesięciu ludzi, którzy byli tuż obok niego – myślał Rostow – inni nie mogli wiedzieć, jak i z kim idzie Rajewski przez groblę. Poza tym i ci, którzy to widzieli, nie bardzo mogli się entuzjasmować, bo gdzie im tam

było do rodzicielskich uczuć Rajewskiego, kiedy szło o własną skórę? A zresztą, od tego, czy się zdobędzie sałtanowską grobę, czy się jej nie zdobędzie, nie zależał los ojczyzny, jak nam mówią to o Termopilach. A zatem, na cóż było ponosić taką ofiarę? I w jakim celu mieszać w tę wojnę własne dzieci? Ja bym nie tylko swego brata Pieti tam nie poprowadził, ale nawet I lina, tego obcego mi, ale dobrego chłopca postarałbym się umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu” – rozmyślał dalej Rostow słuchając Zdrzyńskiego. Jednakowoż nie wypowiedział swych myśli, i w tej materii również miał doświadczenie. Wiedział, że to opowiadanie sprzyja gloryfikacji naszego oręza, należało więc udawać, że się nie wątpi. Tak właśnie czynił.

– Och, już sił brak – rzekł Ilin zauważywszy, że Rostowowi nie podoba się gadanie Zdrzyńskiego. – I skarpety mam przemoczone, i koszulę, i nawet pode mnie podciekło. Pójdę szukać schronienia. Zdaje się, że deszczyk sfolgował. – Ilin wyszedł, a Zdrzyński odjechał.

Po pięciu minutach przybiegł do szałasów Ilin człapiąc po błocie.

– Hura! Rostow, chodź prędzej! Znalazłem! O dwieście kroków jest karczma, już tam są nasi. Osuszymy się chociaż, a i Maria Henrykowna jest tam.

Maria Henrykowna, żona pułkowego lekarza, była młodą, ładniutką Niemką, z którą doktor ożenił się w Polsce. Czy to, że doktor nie miał odpowiednich środków, czy że w pierwszym okresie małżeństwa nie chciał się rozłączać z młodą żoną, dość, że wszędzie woził ją ze sobą przy huzarskim pułku, a zazdrość doktora stała się zwykłym przedmiotem żartów wśród oficerów.

Rostow narzucił płaszcz, zawołał Ławruszkę, żeby szedł z rzeczami, i ruszył z Ilinem to klucząc po błocie, to brnąc prosto pod ustającym deszczem w ciemnościach wieczoru z rzadka rozświetlanych dalekimi błyskawicami.

– Rostow, gdzie jesteś?

– Tutaj. Ależ błyskawica! – przekrzykiwali się.

XIII

W karczmie, przed którą stała kibitka doktora, już było pięciu oficerów. Maria Henrykowna, pulchna, jasnowłosa Niemeczka, w kaftaniku i nocnym czepeczku siedziała w rogu izby na szerokiej ławie. Jej mąż, doktor spał za nią. Rostow z Ilinem weszli do izby powitani wesołymi okrzykami i śmiechem.

– Ho! Ale u was wesoło – rzekł Rostow śmiejąc się.

– Czego się gapicie?

– Dobry sobie! A to się z nich leje! Nie zamoczcicie nam salonu.

– Nie zabrudźcie sukni Marii Henrykownie – odpowiedziały głosy.

Rostow i Ilin szukali kącika, gdzie by mogli, nie obrażając skromności Marii Henrykowny, zmienić ubranie. Weszli za przepierzenie, żeby się przebrać, ale w maleńkim alkierzyku, wypełniając go całkowicie, siedziało trzech oficerów grających w karty, przy jednej świeczce, która stała na pustej skrzyni, i za nic nie chcieli ustąpić swego miejsca. Maria Henrykowna użyła tymczasem swej spódnicy, aby użyć jej zamiast firanki, i za tą firanką Rostow i Ilin przy pomocy Ławruszki, który przyniósł juki, zdjęli mokrą odzież i włożyli suchą.

Rozpalono ogień w rozwalonym piecu. Umocowali deskę na dwu siodłach, nakryli derką, wyjęli samowarek, puzdro, pół butelki rumu, a potem poprosili Marię Henrykownę, żeby spełniała obowiązki gospodyni, i wszyscy stłoczyli się dokoła niej. Jeden ofiarował jej czystą chusteczkę, żeby miała czym obcierać śliczne rączki, drugi podkładał pod nóżki węgierkę, żeby nie było wilgotno, inny zasłaniał płaszczem okno, żeby nie wiało, jeszcze inny spędzał muchy z twarzy jej męża, żeby się nie obudził.

– Proszę zostawić go w spokoju – mówiła uszczęśliwiona Maria Henrykowna uśmiechając się nieśmiało i tak śpi dobrze po bezsennej nocy.

– Ależ Mario Henrykowno – odpowiedział oficer trzeba się doktorowi przysłużyć. Może i on się nade mną ulituje, kiedy mi będzie krajał nogę albo rękę.

Były tylko trzy szklanki; woda tak była brudna, że nie sposób było stwierdzić, czy herbata jest mocna czy słaba, a samowar mieścił tylko sześć szklanek wody, ale tym przyjemniej było po kolei i według starszeństwa otrzymywać swą szklankę z rączek Marii Henrykowny – pulchnych, z krótkimi, niezupełnie czystymi paznokciami. Zdawało się, że naprawdę tego wieczora wszyscy oficerowie są zakochani w Marii Henrykownie. Nawet ci, którzy za przepierzeniem grali w karty, rzucili wkrótce grę i przyszli do samowaru ulegając ogólnemu nastrojowi umizgiwania się do Marii Henrykowny. Maria Henrykowna, widząc się otoczona tak świetną i uprzejmą młodzieżą, jaśniała szczęściem, jakkolwiek starała się to ukryć i choć najwidoczniej ogarniał ją lęka każdym razem, gdy leżący za nią mąż poruszał się we śnie.

Mieli tylko jedną łyżeczkę, cukru było więcej niż czego innego, ale nie nadążano z mieszaniem, przeto postanowiono, że Maria Henrykowna będzie każdemu po kolei mieszać cukier. Kiedy Rostow dostał swą szklankę, dolał rumu i poprosił Marię Henrykownę o zamieszanie.

– Przecie pan nie ma cukru? – rzekła, wciąż uśmiechnięta, jak gdyby wszystko, cokolwiek ona mówiła i cokolwiek mówili inni, było bardzo śmieszne i miało jeszcze inne znaczenie.

– Nie chodzi mi o cukier, ale o to, żeby pani zamieszała swą rączką.

Maria Henrykowna zgodziła się i jęła szukać łyżeczki, którą ktoś porwał.

– Paluszkciem, Mario Henrykowno – rzekł Rostow – będzie jeszcze przyjemniej.

Goście! – odrzekła Maria Henrykowna czerwieniąc się z zadowolenia.

Ilin wziął wiadro z wodą, kapnął w nie rumu i przyszedł do Marii Henrykowny prosząc, by zamieszała paluszkciem.

– To moja filiżanka – oświadczył. – Proszę panią tylko włożyć paluszek, wszystko wypiję.

Kiedy samowar opróżniono, Rostow wziął karty i zaproponował Marii Henrykownie grę w durnia. Ciągnięto losy, kto będzie partnerem Marii Henrykowny. Rostow zaproponował takie zasady, by ten, kto zostanie królem, miał prawo pocałować w rączkę Marię Henrykownę, a ten kto zostanie durniem, nastawił samowar dla doktora, kiedy się obudzi.

– A jeżeli Maria Henrykowna zostanie królem? – zapytał Ilin.

– I tak jest królową! A jej rozkazy są prawem. Gra się właśnie zaczęła, kiedy spoza Marii Henrykowny wysunęła się nagle zmierzwiona głowa doktora. Już dawno nie spał i przysłuchiwał się temu, co mówiono, i najwidoczniej nie znajdował nic wesołego, śmiesznego ani zabawnego w tym, co mówiono i robiono. Twarz miał smutną i zatroskaną. Nie przywitał się z oficerami, podrapał się i poprosił, by mu pozwolono wyjść, albowiem tarasowali przejście. Jak tylko wyszedł, wszyscy oficerowie wybuchnęli głośnym śmiechem, a Maria Henrykowna zarumieniła się aż do łez i przez to stała się w oczach oficerów jeszcze bardziej pociągająca. Kiedy doktor wrócił z dworu, powiedział żonie (która już przestała się uśmiechać tak radośnie i z lękiem patrzyła na doktora czekając wyroku), że deszcz już przestał padać i że trzeba iść na nocleg do kibitki, bo jeszcze wszystko im rozkradną.

– Ależ ja pošę ordynansa... dwóch! – rzekł Rostow. – Daj pan spokój, doktorze.

– Sam stanę na warcie! – oświadczył Ilin.

– Nie panowie, wyście się wyspali, a ja dwie noce nie spałem – odpowiedział doktor i z ponurą miną siadł obok żony czekając końca gry.

Oficerom zrobiło się jeszcze weselej, kiedy patrzyli na ponurą twarz doktora spoglądającego z ukosa na żonę, a wielu, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu, gwałtownie szukało przyzwoitych pretekstów, by to usprawiedliwić. Kiedy doktor wyszedł zabierając żonę i kiedy umieścił się z nią w kibitce, oficerowie ułożyli się w karczmie nakrywszy się mokrymi płaszczami, jednakowoż długo nie spali: to gawędzili wspominając przestrach doktora i wesołość doktorowej, to znów wybiegali na ganek i oznajmiali o tym, co działo się w kibitce. Rostow kilka razy nakrywał się wraz z głową, chciał zasnąć, ale znów czyjaś uwaga go poruszyła, znów zaczynała się rozmowa i znów rozlegał się wesoły, dziecięcy, beztroski śmiech.

XIV

Kiedy o trzeciej zjawił się wachmistrz z rozkazem wymarszu do Ostrowna, nikt jeszcze nie spał.

Ciągle rozmawiając i śmiejąc się oficerowie jęli pośpiesznie się zbierać; znów nastawili samowar z brudną wodą. Rostow, nie czekając na herbatę, poszedł do szwadronu. Świtało, deszczyk ustał, chmury ustępowały. Było wilgotno i chłodno, szczególnie w niedosuszonym ubraniu. Kiedy Rostow i Ilin wychodzili z karczmy, w mroku świtania zajrzeli do połyskującej od deszczu skórzaney kibitki doktora: spod fartucha sterczały nogi doktora, a w środku kibitki widać było na poduszce czepeczek doktorowej i słycać było senny oddech.

– Doprawdy, ona jest bardzo miła! – rzekł Rostow do Ilina, który wychodził razem z nim.

– Wspaniała kobieta! – odpowiedział Ilin z powagą szesnastolatka.

Po upływie pół godziny uformowany szwadron stał na drodze. Rozległa się komenda: „Na koń!” Żołnierze przeżegnali się i jęli dosiadać koni. Rostow wyjechał na czoło, zakomenderował: „Marsz!”, i huzarzy czwórkami, wśród dźwięcznego kłaskania kopyt po mokrej drodze, brzęku szabel i cichych rozmów, ruszyli szosą obsadzoną brzozami podążając za idącą przodem piechotą i baterią.

Wiatr gnał chmury – postrzępione, granatowo-fioletowe, czerwieniejące na wschodzie. Rozwidniało się coraz bardziej. Już wyraźnie było widać kędzierzawą trawkę, która zawsze obsiada drogi polne, jeszcze mokrą od wczorajszego deszczu; wiatr chwiał zwisającymi gałęziami brzóz, również mokrymi i rozpryskującymi na boki jasne krople. Coraz wyraźniejsze stawały się twarze żołnierzy. Rostow z nie odstępującym go Ilinem jechał skrajem drogi, między podwójnym rzędem brzóz.

Podczas kampanii Rostow pozwalał sobie jeździć nie na koniu huzarskim, ale na kozackim. Jako znawca i myśliwy, kupił sobie niedawno rączego dończyka, dużego dobrego kasztanka, którego żaden koń nie przegonił. Jazda na tym koniu sprawiała Rostowowi rozkosz. Myślał o koniu, o ranku, o doktorowej, ale ani razu nie pomyślał o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Dawniej idąc w bój Rostow bał się; obecnie zaś nie doznawał nawet najmniejszego uczucia strachu. Nie dlatego się nie bał, że przywykł do ognia (do niebezpieczeństwa nie można się przyzwyczaić), lecz dlatego że nauczył się kierować swą duszą w obliczu niebezpieczeństwa. Przywykł idąc w bój myśleć o wszystkim, z wyjątkiem tego, co, zdawałoby się, było najbardziej zajmujące – o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Choć w pierwszym okresie służby bardzo się starał, choć wyrzucał sobie tchórzostwo, nie mógł tego osiągnąć; wszelako z latami przyszło to samo. Jechał teraz obok Ilina między brzozami, od czasu do czasu zrywał listki z gałęzi, które mu się nawijały pod rękę, czasami dotykał nogą pachwiny konia, czasami, nie odwracając się, podawał wypaloną fajkę jadącemu z tyłu huzarowi, a wszystko to z tak spokojną i niefrasobliwą miną, jakby jechał na spacer. Przykro mu było patrzeć na wzburzoną twarz Ilina, który mówił dużo i niespokojnie, znał z doświadczenia ten męczący stan oczekiwania, lęku i śmierci, w jakim znajdował się kometa, i wiedział, że nic, prócz czasu, nie może mu pomóc.

Jak tylko słońce ukazało się spod chmury na czystym paśmie, wiatr ucichł, jakby nie śmiał

psuć tego wspaniałego po burzy letniego poranka; krople jeszcze padały, ale już pionowo – i wszystko przycichło. Słońce wzeszło, pokazało się na horyzoncie i znikło w wąskiej i długiej chmurze, która nad nim stała. Po kilku minutach, rozdzierając brzegi chmury, ukazało się jeszcze jaśniejsze u górnego jej krańca. Wszystko pojaśniało i rozblęzło. I jednocześnie z tym blaskiem, jak gdyby mu odpowiadając, rozległy się z przodu strzały armatnie.

Zanim Rostow zdołał zastanowić się i określić, z jak daleka niosą się te strzały, od strony Witebska przycwałował adiutant hrabiego Ostermanna-Tołstoja – z rozkazem posuwania się drogą kłusem.

Szwadron minął piechotę i baterię, która również przyśpieszyła marszu, zjechał z góry, przejechał przez jakąś opustoszałą wieś i znów wspiał się pod górę. Na koniach jęła występować piana, ludzie poczerwienieli.

– Stój, równaj! – rozległa się na przedzie komenda dowódcy dywizjonu.

– Na prawo zachodź, naprzód marsz! – zakomenderowano na przedzie.

Wzdłuż linii wojsk huzarzy przeszli na lewe skrzydło i stanęli za naszymi ułanami znajdującymi się w pierwszej linii. Z prawej strony stała gęsta kolumna naszej piechoty – była to rezerwa, ponad nią, na górze – w przeczystym powietrzu, w porannym, skośnym, jasnym świetle, na samym widnokręgu – widać było nasze działa. Z przodu, za parowem, widać było nieprzyjacielskie kolumny i działa. Już było słycać, jak w parowie nasza tyraliera szła w bój, raźnie wymieniając strzały z nieprzyjacielem.

Od tych dawno już nie słyszanych dźwięków Rostowowi zrobiło się wesoło na duszy, jak od dźwięków najweselszej muzyki. Trap-ta-ta-tap! – klaskało to razem, to znów szybko jeden po drugim kilka wystrzałów. Znów wszystko umilkło i znów jak gdyby trzaskały pukawki, po których ktoś chodził.

Huzarzy z godzinę stali na miejscu. Zaczęła się kanonada. Z tyłu szwadronu przejechał wraz ze swiątą hrabia Ostermann, zatrzymał się, porozmawiał z dowódcą pułku i odjechał w górę do dział.

Zaraz po odjeździe Ostermanna wśród ułanów rozległa się komenda: „Kolumną do ataku marsz!!” Piechota stojąca na przedzie zdwoiła plutony, aby przepuścić kawalerię. Z chwiejącymi się chorągiewkami lanc ułani ruszyli kłusem pod górę na francuską kawalerię, która się ukazała z lewej strony u góry.

Jak tylko ułani zjechali z góry, rozkazano huzarom ruszyć pod górę, aby osłonili baterię. Kiedy huzarzy zajmowali miejsce ułanów z tyraliery poleciały z gwizdem i świstem dalekie, niecelne kule.

Ten dawno nie słyszany dźwięk podziałał na Rostowa jeszcze bardziej rozweselające i podniecające niż poprzednie odgłosy strzelaniny. Wyprostowawszy się, przyglądał się polu bitwy odsłaniającemu się z góry i całą duszą brał udział w ruchach ułanów. Ułani spadli na francuskich dragonów, coś się tam w dymie splotało, a po pięciu minutach ułani pognali z powrotem, ale nie na to samo miejsce, gdzie stali, lecz bardziej w lewo. Wśród pomarańczowych ułanów na kasztanowatych koniach i za nimi widać było liczną gromadę niebieskich dragonów francuskich na siwych koniach.

XV

Swym bystrym wzrokiem myśliwego Rostow jeden z pierwszych dostrzegł owych niebieskich dragonów francuskich ścigających naszych ułanów. Coraz bliżej podchodziły bezładne tłumy ułanów i goniący ich francuscy dragoni. Już można było dostrzec, jak ci ludzie, którzy pod górą wydawali się maleńcy, zderzali się, dopędzali się nawzajem i wywijali rękami lub szablami.

Na to, co działo się przed nim Rostow patrzył jak na nagonkę. Wyczuwał, że jeśli teraz uderzy z huzarami na francuskich dragonów, to dragoni nie wytrzymają, ale jeśli uderzać, to zaraz w tej chwili, inaczej będzie za późno. Obejrzał się dokoła. Rotmistrz, stojący obok niego, również nie spuszczał oczu z kawalerii na dole.

– Andrzeju Sewastianowiczu – odezwał się Rostow – przecie my ich zgnieciemy...

– Nieźle by było – odpowiedział rotmistrz – bo rzeczywiście...

Rostow już nie dosłuchał, spał konia, wyskoczył na czoło szwadronu, ale nie zdążył zakomenderować, kiedy cały szwadron, który czuł to, co i on, ruszył za nim. Rostow sam nie wiedział, jak i dlaczego to zrobił. Postąpił jak na polowaniu, nie myśląc, nie zastanawiając się. Wiedział, że dragoni blisko, że gnają w rozsypce, wiedział, że nie wytrzymają, wiedział, że to była tylko jedna chwila, która już nie wróci, jeśli się z niej nie skorzysta. Kule gwizdały i świszczwały wokół niego tak podniecająco, koń tak rwał się naprzód, że Rostow nie mógł wytrzymać. Spał ostrogami konia, zakomenderował i usłyszawszy za sobą tętent rozwiniętego szwadronu jął klusem pędzić z góry ku dragonom. Zaledwie zjechał z góry, mimo woli przeszli w galop i w miarę jak zbliżali się do swych ułanów i pędzących za nimi francuskich dragonów, galop ich stawał się coraz szybszy. Dragoni byli blisko. Ci na przedzie zoczywszy huzarów jęli zawracać, ci z tyłu zatrzymywali się. Z uczuciem, z jakim gnał, by przeciąć wilkowi drogę, Rostow puścił wodze swemu dońcowi i pędził przecinając drogę zmieszonym szeregom francuskich dragonów. Jakiś ułan zatrzymał się, jakiś piechur przypadł do ziemi, aby nie zostać stratowanym, jakiś koń bez jeźdźca przyplątał się do huzarów. Niemal wszyscy dragoni francuscy uciekali pędem. Rostow upatrzył sobie jednego z nich na siwym koniu i puścił się za nim. Po drodze wpadł na krzak, dobry koń przesadził krzak i Mikołaj poprawiając się w siodle zmiarkował, że za kilka chwil dogoni tego nieprzyjaciela, którego wziął sobie na cel. Ów Francuz, sądząc po mundurze zapewne oficer zgarbił się i gnał popędzając szablą swego siwego konia. Po chwili koń Rostowa uderzył piersią w zad tamtego konia, omal nie zwałił go z nóg, i w tejże samej chwili Rostow, sam nie wiedząc dlaczego, wznosił szablę i ciął nią Francuza.

Jak tylko Rostow to uczynił, całe jego ożywienie momentalnie znikło. Oficer spadł z konia nie tyle od ciosu szablą, która tylko lekko rozcięła mu rękę powyżej łokcia, ile od potknięcia się konia i ze strachu. Rostow wstrzymał konia i szukał oczami swego wroga, by zobaczyć, kogo pokonał. Francuski oficer dragonów jedną nogą podskakiwał na ziemi, drugą miał zaczepioną w strzemieniu. Ze strachu mróżył oczy, jakby w każdej chwili spodziewał się nowego ciosu, i z przerażeniem spojrzał z dołu na Rostowa. Jego twarz, blada i zabryzgana błotem, jasna, młoda, z

dołkiem w brodzie i jasnymi niebieskimi oczami, wcale nie pasowała do pola bitwy: nie była to twarz wroga, ale po prostu zwyczajna twarz. Zanim jeszcze Rostow zdecydował, co ma z nim zrobić oficer krzyknął: „*Je me rends!*”⁴⁷ Śpieszył się, chciał wypłatać nogę ze strzemięcia, ale nie mógł, i nie spuszczał z Rostowa przerażonych niebieskich oczu. Huzarzy, którzy nadbiegli, uwolnili mu nogę i posadzili na siodle. Huzarzy w różnych miejscach potykali się z dragonami: jeden dragon był ranny, lecz z zakrwawioną twarzą bronił swego konia, drugi, objawszy huzara, siedział na zadzie jego konia, trzeci, podtrzymywany przez huzara, wdrapywał się na jego konia. Z przodu biegła strzelając francuska piechota. Huzarzy z pośpiechem zawracali ze swymi jeńcami. Rostow wraz z innymi gnał z powrotem, doznając jakiegoś przykrego uczucia, które ścisnęło mu serce. Coś niezrozumiałego, zagmatwanego, czego żadną miarą nie mógł sobie wytłumaczyć, stanęło przed nim z chwilą, gdy wziął do niewoli tego oficera, któremu zadał cios.

Hrabia Ostermann-Tolstoj powitał wracających huzarów, wezwał Rostowa, podziękował mu i oznajmił, iż zamelduje monarsze o jego bohaterskim postępku i poprosi dla niego o Krzyż Świętego Jerzego. Kiedy Rostowa wezwano do hrabiego Ostermanna, przypomniał sobie, że ruszył do ataku bez rozkazu. Był więc całkowicie przeświadczony, iż zwierzchnik wzywa go dlatego, by go ukarać za samowolę. Przeto pochlebne słowa Ostermanna i obietnica nagrody powinny były tym radośniej zdziwić Rostowa, ale wciąż nękało go to nieprzyjemne, niewyraźne uczucie. „Co mnie tak dręczy? – zadawał sobie pytanie wracając od generała. – Ilin? Nie, nic mu się nie stało. Czyżbym się czymś zhańbił? Nie, to nie to!” Coś innego męczyło go jak wyrzut. „Ach to ten francuski oficer z dołkiem. Dobrze pamiętam, jak ręka mi się zatrzymała, kiedy ją wzniosłem.”

Rostow zobaczył odprowadzanych jeńców i popędził za nimi, żeby popatrzeć na swego Francuza z dołkiem w podbródku. W swym dziwnym mundurze siedział na zapasowym koniu huzarskim i niespokojnie się rozglądał. Jego rany na ręku nie można było nawet nazwać raną. Nieszczercze uśmiechnął się do Rostowa i zamachał ręką na znak pozdrowienia. Rostowowi ciągle było nijako i czegoś wstydy.

Tego dnia i nazajutrz przyjaciele i koledzy widzieli, że Rostow nie jest ani smutny, ani rozgniewany, ale milczący, zamyślony i skupiony. Pil niechętnie, starał się być sam i o czymś rozmyślał.

Rostow ciągle rozmyślał o swym świetnym czynie, który ku jego zdziwieniu przyniósł mu Krzyż Św. Jerzego, a nawet reputację chwata, i żadną miarą nie mógł czegoś pojąć. „Przecie oni się boją jeszcze bardziej niż my! – myślał. – Więc to jest wszystko, co się nazywa bohaterstwem? I czy ja to uczyniłem dla ojczyzny? Co tu zawinił ten z dołkiem i niebieskimi oczami? A jak się przestraszył! Myślał, że go zabiję. I dlaczego go miałem zabijać? Drgnęła mi ręka. A dano mi Krzyż Jerzego. Nic nie rozumiem, nic!” – biedził się z myślami.

Kiedy Mikołaj tak się dręczył tymi pytaniami i w żaden sposób nie mógł sobie zdać sprawy, co go niepokoi, los, jak to często bywa, obrócił się na jego korzyść. Po bitwie pod Ostrownem wyróżniono go, dano mu batalion huzarów i jemu dawano polecenie, gdy trzeba było użyć dzielnego oficera.

⁴⁷ Poddaję się

XVI

Otrzymaawszy wiadomość o chorobie Nataszy, hrabina, jeszcze niezupełnie zdrowa i słaba, z Pietią i całym domem pojechała do Moskwy, i cała rodzina Rostowów przeprowadziła się od Marii Dmitriewny do własnego domu i na dobre osiedliła się w Moskwie.

Choroba Nataszy była tak poważna, że na jej szczęście i na szczęście rodziny myśl o tym wszystkim, co było przyczyną jej choroby, jej postępku i zerwanie z narzeczonym zeszedł na dalszy plan. Była tak chora, że nie sposób było myśleć, do jakiego stopnia zawiniła w tym, co się stało, skoro nie jadła, nie spała, w oczach chudła, kaszłała i – jak doktorzy dawali do zrozumienia – życie jej było zagrożone. Należało myśleć tylko o tym, żeby jej pomóc. Do Nataszy przyjeżdżali doktorzy i pojedynczo, i na konsylia, mówili dużo po francusku i po niemiecku, i po łacinie, ganili jeden drugiego, zapisywali najróżniejsze lekarstwa na wszystkie choroby, jakie tylko znali; ale żadnemu z nich nie przyszła do głowy tak prosta myśl, że nie mogą znać tej choroby, na którą cierpiała Natasza, podobnie jak nie może być znana żadna choroba, która by zmogła człowieka: albowiem każdy człowiek ma swe właściwości i zawsze ma specyficzną i swą własną nową, skomplikowaną chorobę, której medycyna nie zna, nie chorobę płuc, wątroby, skóry, serca, nerwów itd., zarejestrowaną w medycynie, lecz chorobę polegającą na jednej z niezliczonych kombinacji cierpień tych organów. Ta prosta myśl nie mogła przyjść doktorom (tak jak czarownikowi nie może przyjść do głowy myśl, iż nie jest on w stanie czarować), albowiem cel ich życia polega na tym, by leczyć, albowiem brali za to pieniądze, albowiem stracili na to najlepsze lata swego życia. Ale co najważniejsze – myśl ta nie mogła przyjść do głowy doktorom, gdyż wiedzieli, że naprawdę są pożyteczni, i rzeczywiście byli pożyteczni dla całej rodziny Rostowów. Byli pożyteczni nie dlatego, że zmuszali chorą do połknięcia substancji przeważnie szkodliwych (szkodliwość tę mało się czuło, gdyż szkodliwe substancje dawano w małej ilości), lecz byli pożyteczni, niezbędni, nieodzowni (oto przyczyna, dla której zawsze są i będą domniemani uzdrowiacze, wróżę, homeopaci), albowiem czynili zadość moralnej potrzebie chorej oraz ludzi, którzy chorą kochali. Czynili zadość odwiecznej ludzkiej potrzebie nadziei, że nastąpi ulga, potrzebie współczucia i aktywności, jakiej doznaje człowiek w chwili cierpienia. Czynili zadość odwiecznej człowieczej potrzebie – objawiającej się u dziecka w sposób nader pierwotny – roztarcia tego miejsca, które zostało uderzone. Kiedy dziecko się uderzy, natychmiast biegnie do matki lub niańki, aby pocałowały uderzone miejsce albo je roztarty, i robi mu się lżej, gdy bolące miejsce pocałują lub rozetrą. Dziecko nie wierzy, by silniejsi i mądrzejsi od niego nie mieli środków na uśmierzenie jego bólu. I nadzieja ulgi, i współczucie, z jakim matka rozciera mu guz, sprawia mu pociechę. Dla Nataszy doktorzy byli pożyteczni, albowiem całowali i rozcierali kuku, przekonując, że to zaraz minie, jak tylko stangret pojedzie do apteki na Arbacie i kupi za rubla i siedemdziesiąt kopiejek proszków i pigułek w ładniutkim pudełeczku i jeżeli chora będzie je zażywała koniecznie co dwie godziny – ani rzadziej, ani częściej – i koniecznie w przegotowanej wodzie.

Cóż by poczęli – Sonia, hrabia i hrabina, gdyby tylko patrzyli i nic nie przedsiębrali, gdyby

nie było tych pigułek wedle godzin, ciepłego napoju, kotlecika z kury i wszystkich szczegółów życia przepisanych przez doktora, których przestrzeganie stanowiło zajęcie dla otaczających i pociechę? Jak hrabia by znosił chorobę ukochanej córki, gdyby nie wiedział, że choroba Nataszy kosztowała go tysiące rubli i że nie żał mu i jeszcze nowych tysięcy, byleby ulżyć Nataszy; gdyby nie wiedział, że jeśli zdrowie jej się nie poprawi, to nie pożałuje jeszcze tysiąca i wywiezie ją za granicę, i tam zwoła konsylia; gdyby nie miał możliwości opowiadać szczegółowo, jak Metivier i Feller nie poznali się, a Friese poznał się, Mudrow zaś jeszcze lepiej określił chorobę? Cóż by poczęła hrabina, gdyby czasami nie mogła się wadzić z chorą Nataszą, że nie ze wszystkim przestrzega przepisów doktora.

– W ten sposób nigdy nie wyzdrowiejesz – mówiła hrabina zapominając w gniewie o swym zmartwieniu – jeśli nie będziesz słuchać doktora i w porę brać lekarstw! To nie żarty, przecie może się z tego wywiązać pneumonia – mówiła, a samo wymawianie tego nie tylko dla niej niezrozumiałego słowa już sprawiało jej dużą ulgę. Cóż by zrobiła Sonia, gdyby nie miała tej radosnej świadomości, że w pierwszym okresie choroby trzy noce się nie rozbierała, aby być w pogotowiu i móc dokładnie wypełniać wszystkie zlecenia doktora, że i teraz nie sypia po nocach, aby nie chybić pory, w której trzeba dać mało szkodliwe pigułki ze złotego pudełeczka? Nawet sama Natasza, która choć i mówiła, że żadne lekarstwa jej nie wyleczą i że to wszystko są głupstwa, widziała z radością, że dla niej ponoszą tak dużo ofiar, że w oznaczonych godzinach musi zażywać lekarstwa. Nawet i to sprawiało jej radość, że – lekceważąc wypełnianie przepisanej lekcji – mogła okazywać, iż nie wierzy w wyleczenie i nie dba o życie.

Doktor przyjeżdżał co dzień, badał puls, oglądał język i nie zwracając uwagi na jej przygnębioną twarz, żartował z nią. Ale za to, kiedy wychodził do sąsiedniego pokoju, hrabina spieszenie szła za nim, a on przybierając poważną minę i w zamyśleniu kiwając głową oświadczał, że choć niebezpieczeństwo istnieje, jednak pokłada nadzieję w działaniu tego ostatniego lekarstwa, że trzeba czekać, gdyż jest to choroba raczej duchowa, ale...

Hrabina starając się ukryć ten postęp i przed sobą, i przed doktorem, wciskała mu do ręki złotą monetę i za każdym razem ze spokojniejszym sercem wracała do chorej.

Symptomy choroby Nataszy polegały na tym, że mało jadła, mało spała, kaszlała i nigdy się nie ożywiała. Doktorzy powiadali, że nie można zostawić chorej bez pomocy lekarskiej, i dlatego trzymali ją w mieście, w dusznym powietrzu. Toteż latem 1812 roku Rostowowie nie wyjechali na wieś.

Mimo wielką ilość zażytych pigułek, kropli i proszków z flakoników i pudełeczek, których madame Schoss, miłośniczka tych rzeczy, zebrała dużą kolekcję, mimo braku zwykłego życia wiejskiego młodość brała górę: troska Nataszy ją się pokrywać warstwą nowych wrażeń i przeżyć, przestała zalegać w sercu dręczącym bólem, stawała się przeszłością, i Natasza pod względem fizycznym zaczęła przychodzić do siebie.

XVII

Natasza była spokojniejsza, ale nie weselsza. Nie tylko unikała wszystkich zewnętrznych okazji do radości: balów, spacerów, koncertów, teatru, ale ani razu nie roześmiała się tak, by spoza śmiechu nie czuło się łez. Nie mogła śpiewać. Jak tylko zaczynała śmiać się albo śpiewać, kiedy była sama, dławili ją łzy: łzy skruchy, łzy wspomnień o niepowrotnym, czystym czasie, łzy gniewu, że tak daremnie zmarnowała swe młode życie, które by mogło być tak szczęśliwe. Śmiech, a zwłaszcza śpiew wydawały się jej bluźnierstwem wobec jej troski. O kokieterii nawet nie myślała; nawet nie musiała się od niej powstrzymywać. Mówiła i czuła, że obecnie wszyscy mężczyźni są dla niej akurat tym, czym trefniś Nastasja Iwanowna. Wewnętrzna warta zabraniała jej stanowczo wszelkiej radości. A zresztą, już nie miała w sobie owych dawnych zainteresowań, właściwych dziewczęcemu, niefrasobliwemu, pełnemu nadziei i ładu rodzajowi życia. Najczęściej i najbardziej boleśnie wspominała miesiące jesienne, polowanie, wujaszka i Boże Narodzenie spędzone z Nicolas w Otradnem. Ileż by za to dała, by powrócił choć jeden z tamtych dni! Ale to skończyło się już na zawsze. Wtedy nie myliło jej przecucie, że ów stan swobody i chłonności wszelakich uciech już nigdy nie wróci. Jednak trzeba było żyć.

Pociechą była dla niej myśl, że nie tylko nie jest lepsza, jak myślała przedtem, ale gorsza, o wiele gorsza od wszystkich na świecie. Jednakowoż nie dość było tego. Wiedziała to i zadawała sobie pytanie: „I co dalej?” A dalej nie było nic. Nie było żadnej radości w życiu, a życie mijało. Natasza starała się nikomu nie być ciężarem i nie przeszkadzać, lecz dla siebie nic nie potrzebowała. Unikała wszystkich domowników i tylko z bratem Pietią było jej dobrze. Lubiła z nim przebywać bardziej niż z innymi, czasami, gdy była z nim sam na sam, śmiała się. Prawie że nie wyjeżdżała z domu, a z tych, którzy u niej bywali, rada widziała tylko jednego człowieka – Pierre'a. Nie można było traktować jej tkliwiej, ostrożniej i jednocześnie poważniej, niż czynił to hrabia Bezuchow. Natasza podświadomie odczuwała tę delikatność obejścia i dlatego znajdowała duże zadowolenie w jego towarzystwie. Wszelako nie była mu nawet wdzięczna za jego delikatność. Nic, co ją dobrego ze strony Pierre'a spotykało, nie wydawało się jej owocem wysiłku. Zdawało się tak naturalną rzeczą, iż Pierre jest dobry dla wszystkich, że w tej dobroci nie było żadnej jego zasługi. Czasami Natasza dostrzegała, że Pierre w jej obecności jest zmieszany i nieswój, zwłaszcza wówczas gdy się obawiał, by coś w rozmowie nie naprowadziło Nataszy na przykre wspomnienia. Dostrzegała to i przypisywała to jego ogólnej dobroci i nieśmiałości, która w jej mniemaniu powinna się była przejawiać również i w stosunku do innych. Po tych niespodzianych słowach o tym, że gdyby był wolny, toby na klęczkach prosił ją o rękę i miłość, wypowiedzianych w chwili wielkiego wzruszenia, Pierre już nigdy nic nie mówił o swych uczuciach dla Nataszy; i było dla niej oczywiste, że te słowa, które ją tak pocieszyły, były powiedziane tak, jak się mówi różne bezmyślne słowa, aby uspokoić płaczące dziecko. Nie dlatego, że Pierre był człowiekiem żonatym, lecz dlatego, że Natasza czuła między nim a sobą ową zaporę moralną, której brak odczuwała między sobą a Kuraginem – nigdy jej nie przychodziło do głowy, by z tych jej kontaktów z Pierre'em mogła wyniknąć nie tylko miłość z

jej strony, a tym mniej ze strony Pierre'a, ale nawet rodzaj tej tkliwej, świadomej, poetycznej przyjaźni między mężczyzną a kobietą, jakiej znała kilka przykładów.

Na post, poprzedzający święto Piotra i Pawła, przyjechała do Moskwy z pielgrzymką do moskiewskich świętych Agraфіena Iwanowna Bielow, sąsiadka Rostowów z Otradnego.

Zaproponowała Nataszy rekolekcje i Natasza z radością uchwyciła się tej myśli. Mimo iż lekarz zabronił jej wychodzić z domu rankiem, Natasza nastawała na to, żeby rekolekcje odbyć nie tak, jak zazwyczaj odbywano je u Rostowów, gdzie wysłuchiowano trzech nabożeństw, lecz odbyć je tak jak Agraфіena Iwanowna, czyli przez cały tydzień, nie opuszczając ani jednego nabożeństwa rano, ani po południu, ani wieczorem.

Hrabinie podobała się ta gorliwość Nataszy; po bezowocnym leczeniu żywiła w duchu nadzieję, że modlitwa pomoże jej więcej niż lekarstwa, więc choć z lękiem, i ukrywając to przed doktorem, zgodziła się na życzenie Nataszy i powierzyła ją Agraфіenie Iwanownie. O trzeciej w nocy Agraфіena Iwanowna przychodziła budzić Nataszę i przeważnie zastawała ją już nie śpiącą. Pośpiesznie myła się, z pokorą wkładała najgorszą suknię i starą mantylkę i drżąc z zimna wychodziła na opustoszałe ulice oświetlone przezroczytym brzaskiem. Idąc za radą Agraфіeny Iwanowny Natasza odprawiała rekolekcje nie w swej parafii, lecz w cerkwi, w której wedle słów nabożnej Bielowej – był kapłan bardzo surowy i pełen cnót. W cerkwi zawsze było mało ludzi; Natasza i Agraфіena Iwanowna stawały na zwykłym miejscu przed obrazem Matki Boskiej umieszczonym z tyłu lewego chóru i Nataszę ogarniało nowe uczucie pokory wobec czegoś wielkiego, niedosiężnego, kiedy w owej niezwyklej dla siebie godzinie porannej, patrząc na ciemne oblicze Matki Bożej oświetlone świecami, które płonęły pod obrazem, i światłem poranka padającym z okna, słuchała słów nabożeństwa, rozumiejąc je i starając się podążać za nimi myślami. Kiedy rozumiała słowa nabożeństwa, jej osobiste uczucie ze wszystkimi odcieniami przyłączało się do modlitwy; kiedy zaś nie rozumiała, z jeszcze większą błogością myślała, że pragnienie rozumienia wszystkiego jest pychą, że nie można pojąć wszystkiego, że należy tylko wierzyć i polecać się Bogu, który w tych chwilach – czuła to – rządził jej duszą. Żegnała się, biła pokłony, a kiedy nie pojmowała, zdejmował ją lęk, że jest nikczemna, prosiła więc Boga, by jej przebaczył wszystko, wszystko i żeby się nad nią zmiłował. Modlitwy, którym się najbardziej oddawała, były to modlitwy skruchy. Wracając do domu wczesną godziną, kiedy spotykało się tylko idących do pracy murarzy i zamiatających ulice stróży, kiedy w domach wszyscy jeszcze spali, Natasza doznawała nowego dla siebie uczucia, że może poprawić się ze swych wad i rozpocząć nowe, czyste życie, pełne szczęścia.

W ciągu całego tygodnia, kiedy prowadziła ten tryb życia, uczucie to wzrastało z każdym dniem. I szczęście pojednania się lub obcowania z Bogiem, jak mówiła Agraфіena Iwanowna, radośnie szermując tym słowem, przedstawiało się jej tak wielkie, iż wydawało się jej, że nie dożyje do tej szczęśliwej niedzieli.

Wszelako ów szczęśny dzień nastąpił, a kiedy w ową pamiętną dla niej niedzielę Natasza w białej muślinowej sukni wróciła po komunii, po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się spokojna i nie przykrzyła sobie życia, jakie ją czekało.

Przyjechał tego dnia doktor, obejrzał Nataszę i kazał nadal zażywać te proszki, które był zapisał dwa tygodnie temu.

– Koniecznie trzeba je brać nadal, rano i wieczorem – oświadczył widocznie sam rzetelnie zadowolony ze swego sukcesu. – Tylko bardziej akurrotnie, jeśli łaska. Pani hrabino, może pani być spokojna – rzekł doktor żartobliwie, zręcznie chwytając wnętrzem dłoni złotą monetę – niedługo zacznie śpiewać i będzie wesola. Ostatnie lekarstwo okazało się dla niej bardzo, bardzo skuteczne. Bardzo się ożywiła.

Wracając z wesołą twarzą do salonu hrabina spojrzała na paznokcie i złożyła wargi, jak gdyby

spluwając od uroku.

XVIII

Na początku lipca w Moskwie coraz bardziej się rozprzestrzeniały trwożne wieści o przebiegu wojny: mówiono o odezwie monarchy do narodu, o tym, że monarcha przybył do Moskwy. A ponieważ do 11 lipca nie ukazał się ani manifest, ani odezwa, o nich więc i o położeniu Rosji kursowały przesadne wieści. Powiadano, że monarcha wraca, gdyż armia znajduje się w niebezpieczeństwie, powiadano, że Smoleńsk został oddany, że Napoleon ma milion wojska i że tylko cud może uratować Rosję.

11 lipca, w sobotę, otrzymano manifest, ale jeszcze nie wydrukowany; Pierre, który był u Rostowów, obiecał, że nazajutrz, w niedzielę, przyjedzie na obiad i przywiezie manifest i odezwę, które dostanie od hrabiego Rastopcyna.

Tej niedzieli Rostowowie pojechali na nabożeństwo, jak zwykle do domowej cerkwi Razumowskich. Był gorący lipcowy dzień. Już o dziesiątej, kiedy Rostowowie wysiadali z karety przed cerkwią, w gorącym powietrzu, w krzykach przekupniów, w barwnych i jasnych letnich ubraniach tłumu, w zakurzonych liściach drzew na bulwarze, w dźwiękach muzyki i białych pantalonach batalionu idącego na zmianę warty, w turkocie i w ostrym blasku gorącego słońca, było to letnie znużenie, zadowolenie i niezadowolenie z teraźniejszości, jakie szczególnie wyraźnie odczuwa się w mieście w pogodny, upalny dzień. W cerkwi Razumowskich była cała moskiewska arystokracja, wszyscy znajomi Rostowów (owego roku, jak gdyby w oczekiwaniu czegoś, wiele bogatych rodzin, które zazwyczaj rozjeżdżają się po wsiach, zostało w mieście). Idąc obok matki, tuż za torującym im drogę wśród tłumu lokajem w liberii, Natasza usłyszała głos młodego człowieka, który zbyt głośnym szeptem mówił o niej:

– To ta, co to...

– Jak schudła, ale przecie piękna!

Słyszała, a może jej się zdawało, że były wymienione nazwiska Kuragina i Bołkońskiego. Zresztą, zawsze tak się jej zdawało. Zawsze się jej zdawało, że wszyscy patrząc na nią myślą tylko o tym, co się jej zdarzyło. Cierpiąc i omdlewając w duchu, jak zawsze w ciżbie, Natasza w swej jedwabnej fioletowej sukni z czarnymi koronkami szła tak, jak potrafią chodzić kobiety – tym spokojniej i majestatyczniej, im bardziej cierpią w duchu i wstydzą się. Wiedziała i nie myliła się, że jest piękna, ale teraz nie cieszyło to jej jak dawniej. Przeciwnie, męczyło to ją zwłaszcza w ostatnich czasach, a osobliwie w ów jasny, upalny letni dzień w mieście. „Znów niedziela, znów tydzień – mówiła sobie wspominając, jak była tu w tamtą niedzielę – i ciągle to samo życie bez życia, i ciągle te same warunki, w których tak łatwo żyło się przedtem: piękna, młoda, i wiem, że teraz jestem dobra, przedtem byłam zła, a teraz jestem dobra, wiem – myślała – a tak bez pożytku dla nikogo mijają najlepsze lata, najlepsze”. Stała obok matki i wymieniła ukłony z bliżej stojącymi znajomymi. Z nawyku przyjrzała się toaletom pań, potępiła *tenué*⁴⁸ pewnej blisko stojącej damy i jej nieprzystojny sposób żegnania się dłonią przy piersi, znów pomyślała z gniewem, że i ją potępiają, tak jak i ona potępia, a kiedy zaczęło się nabożeństwo,

⁴⁸ Zachowanie się.

przeraziła się nagle swej niegodziwości, przeraziła się, że znów postradała poprzednią czystość.

Solenny, schludny staruszek celebrował nabożeństwo z tą komą uroczyością, która tak majestatycznie i uspokajająco działa na dusze modlących się. Carskie wrota zamknęły się, zasłona powoli się zaciągnęła; rozległ się spoza niej tajemniczy, cichy głos. Natasza czuła w piersi niepojęte dla niej łzy, jakieś radosne i dręczące wzruszenie.

„Poucz mnie, co mam czynić, jak mam postąpić w życiu, jak mam się poprawić na zawsze, na zawsze!...” – myślała.

Na ambonę wszedł diakon, daleko odstawivszy duży palec wygarnął spod oraru swe długie włosy, położył na piersi znak krzyża i głośno, uroczyście jął czytać słowa modlitwy:

– „Społem módlmy się do Pana.”

„Społem, wszyscy razem, bez różnicy stanów, bez nieprzyjaźni, lecz połączeni braterską miłością, będziemy się modlić” – myślała Natasza.

– „O osiągnięcie nieba i zbawienie dusz naszych!” „O pokój aniołów i dusz wszystkich bezcielesnych istot, które żyją nad nami!” – modliła się Natasza.

Kiedy modliła się za wojsko, wspomniała o bracie i Denisowie.

Kiedy modliła się za podróżujących wodą i lądem, wspomniała o księciu Andrzeju i modliła się za niego; i modliła się o to, by jej Bóg przebaczył wszystko zło, jakie mu wyrządziła. Kiedy się modliła za tych, którzy nas kochają, modliła się za domowników, za ojca i matkę, za Sonię i dopiero teraz pojęła całą swą winę wobec nich i poczuła całą siłę swej miłości do nich. Kiedy się modliła za tych, którzy nas nienawidzą, wymyśliła sobie, aby się za nich pomodlić, za wrogów i nienawidzących. Do wrogów zaliczyła wierzycieli ojca i wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia, i za każdym razem na myśl o wrogach i nienawidzących wspominała Anatola, który jej wyrządził tyle zła, a choć nie był wśród tych, co nienawidzą, z radością modliła się za niego jak za wroga. Tylko podczas modlitwy czuła się na siłach wyraźnie i spokojnie wspominać o księciu Andrzeju i o Anatolu, jako o ludziach, dla których jej uczucia były niczym w porównaniu z uczuciem lęku wobec Boga i czci dla Niego. Kiedy modliła się za rodzinę cesarską i za synod, biła osobliwie niskie pokłony i żegnała się mówiąc sobie, że choć nie pojmuje tego, nie może wszelako wątpić i przecie kocha rządzący synod i modli się za niego.

Skończywszy ektenię, diakon skrzyżował orar na piersiach i rzekł:

– „Oddajemy Chrystusowi Panu siebie i żywot nasz.”

„Oddajemy Bogu siebie – powtórzyła w duszy Natasza. – Boże mój, oddaję się woli Twojej – pomyślała. – Niczego nie chcę, niczego nie pragnę; poucz mnie, co mam czynić, jak użyć swej woli! Weźże mnie, weź!” – z niecierpliwym rozrzewnieniem mówiła Natasza nie żegnając się, lecz opuściwszy ręce jak gdyby w oczekiwaniu, że lada moment jakaś niewidzialna siła weźmie ją i uwolni od niej samej, od jej bólów, pragnień, wyrzutów, nadziei i grzechów.

Podczas nabożeństwa hrabina kilka razy spoglądała na wzruszoną, z błyszczącymi oczami twarz swej córki i prosiła Boga, by jej pomógł.

Niespodziewanie, w środku nabożeństwa i poza kolejnością obrzędów, które Natasza dobrze знаła, diak wyniósł klęcznik, na którym w dzień Świętej Trójcy recytowano modlitwy, odmawiane na klęczkach, i postawił przed carskimi wrotami. Wszedł z nich kapłan w swej aksamitnej fioletowej skuffi, poprawił włosy i z wysiłkiem ukląkł. Wszyscy uczynili to samo i patrzyli ze zdumieniem na siebie. Była to modlitwa dopiero otrzymana z synodu, modlitwa na intencję ocalenia Rosji od najazdu wroga.

– „Wszechmogący Boże, ucieczko nasza!” – zaczął kapłan czystym, naturalnym i łagodnym głosem, którym duchowni wygłaszają modlitwy starosłowiańskie i który tak nieodparcie działa na rosyjskie serca.

– „Wszechmogący Boże, ucieczko nasza! Wejrzyj dziś miłosiernie w łaskawości i hojności

Twojej na pokorne sługi Twoje i w miłosierdziu Twoim wysłuchaj nas, oszczędź nas, zmiłuj się nad nami. Oto wróg trwoży ziemię Twoją, pragnie świat obrócić w pustynię, zgładzić go; oto ludzie pełni nieprawości zebrali się, iżby zniweczyć majątności Twoje, zrujnować Twoje cne Jeruzalem, Twoją umiłowaną Rosyję, iżby zbeczczyć świątynię Twoją, zburzyć ołtarze i pohańbić świętości nasze. Dopókiż, Boże nasz, dopókiż grzesznicy będą triumfowali? Dopókiż przetrwa moc ich występków?

Władco nieba i Panie! Wysłuchaj nas, którzy się do Ciebie modlimy: niech siła Twa umocni Twego najzbożniejszego, najsamowładniejszego wielkiego monarchę naszego cesarza Aleksandra Pawłowicza; wspomnij na jego szczerść i dobroć. Obdarz go Swą łaską i uchronij go Swój ukochany Izrael. Pobłogosław jego radzie, jego sprawom i poczynaniom, niech Twa wszechmocna dłoń umocni jego cesarstwo i da mu zwycięstwo nad wrogiem, jak Mojżeszowi nad Amalekitami, Gedeonowi nad Madianitami i Dawidowi nad Goliatem. Zachowaj rycerstwo jego, daj łuk miedziany ramionom tych, którzy wyruszyli do boju w imię Twoje, i opasz ich siłą do walki. Weźmij zbroję i tarcz i wstań nam na pomoc, aby hańba i srom spadły na tych, co żywią niedobre zamysły, i niech będą w obliczu wiernego Ci rycerstwa jako proch w obliczu wichru, zaś anioł Twój potężny niech ich znieważy i wygna, niech trafią we własne sidła, rzeczy nieświadomi, a ich potrzaski ukryte zmyślnie, niech ich pochwyć; niech padną pod nogami Twych rabów i niech zostaną przez nas zwalczeni. Boże i Panie, nie ustajesz w Twej chęci zbawienia wielkich i małych; Tyś Bóg, i człowiek nie śmie nic przeciw Tobie.

Boże ojców naszych! Wspomnij szczodrość Twą i łaskawość, jakich zaznaliśmy od wieków; nie odrzucaj nas sprzed oblicza Twego i wzgardź niecnotami naszymi, lecz w wielkiej łasce Twjej i w mnóstwie szczodrości Twjej nie bacz na nieprawości i grzechy nasze. Wzbudź w nas czystość serca, odnow ducha prawego w ciałach naszych; umocnij nas wszystkich w wierze, utwierdź w nadziei, ożywiaj szczerą miłością bliźniego ku bliźniemu swemu, uzbrój w jedności gwoli sprawiedliwej obronie, jakąś dał ongiś nam i ojcom naszym, i niech oręż bezecnych nie wzniesie się nad losem uświęconych przez Ciebie.

Boże i Panie, w którego wierzymy i w którym pokładamy naszą ufność, nie dozwól, abyśmy ulegli hańbie czekając daremnie na Twą łaskę. Uczyni cud miłosierdzia, niechaj ujrzą ci, co nienawidzą nas i naszej prawosławnej wiary, niech się pohańbią i wyginą i niech wszystkie kraje ujrzą, jako jesteś nasz Pan, a my Twój lud. Objaw nam, Panie Boże, łaskę Twą i daj nam wybawienie; rozwesel serce rabów Twych dla łaskawości Twjej; poraż wrogów naszych i obal ich pod stopy wiernych Twych rabów. Boś Ty jest obrona, pomoc i zwycięstwo tych, co Ci ufają, i wysławiamy Ciebie Ojca i Syna, i Ducha Świętego, teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen.”

W tym stanie ekstazy duchowej, w jakim znajdowała się Natasza, modlitwa ta wywarła na niej wielkie wrażenie. Słuchała każdego słowa o zwycięstwie Mojżesza nad Amalekitami i Gedeona nad Madianitami, i Dawida nad Goliatem, i o zburzeniu Jeruzalem i modliła się z tkliwością i rozrzewnieniem, które przepelniały jej serce, ale nie bardzo dobrze rozumiała, o co prosiła Boga w tej modlitwie. Całą duszą brała udział w prośbach o prawość ducha, o umocnienie serc wiarą, nadzieją i o ożywienie ich miłością. Ale nie mogła się modlić o powalenie pod stopy wrogów swoich, gdyż niedawno jeszcze pragnęła ich mieć jak najwięcej, by ich kochać i modlić się za nich. Wszelako nie mogła również wątpić w słusność odmawianej na klęczkach modlitwy. Odczuwała w duszy bogobojny lęk i drżenie przed karą dosięgającą ludzi za ich grzechy, a zwłaszcza za swoje grzechy, i prosiła Boga, by przebaczył wszystkim i jej, żeby dał wszystkim i jej spokój i szczęście w życiu. I wydawało się jej, że Bóg słyszy jej modlitwę.

XIX

Od owego dnia, kiedy Pierre wracając od Rostowów i rozpamiętując wdzięczne spojrzenie Nataszy patrzył na kometa, która ukazała się na niebie, i poczuł, że przed nim odsłoniło się coś nowego, zagadnienie marności i bezsensu wszystkiego, co ziemskie, to zagadnienie, które wiecznie go gnębiło, przestało mu się nasuwać. To straszne pytanie: po co? dlaczego? – które przedtem stawało przed nim w trakcie każdego zajęcia, obecnie ustąpiło nie przed innym pytaniem i nie przed odpowiedzią na poprzednie pytanie, lecz przed jej wyobrażeniem. Czy to kiedy słuchał błahych rozmów lub sam je prowadził, czy to kiedy czytał lub dowiadywał się o nikczemności i bezmyślności ludzkiej, już się nie przerażał jak dawniej, nie zadawał sobie pytania, po cóż ludzie tak zabiegają, skoro wszystko jest tak krótkie i niewiadome, lecz przypominał sobie ją w takiej postaci, w jakiej ją widział ostatni raz, i wszystkie jego wątpliwości zniknęły nie dlatego, że ona odpowiadała na pytania, które przed nim stawały, lecz że myśl o niej od razu przenosiła go w inną, jasną sferę duchowej działalności, w której nie mogło być sprawiedliwego czy winnego, w sferę piękna i miłości, dla której warto było żyć. Jakakolwiek się przed nim jawiła nikczemność życiowa, powiadał sobie:

„A niech tam ktoś okrada państwo i cesarza, a państwo i cesarz niech go obdarzają honorami, lecz ona wczoraj uśmiechnęła się do mnie i prosiła, żebym przyszedł, a ja ją kocham, i nikt nigdy o tym się nie dowie.”

Pierre wciąż tak samo bywał w towarzystwie, tak samo dużo pił i prowadził to samo próżniacze i chaotyczne życie, albowiem prócz tych godzin, które spędzał u Rostowów, trzeba było spędzać i pozostały czas, przyzwyczajenia zaś i znajomości, jakie porobił w Moskwie, nieprzepraczenie ciągnęły go do tego życia, które go zagarnęło. Ale ostatnio, kiedy z teatru wojny przychodziły coraz bardziej niepokojące wieści i kiedy zdrowie Nataszy zaczęło się poprawiać i przestała w nim wzbudzać dawne uczucie troskliwej litości, jął go ogarniać niepokój, coraz bardziej dla niego niezrozumiały. Czuł, że położenie w jakim się znajdował, nie mogło trwać długo, że zbliża się katastrofa, która powinna zmienić całe jego życie, i z niecierpliwością doszukiwał się we wszystkim oznak tej zbliżającej się katastrofy. Jeden z braci masonów odsłonił Pierre'owi następujące proroctwo, wyprowadzone z Apokalipsy Jana Ewangelisty, a odnoszące się do Napoleona.

W rozdziale trzynastym Apokalipsy, w wersecie osiemnastym powiedziano: „Tu jest mądrość. Kto ma rozum, niech zrachuje liczbę bestii, albowiem liczba jest człowieka: a liczba jego sześćset sześćdziesiąt i sześć.”

I w tym samym rozdziale w wersecie piątym: „I dane jej są usta mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa, i dano jej moc czynić czterdzieści i dwa miesiące.”

Litery francuskie na podobieństwo żydowskiego wyobrażenia cyfr, z których pierwsze dziesięć oznaczają jedność, a pozostałe dziesiątki, mają następujące znaczenie:

a b c d e f g h i k l m n o p

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 20 30 40 50 60

q r s t u v w x y z
70 80 90 100 110 120 130 140 150 160

Po napisaniu wedle tego alfabetu cyframi słów „*L'Empereur Napoleon*” okazuje się, że suma tych liczb równa się 666, i dlatego Napoleon jest tą bestią, którą przepowiada Apokalipsa. Poza tym, jeśli się napisze wedle tego alfabetu słowa „quarante deux”, tj. granicę, jaką położono wielkiej i bluźnierczej mowie bestii, suma zaś liczb przedstawiających „*quarante deux*” znów wynosi 666, z czego wynika, że kres władzy Napoleona nastąpi w roku 1812, w którym to roku Napoleon ukończył 42 lata. Ta przepowiednia ogromnie zdumiała Pierre'a, często więc zadawał sobie pytanie, co mianowicie położy kres władzy bestii, tj. Napoleona, i na podstawie wyobrażenia słów cyframi i wyliczeń usiłował znaleźć odpowiedź na pytanie, które go interesowało. W odpowiedzi na to pytanie Pierre napisał: „*L'Empereur Alexandre? La nation russe?*” Liczył litery, ale suma cyfr wynosiła o wiele więcej lub o wiele mniej niż 666. Pewnego razu zajmując się tymi wyliczeniami napisał swoje nazwisko: „Comte Pierre Besouhaff”, suma cyfr również się nie zgodziła. Zmienił ortografię, napisał „z” zamiast „s”, dodał „de”, dodał artide „le”, ale nie otrzymywał pożądanego wyniku. Wtedy przyszło mu do głowy, że gdyby odpowiedź na poszukiwane pytanie nawet i zawierała się w jego nazwisku, to w odpowiedzi na pewno byłaby wymieniona jego narodowość. Napisał „*Le Russe Besuhof*” i, zliczywszy cyfry, otrzymał 671. Tylko 5 było niepotrzebnych, 5 oznaczało „e”, to właśnie „e”, które zostało odrzucone w aniele przed słowem „empereur”. Odrzuciwszy przeto, choć niesłusznie, „e” Pierre otrzymał poszukiwaną odpowiedź „*L'Russe Besuhof*”⁴⁹, równe 666. To odkrycie wzburzyło go; jaką więzią był złączony z wielkim zdarzeniem, przepowiedzianym w Apokalipsie, nie wiedział, lecz ani przez chwilę nie wątpił w tę więź. Jego miłość do Nataszy, Antychryst, najazd Napoleona, kometa 666, *l'Empereur Napoleon i l'Russe Besuhof* – wszystko to razem powinno było dojrzeć, wyładować się i wyprowadzić go z tego zaczarowanego moskiewskiego świata nawyków, których czuł się niewolnikiem, doprowadzić go do wielkiego bohaterstwa i wielkiego szczęścia.

W wilię tej niedzieli, kiedy odmawiano modlitwę, Pierre obiecał Rostowom, że przywiezie im od hrabiego Rastopczyzna, którego dobrze znał, i orędzie do Rosji, i ostatnie wiadomości z armii. Kiedy rankiem Pierre przybył do hrabiego Rastopczyzna, zastał u niego dopiero co przybyłego z armii kuriera.

Kurierem był znajomy Pierre'a, jeden z moskiewskich danserów.

– Na miłość boską, czy nie mógłby mi pan ulżyć? – rzekł kurier. – Mam pełną torbę listów do rodziców.

Wśród tych listów był także list Mikołaja Rostowa do ojca. Pierre wziął ten list. Poza tym hrabia Rastopczyzn dał Pierre'owi dopiero co wydrukowane orędzie monarchy do Moskwy, ostatnie rozkazy dla armii oraz swój ostatni plakat. Przeglądając rozkazy dla armii Pierre znalazł w jednym z nich – wśród wiadomości o rannych, zabitych i odznaczonych – nazwisko Mikołaja Rostowa odnanzonego Krzyżem Jerzego czwartego stopnia za męstwo okazane w bitwie pod Ostrownem i w tym samym rozkazie nominację księcia Andrzeja Bołkońskiego na dowódcę pułku jęgrów.

Choć nie miał chęci przypominać Rostowom o Bołkońskim, wszelako nie mógł się

⁴⁹ Cesarz Napoleon... czterdzieści dwa... cesarz Aleksander? Naród rosyjski ... rodzajnik... Rosjanin Bczuchow.

powstrzymać od chęci uradowania ich wiadomością o odznaczeniu syna, toteż – pozostawiwszy u siebie orędzie, plakat i pozostałe rozkazy, aby samemu je przywieźć przybywając na obiad – posłał Rostowom drukowany rozkaz i list.

Rozmowa z hrabią Rastopczynem, jego ton zafrasowany i porywczy, spotkanie z kurierem, który beztrąsko opowiadał o tym, jak kiepsko przedstawiają się sprawy w armii, słuchy o wykrytych w Moskwie szpiegach, o piśmie krążącym po Moskwie, w którym jest mowa, że Napoleon obiecuje, iż przed jesienią będzie w obu rosyjskich stolicach⁵⁰, rozmowa o spodziewanym nazajutrz przybyciu monarchy – wszystko to z nową siłą podniecało w Bezuchowie owo uczucie wzburzenia i oczekiwania, które go nie opuszczało od chwili ukazania się komety, a zwłaszcza od rozpoczęcia wojny.

Pierre'owi już dawno przychodziło na myśl wstąpienie do wojska i dawno by już to zrobił, gdyby nie przeszkadzała mu, po pierwsze, przynależność do społeczności masonów, z którą był związany przysięgą i która głosiła wieczny pokój i unicestwienie wojny, i po drugie, kiedy patrzył na tak wielką liczbę moskwian, którzy przywdziali mundury i głosili patriotyzm, było mu jakoś wstyd zdecydować się na ten krok. Główna zaś przyczyna niewprowadzania w czyn zamiaru wstąpienia do wojska polegała na niewyraźnym wyobrażeniu, że jest on „*l'russe Besuhof*”, mający znaczenie liczby bestii: 666, że jego udział w wielkim dziele położenia kresu panowania bestii, mówiącej rzeczy wielkie i bluźniercze, jest od wieków postanowiony, więc nie powinien niczego przedsięwziąć, tylko czekać na to, co się dokonać powinno.

⁵⁰ Tj. w Moskwie i w Petersburgu.

XX

W niedzielę u Rostowów, jak zwykle, było na obiedzie kilku bliskich znajomych.

Toteż Pierre przybył wcześniej, aby zastać ich samych. W ciągu roku tak utył, że byłby potworny, gdyby nie był tak wysokiego wzrostu, tak masywnych proporcji i nie był tak silny, że najwidoczniej łatwo nosił swą tuszę.

Sapiąc i mrużąc coś do siebie wszedł na schody. Stangret już go nie pytał, czy czekać. Wiedział, że kiedy hrabia jest u Rostowów, to zostaje do dwunastej. Lokaje Rostowów z radością rzucili się, by zdjąć z niego płaszcz i odebrać laskę i kapelusz. Z nawyku klubowego Pierre zostawiał w przedpokoju i laskę, i kapelusz.

Pierwszą osobą, którą zobaczył u Rostowów, była Natasza.

Jeszcze zanim ją zobaczył, usłyszał ją, kiedy w przedpokoju zdejmował płaszcz. Śpiewała w salonie solfeggia.

Wiedział, że od czasu choroby nie śpiewała, toteż dźwięk jej głosu zdziwił go i ucieszył. Cicho otworzył drzwi i zobaczył Nataszę w tej samej fioletowej sukni, co na nabożeństwie, spacerującą po pokoju i śpiewającą. Kiedy otworzył drzwi, była odwrócona od niego, ale gdy nagle zawróciła i ujrzała jego pełną, zdumioną twarz, zarumieniła się i szybko podeszła.

– Znów próbuję śpiewać – powiedziała. – Przecie to jakieś zajęcie – dodała, jakby się usprawiedliwiając.

– To znakomicie.

– Bardzo się cieszę, że pan przyszedł! Jestem dziś taka szczęśliwa – oznajmiła z tym ożywieniem, jakiego Pierre dawno już u niej nie widział. – Wie pan, Nicolas dostał Jerzego. Jestem z niego dumna.

– Wiem, przecie przysłałem rozkaz. Ale nie chcę pani przeszkadzać – dodał i chciał wejść do bawialni. Natasza zatrzymała go.

– Czy to źle, że śpiewam? – rzekła rumieniąc się, ale nie spuszczała z Pierre'a pytających oczu.

– Nie... Dlaczegoż by? Przeciwnie... Ale czemu mnie pani pyta?

Sama nie wiem – prędko odpowiedziała Natasza – ale nie chciałabym zrobić nic, co by się panu mogło nie podobać. Ufam panu we wszystkim. Pan nie wie, jak dużo dla mnie znaczy, jak wiele pan dla mnie zrobił!... – Mówiła szybko i nie zauważyła, że Pierre zaczerwienił się przy tych słowach. – Widziałam w tym rozkazie, że on, Bołkoński (wypowiedziała to słowo szybko i szeptem), jest w Rosji i znów w wojsku. Jak pan sądzi – powiedziała prędko, jak gdyby wątpiła w swe siły – czy przebaczy mi kiedykolwiek? Nie będzie żywił do mnie urazy? Jak pan sądzi? Jak pan sądzi?

– Sądzę... – odrzekł Pierre – że nie ma czego przebaczać... Gdybym ja był na jego miejscu... – Po nici wspomnień

Pierre momentalnie przeniósł się wyobraźnią do tego go czasu, kiedy pocieszając ją powiedział, że gdyby nie był sobą, lecz najlepszym człowiekiem na świecie i wolnym, toby na klęczkach prosił ją o rękę, i tak silnie ogarnęło go to samo uczucie żalu, tkliwości i miłości, że te

same słowa miał na ustach. Lecz ona nie dała mu czasu, by je wypowiedział.

– No tak, pan, pan – rzekła, z zachwytem wymawiając to słowo pan – pan to co innego. Nie znam człowieka lepszego od pana, wspaniałomyślniej szego, szlachetniejszego, i takiego drugiego nie może być. Gdyby pana nie było wówczas, a i teraz także, nie wiem, co by się ze mną stało, gdyż... – Nagle oczy jej napełniły się łzami; odwróciła się, podniosła nuty ku oczom, zaśpiewała i znów zaczęła chodzić po sali.

W tej chwili z salonu wybiegł Pietia.

Pietia był teraz ładnym, rumianym piętnastoletnim chłopcem, z pełnymi, czerwonymi wargami, podobnym do Nataszy.

Przygotowywał się do wstąpienia na uniwersytet, ale ostatnio wraz ze swym kolegą Oboleńskim postanowił w tajemnicy, że pójdą do huzarów.

Teraz wybiegł do swego imiennika, aby porozmawiać o tej sprawie.

Prosił, żeby Pierre się dowiedział, czy on może być przyjęty do huzarów.

Pierre szedł przez salon nie słuchając Pieti.

Pietia pociągnął go za rękę, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

– Piotrze Kiryłyczu, na miłość boską, jak tam moja sprawa? Cała moja nadzieja w panu – mówił Pietia.

– Ach, tak, twoja sprawa. A więc do huzarów? Powiem, powiem. Dziś wszystko powiem.

– No co, *mon cher*, dostałeś pan manifest? – zapytał stary hrabia. – A hrabianeczka była na mszy w cerkwi Razumowskich i słyszała nową modlitwę. Powiada, że bardzo ładna.

– Dostałem – odpowiedział Pierre. – Jutro będzie monarcha... Nadzwyczajne zebranie szlachty i, powiadają, pobór rekruta, po dziesięciu z tysiąca. Tak, winszuję panu.

– Ano, ano, dzięki Bogu. A co w armii?

– Nasi znów się cofnęli. Już są pod Smoleńskiem, jak powiadają – odpowiedział Pierre.

– Mój Boże, mój Boże! – rzekł hrabia. – A gdzie manifest?

– Orędzie! Ach, tak! – Pierre jął szukać papierów po kieszeniach i nie mógł ich znaleźć. Nie przestając klepać się po kieszeniach pocałował w rękę wchodzącą hrabinę i niespokojnie się oglądał, widocznie spodziewał się Nataszy, która już nie śpiewała, ale i nie przychodziła do salonu.

– Jak Boga kocham, nie wiem, gdzie go podział – oświadczył.

– On zawsze musi wszystko gubić – powiedziała hrabina.

Weszła Natasza, z twarzą roztkliwioną i podnieconą, usiadła i w milczeniu patrzyła na Pierre'a. Jak tylko weszła do pokoju, twarz Pierre'a, dotąd chmurna, rozjaśniła się i, nadal szukając papierów, kilkakrotnie spojrzał na nią.

– Jak mi Bóg miły, chyba pojedę, zostawiłem w domu. Na pewno...

– Spóźni się pan na obiad.

– Ach, i stangret odjechał.

Ale Sonia poszła do przedpokoju szukać papierów i znalazła je w kapeluszu Pierre'a, wsunął je bowiem pieczołowicie pod zakładkę. Pierre chciał od razu czytać.

– Nie, po obiedzie – powiedział stary hrabia, widocznie spodziewając się, że mu to czytanie sprawi wiele radości.

Przy obiedzie, podczas którego pito szampana za zdrowie nowego kawalera Krzyża Św. Jerzego, Szynszyn opowiadał nowinki miejskie o chorobie starej księżny gruzińskiej tym, że Metivier ulotnił się z Moskwy, i o tym, że do Rastopczyzna przyprawiono jakiegoś Niemca i oświadczone mu, że to jest szampinion (tak opowiadał sam hrabia Rastopczyzn) i że hrabia Rastopczyzn kazał szampiniona uwolnić, ludowi zaś oznajmił, że to nie żaden szampinion, ale po

prostu stary grzyb Niemiec.⁵¹

– Łapią, łapią – rzekł hrabia – toteż często powiadam hrabinie, żeby mniej mówiła po francusku. Teraz na to nie pora.

– Czy państwo słyszeli? – powiedział Szynszyn. – Książę Galicyn wynajął nauczyciela rosyjskiego, uczy się po rosyjsku. *Il commence a devenir dangereux de parler francais dans les rues.*⁵²

– No cóż. Piotrze Kiryłyczu, jak zaczną zwoływać pospolite ruszenie, to i panu wypadnie dosiąść konia – rzekł stary hrabia zwracając się do Pierre'a.

Przez cały czas obiadu Pierre był milczący i zamyślony. Kiedy hrabia zwrócił się do niego, spojrzał, jakby nic nie rozumiał.

– Ach, tak, na wojnę – powiedział – nie! Jaki tam ze mnie wojak! A zresztą, wszystko jest takie dziwne, takie dziwne! Sam nie rozumiem. Nie wiem, jestem tak daleki od gustowania w wojsku, ale w obecnych czasach nikt nie może za siebie ręczyć.

Po obiedzie hrabia usiadł spokojnie w fotelu i z poważną miną poprosił Sonię, która słynęła z mistrzowskiej deklamacji, żeby czytała.

„Do Moskwy, naszej pierwszej stolicy tronowej.

Wielkie siły nieprzyjaciela wtargnęły w granice Rosji. Wróg idzie, aby zniszczyć naszą ukochaną ojczyznę” – starannie czytała Sonia cieniutkim głosem. Hrabia słuchał z zamkniętymi oczami, w niektórych miejscach gwałtownie wzdychał.

Natasza, siedząc wyprostowana, badawczo spoglądała to na ojca, to na Pierre'a.

Pierre czuł na sobie jej spojrzenie i usiłował nie odwracać się. Hrabina dezaprobowano i gniewnie kiwała głową przy każdym uroczystym zwrocie manifestu. W tych wszystkich słowach widziała tylko to, że niebezpieczeństwo zagrażające jej synowi jeszcze nieprędko minie. Szynszyn złożył usta w drwiącym uśmiechu, najwidoczniej już był przygotowany do kpiny z tego, co mu się najpierw nawinie: z czytania Soni, ze słów, które wypowie hrabia, i wreszcie z samego manifestu, jeśli się nie nadarzy lepszy pretekst.

Przeczytawszy o niebezpieczeństwach zagrażających Rosji, o nadziejach pokładanych przez monarchę w Moskwie, a szczególnie w znamienitej szlachcie, Sonia z drzeniem w głosie, czego powodem była przede wszystkim uwaga, z jaką jej słuchano, przeczytała ostatnie słowa: „Nie omieszkamy sami stanąć wśród naszych poddanych w tej stolicy i w innych miastach naszego państwa, gwoli rady i aby kierować całym naszym pospolitym ruszeniem, zarówno tym, które już zagraża drogę wrogowi, jak i tym, które powołuje się w celu pokonania wroga, gdziekolwiek się pojawi. Zguba, do której wróg zamierza nas doprowadzić, niech spadnie na jego głowę i niech Europa oswobodzona z niewoli wysławia imię Rosji!”

– Tak, to tak! – wykrzyknął hrabia otwierając zwilżone oczy i kilkakrotnie wydał urywane sapnięcie, jak gdyby podsuwano mu pod nos szklanę z mocnym octem. – Niech tylko monarcha rzeknie słowo, a wszystko poświęcimy, niczego nie pożałujemy.

Szynszyn nie zdołał jeszcze wypowiedzieć przygotowanego żartu na temat patriotyzmu hrabiego, gdy Natasza zerwała się ze swego miejsca i pobiegła do ojca.

– Jaki ten papcio wspaniały! – powiedziała całując ojca i znów spojrzała na Fierre'a z nieświadomą kokieterią, która wracała jej wraz z ożywieniem.

– To mi patriotka! – rzekł Szynszyn.

– Wcale nie patriotka, tylko po prostu... – powiedziała z urazą Natasza. – Dla pana wszystko śmieszne, a to bynajmniej nie żarty...

⁵¹ Gra słów niemożliwa do przetłumaczenia; l'espion – szpieg, U champignon – grzyb. Roś. sspum – szpieg.

⁵² Mówienie na ulicy po francusku staje się niebezpieczne.

– Jakie tam żarty! – powtórzył hrabia. – Niech tylko powie słowo, wszyscy pójdziemy... My to nie jacyś tam Niemcy...

– Czy pan zauważył – rzekł Pierre – że powiedziano: „gwoli rady”.

– Wszystko jedno, po co...

Wówczas Pietia, na którego nikt nie zwracał uwagi, podszedł do ojca i czerwony, łamiącym się głosem, to grubym, to cienkim, powiedział:

– Teraz papciowi powiem stanowczo i mateczce też, że jak sobie chcecie, ale powiem stanowczo, puście mnie do wojska, bo przecie ja tak nie mogę... to wszystko...

Hrabina z przerażeniem podniosła oczy ku niemu, załamała ręce i gniewnie zwróciła się do męża.

– Doigrałeś się! – powiedziała. Jednakowoż hrabia natychmiast otrząsnął się ze wzruszenia.

– No, no – rzekł – także mi wojak! Dostyc tych głupstw: trzeba się uczyć.

– To nie głupstwa papciu. Fiedia Oboleński jest młodszy ode mnie, a też idzie, a najważniejsze, że nie mogę się uczyć teraz, kiedy... – Pietia przerwał, poczerwieniał do łez, ale jednak dodał: – kiedy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie.

– Dostyc już głupstw...

– Przecie papcio sam powiedzia, że wszystko poświęcimy.

– Pietia! Powiadam ci, milcz! – krzyknął hrabia oglądając się na żonę, która zbladła i nieruchomymi oczami patrzyła na najmłodszego syna.

– A ja papciowi mówię. I Piotr Kiryłowicz powie...

– A ja ci powiadam – głupstwo, jeszcze mleko ma pod nosem, a już chce do wojska! To ci powiadam – i hrabia wzięwszy ze sobą papiery, pewno dlatego, żeby w gabinecie jeszcze raz je przeczytać przed drzemką, wyszedł z pokoju.

– Piotrze Kiryłowiczu, chodźmy zapalić... Pierre był zmieszany i niezdecydowany. Do tego stanu doprowadziły go oczy Nataszy, które, niezwykle błyszczące i ożywione, zwracały się na niego nieustannie w sposób bardziej niż łaskawy.

– Nie, chyba pójde do domu...

– Jak to do domu, przecież pan chciał wieczór u nas... I tak rzadko pan bywa. A ta moja... – rzekł hrabia dobrodusznie wskazując Nataszę – tylko przy panu jest wesoła...

– Tak, alem zapomniał... Koniecznie muszę do domu... Interesy... – rzekł Pierre z pośpiechem.

– No to do widzenia – rzekł hrabia wychodząc z pokoju.

– Dlaczego pan odjeżdża? Dlaczego pan taki zdenerwowany? Dlaczego?... – zapytała Pierre'a Natasza patrząc mu w oczy wyzywająco.

– „Dlatego, że cię kocham!” – chciał powiedzieć, ale nie powiedział, zaczerwienił się aż do łez i spuścił oczy.

– Dlatego, że lepiej będzie, gdy będę rzadziej bywał u państwa... bo... po prostu mam interesy.

– Dlaczego? Proszę powiedzieć – zaczęła Natasza stanowczo i nagle umilkła. Oboje patrzyli na siebie z przestrachem i zmieszaniem. Pierre usiłował się uśmiechnąć, ale nie mógł: jego uśmiech wyraził cierpienie, milcząc pocałował ją w rękę i wyszedł.

Postanowił sobie, że już nie będzie bywać u Rostowów.

XXI

Po otrzymaniu stanowczej odmowy Pietia poszedł do swego pokoju, zamknął się przed wszystkimi i gorzko płakał. Kiedy przyszedł na herbatę milczący i ponury, z zapłakanymi oczami, wszyscy udali, że nic nie zauważyli.

Nazajutrz przyjechał monarcha. Kilkoro ludzi ze służby Rostowów prosiło, by pozwolono im pójść zobaczyć cesarza. Tego ranka Pietia długo się ubierał, czesał i układał kołnierzyk na wzór ludzi dorosłych. Marszczył brwi przed lustrem, gestykułował, wzruszał ramionami i wreszcie, nic nikomu nie mówiąc, włożył czapkę i wyszedł z domu kuchennym wyjściem, starając się, żeby go nikt nie zauważył. Pietia postanowił iść prosto tam, gdzie był monarcha, i po prostu wytłumaczyć któremuś z szambelanów (Pieti zdawało się, że monarchę zawsze otaczają szambelanowie), że on, hrabia Rostow, pomimo swego młodego wieku pragnie służyć ojczyźnie, że młodość nie może być przeszkodą w wierności i że on gotów... Pietia wybierając się przygotował sobie dużo pięknych słów, które powie szambelanowi.

Pietia liczył, że uda mu się być przedstawionym monarsze właśnie dlatego, że jest dzieckiem (Pietia myślał nawet, jak wszyscy zdumieją się jego młodością), a jednocześnie przez ułożenie kołnierzyka, uczesanie i stateczny, powolny krok chciał uczynić z siebie człowieka dorosłego. Wszelako im dalej szedł, im bardziej go zajmował widok coraz większych tłumów gromadzących się przy Kremlu, tym bardziej zapominał o zachowaniu stateczności i powolności właściwych ludziom dorosłym. Zbliżając się do Kremla, zaczął się już trapić, żeby go nie zduszono w tłumie, przeto zdecydowanie, z groźną miną wystawił łokcie. Ale w bramie Troickiej, pomimo jego stanowczości, ludzie, którzy prawdopodobnie nie wiedzieli, w jak patriotycznym celu szedł na Kreml, tak go przycisnęli do muru, że musiał poddać się i zatrzymać, podczas gdy przez bramę przejeżdżały powozy hucząc pod sklepieniem. Obok Pieti stała baba z lokajem, dwaj kupcy i dymisjonowany żołnierz. Postawszy przez pewien czas w bramie i nie mogąc się doczekać, kiedy przejadą wszystkie ekwipaże, Pietia chciał wcześniej niż inni ruszyć dalej, więc energicznie jął robić łokciami, ale baba stojąca naprzeciwko niego, na którą przede wszystkim skierował swe łokcie, krzyknęła na niego gniewnie:

– Czego się panicz pchasz, widzisz, że wszyscy stoją. Po co leżać!

– I tak wszyscy wleżą – oświadczył lokaj i także jął robić łokciami i już wepchnął Pietię w śmierdzący kąć bramy.

Pietia otarł rękami pot pokrywający mu twarz i poprawił kołnierzyk, który zmiękł od potu, a który w domu ułożył tak ładnie, jak u dorosłych.

Pietia czuł, że wygląda bardzo niereprezentacyjnie, i obawiał się, że jeśli się tak pokaże szambelanom, to go nie dopuszczą do monarchy. Ale z powodu natłoku nie sposób było poprawić na sobie ubrania i przejść na inne miejsce. Jeden z przejeżdżających generałów był znajomym Rostowów.

Pietia chciał poprosić go o pomoc, ale uznał, że to byłoby zaprzeczeniem męstwa. Kiedy wszystkie powozy przejechały, tłum rzucił się i wyniósł również Pietię na plac zapchany ludźmi.

Ludzie stali nie tylko na placu, ale i na skarpach, i na dachach – wszędzie. Jak tylko Pietia znalazł się na placu, usłyszał wyraźnie wypełniające cały Kreml dźwięki dzwonów i radosny gwar tłumu.

Przez pewien czas na placu było przestronnie, gdy wtem wszystkie głowy obnażyły się, wszyscy ruszyli gdzieś naprzód. Pietię tak zgnetli, że nie mógł oddychać, wszyscy zaczęli krzyżeć: „Hura! hura! hura!” Pietia wspinał się na palce, pchał się, szczypał, ale nic nie mógł zobaczyć, prócz ludzi wokół siebie.

Na wszystkich twarzach był jeden i ten sam wyraz roztkliwienia i zachwytu. Jakaś kupcowa stojąca obok Pielu szlochała, a łzy płynęły jej z oczu.

– Ojciec, anioł, ojczulek! – pogadywała ocierając łzy palcami.

– Hura! – krzyżano ze wszystkich stron.

Tłum stał przez chwilę w miejscu, lecz potem znów ruszył naprzód.

Pietia był jak opętany: zacisnął zęby, wytrzeszczył zwierzęco oczy i ruszył do przodu robiąc łokciami i krzyżając:

„Hura!” jak gdyby był gotów w tej chwili zabić i siebie, i wszystkich, ale z boków pchali się ludzie z tak samo zwierzęcymi twarzami, tak samo wołając: „Hura!”

„Oto co znaczy monarcha! – myślał Pietia. – Nie, sam nie mogę podać mu prośby, to zbyt zuchwałe!” Pomimo to wciąż tak samo rozpaczliwie przeciskał się naprzód i spoza pleców ludzi będących przed nim mignęła mu pusta przestrzeń z przejściem wysłanym czerwonym sukniem; w tej samej chwili tłum zakotłosał się do tyłu (z przodu policja odpychała tych, co nazbyt blisko podchodzili do orszaku; monarcha przechodził z pałacu do soboru Uspeńskiego) i Pietia dostał niespodziewanie takiego kuksańca w żebra i został tak przygnieciony, że nagle pociemniało mu w oczach i stracił przytomność. Kiedy przyszedł do siebie, jakiś duchowny z kępką siwiejących włosów z tyłu głowy, w zniszczonej granatowej riasie, prawdopodobnie diak, jedną ręką trzymał go pod pachę, drugą ochraniał przed nacierającym tłumem.

– Zdusili panicza! – mówił diak. – Jak to można!... Ostrożniej... Zgnetli, zgnetli!

Monarcha przeszedł do soboru Uspeńskiego. Tłum się znów rozstał i diak odprowadził bladego i bez tchu Pietię do działka zwanego „Car Puszka”. Kilka osób zaczęło się litować nad Pietia i nagle cały tłum zwrócił się do niego, i już wokół niego zrobił się ścisk. Stojący bliżej usługoivali mu, rozpinali surducik, sadzali na postumencie działka i upominali kogoś – tych, co go zgnetli.

– Takim sposobem można zdusić na śmierć. Do czego to podobne! Taka zbrodnia, grzech! Biedaczek, bladziutki jak chusta – odzywały się głosy.

Pietia wkrótce przyszedł do siebie, na twarz wróciły mu kolory, ból minął, a za tę chwilową przykrość dostało mu się miejsce na armacie i miał nadzieję, że z niej zobaczy monarchę, który powinien tędy wracać. Pietia już nie myślał o podaniu prośby. Gdyby tylko mógł go zobaczyć, już czułby się szczęśliwy!

Podczas nabożeństwa w soborze Uspeńskim – łączącego modły z okazji przybycia monarchy z dziękczynnymi modłami z powodu zawarcia pokoju z Turcją – tłum przeredził się; zjawili się pokrzykujący sprzedawcy kwasu, pierników, maku, którego szczególnym amatorem był Pietia, rozległy się zwyczajne rozmowy. Jakaś kupcowa pokazywała swój rozdarty szal i opowiadała, ile on kosztował; druga opowiadała, że obecnie wszystkie materiały jedwabne zrobiły się drogie. Diak, zbawca Pieti, rozmawiał z urzędnikiem tym, kto teraz asystuje przewielebnemu przy odprawianiu nabożeństwa. Diak kilka razy powtarzał „wraz z klerem”, czego Pietia nie rozumiał. Dwaj młodzi mieszczanie żartowali z dziewczętami gryzącymi orzechy. Te wszystkie rozmowy, a zwłaszcza żarty z dziewczętami były dla chłopca w wieku Pieti bardzo pociągające, ale teraz te rozmowy wcale go nie zajmowały, siedział na swoim wzniesieniu – na działku, i wciąż się

wzruszał myślą o monarsze i o swej dla niego miłości. Zbieg uczucia bólu i strachu, kiedy go zgnieciono, z uczuciem zachwytu jeszcze bardziej spotęgował w nim świadomość powagi tej chwili.

Nagle od strony bulwaru rozległy się strzały armatnie (strzelano dla upamiętnienia pokoju z Turkami), więc tłum gwałtownie ruszył w stronę bulwaru – zobaczyć jak strzelają. Pietia również chciał tam pobiec, ale diak który wziął panicza pod swoją opiekę, nie puścił go. Jeszcze strzelano, kiedy z soboru wybiegli oficerowie, generałowie, szambelanowie, potem już nie z takim pośpiechem wyszli jeszcze inni, znów zdjęli czapki z głów, a ci, co pobiegli patrzeć na działa, biegli z powrotem. Wreszcie z drzwi soboru wyszło jeszcze czterech mężczyzn w mundurach i wstęgach. „Hura! hura!” – znów krzyczał tłum.

– Który? Który? – płaczącym głosem dopytywał się Pietia wokół siebie, ale nikt mu nie odpowiadał, wszyscy byli za bardzo rozentuzjasmowani, więc Pietia, wybrawszy jednego z czterech dostojników, któremu spoza łez radości, jakie mu stanęły w oczach, nie mógł się dobrze przyjrzeć, na nim skupił cały swój zachwyt, choć to nie był monarcha, niesamowitym głosem krzyknął: „Hura!” i postanowił, że nazajutrz, choćby nie wiem co, musi być wojskowym.

Tłum pobiegł za monarchą, odprowadził go do pałacu i zaczął się rozchodzić. Było już późno, Pietia nic nie jadł, pot spływał z niego strumieniami, ale nie wracał do domu, tylko razem z coraz mniejszym, ale jeszcze dość dużym tłumem stał przed pałacem podczas obiadu monarchy, patrzył w okna pałacu, jakby się jeszcze czegoś spodziewał, i jednakowo zazdrościł zarówno dygnitarzom zajeżdżającym przed ganek na obiad do monarchy, jak i migającym w oknach lokajom, którzy usługiwali przy stole.

Podczas obiadu Wałujew spojrzął w okno i rzekł:

– Lud ciągle jeszcze ma nadzieję ujrzeć waszą cesarską mość.

Obiad już się kończył, monarcha wstał dojadając biskopt i wyszedł na balkon. Tłum, z Pietia w środku, pobiegł w stronę balkonu.

– Anioł, ojczulek! Hura! Ojciec!... – krzyczeli ludzie, a wraz z nimi i Pietia, i znów kobiety, i niektórzy co słabsi mężczyźni, a wśród nich i Pietia, rozplakali się ze szczęścia. Dość spory kawałek biskopta, który trzymał w ręce monarcha, odłamał się, spadł na poręcz balkonu, a z poręczy na ziemię. Stojący najbliżej stangret w kaftanie rzucił się na ten kawałek biskoptu i porwał go. Niektórzy z tłumu podbiegli do stangreta. Spostrzegłszy to, monarcha kazał sobie podać talerz z biskoptami i jął rzucać biskopty z balkonu. Oczy Pieti nabiegły krwią, niebezpieczeństwo zgniecienia jeszcze bardziej go podniecało, rzucił się na biskopty. Nie wiedział dlaczego, ale musiał wziąć biskopt z rąk cesarza i nie wolno mu było poddawać się. Podbiegł, zwałił z nóg staruszkę chwytającą biskopt. Staruszka przecie nie uważała się za pokonaną, a choć leżała na ziemi (staruszka chwytiała biskopty, ale nie umiała trafić dłonią), Pietia kolanem odtrącił jej rękę, porwał biskopt i jakby w obawie, by się nie spóźnić, znów krzyknął „hura!” ochryłym już głosem.

Monarcha wszedł do sali, a potem znaczna część tłumu jęła się rozchodzić.

– A mówiłem, żeby jeszcze poczekać, no i wyszło na moje – słyszało się tu i tam radosne głosy w tłumie.

Mimo że Pietia był bardzo szczęśliwy, smutno mu było wracać do domu i wiedzieć, że cała rozkosz tego dnia skończyła się. Z Kremla Pietia poszedł nie do domu, ale do swego kolegi Oboleńskiego, który miał pięnaście lat i który również wstępował do pułku. Kiedy Pietia wrócił do domu, oznajmił stanowczo i twardo, że jeśli go nie puszcza, to ucieknie. Nazajutrz więc, choć jeszcze nie całkiem ustępując, hrabia Ilia Andreicz ruszył na zwiady, gdzie by tu jak najbezpieczniej umieścić Pietię.

XXII

Piętnastego rankiem, w trzy dni potem, przed pałacem Słobodzkim stała niezliczona ilość powozów.

Sale były pełne. W pierwszej znajdowała się szlachta w mundurach, w drugiej brodaci kupcy przy medalach, w granatowych kaftanach. W sali resursy szlacheckiej panowała wrzawa i ruch. Przy jednym dużym stole, pod portretem monarchy, na krzesłach z wysokimi oparciami siedzieli możniejsi magnaci; ale większość szlachty chodziła po sali.

Wszystka szlachta, ci sami, których Pierre widywał codziennie albo w klubie, albo w ich domach, wszyscy byli w mundurach, jedni – z czasów Katarzyny, drudzy – z czasów Pawła, niektórzy – w nowych, z czasów Aleksandra, a jeszcze inni – w powszednich mundurach szlacheckich, owe zaś mundury przydawały coś dziwnego i fantastycznego tym starym i młodym, bardzo różnym i znajomym mym osobistościom. Szczególnie zdumiewali staruszkowie, krótkowzroczni, bezzębni, łysi, opływający żółtym sadłem albo pomarszczeni, chudzi. Ci przeważnie siedzieli i milczeli, a jeśli chodzili i mówili, to przyłączali się do kogoś młodszego. Tak samo jak na twarzach tłumu, który Pietia widział na placu, na wszystkich tych twarzach widniał zdumiewający rys przeciwieństwa między powszechnym oczekiwaniem czegoś uroczystego i między czymś zwykłym, wczorajszym – partią bostona, kucharzem Pietruszką, zdrowiem Zinaidy Dmitriewny itp.

Już od wczesnego rana Pierre, wciśnięty w niewygodny mundur, który stał się dla niego za ciasny, znajdował się w resursie. Był podniecony: niezwykle zebranie nie tylko szlachty, ale i kupiectwa – stanów, *etats generaux*⁵³ – odnowiło w nim szereg dawno porzuconych, ale głęboko wrytych w jego duszy myśli o *Contrat social*⁵⁴ i rewolucji francuskiej. Słowa manifestu, które był zauważył, że monarcha przybędzie do stolicy gwoli narady ze swym narodem, utwierdziły go pod tym względem. Przypuszczając tedy, że zbliża się w tym sensie coś ważnego, coś, na co czekał od dawna, Pierre chodził, przyglądał się, przysłuchiwał rozmowom, ale nigdzie nie znajdował wyrazu tych myśli, które go absorbowwały.

Odczytano manifest, który wywołał zachwyt, potem wszyscy się rozeszli wśród rozmów. Poza rozmowami o zwykłych sprawach Pierre słyszał rozważania, gdzie mają stać marszałkowie w chwili wejścia monarchy, kiedy wydać bal dla monarchy, czy się rozdzielić na powiaty, czy też całą gubernię... itd., ale jak tylko dochodziło do rozmowy o wojnie i o tym, w jakim celu została szlachta zwołana, głosy były niepewne i niejasne. Wszyscy woleli raczej słuchać niż mówić.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku, dobrze zbudowany, przystojny, w mundurze dymisjonowanego oficera marynarki, otoczony ciżbą, mówił w jednej z sal. Pierre zbliżył się do kółka, które sformowało się przy oratorze, i jał się przysłuchiwać. Hrabia Ilia Andreicz, w swym kaftanie wojewodiańskim z czasów Katarzyny, uprzejmie uśmiechnięty, spacerując wśród

⁵³ Stanów Generalnych.

⁵⁴ Umowie społecznej.

ciżby, w której wszystkich znał, również zbliżył się do tej grupy i jał się przysłuchiwać z pocziwym, jak zawsze, kiedy słuchał, uśmiechem, i na znak zgody z przemawiającym aprobująco kiwał głową. Dymisjonowany marynarz mówił nader śmiało (widać to było z wyrazu twarzy słuchających), albowiem ludzie, których Pierre znał jako bardzo potulnych i spokojnych odsuwali się od niego z dezaprobatą lub przeczyli temu, co mówił. Pierre precyzyjnie się do środka kółka, przysłuchiwał się i przekonał, że mówiący istotnie był liberałem, ale zupełnie w innym sensie niż Pierre myślał. Marynarz mówił osobliwie dźwięcznym, śpiewnym, szlacheckim barytonem, z przyjemnym grasejowaniem i skracaniem spółgłosek, takim głosem, jakim się pokrzykuje: „Człó-ek, fajkę!” itp. W jego głosie czuło się nawyk do swobody i do rozkazywania.

– No to co, że smoleńszczanie zaploponowali pospolitaków cesaowi. Czy smoleńszczanie dla nas wzół? Jeśli ślaetna szlachta guberni moskiewskiej uzna za konieczne, to może i w inny sposób okazać moalsze swe oddanie. Albośmy to zapomnieli pospolite łuszenie w łoku siódmym? Jenó hulaki i złodzieje się pobogacili...

Hrabia Ilia Andreicz, słodko się uśmiechając, aprobująco kiwał głową.

– I cóż, czy to nasze pospolitaki przynieśli państwu pożytek? Żadnego! tylko złujnowali nasze gospodałstwa. To już lepszy poból... bo tak właca do nas ni to żołnierz, ni to chłop, czysta łozpusta. Szlachta nie szczędzi swego żywota, sami pójdziemy jak jeden mąż, weźmiemy jeszcze łekłuta i niech tylko cearz (tak wymawiał słowo: cesarz) krzyknie, wszyscy umrzemy za niego – dodał mówca podniecając się.

Ilia Andreicz przełykał z zadowoleniem ślinę i poszturchiwał Pierre'a, ale Pierre również zapragnął mówić. Wysunął się naprzód czując podniecenie, choć nie wiedział, czym jest podniecony, i jeszcze nie wiedział, co powie. Ledwie zdążył otworzyć usta, aby przemówić, gdy jakiś senator, zupełnie bez zębów, z twarzą rozumną i gniewną, który stał blisko mówcy, przerwał Pierre'owi. Widać było, że jest przyzwyczajony do prowadzenia sporów i stawiania kwestii, kiedy zaczął cicho, lecz wyraźnie.

– Sądzę, panie dobrodzieju – mając bezzębnymi ustami rzekł senator – żeśmy zostali tu wezwani nie po to, by rezonować, co w obecnej chwili jest dla państwa korzystniejsze – pobór czy pospolite ruszenie. Jesteśmy wezwani po to, aby odpowiedzieć na manifest, którym nas zaszczycił najjaśniejszy pan. Co się zaś tyczy sprawy, co jest korzystniejsze – pobór czy pospolite ruszenie, to pozostawimy ją decyzji wyższej władzy...

Pierre znalazł nagle ujście dla swego podniecenia. Rozsierdził się na senatora, który do czekających szlachtę zajęć wprowadził taką regularną ograniczoność poglądów. Pierre wystąpił naprzód i przerwał mu. Sam nie wiedział, co będzie mówić, wszelako zaczął z ożywieniem, od czasu do czasu wtrącał słowa francuskie, a po rosyjsku wyrażał się stylem książkowym.

– Przepraszam, ekscelencjo – zaczął (Pierre dobrze się znał z tym senatorem, ale uważał za konieczne zwracać się do niego oficjalnie) – choć nie zgadzam się z panem... (Pierre zająknął się. Miał ochotę powiedzieć: *mon tres honorable preopinant*) z panem... *que je n'ai pas l'honneur de connaitre*,⁵⁵ wszelako sądzą, że stan szlachecki wezwano tu nie tylko do wyrażenia uznania i entuzjazmu, ale także w tym celu, aby rozważyć sposoby, jakimi możemy pomóc ojczyźnie. Sądzą – mówił podniecając się – że monarcha sam byłby niezadowolony, gdyby w nas znalazł tylko właścicieli chłopów, których mu oddajemy, i br... chair a canon, które z siebie robimy, a nie znalazłby w nas ra... ra... rady.

Wielu odstąpiło od kółka, gdy zauważyli pogardliwy uśmiech senatora i to, że Pierre mówi powoli; tylko Ilia Andreicz był zadowolony z przemówienia Pierre'a, jak był zadowolony z przemówienia marynarza, senatora i w ogóle zawsze z tego przemówienia, które słyszał ostatnio.

⁵⁵ Moim wielce szanownym przedmówcą... którego nie mam zaszczytu znać...

– Sądę, że zanim zaczniesz się roztrząsać te kwestie – ciągnął Pierre – powinniśmy prosić monarchę, z jak największym uszanowaniem prosić, by jego cesarska mość zakomunikował nam, ile mamy wojska, w jakim stanie znajduje się nasze wojsko i armia i wtedy...

Jednakowoż Pierre nie zdążył jeszcze dopowiedzieć tych słów, gdy nagle został napadnięty z trzech stron. Najmocniej napadł na niego dawny znajomy, zawsze dobrze do niego usposobiony, gracz w bostona, Stepan Stepanowicz Adraksin. Stepan Stepanowicz był w mundurze, więc czy to z powodu munduru, czy też z innych przyczyn Pierre ujrzał przed sobą zupełnie innego człowieka. Stepan Stepanowicz ze starczą złością, która się nagle uwidoczniła na jego twarzy, krzyknął na Pierre'a:

– Po pierwsze, oznajmiam panu, że nie mamy prawa pytać o to monarchy, po drugie, gdyby nawet rosyjska szlachta miała to prawo, to monarcha nie może nam odpowiedzieć. Wojska posuwają się odpowiednio do ruchów nieprzyjaciela – wojsk ubywa i przybywa...

Inny głos, głos człowieka średniego wzrostu, czterdziestoletniego, którego Pierre dawniej widywał u Cyganów i znał jako niezłego gracza w karty i który – również odmieniony dzięki mundurowi – zbliżył się do Pierre'a i przerwał Adraksinowi.

Zresztą, teraz nie pora na rozważania – mówił głos tego szlachcica – lecz trzeba działać: wojna w Rosji. Wróg nasz idzie, aby zgubić Rosję, aby zbezczęścić groby naszych ojców, aby uprowadzić żony, dzieci. – Szlachcic uderzył się w pierś. – Wszyscy porwiemy się, pójdziemy jak jeden mąż za ojczulka-cara – krzyknął wytrzeszczając oczy nabiegłe krwią. Z ciżby dało się słyszeć kilka aprobujących głosów. – Jesteśmy Rosjanami i nie żal nam będzie krwi w obronie wiary, tronu i ojczyzny. Brednie zaś trzeba porzucić, jesteśmy synami ojczyzny. Pokażemy Europie, jak Rosja powstaje w obronie Rosji – krzyczał szlachcic.

Pierre chciał oponować, ale nie mógł powiedzieć ani słowa. Czuł, że dźwięk jego słów, niezależnie od tego, jaką by zawierały myśl, będzie mniej słyszalny niż dźwięk słów podnieconego szlachcica.

Ilia Andreicz aprobował poza kołem; niektórzy dziarsko obracali się do mówcy i pod koniec przemówienia mówili:

– Tak jest, tak! Właśnie tak!

Pierre pragnął powiedzieć, że i on jest nie od tego, by poświęcić pieniądze, chłopów, siebie, ale trzeba by wiedzieć, jak się sprawy przedstawiają, aby okazać pomoc, lecz nie mógł mówić. Wiele głosów krzychało i mówiło jednocześnie, toteż Ilia Andreicz nie nadążał potakiwać wszystkim; grupa to się zwiększała, to rozpadała, to znów zbierała, aż wreszcie wszyscy razem, hucząc rozmowami, ruszyli do dużej sali, do dużego stołu. Pierre'owi nie tylko że się nie udało przemówić, ale jeszcze w grubiański sposób przerywano mu, odpychano go, odwracano się od niego jak od wspólnego wroga. Działo się tak nie dlatego, by zgromadzeni byli niezadowoleni z treści jego przemówienia, albowiem po wielkiej ilości przemówień, które nastąpiły po jego przemówieniu, zapomnieli o nim, lecz – aby podtrzymać zapał tłumu – należało mieć widomy przedmiot miłości i widomy przedmiot nienawiści. Pierre stał się tym drugim. Wielu mówców przemawiało po ożywionym szlachcicu i wszyscy mówili w tym samym tonie. Wielu mówiło pięknie i oryginalnie.

Wydawca „Herolda Rosyjskiego”, Glinka⁵⁶, którego poznano („Pisarz, pisarz!” – rozległo się w tłumie), powiedział, że piekło należy odpierać piekłem, że widział dziecko, uśmiechające się przy świetle błyskawicy i przy trzasku piorunów, ale my nie będziemy tym dzieckiem.

– Tak, tak, przy trzasku piorunów! – powtarzano z aprobatą w ostatnich szeregach.

⁵⁶ „Russkij Wiestnik”, miesięcznik ukazujący się w Petersburgu w latach 1808–1824 pod redakcją Sergiusza Glinki, był poświęcony „pobudzaniu ducha narodowego współobywateli” i sławieniu oręża rosyjskiego.

Tłum zbliżył się do dużego stołu, przy którym siedzieli – w mundurach, wstęgach – siwi, łysi, siedemdziesięcioletni dygnitarze, których niemal wszystkich Pierre widywał w ich domach z trefniami albo w klubach przy kartach. Tłum zbliżał się do stołu nie przestając huczeć. Przyciśnięci z tyłu do wysokich poręczy krzesel przez napierający tłum, mówcy przemawiali jeden po drugim, a niekiedy i dwaj jednocześnie. Stojący z tyłu spostrzegali, czego mówca nie dopowiedział, i spieszyli powiedzieć to, co opuszczono. W tym gorącu i ciasnocie niektórzy szperali w swoich głowach, czy nie znajdzie się tam jakaś myśl, i czym prędzej ją wygłaszali. Staruszkowie dygnitarze, których Pierre znał, siedzieli i spoglądali jeden na drugiego, a większość z nich miała taki wyraz twarzy, który mówił tylko tyle, że jest im bardzo gorąco. Jednakowoż Pierre czuł się bardzo wzburzony, a powszechne pragnienie, by okazać, że wszystko to mamy sobie za nic, które wyrażało się bardziej w dźwiękach i wyrazie twarzy niż w treści przemówień, udzielało się i jemu. Nie wyrzekał się swych myśli, ale czuł się winny i pragnął się usprawiedliwić.

– Powiedziałem tylko, że byłoby nam poręczniej czynić ofiary, gdybyśmy wiedzieli, co jest potrzebne – powiedział starając się przekrzyczeć inne głosy.

Pewien staruszek siedzący najbliżej obejrzał się na niego, ale natychmiast uwagę jego odwrócił krzyk, który powstał przy drugim końcu stołu.

– Tak. Moskwa będzie oddana! Ona będzie odkupicielką! – krzyczał jeden.

– To wróg rodzaju ludzkiego – krzyczał drugi. – Pozwólcie, że ja powiem... Panowie, zadusicie mnie!...

XXIII

Tymczasem tłum szlachty rozstał się przed hrabią Rastopczyńskim, który wszedł szybkimi krokami – w generalskim mundurze, ze wstęgą przez ramię, z wysuniętym podbródkiem, z bystrymi oczyma.

– Jego cesarska moc zaraz przybędzie – oświadczył Rastopczyński – właśnie wracam stamtąd. Sądzę, że w położeniu, w jakim się znajdujemy, nie ma co wiele rozważać. Monarcha raczył zebrać nas i kupiectwo – rzekł hrabia Rastopczyński. – Stamtąd popłyną miliony (wskazał na salę kupców), naszą zaś rzeczą jest wystawić pospolite ruszenie i nie szczędzić siebie... Tyle przynajmniej możemy zrobić!

Rozpoczęły się narady tylko między dygnitarzami siedzącymi przy stole. Sama narada odbyła się bardziej niż spokojnie. Wydawała się nawet smutna, kiedy po poprzednim hałasie słyszano się starcze głosy mówiące: „Zgadzą się”, albo dla odmiany: „I ja jestem tego samego zdania” itd.

Polecono sekretarzowi napisać uchwałę szlachty moskiewskiej, że moskwianie, podobnie jak szlachta smoleńska, ofiarowują po dziesięciu ludzi z tysiąca i całkowite umundurowanie. Panowie z narady wstali jakby z ulgą, jeśli z hałasem odsuwać krzesła i spacerować po sali, by rozprostować nogi, ujmowali tego i owego pod rękę i rozmawiali.

– Monarcha! Monarcha! – rozległo się nagle po salach i cały tłum pobiegł ku wejściu.

Szerokim przejściem między dwiema ścianami szlachty monarcha wszedł do sali. Na wszystkich twarzach malowała się ciekawość pełna czci i lęku. Pierre stał dość daleko i nie mógł dobrze słyszeć przemówienia monarchy. Z tego, co dosłyszał, zrozumiał tyle, że monarcha mówi o niebezpieczeństwie, w jakim znalazło się państwo, i o nadziejach, jakie pokładał w szlachcie moskiewskiej. Monarsze odpowiedział drugi głos, który oznajmił o dopiero co powziętej przez szlachtę uchwale.

– Panowie! – rzekł monarcha drżącym głosem: tłum poruszył się i znów ucichł i Pierre wyraźnie usłyszał ujmująco ludzki i wzruszony głos monarchy, który mówił: – Nigdy nie wątpiłem o gorliwości rosyjskiej szlachty. Wszelako dziś przeszła ona moje oczekiwania. Dziękuję wam w imieniu ojczyzny. Panowie, będziemy działać. Czas – oto co dziś najcenniejsze.

Monarcha umilkł, tłum jął się cisnąć wokół niego, ze wszystkich stron rozległy się entuzjastyczne okrzyki.

– Tak, najcenniejsze... słowo carskie – mówił z tyłu szlochający głos liii Andreicza, który nic nie słyszał, jednakowoż wszystko rozumiał po swojemu.

Z sali szlacheckiej monarcha przeszedł do sali kupiectwa.

Był tam około dziesięciu minut. Pierre i inni zobaczyli monarchę wychodzącego z sali kupiectwa ze łzami wzruszenia w oczach. Jak się potem dowiedziano, monarsze łzy trysnęły z oczu, gdy tylko zaczął przemawiać do kupców, i dokończył mowy drżącym głosem. Kiedy Pierre zobaczył monarchę, cesarz wychodził odprowadzany przez dwóch kupców. Jednego, tego liweranta, Pierre znał, drugim był naczelnik, z chudą, żółtą twarzą o wąskiej brodzie.

Obaj płakali. Chudy miał łzy w oczach, ale tęgi liwerant szlochał jak dziecko i ciągle powtarzał:

– I życie, i majątek bierz, najjaśniejszy panie! W tej chwili Pierre nie czuł już nic prócz pragnienia, by pokazać, że o nic nie stoi, że wszystko gotów jest poświęcić. Teraz wyrzucał sobie swoje przemówienie o charakterze konstytucyjnym i szukał sposobności, by je zetrzeć. Dowiedziawszy się, że hrabia Mamonow wystawia pułk, Bezuchow natychmiast oznajmił hrabiemu Rastopczynowi, że daje tysiąc ludzi i utrzymanie dla nich.

Stary Rostow nie mógł bez łez opowiedzieć żonie o tym, co było, i teraz zgodził się na prośbę Pieti i sam pojechał go zapisać.

Nazajutrz monarcha wyjechał. Zebrana szlachta pozdejmowała mundury, znów wszyscy rozsiedli się w domach i klubach, pochrząkując wydawali administratorom rozkazy co do pospolitego ruszenia i dziwili się temu, co uczynili.

CZEŚĆ DRUGA

I

Napoleon rozpoczął wojnę z Rosją dlatego, że nie mógł nie przyjechać do Drezna, nie mógł nie odurzyć się honorami, nie mógł nie włożyć polskiego munduru, nie poddać się zachęcającemu do działania wrażeniu czerwcowego poranka, nie mógł się powstrzymać od wybuchu gniewu w obecności Kurakina, a potem Bałaszewa.

Aleksander uchylał się od wszelkich pertraktacji dlatego, że osobiście czuł się dotknięty. Barciay de Tolly starał się jak najlepiej dowodzić armią, aby spełnić swój obowiązek i zdobyć reputację wielkiego wodza. Rostow rzucił się do ataku na Francuzów, nie mógł bowiem oprzeć się pragnieniu jazdy po równym polu. I tak właśnie działały na skutek swych osobistych właściwości, nawyków, warunków i celów wszystkie te niezliczone osobistości uczestniczące w tej wojnie. Ci ludzie bali się, chełpili, cieszyli, oburzali, rozważali, sądząc, że wiedzą, co robią, i że to robią dla siebie, wszyscy zaś byli mimowolnymi narzędziami historii i wykonywali pracę dla nich tajemną, lecz dla nas zrozumiałą. Taki jest niezmienny los wszystkich ludzi działających, i tym mniej są oni w swoim działaniu swobodni, im wyżej stoją w hierarchii ludzkiej.

Obecnie działacze 1812 roku dawno opuścili swe stanowiska, ich osobiste sprawy zniknęły bez śladu i mamy przed sobą wyłącznie historyczne rezultaty tego czasu.

Opatrzność zmuszała tych wszystkich ludzi, dążących do osiągnięcia swych osobistych celów, do współdziałania w osiągnięciu jednego ogromnego rezultatu, którego żaden człowiek (ani Napoleon, ani Aleksander, ani tym bardziej żaden z uczestników wojny) bynajmniej się nie spodziewał.

Teraz stało się jasne, co w roku 1812 było przyczyną zguby armii francuskiej. Teraz nikt nie będzie się spierał, że przyczyną zguby francuskich wojsk Napoleona było z jednej strony to, że wtargnęły w głąb Rosji późno i bez przygotowania się do zimowej kampanii, z drugiej zaś strony – obrót, jaki wzięła wojna po spaleniu rosyjskich miast i obudzeniu się w narodzie rosyjskim nienawiści do wroga. Wszelako wówczas nikt nie przewidział tego (co teraz wydaje się oczywiste), że tylko w ten sposób mogła zginąć ośmiusettyśieczna, najlepsza na świecie i dowodzona przez najlepszego wodza armia w starciu z mniejszą o połowę armią rosyjską, niedoświadczoną i dowodzoną przez niedoświadczonych wodzów, nie tylko nikt tego nie przewidział, ale wszystkie wysiłki ze strony Rosjan stale zmierzały do tego, by przeszkodzić jedynej rzeczy, która mogła ocalić Rosję; również ze strony Francuzów, mimo doświadczenia i tak zwanego geniuszu wojennego Napoleona, wszystkie wysiłki były skierowane na to, aby w końcu lata rozciągnąć wojska aż pod Moskwę, to znaczy, zrobić właśnie to, co musiało ich zgubić.

W dziełach historycznych o roku 1812 autorzy francuscy bardzo lubią mówić o tym, że Napoleon czuł niebezpieczeństwo wynikające z rozciągnięcia swych połączeń, że szukał bitwy,

że jego marszałkowie radzili mu zatrzymać się w Smoleńsku, i lubią przytaczać wiele innych podobnych dowodów na potwierdzenie, że już wówczas rozumiano niebezpieczeństwo kampanii; rosyjscy zaś autorzy jeszcze bardziej lubią mówić o tym, że na początku kampanii istniał plan wojny scytyjskiej – zwabienia Napoleona w głąb Rosji, i jedni przypisują ten plan Pfuelowi, drudzy zaś jakiemuś Francuzowi, inni Barciayowi de Tolly, a jeszcze inni samemu cesarzowi Aleksandrowi, i powołują się na memoriały, na projekty i listy, w których istotnie znajdują się aluzje do tego rodzaju działań. Jednakowoż owe aluzje do przewidywania tego, co się zdarzyło – zarówno ze strony Francuzów, jak i ze strony Rosjan – przypomina się teraz tylko dlatego, że potwierdza je wydarzenie. Jeśliby to wydarzenie nie było się dokonało, owe aluzje poszłyby w zapomnienie, jak teraz poszło w zapomnienie tysiące i miliony sprzecznych aluzji i przypuszczeń, które podówczas były w obiegu, wszelako zostały zapomniane, albowiem okazały się nieusprawiedliwione. Co do wyniku każdego zachodzącego wydarzenia bywa mnóstwo przypuszczeń i jakkolwiek by się ono skończyło, zawsze znajdą się ludzie, którzy powiedzą: „Jeszcze wtedy mówiłem, że tak będzie”, zapominając zupełnie, że wśród niezliczonego mnóstwa przypuszczeń były i przypuszczenia całkowicie przeciwne.

Przypuszczenia, że Napoleon miał świadomość niebezpieczeństwa rozciągnięcia połączeń, a Rosjanie – wciągnięcia nieprzyjaciela w głąb Rosji, należą najwidoczniej do tego rodzaju, przeto tylko z dużą trudnością historycy mogą Przypisywać takie rozumowanie Napoleonowi i jego marszałkom i takie plany – rosyjskim dowódcom wojsk. Wszystkie fakty absolutnie przeczą takim domniemaniom. Przez cały czas wojny Rosjanie nie tylko nie pragnęli zwabić Francuzów w głąb Rosji, ale i robili wszystko, by od chwili wkroczenia ich do Rosji zatrzymać ich, Napoleon zaś nie tylko nie bał się rozciągnięcia swych połączeń, lecz cieszył się jak z triumfu z każdego kroku naprzód, toteż bardzo opieszale, nie tak jak w poprzednich swych kampaniach, szukał bitwy.

Na samym początku kampanii nasze armie są rozdzielone, jedyny przeto cel, do którego dążymy, polega na tym, żeby je połączyć, choć aby się cofać i wciągać nieprzyjaciela w głąb kraju, połączenie armii nie jest konieczne. Cesarz znajduje się przy armii, aby ją natchnąć do obrony każdej piędzi rosyjskiej ziemi, a nie do cofania się. Buduje się nad Dryssą olbrzymi obóz wedle planów Pfuela i nie projektuje się dalszego odwrotu. Monarcha czyni dowódcem wyrzuty z powodu każdego kroku w tył. Monarcha nie wyobraża sobie nie tylko spalania Moskwy, ale nawet dopuszczenia nieprzyjaciela do Smoleńska, kiedy zaś armie łączą się, monarcha jest oburzony, iż Smoleńsk został wzięty i spalony i że pod jego murami nie wydano walnej bitwy.

Tak myśli cesarz, jednak wodzowie rosyjscy i wszyscy Rosjanie jeszcze bardziej oburzają się na myśl, że nasi odstepują w głąb kraju.

Napoleon odciąwszy armie, posuwa się w głąb kraju i kilkakrotnie pomija nadarzającą się sposobność do bitwy. W sierpniu jest w Smoleńsku i myśli tylko o tym, by iść jeszcze dalej, choć, jak to obecnie widzimy, to posuwanie się naprzód jest najoczywściej dla niego zgubne.

Fakty przemawiają najoczywściej, że ani Napoleon nie przewidział niebezpieczeństwa marszu na Moskwę, ani Aleksander i rosyjscy dowódcy nie myśleli wówczas o wciągnięciu Napoleona w pułapkę, lecz myśleli o czymś przeciwnym. Wciągnięcie Napoleona w głąb kraju nastąpiło nie wedle czyjegoś planu (nikt nie wierzył, że to możliwe), lecz nastąpiło na skutek nader skomplikowanej gry, intryg, celów, pragnień ludzi – uczestników wojny, którzy nie odgadli ani tego, co powinno być, ani tego, co było jedynym ocaleniem Rosji. Wszystko dzieje się nieoczekiwanie. Armie zostały rozdzielone na początku kampanii. Staramy się je połączyć, a cel tego jest widoczny: wydać bitwę i powstrzymać nieprzyjaciela, wszelako tym dążeniem do połączenia armii przy unikaniu potyczek z silniejszym nieprzyjacielem i mimowolnym cofaniem się pod ostrym kątem – doprowadzamy Francuzów do Smoleńska. Nie dość jednak powiedzieć,

że odstępujemy pod ostrym kątem dlatego, że Francuzi posuwają się między obydwoma armiami – kąt ten staje się jeszcze ostrzejszy i odstępujemy jeszcze dalej, dlatego że Barclaya de Tolly, niepopularnego Niemca, nienawidzi Bagration (który ma iść pod jego rozkazy), Bagration zaś, dowodzący drugą armią, stara się jak najdłużej nie połączyć z Barclayem, żeby nie pójść pod jego rozkazy. Bagration długo się nie przyłącza (choć to połączenie jest głównym celem wszystkich dowódców), albowiem wydaje mu się, że tym marszem narazi na niebezpieczeństwo swoją armię i że dla niego korzystniej będzie odstępować bardziej na lewo i na południe, niepokoić nieprzyjaciela z flanku i na tyłach i uzupełnić swoją armię na Ukrainie. A przy tym zdaje się, iż obmyślił to również i dlatego, że nie miał ochoty iść pod rozkazy znienawidzonego i młodszego rangą Niemca, Barciaya.

Cesarz znajduje się przy armii, aby dodać jej ducha, a tymczasem jego obecność i niepewność decyzji oraz olbrzymia ilość doradców i planów – wszystko to niweczy energię działań pierwszej armii, i armia cofa się.

Planowano, by zatrzymać się w obozie nad Dryssą, wszelako Paulucci, który marzy o naczelnym dowództwie, niespodziewanie wpływa swą energią na Aleksandra, więc cały plan Pfuela zostaje odrzucony i wszystko powierza się Barciayowi. Ponieważ jednak Barciay nie wzbudza zaufania, władza jego zostaje ograniczona.

Armie są rozczłonkowane, nie ma jedności wśród dowództwa, Barciay – niepopularny, jednakowoż z tej gmatwaniny, rozczłonkowania i niepopularności naczelnego wodza-Niemca wypływa, z jednej strony, niezdecydowanie i unikanie bitwy (od której nie można by się było powstrzymać, gdyby armie były razem i gdyby nie Barciay był dowódcą), z drugiej zaś strony – coraz większe oburzenie na Niemców i budzenie się patriotycznego ducha.

Wreszcie monarcha opuszcza armię, za jedyny zaś i najwygodniejszy pretekst jego odjazdu wybiera się pomysł, że powinien natchnąć ludność obu stolic i pobudzić ją do wojny narodowej. I ten wyjazd monarchy do Moskwy potraja siły rosyjskiego wojska.

Monarcha opuszcza armię dlatego, by nie krępować władzy naczelnego wodza, i dlatego, że spodziewa się, iż zostaną podjęte bardziej stanowcze kroki, jednakowoż położenie dowództwa armii staje się jeszcze bardziej zagmatwane i słabnie. Bennigsen, wielki książę i rój generałów-adiutantów pozostają przy armii, aby dawać baczenie na działania naczelnego wodza i podniecać jego energię. Barciay tedy, czując jeszcze mniej swobody pod nadzorem tych oczu monarszych, staje się jeszcze ostrożniejszy w decydujących poczynaniach i unika bitwy.

Barciay obstaje za ostrożnością. Cesarzewicz robi aluzje do zdrady i domaga się generalnej bitwy. Lubomirski, Branicki,

Włocki i im podobni tak rozdmuchują te hałasy, że Barciay, pod pretekstem dostarczenia dokumentów monarsze, odsyła do Petersburga generał-adiutantów – Polaków i zaczyna prowadzić otwartą walkę z Bennigsenem i wielkim księciem.

W Smoleńsku wreszcie, aczkolwiek Bagration bardzo tego nie chciał, armie łączą się.

Bagration zajeżdża kareta przed dom zajęty przez Barclaya.

Barciay nakłada szarfę, wychodzi na spotkanie i składa raport starszemu rangą Bagrationowi. Bagration w tym pojedynku wielkoduszności, mimo że starszy rangą, oddaje się pod komendę Barciayowi, jednakowoż podporządkowany mu mniej się z nim zgadza niż kiedykolwiek. Jak mu monarcha polecił, Bagration osobiście składa Barciayowi raporty. Pisze do Arakczejewa:

Wola monarsza, wszakże ja z ministrem (Barciayem) nie mogę w żaden sposób pracować. Na miłość boską, proszę mnie gdzieś posłać, choćby na dowódcę pułku, bo tu być nie mogę, w kwaterze głównej tak pełno Niemców, że dla Rosjanina nie ma tu miejsca, a sensu żadnego w tym nie widzę. Myślałem, że naprawdę służę monarsze i ojczyźnie, a wychodzi na to, że służę

Barciayowi. Przyznam się, że nie chcę.

Rój Branickich, Wintzingerodów i im podobnych jeszcze bardziej zatruwa stosunki między dowódcami, i jest jeszcze mniej jedności. Zabierają się do zaatakowania Francuzów pod Smoleńskiem. Posyła się generała, by upatrzył pozycję. Ów generał, który nienawidzi Barciaya, jedzie do swego przyjaciela dowodzącego korpusem, siedzi u niego cały dzień, wraca do Barciaya i krytykuje punkt po punkcie wybór pola przyszłej bitwy, którego nie widział.

Podczas gdy toczą się spory i intrygi co do przyszłego pola bitwy, szukamy Francuzów, mylimy się co do miejsca, w którym się znajdują, a tymczasem Francuzi natykają się na dywizję Niewierowskiego i podchodzą tuż pod mury Smoleńska.

Trzeba przyjąć niespodziewaną bitwę pod Smoleńskiem, aby ratować swe połączenia. Wydaje się bitwę. Padają tysiące po jednej i po drugiej stronie.

Smoleńsk zostaje oddany wbrew woli monarchy i całego narodu. Wszelako Smoleńsk palą sami mieszkańcy, których oszukał ich własny gubernator, a zrujnowani mieszkańcy udają się do Moskwy, myśląc tylko o swych stratach i rozpalając nienawiść do wroga, czym dają przykład innym Rosjanom. Napoleon idzie dalej, my odступujemy i dokonuje się to, co miało zgubić Napoleona.

II

Nazajutrz po odjeździe syna ksiązę Mikołaj Andreicz wezwał do siebie księżniczkę Marię.

– No i cóż, jesteś teraz zadowolona? – rzekł do niej. – Pokłóciłaś mnie z synem! Zadowolonaś? Tego ci właśnie było trzeba! Zadowolonaś?... A mnie to boli, boli. Jestem stary i słaby, a tyś tego chciała. No to się ciesz... – I potem przez cały tydzień księżniczka Maria nie widziała ojca. Był chory i nie opuszczał gabinetu.

Księżniczka Maria zauważyła ku swemu zdziwieniu, że podczas choroby stary ksiązę nie dopuszczał do siebie również i m-lle Bourienne. Tylko Tichon go pielęgnował.

Po tygodniu ksiązę wyzdrowiał i znów rozpoczął poprzedni tryb życia, ze szczególną energią zajmując się budownictwem i ogrodami, wszelako dawne stosunki z m-lle Bourienne zerwał. Jego mina i chłodny ton wobec księżniczki Marii jakby jej mówiły: „Widzisz coś wymyśliła, nałgałaś księciu Andrzejowi o mym stosunku do tej Francuzki i pokłóciłaś mnie z nim, a przecież widzisz, że ani ty nie jesteś mi potrzebna, ani Francuzka”.

Pół dnia księżniczka Maria spędzała u Nikołuszki nadzorując jego lekcje, sama uczyła go rosyjskiego oraz muzyki, i rozmawiała z Desalles'em; drugą część dnia spędzała nad książkami, ze staruszką nianią, z bożymi ludźmi, którzy czasami przychodzili do niej przez kuchenny ganek.

O wojnie księżniczka Maria myślała tak, jak myślą kobiety. Lękała się o brata, który był tam, nie rozumiała i bała się ludzkiego okrucieństwa, które kazało im mordować się wzajemnie; jednakowoż nie rozumiała znaczenia tej wojny, która się jej wydawała taka sama jak i wszystkie poprzednie wojny. Nie rozumiała znaczenia tej wojny, mimo że Desalles, jej stały interlokutor, interesujący się namiętnie przebiegiem wojny, starał się wytłumaczyć jej swoje racje, mimo że odwiedzający ją boży ludzie po swojemu ze strachem przynosili jej wieści ludowe o najeździe Antychrysta, mimo że Julie, obecna księżna Drubecka, która wznowiła z nią korespondencję, pisywała do niej z Moskwy patriotyczne listy.

Piszę do Ciebie po rosyjsku, moja dobra przyjaciółko – pisała Julie – albowiem żywię nienawiść do wszystkich Francuzów, jak również do ich języka, i nie mogę ścierpieć słysząc, jak się nim mówi... My w Moskwie wszyscy jesteśmy pełni entuzjazmu dla naszego uwielbianego cesarza.

Mój biedny mąż znosi trudy i głód w żydowskich karczmach, wszakże nowiny, jakie mam, dodają mi jeszcze więcej zapału.

Słyszałaś na pewno o bohaterskim czynie Rajewskiego, który uściskawszy swoich dwóch synów oświadczył: Zginę wraz z nimi, ale się nie załamamy!» I rzeczywiście, choć nieprzyjaciel był dwukrotnie silniejszy od nas, nie załamaliśmy się. Spędzamy czas, jak możemy, ale na wojnie, jak to na wojnie. Księżna Alina i Sophie siedzą ze mną całymi dniami, zaś my, nieszczęsne wdowy po żyjących mężach, skubiąc szarpie prowadzimy rozmowy o rzeczach wzniosłych; tylko Ciebie nam brak, moja przyjaciółko... itd.

Księżniczka Maria nie rozumiała znaczenia tej wojny przede wszystkim dlatego, że stary książę nigdy o niej nie mówił, nie uznawał jej i podczas obiadu wyśmiewał Desalles, który o tej wojnie mówił. Ton księcia był tak spokojny i pewny, że księżniczka Maria wierzyła mu nie wdając się w rozważania.

Przez cały lipiec stary książę był bardzo czynny i nawet ożywiony. Założył jeszcze jeden sad i dobudował jeszcze jedną oficynę dla czeladzi dworskiej. Jedyne, co księżniczkę Marię niepokoiło, było to, że mało sypiał, że zaniechał zwyczaju sypiania w gabinecie i co dzień zmieniał miejsce noclegu. Albo kazał sobie rozstawiać w galerii polowe łóżko, albo pozostawał na kanapie lub też w fotelu wolterowskim w salonie i drzemał nie rozbierając się, a podczas drzemki, już nie m-lle Bourienne mu czytała, tylko mały Pietrusza, albo też nocował w jadalni.

Pierwszego sierpnia otrzymano drugi list od księcia Andrzeja. W pierwszym liście, który otrzymano wkrótce po jego odjeździe, książę Andrzej pokornie prosił ojca o przebaczenie za to, co pozwolił sobie mu powiedzieć, i prosił o przywrócenie mu ojcowskiej łaski. Na ten list stary książę odpowiedział mu dobrotliwym listem i po tym liście odsunął od siebie Francuzkę. Drugi list Andrzeja, pisany spod Witebska po zajęciu go przez Francuzów, składał się z krótkiego opisu całej kampanii, z planu narysowanego w liście oraz z rozważań nad dalszym przebiegiem kampanii. W tym liście książę Andrzej przedstawił ojcu złe strony przebywania w pobliżu teatru wojny, na linii ruchu wojsk, i radził wyjazd do Moskwy.

Tego dnia podczas obiadu, kiedy Desalles powiedział, że – jak słyhać – Francuzi wkroczyli już do Witebska, stary książę przypomniał sobie o liście księcia Andrzeja.

– Dostałem list od księcia Andrzeja – rzekł do księżniczki Marii – nie czytałaś?

– Nie, *mon pere*⁵⁷ – odrzekła z przestachem księżniczka. Nie mogła czytać listu, bo nawet nie wiedziała, że przyszedł.

– Pisz o tej tam wojnie – rzekł książę z tym zwykłym już wzgardliwym uśmiechem, z jakim mówił o obecnej wojnie.

– To powinno być ciekawe – rzekł Desalles. – Książę może wiedzieć...

– Ach, bardzo ciekawe! – rzekła m-lle Bourienne.

– Proszę iść i przynieść mi – stary książę zwrócił się do m-lle Bourienne. – Wie pani, na stoliku, pod przyciskiem.

M-lle Bourienne zerwała się radośnie.

– Ach, nie – zawołał książę zachmurzywszy się. – Ty idź, Michale Iwanyczu!

Michał Iwanycz wstał i poszedł do gabinetu. Ale jak tylko wyszedł, stary książę, oglądając się niespokojnie, rzucił serwetkę i sam poszedł.

– Nic nie potrafią, wszystko mi pomieszają.

Poszedł. Księżniczka Maria, Desalles, m-lle Bourienne i nawet Nikołoszka milcząc wymieniali ze sobą spojrzenia. Stary książę powrócił spieszonym krokiem, w towarzystwie Michała Iwanycza, z listem i planem, które położył blisko siebie podczas obiadu, nikomu nie pozwalając czytać.

Kiedy wszedł do bawialni, podał list księżniczce Marii i rozłożywszy przed sobą plan nowej budowli utkwiał w nim oczy, a księżniczce Marii kazał czytać na głos. Przeczytawszy list księżniczka Maria spojrzała pytająco na ojca. A on patrzył na plan, widocznie pogrążony w swych myślach.

– Co książę pan o tym myśli? – Desalles pozwolił sobie zwrócić się z pytaniem.

– Ja? Ja?... – rzekł książę, jakby budząc się nieprzyjemnie, nie spuszczać oczu z planu

⁵⁷ Ojciec.

budowli.

– Bardzo możliwe, że teatr wojny tak zbliży się do nas...

– Cha! cha! cha! Teatr wojny! – rzekł książę. – Mówiłem i mówię, że teatrem wojny jest Polska, że nieprzyjaciel nigdy nie przedostanie się nawet za Niemen.

Desalles ze zdziwieniem spojrział na księcia mówiącego o Niemnie, kiedy nieprzyjaciel był już nad Dnieprem; wszelako księżniczka Maria, zapomniawszy o geograficznym położeniu Niemna, sądziła, że to, co ojciec mówi, jest prawdą.

– Jak się zaczną roztopy, potoną w polskich błotach. Tylko oni mogą sobie z tego nie zdawać sprawy – rzekł książę myśląc widocznie o kampanii 1807 roku, która, jak mu się zdawało, była tak niedawno. – Bennigsen powinien był wcześniej wkroczyć do Prus, a rzeczy wzięłyby zupełnie inny obrót...

– Wszakże, książę – rzekł Desalles nieśmiało – w liście jest mowa o Witebsku...

– Co, w liście? Tak... – wyrzekł książę z niezadowoleniem. – Tak, tak... – twarz jego spochmurniała nagle. Umilkł. – Tak, pisze, że Francuzi zostali rozbici – nad jaką to rzeką?

Desalles spuścił oczy.

– Książę nic o tym nie pisze – rzekł cicho.

– Nie pisze? Chyba sam tego nie wymyśliłem. – Wszyscy długo milczeli.

– Tak... tak... Ano, Michale Iwanyczu – rzekł z nagłą podnosząc głowę i pokazując na plan budowy – odpowiedz no, jak to chcesz przerobić...

Michał Iwanycz podszedł do planu, książę zaś porozmawiawszy z nim o planie nowej budowli, spojrział gniewnie na księżniczkę Marię i na Desalles'a i poszedł do siebie.

Księżniczka Maria widziała zmieszane i zdziwione spojrzenie Desalles'a zwrócone na jej ojca, zauważyła jego milczenie i była zaskoczona tym, że ojciec list od syna zostawił na stole w bawialni, nie tylko się bała mówić z Desalles'em i pytać go o przyczynę jego zmieszania i milczenia, ale nawet bała się myśleć o tym.

Wieczorem książę przysłał Michała Iwanycza do księżniczki Marii po list księcia Andrzeja, który zostawił w bawialni. Księżniczka Maria podała list. Choć było jej nieprzyjemnie, jednak pozwoliła sobie zapytać Michała Iwanycza, co robi ojciec.

– Ciągłe się książę pan krząta – odpowiedział Michał Iwanycz z uśmiechem uszanowania, ale i drwiny, który przyprawił księżniczkę Marię o błądność. – Bardzo się trapi o nową oficynę. Troszkę poczytał, a teraz – rzekł Michał Iwanycz znizywszy głos – siedzi przy biurku, prawdopodobnie zajął się testamentem. (W ostatnich czasach jednym z ulubionych zajęć księcia była praca nad papierami, które miały pozostać po jego śmierci, a które nazywał testamentem).

– A czy książę posyła Ałpatycza do Smoleńska? – zapytała księżniczka Maria.

– A jakże, już dawno czeka.

III

Kiedy Michał Iwanycz wrócił z listem do gabinetu, książę – w okularach, z daszkiem nad oczami i przy osłoniętych abażurach świec – siedział przed otwartym biurkiem trzymając papiery na odległość wyciągniętej ręki i w tej nieco patetycznej pozie czytał te dokumenty (remarques, jak je nazywał), które po jego śmierci miały być doręczone monarsze.

Kiedy Michał Iwanycz wszedł, książę miał w oczach łzy, wspominał bowiem te czasy, kiedy pisał to, co teraz czytał. Wziął list z rąk Michała Iwanycza, schował do kieszeni, ułożył papiery i wezwał Ałpatycza, który już dawno czekał.

Książę miał zapisane na kartce, co trzeba było załatwić w Smoleńsku, i chodząc po pokoju obok czekającego przy drzwiach Ałpatycza jął wydawać polecenia.

– Po pierwsze, papieru listowego, słyszysz, osiem libr, wedle tego wzoru, ze złożonymi brzegami... wzór, żeby koniecznie był wedle wzoru, lakier, lak – wedle zapiski Michała Iwanycza.

Pochodził po pokoju i zajrzał do notatki.

– Potem osobiście oddać gubernatorowi list o zapisie. Jeszcze potrzebne były zasuw do drzwi nowej oficyny, koniecznie takiego wzoru, jaki wymyślił sam książę. Potem trzeba było obstałować okutą skrzyńeczkę na testament.

Wydawanie poleceń Ałpatyczowi trwało przeszło dwie godziny. Książę wciąż go nie odprawiał. Usiadł, zamyślony, i zamknawszy oczy zapadł w drzemkę. Ałpatycz poruszył się.

– No idź, idź, jeśli coś będzie trzeba, to przyślę.

Ałpatycz wyszedł. Książę znów podszedł do biurka, zajrzał do niego, dotknął ręką swych papierów, znów zamknął i usiadł przy stole, by napisać list do gubernatora.

Już było późno, kiedy zapieczętował list i wstał. Chciało mu się spać, ale wiedział, że nie usnie i że w łóżku przychodzą mu do głowy najgorsze myśli. Zawołał Tichona i razem z nim szedł przez pokoje, żeby mu powiedzieć, gdzie ma ustawić łóżko na dzisiejszą noc. Chodził wybierając odpowiedni kącik.

Wszędzie wydawało mu się niedobrze, ale chyba najgorsza była kanapa w gabinecie, na której przywykł sypiać. Ta kanapa była dla niego straszna, prawdopodobnie ze względu na ciężkie myśli, jakie mu się nasuwały, gdy leżał na niej. Nigdzie nie było dobrze, już najlepszy był kącik za fortepianem w bawialni: jeszcze nigdy tu nie spał.

Tichon i służący przynieśli tu łóżko i zaczęli rozstawiać.

– Nie tak, nie tak! – zawołał książę i sam odsunął łóżko na pół stopy dalej od kąta, a potem znów przysunął.

„No, wreszcie wszystko odrobiłem, teraz odpocznę” pomyślał książę i pozwolił, żeby Tichon go rozebrał. Krzywiąc się gniewnie z wysiłku, jaki należało zrobić, aby zdjąć kaftan i pantalon, książę rozebrał się, opadł ciężko na łóżko i jak gdyby się zamyślił patrząc z pogardą na swe zóhe, wyschnięte nogi. Wcale się nie zamyślił, tylko zwlekał w obawie czekającego go trudu podniesienia tych nóg i posunięcia się na łóżku. „Och, jak ciężko! Och, oby jak najprędzej skończyły się te trudy i żebyście wy mnie od siebie uwolnili!” – myślał. Zacisnąwszy wargi,

zrobił po raz dwudziestotysięczny ten wysiłek i położył się. Ledwie się położył, gdy nagle cała pościel zaczęła pod nim chodzić miarowo naprzód i w tył, jakby ciężko sapiąc i o coś uderzając. Zdarzało mu się to prawie co noc. Otworzył oczy, które już był zamknął.

– Nie dają spokoju, potępieńce! – burknął gniewnie na kogoś. „Prawda, prawda, przygotowałem sobie na noc do łóżka coś ważnego, bardzo ważnego. Zasuwy? Nie, o tym powiedziałem. Nie, coś takiego, co było w salonie. Księżniczka Maria coś tam plotła. Desalles, ten cymbał, coś takiego mówił. W kieszeni jakby – nie pamiętam.”

– Tiszka? O czym była mowa podczas obiadu?

– O księciu Michale...

– Milcz, milcz. – Księżę uderzył ręką w stół. „Aha, wiem, list księcia Andrzeja. Księżniczka Maria czytała. Desalles mówił coś o Witebsku. Teraz przeczytam.”

Kazał wyjąć list z kieszeni, przysunąć do łóżka stolik z lemoniadą i stoczkiem woskowym i włożywszy okulary, zaczął czytać. Dopiero tu, w ciszy nocy, przy słabym świetle spod zielonego klosza, przeczytawszy list, po raz pierwszy, na jedno mgnienie, zrozumiał jego sens.

„Francuzi w Witebsku, w ciągu czterech marszów mogą dojść do Smoleńska, może już tam są.”

– Tiszka! – Tichon zerwał się. – Nie, nie trzeba, nie trzeba! – zawołał.

Schował list pod lichtarz i zamknął oczy. I zobaczył Dunaj, jasne południe, sitowie, obóz rosyjski, a on, młody generał, bez jednej zmarszczki na twarzy, rześki, wesoły, rumiany, wchodzi do zdobnego namiotu Potiomkina, a piekące uczucie zazdrości wobec faworyta, równie silne jak wtedy, podnieca go. I przypomina sobie słowa wypowiedziane wówczas, przy pierwszym spotkaniu z Potiomkinem. I widzi niewysoką, z żółtawą, tłustą twarzą, otyłą kobietę, cesarzową-mateczkę, jej uśmiechy, słowa, kiedy po raz pierwszy obdarzyła go faworami, i przypomina się jej twarz na katafalku i to starcie z Zubowem, jakie wtedy wynikło przy jej trumnie, o prawo ucałowania jej ręki.

„Ach, oby jak najprędzej, jak najprędzej wrócić do tamtych czasów, oby wszystko jak najprędzej się skończyło, oby jak najprędzej zostawili mnie w spokoju!”

IV

Łyse Góry, dobra księcia Mikołaja Andreicza Bołkońskiego, znajdowały się o sześćdziesiąt wiorst za Smoleńskiem i o trzy wiorsty od moskiewskiego traktu.

Tego samego wieczora, kiedy ksiązę wydawał polecenia Ałpatyczowi, Desalles zażądał rozmowy z księżniczką Marią, oznajmił jej, że wobec tego, iż ksiązę jest niezupełnie zdrow i nie podejmuje żadnych kroków w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa, a z listu księcia Andrzeja wyraźnie widać, że przebywanie w Łysych Górach jest niebezpieczne, on radzi jej z całym uszanowaniem, by sama napisała do zwierzchnika guberni smoleńskiej z prośbą, by uwiadomił ją, jak się sprawy przedstawiają i w jakiej mierze Łyse Góry narażone są na niebezpieczeństwo, i by wysiała list przez Ałpatycza. Desalles ułożył księżniczce Marii list do gubernatora w Smoleńsku, a ona go podpisała i wręczyła Ałpatyczowi z rozkazem, by oddał gubernatorowi, a w razie niebezpieczeństwa wracał jak najszybciej.

Po otrzymaniu wszystkich poleceń Ałpatycz odprowadzany przez domowników, w białym kapeluszu filcowym (podarek od księcia), z laską, tak samo jak ksiązę, sadowił się w obitej skórą kibitce, zaprzężonej w trójkę dobrze utrzymanych gnidoszów.

Dzwonek był przywiązany, a brzękadła owinięte papierem. Ksiązę nikomu nie pozwalał w Łysych Górach jeździć z dzwonkiem. Lecz Ałpatycz lubił jechać w daleką drogę z dzwonkiem i brzękadłami. Odprowadzał Ałpatycza jego dwór – polowy, kucharka dla służby i dla państwa, dwie staruszki, kozaczek, stangreci i różna czeladź.

Córka układała z tyłu i na siedzeniu puchowe poduszki w perkalowych powłoczkach. Staruszka szwagierka wetknęła ukradkiem węzełek. Jeden ze stangretów podsadził go trzymając pod rękę.

– Ach, babskie ceremonie! Baby, baby! – sapiąc rzekł Ałpatycz prędko, całkiem tak jak mówił ksiązę, i siadł do kibitki. Wydawszy polowemu ostatnie polecenia, dotyczące się robót, i już w tym nie naśladując księcia, Ałpatycz zdjął z łysej głowy kapelusz i trzykrotnie się przeżegnał.

– Jeśliby co... to wracajcie, Jakubie Ałpatyczu; miej Boga w sercu, ulituj się nad nami – zawołała za nim żona napomykając o wieściach o wojnie i nieprzyjacielu.

– Baby, baby, babskie ceremonie! – rzekł Ałpatycz do siebie i ruszył rozglądając się po polach – gdzieniegdzie z żółknącym żytem, gdzieniegdzie z gęstym, jeszcze zielonym owsem, tu i ówdzie jeszcze czarnych, które po raz drugi zaczynano przeorywać. Ałpatycz jadąc zachwycał się pięknym jak rzadko urodzajem jarych zbóż, wpatrywał się w pasma żytnich pól, na których tu i ówdzie zaczynano już żąć, i po gospodarsku rozmyślał o zasiewach i spręćie, i o tym, czy nie zapomniał jakiegoś polecenia księcia.

Po dwukrotnym popasie wieczorem 4 sierpnia Ałpatycz przyjechał do miasta.

W drodze Ałpatycz spotykał i wyprzedzał tabory i wojska. Zbliżając się do Smoleńska słyszał dalekie wystrzały, ale te odgłosy nie zdziwiły go. Najbardziej go zdziwiło, gdy niedaleko Smoleńska zobaczył, że jacyś żołnierze koszą pole pięknego owsa, widać na paszę, i że na tym polu stoją obozem, ta okoliczność zaskoczyła Ałpatycza, ale prędko o tym zapomniał myśląc o

swoich sprawach.

Wszystkie zainteresowania życiowe Ałpatycza już przeszło trzydzieści lat były ograniczone jedynie wolą księcia, i Ałpatycz nigdy nie wychodził z tego kręgu. Wszystko, co nie dotyczyło wykonania poleceń księcia, nie tylko że Ałpatycza nie interesowało, ale nawet dla niego nie istniało.

Przyjechawszy do Smoleńska wieczorem 4 sierpnia, Ałpatycz zatrzymał się za Dnieprem na przedmieściu Gaczeńskim, w zajeździe u stróża Fierapontowa, u którego od trzydziestu lat miał zwyczaj się zatrzymywać. Dwanaście lat temu Fierapontow kupił od księcia – ze szczęśliwej poręki Ałpatycza – lasek, zaczął handlować, a teraz miał dom, zajazd i skład mąki w guberni. Fierapontow był to czterdziestoletni chłop, tęgi, czarny, rumiany, z grubymi wargami, z grubym guzowatym nosem, z guzami nad czarnymi, nasepionymi brwiami i z wielkim brzuchem.

Fierapontow – w kamizeli i w perkalowej koszuli – stał przed sklepem wychodzącym na ulicę. Kiedy spostrzegł Ałpatycza, zbliżył się do niego.

– Witam, Jakubie Ałpatyczu. Ludzie z miasta, a ty do miasta – rzekł gospodarz.

– Dlaczegoż to z miasta? – rzekł Ałpatycz.

– I ja to samo powiadam, że naród głupi. Wszyscy boją się Francuza.

– Babskie gadanie, babskie gadanie! – odezwał się Ałpatycz.

– Tak samo i ja myślę, Jakubie Ałpatyczu. Powiadam, skoro jest rozkaz, żeby go nie puścić, to znaczy się prawda. A chłopci żądają po trzy ruble od podwoły – kary na nich nie ma!

Jakub Ałpatycz słuchał nieuważnie. Zażądał samowara i siana dla koni, a napiwszy się herbaty położył się spać.

Przez całą noc koło zajazdu przechodziły ulicą wojska. Nazajutrz Ałpatycz wdział kamizelę, którą wkładał tylko w mieście, i poszedł za interesami. Ranek był słoneczny, o ósmej rano już było gorąco. „Bezcenny dzień dla sprzętu zboża” – myślał Ałpatycz. Od wczesnego ranka słychać było za miastem strzały.

O ósmej do strzałów karabinowych przyłączyła się kanonada armatnia. Na ulicach pełno było ludzi, którzy dokądś śpieszyli, pełno żołnierzy, wszelako jak zazwyczaj kursowały dorożki, kupcy stali przed sklepami, a w cerkwiach odprawiano nabożeństwa.

Ałpatycz udał się do sklepów, do urzędów, na pocztę, do gubernatora. W urzędach, sklepach, na poczcie wszyscy mówili o wojsku, o nieprzyjacielu, który już napadł na miasto; wszyscy pytali się nawzajem, co robić, i starali się nawzajem uspokajać.

Przed domem gubernatora Ałpatycz zastał wielką ilość ludzi, kozaków i podróżny ekwipaż należący do gubernatora. Na ganku Ałpatycz spotkał dwóch panów szlachty, z których jednego znał. Ów znany mu, były sprawnik, mówił zapalczywie:

– Przecie to nie żarty – oburzał się. – Dobrze, jeśli ktoś jest sam. Jedna głowa, choć biedna, ale jedna, a tu trzynaście osób rodziny i całe mienie... Cóż to za władza, żeby tak zgubić wszystkich?... Ech, powywieszałbym zbójów...

– No, no dość – rzekł drugi.

– A co mnie to obchodzi, niech słyszy! Przecieżeśmy nie psy – powiedział były sprawnik i obejrzawszy się zobaczył Ałpatycza.

– O, Jakub Ałpatycz, a ty tutaj po co?

– Z rozkazu księcia pana do pana gubernatora – odpowiedział Ałpatycz podnosząc dumnie głowę i wsuwając rękę za pazuchę, jak zawsze czynił, kiedy wspominał o księciu... – Księżę pan raczył rozkazać, żeby się dowiedzieć, jak przedstawiają się sprawy – oświadczył.

– No to się dowiaduj! – krzyknął szlachcic. – Doprowadzili do tego, że ni podwoły, ni nic!... Macie ją, słyszysz? – powiedział i pokazał w kierunku, skąd dochodziły strzały.

– Doprowadzili wszystkich do zguby... zbóje – znów powtórzył i zszedł z ganku.

Ałpatycz pokiwał głową i wszedł na schody. W poczekalni byli kupcy, kobiety, urzędnicy, spoglądający na siebie w milczeniu. Drzwi gabinetu otworzyły się, wszyscy wstali z miejsc i ruszyli naprzód. Spoza drzwi wybiegł urzędnik, porozmawiał o czymś z kupcem, zawołał za sobą otyłego urzędnika z krzyżem na szyi i znów zniknął za drzwiami, widocznie unikając wszystkich skierowanych ku sobie spojrzeń i pytań. Ałpatycz wysunął się naprzód i przy następnym wyjściu urzędnika, założywszy rękę za zapięty surdut, zwrócił się do niego i podał mu dwa listy.

– Do pana barona Ascha od generała en chef księcia Bołkońskiego – wygłosił tak uroczyście i znacząco, że urzędnik zwrócił się do niego i wziął list. Po kilku minutach gubernator przyjął Ałpatycza i rzekł mu z pośpiechem:

– Zamelduj księciu i księżniczce, że nic nie wiedział: postąpiłem wedle rozkazu z góry – masz... Podał Ałpatyczowi papier.

– A zresztą, ponieważ księżę niezdrów, radzę by jechali do Moskwy. Ja sam zaraz wyjeżdżam. Zamelduj... – ale gubernator nie dokończył: w drzwi wpadł zakurzony i spocony oficer i jął coś mówić po francusku. Na twarzy gubernatora odmalowało się przerażenie.

– Idź – rzekł do Ałpatycza skinąwszy mu głową i jął wypytować o coś oficera. Kiedy Ałpatycz wyszedł z gabinetu gubernatora, zwróciły się na niego chciwe, przerażone, bezradne spojrzenia. Ałpatycz, mimo woli przysłuchując się teraz bliskim i coraz donośniejszym strzałom, ruszył spieszenie do zajazdu. Pismo, które mu dał gubernator, było tej treści:

Upewniam Pana, że Smoleńskowi nie grozi jeszcze najmniejsze niebezpieczeństwo i nie jest prawdopodobne, by mu zagroziło. Ja z jednej strony, a księżę Bagration z drugiej idziemy, by połączyć się pod Smoleńskiem, co nastąpi 22 sierpnia, i obydwie armie wspólnymi siłami będą bronić współziomków i powierzonej Panu guberni dopóty, dopóki ich wysiłki nie odeprą od nich wroga ojczyzny albo dopóki nie stanie w ich szeregach ani jednego dzielnego żołnierza. Widzisz pan z mniejszego, że masz całkowite prawo uspokoić mieszkańców Smoleńska, albowiem kto jest broniony przez dwie tak dzielne armie, ten może być przekonany o ich zwycięstwie.

(Zalecenie Barciaya de Tolly dla cywilnego gubernatora Smoleńska, barona Ascha, rok 1812).

Ludzie niespokojnie snuli się po ulicach.

Wozy naładowane aż po sam wierzch sprzętem domowym, krzesłami, szafami wyjeżdżały co chwila z bram domów i jechały ulicami. W domu sąsiadującym z domem Fierapontowa stały wozy, a niewiasty, żegnając się zawodziły i dogadywały. Pies podwórzowy czekał i kręcił się przed zaprzęgniętymi końmi.

Ałpatycz szedł spieszej niż zazwyczaj, wszedł w podwórze i skierował się prosto pod szopę do swych koni i pojazdu. Woźnica spał, obudził go, kazał zaprzęgać i wszedł do sieni. W alkierzu gospodarzy słychać było płacz dzieci, przerywany szloch kobiecy i gniewny, ochryply krzyk Fierapontowa.

Gdy Ałpatycz wszedł do sieni, spotkał tam kucharkę, która trzepotała się niby wystraszona kura.

– Zabił, na śmierć zabił gospodynię!... Tak bił, tak po ziemi włóczył!...

– Za co? – zapytał Ałpatycz.

– Prosiła, żeby jechać. Niewieścia rzecz! „Wywieź mnie – powiada – nie gub mnie i małych dzieci, naród

powiada – wszystek wyjechał, a my co – powiada”. Jak nie zacnie bić. Tak bił, tak włókł za włosy!

Ałpatycz kiwnął głową na te słowa, jak gdyby aprobująco, i nie chcąc wiedzieć nic więcej skierował się do drzwi naprzeciwko – do alkierza gospodarzy, gdzie miał swe sprawunki.

– Ty łajdaku, zbójcu – akurat wrzasnęła chuda, blada kobieta z dzieckiem na ręku i w zdartej z głowy chusteczce wypadła z drzwi i zbiegła po schodach na podwórze. Fierapontow wyszedł za nią, a gdy zobaczył Ałpatycza, poprawił kamizelkę, włosy, ziewnął i wszedł za Ałpatyczem do alkierza.

– A więc już chcesz jechać? – zapytał.

Ałpatycz, nie odpowiadając na pytanie, nie patrząc na gospodarza i przeglądając swe sprawunki, zapytał, ile się należy za postój.

– Policzymy! No cóż, byłeś u gubernatora? – zapytał Fierapontow. – Jakie wyszło zarządzenie?

Ałpatycz odparł, że gubernator nie powiedział mu nic stanowczego.

– A czy to my zabierzemy się ze wszystkim? – rzekł Fierapontow. – Do Dorohobuża płac po siedem rubli od furmanki. Powiadam, że kary na nich nie ma! – rzekł.

– Seliwanowowi udało się w czwartek, sprzedał mąkę dla armii po dziewięć rubli za kuł. Będziecie pili herbatę? – dodał.

Podczas gdy zaprzęgano konie, Ałpatycz i Fierapontow napili się herbaty, porozmawiali o cenie zboża, o urodzaju i o sprzyjającej żniwom pogodzie.

– Jakoś zaczęło przycichać – rzekł Fierapontow wypiuwszy trzecią filiżankę i wstał – widocznie nasi górą. Powiedziano, że nie puszcza. Znaczy, że są silni... Niedawno mówili, że Matwiej Iwanycz Płatów wpędził ich w rzekę Marynę i w jeden dzień utopił osiemnaście czy ileś tam tysięcy.

Ałpatycz zebrał swe sprawunki, podał je wchodzącemu woźnicy, obliczył się z gospodarzem. We wrotach rozległ się odgłos kół, kopyt i brząkał wyjeżdżającej kibitki.

Już dawno minęło południe; jedna połowa ulicy była w cieniu, druga – jaskrawo oświetlona słońcem. Ałpatycz spojrzął w okno i poszedł ku drzwiom. Nagle rozległ się dziwny odgłos dalekiego gwizdu i uderzenia, a zaraz potem zlewający się odgłos armatniej kanonady, od której zabręczały szyby.

Ałpatycz wyszedł na ulicę, ulicą biegli dwaj ludzie w kierunku mostu. Z różnych stron słyhać było świst, huk padających pocisków i granatów rozrywających się w mieście. Ale te odgłosy w porównaniu z odgłosami strzelaniny, którą było słyhać za miastem, były prawie niedosłyszalne i nie zwracały uwagi mieszkańców. To było bombardowanie miasta, które Napoleon kazał rozpocząć o piątej ze stu trzydziestu dział. W pierwszej chwili ludność nie rozumiała znaczenia tego bombardowania.

Odgłosy padających granatów i pocisków wzbudzały zrazu tylko ciekawość. Żona Fierapontowa, która dotychczas zawodziła pod szopą, umilkła, z dzieckiem na ręku wyszła przed wrota i w milczeniu przyglądała się ludziom i przysłuchiwała odgłosom.

Przed wrota wyszła kucharka, wyszedł sklepikarz. Wszyty z wesołą ciekawością usiłowali dojrzeć pociski lecące nad ich głowami. Zza węgła wyszło kilku ludzi romawiających z ożywieniem.

– Ależ to siła! – mówił jeden. – Rozbiło w drzazgi i dach, i sufit.

– Zryło ziemię niby świnia – powiedział inny.

– Przynajmniej dali bobu! – rzekł śmiejąc się. – Dobrze, żeś odskoczył, bo byłoby z ciebie masło.

Wszyscy zwrócili się do tych ludzi. A oni zatrzymali się i opowiadali, jak to pocisk tuż obok nich trafił w dom. A tymczasem inne pociski, jedne z szybkim, ponurym gwizdem kule, inne z przyjemnym poświstywaniem – granaty, nie przestawały przelatywać nad głowami ludzi; ale ani

jeden pocisk nie spadł blisko, wszystkie przenosiły. Ałpatycz sadowił się w kibitce. Gospodarz stał we wrotach.

– Ciebie tu jeszcze brakowało! – krzyknął na kucharkę, która z zakasnymi rękawami, w czerwonej spódnicy, poruszając gołymi łokciami zbliżyła się do węgła, aby posłuchać, co ludzie mówią.

– A to dziwy – dogadywała, ale kiedy usłyszała głos gospodarza, wróciła obciążając podkasaną spódnicę.

Znów, tym razem bardzo blisko, coś zaświstało niby lecący ptaszek z góry na dół, pośrodku ulicy błysnął ogień, coś wystrzeliło i cała ulica zasnęła się dymem.

– Łajdaczko, co ty tam robisz? – krzyknął gospodarz podbiegając do kucharki.

W tejże chwili ze wszystkich stron rozległo się żalosne zawodzenie niewiast, rozplakało się przestraszone dziecko, ludzie w milczeniu, z bladymi twarzami, otoczyli kucharkę. Wśród tej ciszy najgłośniejszym słyhać było jęki i słowa kucharki.

– Oj-o-och, kochani! Kochani! Złociutcy! Nie dajcie mi umrzeć! Moi kochani!...

Po pięciu minutach już nikogo nie było na ulicy. Kucharkę, której odłamek granatu strzaskał biodro, przeniesiono do kuchni. Ałpatycz, jego stangret, żona Fierapontowa z dziećmi, stróż siedzieli w piwnicy i nasłuchiwali. Huk armat, świst pocisków i żalosne jęki kucharki, które górowały nad wszystkimi dźwiękami, nie ustawały ani na chwilę. Gospodyni to kołysała i uspokajała dziecko, to żalonym szeptem dopytywała się wchodzących do piwnicy, gdzie gospodarz, który został na ulicy. Wchodzący do piwnicy sklepikarz powiedział jej, że gospodarz poszedł wraz z innymi do soboru, gdzie wystawiono cudowny obraz Matki Boskiej Smoleńskiej. zmierzchu kanonada jęła przycichać. Ałpatycz wyszedł z piwnicy i zatrzymał się w drzwiach. Przedtem tak jasne wieczorne niebo całe było zasnute dymem. I przez ten dym dziwnie jaśniał młody, wysoko stojący sierp księżyc. Zamilkł poprzedni straszny huk dział, nad miastem zdawała się panować cisza, przerywana tylko jakby rozchodzącym się po całym mieście odgłosem kroków, jęków, dalekich okrzyków i trzaskiem pożarów. Jęki kucharki przycichły teraz. Z dwóch stron podnosiły się i rozchodziły czarne kłęby dymu. Na ulicach nie szeregami, ale niby mrówki z rozrzuconego mrowiska, w różnych mundurach i w różnych kierunkach przechodzili i przebiegali żołnierze. Ałpatycz widział, jak kilku z nich wpadło na podwórze Fierapontowa. Wyszedł do wrot. Jakiś cofający się pułk szedł spieszenie i bezładną gromadą zatarasował ulicę.

– Poddają miasto, wyjeżdżajcie, wyjeżdżajcie – rzekł oficer, który zauważył Ałpatycza, i natychmiast z krzykiem zwrócił się do żołnierzy:

– Ja wam dam bobrować w podwórzach! Ałpatycz wrócił do izby, zawołał woźnicę i kazał zajeżdżać. Za Ałpatyczem i woźnicą wyszli wszyscy domownicy Fierapontowa. Kiedy kobiety zobaczyły dym i nawet ogień pożarów, widoczny w zapadającym zmierzchu, dotąd milczące, jęły biadać patrząc na pożar. Jakby im do wtóru, na drugim końcu ulicy rozległy się takie same zawodzenia. Ałpatycz i woźnica dygocącymi rękami rozprostowywali splecione lejce i uprzęż na koniach stojących pod szopą.

Kiedy Ałpatycz wyjeżdżał z bramy, zobaczył, że w otwartym sklepiku Fierapontowa z dziesięciu żołnierzy, rozmawiających głośno, wypełniło torby i tornistry pszenną mąką i pestkami. Akurat wszedł do sklepu Fierapontow wracający z ulicy, kiedy zobaczył żołnierzy, chciał coś krzyknąć, lecz nagle powstrzymał się i chwyciwszy się za włosy wybuchnął szlochającym chichotem.

– Bierzcie wszystko, chłopcy! Niech się nic nie dostanie tym diabłom! – krzyknął i sam łapiąc worki wyrzucał je na ulicę. Jedni żołnierze przelekli się i uciekli, ale inni dalej sypali. Zobaczywszy Ałpatycza Fierapontow zwrócił się do niego.

– Przepadła Rosyja! Przepadła! – krzyknął. – Ałpatycz, sam podpalę. Przepadła... – Fierapontow wpadł na podwórze.

Ulicą nieprzerwanie szli żołnierze i całą ją zatarasowali, toteż Ałpatycz nie mógł przejechać i musiał czekać. Żona Fierapontowa również siedziała z dziećmi na wozie i czekała, kiedy będzie można wyjechać.

Była już zupełna noc. Na niebie jaśniały gwiazdy i świecił młody księżyc, od czasu do czasu zasnuwany dymem. Przy zjeździe do Dniepru wozy Ałpatycza i gospodyni, powoli posuwające się wśród żołnierzy i innych ekwipaży, musiały się zatrzymać. Niedaleko od skrzyżowania dróg, przy którym zatrzymały się wozy, w zaułku płonęły sklepy i dom. Pożar już dogasał. Płomień to zamierał i ginał w czarnym dymie, to znów jaskrawo wybuchał i dziwnie wyraźnie oświetlał twarze stłoczonych ludzi, stojących na rozstaju. Przed pogorzeliem migwały czarne postacie, spoza niemilknącego trzasku ognia słychać było rozmowy i krzyki. Ałpatycz wysiadł z kibitki, a kiedy zobaczył, że jeszcze nieprędko go przepuszczą, skręcił w zaułek, żeby popatrzeć na pożar. Koło pożaru nieustannie kręcili się żołnierze i Ałpatycz zobaczył, jak dwaj żołnierze, a z nimi jakiś człowiek w bajowym szynelu, ciągnęli przez ulicę na sąsiednie podwórze palące się belki wydobyte z pogorzeliiska, a inni nieśli naręczą siana.

Ałpatycz zbliżył się do ciżby ludzi stojących naprzeciwko wysokiego spichrza, z którego buchał ogień. Ściany stały całe w płomieniach, tylna ściana zawaliła się, tarcicowy dach zapadł się, belki płonęły. Widocznie tłum czekał tej chwili, kiedy dach się zawali. Na to samo czekał Ałpatycz.

– Ałpatycz! – zawołał nagle na starego jakiś znajomy głos.

– Panicz, jaśnie oświecony książe – odpowiedział Ałpatycz natychmiast poznawszy głos młodego księcia.

Książe Andrzej, w płaszczu, wierzchem na wronym koniu, stał za tłumem i patrzył na Ałpatycza.

– Jaksz tu się znalazł? – zapytał.

– Jaśnie... jaśnie oświecony... – zaczął Ałpatycz i zaszlochał.

– Wasza, wasza... czyśmy już ze wszystkim zginęli? Ojczyce...

– Skądś się tu wziął? – powtórzył książe Andrzej. W tej chwili ogień buchnął jasnym płomieniem i oświetlił bladą, znużoną twarz księcia Andrzeja. Ałpatycz opowiedział, że został wysłany i że z trudem mógł wyjechać.

– Jaśnie oświecony książe, czyśmy już przepadli? – zapytał znowu.

Nie odpowiadając, książe Andrzej wydobył notes, uniósł kolano i jął pisać ołówkiem na wydartej kartce. Pisał do siostry:

Smoleńsk się poddaje – pisał – Łyse Góry zostaną zajęte przez nieprzyjaciela za tydzień. Natychmiast wyjeżdżajcie do Moskwy. Kiedy wyjedziecie, zawiadom mnie o tym przez wi»sinego, którego wyślesz do U świeża.

Po napisaniu kartki i wręczeniu jej Ałpatyczowi pouczył BO, jak zarządzić wyjazdem księcia, księżniczki i syna z nauczycielem, jak i kiedy go o tym powiadomić. Jeszcze nie zdążył skończyć tych poleceń, kiedy przycwałował do niego tonno szef sztabu w towarzystwie świty.

– Pan pułkownik? – krzyczał szef sztabu akcentem niemieckim, głosem księciu Andrzejowi znajomym. – W pańskiej obecności podpalają domy, a pan stoi? Co to znaczy? Odpowie pan za to! – krzyczał Berg, który obecnie był zastępcą szefa sztabu lewego skrzydła piechoty pierwszej armii – stanowisko nader przyjemne i na oczach, jak mówił Berg.

Książe Andrzej popatrzył na niego, nic nie odpowiedział

i dalej ciągnął zwracając się do Ałpatycza:

– Więc powiesz, że do dziesiątego czekam na odpowiedź, a jeśli dziesiątego nie dostanę odpowiedzi, żeście wyjechali, to sam będę musiał wszystko rzucić i jechać do Łysych Gór.

– Ja, proszę księcia, mówię tylko dlatego – rzeki Berg poznawszy księcia Andrzeja – że jestem obowiązany wypełniać rozkazy, ponieważ zawsze wypełniam je dokładnie... Zechce książę mi wybaczyć – Berg jakby się usprawiedliwiał z czegoś.

W ogniu coś zatrzeszczało. Na jedno mgnienie ogień przycichł; spod dachu jął walić czarny dym. Jeszcze coś w ogniu strasznie zatrzeszczało i zapadło się coś olbrzymiego.

– Urruru! – ryknął tłum wtórując zapadającemu się sufitowi spichrza, z którego od spalonego zboża dolatywał zapach podpłomyków. Płomień wybuchł i oświetlił radośnie podniecone i zmęczone twarze ludzi stojących dokoła. Człowiek w bajowym szynelu podniósł rękę i krzyczał:

– Wyśmienicie! Ale bucha, chłopcy! Wyśmienicie!...

– To sam gospodarz – rozległy się głosy.

– A zatem – rzekł książę Andrzej zwracając się do Ałpatycza – wszystko powtórz, co ci mówiłem. – I ani słowem nie odpowiadając Bergowi, który milczał stojąc obok niego, spiął konia ostrogą i wjechał w zaułek.

V

Od Smoleńska wojska wciąż odstępowały. Nieprzyjaciel posuwał się za nimi. 10 sierpnia pułk, którym dowodził książę Andrzej, przechodził szosą mimo drogi prowadzącej do Łysych Gór. Upały i susza trwały już przeszło trzy tygodnie. Codziennie po niebie snuły się kłębiaste chmury, od czasu do czasu przesłaniające słońce, ale pod wieczór znów się przecierało i słońce zachodziło w buroczerwonej mgle. Tylko w nocy obfita rosa odświeżała ziemię. Spalone słońcem, nie skoszone zboże sypało się. Błota wyschły. Bydło ryczało z głodu nie znajdując paszy na łąkach spalonych końcem. Tylko w nocy i w lasach, póki jeszcze trzymała się rosa, było chłodno. Ale na drodze, na trakcie, którym szło wojsko, nawet w nocy, nawet w lasach nie czuło się tego chłodu. Na piaszczystej, zakurzonej drodze, wydeptanej na Przeszło ćwierć arszyna, rosy się nie widziało. O świcie rozpoczynał się ruch. Tabory i artyleria grzęzły bezgłośnie – po piasty, piechota – po kostki w miękkim, dusznym, gorącym pyłe, który przez noc nie ostygł. Jedną część tego piaskowego pyłu miesiły nogi i koła, druga niby chmura unosiła się nad wojskiem, wżerała się w oczy, we włosy, w uszy, w nozdrza, i co najważniejsze, w płuca ludziom i zwierzętom posuwającym się tą drogą. Im wyżej wznosiło się słońce, tym wyżej podnosiła się chmura pyłu, i przez ten drobny, gorący pył można było gołym okiem patrzeć na słońce nie zasłonięte chmurami. Słońce wyglądało jak wielka purpurowa kula. Wiatru nie było, ludzie dusili się w tym nieruchomym powietrzu. Szli obwiązawszy chusteczkami nosy i usta. Kiedy przychodzili do wsi, wszyscy rzucali się do studni. Bili się o wodę i wypijali wszystko aż do błota na dnie.

Książę Andrzej dowodził pułkiem i wszystko go interesowało – i stan pułku, zaopatrzenie jego ludzi, konieczność odbierania i wydawania rozkazów. Pożar Smoleńska i odwrót stanowiły dla księcia Andrzeja epokę. Nowe uczucie gniewu wobec wroga kazało mu zapomnieć o własnym zmartwieniu. Wszystek był oddany sprawom swego pułku, troszczył się o ludzi i oficerów, był dla nich dobry. W pułku nazywano go „nasz książę”, ludzie byli z niego dumni i kochali go. Jednakowoż dobry i łagodny był tylko dla ludzi ze swego pułku, dla Timochina itp., dla ludzi zupełnie nowych i w obcym środowisku, dla ludzi, którzy nie mogli znać i zrozumieć jego przeszłości; ale gdy tylko zetknął się z kimś z dawnych znajomych, ze sztabowcami, natychmiast się jeżył: robił się zły, drwiący i wzdurliw. Wszystko, co wiązało go wspomnieniem z przeszłością, odpychało go, względem więc swego dawnego świata starał się tylko nie być niesprawiedliwym i wypełniać swój obowiązek.

Co prawda, książę Andrzej wszystko widział w ciemnym, ponurym świetle – szczególnie po odstąpieniu 6 sierpnia spod Smoleńska (którego, jego zdaniem, można było i należało bronić) i po tym, gdy ojciec, chory, musiał uciekać do Moskwy i oddać na pastwę nieprzyjaciela tak ukochane przez niego, zabudowane i zaludnione Łyse Góry, jednakowoż mimo to, dzięki pułkowi, książę Andrzej mógł myśleć o czymś, co było niezależne od ogólnych kwestii – o swym pułku. 10 sierpnia kolumna, w której był jego pułk, zbliżyła się do Łysych Gór. Dwa dni przedtem książę otrzymał wiadomość, że jego ojciec, syn i siostra wyjechali do Moskwy. Choć książę Andrzej nie miał nic do roboty w Łysych Górach, ale z właściwym sobie upodobaniem do

jątrzenia swej zgryzoty zdecydował, że musi tam wstąpić.

Kazał osiodłać konia i prosto z drogi zбочzył do ojcowskiej wsi, gdzie się urodził i spędził dzieciństwo. Przejeżdżając obok stawu, gdzie zawsze gromadziły się dziesiątki bab, które gadając były kijankami i płukały bieliznę, książę Andrzej zauważył, że teraz nie było tu nikogo, a zerwany promień, do połowy zalany wodą, pływa bokiem po stawie... Książę Andrzej podjechał do stróżówki. Przy murowanej bramie wjazdowej nie było nikogo, a drzwi były otwarte. Ścieżki w ogrodzie zarosły, a cielęta i konie spacerowały po parku angielskim. Książę Andrzej podjechał do oranżerii: szyby były potłuczone, jedne drzewka w kadziach powywracane, inne – uschły. Zawołał na ogrodnika Tarasa. Nikt nie odpowiedział. Kiedy skręcił za oranżerię od słonecznej strony, zobaczył, że wyrzynany park jest częściowo obalony, a śliwki pozrywane razem z gałęziami. Stary chłop (w dzieciństwie książę Andrzej widywał go przed bramą) siedział na darniowej ławeczce i plótł łapęć.

Był głuchy i nie słyszał, jak książę Andrzej podjechał. Siedział na ławce, na której lubił siadywać stary książę, miał blisko siebie łyko rozwieszane na gałązkach połamanej i uschniętej magnolii.

Książę Andrzej podjechał przed dom. Kilka lip w starym ogrodzie było zrąbanych, tuż przed domem srokata klacz ze źrebięciem chodziła między różami. Okiennice w domu były pozamykane. Jedno okno na dole było otwarte. Chłopiec dworski zobaczywszy księcia Andrzeja wpadł do domu.

Ałpatycz, wysławszy rodzinę, sam został w Łysych Górach, siedział w domu i czytał Żywoty Świętych. Kiedy się dowiedział o przyjeździe księcia Andrzeja, w okularach na nosie, zapinając się, wyszedł z domu, pośpiesznie zbliżył się do księcia i nic nie mówiąc rozplakał się, gdy całował księcia w kolano.

Potem odwrócił się zły na siebie za swą słabość i jał zdawać sprawę z sytuacji. Wszystkie rzeczy cenne i drogie wywieziono do Boguczarowa. Zboże, około stu ćwierci, też zostało wywiezione, siano i jeszcze zielone zboża jare, na które w tym roku był niezwykły urodzaj, jak mówił Ałpatycz, zostały skoszone – przez wojska. Chłopi są zrujnowani, niektórzy również uciekli do Boguczarowa, mała część została.

Książę Andrzej nie wysłuchał go do końca.

– Kiedy wyjechali ojciec i siostra? – zapytał, mając na myśli, kiedy wyjechali do Moskwy. Ałpatycz zrozumiał, że książę Andrzej pyta o wyjazd do Boguczarowa, odpowiedział więc, że wyjechali siódmego, i znów szeroko się rozwiódł o interesach i prosił o zarządzenia.

– Czy książę pan każe wydawać wojskom owies za pokwitowaniem? Pozostało nam jeszcze ze sześćset ćwierci – pytał Ałpatycz.

„Co mu odpowiedzieć?” – myślał książę Andrzej patrząc na lśniącą w słońcu łysą głowę starego i w jego twarzy odczytując świadomość tego, że on sam rozumie niestosowność tych pytań, ale pyta dlatego tylko, żeby zagłuszyć swoją zgryzotę.

– Tak, wydawaj – rzekł.

– Jeśli książę pan raczył zauważyć nieporządki w ogrodzie – mówił Ałpatycz – to nie sposób było zapobiec: przechodziły i nocowały trzy pułki, szczególnie dragoni. Zapisalem rangę i nazwisko dowódcy, aby złożyć zażalenie.

– A co ty będziesz robił? Zostaniesz, jeśli nieprzyjaciel zajmie? – zapytał go książę Andrzej.

Ałpatycz zwrócił twarz do księcia Andrzeja, popatrzył na niego i nagle uroczystym gestem podniósł rękę w górę.

– On jest moją opieką, niech się dzieje wola Jego! – powiedział.

Tłum chłopów i czeladzi dworskiej szedł przez łąkę; z odkrytymi głowami zbliżali się do księcia.

– No to żegnaj! – rzekł książę Andrzej pochylając się ku Ałpatyczowi. – I sam wyjeżdżaj, zabierz, co się da, i ludziom każ uciekać do rizańskiej guberni albo do majątków podmoskiewskich. – Ałpatycz przytulił się do jego nogi i zaszlochał. Książę Andrzej odsunął go delikatnie, spiął konia ostrogą i galopem popędził przez aleję.

Po słonecznej stronie oranżerii, tak samo obojętnie jak mucha na twarzy drogiego zmarłego, siedział staruszek i stukał w kopyto łapcia, a dwie dziewczynki, nazrywawszy śliwek z drzew w oranżerii, uciekały stamtąd niosąc w podółku śliwki i wpadły na księcia Andrzeja. Ujrawszy młodego pana starsza dziewczynka, ze strachem, który się odmalował na jej twarzy, złapała za rękę swą młodszą towarzyszkę i razem schowały się za brzozę nie zdążywszy zebrać zielonych śliwek, które się rozsypały.

Książę Andrzej pośpiesznie i lękliwie odwrócił się od nich, bojąc się, by nie zauważyły, że je widział. Zrobiło mu się żal tej ładniutkiej przestraszonej dziewczynki. Bał się na nią spojrzeć, choć czuł nieodparte pragnienie by to zrobić. Ogarnęło go nowe, radosne i uspokajające uczucie, kiedy patrząc na dziewczynki zrozumiał, że istnieją inne, całkowicie mu obce, ale tak samo usprawiedliwione zainteresowania ludzkie, jak i te, które go zajmowały. Te dziewczynki najwidoczniej pragnęły namiętnie jednej rzeczy – zabrać i zjeść te zielone śliwki i nie być schwyte, i książę Andrzej wraz z nimi pragnął, by im się to powiodło. Nie mógł się powstrzymać i spojrzął na nie jeszcze raz. A one, sądząc, że już są całkiem bezpieczne, wyskoczyły z ukrycia i piszcząc coś cieniutkimi głosikami i przytrzymując podółki wesoło i prędko biegły po trawie śmigając opalonymi, bosymi nożynami.

Książę Andrzej orzeźwił się nieco wydostawszy się z zakurzonego traktu, którym posuwały się wojska. Ale niedaleko za Łysymi Górami znów wjechał na trakt i dogonił pułk na postoju przy grobli na niewielkim stawie. Była druga po południu. Słońce, czerwona kula w pyle, niezdolnie piekło i parzyło w plecy przez czarny mundur. Pył, ciągle taki sam, wisiał nieruchomo nad huczącą wrzawą wojsk, które stały na popas. Wiatru nie było. Kiedy książę Andrzej przejeżdżał przez groblę, od stawu powiało zapachem mułu i wilgocią. Zaprzagnął wejść w wodę – choćby była bardzo brudna. Obejrzał się na staw, skąd dobiegały krzyki i śmiech. Nieduży, mętny, zielonkawy staw podniósł się widocznie o jakiś łokieć i zalał groblę, ponieważ był pełen ludzkich, żołnierskich ciał – nagich, białych, pluskających się, z ceglastoczerwonymi rękami, twarzami i szyjami. Całe to nagie, białe ludzkie mięso ze śmiechem i wrzaskiem pluskało się w brudnej kałuży niczym karasie złapane w konewkę. To pluskanie się rozbrzmiewało radością i dlatego było szczególnie smutne.

Jakiś młody jasnowłosy żołnierz z trzeciej kompanii książę Andrzej znał go – z rzemykiem pod łydką, przeżegnał się i cofnął, żeby dobrze się rozpędzić i buchnąć w wodę, inny, czarny, zawsze rozczochrany podoficer, po pas w wodzie, podrzucał muskularnym torsem i parskał z uciechy polewając sobie głowę dłońmi czarnymi aż do przegubów. Słyszał było wzajemne poklepywanie się, pisk i pokrzykiwanie.

Na brzegach, na grobli, w stawie – wszędzie było białe, zdrowe, muskularne mięso. Na grobli oficer Timochin, z czerwonym noskiem, wycierał się ręcznikiem i zawstydził się ujrawszy księcia, ale ośmielił się zwrócić do niego.

– Oj, przyjemnie, jamie oświecony książę by raczył! – rzekł.

– Brudno – odrzekł książę Andrzej i skrzywił się.

– Zaraz oczyścimy dla księcia. – I Timochin, jeszcze nieubrany, pobiegł oczyszczać.

– Książę chce.

– Jaki? Nasz książę? – odezwały się głosy i wszyscy jęli się tak krzątać, że książę z trudem ich od tego odwiódł. Pomyślał, że lepiej będzie oblać się wodą w szopie.

„Mięso, ciało, chair d canoni” – myślał patrząc na własne gołe ciało i wzdrygał się nie tyle z

zimna, ile z niezrozumiałego wstępu i przerażenia na widok tego mnóstwa ciał pluskających się w brudnym stawie.

7 sierpnia z miejsca swego postoju, z Michałówki na trakcie smoleńskim, księżę Bagration pisał, co następuje:

Szanowny Hrabio Aleksieju Andrejewiczu.

(Pisał do Arakczejewa, ale wiedział, że list będzie czytany przez monarchę, toteż w miarę swych możliwości, ważył każde słowo.)

Myślę, że minister już meldował o oddaniu nieprzyjacielowi Smoleńska. Bolesne to, smutne, cała armia jest w rozpacz, że tak nader ważny punkt opuszczono niepotrzebnie. Ja ze swej strony prosiłem go osobiście jak najusilniej i wreszcie pisałem, jednakowoż nic go nie mogło przekonać. Klnę się na mój honor, że Napoleon był w takim worku jak nigdy i mógłby stracić pół armii, ale Smoleńska by nie wziął. Nasze wojska tak się biły i tak się biją jak nigdy. Ja z 15 tysiącami utrzymałem się przeszło 35 godzin i biłem ich; ale on nie chciał zostać nawet 14 godzin. To wstyd i hańba dla naszej armii; mnie się zdaje, że on nie powinien żyć na świecie. Jeśli donosi, że straty duże – to nieprawda; może około 4 tysięcy, nie więcej, ale i tyle nie; a niechby nawet dziesięć – trudno, przecie to wojna. Ale za to nieprzyjaciel ma strat bez liku...

Cóż to szkodziło pozostać jeszcze dwa dni? W najgorszym razie sami by odeszli, nie mieli bowiem wody do napojenia ludzi i koni. Dał mi słowo, że nie odstąpi, ale nagle przysłał dyspozycję, że w nocy odstępuje. W ten sposób wojować nie można, tak możemy łatwo i wkrótce doprowadzić nieprzyjaciela do Moskwy...

Chodzą słuchy, że hrabia myślisz o pokoju. Niech Bóg broni od zawierania pokoju! Po takich ofiarach i po takim szaleńczym odwrocie – zawierać pokój? Cała Rosja stanie przeciw hrabiemu i każdemu z nas będzie wstyd, że nosi mundur. Jeśli już tak sprawy stoją, to trzeba się bić, póki Rosja może i póki ludzie trzymają się na nogach...

Dowodzić musi jeden, a nie dwóch. Pański minister, hrabio, może jest i dobry w ministerstwie, ale generał z niego nie tyle kiepski, ile całkiem do niczego, i jemu właśnie powierzono los całej naszej Ojczyzny... Doprawdy, z gniewu dostaję wariacji; proszę mi wybaczyć, że piszę tak zuchwale. Ten, widać, nie kocha monarchy i życzy nam wszystkim zguby, kto radzi zawrzeć pokój i pozwala, żeby minister dowodził armią. A więc ja piszę hrabiemu prawdę: proszę szykować pospolite ruszenie. Albowiem minister w nader kunsztowny sposób prowadzi ze sobą do stolicy gościa. Pan fligiel-adiutant

Wolzogen wydaje się bardzo podejrzany całej armii. Powiadają, że jest raczej po stronie Napoleona niż po naszej i to on wszystko doradza ministrowi. Nie tylko jestem uprzejmy dla niego, ale i posłuszny niby kapral, chodem starszy od niego. To boli; wszelako ja kochając mojego dobroczyńcę i monarchę – jestem posłuszny. Jenemu mi żal monarchy, że takim ludziom powierza dzielną armię. Proszę sobie, hrabio, wyobrazić, że przez rejteradę straciliśmy więcej niż 15 tysięcy ludzi ze zmęczenia i w szpitalach; a gdybyśmy atakowali, tego by nie było. Na miłość boską, powiedz Pan, co matka nasza, Rosja, powie na to, że tak się boimy i czemu tak dobrą i wspaniałomyślną ojczyznę oddajemy łajdakom i w każdego poddanego wpajamy nienawiść i hańbę? Dlaczego go tchórzyć i kogo się bać? Jam nie winien temu, że minister jest niezdecydowany, tchórzliwy, niezdatny, kunktator i ma wszelkie ujemne cechy. Cała armia aż płacze i klnie go na czym świat stoi...

VI

Wśród niezliczonego mnóstwa podziałów, jakich można dokonać w zjawiskach życiowych, można znaleźć takie, w których przeważa treść, i takie, w których przeważa forma. Do tych, w przeciwieństwie do życia wiejskiego, ziemiańskiego, gubernialnego, a nawet moskiewskiego, można zaliczyć życie petersburskie, zwłaszcza zaś salonowe. To życie jest niezmiennie.

Od roku 1805 godziliśmy się i kłócili z Bonapartem, robiliśmy konstytucje i przerabiali je, a salon Anny Pawłowny i salon Helene był taki sam jak przedtem: jeden siedem, drugi pięć lat temu. U Anny Pawłowny tak samo ze zdumieniem mówiono o sukcesach Bonapartego, a zarówno w jego sukcesach, jak i w folgowaniu mu przez monarchów europejskich widziano złośliwy spisek, którego jedynym celem było wyrządzenie przykrości i wzbudzenie niepokoju wśród nadwornego kółka, którego przedstawicielką była Anna Pawłowna. I zupełnie tak samo u Helene, którą sam Rumiancew zaszczycał swymi wizytami i którą uważał za kobietę nader rozumną, zarówno w roku 1808, jak i w roku 1812 z zachwytem mówiono o wielkiej nacji i o wielkim człowieku, ze smutkiem patrzono na zerwanie z Francją, które, jak mniemali ludzie zbierający się w salonie Helene, powinno zakończyć się pokojem.

W ostatnich czasach, po przybyciu monarchy z armii, w tych dwóch tak odmiennych kółkach-salonach nastąpiło pewne wzburzenie, były pewne nieprzyjemne demonstracje jednego przeciw drugiemu, ale kierunek każdego z tych kółek pozostał ten sam. W kółku Anny Pawłowny przyjmowało się tylko Francuzów – zagorzałych legitymistów, tu wypowiadano patriotyczną myśl, że nie należy bywać we francuskim teatrze, którego utrzymanie kosztuje tyle, ile utrzymanie całego korpusu. Pilnie śledzono bieg wypadków wojennych i rozsiewano wieści jak najkorzystniejsze dla naszej armii. W kółku Helene, rumiancewowskim, francuskim, zaprzeczano wieściom o okrucieństwie wroga i wojny i rozważano wszystkie próby Napoleona zmierzające do pojednania. W owym kółku stawiano zarzuty tym, co doradzali zbyt pochopne zarządzenia, o ile chodziło o przygotowania do wyjazdu do Kazania dworu i żeńskich zakładów naukowych, którym patronowała cesarzowa-matka. W ogóle w salonie Helene sprawa wojny przedstawiała się jako czcze demonstracje, które bardzo szybko zakończą się pokojem, i panowało zdanie Bilibina, który obecnie w Petersburgu stale bywał u Helene (każdy rozumny człowiek musiał u niej bywać), że o sprawie decyduje nie proch, ale ci, co go wymyślili. W tym kółku ironicznie, nader rozumnie, choć i nader ostrożnie, szydzono z moskiewskiego entuzjazmu, o którym wieść nadeszła do Petersburga wraz z przybyciem monarchy.

W kółku Anny Pawłowny, przeciwnie, zachwycono się tym entuzjazmem i mówiono o nim, jak mówi Plutarch o starożytnych. Książę Wasilij, zajmujący nadal te same wysokie stanowiska, był ogniwem łączącym te dwa kółka. Bywał i u ma bonne amie Anny Pawłowny, bywał również dam *le salon diplomatique de ma filie*⁵⁸, często też wśród nieustannego kursowania między jednym obozem a drugim mylił się i mówił u Helene to, co należało mówić u Anny Pawłowny, i na odwrót.

⁵⁸ Mej zacnej przyjaciółki... w salonie dyplomatycznym mej córki.

Wkrótce po przybyciu monarchy książę Wasilij rozwodził się u Anny Pawłowny o sprawach wojny, ostro potępiał Barciaya de Tolly i był niezdecydowany⁵⁹, kogo by mianować naczelnym wodzem. Jeden z gości, znany jako un homme de beaucoup de wentę, wspomniawszy o tym, że widział dziś wybranego na naczelnika petersburskiego pospolitego ruszenia Kutuzowa, zasiadającego w urzędzie skarbowym, gdzie przyjmował żołnierzy, pozwolił sobie ostrożnie wyrazić przypuszczenie, że Kutuzow byłby tym człowiekiem, który by zaspokoił wszystkie wymagania.

Anna Pawłowna uśmiechnęła się smutno i zauważyła, że Kutuzow sprawiał monarsze tylko przykrości.

– A przecie perswadowałem na zebraniu szlachty przerwał książę Wasilij – ale mnie nie słuchano. Mówiłem, że jego wybór na naczelnika pospolitego ruszenia nie spodoba się monarsze. Nie posłuchano mnie.

Ciągle jakaś mania frondowania – ciągnął.

– I przeciw komu? A wszystko dlatego, że chcemy małpować głupie zapaly moskiewskie – rzekł książę Wasilij pomyliwszy się, albowiem na chwilę zapomniał, że to u Helene trzeba było szydzić z moskiewskich zapalów, u Anny Pawłowny zaś należało się nad nimi rozplywać. Ale natychmiast się poprawił. – Czy to przystoi hrabiemu Kutuzowowi, najstarszemu generałowi w Rosji, siedzieć w urzędzie *et il en restera pour sa peine*.⁶⁰ Czy można mianować wodzem naczelnym człowieka, który nie może dosiąć konia, zasypia podczas narady, człowieka nader złych obyczajów! Doskonale się popisał w Bukareszcie! Już nie mówię o jego właściwościach jako generała, ale czy w takiej chwili można mianować naczelnym wodzem człowieka zgrzybiałego i ślepego, po prostu ślepego? Pięknie będzie wyglądał ślepy generał! On nic nie widzi. Gra w ślepą babkę... dosłownie nic nie widzi!

Nikt przeciw temu nie zaoponował.

24 lipca było to całkiem słuszne. Ale 29 lipca Kutuzowa obdarzono godnością książęcą. Godność książęca mogła oznaczać i to, że nie chciano się go pozbyć, więc sąd księcia Wasilia nadal był słuszny, choć książę obecnie nie kwapił się z wygłaszaniem go. Ale 8 sierpnia został powołany komitet dla omówienia spraw wojennych, w którego skład weszli: generał-feldmarszałek Sałtykow, Arakczejew, Wiaźmitinow,

Łopuchin i Koczubej. Komitet doszedł do wniosku, że niepowodzenia były wynikiem niejednolitego dowództwa, i mimo że osoby wchodzące w skład komitetu wiedziały, iż monarcha jest nieprzychylnie usposobiony do Kutuzowa, po krótkiej naradzie komitet zaproponował Kutuzowa na naczelnego wodza. I tego samego dnia Kutuzow został mianowany naczelnym wodzem nad całą armią z pełnią władzy nad tą częścią kraju, która była zajęta przez wojsko.

9 sierpnia książę Wasilij znów się spotkał u Anny Pawłowny z *l'homme de beaucoup de merite*. *L'homme de beaucoup de merite* zabiegał o względy Anny Pawłowny dlatego, że pragnął otrzymać nominację na kuratora żeńskiego zakładu naukowego. Książę Wasilij wszedł do pokoju z miną szczęśliwego zwycięzcy, człowieka, który osiągnął cel swych pragnień.

– *En hien, vous savez la grande nouvelle? Le prince Koutouzoff est marechal*. Koniec wszelkiej niezgodzie. Jestem tak szczęśliwy, tak zadowolony! – mówił książę Wasilij.

– *Enfin voila un homine*⁶¹ – rzekł i znacząco i surowo spojrzął po obecnych w salonie.

⁵⁹ Człowiek wielce zasłużony.

⁶⁰ I niepotrzebnie nie trudzić!

⁶¹ Znają państwo wielką nowinę? Kutuzow jest feldmarszałkiem... Nareszcie odpowiedni człowiek.

L'homme de beaucoup de merite, mimo iż pragnął uzyskać stanowisko, nie mógł się powstrzymać od przypomnienia księciu jego poprzedniej opinii. (Była to nieuprzejmość i w stosunku do księcia Wasilia w salonie Anny Pawłowny, i w stosunku do Anny Pawłowny, która z taką samą radością przyjęła ową wieść, ale nie mógł się powstrzymać).

– *Mais on dit qu'il est aveugle, mon prince?*⁶² – rzekł przypominając księciu jego własne słowa.

Allez donc, U y voit assez⁶³ – odrzekł książę Wasilij swym basowym prędkim głosem, z pokaszliwaniem, tym samym głosem i pokaszliwaniem, jakim zawsze rozstrzygał wszelkie trudności. – Allez, U y voit assez – powtórzył.

– Iz czego się cieszę – ciągnął – to z tego, że monarcha dał mu całkowitą władzę nad wszystkimi armiami, nad całym krajem – władzę, jakiej jeszcze nigdy nie miał żaden wódz naczelny. To drugi samowładca – zakończył ze zwycięskim uśmiechem.

Daj Boże, daj Boże – rzekła Anna Pawłowna. L'homme de beaucoup de merite, jeszcze nowicjusz w towarzystwie dworskim, pragnąc pochlebić Annie Pawłownie wyodrębnieniem jej poprzedniego zdania z tego sądu, oświadczył:

Powiadają, że monarcha niechętnie przekazał tę władzę Kutuzowowi. On dit qu'il rougit comme une demoiselle a laquelle on lirait „foconde”⁶⁴, en lui disant: „Le sowerain et la patrie vous decernent cet honneur”

– Peut-etre que le coeur n'etait pas de la partie⁶⁵ – rzekła Anna Pawłowna.

Nie, nie – ujął się gorąco książę Wasilij. Już teraz nie mógł odstąpić Kutuzowa. Zdaniem księcia Wasilia, Kutuzow nie tylko był odpowiedni, ale i przez wszystkich uwielbiany. – Nie, to niemożliwe, gdyż i przedtem monarcha umiał go cenić – oświadczył.

– Daj Boże, żeby tylko książę Kutuzow objął rzeczywistą władzę i nie pozwolił nikomu wkładać sobie kijów w koła – rzekła Anna Pawłowna – des bdtions dans les roues.

Książę Wasilij natychmiast zrozumiał, kim był ów nikt.

Powiedział szeptem:

– Wiem na pewno, że Kutuzow postawił stanowczy warunek, by cesarzewicz, następca tronu, nie znajdował się przy armii. Vous savez ce qu'il a dit d l'Empereur? – I książę Wasilij powtórzył słowa, które jakoby Kutuzow powiedział monarsze: „Nie mogę go ukarać, jeśli zrobi źle, i nie mogę nagrodzić, jeśli zrobi dobrze”. – O! książę Kutuzow to nader rozumny człowiek, je connais de longue date⁶⁶.

Mówi się nawet – rzekł l'homme de beaucoup de merite, nie posiadający jeszcze dworskiego taktu – że jego dostojność postawił stanowczy warunek, by sam monarcha nie przyjeżdżał do armii.

Zaledwie to wyrzekł, książę Wasilij i Anna Pawłowna odwrócili się od niego natychmiast i, westchnąwszy z powodu jego naiwności, smutno na siebie spojrzeli.

⁶² Ale, książę, powiadają, że jest ślepy?

⁶³ Głupstwo, widzi tyle, ile trzeba.

⁶⁴ Tytuł utworu La Fontaine'a, który naśladował jednoimienny utwór Ariosta. Joconda ma charakter frywolny

⁶⁵ Powiadają, że się zarumienił jak panienka, której by przeczytano Jocondę, Redy do niego mówił: „Monarcha i ojczyzna przyznają panu ten zaszczyt”.

⁶⁶ Wie pani, co powiedział cesarzowi?... znam go od dawna.

VII

Kiedy to się działo w Petersburgu, Francuzi już minęli Smoleńsk i coraz bardziej zbliżali się do Moskwy. Thiers, historyk Napoleona, podobnie jak inni historycy Napoleona, starając się usprawiedliwić swego bohatera powiada, że Napoleon mimo swej woli został ściągnięty pod mury Moskwy. I ma słuszość, tak jak mają słuszość wszyscy historycy, szukający wytłumaczenia zdarzeń historycznych w woli jednego człowieka, ma słuszość, podobnie jak mają słuszość historycy rosyjscy utrzymujący, że Napoleon został ściągnięty do Moskwy dzięki sztuce dowódców rosyjskich. Tutaj poza prawem retrospekcji (spojrzenia wstecz), przedstawiającym całą przeszłość jako przygotowanie do faktu, który się dokonał, istnieje jeszcze wzajemność, która gmatwa całą sprawę. Dobry gracz, przegrawszy partię szachów, jest szczerze przekonany, że przegrana jest wynikiem błędu, i doszukuje się tego błędu w początku swej gry, lecz zapomina, że w każdym jego posunięciu podczas całej partii były takie same błędy, że ani jeden z jego ruchów nie był doskonały. Błąd, na który zwraca uwagę, jest dostrzegalny tylko dlatego, że przeciwnik z niego skorzystał. O ileż bardziej skomplikowana niż szachy jest gra wojenna, odbywająca się w określonych warunkach czasu, w których nie tylko jedna wola kieruje martwymi machinami, ale w których wszystko wypływa z ciągłej kolizji różnych dowolnych posunięć.

Po Smoleńsku Napoleon szukał bitwy za Doruhobużem pod Wiaźmą, potem pod Carewo-Zajmiszczem, lecz tak wynikało z niezliczonego zbiegu różnych okoliczności, że aż do Borodina, odległego o 112 wiorst od Moskwy, Rosjanie nie mogli przyjąć bitwy. Spod Wiaźmy Napoleon dał rozkaz kierowania się prosto na Moskwę.

Moscou, la capitale asiatique de ce grand empire, la ville sacree des peuples d'Alexandre, Moscou avec ses innombrables egiises en forme de pagodes chinoises!⁶⁷ Ta Moscou nie dawała spokoju wyobraźni Napoleona. Od Wiaźmy do Carewo-Zajmiszczu Napoleon jechał na swym bułanym anglizowanym ślepaku, otoczony gwardią, strażą, paziami i adiutantami. Szef sztabu Berthier pozostał w tyle, by wybadać rosyjskiego jeńca wziętego przez kawalerię. W towarzystwie tłumacza Lelorme d'Ideville'a dogonił Napoleona i z wesołą miną zatrzymał konia.

– *Eh bien*⁶⁸ – zapytał Napoleon.

– *Un Cosaque de Platau* powiada, że korpus Płatowa łączy się z wielką armią, że Kutuzow został mianowany naczelnym wodzem. *Tres intelligent et bavard!*⁶⁹

Napoleon uśmiechnął się, kazał dać temu Kozakowi konia i przyprowadzić go do siebie. Chciał sam z nim porozmawiać. Pogalopowało kilku adiutantów i po upływie godziny chłop, poddany Denisowa, odstąpiony przez tegoż Rostowowi,

Ławruszka, w kurtce ordynansa, na francuskim kawaleryjskim siodle, z twarzą szelmowską, podchmielony i wesoły, zbliżył się do Napoleona. Napoleon kazał mu jechać obok siebie i jał go

⁶⁷ Moskwa, azjatycka stolica tego wielkiego imperium, święte miasto ludów Alekundra, Moskwa z niezliczonymi świątyniami w kształcie chińskich pagód!

⁶⁸ Więc?

⁶⁹ Kozak Płatowa... Bardzo inteligentny i gadatliwy!

wypytywać:

– Kozak?

– Kozak, wasza wielmożność.

„Le Cosague ignorant la compagnie dans laquelle il se trouvait, car la simplicité de Napoleon n'avait rien qui put révéler de sa grande imagination orientale la présence d'un souverain, s'entretint avec la plus extrême familiarité des affaires de la guerre actuelle”⁷⁰ – mówi Thiers opowiadając ten epizod⁷¹. Istotnie, poprzedniego dnia Ławruszka spił się, nie przygotował panu obiadu, został oświecony i wysłany na wieś po kury, tam zajął się maruderką i został wzięty do niewoli przez Francuzów. Ławruszka należał do tych ordynarnych, zuchwałych lokajów, co to nie z jednego pieca chleb jedli, którzy uważają za swą powinność robić wszystko podle i przebiegle, którzy gotowi są wyświadczyć swemu panu każdą przysługę i którzy sprytnie odgadują złe myśli pana, osobliwie zaś próżność i małostkowość.

Ławruszka, znalazłszy się wobec Napoleona, którego bardzo dobrze i z łatwością rozpoznał, bynajmniej się nie zmieszał, lecz z całego serca starał się dogodzić nowym panom.

Bardzo dobrze wiedział, że to sam Napoleon, lecz obecność Napoleona nie mogła go zmieszać bardziej niż obecność Rostowa lub wachmistrza z różgami, gdyż ani wachmistrz, ani Napoleon niczego nie mogli go pozbawić.

Plótł o wszystkim, o czym rozmawiali ordynansi. Wiele z tego było prawdą. Ale kiedy Napoleon go zapytał, jak Rosjanie myślą: pokonają Bonapartego czy nie, Ławruszka zmrużył oczy i zamyślił się.

Dostrzegł w tym subtelny podstęp, bo ludzie podobni do Ławruszki zawsze i we wszystkim dopatrują się podstępu, zasępił się więc i milczał.

– To się ma znaczyć: jeśli będzie bitwa – powiedział w zamyśleniu – i prędko, to tak... A jeśli miną jeszcze trzy dni, to znaczy, że bitwa będzie odłożona.

Napoleonowi tak to przetłumaczono: „Si la bataille est donnée avant trois jours, les Français la gagneraient, mais si elle serait donnée plus tard, Dieu sait ce qui en arriverait”⁷¹ – przełożył Lelorme d'Ideviue uśmiechając się. Napoleon się nie uśmiechnął, choć był w bardzo dobrym nastroju, i kazał sobie powtórzyć te słowa.

Ławruszka zauważył to, więc żeby go rozweselić, powiedział udając, że nie wie, kim on jest.

– Wiemy, macie Bonaparta, on wszystkich na świecie pobił, ale z nami to inna sprawa... – powiedział, sam nie wiedząc, w jaki sposób i z jakiego powodu w tych słowach wyrwał mu się chępliwy patriotyzm. Tłumacz przekazał te słowa Napoleonowi, ale bez zakończenia, i Bonaparte uśmiechnął się. „*Le jeune Cosague fit sourire son puissant interlocuteur*”⁷² – powiada Thiers.

Przejechawszy kilka kroków w milczeniu Napoleon zwrócił się do Berthiera i powiedział, że chce zbadać, jakie wrażenie robi *sur cet enfant du Don*⁷³ wiadomość, że członek, z którym mówi owo enfant du Don, jest cesarzem we własnej osobie, tym cesarzem, który na piramidach wypisał swe nieśmiertelne, niezwyciężone imię.

⁷⁰ Kozak nie wiedząc, w którym znajduje się towarzystwie, albowiem w prostocie Napoleona nie było nic takiego, co by wschodniej wyobraźni mogło nasunąć przypuszczenie obecności monarchy, rozmawiał z nadzwyczajną poufałością o okolicznościach obecnej wojny.

⁷¹ Adolf Thiers, mąż stanu i historyk francuski (1797–1877) – był m.in. autorem *Historii Konsulatu i Cesarstwa* (l. 845–1862). Wydaje się, że Tolstoj ma Thiersa na myśli, gdy kilkakrotnie wspomina w powieści o „historyku Napoleona”.

⁷² Miody Kozak wywołał uśmiech na ustach swego potężnego rozmówcy.

⁷³ Na tym dziecięciu Donu.

Wiadomość została zakomunikowana.

Ławruszka (zrozumiawszy, że czyniono to dlatego, iżby go zaskoczyć i że Napoleon myśli, że on się przestraszy), aby dogodzić swym nowym panom, natychmiast udał zdumionego, oszołomionego, wybałuszyl oczy i zrobił taką minę, jaką zwykł był robić, gdy go prowadzono na chłostę. „*A peine l'interprete de Napoleon – powiada Thiers – avait-il parle, que le Cosague, saisi d'une sorte d'ebahissement ne proféra plus une parole et marcha les yeux constamment attaches sur ce conquerant, dont le nom avait penetre jusqu'd lid, a travers les steppes de l'Orient. Toute sa loquacite s'etait subite-ment arretee, pour faire place a un sentiment d'admiration naware et silencieuse, Napoleon, apres l'avoir recompense, lui fit donner la liberte, comme a un oiseau qu'on rend aux champs qui l'ont vu naitre*”.⁷⁴

Napoleon pojechał dalej, marząc o tej Moscou, która tak zaprzętała jego wyobraźnię, tymczasem zaś, *l'oiseau qu'on rendit aux champs qui l'ont vu naitre*⁷⁵ pocwałował ku forpocztom i zawczasu obmyślał to, czego nie było, a co będzie opowiadał u swoich. O tym, co istotnie mu się zdarzyło, nie chciał opowiadać właśnie dlatego, że wydawało mu się niewarte opowiadania. Podjechał do Kozaków, wypytał, gdzie się znajduje pułk będący w grupie Płatowa, i jeszcze przed wieczorem odnalazł swego pana, Mikołaja Rostowa, stojącego na kwaterze w Jankowie, Rostow właśnie dosiadł konia, by wraz z Ilinem przejechać się po okolicznych wsiach, dał więc Ławruszce innego konia i wziął go z sobą.

⁷⁴ Ledwie tłumacz Napoleona powiedział to Kozakowi, Kozak osłupiał jakby, nie wyrzekł już ani słowa i jechał nie spuszczać oczów ze zdobywcy, którego imię dotarło do niego przez stopy Wschodu. Jego gadatliwość została nagle zahamowana, ustąpiła naiwnemu i milczącemu uczuciu zachwytu. Napoleon wynagrodził Kozaka, kazał go uwolnić niby ptaka, którego powracają ojczystym polom.

⁷⁵ Ptak powrócony ojczystym polom.

VIII

Księżniczka Maria nie znajdowała się w Moskwie i nie była bezpieczna, jak sądził książę Andrzej.

Po powrocie Ałpatycza ze Smoleńska stary książę jak gdyby się ocknął ze snu. Kazał zebrać ze swych wsi pospolite ruszenie, uzbroić je i wystosował pismo do naczelnego wodza, w którym zawiadamiał go, iż postanowił zostać w Łysych Górach aż do ostatka i bronić się, pozostawiając do uznania wodzowi naczelnemu, czy należy przedsięwziąć jakieś kroki w celu obrony Łysych Gór, w których zostanie wzięty do niewoli albo zabity jeden z najstarszych generałów rosyjskich. Domowników zaś zawiadomił, że zostaje w Łysych Górach.

Zostając w Łysych Górach książę zarządził jednak, by księżniczka Maria, Desalles i mały książę wyjechali do Boguczarowa, a stamtąd do Moskwy. Księżniczka Maria, przerażona gorączkową energią ojca, która nastąpiła po poprzedniej apatii, nie mogła się zdecydować, by pozostawić go samego, i pierwszy raz w życiu pozwoliła sobie na nieposłuszeństwo. Odmówiła wyjazdu i zważyła się na nią straszna burza gniewu księcia. Wypominał jej wszystko, czym sam wobec niej zawinił. Starając się ją obwinić, powiedział, że zdręczyła go, poróżniła z synem, miała względem niego niecne podejrzenia, że z zatruwania mu życia zrobiła sobie cel egzystencji, i wypędził ją z gabinetu oświadczywszy, że jeśli ona nie chce wyjechać, to jemu jest wszystko jedno. Powiedział, że nie chce wiedzieć o jej istnieniu, i z góry ją uprzedza, by się nie ważyła pokazywać mu na oczy. To, że wbrew jej obawom, nie kazał wywieźć jej siłą, lecz tylko zakazał pokazywać się sobie na oczy ucieszyło księżniczkę Marię. Wiedziała, iż jest to dowód, że w głębi duszy był zadowolony, że ona zostaje w domu i nie wyjeżdża.

Nazajutrz po wyjeździe Nikołuszki stary książę przywdział pełny mundur i zamierzał jechać do naczelnego wodza. Powóz już zajechał. Księżniczka Maria widziała, jak w mundurze, z orderami, wyszedł z domu i udał się do ogrodu, by zrobić przegląd uzbrojonych chłopów i czeladzi dworskiej. Księżniczka Maria siedziała przy oknie i przysłuchiwała się jego głosowi dochodzącemu z ogrodu. Nagle z alei wybiegło kilku ludzi z przestraszeniem na twarzy.

Księżniczka Maria wybiegła na ganek, na ukwieconą dróżkę i w aleję. Naprzeciwko niej szedł tłum pospolitaków i czeladzi dworskiej, a w środku tego tłumy kilku ludzi wlokło pod rękę małego staruszka w mundurze, z orderami. Księżniczka Maria podbiegła do niego, lecz w grze migających krążków światła padającego przez cień lipowej alei nie mogła zdać sobie sprawy ze zmiany, jaka nastąpiła w jego twarzy. Dostrzegła tylko, że dawniej surowy i stanowczy wyraz jego twarzy ustąpił miejsca wyrazowi nieśmiałości i pokory. Kiedy zobaczył córkę, poruszył bezsilnymi wargami i zabełkotał. Nie można było zrozumieć, czego chciał.

Na rękach zanieśono go do gabinetu i położono na tej kanapie, której ostatnio tak się bał.

Przywieziony doktor jeszcze tej samej nocy puścił krew i oznajmił, że książę ma sparaliżowaną prawą stronę ciała.

Pozostawanie w Łysych Górach stawało się coraz bardziej niebezpieczne, więc nazajutrz po ataku wywieziono księcia do Boguczarowa. Doktor pojechał z nim.

Kiedy przybyli do Boguczarowa, Desalles i mały książę już wyjechali do Moskwy.

Ciągle w tym samym stanie – nie było ani gorzej, ani lepiej – sparaliżowany, stary książę trzy tygodnie leżał w Boguczarowie w nowym domu, wybudowanym przez księcia Andrzeja. Stary książę był nieprzytomny, leżał niby zniekształcony trup. Bez przerwy coś bełkotał, brwi i wargi mu drgały i nie wiadomo było, czy rozumie, czy też nie rozumie tego, co go otacza. Było widoczne na pewno tylko to, że cierpi i że czuje potrzebę wypowiedzenia czegoś. Ale co to było, nikt nie mógł zrozumieć, czy to był jakiś kaprys chorego, półobłąkanego, czy też miało to związek z ogólną sytuacją, albo może dotyczyło spraw rodzinnych?

Doktor mówił, że wyrażany przez niego niepokój nic nie znaczył, że były po temu fizyczne przyczyny, ale księżniczka Maria myślała (a to, że w jej obecności niepokój chorego zawsze wzrastał, potwierdzało jej przypuszczenie), że chciał jej coś powiedzieć. Cierpiał widać fizycznie i moralnie.

Nadziei na wyleczenie nie było. Wieść go było niepodobna. I co by to było, gdyby umarł w drodze? „Czy nie lepiej, żeby to się już raz skończyło, skończyło na zawsze!” – myślała czasami księżniczka Maria. Doglądała go dzień i noc, prawie że nie sypiała i – strach rzec – często patrzyła na niego nie z nadzieją, że znajdzie oznaki polepszenia, lecz patrzyła z pragnieniem ujrzania oznak zbliżającego się końca.

Choć dziwne to się wydawało księżniczce uświadamiać sobie to uczucie – było ono w niej. A jeszcze okropniejsze było to, że od czasu choroby ojca (a bodaj czy jeszcze nie wcześniej, czy nie wtedy, kiedy spodziewając się czegoś pozostała z nim) ocknęły się w niej wszystkie już uśpione, zapomniane osobiste pragnienia i nadzieje. To, co przez lata całe nie przychodziło jej do głowy – myśli o swobodnym życiu bez lęku przed ojcem, nawet myśli o możliwości kochania i szczęścia rodzinnego wracały bez przerwy niby pokusa szatańska. Choćby nie wiem jak oddalała je od siebie, jednak nieustannie przychodziły jej do głowy pytania, jak teraz, po tym, urządzi sobie życie. Była to pokusa szatana i księżniczka Maria wiedziała o tym. Wiedziała, że jedyną bronią przeciw niemu była modlitwa, usiłowała więc się modlić. Klękała, patrzyła na obrazy, mówiła słowa modlitwy, a przecie modlić się nie mogła. Czuła, że obecnie zagarnął ją inny świat – życiowej, trudnej i swobodnej działalności, zupełnie różny od tego moralnego świata, w którym była zamknięta przedtem, w którym jedyną pociechą była modlitwa. Nie mogła się modlić i nie mogła płakać, ogarnęły ją bowiem troski życiowe.

Pozostawanie w Boguczarowie stawało się niebezpieczne. Ze wszystkich stron słychać było o zbliżaniu się Francuzów, a w pewnej wsi, o piętnaście wiorst od Boguczarowa, francuscy maruderzy obrabowali dwór.

Doktor nalegał, żeby wywieźć księcia dalej, marszałek szlachty przysłał do księżniczki Marii urzędnika i namawiał ją, by czym prędzej wyjeżdżała, sprawnik, który przyjechał do Boguczarowa, nalegał na to samo, mówiąc, że Francuzi są o czterdzieści wiorst, że po wsiach krążą proklamacje francuskie i że jeśli księżniczka nie wyjedzie z ojcem do piętnastego, to on za nic nie odpowiada. Księżniczka zdecydowała się wyjechać piętnastego. Cały dzień zajęły jej przygotowania, wydawanie poleceń, po które wszyscy się do niej zwracali. Noc z czternastego na piętnasty spędziła jak zwykle, nie rozbierając się, w pokoju sąsiadującym z tym, gdzie leżał książę. Budząc się, słyszała kilkakrotne chrząkanie, mrużenie, skrzywienie łóżka, kroki Tichona i doktora, którzy ojca przekładali. Kilka razy nasłuchiwała pode drzwiami i wydawało się jej, że dziś bełkocze głośniejsz niż zwykle i że częściej się porusza. Nie mogła spać, kilka razy zbliżała się do drzwi, nasłuchiwała, chciała wejść, ale nie mogła się na to zdecydować. Chociaż książę nie mówił, ale księżniczka Maria widziała i wiedziała, jak nieprzyjemne mu było wszelkie wyrażanie obaw o niego. Dostrzegała, z jaką niechęcią odwracał się od jej spojrzenia, które czasami kierowała nań z mimowolnym uporem. Wiedziała, że jej zjawienie się w nocy, o niezwykłej porze, rozdrażni go.

Ale nigdy jeszcze nie było jej tak go żal, nigdy tak się nie lękała go stracić. Przypomniła sobie całe swe życie z nim i w każdym jego słowie, w każdym postępku znajdowała dowód miłości dla siebie. W te wspomnienia z rzadka wdzieriała się pokusa szatańska, myśli o tym, co będzie po jego śmierci, jak się ułoży jej nowe, swobodne życie. Ale ze wstrętem odpędzała te myśli. Nad ranem ucichł, a ona zasnęła.

Obudziła się późno. Szczerłość, jaka bywa przy przebudzeniu, powiedziała jej wyraźnie, co w chorobie ojca najbardziej ją interesowało. Obudziła się, przysłuchiwała się temu, co się dzieje za drzwiami, a gdy usłyszała jego rżenie, westchnęła i powiedziała sobie, że ciągle jest to samo.

– A co by miało być? Czego bym chciała? Chcę jego śmierci! – wykrzyknęła z odrazą do siebie.

Ubrała się, umyła, zmówiła pacierze i wyszła na ganek. Przed gankiem stały nie zaprzężone ekwipaże, w które układano rzeczy.

Ranek był ciepły i mglisty. Księżniczka Maria zatrzymana się na ganku nie przestając się wzdrygać przed swą duchową nikczemnością i starając się uporządkować myśli, zanim wejdzie do niego.

Doktor zszedł ze schodów i zbliżył się do niej.

– Dziś jest mu lepiej – powiedział doktor. – Szukałem pani. Można coś niecoś zrozumieć z tego, co mówi, umysł ma świeży. Chodźmy. Wzywa panią...

Na tę wiadomość serce księżniczki Marii tak silnie zabiło, że zbladła i oparła się o drzwi, aby nie upaść. Ujrzeć go, rozmawiać z nim, znaleźć się pod jego spojrzeniem, teraz, kiedy jej dusza była pełna tych strasznych, występnych pokus – było to dla księżniczki bolesne, radosne i okropne zarazem.

– Chodźmy – powiedział doktor.

Księżniczka Maria weszła do ojca i zbliżyła się do łóżka. Leżał wysoko, na wznak, jego małe, kościste ręce, pokryte fioletowymi węzłkowatymi żyłkami, spoczywały na kołdrze, lewe oko spoglądało prosto, prawe zezowało, brwi i wargi nie poruszały się. Był taki chudy, drobny, żaloszny. Twarz jego jak gdyby się zeschła czy roztopiła, rysy zdrobniały. Księżniczka Maria zbliżyła się i pocałowała go w rękę. Lewa jego ręka ścisnęła jej dłoń tak, iż widać było, że dawno na nią czekał. Szarpnął ją za rękę, a jego brwi i wargi poruszyły się gniewnie.

Patrzyła na niego z lękiem i usiłowała odgadnąć czego od niej żądał. Kiedy zmieniwszy położenie przesunęła się tak, że jego lewe oko widziało jej twarz, uspokoił się i przez kilka sekund nie spuszczał z niej oka. Potem wargi jego i język poruszyły się, rozległ się głos, jął mówić patrząc na nią lękliwie i błagalnie, widocznie obawiał się, że go nie zrozumie.

Księżniczka Maria patrzyła na niego wyjątkowo uważnie. Komiczny wysiłek, z jakim poruszał językiem, sprawiał, że księżniczka Maria spuszczała oczy i powstrzymywała się z trudem od łkań. Powiedział coś, kilka razy powtarzając słowa. Księżniczka Maria nie mogła ich zrozumieć; ale usiłowała odgadnąć to, co mówił, i powtarzała pytająco słowa, które wypowiedział.

– Gaga – boi... boi... – powtórzył kilkakrotnie.

Nie sposób było zrozumieć tych słów. Doktorowi się zdawało, że odgadł, i powtarzając jego słowa zapytał: „Księżniczka się boi?” Książę przecząco poruszył głową i znów powtórzył to samo...

– Dusza, dusza boli – odgadła i powiedziała księżniczka Maria. Potwierdzająco zastękał, wziął jej rękę i jął przyciskać do piersi, jak gdyby szukał dla niej odpowiedniego miejsca.

– Wszystkie myśli! o tobie... myśli... – powiedział potem o wiele lepiej i rozumiałej niż przedtem – teraz, kiedy był pewien, że go rozumieją. Księżniczka Maria przytuliła głowę do jego ręki i usiłowała ukryć szlochanie i łzy.

Przesuwał dłonią po jej włosach.

– Wzywałem cię całą noc... – powiedział.
– Gdybym była wiedziała... – odrzekła przez łzy. – Bałam się wejść. Ścisnął jej rękę.
– Nie spałaś?
– Nie, nie spałam – odrzekła księżniczka Maria i przecząco poruszyła głową. Mimo woli poddając się ojcu, podobnie jak on mówił, tak i ona starała się raczej mówić znakami, jak gdyby również z trudem obracała językiem.

– Kochanie... – albo – kochana... – Księżniczka Maria nie mogła zrozumieć; ale z całą pewnością, sądząc po wyrazie jego oczu, powiedział tkliwe i pieszczotliwe słowo, jakiego nigdy nie mówił. – Dlaczegoś nie przyszła?

„A ja pragnęłam, pragnęłam jego śmierci!” – myślała księżniczka Maria. On milczał.

– Dzięki ci... córeczko, serce... za wszystko... za wszystko... przebac... dzięki... przebac... dzięki... – I łzy płynęły mu z oczu. – Zawołajcie Andriuszę – rzekł znienacka, a przy tym na jego twarzy ukazał się wyraz dziecięcej nieśmiałości i niedowierzania. Jak gdyby sam wiedział, że jego żądanie nie ma sensu. Tak przynajmniej wydało się księżniczce Marii.

– Dostałam od niego list – odpowiedziała księżniczka Maria.

Patrzył na nią ze zdziwieniem i lękliwie.

– Gdzie on?

– W armii, mon pere, w Smoleńsku.

Zamknął oczy i długo milczał, potem skinął głową potakująco, jakby w odpowiedzi na swe wątpliwości, a na potwierdzenie tego, że teraz wszystko zrozumiał i przypomniał sobie, otworzył oczy.

– Tak – powiedział wyraźnie i cicho. – Zginęła Rosja! Zgubili ją! – I znów załkał, i łzy popłynęły mu z oczu. Księżniczka Maria już się nie mogła powstrzymać i również płakała na jego twarz.

Znów zamknął oczy. Szlochanie ustało. Uczynił znak ręką w kierunku oczu; Tichon zrozumiał go i otarł mu łzy.

Potem otworzył oczy i powiedział coś, czego długo nikt nie mógł zrozumieć, wreszcie zrozumiał i powtórzył tylko jeden Tichon. Księżniczka Maria doszukiwała się znaczenia jego słów w tym duchu, w jakim mówił chwilę przedtem. Myślała, że mówi to o Rosji, to o księciu Andrzeju, to o niej, to o wnuku, to o swej śmierci. I dlatego nie mogła odgadnąć jego słów.

Włóż swą białą suknię, lubię ją – mówił. Zrozumiawszy te słowa, księżniczka Maria zaszlochała jeszcze głośniejsze, więc doktor wziął ją pod rękę i wyprowadził z pokoju na taras radząc jej uspokoić się i zająć przygotowaniami do wyjazdu. Kiedy księżniczka Maria wyszła od księcia, on znów zaczął mówić o synu, o wojnie, o monarsze, poruszał gniewnie brwiami, podnosił ochryply głos; dostał drugiego i ostatniego ataku.

Księżniczka Maria zatrzymała się na tarasie. Letni dzień rozsnuwał się w słońcu i upale. Nie mogła nic pojąć, o niczym myśleć; nie czuła nic prócz gorącej miłości do ojca, miłości, której, jak się jej zdawało, do tej chwili nie znała. Pobiegnęła do ogrodu i szlochając biegła w kierunku stawu przez dróżki obsadzone lipkami przez księcia Andrzeja.

A ja... ja... ja pragnęłam jego śmierci! Pragnęłam, żeby jak najprędzej się skończyło... Chciałam się uspokoić... A co teraz będzie ze mną? Na co mi mój spokój, kiedy jego nie będzie! – mruzczała głośno księżniczka Maria szybkimi krokami chodząc po ogrodzie; przyciskała rękami pierś, z której wydzierało się spazmatyczne szlochanie. Kiedy obeszła ogród dookoła i na nowo znalazła się przy domu, zobaczyła, że na jej spotkanie idą m-elle Bourienne (która pozostała w Boguczarowie i nie chciała stąd wyjeżdżać) i jakiś nieznajomy mężczyzna. Był to powiatowy marszałek szlachty; przybył sam do księżniczki Marii, aby jej przedstawić konieczność natychmiastowego wyjazdu. Księżniczka Maria słuchała go, ale nie rozumiała,

wprowadziła go do domu, zaproponowała, żeby został na śniadaniu, i usiadła z nim. Potem, przeprosiwszy marszałka, podeszła do drzwi pokoju starego księcia. Doktor, zatrwożony wyszedł do niej i powiedział, że nie można.

Proszę iść stąd, księżniczko, proszę iść! Księżniczka Maria znów wyszła do ogrodu i usiadła na trawie pod pagórkiem, nad stawem, w miejscu gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć. Nie wiedziała, jak długo tu była. Oprzytomniły ją kobiece kroki w alejce. Wstała, zobaczyła Duniaszkę, swą pokojówkę, która najwidoczniej szukała jej; Duniaszka przystanęła, jakby nagle przestraszona widokiem swej pani.

– Księżniczka raczy... książę... – rzekła Duniasza przerywanym głosem.

– Już idę, idę – odpowiedziała pośpiesznie księżniczka nie pozwalając Duniaszy dopowiedzieć tego, co miała oznajmić, i pobiegła do domu starając się nie widzieć Duniaszy.

– Księżniczko, dopełnia się wola Boża, musi być pani gotowa na wszystko – rzekł marszałek spotykając ją u drzwi wejściowych.

– Proszę mnie zostawić! To nieprawda! – krzyknęła na niego ze złością. Doktor chciał ją zatrzymać. Odepchnęła go i pobiegła ku drzwiom. „Dlaczego ci przerażeni ludzie zatrzymują mnie? Nikogo nie potrzebuję! Co oni tutaj robią?” Otworzyła drzwi: jaskrawe światło w tym pokoju przedtem zaciemnionym przestraszyło ją. W pokoju były kobiety i niania. Wszystkie odsunęły się od łóżka robiąc jej przejście. On ciągle jeszcze leżał na łóżku; ale surowość jego spokojnej twarzy zatrzymała księżniczkę Marię na progu pokoju.

„Nie, on nie umarł, to niemożliwe!” – rzekła do siebie księżniczka Maria, zbliżyła się i, przewyciężając przerażenie, które ją ogarnęło, przycisnęła usta do jego policzka. Ale natychmiast się odsunęła. Cała tkliwość, jaką odczuwała dla niego, zniknęła w mgnieniu oka, ustępując miejsca uczuciu strachu przed tym, co miała przed sobą. „Nie, już go nie ma! Jego nie ma, a na tym miejscu, gdzie był, jest coś obcego i wrogiego, jakaś straszna, okropna odpychająca tajemnica!” I zasłoniwszy twarz rękami, księżniczka Maria padła na ręce doktora, który ją podtrzymał.

W obecności Tichona i doktora kobiety obmyły to, co było nim, podwiązały głowę chusteczką, żeby nie zeszywniały otwarte usta, a drugą chusteczką związały rozrzucone nogi. Potem ubrały go w mundur z orderami i położyły małe, wyschnięte ciało na stole. Bóg wie, kto i kiedy zatroszczył się o to, ale wszystko zrobiło się jak gdyby samo. W nocy przy trumnie paliły się świece, trumna była przykryta całunem, podłoga wysypana jałowcem, pod martwą wyschniętą głowę podłożono drukowaną modlitwę, a w kącie siedział diak i recytował psalmy.

Jak konie tłoczą się i parskają nad padłym koniem, podobnie w bawialni wokół trumny tłoczyli się ludzie obcy i swoi – marszałek szlachty, sołtys i kobiety, a wszyscy ze znieruchomiałymi oczyma, przestraszeni, żegnali się, bili pokłony, całowali zimną, zeszywniałą rękę starego księcia.

IX

Boguczarowo było zawsze, aż do osiedlenia się w nim księcia Andrzeja, majątkiem nierezydencjonalnym, przeto chłopci boguczarowscy byli całkiem inni niż chłopci łysogórscy. Różnili się od nich i mową, i odzieżą i obyczajami. Mianowali się stepowymi. Stary książę chwalił ich za wytrzymałość w robocie, kiedy przyjeżdżali do Łysych Gór pomóc w żniwach albo przy kopaniu stawów i rowów, ale nie lubił ich za dzikość.

Okres pobytu księcia Andrzeja w Boguczarowie, jego nowe urządzenia – szpitale, szkoły, ulgi w czynszach – wszystko to nie złagodziło ich charakteru, przeciwnie, spotęgowało w nich te cechy, które stary książę nazywał dzikością. Zawsze krążyły wśród nich jakieś niewyraźne gadki, to o zaliczeniu ich wszystkich do Kozaków, to o nowej wierze, na którą ich nawrócą, to znów o jakichś papierach carskich, o przysiędze Pawłowi Piotrowiczowi w 1797 (o której powiadali, że wówczas była ogłoszona wolność, ale panowie ją odebrali), to o tym, że za siedem lat zaczną panować Piotr Fiodorowicz, za którego nastanie wolność i wszystko będzie takie proste, że nic nie będzie. Wieści o wojnie i Bonapartem oraz o jego najeździe łączyły się dla nich z podobnie niejasnymi wyobrażeniami o Antychryście, końcu świata i pełnej wolności.

W okolicach Boguczarowa były wyłącznie duże wsie – skarbowe i prywatne czynszowe. Zamieszkującego tu ziemiaństwa było bardzo mało, również mało było czeladzi dworskiej i ludzi piśmiennych, w życiu zaś chłopstwa w tych okolicach widać było wyraźnie i lepiej niż gdzie indziej owe ukryte nurty narodowego rosyjskiego życia, których źródła i znaczenie były dla współczesnych niezrozumiałe. Jednym z takich zjawisk był przed dwudziestu laty wśród chłopstwa tej miejscowości pęd do przesiedlenia się nad jakieś ciepłe rzeki. Setki chłopów, a wśród nich boguczarowscy, zaczęły nagle wyprzedawać bydło i wyjeżdżać wraz z rodzinami gdzieś na południowy wschód. Ludzie ci, na podobieństwo ptaków lecących gdzieś za morza, śpieszyli z żonami i dziećmi na południowy wschód, gdzie jeszcze nikt z nich nie był. Szli całymi karawanami, wykupywali się pojedynczo, uciekali i jechali, i szli tam, nad ciepłe rzeki. Wielu było ukaranych, zesłanych na Syberię, wielu zmarło w drodze z głodu i zimna, wielu powróciło dobrowolnie, ruch przycichł samorzutnie, tak jak i powstał bez żadnej widocznej przyczyny. Ale podwodne prądy nie przestawały nurtować tego ludu i zbierały się w nową jakąś siłę, która miała się objawić równie dziwnie, znienacka, a jednocześnie zwyczajnie, naturalnie i mocno. Obecnie, w roku 1812, dla człowieka, który blisko żył z ludem, było rzeczą jasną, że te podwodne prądy silnie działały i były bliskie ujawnienia się.

Kiedy na pewien czas przed śmiercią starego księcia Ałpatycz przyjechał do Boguczarowa, zauważył, że wśród chłopstwa panuje wzburzenie, wręcz przeciwne temu, jakie panowało w okolicach Łysych Gór w promieniu sześćdziesięciu wiorst, gdzie wszyscy włościanie uciekali pozostawiając swoje wsie na łup Kozakom, w boguczarowskiej strefie stepowej chłopstwo, jak chodziły słuchy, utrzymywało stosunki z Francuzami, otrzymywało jakieś papiery, które krążyły wśród ludzi, i pozostawało na miejscu. Od zaufanej czeladzi dworskiej wiedział, że chłop Karp, mający wielkie wpływy w gromadzie, który ostatnio furmanił na skarbowej podwodzie,

przywiózł wiadomość, że Kozacy grabią wsie, z których ludzie uciekają, ale Francuzi ich nie ruszają. Wiedział, że inny chłop przywiózł wczoraj z Wislouchowa, wsi, gdzie stali Francuzi, papier od generała francuskiego. Generał oznajmił mieszkańcom, że jeśli pozostaną, nie będzie im się działo żadna krzywda, a za wszystko, co się od nich weźmie, będą mieli zapłacone. Na dowód tego chłop przywiózł z Wislouchowa sto rubli asygnatami (nie wiedział, że były fałszywe), które z góry dostał za siano.

I wreszcie najważniejsze – Ałpatycz wiedział, że tego samego dnia, kiedy kazał sołtysowi przygotować wozy do wywiezienia z Boguczarowa rzeczy księżniczki Marii, rano odbyło się we wsi zebranie, na którym postanowiono nie uciekać i czekać. A tymczasem czas naglił. W dniu śmierci księcia, 15 sierpnia, marszałek nalegał na księżniczkę Marię, żeby wyjeżdżała jeszcze tego samego dnia, ponieważ robiło się coraz niebezpieczniej. Mówił, że po szesnastym nie odpowiada za nic. W dniu śmierci księcia wyjechał wieczorem, Jednakowoż obiecał przyjechać nazajutrz na pogrzeb. Ale nazajutrz nie mógł przyjechać, ponieważ otrzymał wiadomość, że Francuzi niespodziewanie posunęli się naprzód, zaledwie zdążył wywieźć ze swego majątku rodzinę i wszystkie cenne przedmioty.

Trzydzieści lat zarządzał Boguczarowem sołtys Dron, którego stary książę nazywał Dronuszką.

Dron był jednym z tych chłopów silnych fizycznie i moralnie, którzy kiedy dojdą do lat i urosnie im broda, żyją do lat sześćdziesięciu-siedemdziesięciu nie zmieniając się, nie siwieją, nie tracą zębów i w wieku lat sześćdziesięciu są tak samo prości i silni, jak byli mając lat trzydzieści.

Dron wkrótce po wędrówce nad ciepłe rzeki, w której brał udział wraz z innymi, został mianowany sołtysem Boguczarowa i odtąd przez dwadzieścia trzy lata nienagannie sprawował ten urząd. Chłopi bali się go bardziej niż pana. Panowie, zarówno stary książę, jak i młody oraz administrator szanowali go i żartobliwie nazywali ministrem. Przez cały czas swej służby Dron ani razu nie był pijany ani chory, nigdy, ani po bezsennych nocach, ani po jakiegokolwiek pracy nie okazywał najmniejszego choćby zmęczenia, był niepiśmienny, ale nigdy nie zapomniał żadnej kwoty pieniędzy ani ilości pudów mąki w ogromnych transportach, które sprzedawał, ani jednej kopy zboża zżętego na każdej dziesięcinie boguczarowskich pól.

Ałpatycz, przyjechawszy ze spustoszonych Łysych Gór, wezwał do siebie w dniu pogrzebu księcia tego właśnie Drona. Kazał mu przygotować dwanaście koni pod ekwipaże księżniczki i osiemnaście wozów pod rzeczy, które powinny być zabrane z Boguczarowa. Zdaniem Ałpatycza, wykonanie tego polecenia nie powinno sprawić trudności, choć chłopci byli czynszowi, w Boguczarowie bowiem było dwieście trzydzieści dymów i chłopci byli zamożni. Ale sołtys Dron wysłuchawszy polecenia spuścił oczy. Ałpatycz wymienił mu chłopów, których znał i od których polecił mu wziąć podwoły.

Dron opowiedział, że konie tych chłopów są w rozjazdach. Ałpatycz wymienił innych chłopów. Oni również, wedle słów Drona, nie mieli koni: jedne były wzięte na skarbowe podwoły, inne słabe, a innym jeszcze chłopom konie pozdychały z braku paszy. Zdaniem Drona, nie można było zebrać koni nie tylko do przewiezienia rzeczy, ale i do ekwipażu.

Ałpatycz uważnie popatrzył na Drona i sposepniał. Dron był wzorowym sołtysem, ale i Ałpatycz nienadaremnie przez dwadzieścia lat zarządzał włością księcia i był wzorowym rządcą. Spojrzawszy na Drona, od razu zrozumiał, że jego odpowiedzi nie są wyrazem jego własnych myśli, lecz wyrazem tego ogólnego nastroju gromady Boguczarowa, który ogarnął również sołtysa. Ale wiedział również, że Dron zbogacony i zniechęcony przez gromadę, musi się wahać między dwoma obozami – pańskim i chłopskim. To wahanie zauważył Ałpatycz w spojrzeniu Drona, więc nachmurzony zbliżył się do sołtysa.

– Słuchaj no, Dronuszka! – powiedział. – Nie gadaj mi po próżnicy. Jaśnie oświecony książę

Andrzej Nikolaicz sam mi przykazał, żeby wszystkich ludzi wyprawić i nie zostawać z nieprzyjacielem – jest na to taki rozkaz cesarski. A kto się zostaje, to zdrajca cesarza. Słyszysz?

– Słucham – odpowiedział Dron nie podnosząc oczu. Ałpatycz nie zadowolił się tą odpowiedzią.

– Uważaj no, Dron, bo będzie kiepsko! – oświadczył Ałpatycz kiwając głową.

– Wola wasza! – odrzekł Dron ze smutkiem.

– Ej, Dron, dość tego! – powtórzył Ałpatycz wyjmując rękę zza pazuchy i uroczystym gestem wskazując na podłogę pod nogami Drona. – Nie tylko że ciebie widzę na wskroś, ale i widzę na wskroś na trzy arszyny pod tobą – oświadczył wpatrując się w podłogę pod nogami Drona.

– Dron zmieszał się, spojrzał przelotnie na Ałpatycza i znów spuścił oczy.

– Daj pokój tym głupstwom i powiedz ludziom, żeby się zbierali w drogę do Moskwy i na jutro rano przygotowali podwody pod tabor księżniczki, ale sam na zebranie nie chodź. Słyszysz?

Dron padł mu nagle do nóg.

– Jakubie Ałpatyczu, uwolnij mnie! Weź ode mnie klucze, uwolnij, na rany Chrystusa.

– Przestań! – rzekł Ałpatycz surowo. – Pod tobą na trzy arszyny widzę na wskroś – powtórzył wiedząc, że jego umiejętność doglądania pszczoł, znajomość pory siewu owsa, no i to, że w ciągu dwudziestu lat zawsze potrafił dogodzić staremu księciu, sprawiły, że już dawno zyskał sławę czarownika, a zdolność widzenia na trzy arszyny pod człowiekiem przypisuje się właśnie czarownikom.

– Dron podniósł się i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Ałpatycz mu przerwał:

– Cóżęście to wymyślili – co?... Co wy sobie myślicie? Co?

– Co mam zrobić z ludźmi? – rzekł Dron. – Całkiem ich roznosi. Powiadam im...

– Właśnie o tym mówię – rzekł Ałpatycz. – Piją? – zapytał krótko.

– Całkiem ich roznosi, Jakubie Ałpatyczu, drugą beczkę przywieźli.

– Więc słuchaj. Ja pojedę do sprawnika, a ty powiedz ludziom, żeby przestali i żeby były podwody.

– Słucham – odpowiedział Dron.

Jakub Ałpatycz już nie nalegał. Dawno rządząc ludźmi wiedział, że najlepszy sposób, żeby ludzie byli posłuszni, polega na tym, by nie okazać wątpliwości, że muszą słuchać. Wydobywszy z Drona pokorne „słucham”, Jakub Ałpatycz zadowolił się tym, choć nie tylko wątpił, ale nawet był przekonany, że bez pomocy oddziału wojska chłopci podwód nie dadzą.

Istotnie, na wieczór podwody nie były gotowe. Pod karczmą we wsi znów było zebranie, a na zebraniu postanowiono wypędzić konie do lasu i podwód nie dawać. Nic nie mówiąc o tym księżniczce, Ałpatycz kazał złożyć własny dobytek z wozów przyprawionych z Łysych GOT, dać konie do karet księżniczki Marii, a sam pojechał do władz.

X

Po pogrzebie ojca księżniczka Maria zamknęła się w swym pokoju i nikogo do siebie nie wpuszczała. Do drzwi podeszła dziewczyna, by powiedzieć, że Ałpatycz przyszedł prosić o polecenie co do wyjazdu. (To było jeszcze przed rozmową Ałpatycza z Dronem). Księżniczka Maria uniosła głowę z kanapy, na której leżała, i przez zamknięte drzwi odpowiedziała, że nigdy nigdzie nie pojedzie i prosi, by zostawiono ją w spokoju.

Okna pokoju, w którym leżała księżniczka Maria, wychodziły na zachód. Leżała na kanapie twarzą do ściany i przebierając palcami po guzikach skórzanej poduszki widziała tylko tę poduszkę; jej niewyraźne myśli skupiały się tylko na jednej rzeczy: myślała o nieodwracalności śmierci i o swej duchowej nikczemności, o której dotąd nie wiedziała a która wyszła na jaw w czasie choroby jej ojca. Chciała się modlić, ale nie śmiała, w tym stanie ducha, w jakim się znajdowała, nie ośmielała się zwracać ku Bogu. Długo leżała w tej pozycji.

Słońce zaszło na drugą stronę domu i skośnymi wieczornymi promieniami przez otwarte okno oświetliło pokój i część safianowej poduszki, na którą patrzyła księżniczka Maria. Myśli jej nagle się zatrzymały. Uniosła się nieświadomie, poprawiła włosy, wstała i zbliżyła się do okna. Mimo woli wdychała chłód pogodnego, ale wietrznego wieczora.

„Tak, teraz możesz swobodnie napawać się wieczorem! Jego już nie ma i nikt ci nie przeszkodzi” – powiedziała do siebie; opadła na krzesło i głowę spuściła na parapet.

Od strony ogrodu ktoś zawołał na nią tklwym i cichym głosem i pocałował w głowę. Obejrzała się. To była m-lle Bourienne w czarnej sukni z plerezami. Podeszła cicho do księżniczki Marii, westchnęła, pocałowała ją i od razu się rozplakała. Księżniczka Maria spojrziała na nią. Przypomniała sobie wszystkie dawne z nią nieporozumienia, zazdrość o nią, przypomniała sobie i to, że ostatnio on zmienił się względem m-lle Bourienne, nie mógł na nią patrzeć, a zatem niesprawiedliwe były wszystkie wymówki, jakie w duchu księżniczka Maria jej robiła. „Czyż ja, ja, która pragnęłam jego śmierci, mogę kogoś potępiać!” – myślała.

Księżniczka Maria żywo wyobraziła sobie położenie m-lle Bourienne, którą w ostatnich czasach odsunęła od siebie, ale która jednocześnie zależała od niej i przebywała w obcym domu. I zrobiło się jej z tego powodu żal. Popatrzyła na nią łagodnie i pytająco i wyciągnęła do niej rękę. M-lle Bourienne od razu się rozplakała, zaczęła całować jej rękę i mówić o nieszczęściu, jakie dotknęło księżniczkę Marię. Uważała się za uczestniczkę tego nieszczęścia. Mówiła, że jedyną pociechą w jej osobistym smutku jest to, że księżniczka Maria pozwala jej dzielić z nią ten smutek. Mówiła, że wszystkie dawne nieporozumienia powinny ustąpić wobec wielkiego nieszczęścia, że ona czuje się czysta wobec wszystkich i że on widzi stamtąd jej miłość i wdzięczność. Księżniczka słuchała nie rozumiejąc jej słów, ale od czasu do czasu spoglądała na nią i przysłuchiwała się dźwiękom jej głosu.

Droga księżniczko, położenie pani jest podwójnie straszne – oświadczyła m-lle Bourienne po chwili milczenia. – Rozumiem, że pani nie mogła i nie może myśleć o sobie; ale moja miłość do pani zobowiązuje mnie, by to zrobić... Czy Ałpatycz był u pani? Czy mówił o wyjeździe? –

zapytała.

Księżniczka Maria nie odpowiadała. Nie pojmowała, kto i dokąd miał wyjeżdżać. Czyż teraz można cokolwiek przedsięwziąć, o czymkolwiek myśleć? Czy to nie wszystko jedno? Nie odpowiadała.

– *Chere Marie*⁷⁶ – rzekła m-lle Bourienne – czy pani wie, że jesteśmy w niebezpieczeństwie, że jesteśmy otoczeni przez Francuzów; teraz niebezpiecznie jest jechać. Jeśli pojedziemy, na pewno dostaniemy się do niewoli i Bóg wie...

Księżniczka Maria patrzyła na swą przyjaciółkę i nie rozumiała, co ona mówi.

– Ach, gdyby ktoś wiedział, jak mi jest teraz wszystko, wszystko obojętne – oświadczyła. – Rozumie się, że za nic nie chciałabym go opuścić... Alpatycz mówił mi coś o wyjeździe... Niech pani z nim o tym porozmawia, ja nic, nic nie mogę i nie chcę...

– Rozmawiałam z nim. Ma nadzieję, że jutro zdążymy wyjechać; myślę jednak, że teraz byłoby lepiej zostać tutaj – rzekła m-lle Bourienne. – Gdyż, pani zgodzi się z tym, chere Marie, wpaść w ręce żołnierzy albo zbuntowanych chłopów byłoby straszne. – M-lle Bourienne wydobyła z *ridicule* (odbitą nie na zwyczajnym papierze rosyjskim) odezwę francuskiego generała Rameau do mieszkańców żeby nie opuszczali swych domów, że władze francuskie zapewnią im opiekę, i podała ją księżniczce Marii.

– Myślę, że lepiej zwrócić się do tego generała – oświadczyła m-lle Bourienne. – Jestem przekonana, że okaże pani wszystkie należne względy.

Księżniczka Maria czytała papier i suche łkanie ściągnęło jej twarz.

– Od kogo to pani dostała? – zapytała.

– Prawdopodobnie z racji mego nazwiska domyślili się, że jestem Francuską – odrzekła m-lle Bourienne czerwieniąc się.

Księżniczka Maria trzymając papier w ręku podniosła się i z pobladłą twarzą wyszła z pokoju, i udała się do dawnego gabinetu księcia Andrzeja.

– Duniasza, proszę wezwać do mnie Alpatycza, Dronuszkę czy kogokolwiek! – rzekła księżniczka Maria.

– I proszę powiedzieć Amalii Karłownie, żeby do mnie nie wchodziła – dodała usłyszawszy głos m-lle Bourienne.

– Jechać, jechać jak najprędzej! – mówiła księżniczka Maria, którą ogarnęło przerażenie na samą myśl o tym, że mogła się dostać pod władzę Francuzów.

„Gdyby książę Andrzej wiedział, że znalazła się we władzy Francuzów! Że ona, córka księcia Mikołaja Andreicza Bołkońskiego, prosiła pana generała Rameau o opiekę i korzystała z jego względów!” Ta myśl przerażała ją, wywoływała drżenie; księżniczka czerwieniła się, czuła napady gniewu i dumy, jakich jeszcze nie doznawała. Wyobrażała sobie żywo wszystko, co w jej sytuacji było trudnego, i co ważniejsze – ubliżającego. „Oni, Francuzi, rozlokują się w tym domu, pan generał Rameau zajmie gabinet księcia Andrzeja, dla zabawy będą przetrząsać i odczytywać jego listy i papiery. M-lle Bourienne lui fera les honneurs de Boguczarowo⁷⁷.”

Mnie z litości dadzą pokoik, żołnierze rozkopie świeży grób ojca, aby zdjąć z niego krzyże i gwiazdy: będą mi opowiadać o zwycięstwach nad Rosjanami, będą obłudnie wyrażać mi współczucie z powodu mego nieszczęścia...” – myślała księżniczka Maria nie swymi myślami, lecz czuła się w obowiązku myśleć myślami ojca i brata. Jej osobiście było wszystko jedno, gdzie będzie i co się z nią stanie; ale przy tym wszystkim czuła się przedstawicielką nieboszczyka ojca i księcia Andrzeja. Mimo woli myślała ich myślami, czuła ich uczuciami.

⁷⁶ Droga Mario.

⁷⁷ M-lle Bourienne będzie mu czyniła honory domu w Boguczarowic.

Uważała za konieczne uczynić to, co oni by teraz uczynili, co oni by powiedzieli. Poszła do gabinetu księcia Andrzeja i starając się przejąć jego myślami zastanawiała się nad swym położeniem.

Potrzeby życia, które wraz ze śmiercią ojca uważała za unicestwione, stanęły przed księżniczką Marią zmienacką i ogarnęły ją z ową siłą, dotychczas jeszcze nie znaną.

Wzburzona, czerwona, chodziła po pokoju, wzywała do siebie to Alpatycza, to Michała Iwanowicza, to Tichona, to znów Drona. Duniasza, niania i dziewczęta – żadna z nich nie mogła powiedzieć, ile było prawdy w tym, co oznajmiła m-lle Bourienne. Alpatycza nie było w domu: pojechał do władz. Wezwany Michał Iwanycz, architekt, z zaspanymi oczami zjawił się u księżniczki Marii i nic nie mógł jej powiedzieć. Na jej pytania odpowiadał z takim samym uśmiechem, z jakim w ciągu piętnastu lat przywykł odpowiadać, nie wyrażając swego zdania, na zapytania starego księcia, toteż z jego odpowiedzi nic określonego nie można było wywnioskować. Wezwany stary kamerdyner Tichon, z twarzą zmizerowaną i wychudłą, na której malował się nieuleczalny smutek, na wszystkie pytania księżniczki odpowiadał: „Słucham”, i ledwie powstrzymywał łkania patrząc na nią.

Wreszcie do pokoju wszedł Dron. Skłonił się nisko przed księżniczką Marią i zatrzymał się przy framudze drzwi.

Księżniczka Maria przeszła się po pokoju i stanęła naprzeciwko niego.

– Dronuszką – odezwała się księżniczka Maria, która w nim widziała niezawodnego przyjaciela, tego samego Dronuszkę, który ze swej corocznej podróży na jarmark do Wiązmy przywoził jej zawsze i z uśmiechem podawał osobliwego kształtu pierniki. – Dronuszką, teraz po naszym nieszczęściu... – zaczęła i umilkła nie czując się na siłach mówić dalej.

– Wszyscy podlegamy woli Bożej – odrzekł z westchnieniem. Oboje milczeli.

– Dronuszką, Alpatycz gdzieś wyjechał, nie mam do kogo się zwrócić. Czy to prawda, że już nie mogę wyjechać?

– Dlaczego jasnie oświecona księżniczka miałaby nie jechać, można jechać – rzekł Dron.

– Powiedziano mi, że niebezpiecznie ze względu na nieprzyjaciela. Mój kochany, ja nic nie mogę, nic nie rozumiem, nikogo przy mnie nie ma. Konieczne chcę jechać w nocy albo jutro rano. – Dron milczał. Spojrzał na księżniczkę Marię spode łba.

– Nie ma koni – powiedział – jużem to mówił Jakubowi Alpatyczowi.

– Dlaczegoż to nie ma? – zapytała księżniczka.

– Wszystko to kara Boża – oświadczył Dron. – Jedne konie zabrało wojsko, inne pozdychały: taki teraz rok. Mało, że koni nie ma czym żywić, żebyśmy i sami z głodu nie poumierali! I tak po trzy dni siedzimy na czczo. Nic nie ma, zrujnowali nas ze szczętem.

Księżniczka Maria uważnie słuchała tego, co jej mówił.

– Chłopi są zrujnowani? Nie mają zboża? – zapytała.

– Głodową śmiercią umierają – powiedział Dron. – Co tu gadać o podwodach.

– Dlaczegoż nie powiedział, Dronuszką? Czy nie można im pomóc? Zrobię wszystko, co mogę... – Księżniczce Marii wydawało się dziwne, że teraz, w takiej chwili, gdy taki smutek wypełniał jej duszę, mogli być ludzie bogaci i biedni i że bogaci mogli nie pomóc biednym. Wiedziała coś mętnie i słyszała, że bywa zboże pańskie i że się je rozdaje chłopom. Wiedziała również, że ani brat, ani ojciec nie odmówiliby chłopom w potrzebie; bała się tylko, by nie popełnić pomyłki mówiąc o tym rozdawaniu chłopom zboża, którym chciała się rozporządzić. Była zadowolona, że zjawił się pretekst do troski, dla której nie wstyd było zapomnieć o smutku. Jęła szczegółowo wypytywać Dronuszkę o potrzeby chłopów i o to, co w Boguczarowie jest pańskiego.

– Przecie mamy zboże dworskie mojego brata? – zapytała.

– Dworskie jest nietknięte – odpowiedział z dumą
– Dron. – Nasz ksiązę nie kazał sprzedawać.
– Wydaj je chłopom, wydaj wszystko, czego im potrzeba: pozwalam ci w imieniu brata – oświadczyła księżniczka Maria.

Dron nic nie odpowiedział i westchnął.

– Rozdaj im to zboże, jeśli go dla nich starczy. Wszystko rozdaj. Każę ci w imieniu brata i powiedz im: co nasze, to również ich. Niczego im nie pożałujemy. Tak im powiedz...

Kiedy księżniczka mówiła, Dron badawczo na nią patrzył.

– Zwolnij mnie, mateczko, na miłość boską, racz przyjąć ode mnie klucze – powiedział. – Służyłem dwadzieścia trzy lata, nic złego nie zrobiłem, zwolnij mnie, na miłość boską.

Księżniczka Maria nie zrozumiała, czego on chciał od niej, dlaczego prosił o zwolnienie. Odpowiedziała mu, że nigdy nie wątpiła o jego oddaniu i że wszystko gotowa zrobić dla niego i dla chłopów.

XI

W godzinę potem Duniasza przyszła do księżniczki z zawiadomieniem, że przyszedł Dron i że wszyscy chłopci, jak księżniczka kazała, zebrali się przy spichrzu i pragną pomówić z dziedziczką.

– Przecież ich nie wzywała – rzekła księżniczka Maria – tylko powiedziałam Dronuszcze, żeby im rozdał zboże.

– Na miłość boską, księżniczko matuchno, każ ich przepędzić, nie trzeba do nich wychodzić. Wszystko to oszukaństwo – mówiła Duniasza. – Kiedy Jakub Ałpatycz wróci, wyjedziemy... a księżniczka niech raczy...

– Co za oszukaństwo? – spytała zdziwiona księżniczka.

– Już ja wiem, tylko niech księżniczka mnie posłucha, na miłość boską. Proszę zapytać choćby niani. Powiadają, że się nie zgadzają wyjechać na rozkaz panienki.

– Mówisz jakoś osobliwie. Przecie nigdy nie kazałam wyjeżdżać... – rzekła księżniczka Maria. – Zawołaj Dronuszkę.

Dron potwierdził słowa Duniaszy: chłopci przyszli na rozkaz księżniczki.

– Przecież ich nigdy nie wzywała – oświadczyła księżniczka. – Widocznie źle im powiedziałeś. Powiedziałam tylko, żebyś im rozdał zboże.

– Dron nie odpowiedział, westchnął.

– Jeśli księżniczka rozkaże, odejdą – powiedział.

– Nie, nie, ja do nich wyjdę – oświadczyła księżniczka Maria.

Pomimo że Duniasza i niania odradzały jej, księżniczka

Maria wyszła na ganek. Duniasza, niania i Michał Iwanycz szli za nią.

„Oni na pewno myślą, że proponuję im zboże pod tym warunkiem, żeby zostali na swych miejscach, a sama wyjadę i rzucę ich na pastwę Francuzom – myślała księżniczka Maria. – Obiecuję im ordynarię miesięczną w dobrach podmoskiewskich, mieszkania, jestem przekonana, że Andre będąc na moim miejscu jeszcze więcej by zrobił” – myślała zbliżając się w zmroku do cizby, która stała na wygonie przed spichrzem.

Cizba stłoczyła się, poruszyła i chłopci pośpiesznie zdjęli kapelusze. Księżniczka Maria spuściła oczy i płacząc się w sukni podeszła do nich blisko. Tyle różnych oczu, starych i młodych, skierowało się na nią, tyle było różnych twarzy, toteż księżniczka Maria nie widziała ani jednej twarzy, a czując konieczność mówienia nagle ze wszystkimi, nie wiedziała, co robić. Ale świadomość, że jest przedstawicielką ojca i brata, dodała jej siły, więc śmiało zaczęła mówić.

– Bardzo się cieszę, żeście przyszli – zaczęła nie podnosząc oczu; czuła, jak serce jej biło prędko i mocno. – Dronuszkę powiedział mi, że wojna was zrujnowała. To nasze wspólne nieszczęście i niczego nie pożałuję, by wam pomóc. Wyjeżdżam, bo tu jest niebezpiecznie... i

nieprzyjaciel blisko... dlatego że... Oddaję wam wszystko, przyjaciele, proszę, byście wszystko wzięli, wszystko nasze zboże, żebyście nie byli w niedostatku. A jeśli wam powiedziano, że oddaję wam zboże pod tym warunkiem, żebyście tu pozostali, to nieprawda. Przeciwnie, proszę was, byście wraz z całym swym dobytkiem wyjechali do naszych majątności podmoskiewskich, a ja biorę to na siebie i obiecuję wam, że nie będziecie biedować. Dostaniecie i domy, i zboże.

Księżniczka zamilkła. W ciżbie słychać było westchnienia.

– A robię to nie od siebie – ciągnęła księżniczka robię to w imieniu nieboszczyka ojca, który był dla was dobrym panem, i w imieniu brata, i w imieniu jego syna. Znów zamilkła. Nikt nie przerywał jej milczenia.

– Troski mamy wspólne, będziemy się nimi dzielić po połowie. Wszystko, co moje, to i wasze – powiedziała patrząc na twarze chłopów stojących przed nią.

Wszystkie oczy patrzyły na nią z jednakowym wyrazem, którego znaczenia nie mogła pojąć. Czy to była ciekawość, oddanie, wdzięczność czy też przestrach i nieufność? Wszystkie twarze miały jednakowy wyraz.

– Bardzośmy kontenci z łask księżniczki, jeno pańskiego zboża brać nam się nie godzi – odezwał się głos z tyłu.

– Dlaczego? – zapytała księżniczka.

Nikt nie odpowiedział. Księżniczka Maria rozglądając się po ciżbie zauważyła, że teraz wszystkie oczy, z którymi spotykał się jej wzrok, natychmiast się opuszczały.

– Dlaczego nie chcecie? – znów zapytała. Nikt nie odpowiedział.

Księżniczce Marii ciężko się zrobiło od tego milczenia; starała się pochwycić czyjeś spojrzenie.

– Czemu nie mówicie? – zwróciła się księżniczka do staruszka, który oparty na kiju stał naprzeciwko niej. – Powiedz, jeśli myślisz, że jeszcze czegoś trzeba. Ja wszystko zrobię – powiedziała pochwyciwszy jego spojrzenie. Ale on jak gdyby rozgniewał się za to, zupełnie spuścił głowę i powiedział:

– Nie ma co się zgadzać, zboże nam niepotrzebne.

– Cóż to, mamy wszystko rzucić? Nie zgadzamy się. Nie zgadzamy... Nie dajemy zgody. Szkoda nam ciebie, ale zgody nie dajemy. Odjeżdżaj sobie sama... – rozległo się w ciżbie z różnych stron. I znów na wszystkich twarzach w tej ciżbie pokazał się jeden i ten sam wyraz, a teraz już na pewno nie był to wyraz ciekawości i wdzięczności, ale wyraz rozjątrzonej stanowczości.

– Ależ nie zrozumieliście, naprawdę – ze smutnym uśmiechem rzekła księżniczka Maria. – Czemu nie chcecie jechać? Obiecuję osiedlić was, żywić. A tu nieprzyjaciel zrujnuje was...

Ale jej głos zagłuszyły głosy z tłumu:

– Nie dajemy naszej zgody, niech rujnuje! Nie bierzemy twego zboża, nie dajemy naszej zgody!

Księżniczka Maria znów usiłowała pochwycić czyjeś spojrzenie, ale ani jedno spojrzenie nie było skierowane na nią; oczy ich najwidoczniej unikały jej wzroku. Zrobiło się jej dziwnie i niezręcznie.

– Widzicie, jak nas poucza, dla niej iść w niewolę! Dom zrujnuj, a sam idź w poddaństwo. Bo jak? „Zboże, powiada, oddam!” – rozlegało się w tłumie.

Księżniczka Maria spuściła głowę, wyszła z koliska i udała się do domu. Powtórzyła Drenowi rozkaz, żeby nazajutrz były konie do wyjazdu, poszła do swego pokoju i została sama ze swymi myślami.

XII

Tej nocy księżniczka Maria długo siedziała w swym pokoju przy otwartym oknie i przysłuchiwała się odgłosom rozmów chłopskich dochodzących ze wsi, ale o nich nie myślała, nie mogłaby ich pojąć. Myślała ciągle o tym samym – o swym strapieniu, które obecnie, po przerwie spowodowanej troską o teraźniejszość, stało się już dla niej czymś minionym. Teraz mogła już wspominać, mogła płakać i mogła się modlić. Po zachodzie słońca wiatr ucichł. Noc była cicha i chłodna. O pomocy głosy jęły cichnąć, zapiał kogut, spoza lip wynurzył się księżyc w pełni, podniosła się biała mgła rosy, nad wsią i nad domem zaległa cisza.

Jeden po drugim przesuwały się przed nią obrazy bliskiej przeszłości – choroba i ostatnie chwile ojca. Teraz ze smutną radością zatrzymywała myśl na tych obrazach, tylko z przerażeniem odpędzała od siebie ostami obraz: jego śmierć, której – czuła to – nie była nawet w stanie rozważyć w swej wyobraźni w owej spokojnej, tajemniczej godzinie nocy. Obrazy jawiły się przed nią tak wyraziste i z takimi szczegółami, że wydawały się jej to rzeczywistością, to przeszłością, to znów przyszłością.

Żywo stanęła przed nią chwila, kiedy dostał ataku i z ogrodu w Łysych Górach wleczono go pod ręce, a on mamrotał coś bezsilnym językiem, poruszał siwymi brwiami i patrzył na nią niespokojnie i lękliwie.

„On i wtedy chciał mi powiedzieć to, co mi powiedział w dniu swej śmierci – myślała. – Zawsze to myślał, co mi powiedział.” I oto ze wszystkimi szczegółami przypomniała sobie ową noc w Łysych Górach w przeddzień jego choroby, kiedy, przeczuwając nieszczęście, pozostała z nim wbrew jego woli. Nie spała, w nocy zeszła na palcach na dół, zbliżyła się do drzwi oranżerii, w której ojciec spędzał tę noc, przysłuchiwała się jego głosowi. Mówił coś do Tichona znużonym głosem. Widocznie miał chęć porozmawiać. „Dlaczego mnie nie wezwał? Dlaczego nie pozwolił, bym ja tam była, zamiast Tichona? – myślała księżniczka Maria i wówczas, i teraz. – Już nigdy teraz nikomu nie powie tego wszystkiego, co się działo w jego duszy. Już nigdy nie wróci ani dla niego, ani dla mnie ta chwila, w której by powiedział wszystko, co pragnął powiedzieć, i nie Tichon by go słuchał, ale ja, która bym go rozumiała. Dlaczego wtedy nie weszłam do pokoju? – myślała. – Może wówczas powiedziałby mi to, co powiedział w dniu śmierci. I wówczas rozmawiając z Tichonem dwa razy zapytał o mnie. Pragnął mnie widzieć, a ja stałam tuż, za drzwiami. Smutno mu było i ciężko rozmawiać z Tichonem, który go nie rozumiał. Pamiętam, jak zaczął z nim mówić o Lizie jako o żyjącej – zapomniał, że umarła – a kiedy Tichon mu to przypomniał, że już jej nie ma, krzyknął: Głupcze!» Było mu ciężko. Słyszałam za drzwiami, jak postępując położył się na łóżku i głośno krzyknął: O mój Boże!» Dlaczego wtedy nie weszłam? Cóż by mi zrobił? Cóż bym straciła? A może by go to pocieszyło, może by powiedział mi to słowo.” I księżniczka Maria powiedziała głośno to pieszczotliwe słowo, które jej powiedział w dniu śmierci. „Kochanie!” – powtórzyła księżniczka Maria to słowo i rozplakała się łzami przynoszącymi ulgę duszy. Widziała teraz przed sobą jego twarz. I

to nie tę twarz, którą znała od czasu, jak sięga pamięcią, i którą widziała zawsze z daleka, ale tę twarz zaleknioną i słabą, której po raz pierwszy przyjrzała się z bliska, kiedy się pochyliła ku jego ustom, aby usłyszeć to, co mówił, zobaczyła tę twarz ze wszystkimi zmarszczkami i szczegółami.

– Kochanie – powtórzyła.

„Co myślał, kiedy powiedział to słowo? Co myśli teraz? – zadała sobie zniecka to pytanie, a w odpowiedzi ujrzała go przed sobą z takim wyrazem, jaki miał w trumnie na obwiązanej białą chusteczką twarzy. I ten sam strach, jaki ogarnął ją wówczas, kiedy go dotknęła i przekonała się, że to nie był on, lecz coś tajemniczego i odpychającego, ten strach ogarnął ją i teraz. Chciała myśleć o czymś innym, chciała się modlić, ale nie mogła. Dużymi, szeroko otwartymi oczami patrzyła na światło księżyca, na cienie i w każdej chwili spodziewała się, że ujrzy jego martwą twarz, i czuła, że obezwładnia ją cisza zalegająca nad domem i w domu.

– Duniasza! – szepnęła. – Duniasza! – krzyknęła dzikim głosem i wyrwawszy się z ciszy pobiegła do czeladnej.

Naprzeciwko niej biegły już dziewczęta i niania.

XIII

17 sierpnia Rostow i Ilin, kwaterujący w Jankowie, o piętnaście wiorst od Boguczarowa, pojechali konno na przejażdżkę, aby wypróbować nowego konia-wierzchowca kupionego przez Ilina i wy badać, czy we wsiach nie ma siana. Towarzyszył im tylko Ławruszka, który wrócił z niewoli, i ordynans.

W ciągu ostatnich trzech dni Boguczarowo znajdowało się między dwiema nieprzyjacielskimi armiami, toteż łatwo mogła się tam znaleźć rosyjska straż tylna albo francuska straż przednia. Dlatego właśnie Rostow, jako zapobiegliwy dowódca szwadronu, chciał przed Francuzami skorzystać z furazu, jaki się znajdował w Boguczarowie.

Rostow i Ilin byli w bardzo wesołym nastroju. W drodze do Boguczarowa, majątku książęcego z dworem, gdzie spodziewali się znaleźć liczną czeladź i ładniutki dziewczęta, wypytywali Ławruszkę o Napoleona, śmiali się z jego opowiadania, to znów ścigali się wypróbując konia Ilina.

Rostow wcale nie wiedział i nie domyślał się, że wieś, do której jechał, należała właśnie do tego Bołkońskiego, który był narzeczonym jego siostry.

Rostow i Ilin ostatni raz puścili konie na wyścigi ze spadzistej wyniosłości przed Boguczarowem. Rostow prześcignął Ilina i pierwszy wjechał w wiejską ulicę.

– Prześcignąłeś mnie – mówił zaczerwieniony Ilin.

– Tak, prześcignąłem, i na łące, i tutaj – odpowiedział Rostow głaszcząc ręką swego spienionego dońca.

– A ja prześcignąłbym jaśnie pana na swym francuzie, jeno nie chciałem jaśnie panu robić wstydu – mówił z tyłu Ławruszka nazywając „francuzem” swego taborowego konia.

Stępa zbliżyli się do spichrza, przy którym stała cizba chłopów.

Jedni chłopci zdjęli czapki, inni zaś nie zdejmując czapek patrzyli na przyjezdnych. Dwaj starzy, wysocy chłopci, z pomarszczonymi twarzami i rzadkimi brodami, wyszli z karczmy; uśmiechnięci, zataczając się i śpiewając jakąś niedorzeczną piosenkę, podeszli do oficerów.

– Zuchy! – odezwał się Rostow śmiejąc się. – Jak tam, siano jest?

– A jacy jednakowi... – rzekł Ilin.

– We-e-e-so-o-o-ła za-a-ba-a... – ciągnął chłop błogo się uśmiechając.

Jakiś chłop wyszedł z tłumu i zbliżył się do Rostowa.

– Coście za jedni? – zapytał.

– Francuzi – odpowiedział Ilin śmiejąc się. – A to sam Napoleon – dodał wskazując na Ławruszkę.

– To znaczy, żeście chyba Rosjanie? – zapytał chłop po raz drugi.

– A siła was tutaj? – zapytał inny chłop, nieduży, podchodząc do nich.

– Dużo, dużo – odpowiedział Rostow. – A wy dlaczegoście się tu zebrali? – dodał. – Czy to jakie święto?

Starszyzna się zebrała wedle gromadzkich spraw odpowiedział chłop odsuwając się od niego.

Tymczasem na drodze od pańskiego domu ukazały się dwie kobiety i człowiek w białym

kapeluszu. Zmierzali ku oficerom.

– Ta w różowym moja, od niej waral – oświadczył Ilin zauważywszy zbliżającą się do niego śmiało Duniaszę.

– Będzie nasza! – rzekł do Ilina Ławruszka i mrugnął.

– O co chodzi, ślicznotko? – zapytał uśmiechnięty Ilin.

– Księżniczka kazała zapytać, z jakiego pan pułku i jak się nazywa?

– To hrabia Rostow, dowódca szwadronu, a ja pokorny sługa panienki.

– Za...ba.a...wa!... – wyśpiewywał pijany chłop, błogo uśmiechnięty patrzył na Ilina rozmawiającego z dziewczyną. Za Duniaszą podszedł do Rostowa Ałpatycz, już z daleka zdjąwszy kapelusz.

– Ośmielam się niepokoić waszą wielmożność – rzekł z uszanowaniem, ale i z niejakim lekceważeniem dla młodego wieku tego oficera, i wetknął rękę za pazuchę. – Moja pani, córka zmarłego 15 tego miesiąca generała anszefa, księcia Mikołaja Andrejewicza Bołkońskiego, będąc w trudnym położeniu ze względu na ciemnotę tych osobników wskazał na chłopów – prosi... Czy nie można by, jeśli łaska – dodał ze smutnym uśmiechem – odjechać nieco, bo to nieporęcznie przy... – Ałpatycz wskazał na dwóch chłopów, którzy z tyłu kręcili się koło niego niby ślepaki koło konia.

– Ach! Ałpatycz... Jakub Ałpatycz!... Ważny! Daruj, na rany Chrystusa, ważny! Co?... – mówili chłopci uśmiechając się do niego radośnie. Rostow popatrzył na pijanych chłopów i uśmiechnął się.

– Czy może to tak bawi jaśnie pana? – rzekł Ałpatycz ze stateczną miną i ręką nie zatkniętą za pazuchę wskazał na starych.

– Nie, uciechy tu niewiele – rzekł Rostow i odjechał. – O co chodzi? – zapytał.

– Ośmielam się zameldować jaśnie panu, że tutejszy chamski naród nie chce wypuścić pani z majątku i grozi, że wyprzęgnie konie, więc od rana wszystko jest przygotowane, a jaśnie oświecona księżniczka nie może wyjechać.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Rostow.

– Mam zaszczyt meldować panu szczerą prawdę – powtórzył Ałpatycz.

Rostow zsiadł z konia, oddał uzdę ordynansowi i poszedł z Ałpatychem do dworu wypytywać go o szczegóły sprawy. Istotnie, wczorajsze zaofiarowanie przez księżniczkę zboża chłopom, jej rozmowa z Dronem i z gromadą – wszystko to tak popsuło sprawę, że Dron stanowczo oddał klucze, przyłączył się do chłopów i nie pokazywał się na wezwanie Ałpatycza; rano zaś, kiedy księżniczka kazała zaprzęgać, aby wyjechać, chłopci wyszli gromadą przed spichrz i wysłali delegatów, by powiedzieli, że nie wypuszczą księżniczki ze wsi, że jest rozkaz, by nie wyjeżdżać, więc wyprzęgną konie. Ałpatycz wychodził do nich, zawstydził ich, ale mu odpowiadali (najwięcej ze wszystkich mówił Karp, Dron nie wysuwał się z cizby), że księżniczki nie można wypuścić, jest na to rozkaz, niech księżniczka zostanie, a oni będą jej służyć po dawnemu i we wszystkim będą posłuszni.

W tej chwili, kiedy Rostow i Ilin cwałowali po drodze, księżniczka, mimo perswazji Ałpatycza, niani i dziewcząt, kazała zaprzęgać i chciała jechać; ale kiedy ujrzeli pędzących kawalerzystów, wzięli ich za Francuzów, stangreci się rozbiegli, kobiety w domu podniosły płacz.

– Ojczulku! ojczu rodzony! Bóg cię nam zesłał – mówiły rozrzewnione głosy, kiedy Rostow szedł przez przedpokój.

Księżniczka Maria straciła głowę; bezsilna, siedziała w salonie, kiedy przyprowadzono do niej Rostowa. Nie pojmowała, kto to taki, po co przybywa, co z nią będzie. Kiedy zobaczyła jego

rosyjską twarz i po sposobie wejścia oraz po pierwszych słowach poznała w nim człowieka ze swojej sfery, spojrzała na niego swym głębokim i promiennym wzrokiem i jęła mówić głosem przerywanym, drżącym ze wzruszenia. Rostow od razu sobie wyobraził coś romantycznego w tym spotkaniu. „Bezbronna, przybita nieszczęściem panna, sama, pozostawiona na pastwę gburowatych, zbuntowanych chłopów! Jaki dziwny los pchnął mnie tutaj! – myślał Rostow słuchając jej i patrząc na nią. – Jaka łagodność, szlachetność w jej rysach i w wyrazie twarzy!” – myślał słuchając jej nieśmiałego opowiadania.

Kiedy wspomniała, że wszystko to zdarzyło się nazajutrz po pogrzebie ojca, głos jej zadrżał. Odwróciła się, a potem, jakby w obawie, by Rostow nie wziął jej słów za chęć rozrzewnienia go, spojrzała na niego pytająco i lękliwie. Rostow miał łzy w oczach. Księżniczka Maria zauważyła to i z wdzięcznością popatrzyła na niego tym promiennym spojrzeniem, które kazało zapominać o jej nieładnej twarzy.

Nie potrafię wyrazić, księżniczko, jak jestem szczęśliwy, że przyjechał tu przypadkiem i że będę mógł dopomóc pani – rzekł Rostow wstając. – Zechciej pani jechać, a rękę honorem, że nikt nie ośmieli się zrobić pani przykrości, jeśli tylko pani pozwoli, bym ją eskortował – skłonił się z uszanowaniem, jak się kłaniają damom cesarskiej krwi, i skierował się ku drzwiom.

Swym tonem pełnym szacunku Rostow jak gdyby dawał poznać, że choćby sobie uważał za wielkie szczęście zawarcie z nią znajomości, przecie nie chciał korzystać z jej nieszczęścia, by się do niej zbliżyć.

Księżniczka Maria zrozumiała to i ceniła ów ton.

Jestem panu bardzo, bardzo wdzięczna – rzekła do niego księżniczka po francusku. – Mam wszakże nadzieję, że to tylko nieporozumienie i że nikt nie jest temu winien.

Księżniczka rozplakała się nagle. – Proszę mi wybaczyć powiedziała.

Rostow, zasepiony, raz jeszcze złożył niski ukłon i wyszedł z pokoju.

XIV

– No jak, miła? Nie, bracie, różowa to moja bogini i ma na imię Duniasza... – Ale kiedy Ilin spojrział na Rostowa, umilkł. Widział, że jego bohater i dowódca jest w całkiem innym nastroju.

Rostow spojrział gniewnie na Ilina, nic mu nie odpowiedział i szybko skierował się do wsi.

– Ja pokażę tym zbójcom, ja im dam! – mówił do siebie. Posuwistym krokiem, byle nie biec, Alpatycz ledwie dogonił Rostowa, bez mała klusem.

– Jakie postanowienie raczył pan powziąć? – zapytał dogoniwszy go.

Rostow zatrzymał się, zacisnął pięści i ruszył groźnie na Alpatycza.

– Postanowienie? Jakie postanowienie? Stary grzybie! – krzyknął na niego. – A tyś na co czekał? Co? Chłopi się buntują, a ty nie potrafisz dać sobie rady? Sameś zdrajca. Już ja was znam, wszystkich obedrę ze skóry... – I jak gdyby w obawie, by nie rozproszyć na darmo zapasu swej zapalczywości, zostawił Alpatycza i szybko poszedł naprzód. Alpatycz zdusił uczucie obrazy i posuwistym krokiem pospieszył za Rostowem i nadal wyluszczał mu swe myśli. Powiadał, że chłopci są zatwardziali, że w obecnej chwili byłoby niebezpiecznie im przeciwnie działać nie mając oddziału wojska, czy nie lepiej byłoby posłać przedtem po oddział.

– Ja im dam oddział wojska... Ja im przeciwdziałam – powtarzał bezmyślnie Mikołaj dławiąc się nierozsądną, żywiołową złością i potrzebą wyladowania tej złości. Nie zastanawiając się nad tym, jak postąpi, nieświadomie, szybkim, stanowczym krokiem zbliżał się do cizby. Im bardziej się do niej zbliżał, tym wyraźniej Alpatycz czuł, że jego nierozważny postępek może dać dobre wyniki. To samo czuli i chłopci w cizbie patrząc na jego szybkie i pewne kroki, na stanowczą, chmurną twarz.

Po wjeździe huzarów do wsi i potem, jak Rostow poszedł do księżniczki, w tłumie powstało zamieszanie i rozłam. Jedni chłopci jęli mówić, że przyjezdni są Rosjanami i żeby tylko się nie rozgniewali o to, że oni nie wypuszczają panienki. Dron był tego samego zdania, ale jak tylko je wypowiedział. Karp oraz inni chłopci napadli na byłego sołtysa.

– Ileż to lat znęcałeś się nad gromadą? – krzyczał na niego Karp. – Tobie wszystko jedno! Wykopiesz swój garnek, zabierzesz ze sobą i co cię to obchodzi, czy nasze chałupy zostaną zrujnowane, czy nie!

– Rzekło się: porządek ma być, niech nikt nie opuszcza domu, nie wywozi ani źdźbła – to cała gadka! – krzyczał drugi.

– Była kolejka na twojego syna, ale tobie było żal swego gładysza – znienacka napadł na Drona jakiś mały staruszek i gadał prędko – to żeś ostrzygł mojego Wańkę. Ech, pomrzemy tutaj.

– Tak, tak, tutaj pomrzemy!

– Ja się woli gromadzkiej nie opieram! – powiadał Dron.

– O, nie opiera się, ale kałdun mu urósł!... Dwaj wysocy chłopci gadali swoje. Jak tylko Rostow w towarzystwie Ilina, Ławruszki i Alpatycza zbliżył się do tłumu. Karp, założywszy ręce za pas i uśmiechając się wysunął się naprzód. Dron, przeciwnie, cofnął się do tyłu, tłum się zwarł ciałniej.

– Hej! który z was tutaj sołtys? – krzyknął Rostow i szybkim krokiem zbliżył się do tłumu.

– Sołtys? A na co on panu?... – zapytał Karp. Ale jeszcze nie zdążył odpowiedzieć, gdy mu czapka zleciała i głowa przechyliła się na bok od silnego uderzenia.

– Czapki z głów, zdrajcy! – krzyknął Rostow krewkim głosem. – Gdzie sołtys? – krzyczał wściekle.

– Sołtysa, sołtysa woła... Dronie Zacharyczu, was – rozległy się tu i ówdzie spieszne i pokorne głosy, a czapki jeły spadać z głów.

– Nam nie wolno buntować się, my pilnujemy porządku – oświadczył Karp, a w tej chwili kilka głosów z tyłu odezwało się nagle:

– Jak starzy postanowili, a was, władzy, dużo...

– Mądrzyć się?... Bunt!... Zbóje! Zdrajcy! – nieprzytomnie, nieswoim głosem wrzasnął Rostow chwytając Karpa za kołnierz. – Wiązać go, wiązać! – krzyczał, choć prócz Ławruszki i Ałpatycza nie miał kto go wiązać.

Jednakowoż Ławruszka podbiegł do Karpa i chwycił go z tyłu za rękę.

– Czy mam zawołać naszych spod góry? – krzyknął. Ałpatycz zwrócił się do chłopów i po imieniu wywołał dwóch, aby związali Karpa. Chłopi pokornie wyszli z tłumu i zaczęli odpinać pasy.

– Gdzie sołtys? – krzyknął Rostow.

Dron, z twarzą chmurną i bladą, wysunął się z tłumu.

– Tyś sołtys? Ławruszka, wiązać go! – krzyczał Rostow, jak gdyby i ten rozkaz nie mógł się spotkać ze sprzeciwem. I rzeczywiście, dwaj inni chłopci jęli wiązać Drona, który – jakby chcąc im pomóc – zdjął pas i podał im.

– A wy słuchajcie, co wam mówię – Rostow zwrócił się do chłopów: – Natychmiast marsz do domów i żebym głosu waszego nie słyszał.

– Przecieżmy żadnej krzywdy nie zrobili. My jeno tak z głupoty. Wyszło z tego ni to, ni owo... Przecieżem mówił, że to nieporządek – rozległy się głosy wzajemnych wymówek.

– A przecieżem wam mówił – odezwał się Ałpatycz wracając do swych praw. – Żle, chłopcy!

– To nasza głupota, Jakubie Ałpatyczu – odpowiadały głosy. Tłum zaraz zaczął się rozchodzić i rozsypywać po wsi.

– Dwóch związanych chłopów odprowadzono do dworu. Obydwaj pijani chłopci szli za nimi.

– Ech, niechże ci się przypatrzę! – mówił jeden z nich do Karpa.

– Czy to można tak gadać z państwem. Coś ty sobie myślał?

– Głupi – przytakiwał drugi – naprawdę głupi! Po upływie dwóch godzin na podwórzu boguczarowskim stały podwoły. Chłopi żwawo wynosili i układali na wozach pańskie rzeczy, a Dron, na prośbę księżniczki wypuszczony z lamusa, w którym go zamknięto, stał na podwórzu i wszystkim kierował.

– Ty jej tak głupio nie kładź – mówił jeden z chłopów, wysoki, z okrągłą, uśmiechniętą twarzą, biorąc szkatułkę z rąk pokojówki. – Przecie to kosztuje pieniądze. A ty chcesz ją tak rzucić albo przywiązać sznurkiem, a ona się porysuje. Ja tak nie lubię. Powinno być wszystko uczciwie, wedle prawa. O, tak, pod rogożę, przykryj siankiem, teraz dobrze.

– Ale książek, ale książek – rzekł drugi chłop, który wynosił biblioteczne szafy księcia Andrzeja. – A ty nie zaczepiaj! Ale ciężko, chłopcy, to ci książczyska!

– Oho, pisali, nie próżnowali! – rzekł mrugnawszy porozumiewawczo wysoki, okrągłolicy chłop pokazując leżące na wierzchu leksykony.

Rostow nie chciał narzucać księżniczce swej osoby, toteż nie poszedł do niej, ale czekając na jej wyjazd pozostał we wsi. Kiedy ekwipaże księżniczki ruszyły z dworu, Rostow dosiadł konia i do drogi zajętej przez nasze wojska, w odległości dwunastu wiorst od Boguczarowa, towarzyszył

jej konno. W Jankowie, w zajeździe, z uszanowaniem pożegnał się z nią i po raz pierwszy pozwolił sobie ucałować jej rękę.

– Jak pani może – mówił czerwieniąc się, kiedy księżniczka Maria dziękowała mu za ocalenie (tak nazywała jego postępek) – każdy stanowy by to zrobił. Gdyby nam wypadło wojować tylko z chłopami, nie puścilibyśmy nieprzyjaciela tak daleko – mówił wstydząc się czegoś i usiłując zmienić temat rozmowy. – Jestem tylko szczęśliwy, że miałem okazję poznać panią. Żegnam, księżniczko, życzę pani szczęścia i ukojenia i pragnę spotkać się z panią w szczęśliwszych okolicznościach. Jeśli pani nie chce zmusić mnie do tego, bym się czerwienił, proszę mi nie dziękować.

Ale jeśli księżniczka nie dziękowała mu już słowami, to dziękowała wyrazem twarzy, jaśniejącej wdzięcznością i tklivością. Nie mogła uwierzyć, że nie ma za co mu dziękować. Przeciwnie, było dla niej rzeczą niewątpliwą, że gdyby nie on, na pewno zginęłaby i z rąk buntowników, i Francuzów; że on, aby ją ocalić, narażał się na oczywiste i straszne niebezpieczeństwo; a jeszcze bardziej niewątpliwą rzeczą było, że jest to człowiek o wzniosłej i szlachetnej duszy, który umiał zrozumieć jej sytuację i smutek. Wciąż widziała przed sobą jego dobre, uczciwe oczy, zachodzące łzami, kiedy, sama rozplakawszy się, mówiła mu o swej stracie.

Księżniczka Maria, kiedy już się z nim pożegnała i została sama, poczuła nagle łzy w oczach i wtedy już nie po raz pierwszy stanęło przed nią dziwne pytanie: czy go kocha?

W dalszej drodze do Moskwy, mimo że położenie księżniczki nie było wesołe, jadąca z nią w karecie Duniasza spostrzegła nieraz, że księżniczka wyglądając z okna karety uśmiecha się do czegoś radośnie i smutno.

„I cóż by się stało, gdybym go pokochała?” – myślała księżniczka Maria.

Choć bardzo jej było wstyd przyznać się sobie, że pierwsza pokochała człowieka, który może nigdy jej nie pokocha, pocieszała się myślą, że nikt nigdy o tym się nie dowie i że ona nie będzie winna, jeśli do końca życia, nikomu o tym nie mówiąc, będzie kochała tego, którego pokochała miłością pierwszą i ostatnią.

Czasami wspominała jego spojrzenia, jego współczucie, jego słowa i wydawało się jej, że szczęście nie jest niemożliwe. I wtedy właśnie Duniasza spostrzegła, że księżniczka się uśmiecha i patrzy w okno karety.

„Że też przyjechał do Boguczarowa, i w takiej właśnie chwili! – myślała księżniczka Maria. – I jego siostra musiała dać rekuzę księciu Andrzejowi!” I w tym wszystkim księżniczka Maria widziała wolę Opatrzności.

Wrażenie, jakie księżniczka Maria zrobiła na Rostowie, było bardzo miłe. Kiedy ją sobie przypominał, robiło mu się wesoło, a kiedy koledzy dowiedziawszy się o przygodzie, jaka mu się zdarzyła w Boguczarowie, żartowali, że pojechał po siano, a złowił jedną z najbogatszych panien w Rosji, Rostow złościł się. Złościł się właśnie dlatego, że myśl o zaślubieniu miłej, łagodnej księżniczki Marii, nadzwyczaj majątnej, nieraz mimo woli przychodziła mu do głowy. Dla siebie oczywiście Mikołaj nie mógłby pragnąć lepszej żony niż księżniczka Maria: małżeństwo z nią uszczęśliwiłoby hrabinę – jego matkę, i poprawiłoby interesy ojca; i nawet – Mikołaj to czuł – dałoby szczęście księżniczce Marii.

Ale Sonia? I dane słowo? I właśnie dlatego Rostow złościł się, kiedy żartowano z niego z powodu księżniczki Bołkońskiej.

Kiedy Kutuzow objął dowództwo nad wojskami, przypomniał sobie o Andrzeju i wysłał do niego rozkaz stawienia się w kwaterze głównej.

Książę Andrzej przybył do Carewo-Zajmiszcza tego właśnie dnia i o tej właśnie porze, kiedy Kutuzow dokonywał pierwszego przeglądu wojsk. Książę Andrzej zatrzymał się we wsi przed

domem popa, gdzie stał powóz naczelnego wodza. Usiadł na ławeczce u wrót i czekał na jego dostojność, jak teraz wszyscy nazywali Kutuzowa. Na polu za wsią słychać było to dźwięki pułkowej orkiestry, to ryk olbrzymiej liczby głosów krzyczących „hura!” nowemu wodzowi. Tuż przy wrotach, o dziesięć kroków od księcia Andrzeja, korzystając z nieobecności księcia i pięknej pogody stali dwaj ordynansi, kurier i ochmistrz. Przed wrota zajechał niski podpułkownik huzarów, czarniawy, obrośnięty wąsami i bokobrodami. Spojrzał na księcia Andrzeja i zapytał, czy tu kwateruje jego dostojność i czy prędko będzie.

Książę Andrzej odpowiedział, że nie należy do sztabu jego dostojności i także jest przyjezdny... Podpułkownik huzarów zwrócił się do eleganckiego ordynansa, ordynans zaś naczelnego wodza odpowiedział mu z tą osobliwą pogardą, z jaką ordynansi naczelnych wodzów rozmawiają z oficerami.

– Co, jego dostojność? Chyba niedługo będzie.

– A o co chodzi?

Podpułkownik huzarów uśmiechnął się pod wąsem na ów ton ordynansa, zsiadł z konia, oddał go swemu ordynansowi i, skłoniwszy się lekko, zbliżył się do Bołkońskiego. Bołkoński posunął się na ławce. Podpułkownik huzarów usiadł obok niego.

– Pan także czeka na naczelnego wodza? – zaczął podpułkownik. – Powiadają, że dla wszystkich jest bardzo przystępny, to dzięki Bogu. Bo z tymi kielbaśnikami – prawdziwe nieszczęście! Jermolow nie na próżno wpraszał się na Niemca. Może teraz Rosjanie dojdą do głosu. Bo wyprawiali lichy wie co. Ciągłe się cofali i cofali. Czy pan był w szeregach? – zapytał.

– Miałem przyjemność – odpowiedział książę Andrzej – nie tylko uczestniczyć w odwrocie, ale i stracić w tym odwrocie wszystko, com miał najdroższego, nie mówiąc o majątkach i rodzinnym domu... ojca, który umarł ze zmartwienia. Jestem smoleńszczanin.

– Ach, taki... To pan jest książę Bołkoński. Bardzom rad ze znajomości: podpułkownik Denisow, bardziej znany pod imieniem Wąski – rzekł Denisow ściskając rękę księciu Andrzejowi i przypatrując mu się ze szczególnie życzliwą uwagą. – Tak, słyszałem – rzekł ze współczuciem, a po chwili milczenia ciągnął dalej: – To wojna scytyjska. Wszystko to bardzo piękne, ale nie dla tych, co to odczuwają ją na własnej skórze. Więc to pan jest książę Andrzej Bołkoński? Pokiwał głową. – Bardzom rad ze znajomości, bardzo – dodał znów ze smutnym uśmiechem i uściśnął mu rękę.

Książę Andrzej znał Denisowa z opowiadań Nataszy o jej pierwszym narzeczonym. To wspomnienie, i słodkie, i bolesne, przeniosło go teraz do tych bolesnych uczuć, o których ostatnio dawno już nie myślał, ale które jednak żyły w jego duszy. W ostatnich czasach doznał tyłu i tak poważnych wrażeń – odwrót ze Smoleńska, przyjazd do Łysych Gór, niedawna wiadomość o śmierci ojca – że te wspomnienia już dawno go nie nawiedzały, a kiedy przyszły, już go nie poruszyły z dawniejszą siłą. I dla Denisowa te wspomnienia, które wywołało nazwisko Bołkońskiego, były odległą, poetyczną przeszłością, kiedy po kolacji i po śpiewie Nataszy, sam nie wiedząc, jak to się stało, oświadczył się piętnastoletniej panience. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych czasów i swej miłości do Nataszy i od razu przeszedł do tego, co teraz zajmowało go namiętnie i wyłącznie. Był to plan kampanii, który obmyślił podczas odwrotu, pełniąc służbę w przedniej straży. Przedstawił ten plan Barciayowi de Tolly, a teraz zamierzał go przedstawić Kutuzowowi.

Plan polegał na tym, że linia operacyjna Francuzów była za bardzo rozciągnięta i że zamiast działać z frontu albo raczej obok działań na froncie, aby zagrozić drogę Francuzom, należało działać na ich komunikację. Jął wykladać swój plan księciu Andrzejowi.

– Nie mogą utrzymać tej całej linii. To niemożliwe. Ręczę za to, że ją przerwę; dajcie mi pięciuset ludzi, a przerwę, z całą pewnością! Jedyne system – to partyzantka.

Denisow wstał i gestykując wykladał swój plan Bołkońskiemu.

W trakcie tego wykładu okrzyki wojska na miejscu przeglądu stały się bardziej nieskładne, bardziej rozprzestrzenione i zlewające się z muzyką i śpiewem. We wsi rozległy się okrzyki i tętent.

– Jedzie! – zawołał Kozak stojący przy wrotach – jedzie! – Bołkoński i Denisow przysunęli się do wrót, przy których stała gromadka żołnierzy (warta honorowa), i zobaczyli Kutuzowa jadącego ulicą na niedużym gniadym koniku. Za nim jechała ogromna świta generałów. Barciay jechał niemal obok, tłum oficerów biegł za nimi i naokoło nich krzycząc: „Hura!”

Pierwsi na podwórze wpadli adiutanci. Kutuzow niecierpliwie popędzał swego konia – płynącego inochodem pod jego ciężarem – bez przerwy kiwał głową i przykładął rękę do białej gwardyjskiej (z czerwonym otokiem i bez daszka) czapki, którą miał na głowie. Kiedy się zbliżył do warty honorowej, która składała się z chwackich grenadierów, przeważnie odznaczonych orderami, kiedy oddali mu honory, przez chwilę patrzył na nich w milczeniu, uważnie, przenikliwym spojrzeniem wodza, a potem odwrócił się do tłumu generałów i oficerów stojących wokół niego. Twarz jego przybrała nagle wyraz finezji, wzruszył ramionami gestem zdumienia.

Z takimi zuchami ciągle się cofać i cofać! – powiedział. – No, do widzenia, generale – dodał i przejechał przez wrota obok księcia Andrzeja i Denisowa.

– Hura! hura! hura! – krzyczano za nim. Od czasu jak księżę Andrzej go widział, Kutuzow jeszcze bardziej utył, obrzęki i obrósł tłuszczem. Ale znajome Bołkońskiemu oko pokryte bielmem i blizna, i wyraz zmęczenia w jego twarzy i postaci pozostały te same. Miał na sobie mundur (bat na cienkim rzemieniu przewieszony był przez ramię) i ciężko kołysząc się i przelewając z boku na bok, siedział na swym dziarskim koniku.

– Piu... fiu... fiu... – zagwizdał cichutko wjeżdżając w podwórze. Na jego twarzy malowała się radość człowieka, który zamierza odpocząć po trudach reprezentacji. Wyjął ze brzemienia lewą nogę, zwałił się całym ciałem, skrzywiony z osiłku, z trudem podniósł nogę na siodło, oparł się kolanem sieknął i opadł na ręce Kozaków i podtrzymujących go adiutantów.

Poprawił surdut, rozglądając się wokół zmrużonymi oczyma, spojrzał na księcia Andrzeja, widać go nie poznając, i właściwym sobie krokiem, silnie zginając nogi w kolanach, poszedł w stronę ganku.

– Fiu... flu... fiu... – zagwizdał i znów spojrzał na księcia Andrzeja. Wrażenie widoku twarzy księcia Andrzeja dopiero po kilku sekundach (jak to często się zdarza u ludzi starych) związało się z przypomnieniem, kim on jest.

– A, witaj, księżę, witaj, serdeńko, chodź... – powtórzył ze znużeniem, rozglądając się, i wszedł na ganek, który skrzypiał pod jego ciężarem. Rozpiął surdut i usiadł na ławce stojącej na ganku.

– Jak ojciec?

– Wczoraj dostałem wiadomość o jego śmierci – odrzekł krótko księżę Andrzej.

Kutuzow popatrzył na księcia Andrzeja otwartymi szeroko i przestraszonymi oczyma, potem zdjął czapkę i przeżegnał się:

– Wieczny odpoczynek racz mu dać. Panie! Wola boska! – westchnął ciężko z głębi piersi i zamilkł. – Kochałem go i poważałem, i serdecznie ci współczuję. – Objął księcia Andrzeja, przycisnął do tłustej piersi i długo nie puszczał. A kiedy go puścił, księżę Andrzej zobaczył, że grube wargi Kutuzowa drżały i w oczach miał łzy. Westchnął i obiema rękami ujął ławkę, żeby wstać.

– Chodźmy, chodźmy do mnie, porozmawiamy – powiedział, ale właśnie Denisow, odczuwający równie mało lęku wobec przełożonych, co i przed nieprzyjacielem, nie zważając na

to, że adiutanci zatrzymują go gniewnym szeptem, śmiało, dzwoniąc ostrogami po schodkach, wszedł na ganek. Kutuzow trzymał ręce oparte na ławce i niechętnie patrzył na Denisowa. Denisow powiedział swe nazwisko i oświadczył, iż ma do zakomunikowania jego dostojności rzecz niezwyklej wagi dla szczęścia ojczyzny. Kutuzow zmęczonym spojrzeniem patrzył na Denisowa, gniewnym gestem odjął ręce, złożył je na brzuchu i powtórzył:

– Dla szczęścia ojczyzny? No co takiego? Mów. Denisow zarumienił się jak panna (dziwny był ten rumieniec na wąsatej, starawej i pijackiej twarzy) i śmiało ją przedstawiać swój plan przecięcia operacyjnej linii nieprzyjaciela między Smoleńskiem i Wiaźmą. Denisow mieszkał w tej okolicy i dobrze ją znał. Plan jego wydawał się niewątpliwie dobry, szczególnie z racji pewności, jaką tchnęły jego słowa. Kutuzow patrzył na swoje nogi i od czasu do czasu oglądał się na podwórze sąsiedniej chałupy, jakby się spodziewał stamtąd czegoś nieprzyjemnego. Istotnie, kiedy Denisow mówił, z chałupy, na którą patrzył Kutuzow, wyszedł generał z teką pod pachą.

– Co? – rzekł Kutuzow w środku wykładu Denisowa już pan gotów?

– Gotów, wasza dostojność – odrzekł generał. Kutuzow pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Jak jeden człowiek może z tym wszystkim zdążyć”, i dalej słuchał Denisowa.

– Daję uczciwe, szlacheckie słowo rosyjskiego oficera mówił Denisow – że przerwę komunikację Napoleona.

– Czy Kirył Andrejewicz Denisow, oberintendent, to twój krewny? – przerwał mu Kutuzow.

– Rodzony stryj, wasza dostojność.

– O! byliśmy przyjaciółmi – rzekł wesoło Kutuzow.

– Dobrze, dobrze, kochasiu, zostań tu przy sztabie, jutro porozmawiamy. – Skinął Denisowowi głową, odwrócił się i wyciągnął rękę po papiery, które mu przyniósł Konownicyn.

– Czy wasza dostojność nie zechciałby pofatygować się do pokoju? – rzekł niezadowolonym głosem dyżurny generał – koniecznie trzeba przejrzyć plany i podpisać niektóre papiery. – W drzwiach ukazał się adiutant i zameldował, że kwatera gotowa. Ale Kutuzow pragnął widocznie wejść do pokoju już wolny. Skrzywił się...

– Nie, kochasiu, każ tutaj podać stolik, tutaj przejrzę – oświadczył. – Nie odchodź – dodał zwracając się do księcia Andrzeja. Książę Andrzej został na ganku i przysłuchiwał się temu, co mówił dyżurny generał.

Podczas raportu książę Andrzej słyszał za wejściowymi drzwiami szepty kobiet i szelest jedwabnej sukni. Spojrzawszy kilka razy w tym kierunku, zauważył za drzwiami tęgą, rumianą, łagodną kobietę w różowej sukni, w chusteczce lila na głowie, z półmiskiem w ręku. Widocznie czekała na wejście naczelnego wodza. Adiutant Kutuzowa szeptem poinformował księcia Andrzeja, że to gospodyni domu, popadia, i że zamierza powitać jego dostojność chlebem i solą. Mąż jej powitał jego dostojność w cerkwi krzyżem, a ona w domu...

– Ładniutka – dodał adiutant uśmiechając się. Kutuzow obejrzał się na te słowa. Słuchał raportu dyżurnego generała (głównym przedmiotem tego raportu była krytyka pozycji pod Carewo-Zajmiszczem) tak samo, jak słuchał Denisowa, tak samo jak siedem lat temu słuchał dyskusji na radzie wojennej pod Austerlitz. Widocznie słuchał tylko dlatego, że miał uszy, które – mimo że jedno niekiedy było zatkałe pakułami – nie mogły nie słyszeć, jednakowoż było widać, że to, co mógł powiedzieć mu dyżurny generał, nie mogło nie tylko go zdziwić, ale nawet zainteresować, że wiedział z góry wszystko, co mu się powie, ale słuchał tylko dlatego, że trzeba słuchać, tak jak trzeba słuchać śpiewu podczas nabożeństwa. Wszystko, co mówił Denisow, było dorzeczne i mądre. To, co mówił dyżurny generał, było dorzeczniejsze i mądrzejsze, ale widać było, że Kutuzow lekceważy i wiedzę, i rozum, że zna coś innego, co powinno rozstrzygnąć sprawę – coś innego, niezależnego od rozumu i wiedzy. Książę Andrzej bacznie przyglądał się

twarży naczelnego wodza i jedynym wyrazem, jaki mógł na niej zauważyć, była nuda, ciekawość, co oznacza szept kobiet za drzwiami, i chęć zachowania zewnętrznych oznak grzeczności. Widać było, że Kutuzow lekceważy rozum i wiedzę, a nawet i uczucie patriotyzmu, jakie okazywał Denisow, wszelako lekceważył nie ze stanowiska rozumu, uczucia czy wiedzy (gdyż nawet nie starał się ich okazać) – lekceważył je inaczej. Lekceważył je ze stanowiska swojego wieku, swojego doświadczenia życiowego. Jedyne rozporządzenie, jakie podczas tego raportu wydał od siebie, dotyczyło maruderki w wojskach rosyjskich. W końcu raportu dyżurny generał przedstawił do podpisu dokument w sprawie ściągnięcia z dowódców odszkodowania – na prośbę ziemianina – za skoszony niedojrzały owies.

Wysłuchawszy tego Kutuzow cmoknął wargami i pokiwał głową.

Do pieca... w ogień! – powiedział. – Mówię ci raz na zawsze, serdeńko, że takie sprawy w ogień. Niech sobie na zdrowie koszą zboża i palą drzewo. Ja tego nie nakazuję, na to nie pozwalam, jednakowoż karać nie mogę. Bez tego nie sposób. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. – Jeszcze raz spojrzął na dokument. – O, ta niemiecka akuratność! – powiedział kiwając głową.

XVI

No, teraz już wszystko – rzekł Kutuzow podpisując ostatni dokument. Wstał ciężko, prostując fałdy białej, pulchnej szyi, i z poweselałą twarzą skierował się do drzwi.

Popadia, cała zarumieniona, chwyciła półmisek, którego choć tak długo się przygotowywała, nie zdążyła podać w porę. Skłoniwszy się nisko, ofiarowała go Kutuzowowi.

Kutuzow zmrużył oczy, uśmiechnął się, ujął ją dłonią za podbródek i rzekł:

– Jaka śliczna! Dziękuję, moja duszko! Wyjął z kieszeni szarawarów kilka złotych monet i położył na półmisku.

– Jak ci się powodzi? – zapytał Kutuzow kierując się do przeznaczonego dla siebie pokoju. Popadła, uśmiechając się dołeczkami rumianej twarzy, poszła za nim do izby. Adiutant wyszedł na ganek do księcia Andrzeja i zaprosił go na śniadanie; po upływie pół godziny książe Andrzej znów został wezwany do Kutuzowa. Kutuzow leżał w fotelu, w rozpiętym surducie. Trzymał w rękach książkę francuską, ale kiedy książe Andrzej wszedł, założył ją nożem i zamknął. Byli to *Les chevaliers du Cygne*⁷⁸, utwór madame deGenlis, jak to książe Andrzej zobaczył na okładce.

– No siadaj, siadaj tutaj, porozmawiamy – rzekł Kutuzow. – Smutno, bardzo smutno. Pamiętaj przecie, kochanku, żem ci ojcem, drugim ojcem... – Książe Andrzej opowiedział Kutuzowowi wszystko, co wiedział o śmierci ojca, i o tym, co widział w Łysych Górach przejeżdżając przez nie.

– Do czego... do tego to doprowadzili! – rzekł z nagłą

Kutuzow wzburzonym głosem, widać na podstawie opowiadania księcia Andrzeja wyraźnie przedstawiwszy sobie położenie, w jakim znajdowała się Rosja. – Poczekaj, poczekaj dodał z gniewnym wyrazem twarzy i, widocznie nie chcąc prowadzić dalej tej irytującej rozmowy, rzekł: – Wezwałem cię, by cię zatrzymać przy sobie.

– Bardzom wdzięczny waszej dostojności – odpowiedział książe Andrzej – ale obawiam się, że już się nie nadaję do sztabu – rzekł z uśmiechem i Kutuzow ten uśmiech zauważył, toteż spojrzął na Bołkońskiego pytająco.

– Najważniejsze zaś – dodał książe Andrzej – żem przywykł do pułku, polubiłem oficerów i, zdaje się, ludzie mnie polubili. Żał by mi było porzucić pułk. Jeśli się wyrzekam zaszczytu pozostawania przy księciu, to proszę mi wierzyć...

Pulchna twarz Kutuzowa jaśniała rozumem, życzliwością i zarazem subtelną drwiną. Przerwał Bołkońskiemu.

– Szkoda, byłbyś mi potrzebny, wszelako masz rację, masz rację. Nie tutaj potrzebni nam ludzie. Doradców zawsze dużo, a ludzi brak. Inne byłyby pułki, gdyby wszyscy doradcy służyli w pułkach, jak ty. Pamiętam cię spod Austerlitz –... Pamiętam, pamiętam, ze sztandarem – rzekł Kutuzow, a na to wspomnienie książe Andrzej zarumienił się z radości. Kutuzow przyciągnął go za rękę i nadstawił mu policzek, a książe Andrzej znów zobaczył łzy w oczach starca. Książe

⁷⁸ Rycerze Łabędzia

Andrzej wiedział, co prawda, że Kutuzow był skłonny do łez i że teraz jest dla niego szczególnie łaskawy, gdyż chce mu wyrazić współczucie z powodu jego straty, ale miłe było i pochlebiało mu to wspomnienie Austerlitz.

– Idź z Bogiem swoją drogą. Wiem, że twoja droga to droga honoru. – Milczał chwilę. – Żalowałem, że cię nie było w Bukareszcie: musiałem kogoś wysłać.

I zmieniwszy temat, Kutuzow zaczął mówić o wojnie z Turkami i o zawartym pokoju. – Tak, niemało mnie ganiono – rzekł – i za wojnę i za pokój... a wszystko przyszło w porę. *Tout vient a point a celui qui sait attendre.*⁷⁹ A i tam doradców nie było mniej niż tu... – ciągnął wracając do doradców, którzy widocznie go interesowali.

Oj, doradcy, doradcy! Gdyby wszystkich chcieć słuchać, tobyśmy w Turcji pokoju nie zawarli, a nawet wojny nie skończyli. Wszystko byle prędko, a to prędko wychodzi na długo. Gdyby Kamiński był nie umarł, toby przepadł. Z trzydziestu tysiącami szturmował twierdzę. Twierdzę zdobyć nietrudno, trudno jest wojnę wygrać. A po to nie trzeba szturmować i atakować, trzeba tylko cierpliwości i czasu. Kamiński posłał żołnierzy na Ruszczuk, a ja posyłałem tylko ich oboje (cierpliwość i czas) i wziąłem więcej twierdz niż Kamiński, i zmusiłem Turków, by końskie mięso jedli. – Pokiwał głową. – I Francuzi też będą! Wierz memu słowu – mówił Kutuzow ożywiając się i uderzając w pierś – będą jedli koninę! – I znów oczy zalśniły mu łzami.

– Jednak trzeba będzie przecież przyjąć bitwę – rzekł książę Andrzej.

– Trzeba będzie, jeśli wszyscy będą tego chcieli, nic się nie poradzi... Wierzaj mi, kochasiu, nie ma silniejszych nad tych dwóch wojaków: cierpliwość i czas, ci wszystko zrobią, doradcy zaś n'entendent pas de cette oreille, voila le mai. Jedni chcą, drudzy nie chcą. Cóż robić? – zapytał, widocznie czekając na odpowiedź. – Tak, co mi każesz robić? – powtórzył, a jego oczy błyszczały głębokim, rozumnym wyrazem. – A ja ci powiem, co robić – rzekł, ponieważ książę Andrzej ciągle milczał. – Powiem ci, co robić i co ja zrobię. *Dans le donie, mon cher* – milczał chwilę – *abstiens-toi*⁸⁰ – wyrzekł z naciskiem.

No, bądź zdrow, kochanku; pamiętaj, że serdecznie boleję nad twoją stratą i żem dla ciebie nie jego dostojność, nie książę i nie wódz naczelny, ale ojciec. Jeśli będziesz czego potrzebował, przychodź prosto do mnie. Bądź zdrow, kochanku. – Znów go objął i pocałował. Jeszcze książę Andrzej nie zdążył wyjść za drzwi, a Kutuzow westchnął z ulgą i znów się zabrał do nie dokończonej powieści madame deGenlis *Les chevaliers du Cygne*.

Jak się to stało i dlaczego, książę Andrzej żadną miarą nie mógłby wytłumaczyć; ale po tym widzeniu się z Kutuzowem wrócił do swego pułku uspokojony co do ogólnej sytuacji i co do tego, komu sprawy zostały powierzone. Im większy widział brak pierwiastka indywidualnego w tym starcu, w którym jak gdyby pozostały tylko nawyki namiętności, a miast rozumu (grupującego zdarzenia i wyciągającego wnioski) tylko zdolność spokojnego obserwowania biegu wydarzeń, tym bardziej był spokojny, że wszystko będzie tak, jak być powinno. „Nie wprowadzi nic swojego. Nic nie wymyśli, nic nie przedsięweźmie – myślał książę Andrzej – ale wszystkiego wysłucha, wszystko zapamięta, wszystko postawi na właściwym miejscu, niczemu pożytecznemu nie przeszkodzi i nie dopuści do niczego złego. Rozumie, że jest coś silniejszego i mającego większe znaczenie niż jego wola – nieunikniony bieg wydarzeń; a on umie widzieć wydarzenia, umie pojąć ich znaczenie i, mając je na względzie, potrafi się odżegnać od swej osobistej woli, skierowanej na co innego. Najważniejsze zaś – myślał książę Andrzej – wierzy mu się, bo jest Rosjaninem – chociaż czyta powieści madame deGenlis i używa francuskich

⁷⁹ Wszystko przychodzi w porę; dla tego, kto potrafi czekać.

⁸⁰ Nie podejmuj tego i z tym kłopot... W wątpliwości, mój drogi, wstrzymaj się od działania.

powiedzeń – bo głos mu drgnął, kiedy powiedział: Do czego doprowadzili!», i że rozszłochał się mówiąc, że zmusi ich, by jedli koninę»”. Na tymże uczuciu, którego mniej lub bardziej mętnie doznawali wszyscy, opierała się ta jednomyślna, powszechna aprobata, jaka towarzyszyła, wbrew widokom dworaków, wyborowi Kutuzowa na wodza naczelnego z woli narodu.

XVII

Po wyjeździe monarchy z Moskwy życie moskiewskie popłynęło dawnym, zwykłym porządkiem, nurt tego życia był tak zwyczajny, iż trudno było wspominać o minionych dniach patriotycznych uniesień i zapалу, trudno było wierzyć, że Rosja naprawdę jest w niebezpieczeństwie i że członkowie Klubu Angielskiego są zarazem synami ojczyzny gotowymi dla niej na wszystkie ofiary. Jedyne, co przypominało nastroje w okresie przebywania monarchy w Moskwie, powszechne nastroje patriotycznych uniesień, to żądanie ofiar w ludziach i mieniu, które, kiedy już zostały złożone, przyoblekły się w formę prawną, oficjalną i wydawały się nieuniknione.

Wraz ze zbliżaniem się nieprzyjaciela do Moskwy spojrzenie moskwian na swą sytuację nie tylko nie stawało się poważniejsze, lecz wręcz przeciwnie – było jeszcze bardziej lekkomyślne, jak to zawsze bywa z ludźmi, którzy widzą zbliżające się wielkie niebezpieczeństwo. Kiedy się ono zbliża, zawsze dwa głosy jednakowo mocne odzywają się w duszy człowieka: jeden powiada bardzo rozsądnie, by człowiek zastanowił się nad samą istotą niebezpieczeństwa i nad środkami uniknięcia go, drugi powiada jeszcze rozsądniej, że myślenie o niebezpieczeństwie jest bardzo przykre i męczące, zwłaszcza że nie jest w mocy człowieka wszystko przewidzieć i wymknąć się z ogólnego biegu wydarzeń, toteż lepiej odwrócić myśl od rzeczy przykrych, póki one nie nastąpiły, i myśleć o rzeczach przyjemnych. W pojedynkę człowiek ulega przeważnie pierwszemu głosowi, w gromadzie – przeciwnie, drugiemu. Tak było i teraz z mieszkańcami Moskwy. Dawno się tak w Moskwie nie bawiono jak w tym roku.

Afiszę Rastopczyna wyobrażające u góry szynk, szynkarza i moskiewskiego mieszczanina Karpuszkę Czygiryna, który będąc pospolitakiem i wypiwszy o kwaterkę za dużo, usłyszał, jakoby Bonaparte chciał iść na Moskwę, zgniewał się, brzydkimi słowy zwymyślał Francuzów, wyszedł z szynku i przemówił pod sztandarem do zebranych ludzi – czytano i komentowano na równi z ostatnimi wierszami Wasilija Lwowicza Puszkina⁸¹.

W klubie zbierano się w narożnym pokoju na czytanie tych afiszów; niektórym podobało się, jak Karpuszka pokpiwał sobie z Francuzów, że od kapusty napęcznieją, od kaszy popękają, kapuśniakiem zadławią się, że Francuzi to karły i że ich trzech jedna baba widziami przetrzuci. Niektórzy zaś nie pochwalali tego tonu i mówili, że to jest wulgarne i głupie. Opowiadano, że Rastopczyn wysłał z Moskwy Francuzów, a nawet wszystkich cudzoziemców, że między nimi są agenci i szpiedzy Napoleona; ale opowiadano to przede wszystkim dlatego, by przy tej okazji powtórzyć dowcipne słowa, jakie wypowiedział Rastopczyn wyprawiając ich. Cudzoziemców wysyłano barką do Niznego, więc Rastopczyn powiedział do nich: „*Retrez en vous-meme, entrez dans la barque et n'en faites pas une barque de Charon.*”⁸⁵ Opowiadano, że już ewakuowano z Moskwy wszystkie urzędy, dodawano przy tym żart Szynszyna, że za to samo Moskwa powinna być Napoleonowi wdzięczna. Opowiadano, że Mamonowa jego pułk będzie

⁸¹ Wasilij Lwowicz Puszkina (1770–1830) – poeta pseudoklasycystyczny, styj Aleksandra Puszkina. Kilka jego utworów tłumaczył współcześnie polski wierszopisarz pseudoklasycystyczny St. Kubidd.

kosztował osiemset tysięcy, że Bezuchow jeszcze więcej wydał na swych pospolitaków, ale najlepsze w postępowaniu Bezuchowa jest to, że sam przywdzieje mundur i pojedzie konno przed pułkiem i nic nie będzie brał za miejsca od tych, co będą na niego patrzyli.

– Pan nikomu nie daruje – rzekła Julie Drubecka, delikatnymi, upierścienionymi palcami zbierając i przyciskając kupkę naskubanych szarpi.

Julie zamierzała wyjechać nazajutrz z Moskwy, więc dawała pożegnalny wieczór.

Bezuchow est ridicule, ale jest tak dobry, tak miły. Cóż to za satysfakcja być tak *caustique*?⁸²

– Kara! – rzekł młody człowiek w mundurze pospolitego ruszenia, którego Julie nazywała *mon chevalier*⁸³ i który razem z nią jechał do Niżnego.

W towarzystwie Julie i w wielu towarzystwach moskiewskich postanowiono mówić tylko po rosyjsku, ci zaś, którzy się mylili i wtrącali słowa francuskie, płacili karę na rzecz komitetu ofiar.

– Druga kara za galicyzm – rzekł rosyjski pisarz znajdujący się w salonie. – „Satysfakcja być” – to nie po rosyjsku.

– Pan nikomu nie daruje – ciągnęła Julie mówiąc do młodzieńca w mundurze i nie zwracając uwagi na słowa autora. – Za *caustique* jestem winna i płacę – oświadczyła a za satysfakcję powiedzenia panu prawdy gotowam jeszcze więcej zapłacić; za galicyzmy nie odpowiadani – zwróciła się do autora – nie mam ani pieniędzy, ani czasu, by jak księżę Golicyn wziąć nauczyciela i uczyć się po rosyjsku. Otóż i on – rzekła Julie. – *Quand on..*⁸⁴ Och, nie złapie mnie pan – zwróciła się do młodego pospolitaka. – Kiedy się mówi o słońcu, widzi się jego promienie – rzekła gospodyni, uprzejmie uśmiechając się do Pierre'a. – Dopiero cośmy mówili o panu – oświadczyła Julie kłamiąc ze swobodą właściwą kobietom światowym. – Mówiliśmy, że pański pułk na pewno będzie lepszy niż pułk Mamonowa.

– Ach, proszę nie mówić o mym pułku – odpowiedział Pierre całując gospodynię w rękę i siadając obok niej.

– Już mi tak obrzydł!

– Prawdopodobnie sam, hrabio, będziesz nim dowodził rzekła Julie wymieniwszy z młodzieńcem w mundurze spojrzenie filuterne i drwiące.

W obecności Pierre'a młodzieniec już nie był tak *caustique*. Jego twarz wyraziła zdziwienie na widok uśmiechu Julie. W osobie Pierre'a, mimo jego roztargnienia i dobroduszości, było coś, co sprawiało, że w jego obecności natychmiast kończyły się wszelkie próby drwiny.

Nie – odrzekł Pierre śmiejąc się i patrząc na swe duże, tłuste ciało. – Francuzi zbyt łatwo trafiliby we mnie, a zresztą boję się, że nie wsiądę na konia...

Szukając osób, które by mogły stanowić przedmiot rozmowy, towarzystwo Julie wybrało Rostowów.

– Powiadają, że ich interesy stoją kiepsko – rzekła Julie. – A i sam hrabia jest tak nierozsądny. Razumowscy chcieli nabyć ich dom i posiadłość podmoskiewską, ale to się ciągnie. Hrabia droży się.

– Zdaje się, że w tych dniach nastąpi sprzedaż – wtrącił ktoś. – Choć teraz to nierozsądnie kupować coś w Moskwie.

– Dlaczego? – zapytała Julie. – Czy pan sądzi, że Moskwie zagraża niebezpieczeństwo?

– A dlaczego pani wyjeżdża?

– Ja? dziwne pytanie. Wyjeżdżam dlatego... no dlatego, że wszyscy wyjeżdżają, a poza tym nie jestem Joanną d'Arc ani amazonką.

⁸² Wejdźcie w siebie i do tej łodzi i starając się, żeby ta łódź nie stała się dla was łodzią Charona.

⁸³ Moim rycerzem.

⁸⁴ Kiedy...

– No oczywista. Proszę jeszcze o szmatki.

– Jeśliby umiał poprowadzić interesy, będzie mógł spłacić wszystkie długi – ciągnął o Rostowie młody pospolitak.

– Zaczny starszerek, ale bardzo *pauwe sire*⁸⁵. Czemu przebywają tu tak długo? Już dawno chcieli wyjechać na wieś. Zdaje się, że Natalie już całkiem zdrowa? – zapytywała Pierre'a Julie uśmiechając się perfidnie.

Czekają na młodszego syna – rzekł Pierre. – Wstąpił do kozaków Oboleńskiego i pojechał do Białej Cerkwi. Tam formuje się pułk. A teraz przeniesiono go do mojego pułku i spodziewają się go lada dzień. Hrabia już dawno chciał jechać, ale hrabina za nic się nie zgadza, póki nie przyjedzie młodszy syn.

Onegdaj widziałem ich u Archarowów. Natalie znów wyładniała i poweselała. Śpiewała romancę. Jak niektórym ludziom wszystko łatwo przechodzi!

Co przechodzi? – spytał Pierre, niezadowolony. Julie uśmiechnęła się.

Wiesz, hrabio, że tacy rycerze jak pan zdarzają się tylko w romansach madame Souza.

– Jaki rycerz? Dlaczego? – zapytał Pierre czerwieniąc się.

– Dość, drogi hrabio, *c'est la fable de tout Moscou*. Je vous admire, ma parole d'honneur⁹⁰.

– Kara! Kara! – rzekł młodzian w mundurze.

– No dobrze. Nie można mówić. Jakie to nudne!

– *Qu'est ce qui est la fable de tout Moscou?*⁸⁶ – rzekł Pierre gniewnie i wstał.

– Och, hrabio! Przecie wiesz dobrze.

– Nic nie wiem – rzekł Pierre.

– Wiem, że pan się przyjaźnił z Natalie, i dlatego... A ja zawsze byłam bliżej z Wierą. *Cette chere Vera!*⁸⁷

– *Non madame*⁸⁸ – ciągnął Pierre niezadowolonym tonem. – Bynajmniej nie wziąłem na siebie roli rycerza panny Rostow i prawie cały miesiąc u nich nie byłem. Wszelako nie rozumiem okrucieństwa...

*Qui s'excuse, s'accuse*⁸⁹ – mówiła Julie uśmiechając się i wywijając szarpkami, aby zaś przy niej pozostało ostatnie słowo, natychmiast zmieniała przedmiot rozmowy. – Czego to się dziś dowiedziałam: biedna Marie Bołkońska przyjechała wczoraj do Moskwy. Słyszał pan, że straciła ojca?

– Czyżby! Gdzie ona jest? Bardzo bym pragnął się z nią zobaczyć – powiedział Pierre.

– Wczoraj spędziłam z nią wieczór. Dziś albo jutro rano wyjeżdża z bratankiem do majątku podmoskiewskiego.

– No i cóż, jakże ona? – zapytał Pierre.

– Tak sobie, smutna. Ale czy pan wie, kto ją ocalił? Och, to cały romans. Nicolas Rostow. Otoczono ją, chciano ją zamordować, poraniono jej ludzi. On się rzucił i ocalił ją...

– Jeszcze jeden romans – wtrącił młodzian w mundurze pospolitaka. – Stanowczo, ta ogólna ucieczka jest zrobiona w tym celu, żeby wszystkie stare panny powychodziły za mąż. – Catiche – jedna, księżniczka Bołkońska druga.

– Wie pan, ja naprawdę myślę, że ona jest *un petit peu amoureuse du jeune homme*⁹⁰.

– Kara! Kara! Kara!

⁸⁵ Nieborak.

⁸⁶ O czym wie cała Moskwa?

⁸⁷ Ta droga Wiera!

⁸⁸ Nie pani.

⁸⁹ Kto się tłumaczy, ten się oskarża.

⁹⁰ Troszkę zakochana w młodym człowieku.

– Ale jak to powiedzieć po rosyjsku?...

XVIII

Kiedy Pierre wrócił do domu, podano mu dwa afisze Rastopczyna przyniesione dzisiaj.

W pierwszym była mowa, że wieści, jakoby hrabia Rastopczyn zakazał wyjeżdżać z Moskwy, są nieprawdziwe; przeciwnie, hrabia Rastopczyn jest bardzo rad, że z Moskwy wyjeżdżają damy i żony kupców. „Mniej strachu, mniej pogłosek – głosił afisz – jednakowoż rękę głową, że łotr w Moskwie nie będzie”. Te słowa po raz pierwszy przekonały Pierre'a stanowczo, że Francuzi zajmą Moskwę. Drugi afisz głosił, że nasza kwatera główna znajduje się w Wiaźmie i że hrabia Wittgenstein pokonał Francuzów, ale ponieważ wielu mieszkańców pragnie się uzbroić, więc w arsenałach przygotowano dla nich broń: szable, pistolety, strzelby, które mieszkańcy mogą otrzymywać po niskiej cenie. Ten afisz już nie był tak żartobliwy jak w dawnych opowieściach Czigirynie. Pierre zamyślił się nad tymi afiszami. Widać było, że ta straszna chmura gradowa, którą wzywał wszystkimi siłami duszy, a która jednocześnie wzbudzała w nim mimowolny strach – zbliżała się.

„Wstąpić do wojska i jechać do armii czy też czekać?” – to pytanie Pierre zadawał sobie po raz setny. Wziął talię kart leżącą na biurku i jął stawiać pasjansa.

Jeśli ten pasjans wyjdzie – mówił do siebie tasując karty, które trzymał w ręce, i patrząc do góry – jeśli wyjdzie, to znaczy... co znaczy?... – Nie zdążył zdecydować, co to miało znaczyć, gdy za drzwiami gabinetu rozległ się głos najstarszej księżniczki, która pytała, czy można wejść.

„To będzie znaczyło, że powinienem jechać do armii”

dokończył Pierre. – Proszę, proszę – dodał zwracając się do księżniczki.

(Jedynie najstarsza księżniczka, ta z długą talią i skamieniałą twarzą, nadal mieszkała w domu Pierre'a, dwie zaś młodsze wyszły za mąż).

– Daruj, mon cousin, zem przyszła – rzekła tonem nerwowego wyrzutu. – Przecie trzeba się wreszcie na coś zdecydować! Do czego to podobne? Wszyscy już z Moskwy wyjechali, pospólstwo się buntuje. Czemu my zostajemy?

– Przeciwnie, *ma cousine*, zdaje się, że wszystko idzie pomyślnie – odpowiedział Pierre ze zwykłą żartobliwością, którą sobie przyswoił w stosunku do księżniczki, aby ukryć żenującą go rolę dobroczyńcy.

– Tak, pomyślnie... Ładna mi pomyślność! Barbara Iwanowna opowiadała mi teraz, jak to nasze wojska się odznaczają. Można powinszować. A pospólstwo całkiem się zbuntowało, przestaje słuchać, nawet moja dziewczka służebna już odzywa się ordynarnie. Tak, niedługo to nas zaczną bić. Nie sposób chodzić po ulicach. A najważniejsze, że dziś jutro będą tu Francuzi – więc na co czekamy? A zatem proszę, mon cousin, żebyś kazał odwieźć mnie do Petersburga; jaka jestem, to jestem, ale pod władzą Bonapartego żyć nie mogę.

– Ależ, skąd *cousine* czerpie te wiadomości? Przeciwnie...

– Ja, mon cousin, przed twoim Napoleonem się nie upokorzę. Inni jak sobie chcą... Jeśli nie chcesz tego zrobić...

– Ależ zrobię, zaraz wydam polecenie. Księżniczka widać była zła, że nie ma się na kogo

gniewać. Szepcząc coś siadła na krześle.

– Ale kuzynce doniesiono nieprawdę – powiedział Pierre. – W mieście spokój i żadnego niebezpieczeństwa nie ma. Dopiero co czytałem... – Pierre pokazał księżniczce afisze. – Hrabia twierdzi, że głową ręczy, iż nieprzyjaciel nie wejdzie do Moskwy.

– Ach, ten wasz hrabia – zaczęła księżniczka ze złością – to obłudnik, łotr, który sam podburzył pospólstwo do buntu. Czy to nie on pisał w tych głupich afiszach, że ktokolwiek by to był, wlec za czub do aresztu (jakie to głupie)! Kto złapie, powiada, temu cześć i chwała. I dograł się. Barbara Iwanowna mówiła, że pospólstwo mało jej nie zabiło za to, że odezwała się po francusku...

– Więc to tak... Ale kuzynka za bardzo wszystko bierze sobie do serca – rzekł Pierre i ją kłaść pasjansa.

Pomimo że pasjans wyszedł, Pierre nie pojechał do armii, lecz został w opustoszałej Moskwie, ciągle w trwodze i niezdecydowaniu, w strachu i zarazem w radości oczekiwania czegoś straszego.

Nazajutrz księżniczka pod wieczór wyjechała, a do Pierre przyszedł jego główny administrator z wiadomością, że żądanych przez niego pieniędzy na umundurowanie pułku nie można dostać, jeśli się nie sprzeda jednego majątku. Główny administrator w ogóle tak przedstawiał rzecz Pierre'owi, że ten zamiar wystawienia pułku musi go zrujnować.

Pierre z wysiłkiem ukrywał uśmiech słuchając słów administratora.

– No to pan sprzedaj – mówił. – Nic na to nie poradzę, przecie teraz nie mogę się cofnąć!

Im gorzej się przedstawiały wszystkie sprawy, a w szczególności jego sprawy osobiste, tym było mu przyjemniej, tym było widoczniejsze, że katastrofa, której czekał, zbliża się. W mieście nie było już prawie nikogo ze znajomych Pierre'a. Julie wyjechała, księżniczka Maria wyjechała. Z bliskich znajomych pozostawali tylko Rostowowie, ale u nich Pierre nie był.

Tego dnia, aby się rozerwać, Pierre udał się do wsi Woroncowa obejrzeć wielki balon powietrzny, budowany przez Leppicha dla zadania kłęski nieprzyjacielowi, i próbny balon, który miał być wypuszczony nazajutrz. Balon jeszcze nie był gotów; budowano go, jak się Pierre dowiedział, na życzenie monarchy. O tym balonie monarcha pisał do Rastopczyna, co następuje:

Aussitôt que Leppich sera prêt, composez lui un equipage pour sa nacelle d'hommes surs et intelligents et depechez un courrier au general Koutousoff pour l'en prevenir. Je l'ai instruit de la chose. Recommandez, je vous prie, a Leppich d'etre bien attentif sur l'endroit ou il descendra la premiere fois, pour ne pas se tromper et ne pas tomber dans les mains de l'ennemi. Il est indispensable qu'il combine ses mouvements avec le general-en—chef.⁹¹

Pierre, wracając z Woroncowa do domu i przejeżdżając przez plac Bołotnyj, zobaczył tłum na placu Kaźni. Zatrzymał więc powozik i wysiadł. Była to chłosta kucharza Francuza oskarżonego o szpiegostwo. Kaźń dopiero się skończyła, kat odwiązywał od kobylicy żałośnie jęczącego otyłego człowieka z rudymi bokobrodami, w niebieskich pończochach i zielonej kamizeli. Drugi przestępca, chudziutki i blady, stał obok. Sądząc z ich twarzy, obaj byli Francuzami. Pierre z wyrazem bolesnego przerażenia na twarzy, podobnego do wyrazu chudziutkiego Francuza,

⁹¹ Jak tylko Leppich będzie gotów, skompletuj pan załogę jego łódki z ludzi pewnych i roztropanych i wyślij kuriera do generała Kutuzowa, aby go uprzedzić. Poinformowałem go o tym. Bądź pan łaskaw polecić Leppichowi, by dobrze uważał na miejsce, w którym opuści się pierwszy raz, aby się nie pomylił i nie wpadł w ręce nieprzyjaciela. Jest rzeczą niezbędną, by swoje ruchy uzgodnił z naczelnym wodzem.

przecisnął się przez tłum.

– Co to? Kto? Za co? – dopytywał się. Jednakowoż uwaga tłumu – urzędników, mieszczan, kupców, kobiet w salopach i szubkach – tak była skupiona na tym, co się działo na placu Kaźni, że nikt mu nie odpowiadał. Otyły człowiek wstał zasepiony, wzruszył ramionami i, widocznie chcąc okazać niewzruszoność, jał nie rozglądając się wdziawać kamizelę; ale nagle wargi mu zdrząły i rozplakał się, zły na siebie, jak płaczą ludzie dorośli, sangwinicy. W tłumie rozległy się głośne rozmowy, jak się Pierre'owi wydało dlatego, by zagłuszyć w sobie uczucie litości.

Kucharz jakiegoś księcia...

– A co, musje, widać rosyjski sos nie smakuje Francuzowi... sprykrzył mu się – powiedział stojący obok Pierre jakiś pomarszczony kancelista, kiedy Francuz zaczął płakać. Kancelista rozejrzał się dookoła, jakby się spodziewał aprobaty dla swego żartu. Niektórzy się zaśmiali, inni patrzyli z przestrachem na kata, który rozbierał drugiego.

Pierre sapnął nosem, skrzywił się, zawrócił szybko i wycofał się do powoziku, idąc i wsiadając, bez przerwy coś mruczał. Podczas drogi wzdygał się kilka razy i tak głośno wykrzykiwał, że stangret pytał go:

– Co jaśnie pan rozkaże?

– Dokąd jedziesz? – krzyknął Pierre, kiedy stangret skręcał w Łubiankę.

– Jaśnie pan kazał do gubernatora⁹² – odpowiedział stangret.

– Cymbał! Bydlę! – krzyknął Pierre wymyślając stangretowi, co rzadko mu się zdarzało. – Kazałem do domu, jazda, bałwanie! Dziś jeszcze trzeba wyjechać – rzeki do siebie.

Na widok wychłostanego Francuza i tłumu otaczającego plac Kaźni Pierre stanowczo zdecydował, że nie może dłużej pozostawać w Moskwie i zaraz, dziś, udaje się do armii, wydało mu się, że albo powiedział to stangretowi, albo stangret sam powinien był o tym wiedzieć.

Przyjechawszy do domu Pierre polecił swemu stangretowi Jewstafiewiczowi, który wszystko wiedział i wszystko umiał i którego znała cała Moskwa, żeby wysłał jego konie wierzchowe do Możajska, do armii, dokąd sam udaje się tej nocy. To wszystko nie mogło być zrobione jednego dnia, zgodnie więc z wyjaśnieniami Jewstafiewicza Pierre musiał odłożyć swój wyjazd do następnego dnia, aby zdążyć z wysłaniem rozstawnych koni.

24 przejaśniło się po brzydkiej pogodzie i tego dnia Pierre wyjechał po południu z Moskwy. Kiedy w nocy zmieniał konie w Pierchuszkowie, dowiedział się, że wieczorem stoczono wielką bitwę. Opowiadano, że tu, w Pierchuszkowie, ziemia drżała od strzałów. Na pytanie Pierre'a, kto zwyciężył, nikt nie mógł dać odpowiedzi. (Była to bitwa pod Szewardinem 24 sierpnia). O świcie Pierre zbliżył się do Możajska.

Wszystkie domy w Możajsku były zajęte na kwatery dla wojska, w zajeździe, w którym powitali Pierre'a jego masztalerz i stangret, w izbach nie było miejsca: wszędzie pełno było oficerów.

W Możajsku i za Możajskiem wszędzie kwaterowały i szły wojska. Kozacy, piechota, konnica, furmanki, jaszczce, działa – ze wszystkich stron. Pierre czym prędzej pojechał naprzód, im bardziej oddalał się od Moskwy, im bardziej się pogrążał w to morze wojsk, tym większa ogarniała go trwoga, niepokój i jeszcze nie doznawane, nowe uczucie radości. Było to uczucie podobne do tego, jakiego doznawał w pałacu Słobodowskim podczas przyjazdu monarchy, uczucie, że musi coś przedsięwziąć i ponieść jakąś ofiarę. Doznawał obecnie przyjemnego uczucia świadomości, że wszystko, co stanowi szczęście człowieka: wygodny życia, bogactwo, nawet samo życie – to wszystko głupstwo, które przyjemnie jest odrzucić, głupstwo w porównaniu z czymś... z czym – Pierre nie mógł sobie zdać sprawy, nawet nie starał się tego

⁹² Tj. do hrabiego Rastopczyzna, wojskowego gubernatora Moskwy.

sobie uświadomić, dla kogo i dla czego znajduje szczególną rozkosz w złożeniu wszystkiego w ofierze. Nie interesowało go to, dlaczego chce składać ofiarę, lecz samo składanie ofiary było dla niego nowym, radosnym uczuciem.

XIX

24-go była bitwa o szewardińską redutę, 25-go z żadnej strony nie padł ani jeden strzał, 26-go odbyła się bitwa pod Borodinem.

Dlaczego i w jaki sposób zostały wydane i przyjęte bitwy pod Szewardinem i pod Borodinem? Dlaczego została wydana bitwa pod Borodinem? Nie miała ona żadnego sensu ani dla Rosjan, ani dla Francuzów. Najbardziej bezpośrednim jej wynikiem było i musiało być – dla Rosjan, że przyspieszyliśmy zgubę Moskwy (czegośmy się bali najwięcej), a dla Francuzów, że przyspieszyli zgubę całej armii (czego również bali się najwięcej). Wynik ów był już wtedy najzupełniej widoczny, a jednak Napoleon wydał, a Kutuzow przyjął tę bitwę.

Gdyby wodzowie byli się kierowali rozumnymi przyczynami, to zdawałoby się, że dla Napoleona powinno być rzeczą oczywistą, iż kiedy już posunął się o dwa tysiące wiorst i przyjmuje bitwę z prawdopodobieństwem utraty czwartej części armii, to idzie na pewną zgubę, równie rzeczą oczywistą powinno być dla Kutuzowa, że przyjmując bitwę i również ryzykując utratę czwartej części armii, z całą pewnością traci Moskwę. Dla Kutuzowa było to matematycznie jasne, tak jasne, jak i to, że jeśli gram w warcaby i mam o jedną bierkę mniej i będę wymieniał, to na pewno przegram, więc nie powiniennem wymieniać.

Kiedy przeciwnik ma szesnaście bierek, a ja czternaście, to słabszy od niego tylko o jedną ósmą, ale kiedy wymienię trzynaście bierek, to on będzie trzy razy silniejszy ode mnie.

Do dnia bitwy pod Borodinem stosunek naszych sił do sił Francuzów przedstawiał się w przybliżeniu jak pięć do sześciu, po bitwie zaś, jeden do dwóch, czyli przed bitwą – sto tysięcy do stu dwudziestu tysięcy, a po bitwie jak pięćdziesiąt do stu. A jednak rozumny i doświadczony Kutuzow przyjął bitwę. A Napoleon, genialny wódz, jak go nazywają, wydał bitwę, stracił czwartą część armii i jeszcze bardziej rozciągnął linię frontu. Jeśli nam mówią, że myślał, iż zajmąwszy Moskwę zakończy kampanię, podobnie jak zakończył kampanię wzięciem Wiednia, to przeciw temu jest mnóstwo dowodów. Sami historycy Napoleona opowiadają, że już w Smoleńsku chciał się zatrzymać, wiedział bowiem, jakie jest niebezpieczeństwo rozciągnięcia linii, i wiedział, że zajęcie Moskwy nie będzie końcem kampanii, gdyż począwszy od Smoleńska widział, w jakim stanie pozostawia mu się rosyjskie miasta, i nie otrzymywał odpowiedzi na swe niejednokrotne oświadczenia, że pragnie rozpocząć pertraktacje.

Wydając i przyjmując bitwę pod Borodinem Kutuzow i Napoleon postąpili wbrew swej woli i nierozsądnie. Historycy zaś, gdy już fakty się dokonały, sprokurowali do nich chytrze obmyślane dowody przewidywania i genialności wodzów, którzy spośród wszystkich mimowolnych narzędzi światowych zdarzeń byli najbardziej niewolniczy i bezwolni.

Starożytni pozostawili nam wzory heroicznych poematów, w których bohaterowie stanowią ośrodek zainteresowań historycznych, a my wciąż jeszcze nie możemy się przyzwyczaić, że dla naszego ludzkiego czasu historia tego rodzaju nie ma sensu.

Druga kwestia: jak była wydana bitwa pod Borodinem i poprzedzająca ją bitwa pod Szewardinem – ma również określoną i wszystkim znaną, całkowicie kłamliwą interpretację. Wszyscy historycy opisują rzecz w sposób następujący:

Rosyjska armia odstępując od Smoleńska jakoby szukała sobie najdogodniejszej pozycji do walnej bitwy i jakoby taką pozycję znalazła pod Borodinem.

Rosjanie jakoby najpierw umocnili tę pozycję, na lewo od drogi (z Moskwy do Smoleńska), niemal pod kątem prostym do niej, od Borodina do Uticy, na tym samym miejscu, gdzie rozegrała się bitwa.

Jakoby przed tą pozycją została umocniona na kurhanie szewardińskim wysunięta placówka w celu śledzenia nieprzyjaciela. Jakoby Napoleon 24-go zaatakował tę placówkę i zdobył ją, 26-go zaatakował całą armię rosyjską stojącą na pozycji w polu pod Borodinem.

Tak się powiada w historiach, a to wszystko jest absolutnie niesłuszne, o czym łatwo przekona się każdy, kto zechce wniknąć w istotę rzeczy.

Rosjanie nie szukali lepszej pozycji: przeciwnie, cofając się minęli wiele pozycji, które były lepsze niż pozycja borodińska. Nie zatrzymali się na ani jednej z tych pozycji: i dlatego że Kutuzow nie chciał przyjąć pozycji, której sam nie wybrał, i dlatego że jeszcze nie dość silnie wyraziło się ogólnonarodowe pragnienie stoczenia bitwy, i dlatego że Miłoradowicz nie ściągnął jeszcze z pospolitym ruszeniem, i jeszcze z wielu innych niezliczonych powodów. Faktem jest, że poprzednie pozycje były mocniejsze niż pozycja pod Borodinem i że ta pozycja (na której wydana została bitwa) nie tylko nie jest mocna, ale wcale nie jest bardziej pozycją niż jakiegokolwiek inne miejsce w Rosji, które bez wyboru można by wskazać szpilką na mapie.

Rosjanie nie tylko nie umacniali pozycji na polu pod Borodinem na lewo pod kątem prostym od drogi (czyli tego miejsca, na którym odbyła się bitwa), ale do 25 sierpnia 1812 roku nie myśleli o tym, że bitwa mogłaby zostać stoczona w tym miejscu. Dowodem na to jest, po pierwsze, to, że nie tylko do 25-go, na tym miejscu nie było umocnień, ale że rozpoczęte 25-go nie zostały zakończone nawet 26-go, po drugie zaś, dowodzi tego położenie reduty szewardińskiej: reduta szewardińska na przedpolu tej pozycji, na której przyjęto bitwę, nie ma żadnego sensu. Dlaczego ta reduta miałaby być bardziej umocniona niż wszystkie inne punkty? I dlaczego broniąc jej 24-go do późnej nocy wyczerpano wszystkie możliwości i stracono sześć tysięcy ludzi? Do obserwacji nieprzyjaciela wystarczył podjazd Kozaków. Po trzecie, dowodem, że pozycja, na której stoczono bitwę, nie była przewidziana i że reduta szewardińska nie była wysuniętym punktem tej pozycji, jest to, że do 25-go Barciay de Tolly i Bagration byli przeświadczeni, iż reduta szewardińska jest lewym skrzydłem pozycji i że sam Kutuzow w swym raporcie, pisany na gorąco zaraz po bitwie, nazywa redutę szewardińska lewym skrzydłem pozycji. Już znacznie później, kiedy raporty o bitwie pod Borodinem pisało się z daleka, wymyślono (prawdopodobnie chcąc usprawiedliwić błędy naczelnego wodza, który ma być nieomylny) to niesłuszne i dziwne twierdzenie, jakoby reduta szewardińska była wysuniętą placówką (gdy tymczasem był to tylko umocniony punkt lewego skrzydła) i jakobyśmy przyjęli bitwę pod Borodinem na pozycji umocnionej i z góry wybranej, gdy tymczasem bitwa została stoczona w miejscu zupełnie niespodziewanym i niemal zupełnie nieumocnionym.

Najwidoczniej rzecz przedstawiała się tak: pozycja została wybrana nad rzeką Kołoczą, która przecina szosę nie pod kątem prostym, ale pod ostrym, tak że lewe skrzydło było w Szewardinie, prawe – około wioski Nowe, a centrum w Borodinie, gdzie zlewają się rzeki Kołoczą i Wojna. Ta pozycja, zasłonięta rzeką Kołoczą, dla armii mającej na celu zatrzymanie nieprzyjaciela posuwającego się szosą smoleńską w kierunku Moskwy jest widoczna dla każdego, kto popatrzy na pole borodińskie, zapomniawszy o tym, jak się odbyła bitwa.

Kiedy 24-go Napoleon podjechał do Wołujewa, nie dostrzegł (jak się powiada w historiach) pozycji rosyjskiej między Uticą a Borodinem (nie mógł dostrzec tej pozycji, gdyż wcale jej nie było) i nie dostrzegł wysuniętej placówki rosyjskiej armii, lecz w pościgu za rosyjską ariergardą natknął się na lewe skrzydło pozycji Rosjan, na redutę szewardińska, i niespodziewanie dla

Rosjan przerzucił wojsko przez Kołoczę.

Rosjanie zaś, nie zdążywszy wystąpić do walnej bitwy, lewym skrzydłem wycofali się z pozycji, którą zamierzali zająć, i zajęli nową pozycję, która nie była przewidziana i umocniona. Przeszedłszy na lewą stronę Kołoczki, na lewo od szosy, Napoleon przesunął przyszłą bitwę z prawej strony na lewą (od strony Rosjan) i przeniósł ją na pole między Utią, Siemionowskim i Borodinem (na pole nie przedstawiające się bardziej korzystnie jako pozycja niż jakiekolwiek inne pole w Rosji) i na tym polu rozegrała się bitwa 26 sierpnia. Plan przewidywanej bitwy i bitwy, która się odbyła, przedstawia się z grubsza następująco:

Gdyby wieczorem 24 sierpnia Napoleon nie był wyjechał nad Kołoczę i nie kazał zaraz wieczorem atakować reduty, lecz rozpoczął atak nazajutrz rano, nikt by nie miał wątpliwości co do tego, że reduta szewardińska była lewym skrzydłem naszej pozycji: i bitwa odbyłaby się tak, jakśmy



się tego spodziewali. W tym wypadku z jeszcze większym uporem bronilibyśmy reduty szewardińskiej, naszego lewego skrzydła; atakowalibyśmy Napoleona w centrum albo z prawej strony i 24 sierpnia zostałyby stoczona walna bitwa na tej pozycji, która była umocniona i przewidziana. Ponieważ atak na nasze lewe skrzydło nastąpił wieczorem tuż po cofnięciu się naszej ariergardy, tj. bezpośrednio po potyczce pod Gridniewą, i ponieważ nasi wodzowie nie chcieli czy też nie zdążyli 24 wieczorem zacząć walnej bitwy, pierwsze i główne działanie w bitwie pod Borodinem było przegrane już 24 sierpnia i najwidoczniej prowadziło do przegrania i tego, które się odbyło 26 sierpnia.

Po stracie reduty szewardińskiej, rankiem 25 sierpnia, znaleźliśmy się bez pozycji na lewym skrzydle i byliśmy zmuszeni wyprostować nasze lewe skrzydło i pośpiesznie umacniać je, gdzie popadło.

Nie dość tego, że 26 sierpnia rosyjskie wojska znajdowały się tylko pod osłoną słabych, nie dokończonych szańców – niekorzystność tego położenia potęgowało jeszcze i to, że rosyjscy dowódcy, nie uznając całkowicie dokonanego faktu (straty pozycji na lewym skrzydle i przeniesienia się przyszłego pola bitwy z prawej strony na lewą), pozostali w rozciągniętej linii od wsi Nowe do Utią i wskutek tego podczas bitwy byli zmuszeni przesunąć swe wojska z prawej strony na lewą. W ten sposób przez cały czas bitwy Rosjanie mieli o połowę słabsze siły przeciwko całej armii francuskiej, skierowanej na nasze lewe skrzydło. (Akcja Poniatowskiego przeciw Utią i Uwarowa na prawym skrzydle Francuzów stanowiła działania niezależne od

przebiegu bitwy).

A zatem bitwa pod Borodinem odbyła się zupełnie inaczej, niż (usiłując ukryć błędy naszych wodzów, a tym samym pomniejszając chwałę rosyjskiego wojska i ludu) to się przedstawia. Bitwa pod Borodinem nie rozegrała się na wybranej i umocnionej pozycji z nieco tylko słabszymi siłami Rosjan, lecz na skutek utraty reduty szewardińskiej bitwa pod Borodinem została przyjęta przez Rosjan na odsłoniętym, prawie nie umocnionym miejscu, z siłami o połowę mniejszymi niż siły Francuzów, czyli w takich warunkach, w jakich nie tylko było nie do pomyślenia bić się przez dziesięć godzin i uczynić bitwę nierozstrzygniętą, ale i nie do pomyślenia było w ciągu trzech godzin uchronić armię od całkowitej klęski i ucieczki.

XX

25 sierpnia rano Pierre wyjeżdżał z Możajska. Przy zjeździe z wielkiej, stromej i krzywej góry drogą prowadzącą z miasta obok stojącego z prawej strony na górze soboru, gdzie odbywało się nabożeństwo i gdzie były dzwony, Pierre wysiadł z powozu i szedł pieszo. Za nim schodził z góry jakiś konny pułk z pieśniarzami na czele. Z przeciwnej strony ciągnęły w górę wozy z rannymi we wczorajszej bitwie. Woźnice-chłopi pokrzykiwali na konie, okładali je batami i przebiegali z jednej strony na drugą. Wozy, na których leżało i siedziało po trzech i po czterech rannych żołnierzy, podskakiwały przy stromym wjeździe na kamieniach narzuconych po to, by stworzyć coś w rodzaju drogi bitej. Ranni, poobwiązywani szmatami, bladzi, z zaciśniętymi wargami i nasepionymi brwiami, trzymali się za drabki, podskakiwali i objali się o siebie. Niemal wszyscy z naiwną, dziecięcą ciekawością patrzyli na biały kapelusz i zielony frak Pierre'a.

Stangret Pierre'a gniewnie krzyczał na tabor rannych, żeby się trzymali jednej strony. Kawaleryjski rozśpiewany pułk schodząc z góry natknął się na powóz Pierre'a i zatarasował drogę. Pierre przystanął, przysuwając się do skraju drogi wykopanej na wzniesieniu. Spoza skarpy słońce nie docierało w zagłębienie drogi, było tu chłodno, wilgotno, nad głową Pierre'a rozpościerał się jasny sierpniowy ranek i wesoło rozlegał się dźwięk dzwonów. Jeden wóz z rannymi zatrzymał się na skraju drogi tuż obok Pierre'a. Woźnica w łapciach, zadyszany, podbiegł do wozu, podsunął kamień pod tylne nie okute koła i jął poprawiać uprzęż na swym koniu.

Jakiś stary żołnierz, ranny, z owiazaną ręką, który szedł za wozem, trzymając się go zdrową ręką, obejrzał się na Pierre'a.

– Cóż, ziomku, czy tu nas położą, czy aż do Moskwy? – zapytał.

Pierre tak się zamyślił, że nie dosłyszał pytania. Patrzył to na kawaleryjski pułk, który teraz zrównał się z transportem rannych, to na ten wóz, przy którym stał, a na którym siedziało dwóch rannych, a trzeci leżał. Jeden z żołnierzy siedzących na wozie był prawdopodobnie ranny w policzek. Całą głowę miał owiazaną szmatami, jeden zaś policzek spuchł mu do rozmiarów głowy dziecka. Usta i nos miał przekrzywione. Ów żołnierz spoglądał na sobór i żegnał się. Drugi, młody chłopak, rekrut, jasnowłosy i blady, jakby ani kropli krwi nie miał w delikatnej twarzy, patrzył na Pierre'a z dziecięcym, dobrym, nieruchomym uśmiechem; trzeci leżał na brzuchu i nie widać było jego twarzy. Rozśpiewani kawalerzyści przechodzili obok wozu.

„Hej przepadła... hej, żołnierska głowa... W obcym kraju żyjący...” – wyśpiewywali skoczną piosenkę żołnierską. I jakby im do wtóru, z innego rodzaju radością rozlegały się w górze metaliczne dźwięki dzwonów. I jeszcze innym rodzajem radości gorące promienie słońca oblewały wierzchołek przeciwnego urwiska. Ale pod skarpy, przy wozie z rannymi, obok zdyszanego konika, przy którym stał Pierre, było wilgotno, pochmurno i smutno.

Żołnierz ze spuchniętym policzkiem patrzył gniewnie na śpiewających kawalerzystów.

– Ech, eleganciki – rzekł z wyrzutem.

– Dzisiaj to nie tylko żołnierzy, ale nawet chłopków widziałem. Nawet i chłopków gnają – ze

smutnym uśmiechem rzekł żołnierz stojący za wozem i zwrócił się do Pierre'a:

– Dzisiaj nie wybierają... Całym narodem chcą się zwalić; wiadomo – Moskwa. Już raz chcą zrobić koniec. – Mimo że żołnierz wyrażał się niejasno, Pierre zrozumiał wszystko, co ów chciał powiedzieć, więc potakująco kiwnął głową.

Droga się zwolniła, Pierre zszedł z góry i pojechał dalej.

Jadąc rozglądał się po obu stronach drogi i szukał znajomych twarzy, ale wszędzie widział tylko nieznanymi z różnych rodzajów broni, a wszyscy z jednakowym zdziwieniem patrzyli na jego biały kapelusz i zielony frak.

Ujechawszy jakie cztery wiorsty spotkał pierwszego znajomego i z radością zwrócił się do niego. Tym znajomym był jeden z naczelników lekarzy w armii. Jechał bryczką naprzeciwko Pierre'a, obok niego siedział jakiś młody doktor. Kiedy doktor poznał Pierre'a kazał swemu kozakowi, siedzącemu na koźle zamiast stangreta, zatrzymać się.

– Pan hrabia! Skąd się pan tu bierze? – zapytał lekarz.

– Ot, chciałem zobaczyć...

– O tak, będzie na co popatrzeć...

Pierre wysiadł, zatrzymał się przy doktorze, rozgadywał się i zaczął mu tłumaczyć, że ma zamiar wziąć udział w bitwie.

Doktor poradził Bezuchowowi, by po prostu zwrócił się do jego dostojności.

– Po co pan ma znajdować się podczas bitwy nie wiadomo gdzie – rzekł i wymienił spojrzenie ze swym młodym towarzyszem. – Przecie jego dostojność zna pana i przyjmie łaskawie. Tak proszę zrobić, serdeńko – oświadczył doktor.

Doktor wyglądał na zmęczonego i widać było, że się śpieszy.

– A więc pan myśli... A jeszcze chciałem pana zapytać, gdzie jest pozycja? – rzekł Pierre.

– Pozycja? – powiedział doktor. – To już nie moja specjalność. Minie pan Tatarinowo, tam jakoś dużo kopią. Wejdzie pan na kurhan, stamtąd widać – oświadczył doktor.

– I stamtąd widać?... Gdyby pan...

Ale doktor przerwał mu i skierował się do bryczki.

– Jak mi Bóg miły, odprowadziłbym pana, ale (doktor pokazał na gardło) gnam do dowódcy korpusu. Bo jak to u nas... Wiesz pan, panie hrabio, jutro bitwa; jest sto tysięcy wojska, trzeba co najmniej liczyć na dwadzieścia tysięcy rannych, a my nie mamy ani noszy, ani łóżek, ani felerów, ani lekarzy nawet dla sześciu tysięcy. Jest dziesięć tysięcy wozów, a trzeba drugie tyle; no i rób co chcesz.

Ta dziwna myśl, że spośród tych tysięcy ludzi żyjących, młodych i starych, którzy z wesołym zdziwieniem patrzyli na jego kapelusz, na pewno dwadzieścia tysięcy jest skazanych na rany i śmierć (może to nawet ci sami, których widział) – zaskoczyła Pierre'a.

„Może jutro umrą, czemu zatem myślą o czymś innym, a nie o śmierci?” I nagle przez jakieś tajemne powiązanie Oiyśli wyobraził sobie żywo zjazd z góry pod Możajskiema wozy z rannymi, dzwony, skośne promienie słońca i śpiew kawalerzystów.

„Kawalerzyści idą w bój, spotykają rannych i ani przez chwilę nie zastanawiają się nad tym, co ich czeka, idą obok rannych i mrugają do nich. A wśród tych dwudziestu tysięcy skazanych na śmierć są ci, co się dziwią, patrząc na mój kapelusz! Jakie to niezwykle!” – myślał Pierre kierując się w stronę Tatarinowa.

Przed dworem, po lewej stronie szosy, stały powozy, furgony, tłumy ordynansów i strażę. Tu zatrzymał się jego dostojność. Ale akurat w tym czasie, kiedy Pierre przyjechał, nie było go, nie było zresztą prawie nikogo ze sztabowców. Wszyscy byli na nabożeństwie. Pierre ruszył naprzód w kierunku Górek.

Kiedy Pierre znalazł się na górze i wjechał w niewielką ulicę wiejską, po raz pierwszy

zobaczył chłopów powołanych do pospolitego ruszenia. Chłopi, z krzyżami na czapkach, w białych koszulach, rozmawiali o czymś głośno, śmieli się i, podnieceni i spotniali, robili coś na prawo od szosy, na ogromnym kurhanie porośniętym trawą.

Jedni z nich rozkopywali łopatami wzgórze, inni taczkami wozili po deskach ziemię, niektórzy zaś stali i nic nie robili.

Na kurhanie stali dwaj oficerowie i komenderowali chłopami. Pierre, zobaczywszy tych chłopów, których najwidoczniej bawiła jeszcze ta ich nowa sytuacja wojenna, znów przypomniał sobie rannych żołnierzy, widzianych w Możajsku, i zrozumiał, co chciał wyrazić żołnierz mówiący, że całym narodem chcą się zwalić. Widok tych pracujących na polu bitwy chłopów – brodatych, w dziwacznych, niezdarnych butach, ze spoconymi szyjami, niektórych z rozpiętymi skośnymi kołnierzami koszul, odsłaniającymi opalone obojczyki – wywarł na Pierre'a większe wrażenie niż wszystko, co dotychczas widział i słyszał o powadze i znaczeniu obecnej chwili.

XXI

Pierre wysiadł z powozu i minawszy pracujących chłopów wszedł na ten kurhan, z którego, jak mu powiedział doktor, widać było pole bitwy.

Była jedenasta rano. Słońce stało nieco z lewej strony za Pierre'em i przez czyste, rzadkie powietrze oświetlało ogromną panoramę okolicy wznoszącej się amfiteatralnie.

U góry i z lewej strony tego amfiteatru, przecinając go, widać się wielka szosa smoleńska, biegła przez wieś z białą cerkwią; wieś leżała w dole, w odległości pięciuset kroków od kurhanu (było to Borodino). Koło wsi szosa przechodziła przez most i wśród spadków i wzniesień widać się coraz wyżej i wyżej aż do widocznej z odległości sześciu wiorst wioski Wałujewo (teraz znajdował się tam Napoleon). Za Wałujewem szosa ginęła w lesie żółciejącym na widnokręgu. W tym lesie, brzozowym i jodłowym, na prawo od szosy, błyszczał w słońcu daleki krzyż i dzwonnica kołockiego monasteru.

Na całej tej niebieskiej przestrzeni, na prawo i na lewo od szosy i lasu, widać było w różnych miejscach dymiące ogniska i niewyraźne masy wojsk naszych i nieprzyjacielskich. Na prawo, wzdłuż biegu rzek Kołoczy i Moskwy, okolica była górzysta, z urwiskami. Między urwiskami widać było z daleka wsie Bezzubowo i Zacharino. Z lewej strony okolica była równiejsza, z dala widniały zbożowe pola, jedna dymiąca, spalona wieś – Siemionowskie.

Wszystko, co Pierre widział z lewej strony i z prawej, było tak nieokreślone, że ani lewa strona, ani prawa nie zadowalała całkowicie jego wyobraźni. Nigdzie nie było pola bitwy, które spodziewał się zobaczyć, ale pola, polany, wojska, lasy, dymy ognisk, wsie, kurhany, strumienie, i choć wszystko dokładnie obserwował, nie mógł w tej ożywionej okolicy znaleźć pozycji, nie mógł nawet odróżnić naszych wojsk od wojsk nieprzyjacielskich.

„Muszę zapytać znawcy” – pomyślał Pierre i zwrócił się do oficera, który z ciekawością patrzył na jego olbrzymią, niewojskową postać.

– Pozwoli pan, że zapytam – zwrócił się Pierre do oficera – co to za wieś przed nami?

– Burdino czy jak? – rzekł oficer i pytając zwrócił się do kolegi.

– Borodino – odpowiedział drugi poprawiając. Oficer, widocznie rad, że ma okazję porozmawiać, zbliżył się do Pierre'a.

– Tam są nasi? – zapytał Pierre.

– Tak, a tam dalej Francuzi – odrzekł oficer. – O tam, widać ich.

– Gdzie? gdzie? – pytał Pierre.

– Widać gołym okiem. O, tam! – Oficer wskazał ręką dymy widoczne na lewo od rzeki, a na jego twarzy zjawił się ów surowy i poważny wyraz, jaki Pierre widział na twarzach wielu spotykanych ludzi.

– Ach, to Francuzi! A tam?... – Pierre wskazał na lewo na kurhan, przy którym widać było wojska.

– To nasi.

– Ach, nasi! A tam?... – Pierre wskazał na drugie dalekie wzgórze z dużym drzewem, obok wsi widocznej w wąwozie, tam również dymiły ogniska i coś czerniało.

– To znów on – oświadczył oficer. (To była reduta szewardińska). – Wczoraj było nasze, a teraz jego.

– No to gdzie nasza pozycja?

– Pozycja? – rzekł oficer z uśmiechem zadowolenia.

– Mogę powiedzieć panu o tym dokładnie, gdyż budowałem prawie wszystkie nasze umocnienia. Widzi pan, nasze centrum jest w Borodynie, o tu – pokazał wieś z białą cerkwią stojącą na przedzie. – Tu jest przeprawa przez Kołoczę.

– Tu, widzi pan, gdzie jeszcze na dole leżą pokosy siana, tu jest most. To nasze centrum. Nasze prawe skrzydło jest tam (pokazał na prawo, w kierunku dalekiego wąwozu), tam jest rzeka Moskwa i tam zbudowaliśmy trzy bardzo silne reduty. Lewe skrzydło... – tu oficer zatrzymał się.

– Widzi pan, to trudno panu wytłumaczyć... Wczoraj nasze lewe skrzydło było tam, w Szewardinie, o, widzi pan, tam gdzie dąb, a teraz cofnęliśmy lewe skrzydło tam... widzi pan wieś i dym? to Siemionowskie, o tutaj – wskazał na kurhan Rajewskiego. – Tylko wątpliwe, czy tu będzie bitwa. Że on przerzucił tu wojsko, to oszustwo; on na pewno obejdzie od strony Moskwy. Ale gdziekolwiek to będzie, jutro wielu się nie doliczymy! – rzekł oficer.

Kiedy oficer opowiadał, podszedł do niego stary podoficer i w milczeniu czekał, aż zwierzchnik skończy, ale w tym miejscu, widocznie niezadowolony ze słów oficera, przerwał mu.

– Trzeba jechać po kosze szańcowe – rzekł surowo. Oficer jak gdyby się zmieszał, jak gdyby zrozumiał, że można myśleć o tym, że jutro wielu się nie doliczy, ale nie należy o tym mówić.

– Tak, poślij znów trzecią rotę – rzeki spiesźnie oficer.

– Czyś pan przypadkiem nie doktor?

– Nie, ja tak sobie – odpowiedział Pierre. I poszedł pod górę, mijając znów chłopów.

– Ach, potępieńcy! – rzekł oficer idący za nim, zacisnął nos i przebiegł obok pracujących.

– To oni!... Niosą, idą... To oni... zaraz wejdą... – rozległy się nagle głosy, zarówno oficerowie, jak żołnierze i chłopci z pospolitego ruszenia pobiegli szosą naprzód.

Spod góry od strony Borodina ciągnęła cerkiewna procesja. Zakurzona szosą szła na przedzie piechota, w szyku, ze zdjętymi kiwerami, z karabinami opuszczonymi w dół. Za piechotą rozlegał się cerkiewny śpiew.

Biegący bez czapek żołnierze i pospolitacy minęli Pierre. Biegli naprzeciw idących.

– Niosą Matuchnę! Orędowniczkę!... Iwerską!...

– Matkę Boską Smoleńską – poprawił inny. Chłopi z pospolitego ruszenia i ci, którzy byli we wsi, i d, co pracowali na baterii, porzucili łopaty i pobiegli naprzeciw procesji. Za batalionem maszerującym zakurzona szosą szli duchowni w ryzach, jeden staruszek w kłobuku, słudzy cerkiewni i śpiewacy. Za nimi żołnierze i oficerowie nieśli dużą ciemną ikonę w ramach. Była to ikona zabrana ze Smoleńska i od tego czasu wożona za armią. Za ikoną, dokoła niej i przed nią ze wszystkich stron biegły tłumy wojskowych z obnażonymi głowami i wszyscy bili niskie pokłony.

Procesja znalazłszy się na górze przystanąła; ludzie niosący ikonę zmienili się, diakonowie znów zapalili kadzidła i zaczęły się modły. Gorące promienie słońca padały pionowo, słaby chłodny wietrzyk igrał włosami na obnażonych głowach i wstążkami zdobiącymi ikonę; pod gołym niebem śpiew rozlegał się niezbyt głośno. Oficerowie z obnażonymi głowami, żołnierze i chłopci z pospolitego ruszenia olbrzymim tłumem otaczali ikonę. Za popem i diakiem na wolnym miejscu stały osoby urzędowe. Pewien łysy generał z Krzyżem Jerzego na szyi stał tuż za plecami popa i, nie żegnając się (prawdopodobnie był to Niemiec), cierpliwie czekał końca modłów. Widocznie uważał, że należy wysłuchać modłów, aby w narodzie rosyjskim wzbudzić

patriotyzm. Drugi generał stał w pozie junackiej, potrząsał ręką na wysokości piersi i rozglądał się. Wśród tych osobistości Pierre, stojący z tyłu w tłumie chłopów, zauważył kilku znajomych; ale nie patrzył na nich, jego uwagę pochłaniał poważny wyraz na twarzach żołnierzy i chłopów z pospolitego ruszenia, którzy jednakowo żarliwie patrzyli na ikonę. Jak tylko zmęczeni diakowie (śpiewający dwudziestą modlitwę) zaczęli leniwie i z widoczną wprawą śpiewać: „Ratuj w klęsce sługi Twoje, Bogarodzico”, a pop i diak podchwytywali: „Jako wszyscy do Ciebie po Bogu biegniemy, jako pod niezachwiany mur i ochronę”, na twarzach wszystkich znów ukazywał się ów wyraz świadomości powagi chwili, jaka ma nastąpić, wyraz, który Pierre widział pod wzgórzem w Możajsku i przelotnie na twarzach wielu ludzi, których spotykał rano; coraz częściej ludzie opuszczali głowy, potrząsali nimi, wzdychali, a żegnając się krzyżem bili się w piersi.

Tłum otaczający ikonę rozsunał się nagle i napał na Pierre'a. Ktoś, prawdopodobnie jakaś ważna osobistość, sądząc po pośpiechu, z jakim usuwano mu się z drogi, zbliżał się do ikony.

Był to Kutuzow objeżdżający pozycję. Wracając z Tatarinowa przybył na modły. Pierre od razu go poznał po osobliwej postaci, różniącej się od innych.

Kutuzow, w długim surducie na ogromnym, otyłym ciele, zgarbiony, z obnażoną siwą głową i z wytrzeszczonym białym okiem w rozlanej twarzy, mocno zginając nogi w kolanach, chwiejnym krokiem wszedł w krąg i zatrzymał się za plecami popa. Przeżegnał się gestem, do którego był nawyk sięgnął ręką aż do ziemi, ciężko westchnął i spuścił siwą głowę. Za Kutuzowem stanął Bennigsen i świta. Mimo obecności naczelnego wodza, który ściągnął na siebie uwagę wszystkich wyższych osobistości, pospolitacy i żołnierze nadal modlili się nie patrząc na niego.

Kiedy modły skończyły się, Kutuzow podszedł do ikony, ciężko ukląkł, złożył pokłon aż do ziemi i długo usiłował, lecz nie mógł się podnieść wskutek ociężałości i osłabienia. Siwa głowa drgała z wysiłku. Wreszcie wstał i po dziecinnemu wyciągniętymi wargami dotknął ikony, jeszcze raz złożył pokłon dotykając ręką ziemi. Generalicja poszła za jego przykładem, potem oficerowie, a za nimi – cisnąc się, wzajemnie tratując, sapiąc i rozpychając się – podbiegli wzruszeni żołnierze i pospolitacy.

XXII

Potrącony przez tłum, Pierre rozglądał się dokoła.

– Hrabio, Piotrze Kiryłyczu! A pan tu skąd? – odezwał się czyjś głos. Pierre obejrzał się.

Do Pierre'a podchodził uśmiechając się i otrzepując ręką kolana (widocznie również całował ikonę) Borys Drubecki. Ubrany był elegancko, z odcieniem marsowym. Miał na sobie długi surdut i nahajkę przewieszoną przez ramię, tak samo jak Kutuzow.

Kutuzow poszedł tymczasem na wieś i w cieniu najbliższego domu usiadł na ławce, którą przyniósł biegnąc jeden kozak, a drugi przykrył ją dywanikiem. Ogromna, wspaniała świta otoczyła naczelnego wodza.

Ikoneę poniesiono dalej, tłumy podążyły za nią. Pierre rozmawiając z Borysem zatrzymał się o trzydzieści kroków od Kutuzowa.

Pierre zwierzył się, iż zamierza wziąć udział w bitwie i obejrzeć pozycję.

– Zrób pan tak – powiedział Borys. – *Je vous ferai les honneurs du camp*⁹³ Najlepiej zobaczysz pan wszystko stąd, gdzie będzie hrabia Bennigsen. Przecie jestem jego adiutantem. Zamelduję mu. A jeśli pan chcesz obejrzeć pozycję, to jedź pan z nami: zaraz jedziemy na lewe skrzydło. A gdy wrócimy, bardzo proszę zanocować u mnie, zbierzemy partyjkę. Pan przecież zna Dymitra Siergieicza? Tutaj kwateruje – wskazał na trzeci dom w Górkach.

– Ale ja bym chciał zobaczyć prawe skrzydło, powiadają, że jest bardzo silne – powiedział Pierre. – Chciałbym objechać całą pozycję od rzeki Moskwy.

– To później, najważniejsze jest lewe skrzydło.

– Tak, tak. A czy może mi pan pokazać, gdzie jest pułk księcia Bołkońskiego? – zapytał Pierre.

– Andrzeja Nikołajewicza? Będziemy przejeżdżali obok, to pana zaprowadzę do niego.

– A cóż lewe skrzydło? – zapytał Pierre.

By powiedzieć panu prawdę, *entre nous*,⁹⁴ to nasze lewe skrzydło Bóg wie, w jakiej jest sytuacji – rzekł Borys, poufnie zniżając głos. – Hrabia Bennigsen zamierzał zupełnie co innego. Zamierzał umocnić ten oto kopiec, zupełnie inaczej... ale... – Borys wzruszył ramionami – jego dostojność nie chciał albo może mu coś nagadano. Przecież... – I Borys nie dokończył, albowiem w tej chwili do Pierre'a zbliżył się Kajsarow, adiutant Kutuzowa. – Ach, Paisij Siergieicz – rzekł Borys zwracając się ze swobodnym uśmiechem do Kajsarowa. – Właśnie staram się objaśnić hrabiemu pozycję. Zdziwiająca rzecz, jak jego dostojność potrafi odgadnąć zamiary Francuzów!

– Mówisz pan o lewym skrzydle! – rzekł Kajsarow

– Właśnie, właśnie. Nasze lewe skrzydło jest teraz bardzo, bardzo silne.

Mimo że Kutuzow wypędzał ze sztabu wszystkich ludzi 'zbędnych, jednak po zmianach przeprowadzonych przez Kutuzowa Borys potrafił utrzymać się przy głównej kwaterze. Borys urządził się przy hrabim Bennigsenie. Hrabia Bennigsen, podobnie jak inni, przy których

⁹³ Będę panu robił honory domu w obozie.

⁹⁴ Między nami.

znajdował się Borys, uważał młodego księcia Drubeckiego za nieocenionego człowieka.

W dowództwie armii były dwie wyraźne partie: partia Kutuzowa i partia Bennigsen, szefa sztabu. Borys należał do tej drugiej partii i nikt tak jak on nie potrafił, okazując niewolniczy szacunek wobec Kutuzowa, dawać do zrozumienia, że staruszek jest do niczego i że wszystkim kieruje Bennigsen. Obecnie następowała decydująca chwila bitwy, która powinna być albo unicestwić Kutuzowa i sprawić, że władzę otrzyma Bennigsen, albo – gdyby nawet Kutuzow wygrał bitwę – pozwolić dać mu do zrozumienia, że wszystko zostało zrobione przez Bennigsen. W każdym razie jutrzejszy dzień musiał pociągnąć za sobą rozdanie dużych nagród i wysunięcie nowych ludzi. I dlatego właśnie przez cały ten dzień Borys znajdował się w stanie ożywionego podniecenia.

Po Kajsarowie podeszli do Pierre'a również inni znajomi, nie mógł więc nadażyć z odpowiedziami na pytania o Moskwę, którymi go zasypywano, i nie nadażał z wysłuchiwaniami tego, co mu opowiadano. Twarze wszystkich wyrażały ożywienie i niepokój. Ale Pierre'owi wydawało się, że przyczyną podniecenia, wyrażającego się na twarzach niektórych osobistości, była raczej kwestia osobistych sukcesów, więc nie wychodziło mu z głowy owo innego rodzaju podniecenie, które widział na innych twarzach, a które mówiło nie o sprawach osobistych, lecz ogólnych – o sprawach życia i śmierci. Kutuzow zauważył postać Pierre'a i grupę, jaka się koło niego zebrała.

– Zawołajcie go do mnie – powiedział Kutuzow. Adiutant zakomunikował życzenie jego dostojności, Pierre skierował się więc ku ławeczce. Ale jeszcze wcześniej niż on zbliżył się do Kutuzowa szeregowiec pospolitego ruszenia. Był to Dołochow.

– A ten tutaj skąd? – zapytał Pierre.

– To taka bestia, która wszędzie wlezie! – odpowiedziano Pierre'owi. – Przecie został zdegradowany. Teraz musi się odznaczyć. Składał jakieś projekty i w nocy łąził pod tyralierę nieprzyjacielską... ale chwat!

Pierre zdjął kapelusz i z szacunkiem pochylił się przed Kutuzowem.

– Zdecydowałem, że jeśli złożę ten projekt jego dostojności, książę może mnie albo przepędzić, albo powiedzieć, że już wie to, co mówię, ale wtedy nic mi nie ubędzie... – mówił Dołochow.

– Tak, tak.

– A jeśli mam słuszość, to przyniosę pożytek ojczyźnie, dla której gotów jestem umrzeć.

– Tak... tak...

– Jeśli tedy jego dostojności przyda się człowiek, który by nie pożałował własnej skóry, to racz książę wspomnieć o mnie... Może będę użyteczny jego dostojności.

– Tak... tak... – powtórzył Kutuzow patrząc na Pierre śmiejącym się przymrużonym okiem.

Tymczasem Borys ze zręcznością dworaka wysunął się obok Pierre'a ku zwierzchnikowi i z jak najnaturalniejszą miną, niezbyt głośno, jakby prowadził dalej zaczęłą rozmowę, rzekł do Pierre'a:

– Pospolitycy jakby od razu przygotowali się na śmierć, włożyli czyste białe koszule. Jakież to bohaterstwo, hrabio!

Borys powiedział to do Pierre'a chcąc najwidoczniej, by Kutuzow usłyszał te słowa. Borys wiedział, że Kutuzow zwróci na nie uwagę. I rzeczywiście, jego dostojność rzekł do Borysa:

– Co tam mówisz o pospolitym ruszeniu?

– Wasza dostojność, oni przygotowując się na jutrzejszy dzień włożyli białe koszule, jak na śmierć.

– A, cudowny, niezrównany lud – rzekł Kutuzow, zamknął oczy i pokiwał głową. – Niezrównany lud! – powtórzył z westchnieniem.

– Chcesz pan prochu powąchać? – rzekł do Pierre'a. – Tak, przyjemny zapach. Mam honor być wielbicielem pańskiej małżonki. Jak się miewa? Mój biwak jest do pańskich usług. – I, jak to się często zdarza starym ludziom, Kutuzow jął rozglądać się z roztargnieniem, jak gdyby zapomniał wszystko, co powinien był powiedzieć czy zrobić.

Widocznie przypomniał sobie, czego szukał, bo przywołał do siebie Andrzeja Siergieicza Kajsarowa, brata swego adiutanta.

Jakże to, ten wiersz Marina⁹⁵, ten wiersz? Co go napisał na Gierakowa: „W korpusie będziesz nauczyciel...” Powiedzże, powiedz – zaczął Kutuzow, widocznie zamierzając się pośmiać. Kajsarow deklamował... Kutuzow uśmiechnął się i kiwał głową w takt wierszy.

Kiedy Pierre odszedł od Kutuzowa, Dołochow przysunął się do niego i wziął go za rękę.

Bardzo się cieszę, hrabio, że pana spotkał – rzekł do niego głośno, stanowczo i uroczyście, nie żenując się obecnością osób postronnych. – W wigilię dnia, w którym Bóg wie komu z nas sądzono pozostać wśród żyjących, cieszę się, że mam okazję powiedzieć panu, iż bardzo żałuję, że były między nami nieporozumienia. I pragnąłbym, byś pan nie miał do mnie urazy. Proszę o przebaczenie.

Pierre patrząc na Dołochowa uśmiechał się i nie wiedział, co mu powiedzieć. Dołochow ze łzami w oczach objął Pierre'a i pocałował.

Borys powiedział coś swemu generałowi. Hrabia Bennigsen zwrócił się do Pierre'a i zaproponował mu, by pojechał razem z nim wzdłuż linii frontu.

– To pana zainteresuje – rzekł.

– Tak, bardzo mnie to zainteresuje – odrzekł Pierre. Po upływie pół godziny Kutuzow wyjechał do Tatarinowa, a Bennigsen razem ze świtą, wśród której znajdował się również Pierre, udał się na objazd pozycji.

⁹⁵ Sergiusz Marin (1775–1813) – poeta, latyryk i parodysta.

XXIII

Z Górek Bennigsen zjechał szosą do mostu, który oficer na kurhanie wskazywał Pierre'owi jako centrum pozycji i przy którym leżały na brzegu pokosy pachnącego siana. Przez most dostali się do wsi Borodino, stamtąd skręcili w lewo i obok wielkiej liczby wojsk i dział dotarli do wysokiego wzgórza, na którym chłopci z pospolitego ruszenia kopali ziemię. Była to reduta nie mająca jeszcze nazwy, potem została nazwana redutą Rajewskiego albo baterią na kurhanie.

Na tę redutę Pierre nie zwrócił szczególnej uwagi. Nie wiedział, że to miejsce będzie dla niego najbardziej pamiętne ze wszystkich miejsc pola borodińskiego. Potem pojechali przez jar do Siemionowskiego, gdzie żołnierze rozbierali ostatnie belki z chałup i szop. Potem jechali z góry i pod Korę i ruszyli naprzód przez żyto, stratowane i jak gdyby zbite przez grad, drogą wyżłobioną na roli przez artylerię; jechali do fleszy, które dopiero kopano.

Bennigsen zatrzymał się na fleszach i jał patrzeć przed siebie na szewardińską redutę (wczoraj należąca jeszcze do nas), na której było widać kilku jeźdźców. Oficerowie mówili, że był tam Napoleon albo Murat. Wszyscy patrzyli chciwie na tę grupkę jeźdźców. Pierre również tam patrzył i usiłował zgadnąć, który z tych ledwo widocznych ludzi był Napoleonem. Wreszcie jeźdźcy zjechali ze wzgórza i zniknęli.

Do Bennigseną podszedł jakiś generał i Bennigsen jał komentować ogólne położenie naszych wojsk. Pierre słuchał słów Bennigseną i wyteżał wszystkie siły swego umysłu, by pojąć istotę mającej nastąpić bitwy, ale czuł ze smutkiem, że brak mu było po temu zdolności. Nic nie rozumiał. Bennigsen przestał mówić, a spostrzegłszy przysłuchującego się Pierre'a powiedział nagle zwracając się do niego:

– Sądzę, że to pana nie zajmuje?

– Ach, przeciwnie, bardzo mnie to zajmuje – zaprzeczył Pierre niezupełnie szczerze.

Z flesz skręcili jeszcze bardziej w lewo i pojechali drogą wijącą się wśród gęstego brzoźowego lasu. Z głębi lasu wyskoczył na drogę brunatny zając z białymi skokami i, przerażony tętentem tak wielkiej liczby koni, tak się strwożył, że długo kicał drogą przed nimi wzbudzając ogólną uwagę i śmiech, i dopiero kiedy kilka głosów krzyknęło na niego, dał susa w bok i zniknął w gąszczu. Przejechawszy lasem dwie wiorsty, znaleźli się na polanie, na której stały wojska korpusu Tuczkowa, mającego bronić lewego skrzydła.

– Tutaj, na granicy lewego skrzydła, Bennigsen mówił długo i gorąco, i jak się Pierre'owi wydawało, dał bardzo ważny pod względem strategicznym rozkaz. Przed pozycją wojsk Tuczkowa znajdowało się wzniesienie. To wzniesienie nie było zajęte przez wojska. Bennigsen głośno krytykował ten błąd, mówiąc, że to było bardzo nierozsądnie nie zająć tego wzniesienia górującego nad okolicą i ustawić pod nim wojska. Niektórzy generałowie podzielili to zdanie. Z osobliwą wojskową popędliwością mówili, że postawiono ich tu na rzeź. Bennigsen rozkazał w swoim imieniu przesunąć wojska na wzniesienie.

To rozporządzenie na lewym skrzydle jeszcze bardziej wzmogło w Bezuchowie wątpliwości co do jego zdolności pojmowania spraw wojennych. Kiedy słuchał Bennigseną i generałów krytykujących pozycję wojsk pod wzgórzem, całkowicie rozumiał i podzielał ich zdanie, ale

właśnie dlatego nie mógł pojąć, w jaki sposób ten, kto postawił wojska tu pod wzgórzem, mógł popełnić tak oczywisty, gruby błąd.

Pierre nie wiedział, że wojska zostały tu postawione nie po to, aby bronić pozycji, jak sądził Bennigsen, ale były postawione w ukryciu jako zasadzka, tj. po to, aby, nie zauważone, mogły uderzyć zniemacka na posuwającego się nieprzyjaciela. Bennigsen o tym nie wiedział i przesunął wojska wedle swego rozumowania, nic nie mówiąc o tym wodzowi naczelnemu.

XXIV

W ów pogodny wieczór 25 sierpnia książę Andrzej, oparty na ręce, leżał w rozwalonej szopie we wsi Książkowej, na skraju pozycji swego pułku. Przez rozwaloną ścianę patrzył na ciągnące się wzdłuż płotu pasmo trzydziestoletnich brzoź z odrąbanymi dolnymi konarami, na rolę z rozstawionymi na niej kopami owsa i na chruśniak, w którym było widać dymy ognisk żołnierskich kuchni.

Chociaż księciu Andrzejowi jego życie wydawało się ograniczone, nikomu niepotrzebne i uciążliwe, jednak tak samo jak siedem lat temu przed bitwą pod Austerlitz był podniecony i rozdrażniony.

Rozkazy co do jutrzejszej bitwy zostały wydane i otrzymał je. Nie miał nic więcej do roboty. Ale myśli – nader zwykle, jasne i dlatego straszne – nie dawały mu spokoju. Wiedział, że jutrzejsza bitwa musi być najstraszniejsza ze wszystkich, w których brał udział, i możliwość śmierci po raz pierwszy w życiu, bez żadnego związku ze sprawami ziemskimi, bez zastanawiania się, jakie ona zrobi wrażenie na innych, tylko w związku z nim samym, przedstawiała mu się wyraziście, po prostu i groźnie. I z wyżyn tej świadomości wszystko, co przedtem go dręczyło i zajmowało, zostało nagle oświetlone zimnym, białym światłem, bez cieni, bez perspektywy, bez określonych konturów. Całe życie wydało mu się czarnoksięską latarnią, w którą patrzył długo i przy sztucznym świetle. Teraz zobaczył znienacka, bez szkieł i w jasnym świetle dnia, te źle namalowane obrazki. „Tak, oto te kłamliwe obrazy, które mnie tak wzruszały, zachwycały, męczyły – mówił do siebie robiąc w myślach przegląd głównych obrazów czarnoksięskiej latarni życia i patrząc na nie teraz w tym zimnym, białym świetle dnia poprzez jasną myśl o śmierci. – Oto te postacie namalowane prostacko, które wydawały się ongiś czymś cudownym i tajemniczym. Sława, dobro ogółu, miłość do kobiety, nawet ojczyzna – jakże wielkie wydawały mu się te obrazy, jakże pełne głębokiego znaczenia! A jakie to wszystko jest zwyczajne, blade i prostackie w zimnym, białym świetle tego ranka, który – czuję to – wstaje dla mnie!” Trzy główne nieszczęścia jego życia szczególnie pochłaniały jego uwagę: miłość do kobiety, śmierć ojca i najazd Francuzów, który ogarnął połowę Rosji. „Miłość!... Ta dziewczyneczka, która mi się wydawała przepelniona tajemnymi siłami. Jakże ją kochałem! Snułem poetyczne plany o miłości, o szczęściu z nią. Kochane chłopię! – rzekł na głos, ze złością. – Jakże! Wierzyłem w jakąś idealną miłość, która powinna była mi zachować jej wierność w ciągu całego roku mojej nieobecności! Na podobieństwo tkliwego gołębia z bajki powinna była schnąć z tęsknoty za mną. A to wszystko jest o wiele prostsze... To wszystko jest straszliwie proste, wstrętne!

Ojciec również budował w Łysych Górach i myślał, że to jego własne miejsce, jego ziemia, jego powietrze, jego chłopci, tymczasem przyszedł Napoleon i nic nie wiedząc o jego istnieniu zmiotł go niby wiór z drogi, rozpadły się jego Łyse Góry i całe jego życie. A księżniczka Maria powiada, że to próba zesłana z góry. Na cóż ta próba, kiedy jego już nie ma i nie będzie? Nigdy już nie będzie! Nie ma go! Więc dla kogo ta próba? Ojczyzna, zguba Moskwy! A jutro zabije

mnie – nawet nie Francuz, ale swój, jak wczoraj, kiedy żołnierz rozładował karabin koło mego ucha, i przyjdą Francuzi, wezmą mnie za nogi i za głowę i rzucają do dołu, żebym im nie śmierział pod nosem; powstaną nowe warunki życia, które dla innych również będą zwykłe, ale ja nie będę o nich wiedział, bo mnie nie będzie”.

Popatrzył na pasmo brzoź lśniących w słońcu nieruchomą żółcizną, zielenią i bielą kory. „Umrzeć... żeby mnie jutro zabili, żeby mnie nie było... żeby to wszystko było, a żeby mnie nie było”. Żywo sobie wyobraził swą nieobecność w tym życiu. I te brzozy z ich światłem i cieniem, i te kłębiaste chmury, i ten dym ognisk, wszystko dokoła przeobraziło się i wydało czymś strasznym i groźnym. Ciarki przebiegły mu po plecach. Wstał szybko, wyszedł z szopy i jął chodzić.

Za szopą rozległy się głosy. – Kto tam? – zawołał książę Andrzej. Czerwononosi kapitan Timochin, były dowódca kompanii Dołochowa, teraz, z powodu ubytku oficerów, dowódca batalionu, nieśmiało wszedł do szopy. Za nim weszli: adiutant i płatnik pułkowy.

Książę Andrzej wstał pośpiesznie, wysłuchał meldunków oficerów, dał im jeszcze pewne rozkazy i zamierzał ich odprawić, gdy zza szopy dobiegł go znajomy, z lekka sepleniący głos.

– *Que diable!*⁹⁶ – powiedział głos człowieka, który o coś uderzył.

Książę Andrzej wyjrzał z szopy i zobaczył zbliżającego się Pierre'a. Pierre potknął się o leżącą żerdź i o mało nie upadł. Księżciu Andrzejowi było w ogóle niemiło spotykać się z ludźmi ze swego świata, a szczególnie z Pierre'em, który mu przypominał wszystkie ciężkie chwile, jakie przeżył podczas ostatniego przyjazdu do Moskwy.

– A więc tak – powiedział. – Skąd się tu bierzesz?

– Nie spodziewałem się.

Kiedy to mówił, jego oczy i twarz wyrażały coś więcej niż oschłość – wyrażały wrogość, którą Pierre zauważył natychmiast. Zbliżył się do szopy w nader ożywionym usposobieniu, ale gdy zobaczył wyraz twarzy księcia Andrzeja, poczuł się skrępowany i nieswój.

– Przyjechałem... tak... wiesz, książę... interesuje mnie rzekł Pierre. Już tyle razy powtarzał dziś bezmyślnie te słowa „interesuje mnie”. – Chciałem widzieć bitwę.

– Tak, tak, a co bracia masoni mówią o wojnie? Jak jej zapobiec? – rzekł drwiąco książę Andrzej. – Co w Moskwie? Jak tam moi? Czy wreszcie przyjechali do Moskwy? zapytał poważnie.

Przyjechali. Julie Drubecka mówiła mi. Pojechałem do nich, ale nie zastałem. Wyjechali pod Moskwę.

⁹⁶ Do diabła!

XXV

Oficerowie chcieli odejść, ale książe Andrzej, jak gdyby nie chcąc pozostawać sam na sam ze swym przyjacielem, zaproponował im, żeby posiedzieli i napili się herbaty. Przyniesiono ławki i herbatę. Oficerowie nie bez zdziwienia patrzyli na otyłą postać Pierre'a i słuchali jego opowiadań o Moskwie i o rozlokowaniu naszych wojsk, które udało mu się objechać. Książe Andrzej milczał, a twarz miał tak nieprzyjemną, że Pierre zwracał się raczej do dobrodusznego dowódcy batalionu Timochina niż do Bołkońskiego.

– Tak więc zrozumiałeś dyslokację wojsk? – przerwał mu książe Andrzej.

– To znaczy co? – rzekł Pierre. – Ponieważ nie jestem wojskowym, nie mogę powiedzieć, żeby tak całkiem, ale jednak ogólnie zrozumiałem.

– Eh bien, vous etes plus avance que qui cela soit⁹⁷ – oświadczył książe Andrzej.

– A! – rzekł Pierre zdziwiony, patrząc przez okulary na księcia Andrzeja. – A co książe powiesz o nominacji

– Kutuzowa? – zapytał.

– Bardzo się ucieszył z tej nominacji, ale to wszystko, co wiem – powiedział książe Andrzej.

– A jakie jest pańskie zdanie o Barciayu de Tolly? W Moskwie opowiadano o nim Bóg wie co. Co pan o nim sądzi?

– Ich zapytaj – rzekł książe Andrzej wskazując na oficerów.

Pierre spojrział na Timochina pytająco, z uśmiechem pobłażliwości, z jakim wszyscy zwracali się do niego.

– Jakby się niebo przed nami otworzyło, jaśnie panie, kiedy nastął jego dostojność – rzekł Timochin wciąż spoglądając nieśmiało na swego pułkownika.

– Dlaczego to? – zapytał Pierre.

– Choćby wedle drew albo furazu. Od Świącian cofaliśmy się, a nie wolno było tknąć ani chrustu, ani sianka, ani niczego. A przecie kiedy my odступujemy, to jemu się wszystko dostaje, czy nie tak, proszę księcia? – zwrócił się do swego pułkownika. – A ty ani się waż. W naszym pułku dwóch oficerów poszło pod sąd za te sprawy. A kiedy nastął jego dostojność, wszystko stało się proste. Niebo się otworzyło...

– Dlaczego tamten zabraniał?

Timochin oglądał się skonfundowany, nie wiedząc, jak i co odpowiedzieć na takie pytanie. Z tym samym pytaniem Pierre zwrócił się do księcia Andrzeja.

– Aby nie rujnować kraju, któryśmy oddawali nieprzyjacielowi – odpowiedział książe Andrzej ze złośliwą drwiną. – To sprawa zasadnicza: nie wolno grabić kraju i przyzwyczajając żołnierzy do maruderstwa. W Smoleńsku także słusznie przewidywał, że Francuzi mogą nas otoczyć i że mają większe siły. Ale nie mógł zrozumieć tego – książe Andrzej krzyknął nagle cienkim głosem, jakby mu się to wyrwało – nie mógł zrozumieć, żeśmy tam po raz pierwszy bili

⁹⁷ Wobec tego wiąż więcej niż ktokolwiek inny.

się o rosyjską ziemię, że wojsko miało takiego ducha, jakiegom jeszcze nigdy nie widział, żeśmy dwa dni z rzędu odpierali Francuzów i że ten sukces udzięściokrotniał nasze siły. Kazał się cofać i wszystkie wysiłki i straty szły na marne. Nie myślał o zdradzie, starał się robić wszystko jak najlepiej, wszystko obmyślał; ale właśnie dlatego się nie nadawał. I teraz nie nadaje się właśnie dlatego, że wszystko obmyśla bardzo gruntownie i dokładnie, jak przystoi każdemu Niemcowi. Jak by ci tu powiedzieć... Twój ojciec ma, dajmy na to, lokaja Niemca, wspaniałego lokaja, który potrafi mu dogodzić lepiej niż ty, więc niech służy, ale jeśli twój ojciec zachoruje śmiertelnie, przepędzisz lokaja i sam, choć niezręcznie, będziesz go pielęgnował i bardziej mu pomożesz niż człowiek zręczny, ale obcy. Tak postąpiono z Bardayem. Póki Rosja była zdrowa, on, obcy, mógł jej służyć, był wspaniałym ministrem, ale kiedy znalazła się w niebezpieczeństwie, potrzebny jest swój człowiek, rodak. A wy tam w klubie wymyśliliście sobie, że to zdrajca! To, że okrzyczano go zdrajcą, sprawi, że potem ci, co go zrobili zdrajcą, zawstydzisz się swego kłamliwego zarzutu, zrobią z niego bohatera albo geniusza, a to będzie jeszcze bardziej niesprawiedliwe. To uczciwy i bardzo akuratywny Niemiec...

– Jednakowoż powiadają, że to bardzo sprawny dowódca – rzekł Pierre.

– Nie rozumiem, co by to mogło znaczyć: sprawny dowódca – rzekł drwiąco książę Andrzej.

– Sprawny dowódca to taki, który przewidział wszelkie możliwe wypadki... który odgadł myśli przeciwnika – rzekł Kerre.

– Przecie to niemożliwe – oświadczył książę Andrzej, jakby o rzeczy dawno już rozstrzygniętej. Pierre ze zdumieniem spojrział na niego.

– A jednak – powiedział – przecie się mówii że wojna przypomina grę w szachy.

– Tak – odrzekł książę Andrzej – tylko z tą małą różnicą, że w szachach nad każdym posunięciem możesz się zastanowić, jak długo ci się podoba, że jesteś niezależny od czasu, i jeszcze z tą różnicą, że koń jest zawsze silniejszy od pionka, że dwa pionki są zawsze silniejsze niż jeden, a na wojnie zaś czasem słabszy batalion jest silniejszy od dywizji, a czasem słabszy od kompanii. Względna siła wojsk nikomu nie może być znana. Wierzaj mi – rzekł – gdyby cokolwiek zależało od rozkazów sztabów, to ja bym tam był i wydawałbym rozkazy, lecz zamiast tego mam honor służyć tutaj, w pułku, z tymi oto panami, i uważam, że jutrzejszy dzień istotnie od nas będzie zależał, a nie od nich... Sukces nigdy nie zależał i nie będzie zależał ani od pozycji, ani od uzbrojenia, ani nawet od liczby wojsk; a już najmniej od pozycji.

– A zatem od czego?

– Od tego uczucia, które jest we mnie, w nim – wskazał na Timochina – w każdym żołnierzu.

Książę Andrzej spojrział na Timochina, który z lękiem i ze zdziwieniem patrzył na swego dowódcę. W przeciwieństwie do poprzedniego powściągliwego milczenia książę Andrzej wydawał się teraz wzburzony. Widocznie nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia myśli, które niespodzianie przychodziły mu do głowy.

Bitwę wygra ten, kto twardo postanowił ją wygrać.

Dlaczegośmy przegrali bitwę pod Austerlitz? Straty mieliśmy prawie takie same jak Francuzi, aleśmy sobie zbyt wcześnie powiedzieli, żeśmy bitwę przegrali, i przegraliśmy ją. A powiedzieliśmy to dlatego, że tam nie mieliśmy się o co bić: pragnęliśmy jak najprędzej opuścić pole bitwy. „Przegraliśmy – więc uciekajmy!” – no i uciekliśmy. Gdybyśmy do wieczora tego nie mówili. Bóg wie, co by się mogło było zdarzyć. A jutro tego nie powiemy. Mówisz: nasza pozycja, lewe skrzydło słabe, prawe skrzydło rozciągnięte – rozważał dalej – to wszystko głupstwo, to nic nie znaczy. A co nas jutro czeka? Sto milionów najróżniejszych okoliczności, które będą rozstrzygnięte tym, czy uciekli, czy też uciekną, oni albo nasi, czy zabiją tego, czy zabiją innego, to zaś, co teraz się robi, to wszystko jest zabawa. Idzie o to, że ci, z którymi objeżdżałeś pozycję, nie tylko nie pomagają w ogólnym biegu spraw, ale są w nim zawadą. Oni

są zajęci tylko swymi małymi sprawami.

– W takiej chwili? – rzekł Pierre z naganą.

– W takiej chwili – powtórzył książę Andrzej – dla nich i ta chwila jest taka, w której można podważyć rywala i zdobyć jeszcze jeden krzyżyk albo wstążeczkę. Dla mnie jutro tak się przedstawia: sto tysięcy rosyjskiego wojska i sto tysięcy francuskiego wojska spotkało się, by się bić. I faktem jest to, że te dwieście tysięcy będą się biły, a kto będzie się bił zażarciej i mniej będzie się oszczędzał, ten zwycięży. A jeśli chcesz, to ci powiem, że cokolwiek się zdarzy, jakkolwiek u góry będą mącili, my jutro bitwę wygramy!

– Prawda, szczerą prawdą, proszę księcia – powiedział Timochin – co się teraz oszczędzać! Proszę mi wierzyć, w moim batalionie żołnierze nie chcieli pić wódki. „Nie taki to dzień” – powiadają. – Wszyscy umilkli.

Oficerowie wstali. Książę Andrzej wyszedł z nimi za szopę i wydawał adiutantowi ostatnie rozkazy. Po wyjściu oficerów Pierre podszedł do księcia Andrzeja i chciał rozpocząć rozmowę, lecz na drodze niedaleko szopy rozległ się tętent kopyt trzech koni, książę Andrzej spojrział w tym kierunku i poznał Wolzogena i Ciausewita, którym towarzyszył kozak. Tak blisko przejechali nie przestając rozmawiać, że Pierre i książę Andrzej mimo woli usłyszeli następujące zdania:

Der Krieg muss in Raum verlegt werden. Der Ansicht karm ich nicht genug preisgeben⁹⁸ – mówił jeden z nich.

– O ja – rzekł drugi głos – der Zweck ist nur den Feind zu schwachen, so kann man gewiss nicht den Verlust der Priyat-Personen in Achtung nehmen.⁹⁹

– O ja – potwierdził pierwszy głos.

– Tak, *in Raum werlegen*¹⁰⁰ – gniewnie prychnął nosem powtórzył książę Andrzej, kiedy tamci przejechali.

In Raum pozostał w Łysych Górach mój ojciec, pozostał syn, pozostała siostra. Jemu jest wszystko jedno. To właśnie jest to, com ci mówił – ci panowie Niemcy jutro bitwy nie wygrają, ale napaskudzą, ile tylko się da, bo w niemieckiej głowie jest tylko filozofowanie niewarte funta kłaków, a w sercu nie ma tego, co jest jedynie potrzebne jutro – tego, co jest w Timochinie. Oni całą Europę oddali jemu i przyszli nas uczyć. Wspaniali nauczyciele! – znów rzekł cienkim, piszczącym głosem.

– Więc książę mówisz, że jutrzejsza bitwa będzie wygrana? – zapytał Pierre.

– Tak, tak – odpowiedział z roztargnieniem książę Andrzej. – Gdybym miał władzę, zrobiłbym tylko jedno znów zaczął – nie brałbym jeńców. Bo cóż to jest branie jeńców? To rycerskość. Francuzi zrujnowali mój dom, a teraz idą rujnować Moskwę, znieważyli mnie i znieważają w każdej chwili. To moi wrogowie, to wedle mego pojęcia przestępcy. I tak samo myśli Timochin, tak samo myśli cała armia. Trzeba ich karać. Jeśli to moi wrogowie, nie mogą być przyjaciółmi, choćby tam nie wiem co mówiono w Tylży.

– Tak, tak – rzekł Pierre, błyszczącymi oczami patrząc na księcia Andrzeja – całkowicie, całkowicie zgadzam się z księciem.

Ta kwestia, która od wzgórza w Możajsku przez cały dzień niepokoiła Pierre'a, obecnie przedstawiała mu się jasno i jako całkowicie rozstrzygnięta. Zrozumiał teraz sens i znaczenie tej wojny i mającej nastąpić bitwy. Wszystko, co tego dnia widział, znaczący, surowy wyraz na twarzach widziany przelotnie, wszystko to stanęło przed nim w nowym świetle. Pojął tę ukrytą

⁹⁸ Wojna musi być przeniesiona w przestrzeń. Nic mogę się dość nachwalić tego poglądu

⁹⁹ O tak... ponieważ cd polega na tym, aby osłabić wroga, przeto nic można brać pod uwagę strat osób prywatnych.

¹⁰⁰ Przeniesienie w przestrzeń.

(latente), jak się powiada w fizyce, ciepłotę patriotyzmu, jaką posiadali wszyscy ludzie, których widział, i ta ciepłota wyjaśniła mu, dlaczego ci ludzie tak spokojnie i jak gdyby lekkomyślnie przygotowują się na śmierć.

– Nie brać jeńców – ciągnął książę Andrzej. – Już to samo zmieniloby całą wojnę i uczyniło ją mniej okrutną. Bo myśmy bawili się w wojnę – to właśnie źle, okazujemy wielkoduszość itd. Jest to wielkoduszość i uczuciowość w rodzaju wielkoduszości i uczuciowości panny, która dostaje mdłości na widok zabijanego cielęcia, panna jest tak dobra, że nie może patrzeć na krew, ale z apetytem zajada to ciele przrządzone z sosem. Klaruje się nam o prawach wojny, o rycerskości, o parlamentarystwie, o litowaniu się nad nieszczęśliwymi itd. A to wszystko głupstwa. W roku 1805 widziałem rycerskość, parlamentarystm; nas okpili i myśmy okpili. Grabiają cudze domy, puszczaą w obieg fałszywe pieniądze, a co gorsza – mordują moje dzieci, mojego ojca i powiadają o prawach wojny i wielkoduszości wobec wrogów. Nie brać jeńców, ale zabijać i iść samemu na śmierć! Kto jak ja doszedł do tego przez cierpienie...

Książę Andrzej, który myślał, że mu już wszystko jedno, czy Moskwa zostanie wzięta, jak został wzięty Smoleńsk, czy też nie zostanie wzięta, przerwał z nagła swe słowa, gdyż niespodziewany skurcz chwycił go za gardło. Przeszedł się w milczeniu kilka razy, ale oczy błyszczały mu gorączkowo i warga drżała, kiedy znów zaczął mówić:

– Gdyby na wojnie nie było wielkoduszości, szlibyśmy tylko wtedy, kiedy warto iść na niechybną śmierć, tak jak teraz. Wtedy nie byłoby wojny z tego powodu, że Paweł Iwanycz obraził Michała Iwanycza. A jeśli byłaby wojna tak jak teraz – no to prawdziwa wojna. I wtedy skład wojska byłby nie taki jak teraz. Wtedy ci wszyscy Westfalczycy i Heseńcy, których prowadzi Napoleon, nie poszliby za nim do Rosji, a my nie chodzilibyśmy bić się do Austrii i Prus, sami nie wiedząc po co. Wojna to nie kurtuazja, lecz najohydniejsza rzecz w życiu, trzeba to zrozumieć i nie bawić się w wojnę. Tę okrutną konieczność należy traktować surowo i poważnie. Wszystko mieści się w tym: odrzucić kłamstwo i jeśli wojna – to wojna, a nie zabawka. A tymczasem wojna to ulubiona zabawa próżniaków i lekkoduchów... Stan wojskowy jest bardzo zaszczytny. Celem wojny jest morderstwo, narzędziami wojny – szpiegostwo, zdrada, zachęta do zdrady, ruina mieszkańców, grabienie ich albo okradanie w celu wyżywienia armii; oszustwo i kłamstwo nazywa się fortelami wojennymi; obyczaje stanu wojskowego – brak swobody, tj. dyscyplina, próżniactwo, ignorancja, okrucieństwo, rozpusta, pijaństwo. I mimo wszystko – to stan wyższy przez wszystkich szanowany. Wszyscy cesarze, z wyjątkiem chińskiego, noszą mundury wojskowe, a im kto więcej uśmiercił ludzi, tym większą dają mu nagrodę... Zejdą się, jak jutro, aby zabijać się wzajemnie, nazabijają, nakaleczą dziesiątki tysięcy ludzi, a potem będą odprawiać dziękczynne modły za to, że zabili dużo ludzi (których liczbę jeszcze powiększają), i będą głosić zwycięstwo, mniemając, że im więcej ludzi zginęło, tym większa ich zasługa. Że też Bóg patrzy stamtąd i słucha ich! – wykrzykiwał książę Andrzej cienkim, piskliwym głosem.

– Ach, mój drogi, jak cięży mi życie w ostatnich czasach. Widzę, że zacząłem rozumieć zbyt wiele! A przecie człowiekowi nie godzi się pożywać z drzewa wiadomości dobrego i złego... No, ale już niedługo – dodał. – Przecie ty śpisz, a i na mnie pora, wracaj do Górek – rzekł nagle książę Andrzej.

– Ależ nie! – odpowiedział Pierre patrząc na księcia Andrzeja oczyma wystraszonymi i współczującymi.

– Wracaj, wracaj, trzeba się wyspać przed bitwą – powtórzył książę Andrzej. Szybko podszedł do Pierre'a, objął go i pocałował. – Żegnaj, idź! – krzyknął. – Zobaczmy się albo i nie... – zawrócił spieszenie i wszedł do szopy.

– Było już ciemno, więc Pierre nie mógł dojrzeć wyrazu twarzy księcia Andrzeja: czy był to

wyraz gniewu, czy tliwości.

Stał chwilę w milczeniu, zastanawiając się, czy iść za nim, czy też wracać do domu. „Nie, to mu jest niepotrzebne! – rozstrzygnął Pierre. – I ja wiem, że to nasze ostatnie spotkanie”. Westchnął ciężko i ruszył w drogę powrotną do Górek.

Powróciwszy do szopy książe Andrzej położył się na kobiercu, ale nie mógł usnąć.

Zamknął oczy. Obrazy przesuwają się jeden za drugim. Przy jednym zatrzymał się dłużej i z radością. Przypomnił sobie żywo pewien wieczór w Petersburgu. Natasza, z twarzą ożywioną i wzruszoną, opowiadała mu, jak w zeszłym roku w lecie szukając grzybów zabłądziła w lesie. Opisywała mu bezładnie i głośno leśną, i swe uczucia, i rozmowę z pasiecznikiem, którego spotkała, i co chwila przerywając opowiadanie, mówiła: „Nie, nie mogę, nie tak opowiadam, nie, pan nie rozumie”, choć książe Andrzej uspokajał ją, utrzymywał, że rozumie; i rzeczywiście rozumiał wszystko, co chciała powiedzieć. Natasza była niezadowolona ze swych słów – czuła, że nie oddawała tego pełnego poezji uczucia, jakiego doznawała w ów dzień i jakie chciała wyrazić. „Ten staruszek był tak wspaniały... i tak ciemno w lesie... i takie dobre miał... nie, ja nie potrafię opowiedzieć” – mówiła wzruszona rumieniąc się. Książe Andrzej uśmiechnął się teraz takim samym wesołym uśmiechem, jakim uśmiechał się wtedy patrząc jej w oczy. „Rozumiałem ją – myślał książe Andrzej. – Nie tylko rozumiałem, ale i tę siłę duchową, tę szczerość, tę otwartość duchową, tę jej duszę, którą ciało jak gdyby więziło, ja tę jej duszę kochałem...” I nagle przypomniał sobie, czym się skończyła jego miłość. „Jemu mc takiego nie było potrzebne. On nic takiego nie widział i nie rozumiał. Widział w niej ładniutką i świeżutką dziewczynę, z którą nie raczył związać swego losu. A ja?... I dotychczas on żyje i jest wesół”.

Książe Andrzej zerwał się jak oparzony i znów jął chodzić przed szopą.

XXVI

25 sierpnia, w wigilię bitwy pod Borodino, do kwatery cesarza Napoleona pod Wolujewem przybyli prefekt pałacu cesarza Francuzów, m-r de Beausset, i pułkownik Fabvier – pierwszy z Paryża, drugi z Madrytu.

M-r de Beausset, przebrawszy się w mundur dworski, kazał nieść przed sobą przesyłkę, którą przywiózł cesarzowi, i wszedł do pierwszej części namiotu Napoleona, gdzie rozmawiając z adiutantami Napoleona zajął się rozpakowywaniem skrzynki.

Fabvier nie wszedł do namiotu, lecz zatrzymał się u wejścia i rozmawiał ze znajomymi generałami.

Cesarz Napoleon jeszcze nie wyszedł z sypialni i kończy toaletę. Prychając i chrząkając nadstawiał to tęgie plecy, tłustą owłosioną pierś pod szczotkę, którą kamerdyner rozcierał mu ciało. Drugi kamerdyner, przytrzymując palcem flakon, opryskiwał wodą kolońską wypiełgnowane ciało cesarza, a miał przy tym minę, która mówiła, że tylko on jeden wie, ile i gdzie należało prysnąć wody kolońskiej. Krótkie włosy Napoleona były mokre i zmierzwione na czole. Ale jego twarz, choć nabrzmiała i żółta, wyrażała fizyczne zadowolenie. „*Allez ferme, allez toujours...*”¹⁰¹ – kurcząc się i chrząkając mówił do nacierającego go kamerdynera. Adiutant, który wszedł do sypialni, aby zameldować cesarzowi, ilu we wczorajszej bitwie wzięto jeńców, powiedziawszy, co należało, stał przy drzwiach czekając na pozwolenie odejścia. Napoleon skrzywił się i spojrzał spodoba na adiutanta.

– *Point de prisonniers* – powtórzył słowa adiutanta. – *Il se font demolir. Tant pis pour l'armee russe* – powiedział. – *Allez toujours, allez ferme*¹⁰² – dodał garbiąc się i nadstawiając tłuste ramiona.

– *C'est bien! Faites entrer mr de Beausset, ainsi que Fabvier*¹⁰³ – rzekł do adiutanta i skinął głową.

Ouw, Sire¹⁰⁸ – i adiutant zniknął w drzwiach namiotu.

Dwaj kamerdynerzy szybko ubrali jego cesarską mość.

Napoleon, w niebieskim mundurze gwardyjskim, pewnym, szybkim krokiem wszedł do poczekalni.

Beausset bardzo się śpieszył: na dwóch krzesłach na wprost drzwi cesarza ustawiał podarunek przywieziony od cesarzowej. Ale cesarz tak niespodziewanie prędko się ubrał i wyszedł, że Beausset nie zdążył całkowicie przygotować niespodzianki.

Napoleon od razu zauważył, co oni robią, i domyślił się, że to jeszcze nie gotowe. Nie chciał pozbawiać ich przyjem zrobienia mu niespodzianki. Udał, że nie widzi pana Beausset, i przywołał do siebie Fabviera. Napoleon, surowo nachmurzony, słuchał w milczeniu, co Fabvier

¹⁰¹ Mocniej, jeszcze...

¹⁰² Nie ma jeńców. Zmuszają do tego, by ich tępić. Tym gorzej dla rosyjskiej armii... Jeszcze mocniej.

¹⁰³ Rozkaz, najjaśniejszy panie.

mówił o bohaterstwie i oddaniu wojsk bijących się pod Salamanką, na drugim końcu Europy, które myślą tylko o tym, by się okazać godnymi swego cesarza, i lękają się tylko tego, że mogą mu nie dogodzić. Rezultat bitwy był oplakany. Podczas opowiadania Fabviera Napoleon robił ironiczne uwagi, jak gdyby nawet nie przypuszczał, by sprawa mogła wziąć inny obrót podczas jego nieobecności.

– Muszę poprawić to w Moskwie – rzekł Napoleon.

– *A tantot*¹⁰⁴ – dodał i przywołał de Beausseta, który tymczasem już zdążył przygotować niespodziankę: ustawił coś na krzesłach i nakrył pokrowcem.

De Beausset skłonił się nisko, dworskim francuskim ukłonem, jak umieli się kłaniać tylko starzy słudzy Burbonów, i zbliżył się podając kopertę.

Napoleon wesoło zwrócił się do niego i targnął go za ucho.

– Pośpieszyłeś się pan, bardzo się cieszę. Cóż mówi Paryż? – zapytał i surowość jego twarzy ustąpiła znienacka miejsca wielkiej dobrotliwości.

– *Sire, tout Paris regrette votre absence*¹⁰⁵ – odpowiedział de Beausset tak, jak było trzeba. A chociaż Napoleon wiedział, że de Beausset musiał powiedzieć to czy coś podobnego, chociaż w chwilach przejaśnienia wiedział, że to nieprawda, jednak przyjemnie mu było to usłyszeć. Znów go zaszczycił dotknięciem jego ucha.

– Je suis fâché de vous avoir fait faire tant de chemin¹⁰⁶ – powiedział.

– Sire! Je ne m'attendais pas à moins qu'à vous trouver aux portes de Moscou¹⁰⁷ – oświadczył de Beausset.

Napoleon uśmiechnął się i w roztargnieniu podniósłszy głowę spojrzał na prawo. Adiutant zbliżył się posuwistym krokiem i podał Napoleonowi złotą tabakierkę. Napoleon wziął ją.

– Tak, pomyślnie złożyło się dla pana – rzekł podnosząc do nosa otwartą tabakierkę – lubisz pan podróżować, za trzy dni zobaczysz Moskwę. Na pewno się nie spodziewałeś zobaczyć azjatyckiej stolicy. Odbędziesz przyjemną podróż.

Beausset skłonił się z wdzięcznością za zwrócenie uwagi na tę jego skłonność do podróżowania (o której dotychczas nie wiedział).

– Ach! a to co? – rzekł Napoleon zauważywszy, że wszyscy obecni patrzą na coś zasłoniętego pokrowcem. Ze zręcznością dworaka, nie odwracając się Beausset półobrotem cofnął się o dwa kroki i zdejmując pokrowiec rzekł jednocześnie:

– Podarunek dla waszej cesarskiej mości od cesarzowej.

Był to jaskrawymi barwami namalowany przez Gerarda portret chłopca zrodzonego z Napoleona i córki cesarza austriackiego, którego to chłopca nazywano nie wiadomo czemu królem Rzymu¹⁰⁸.

Bardzo ładny, kędzierzawy chłopczyk, o spojrzeniu przypominającym spojrzenie Chrystusa z obrazu Madonny Sykstyńskiej, był przedstawiony przy grze w bilbokieta. Kulka przedstawiała kulę ziemską, a pałeczka w drugiej ręce wyobrażała berło.

Choć niezupełnie było jasne, co właściwie artysta chciał wyrazić przedstawiając tak zwanego króla Rzymu przebijającego patyczkiem kulę ziemską, jednak ta alegoria wydała się widocznie zrozumiała zarówno dla tych, którzy widzieli obraz w Paryżu, jak i dla Napoleona, i bardzo się podobała.

¹⁰⁴ Do widzenia.

¹⁰⁵ Wasza cesarska mość, cały Paryż smuci się z powodu nieobecności najjaśniejszego pana.

¹⁰⁶ Przykro mi, że pana naraził na tak daleką drogę.

¹⁰⁷ Wasza cesarska mość, byłem pewien, że zastanę Waszą cesarską mość u wrót Moskwy.

¹⁰⁸ Napoleon II, proklamowany z chwilą swego urodzenia królem Rzymu (1811–1832).

– Roi de Rome – rzekł Napoleon i pełnym wdzięku gestem wskazał portret. – Admirable!¹⁰⁹ – Z właściwą Włochom zdolnością zmieniania wedle woli wyrazu twarzy zbliżył się do portretu w tkliwym zamyśleniu. Czuł, że to, co teraz uczyni i powie – to jest historia. I wydało mu się, że najlepsza rzecz, jaką może teraz zrobić, to, by on – tak wielki, że wskutek tej wielkości jego syn gra w bilbokieta kulą ziemską – w przeciwieństwie do tej wielkości okazał najzwyczajszą ojcowską tkliwość. Oczy mu się zamglily, podszedł bliżej, obejrzał się za krzesłem (krzesło podskoczyło pod niego) i usiadł naprzeciwko portretu. Jeden jego gest – i wszyscy wyszli na palcach pozostawiając wielkiego człowieka sam na sam z jego uczuciem.

Przez pewien czas siedział tak, potem, sam nie wiedząc dlaczego, dotknął chropowatej faktury portretu, wstał i znów wezwał Beausseta i dyżurnego. Kazał wynieść portret przed namiot, by starej gwardii, stojącej koło jego namiotu, nie pozbawić szczęścia ujżenia króla rzymskiego, syna i następcy ich uwielbianego monarchy.

Kiedy jadł śniadanie razem z panem Beausset, któremu okazał ten zaszczyt, przed namiotem – jak się był spodziewał – rozległy się entuzjastyczne okrzyki oficerów i żołnierzy starej gwardii, którzy się zbiegli do portretu.

– Vive l'Empereur! Vive le roi de Rome! Vive l'Empe-reurf!¹¹⁰ – rozległy się rozentuzjasmowane głosy.

Po śniadaniu Napoleon w obecności Beausseta podyktował swój rozkaz do armii.

– Courte et energique!¹¹¹ – rzekł Napoleon, kiedy przeczytał proklamację napisaną od razu bez poprawek. Rozkaz głosił:

„Żołnierze! Oto bitwa, na którą tak czekaliście. Zwycięstwo zależy od was. Jest ono dla nas konieczne; da nam wszystko, co trzeba: wygodne kwatery i rychły powrót do ojczyzny. Postępujcie tak, jakście postępowali pod Austerlitz, Friedlandem, Witebskiem i Smoleńskiem. Niech potomność z dumą wspomina o waszych czynach w tym dniu. Niech powie o każdym z was: był w wielkiej bitwie pod Moskwą!”

– *De la Moskova!* – powtórzył Napoleon i zaprosiwszy na spacer pana Beausset, lubiącego podróżować, wyszedł z namiotu do osiodłanych koni.

– *Votre Majeste a trop de bonte!*¹¹² – odpowiedział Beausset na zaproszenie cesarza, by mu towarzyszył: chciał mu się spać, poza tym nie umiał i bał się jeździć konno.

Ale Napoleon skinął głową i podróżnik musiał jechać. Gdy Napoleon wyszedł z namiotu, okrzyki gwardzistów przed portretem jego syna jeszcze się spotęgowały. Napoleon zasepił się.

– Zabierzcie go – rzekł i ruchem pełnym wdzięku i majestatycznym wskazał na portret. – Jeszcze za wcześnie, by patrzeć na pole bitwy.

Beausset zamknął oczy, pochylił głowę i głęboko westchnął, dowodząc w ten sposób, że potrafi ocenić i zrozumieć słowa cesarza.

¹⁰⁹ Król Rzymu... Cudownie!

¹¹⁰ Niech żyje cesarzu Niech żyje król Rzymu! Niech żyje cesarzu

¹¹¹ Krótko i energicznie!

¹¹² Jego cesarska mość jest zbyt dobry.

XXVII

Jak powiadają historycy Napoleona, cały ten dzień 25 sierpnia spędził on na koniu: badał okolicę, rozważał plany przedstawiane mu przez marszałków i osobiście wydawał rozkazy generałom.

Pierwotna linia rozlokowania wojsk rosyjskich wzdłuż Kołoczy została złamana, część zaś tej linii, a mianowicie lewe skrzydło, na skutek zdobycia reduty szewardińskiej 24 sierpnia, zostało cofnięte. Ten odcinek linii nie był umocniony, już rzeka go nie osłaniała, przed nim było odkryte równe pole. Było rzeczą oczywistą dla każdego wojskowego i niewojskowego, że właśnie ten odcinek Francuzi muszą atakować. Zdawać by się mogło, iż to nie wymagało wielu namysłów ani takiej troski i krzątania Napoleona i jego marszałków, że całkiem nie była potrzebna ta osobliwa wyższa zdolność zwana genialnością, jaką tak się lubi przypisywać Napoleonowi, wszelako historycy później opisujący to zdarzenie oraz ludzie, którzy podówczas otaczali Napoleona, i on sam myśleli inaczej.

Napoleon jeździł po polu, przenikliwie przyglądał się okolicy, sam sobie kiwał głową aprobująco albo z niedowierzaniem i nie zwierzając się otaczającym go generałom z toku swych głębokich rozważań, które kierowały jego decyzjami, komunikował im tylko końcowe wnioski w formie rozkazów. Wysłuchawszy propozycji Davouta, zwanego księciem d'Eckmuhl, żeby obejść lewe skrzydło Rosjan, Napoleon powiedział, że tego nie można zrobić, ale nie wytłumaczył, dlaczego nie można było tego zrobić. Na propozycję generała Compansa (który miał atakować flesze), że poprowadzi swoją dywizję przez las, Napoleon wyraził zgodę, mimo że tak zwany książę d'Elchingen, tj. Ney, pozwolił sobie na uwagę, że ruch przez las jest niebezpieczny i może dezorganizować dywizję.

Obejrawszy okolicę naprzeciwko reduty szewardińskiej, Napoleon pomedytował w milczeniu i wskazał miejsca, w których do jutra powinny być wystawione dwie baterie przeciwko rosyjskim umocnieniom, i miejsca, gdzie obok nich powinna być umocniona artyleria polowa.

Po wydaniu tych i innych rozkazów wrócił do swej kwatery i podyktował dyspozycję bitwy.

Ta dyspozycja, o której historycy francuscy mówią z zachwytem, a inni z głębokim szacunkiem, była następująca:

„O świcie dwie nowe baterie, ustawione w nocy na równinie zajętej przez księcia d'Eckmuhl, otworzą ogień na dwie stojące naprzeciwko baterie nieprzyjacielskie. Jednocześnie dowódca artylerii I korpusu generał Perneti, z trzydziestoma działami dywizji Compansa i wszystkimi haubicami dywizji Dessaixa i Frianta, wysunie się naprzód, rozpocznie ogień i zasypie granatami baterię nieprzyjacielską, przeciw której będą działać:

24 działa artylerii gwardii, 30 dział dywizji Compansa i 8 dział dywizji Frianta i Dessabca. Razem 62 działa.

Dowódca artylerii II korpusu, generał Fouche, ustawi wszystkie haubice III i VIII korpusu,

razem 16, na skrzydłach baterii, która jest przeznaczona do ostrzeliwania lewego umocnienia, co w sumie wyniesie 40 dział.

Generał Sorbier powinien być gotów, aby na pierwszy rozkaz przenieść się ze wszystkimi haubicami artylerii gwardii przeciw temu czy innemu umocnieniu.

Podczas kanonady księżę Poniatowski¹¹³ skieruje się na wieś, w las i obejdzie nieprzyjacielską pozycję.

Generał Compans ruszy przez las, aby zawładnąć pierwszym umocnieniem.

Po rozpoczęciu w ten sposób bitwy zostaną wydane rozkazy odpowiednio do działań nieprzyjaciela.

Ogień na lewym skrzydle rozpocznie się, jak tylko odezwie się artyleria na prawym skrzydle. Strzelcy dywizji Moranda i dywizji wicekróla¹¹⁴ rozpoczną silny ogień, jak tylko Zobaczą, że na prawym skrzydle rozpoczął się atak.

Wicekról zajmie wieś¹¹⁵ i przeprawi się przez swoje trzy mosty posuwając się na tej samej wysokości co dywizje Moranda i Gerarda, które pod jego dowództwem skierują się na redutę i wyjdą na linię wraz z innymi wojskami armii.

Wszystko powinno być wykonane w porządku (Je tout se fera avec ordre et methode) z zachowaniem w miarę możliwości wojsk w rezerwie.

W obozie cesarskim w pobliżu Możajska, 6 września 1812 roku”.

Ta dyspozycja, napisana nader niejasno i w sposób zagmatwany – jeśli już pozwolimy sobie na traktowanie genialności Napoleona i jego rozporządzeń bez nabożnego strachu – zawierała w sobie cztery punkty, cztery zarządzenia. Żadne z tych zarządzeń nie mogło być i nie zostało wykonane.

W dyspozycji powiedziano, po pierwsze, żeby baterie ustawione na miejscu wybranym przez Napoleona wraz z mającymi wyrównać się z nimi działami Pernettiego i Fouchego, w sumie 102 działa, rozpoczęły ogień i zasypały pociskami rosyjskie flesze i reduty. To nie mogło być wykonane, z miejsc bowiem wyznaczonych przez Napoleona pociski nie doleciałyby do rosyjskich umocnień i te 102 działa trafiałyby w pustkę dopóty, dopóki najbliższy dowódca wbrew rozkazowi Napoleona nie wysunąłby ich naprzód.

Drugie zarządzenie polegało na tym, żeby Poniatowski kierując się na wieś przez las obszedł lewe skrzydło Rosjan. To nie mogło być i nie zostało wykonane dlatego, że Poniatowski kierując się na wieś przez las spotkał tam zagradzającego mu drogę Tuczkowa, nie mógł więc obejść i nie obszedł rosyjskiej pozycji.

Trzecie zarządzenie: generał Compans ruszy przez las, aby opanować pierwsze umocnienie. Dywizja Compansa nie zdobyła pierwszego umocnienia, lecz została odparta, wyszedłszy bowiem z lasu musiała się formować pod ogniem kartaczożnic, o czym Napoleon nie wiedział.

Czwarte: wicekról opanuje wieś (Borodino) i przeprawi się przez trzy mosty posuwając się na tej samej wysokości co i dywizje Moranda i Frianta (o których nie powiedziano, dokąd i kiedy będą się posuwać), które pod Jego dowództwem skierują się na redutę i wyjdą na linię wraz z pozostałymi wojskami. Ile można zrozumieć – jeśli nie z tego bezsensownego zdania, to z tych prób, jakie czynił wicekról, aby wykonać dane sobie polecenia – powinien on być ruszyć przez Borodino z lewej strony na redutę, dywizje zaś Moranda i Frianta powinny były ruszyć

¹¹³ Mowa o księciu Józefie, który w kampanii 1812 r. dowodził polskim korpusem.

¹¹⁴ Mowa o Eugeniuszu de Beauharnais, synu Józefiny, pasierbie Napoleona, który nosił tytuł wicekróla Włoch.

¹¹⁵ Borodino.

jednocześnie z frontu.

To wszystko, podobnie jak i inne punkty dyspozycji, nie było i nie mogło być wykonane. Wicekról, przeszedłszy przez Borodino, został odparty nad Kołoczą i nie mógł iść dalej; zaś dywizje Moranda i Frianta nie zdobyły reduty, lecz zostały odparte, a reduta już w końcu bitwy została opanowana przez kawalerię (prawdopodobnie rzecz dla Napoleona nieprzewidziana i niesłychana). A zatem żaden z punktów dyspozycji nie był i nie mógł być wykonany. Ale w dyspozycji było przewidziane, że po rozpoczęciu w ten sposób bitwy zostaną wydane rozkazy odpowiednio do działań nieprzyjaciela, toteż mogłoby się zdawać, że podczas bitwy Napoleon wyda wszelkie niezbędne zarządzenia; tego jednak nie było i nie mogło być, gdyż przez cały czas bitwy Napoleon znajdował się tak daleko, że (jak się okazało następnie) nie mógł znać przebiegu bitwy i ani jedno z jego zarządzeń podczas bitwy nie mogło być wykonane.

XXVIII

Wielu historyków utrzymuje, że Francuzi nie wygrali bitwy pod Borodinem, ponieważ Napoleon miał katar, że gdyby nie miał kataru, jego zarządzenia przed bitwą i podczas bitwy byłyby jeszcze genialniejsze i Rosja zginęłaby, *et la face du monde ete changee*¹¹⁶. Dla historyków uznających, że Rosja powstała z woli jednego człowieka – Piotra Wielkiego, że Francja z republiki przekształciła się w cesarstwo, a francuskie wojska wkroczyły do Rosji z woli jednego człowieka – Napoleona, taki pogląd, że Rosja pozostała potężna dlatego, że 26 sierpnia Napoleon miał duży katar, taki pogląd dla takich historyków jest siłą rzeczy logiczny.

Jeśli od woli Napoleona zależało wydanie albo niewydanie bitwy pod Borodinem i od jego woli zależało takie czy inne rozporządzenie, wówczas jest rzeczą oczywistą, że katar mający wpływ na przejawianie się jego woli mógł być przyczyną ocalenia Rosji, kamerdyner zaś Napoleona, który 24 sierpnia zapomniał podać Napoleonowi nieprzemakalne buty, był zbawcą Rosji. Przy takim sposobie myślenia taki wniosek jest niewątpliwy – równie niewątpliwy jest wniosek, do którego dochodził kpiąc (sam nie wiedząc z czego) Voltaire, że noc świętego Bartłomieja została spowodowana tym, iż Karol IX miał rozstrój żołądka. Ale ludziom, którzy nie podzielają zdania, jakoby Rosja uformowała się z woli jednego człowieka – Piotra I, jakoby cesarstwo francuskie powstało i wojna z Rosją zaczęła się z woli jednego człowieka – Napoleona, sąd taki wydaje się niepewny, nierozumny i przeciwny całej naturze ludzkiej. Na pytanie, co stanowi przyczynę zdarzeń historycznych, nasuwa się inna odpowiedź, polegająca na tym, że tok wypadków dziejowych, określony z góry, zależy od zbiegu woli wszystkich ludzi uczestniczących w tych zdarzeniach i że wpływ Napoleona na bieg tych wypadków jest tylko zewnętrzny i fikcyjny.

Chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się rzeczą nader dziwną, że noc św. Bartłomieja, którą nakazał Karol IX, nie odbyła się z jego woli, że jemu się tylko wydawało, że on kazał to zrobić, i że bitwa pod Borodinem, w której poległo osiemdziesiąt tysięcy ludzi, nie odbyła się z woli Napoleona (mimo że to on wydawał rozkazy co do jej rozpoczęcia i przebiegu), lecz że mu się tylko zdawało, że to on kazał – chociaż to przypuszczenie wydaje się nader dziwne, jednak ludzka godność, która mi powiada, że każdy z nas – jeśli nie bardziej niż wielki Napoleon, ale i nie mniej – jest człowiekiem, tak właśnie każe rozstrzygnąć tę kwestię, badania zaś historyczne obficie potwierdzają to przypuszczenie.

W bitwie pod Borodinem Napoleon do nikogo nie strzelał i nikogo nie zabił. To wszystko czynili żołnierze. A zatem nie on zabijał ludzi.

Żołnierze armii francuskiej szli zabijać żołnierzy rosyjskich w bitwie pod Borodinem nie wskutek rozkazu Napoleona, lecz z własnego pragnienia. Cała armia: Francuzi, Włosi, Niemcy, Polacy – głodni, oberwani i zmęczeni pochodem, na widok armii, która im zagrażała drogę do Moskwy, czuli, że *le vin est tire et qu'il faut le boire*¹¹⁷. Gdyby teraz Napoleon zabronił im

¹¹⁶ I oblicze świata zostałyby zmienione.

¹¹⁷ Nawarżono piwa i trzeba je wypić.

walczyć z Rosjanami, to by go zabili i poszli walczyć z Rosjanami, dlatego że było to dla nich konieczne.

Kiedy słuchali rozkazu Napoleona obiecującego im na pociechę za ich kalectwo i śmierć słowa potomności o tym, że i oni byli w bitwie pod Moskwą, krzyčili: „*Vive l'Empereur!*”¹¹⁸, tak samo jak krzyčili: „*Vive l'Empereur!*” na widok wizerunku chłopca przetykającego przez kulę ziemską pałeczkę od biłbokieta, tak samo by krzyčili: „*Vive l'Empereur!*”, przy każdej niedorzeczności, którą by im powiedziano. Nie pozostawało im nic więcej do zrobienia, tylko krzyczeć: „*Vive l'Empereur!*” – i iść bić się, aby jako zwycięzcy znaleźć w Moskwie jadło i odpoczynek. A zatem nie wskutek rozkazu Napoleona zabijali podobnych do siebie.

I nie Napoleon kierował przebiegiem bitwy, żaden bowiem punkt jego dyspozycji nie został wykonany, a podczas bitwy Napoleon nie wiedział o tym, co się działo przed nim. A zatem również i to, w jaki sposób ci ludzie mordowali się wzajemnie, nie odbywało się wedle woli Napoleona, lecz niezależnie od niego, wedle woli setek tysięcy ludzi uczestniczących w walce. Napoleonowi tylko się wydawało, że wszystko dzieje się wedle jego woli. I dlatego kwestia, czy Napoleon miał katar, czy nie miał kataru, nie ma dla historii większego znaczenia niż kwestia kataru ostatniego obozowego ciury.

Tym bardziej 26 sierpnia katar Napoleona nie miał znaczenia, że twierdzenie pisarzy, jakoby na skutek tego, że Napoleon miał katar, jego dyspozycja i rozkazy podczas bitwy były nie tak dobre jak poprzednie, jest całkowicie niesłuszne.

Przytoczona tu dyspozycja bynajmniej nie była gorsza niż poprzednie dyspozycje, wedle których bitwy były wygrywane; była nawet lepsza. Domniemane rozkazy podczas bitwy były również nie gorsze niż poprzednie, lecz akurat takie same jak zawsze. Ale zarówno dyspozycja, jak i rozkazy wydają się gorsze niż poprzednie tylko dlatego, że bitwa pod Borodinem była pierwszą bitwą, której Napoleon nie wygrał. Wszystkie jak najlepsze i jak najgruntowniejsze dyspozycje i rozkazy wydają się nader niedorzeczne i każdy specjalista od spraw wojskowych krytykuje je z wiele mówiącą miną, jeśli bitwa prowadzona według nich nie została wygrana, natomiast jak najgorsze dyspozycje i rozkazy wydają się bardzo dobre, a poważni ludzie piszą całe tomy, by udowodnić zalety kiepskich dyspozycji, jeśli bitwa prowadzona według nich została wygrana.

Dyspozycja opracowana pod Austerlitz przez Weihrothera była wzorem doskonałości tego rodzaju, ale uznano ją za złą za jej doskonałość, za zbyt dużą drobiazgowość.

W bitwie pod Borodinem Napoleon pełnił swe zadanie przedstawiciela władzy tak samo dobrze, a nawet lepiej niż podczas poprzednich bitew. Nie uczynił nic, co by mogło zaszkodzić przebiegowi bitwy; przychylił się do zdania rozsądniej szego; nie gmatwał sprawy, nie przeczył sam sobie, nie przestraszył się i nie uciekł z pola bitwy, lecz z dużym taktem i doświadczeniem w rzeczach wojny spokojnie i z godnością wypełniał swoją rolę rzekomego dowodzenia.

¹¹⁸ Niech żyje cesarz!

XXIX

Powróciwszy z drugiego troskliwego objazdu pozycji Napoleon rzekł:

– Szachy są ustawione, jutro zacznie się gra. Kazał podać sobie ponczu, przywołał Beausseta i jął z nim rozmawiać o Paryżu, o pewnych zmianach, jakie zamierzał wprowadzić w *maison de l'imperatrice*¹¹⁹; zadziwił prefekta tym, że pamiętał najdrobniejsze szczegóły dworskich stosunków.

Interesował się drobnostkami, żartował z zamięłowania Beausseta do podróży i paplał niedbale, podobnie jak to czyni świetny i znający się na rzeczy operator, kiedy zawija rękawy i wdziewa fartuch, a tymczasem chorego przywiązują do stołu. „Sprawa jest w moich rękach, a w głowie już wszystko mam dokładnie ułożone. Kiedy trzeba będzie przystąpić do dzieła, zrobię to jak nikt inny, a teraz mog(żartować, a im bardziej żartuję i im jestem spokojniejszy tym bardziej powinniście być pewni mego geniuszu, spokojni i pełni podziwu”.

Dopiwszy drugą szklankę ponczu Napoleon udał się ni spoczynek przed poważnym zadaniem, które, jak mu się zdawało, czeka go nazajutrz.

Tak się interesował bitwą, która go czeka, że nie mógł spać, nie zważając na potęgający się od wieczornej wilgoci katar, o trzeciej w nocy, głośno wycierając nos, wyszedł do obszerniejszej części namiotu. Zapytał, czy Rosjanie nit uciekli. Odpowiedziano mu, że ognie nieprzyjaciela są ciągle na tych samych miejscach. Skinął głową aprobująco.

Do namiotu wszedł dyżurny adiutant.

– Eh hien, Rapp, croyez-vous que nous ferons de bonnes affaires aujourd'hui?¹²⁰ – zwrócił się do niego.

– *Sans aucun doute, Sire*¹²¹ – odpowiedział Rapp. Napoleon patrzył na niego.

– Vous rappelez-vous, Sire, ce que vous m'avez fait l'honneur de dire a Smoleńsk – rzekł Rapp – le vin est tire, U f aut le boire¹²².

Napoleon sposepniał i długo siedział w milczeniu wsparłszy głowę na ręce.

– Cette pauvre arme – rzekł nagle – elle a bien diminue depuis Smoleńsk. La fortune est une franche courtisane, Rapp; je le disais toujours et je commence a l'eprouver. Mais la garde, Rapp, la garde est intacte?¹²³ – rzekł pytająco.

– *Oui, Sire*¹²⁴ – odpowiedział Rapp.

Napoleon wziął pastylkę, włożył do ust i spojrzął na zegarek. Spać mu się chciało, do rana było jeszcze daleko, już nie można było dawać żadnych rozkazów dla zabicia czasu, bo

¹¹⁹ Na dworze cesarzowej.

¹²⁰ Jak pan sądzi, Rapp, dobrze nam dziś pójdzie?

¹²¹ Bez wątplenia, najjaśniejszy panie.

¹²² Najjaśniejszy pan przypomina sobie słowa, które raczył powiedzieć do mnie w Smoleńsku; piwo jest nawarzone, trzeba je wypić.

¹²³ Biedna armia! Bardzo zmalała od Smoleńska. Fortuna to prawdziwa nierządnicza. Zawszeni to mówił i zaczynam tego doświadczać. Ale gwardia, Rappi jest nietknięta?

¹²⁴ Tak jest, najjaśniejszy panie.

wszystkie były wydane i teraz je wypełniano.

– A-t-on distribue les biscuits et le riz aux regiments de la garde?¹²⁵ – zapytał Napoleon surowo.

– Oui, Sire.

– Mais le riz?¹²⁶

Rapp odpowiedział, że przekazał rozkaz cesarza co do ryżu, lecz Napoleon z niezadowoleniem pokiwał głową, jak gdyby nie wierzył, żeby ten rozkaz został wykonany. Wszedł sługa z ponczem. Napoleon kazał podać drugą szklanę Rap-powi i w milczeniu popijał ze swojej łyk za łykiem.

– Nie mam ani smaku, ani węchu – rzekł wachając napój. – Sprzykrzył mi się ten katar. Rozwodzą się o medycynie, a cóż to za medycyna, jeśli nie mogą wyleczyć kataru? Corvisart dał mi te pastylki, ale one wcale nie pomagają. Co oni mogą leczyć? Leczyć nie można. *Notre corps est une machine a vivre. Il est organise pour cela, c'est de nature; laissez la vie a son aise, qu'elle s'y defende elle-meme: elle fera plus que si vous la paralysez en l'encombrant de remedes. Notre corps est comme une montre parfaite qui doit aller un certain temps; l'horloger n'a pas la faculte de l'ouvrir, U ne peut la manier qu'd ttons et les yeux bandes. Notre corps est wie machine a vivre, voila tout.* – I jak gdyby wkroczywszy na drogę określić, definicje, które Napoleon lubił, zniecała utworzył nowe określenie. – Rapp, czy pan wie, co to Jest sztuka wojenna? – zapytał. – Jest to sztuka być silniejszym w danym momencie niż nieprzyjaciel. *Voila tout.*¹²⁷

Rapp nic nie odpowiedział.

– *Demain nous aliens avoir affaire a Koutousoff*¹²⁸ – rzekł Napoleon. – Zobaczmy! Pamiętasz, w Branau dowodził armią i w ciągu trzech tygodni ani razu nie dosiadł konia, aby obejrzeć umocnienia. Zobaczmy!

Spojrzał na zegarek. Była dopiero czwarta. Spać mu się nie chciało, poncz był wypity i nie było nic do roboty. Wstał, przeszedł się tam i z powrotem, wdział ciepły surdut i kapelusz i wyszedł z namiotu. Noc była ciemna i wilgotna, z góry padała ledwo dosłyszalna wilgoć. W pobliżu płonęły niezbyt jasno ogniska gwardii francuskiej, a w dali poprzez dym błyszczwały ogniska za linią rosyjską. Wszędzie było cicho, wyraźnie rozlegał się szmer i tupot wojsk francuskich, które już zaczęły się posuwać, by zająć pozycje.

Napoleon przeszedł się przed namiotem, popatrzył na ogniska, przysłuchiwał się tupotowi; gdy przechodził obok wysokiego gwardzisty w kosmatej czapce, który stał na warcie przed namiotem i przy zjawieniu się cesarza wyprężył się niby czarny słupek, zatrzymał się przed nim.

– Od którego roku w służbie? – zapytał z tą zwykłą wojskowym szorstko-uprzejmą afekcją, z jaką zawsze zwracał się do żołnierzy. Żołnierz odpowiedział mu.

– *Ah! un des vieux*¹²⁹. Czy wasz pułk dostał ryż?

– Dostał, wasza cesarska mość.

– Napoleon skinął głową i odszedł. Wpół do szóstej Napoleon jechał konno do wsi Szewardino.

¹²⁵ Czy pułkom gwardii wydano suchary i ryż

¹²⁶ Ale ryż?

¹²⁷ Nasze ciało jest maszyną do życia. Jest w tym celu przez naturę urządzone. Pozostawać w nim życie w spokoju, niech się samo broni, wtedy samo uczyni więcej, niż gdy powstrzymacie jego działalność szpikując je lekarstwami. Nasze ciało jest niczym doskonały zegar, który ma chodzić przez pewien czas; zegarmistrz nie może go otworzyć, kieruje nim tylko po omacku, z zawiązanymi oczami. Nasze ciało jest maszyną do życia... Oto wszystko.

¹²⁸ Jutro będziemy mieli sprawę z Kutuzowem.

¹²⁹ Ach! weteran.

Zaczynało świtać, wypogodziło się, tylko jedna chmura wisiała na wschodzie. W słabym świetle poranka dogasały porzucone ogniska.

Z prawej strony rozległ się ciężki samotny strzał armatni przeleciał i zamarł wśród ogólnej ciszy. Minęło kilka chwil. Rozległ się drugi strzał, trzeci, powietrze zakołysało się; gdzieś z prawej strony, blisko i uroczyście rozległ się strzał czwarty i piąty.

Echo pierwszych strzałów jeszcze nie przebrzmiało, kiedy znów rozległy się nowe strzały, jeszcze i jeszcze, zlewały się i przebijały wzajemnie.

Napoleon podjechał w towarzystwie świty do reduty szewardińskiej i zsiadł z konia. Gra się zaczęła.

XXX

Po powrocie od księcia Andrzeja do Górek Pierre kazał masztalerzowi, żeby przygotował konie i wczesnym rankiem obudził go, po czym usnął za przepierzeniem w kąciku, który mu odstąpił Borys.

Kiedy nazajutrz rano Pierre całkiem się ocknął, w izbie już nikogo nie było. Szyby w małych okienkach brzęczały. Masztalerz stał i tarmosił go.

Jaśnie panie, jaśnie panie, jaśnie panie... – powtarzał z uporem nie patrząc na Pierre'a; widocznie już stracił nadzieję, że go obudzi, ale mówił i potrząsał go za ramię.

– Co? Zaczęło się? Czas już? – odezwał się Pierre po przebudzeniu.

– Jaśnie pan raczy przysłuchać się strzelaninie – rzekł masztalerz, dymisjonowany żołnierz. – Już wszyscy panowie wyszli, nawet jego dostojność raczył dawno odjechać.

Pierre ubrał się spieszenie i wybiegł na ganek. Na dworze było jasno, chłodno, rosiście i wesoło. Słońce, które dopiero co wyrwało się spoza zasłaniającej je chmury, promieniami przełamanymi chmurą na pół bryznęło ponad dachami przeciwległej ulicy na pokryty rosą kurz drogi, na ściany domów, na okna, płoty i na konie Pierre'a stojące przed chałupą. Na dworze wyraźniej było słychać huk armat. Ulicą przekłusował adiutant z Kozakiem.

– Czas już, hrabio, czas! – krzyknął adiutant.

Pierre kazał prowadzić za sobą konia, a sam poszedł ulicą w stronę wzgórza, z którego wczoraj oglądał pole bitwy. Na wzniesieniu znajdował się tłum wojskowych, słychać było rozmawiających po francusku sztabowców, widać było siwą głowę Kutuzowa w białej czapce z czerwonym otokiem, jego siwy kark tonący w ramionach. Kutuzow patrzył przez lunetę na szosę przed sobą.

Pierre wszedł na kurhan po stopniach, a kiedy spojrzał przed siebie, zamarł z zachwytu nad pięknym widoku. Była to ta sama panorama, którą wczoraj podziwiał z tego kurhanu; ale teraz cała okolica była pokryta wojskiem i dymami wystrzałów, a w czystym porannym powietrzu skośne promienie słońca, wschodzącego za Pierre'em z lewej strony, rzucały na nią przenikliwe światło z odcieniem złotym i różowym i ciemne, długie cienie. Dalekie lasy zamykające panoramę, niby wyrzeźbione w jakimś drogocennym żółtozielonym kamieniu, rysowały się na widnokręgu wygiętą linią wierzchołków, a za Wałuj ewem wciskał się między nie wielki trakt smoleński, cały pokryty wojskami. Bliżej błyszczwały złociste pola i zagajniki. Z prawej i z lewej strony – wszędzie widniały wojska. Wszystko to było ożywione, majestatyczne i niezwykle; jednak najbardziej zaskoczył Pierre'a widok samego pola bitwy – Borodina, i parowów nad Kołoczą po obu jej stronach.

W Borodinie i po obu stronach Kołoczy, osobliwie zaś z lewej strony, tam gdzie wśród błotnistych brzegów Wojna wpada do Kołoczy, wisiała mgła, która, gdy słońce wschodzi, taje, rozplywa się i czarodziejsko zabarwia kontury wszystkiego, co przez nią widać. Do tej mgły przyłączył się dym wystrzałów, a wśród mgły i dymu wszędzie migotały błyskawice porannego światła: to na wodzie, to na rosie, to na bagnietach żołnierzy tłoczących się nad brzegami rzeki i

w Borodynie. Poprzez mgłę widać było Białą Cerkiew, gdzieniegdzie dachy chałup borodińskich, gdzieniegdzie zbite masy żołnierzy, gdzieniegdzie zielone jaszczki, działa. I to wszystko posuwało się albo zdawało się, że się posuwa, albowiem mgła i dym snuły się po całej przestrzeni. Zarówno w nizinnej okolicy pod Borodinem, spowitej mgłą, jak i poza nią, wyżej, a osobliwie z lewej strony na całej linii frontu, w lasach, polach, na nizinach, na wierzchołkach wzgórz – bez przerwy, samorzutnie, z niczego rodziły się bądź pojedyncze, bądź gromadne, to rzadkie, to gęste kłęby dymów, które nabrzmiewając rozrastały się, kłębiły, zlewały, widać je było na całej przestrzeni.

Dziwna rzecz, ale te dymy wystrzałów oraz ich odgłosy tworzyły główne piękno widoku.

– „Puff!” – wybuchał z nagłą okrągły, gęsty dym grający barwami: fioletową, szarą i mlecznobiałą, i „bum!” – rozbrzmiewał po sekundzie odgłos tego dymu.

– „Puf-puf” – unosiły się dwa dymy, potraçały się i zlewały, i „bum-bum” – dźwięki potwierdzały to, co widziały oczy.

Pierre spoglądał na pierwszy dym, który miał w oczach jako okrągłą, gęstą piłeczkę, a już na jego miejscu były kule dymu unoszące się w bok, i puf... (z przerwą) puf-puf rodziły się jeszcze trzy, jeszcze cztery, i po każdym z takim samym skandowaniem: bum... bum-bum-bum – odpowiadały czyste, twarde, wyraźne dźwięki. Raz wydawało się, że te dymy biegną, to znów drugi raz, że stoją, a obok nich biegły lasy, pola i błyszczące bagnety. Z lewej strony, na polach i w krzakach, bez przerwy powstawały te duże dymy oraz ich triumfalne echa, bliżej zaś, na nizinach i w lasach, wybuchały małe dymki karabinowe i nie zdążywszy się wyokrąglić, rozbrzmiewały również swymi małutkimi echemi. Trach-ta-ta-ach – trzaskały karabiny, choć gęsto, ale nieregularnie i biednie w porównaniu ze strzałami armatnimi.

Pierre zapragnął być tam, gdzie były te dymy, te błyszczące bagnety, ten ruch, te dźwięki. Obejrzał się na Kutuzowa i jego świtę, aby porównać swoje wrażenia z ich wrażeniami. Wszyscy tak samo jak on i, jak mu się zdawało, z tym samym uczuciem patrzyli na pole bitwy. Na wszystkich twarzach jaśniało teraz owo utajone ciepło (cholewa latente) uczucia, które Pierre zauważył wczoraj i którego doznał całkowicie po rozmowie z księciem Andrzejem.

– Jedź, serdeczko, jedź, niech cię Chrystus prowadzi – nie spuszczać oczu z pola bitwy – mówił Kutuzow do generała, który stał obok niego.

Ów generał, wysłuchawszy rozkazu, przeszedł obok Pierre'a ku zejściu ze wzniesienia.

– Na przeprawę! – odpowiedział generał zimno i surowo na pytanie jednego ze sztabowców, dokąd jedzie. – „I ja, i ja” – pomyślał Pierre i udał się za generałem.

Generał siadł na konia, którego podał mu Kozak. Pierre podszedł do swego masztalerza, trzymającego konie. Zapytawszy, który jest spokojniejszy, Pierre wygramolił się na konia, złapał się grzywy, do brzucha końskiego przycisnął obcasy wykręconych nóg i czując, że spadają mu okulary i że nie może oderwać rąk od grzywy i wodzy, popędził jednak za generałem wzbudzając uśmiechy sztabowców, patrzących na niego z kurhanu.

XXXI

General, za którym popędził Pierre, zjechawszy z góry skręcił gwałtownie w lewo, a Pierre, który go stracił z oczu, wjechał w szeregi piechoty idące przed nim. Próbował wyjechać z nich to naprzód, to w lewo, to w prawo, lecz wszędzie byli żołnierze z jednakowo zafrasowanymi twarzami, zaprzątnięci jakąś sprawą niewidoczną, ale jednak ważną. Wszyscy z jednakim zadowoleniem spoglądali pytająco na tego otyłego człowieka w białym kapeluszu, który nie wiadomo z jakiego powodu roztrącał ich swym koniem.

– Co to za jazda środkiem batalionu! – krzyknął jeden z żołnierzy na niego. Drugi szturchnął kolbą jego konia i Pierre, przycisnąwszy się do łęku i ledwo wstrzymując konia, który się zachnął, wyjechał przed żołnierzy, gdzie było przestronniej.

Przed nim był most, a przy moście stali inni żołnierze strzelając. Pierre podjechał do nich. Nic o tym nie wiedząc, Pierre dojechał do mostu na Kołoczy, który się znajdował między Górkami a Borodinem i który w pierwszym działaniu bojowym (po wzięciu Borodina) atakowali Francuzi. Pierre widział, że przed nim był most, że po obu stronach mostu i na łące, w pokosach leżącego siana, które był zauważył wczoraj, żołnierze robią coś wśród dymu, wszakże mimo ciągłej strzelaniny w tym miejscu nie sądził bynajmniej, że tu właśnie było pole bitwy. Nie słyszał kul świszających ze wszystkich stron i pocisków przelatujących nad nim, nie widział nieprzyjaciela znajdującego się po drugiej stronie rzeki, nawet długo nie widział zabitych i rannych, choć gęsto padali opodal. Rozglądał się dokoła z uśmiechem, który nie schodził mu z twarzy.

– Czego ten tam jeździ przed linią? – znów ktoś krzyknął na niego.

– Bierz w lewo, w prawo! – krzyczano na niego. Pierre skręcił na prawo i niespodziewanie spotkał się ze znajomym adiutantem generała Rajewskiego. Ów adiutant gniewnie spojrzął na Pierre'a i najwidoczniej również zamierzał na niego krzyknąć, ale poznał go i skinął mu głową.

– A pan tu skąd? – rzekł i pogalopował dalej. Pierre czując, że jest nie na właściwym miejscu i bezczynny, bojąc się więc, by znów komuś nie przeszkodzić, pocwałował za adiutantem.

– A co tu? Czy mogę zostać z panem? – dopytywał się.

– Zaraz, zaraz – odpowiedział adiutant i podjechał do otyłego pułkownika stojącego na łące, coś mu oznajmił i wtedy dopiero zwrócił się do Pierre'a.

– Po co, hrabio, się tu znalazłeś? – rzekł do niego z uśmiechem. – Ciągłe przez ciekawość?

– Tak, tak – rzekł Pierre. Ale adiutant zawrócił konia i Jechał dalej.

– Tu to jeszcze, dzięki Bogu, niczego sobie – oświadczył adiutant – ale na lewym skrzydle u Bagrationa strasznie gorąco.

– Doprawdy? – zapytał Pierre. – Gdzie to?

– A jedź pan ze mną na wzgórek, od nas widać. U nas na baterii jeszcze znośnie – rzekł adiutant. – No cóż, jedzie pan?

– Tak, jadę z panem – rzekł Pierre patrząc dookoła i szukając oczami swego masztalerza. Dopiero tu pierwszy raz Pierre zobaczył rannych, brnących pieszo lub niesionych na noszach. Na tej samej łączce, z pachnącymi pokosami siana, przez którą wczoraj przejeżdżał, nieruchomo

leżał w poprzek pokosów żołnierz z niezgrabnie odwróconą głową, z której spadł mu kiwer. – A czemu tego nie ponieśli? – już zaczął Pierre, ale gdy ujrzał surową twarz adiutanta, który spojrzał w tę stronę, umilkł.

Pierre nie znalazł swego masztalerza, więc razem z adiutantem pojechał dołem przez parów do kurhanu Rajewskiego.

Koń Pierre'a zostawał w tyle za adiutantem i równomiernie podrzucał swego jeźdźca.

– Hrabia nie nawykłeś widać do konnej jazdy? – zapytał adiutant.

– Nie, to nic, ale dlaczego on tak jakoś podskakuje? – rzekł Pierre ze zdziwieniem.

– Ech!... przecie on ranny – rzekł adiutant – prawa przednia powyżej kolana. Widocznie kula. Winszuję, hrabio – rzekł – *le baptême du feu*¹³⁰

Wśród dymu minęli szósty korpus, za artylerią, która, wysunięta naprzód, strzelała ogłuszając hukiem swych dział, i przyjechali do niedużego lasu. W lesie było chłodnawo, cicho i pachniało jesienią. Pierre i adiutant zsiadli z koni i pieszo poszli pod górę.

– Jest tu generał? – zapytał adiutant zbliżając się do kurhanu.

– Niedawno był, tam pojechał – odpowiadano wskazując na prawo.

– Adiutant obejrzał się na Pierre'a, jakby nie wiedząc, co teraz ma z nim zrobić.

– Bądź pan spokojny – rzekł Pierre. – Pójdę na wzgórek, można?

– Tak, proszę iść, stamtąd wszystko widać i nie tak niebezpiecznie. Przyjadę do pana.

Pierre poszedł ku baterii, adiutant zaś pojechał dalej. Już się nie zobaczyli i znacznie później Pierre dowiedział się, że tego dnia owemu adiutantowi urwało rękę.

Wzgórek, na który wszedł Pierre, było to słynne miejsce (znane potem przez Rosjan pod nazwą „baterii na kurhanie” albo „baterii Rajewskiego”, przez Francuzów zaś pod nazwą *la grande redoute, la fatole redoute, la redoute du centre*¹³¹), wokół którego padły dziesiątki tysięcy ludzi i które Francuzi uważali za najważniejszy punkt pozycji.

Ta reduta składała się z kurhanu, na którym z trzech stron były wykopane rowy. W miejscu okopanym rowami stało dziesięć strzelających dział wsuniętych w otwory szańców.

Na wysokości kurhanu, po obu jego stronach, stały działa, również strzelające bez przerwy. Niedaleko za działami stała piechota. Pierre wchodząc na kurhan bynajmniej nie myślał, że to miejsce okopane niedużymi rowami, na którym stało i strzelało kilkanaście dział, było najważniejszym miejscem w bitwie.

Przeciwnie, Pierre'owi wydawało się, że to miejsce (właśnie dlatego, że on się na nim znajdował) było jednym z miejsc najmniej znaczących w bitwie.

Wszedłszy na wzgórek Pierre usiadł w końcu rowu otaczającego baterię i na wszystko, co się działo wokół niego, patrzył z uśmiechem i nieświadomą wesołością. Od czasu do czasu, wdąż z tym uśmiechem, Pierre wstawał i starając się nie przeszkadzać żołnierzom, którzy nabijali i zataczali działa, i nieustannie przebiegali obok niego z pociskami i torbami, przechadzał się po baterii. Działa strzelały bez przerwy, jedno za drugim, ich odgłosy ogłuszały, a dym prochowy zasnuwał całą okolicę.

W przeciwieństwie do zatrwożenia, jakie wyczuwało się wśród piechurów osłony, tu, na baterii, gdzie niewielka ilość ludzi zajętych robotą była oddzielona od innych rowem, czuło się jednakowe i wspólne wszystkim, jak gdyby rodzinne ożywienie.

Ukazanie się niewojskowej postaci Pierre'a w białym kapeluszu z początku nieprzyjemnie wszystkich zaskoczyło. Przechodzący obok żołnierze obrzucali go spojrzeniem ukradkowym, zdumionym, a nawet przestraszonym. Starszy oficer baterii, wysoki, długonogi, dziobaty

¹³⁰ Chrzest bojowy.

¹³¹ Wielkiej reduty, fatalnej reduty, reduty środkowej.

mężczyzna zbliżył się do Pierre'a niby dlatego, żeby sprawdzić działanie ostatniej armaty, i z ciekawością popatrzył na niego.

Młodziutki, krągłolicy oficer, jeszcze zupełne dziecko, widocznie dopiero co wypuszczony z korpusu, nader starannie komenderujący dwoma działami, które mu powierzono, surowo zwrócił się do Pierre'a.

– Bądź pan łaskaw usunąć się z drogi – powiedział do niego. – Tutaj nie wolno stać.

Żołnierze, patrząc na Pierre'a, z dezaprobatą kręcili głowami. Ale kiedy wszyscy się przekonali, że ów człowiek w białym kapeluszu nie robi nic złego, że albo spokojnie siedzi na pochyłości szanca, albo z nieśmiałym uśmiechem, uprzejmie schodząc z drogi żołnierzom, spaceruje pod ostrzałem po baterii tak spokojnie jak po bulwarze, wówczas uczucie niezyczliwego zdziwienia wobec niego jęło po trosze przechodzić w życzliwą i żartobliwą sympatię, podobną do sympatii, jaką żołnierze darzą swe zwierzęta: psy, koguty, kozły i w ogóle zwierzęta żyjące przy oddziałach wojskowych.

Żołnierze od razu w myśli przyjęli Pierre'a do swej rodziny, przyswoili go sobie, dali mu przyzwisko „nasz pan”; przewali go i dobrotliwie żartowali z niego między sobą.

Jeden pocisk zrył ziemię o dwa kroki od Pierre'a. Oczyszczając ubranie zbryzgane rozprysniętą ziemią, z uśmiechem rozglądał się wokół siebie.

– Że też to pan się nie boją! – zwrócił się do Pierre'a czerwony na twarzy, krępy żołnierz szczerząc mocne, białe zęby.

– A ty się boisz? – zapytał Pierre.

– A niby jak? – odpowiedział żołnierz. – Przecie ona nie ma litości. Trzepnie, bebechy wypruje. Musowo się bać – powiedział śmiejąc się.

Obok Pierre'a przystanąło kilku żołnierzy z twarzami wesołymi i uprzejmymi. Zupełnie jakby się nie spodziewali, że on może mówić tak jak wszyscy, i to odkrycie ucieszyło ich.

– To nasza żołnierska rzecz. Ale że pan, to dziwne. Co pan, to pan!

– Na miejsce! – krzyknął młodziutki oficer na żołnierzy zebranych dokoła Pierre'a. Ów młodziutki oficer najwidoczniej pierwszy, a może drugi raz pełnił swe funkcje i dlatego zwracał się do żołnierzy, i do dowódcy przepisowo i z osobliwą dokładnością.

Przelewająca się strzelanina armatnia i karabinowa wznagała się na całym polu, szczególnie z lewej strony, tam gdzie były flesze Bagrationa, ale spoza dymu wystrzałów nic nie można było zobaczyć z tego miejsca, gdzie znajdował się Pierre. Poza tym obserwacje nad ową jak gdyby rodziną (oddzieloną od wszystkich innych) grupą ludzi, znajdujących się na baterii, całkowicie pochłaniały Pierre'a. Jego pierwsze, nieświadome radosne podniecenie, wywołane widokiem i odgłosami pola bitwy, ustąpiło miejsca innemu Czuciu, zwłaszcza gdy teraz na brzegu rowu przyglądał się Maczającym go ludziom.

Do godziny dziesiątej już dwudziestu ludzi zniesiono z baterii, dwa działa zostały rozbite, na baterię coraz częściej trafiały pociski, z brzękiem i świstem dolatywały z daleka kule. Jednak ludzie znajdujący się na baterii jak gdyby tego nie dostrzegali, ze wszystkich stron dobiegały wesołe rozmowy i żarty.

Używany! – krzyczał żołnierz na pędzący ze świstem granat. – Nie tutaj! Do piechoty! – dodał śmiejąc się inny, kiedy zauważył, że granat przeleciał i wpadł między szeregi asekuracji.

– Znajomek? – śmiał się drugi żołnierz z chłopca, który przysiadł, gdy przelatywał pocisk.

Kilku żołnierzy zgromadziło się przy szanцу i przyglądało się temu, co się działo przed nim.

– Widzisz, tylarię zdjęli, cofnęli się – mówili wskazując poza szaniec.

– Pilnuj swojej roboty – krzyknął na nich stary podoficer. – Cofnęli się, to znaczy, że tak trzeba. – I podoficer ujął jednego żołnierza za ramię, i popchnął go kolanem. Rozległ się śmiech.

– Piąte działo, zataczaj! – krzyczano z jednej strony.

– Razem, zgodnie, po burłacku – rozlegały się wesołe głosy żołnierzy przetaczających działo.

– Oj, naszemu panu o mało kapelusika nie strąciła pokazując zęby śmiał się z Pierre'a zartowniś o czerwonej twarzy. – Ech, jaka niezgraba – dodał z wyrzutem, gdy pocisk trafił w koło i w nogę człowieka.

– Hej, lisy! – kpił sobie inny z pospolitaków, którzy garbiąc się wchodzili na baterię po rannego.

– Czy kasza niesmaczna? Ach, gapy, uginają kolana! – krzyczeli na pospolitaków skonsternowanych widokiem żołnierza z urwaną nogą.

– Chodź ździebko, kochasiu – przedrzeźniali chłopów.

– Straszecznie nie lubią!

Pierre zauważył, że po każdym celnym pocisku, po każdej stracie ogólne ożywienie potęgowało się.

Na twarzach tych wszystkich ludzi (jakby na przekór temu, co się działo) coraz częściej i coraz jaśniej, niby ze zbliżającej się nawalnej chmury, wybuchały błyskawice ukrytego, rozpalającego się ognia.

Pierre nie patrzył przed siebie na pole bitwy i nie był ciekaw, co się tam działo: pochłonięty był kontemplacją tego coraz bardziej rozplamienającego się ognia, który tak samo (czuł to) rozpalał się w jego duszy.

O dziesiątej piechurzy, znajdujący się w krzakach przed baterią i nad rzeczką Kamienką, cofnęli się. Z baterii widać było, jak przebiegają w tył obok niej i na karabinach niosą rannych. Jakiś generał ze świtą wszedł na wzgórek, porozmawiał z pułkownikiem, gniewnie spojrzał na Pierre'a i znów zszedł na dół, asekuracji pieszej, stojącej poza baterią, kazał paść, by mniej się narażać na kule. Zaraz potem w szeregach piechoty z prawej strony baterii rozległ się bęben, okrzyki komendy i z baterii widać było, jak szeregi piechoty ruszyły naprzód.

Pierre patrzył poza szaniec. Jedna postać szczególnie rzuciła mu się w oczy. Był to oficer z bladą, młodą twarzą. Cofał się niosąc opuszczoną szpadę i niespokojnie się oglądał.

Szeregi piechoty skryły się w dymie, rozległ się ich przeciągły krzyk i częste strzały karabinowe. Po kilku minutach wyszły stamtąd gromady rannych i szeregi noszy. Na baterię coraz częściej zaczęły padać pociski. Leżało kilku ludzi nie zabranych. Żołnierze krzatali się przy działach jeszcze bardziej zapobiegliwie i z większym ożywieniem. Już nikt nie zwracał uwagi na Pierre'a. Dwa razy krzyknięto na niego gniewnie za to, że włąził w drogę. Starszy oficer z chmurną twarzą przechodził dużymi, szybkimi krokami od jednego działu do drugiego. Młodziutki oficerek, jeszcze bardziej zaczerwieniony, coraz gorliwiej komenderował żołnierzami. Żołnierze podawali ładunki, zataczali, ładowali i robili swą robotę zręcznie, z napięciem. Biegając podskakiwali jak na sprężynach.

Nawalna chmura zbliżyła się, na wszystkich twarzach płonął ów ogień, którego rozplamianie się śledził Pierre. Stał obok starszego oficera. Podbiegł młodziutki oficerek z ręką przy czapce.

Posłusznie melduje, panie pułkowniku, że zostało tylko osiem ładunków. Czy mamy dalej strzelać? – zapytał.

– Kartacze! – zamiast odpowiedzi krzyknął starszy oficer patrząc przez szaniec.

Nagle coś się stało: oficerek krzyknął, zwinął się i siadł na ziemi jak ptak postrzelony w locie. W oczach Pierre'a wszystko stało się dziwne, niewyraźne i ponure.

Pociski świstały jeden po drugim i biły w brustwer, w żołnierzy, w działu. Pierre, który przedtem nie słyszał tych odgłosów, teraz słyszał tylko te dźwięki. Z baterii, z prawej strony, z okrzykiem: „Hura!”, biegli żołnierze, ale nie naprzód, tylko do tyłu, jak się Pierre'owi wydawało.

Pocisk uderzył o wierzchołek szanca, przy którym stał Pierre, ziemia obsunęła się, w oczach

mignęła mu czarna piłeczka i w tej chwili w coś uderzyło. Pospolitycy, którzy już byli weszli na baterię, pobiegli z powrotem.

– Wciąż kartacze! – krzyczał oficer.

Podoficer podbiegł do starszego oficera i wystraszonym szeptem (tak podczas obiadu sługa melduje gospodarzowi, że już nie ma wina, którego ów żąda) powiedział, że pocisków już nie ma.

– A to zbóje! Co oni robią! – krzyknął oficer odwracając się od Pierre'a. Twarz starszego oficera była czerwona i spocona, chmurne oczy błyszczały. – Biegnij i sprowadź jeszcze! – krzyknął, gniewnym spojrzeniem obrzucił Pierre i zwrócił się do swego żołnierza.

– Ja pójdę – powiedział Pierre.

Oficer, nie odpowiadając mu, dużymi krokami odszedł w drugą stronę.

– Nie strzelać... Czekać! – krzyczał. Żołnierz, któremu kazano iść po pociski, zderzył się z Pierre'em.

– Ech, panie, to nie dla ciebie miejsce – powiedział i pobiegł w dół.

Pierre pobiegł za żołnierzem omijając to miejsce, gdzie siedział młodziutki oficerek.

Przeleciał nad nim jeden, drugi, trzeci pocisk i padł z przodu, z boków, z tyłu. Pierre zbiegł na dół. „Dokąd idę?” – zastanowił się nagle, podbiegając już do zielonych jaszczów. Zatrzymał się niezdecydowany, czy zawrócić, czy iść naprzód. Nagle straszne pchnięcie odrzuciło go do tyłu, na ziemię. W tym momencie oświetlił go blask wielkiego ognia i w tym samym momencie rozległ się ogłuszający, dźwięczący w uszach grzmot, trzask i świst.

Kiedy Pierre ocknął się, siedział wsparty rękami o ziemię, jaszczka, przy którym się znajdował, nie było, na wypalonej trawie leżały tylko rozrzucone zielone, osmalone deski i szmaty, koń łomocząc szczątkami hołobli przebiegł obok niego, drugi zaś, tak samo jak i Pierre, leżał na ziemi i przenikliwie, przeciągle rżał.

XXXII

Pierre, gnany strachem, zerwał się i z powrotem pobiegł do baterii, jako do jedyne go schronienia przed wszystkimi okropnościami, które go otaczały.

Kiedy wchodził do okopu, zauważył, że z baterii nie było słycać strzałów, ale jacyś ludzie coś tam robili. Nie zdążył pomyśleć, co to byli za ludzie. Ujrzał starego pułkownika, odwróconego do niego tyłem, leżącego na szańcu, jakby rozglądającego się, co się dzieje na dole, zobaczył także, że żołnierz, którego przedtem zauważył, wrywa się trzymającym go za rękę ludziom i krzyczy: „Bracia!”, i zobaczył jeszcze coś dziwnego.

Ale nie zdążył jeszcze zrozumieć, że pułkownik był zabity, że żołnierz, krzyczący: „Bracia!” był wzięty do niewoli, że w jego oczach drugi żołnierz został zakłuty bagnetem w plecy. Zaledwie zdążył wpaść do okopu, jakiś szczupły mężczyzna w niebieskim mundurze, żółty, ze spoconą twarzą, wpadł na niego trzymając szpadę w ręce i coś krzycząc. Pierre, instynktownie broniąc się przed pchnięciem, ponieważ biegli naprzeciwko siebie nie widząc się wzajemnie, wyciągnął ręce i schwycił tego człowieka (był to oficer francuski) jedną ręką za ramię, drugą za gardło. Oficer wypuściwszy z ręki szpadę złapał Pierre'a za kołnierz.

Przez kilka sekund obaj patrzyli przestraszonymi oczami na obce dla siebie twarze i obaj byli zaskoczeni tym, co zrobili i co mają robić. „Czy to ja jestem jeńcem, czy też ja wziąłem go do niewoli?” – myślał każdy z nich. Ale oficer francuski bardziej skłaniał się ku myśli, że to on został wzięty do niewoli, gdyż silna ręka Pierre'a, powodowana mimowolnym strachem, coraz mocniej ścisnęła mu gardło. Francuz chciał coś powiedzieć, kiedy nagle tuż nad ich głowami, nisko i przeraźliwie gwizdnął pocisk i Pierre'owi wydało się, że urwał francuskiemu oficerowi głowę: tak ją szybko tamten schylił.

Pierre również pochyliwszy głowę zwolnił ręce. Nie myśląc już o tym, kto kogo wziął do niewoli, Francuz pobiegł z powrotem na baterie, a Pierre na dół, potykając się o zabitych i rannych, którzy, jak mu się zdawało, łapali go za nogi. Nie zdążył jeszcze zejść z góry, kiedy zobaczył przed sobą zbite masy rosyjskich żołnierzy, którzy – padając, potykając się i krzycząc – wesoło i burzliwie biegli na baterię. (Był to ów atak, który Jennołow przypisywał sobie, mówiąc, że tylko dzięki jego męstwu i szczęściu można było dokonać tego bohaterskiego czynu, ów atak, podczas którego jakoby rzucał na kurhan Krzyże Jerzego, które miał w kieszeni.)

Francuzi, którzy już byli zajęli baterię, uciekli. Nasze wojska, krzycząc: „Hura!”, tak daleko odpędziły Francuzów za baterię, że trudno było ich zatrzymać.

Z baterii zwieziono jeńców; był wśród nich ranny francuski generał, którego otoczyli oficerowie. Tłumy rannych, ludzi, których Pierre znał i których nie znał, Rosjan i Francuzów, z twarzami wykrzywionymi cierpieniem, szły, pełzły lub były znoszone z baterii. Pierre wszedł na kurhan, gdzie spędził więcej niż godzinę, ale z tego kółka rodzinnego, które go przyjęło do siebie, już nikogo nie zastał. Było tu wielu zabitych, których nie znał. Ale niektórych poznał. Młodziutki oficer, ciągle tak samo skulony, siedział w kałuży krwi na skraju szanca. Żołnierz z czerwoną twarzą jeszcze się rzucał, ale go nie zabierano. Pierre pobiegł w dół.

„Chyba teraz już dadzą spokój, chyba się przestraszą tego co uczynili!” – myślał i bez celu

skierował się za szeregami noszy ciągnącymi z pola bitwy.

Słońce zasłonięte dymem stało jeszcze wysoko, a z przodu, zwłaszcza z lewej strony, pod Siemionowskim, coś kotłowało się wśród dymu, zaś huk wystrzałów, strzelanina i kanonada nie tylko nie słabły, ale się nawet wzmagaly aż do zuchwalstwa, niby człowiek, który nadrywa płuca krzycząc ostatkiem sił.

XXXIII

Główna akcja bitwy pod Borodinem odbyła się na przestrzeni tysiąca sążni między Borodinem a fleszami Bagrationa.

(Poza obrębem tej przestrzeni z jednej strony odbyła się w południe demonstracja rosyjskiej kawalerii Uwarowa, z drugiej strony, za Uticą, zderzenie Poniatowskiego z Tuczkowem; ale były to dwie oddzielne i słabe akcje w porównaniu z tym, co się działo w środku pola bitwy.) Główna akcja bitwy odbyła się w sposób jak najbardziej prosty, niewymyślny, na polu między Borodinem i fleszami, pod lasem, na przestrzeni otwartej i widocznej z obu stron.

Bitwa rozpoczęła się obustronną kanonadą z kilkuset dział.

Potem, kiedy dym zasnuł całe pole, w tym dymie ruszyły

(od strony Francuzów) z prawej strony dwie dywizje

Dessaixa i Compansa – na flesze, z lewej zaś pułki wicekróla – na Borodino.

Flesze znajdowały się w odległości wiorsty od reduty szewardińskiej, na której stał Napoleon, a Borodino – przeszło o dwie wiorsty w prostej linii, Napoleon nie mógł więc widzieć, co się tam działo, tym bardziej że dym zlewał się z mgłą i zasłaniał całą okolicę. Żołnierze dywizji Dessaixa, skierowani na flesze, byli widoczni dopóki nie zeszli do parowu, który ich dzielił od flesz. Ale jak tylko zeszli do parowu, dym z wystrzałów armatnich i karabinowych na fleszach tak zgęstniał, że zasłonił przeciwległą stromiznę parowu. Wśród dymu migotało coś czarnego, prawdopodobnie byli to ludzie, i czasami błyskały bagnety. Ale czy ci ludzie posuwali się czy stali, czy to byli Francuzi, czy Rosjanie, tego z reduty szewardińskiej nie można było dostrzec.

Słońce weszło jasno i jego skośne promienie trafiały prosto w twarz Napoleona, gdy osłaniając ręką oczy patrzył na flesze. Dym snuł się przed fleszami, raz więc wydawało się, że to dym się posuwa, to znów, że posuwają się wojska. Czasami spoza wystrzałów słychać było krzyki ludzi, ale nie sposób było pojąć, co oni tam robią.

Napoleon stał na wzgórkach i patrzył przez lunetę, w malutkim krążku lunety widział dym i ludzi, czasami swoich, czasami Rosjan, ale gdy znów patrzył gołym okiem, nie wiedział, gdzie się działo to wszystko, na co patrzył.

Zszedł ze wzgórek i jał chodzić koło niego tam i z powrotem.

Od czasu do czasu stawał, przysłuchiwał się strzałom i spoglądał na pole bitwy.

Nie tylko z tego miejsca na dole, gdzie stał, nie tylko z kurhanu, na którym stali teraz niektórzy jego generałowie, ale nawet z fleszy, na których obecnie znajdowali się razem – na przemian to żołnierze rosyjscy, to francuscy, zabici, ranni i żywi, przerażeni lub oszaleli – nie można było wymiarkować, co działo się na tamtym miejscu. W ciągu kilku godzin w tamtym miejscu – wśród nie milknącej strzelaniny armatniej i karabinowej – ukazywali się bądź sami Rosjanie, bądź sami Francuzi, bądź piechota, bądź też kawaleria; zjawiali się, padali, strzelali, zderzali się, a nie wiedząc, co ze sobą nawzajem mają robić, krzyczeli i pędem zawracali.

Do Napoleona nieustannie podjeżdżali galopem adiutanci, których wysyłał, i ordynansi jego marszałków – meldując o przebiegu walki, jednak te wszystkie meldunki były kłamliwe: i dlatego że w ogniu bitwy jest rzeczą niemożliwą powiedzieć, co się dzieje w danej chwili, i

dlatego że wielu adiutantów nie dojeżdżało do miejsca walki i przekazywali to, co usłyszeli od innych; i jeszcze dlatego, że zanim adiutant przejechał te dwie-trzy wiorsty dzielące go od Napoleona, okoliczności już się zmieniały, a wiadomość, którą wiozł, stawała się już nieścista. Oto od wicekróla przygalopował adiutant z wiadomością, że Borodino zajęte i most na Kołoczy w rękach Francuzów. Adiutant zapytywał Napoleona, czy każe wojskom przechodzić na drugi brzeg. Napoleon rozkazał, by wojska stanęły w szyku po tamtej stronie i czekały; ale nie tylko wówczas, kiedy Napoleon wydawał ów rozkaz, lecz zaraz po odjeździe adiutanta z Borodina most został odbity przez Rosjan i spalony – w tym właśnie starciu, w którym uczestniczył Pierre na samym początku bitwy.

Z flesz przycwałował błąd, przestraszony adiutant i doniósł Napoleonowi, że atak odparty. Compans raniony, a Davout zabity, tymczasem zaś kiedy adiutantowi mówiono, że Francuzi zostali odparci, inny oddział wojsk zajął flesze, a Davout żył, był tylko lekko kontuzjowany. Biorąc pod uwagę takie nieuniknione kłamliwe doniesienia, Napoleon wydawał rozkazy, które albo już przedtem, zanim je wydał, były spełnione, albo nie mogły być i nie były wykonywane.

Marszałkowie i generałowie znajdujący się bliżej lub dalej od pola bitwy, lecz podobnie jak i Napoleon nie uczestniczący w samej bitwie, lecz tylko z rzadka wjeżdżający pod ogień kuł, nie pytając Napoleona wydawali swoje zarządzenia i rozkazy, gdzie i skąd strzelać, dokąd ma pędzić kawaleria, dokąd biec piechota. Ale nawet i ich rozkazy, zupełnie tak samo jak rozkazy Napoleona, w bardzo nieznacznym stopniu i rzadko kiedy były wykonywane. Przeważnie zdarzało się wprost przeciwnie, niż rozkazywali. Żołnierze, którym kazano iść naprzód, zawracali pędem, kiedy się dostali pod ogień kartaczy; żołnierze, którzy mieli rozkaz stać w miejscu, nagle, zobaczywszy Rosjan, którzy zniemacka zjawili się przed nimi, czasami uciekali, czasami biegli naprzód, kawaleria zaś pędziła bez rozkazu za uciekającymi Rosjanami. Tak właśnie dwa pułki kawalerii przecwałowały przez siemionowski parów i zaledwie wjechały na górę, co tchu zawróciły. W ten sam sposób posuwała się piechota, biegnąc czasami zupełnie nie tam, gdzie jej kazano. Wszystkie rozkazy, dokąd i kiedy przesunąć działa, kiedy posłać piechurów, by strzelać, kiedy konnych – by tratować rosyjską piechotę, te wszystkie rozkazy wydawali bezpośredni dowódcy oddziałów znajdujący się w szeregach, nie pytając się nawet Ney, Davouta i Murata, a cóż dopiero Napoleona. Nie bali się odpowiedzialności za niewypełnienie rozkazu albo za samowolny rozkaz, albowiem podczas bitwy rzecz idzie o to, co człowiek ma najdroższego – o własne życie, więc czasami zdaje się, że ocalenie polega na ucieczce do tyłu, czasami na ucieczce do przodu, a zatem ci ludzie znajdujący się w ogniu walki postępowali zgodnie z nastrojem chwili. W istocie zaś te wszystkie ruchy naprzód i w tył bynajmniej nie przynosiły wojskom ulgi i nie zmieniały ich położenia. Wzajemne ich napady i ataki prawie nie czyniły im szkody, szkodę zaś, śmierć i kalectwo przynosiły pociski i kule, latające wszędzie na całej tej przestrzeni, na której miotali się owi ludzie. Skoro tylko ci ludzie wydostawali się z tej przestrzeni, na której latały pociski i kule, natychmiast stojący z tyłu dowódcy formowali ich, brali w karby dyscypliny i pod wpływem owej dyscypliny ludzie ci znów wchodzili ognia w której znów (pod wpływem strachu przed śmiercią) się spod dyscypliny i biegli wedle przypadkowego nastroju tłumu.

XXXIV

Generałowie Napoleona – Davout, Ney i Murat, znajdujący się w pobliżu tej strefy ognia i nawet czasem wjeżdżający w nią, kilkakrotnie wprowadzali tam sformowane olbrzymie masy wojsk. Ale wbrew temu, co niezmiennie działo się podczas wszystkich poprzednich bitew, sformowane masy wojsk wracały stamtąd jako bezładne, wystraszone tłumy. Znowu je formowali, ale ludzi było coraz mniej. W południe Murat posłał do Napoleona swego adiutanta z żądaniem posiłków.

Napoleon siedział pod kurhanem i pił poncz, kiedy do niego przygalopował adiutant Murata z zapewnieniem, że Rosjanie zostaną rozbici, jeśli jego cesarska mość da jeszcze dywizję.

– Posiłki? – rzekł Napoleon z surowym zdumieniem. Patrzył na ładnego młodzika-adiutanta z czarnymi, długimi, ufryzowanymi włosami (tak samo nosił włosy Murat), jakby nie rozumiał jego stów. „Posiłki! – pomyślał Napoleon.

O jakie jeszcze proszą posiłki mając w rękach połowę armii skierowanej na słabe, nie umocnione skrzydło Rosjan!” – *Dites au roi de Naples* – rzekł surowo Napoleon – *qu'il n'est pas midi et que je ne vais pas encore clair sur non echiquier. Allez...*¹³²

Ładny młodzik-adiutant z długimi włosami, nie odejmując ręki od kapelusza, westchnął ciężko i z powrotem pogalopował tam, gdzie zabijano ludzi.

Napoleon wstał, przywołał Caulaincourta i Berthiera i wszczął z nimi rozmowę o rzeczach nie mających nic wspólnego z bitwą.

Wśród rozmowy, która zaczęła interesować Napoleona, oczy Berthiera zwróciły się na generała ze świtą, który na spienionym koniu galopował w stronę kurhanu. Był to Beillard.

Zsiadłszy z konia Beillard szybkim krokiem zbliżył się do cesarza i donośnym głosem jął dowodzić konieczności posiłków. Kłął się honorem, że Rosjanie zginą, jeśli cesarz da jeszcze dywizję.

Napoleon wzruszył ramionami, nic nie odpowiedział i przechadzał się dalej. Beillard głośno i z ożywieniem jął rozmawiać z generałami świty, którzy go otoczyli.

Beillard, jesteś pan bardzo popędliwy – rzekł Napoleon znowu zbliżając się do przybyłego generała. – W ogniu walki łatwo się omylić. Jedź pan, przypatrz się, a potem wracaj do mnie.

Jeszcze Beillard nie zdążył zniknąć z oczu, a już z drugiej strony nadjechał nowy wysłannik z pola bitwy. – *Eh bien, qu'est-ce qu'il y a?*¹³³ – zapytał Napoleon tonem człowieka rozdrażnionego ciągłym przeszkadzaniem.

– *Sire, le prince...*¹³⁴ – zaczął adiutant.

– Prosi o posiłki? – rzekł Napoleon z gniewnym gestem. Adiutant twierdząco pochylił głowę i jął meldować; ale cesarz odwrócił się od niego, zrobił dwa kroki, zatrzymał się, wrócił i przywołał Berthiera. – Trzeba dać rezerwy – rzekł, lekko rozkładając ręce. – Kogo tam posłać,

¹³² Powiedz pan królowi Neapolu, że jeszcze nie południe i że ja jeszcze nie dość wyraźnie widzę sytuację na szachownicy. W drogę...

¹³³ Co takiego?

¹³⁴ Najjaśniejszy panie, książę...

jak pan myśli? – zwrócił się do Berthiera, do tego *oison que j'ai fait aigle*¹³⁵, jak potem mawiał o nim.

Dywizję Claparede'a, wasza cesarska mość – rzekł Berthier znający na pamięć wszystkie dywizje, pułki i bataliony.

Napoleon aprobująco kiwnął głową.

Adiutant pocwałował do dywizji Claparede'a. I po kilku minutach młoda gwardia stojąca za kurhanem ruszyła ze swego miejsca. Napoleon milcząco patrzył w tym kierunku.

– Nie – zwrócił się z nagłą do Berthiera – nie mogę posyłać Claparede'a. Poślij pan dywizję Frianta – powiedział.

Choć nie było żadnej racji, by zamiast Claparede'a posyłać dywizję Frianta, a nawet była widoczna niedogodność i zwłoka, wynikająca z zatrzymania Claparede'a i wysłania Frianta, jednak rozkaz był dokładnie wykonany. Napoleon nie wiedział, że względem swych wojsk odgrywa rolę doktora przeszkadzającego swymi lekarstwami, rolę, którą tak dobrze pojmował i potępiał.

Dywizja Frianta, podobnie jak inne dywizje, zniknęła w dymie pola bitwy. Z różnych stron nadal przybywali adiutanci i jakby się zmówili, wszyscy powiadali to samo. Wszyscy prosili o posiłki, wszyscy oświadczaali, że Rosjanie trzymają się na swych pozycjach i prowadzą *un feu d'en-fer*¹³⁶ od którego wojsko francuskie topnieje.

Napoleon siedział zamyślony na polowym stołku.

M-r Beausset, amator podróży, już był przegłodził się od rana, zbliżył się więc do cesarza i z uszanowaniem zaproponował jego cesarskiej mości śniadanie.

– Mam nadzieję, że teraz mogę już pogratulować zwycięstwa waszej cesarskiej mości – powiedział.

Napoleon w milczeniu przecząco pokręcił głową. Sądząc, że przeczenie dotyczy zwycięstwa, a nie śniadania, m-r de Beausset pozwolił sobie z żartobliwością pełną szacunku zauważyć, że nie ma na świecie przyczyn, które by mogły przeszkodzić w zjedzeniu śniadania, jeśli tylko można to zrobić.

– *Allez vous...*¹³⁷ – rzekł Napoleon nagle ponuro i odwrócił się. Błogi uśmiech ubolewania, skruchy i zachwytu rozpromienił twarz pana de Beausset, który posuwistym krokiem odszedł do generałów.

Napoleon doznawał ciężkiego uczucia, podobnego do uczucia, jakiego zawsze doznaje szczęśliwy gracz, szaleńczo rzucający pieniędzmi, zawsze wygrywający, kiedy nagle, właśnie wtedy gdy rozważa wszystkie szanse gry, czuje, że im bardziej jest obliczony każdy jego krok, tym pewniejsza jest przegrana.

Wojska były te same, generałowie również, te same były przygotowania, taka sama dyspozycja bitwy, taka sama prociamation, *courte et energiyu*¹³⁸, on był taki sam, wiedział to, wiedział, że obecnie był o wiele bardziej doświadczony i biegłej szy niż przedtem, nawet wróg był ten sam, co pod Austerlitz i pod Friedlandem: a jednak ręka w straszliwym rozmachu opadała bezsilnie, jak zaczarowana.

Wciąż te same metody, które niegdyś zawsze były wieńczone sukcesem: i zmasowanie ognia baterii na jeden punkt, i atak rezerw w celu przerwania linii, i szarża kawalerii *des „hommes de fer”*¹³⁹, wszystkie te sposoby zostały już zastosowane, a nie tylko że zwycięstwa nie było, ale że

¹³⁵ Gąsienica, z którego uczyniłem orła.

¹³⁶ Piekielny ogień.

¹³⁷ idź pan do...

¹³⁸ Proklamacja krótka i energiczna.

¹³⁹ Ludzi z żelaza.

wszystkich stron przychodziły jedne i te same wiadomości o zabitych i rannych generałach, o konieczności posiłków, o niemożliwości obalenia Rosjan i o rozprężeniu wojsk.

Dawniej po dwóch-trzech rozkazach, dwóch-trzech zdaniach przyjeżdżali galopem do niego z gratulacjami i wesołymi twarzami marszałkowie i adiutanci, oznajmiali o trofeach w postaci korpusów jeńców, *desfaisceaux de drapeaux et d'aigles ennemis*¹⁴⁰, i dział, i taborów, a Murat prosił tylko o pozwolenie wypuszczenia kawalerii dla zagarnięcia taborów. Tak było pod Lodi, Marengo, Arcole, Jena, Austerlitz, Wagram i tak dalej, i tak dalej. Teraz coś dziwnego działo się z jego wojskami.

Mimo wiadomości o wzięciu flesz Napoleon widział, że to było nie to, zupełnie nie to samo co we wszystkich jego poprzednich bitwach. Widział, że uczucia, jakiego doznawał, doznawali wszyscy otaczający go ludzie, doświadczeni w bitwach. Twarze wszystkich były smutne, spojrzenia unikały się wzajemnie. Tylko jeden Beausset mógł nie rozumieć znaczenia tego, co się działo. Ze swych długoletnich doświadczeń wojennych Napoleon dobrze wiedział – co znaczyło w ciągu ośmiu godzin, po użyciu wszystkich wysiłków, niewygranie bitwy przez atakującego. Wiedział, że to bitwa przegrana i że obecnie – w tej pełnej napięcia rozstrzygającej chwili, w której znajdowała się bitwa – najmniejszy przypadek mógł zgubić jego i jego wojska.

Kiedy tak rozważał w myślach całą tę dziwną kampanię rosyjską, w której nie wygrano ani jednej bitwy, w której w ciągu dwóch miesięcy nie zdobyto ani sztandarów, ani dział, ani nie wzięto do niewoli korpusów wojsk, kiedy patrzył na maskowany smutek otoczenia i słyszał meldunki, że Rosjanie ciągle stoją – ogarnęło go straszne uczucie, podobne do uczucia, jakiego się doznaje we śnie, i przychodziły mu do głowy wszystkie nieszczęśliwe przypadki, mogące go zgubić. Rosjanie mogli napaść na lewe skrzydło, mogli przerwać centrum, zabłąkany pocisk mógł zabić jego samego. Wszystko to było możliwe. W poprzednich swych bitwach obmyślał tylko szczęśliwe przypadki, obecnie zaś wyobrażał sobie niezliczone mnóstwo przypadków nieszczęśliwych i wszystkiego się spodziewał. Tak, to było niby we śnie, kiedy człowiek wyobrażając sobie napadającego nań złoczyńcę uderza go z rozmachem tak silnie, że – wie to – powinien złoczyńcę unicestwić, a tymczasem czuje, że jego ręka, bezsilna i miękka, spada niby szmata, i wtedy bezsilnego człowieka ogarnia niewypowiedziany strach, że zginie.

Wiadomość, że Rosjanie atakują lewe skrzydło francuskiej armii, wzbudziła w Napoleonie ów strach. W milczeniu, ze spuszczoną głową, wsparłszy się łokciami o kolana siedział na połowym stołku pod kurhanem. Berthier podszedł do niego i zaproponował przejażdżkę wzdłuż linii, aby się przekonać, jak się rzeczy mają.

– Co? – Co pan mówi? – rzekł Napoleon. – Tak, niech pan każe podać mi konia.

Siadł i pojechał wierzchem do Siemionowskiego.

W powoli rozptywającym się dymie prochowym na całej tej przestrzeni, po której jechał Napoleon – w kałużach krwi leżały konie i leżeli ludzie pojedynczo lub kupami. Podobnej potworności, takiej ilości zabitych na tak małej przestrzeni jeszcze ani Napoleon, ani nikt z jego generałów nie widział. Trwający od dziesięciu godzin huk dział, który już zmęczył ucho, dodawał osobliwego znaczenia widowisku (podobnie jak muzyka przy żywych obrazach). Napoleon wjechał na wzgórze Siemionowskie i poprzez dym dostrzegł szeregi ludzi w mundurach o barwie, do której nie nawykły Jego oczy. Byli to Rosjanie.

Zbite szeregi Rosjan stały za Siemionowskiem i za kurhanem, a ich działa bez przerwy strzelały i dymiły wzdłuż ich linii. Nie było już bitwy. Była trwająca nadal rzeź, która do niczego nie mogła doprowadzić ani Rosjan, ani Francuzów. Napoleon zatrzymał konia i znów pogrążył się w zamyśleniu, z którego był wyrwał go Berthier, nie mógł powstrzymać tego dzieła, które się

¹⁴⁰ Naręczy nieprzyjacielskich sztandarów i orłów.

dokonywało przed nim i wokół niego, a które, jak uważano, było kierowane przez niego i zależne od niego, i to dzieło, na skutek niepowodzenia, po raz pierwszy wydało mu się niepotrzebne i straszne.

Jeden z generałów zbliżył się do Napoleona i pozwolił sobie zaproponować mu wprowadzenie do akcji starej gwardii. Ney i Berthier, którzy stali obok Napoleona wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się wzgardliwie z niedorzecznej propozycji tego generała.

Napoleon spuścił głowę i długo milczał.

– *A huit cent lieues de France je ne ferai pas demolir ma garde*¹⁴¹ – odrzekł, zawrócił koniem i pojechał z powrotem do Szewardina.

¹⁴¹ O osiemset mil od Francji nie mógł pozwolić na rozgromienie mej gwardii.

XXXV

Kutuzow siedział ze spuszczoną siwą głową, jego ciężkie ciało spoczywało na okrytej dywanem ławce na tym samym miejscu, na którym rano widział go Pierre. Nie wydawał żadnych rozkazów, tylko zgadzał się lub nie zgadzał na to, co mu proponowano.

Tak, tak, zróbcie to – odpowiadał na różne propozycje. – Tak, tak, jedź, kochasiu, zobacz – zwracał się to do jednego, to do drugiego z tych, co go otaczali. Albo:

Nie, nie trzeba, lepiej poczekajmy – powiadał. Wysłuchiwał przywiezionych mu wiadomości, wydawał rozkazy podwładnym, kiedy to było konieczne; ale zdawało się, że nie interesuje go sens tego, co mu mówili, że raczej interesuje go coś w wyrazie twarzy i w tonie słów ludzi przynszających wiadomości. Na podstawie długoletniego doświadczenia wojskowego wiedział i starczym rozumem pojmował, że jeden człowiek nie może kierować setkami tysięcy ludzi walczących ze śmiercią, i wiedział, że o losie bitwy nie decydują zarządzenia naczelnego wodza, nie miejsce, na którym stoją wojska, nie ilość dział i zabitych, lecz ta nieuchwytna siła zwana duchem wojsk, śledził więc tę siłę i kierował nią, o ile to było w jego mocy.

Twarz Kutuzowa wyrażała skupienie, spokojną uwagę i napięcie, pokonujące z trudem zmęczenie słabego starczego ciała.

O jedenastej rano przywieziono mu wiadomość, że flesze zajęte przez Francuzów znów zostały odbite, ale że ksiązę Bagration jest ranny. Kutuzow wykrzyknął „Och!”, i pokiwał głową.

– Jedź do księcia Piotra Iwanowicza i dowiedz się szczegółowo o wszystkim – rzekł do jednego z adiutantów, a następnie zwrócił się do stojącego za nim księcia Wirtemberskiego:

– Czy wasza wysokość nie zechciałby objąć dowództwa nad drugą armią?

Wkrótce po odjeździe księcia, tak prędko, że ksiązę jeszcze nie mógł dojechać do Siemionowskiego, powrócił adiutant księcia i zameldował jego dostojności, że ksiązę prosi o wojska.

Kutuzow skrzywił się. Do Dochturowa wysłał rozkaz, żeby objął dowództwo nad drugą armią, księcia zaś bez którego, jak oświadczył, nie może się obejść w tak ważnych chwilach, prosił, by do niego wrócił. Kiedy przywieziono wiadomość o wzięciu Murata do niewoli i kiedy sztabowcy wieszali Kutuzowowi, Kutuzow uśmiechnął się.

Poczekajcie, panowie – oświadczył. – Bitwa jest wygrana, we wzięciu zaś Murata do niewoli nie ma nic osobliwego. Jednak wstrzymajmy się z radością. – Mimo to wysłał adiutanta, by z tą wiadomością objechał wojska.

Kiedy z lewego skrzydła przygalopował Szczerbinin z meldunkiem, że Francuzi zajęli flesze i Siemionowskie, Kutuzow, poznawszy po odgłosach z pola bitwy i po twarzy Szczerbinina, że wiadomości były niedobre, wstał, jak gdyby dla rozprostowania nóg, wziął Szczerbinina pod ramię i odprowadził na bok.

– Jedź, kochasiu – rzekł – do Jennołowa, zobacz czy da się coś zrobić.

Kutuzow znajdował się w Górkach, w centrum pozycji wojsk rosyjskich. Atak Napoleona kierowany na nasze lewe skrzydło był kilkakrotnie odpierany. W centrum Francuzi nie posunęli się dalej niż do Borodina. Kawaleria Uwarowa zmusiła Francuzów do ucieczki z lewego

skrzydła.

O trzeciej ataki Francuzów ustały. Na twarzach otaczających go ludzi, którzy przybywali z pola bitwy, Kutuzow czytał napięcie, które doszło do najwyższych granic. Kutuzow był nadspodziewanie zadowolony z sukcesów dnia. Ale siły fizyczne opuszczały starca. Kilkakrotnie głowa jego pochylała się nisko, jakby spadała, i Kutuzow zasypiał. Podano mu obiad.

Fligel-adiutant Wolzogen, ten, który przejeżdżając koło księcia Andrzeja mówił, że wojnę należy im Rawwuerlegen¹⁴² i którego Bagration tak nienawidził, przybył podczas obiadu do Kutuzowa. Wolzogen przybywał od Bardaya de Tolly z meldunkiem o przebiegu akcji na lewym skrzydle. Rozsądny Barciay de Tolly, widząc uciekające tłumy rannych i tyły armii w nieładzie, rozważył wszystkie okoliczności akcji i doszedł do wniosku, że bitwa jest przegrana; z tą wiadomością przysłał do naczelnego wodza swego ulubieńca.

Kutuzow mozolnie żuł pieczoną kurę. Spojrzał na Wolzogena zmrużonymi, poweselałymi oczami.

Wolzogen, nonszalancko rozprostowując nogi, z na poły wzgardliwym uśmiechem na ustach podszedł do Kutuzowa dotknawszy z lekka ręką daszka czapki.

Wolzogen traktował jego dostojność z pewną afektowaną nonszalancją, której celem było pokazanie, że on, jako wojskowy wysoce wykształcony, pozostawia Rosjanom czynienie bożyszczka z tego starego, zbytecznego człowieka, a sam wie, z kim ma do czynienia. „*Der alte Herr* (jak Niemcy w swym gronie nazywali Kutuzowa) *macht sich bequem*”¹⁴³ – pomyślał Wolzogen i, spojrzawszy surowo na talerze stojące przed Kutuzowem, jął tak meldować staremu panu, jaka jest sytuacja na lewym skrzydle, jak mu kazał Barciay i jak sam to widział i pojmował.

Wszystkie punkty naszej pozycji są w rękach nieprzyjaciela, odbić nie sposób, bo nie ma wojska, żołnierze uciekają i nie można ich zatrzymać – meldował.

Kutuzow przestał żuć i patrzył na Wolzogena zdziwiony, jakby nie rozumiejąc, co się do niego mówi. Wolzogen, zauważywszy wzburzenie des alten Herm¹⁴⁴, rzekł z uśmiechem:

Uważałem, że nie mam prawa ukrywać przed waszą dostojnością tego, co widziałem... Wojska w całkowitym nieładzie...

– Pan to widział? Pan to widział?... – krzyknął Kutuzow zasepiwszy się. Wstając prędko i nacierając na Wolzogena: – Jak pan... jak pan śmie... – krzyczał, gestykułując groźnie trzęsącymi się rękoma, i zachłystując się. – Mój panie, jak śmiesz mówić to mnie. Nic pan nie wiesz. Powiedz ode mnie generałowi Bardayowi, że jego wiadomości są nieprawdziwe, że ja, wódz naczelny, wiem lepiej o prawdziwym przebiegu bitwy niż on.

Wolzogen chciał oponować, ale Kutuzow przerwał mu:

Nieprzyjaciel jest odparty na lewym skrzydle, a na prawym pokonany. Jeśliś, dobrodzieju, źle widział, to nie pozwalaj sobie mówić tego, czego nie wiesz. Proszę wracać do generała Bardaya i przekazać mu na jutro mój nieodwo.

Wszyscy milczeli, słyhać było tylko ciężki oddech łałny rozkaz atakowania nieprzyjaciela – rzekł surowo Kutuzow sapiącego starego generała. – Wszędzie zostali odparci, za co dziękuję Bogu i naszemu mężnemu wojsku. Nieprzyjaciel pokonany i jutro go popędzimy ze świętej ziemi rosyjskiej – rzekł Kutuzow robiąc znak krzyża; i nagle zaszlochał.

Wolzogen wzruszył ramionami, skrzywił wargi i milcząc odszedł na bok, dziwił się uber diese Eingenommenheit

¹⁴² Przenieść w przestrzeń.

¹⁴³ Stary pan spokojnie się urządził.

¹⁴⁴ Starego pani.

– Oto mój bohater – rzekł Kutuzow na widok okazałego, przystojnego, czarnowłosego generała, który akurat wchodził na kurhan. Był to Rajewski; cały dzień spędził w głównym punkcie borodińskiego pola.

Rajewski donosił, że wojska twardo stoją na swych miejscach i że Francuzi nie mają odwagi atakować dłużej.

Wysłuchawszy tego Kutuzow rzekł po francusku:

– Vous ne pensez donc pas comme les autres que nous sommes obligés de nous retirer?¹⁴⁵

– Au contraire, Votre Altesse, dans les affaires indecises c'est toujours le plus opiniatre qui reste victorieux – odpowiedział Rajewski. – Et mon opinion...¹⁴⁶

Kajsarow – zawołał Kutuzow do swego adiutanta. – Siadaj, pisz rozkaz na jutro. A ty – zwrócił się do drugiego – jedź wzdłuż linii i oznajmij, że jutro atakujemy.

Podczas gdy Kutuzow rozmawiał z Rajewskim i dyktował rozkaz, Wolzogen wrócił od Bardaya i zameldował, że generał Barciay de Tolly pragnąłby mieć potwierdzenie na piśmie tego rozkazu, który wydał feldmarszałek.

Kutuzow, nie patrząc na Wolzogena, kazał napisać ów rozkaz, który – z uzasadnionych przyczyn, aby uniknąć

– I moim zdaniem... osobistej odpowiedzialności – pragnął mieć były naczelny wódz.

I dzięki owej nie dającej się określić tajemnej więzi, podtrzymującej w całym wojsku jeden i ten sam nastrój, zwany duchem armii i stanowiący główny nerw wojny, słowa Kutuzowa i jego rozkaz o jutrzejszej bitwie, zostały przekazane jednocześnie wszystkim oddziałom.

Bynajmniej nie te same słowa, nie ten sam rozkaz dochodził do ostatnich ogniw tego łańcucha. W tych opowiadaniach, które w różnych krańcach armii przekazywał jeden drugiemu, nic nie przypominało nawet tego, co powiedział Kutuzow, ale sens jego słów dotarł wszędzie, to bowiem, co Kutuzow powiedział, nie wypływało z wyrachowanych rozważań, lecz z uczucia, które ożywiało zarówno naczelnego wodza, jak i każdego Rosjanina.

Dowiedziawszy się, że nazajutrz atakujemy nieprzyjaciela, i usłyszawszy z wyższych kół armii potwierdzenie tego, w co chcieli wierzyć, zmęczeni, wąpiący ludzie nabierali otuchy i animuszu.

¹⁴⁵ Temu zarozumiałstwu starego pana.

¹⁴⁶ Przeciwnie, wasza dostojność, kiedy sprawa jest nie rozstrzygnięta, zwyryczką pozostaje zawsze ten, kto jest bardziej uparty.

XXXVI

Pułk księcia Andrzeja znajdował się wśród rezerw, które pod silnym ogniem nieprzyjacielskim do drugiej stały beczynnio poza Siemionowskiem. O drugiej pułk, który już stracił przeszło dwustu ludzi, został przesunięty naprzód, na stratowane pole owsa, na ten odcinek między Siemionowskiem a baterią na kurhanie, gdzie owego dnia padło tysiące ludzi i na który o drugiej był skierowany wzmocniony zmasowany ogień kilkuset nieprzyjacielskich dział.

Nie ruszając się z tego miejsca i nie wystrzeliwszy ani jednej kuli pułk stracił tutaj jeszcze trzecią część swych ludzi. Z przodu, a zwłaszcza z prawej strony, w nie rozchodzącym się dymie grzmiały działa, a z tajemniczej przestrzeni dymu, zasnuwającego całą okolicę, bez przerwy, pospiesznie sycząc i świszcząc, wylatywały pociski i przeciągle gwizdząc – granaty. Czasami, jakby chcąc dać chwilę wytchnienia, tchnienia, w ciągu kwadransa wszystkie pociski i granaty przenosiły, ale czasami w ciągu minuty wydzierają pułkowi kilkunastu ludzi, i bez przerwy odciągano zabitych i wynoszono rannych.

Z każdym nowym uderzeniem coraz mniej szans życia pozostawało tym, którzy jeszcze nie zostali zabici. Pułk stał kolumnami batalionowymi w odstępach co trzysta kroków, ale pomimo to nastrój wśród wszystkich był taki sam: wszyscy byli jednakowo milczący i ponurzy. W szeregach z rzadka słychać było rozmowę, która milkła za każdym razem, gdy rozlegało się uderzenie trafiającego pocisku i okrzyk:

„Nosze!” Na rozkaz dowództwa ludzie przeważnie siedzieli na ziemi. Jeden, zdjawszy kiwer, starannie wygładzał załamki, a następnie je składał; drugi, rozkruszywszy w dłoniach suchą glinę, czyścił nią bagnet, inny prostował rzemień i przesuwiał sprzączki temblaka, inny jeszcze, przeżuując się, starannie odwijał i na nowo zawijał onuce. Niektórzy stawiali domki z grudek zoranej ziemi albo robili plecionki ze słomy rżyska. Wszyscy sprawiali wrażenie pograżonych w tych zajęciach. Kiedy padali ranni i zabici, kiedy niesiono nosze, kiedy nasi się cofali, kiedy poprzez dym widać było wielkie masy nieprzyjaciela, nikt na to nie zwracał uwagi. Ale kiedy jechała do przodu artyleria, kawaleria, kiedy było widać ruchy naszej piechoty – ze wszystkich stron rozlegały się głosy aprobaty. Największą jednak uwagę budziły zdarzenia całkiem postronne, nie mające żadnego związku z bitwą. Jak gdyby w tych zwykłych, życiowych zdarzeniach odpoczywała uwaga tych ludzi znużonych moralnie. Przed frontem pułku przeszła bateria artylerii. Przy jednym z artyleryjskich jaszczów koń przyprzężny przestąpił postronek. – „Hej, przyprzężny!... Popraw!... Upadnie... Ech, nie widzą!...” – krzyczano z szeregów w całym pułku. Innym razem ogólną uwagę zwrócił nieduży brązowy, ze sztywno podniesionym ogonem, piesek, który Bóg wie skąd się tu wziął, zafrasowana psina biegła truchtem przed szeregami, a kiedy nagle uderzył pocisk, zaskowyczała, podwinęła ogon i rzuciła się w bok. W całym pułku rozległ się śmiech i gwizdy. Lecz tego rodzaju rozrywki trwały chwilę, a tymczasem ludzie od przeszło ośmiu godzin stali bez jadła i beczynnio, pod ustawicznym strachem śmierci; blade, chmurne twarze bladły coraz bardziej i coraz bardziej pochmurniały.

Książę Andrzej, tak samo jak i wszyscy z jego pułku chmurny i blady, chodził po łące, obok pola owsa, tam i z powrotem, od jednej miedzy do drugiej; ręce założył w tył, głowę spuścił... Nie miał nic do roboty ani do rozkazywania. Wszystko robiło się samo: zabitych odciągano za linię frontu, rannych wynoszono, szeregi zacieśniały się. Jeśli żołnierze biegli w tył, to z pośpiechem wracali. Z początku książę Andrzej uważał za swój obowiązek budzić męstwo w żołnierzach i dawać im przykład, przechadzał się więc wzdłuż szeregów; potem przekonał się jednak, że ani nie potrzebuje, ani nie ma czego ich uczyć. Wszystkie siły jego duszy, podobnie jak każdego żołnierza, były mimo woli skierowane na to, by powstrzymać się od rozważań nad okropnością położenia, w jakim się znajdowali. Chodził po łące powłócząc nogami, mierzwił trawę i przyglądał się swoim zakurzonym butom; to stawiał wielkie kroki usiłując trafić w ślady pozostawione na łące przez kosiarzy, to znów licząc kroki rachował, ile razy musi przejść od miedzy do miedzy, żeby zrobić wiorstę, to znów osmykiwał kwiatki piołunu rosnącego na miedzach, rozcierał je w dłoniach i wciągał ich gorzką, mocną woń. Z wczorajszej pracy myśli nie pozostało nic. O niczym nie myślał. Zmęczonym słuchem śledził ciągle te same odgłosy, odróżniał świst pocisków od huku strzałów, spoglądał na czujne twarze ludzi z pierwszego batalionu i czekał. „O... znów na nas!” – myślał przysłuchując się czemuś, co zbliżało się ze świstem spoza przesłoniętego dymem obszaru. „Jeden, drugi! Jeszcze! Trafił...” Zatrzymał się i popatrzył na szeregi. „Nie, przeniosło. A ten trafił”.

I znów zaczynał chodzić, starał się stawiać jak największe kroki, aby zrobiwszy szesnaście kroków dojść do miedzy.

Świst i huk! O pięć kroków od niego pocisk wyrwał suchą ziemię i zarył się. Mimowolny dreszcz przebiegł mu po plecach. Znów popatrzył na szeregi. Prawdopodobnie wielu padło, przy drugim batalionie zebrał się duży tłum.

Panie adiutancie, proszę wydać rozkaz, żeby się nie gromadzili – krzyknął. Adiutant spełniwszy rozkaz zbliżał się do księcia Andrzeja. Z drugiej strony nadjechał konno dowódca batalionu.

– Uwaga! – rozległ się wystraszony okrzyk żołnierza. Granat, niby ptak świszczący w bystrym locie i przysiadający na ziemi, padł o dwa kroki od księcia Andrzeja, tuż przy koniu dowódcy batalionu. Koń pierwszy, nie pytając, czy to dobrze, czy źle okazywać strach, parsknął, stanął dęba, omal nie zrzucił majora i odskoczył w bok. Przerażenie konia udzieliło się ludziom.

– Padnij! – rozległ się głos adiutanta, który przywarł do ziemi. Książę Andrzej stał niezdecydowany. Granat dymił i kręcił się niby bąk między nim i leżącym adiutantem, na skraju pola i łąki, obok krzewu piołunu.

– „Czyżby to była śmierć? – myślał książę Andrzej patrząc zupełnie nowym, zawistnym spojrzeniem na trawę, na piołun i na smugę dymu wijącą się z kręcącej się czarnej piłeczki. – Ja nie mogę umrzeć, ja nie chcę, ja kocham życie, kocham tę trawę, ziemię, powietrze...” Myślał to, a jednocześnie pamiętał, że na niego patrzy.

– Wstyd, panie oficerze! – rzekł do adiutanta – jaki...

Nie dokończył. W tej chwili rozległ się wybuch, świst jakby odłamków rozbitego okna, duszący zapach prochu i książę Andrzej uskoczył w bok, podniósł rękę i upadł na pierś.

Podbiegło do niego kilku oficerów. Z prawej strony brzucha wypływała na trawę duża plama krwi.

Wezwani pospolitacy stanęli z noszami za grupą oficerów. Książę Andrzej leżał na pierśsi, z twarzą zanurzoną w trawie, oddychał rżęząc, z wysiłkiem.

– Cóżście stanęli, chodźcie!

Chłopi zbliżyli się, ujęli go za nogi i ramiona, ale kiedy jęknął żałośnie, spojrzeli po sobie i znowu go położyli.

– Brać, kłaść, wszystko jedno! – krzyknął czyjś głos. Po raz drugi ujęli go za ramiona i położyli na noszach.

Ach, mój Boże! Mój Boże! Cóż to?... Brzuch! To koniec! Ach, mój Boże! – rozległy się głosy wśród oficerów. – Zabrzęczał mi tuż koło ucha – mówił adiutant. Chłopi dopasowali nosze na ramiona i ścieżką, którą już byli wydeptali, pośpiesznie ruszyli na punkt opatrunkowy.

– W nogę... Ech, chłopstwo! – krzyknął oficer zatrzymując za ramię pierwszego z chłopów trzęsących w marszu noszami.

– Chwedor, równaj, Chwedor – mówił chłop idący na przedzie.

– No już – rzekł z radością idący z tyłu, kiedy utrafił.

– Jaśnie panie? Co? Książę? – rzekł drżącym głosem

Timochin, gdy podbiegł i spojrzął na nosze.

Książę Andrzej otworzył oczy i z noszy, w które głęboko wpadła mu głowa, spojrzął na tego, kto mówił, i znów spuścił powieki.

Pospolitalcy przynieśli księcia Andrzeja do lasu, gdzie stały furmanki i gdzie był punkt opatrunkowy. Punkt opatrunkowy składał się z trzech rozrzuconych na skraju brzozonego zagajnika namiotów z podwiniętymi ściankami. W zagajniku stały furmanki i konie. Konie jadły owies z worków przymocowanych do hołobli, wróble zlatywały się do nich i zbierały rozsypane ziarno. Kruki, czując krew, przelatywały z brzozy na brzozę i niecierpliwie krakały. Wokół namiotów, na przestrzeni więcej niż dwóch dziesięcin, leżeli, siedzieli, stali zakrwawieni ludzie w różnej odzieży. Wokół rannych, o zatroskanych, pełnych uwagi twarzach, stały tłumy żołnierzy-tragarzy, nadaremnie oficerowie, wydający rozkazy, odpędzali ich z tego miejsca. Nie słuchając oficerów, żołnierze, wsparci o nosze, stali i badawczo, jak gdyby usiłowali pojąć trudne znaczenie tego widowiska, patrzyli na to, co się przed nimi działo. Z namiotów dochodziły to głośnie, gniewne wrzaski, to żalosne jęki. Od czasu do czasu wybiegali stamtąd felczerzy po wodę i wskazywali, kogo wnosić. Ranni, czekający przed namiotem swej kolei, rzęzili, jęczeli, płakali, krzyczeli, wymyślali, prosili wódki. Niektórzy bredzili. Przystępując przez nie opatrzonych rannych, tragarze przynieśli księcia Andrzeja, jako dowódcę pułku, bliżej jednego z namiotów. Zatrzymali się czekając na rozkaz. Książę Andrzej otworzył oczy i długo nie mógł zrozumieć, co się wokół niego działo. Przypomniawszy sobie łąkę, piołun, zorane pole, czarną wijącą się pługę i namiętny poryw miłości życia. O dwa kroki od niego stał wsparty o konar wysoki, przystojny, czarnowłosy podoficer z obwiązaną głową. Mówił głośnie zwracając na siebie ogólną uwagę. Był raniony kulami w głowę i w nogę. Dokoła niego zebrał się tłum rannych i tragarzy, chciwie słuchając jego słów.

Tośmy go tak zdzielili, że wszystko rzucił, samegośmy króla wzięli – krzyczał żołnierz i rozglądał się na wszystkie strony błyszczącymi, rozgorączkowanymi czarnymi oczami. – Żeby tak wtedy podeszły lezerwy, to upewniam de, bratku, ani ducha by po nim nie zostało...

Podobnie jak wszyscy, którzy otaczali opowiadającego, książę Andrzej patrzył na niego błyszczącymi oczami i doznawał pociechy. „Ale czy teraz nie wszystko jedno – pomyślał. – Co będzie tam i co było tu? Dlaczego było mi żal rozstawać się z życiem? Było jednak coś w tym życiu, czegom nie rozumiał i nie rozumiem”.

XXXVII

Z namiotu wyszedł jeden z doktorów w zakrwawionym fartuchu i z zakrwawionymi niedużymi rękami, między kciukiem a małym palcem (aby go nie zabrudzić) trzymał cygaro. Doktor podniósł głowę i jał patrzeć na wszystkie strony, ale ponad rannymi. Widocznie chciał nieco odpocząć. Przez pewien czas wodził głową w prawo i w lewo, potem westchnął i spuścił oczy.

– No to zaraz – odpowiedział na słowa felczera, który wskazywał księcia Andrzeja. Kazał go wnieść do namiotu. W tłumie oczekujących rannych powstał szmer.

Widocznie i na tamtym świecie jeno panom żyć rzekł jeden.

Księcia Andrzeja wniesiono i położono na jednym z opróżnionych stołów, z którego felczer coś splukiwał. Księżę Andrzej nie mógł dokładnie rozróżnić, co się w namiocie miocie znajdowało. Uwagę jego pochłaniały żalosalne jęki z różnych stron i dotkliwy ból w biodrze i brzuchu. Wszystko, co dokoła siebie widział, zlało się w jedno ogólne wrażenie obnażonego, okrwawionego ciała ludzkiego, które zdawało się wypełniać cały niski namiot, podobnie jak kilka tygodni temu w ów gorący dzień sierpniowy to samo ciało wypełniało brudny staw na szosie smoleńskiej. Tak, to było to samo ciało, to samo chair a cemon, którego widok, jak gdyby zapowiedź chwili obecnej, już wtedy wzbudził w nim przerażenie.

W namiocie były trzy stoły. Dwa były zajęte, na trzecim położono księcia Andrzeja. Przez pewien czas pozostawiono go samego, przeto mimo woli zobaczył, co działo się na dwóch innych stołach. Na bliższym stole siedział Tatar, sądząc z rzuconego munduru, prawdopodobnie kozak. Trzymało go czterech żołnierzy. Doktor w okularach coś wycinał z jego brązowych muskularnych pleców.

– Uch, uch, uch!... – Tatar jakby chrząkał. Nagle podniósł w górę twarz – czarną z wystającymi kośćmi policzkowymi, z zadartym nosem – wyszczerzył białe zęby i jał się wrywać, szarpać i skowyczeć przenikliwie dźwięcznym, przeciągłym skowytom. Na drugim stole, przy którym stłoczyło się wielu ludzi, leżał na plecach duży, tęgi mężczyzna z głową odrzuconą w tył (falujące włosy, ich barwa i kształt głowy wydały się księciu Andrzejowi dziwnie znajome). Kilku felczerów zważyło się temu człowiekowi na pierś i trzymało go. Biała, wielka, gruba noga szybko, nieustannie, konwulsyjnie drgała. Ów człowiek łkał spazmatycznie i zachłystywał się. Dwaj lekarze milcząc – jeden z nich był blady i drżał – robili coś przy drugiej, czerwonej nodze tego człowieka. Uporawszy się z Tatarem, na którego narzucono szynel, doktor w okularach, obcierając ręce, podszedł do księcia Andrzeja.

Spojrzał na twarz księcia Andrzeja i pośpiesznie się odwrócił.

– Rozebrać! Czego stoicie? – krzyknął gniewnie na felczerów.

Kiedy felczer spiesznymi zakasanyimi rękami rozpinął mu guziki i zdejmował z niego ubranie, księciu Andrzejowi przypomniało się najdawniejsze dzieciństwo. Doktor nisko pochylił się nad raną, obmacał ją i ciężko westchnął. Potem dał komuś znak. Katusze bólu wewnątrz brzucha pozbawiły księcia Andrzeja przytomności. Kiedy się ocknął, strzaskane kości biodra były

wyjęte, strzępy ciała odcięte, rana opatrzona. Skraplano mu twarz wodą. Gdy księżę Andrzej otworzył oczy, doktor pochylił się nad nim, milcząc pocałował go w usta i spiesznie odszedł.

Gdy cierpienie minęło, księżę Andrzej odczuł błogość, jakiej już dawno nie doznawał. Wszystkie najlepsze, najszcześniejsze chwile w jego życiu, a osobliwie najodleglejsze dzieciństwo, kiedy go rozbierano, kładziono do łóżeczka, kiedy niania usypiając go śpiewała nad nim, kiedy zanurzał głowę w poduszki i czuł się szczęśliwy samą świadomością życia – wszystkie te chwile stanęły w jego wyobraźni nie jako przeszłość, ale jako rzeczywistość.

Doktorzy krzżeli się przy owym rannym, którego kontury głowy wydawały się księciu Andrzejowi znajome, podnoszono go, uspokajano.

Pokażcie mi... Ooooo! oooo! – słycać było jego przerywany szlochem, przerażony jęk, ujarzmiony cierpieniem. Księciu Andrzejowi, słyszącemu te jęki, zbierało się na płacz. Czy dlatego, że umierał bez sławy, czy też dlatego, iż żał mu było rozstawać się z życiem, czy może z powodu owych niepowrotnych wspomnień dzieciństwa, czy też może dlatego, że cierpiał sam, że inni cierpieli i że ten człowiek żałośnie jęczał, księżę Andrzej pragnął zapłakać dziecięcymi dobrymi łzami, niemal łzami radości.

Rannemu pokazano nogę, którą mu odjęto, nogę w bucie z zakrzepłą krwią.

– O! Ooooo! – zaszlochał jak kobieta. Doktor, który stał przed nim i zasłaniał jego twarz, odszedł.

„Mój Boże! Co to? Czemu on tutaj?” – rzekł do siebie księżę Andrzej.

W nieszczęsnym człowieku, szlochającym, osłabłym, któremu dopiero co odjęto nogę, poznał Anatola Kuragina. Anatola podtrzymywano i podawano mu wodę w szklance, której brzegu nie mógł pochwycić drżącymi, spuchniętymi wargami. Anatol gorzko płakał. „Tak, to on; tak, to ten człowiek związany ze mną czymś bliskim i przykrym myślał księżę Andrzej, jeszcze nie rozumiejąc wyraźnie tego, co się przed nim działo. – Na czym polega związek tego człowieka z moim dzieciństwem, z moim życiem?”

zadawał sobie pytanie i nie znajdował odpowiedzi. I z nagłą nasunęło się księciu Andrzejowi nowe, niespodziewane wspomnienie z czystego i pełnego miłości dzieciństwa. Przypomniał sobie Nataszę taką, jaką zobaczył pierwszy raz na balu w roku 1810, z cienką szyją i szczupłymi rękami, z twarzą przestraszona i szczęśliwa, gotowa do zachwyty; i w jego duszy ocknęła się jeszcze żywiej i silniej niż kiedykolwiek miłość do niej i tkliwość. Teraz przypomniał sobie związek między sobą i tym człowiekiem, który patrzył na niego mętnie poprzez łzy napęlniające jego zapuchnięte oczy. Księżę Andrzej przypomniał sobie wszystko i jego szczęśliwe serce wypełniła ekstatyczna litość i miłość do tego człowieka.

Księżę Andrzej nie mógł dłużej się powstrzymać i rozplakał się łzami tkliwości i miłości; płakał nad ludźmi i nad sobą, nad ich i swoimi błędami.

„Współczucie, miłość do bliźnich, do kochających nas, miłość do tych, którzy nas nienawidzą, miłość do wrogów, tak, miłość, którą Bóg głosił na ziemi, której mnie uczyła księżniczka Maria, a której nie rozumiałem; dlatego żał mi było życia, to właśnie pozostawałoby mi jeszcze, gdybym żył. Ale teraz jest za późno. Ja to wiem!”

XXXVIII

Otraszny widok pola bitwy, pokrytego trupami i rannymi, w połączeniu z ociężałością głowy i wiadomościami o zabitych i rannych dwudziestu znajomych generałach i ze świadomością niemocy swej silnej ongi dłoni wywarł niespodziewane wrażenie na Napoleonie, który zazwyczaj lubił przyglądać się zabitym i rannym, gdyż w ten sposób (jak sądził) doświadczał swą siłę duchową. Owego dnia straszny widok pola bitwy pokonał tę siłę duchową, w której upatrywał swą zasługę i swą wielkość. Opuścił z pośpiechem pole bitwy i wrócił na kurhan szewardiński. Żółty, nalany, ociężały, z oczami mętными i czerwonym nosem, zachrypnięty, siedział na polowym stołku, bezwolnie przysłuchując się odgłosom strzelaniny i nie podnosząc oczu. Z bolesną troską czekał końca tej sprawy, za której uczestnika się uważał, ale której nie mógł zatrzymać. Na krótki czas osobiste ludzkie uczucie wzięło górę nad tym sztucznym widmem życia, któremu służył tak długo. Przenosił w siebie cierpienia i śmierć, które widział na polu bitwy. Ciężar w głowie i piersi przypominał mu, że możliwość cierpień i śmierci istnieje i dla niego. W tej chwili nie pragnął dla siebie ani Moskwy, ani zwycięstwa, ani sławy. (Jakaż jeszcze sława była mu potrzebna?) Obecnie pragnął tylko jednego: odpoczynku, spokoju, swobody. Ale kiedy był na wzgórzu Siemionowskim, a dowódca artylerii zaproponował, żeby na tym wzgórzu ustawić jeszcze kilka baterii w celu wzmocnienia ognia na stłoczone przed Kniaźkowem wojska rosyjskie, Napoleon zgodził się i kazał przysłać sobie wiadomość, jaki będzie skutek działań tych baterii.

Adiutant przyjechał oznajmić, że na rozkaz cesarza dwieście dział skierowano na Rosjan, jednak Rosjanie ciągle tam stoją.

Nasz ogień wyrzywa całe ich szeregi, a oni stoją – powiedział adiutant.

Lis en veulent encore!...¹⁴⁷ – rzekł Napoleon zachrypniętym głosem.

– *Sire?*¹⁴⁸ – rzekł pytająco adiutant nie dosłyszawszy.

– *lis en veulent encore* – wychrypiał, nachmurzywszy się, Napoleon – *donnez-leur en.*¹⁴⁹

I bez jego rozkazu czyniono to, czego chciał, lecz wydał rozkaz tylko dlatego, że sądził, iż spodziewano się od niego rozkazu. I znów przeniósł się w swój dawny, sztuczny świat widm jakiejś wielkości, i znów (niby koń chodzący w kieracie, który sobie wyobraża, że czyni to dla siebie) jął potulnie wypełniać okrutną, smutną i ciężką, nieludzką rolę, jaka mu była przeznaczona.

I nie tylko w owej jednej godzinie i w owym jednym dniu były zamroczone rozum i sumienie tego człowieka, który dźwigał na sobie ciężar większy niż inni uczestnicy tej sprawy, ale nigdy, do końca życia, nie mógł pojąć ani dobra, ani piękna, ani prawdy; nie pojmował też znaczenia swych postępów, które były zaprzeczeniem dobra i prawdy, zbyt dalekie od wszystkiego, co

¹⁴⁷ Jeszcze chcą!...

¹⁴⁸ Najjaśniejszy panie?

¹⁴⁹ Jeszcze chcą... więc im dajcie.

ludzkie, aby mógł pojąć ich znaczenie. Nie mógł wyrzec się swych postępów, sławionych przez połowę świata, musiał więc wyrzec się prawdy i dobra, i wszystkiego, co ludzkie.

Nie tylko owego dnia, kiedy objeżdżał pole bitwy zasłane (sądził, że z jego woli) poległymi i okaleczonymi ludźmi, patrząc na tych ludzi liczył, ilu wypadła Rosjan na jednego Francuza, i – oszukując siebie – znajdował przyczynę radości, że na jednego Francuza wypadło pięciu Rosjan. Nie tylko owego dnia pisał w liście do Paryża, że *le champ de bataille a ete superbe*¹⁵⁰ ponieważ legło na nim pięćdziesiąt tysięcy trupów; lecz i na Wyspie Św. Heleny, w ciszy samotności, gdzie mówił, że zamierza wolny czas poświęcić na ukazanie wielkich dzieł, których dokonał, pisał:

La guerre¹⁵¹ de Russie a du etre la plus populaire des temps modernes: c'etait celle du bon sens et des vrais interets, celle du repos et de la securite de tous; elle etait purement pacifique et conservatrice.

C'etait pour la grande cause, la fin des hasards et le commencement de la securite. Un nouvel horizon, de nouveaux travaux allaient se derouler, tout plein du bienetre et de la prosperite de tous. Le systeme europeen se trouvait fonde: il n'etait plus question que de l'organiser.

Satisfait sur ces grands points et tranquille partout, j'au-rai eu aussi mon congres et ma sainte alliance. Ce sont des idees qu'on m'a volees. Dans cette reunion de grands souverains, nous eussions traitees de nos interets en famille et compte de clerc de maitre avec les peuples.

L'Europe n'eut bientot fait de la sorte veritablement qu'un meme peuple, et chacun, en voyageant partout, se fut trouvee toujours dans la patrie commune. J'eus demande toutes les rivieres navigables pour tous, la communaute des mers et que les grandes armees permanentes

¹⁵⁰ Pole bitwy było wspaniałe.

¹⁵¹ Wojna z Rosją winna była stać się najpopularniejszą wojną współczesności była to wojna zdrowego rozsądku i prawdziwych interesów, bezpieczeństwa wszystkich, była czysto pokojowa i zachowawcza. Była to wojna dla wielkich celów, dla zakończenia przypadkowości i początku bezpieczeństwa. Otwierały się nowe perspektywy, nowe prace, dające dobrobyt i pomyślność wszystkim. System europejski byłby ugruntowany, kwestia polegałaby tylko na zorganizowaniu go. Po uregulowaniu tych wielkich kwestii i znikąd nie zagrożony, również miałbym swój kongres i swoje święte przymierze. Jest to myśl, którą mi skradziono. Na tym spotkaniu wielkich monarchów omawialibyśmy swe interesy jak w rodzinie i liczylibyśmy się z narodami, jak rządcą liczy się z właścicielem.

W ten sposób Europa stałaby się wkrótce rzeczywiście jednym narodem, a każdy, gdziekolwiek by się znalazł, czułby się zawsze we wspólnej ojczyźnie.

Wymówiłbym sobie, żeby wszystkie rzeki były dostępne dla żeglugi dla wszystkich, morza wspólne, żeby wielkie stałe armie zostały zredukowane do gwardii monarszej.

Powróciwszy do Francji, do ojczyzny, wielkiej, silnej, wspaniałej, spokojnej, sławnej, ogłosiłbym jej granice za niezmiennie; wszelką przyszłą wojnę za wojnę obronną; wszelką nową ekspansję za antynarodową; dopuściłbym swego syna do rządzenia cesarstwem; moja dyktatura by się skończyła i zaczęłyby się jego rządy konstytucyjne...

Paryż byłby stolicą świata, Francuzi zaś przedmiotem zazdrości narodów!...

Potem swój wolny czas i ostatnie dni życia poświęciłbym, przy udziale cesarzowej i podczas gdy syn mój terminowałby w rzemiośle monarszym, na to, by powoli, własnymi końmi, jak prawdziwe wiejskie małżeństwo, odwiedzać wszystkie zakątki cesarstwa, przyjmować skargi, usuwać niesprawiedliwość, pozostawiając wszędzie pamięć swoich dobrodziejstw.

fussent reduites desormais a la seule garde des souverains.

De retour en France, au sein de la patrie, grande, furte, magnifique, tranquille, glorieuse, j'eusse proclame ses limites immuables; toute guerre future, purement defensiye, tout agrandissement nouveau antinational. J'eusse associe mon fils a l'empire; ma dictature eut fini, et sañ regne constitutionnel eut commence...

Paris eut ete la capitale du monde, et les Franpais l'envie des nationsf...

Mes loisirs ensuite et mes vieux jours eussent ete consacre, en compagnie de l'imperatrice et durant l'apprentissage royal de mon fils, a visiter lentement et en vrai couple campagnard, avec nos propres chevaux, tous les recoins de l'Empire, recevant les plaintes, redressant les torts, semant de toutes parts et partout les monuments et les bienfaits.

On, któremu Opatrzność przeznaczyła smutną, niewolniczą rolę kata narodów, upewniał sam siebie, że celem jego postępów było szczęście narodów i że mógł kierować losem milionów ludzi i przez sprawowanie władzy czynić dobrodziejstwa!

Des 400 000¹⁵² hommes qui passerent la Yistule – pisał dalej o wojnie z Rosją – la moitie etait Autrichiens, Prussiens, Saxons, Polonais, Bavarois, Wurtembergeois, Meclenbourgeois, Espagnols, Italiens, Napolitains. L'armee imperiale, proprement dite, etait pour un tiers composee de Hollandais, Belges, habitants des bords du Rhin, Piemontais, Suisses, Genevois, Toscans, Romains, habitants de la 32-e division militaire, Brene, Hambourg, etc.; elle comptait a peine 140 000 hommes parlant francais.

L'expedition de Russie couta moins de 50 000 hommes d la rance actuelle; l'armee russe dans la retraite de Wilna d Moscou, dans les differentes batailles, a perdu quatre fois que l'armee francaise; l'incendie de Moscou a coute la vie et 100 000 Russes, morts de froid et de misere dans les bois; enfin, dans sa marche de Moscou a l'oder, l'armee russe fut aussi atteinte par l'intemperie de la saison; elle ne comptait a son arrwee d Wilna que 50 000 hommes, et d Kalisch moins de 18000.

Wyobrażał sobie, że wojna z Rosją wynikała z jego woli, a okropność tego, co się dokonało, nie przeraziła jego duszy. Śmiało brał na siebie całkowitą odpowiedzialność za te zdarzenia, jego zaś zamroczony umysł widział usprawiedliwienie w tym, że w setkach tysięcy poległych było mniej Francuzów niż Heseńczyków i Bawarów.

Rosjan, zmarłych w lasach z zimna i nędzy; wreszcie podczas przemarszu od Moskwy do Odry armia rosyjska również poniosła straty z powodu surowości pory roku: po przybyciu do Wilna liczyła tylko 50000 ludzi, a w Kaliszu niecałe 18000.

¹⁵² Z 400000 ludzi, którzy przeszli Wisłę, połowę stanowili Austriacy, Prusacy, Sasi, Polacy, Bawarzy, Wirtemberczycy, Meklemburczycy, Hiszpanie, Włosi i Neapolitańczycy. Właściwie mówiąc, armia cesarska w jednej trzeciej składała się z Holendrów, Belgów, mieszkańców wybrzeży Renu, Piemontczyków, Szwajcarów, mieszkańców Genewy, Toskańczyków, Rzymian, 32 okręgu wojskowego, Bremy, Hamburga, etc; było w niej zaledwie 140 000 ludzi mówiących po francusku.

Wyprawa rosyjska kosztowała Francję właściwie mniej niż 50 000 ludzi; armia rosyjska cofając się od Wilna do Moskwy straciła w różnych bitwach cztery więcej niż armia francuska; pożar Moskwy przypłaciło życiem 100000 Rosjan, zmarłych w lasach z zimna i nędzy; wreszcie podczas przemarszu od Moskwy do Odry armia rosyjska również poniosła straty z powodu surowości pory roku: po przybyciu do Wilna liczyła tylko 50000 ludzi, a w Kaliszu niecałe 18000.

XXXIX

Kilkadziesiąt tysięcy ludzi leżało martwych w różnych pozycjach i mundurach na polach i łąkach należących do panów Dawydowów i do włościan rządowych, na tych polach i łąkach, na których w ciągu stuleci jednocześnie zbierali plony i pasali bydło włościanie z Borodina, Górek, Szewardina i Siemionowskiego. W miejscach, gdzie były punkty opatrunkowe, na obszarze dziesięciny ziemia i trawa przesiąknięte były krwią. Gromady rannych i nierannych, ludzi z różnych oddziałów, brnęły z jednej strony z powrotem do Możajska, a z drugiej strony – z powrotem do Wałujewa. Inne, zmęczone i głodne, prowadzone przez dowódców, szły naprzód. Jeszcze inne stały w miejscu i wciąż strzelały.

Nad całym polem, przedtem tak pięknym i wesołym z błyskami bagnetów i dymami w porannym słońcu, stała teraz wilgotna mgła i dym, pachniało dziwną kwaśną wonią saletry i krwi. Zebrały się chmurki i jał kropić deszczyk na zabitych, na rannych, na przestraszonych, na znużonych i na tych, co zwątpili. Jak gdyby mówił: „Dosyć, ludzie, dosyć. Przestańcie... Opamiętajcie się. Co robicie?”

Ludzi znużonych, bez jada i bez odpoczynku, ludzi z tej i z tamtej strony jeły nawiedzać jednakie wątpliwości, czy jeszcze muszą tępić się wzajemnie, na wszystkich twarzach widać było wahanie, a w duszy każdego powstawało pytanie: „Czemu, dla kogo mam zabijać lub być zabity? Zabijajcie, kogo chcecie, róbcie, co chcecie, ale ja już nie. chcę!” Pod wieczór ta myśl dojrzała w sercu każdego. W każdej chwili ci wszyscy ludzie mogli przestraszyć się te-1 go, co robili, wszystko rzucić i uciekać, gdzie oczy poniosą.

Ale choć przy końcu bitwy ludzie czuli całą okropność swego postępkę, choć radzi byliby zaprzestać, jednak jakaś niepojęta, tajemnicza siła nadal nimi kierowała, toteż spoceni artylerzyści, wśród prochu i krwi, choć tylko co trzeci z nich pozostał, choć potykali się i ciężko dyszeli ze zmęczenia, przynosili pociski, ładowali działa, celowali, przykładali lonty, po czym pociski z obu stron leciały równie szybko i okrutnie i miażdżyły ciała ludzkie, a więc nadal dokonywało się to straszne dzieło, które dokonuje się nie z woli ludzi, lecz z woli Tego, kto kieruje ludźmi i światami.

Kto by spojrział na bezładne tyły rosyjskiej armii, powiedziałby, że wystarczy, by Francuzi zrobili jeden mały wysiłek, a armia rosyjska zniknie; ten zaś, kto by popatrzył na tyły Francuzów, powiedziałby, że dość, by Rosjanie zrobili jeszcze jeden mały wysiłek, a Francuzi będą zgubieni. Jednak ani Francuzi, ani Rosjanie nie robili tego wysiłku, toteż płomień bitwy powoli dogasał.

Rosjanie nie robili tego wysiłku, nie oni bowiem atakowali. Na początku bitwy stali tylko na drodze do Moskwy, zagradzając ją; i stali tak samo przy końcu bitwy, jak stali na jej początku. Gdyby nawet celem Rosjan było odparcie Francuzów, nie byliby w stanie uczynić tego ostatniego wysiłku, wszystkie bowiem wojska rosyjskie były rozbite, nie było ani jednego oddziału, który by nie poniósł strat w bitwie, i Rosjanie, pozostając na swych miejscach, stracili POŁOWĘ swego wojska.

Tymczasem Francuzi pamiętając wszystkie poprzednie zwycięstwa w ciągu lat piętnastu,

przeświadczeni o niezwyciężoności

Napoleona, świadomi, że opanowali część pola bitwy, że stracili tylko czwartą część ludzi i że jeszcze mają nietkniętą dwudziestotysięczną gwardię, łatwo mogli uczynić ten wysiłek. Francuzi atakujący rosyjską armię, mający na celu zepchnięcie jej z pozycji, powinni byli uczynić ten wysiłek, gdyż póki Rosjanie, tak samo jak i przed bitwą, zagradzali drogę do Moskwy, cel Francuzów nie został osiągnięty, a więc wszelkie ich wysiłki i straty szły na marne. Jednak Francuzi nie uczynili tego wysiłku. Niektórzy historycy powiadają, iż wystarczyłoby Napoleonowi wysłać do boju swą nietkniętą starą gwardię, a bitwa byłaby wygrana. Mówić o tym, co by było, gdyby Napoleon wysłał swą gwardię, to tak jakby mówić, co by było, gdyby jesienią zrobiła się wiosna. Tak być nie mogło. Napoleon nie dał swej gwardii nie dlatego, że nie chciał, lecz dlatego, że nie można było tego zrobić. Wszyscy generałowie, oficerowie, żołnierze francuskiej armii wiedzieli, że tego nie można było zrobić, gdyż upadek ducha w armii na to nie pozwalał.

Nie tylko Napoleon doznawał owego uczucia, podobnego do zmory sennej, że straszny rozmach ręki pada bezsilnie, lecz i wszyscy generałowie, wszyscy uczestniczący i nie uczestniczący w bitwie żołnierze armii francuskiej – po doświadczeniu we wszystkich poprzednich bitwach (podczas których po dziesięciokrotnie mniejszych wysiłkach nieprzyjacieli uciekał) doznawali tego samego uczucia przerażenia wobec wroga, który straciwszy POŁOWĘ wojska stał tak samo groźnie w końcu bitwy jak na jej początku. Moralna siła atakującej armii francuskiej była wyczerpana. Pod Borodinem Rosjanie odnieśli zwycięstwo – nie takie zwycięstwo

jakie się określa zawładnięciem kawałkiem materii na drzewcach, zwanymi sztandarami, i tą przestrzenią, na której stały i stoją wojska, lecz zwycięstwo moralne, które przekonuje przeciwnika o moralnej wyższości wroga i o własnej bezsilności. Najazd francuski, niby rozjuszona bestia, która odniosła śmiertelną ranę w swym rozpędzie, czuł swą zgubę, ale nie mógł się zatrzymać, podobnie jak dwukrotnie słabsze wojsko rosyjskie nie mogło nie odstąpić. Wojsko francuskie mogło jeszcze siłą rozpędu dotoczyć się do Moskwy, lecz tam, bez nowych wysiłków rosyjskiego wojska, musiało zginąć spłynąwszy krwią ze śmiertelnej rany, którą mu zadano pod Borodinem. Bezpośrednim skutkiem bitwy borodińskiej była niczym nie spowodowana ucieczka Napoleona z Moskwy, powrót starą szosą smoleńską, klęska pięćsettyśięcznej armii najeźdźczej i klęska napoleońskiej Francji, na którą pod Borodinem po raz pierwszy spadła dłoń silniejszego duchem przeciwnika.

CZEŚĆ TRZECIA

I

Dla rozumu ludzkiego absolutna ciągłość ruchu jest niepojęta. Człowiek zaczyna rozumieć prawa każdego ruchu, lecz tylko wtedy, kiedy rozpatruje dowolnie wzięte odcinki tego ruchu. Ale z tego dowolnego dzielenia ruchu ciągłego na oderwane odcinki wynika większa część ludzkich błędów.

Znany jest tak zwany sofizmat starożytnych polegający na tym, że Achilles nigdy nie dogoni idącego przed nim żółwia, mimo że Achilles idzie dziesięć razy prędzej niż żółw! Jak tylko Achilles przejdzie przestrzeń dzielącą go od żółwia, żółw wysunie się naprzód o jedną dziesiątą tej przestrzeni, Achilles przejdzie tę jedną dziesiątą, żółw przejdzie jedną setną itd., aż do nieskończoności. Starożytnym to zadanie wydawało się nierozwiązalne. Bezsens twierdzenia (że Achilles nigdy nie dogoni żółwia) wypływał tylko z tego, że dowolnie obierano oderwane odcinki ruchu, tymczasem zaś ruch zarówno Achillesa, jak i żółwia trwał bez przerwy.

Uwzględniając coraz mniejsze odcinki ruchu zbliżamy się tylko do rozwiązania zagadnienia, lecz nigdy go nie osiągniemy. Osiągamy rozwiązanie zagadnienia dopiero wtedy, gdy przypuścimy nieskończenie małą wielkość i wzrastający jej postęp do jednej dziesiątej i biorąc sumę tego postępu geometrycznego. Nowa gałąź matematyki posiadłszy sztukę posługiwania się nieskończenie małymi wielkościami, również w innych, bardziej skomplikowanych zagadnieniach ruchu daje obecnie odpowiedzi na pytania, które wydawały się nie do rozstrzygnięcia.

Ta nowa, nieznana starożytnym gałąź matematyki rozpatrując zagadnienia ruchu dopuszcza nieskończenie małe wielkości, tj. takie, przy których uwzględnia się główny warunek ruchu (absolutną ciągłość), a tym samym naprawia ten nieunikniony błąd, którego rozum ludzki nie może nie popełniać rozpatrując zamiast ruchu ciągłego poszczególne odcinki ruchu.

W badaniu praw ruchu dziejowego zachodzi zupełnie to samo.

Ruch ludności, wypływający z niezliczonego mnóstwa ludzkich dowolności, dokonuje się bezustannie.

Odkrycie praw tego ruchu jest celem historii. Aby jednak zrozumieć prawa ruchu ciągłego, sumy wszystkich dowolności ludzkich – rozum człowieczy dopuszcza, że istnieją dowolne, oderwane odcinki. Pierwszy modus historii polega na tym, by – wzięwszy dowolny ciąg nieprzerwanych zdarzeń – rozpatrywać je niezależnie od siebie, choć nie ma i nie może być początku żadnego zdarzenia, ponieważ zdarzenia zawsze wypływają bez przerwy jedno z drugich. Drugi modus polega na tym, by rozpatrywać działalność jednego człowieka – panującego wodza – jako sumę dowolności ludzi, choć suma dowolności ludzkich nigdy się nie wyraża w działaniu jednej postaci historycznej.

W swym rozwoju nauka historii ciągle bierze pod rozważę coraz mniejsze odcinki i w ten sposób usiłuje zbliżyć się do prawdy. Ale jakkolwiek małe byłyby te jednostki, rozpatrywane

przez historię, czujemy, że przypuszczenie, iż istnieją jednostki niezależne od innych, przypuszczenie początku jakiegokolwiek zjawiska i przypuszczenie, że dowolności wszystkich ludzi wyrażają się w działaniach jednej postaci historycznej, że to właśnie jest samo w sobie kłamstwem.

Każda konkluzja historii rozpada się w proch, nic nie pozostawia po sobie, bez najmniejszego wysiłku krytyki, jedynie wskutek tego, że krytyka obiera sobie jako przedmiot badania większą czy mniejszą poszczególną jednostkę; zawsze ma do tego prawo, albowiem wzięta przez nią jednostka historyczna zawsze jest wolna w swym działaniu.

Tylko przypuściwszy nieskończenie małą jednostkę w celu badań – różniczki historii, tj. jednorodne popędy ludzi – i osiągnąwszy sztukę całkowania (sumowania tych nieskończenie małych wielkości) możemy mieć nadzieję, że poznamy prawa historii.

Pierwsze piętnaście lat XIX stulecia charakteryzuje w Europie niezwykle ruch milionów ludzi. Ludzie porzucają swe zwykłe zajęcia, śpieszą z jednego krańca Europy na drugi, grabią, wzajemnie się mordują, triumfują i rozpaczają, i cały tok życia zmienia się na kilka lat i przedstawia spotęgowany ruch, który z początku wzrasta, następnie zaś słabnie. Jaka była przyczyna tego ruchu i wedle jakich praw on się dokonywał? – zapytuje rozum człowieczy.

Odpowiadając na to pytanie, historycy przedstawiają nam czyny i przemówienia kilkudziesięciu ludzi w jednym z budynków miasta Paryża i nazywają te czyny i przemówienia słowem: „Rewolucja”; potem dają szczegółową biografię Napoleona i niektórych przychylnych i wrogich mu osobistości, opowiadają o wzajemnym wpływie tych osobistości i mówią: oto dlaczego powstał ten ruch i oto jakie są jego prawa.

Jednak rozum ludzki nie tylko nie chce dać wiary temu tłumaczeniu, ale powiada wprost, że sposób tłumaczenia jest niesłuszny, gdy w tym tłumaczeniu zjawisko słabsze podaje się jako przyczynę silniejszego. Suma ludzkich dowolności zrobiła i rewolucję, i Napoleona, i tylko suma tych dowolności tolerowała i unicestwiała zarówno rewolucję, jak i Napoleona.

„Przecież za każdym razem, kiedy były podboje, byli zaborcy, za każdym razem, kiedy były przewroty w państwie, byli wielcy ludzie” – mówi historia. „Istotnie, za każdym razem, kiedy się pojawiali zaborcy, były też i wojny” – odpowiada rozum ludzki, ale to nie dowodzi, żeby zaborcy byli przyczynami wojen i żeby można było znaleźć prawa wojny w indywidualnej działalności jednego człowieka. Za każdym razem, kiedy patrzę na zegarek i widzę, że wskazówka zbliżyła się do dziesiątej, słyszę, że w pobliskiej cerkwi zaczynają bić dzwony, ale z tego, że za każdym razem wskazówka zbliża się do dziesiątej, kiedy zaczynają bić dzwony, nie mam prawa wnioskować, że położenie strzałki jest przyczyną ruchu dzwonów.

Za każdym razem, kiedy widzę ruch parowozu, słyszę gwizd, widzę, jak otwiera się wentyl i zaczynają poruszać się koła, jednak nie mam prawa wnioskować z tego, że gwizd i ruch kół są przyczyną ruchu parowozu.

Chłopi powiadają, że późną wiosną wieje chłodny wiatr, dlatego że rozwijają się pączki na dębie, istotnie, każdej wiosny wieje chłodny wiatr, kiedy pączki się rozwijają. Ale choć nie znam przyczyny, co sprawia, że zimny wiatr wieje, kiedy się dąb rozwija, nie mogę się zgodzić z chłopami, że przyczyną zimnego wiatru jest rozwijanie się pączków dębu, siła wiatru bowiem znajduje się poza obrębem wpływu pączków. Widzę tylko współzależność warunków, jakie bywają w każdym zjawisku życia, i widzę, że choćbym nader dokładnie śledził wskazówkę zegara, wentyl, koła parowozu pączki dębu, nie poznam przyczyny dzwonienia, ruchu parowozu i wiosennego wiatru. W tym celu powinienem całkowicie zmienić swój punkt obserwacyjny i studiować prawa ruchu pary, dzwonu i wiatru. To samo powinna uczynić historia. I próby takie już były robione.

Chcąc studiować prawa historii powinniśmy całkowicie zmienić przedmiot badań, zostawić w

spokoju królów, ministrów i generałów, a badać jednorodne, nieskończenie małe elementy, które kierują masami. Nikt nie może powiedzieć, w jakim stopniu człowiekowi jest dane osiągnąć w ten sposób rozumienie praw historii; jest jednak rzeczą widoczną, że tylko w ten sposób można uchwycić prawo historyczne: że w tej dziedzinie rozum ludzki nie uczynił jeszcze ani milionowej części wysiłków, które historycy zużyli na opisanie czynów rozlicznych królów, wodzów i ministrów i na przedstawienie swoich poglądów na te czyny.

II

Siły narodów mówiących dwunastoma językami Europy wdarły się do Rosji. Unikając starcia, wojsko rosyjskie i ludność cofają się do Smoleńska i od Smoleńska do Borodina. Z ciągle wzrastającą szybkością wojsko francuskie prze w stronę Moskwy, do celu swego ruchu. Wraz z przybliżaniem się do celu pęd jego wzrasta, podobnie jak szybkość spadającego ciała wzrasta w miarę jego zbliżania się do ziemi. Z tyłu – tysiące wiorst wygłodzonego, wrogiego kraju, z przodu – dziesiątki wiorst dzielące od celu. Czuje to każdy żołnierz armii napoleońskiej, najazd posuwa się sam przez się, siłą rozpędu.

W rosyjskim wojsku w miarę odwrotu coraz bardziej rozplomienia się duch zawziętości względem wroga: podczas odwrotu duch ten koncentruje się i wzrasta. Pod Borodinem dochodzi do starcia. Ani wojsko francuskie, ani rosyjskie nie rozpadło się, lecz bezpośrednio po starciu wojsko rosyjskie musi się cofnąć, jak musi potoczyć się w tył kula, kiedy się zetknie z drugą kulą, pędzącą na nią z dużą szybkością; tak samo jest nieuniknione, że (choć utraciwszy w starciu całą swą siłę) kula najazdu, która nabrała była gwałtownego rozpędu, toczy się jeszcze na pewnej przestrzeni.

Rosjanie odstepują o sto dwadzieścia wiorst za Moskwę, Francuzi dochodzą do Moskwy i tam się zatrzymują. W ciągu następnych pięciu tygodni nie ma ani jednej bitwy. Francuzi nie ruszają się. Niby śmiertelnie ranna bestia, która spływając krwią liże swe rany, przez pięć tygodni pozostają w Moskwie nic nie przedsiębiorąc i nagle, bez żadnej nowej przyczyny, uciekają z powrotem, biegną na szosę kałuską i (po zwycięstwie, gdyż pole bitwy pod Małojarosławcem znowu pozostało przy nich) nie wydając ani jednej poważnej bitwy, jeszcze szybciej uciekają do Smoleńska, za Smoleńsk, za Wilno, za Berezynę i dalej.

Wieczorem 26 sierpnia zarówno Kutuzow, jak i cała armia rosyjska byli przekonani, że bitwa pod Borodinem była wygrana. Tak właśnie Kutuzow napisał do monarchy. Kutuzow rozkazał przygotowywać się do nowego boju, aby dobić nieprzyjaciela, nie dlatego, że chciał kogoś oszukać, lecz dlatego, że wiedział, iż wróg jest pokonany, podobnie jak to wiedział każdy uczestnik bitwy.

Ale tego samego wieczora i nazajutrz zaczęły jedna po drugiej przychodzić wiadomości o niesłychanych stratach, o stracie połowy armii, toteż nowa bitwa okazała się fizycznie niemożliwa.

Nie można było wydawać bitwy, kiedy jeszcze nie zebrano wiadomości, nie uprzątnięto rannych, nie uzupełniono amunicji, nie policzono zabitych, nie wyznaczono nowych dowódców na miejsce poległych, kiedy ludzie jeszcze się nie najedli i nie wyspali. A tymczasem natychmiast po bitwie (zgodnie z tą gwałtowną siłą ruchu, jakby spotęgowaną teraz odwrotnie proporcjonalnie do kwadratu odległości), nazajutrz wojska francuskie już same przez się nacierały na wojska rosyjskie. Kutuzow chciał atakować nazajutrz i cała armia tego chciała. Jednak, aby atakować, nie wystarczy tylko chcieć, trzeba móc to czynić, a tej możliwości nie było. Nie sposób było nie cofnąć się o jeden dzień marszu, potem tak samo nie sposób było nie cofnąć

się o drugi i trzeci przemarsz, i wreszcie pierwszego września, kiedy armia zbliżyła się do Moskwy – mimo całej mocy uczucia, jakie ogarnęło szeregi wojska – stan rzeczy wymagał, by wojska odeszły za Moskwę. I wojska odstąpiły jeszcze o jeden, o ostatni przemarsz, i oddały Moskwę nieprzyjacielowi.

Dla ludzi, którzy przywykli sądzić, że wodzowie układają plany wojen i bitew tak jak każdy z nas, gdy siedząc nad mapą w gabinecie rozważa, jakie w takiej a takiej bitwie wydałby zarządzenie, wynika kwestia, dlaczego Kutuzow cofając się nie postąpił tak a tak, dlaczego nie zajął pozycji przed Piłami, dlaczego od razu nie cofnął się na drogę kałuską po oddaniu Moskwy itd. Ludzie, którzy przywykli tak myśleć, zapominają albo nie wiedzą o tych nieuniknionych warunkach, w jakich zawsze działa każdy wódz naczelny. Działalność wodza ani trochę nie jest podobna do tej działalności, jaką sobie wyobrażamy siedząc swobodnie w gabinecie, rozpatrując na mapie jakąś kampanię z wiadomą liczbą wojsk tej i drugiej strony w danym terenie i kiedy zaczynamy swe rozważanie od jakiegoś znanego momentu. Wódz naczelny nigdy nie bywa w takich warunkach początku jakiegoś zdarzenia, w jakich my zawsze rozpatrujemy to zdarzenie. Wódz zawsze znajduje się w środku toczących się zdarzeń, toteż nigdy, w żadnej chwili nie jest w stanie przemyśleć całej doniosłości dokonującego się faktu. Nieznacznie, chwila za chwilą, rzeźbi się znaczenie faktu, w każdej zaś chwili tego konsekwentnego, nieprzerwanego rzeźbienia się faktu wódz naczelny znajduje się w centrum nader skomplikowanej gry intryg, kłopotów, zależności, władzy, projektów, rad, gróźb, oszustw i nieustannie musi odpowiadać na niezliczone mnóstwo stojących przed nim zagadnień, bardzo często sprzecznych z sobą.

Teoretycy wojskowi powiadają nam z całą powagą, że Kutuzow o wiele wcześniej, nim zajął Filę, powinien był pchnąć wojska na drogę kałuską, że ktoś nawet zgłosił taki projekt. Ale wódz naczelny, zwłaszcza w tej trudnej chwili, staje nie wobec jednego projektu, ale przed ich dziesiątkami, i to jednocześnie. I te wszystkie projekty, oparte na strategii i taktyce, wzajemnie sobie przeczą. Zdawałoby się, iż rzeczą wodza naczelnego jest tylko wybrać jeden z tych projektów. Ale i tego nie może zrobić. Zdarzenia i czas nie czekają. Przypuśćmy, że 28 sierpnia proponują mu przejść na drogę kałuską, lecz akurat przybywa od Miłoradowicza adiutant i pyta, czy teraz wdać się w walkę z Francuzami, czy też się cofać, a rozkaz odwrotu spycha nas z zakrętu na drogę kałuską. Zaraz po adiutancie intendent zapytuje, dokąd wieźć prowiant, szef zaś szpitali – dokąd wieźć rannych, tymczasem kurier przywozi z Petersburga list, w którym monarcha nie dopuszcza możliwości oddania Moskwy, rywal zaś naczelnego wodza, który kopie pod nim dołki (tacy zawsze są, i to nie jeden, ale kilku), przedstawia nowy projekt, krańcowo różny od planu wyjścia na drogę kałuską; a przecież siły naczelnego wodza potrzebują snu i wzmocnienia; a czcigodny generał, którego ominęła nagroda, przychodzi ze skargą, a ludność błaga o opiekę; oficer zaś wysłany w celu zrekonoskowania miejscowości wraca i melduje coś wręcz przeciwnego, niż mówił oficer, który był wysłany przed nim; a szpieg, jeniec i generał robiący rekonesans – każdy inaczej przedstawia sytuację armii nieprzyjacielskiej. Ludzie, którzy przywykli nie rozumieć tych nieodzownych warunków działalności każdego naczelnego wodza albo o nich nie pamiętać, przedstawiają nam na przykład położenie wojsk w Filach i przypuszczają przy tym, że 1 września wódz naczelny mógł zupełnie swobodnie rozstrzygnąć kwestię oddania Moskwy czy też jej obrony, tymczasem wobec położenia, w jakim wówczas znajdowała się armia w odległości pięciu wiorst od Moskwy, takiej kwestii być nie mogło. Kiedyż więc ta kwestia została rozstrzygnięta? I nad Dryssą, i pod Smoleńskiem, a najrealniej 24 sierpnia pod Szewardinem i 26 pod Borodinem, i każdego dnia, o każdej godzinie i każdej minucie podczas odwrotu spod Borodina do Fil.

III

Odstąpiwszy od Borodina wojska rosyjskie stały pod Filami. Jermołow, wróciwszy z przeglądu pozycji, podjechał do feldmarszałka.

– Niemożliwą jest rzeczą bić się na tej pozycji – oświadczył.

Kutuzow spojrzał na niego ze zdziwieniem i kazał mu powtórzyć powiedziane słowa. Kiedy powtórzył, Kutuzow wyciągnął do niego rękę.

– Daj no rękę – powiedział i odwrócił ją tak, by naniacać puls. – Jesteś niezdrów, kochasiu – rzekł. – Zastanów się, co mówisz.

Na Górze Pokłonnej, w odległości sześciu wiorst od rogatki Dorogomiłowskiej, Kutuzow wysiadł z powozu i usiadł na ławce na skraju drogi. Wokół niego zebrała się grupa generałów. Przyłączył się do nich przybyły z Moskwy hrabia Rastopczyn. Całe to świetne towarzystwo podzieliło się na kilka kół, w każdym z nich rozmawiano o zaletach i wadach pozycji, o położeniu wojsk, o przypuszczalnych planach, o sytuacji Moskwy, w ogóle o sprawach wojennych. Wszyscy czuli, że choć to się tak nie nazywało, choć nie byli w tym celu wezwani, była to rada wojenna. Rozmowy ciągle się utrzymywały w sferze spraw ogólnych. Jeżeli ktoś oznajmiał o sprawach osobistych albo się o nich dowiadywał, to o tym mówiło się szeptem i od razu znów się przechodziło do kwestii ogólnych, nie widać było, by ktokolwiek z tych ludzi żartował, śmiał się lub nawet uśmiechał. Wszyscy, widocznie z trudem, usiłowali trzymać się na poziomie sytuacji. Wszystkie grupy rozmawiających starały się być w pobliżu naczelnego wodza (jego ławka stanowiła centrum tych kółek) i mówiły tak, by on mógł je słyszeć. Wódz naczelny słuchał i niekiedy pytał, jeśli nie dosłyszał tego, co mówiono wokół niego, ale nie nawiązywał rozmowy i nie wypowiadał swego zdania. Przeważnie, kiedy się przysłuchiwał rozmowie tej czy innej grupy, odwracał się z miną rozczarowaną – jak gdyby mówiono zupełnie nie to, czego się pragnął dowiedzieć. Jedni mówili o wybranej pozycji i krytykowali nie tyle samą pozycję, ile zdolności umysłowe tych, którzy ją wybrali, inni dowodzili, że błąd został popełniony wcześniej, że należało przyjąć bitwę trzy dni temu, jeszcze inni rozmawiali o bitwie pod Salamanką, o której opowiadał dopiero co przybyły w hiszpańskim mundurze Francuz Crossard. (Ów Francuz wraz z pewnym księciem niemieckim, który służył w rosyjskiej armii, analizował oblężenie Saragossy i przewidywał podobny sposób obrony Moskwy.) W czwartym kółku hrabia Rastopczyn mówił, że gotów jest wraz ze swą moskiewską drużyną zginąć pod murami stolicy, lecz nie może nie ubolewać, że pozostawiono go w niepewności, że gdyby był wiedział o tym wcześniej, byłoby zupełnie inaczej... Rozmawiający w kółku piątym wykazywali głębię swych strategicznych uwag i mówili, w jakim kierunku muszą iść wojska. W szóstym kółku mówiono zupełnie nedorzecznosci. Twarz Kutuzowa stawała się coraz bardziej zatroskana i coraz smutniejsza. Z tych wszystkich rozmów Kutuzow wniosł tylko jedno: nie było żadnej fizycznej możliwości – w całym tego słowa znaczeniu – obrony Moskwy, tj. do takiego stopnia nie było możliwości, że nawet gdyby jakiś szalony wódz rozkazał wydać bitwę, powstałby zamęt i do bitwy by nie doszło; nie doszłoby dlatego, że wszyscy wyżsi dowódcy nie tylko uznawali tę pozycję za niemożliwą, ale w rozmowach zastanawiali się już tylko nad tym, co się stanie po

niewątpliwym opuszczeniu tej pozycji. Jak dowódcy mogli prowadzić swe oddziały na pole bitwy, które uważali za niemożliwe do utrzymania? Niżsi dowódcy, a nawet żołnierze (którzy również się zastanawiają) także uważali pozycję za niemożliwą, nie mogli więc iść bić się będąc przeświadczeni o klęsce. Jeżeli Bennigsen obstawał przy obronie pozycji i jeszcze inni się nad nią zastanawiali, kwestia ta sama przez się nie miała żadnego znaczenia, miała tylko znaczenie jako pretekst do sporu i intrygi. Kutuzow rozumiał to.

Bennigsen, wybrawszy pozycję, gorąco demonstrował swój rosyjski patriotyzm (czego Kutuzow nie mógł słuchać bez skrzywienia) i obstawał przy obronie Moskwy. Kutuzow wyraźnie jak na dłoni widział cel Bennigsen: w wypadku niepowodzenia obrony – zwalić winę na Kutuzowa, który bez bitwy doprowadził wojska aż do Worobiowych wzgórz, a w wypadku sukcesu – sobie go przypisać; w wypadku zaś odmowy – oczyścić się ze zbrodni oddania Moskwy. Ale cała ta intryga nie zajmowała teraz starego człowieka. Zajmowało go jedno straszne pytanie i na to pytanie od nikogo nie słyszał odpowiedzi. Pytanie to brzmiało teraz dla niego tak:

Czyżbym to ja dopuścił Napoleona do Moskwy i kiedy to Zrobiłem? Kiedy to się rozstrzygnęło? Czyżby to się stało Wczoraj, kiedym wysłał do Płatowa rozkaz odwrotu, czy też onegdaj wieczorem, kiedym się zdrzemnął i kazałem Bennigsenowi

Bennigsenowi wydać zarządzenia? A może jeszcze wcześniej?... Ale kiedy, kiedy się zdecydowała ta straszna rzecz? Moskwa musi być oddana. Wojska muszą się cofnąć i trzeba wydać ten rozkaz”. Ten straszny rozkaz wydał mu się tym, co wyrzeczenie się dowództwa nad armią. Ale nie dość tego, że kochał władzę i przywykł do niej (honory okazywane księciu Prozorowskiemu, pod którym służył w Turcji drażniły go), był przeświadczony, iż jego przeznaczeniem było ocalenie Rosji, że dlatego obrano go wodzem naczelnym – wbrew woli monarchy, a zgodnie z wolą narodu. Był przeświadczony, że w tych trudnych warunkach tylko on jeden może się utrzymać na czele armii, że on jeden na całym świecie mógł uświadomić sobie bez lęku, że jego przeciwnikiem jest niezwyciężony Napoleon, toteż przerażała go myśl o tym rozkazie, który powinien był wydać. Należało więc na coś się zdecydować, należało przerwać te rozmowy dokoła niego, które już zaczynały być nader swobodne.

Wezwał do siebie starszych generałów.

– *Ma tete, fut-elle bonne ou mauvaise, n'a qu'a s'aider d'elle meme*¹⁵³ – oświadczył wstając z ławki i pojechał do Fil, gdzie stały jego pojazdy.

¹⁵³ Czy moja głowa dobra, czy kiepska, musi polegać sama na sobie.

IV

Rada wojenna zebrała się o drugiej w obszernej świetlicy chłopca Andrzeja Sawostianowa. Mężczyźni, kobiety i dzieci dużej chłopskiej rodziny stłoczyli się w kuchni po drugiej stronie sieni. Tylko wnuczka Andrzeja, sześciolatka Małasza, którą jego dostojność upieścił i dał jej, pijąc herbatę, kawałek cukru, została na piecu w dużej izbie. Małasza nieśmiało i radośnie patrzyła z pieca na twarze, mundury i krzyże generałów, którzy jeden po drugim wchodzili do izby i rozsiadali się na szerokich ławach w kącie pod ikonami. Sam „dziadunio” – Małasza tak nazwała Kutuzowa – siedział osobno w ciemnym kącie za piecem. Siedział zapadły w składany fotel, bez przerwy chrząkał i poprawiał kołnierz surduta, który choć rozpięty, jak gdyby uwierał go w szyję. Wchodzący podchodzili kolejno do feldmarszałka, niektórym ścisnął rękę, innym kiwał głową. Adiutant Kajsarowi chciał odsunąć firankę w oknie naprzeciw Kutuzowa, ale Kutuzow gniewnie machnął ręką. Kaj sarow zrozumiał więc, że jego dostojność nie chce, by widziano jego twarz.

Dokoła chłopskiego sosnowego stołu, na którym leżały mapy, plany, ołówki, papiery, zebrało się tylu ludzi, że ordynansi przynieśli jeszcze jedną ławę i postawili przy stole. Na tej ławce usiedli Jermołow, Kaj sarow i Toll, którzy przybyli ostatni. Pod ikonami, na honorowym miejscu, siedział Barciay de Tolly z Krzyżem Św. Jerzego na szyi, twarz miał bladą, cierpiącą, a jego wysokie czoło zlewało się z łysą głową. Już drugi dzień dręczyła go febra, teraz właśnie miał dreszcze i łamanie w kościach. Obok niego siedział Uwarow i niezbyt głośno (wszyscy tak mówili), żywo gestykułując, mówił coś do Barciaya. Niziutki, okrągłutki Dochturow, uniósłszy brwi i złożony ręce na brzuchu, uważnie się przysłuchiwał. Z drugiej strony siedział hrabia Ostermann-Tołstoj, wsparł na dłoni szeroką głowę o śmiały rysy i błyszczących oczach i wydawał się pogrążony w myślach. Rajewski z wyrazem zniecierpliwienia, zwykłym gestem mierzwiąc na skroniach swe czarne włosy spoglądał to na Kutuzowa, to na drzwi. Stanowcza, piękna i dobrotliwa twarz Konownicyna jaśniała subtelnym, filuternym uśmiechem. Pochwycił spojrzenie Małaszy i oczami dawał jej znaki, które śmieszyły dziewczynkę.

Wszyscy czekali na Bennigsen, który pod pozorem nowego przeglądu pozycji kończył smaczny obiad. Czekano na niego od czwartej do szóstej i przez cały ten czas nie przystępowano do narady, tylko po cichu rozmawiano o różnych sprawach.

Dopiero kiedy do izby wszedł Bennigsen, Kutuzow wysunął się ze swego kąta i zbliżył się do stołu, ale na taką odległość, że ustawione na stole świece nie oświetlały jego twarzy.

Bennigsen zagaił naradę pytaniem: „Oddać bez walki świętą i starożytną stolicę Rosji czy też jej bronić?” Nastąpiło długie, ogólne milczenie. Wszystkie twarze zasepiły się, a w ciszy słychać było gniewne chrząkanie i pokasywanie Kutuzowa. Wszystkie oczy patrzyły na niego. Małasza również patrzyła na dziadunia. Była najbliżej i widziała, jak krzywił twarz, jakby zbierało mu się na płacz. Ale to trwało niedługo.

– Ś w i ę t ą , s t a r o ż y t n ą s t o l i c ę R o s j i ! – odezwał się nagle, gniewnym głosem powtarzając słowa Bennigsen i w ten sposób podkreślając fałszywą nutę tych słów. –

Pozwolisz, ekscelencjo, iż rzeknę, że to pytanie nie ma sensu dla Rosjanina. (Przewalił się naprzód swym ciężkim ciałem.) Takiego pytania nie należy stawiać i takie pytanie nie ma sensu. Zagadnienie, z powodu którego prosiłem, by ci panowie się zebrali, jest zagadnieniem wojskowym. Kwestia stoi tak: „Ocalenie Rosji jest w armii. Co jest tedy korzystniejsze – zaryzykować stratę armii i Moskwy, jeśli się przyjmie bitwę, czy też oddać Moskwę bez walki?” W tej właśnie kwestii pragnę poznać zdanie panów. (Odchylił się w tył na oparcie fotela.)

Zaczęła się dyskusja. Bennigsen nie uważał, że partia została przegrana. Ustępując zdaniu Barciaja oraz innych co do możliwości przyjęcia bitwy obronnej pod Piłami, przejęty rosyjskim patriotyzmem i miłością do Moskwy, proponował przeprowadzenie nocą wojsk z prawego skrzydła na lewe i uderzenie nazajutrz na prawe skrzydło Francuzów. Zdania się podzieliły, wypowiadano się za tym planem i przeciwko niemu. Jermołow, Dochturow i Rajewski zgadzali się ze zdaniem Bennigsen. Ci generałowie, czy to uważając, że należy złożyć ofiarę przed oddaniem stolicy, czy też powodowani jakimiś względami osobistymi, nie rozumieli jak gdyby, że obecna narada nie zmieni nieuniknionego biegu spraw i że Moskwa już jest oddana. Inni generałowie rozumieli to, pozostawiając więc na uboczu sprawę Moskwy, mówili o kierunku, w jakim powinno się cofać wojsko. Małasza, nie spuszczać oczu z tego, co się przed nią dzieje, inaczej pojmowała znaczenie tej narady. Wydawało się jej, iż rzecz polega na osobistej walce między „dziaduniem” a „długopołem”, jak nazywała Bennigsen. Widziała, że się złością, kiedy ze sobą rozmawiają, i w duchu trzymała stronę dziadunia. Zauważyła, że wśród rozmowy dziadunio rzucił na Bennigsen szybkie, drwiące spojrzenie, a potem ku swej radości spostrzegła, że dziadunio powiedział coś długopołemu i osadził go; Bennigsen poczerwieniał nagle i przeszedł się po izbie. Słowami, które tak podziały na Bennigsen, było zdanie Kutuzowa wypowiedziane głosem cichym i spokojnym o zaletach i wadach propozycji Bennigsen, polegającej na przeprowadzeniu nocą wojsk z prawego skrzydła na lewe w celu zaatakowania prawego skrzydła Francuzów.

– Panowie – oświadczył Kutuzow – nie mogę zaaprobować planu hrabiego. Ruch wojsk w bliskiej odległości od nieprzyjaciela jest zawsze niebezpieczny, historia wojen potwierdza to mniemanie. Na przykład... (Kutuzow jak gdyby się zamyślił szukając przykładu i patrzył na Bennigsen jasnym, naiwnym spojrzeniem.) Choćby bitwa pod Friedlandem, którą, jak sądzę, hrabia dobrze pamięta, była... niezupełnie udana tylko dlatego, że nasze wojska zmieniły uszykowanie w nader bliskiej odległości od nieprzyjaciela... – Nastąpiła chwila milczenia, które wszystkim wydało się bardzo długie.

Debaty wznowiono, ale często następowały przerwy i wszyscy czuli, że już nie ma o czym mówić.

Podczas jednej z takich przerw Kutuzow ciężko westchnął, jakby zamierzał przemówić. Wszyscy spojrzeli na niego.

– *Eh bien, messieurs! Je vois que c'est moi qui payerai les pots cassés*¹⁵⁴ – powiedział. Uniósł się powoli i zbliżył do stołu. – Panowie, wysłuchałem waszych opinii. Niektórzy nie zgodzą się ze mną. Wszelako ja (przerwa) na mocy władzy danej mi przez mego monarchę i ojczyznę, ja – nakazuję odwrot.

Zaraz potem generałowie zaczęli się rozchodzić z taką samą uroczystą i milczącą ostrożnością, z jaką się zwykło rozchodzić po pogrzebie.

Niektórzy z generałów ściszone głosem, w zupełnie innym diapazynie, niż przemawiali na naradzie, coś wodzowi naczelnemu meldowali.

Małasza – już dawno wołano ją na kolację – ostrożnie, tyłem zeszła z przypiecka czepiając się

¹⁵⁴ A zatem, panowie, widać, że to ja będę musiał wypić to piwo.

występów pieca bosymi nożynami i płacząc się między nogami generałów smyrnęła w drzwi.

Po odprawieniu generałów Kutuzow długo siedział wsparty łokciami o stół, ciągle rozmyślał nad tym strasznym pytaniem: „Kiedy, kiedy wreszcie zostało postanowione oddanie Moskwy? Kiedy stało się to, co rozstrzygnęło sprawę, i kto jest temu winien?”

– Tegom to się nie spodziewał – rzekł do adiutanta Sznajdra, który późną nocą wszedł do niego. – Tegom się nie spodziewał! Tegom nie myślał!

– Trzeba odpocząć, wasza dostojność – rzekł Sznajder.

– Właśnie że nie! Będą oni jeszcze żreć mięso końskie, jak Turcy – krzyknął Kutuzow nie odpowiadając mu i pulchną pięścią uderzył w stół. – Będą i oni, żeby tylko...

V

Jednocześnie, w sprawie o wiele ważniejszej niż odwrót armii bez walki, bo w sprawie opuszczenia Moskwy i jej spalenia, Rastopczyn, który wydaje się nam przywódcą tej sprawy, działał zupełnie inaczej, w sprzeczności z Kutuzowem.

Ów fakt – opuszczenie Moskwy i spalenie jej – był równie nieunikniony, jak po bitwie pod Borodinem wycofanie się wojsk za Moskwę bez walki.

To, co się zdarzyło, mógłby przepowiedzieć każdy Rosjanin – nie na podstawie wniosków rozumowych, lecz na podstawie tego uczucia, jakie jest w nas i jakie było w naszych ojcach.

Począwszy od Smoleńska we wszystkich miastach i wsiach ziemi rosyjskiej, bez udziału hrabiego Rastopczyna i jego afiszów, działo się to samo co w Mos w najcięższej chwili to, co należy. Ze zbliżeniem się nieprzyjaciela bogatsza część ludności uciekała pozostawiając swe mienie, biedniejsi zostawali, podpalali i niszczyli to, co pozostało.

Świadomość, że tak będzie i że zawsze tak będzie, tkwiła i tkwi w duszy każdego Rosjanina. I świadomość, więcej nawet niż świadomość, bo przecucie, że Moskwa zostanie zajęta, tkwiła w rosyjskim społeczeństwie Moskwy w roku 1812. Ci, którzy zaczęli wyjeżdżać z Moskwy już w lipcu i na początku sierpnia, dali dowód, że się tego spodziewali. Ci, którzy wyjeżdżali z tym, co mogli zabrać, pozostawiając domy i połowę mienia, postępowali tak na skutek tego ukrytego (*Latent*) patriotyzmu, który się wyraża nie we frazesach, nie w mordowaniu dzieci dla ocalenia ojczyzny i w podobnych nienaturalnych postępkach, lecz niedostrzegalnie, po prostu, organicznie i dlatego zawsze daje najlepsze wyniki.

„Wstyd uciekać przed niebezpieczeństwem; tylko tchórze uciekają z Moskwy” – mówiono im. Swymi afiszami Rastopczyn przekonywał ich, że wyjazd z Moskwy jest hańbą. Wstyd im było dostawać nazwę tchórzów, wstyd było wyjeżdżać, ale wyjeżdżali, wiedzieli bowiem, że tak trzeba. Czemu wyjeżdżali? Nie sposób przypuścić, że Rastopczyn przestraszył ich okropnościami, jakich Napoleon dopuszczał się w krajach podbitych. Pierwsi wyjeżdżali ludzie bogaci i wykształceni, którzy bardzo dobrze wiedzieli, że Wiedeń i Berlin pozostały całe i że tam, podczas okupowania tych miast przez Napoleona, mieszkańcy wesoło spędzali czas z czarującymi Francuzami, których podówczas tak lubili Rosjanie, a zwłaszcza panie rosyjskie.

Wyjeżdżali dlatego, że dla Rosjan nie mogło być kwestii: dobrze czy źle będzie w Moskwie pod rządami Francuzów?

Nie można było być pod rządami Francuzów: to było najgorsze ze wszystkiego. Wyjeżdżali przed bitwą pod Borodinem, a jeszcze szybciej po bitwie pod Borodinem, nie bacząc na wezwanie do obrony, nie bacząc na oświadczenie gubernatora wojskowego Moskwy, iż zamierza z obrazem Matki Boskiej lwerskiej iść do walki, ani na balony, które miały zgubić Francuzów, ani nie bacząc na te wszystkie bzdury, o których pisał Rastopczyn w swych afiszach. Wiedzieli, że bić powinno się wojsko, a jeśli ono nie może, to z pannami i czeladzią dworską nie ma co chodzić na Trzy Góry i wojować z Napoleonem, ale trzeba wyjeżdżać, choć strasznie żal zostawiać mienie na zmarnowanie. Wyjeżdżali i nie myśleli o dostojnym znaczeniu tej wielkiej,

bogatej stolicy porzuconej przez mieszkańców i oddanej na pastwę ognia (duże, opuszczone miasto drewniane niechybnie musiało spłonąć); każdy wyjeżdżał na własną rękę, a jednak tylko wskutek tego, że wyjechali, dokonano się to wspaniałe zdarzenie, które na zawsze pozostanie najpiękniejszą chwałą narodu rosyjskiego. Owa dama, która już w czerwcu uciekała z Moskwy do wsi w guberni saratowskiej wraz ze swymi Etiopami i trefniami, która miała mętą świadomość tego, że nie będzie sługą Bonapartego, i lękała się, by nie zatrzymano jej na rozkaz Rastopczyzna, dokonywała po prostu tego wielkiego dzieła, które ocaliło Rosję. Natomiast hrabia Rastopczyn, który to zawstydział tych, co wyjeżdżali, to zlecał wyjazd urzędowi, to wydawał pijanemu motłochowi broń niezdatną do niczego, to wystawiał święte obrazy, to zabraniał Augustowi¹⁵⁵ wywożenia relikwii i obrazów, to zabierał wszystkie prywatne wozy, które się znajdowały w Moskwie, to na stu trzydziestu sześciu podwodach wywoził zrobiony przez Leppicha balon, to robił aluzje do tego, że spali Moskwę, to opowiadał, jak spalił swój dom i napisał proklamację do Francuzów, w której uroczyście czynił im wyrzuty za to, że zrujnowali jego przytułek dla dzieci, to przypisywał sobie sławę podpalenia Moskwy, to się jej wyrzekał, to przykazywał ludowi chwytać wszystkich szpiegów i przyprowadzać ich do siebie, to za to ganił, to wysyłał z Moskwy wszystkich Francuzów, to pozostawiał w Moskwie m-me Auber-Chalmier, która stanowiła ośrodek wszystkich Francuzów mieszkających w Moskwie, a bez szczególnej winy rozkazał porwać i zesłać starego szanowanego dyrektora poczt Kluczariewa; to zwoływał ludzi na Trzy Góry, żeby bić się z Francuzami, to – żeby się ich pozbyć – dawał im człowieka na łup, a sam uciekał tylną bramą; to powiadał, że nie przeżyje nieszczęścia Moskwy, to pisał w albumach francuskich wiersze o swym uczestnictwie w tym dziele¹⁵⁶ – ów człowiek nie rozumiał wagi dokonującego się wydarzenia i chciał tylko coś sam zrobić, zadziwić kogoś, dokonać czegoś patriotycznie bohaterskiego i niby chłopak stroił figle nad wzniosłym i nieuniknionym zdarzeniem oddania i spalenia Moskwy, i starał się to przyspieszać, to powstrzymać swą malutką ręką bieg ogromnego narodowego strumienia, który wraz z sobą unosił i jego.

¹⁵⁵ Augustyn (Aleksy Winogradow, 1766–1819) od r. 1804 był wikarym przy metropolicie Platonie i faktycznie zarządzał eparchią moskiewską.

¹⁵⁶ *Je suis net Tartare. Je voulais etre Romain. Les Franfais m'appelerent barbare. Les Russes – Georges Dandin.* Tj.: Urodziłem się Tatarem. Chciałem być Rzymianinem. Francuzi nazywali mnie barbarzyńcą. Rosjanie – Grzegorzem Dyndałą.

VI

Helene, powróciwszy wraz z dworem z Wilna do Petersburga, znalazła się w trudnej sytuacji.

W Petersburgu cieszyła się szczególną opieką dygnitarza zajmującego jedno z wyższych stanowisk w państwie. W Wilnie zbliżyła się z pewnym młodym cudzoziemskim księciem. Kiedy wróciła do Petersburga, obaj – książę i dygnitarz – znajdowali się w Petersburgu i obaj rościli sobie prawa; przed Helene stało więc nowe w jej karierze zadanie, zachować z oboma bliskie stosunki i żadnego z nich nie obrazić.

To, co dla innej kobiety wydawałoby się trudne, a nawet niemożliwe, hrabinę Bezuchow nie kosztowało głębszego namysłu, widać nie na próżno miała reputację kobiety arcymądrej.

Gdyby zaczęła ukrywać swe postępowanie, przebiegłością wyplątywać się z niezręcznej sytuacji, zepsułaby sprawę, ponieważ uznałaby się za winną; Helene zaś, przeciwnie, od razu jak prawdziwie wielki człowiek, który może zrobić wszystko, co chce, przyznała sobie słuszość, w którą szczerze wierzyła, i uznała, że winę ponoszą inni.

Za pierwszym razem, kiedy młody zagraniczny książę pozwolił sobie na czynienie jej wyrzutów, Helene, podniósłszy dumnie swą piękną głowę i w półobrocie zwróconą do księcia, rzekła stanowczo:

– Voila l'egoisme et la cruauté des hommes! Je ne m'at-tendais pas a autre chose. La femme se sacrifie pour vous, elle souffre, et voila są recompense. Quel droit avez-vous, Monsei-gneur, de me demander compte de mes amities, de mes affec-tions? C'est un homme qui a etę plus qu'un pere pour moi.¹⁵⁷

Książę chciał coś rzec. Helene przerwała. – Eh bien, oui – powiedziała – peut-etre qu'il a pour moi d'autres senti-ments que ceux d'un pere, mais ce n'est pas une raison pour que je lui ferme ma parte. Je ne suis pas un homme pour etre ingrate. Sachez, Monseigneur, pour tout ce qui a rapport a mes sentiments intimes, je ne rends compte qu'd Dieu et a ma conscience¹⁵⁸ – zakończyła dotykając ręką swej wysoko wznoszącej się pięknej piersi i spoglądając w niebo.

– Mais écoutez-moi, au nom de Dieu.

– Epousez-moi et je serai votre esclave.

– Mais c'est impossible.

– Vous ne daignez pas descendre jusqu'd moi, vous...¹⁵⁹ Helene mówiąc to rozpląkała się.

Znakomity cudzoziemiec jął ją pocieszać, Helene mówił! przez łzy (jakby w zapamiętaniu),

¹⁵⁷ Oto egoizm i okrucieństwo mężczyzn! Nie spodziewałam się niczego innego. Kobieta robi z siebie dla was ofiarę, cierpi, oto jej nagroda. Jakże wasza książęca mość ma prawo żądać ode mnie rachunku z mych przyjaźni i mych uczuć? To człowiek, który byt mi więcej niż ojcem.

¹⁵⁸ Tak, możliwe, że uczucia, jakie dla mnie żywi, są niezupełnie ojcowskie, ale to nie powód, bym mu wymówiła dom. Nie jestem mężczyzną, żeby odpłacać niewdzięcznością. Niech wasza książęca mość przyjmie do wiadomości, że co się tyczy mych uczuć, to zdaję z nich rachunek tylko Bogu i memu sumieniu.

¹⁵⁹ Na miłość boską, proszę mnie wysłuchać. – Ożeń się pan ze mną, a będę pańską niewolnicą. – Ale to niemożliwe. – Nie raczysz się pan zniżyć do mnie, pan...

że nic nie stoi na przeszkodzie, by wyszła za męża, że są przykłady (wówczas mał jeszcze było przykładów, lecz Helene wymieniła Napoleon; oraz inne wysoko postawione osoby), że nigdy nie była żoną; swego męża, że padła ofiarą.

– Jednak prawa, religia... – mówił dostojnik już się poddając.

– Prawa, religia... Po cóż one byłyby wymyślone, gdy by nie mogły w tym pomóc! – oświadczyła Helene.

Dostojnik był zdziwiony, że tak prosta myśl nie przyszła mu do głowy, i zwrócił się o radę do świątobliwych brać z Towarzystwa Jezusowego, z którymi się znajdował w bliskich stosunkach.

W kilka dni potem, podczas jednego z czarujących wieczorów wydanych przez Helene w jej willi na Karniennyn Ostrowie, przedstawiono jej niemłodego, z białymi jak śnieg włosami i czarnymi, błyszczącymi oczami czarujące go m-r de Jobert, un jesuite a robe courte¹⁶⁷. W ogrodzie przy świetle iluminacji i dźwiękach muzyki, długo rozmawiał Helene o miłości ku Bogu, ku Chrystusowi, ku sercu Matki Boskiej i o pociechach, jakie daje w tym życiu i w życiu przyszłym jedynie prawdziwa religia katolicka Helene była wzruszona, kilka razy i ona, i m-r Jobert mieli łzy w oczach i głosy im drżały. Kawaler przyszedł prosić Helene do tańca, taniec więc przerwał jej rozmowę z przyszłym szłym *directeur de conscience*¹⁶⁰; lecz nazajutrz m-r de Jobert przyszedł do Helene wieczorem sam i od tego czasu jął często u niej bywać.

Pewnego dnia zaprowadził hrabinę do świątyni katolickiej, gdzie uklękła przed ołtarzem, do którego ją przyprowadzono.

Niemłody, czarujący Francuz położył ręce na jej głowie i, jak sama potem opowiadała, poczuła w duszy jak gdyby tchnienie świeżego powiewu. Wy tłumaczono jej, że to była *la grace*¹⁶¹.

Potem przyprowadzono do niej *l'abbe d robe longue*¹⁶², który wyspowiadał Helene i odpuścił jej grzechy. Nazajutrz przyniesiono jej szkatułkę, w której znajdowały się komunikanty, i pozostawiono do użytku w domu. Po kilku dniach Helene ku swemu zadowoleniu dowiedziała się, że teraz przystąpiła do prawdziwego Kościoła katolickiego i że wkrótce sam papież dowie się o niej i przyśle jej jakiś papier.

Wszystko, co w owym czasie działo się dokoła niej i z nią, całe to zainteresowanie, które obracali na nią ludzie tak rozumni i które wyrażało się w tak miły i wytworny sposób, i gołębia czystość, w jakiej obecnie bytowała (przez cały ten czas nosiła białe suknie z białymi wstążkami) – wszystko to sprawiało jej zadowolenie; jednak niezależnie od tego zadowolenia ani na chwilę nie zapomniała o swym celu. I jak zawsze bywa, że przebiegłością głupi człowiek wyprowadzi w pole ludzi mądrzejszych, tak i ona, zrozumiawszy, że cel tych wszystkich słów i zabiegów polegał przede wszystkim na tym, by nawróciwszy ją na katolicyzm wydobyć od niej pieniądze na rzecz zakładów juzuickich (robiono do tego aluzje), zanim dała pieniądze, nalegała, żeby dokonano względem niej tych różnych zabiegów, które by ją uwolniły od męża. W jej pojęciu znaczenie każdej religii polegało tylko na tym, by przy zadowoleniu ludzkich pragnień zachować pozory przyzwoitości. W tym celu w jednej ze swych rozmów ze spowiednikiem zażądała natarczywie, by jej odpowiedział na pytanie, w jakiej mierze jest związana przez małżeństwo.

Siedzieli w salonie przy oknie. Był zmierzch. Przez okno płynął zapach kwiatów. Helene była w białej sukni, przezroczystej na piersiach i ramionach. *L'abbe*, dobrze odżywiony, z brodą pulchną, gładko wygoloną, miłymi, mocno zarysowanymi ustami i białymi rękami, łagodnie

¹⁶⁰ Przewodnik duchowy.

¹⁶¹ Łaska.

¹⁶² Księdza noszącego sutannę.

złożonymi na kolanach, siedział blisko Helene i z subtelnym uśmiechem na wargach patrzył od czasu do czasu na jej twarz wzrokiem spokojnie zachwyconym jej urodą: wykladał jej swój pogląd na interesującą ich kwestię. Helene, uśmiechając się niespokojnie, patrzyła na jego wijące się włosy, na gładko wygolone policzki i każdej chwili spodziewała się innego obrotu rozmowy. Lecz l'dbbe, choć uroda rozmówczyni jawnie go upajała, był pochłonięty swą sztuką.

Bieg rozumowania przewodnika duchowego był następujący. W nieświadomości znaczenia swej decyzji przyrzekłaś pani wierność małżeńską człowiekowi, który wstępując w związek małżeński bez wiary w religijne znaczenie małżeństwa popełnił świętokradztwo. Owo małżeństwo nie miało podwójnego znaczenia, jakie powinno było mieć. Lecz pomimo wszystko byłaś pani związana przyrzeczeniem. Jednak nie dotrzymałaś go pani. Cóż zatem popełniłaś? *Peche veniel* czy też *peche mortel*?¹⁶³ *Peche veniel*, albowiem popełniłaś to pani nie w złej myśli. Gdybyś obecnie wstąpiła w nowy związek małżeński w tym celu, by mieć dzieci, grzech mógłby być pani odpuszczony. Wszelako kwestia znów rozpada się na dwie, po pierwsze...

Jednak sądzę – ze swym czarującym uśmiechem rzekła znudzona nagle Helene – skoro przyjąłam prawdziwą religię, nie mogę być związana tym, co na mnie nałożyła religia fałszywa.

Directeur de conscience zdumiał się tym postawieniem przed nim z taką prostotą jajka Kolumba. Był zachwycony nieoczekiwaną szybkością postępów swej uczennicy, lecz nie mógł zrezygnować ze swego intelektualnego gmachu argumentów zbudowanego z takim wysiłkiem.

– *Entendons-nous, comtesse*¹⁶⁴ – rzekł z uśmiechem i jął obalać twierdzenia swej duchowej córki

¹⁶³ Grzech powszedni... grzech śmiertelny.

¹⁶⁴ Porozumiejmy się, hrabino.

VII

Helene rozumiała, że z duchowego punktu widzenia sprawa była nader prosta i łatwa, jej zaś przewodnicy czynili trudności tylko dlatego, że się obawiali, jak się na to będzie zapatrywała władza świecka.

Wskutek tego Helene zdecydowała, że należy przygotować tę sprawę w towarzystwie. Wzbudziła zazdrość w starym dygnitarzu i oświadczyła mu to samo co i pierwszemu ubiegającemu się o jej względy, tj. w ten sposób postawiła sprawę, że jedynym sposobem pozyskania do niej praw jest małżeństwo. Starszawy dygnitarz w pierwszej chwili był tak samo zaskoczony tą propozycją wyjścia za mąż za życia męża, jak i znakomity młodzieniec; jednak niezachwiana pewność Helene, że to jest tak samo rzeczą prostą i naturalną, jak wyjście za mąż panny, podziało i na niego. Gdyby dało się dostrzec najmniejsze oznaki wahania, wstydu czy tajemniczości w samej Helene, sprawa niewątpliwie byłaby przegrana; lecz tych oznak tajemniczości i wstydu nie było, przeciwnie, Helene z prostotą i dobroduszną naiwnością opowiadała swym bliskim przyjaciółom (a był to cały Petersburg), że oświadczyli się jej i księżę, i dygnitarz, że kocha obu i że lęka się zmartwić i jednego, i drugiego.

Po Petersburgu natychmiast rozeszła się wieść nie o tym, że Helene chce się rozwieść ze swym mężem (gdyby taka wieść rozeszła się, bardzo wiele osób obruszyłoby się na tak zdrożny zamiar), lecz po prostu rozeszła się wieść o tym, że nieszczęśliwa, interesująca Helene jest w kłopotcie, za kogo z dwóch adoratorów ma wyjść za mąż. Kwestia już nie polegała na tym, do jakiego stopnia jest to niemożliwe, lecz tylko na tym, która partia jest korzystniejsza i jak dwór będzie się na to zapatrywał. W istocie znaleźli się ludzie zaśniedziali, nie umiejący wznieść się do poziomu zagadnienia, dopatrujący się w tym zamierzeniu zniewagi sakramentu małżeństwa; jednak było ich niewiele i milczeli, większość zaś interesowała się zagadnieniem szczęścia, jakie spotkało Helene, i który wybór będzie lepszy. O tym zaś, czy to dobrze, czy źle wychodzić za mąż za życia męża, nie mówiono, gdyż prawdopodobnie kwestia ta została już rozstrzygnięta przez ludzi rozumniejszych od nas (jak powiadano) i powątpiewanie o słuszności rozstrzygnięcia kwestii oznaczałoby ryzyko zdradzenia się ze swą głupotą i nieumiejętnością życia w świecie.

Jedna tylko Maria Dmitriewna Achrosimow, która tego lata przyjechała do Petersburga, aby się zobaczyć z jednym ze swych synów, pozwoliła sobie na wyrażenie zdania różnego od zdania ogółu. Spotkawszy Helene na balu Maria Dmitriewna zatrzymała ją na środku sali i wśród ogólnego milczenia rzekła do niej swym grubym głosem:

Jużeście tu zaczęły wychodzić za mąż za życia męża. Może myślisz, żeś wymyśliła coś nowego? Wyrzedzono cię, kochasiu. Już to dawno wymyślono. We wszystkich ... robią w ten sposób. – Po tych słowach Maria Dmitriewna, zwykłym groźnym gestem zawijając szerokie rękawy i surowo spoglądając dokoła, przeszła przez salę.

Chociaż Marii Dmitriewny obawiano się, jednak w Petersburgu uważano ją za facecjonistkę, toteż ze słów przez nią wypowiedzianych zauważono tylko słowo ordynarne; jeden drugiemu

powtarzał je szeptem sądząc, że zawierało ono całą sól wypowiedzi.

Książę Wasilij, który ostatnio szczególnie często zapominał, co mówił, i powtarzał po sto razy jedno i to samo, za każdym razem, kiedy mu się zdarzało spotkać z córką, powiadał do niej:

Helene, j'ai un mot a vous dire – mówił do niej odprowadzając ją na stronę i szarpiąc za rękę. – J'ai eu vent de certains projets relatifs d... Vous savez! Eh bien, ma chere enfant, vous savez que mon coeur de pere se rejouit de vous savoir... Vous avez tant souffert... Mais, chere enfant... ne consultez que votre coeur. Gest tout ce que je vous dis.¹⁶⁵ – I ukrywając zawsze jednakże wzruszenie przyciskał policzki do policzka córki i odchodził.

Bilibin, który nie stracił reputacji nader rozumnego człowieka i był bezinteresownym przyjacielem Helene, jednym z przyjaciół, jakich zawsze mają kobiety świetne, przyjaciół-mężczyzn, którzy nigdy nie mogą przejść do roli zakochanych, Bilibin pewnego razu *en petit comite*¹⁶⁶ wyłożył swej przyjaciółce Helene swój pogląd na tę całą sprawę.

– Ecoutez, Bilibine (takich przyjaciół jak Bilibin Helene zawsze nazywała po nazwisku) – i białą upierścienioną ręką dotknęła rękawa jego fraka. – *Dites-moi, comme vous diriez a une soeur, que dois-je faire? Lequel des deux?*¹⁶⁷

Bilibin zmarszczył skórę nad brwiami i z uśmiechem na ustach zamyślił się.

– Vous ne me prenez pas en zniénacka, vous savez – oświadczył. – Comme veritable ami j'ai pense et repense a votre af faire. Voyez-vous. Si vous epousez le prince (był to ten młody człowiek) – zagał palec – vous perdez pour tou-jours la chance d'epouser l'autre, et puis vous mecontentez la Cour. (Comme vous savez, ii y a une espece de parente.) Mais si vous epousez le vieux comte, vous faites le bonheur de ses derniers jours, et puis comme veuve du grand... le prince ne fait plus de mesalliance en vous epousant¹⁶⁸ – i Bilibin wygładził skórę.

– Voila un veritable ami! – rzekła rozpromieniona Helene i jeszcze raz dotknęła rękawa Bilibina. – Mais c'est que j'aime l'un et l'autre, je ne youdrais pas leur faire de chagrin. Je donnerais ma vie pour leur bonheur a tous deux¹⁶⁹ – oświadczyła.

Bilibin wzruszył ramionami dając do poznania, że na takie zmartwienie nawet on nie może nic poradzić.

„Une maitresse-femme! Voila ce qui s'appelle passer carre-ment la question. Elle voudrait epouser tous les trois a la fois¹⁷⁰ – pomyślał Bilibin

– Proszę jednak powiedzieć, jak mąż będzie się na to zapatrywał? – zapytał. Miał już taką pewną reputację, że nie obawiał się skompromitować tak naiwnym pytaniem. – Czy się zgodzi?

– *Ah! Il m'aime tant!* – rzekła Helene, gdyż wydało się jej dlaczegoś, że Pierre również ją kocha. – *Il fera tout pour moi.*¹⁷¹

¹⁶⁵ Helene, muszę ci coś powiedzieć... Doszły mnie wieści o pewnych zamiarach co do... wiesz. A więc, drogie dziecię, wiesz, że serce ojca cieszy się wiedząc, że ty... Tyleś wycierpiała... Wszelako, drogie dziecię... Czyń, jak d serce dyktuje. To cała moja rada.

¹⁶⁶ Na osobności.

¹⁶⁷ Bilibin, niech pan posłucha. Proszę mi powiedzieć tak, jakby pan powiedział siostrze: co mam robić? Którego z dwóch?

¹⁶⁸ Dobrze pani wie, że mnie nie zaskakuje. Jako prawdziwy przyjaciel, długom myślał nad pani sprawą. Otóż, jeśli pani poślubisz księcia, to na zawsze pozbawisz się szansy zostania żoną drugiego, i w dodatku dwór będzie niezadowolony. (Jak pani wiadomo, jest pewne pokrewieństwo.) A jeśli wyjdiesz za starego hrabiego, to opromienisz szczęściem ostatnie dni jego życia, a potem jako Wdowa po dygnitarzu... księżę już nie zrobi mezaliansu żeniąc się z panią.

¹⁶⁹ Oto prawdziwy przyjaciel!... Ale przecie ja kocham jednego i drugiego i nie chciałabym żadnego z nich martwić. Dla szczęśna ich obu gotowam oddać życie.

¹⁷⁰ Zuch kobieta! Oto co się nazywa otwarcie postawić kwestię. Chciałaby poślubić jednocześnie wszystkich trzech.

¹⁷¹ Och! On mnie tak kocha!... Wszystko zrobi dla mnie.

Bilibin zmarszczył skórę nad brwiami dając do zrozumienia, że przygotowuje mot180.

– *Meme le divorce*¹⁷² – powiedział.

Helene roześmiała się.

Wśród osób, które pozwalały sobie powątpiewać o legalności zamierzonego małżeństwa, znajdowała się matka Helene, księżna Kuragin. Stale gryzła ją zazdrość o córkę, teraz zaś, kiedy przedmiot zazdrości był tak bardzo bliski sercu księżny, nie mogła pogodzić się z tą myślą. Radziła się rosyjskiego duchownego, o ile możliwy jest rozwód i zawarcie nowego małżeństwa za życia męża. Duchowny powiedział jej, że to niemożliwe, i ku jej radości wskazał jej tekst w Ewangelii, który (duchownemu tak się wydawało) po prostu odrzuca możliwość zawarcia małżeństwa za życia męża.

Uzbrojona w te argumenty, które wydały się jej nie do obalenia, księżna pojechała do córki wczesnym rankiem, aby ją zastać w domu.

Wysłuchawszy argumentacji matki Helene uśmiechnęła się łagodnie i drwiąco.

– Przecie powiedziano wyraźnie: kto się żeni z rozwiedzioną żoną... – rzekła stara księżna.

– *Ah, mamon, ne dites pas de betises. Vous ne comprenez rien. Dans ma position j'ai des devoirs*¹⁷³ – zaczęła Helene przechodząc z rosyjskiego na francuski, gdyż w rosyjskim jej sprawa zawsze wydawała się jej jakoś niewyraźna.

– Ale, moja droga.

– Ah, maman, comment est-ce que vous ne comprenez pas que le Saint Pere, qui a le droit de donner des dispenses...¹⁷⁴

Tymczasem dama do towarzystwa mieszkająca u Helene przyszła z oznajmieniem, że jego wysokość czeka w sali i pragnie się z nią widzieć.

– Non, dites-lui que je ne veux pas le voir, que je suis furieuse contre lui, parce qu'il m'a manque parole.¹⁷⁵

– *Comtesse, d tout peche misericorde*¹⁷⁶ – rzekł wchodząc młody, jasnowłosy człowiek z długą twarzą i długim nosem.

Stara księżna wstała i dygnęła z uszanowaniem. Wchodzący młody człowiek nie zwrócił na nią uwagi. Księżna skinęła córce głową i popłynęła ku drzwiom.

„Tak, ona ma rację – myślała stara księżna, wszystkie bowiem jej argumenty rozpadały się wobec ukazania się jego wysokości. – Ona ma rację; ale dlaczego to myśmy za naszej niepowrotnej młodości tego nie wiedziały? A to byłoby takie proste” – myślała stara księżna wsiadając do karety.

Na początku sierpnia sprawa Helene całkowicie się wyjaśniła, hrabina napisała więc do męża (który ją bardzo kochał, jak sądziła) list; zawiadamiała go o swym zamiarze wyjścia za mąż za NN, o tym, że przyjęła jedynie prawdziwą wiarę, i prosiła, by wypełnił te wszystkie niezbędne do rozwodu formalności, które mu przedstawi oddawca niniejszego listu.

– Sur ce je prie Dieu, mon ami, de vous avoir sous Sa sainte et puissante garde. Votre amie Helene.¹⁷⁷

¹⁷² Nawet rozwód.

¹⁷³ Ach, mamo, proszę nie mówić głupstw. Nic nie rozumiesz. Moje stanowisko nakłada na mnie pewne obowiązki.

¹⁷⁴ Ach, że też mama nie rozumie, iż ojciec święty, który ma prawo dawania dyspensy...

¹⁷⁵ Nie, proszę mu powiedzieć, że nie chcę go widzieć, że jestem na niego wściekła, ponieważ nie dotrzymał słowa.

¹⁷⁶ Hrabino, jest miłosierdzie dla każdego grzechu.

¹⁷⁷ Zatem, mój przyjacielu, prosz? Boga, by nnał Cię w Swej świętej i wszechmocnej opiece. Twoja przyjaciółka Helena.

Ten list przywieziono do domu Pierre'a właśnie wtedy, gdy Pierre był na polu pod Borodinem.

VIII

Ponownie, już pod koniec bitwy borodińskiej, Pierre zbiegłszy z baterii Rajewskiego, wraz z tłumami żołnierzy skierował się przez parów do Kniażkowa, doszedł do punktu opatrunkowego, a kiedy zobaczył krew i usłyszał krzyki i jęki, spiesznie poszedł dalej wmieszawszy się w tłum żołnierzy.

Teraz wszystkimi siłami duszy Pierre pragnął tylko jednego: jak najprędzej wydobyć się z tych strasznych wrażeń, w jakich żył przez cały dzień, wrócić do zwykłych warunków życia i spokojnie zasnąć w pokoju we własnym łóżku. Czuł, że tylko w zwykłych warunkach życia będzie mógł pojąć sam siebie i wszystko to, co widział i czego doznał. Ale tych zwykłych warunków życia nigdzie nie było.

Chociaż pociski i kule nie świstały tu, na drodze, którą szedł, to jednak wszędzie było to samo, co tam – na polu bitwy: te same cierpiące, znużone, a niekiedy dziwnie obojętne twarze, ta sama krew, te same żołnierskie płaszcze, te same odgłosy strzelaniny, choć i dalekiej, ale ciągle przyprawiającej o strach; poza tym było gorąco i unosił się kurz.

Przeszedłszy trzy wiorsty szosą mozajską Pierre usiadł na jej skraju.

Zmierzch spadł na ziemię, huk dział ucichł. Pierre oparł się na łokciu, położył się i długo tak leżał patrząc na cienie przesuwające się w ciemności obok niego. Ciągle mu się zdawało, że ze straszonym świstem leci na niego pocisk; wzdrygał się i podnosił. Nie pamiętał, ile czasu tu przebył. Wśród nocy trzej żołnierze przynieśli gałęzi, usadowili się obok niego i jęli rozpalać ogień.

Żołnierze, ukradkiem popatrzawszy na Pierre'a, rozpalili ogień, postawili na nim kociołek, nakruszyli doń sucharów i włożyli kawałek słoniny. Przyjemny zapach tłustego jądła zlewał się z zapachem dymu. Pierre wstał i westchnął. Żołnierze (było ich trzech) jedli nie zwracając uwagi na Pierre i rozmawiali z sobą.

– A ty skąd jesteś? – jeden z żołnierzy zwrócił się z nagła do Pierre'a, widać tym pytaniem dawał do zrozumienia to, o czym myślał Pierre, a mianowicie: „Jeśli chcesz jeść, to ci damy, powiedz tylko, czyś człek zacny.”

– Ja? ja?... – rzekł Pierre czując, że musi jak najbardziej pomniejszyć swoją pozycję społeczną, aby być dla żołnierzy bliższym i bardziej zrozumiałym. – Prawdę mówiąc, tom oficer pospolitego ruszenia, tylko że mojego oddziału tu nie ma; przyjechałem na bitwę i zgubiłem swoich.

– Patrzcie no! – powiedział jeden z żołnierzy. Drugi żołnierz pokiwał głową.

– Cóż, jeśli chcesz, to zjedz ździebko bryjki! – rzekł pierwszy i podał Pierre'owi drewnianą łyżkę, którą był oblizwał.

Pierre przysiadł się do ognia i zaczął jeść bryjkę – to jadlo, które było w kociołku i które mu się wydawało najsmaczniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek spożywał. Kiedy pochylony nad kociołkiem jadł chciwie, nabierając pełne łyżki i przeżuując jedną za drugą, a twarz jego była widoczna w świetle ognia, żołnierze patrzyli na niego w milczeniu.

– Gdzie ci potrzeba? Powiedz! – znów zapytał jeden z nich.

- Do Możajska.
- Tyś chyba z panów?
- Tak.
- A jak cię zowią?
- Piotr Kiryłowicz.
- No to chodźmy. Piotrze Kiryłowiczu, odprowadzimy Cię.

W zupełnej ciemności żołnierze razem z Pierre'em poszli w stronę Możajska.

Kiedy doszli do Możajska i zaczęli wchodzić na strome wzgórze miasta, już piałą koguty. Pierre siedł razem z żołnierzami i zupełnie zapomniał, że jego zajazd był na dole, u stóp wzgórza, i że już go minął. Nie przypomniałby sobie tego (tak był rozstrojony), gdyby w połowie drogi nie był się z nim zetknął jego masztalerz; masztalerz wyszedł był szukać go w mieście i teraz wracał do zajazdu. Mastalerz poznał Pierre'a po kapeluszu bielejącym w ciemności.

– Jaśnie panie – rzekł – a my już tu rozpaczamy. Czemuż to pieszo? Dokąd to jaśnie pan, tędy!

– Ach, tak – powiedział Pierre. Żołnierze zatrzymali się.

– No co, znalazłeś swoich? – rzekł jeden z nich.

– No, to żegnaj. Piotrze Kiryłowiczu, zdaje się, że tak cię zwa? Żegnaj, Piotrze Kiryłowiczu!
– odezwały się inne głosy.

– Żegnajcie – rzekł Pierre i wraz ze swym masztalerzem udał się do zajazdu.

„Trzeba im coś dać!” – pomyślał Pierre sięgając do kieszeni. „Nie, nie trzeba” – powiedział mu jakiś głos.

W zajęzdzie nie było miejsca: wszystkie izby były zajęte. Pierre poszedł na podwórze i, nakrywszy się z głową, ułożył się w swym powozie.

IX

Ledwie Pierre dotknął głową poduszki, poczuł, że zasypia; wtem, niemal jak na jawie, wyraźnie usłyszał bum-bum-bum strzałów, usłyszał jęki, krzyki, kłaśnięcia pocisków, zapachniało krwią i prochem: ogarnęło go uczucie przerażenia, strachu przed śmiercią. Z lękiem otworzył oczy i podniósł głowę spod płaszcza. Wszędzie na dworze było cicho. Tylko we wrotach rozmawiał ze stróżem jakiś ordynans i idąc człapał po błocie. Nad głową Pierre'a pod ciemnym okapem daszka z tarcic, zatrzepotały gołębie spłoszone ruchem, jaki uczynił unosząc się. Po całym podwórzu rozchodził się pełen spokoju, miły w tej chwili dla Pierre'a, mocny zapach zajazdu, zapach siana, nawozu i dziegciu. Między dwoma czarnymi okapami widniało czyste, rozgwieżdżone niebo.

„Chwała Bogu, że już tego nie ma – pomyślał Pierre i znów nakrył się z głową. – Och, jaki strach jest okropny i jak haniebnie mu się poddałem! a oni, oni przez cały czas, aż do końca, byli twardzi, spokojni” – pomyślał. Oni w pojęciu Pierre'a znaczyło ci żołnierze, którzy byli na baterii, i ci, którzy dali mu jeść, i ci, którzy się modlili przed obrazem. Oni – dziwni, nie znani mu dotąd ludzie, w jego myślach oni wyraźnie i ostro odcinali się od wszystkich innych ludzi.

„Być żołnierzem, po prostu żołnierzem! – myślał Pierre zasypiając. – Wejść całym jestestwem w to ogólne życie, przejąć się tym, co uczyniło ich takimi. Ale jak zrzucić z siebie to wszystko, zbędne, szatańskie, całe brzemie tego pozornego człowieka? Swego czasu mogłem być takim. Mogłem uciec od ojca, jakem chciał. Jeszcze po pojedynku z Dołochowem mógłbym być zesłany jako żołnierz.” I w wyobraźni Pierre'a przemknął obiad w klubie, podczas którego wyzwiał Dołochowa na pojedynek, i dobroczyńca w Torżku. I oto Pierre zobaczył uroczystą lożę stołową. Zebranie odbywa się w Klubie Angielskim. Przy końcu stołu siedzi ktoś znajomy, bliski, drogi. Przecie to on! To dobroczyńca. „Przecie on umarł? – pomyślał Pierre. – Tak, umarł, nie wiedziałem, że on żyje. Jak mi żal, że umarł, i jak się cieszę, że znów żyje!” Z jednej strony stołu siedzieli Anatol, Dołochow, Nieswicki, Denisow oraz inni tacy sami (w duszy Pierre'a podczas snu kategoria tych ludzi była również wyraźnie określona, jak i kategoria tych ludzi, których nazywał oni), i ci ludzie. Anatol, Dołochow, głośno krzyczeli, śpiewali, jednak przez ich krzyk słyhać było głos dobroczyńcy mówiącego bez przerwy, a dźwięk jego słów był równie donośny i nieustanny, jak wrzawa na polu bitwy, lecz przyjemny i pocieszający. Pierre nie rozumiał, co mówi dobroczyńca, ale wiedział (kategoria myśli była równie wyraźna podczas snu), że dobroczyńca mówi o dobru, o możliwości stania się tym, czym byli oni. I oni ze swymi prostymi, dobrymi, stanowczymi twarzami, otaczali dobroczyńcę. A choć byli dobrzy, nie patrzyli na Pierre'a, nie znali go. Pierre pragnął zwrócić na siebie ich uwagę i przemówić. Uniósł się na posianiu, ale w tej chwili jego obnażone nogi zaczęły ziębnąć.

Zrobiło mu się wstyd, więc zasłonił ręką nogi, z których rzeczywiście zsunął się płaszcz. Poprawiając płaszcz otworzył na chwilę oczy i zobaczył te same daszki, słupy, podwórze, ale teraz wszystko było niebieskawe, jasne i przesłonięte kryształkami rosy czy szronu.

„Świta – pomyślał Pierre. – Ale to nie to. Muszę wysłuchać i zrozumieć słowa dobroczyńcy.” Znów się nakrył płaszczem, ale już nie było ani stołowej loży, ani dobroczyńcy. Były tylko

myśli jasno wyrażone słowami, myśli, które wypowiadał albo które Pierre snuł sam.

Wspominając później te myśli, mimo że były wywołane wrażeniami owego dnia, Pierre był przekonany, że wypowiedział je ktoś z zewnątrz. Nigdy, jak mu się zdawało, na jawie nie był w stanie tak myśleć i tak wyrażać swych myśli.

„Wojna jest najtrudniejszym podporządkowaniem swobody człowieka prawom bożym – mówił głos. – Prostota jest uległością wobec Boga, przed Nim nie uciekniesz. I oni są prości. Oni nie mówią, ale czynią. Słowo wyrzeczone jest srebrem, a nie wyrzeczone złotem. Człowiek nad niczym nie ma władzy, póki boi się śmierci. A kto się jej boi, do tego należy wszystko. Gdyby nie było cierpienia, człowiek nie znałby swych granic, nie znałby siebie. Najtrudniejsza rzecz (Pierre we śnie snuł dalej swe myśli czy też je słyszał) polega na tym, by umieć łączyć w swej duszy znaczenie wszystkiego. Wszystko łączyć – rzekł do siebie Pierre. – Nie, nie łączyć. Myśli nie można łączyć, ale sprzęgać te wszystkie myśli – oto czego trzeba! Tak, trzeba sprzęgać, trzeba sprzęgać!” – powtórzył sobie Pierre z wewnętrznym zachwytem, czując, że właśnie w tych słowach, tylko w tych słowach wyraża się to, co chciał wyrazić, i rozstrzyga się cała dręcząca go kwestia.

– Tak, trzeba sprzęgać, czas sprzęgać.

– Zaprzęgać trzeba, czas zaprzęgać, jasnie panie! Jasnie panie – powtórzył jakiś głos – trzeba zaprzęgać, czas zaprzęgać...

Był to głos masztalerza, który go budził. Słońce biło prosto w twarz Pierre'a. Spojrzał na brudne podwórze, gdzie pośrodku żołnierze poili przy studni chude konie i z którego wrót wyjeżdżały wozy. Pierre odwrócił się ze wstrętem, zamknął oczy i znów zwałił się na poduszki powozu. „Nie, nie chcę tego widzieć i rozumieć, chcę zrozumieć to, co się przede mną odślaniało podczas snu. Jeszcze sekunda, a wszystko bym zrozumiał. Cóż mam czynić? Sprzęgać, ale jak sprzęgać wszystko?” I Pierre poczuł z przerażeniem, że całe znaczenie tego, co widział i myślał we śnie, zostało zburzone.

Masztalerz, stangret i stróż opowiadali Pierre'owi, że przejeżdżał oficer z wiadomością, iż Francuzi podeszli pod Możajsk i że nasi uciekają.

Pierre wstał, kazał zaprzęgać i jechać za sobą, po czym poszedł pieszo przez miasto.

Wojska wychodziły pozostawiając około dziesięciu tysięcy rannych. Rannych widać było w podwórzach, w oknach domów i tłoczących się na ulicach. Na ulicach przy wozach, które miały wywozić rannych, słychać było krzyki, wymyślenia, uderzenia. Pierre oddał swój powóz, który go dogonił, znajomemu rannemu generałowi i razem z nim pojechał do Moskwy. W drodze dowiedział się o śmierci swego szwagra i o śmierci księcia Andrzeja.

X

Pierre wrócił do Moskwy 30 sierpnia. Niemal przy rogatece spotkał się z adiutantem hrabiego Rastopczyzna.

– Wszędzie pana szukamy – oznajmił adiutant. – Hrabia koniecznie musi się z panem widzieć. Prosi, żeby pan zaraz do niego przyjechał w bardzo ważnej sprawie.

Pierre już nie wstępował do domu, lecz najął dorożkę i udał się do gubernatora.

Hrabia Rastopczyzn dopiero tego ranka wrócił do miasta ze swej podmiejskiej willi w Sokolnikach. Przedpokój i poczekalnia w domu hrabiego pełne były urzędników przybyłych na jego wezwanie albo po rozkazy. Wasilczikow i Płatów już się widzieli z hrabią i wyjaśnili mu, że obrona Moskwy jest niemożliwa i że Moskwa będzie oddana. Wiadomości te ukrywano przed mieszkańcami, jednak urzędnicy i naczelnicy różnych instytucji wiedzieli, że Moskwa wpadnie w ręce nieprzyjaciela, tak samo jak to wiedział hrabia Rastopczyzn; toteż wszyscy, aby uwolnić się od odpowiedzialności, przyszli do gubernatora zapytać, jak mają postąpić z powierzonymi sobie urzędami.

Kiedy Pierre wchodził do poczekalni, od hrabiego wychodził kurier przybyły z armii.

Kurier beznadziejnie machnął ręką na pytania, z jakimi zwrócono się do niego, i przeszedł przez salę.

Siedząc w poczekalni Pierre przyglądał się zmęczonymi oczyma znajdującym się w sali rozlicznym urzędnikom – starym i młodym, wojskowym i cywilnym, ważnym i nieważnym. Wszyscy wydawali się niezadowoleni i niespokojni. Pierre podszedł do jednej grupy urzędników, w której znajdował się jego znajomy. Przywitawszy się z Pierrem prowadzili dalej rozmowę.

– Jeśli się wyśle i znów cofnie, nieszczęścia nie będzie, a w takiej sytuacji za nic nie można odpowiadać.

– Przecie on tu pisze – mówił drugi pokazując zadrukowany papier, który trzymał w ręku.

– To inna rzecz. To jest potrzebne dla ludu – rzekł pierwszy.

– Co to? – zapytał Pierre.

– Nowa proklamacja.

Pierre wziął ją w ręce i zaczął czytać:

Najdostojniejszy książę, aby rychlej połączyć się z ciągnącymi ku niemu wojskami, minął Możajsk i stanął na miejscu umocnionym, gdzie nieprzyjaciel nie od razu na niego ruszy. Wysłano mu stąd czterdzieści osiem armat z pociskami i jego dostojność mówi, że do ostatniej kropli krwi będzie bronił Moskwy i gotów bić się choć i na ulicach. Wy, bracia, nie zważajcie na to, że urzędy zostały zamknięte: trzeba sprawy uporządkować, a my własny sąd odprawimy nad złoczyńcą! Jak przyjdzie co do czego, trzeba mi będzie chwatów z miasta i ze wsi. Za jakie dwa dni poślę wici, a teraz nie potrzeba, tędym cicho. Dobrze będzie z siekierą, nieźle z rohatyną a najlepiej z potrójnymi widłami: Francuz nie cięższy niż snop żyta. Jutro po obiedzie urządzam procesję z Matką Boską Iwerską do szpitala dla rannych w Jekateryńskiej. Tam poświęcimy

wodę: ranni prędzej wyzdrowieją; a ja teraz jestem zdrow: bolało mnie oko, ale teraz widzę wszystko doskonale.

– A mnie wojskowi mówili, że w mieście żadną miarą nie można się bić, że pozycja... – rzekł Pierre.

– O tym właśnie i my mówimy – powiedział pierwszy urzędnik.

– A co to znaczy: „Bolało mnie oko, ale teraz widzę wszystko doskonale”? – zapytał Pierre.

– Hrabia miał jęczmień – odpowiedział adiutant uśmiechając się – i bardzo się zaniepokoił, kiedy mu powiedział, że ludzie przychodzili pytać, co się z nim dzieje. No cóż, hrabio? – rzekł nagle adiutant i z uśmiechem zwrócił się do Pierre'a: – słyszeliśmy o pańskich kłopotach rodzinnych, jakoby hrabina, pańska małżonka...

– O niczym nie słyszałem – rzekł Pierre obojętnie.

– A co pan słyszał?

– Wie pan, często zmyślają. Mówię com słyszał.

– Cóż pan słyszał?

– Powiadają – znów z tym samym uśmiechem rzekł adiutant – że hrabina, pańska żona, wybiera się za granicę. Prawdopodobnie to banialuki...

– Możliwe – odpowiedział Pierre, z roztargnieniem rozglądając się dokoła. – A to kto? – zapytał wskazując niewysokiego, starego człowieka w czystej niebieskiej czui, z białą jak śnieg, dużą brodą, z takimiż samymi brwiami i rumianą twarzą.

– To? To pewien kupiec, właściwie szynkarz, Wereszczagin. Może pan słyszał tę historię o proklamacji.

– Ach, więc to jest Wereszczagin! – rzekł Pierre wpatrując się w stanowcze i spokojne oblicze starego kupca i doszukując się w nim wyrazu zdrady.

– To nie ten. To ojciec tego, co napisał proklamację – powiedział adiutant. – Młody siedzi w lochu i, zdaje się, że będzie z nim źle.

Do rozmawiających podeszli: pewien staruszek z gwiazdą i urzędnik-Niemiec z krzyżem na szyi.

– Widzi pan – opowiadał adiutant – to zagmatwana historia. Ta proklamacja ukazała się dwa miesiące temu. Doniesiono o niej hrabiemu. Kazał przeprowadzić śledztwo. Śledztwo prowadził Gawry lo Iwanycz: proklamacja była w rękach sześćdziesięciu trzech osób. Przyjeżdża do jednego: „Od kogo to macie?” – „Od tego to a tego.” Jedzie do tamtego: „Wy od kogo?” itd., aż dotarł do Wereszczagina. Niedouczony kupczyk, wie pan, kupczyk-lubczyk – mówił adiutant uśmiechając się. – Pytają go: „Od kogo to masz?” A najważniejsze, że wiemy, od kogo to ma. Od nikogo innego mieć nie może, tylko od poczmistrza. Od razu widać, że byli ze sobą w zmwowie. Powiada: „Od nikogo, samem napisał.” I grozili mu, i prosili, ale on powtarzał uparcie:

„Samem napisał.” To właśnie zameldowałem hrabiemu. Hrabia kazał go wezwać. „Od kogo masz proklamację?” „Samem ułożył.” No, pan zna hrabiego! – rzekł adiutant z wesołym i dumnym uśmiechem. – Strasznie się uniósł, bo niech pan tylko pomyśli: taka bezczelność, kłamstwo i upór!

– Ha! Rozumiem! Hrabia chciał, żeby on wskazał Kluczarewa – powiedział Pierre.

– Wcale nie – rzekł przestraszony adiutant. – Kluczarew i bez tego miał niejedną grzeszek na sumieniu, za co właśnie został zesłany. Chodzi o to, że hrabia był bardzo wzburzony. „Jakoś to mógł ułożyć?” – powiada hrabia. Wziął z biurka gazetę hamburską, „Patrz: Tyś nie ułożył, ale przetłumaczył, i to przetłumaczył kiepsko, bo ty, durniu po francusku nie umiesz.” No i co pan myśli? „Nie – powiada – żadnych gazet nie czytałem, ja sam ułożyłem.” „A jeśli tak, toś zdrajca, oddam cię pod sąd i powiesz cię. Mów, od kogoś dostał?” „Żadnych gazet nie czytałem, sam

ułożyłem.” Na tym stanęło. Hrabia nawet ojca wzywał; ale tamten obstaje przy swoim. Więc oddano go pod sąd, zdaje się, że skazali go na katorgę. Teraz ojciec przyszedł prosić za nim. Ale chłopak ladaco! Wie pan, taki kupiecki synek, elegancik, zwodziciel, nasłuchał się gdzieś jakichś odczytów i już myśli, że wszystkie rozумы pojadł. Proszę, jaki zuch! Jego ojciec ma traktamię w pobliżu Kamiennego Mostu. Wie pan, w traktierni jest duży obraz Boga Ojca, przedstawionego w ten sposób, że w jednej ręce ma berło, a w drugiej jabłko królewskie; więc on wziął ten obraz na kilka dni do domu i co zrobił! Znalazł jakiegoś łajdaka malarza...

XI

W środku tego nowego opowiadania wezwano Pierre'a do gubernatora.

Pierre wszedł do gabinetu hrabiego Rastopczyna. Kiedy wchodził, Rastopczyn krzywił się i czoło i oczy przecierał ręką. Jakiś niewysoki człowiek coś mówił a jak tylko Pierre wszedł, zamilkł i wyszedł.

– A! witajże, wielki wojaku – rzekł Rastopczyn, jak tylko wyszedł ów człowiek. – Słyszeliśmy o pańskich prouesses! Ale nie o to chodzi. Mon cher, entre nous, jesteś pan masonem? – powiedział Rastopczyn tonem surowym, jak gdyby w tym było coś złego, ale co on zamierza mu wybaczyć. Pierre milczał. – *Mon cher, je suis bien informe*¹⁷⁸, wszelako wiem, że są masoni i masoni, spodziewam się więc, że pan nie należysz do tych, którzy pod pretekstem ocalenia rodu ludzkiego chcą zgubić Rosję.

– Tak, jestem masonem – odpowiedział Pierre.

– A więc tak, mój drogi. Nie jest, jak sądzę, panu niewiadome, że panowie Sperański i Magnicki¹⁷⁹ zostali wysłani, gdzie należy; to samo uczyniono z panem Kluczarewem, to samo z innymi, którzy pod pozorem budowy świątyni Salomona chcieli zburzyć świątynie swej ojczyzny. Powinieneś pan zrozumieć, że są po temu przyczyny, że nie mógłbym zesłać tutejszego poczmistrza, gdyby to nie był człowiek szkodliwy. Teraz się dowiedziałem, żeś pan posłał mu swój powóz, aby mógł opuścić miasto, i nawet żeś wziął na przechowanie jego papiery. Lubię cię i źle ci nie życzę, a ponieważ jesteś pan dwa razy młodszy ode mnie, przeto radzę ci jak ojciec: zerwij wszelkie stosunki z tego rodzaju ludźmi i wyjeżdżaj stąd jak najprędzej.

– Ależ, hrabio, na czym polega wina Kluczarewa? – zapytał Pierre.

– Moją rzeczą jest wiedzieć, a pańską nie pytać mnie – krzyknął Rastopczyn.

– Oskarża się go o rozpowszechnianie proklamacji Napoleona, ale przecie tego nie udowodniono – oświadczył Pierre (nie patrząc na Rastopczyna) – i Wereszczagina...

– *Nous y voila!*¹⁸⁰ – przerywając Pierre'owi jeszcze głośniejszym krzyknął Rastopczyn i zasepił się nagle. – Wereszczagin to zdrajca i sprzedawczyk, który poniesie zasłużoną karę – rzekł z gniewną zapalczywością, z jaką zawsze mówią ludzie na wspomnienie zniewagi. – Ale nie po to pana wezwałem by omawiać moje sprawy, lecz po to, by dać panu radę lub rozkaz, jeśli pan tego chcesz. Proszę zerwać stosunki z takimi ludźmi jak Kluczarew i wyjechać stąd. Głupstwo wybije z głowy każdemu, w kimkolwiek by się ono znajdowało. – Prawdopodobnie spostrzegł, że wygląda to, jakby krzyczy go za rękę po przyjacielsku: – *Nous sommes a la wille d'un desastre publigue, et je n'ai pas le temps de dire des gentzał na Pierre'a, który jeszcze nic nie zawinił, dodał więc wzięwiiesses! a tous ceux qui ont affaire a moi. Nieraz aż w głowie się kręci! Eh hien, mon cher, qu'est-ce que vous faites, vous personnellement?*¹⁸¹

¹⁷⁸ Czynach bohaterskich!... Miedzy nami, mój drogi... ja, mój drogi, jestem dobrze poinformowany

¹⁷⁹ Michał Magnicki był jednym z bliskich współpracowników Sperańskiego Po zesłaniu Speranskiego został również zesłany do Wołody (1812–1816). Następnie jako wysoki urzędnik ministerstwa oświaty w drugiej połowie panowania Aleksandra I odznaczył się szczególnym obskurantyzmem i wsteczactwem.

¹⁸⁰ Otóż to!

¹⁸¹ Otóż to... Jesteśmy w przededniu ogólnej klęski, nie mam czasu na prawienie uprzejmości wszystkim, którzy

– Mais rien¹⁸² – odpowiedział Pierre nie podnosząc oczu i nie zmieniając wyrazu zamyślanej twarzy. Hrabia zasepił się.

– Un conseil d'ami, mañ cher. Decampez et au plutot, c'est tout ce que je vous dis. A bon entendeur salut! Żegnaj, mój drogi. – Ach! – krzyknął do niego w drzwiach – czy to prawda, że hrabina wpadła w łapki des saints peres de la Societe de Jesus?¹⁸³

Pierre nic nie odpowiedział. Wyszedł od Rastopczyzna zasepiony i zły, jakim go nigdy nie widziano.

Kiedy przyjechał do domu, już się zmierzchało. Tego wieczora było u niego osiem różnych osób: sekretarz komitetu, pułkownik jego batalionu, administrator, ochmistrz i różni petenci. Każdy miał sprawy, o których Pierre powinien był sam decydować. Pierre nic nie rozumiał, nie interesował się tymi sprawami i na wszystkie pytania odpowiadał tak, by się uwolnić od tych ludzi. Pozostawszy wreszcie sam, rozpieczętował i przeczytał list od żony.

„Oni – żołnierze na baterii, ksiązę Andrzeja zabity... staruszek... Prostota to poddanie się Bogu. Trzeba cierpieć... znaczenie wszystkiego... trzeba sprzęgać... żona wychodzi za mąż... Trzeba zapomnieć i zrozumieć...” I podszedłszy do łóżka, położył się w ubraniu i natychmiast zasnął.

Kiedy nazajutrz rano obudził się, ochmistrz przyszedł zameldować, że hrabia Rastopczyzn przysłał specjalnie urzędnika policji, by się dowiedzieć, czy hrabia Bezuchow już wyjechał lub czy wyjeżdża.

W salonie czekało na Pierre'a dziesięć różnych osób mających do niego interesy. Pierre ubrał się spieszenie i – zamiast wyjść do czekających na niego – poszedł na ganek kuchenny, a stamtąd do bramy.

Od tej chwili przez cały czas burzenia Moskwy nikt z domowników, mimo poszukiwań, już go nie widział i nikt nie wiedział, gdzie się Pierre znajduje.

mają ze mną do czynienia... A więc, mój drogi, co pan robi osobiście?

¹⁸² Ależ nic.

¹⁸³ Rada przyjacielska, mój drogi. Zmykaj stąd jak najprędzej, to wszystko, co d powiem. Mądrej głowie dość dwie słowie)... świętych ojców z Towarzystwa Jezusowego?

XII

Do 1 września, to jest do wigilii wkroczenia nieprzyjaciela do Moskwy, Rostowowie pozostawali w mieście.

Po wstąpieniu Pieti do pułku kozaków Oboleńskiego i po jego wyjeździe do Białej Cerkwi, gdzie się pułk formował, hrabinę ogarnął strach. Dopiero teraz, tego lata, z okrutną wyrazistością przyszła jej do głowy myśl, że obaj jej synowie są na wojnie, że obaj wymknęli się spod jej skrzydeł, że dziś czy jutro każdy z nich, a może nawet i obaj razem, jak trzej synowie pewnej jej znajomej, mogą być zabici. Próbowwała wyreklamować do siebie Mikołaja, chciała sama jechać do Pieti, umieścić go gdzieś w Petersburgu, ale jedno i drugie okazało się niemożliwe. Pietia nie mógł wrócić inaczej, tylko razem z pułkiem albo być przeniesiony do innego pułku armii czynnej. Mikołaj znajdował się gdzieś w armii i po ostatnim liście, w którym szczegółowo opisywał spotkanie z księżniczką Marią, nie dawał o sobie wieści. Hrabina nie sypiała po nocach, a kiedy usnęła, śnili się jej obaj synowie – zabici. Po wielu naradach i pertraktacjach hrabia wymyślił wreszcie sposób na uspokojenie hrabiny. Przeniósł Pietię z pułku Oboleńskiego do pułku Bezuchowa, który formował się pod Moskwą. Choć Pietia pozostawał w wojsku, hrabina po tym przeniesieniu miała tę pociechę, że przynajmniej jednego syna trzymała pod skrzydełkiem i spodziewała się, że Pietię można będzie tak urządzić, by go mieć stale pod opieką i wynajdywać mu zawsze taką służbę, gdzie by żadną miarą nie znalazł się w polu. Póki tylko Nicolas był w niebezpieczeństwie, hrabinie wydawało się (i nawet robiła sobie wyrzuty z tego powodu), że starszego syna kocha najbardziej ze wszystkich dzieci; ale kiedy najmłodszy – swawolnik Pietia, który źle się uczył, wszystko psuł i wszystkim w domu dokuczał, ów Pietia z zadartym nosem i wesołymi czarnymi oczami, świeżym rumieńcem i ledwie widocznym puszkciem na policzkach – dostał się tam, do tych dorosłych, strasznych, okrutnych mężczyzn, którzy o coś tam się biją i znajdują w tym jakąś radość, wówczas matce wydało się, że jego kocha najbardziej, o wiele bardziej niż inne dzieci. Im bliższy był czas powrotu do Moskwy oczekiwanego Pieti, tym bardziej zwiększał się niepokój hrabiny. Myślała nawet, że już nigdy nie doczeka tego szczęścia. Nie tylko obecność Soni, ale i ukochanej Nataszy, a nawet obecność męża drażniła hrabinę. „Cóż mnie oni obchodzą? Nie potrzebuję nikogo prócz mojego Pieti!” – myślała.

W ostatnich dniach sierpnia Rostowowie dostali drugi list od Mikołaja. Pisał z guberni woroneskiej, dokąd został wysłany po konie. Ów list nie uspokoił hrabiny. Wiedząc, że jeden syn jest bezpieczny, jeszcze bardziej zaczęła się lękać o Pietię.

Mimo że już do 20 sierpnia prawie wszyscy znajomi Rostowów powyjeżdżali z Moskwy i mimo że wszyscy namawiali hrabinę, by wyjeżdżała jak najprędzej, nie chciała nawet słuchać o wyjeździe dopóty, dopóki nie wróci jej skarb, uwielbiany Pietia. 28 sierpnia Pietia przyjechał. Chorobliwie namiętna tkliwość, z jaką matka go powitała, nie podobała się szesnastoletniemu oficerowi. Choć matka ukryła przed nim swój zamiar niewypuszczenia go teraz spod swojego skrzydełka, Pietia odgadł jej zamysły, toteż instynktownie lękając się, by przy matce się nie roztkliwić, nie stać się „babą” (tak sobie myślał), zachował się wobec niej ozięble, unikał jej i

podczas swego pobytu w Moskwie trzymał się wyłącznie Nataszy, z którą zawsze łączyła go osobliwa, niemal miłosa, braterska tkliwość.

Wskutek zwykłej beztroski hrabiego 28 sierpnia nic jeszcze nie było przygotowane do wyjazdu, oczekiwane zaś ze wsi rizańskiej i moskiewskiej wozy, które miały przewieźć wszystkie ruchomości, przybyły dopiero 30 sierpnia.

Od 28 do 31 sierpnia w całej Moskwie panowała krzątanina i ruch. Codziennie przez Dorogomiłowskie rogatki wwożono tysiące rannych w bitwie pod Borodinem i rozwożono po Moskwie, tysiące zaś wozów z mieszkańcami i dobytkiem wyjeżdżało przez inne rogatki. Mimo ogłoszeń Rastopczyna czy też niezależnie od nich, a może na skutek nich, po mieście krążyły dziwne i sprzeczne wieści. Jedni mówili, że nie kazano nikomu wyjeżdżać; inni, przeciwnie, opowiadali, że z cerkwi zabrano wszystkie obrazy i że wszystkich wysła się przymusowo, niektórzy głosili, że po bitwie pod Borodinem była jeszcze jedna bitwa, w której Francuzi zostali rozbici, jeszcze inni opowiadali, że, przeciwnie, całe wojsko rosyjskie zostało zniszczone, ktoś tam mówił, że moskiewskie pospolite ruszenie z duchowieństwem na czele wyjdzie na Trzy Góry; ktoś opowiadał po cichu, że Augustynowi nie kazano wyjeżdżać, że schwytano zdrajców, że chłopci buntują się i grabią tych, co wyjeżdżają, itp., itp. Ale to tylko mówiono, w rzeczywistości zaś i d, co wyjeżdżali, i ci, co zostawali (mimo że jeszcze nie było narady w Piłach, na której postanowiono oddać Moskwę) – czuli, choć tego nie okazywali, że Moskwa niechybnie będzie oddana i że trzeba jak najprędzej uciekać i ratować mienie. Przeczowano, że coś nagle ma wybuchnąć i zmienić się, jednak do 1 września jeszcze nic się nie zmieniło. Jak przestępca, którego prowadzą na śmierć i który wie, że lada chwila musi zginąć, a przecie jeszcze rozgląda się dokoła i poprawia źle włożoną czapkę – cała Moskwa instynktownie wiodła swe zwykłe życie, choć wiedziała, że bliski jest ów czas zagłady, kiedy zerwą się te wszystkie umowne stosunki życiowe, którym nawykło się być posłusznym.

W ciągu trzech dni poprzedzających wzięcie Moskwy cała rodzina Rostowów pogrążona była w różnorodnych kłopotach życiowych. Głowa domu, hrabia Ilia Andreicz, bez przerwy jeździł po mieście, zbierał dochodzące ze wszystkich stron wieści, w domu zaś dawał ogólne, powierzchowne i pośpieszne zarządzenia w sprawie przygotowań do wyjazdu.

Hrabina pilnowała pakowania rzeczy, ze wszystkiego była niezadowolona, chodziła za Pietią – ciągle jej unikającym – i zazdrościła Nataszy, z którą spędzał cały czas. Tylko Sonia kierowała praktyczną stroną sprawy: pakowaniem rzeczy. Sonia była osobliwie smutna i milcząca przez cały ostatni czas. Kiedy przyszedł list od Mikołaja, w którym wspominał o księżniczce Marii, hrabina w jej obecności jęła wesoło powtarzać, że w spotkaniu księżniczki Marii z Nicolas widzi palec Boży.

Nigdy się nie cieszyłam – powiedziała hrabina – kiedy Bołkoński był narzeczonym Nataszy, ale tego tom zawsze pragnęła i mam przecucie, że Nikoleńka ożeni się z księżniczką. I jak by to było dobrze!

Sonia czuła, że to prawda, że jedynym sposobem poprawienia interesów rodzinnych byłby bogaty ożenek i że księżniczka jest dobrą partią. Lecz było to dla niej gorzkie. Mimo smutku, a może właśnie wskutek tego smutku, wzięła na siebie trud pokierowania zebraniem i spakowaniem rzeczy i po całych dniach była zajęta. Hrabia i hrabina zwracali się do niej, kiedy musieli coś zarządzić. Pietia i Natasza nie tylko że nie pomagali rodzicom, ale wszystkim w domu dokuczali i przeszkadzali. Niemal przez cały dzień słyhać było ich bieganinę, krzyki i śmiech bez powodu. Śmieli się i cieszyli bynajmniej nie dlatego, żeby był jakiś powód do śmiechu; ale było im na sercu wesoło i dlatego wszystko, cokolwiek się zdarzyło, było dla nich powodem do wesołości i śmiechu. Pieti było wesoło dlatego, że wyjechał z domu jako chłopiec, a wrócił (tak mu wszyscy mówili) mężczyzną, chwatem; wesoło mu było dlatego, że jest w

domu, dlatego, że z Białej Cerkwi, gdzie nie miał zbyt wiele nadziei, że trafi na bitwę, dostał się do Moskwy, gdzie lada dzień będą się bić; najważniejsze zaś, było mu wesoło dlatego, że Natasza, której nastrojowi zawsze się poddawał, była wesoła. Natasza zaś była wesoła dlatego, że zbyt długo się smuciła, a teraz nic jej nie przypominało przyczyny smutku i była zdrowa. Była wesoła jeszcze dlatego, że był człowiek, który się nią zachwycił (zachwyt innych był ową mazią do kół, niezbędną, aby maszyna poruszała się zupełnie swobodnie), i Pietia się nią zachwycił. Najważniejszą przyczyną ich wesołości było to, że wojna doszła do Moskwy, że pod rożatkami będzie bitwa, że rozdawano broń, że wszyscy biegają, gdzieś wyjeżdżają, że w ogóle dzieje się coś niezwykłego, co zawsze jest dla człowieka, osobliwie dla młodego, czymś radosnym.

XIII

W sobotę 31 sierpnia w domu Rostowów wszystko jak gdyby było wywrócone do góry nogami. Wszystkie drzwi były otwarte, wszystkie meble powynoszone albo poprzestawiane, lustra i obrazy pozdejmowane. W pokojach stały kufry, leżało siano, papier do pakowania i sznurki. Chłopi i służba wynosząca rzeczy chodzili po posadzkach ciężkimi krokami. Na podwórzu tłoczyły się wozy chłopskie, niektóre już naładowane z czubem i przewiązane, niektóre jeszcze puste.

Na podwórzu i w domu rozlegały się i przekrzykiwały głosy i kroki licznych chłopów przybyłych z wozami. Hrabia z samego rana gdzieś pojechał. Hrabina, którą od krzątaniny i hałasu rozboleła głowa, leżała w nowej bawialni z kompresami z octu na głowie. Pieti nie było w domu (poszedł do kolegi, z którym zamierzał przenieść się z pospolitego mszenia do armii czynnej). Sonia doglądała w salonie pakowania kryształów i porcelany. Natasza siedziała w swoim pokoju na podłodze wśród rozrzuconych sukien, wstążek, szarf, patrząc nieruchomo na podłogę trzymała starą suknię balową, tę samą (już niemodną) suknię, w której pierwszy raz była na balu w Petersburgu.

Natasza wstydziła się, że nic w domu nie robi, gdy wszyscy byli tak zajęci, już więc z samego rana kilkakrotnie próbowała wziąć się do pracy; ale nie była do tego usposobiona, a nie mogła i nie umiała robić czegokolwiek nie z całego serca, nie ze wszystkich sił. Postąpiła przy Soni przy pakowaniu porcelany, chciała pomóc, ale zaraz to rzuciła i poszła do siebie pakować swoje rzeczy. Z początku bawiło ją rozdawanie pokojówkom sukien i wstążek, ale potem, kiedy tak czy inaczej resztę trzeba było spakować, wydało się jej to nudne.

– Duniasza, moja złota, zapakujesz, prawda?

A kiedy Duniasza chętnie zgodziła się wszystko zrobić, Natasza usiadła na podłodze, wzięła starą suknię balową i zamyśliła się wcale nie nad tym, czym teraz należało się zająć. Z zadumy, w jakiej się znajdowała, wyrwały ją głosy dziewcząt w sąsiedniej garderobie i ich pośpieszne kroki na ganek kuchenny. Wstała i wyrzała oknem. Na drodze zatrzymał się cały tabor wozów z rannymi.

Dziewczęta, lokaje, klucznica, niania, kucharze, stangreci, forysie, kuchciki stali przed bramą i patrzyli na rannych. Natasza zarzuciła na głowę białą chusteczkę i, przytrzymując ją obiema rękami, wyszła na ulicę.

Dawna klucznica, staruszka Mawra Kuźminiszna, odłączywszy się od tłumu stojącego przed bramą, podeszła do wozu, na którym była budka z rogoży. Rozmawiała z leżącym na tym wozie młodym, bladym oficerem. Natasza zbliżyła się o kilka kroków i przystanąła nieśmiało; przytrzymując chusteczkę słuchała, co mówi klucznica.

– To znaczy, że pan nikogo w Moskwie nie ma? – mówiła Mawra Kuźminiszna. – Lepiej by panu było gdzieś na kwaterze... Choćby u nas. Państwo wyjeżdżają.

– Nie wiem, czy pozwolą – rzekł oficer słabym głosem. – Oto dowódca... proszę zapytać – i wskazał grubego majora, jadącego ulicą wzdłuż rzędu wozów.

Natasza przerażonymi oczami spojrzała na twarz rannego oficera i poszła w stronę majora.

– Czy ranni mogą się zatrzymać u nas w domu? – zapytała.

Major uśmiechnął się i przyłożył rękę do daszka.

– Kogo pani sobie życzy, mamzel? – rzekł z uśmiechem zwięziwszy oczy.

Natasza spokojnie powtórzyła pytanie, a twarz jej i całe zachowanie się, mimo że nadal przytrzymywała za różki swą chusteczkę, były tak poważne, że major przestał się uśmiechać. Najpierw zamyślił się, jak gdyby zadawał sobie pytanie, w jakim stopniu jest to możliwe, i odpowiedział jej twierdząco.

– Owszem, dlaczegóż by nie – odpowiedział. Natasza z lekka skinęła głową i szybkim krokiem wróciła do Mawry Kuźminisznej, która pochyliła się nad oficerem i rozmawiała z nim z żalnym współczuciem.

– Można, powiedział, że można! – szepnęła Natasza. Oficer w wózku skręcił w podwórze Rostowów; na zaproszenie mieszkańców dziesiątki wozów z rannymi zaczęły skręcać w podwórza i zatrzymywać się przed podjazdami domów przy ulicy Powarskiej. Nataszy widocznie spodobała się ta znajomość z nowymi ludźmi, wychodząca z kolei codziennego życia. Wraz z Mawra Kuźminiszna starała się jak najwięcej wozów z rannymi zawrócić na swoje podwórze.

– Warto by jednak powiedzieć tatusiowi – rzekła Mawra Kuźminiszna.

– To nic, to nic, czy to nie wszystko jedno! Na jeden dzień przeniesiemy się do salonu. Można im oddać całą naszą połowę. Panienska zawsze coś wymyśli! Choćby nawet w oficynie, w czeladnej chłopców, u niani – a i to trzeba zapytać.

– No to zapytam.

Natasza pobiegła do domu i na palcach weszła w na pół uchylone drzwi bawialni, z której pachniało octem i kroplami Hoffmana.

– Czy mama śpi?

– Ach, jaki tam sen! – rzekła hrabina budząc się z chwilowej drzemki.

– Mamo, kochana – rzekła Natasza klękając przed matką i przysuwając blisko swą twarz do jej twarzy. – Bardzo mamę przepraszam, żem obudziła, już nigdy nie będę. Przysłała mnie Mawra Kuźminiszna, przywieziono tu rannych, oficerów, czy mama pozwoli? Nie mają gdzie się podziać, wiem, że mama pozwoli... – mówiła prędko, jednym tchem.

– Jacy oficerowie? Kogo przywieziono? Nic nie rozumiem – powiedziała hrabina.

Natasza roześmiała się, hrabina również uśmiechnęła się słabo.

– Wiedziałam, że mama pozwoli... no to powiem.

Natasza wstała i ucałowawszy matkę poszła do drzwi.

W sali spotkała ojca, wrócił do domu ze złymi wieściami.

– Aleśmy się zasiedzieli! – rzekł hrabia z mimowolnym gniewem. – I klub zamknięty, i policja wychodzi.

– Papo, czy to nic, że zaprosiłam do domu rannych? – powiedziała do niego Natasza.

– Oczywiście, że nic – odparł z roztargnieniem hrabia.

– Nie o to chodzi, ale teraz proszę nie zajmować się głupstwami i pomóc w pakowaniu. Trzeba jechać, jechać już jutro... – Hrabia wydał ten sam rozkaz ochmistrzowi i ludziom. Powróciwszy na obiad Pietia także opowiadał swoje nowiny.

Mówił, że dziś ludność dzieliła między siebie broń na Kremlu, że choć w ogłoszeniu Rastopczyzna było powiedziane, że Rastopczyzn za dwa-trzy dni roześle wici, jednak już na pewno był rozkaz, żeby jutro cała ludność szła z bronią na Trzy Góry i że tam będzie wielka bitwa.

Hrabina z nieśmiałym lękiem patrzyła na wesołą, rozpaloną twarz syna, kiedy to opowiadał.

Wiedziała, że jeśli powie choć słowo, że prosi, by Pietia nie szedł na tę bitwę (wiedziała, że cieszy się z powodu tej bitwy), to on powie coś o mężczyznach, o honorze, o ojczyźnie – coś takiego bezmyślnego, męskiego, upartego, czemu nie można będzie się sprzeciwić, i sprawa będzie przegrana; mając więc nadzieję, że uda się tak urządzić, by przedtem wyjechać i wziąć ze sobą Pietię jako obrońcę i opiekuna, nic Pieti nie powiedziała, ale po obiedzie wezwała hrabiego i błagała ze łzami, żeby ją wywiózł jak najprędzej, dzisiejszej nocy, jeśli to możliwe. Z kobietą, instynktowną przebiegłością mówiła – ona, która dotychczas okazywała całkowitą nieustraszoną – że umrze ze strachu, jeśli nie wyjadą dzisiejszej nocy. Nie udawała: teraz się bała wszystkiego.

XIV

M-me Schoss, wróciwszy od córki, jeszcze spotęgowała strach hrabiny opowiadając, co widziała przy akcyzie na Miasnickiej. Z powodu pijanego tłumu awanturującego się pod akcyzą nie mogła się przedostać do domu. Najęła dorożkę i bocznymi ulicami wróciła do domu, dorożkarz opowiadał jej, że pospólstwo rozbija w akcyzie beczki, że tak kazano.

Po obiedzie wszyscy w domu Rostowów z gorączkowym pośpiechem zabrali się do pakowania rzeczy i przygotowań do wyjazdu. Stary hrabia też zabrał się z nagłą do roboty i zaraz po obiedzie bezustannie krążył między podwórzem a domem, krzyczał bez sensu na śpieszących się ludzi i jeszcze bardziej ich ponaglał. Pietia rządził na podwórzcu. Pod wpływem sprzecznych poleceń hrabiego Sonia nie wiedziała, co robić, i całkiem traciła głowę. Ludzie krzyczeli, kłócili się, hałasowali, biegali po pokojach i po podwórzcu. Natasza ze zwykłą sobie namiętnością też zabrała się do pracy. Z początku jej wtrącanie się do pakowania było przyjęte z nieufnością. Wszyscy spodziewali się po niej żartów i nie chcieli jej słuchać, jednak z uporem i namiętnie żądała dla siebie posłuszeństwa, gniewała się, omal nie płakała, że nikt jej nie słucha, i wreszcie osiągnęła, że jej zaufano. Pierwszym sukcesem, który kosztował ją wiele wysiłków, ale dał jej władzę, było pakowanie dywanów. W domu hrabiego były drogie gobeliny i dywany perskie. Kiedy Natasza zabrała się do roboty, w sali stały dwie otwarte skrzynie: jedna aż po sam wierzch wypełniona porcelaną, druga – dywanami. Jeszcze dużo porcelany stało na stołach i ciągle jeszcze znoszono z kredensu. Trzeba było zacząć pakować nową, trzecią skrzynię i ludzie poszli po nią.

– Poczekaj, Soniu, i tak ułożymy wszystko – powiedziała Natasza.

– Nie można, panienko, jużemy próbowali – oświadczył kredencarz.

– Nie, poczekaj, bardzo cię proszę. – I Natasza jęła wyjmować ze skrzyni owinięte w papier półmiski i talerze.

– Półmiski trzeba ułożyć tutaj, między dywanami – powiedziała.

– Daj Boże, żebyśmy same dywany zmieścili w trzech skrzyniach – rzekł kredencarz.

– Bądź łaskaw poczekać. – Natasza szybko, zręcznie jęła przebierać. – Tego nie trzeba – mówiła o kijowskich talerzach. – To tak, to w dywany – mówiła o półmiskach saskich.

– Daj spokój, Natasza, dosyć, sami zapakujemy – z wyrzutem mówiła Sonia.

– Ech, panienko! – dodawał ochmistrz. Ale Natasza nie poddała się, wyrzuciła wszystkie rzeczy i szybko jęła znów pakować, postanowiwszy, że lichych dywanów domowych i zbytecznej zastawy całkiem nie warto brać. Kiedy wszystko zostało wyjęte, znów zaczęto pakować. I rzeczywiście, po wyrzuceniu wszystkich rzeczy tanich, niewartych zabierania, wszystko, co cenne, ułożono w dwóch skrzyniach. Tylko wieko skrzyni z dywanami nie domykało się. Można było wyjąć trochę rzeczy, ale Natasza chciała postawić na swoim. Układała, przekładała, przyciskała, zmuszała kredencarza i Pietię, którego przyciągnęła ze sobą do pakowania, żeby przyciskali wieko, i sama robiła rozpaczliwe wysiłki.

– No dosyć, Natasza – mówiła do niej Sonia. – Widzę, że masz rację, ale wyjmij dywan z wierzchu.

– Nie chcę – krzyczała Natasza, jedną ręką przytrzymując włosy opadające na spoconą twarz,

drugą przyciskając dywany. – Przyciskaj, Piet'ka, przyciskajże! Wasilicz, przyciskaj! – krzyczała. Dywany ściśnięto i wieko się domknęło. Natasza klasnęła w ręce i zapiszczała z uciechy, a z oczu trysnęły jej łzy. Jednak trwało to tylko sekundę. Zaraz zabrała się do innej rzeczy, teraz już jej całkowicie ufano i hrabia nie gniewał się, gdy mu mówili, że Natasza Iliniszna zmieniła jego polecenie, służba zaś przychodziła do Nataszy pytać: czy wóz już przewiązywać, czy nie, czy już dość jest wypełniony? Dzięki zarządzeniom Nataszy robota szła naprzód: pozostawiono rzeczy niepotrzebne i pakowano wyłącznie bardzo cenne.

Ale, mimo starań wszystkich domowników, do późnej nocy jeszcze nie wszystko zapakowano. Hrabina usnęła, hrabia odłożył wyjazd do jutra i też poszedł spać.

Sonia i Natasza spały w salonie, nie rozbierając się.

Tej nocy jeszcze jednego rannego wieziono ulicą Powarską i Mawra Kuźminiszna, która stała w bramie, zawróciła go do Rostowów. Mawra Kuźminiszna wymiarkowała, że ów ranny to był bardzo znaczny człowiek. Wieziono go w powozie całkowicie zasłoniętym fartuchem, z opuszczoną budą. Na koźle obok stangreta siedział kamerdyner, czcigodny staruszek. Za powozem jechali doktor i dwaj żołnierze.

– Bądźcie łaskawi do nas, bardzo prosimy. Państwo wyjeżdżają, cały dom pusty – rzekła staruszka zwracając się do starego sługi.

– No cóż – odpowiedział kamerdyner wzdychając nie zdążymy nawet dowieźć! I my mamy własny dom w Moskwie, ale daleko i nikt tam nie mieszka.

– Prosimy do nas, u naszych państwa wszystkiego pod dostatkiem, prosimy – mówiła Mawra Kuźminiszna.

– Co, bardzo chory? – dodała. Kamerdyner machnął ręką.

– Nie mamy nadziei dowieźć! Trzeba zapytać doktora.

I kamerdyner zszedł z kozła i podszedł do bryczki.

– Dobrze – powiedział doktor.

Kamerdyner znów podszedł do powozu, zajrzał, pokiwał głową, kazał stangretowi skrócić w podwórze i zatrzymał się przy Mawrze Kuźminisznie.

– Chryste Panie! – wyrzekła. Mawra Kuźminiszna proponowała wnieść rannego do domu.

– Państwo nic nie powiedzą... – mówiła. Jednak należało unikać wchodzenia po schodach, wniesiono więc rannego do oficyny i położono w dawnym pokoju m-me Schoss.

Tym rannym był książę Andrzej Bołkoński.

XV

Nastał ostatni dzień Moskwy. Czas był jasny, pogodny, jesienny. Była niedziela. Podobnie jak w zwykłe niedziele, we wszystkich cerkwiach dzwony zwoływały na nabożeństwo. Zdawało się, że nikt jeszcze nie może zrozumieć tego, co czeka Moskwę.

Tylko dwa wskaźniki stanu społeczeństwa wyrażały sytuację, w jakiej znajdowała się Moskwa: czern, tj. biedota, i ceny różnych przedmiotów. Lud fabryczny, czeladź dworska i chłopci olbrzymią ciżbą, do której wmieszali się urzędnicy, seminarzyści, szlachta, wyszli owego dnia wczesnym rankiem na Trzy Góry. Postali tam, a kiedy, nie doczekawszy się Rastopczyzna, przekonali się, że Moskwa zostanie oddana, rozsypali się po Moskwie, po szynkach i po traktierniach. Ceny owego dnia również mówiły o sytuacji. Ceny broni, złota, wozów i koni ciągle szły w górę, ceny zaś asygnat i rzeczy miastowych ciągle spadały, toteż już koło południa były wypadki, że drogie towary, jak np. sukno, furmani przewozili dzieląc się nimi pół na pół, a za chłopskiego konia płacono pięćset rubli; meble zaś, lustra, brązy oddawano za darmo.

W solidnym, starym domu Rostowów rozkład dawnych warunków życia odbił się bardzo słabo. Co się tyczy ludzi, to w ciągu nocy zniknęło tylko trzech spośród ogromnej służby dworskiej, nic jednak nie zostało skradzione, a co do cen rzeczy, okazało się, że trzydzieści wozów, które przybyły ze wsi, to ogromne bogactwo, którego wiele ludzi zazdrościło, i za te wozy proponowano Rostowom ogromne pieniądze. Nie dość, że za te wozy proponowano ogromne pieniądze, lecz z wieczora i rana 1 września na podwórzu Rostowów przychodzili ordynansi i służący rannych oficerów, a nawet zwlekali się sami ranni rozmieszczeni u Rostowów i w sąsiednich domach i błagali ludzi Rostowów, żeby się postarali dla nich o podwozy, aby mogli wyjechać z Moskwy. Ochmistrz, do którego zwracano się z tymi prośbami, choć było mu żal rannych, stanowczo odmawiał i oświadczał, że nawet się nie ośmieli zameldować o tym hrabiemu. Pozostający w mieście ranni godni byli pożalowania, ale było oczywiste, że jeśli się da jeden wóz, nie będzie powodu, by nie dać drugiego, a jeśli się da wszystkie – trzeba będzie dać i swoje powozy. Trzydzieści wozów nie mogło uratować wszystkich rannych, w ogólnej zaś klęsce nie można było nie myśleć o sobie i o swojej rodzinie. Tak rozumował ochmistrz za swojego pana.

Obudziwszy się rano 1 września hrabia Ilia Andreicz po cichutku wyszedł z sypialni, aby nie zbudzić hrabiny, która usnęła dopiero nad ranem, i wyszedł na ganek w swym fioletowym jedwabnym szlafroku. Na podwórzu stały załadowane wozy. Przed gankiem stały ekwipaże. Ochmistrz stał u podjazdu i rozmawiał ze starym ordynansem i z młodym, bladym oficerem z ręką na temblaku. Ujrawszy hrabiego dał oficerowi i ordynansowi porozumiewawczy i surowy znak, żeby odeszli.

– No cóż, Wasilicz, wszystko gotowe? – rzekł hrabia pocierając łysinę i patrząc dobroniusznie na oficera i ordynansa i kiwając im głową. (Hrabia lubił nowe twarze.)

– Choć zaraz można zaprzęgać, jaśnie panie.

– Doskonale. Jak tylko hrabina się obudzi, to z Bogiem! Wy co, panowie? – zwrócił się do

oficera. – Jesteście u mnie? – Oficer podszedł bliżej. Jego blada twarz pokryła się nagle jaskrawym rumieńcem.

– Hrabio, z łaski swojej, pozwól mi... na miłość boską... gdzieś się przytulićnie wszystko jedno... – Oficer jeszcze nie zdążył skończyć, a już ordynans zwrócił się do hrabiego prosząc za swym na swych wozach. Nic ze sobą nie mam... Mogę na wozie, moficerem.

– Ach, tak, tak, tak – zaczął spieszenie hrabia. – Bardzo się cieszę, bardzo. Wasilicz, zarządz tam, trzeba opróżnić jeden czy dwa wozy, no i w ogóle... co trzeba... – rzekł hrabia coś tam rozkazując w tak nieokreślony sposób. Ale w tej samej chwili gorący wyraz wdzięczności na twarzy oficera już uprawomocnił to, co hrabia polecał. Hrabia rozejrzał się: na podwórze, w bramie, w oknie oficyny widać było rannych i ordynansów. Wszyscy patrzyli na hrabiego i zmierzali na ganek.

– Jaśnie pan będzie łaskaw do galerii. Co jaśnie pan rozkaże wedle obrazów? – rzekł ochmistrz. I hrabia razem z nim wszedł do domu powtarzając, by nie odmawiać rannym, którzy proszą, by ich zabrać.

– No cóż, można przecie coś niecoś zdjąć – dodał głosem cichym i tajemniczym, jak gdyby się bał, że go ktoś usłyszy.

O dziewiątej obudziła się hrabina. Matriona Timofiejewna, była pokojówka, pełniąca przy niej funkcję szefa żandarmów, przyszła zameldować swej byłej panience, że Maria Karłowna jest bardzo obrażona i że paniencyne letnie sukienki nie mogą tu zostać. Na pytanie hrabiny, dlaczego m-me Schoss jest obrażona, wyjaśniło się, że zdjęto z wozu jej kufer i że wszystkie wozy się rozpakowuje, zdejmuje się dobytek i zabiera rannych, których hrabia w swej dobroduszości kazał zabierać. Hrabina kazała poprosić męża do siebie.

– Mój drogi, słyszę, że znów zdejmuje się rzeczy?

– Wiesz, *ma chere*, chciałem ci właśnie powiedzieć... ma chere hrabianeczko... przyszedł do mnie oficer, prosi, żeby dać kilka wozów dla rannych. Wszystko to są rzeczy do odkupienia, a pomyśl sama, jak oni mogą tu zostać!... Doprawdy, są u nas w podwórze, samiśmy ich zaprosili, są tu oficerowie... Wiesz, sądzę, że niech ich zabiorą, doprawdy, ma chere, ma chere... dokąd tak się śpieszyć? – Hrabia mówił lekliwie, jak zawsze, kiedy szło o pieniądze. Hrabina przywykła już do tego tonu, zawsze poprzedzającego jakąś sprawę, która rujnowała dzieci: jakaś tam budowa galerii, oranżerii, urządzenie teatru domowego albo orkiestry, i przywykła, i uważała za swój obowiązek buntować się przeciw temu, co było wypowiedane tak nieśmiałym tonem.

Zrobiła potulnie płaczącą minę i rzekła do męża:

– Słuchaj, hrabio, doprowadziłeś do tego, że za dom nic nie dają, a teraz chcesz zmarnować cały nasz – dzieci – dobytek. Sam przecie mówisz, że w domu jest mienia za sto tysięcy. Ja, mój drogi, nie zgadzam się, nie zgadzam. Twoja wola! Dla rannych jest rząd. Oni wiedzą o tym. Przyjrzyj się: naprzeciwko, u Łopuchinów, już trzy dni temu wywieziono wszystko do ostatniej nitki. Tak właśnie ludzie postępują. Tylko my jesteśmy głupi. Miej litość, jeśli nie nade mną, to nad dziećmi.

Hrabia zamachał rękami i nic nie powiedziawszy wyszedł z pokoju.

– Papo! o czym mówisz, papo? – zapytała go Natasza, która zaraz za nim weszła do pokoju matki.

– O niczym! Nie twoja rzecz! – rzekł gniewnie hrabia. – powiedziała Natasza. – Dlaczego

– Ale ja słyszałam – mama nie chce?

– Co ci do tego? – krzyknął hrabia. Natasza podeszła do okna i zamyśliła się.

– Papciu, Berg przyjechał do nas – oznajmiła patrząc w okno.

XVI

Berg, zięć Rostowów, był już pułkownikiem, miał na szyi Włodzimierza i Annę i zajmował ciągle to samo spokojne i przyjemne stanowisko zastępcy szefa sztabu zastępcy pierwszego oddziału szefa sztabu drugiego korpusu. 1 września przyjechał z armii do Moskwy. Nie miał nic do roboty w Moskwie, zauważył jednak, że wszyscy z armii wypraszały się do Moskwy i coś tam robili. Więc i on uznał za stosowne zwolnić się ze względu na sprawy domowe i rodzinne.

Berg zajechał przed dom teścia swoim solidnym wolancikiem zaprzężonym w dwa spasione bułanki zupełnie takie same, jakie miał pewien książę. Uważnie popatrzył na podwórko i na wozy, a kiedy wchodził na ganek, wyjął czystą chusteczkę i zawiązał węzełek. Z przedpokoju Berg wbiegł do salonu posuwistym, niecierpliwym krokiem, uściskał hrabiego, pocałował w rączkę Nataszę i Sonię i skwapliwie zapytał o zdrowie mamusi.

– Jakie tam teraz może być zdrowie? No, opowiadaj; – rzekł hrabia – jak wojska? Cofają się czy będzie bitwa?

– Losy ojczyzny w ręku Boga, papeczku – oświadczył I Berg. – Armia płonie bohaterskim duchem, wodzowie zaś teraz zebrali się, by tak rzec, na naradę. Co będzie, nie wiadomo. Powiem papeczkowi ogólnie, że aby opisać tak bohaterskiego ducha, prawdziwie starodawne męstwo wojsk rosyjskich, jakie ono – one – poprawił się – wykazały w tej bitwie 26 sierpnia, brak godnych słów... Powiem papeczkowi (uderzył się w pierś, tak samo jak uderzył się pewien generał, którego opowiadanie słyszał, jednak nieco za późno, albowiem należało uderzyć się w pierś przy słowie: „wojsko rosyjskie”, powiem papeczkowi szczerze, że my, dowódcy, nie tylko że nie musieliśmy ponaglać żołnierzy czy coś w tym rodzaju, ale nawet siłą musieliśmy powstrzymywać te... te... tak, bohaterskie i starodawne czyny – mówił szybko. – Powiem papusiowi, że generał Barciay de Tolly wszędzie na czele wojsk narażał swe życie. Proszę sobie wyobrazić, że nasz korpus stał na stoku góry!

I w tym miejscu Berg opowiedział wszystko, co zapamiętał z różnych usłyszanych w owym czasie opowiadań. Natasza nie spuszczała z niego oczu i jej spojrzenie mieszało go, a patrzyła na niego tak, jak gdyby w jego twarzy szukała odpowiedzi na jakieś pytanie.

– W ogóle takiego bohaterstwa, jakie okazali wojownicy rosyjscy, nie można ani opisać, ani godnie wysławić! – powiedział Berg oglądając się na Nataszę; uśmiechnął się w odpowiedzi na jej uporczywe spojrzenie, jak gdyby pragnął ją udobruchać... – „Rosja nie w Moskwie, lecz w sercach swych synów!” Prawda, papo? – rzekł Berg.

W tej chwili wyszła z bawialni hrabina z miną zmęczoną i niezadowoloną. Berg zerwał się pośpiesznie, ucałował rączkę hrabiny, zapytał o zdrowie i kiwaniem głową wyrażając współczucie stanął przy niej.

– Tak, powiem mamusi szczerze, że ciężkie i smutne czasy przyszły na każdego Rosjanina. Jednakże nie ma powodu tak się niepokoić! Jeszcze zdążycie wyjechać...

– Nie pojmuję, co ludzie robią – powiedziała hrabina zwracając się do męża. – Powiedziano mi w tej chwili, że jeszcze nic nie gotowe. Przecie powinien ktoś zarządzić. Jak tu nie żałować

Mitiński. Nigdy się to nie skończy!

Hrabia chciał coś powiedzieć, ale widocznie się powstrzymał. Wstał z krzesła i poszedł ku drzwiom.

Jak gdyby w tym celu, by wytrzeć nos, Berg wyjął chusteczkę i patrząc na węzełek zamyślił się, pokiwał głową smutnie i znacząco.

– Mam do papy wielką prośbę – oświadczył.

– Hm?... – rzekł hrabia przystając.

– Przejeżdżałem właśnie obok domu Jasupowa – rzekł Berg śmiejąc się. – Wybiegł administrator, mój znajomy, i pyta, czybym czego nie kupił. Wstąpiłem, wie papa, z ciekawości, a tam taka szyfonierka i toaletka... Wie papa, jak Wieruszka o tym marzyła i jakieśmy się o to spierali. (Berg, mówiąc o szyfonierce i toalecie, mimo woli wpadł w ton radosny na myśl o swym urzędzeniu.) – I jaka śliczna! Z szufladkami i z angielskim sekretarzykiem, wie papa? Wieroczka już dawno pragnęła. Więc tak bym chciał zrobić Jej niespodziankę. Widziałem tu u papy w podwórzu tylu chłopów. Niech mi papa da z łaski swojej jednego, ja mu dobrze zapłacę i...

– Hrabia skrzywił się i zachnął.

– Poproś hrabinę, ja tu nie rządę.

Jeśli to sprawia kłopot, to nie trzeba – oświadczył Berg. – Tylko bardzo bym chciał dla Wieroczki.

Ach, idźcie wszyscy do diabła, do diabła, do diabła i do diabła... – krzyknął stary hrabia. – W głowie się kręci. – I wyszedł z pokoju. Hrabina rozplakała się.

– Tak, tak, mamusiu, bardzo ciężkie czasy – rzekł Berg.

Natasza wyszła razem z ojcem. Najpierw szła za nim, jakby zamyślona, a potem pobiegła na dół.

Na ganku stał Pietia. Był zajęty uzbrajaniem czeladzi wyjeżdżającej z Moskwy. Na podwórzu wciąż stały naładowane wozy. Dwa były rozwiązane, na jeden z nich gramolił się oficer podtrzymywany przez ordynansa.

– Wiesz o co? – zapytał Pietia Nataszę. (Natasza zrozumiała, że Pietia ma na myśli, o co ojciec poważnił się z matką.) Nie odpowiedziała.

– O to, że papa chciał oddać wszystkie wozy dla rannych – powiedział Pietia. – Mówił mi Wasilicz. Według mnie...

– Według mnie – krzyknęła nagle Natasza zwracając ku Pieti swą rozgniewaną twarz – według mnie to taka podłość, taka nikczemność, taka... nie wiem nawet co. Czy to my jacyś Niemcy?... – Gardło jej ścisnęły spazmatyczne łkania, bojąc się więc osłabnąć i stracić na darmo pocisk swej złości, zawróciła i pędem pobiegła po schodach. Hrabia z fajką w ręku chodził po pokoju, kiedy Natasza, z twarzą wykrzywioną gniewem, wpadła jak burza i szybkimi i krokami zbliżyła się do matki.

– To nikczemność! – krzyczała. – To niemożliwe, żeby mama tak kazała.

Berg i hrabina patrzyli na nią ze zdumieniem i przestraczem. Hrabia zatrzymał się przy oknie i przysłuchiwał się.

– Mamo, tak nie można, niech mama spojrzy na podwórze! – wołała. – Oni zostają!...

– Co ci jest? Jacy oni? Czego chcesz?

– Ranni, tacy oni! Tak nie można, mammo, to do niczego niepodobne... Nie, mammo, kochana, to nie to, proszę mi wybaczyć, kochana... Mammo, co nam z tego przyjdzie, jeśli to wywieziemy? Niech mama spojrzy na podwórze... Mammo!... To niemożliwe!...

Hrabia stał przy oknie i nie odwracając głowy słuchał słów Nataszy. Nagle zasapał nosem i zbliżył twarz do szyby.

Hrabina spojrzała na córkę, zobaczyła na jej twarzy wstyd za matkę, zobaczyła jej wzruszenie, zrozumiała, dlaczego mąż nie patrzy teraz na nią, i zmieszana, rozejrzała się dokoła.

– Ach, róbcie, jak chcecie! Czy ja komuś przeszkadzam! – powiedziała, jeszcze nie całkiem się poddając.

– Mamo, kochana, proszę mi wybaczyć.

Ale hrabina odepchnęła córkę i podeszła do hrabiego.

– Mon cher, zarządz, jak trzeba... Przecie ja się na tym nie znam – powiedziała i ze skrucą spuściła oczy.

– Jajko... jajko mądrzejsze od kury... – rzekł hrabia poprzez łyzy szczęścia i objął żonę, która była rada, że może ukryć na jego piersi zawstydzoną twarz.

– Papo, mamó! Można dać polecenie? Można?... – dopytywała się Natasza. – Przecie i tak weźmiemy wszystko, co potrzebne... – mówiła Natasza.

Hrabia potakująco skinął głową, więc Natasza szybkim krokiem, jakim biegła podczas gry w berka, pobiegła przez salon do przedpokoju i schodami na podwórze.

Służba zebrała się wokół Nataszy i dopóty nikt nie mógł uwierzyć w to dziwne zarządzenie, jakie przekazała, dopóki sam hrabia w imieniu żony nie potwierdził, że wszystkie wozy należy oddać dla rannych a kufry znosić do piwnic. Zrozumiawszy, ludzie z radością i skrętnie zabrali się na nowo do roboty. Teraz służbie nie wydawało się to bynajmniej dziwne, przeciwnie, wydawało się, że nie mogło być inaczej; zupełnie tak samo, jak kwadrans przedtem nikomu nie wydawało się to dziwne, że rannych się zostawia, a bierze się rzeczy, lecz wydawało się, że nie może być inaczej.

Wszyscy domownicy, jak gdyby pragnąc powetować, że przedtem tego nie zrobili, zabrali się pilnie do nowej roboty – rozlokowania rannych. Ranni powypełzali ze swych pokojów i weseli, choć bladzi, otoczyli wozy. W sąsiednich domach również rozeszła się wieść, że są wozy, więc na podwórze Rostowów jęli przychodzić ranni z innych domów. Wielu rannych prosiło, żeby nie zdejmować rzeczy, tylko posadzić ich na wierzchu. Ale rozpoczęte już dzieło zrzucania rzeczy nie mogło być zatrzymane. Było wszystko jedno, czy zostawić wszystko, czy połowę. Na podwórzu leżały nie sprzątnięte kufry z zastawą, z brązami, z obrazami, lustrami, które ubiegłej nocy tak starannie pakowano, a wszyscy szukali i znajdowali możliwości, żeby jeszcze to i owo zdjąć i nowe podwozy oddać rannym.

– Czterech można jeszcze wziąć – mówił rządca oddając swoją bryczkę, ale tych gdzie podziać?

– Proszę dać moją, na której miała jechać garderobiana – mówiła hrabina. – Duniasza siądzie ze mną w karecie.

Oddano jeszcze bryczkę garderobianej i posłano ją po rannych o dwa domy dalej. Wszyscy domownicy i służba byli przyjemnie podnieceni. Natasza była w nastroju radosnego entuzjazmu, jakiego już dawno nie doznawała.

– A to gdzie przywiązać? – pytali ludzie przymierzając kufer do wąskiego siedzenia z tyłu karety – trzeba choć jeden wóz zostawić.

– Z czym to? – zapytała Natasza.

– Z książkami hrabiego.

– Zostawcie, Wasilicz sprzątnie. Nie trzeba. Na bryczce było już pełno ludzi, zastanawiano się, gdzie siądzie Piotr Ilicz.

– Na koźle. Pietia, ty na koźle, prawda? – wołała Natasza. Sonia również krzątała się bez przerwy; ale cel jej krzątania był zupełnie inny niż cel Nataszy. Sonia uprzątała te rzeczy, które miały zostać, na życzenie hrabiny spisywała je i usiłowała zabrać ze sobą jak najwięcej.

XVII

O drugiej cztery ekipaże Rostowów, zaprzężone i załadowane, stały u podjazdu. Podwozy z rannymi jedna za drugą wyjeżdżały z podwórza.

Przejeżdżająca obok ganku kolaska, w której wieziono księcia Andrzeja, zwróciła uwagę Soni przygotowującej z pokojówką siedzenie dla hrabiny w jej ogromnej, wysokiej karecie, stojącej u podjazdu.

– Czyja to kolaska? – zapytała Sonia wychyliwszy się z okna karety.

– A to panienska nie wie? – odpowiedziała pokojówka. – Księżę ranny, nocował u nas i też z nami jedzie.

– Ale kto? Jak się nazywa?

– Nasz dawny narzeczony, księżę Bołkoński! – odpowiedziała pokojówka wzdychając. – Powiadają, że ma mu się na śmierć. Sonia wyskoczyła z karety i pobiegła do hrabiny. Hrabina, już w stroju podróżnym, w szalu i kapeluszu, zmęczona, chodziła po salonie, czekając na domowników, aby posiedzieć przy zamkniętych drzwiach¹⁸⁴ i pomodlić się przed odjazdem. Nataszy nie było w pokoju.

– Maman – powiedziała Sonia – jest tu księżę Andrzej, ranny, konający. Jedzie z nami.

Hrabina z przestachem otworzyła szeroko oczy, chwyciła Sonię za rękę i obejrzała się.

– Natasza? – rzekła.

I dla Soni, i dla hrabiny wiadomość ta miała w pierwszej chwili tylko jedno znaczenie. Znały swoją Nataszę, toteż lęk, co się stanie dla człowieka, którego obie lubiły.

– Natasza jeszcze nie wie, ale on jedzie z nami – powiedziała Sonia.

– Umierający, mówisz?, jak się o tym dowie, zagłuszył w nich wszelkie współczucie. Sonia kiwnęła głową. Hrabina objęła Sonię i rozplakała się.

„Niezbadane są wyroki Pańskie!” – myślała czując, że we wszystkim, co teraz się działo, pojawiła się niewidoczna przedtem dla nikogo wszechmocna ręka.

– Mamo, wszystko gotowe. Co mamie jest?... – zapytała Natasza z ożywieniem na twarzy wbiegając do pokoju.

– Jeśli gotowe, no to jedźmy. – I hrabina nachyliła się nad swoim *ridicule*, aby ukryć zmieszanie. Sonia uścisnęła Nataszę i pocałowała ją.

Natasza spojrzała na nią pytająco.

– Co? Co się stało!

– Nic... nic się nie stało...

– Coś bardzo złego dla mnie?... Co takiego?... – dopytywała się wrażliwa Natasza.

Sonia westchnęła i nic nie odpowiedziała. Hrabia, Pietia, m-me Schoss, Mawra Kuźminiszna, Wasilicz weszli do salonu. Zamknięto drzwi, wszyscy usiedli i w milczeniu, nie patrząc na siebie, posiedzieli kilka chwil.

¹⁸⁴ Wg rosyjskiego obyczaju przed wyruszeniem w drogę należało chwilę posiedzieć w pokoju, z którego odjazd miał nastąpić.

Pierwszy wstał hrabia, głośno westchnął i jął żegnać się znakiem krzyża patrząc na ikonę. Wszyscy zrobili to samo. Potem hrabia zaczął ścisnąć Mawrę Kuźminisznę i Wasilicza, którzy zostawali w Moskwie, a kiedy chwytała go za rękę i całowała w ramię, z lekka klepał ich po plecach, mówił coś niejasno, uprzejmie – uspokajająco. Hrabina poszła do kapliczki i Sonia zastała ją tam klęczącą przed tu i ówdzie pozostałymi na ścianie ikonami. (Najcenniejsze wedle tradycji rodzinnej ikony wieziono ze sobą.)

Na ganku i na podwórzu służba wyjeżdżająca, uzbrojona przez Pietię w kindżały i szable, w spodniach wpuszczonych w cholewy butów, mocno przepasana rzemieniami i pasami, żegnała się z tymi, którzy zostawali.

Jak zawsze przy wyjeździe, wiele rzeczy zapomniano, wiele źle zapakowano, toteż dwaj hajducy stali dość długo po obu stronach przy stopniach otwartej karety gotowi podsadzić hrabinę, tymczasem zaś pokojówki z poduszkami i węzłkami biegały od domu do karety, kolaski, bryczki i z powrotem.

Wiecznie czegoś zapominają! – mówiła hrabina. – Przecie wiesz, że nie mogę tak siedzieć. – Duniasza, zacisnąwszy zęby i nie odpowiadając, z wyrazem wyrzutu na twarzy, podbiegła do karety, by poprawić siedzenia.

– Ach, ci ludzie! – mówił hrabia kiwając głową. Stary stangret Jefim, jedyny, z którym hrabina zdecydowała się jechać, siedząc wysoko na koźle, nawet nie oglądał się, co się za nim dzieje. Z trzydziestoletniego doświadczenia wiedział, że jeszcze nieprędko usłyszy: „Z Bogiem!”, a nawet kiedy już usłyszy, to jeszcze ze dwa razy zatrzymają i poślą po zapomniane rzeczy, i potem jeszcze raz zatrzymają go, sama hrabina wychyliła się do niego przez okno i poprosił go w imię Chrystusa Pana, żeby z góry jechał ostrożnie. Wiedział to i dlatego cierpliwiej niż jego konie (osobliwie niż lewy bułanek – Sokół, który bił nogą i gryzł munsztuk) czekał, co będzie. Wreszcie wszyscy siedli; stopnie złożono i wsunięto do karety, drzwiczki zatrzasknięto, posłano po szkatułkę, hrabina wychyliła się i powiedziała, że można. Wtedy Jefim powoli zdjął z głowy kapelusz i jął się żegnać znakiem krzyża. Foryś i wszystka służba uczynili to samo.

– Z Bogiem! – powiedział Jefim wkładając kapelusz. – W drogę! – Foryś ruszył. Prawy dyszlowy wparł się w chomać, zaskrzypiały wysokie resory, pudło karety zakotłowało się. Lokaj w biegu skoczył na kozioł. Przy wyjeździe z podwórza na rozbity bruk kareta zatrzęsała się, tak samo zatrzęsały się inne pojazdy, tabor ruszył w górę ulicy. W karecie, kolasce i na bryczce wszyscy żegnali się zwróceniem w stronę cerkwi stojącej naprzeciw domu. Służba, która miała pozostać w Moskwie, szła po obu stronach pojazdów, odprowadzając wyjeżdżających. Natasza rzadko doznawała takiego uczucia radości jak to, którego doznawała obecnie siedząc w karecie obok hrabiny i patrząc na powoli przesuwaną się obok niej murą opuszczonej, wylękłej Moskwy. Od czasu do czasu wychylała się z okna karety i patrzyła za siebie i przed siebie na długi tabor rannych, który ich wyprzedzał. Niemal na samym czele taboru widziała zakrytą kolaskę księcia Andrzeja. Nie wiedziała, kto w niej był, i za każdym razem, gdy chciała objąć całość swego taboru, szukała oczami tej kolaski. Wiedziała, że kolaska była na przedzie. W Kudrynie – z Nikickiej, z Presni i od Podnowińskiego – spotkało się kilka takich taborów jak Rostowów, Sadową zaś jechały pojazdy i wozy już dwoma rzędami.

Kiedy mijano Sucharową basztę, Natasza, która ciekawie i bystro przyglądała się jadącym i idącym, krzyknęła nagle z radością i zdziwieniem:

– Och! Święci Pańscy! Mamo, Soniu, patrzcie, to on!

– Kto taki? Kto?

– Patrzcie! Bezuchow, jak mi Bóg miły! – mówiła Natasza wychylając się z okna karety i patrząc na wysokiego, otyłego mężczyznę w kaftanie stangreta, z chodu i postawy najwidoczniej

przebranego pana, który wraz z żółtym, gołobrodym staruszkiem w bajowym szynelu wszedł pod sklepienie Sucharowej baszty.

– Doprawdy, Bezuchow, w kaftanie, z jakimś starym chłopkiem. Doprawdy – mówiła Natasza – patrzcie, patrzcie!

– Ależ nie, to nie on. Jak można mówić takie głupstwa!

– Mamo – wołała Natasza – głowę daję, że to on! Zapewniam mamę. Stój, stój! – wołała do stangreta, ale stangret nie mógł się zatrzymać, gdyż z Mieszczkańskiej wyjechały jeszcze wozy i ekwipaże i krzyczano na Rostowów, żeby jechali i nie zatrzymywali innych.

Rzeczywiście, choć już znacznie dalej niż przedtem, wszyscy Rostowowie zobaczyli Pierre'a – czy też człowieka niezwykle podobnego do Pierre'a – w kaftanie stangreta, z pochyloną głową i poważną twarzą idącego obok małego, gołobrodego staruszka o wyglądzie lokaja. Ów staruszek zauważył twarz przyglądającą mu się z karety i z szacunkiem dotknawszy łokcia Pierre'a coś mu powiedział i wskazał karecę. Pierre widocznie tak był pogrążony w myślach, że długo nie mógł zrozumieć, co on mówi. Wreszcie kiedy zrozumiał, spojrzał we wskazanym kierunku, poznał Nataszę i w tej samej chwili, ulegając pierwszemu impulsowi, szybko skierował się ku karecie. Ale przeszedłszy z dziesięć kroków zatrzymał się: widocznie coś mu się przypomniało.

Wysuwająca się z karety twarz Nataszy jaśniała żartobliwą czułością.

– Piotrze Kiryłczu, chodźże pan! Przecieśmy poznali! Zdziwiający! – krzyczała wyciągając do niego rękę. – Jak to? Czemu tak?...

Pierre ujął wyciągniętą rękę i idąc (ponieważ kareta nie przestawała jechać) niezręcznie ją pocałował.

– Co się z panem dzieje, hrabio? – zapytała ubolewającym głosem zdziwiona hrabina.

– Co? co? Czemu? Proszę mnie nie pytać – powiedział Pierre i obejrzał się na Nataszę, której spojrzenie jaśniejące radością (czuł to nie patrząc na nią) czarowało go swym urokiem.

– Cóż to, zostaje pan w Moskwie? – Pierre milczał.

– W Moskwie? – rzekł pytająco. – Tak, w Moskwie. Żegnam państwa.

– Ach, chciałabym być mężczyzną, na pewno zostałabym z panem. Ach, jak to dobrze! – powiedziała Natasza.

– Niech mama pozwoli, zostanę. – Pierre z roztargnieniem spojrzał na Nataszę i chciał coś powiedzieć, lecz hrabina przerwała mu:

– Słyszeliśmy, że był pan w bitwie?

– Tak, byłem – odpowiedział Pierre. – Jutro znów będzie bitwa... – zaczął, lecz Natasza mu przerwała:

– Ale, hrabio, co się z panem dzieje? Niepodobnyś do siebie...

– Ach, proszę mnie nie pytać, proszę nie pytać, sam nic nie wiem. Jutro... Ależ nie! Żegnam, żegnam – rzekł.

– Straszne czasy! – I pozostając w tyle za odjeżdżającą karecą wszedł na chodnik.

Natasza, długo jeszcze wychylona z okna karety, patrzyła ku niemu z promiennym, pieszczotliwym, nieco drwiącym, radosnym uśmiechem.

XVIII

Od chwili zniknięcia z domu Pierre już drugi dzień przebywał w pustym mieszkaniu nieboszczyka Bazdiejewa.

A stało się to tak:

Kiedy nazajutrz po powrocie do Moskwy i po widzeniu się z hrabią Rastopczynem Pierre obudził się, długo nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje i czego od niego chcą. Kiedy wśród nazwisk osób czekających na niego w poczekalni wymieniono mu jeszcze nazwisko Francuza, który przywiózł list od hrabiny Heleny Wasiliewny, opadło go nagle uczucie pogmatwania i beznadziejności, jakiemu skłonny był się poddawać. Wydało mu się nagle, że wszystko już skończone, wszystko się poplątało, wszystko rozpadło, nie ma ani sprawiedliwego, ani winnego, że już nic nie widzi przed sobą, że nie ma żadnego wyjścia z tej sytuacji. Uśmiechając się nienaturalnie i coś mrużąc, to siadał na kanapie w bezradnej pozie, to wstawał, podchodził do drzwi i przez szparę zaglądał do pokoju przyjąć, to wymachując rękami wracał i zabierał się do czytania. Ochmistrz przyszedł po raz drugi zameldować Pierre'owi, że Francuz, który przywiózł list od hrabiny, bardzo pragnie widzieć się z nim choć przez chwilę i że przysłano od wdowy po I. A. Bazdiejewie i proszono o zabranie książek, ponieważ pani Bazdiejew wyjechała na wieś.

– Ach, prawda, zaraz, poczekaj... Albo nie, nie, idź i powiedz, że zaraz przyjdę – powiedział Pierre.

Jednak gdy tylko ochmistrz wyszedł, Pierre wziął kapelusz leżący na stole i drugimi drzwiami wyszedł z gabinetu. Na korytarzu nie było nikogo. Przeszedł przez całą długość korytarza aż do schodów i, krzywiąc się i rozcierając czoło obiema rękami, zszedł do pierwszego podestu. Przed frontowymi drzwiami stał szwajcar. Z podestu, na który zszedł Pierre, drugie schody prowadziły do wyjścia kuchennego. Pierre zszedł nimi i wyszedł na podwórze. Nikt go nie widział. Jednak na ulicy, gdy tylko wyszedł z bramy, stangreci stojący z powozami i stróż zobaczyli pana i zdjęli przed nim czapki. Poczawszy skierowane na siebie spojrzenia Pierre postąpił jak struś, który chowa głowę w krzak, żeby go nie było widać: spuścił głowę, przyśpieszył kroku i ruszył ulicą.

Ze wszystkich zajęć, które czekały Pierre'a tego ranka, najważniejsze wydało mu się uporządkowanie książek i papierów po Józefie Aleksiejewiczu.

Wziął pierwszego napotkanego dorożkarza i kazał mu jechać na Patriarsze Stawy, gdzie znajdował się dom Bazdiejewa. Pierre bez przerwy przyglądał się taborom wyjeżdżającym z Moskwy, prostując się, aby jego otyłe ciało nie ześliznęło się z roztrzęsionej starej dorożki. Doznawał uczucia radości, jakiego doznaje uczeń, który uciekł ze szkoły; rozgadał się z dorożkarzem.

Dorożkarz powiedział mu, że dziś rozdają na Kremlu broń i że jutro spędzają naród ku rogiom Trzechgórskim, gdzie będzie wielka bitwa.

Przyjechawszy na Patriarsze Stawy Pierre odszukał dom Bazdiejewa, w którym już dawno nie był. Podeszedł do furtki. Gierasim, ów żółty gołobrody staruszek, którego Pierre widział pięć lat

temu w Torzku z Józefem Aleksiejewiczem, wyszedł na jego spotkanie.

– Pani w domu? – zapytał Pierre.

Ze względu na okoliczności Sofia Daniłowna wraz z dziećmi wyjechała na wieś pod Torzek, jaśnie panie.

– Jednak wejść, muszę uporządkować książki – oświadczył Pierre.

– Bardzo proszę, jaśnie panie! Braciszek nieboszczyka, Panie, świeć nad jego duszą, Makar Aleksiejewicz, został, ale, raczy pan hrabia wiedzieć, słabuje – oznajmił stary sługa.

– Tak, tak, wiem. Chodźmy, chodźmy... – powiedział Pierre i wszedł do domu. W przedpokoju stał wysoki, łysy, stary człowiek w szlafroku, z czerwonym nosem, w kaloszach na boscie nogi; zobaczywszy Pierre'a mruknął coś gniewnie i odszedł w stronę korytarza.

– Wielkiego rozumu człowiek, a teraz jak pan hrabia raczy wiedzieć, słabuje – powiedział Gierasim. – Czy do gabinetu? – Pierre skinął głową. – Gabinet jak był zapieczętowany, tak i pozostał. Sofia Daniłowna kazała, że jeśli przyjdą od pana hrabiego, to żeby książki wydać.

Pierre wszedł do tego samego mrocznego gabinetu, do którego jeszcze za życia dobroczyńcy wchodził z takim drzeniem. Gabinet, zakurzony i nietknięty od śmierci Józefa Aleksiejewicza, był teraz jeszcze mroczniejszy.

Gierasim otworzył jedną okiennicę i na palcach wyszedł z pokoju. Pierre obszedł gabinet, zbliżył się do szafy, w której leżały rękopisy, i wyjął jedną z ważniejszych świętości zakonu. Były to autentyczne akta szkockie z uwagami i objaśnieniami dobroczyńcy. Pierre siadł przy zakurzonym biurku, położył przed sobą rękopisy, otwierał je, zamykał, wreszcie odsunął je, oparł głowę na rękach, zamyślił się.

Gierasim kilka razy zaglądał ostrożnie do gabinetu i widział, że Pierre siedzi ciągle w tej samej pozycji. Minęło więcej niż dwie godziny. Gierasim pozwolił sobie podnieść głos przy drzwiach, aby zwrócić na siebie uwagę Pierre'a. Pierre nie słyszał go.

– Czy pan hrabia każe odprawić dorożkarza?

– Ach, tak – rzekł Pierre ocknąwszy się i wstał z pośpiechem. – Posłuchaj – rzekł ująwszy Gierasima za guzik surduta i mierzył staruszką od stóp do głów błyszczącymi, wilgotnymi, rozpromienionymi oczyma. – Posłuchaj, czy wiesz, że jutro będzie bitwa?

– Mówili – odpowiedział Gierasim.

– Proszę, żebyś nie mówił nikomu, kim jestem. I zrób, co powiem.

– Słucham – powiedział Gierasim. – Każe pan hrabia podać posiłek?

– Nie, potrzebuję czego innego. Potrzebne mi jest ubranie chłopskie i pistolet – powiedział nagle Pierre czerwieniąc się.

– Słucham – odpowiedział Gierasim po chwili zastanowienia.

Resztę dnia Pierre spędził sam w gabinecie dobroczyńcy, chodząc niespokojnie z kąta w kąt, i – jak słyszał Gierasim – coś do siebie mówił, nocował na przygotowanym tutaj dla niego posłaniu.

Gierasim, jako sługa przyzwyczajony w swym życiu do wielu dziwnych rzeczy, przyjął przenosiny Pierre'a bez zdziwienia, zdawało się nawet, iż jest rad, że ma komu usługiwać. Tego samego wieczora, nawet nie zadając sobie pytania, w jakim celu było to potrzebne, wystarał się dla Pierre o kaftan i czapkę i obiecał, że nazajutrz zdobędzie żądany pistolet. Tego wieczora Makar Aleksiejewicz, człapiąc kaloszami, dwa razy podchodził do drzwi, zatrzymywał się i przymilnie patrzył na Pierre'a. Jednak gdy tylko Pierre zwracał się w jego stronę, wstydliwie i gniewnie otulał się szlafrokiem i pośpiesznie odchodził. Kiedy Pierre w kaftanie stangreta, zdobytym dla niego przez Gierasima i wyparzonym, szedł z nim kupić pistolet, przy Sucharowej baszcie spotkał Rostowów.

XIX

1 września w nocy Kutuzow wydał rozkaz, by wojska rosyjskie wycofały się przez Moskwę na szosę riazańską.

Pierwsze oddziały ruszyły nocą. Wojska idące nocą nie śpieszyły się, posuwały się powoli i statecznie, lecz wojska wyruszające o świcie, kiedy zbliżały się do mostu Dorogomiłowskiego, ujrzały przed sobą po drugiej stronie stłoczone na moście w pośpiechu oraz po tej samej stronie i za sobą nieskończone masy wojsk napierające i tarasujące ulice i zaułki. Nieuzasadniony pośpiech i trwoga ogarnęły wojska. Wszyscy rzucili się naprzód do mostu, na most, do brodów, do łodzi. Kutuzow kazał, by go przewieziono bocznymi ulicami na drugi brzeg rzeki Moskwy.

2 września o dziesiątej rano na przedmieściu Dorogomiłowskim pozostawały po tej stronie tylko oddziały ariergardy.

Armia znajdowała się już po drugiej stronie rzeki Moskwy i za Moskwą.

W tym samym czasie, o dziesiątej z rana 2 września, Napoleon stał wśród swoich wojsk na Górze Pokłonnej i patrzył na odsłaniający się przed nim widok. Począwszy od 26 sierpnia aż do 2 września, od bitwy pod Borodinem aż do wkroczenia nieprzyjaciela do Moskwy, przez cały ten niespokojny, pamiętny tydzień panowała owa niezwykła, zadziwiająca ludzi pogoda jesienna, kiedy niskie słońce grzeje mocniej niż wiosną, kiedy w rozrzedzonym, czystym powietrzu wszystko tak błyszczący, aż kłuje w oczy, kiedy pierś wzmacnia się i odświeża wdychając jesienne, pachnące powietrze, kiedy nawet noce bywają ciepłe, kiedy podczas tych ciemnych, ciepłych nocy bez przerwy sypią się z nieba złote gwiazdy – strasząc i ciesząc.

2 września o dziesiątej rano była taka właśnie pogoda. Blask poranka był urzekający. Moskwa widziana z Góry Pokłonnej rozścielała się szeroko ze swą rzeką, ogrodami i cerkwiami i zdawało się, że żyje swym życiem, a w promieniach słońca kopuły jej drżą niby gwiazdy.

Na widok dziwnego miasta o nie widzianych kształtach niezwyklej architektury Napoleon doznawał nieco zawistnej i niespokojnej ciekawości, jaką odczuwają ludzie na widok form obcego życia, które o nich nie wie. Było rzeczą oczywistą, że to miasto żyło wszystkimi siłami swego życia. Na podstawie pewnych nieokreślonych oznak, wedle których z daleka odróżnia się bezbłędnie ciało żywe od martwego, Napoleon widział z Góry Pokłonnej pulsujące życie miasta i jak gdyby czuł oddech tego dużego i pięknego ciała.

Każdy Rosjanin patrząc na Moskwę czuje, że to jego matka, każdy cudzoziemiec, patrząc na nią i nie wiedząc nic o jej macierzyńskim znaczeniu, musi odczuć żeński charakter tego miasta, i Napoleon odczuwał to.

– Cette ville asiatique aux innombrables egiises, Moscou la sainte. La voila donc enfin, cette fameuse ville! Il etait 4/8 temps¹⁸⁵ – rzekł Napoleon, zsiadł z konia, kazał rozłożyć przed sobą plan tej Moskwy i wezwał tłumacza Lelorme d'Ideville. „Une ville occupee par l'ennemi ressemble d'une filie qui a perdu son honneur – myślał (to właśnie mówił w Smoleńsku do

¹⁸⁵ To azjatyckie miasto z niezliczonymi kościołami, święta Moskwa. Oto wreszcie owo sławne miasto! Najwyższy czas... Miasto zajęte przez nieprzyjaciela jest jak dziewczyna, która straciła cześć.

Tuczkowa). I z tego punktu widzenia patrzył na leżącą przed nim, nie widzianą dotąd wschodnią piękność. Wydawało mu się rzeczą dziwną, że oto spełniło się jego bardzo dawne, jak mu się zdawało, nieosiągalne pragnienie. W jasnym świetle poranka patrzył to na miasto, to na plan i sprawdzał szczegóły tego miasta, a pewność posiadania wzruszała go i przerażała.

„Czy jednak mogło być inaczej? – myślał. – Oto owa stolica; leży u mych nóg i czeka swego losu. Gdzie teraz Aleksander i co myśli? Dziwne, piękne, wspaniałe miasto! I dziwna, wspaniała to chwila! W jakim świetle im się przedstawiam! – myślał o swych wojskach. – Oto nagroda dla tych wszystkich niedowiarków – myślał patrząc na swoją świętą i na zbliżające się i formujące wojska. – Jedno moje słowo, jeden gest mojej ręki, a ta starożytna stolica des Czars by zginęła. Mais ma clemence est toujours prompte à descendre sur les vaincus¹⁹⁵ Muszę być wspaniałomyślny i naprawdę wielki... Ale to nieprawda, że jestem w Moskwie – przychodziło mu z nagłą do głowy. – A przecie leży u moich nóg mieniąc się i drżąc w promieniach słońca złotymi kopułami i krzyżami. Oszczędzę ją. Na starożytnych pomnikach barbarzyństwa i despotyzmu wypiszę wielkie słowa sprawiedliwości i miłosierdzia... Aleksander właśnie to odczuje najboleśniej, znam go. (Napoleonowi wydawało się, że największe znaczenie tego, co się dokonywało, polegało na jego osobistej walce z Aleksandrem.) Z wysokości Kremla – tak, to jest Kreml, tak – nadam im sprawiedliwe prawa, ukazę im znaczenie prawdziwej cywilizacji, zmuszę pokolenia bojarów, by z miłością wspominały imię swego zwycięzcy. Powiem deputacji, że nie chciałem i nie chcę wojny, że prowadziłem wojnę tylko z obłudną polityką ich dworu, że kocham i cenię Aleksandra i że w Moskwie przyjmę warunki pokoju godne mnie i moich narodów. Nie chcę korzystać z wojennego szczęścia, aby poniżyć monarchę, którego poważam. (Bojarzy – powiem im – nie chcę wojny, chcę pokoju i pomyślności moich poddanych.) Zresztą, wiem, że ich obecność natchnie mnie, że przemówię do nich, jak zawsze przemawiam: jasno, uroczyście i wspaniale. Jednak czy to prawda, że jestem w Moskwie? Ależ tak, oto ona!”

– *Qu'on m'amene les boyards*¹⁸⁶ – zwrócił się do świty. Generał ze świetną asystą natychmiast pogalopował po bojarów.

Mineły dwie godziny. Napoleon zjadł śniadanie i znów na tym samym miejscu, na Górze Pokłonnej, stał i czekał na deputację. Już mu się w myśli wyraźnie zarysowała przemowa do bojarów. Była to przemowa pełna godności i takiej wielkości, jak rozumiał ją Napoleon.

Napoleon sam był oczarowany owym wspaniałomyślnym tonem, jaki zamierzał być nadać swoim działaniom w Moskwie. W wyobraźni wyznaczał dni *reunion dans le palais des Czars*., gdzie powinni się spotykać dygnitarze rosyjscy z dygnitarzami cesarza Francuzów. Wyznaczał w myśli gubernatora, który by potrafił przyciągnąć do siebie mieszkańców. Dowiedziawszy się, że w Moskwie jest dużo zakładów dobroczynnych, postanowił w myśli, że wszystkie te zakłady obsypie łaskami. Sądził, że jak w Afryce należało siedzieć w burnusie w meczecie, tak w Moskwie należało być miłościwym jak carowie. I aby ostatecznie wzruszyć serca Rosjan – jak każdy Francuz, który nie może sobie wyobrazić nic uczuciowego bez wspomnienia o ma chore, ma ten dr e, ma pauvre merę – postanowił, że na tych wszystkich zakładach każe wypisywać wielkimi literami: *Etablissement dedie a ma chere Merę*. „Albo po prostu:

*Maison de ma Mere*¹⁸⁷ – zdecydował w myśli. – Jednak czy jestem w Moskwie? Tak, to ona leży przede mną. Ale czemu tak długo nie zjawia się deputacja z miasta?” – myślał.

Tymczasem w dalszych szeregach świty cesarza odbywała się szeptem wzburzona narada między jego generałami i marszałkami. Wysłani po deputację wrócili z wiadomością, że

¹⁸⁶ Proszę przyprowadzić do mnie bojarów.

¹⁸⁷ Zebranie w pałacu cesarskim... mojej drogiej, tkliwej, biednej matce... Zakład poświęcony mojej drogiej matce... Dom mojej matki.

Moskwa jest pusta, że wszyscy z niej wyjechali i uciekli. Twarze naradzających się były blade i wzburzone. Nie to ich przerażało, że Moskwa została opuszczona przez mieszkańców (jakkolwiek ważne mogło się wydawać to zdarzenie), lecz przerażało ich, w jaki sposób przedstawić to cesarzowi w sposób nie stawiający jego cesarskiej mości w to straszne położenie, które Francuzi nazywają *ridicule*¹⁸⁸, zawiadomić go, że na próżno tak długo czeka na bojarów, że są tylko gromady pijanych i nikogo więcej. Jedni mówili, że za wszelką cenę należało zebrać choć jakąkolwiek deputację, inni nie zgadzali się z tym zdaniem i utrzymywali, że należy ostrożnie i umiejętnie przygotować cesarza i powiedzieć mu prawdę.

– *Il faudra le lui dire tout de marne...* – mówili panowie ze świty. – *Mais, messieurs...*¹⁸⁹ – Sytuacja była tym trudniejsza, że cesarz, obmyślając swe wspaniałomyślne zamierzenia, cierpliwie chodził przed planem miasta tam i z powrotem, od czasu do czasu spod dłoni spoglądał na szosę do Moskwy i uśmiechał się wesoło i dumnie.

– *Mais c'est impossible.*¹⁹⁰ – wrzuszając ramionami mówili panowie ze świty i nie decydowali się wyrzec tego domyślnego straszego słowa: *le ridicule...*

Tymczasem cesarz, zmęczony daremnym oczekiwaniem i czując aktorskim instynktem, że wspaniała chwila przeciągając się zbyt długo traci swą wspaniałość, dał znak ręką. Rozległ się samotny wystrzał armaty sygnalizacyjnej i wojska okalające Moskwę z różnych stron weszły do miasta przez roгатki Twerską, Kałuską i Dorogomiłowską. Szybko, coraz szybciej, prześcigając się wzajemnie, krokiem przyspieszonym i kłusem posuwały się wojska, skrywały się we wzbijanych przez siebie tumanach kurzu i ogłuszały powietrze zlewającym się hałasem krzyków.

Oczarowany ruchem wojsk Napoleon dojechał wraz z wojskami do roгатki Dorogomiłowskiej, lecz tam znów się zatrzymał, zsiadł z konia i długo chodził pod Walem Kamerkolegialnym, czekając na deputację.

¹⁸⁸ Śmiesznym.

¹⁸⁹ Jednak trzeba mu powiedzieć... Ale, panowie

¹⁹⁰ Ależ to niemożliwe...

XX

Tymczasem Moskwa była pusta. Byli w niej jeszcze ludzie, pozostała w niej jeszcze pięćdziesiąta część wszystkich przebywających dawniej mieszkańców, ale była pusta. Była tak pusta, jak bywa pusty zamierający ul, pozbawiony matki.

W ulu pozbawionym matki już nie ma życia, lecz ul na oko wydaje się równie żywy jak inne.

W gorących promieniach południowego słońca pszczoły równie wesoło krążą nad ulem bez matki, jak i nad innymi, żywymi ulami, tak samo z daleka pachnie od niego miodem, tak samo pszczoły do niego wlatują i z niego wylatują. Lecz wystarczy mu się przyjrzeć, aby zrozumieć, że w tym ulu już nie ma życia. Pasiiecznika zaskakuje nie taki jak w innych lot pszczoł, nie taki zapach, nie taki odgłos. Na stuknięcie bartnika w ściankę chorego ula – zamiast dawnej, natychmiastowej, zgodnej odpowiedzi, brzęczenia dziesiątków tysięcy pszczoł groźnie podnoszących odwłoki i szybkim biciem skrzydeł wydających ów nadpowietrzny odgłos życia – odpowiadają mu pojedyncze brzęczenia rozlegające się echem w różnych miejscach pustego ula. Z wylotu ula nie pachnie jak dawniej spirytusową wonią miodu i jadu, nie zalatuje stamtąd ciepło pełni, lecz z zapachem miodu zlewa się zapach pustki i zgnilizny. U wylotu nie ma już gotowych zginać w obronie ula, trąbiących na alarm strażniczek z podniesionymi do góry odwłokami. Nie ma już tego monotonnego, cichego odgłosu pracowitej krzątaczki, podobnego do odgłosu wrzenia, lecz słychać nieskładny, rozproszony szum nieładu. Do ula wlatują i z ula ostrożnie, ale rojnie wylatują czarne, podłużne, unurzane w miodzie pszczoły-rabusie, nie kłują, lecz uciekają przed niebezpieczeństwem. Przedtem wlatywały pszczoły tylko z dobytkiem, a wylatywały bez niczego, teraz wylatują z dobytkiem. Bartnik otwiera dolną studzienkę i wpatruje się w dolną część ula. Zamiast jak dawniej wiszących aż po węzy (dolna część ula) plecionek znużonych pracą, ociążonych pszczoł, trzymających jedna drugą za nóżki i z nieprzerwanym szmerem wydzielających woszczyne, senne, wyschnięte pszczoły wałęsają się rozrzucone po dnie i ściankach ula. Zamiast szczelnie oklejonej woskiem pszczelim podłogi zamiecionej wychlarzami skrzydeł, na dnie leżą okruszyny węzy, odchody pszczoł, pszczoły na pół martwe ledwie poruszające nóżkami, i nie sprzątnięte pszczoły nieżywe.

Bartnik otwiera górną studzienkę i bada głowicę ula. Zamiast gęstych szeregów pszczoł oblepiających wszystkie odstępki między plastrami i wygrzewających dziatwę, widzi misterną, skomplikowaną robotę plastrów, ale już nie w tej nietkniętej postaci jak przedtem. Wszystko jest zaniedbane i zanieczyszczone. Czarne pszczoły-złodziejki szybko i ukradkiem uwijają się w komórkach; miejscowe pszczoły, wyschłe, skurczone, osowiałe, jakby postarzałe, łążą powoli, nikomu nie przeszkadzając, nic nie pragnąc, straciwszy świadomość życia. Trutnie, szerszenie, trzmiele, motyle w locie stukają bez ładu w ścianki ula. Gdzieś tam wśród woszczyzny z martwymi dziećmi i miodem słychać z rzadka w różnych miejscach gniewne bzykanie; gdzieś tam dwie pszczoły oczyszczają, wedle starego nawyku i pamięci, gniazdo ula, gorliwie, wyęzając ostatek sił, uprzążają martwą pszczołę albo trzmiela, same nie wiedząc, po co to robią. W drugim kącie dwie stare pszczoły biją się leniwie albo się czyszczą, albo karmią jedna drugą, same nie wiedząc, czy to robią z wrogości, czy przyjaźni. W trzecim miejscu gromada pszczoł,

tratuując się nawzajem, napada na jakąś ofiarę, bije ją i dusi. Osłabiona albo zabita pszczoła powoli, lekko jak puch, spada z góry na stos trupów. Bartnik rozgrzebuje dwie środkowe ramy, aby zobaczyć gniazdo. Zamiast dawnych, gęstych, czarnych kręgów tysięcy pszczoł, siedzących grzbiet przy grzbiecie i strzegących jakichś najwyższych tajemnic narodzin, widzi setki smutnych, na pół żywych i zeschniętych zewłoków pszczelich. Niemal wszystkie umarły, same o tym nie wiedząc, ale siedzą przy świątyni, której strzegły i która już nie istnieje. Zalutuje od nich zgnilizną i śmiercią. Tylko niektóre z nich poruszają się, podnoszą, lecą ospale i siadają wrogowi na ręce, brak im sił użądlić go i umrzeć – pozostałe, martwe, lekko sypią się w dół niby rybia łuska. Bartnik zamyka ul, znaczy kredą pień i wybrawszy sposobną porę usuwa go i pali.

Tak była pusta Moskwa, kiedy Napoleon, zmęczony, niespokojny i posepny, chodził tam i z powrotem pod Wałem Kamerkolegialnym, oczekując choć tego zewnętrznego, jednak niezbędnego wedle jego pojęć, zachowania względów przyzwoitości – oczekując na deputację.

W różnych zakątkach Moskwy ludzie poruszali się, ale tylko bezmyślnie, zachowując stare przyzwyczajenia i nie rozumiejąc tego, co robią.

Kiedy z należytą ostrożnością oznajmiono Napoleonowi, że Moskwa jest pusta, spojrzął gniewnie na tego, kto mu raportował, odwrócił się i nadal chodził w milczeniu.

– Powóz – powiedział. Usiadł w karecie z dyżurnym adiutantem u boku i pojechał na przedmieście.

„Moscou deserte. Quel evenement inwaisemblable”¹⁹¹ – mówił do siebie.

Nie pojechał do miasta, lecz zatrzymał się w zajeździe na przedmieściu Dorogomiłowskim.

Le coup de theatre avait rate.¹⁹²

¹⁹¹ Moskwa pusta. Nieprawdopodobne zdarzenie!

¹⁹² Końcowy efekt przedstawienia nie udał się.

XXI

Wojska rosyjskie przechodziły przez Moskwę od drugiej w nocy do drugiej po południu i zabierały ze sobą ostatnich wyjeżdżających mieszkańców i rannych.

Podczas przemarszu wojsk wielki ścisk panował na mostach: Kamiennym, Moskworeckim i Jauskim.

Podczas gdy rozdwojone wokół Kremla wojska stłoczyły się na moście Moskworeckim i Kamiennym, ogromna liczba żołnierzy, korzystając z postoju i ścisku, zawracała od mostów i ukradkiem, milczkiem prześlizgiwała się obok cerkwi Wasilia Błogosławionego i przez bramę Borowicką z powrotem pod górę ku placowi Czerwonemu, gdzie bez trudu można było – podpowiadał im to instynkt – pożywić się cudzym. Taki sam tłum ludzi jak na targu tandetą wypełniał bazar we wszystkich jego zakamarkach i przejściach. Ale nie było uprzejmie ckliwych, wabiących głosów przekupni, nie było roznosicieli i pstrego tłumu kupujących kobiet, były tylko mundury i szynele żołnierzy bez karabinów, którzy w milczeniu wychodzili obładowani, a wchodzili do kramów z pustymi rękami. Kupcy i subiekci (było ich niewielu) jak nieprzytomni chodzili wśród żołnierzy, otwierali swe sklepy i zamykali je, sami wraz z subiektami wynosili gdzieś swe towary. Na placu przed bazarem stali dobosze i bębnił na zbiórkę. Lecz żołnierze-maruderzy nie zbiegali się na odgłos bębna, przeciwnie, uciekali od bębna coraz dalej. W sklepach i przejściach widziało się wśród żołnierzy ludzi w szarych kaftanach i z ogolonymi głowami. Na rogu Ilinki stali i o czymś rozmawiali dwaj oficerowie: jeden z szarfą na mundurze, na chudym szpakowatym koniu, drugi w płaszczu, pieszo. Przygalopował do nich trzeci oficer.

– Generał rozkazał, by za wszelką cenę wszystkich stąd wypędzić. Toż to do niczego niepodobne! Połowa ludzi się rozbiegła.

– Ty dokąd?... Wy dokąd?... – krzyknął na trzech piechurów, którzy bez karabinów, podkasawszy szynele, prześliznęli się obok niego do kramów. – Stać, hołoto!

– Spróbuj pan ich zebrać – odpowiedział drugi oficer. – Nie zbierze się ich, trzeba czym prędzej ruszyć, żeby reszta się nie rozbiegła, i tyle!

– Jakże ruszyć? Przecie tam stoją, stłoczyli się na moście i nie ruszają się. Chyba ustawić tyralierę, żeby ostatni nie uciekli!

– Chodźże pan tutaj! Pędź ich pan – krzyknął starszy oficer.

Oficer w szarfie zsiadł z konia, zawołał dobosza i razem z nim wszedł pod arkady. Wielu żołnierzy tłumem rzuciło się do ucieczki. Kupiec z czerwonymi pryszczami na policzkach koło nosa, ze spokojnym, niewzruszonym wyrachowaniem na spasionej twarzy, podszedł do oficera spieszenie i fircykowato, wymachując rękami.

– Wasza wielmożność – powiedział – dopraszam się łaski, brońcie nas. Niczego nie pożałujemy, z przyjemnością wynagrodzimy! Bardzo proszę, zaraz wyniosę sukna dla porządnego człowieka z całą przyjemnością, nawet dwie sztuki! Bo my znamy swój obowiązek, ale to tylko rozbój! Wasza wielmożność zechce łaskawie. Choćby jaką straż postawić, żebyśmy choć zamknąć zdążyli...

Wokół oficera stłoczyło się kilku kupców.

– Ech! co to po próżnicy gadać! – rzekł jeden z nich, szczupły, z surową twarzą. – Wzięli diabli krowę, niech wezmą i cielę. Niech każdy bierze, co zechce! – Machnął ręką energicznie i bokiem odwrócił się do oficera.

– Dobrze ci mówić. Iwanie Sidoryczu – odezwał się gniewnie pierwszy kupiec. – Dopraszam się łaski waszej wielmożności!

– Co tu gadać! – krzyknął szczupły – mam tu w trzech sklepach za sto tysięcy towaru. Czy to ustrzeżesz, jeśli wojsko uciekło? Ech, cóż pocznie ręka ludzka przeciw władzy boskiej!

– Wasza wielmożność będzie łaskaw – mówił pierwszy kupiec kłaniając się. Oficer stał niezdecydowany, na jego twarzy malowało się wahanie.

– A co mnie to obchodzi! – krzyknął z nagłą i szybkim krokiem poszedł wzdłuż kramów. W jednym otwartym sklepie słychać było uderzenia i wymyślania, a kiedy oficer się zbliżał, z drzwi wyskoczył wypchnięty człowiek w szarym kitlu i z ogoloną głową.

Ów człowiek, skuliwszy się, przebiegł obok kupców i oficera. Oficer jął łąać żołnierzy, którzy byli w sklepie. Lecz w tej chwili rozległ się straszny krzyk tłumu na moście Moskworeckim i oficer wybiegł na plac.

– Co to? Co to? – dopytywał się, ale jego towarzysz już pędził w kierunku cerkwi Wasilia Błogosławionego, skąd dobiegały krzyki. Oficer siadł na konia i pojechał za nim. Kiedy dojechał do mostu, zobaczył dwa działa odprzodkowane pichotę idącą przez most, kilka przewróconych wołów, kilka przestraszonych twarzy i roześmiane twarze żołnierzy. Obok dział stał wóz zaprzęzony w parę koni. Z tyłu za kołami wozu kuliły się cztery charty w obrożach. Na wozie była sterta rzeczy, a na samym wierzchu, obok dzieciennego krzeselka odwróconego nogami do góry, siedziała kobieta i przejmująco i rozpaczliwie piszczała. Koledzy opowiedzieli oficerowi, że krzyk tłumu i pisk niewiasty były spowodowane tym, że generał Jermołow, natknąwszy się na ów tłum i dowiedziawszy się, że żołnierze rozłążą się po sklepach, a tłumy mieszkańców tarasują most, kazał odprzodkować działa, niby to na znak, że będzie ostrzeliwał most. Tłum, przewracając wozy, tratując się, krzycząc rozpaczliwie i tłocząc się, opróżnił most, po czym wojska ruszyły naprzód.

XXII

Tymczasem w samym mieście było pusto. Na ulicach nie było prawie nikogo. Bramy i wszystkie sklepy były pozamykane, gdzieś w pobliżu szynków słychać było pojedyncze krzyki albo pijacki śpiew. Nikt nie jechał ulicami, rzadko rozlegały się kroki pieszych. Powarska była zupełnie cicha i pusta. Na ogromnym podwórzu domu Rostowów leżało nie dojezione siano, nawóz po taborze, ale nie było widać ani jednego człowieka. W domu Rostowów, pozostawionym z całym mieniem, dwóch ludzi siedziało w dużej bawialni. Był to stróż Ignat i wnuk Wasilicza, kozaczek Mi szka, który został z dziadkiem w Moskwie. Miska otworzył klawikord i grał na nim jednym palcem. Stróż ujął się pod boki i uśmiechając się wesoło stał przed dużym lustrem.

– Chytra sztuka! Prawda, wujku Ignat? – mówił chłopiec zaczynając z nagłą uderzać w klawisze obiema rękami.

– Widzicie go! – odpowiedział Ignat dziwiąc się, że w lustrze jego twarz uśmiecha się coraz szerzej.

Bezwstydnicy! Słowo daję, bezwstydnicy! – odezwał się za nimi głos Mawry Kuźminiszny, która weszła po cichu. – A ten pyzaty jeszcze się śmieje. Do tegoście jedyni! A tam nie posprzątane, Wasilicz już nóg nie czuje. Poczekaj!

Ignat przestał się uśmiechać, spuścił oczy i poprawiając pasek wyszedł pokornie z pokoju.

– Ciociu, ja leciutko – powiedział chłopiec.

– Ja ci dam leciutko. Ty psotniku! – krzyknęła Mawra Kuźminiszna i zamachnęła się na niego. – Idź, nastaw dziadkowi samowar.

Mawra Kuźminiszna starła kurz z klawikordu, zamknęła drzwi.

Wyszedszy na podwórze Mawra Kuźminiszna zastanowiła się, dokąd teraz ma iść: czy na herbatę do Wasilicza do oficyny, czy do spiżarni sprzątać to, co jeszcze nie zostało sprzątnięte.

Na cichej ulicy rozległy się szybkie kroki. Kroki zatrzymały się przy furtce; klamka zaczęła szczełkać pod ręką usiłującą ją otworzyć.

– Do kogo?

– Do hrabiego, hrabiego liii Andreicza Rostowa.

– A ktoś pan?

– Oficer. Chciałbym się widzieć z panem hrabią – rzekł głos rosyjski, miły i pański.

Mawra Kuźminiszna otworzyła furtkę. Na podwórze wszedł okrągłolicy oficer lat osiemnastu, z twarzy przypominający Rostowów.

– Wyjechali, dobrodzieju. Wczoraj pod wieczór państwo raczyli wyjechać – rzekła uprzejmie Mawra Kuźminiszna.

Młody człowiek stojąc w furtce, jakby niezdecydowany, czy wejść, czy nie wejść, klasnął językiem.

– Aco za szkoda! – rzekł. – Powinienem wczoraj... Ach, co za szkoda!...

Tymczasem Mawra Kuźminiszna uważnie i współczująco przyglądała się znajomym rysom

rodu Rostowów w twarzy młodego człowieka, podartemu płaszczowi i wydeptanym butom, jakie miał na nogach.

– A na co hrabia był panu potrzebny? – zapytała.

– Bo to... cóż począć! – rzekł z przykrością oficer i sięgnął do klamki, jakby zamierzał odejść. Znów zatrzymał się niezdecydowany.

– Bo to – rzekł nagle – jestem krewnym hrabiego i hrabia zawsze był dla mnie bardzo dobry. Otóż, widzi pani (z poczciwym, wesołym uśmiechem popatrzył na swój płaszcz i buty), i obdarłem się, i pieniędzy wczako chwileczkę – powiedziała. Jak tylko oficer zdjął rękę nie mam, wiecem chciał poprosić hrabiego...

Mawra Kuźminiszna nie pozwoliła mu dokończyć.

– Niechże się pan zatrzyma cwileczkę, serdeńko. Tyl z klamki, Mawra Kuźminiszna zawróciła i szybkimi, starczymi krokami poszła na kuchenne podwórze do swojej oficyny.

Kiedy Mawra Kuźminiszna szła do siebie, oficer, spuściwszy głowę, patrząc na swoje dziurawe buty i z lekka się uśmiechając, spacerował po podwórzu. „Jaka szkoda, że nie zastał wujaszka. Wspaniała staruszka! Dokąd pobiegła? Jakby się tu dowiedzieć, jakimi ulicami mógłbym dogonić pułk, który teraz powinien zbliżać się do Rogożskiej?” – myślał przez ten czas młody oficer. Mawra Kuźminiszna z miną przestraszona, ale zarazem stanowczą, niosąc w rękach zwiniętą kraciastą chusteczkę, wyszła zza węgła. W odległości kilku kroków rozwinęła chusteczkę, wyjęła z niej białą dwudziestopięciorublową asygnatę i pośpiesznie wręczyła oficerowi.

Gdyby jaśnie pan był w domu, wiadomo, toby jako krewniak, ale może teraz... – Mawra Kuźminiszna zalekła się i zmieszła. Jednak oficer, nie odmawiając, bez pośpiechu wziął paperek i podziękował Mawrze Kuźminisznie. – Gdyby hrabia był w domu – mówiła Mawra Kuźminiszna ciągle się usprawiedliwiając. – Niech Bóg pana prowadzi. Niech ma w swojej opiece – mówiła Mawra Kuźminiszna kłaniając się i odprowadzając go. Oficer, jakby drwiąc sam z siebie, uśmiechając się i kiwając głową, niemal kłusem pobiegł pustymi ulicami ku mostowi Jauskiemu w pogoni za swym pułkiem.

A Mawra Kuźminiszna jeszcze długo stała przed zamkniętą furtką, oczy miała wilgotne i w zamyśleniu kiwając głową czuła niespodziany przyptyw macierzyńskiej czułości i współczucia dla tego nieznanego oficerka.

XXIII

W nie wykończonym domu na Warwarce, gdzie na dole był szynk, rozlegały się pijackie krzyki i piosenki. W niedużym, brudnym pokoju siedziało na ławkach przy stołach dziesięciu robotników fabrycznych. Wszyscy byli pijani, spoceni, oczy mieli mętne, z wysiłkiem, szeroko rozdziawiając usta, śpiewali jakąś pieśń. Śpiewali niezgodnie, z trudem, widocznie nie dlatego, że mieli ochotę śpiewać, ale dlatego, żeby pokazać, iż są pijani i bawią się. Jeden z nich, wysoki jasnowłosy chwatał w czystej granatowej czujce, stał za nimi. Jego twarz z cienkim, prostym nosem byłaby piękna, gdyby nie wąskie, zaciśnięte i nieustannie poruszające się wargi i mętne, chmurne, nieruchome oczy. Stał nad śpiewającymi i widocznie coś sobie zamyślał, gdyż nad ich głowami uroczyście i kanciasto wywijiał zakasaną po łokieć białą ręką, której brudne palce usiłował nienaturalnie rozcapierzyć.

Rękaw czujki ciągle mu opadał, więc starannie zawinął go lewą ręką, jak gdyby było rzeczą niezmiernie ważną, by jego biała, żyłasta ręka, którą wymachiwał, była koniecznie obnażona. W środku pieśni rozległy się w sieni i na ganku odgłosy bójki i uderzenia. Wysoki machał ręką.

– Dość! – krzyknął rozkazująco. – Bijatyka, chłopaki! – i nie przestając zawijać rękawa wyszedł na ganek.

Robotnicy poszli za nim. Robotnicy, którzy tego ranka pili w szynku pod przewodnictwem wysokiego, przynieśli szynkarzowi skóry z fabryki i za to dostali wódki. Kiedy kowale z sąsiednich kuźni usłyszeli w szynku hulankę, pomyśleli, że szynk został rozbity, więc siłą próbowali się do niego wedrzeć. Na ganku wywiązała się bójka.

W drzwiach szynkarz bił się z kowalem, a kiedy robotnicy wychodzili, kowal odpadł od szynkarza i runął twarzą na bruk.

Drugi kowal pchał się we drzwi i piersią napierał na szynkarza.

Chwata z zawiniętym rękawem idąc uderzył w twarz pchającego się we drzwi kowala i wrzasnął dziko:

– Chłopaki! biją naszych!

Tymczasem pierwszy kowal podniósł się i rozmazując krew na rozbitej twarzy krzyknął płaczliwym głosem:

– Warta! Zabili!... Człowieka zabili! Braciszkowie!...

– Oj, święci Pańscy, zabili na śmierć, zabili człowieka! – zaskomlała baba, która wyszła z sąsiedniej bramy. Tłum ludzi zebrał się dokoła zakrwawionego kowala.

– Małoś to ludzi naokradał, koszul z nich nazdejnował – odezwał się do szynkarza czyjś głos. – Za coś człowieka ubił? Zbóju!

Wysoki chwatał, stojąc na ganku, patrzył mętными oczami to na szynkarza, to na kowala, jakby zastanawiał się, z kim teraz należy się bić.

– Morderco! – krzyknął nagle na szynkarza. – Chłopaki, wiążać go!

– A jakże, jużem takiego jednego związał! – krzyknął szynkarz odepchnawszy od siebie ludzi, którzy się na niego rzucili, zerwał z głowy czapkę i rzucił nią o ziemię. Jak gdyby ten postępek miał jakieś tajemnicze i groźne znaczenie, robotnicy obstępujący szynkarza zatrzymali się

niezdecydowani.

– Ja, bracie, dobrze wiem, co należy do porządku. Ja i do cyrkułu dojdę. Myślisz, że nie dojdę? Grabić nikomu dziś nie wolno! – krzyknął szynkarz podnosząc czapkę.

– I pójdziemy, widzicie go! I pójdziemy... widzicie go

powtarzał na przemian szynkarz i wysoki i obaj razem ruszyli ulicą. Zakrwawiony kowal szedł obok nich. Robotnicy i ludzie postronni rozmawiając i krzyżąc szli za nimi.

Na rogu Marosiejki, naprzeciwko dużego domu z zamkniętymi okiennicami, na którym był szyld majstra szewskiego, stało ze dwudziestu szewców, ludzi smutnych, chudych, znużonych, w fartuchach i podartych kapotach.

– Niech obliczy się z ludźmi jak należy! – mówił chudy czeladnik z rzadką bródką i zasepionymi brwiami.

– Ssał naszą krew – i kwita. Zwodził nas, zwodził przez cały tydzień. Teraz doprowadził do ostateczności, a sam wyjechał.

Zobaczywszy ciżbę i zakrwawionego człowieka, czeladnik zamilkł i wszyscy szewcy ze skwapliwą ciekawością przyłączyli się do idącego tłumu.

– Dokąd to idziecie, ludzie?

– Wiadomo, dokąd – do władzy.

– Prawda to, że nasi nie wzięli góry?

vA tyś jak myślał! Słuchaj, co ludziska mówią. Słysząc było pytania i odpowiedzi. Szynkarz skorzystał z tego, że tłum się powiększył, odstrychnął się od ludzi i wrócił do swego szynku.

Wysoki chwát, nie zauważywszy zniknięcia swego wroga szynkarza, wymachiwał obnażoną ręką i nie przestawał mówić, zwracając na siebie ogólną uwagę. Przede wszystkim do niego ludzie się cisnęli, sądząc, że od niego usłyszą odpowiedź na pytania, które ich zajmują.

– Niech zrobi porządek, niech prawo okaże, po to jest postawiona zwierzchność! Sprawiedliwie mówię, prawosławni? – mówił wysoki chwát uśmiechając się ledwo dostrzegalnie.

– On myśli może, że władzy nie ma? A czy można żyć bez władzy? Mało to złodziei?

– Co po próżnicy gadać! – odzywano się w tłumie.

– Jakżeby tak Moskwę mieli porzucić! Powiedziano ci na kpiny, a tyś uwierzył. Mało to idzie naszych wojsk. No to go puścili! Od tego jest zwierzchność. Lepiej słuchaj, co ludzie prawią – mówiono pokazując na wysokiego zucha.

Pod murem Kitaj-Grodu inna, mniejsza gromada ludzi otaczała człowieka w bajowym szynelu, trzymającego w rękach papier.

– Ukaz, ukaz czytają! Ukaz czytają! – rozległo się w tłumie i ludzie rzucili się do czytającego.

Człowiek w bajowym szynelu czytał afisz z 31 sierpnia. Kiedy go tłum otoczył, człowiek jakby się zmieszał, lecz na żądanie wysokiego zucha, który się do niego przecisnął, jął z lekkim drżeniem w głosie czytać afisz od początku.

„Jutro rano jadę do najdostojniejszego księcia – czytał (– Najdostojniejszego! – uroczyście, uśmiechając się i marszcząc brwi, powtórzył wysoki chwát.) – żeby się z nim porozumieć, działać i pomagać wojskom w niszczeniu złoczyńców; i zaczniemy z nich parę... – ciągnął czytając i zatrzymał się (– Widzisz? – krzyknął chwát zwycięsko. Już on ci pokaże...) – wypuszczać i tych gości wysyłać do diabła; powrócę jutro na obiad i zabierzemy się do rzeczy, zrobimy, obrobimy i złoczyńców wypędzimy.”

Ostatnie słowa człowiek w szynelu przeczytał wśród całkowitego milczenia. Wysoki chwát smutno spuścił głowę. Widać było, że nikt nie zrozumiał ostatnich słów. Szczególnie słowa: „powrócę jutro na obiad”, najwidoczniej nawet zasmuciły czytającego i słuchaczy. Pospólstwo było nastrojone na wysoki ton, a to było nazbyt proste i niepotrzebnie zrozumiałe; było to coś, co

każdy z nich sam mógłby powiedzieć i dlatego nie mógł tak mówić ukaz wychodzący od najwyższej władzy.

Wszyscy stali w ponurym milczeniu. Wysoki zuch poruszał wargami i chwiało się.

– Jego trzeba by zapytać!... Przecie to on sam?... A jakże, zapytać!... Bo tak... On pouczy... – rozległo się nagle w tylnych szeregach tłumu i uwagę wszystkich zwrócił wjeżdżający na plac powóz policmajstra, któremu towarzyszyło dwóch konnych dragonów.

Policmajster na rozkaz hrabiego jeździł tego dnia rano podpalać barki i przy tej okazji zarobił sporą sumę, którą miał w tej chwili w kieszeni, toteż kiedy zobaczył tłum zmierzający w jego stronę, kazał stangretowi stanąć.

– Coście za jedni? – krzyknął na ludzi, którzy pojedynczo i nieśmiało zbliżali się do powozu.

– Coście za jedni? Pytam was? – powtórzył policmajster nie dostając odpowiedzi.

– Oni, wielmożny panie – rzekł skryba w bajowym szynelu – oni, jaśnie wielmożny panie, na rozkaz jaśnie oświeconego hrabiego chcieli służyć nie szcędząc żywota, a nie żeby jakiś bunt, jak było powiedziane od jaśnie oświeconego hrabiego...

Hrabia nie wyjechał, jest tutaj, i co do was, będzie zarządzenie – rzekł policmajster. – Ruszaj! – powiedział do stangreta. Tłum zatrzymał się, skupił wokół tych, którzy słyszeli to, co powiedziała władza, i patrzył na odjeżdżający powóz.

Tymczasem policmajster obejrzał się ze strachem, powiedział coś do stangreta i konie ruszyły prędkiej.

– Oszustwo, chłopcy! Prowadź do niego! – krzyknął głos wysokiego zucha. – Nie puszczać, chłopcy! Niech zda sprawę! Trzymaj! – krzyknęły głosy i ludzie pędem puścili się za powozem.

Tłum wśród gwaru udał się za policmajstrem na Łubiankę.

– Więc cóż, panowie i kupcy powyjeżdżali, a my przez to ginimy. Czy to my jakie psy! – coraz częściej rozlegało się w tłumie.

XXIV

Wieczorem 1 września, po widzeniu się z Kutuzowem, hrabia Rastopczyn, strapiony i dotknięty tym, że nie zaproszono go na radę wojenną i że Kutuzow nie zwracał uwagi na jego propozycję wzięcia udziału w obronie stolicy, zdziwiony odkryciem w obozie nowego poglądu, wobec którego sprawa spokoju stolicy i jej patriotycznych nastrojów wydała się nie tylko drugorzędna, ale i całkowicie zbędna i nic nie znacząca – hrabia Rastopczyn, strapiony, dotknięty i zdziwiony tym wszystkim, wrócił do Moskwy. Po kolacji, nie rozbiegając się, położył się na kanapie, a o pierwszej zbudził go kurier, który mu przywiózł list od Kutuzowa. W liście była mowa o tym, że wobec tego, iż wojska cofają się za Moskwę na szosę riazańską, czy hrabia nie zechciałby wysłać urzędników policji, aby przeprowadzili wojska przez miasto. Ta wiadomość nie była dla Rastopczyna czymś nowym.

Nie tylko po wczorajszym spotkaniu z Kutuzowem na Górze Poklonnej, ale już od samej bitwy pod Borodinem, kiedy wszyscy przybywający do Moskwy generałowie twierdzili zgodnie, że nie można wydać jeszcze jednej bitwy, i kiedy na polecenie hrabiego co noc wywożono mienie państwowe, a połowa mieszkańców już wyjechała, hrabia Rastopczyn wiedział, że Moskwa będzie oddana, jednakże ta wiadomość, przekazana w postaci zwykłej informacji z rozkazem od Kutuzowa i otrzymana nocą, podczas pierwszego snu, zdziwiła hrabiego i rozdrażniła.

Później, wyjaśniając swą działalność w owym czasie, hrabia Rastopczyn nieraz notował w swych zapiskach, że miał podówczas dwa ważne cele: „*De maintenir la tranquillite a Moscou et d'en faire partir les haintants.*”¹⁹³ Jeśli założyć ten podwójny cel, każda czynność okazuje się bez zarzutu. Dlaczego nie zostały wywiezione moskiewskie świętości, broń, amunicja, proch, zapasy zboża, dlaczego oszukano i zrujnowano tysiące mieszkańców głosząc, że Moskwa nie będzie oddana? „Dlatego, by zachować spokój w stolicy” – odpowiada wyjaśnienie hrabiego Rastopczyna. Dlaczego wywoziło się z urzędów stopy niepotrzebnych papierów i balon Leppicha oraz inne rzeczy? „Dlatego, by miasto pozostawić puste” – odpowiada wyjaśnienie hrabiego Rastopczyna. Wystarczy tylko przypuścić, że cokolwiek zagrażało spokojowi ludności, a wszelkie poczynania zostają usprawiedliwione.

Wszystkie okropności terroru miały za podstawę tylko troskę o spokój ludu.

Na czym się opierał lęk hrabiego Rastopczyna o spokój ludności Moskwy w roku 1812? Jaka była przyczyna do przypuszczeń, że w mieście są skłonności do rozruchów? Mieszkańcy wyjeżdżali, cofające się wojska wypełniały Moskwę. Czemu wskutek tego lud miałby się buntować?

Nie tylko w Moskwie, ale i w całej Rosji przy wkraczaniu nieprzyjaciela nie wydarzyło się nic, co by przypominało rozruchy, 1 i 2 września z górą dziesięć tysięcy ludzi pozostawało w Moskwie, a oprócz tłumu zebranego na podwórzu gubernatora wojskowego, który sam go tam ściągnął nic nie było. Oczywiście, że jeszcze mniej należałoby się spodziewać wzburzenia

¹⁹³ utrzymać spokój w Moskwie i wyprowadzić z niej mieszkańców.

ludności, gdyby po bitwie pod Bo rodinem, kiedy oddanie Moskwy stało się oczywiste, a przynajmniej prawdopodobne, zamiast podniecać lud rozdawaniem broni i proklamacjami Rastopczyn poczynił kroki mające na celu wywiezienie wszystkich świętości, prochu, amunicji i pieniędzy i po prostu oznajmił ludowi, że miasto zostanie oddane.

Rastopczyn, człowiek popędliwy i sangwiniiczny, obracający się zawsze w wyższych kołach administracji, mimo patriotycznych uczuć nie miał najmniejszego pojęcia o ludzie, którym, jak mniemał, kierował. Jak tylko nieprzyjaciel wkroczył do Smoleńska, Rastopczyn stworzył dla siebie w swej wyobraźni rolę przewodnika uczuć narodowych serca Rosji. Nie tylko wydawało mu się (wydaje się to każdemu administratorowi), że kieruje zewnętrznymi poczynaniami mieszkańców Moskwy, ale i wydawało mu się, że kieruje ich nastrojami za pośrednictwem swych odezw i proklamacji, pisanych tym łobuzerskim językiem, jakim lud gardzi w swoim środowisku i jakiego lud nie rozumie, kiedy go słyszy z góry. Piękna rola przewodnika uczuć narodowych tak się Rastopczynowi podobała, tak się z nią zżył, że konieczność wyjścia z tej roli, konieczność oddania Moskwy bez żadnego heroicznego efektu zaskoczyła go zniemacka, nagle stracił więc pod nogami grunt, na którym stał, i całkiem nie wiedział, co ma czynić. Choć wiedział, jednak w głębi duszy aż do ostatniej chwili nie wierzył w oddanie Moskwy i nic nie uczynił w tym względzie. Mieszkańcy wyjeżdżali wbrew jego życzeniu. Jeśli wywożono urzędy, to tylko na żądanie urzędników, z którymi hrabia zgadzał się niechętnie. A sam zajęty był wyłącznie rolą, jaką dla siebie stworzył. Jak to często zdarza się ludziom obdarzonym bujną wyobraźnią, wiedział już dawno, że Moskwa będzie oddana, ale wiedział tylko rozumowo, gdyż w głębi duszy nie wierzył w to, nie przenosił się wyobraźnią w to nowe położenie.

Cała jego działalność, usilna i energiczna (do jakiego stopnia była ona pożyteczna i oddziaływała na lud, to już inna kwestia), zmierzała tylko do tego, by wzbudzić w mieszkańcach uczucie, jakiego sam doznawał – patriotyczną nienawiść do Francuzów i wiarę w siebie.

Ale gdy sprawa przybrała swe prawdziwe, historyczne rozmiary, gdy wyrażenie swej nienawiści do Francuzów tylko słowami okazało się niedostateczne, gdy nawet w bitwie nie można było wyrazić tej nienawiści, gdy wiara w siebie okazała się bezużyteczna wobec sprawy samej Moskwy, gdy wszystka ludność, jak jeden mąż, porzucając dobytek odpłynęła z Moskwy, wykazując tym negatywnym czynem całą siłę swego patriotycznego uczucia, wówczas rola, jaką wybrał sobie Rastopczyn, okazała się nagle bezsensowna. Poczul się z nagłą osamotniony, słaby i śmieszny, bez gruntu pod nogami.

Rastopczyn, zbudzony ze snu, otrzymawszy oziębłą i rozkazującą kartkę od Kutuzowa, odczuł tym większe rozdrażnienie, im bardziej czuł się winny. W Moskwie pozostawało to wszystko, co właśnie mu powierzono, całe to mienie państwowe, które powinien był wywieźć. Wywiezienie zaś tego wszystkiego nie było już możliwe.

„Któż winien temu, kto do tego dopuścił? – myślał. – Oczywiście nie ja. Wszystko miałem przygotowane, trzymałem Moskwę tak! A do czego oni doprowadzili! Łotry, zdrajcy!” – myślał, nie określając dokładnie, kto są ci łotry i zdrajcy, lecz czując, że musi nienawidzić tych jakichś zdrajców, którzy byli winni, iż znalazł się w tym fałszywym i śmiesznym położeniu.

Przez całą noc hrabia Rastopczyn wydawał rozkazy, po które przyjeżdżano do niego ze wszystkich stron Moskwy. Zaufani nigdy nie widzieli hrabiego tak ponurym i rozdrażnionym.

– Wasza ekscelencjo, dyrektor departamentu dóbr przysłał po rozkazy... Z konsystorza, z senatu, z uniwersytetu, z przytułku, od archijereja przysłali... pytają... Co do straży ogniowej – jaki jest rozkaz pana hrabiego? Komendant więzienia, kurator domu obłąkanych... – meldowano hrabiemu całą noc, bez przerwy.

Na te wszystkie pytania hrabia dawał krótkie i gniewne odpowiedzi, świadczące, że teraz jego

rozkazy są niepotrzebne, że cała sprawa, którą tak starannie przygotował, została teraz przez kogoś zepsuta i że ten ktoś poniesie odpowiedzialność za to wszystko, co się teraz stanie.

– Więc powiedz temu bałwanowi – odpowiadał na zapytanie dyrektora departamentu dóbr – żeby został i pilnował swych papierów. Co ty pleciesz o straży ogniowej? Mają konie niech jada do Włodzimierza. Przecie nie zostawi się dla Francuzów.

– Wasza ekscelencjo, przyjechał kierownik domu obłąkanych, co pan hrabia rozkaże?

– Co rozkażę? Niech wszyscy jada, to wszystko... A wariatów wypuścić na miasto. Jeżeli u nas wariaci dowodzą armią.

Na pytanie o kajdaniarzy, siedzących w lochu, hrabia krzyknął gniewnie na komendanta więzienia:

– Czy mam ci dać dwa bataliony konwoju, którego nie mam? Puść ich i tyle!

– Wasza ekscelencjo, są i polityczni: Mieszków, Wereszczagin.

– Wereszczagin! Jeszcze nie powieszony? – krzyknął Rastopczyn. – Przyprowadzić go do mnie.

XXV

Około dziewiątej rano, kiedy już wojska przeszły przez Moskwę, nikt więcej nie przychodził pytać hrabiego o rozkazy. Wszyscy, którzy mogli jechać, jechali sami, ci zaś, którzy zostawali, sami decydowali, co mają czynić.

Hrabia kazał zaprzęgać, aby jechać do Sokolnik, i zasepiony, żółty i milczący, złożył rękę, siedział w swym gabinecie.

W spokojnych, nieburzliwych czasach każdemu administratorowi wydaje się, że życie poruczonej mu ludności toczy się tylko dzięki jego wysiłkom, toteż każdy administrator czuje główną nagrodę za swe trudy i wysiłki w przeświadczeniu o swej niezbedności. Zrozumiała jest rzecz, że dopóki morze historii jest spokojne, rządzącemu administratorowi, który na swej wątej łódeczce opiera się wiosłem o nawę narodu i sam wraz z nią się posuwa, musi się wydawać, że to dzięki jego wysiłkom posuwa się nawa, o którą on się opiera. Dość jednak, by zerwała się burza, by morze zaczęło gwałtownie falować, a nawa poruszyła się, by wyprowadzić ludzi z błędu. Nawa posuwa się swym potężnym, niezależnym biegiem, wiosło nie dosięga posuwającej się nawy, administrator zaś przeobraża się nagle z władcy, źródła siły, w człowieka nic nie znaczącego, zbytecznego i słabego. Rastopczyn czuł to i to właśnie go rozdrażniało.

Policmajster, którego zatrzymał tłum, i adiutant, który przyszedł zameldować, że konie gotowe, razem weszli do hrabiego. Obaj byli bladzi, a policmajster, oznajmiwszy, że wykonał polecenie, poinformował, że na podwórzu hrabiego stoi wielki tłum pragnący go widzieć.

Nie odpowiedziawszy ani słowa Rastopczyn wstał, szybkim krokiem skierował się do swej wspaniałej jasnej bawia Ini, podszedł do drzwi balkonu, sięgnął do klamki, odjął rękę i podszedł do okna, z którego lepiej było widać cały tłum. Wysoki chwąt stał w pierwszych szeregach i z surową twarzą, wywijając ręką, coś mówił. Zakrwawiony kowal z ponurą miną stał obok niego. Przez zamknięte okna słychać było gwar głosów.

– Powóz gotowy? – spytał Rastopczyn odchodząc od okna.

– Gotowy, ekscelencjo – rzekł adiutant. Rastopczyn znów podszedł do drzwi balkonu.

– Ale czegoż oni chcą? – zapytał policmajstra.

– Wasza ekscelencjo, powiadają, że zebrali się, aby iść na Francuzów, wedle rozkazu pana hrabiego, coś tam krzyczeli o zdradzie. Ale tłum jest wzburzony. Z trudem zdołałem odjechać. Ośmielę się przedstawić... waszej ekscelencji...

– Zechce pan oddalić się, i bez pana wiem, co mam robić! – krzyknął gniewnie Rastopczyn. Stał przy drzwiach balkonu i patrzył na tłum. „Oto co zrobili z Rosją! Oto co zrobili ze mną!” – myślał czując w duszy wzbierający, niepowstrzymany gniew przeciw temu komuś, komu by można przypisać winę za wszystko, co się stało. Jak to często bywa u popędliwych ludzi, gniew już nim władał, ale on szukał jeszcze przedmiotu tego gniewu. „*La voila la populace, la lie du peuple* – myślał patrząc na tłum – *la plebe qu'ils ont soulevee par leur sottise. Il lew faut une victime*”¹⁹⁴ – przyszło mu do głowy, gdy patrzył na wysokiego chwata wymachującego ręką. A dlatego mu to przyszło do głowy, że i jemu była potrzebna ta ofiara, jako przedmiot jego gniewu.

¹⁹⁴ Oto czerń wyrzutki społeczeństwa, plebs, który podburzyli przez swą głupot?! Potrzebna mu ofiara.

– Powóz gotowy? – zapytał po raz drugi.

– Gotowy, wasza ekscelencjo. Co pan hrabia każe względem Wereszczagina? Czekam przed gankiem – odpowiedział adiutant.

– A! – wykrzyknął Rastopczyn, jak gdyby zaskoczony jakimś wspomnieniem.

I szybko otworzywszy drzwi, pewnym krokiem wyszedł na balkon. Głosy nagle umilkły, ludzie pozdejmowali czapki i kaszkiety, oczy wszystkich wzniosły się ku wchodzącemu na balkon hrabiemu.

– Witajcie, chłopcy – rzekł hrabia szybko i głośno.

– Dzięki, żeście przyszli. Zaraz do was zejdę, ale przedtem trzeba się rozprawić ze złoczyńcą. Musimy ukarać łotra, przez którego Moskwa zginęła. Poczekajcie na mnie!

I tak samo szybko wrócił do pokojów, mocno trzasnąwszy drzwiami.

Przez tłum przeleciał aprobowany szept ukontentowania. „To znaczy, że się rozprawi ze wszystkimi łajdakami! A ty powiadasz, Francuz... on ci cały dystans rozstrzygnie” – mówili ludzie, jak gdyby wzajemnie wyrzucali sobie małą wiarę.

Po kilku minutach z frontowych drzwi wyszedł spieszenie oficer, wydał jakiś rozkaz i dragoni wyprężyli się. Tłum zaciekawiony

Oto czerń wyrzutki społeczeństwa, plebs, który podburzyli przez swą głupot?! Potrzebna mu ofiara.²⁰⁴

ruszył od balkonu do ganku i rozejrzał się spieszenie dokoła, jak gdyby kogoś szukał.

– Gdzie on? – rzekł hrabia. I w tej samej chwili, gdy to powiedział, zobaczył między dwoma dragonami wychodzącego zza węgła młodego mężczyznę z długą, cienką szyją, z głową do połowy ogoloną, do połowy zarośniętą. Młodzieniec ubrany był w niegdyś elegancki, pokryty granatowym sukniem, wytarty lisi kożuszek i w brudne, zgrzebne aresztanckie szarawary, wsunięte w nie oczyszczone i znoszone cienkie buty. Na szczupłych, słabych nogach zwisały ciężkie kajdany, utrudniające niepewny chód młodzieńca.

– A! – powiedział Rastopczyn, spieszenie odwracając spojrzenie od młodzieńca w lisim futerku i wskazując na najniższy stopień ganku. – Postaw go tutaj! – Młodzieniec, brzęcząc kajdanami, ciężko stanął na wskazany stopień i przytrzymując palcem uciskający kołnierz futerka obrócił dwa razy cienką szyją, westchnął i pokornym gestem złożył na brzuchu delikatne, nie spracowane ręce.

Kilka chwil, podczas gdy młodzieniec stawał na stopniu, trwało milczenie. Tylko w tylnych szeregach stłoczonych na jednym miejscu rozległo się chrząkanie, pojękiwania, poszturchiwanie i tupot przestawianych nóg.

Rastopczyn, czekając, żeby młodzieniec stanął na wskazanym stopniu, pocierał twarz ręką.

– Chłopcy! – rzekł Rastopczyn głosem dźwięczącym metalicznie – ten człowiek – to Wereszczagin, ten właśnie łajdak, przez którego Moskwa zginęła.

Młodzieniec w lisim futerku stał w kornej postawie, obie dłonie złożył na brzuchu, był nieco zgarbiony. Młoda twarz, wychudła, z wyrazem beznadziejności, oszpecona ogolonymi włosami, była spuszczone. Przy pierwszych słowach powoli podniósł głowę i popatrzył z dołu na hrabię, jakby pragnął coś mu powiedzieć albo choć spotkać jego spojrzenie. Ale Rastopczyn nie patrzył na niego. Na długiej cienkiej szyi młodzieńca naprężyła się jak postronek i posi niała żyła za uchem, a twarz mu nagle pokraśniała.

Wszystkie oczy były skierowane na niego. Popatrzył na tłum i jakby ów wyraz, który wyczytał z twarzy ludzi, dodał mu otuchy, uśmiechnął się smutno i nieśmiało, znów spuścił głowę i przestąpił z nogi na nogę.

Zdradził swego cesarza i ojczyznę, zaprzedał się Bonapartemu, on jeden ze wszystkich Rosjan zhańbił imię Rosjanina i przez niego ginie Moskwa – mówił Rastopczyn głosem

równym, ostrym; lecz nagle spojrział w dół na Were szczagina stojącego ciągle w tej samej kornej postawie. Jakby to spojrzenie przyprawiło go o wściekłość, podniósł rękę i zwracając się do ludu krzyknął niemal: – Sami zróbcie nad nim sąd! Oddaję go wam!

Ludzie milczeli, tylko coraz mocniej napierał jeden na drugiego. Hamować się wzajemnie, oddychać w tym skażonym zaduchu, nie mieć siły poruszyć się i czekać na coś niewiadomego, niepojętego i strasznego – to było nie do zniesienia. Ludzie stojący w pierwszych szeregach, którzy widzieli i słyszeli wszystko, co się przed nimi dzieje, z oczami rozszerzonymi od strachu i rozdziawionymi ustami, wyteżali wszystkie siły, aby na swych grzbietach wstrzymać napór stojących z tyłu.

– Bij go!... Niech zginie zdrajca, niech nie hańbi imienia Rosjanina! – wrzasnął Rastopczyn. – Rąb! Ja rozkazuję! – Nie słysząc słów, lecz tylko gniewne dźwięki głosu Rastopczyna, tłum jęknął i zbliżył się, lecz znów się zatrzymał.

– Hrabio!... – odezwał się wśród chwilowej ciszy, która nastąpiła, nieśmiały i zarazem teatralny głos Wereszcza gina. – Hrabio, ten sam Bóg nad nami... – rzekł Wereszczagin podniósłszy głowę i gruba żyła na jego cienkiej szyi znów wypełniła się krwią, a rumieniec szybko wystąpił mu na twarz i spłynął z niej. Nie dokończył tego, co chciał powiedzieć.

– Rąbać go! Ja rozkazuję!... – wrzasnął Rastopczyn nagle blednąc tak samo jak Wereszczagin.

– Do szabel! – krzyknął oficer do dragonów i sam dobył szabli.

Druga, jeszcze silniejsza fala spiętrzyła się nad ludźmi, a gdy dobiegła pierwszych szeregów, zepchnęła stojących na przedzie i, kołysząc nimi, poniosła ich aż do stopni ganku. Wysoki chwyt ze skamieniałą twarzą i ze znieruchomiałą podniesioną ręką stał obok Wereszczagina.

– Rąbać! – oficer niemal wyszeptał do dragonów, jeden zaś z żołnierzy z twarzą zeszepeconą nagle złością uderzył Wereszczagina w głowę tępym pałaszem.

– A! – krzyknął Wereszczagin krótko i ze zdziwieniem, oglądając siakby nie rozumiejąc, dlaczego to z nim uczyniono. Taki sam jęk zdziwienia i przerażenia przebiegł przez tłum.

– O Boże! – rozległ się czyjś żalony okrzyk. Ale zaraz po okrzyku zdziwienia, jaki mu się wydarł, Wereszczagin krzyknął żałośnie z bólu i ten krzyk go zgubił. W jedno mgnienie została przerwana owa napięta do ostateczności zaporą ludzkiego uczucia, która jeszcze powstrzymywała tłum. Zbrodnia się zaczęła, należało jej dokonać. Żalony jęk wyrzutu zagłuszył groźny ryk tłumu. Jak ostatnia, siódma fala, która rozbija okręty – ostatnia niepowstrzymana fala spiętrzyła się w tylnych szeregach, dobiegła do pierwszych, zwała je i pochłonęła wszystko. Dragon, który uderzył, chciał powtórzyć cios. Wereszczagin z okrzykiem przerażenia, zasłaniając się rękami, pobiegł ku ludziom. Wysoki chwyt, na którego się natknął, wczepił się rękami w cienką szyję Wereszczagina i z dzikim krzykiem padł wraz z nim pod nogi ryczącego, napierającego tłumu.

Jedni bili i szarpali Wereszczagina, drudzy – wysokiego chwata. I krzyki tratowanych, i tych, którzy się starali wyratować wysokiego chwata, tylko rozjuszały podniecenie tłumu. Dragoni długo nie mogli uwolnić zakrwawionego, na pół żywego robotnika. I długo, mimo gorączkowy pośpiech, z jakim tłum usiłował dokonać rozpoczętego dzieła, ci ludzie, którzy bili, dusili i szarpali Wereszczagina, nie mogli go zabić; tłum napierał na niego ze wszystkich stron, przewalał się z boku na bok, z nim w środku, jak jedna masa i nie pozwalał ani go dobić, ani zostawić w spokoju.

– Sztabą chyba albo co?... Zgnietli. Zdrajca, Chrystusa sprzedał!... żyw... dycha... wedle zasług judaszowi. Sztabą!... Żyje jeszcze?

Dopiero gdy ofiara przestała walczyć, a jej krzyki zamieniły się w równomierne, przeciągłe rżenie, tłum jął spieszenie przesuwac się obok leżącego zakrwawionego trupa. Każdy podchodził, spoglądał na to, co uczyniono, i cofał się z lękiem, wyrzutem i zdziwieniem.

– O Boże, naród niczym zwierz, gdzie by tam został żywy! – rozległo się w tłumie. – I to jakiś młodzik... pewno z kupców, ech, ludzie!... Powiadają, że to nie ten... Jakże nie ten... O Boże!... I drugiego pobili, powiadają, że ledwo dycha... Ech, ludzie... Że to się grzechu nie boją... – mówili teraz ci sami ludzie patrząc z boleściwą żalnością na martwe ciało z twarzą zsiniałą i unurzaną we krwi i kurzu, z rozrąbaną długą, cienką szyją.

Przykładowy urzędnik policyjny, uważając, że obecność trupa na dziedzińcu jego ekscelencji jest rzeczą nieprzyzwoitą, kazał dragonom wyciągnąć ciało na ulicę. Dwaj dragoni ujęli okaleczone nogi i powlekli ciało. Zakrwawiona, unurzaną w kurzu, martwa ogolona głowa na długiej szyi wykręcała się wleczona po ziemi. Ludzie rozstępowali się przed trupem.

Kiedy Wereszczagin upadł, a tłum, rycząc dziko, zakołysał się nad nim, Rastopczyn nagle zbladł i zamiast iść na ganek kuchenny, przed którym czekały na niego konie, sam nie wiedząc dokąd i po co, spuściwszy głowę, szybkim krokiem przeszedł przez korytarz prowadzący do pokojów na dole. Twarz hrabiego była biała; nie mógł powstrzymać drgania dolnej szczęki, trzęsącej się jak w febrze.

– Wasza ekscelencjo, tędy... dokąd pan hrabia raczy?... tu pan hrabia będzie łaskaw – rozległ się za nim drżący, przestraszony głos. Hrabia Rastopczyn nie miał siły odpowiedzieć, więc posłusznie zawrócił i poszedł tam, gdzie mu pokazywano. Przed gankiem stał powóz. Daleki zgłęb ryczącego tłumu słyszeć było i tutaj. Rastopczyn spiesznie wsiadł do powozu i kazał jechać do swego podmiejskiego domu w Sokolnikach. Kiedy hrabia wjechał w Miasnicką i już nie słyszał krzyków tłumu, jął sobie robić wyrzuty. Z niezadowoleniem wspominał teraz, że wobec swych podwładnych okazał wzruszenie i lęk. „La populace est terrible, elle est hideuse – myślał po francusku. – *lis sont comme les loups qu'on ne peut apaiser qu'avec de la chair.*” „Hrabio, ten sam Bóg nad nami!” – przypomniały mu się z nagłą słowa Wereszczagina i nieprzyjemne uczucie zimna przebiegło po grzbiecie hrabiego Rastopczyna. Jednak to uczucie było chwilowe, hrabia Rastopczyn pogardliwie uśmiechnął się. „*J'avais d'autres devoirs – pomyślał. – Il fallait apaiser le peuple. Bien d'autres victimes ont péri et périssent pour le bien publique*” – i jął rozmyślać o tych obowiązkach społecznych, jakie miał względem swej rodziny, swej (powierzonej mu) stolicy i względem siebie – nie jako Fiodor Wasiliej wicz Rastopczyn (mniemał, że Fiodor Wasiliewicz Rastopczyn robi z siebie ofiarę, dla bien publique), lecz jako gubernator wojskowy, przedstawiciel władzy i cesarski pełnomocnik. „Gdybym był tylko Fiodorem Wasiliewiczem, *ma Ugne de conduite aurait été tout autrement tracee.*¹⁹⁵ powinienem był więc zachować i życie, i godność gubernatora wojskowego.”

Kołysząc się lekko na miękkich resorach powozu i nie słysząc już strasznych odgłosów tłumu Rastopczyn uspokoił się fizycznie, i jak to zawsze bywa, jednocześnie z fizycznym uspokojeniem rozum sfalszował dla niego motywy moralnego uspokojenia. Myśl uspokajająca Rastopczyna nie była nowa. Odkąd istnieje świat i ludzie zabijają się wzajemnie, nigdy ani jeden człowiek nie dokonał przestępstwa na swym bliźnim nie uspokajając się tą myślą. Tą myślą jest le bien publique, dobro innych ludzi.

Człowiekowi nie opętanemu namiętnością nigdy nie jest znane to dobro; ale człowiek dokonujący przestępstwa zawsze wie na pewno, na czym to dobro polega. I Rastopczyn teraz też to wiedział.

W swych rozważaniach bynajmniej nie wyrzucał sobie tego postępków, znajdował nawet przyczyny, by być zadowolonym z siebie, że tak szczęśliwie potrafił skorzystać z tego & propos

¹⁹⁵ Pospólstwo jest straszne, ohydne. Są jak wilki: niczym ich nie można uspokoić, tylko mięsem... Miałem inne obowiązki. Należało uspokoić lud. Wiele innych ofiar zginęło i ginie dla ogólnego dobra... moja linia postępowania byłaby caftiem inaczej nakreślona.

– ukarać przestępcę i jednocześnie uspokoić tłum.

„Wereszczagin był sądzony i skazany na karę śmierci – myślał Rastopczyn (choć senat skazał Wereszczagina tylko na katorgę). – Był sprzedawczykiem i zdrajcą; nie mogłem puścić go bezkarnie, a zresztą, *je faisais d'une pierre deux coups*¹⁹⁶ oddałem ofiarę ludziom, by ich uspokoić, i ukarałem złoczyńcę.

Po przybyciu do swego podmiejskiego domu i zajęciu się sprawami domowymi hrabia zupełnie się uspokoił.

W pół godziny później hrabia jechał rączymi końmi przez Pole Sokolnickie i już nie myślał o tym, co było, lecz myślał o tym i wyobrażał sobie, co będzie. Jechał teraz do mostu Jauskiego, gdzie, jak mu powiadano, był Kutuzow. Hrabia przygotowywał w wyobraźni gniewne i uszczypliwe wyrzuty, jakie uczyni Kutuzowowi za to, że go oszukał. Temu staremu lisowi dworskiemu da odczuć, że odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia, jakie wynikną z oddania stolicy, z klęski Rosji (jak myślał Rastopczyn), spadnie wyłącznie na jego starą obraną całkiem z rozumu głowę. Obmyślając z góry to, co mu powie, Rastopczyn kręcił się gniewnie w powozie i ze złością rozglądał na wszystkie strony.

Pole Sokolnickie było opustoszałe. Tylko na samym jego końcu, przed przytułkiem i domem obłąkanych, widać było grupki ludzi w białych chałatach i kilku innych, którzy pojedynczo szli polem krzycząc coś i wymachując rękami.

Jeden z nich biegł, by przeciąć drogę powozowi hrabiego Rastopczyna. I hrabia, i jego stangret, i dragoni – wszyscy patrzyli ze zmieszaniem uczuciem przerażenia i ciekawości na tych wypuszczonych obłąkańców, szczególnie zaś na tego, co biegł ku nim. Chwiejąc się na długich, chudych nogach, w rozwiewającym się chałacie, ów obłąkaniec biegł szybko nie spuszczać oczu z Rastopczyna, krzyczał coś do niego ochryłym głosem i dawał znaki, żeby się zatrzymał. Twarz wariata, obrośnięta nierównymi kępkami brody, ponura i uroczysta, była chuda i żółta. Czarne jak agat źrenice biegały nisko i trwożliwie po szafranowożółtych białkach.

– Stój! Zatrzymaj się! Powiadam ci! – wykrzykiwał przenikliwie i, krztusząc się, znów coś krzyczał z sugestywnymi intonacjami i gestami.

Zrównał się z powozem i biegł obok niego.

– Po trzykroć mnie umęczyli, po trzykroć wstawalem z martwych. Ukamienowali mnie, ukrzyżowali... Zmartwychwstanę... zmartwychwstanę... zmartwychwstanę. Rozszarpali moje ciało. Królestwo Boże upadnie... Po trzykroć je zburzę i po trzykroć je podźwignę! – krzyczał, coraz bardziej podnosząc głos. Hrabia Rastopczyn nagle zbladł jak wówczas, gdy tłum rzucił się na Wereszczagina. Odwrócił się.

– Prę...dziej! – krzyknął na stangreta drżącym głosem. Powóz pomknął co sił w koniach, ale hrabia Rastopczyn długo jeszcze słyszał za sobą oddalający się, szalony, rozpaczliwy krzyk, a przed oczami miał tylko jedną twarz: zdziwioną, a zarazem przerażoną, zakrwawioną twarz zdrajcy w lisim kozuszku.

Jakkolwiek to wspomnienie było bardzo świeże, Rastopczyn teraz uczył, że werżnęło mu się ono w serce głęboko, aż do krwi. Teraz czuł wyraźnie, że krwawy ślad tego wspomnienia nigdy się nie zablizni, przeciwnie, im dłużej, tym bardziej drażniąco i męcząco to straszne wspomnienie będzie żyło w jego sercu aż do końca życia. Zdawało mu się teraz, że słyszy dźwięk swych słów: „Rąbać go, odpowiecie mi za to głową!” – „Czemużem powiedział te słowa? Powiedziałem jakoś niebacznie... Mogłem ich nie powiedzieć – myślał – wówczas nic by się nie stało.” Widział przestraszoną, a potem nagle rozjuszoną twarz dragona, który uderzył, i milczące spojrzenie nieśmiałego wyrzutu, jakie rzucił na niego ów chłopak w lisim futerku...

¹⁹⁶ Jednym uderzeniem zadałem dwa ciosy

„Przecieżem tego nie uczynił dla siebie. Powiniennem był tak postąpić. *La plebe, le traitre... le bien publique*¹⁹⁷ – myślał.

Przy moście Jauskim wciąż jeszcze tłoczyło się wojsko. Było gorąco. Kutuzow, chmurny, markotny, siedział na ławce przy moście i nahajką trącał piasek, gdy turkocząc podjechał do niego powóz. Do Kutuzowa podszedł mężczyzna w generalskim mundurze, w kapeluszu z piórami, z oczami rozbieranymi, ni to gniewnymi, ni to przestraszonymi, i zaczął mówić coś do niego po francusku. Był to hrabia Rastopczyn. Mówił do Kutuzowa, że zjawił się tutaj, bowiem Moskwy i stolicy już nie ma, jest tylko armia.

– Byłoby inaczej, gdyby wasza dostojność nie powiedział mi, że nie odda Moskwy bez boju, nie byłoby tego wszystkiego! – oświadczył.

Kutuzow patrzył na Rastopczyna i, jakby nie rozumiejąc znaczenia słów skierowanych do siebie, usilnie starał się odczytać coś osobliwego, wypisanego w tej chwili na twarzy człowieka, który z nim rozmawiał. Rastopczyn zmieszał się i umilkł. Kutuzow lekko pokiwał głową i nie spuszczać z twarzy Rastopczyna przenikliwego spojrzenia, rzekł spokojnie:

– Tak, ja nie oddam Moskwy bez boju. Czy Kutuzow myślał zupełnie o czym innym mówiąc te słowa, czy też wiedząc, że są bezsensowne, umyślnie je wyrzekł, dość, że Rastopczyn nic nie odpowiedział i spiesznie odszedł. I dziwna rzecz! Wojskowy gubernator Moskwy, dumny hrabia Rastopczyn, wzięwszy nahajkę podszedł do mostu i z krzykiem ją rozpędzać stłoczone wozy.

¹⁹⁷ Tłuszcza, zdrajca”. dobro ogólne.

XXVI

O czwartej po południu wojska Murata wkraczały do Moskwy. Na przedzie jechał oddział huzarów wirtemberskich, za nimi, z wielką świtą, jechał wierzchem sam król Neapolu.

Mniej więcej w środku Arbatu, w pobliżu Mikoły Objawionego, Murat zatrzymał się oczekując wiadomości od poprzedniego oddziału, w jakim stanie znajduje się miejska twierdza „le Kremlin”.

Wokół Murata zebrała się niewielka gromadka mieszkańców, którzy pozostali w Moskwie. Wszyscy z lęklwym niedowierzaniem patrzyli na dziwnego długowłosego wodza, wystrojonego w pióra i złoto.

Czyżby to sam jeich car? Niczego sobie! – rozległy się ciche głosy.

Tłumacz podjechał do gromadki ludzi. Czapkę przecie zdejmij... czapkę – mówili w tłumie jedni do drugich. Tłumacz zwrócił się do jakiegoś starego stróża i zapytał, czy daleko do Kremla. Stróż, przysłuchując się ze zdziwieniem obcemu polskiemu akcentowi i nie poznając w słowach tłumacza dźwięków rosyjskiej mowy, nie zrozumiał, co do niego mówią, i schował się za innych.

Murat zbliżył się do tłumacza i kazał zapytać, gdzie znajdują się wojska rosyjskie. Jeden z Rosjan zrozumiał, o co pytano, i nagle kilka głosów jęło odpowiadać tłumaczowi. Francuski oficer z przedniego oddziału podjechał do Murata i zameldował, że brama twierdzy zabarykadowana i że na pewno jest tam zasadzka.

– Dobrze – odrzekł Murat, zwrócił się do jednego z panów ze swej świty, kazał wysunąć cztery lekkie działa i ostrzelać bramę.

Artyleria klusem wyjechała spoza kolumny idącej za Muratem i ruszyła przez Arbat. Dojechawszy aż do końca Wozdwiżenki artyleria zatrzymała się i sformowała na placu. Kilku francuskich oficerów dowodziło działami, rozstawiło je i patrzyło na Kreml przez lunety.

Na Kremlu dzwony wzywały na nabożeństwo i ten dźwięk sprawiał, że Francuzi czuli się nieswojo. Sądziło, że jest to wezwanie do broni. Kilkudziesięciu żołnierzy piechoty pobiegło do Kutafiewskiej bramy. W bramie leżały polana i bale. Gdy oficer z oddziałem jął się zbliżać, rozległy się spod bramy dwa strzały karabinowe. Generał stojący przy drzwiach krzyknął do oficera słowa komendy i oficer z żołnierzami pobiegli z powrotem.

Z bramy rozległy się jeszcze trzy strzały.

Jeden strzał zadrasnął w nogę francuskiego żołnierza i zza bali rozległ się dziwny krzyk nielicznych głosów. Na twarzach Francuzów: generała, oficerów i żołnierzy, jednocześnie, jak na komendę, poprzedni wyraz wesołości i spokoju zamienił się w uporczywy, skupiony wyraz gotowości do walki i cierpienia. Dla nich wszystkich, od marszałka do ostatniego żołnierza, miejsce to nie było Wozdwiżenką, Mo chową, Kutafią i bramą Troicką, lecz była to nowa pozycja na nowym polu bitwy, prawdopodobnie krwawej. Wszyscy więc przygotowywali się do tej bitwy. Krzyki zza bramy przycichły. Działa były odprzodkowane, artylerzyści odmu chiwali przepalone lonty. Oficer zakomenderował: „Feu/208 i dwa świszczące blaszane dźwięki rozległy

się jeden po drugim. Odłamki kartaczy trzaskały po kamiennej bramie i balach zasieku; na placu zakołysały się dwie chmury dymu.

Po kilku sekundach, gdy ucichły echa strzałów wymierzonych w mury kremlowskie, nad głowami Francuzów rozległy się dziwne głosy. Wielkie stado kawek wzbilo się nad murami i z krakaniem i szumem tysięcy skrzydeł za krążyło w powietrzu. Jednocześnie z tym odgłosem w bramie rozległ się samotny krzyk ludzki i spoza dymu ukazała się postać człowieka bez czapki, w kaftanie. Trzymając karabin celował do Francuzów. „Feu!” – powtórzył oficer artylerii i w jednej i tej samej chwili rozległy się strzały: jeden karabinowy i dwa armatnie. Dym znów zasłonił bramę.

Za zasiekami już nic się nie ruszało, więc piechurzy francuscy wraz z oficerami poszli ku bramie. W bramie leżało trzech rannych i czterech zabitych. Dołem uciekali do Znamienki dwaj ludzie w kaftanach.

– *Enlevez-moi fa* – powiedział oficer wskazujący na bierwiona i trupy, więc Francuzi, dobiwszy rannych, przerzucili trupy na dół za ogrodzenie. Kto to byli d ludzie, nikt nie wiedział. „*Enlevez-moi sa* – tylko tyle było o nich powiedziane, więc ich wyrzucono i potem sprzątnięto, żeby nie cuchnęli. Tylko Thiers poświęcił im kilka wymownych wierszy: „*Ces miserables avaient envahi la citadelle sacree, s'etaient empires de fusils de l'arsenal, et tiraient (ces miseraOgnia!208 bies) sur les Franfais. On en sabra quelques uns et on purgea le Kremlin de lew presence.*”¹⁹⁸ Muratowi zameldowano, że droga jest wolna. Francuzi weszli w bramę i jęli rozkładać biwak na placu Senackim. Z okien senatu żołnierze wyrzucali krzesła na plac i rozpalali ogniska.

Inne oddziały przechodziły przez Kreml i roztasowywa ły się wzdłuż Morosiejki, Łubianki, Pokrowki. Jeszcze inne roztasowywały się wzdłuż Wozdwiżenki, Znamienki, Nikol skiej i Twerskiej. Nie znajdując nigdzie gospodarzy, Francuzi roztasowywali się nie jak w mieście na kwaterach, ale jak w obozie rozłożonym w mieście.

Żołnierze francuscy, chie trzecie swego poprzedniego stanu, wkroczyli do Moskwy jesoć obdarci, głodni, znużeni i mniejsi liczebnie o dwzyc, lecz jeszcze bojowe i groźne. Było jednak wojskiem tylko do cze w szyku bojowym. Było to wojsko znurzone, wyczerpanehwili, nim żołnierze tego wojska nie rozeszli się po kwaterach. Jak tylko ludzie zaczęli z pułków rozchodzić się po pustych i bogatych domach, wojsko na zawsze zostało unicestwione, powstało coś, co nie było ani mieszkańcami, ani żołnierzami, lecz czymś pośrednim, nazywanym maruderami. Kiedy po pięciu tygodniach ci sami ludzie wyszli z Moskwy, już nie stanowili wojska. Był to tłum maruderów, z których każdy wiozł albo niósł ze sobą kupę rzeczy, które mu się wydawały cenne i potrzebne. Gdy opuszczali Moskwę, żaden z nich nie dążył jak przedtem do podboju, tylko każdy starał się o zachowanie zdobyczy. Podobnie jak owa małpa, która wsunąwszy rękę w wąską szyjkę dzbana i nabrawszy garść orzechów nie rozwiera garści, aby nie stracić zdobyczy, i w ten sposób gubi się, Francuzi wychodząc z Moskwy oczywista musieli zginąć wskutek tego, że wlekli ze sobą rzeczy zagrabione, a porzucenie rzeczy zagrabionych było dla nich równie niemożliwe, jak dla małpy było niemożliwe rozwarcie garści z orzechami. Po dziesięciu minutach od wkroczenia do Moskwy każdego pułku francuskiego i zajęcia jakiejś dzielnicy, nie pozostawało w nim ani jednego żołnierza i oficera. Przez okna domów widać było ludzi w płaszczach i kamaszach, którzy śmiejąc się spacerowali po pokojach, w spiżarniach i piwnicach tacy sami ludzie gospodarowali przy wiktuałach, na podwórzach tacy sami ludzie otwierali i wybijali wrota wozowni i stajen; w kuchniach rozpalali ogień, z zawiniętymi rękawami piekli,

¹⁹⁸ Sprzątnijcie to... Ci nieszczęśnicy opanowali świętą twierdzę, zagarnęli karabiny z arsenału i strzelali (d nieszczęśnicy) do Francuzów. Niektórych z nich zarąbano i oczyszczono z nich Kreml

miesili ciasto i gotowali; straszili, rozśmieszali i pieścili kobiety i dzieci. I tych ludzi wszędzie było dużo: i po sklepach, i po domach, ale wojska już nie było.

Owego dnia francuscy dowódcy wydawali rozkaz za rozkazem zabraniając wojskom rozchodzić się po mieście, surowo zakazując gwałtów nad mieszkańcami i maruderstwa, polecając przeprowadzić tego samego wieczora ogólny apel; ale mimo wszelkie środki ludzie, którzy przedtem stanowili wojsko, rozplywali się po mieście – bogatym, obfitującym w wygody i zapasy i pustym. Podobnie jak głodne stado idzie gromadą po czystym polu, ale natychmiast rozchodzi się niepowstrzymanie, gdy tylko natrafi na obfite pastwisko, tak samo niepowstrzymanie wojsko rozlażyło się po bogatym mieście.

W Moskwie nie było mieszkańców, żołnierze więc wsiąkali w nią niby woda w piasek i niepowstrzymanie rozchodzili się na wszystkie strony z Kremla, gdzie uprzednio wkroczyli. Żołnierze kawalerii wchodząc do pozostawionego z całym mieniem domu kupieckiego i znajdując stoiska nie tylko dla swych koni, ale i zbędne, szli mimo to zajmować dom stojący obok, gdyż wydawał im się lepszy. Wielu zajmowało po kilka domów, pisali po nich kredą, przez kogo zostały zajęte, kłócili się i nawet bili się z innymi oddziałami. Nie zdążywszy się jeszcze rozlokować, żołnierze wybiegali na ulicę oglądać miasto i słysząc, że wszystko jest porzucone, śpieszyli tam, gdzie można było brać darmo rzeczy cenne. Dowódcy szli, by powstrzymać żołnierzy, i mimo woli sami wciągali się w to samo. W Hali Karetowej ocalały sklepy z powozami, tłoczyli się więc tam generałowie i wybierali sobie powozy i karety. Mieszkańcy, którzy pozostali, zapraszali do siebie dowódców, mając nadzieję zabezpieczyć się przed grabieżą. Bogactw było nieprzebrane mnóstwo, wszędzie wokół tego miejsca, które zajęli Francuzi, były jeszcze miejsca nie zbadane, nie zajęte, gdzie, jak się Francuzom wydawało, bogactw było jeszcze więcej. Toteż Moskwa wsysała ich w siebie coraz dalej. Zupełnie tak samo, jak gdy woda wyleje się na suchą ziemię i wskutek tego ginie woda i sucha ziemia, podobnie wskutek tego, że głodne wojsko weszło do bogatego, pustego miasta, znikło wojsko i znikło bogate miasto; i powstało bagno, pożary i maruderstwo.

Francuzi przypisywali pożar Moskwy au patriotisme fe roce de Rastopchine¹⁹⁹ Rosjanie – bestialstwu Francuzów. W istocie zaś przyczyn pożaru Moskwy w tym sensie, by można odpowiedzialnością za ów pożar obciążyć, jednego czy kilku ludzi – nie było i być nie mogło. Moskwa spłonęła wskutek tego, że znalazła się w takich warunkach, w jakich każde drewniane miasto musiało spłonąć, niezależnie od tego, czy w mieście było, czy nie było sto trzydzieści kiepskich sikawek pożarnych. Moskwa musiała spłonąć wskutek tego, iż mieszkańcy z niej wyjechali, i to tak nieuchronnie, jak musi się zająć kupa wiórów, na którą w ciągu kilku dni będą się sypać iskry. Drewniane miasto, w którym nawet w obecności mieszkańców – właścicieli domów i policji latem niemal codziennie wybuchały pożary, nie może nie spłonąć, jeśli nie ma w nim mieszkańców, a przebywają w nim tylko żołnierze palący fajki, rozpalający na placu Senackim ogniska z senackich krzesel i dwa razy dziennie gotujący sobie jedzenie. Wystarczy, by w czasie pokoju wojska rozkwaterowały się po wsiach w jakiejś okolicy, a liczba pożarów w tej okolicy od razu się zwiększa. O ileż więc musi się zwiększyć prawdopodobieństwo pożarów w pustym drewnianym mieście, w którym rozkwaterowało się obce wojsko? Le patriotisme feroce de Rastopchine i bestialstwo Francuzów bynajmniej tu nie zawiniły. Moskwa zapaliła się od fajek, od kuchni, od ognisk, od niedbalstwa nieprzyjacielskich żołnierzy i mieszkańców, nie będących właścicielami domów. Jeśli nawet były podpalenia (co jest nader wątpliwe, nikt bowiem nie miał powodu do podpalania, a w każdym razie było to kłopotliwe i niebezpieczne), to nie można ich uznać za przyczynę, gdyż bez podpałek byłoby to samo.

¹⁹⁹ Dziękuję patriotyzmowi Rastopczyna

Choć wygodnie było Francuzom obwiniać o bestialstwo Rastopczyna, Rosjanom zaś – obwiniać łotra Bonapartego albo później wkładać w ręce swego narodu bohaterskiego pochodnię²⁰⁰ nie można nie dostrzegać, że takiej bezpośredniej przyczyny pożaru być nie mogło, Moskwa bowiem musiała spłonąć, jak musiałyby spłonąć każda wieś, fabryka, każdy dom, z którego wyjdą gospodarze, a do którego zostaną wpuszczeni obcy ludzie, by gospodarowali i warzyli sobie kaszę. Moskwa została spalona przez mieszkańców, to prawda, ale nie przez tych mieszkańców, którzy w niej zostali, lecz przez tych, którzy z niej wyjechali. Moskwa zajęta przez nieprzyjaciela nie ocalała jak Berlin, Wiedeń i inne miasta tylko wskutek tego, że jej mieszkańcy nie witali Francuzów chlebem i solą i nie oddawali im kluczy, ale z niej wyjechali.

²⁰⁰ Mowa tu o różnorodnych tendencjach, jakimi kierowano się w późniejszych interpretacjach przyczyn, które wywołały pożar Moskwy. Jedną z nich, bardzo popularną, polegała na sławieniu owego pożaru jako zamierzonego i świadomego czynu patriotycznego

XXVII

Coraz to rozleglejsze, na kształt gwiazdy, wsiąkanie Francuzów w Moskwę w dniu 2 września dopiero pod wieczór dotarło do dzielnicy, w której Pierre obecnie mieszkał.

Po dwóch ostatnich dniach spędzonych w samotności i w niezwykle sposób, Pierre znajdował się w stanie bliskim pomieszenia zmysłów. Całą jego istotę opanowała jedna natarcywa myśl. Sam nie wiedział, jak i kiedy go ta myśl tak opanowała, że obecnie nic nie rozumiał ani z przeszłości, ani z teraźniejszości, wszystko zaś, co widział i słyszał, działo się jak we śnie.

Pierre uciekał ze swego domu tylko dlatego, żeby się uwolnić od zawilej gmatwaniny spraw życiowych, które go otaczały i których w ówczesnym stanie nie miał siły rozwikłać. Udał się do mieszkania Józefa Aleksiejewicza pod pozorem uporządkowania książek i papierów nieboszczyka tylko dlatego, że szukał ucieczki od życiowych niepokojów, ze wspomnieniami zaś o Józefie Aleksiejewiczu łączył się w jego duszy świat odwiecznych, spokojnych i uroczystych myśli, całkowicie różnych od niespokojnej gmatwaniny, w jaką czuł się wciągany. Szukał cichego schronienia i rzeczywiście znalazł je w gabinecie Józefa Aleksiejewicza. Kiedy w martwej ciszy gabinetu usiadł przy zakurzonego biurku nieboszczyka i podparł się obiema rękami, w jego wyobraźni spokojnie i obficie, jedno po drugim, zaczęły się przesuwać wspomnienia ostatnich dni, a zwłaszcza bitwy pod Borodiniem, i owego nieokreślonego dlań odczucia własnej nicości i fałszu w porównaniu z prawdą, prostotą i siłą tego rodzaju ludzi, którzy w jego duszy wyryli się pod nazwą: oni. Kiedy Gierasim wyrwał go z zamyślenia, Pierre'owi przyszła myśl wzięcia udziału w przypuszczalnej – jak o tym wiedział – ludowej obronie Moskwy. W tym celu natychmiast poprosił Gierasima, by postarał się o kaftan i pistolet, i oświadczył mu, iż zamierza, ukrywając swoje nazwisko, pozostać w domu Józefa Aleksiejewicza. Potem, w ciągu pierwszego dnia samotności i bezczynności (Pierre kilkakrotnie, ale bezskutecznie, usiłował skupić uwagę na masonskich rękopisach), przedstawiła mu się mętnie myśl, która i przedtem go nawiedzała, o kabalistycznym znaczeniu jego nazwiska w związku z nazwiskiem Bonapartego, jednakowoż myśl, że jemu, l'Russe Besuhof, pisano położyć kres władzy bestii, nawiedzała go tylko jako jedno z marzeń, które bez przyczyny i bez śladu przebiegają w wyobraźni.

Kiedy, kupiwszy kaftan (jedynie po to, by wziąć udział w ludowej obronie Moskwy), Pierre spotkał Rostowów i Natasza powiedziała do niego: „Pan zostaje? Ach, jak to dobrze!” – mignęła mu myśl, że istotnie byłoby dobrze, gdyby został, nawet jeśli Moskwa została oddana, i wykonał to, co jest mu przeznaczone.

Nazajutrz, z jedyną myślą nieoszczędzania siebie i nie pozostawiania w tyle za nimi, poszedł na rogatki Trzechgórskie.

Ale kiedy wrócił do domu, przekonawszy się, że Moskwa nie będzie broniona, poczuł nagle, że to, co przedtem wydawało mu się jedynie możliwe, obecnie stało się czymś koniecznym i nieuniknionym. Powinien był, zataiwszy swe nazwisko, pozostać w Moskwie, spotkać się z

Napoleonem i zabić go, żeby albo zginać, albo położyć kres nieszczęściu całej Europy, którego przyczyną, jak mniemał Pierre, był jedynie Napoleon.

Pierre znał wszystkie szczegóły zamachu niemieckiego studenta na życie Bonapartego w Wiedniu w roku 1809 i wiedział, że ów student został rozstrzelany. I niebezpieczeństwo, na jakie narażał swe życie przy wykonaniu tego zamiaru, jeszcze bardziej go podniecało.

Dwa jednak silne uczucia nieodparcie skłaniały Pierre, by wykonał zamierzenie. Pierwszym było uczucie potrzeby poświęcenia się i cierpień wobec świadomości powszechnego nieszczęścia – to uczucie, wskutek którego 25 sierpnia udał się do Możajska, wpadł w sam wir bitwy, a teraz uciekł z domu i, zamiast zbytku i wygod życia, do którego nawykł, spał, nie rozbierając się, na twardej kanapie i jadł tę samą strawę co Gierasim, drugim było to nieokreślone, wyłącznie rosyjskie uczucie pogardy wobec wszystkiego, co jest umowne, sztuczne, ludzkie, wobec wszystkiego co większość ludzi uważa za najważniejsze dobro świata. Po raz pierwszy Pierre doznał tego dziwnego i pociągającego uczucia w pałacu Słobodzkim, gdy nagle uczuł, że bogactwo, władza, życie, wszystko, o co ludzie z taką skrętnością zabiegają i czego strzegą, wszystko to, jeśli nawet i było coś warte, to tylko ze względu na rozkosz, z jaką można było to wszystko porzucić.

Było to uczucie, które sprawia, że rekrut-ochotnik przepija ostatni grosz, człowiek pijany tłucze lustra i szyby bez żadnej widocznej przyczyny, choć wie, że będzie go to kosztowało ostatnie pieniądze; to uczucie, które sprawia, że człowiek, dokonując (w sensie trywialnym) rzeczy bezmyślnej, jak gdyby próbuje swej indywidualnej władzy i siły, okazując istnienie wyższego sądu nad życiem, stojącego poza człowieczymi konwencjami życiowymi.

Pierre bez przerwy był pod wpływem tego uczucia od owego dnia, kiedy po raz pierwszy doznał go w pałacu Słobodzkim, jednak dopiero teraz mógł je całkowicie zaspokoić. Poza tym w obecnej chwili podtrzymywało Pierre'a i pozbawiało możliwości wyrzeczenia się tego zamiaru to, co już zrobił w tym celu. I jego ucieczka z domu, i jego kaftan, i pistolet, i oznajmienie Rostowom, że pozostaje w Moskwie, wszystko to straciłoby nie tylko sens, ale i byłoby mizerne i śmieszne (na co Pierre był wrażliwy), gdyby po tym wszystkim wyjechał z Moskwy tak jak inni.

Jak to zawsze bywa, stan fizyczny Pierre'a odpowiadał stanowi moralnemu. Prosta strawa, do której nie był przyzwyczajony, wódka, którą pił w owych dniach, brak wina i cygar, brudna, nie zmieniana bielizna, na pół bezsenne dwie noce spędzone na krótkiej kanapie, bez pościeli, wszystko to utrzymywało Pierre'a w stanie rozdrażnienia, bliskim pomieszania zmysłów.

Była druga po południu. Francuzi już wkroczyli do Moskwy. Pierre wiedział o tym, ale zamiast działać, rozmyślał tylko o swym zamiarze, rozważając wszystkie jego najdrobniejsze przyszłe szczegóły. W marzeniach Pierre nie wyobrażał sobie dokładnie ani procesu zadania ciosu, ani śmierci Napoleona, lecz z niezwykłą wyrazistością i bolesną rozkoszą wyobrażał sobie własną zgubę i własne bohaterskie męstwo.

„Tak, powinienem tego dokonać albo zginać jeden za wszystkich! – myślał. – Tak, pójdę... i potem nagle... Pistolet czy sztylet? – myślał Pierre. – Zresztą, wszystko jedno. Nie ja, lecz ręka Opatrzności cię karze...» – powiem (powtarzał w myśli słowa, które wypowiedział zabijając Napoleona). – No cóż, bierzcie mnie, karzcie” – mówił Pierre dalej i spuszczał głowę z twarzą smutną, lecz stanowczą.

Gdy stał na środku pokoju i w ten sposób rozmyślał, drzwi gabinetu otworzyły się i na progu ukazał się zupełnie zmieniony, zawsze przedtem wystraszony Makar Aleksieje wicz. Szlafrok miał rozchełstany, twarz czerwona i szpetna. Najwidoczniej był pijany. Kiedy ujrzał Pierre'a, zmieształ się w pierwszej chwili, ale gdy i na twarzy Pierre'a dostrzegł zmieszanie, od razu nabrał otuchy i na chwiejnych nogach wyszedł na środek pokoju.

– Złękli się – powiedział ochryple tonem zwierzenia.

– Ja powiadam: nie poddam się, ja powiadam... prawda panie? – Zamyślił się nagle, zauważwszy pistolet na stole, schwycił go z niespodziewaną szybkością i wybiegł na korytarz.

Gierasim i stróż, którzy szli za Makarem Aleksieiczem, zatrzymali go w sieni i chcieli odebrać mu pistolet. Pierre wyszedł na korytarz i z przykrością i wstrętem patrzył na tego na pół obłąkanego starca. Makar Aleksieicz, krzywiąc się z wysiłku, trzymał pistolet i krzyczał ochryplym głosem, widocznie wyobrażając sobie jakąś chwilę triumfu.

– Do broni! Na abordaż! Łziesz, nie odbierzesz! – krzyczał.

– Dostyc, panie, dostyc. Pan będzie łaskaw dać spokój. No, proszę pana... – mówił Gierasim i ostrożnie, trzymając Makara Aleksieicza za łokcie, starał się go zawrócić do drzwi.

– Kto ty? Bonaparte? – krzyczał Makar Aleksieicz.

– To nie uchodzi, panie. Proszę do pokojów, proszę odpocząć. Proszę oddać pistolecik.

– Precz, nikczemny niewolniku! Nie dotykaj mnie. Widzisz? – krzyczał Makar Aleksieicz potrząsając pistoletem.

– Na abordaż!

– Bierz – szepnął Gierasim do stróża. Porwali Makara Aleksieicza za ręce i pociągnęli ku drzwiom.

Sień napełniła się obrzydliwymi odgłosami szamotania się i pijackimi, zachrypniętymi dźwiękami zdyszanego głosu.

Nagle na ganku rozległ się nowy, przenikliwy krzyk kobiecy i do sieni wpadła kucharka.

– Oni! Święci Pańscy!... Jak mi Bóg miły, oni. Czterej na koniach!... – krzyczała.

Gierasim i stróż wypuścili z rąk Makara Aleksieicza, a w ciszy korytarza wyraźnie rozległo się stukanie kilku rąk do drzwi wejściowych.

XXVIII

Pierre, postanowiwszy w duchu, że do czasu wykonania swego zamiaru nie należało ujawniać ani swego tytułu, ani znajomości języka francuskiego, stał w uchylonych drzwiach korytarza – zamierzając schować się natychmiast po wejściu Francuzów. Ale Fruzi weszli, a Pierre wciąż jeszcze nie odchodził od drzwi: trzymała go nieprzeparta ciekawość.

Było ich dwóch. Jeden – oficer, wysoki, dzielny, piękny mężczyzna, drugi – widocznie żołnierz, albo ordynans, niski, chudy i opalony, z zapadniętymi policzkami i tępym wyrazem twarzy. Oficer, opierając się na kiju i kulejąc, szedł przodem. Uczyniwszy kilka kroków, jak gdyby zdecydował, że kwatery jest dobra, oficer przystanął, obejrzał się na żołnierzy stojących w drzwiach i donośnym głosem zwierzchnika krzyknął do nich, żeby wprowadzili konie. Skończywszy z tym, oficer junackim gestem podniósł wysoko łokieć, pokręcił wężką i dotknął ręką kapelusza.

– *Bojour, la compagnie!*²⁰¹ odezwał się wesoło» uśmiechając się i rozglądając wokół siebie. Nikt nic nie odpowiedział.

– *Vous etes le bourgeois?*²⁰² – zwrócił się oficer do Gierasima.

– Gierasim patrzył na oficera z przestachem i pytająco.

– *Quartire*²⁰³ *quartire, logement* – powiedział oficer i z pobłażliwym, dobrodusznym uśmiechem mierzył spojrzeniem małego człeka. – *Les Franfais sont de bons enfants. Que diable! Voyons! Ne nous fachom pas, mañ vieux*²⁰⁴ – dodał klepiąc po ramieniu przestraszonego i milczącego Gierasima.

– *Ah ca! Dites donc on ne parle donc pas franfais dans cette boutigue?*²⁰⁵ – dodał rozglądając się dokoła i spotykając oczy Pierre'a. Pierre odsunął się od drzwi.

Oficer znów zwrócił się do Gierasima. Żądał, żeby Gierasim pokazał mu pokoje.

Państwo nie ma, nie rozumieć... moja was... – mówił Gierasim starając się uczynić swe słowa bardziej zrozumiałymi przez to, że je przekreślał.

Uśmiechając się oficer francuski rozłożył ręce przed nosem Gierasima, dając do poznania, że i on go nie rozumie, i kulejąc podszedł do drzwi, przy których stał Pierre. Pierre chciał odejść, aby się za nimi ukryć, ale w tej samej chwili zobaczył, że drzwi od kuchni otworzyły się i wysunął się z nich Makar Aleksieicz z pistoletem w rękę. Z przebiegłością szaleńca przyjrzał się Francuzowi, uniósł pistolet i wycelował

– Na abordaż!!! – wrzasnął pijany i nacisnął cyngiel. Oficer francuski obejrzał się na krzyżającego i w tej samej chwili Pierre rzucił się ku pijanemu. Kiedy Pierre schwycił za pistolet i podbił go, Makar Aleksieicz trafił wreszcie palcem na spust: rozległ się ogłuszający huk i

²⁰¹ Szacunek dla całej kompanii!

²⁰² Pan jesteś gospodarzem?

²⁰³ Zniekształcone roś.: kwartira – mieszkanie.

²⁰⁴ Kwartir, kwartir... Francuzi to dobrzy chłopcy. Do diabła, nic gniewajmy się, dziadku

²⁰⁵ Więc nikt tu nie mówi po francusku?

wszystkich owionął prochowy dym. Francuz zadł i podbiegł do drzwi.

Pierre, zapomniawszy o swym zamiarze niezdradzania się ze znajomością języka francuskiego, wyrwał pistolet i odrzuciwszy go, podbiegł do oficera i odezwał się do niego po francusku.

– *Vous n'etes pas bless*²⁰⁶ zapytał swym zamiar wyrwał pistolet i odrzuciwszy go, podbiegł do oficera i odezwał niezdradzania się ze znajomością języka franc

– *Je crois que non* – odpowiedział oficer obmacując się – *mais je l'ai mangue belle cette fois-ci* – dodał wskazując odbity tynk na ścianie. – *Quel est cet homme?*²⁰⁷ rzekł oficer spojrzawszy surowo na Pierre'a.

– Ah, je suis waiment au desespoir de ce qui vient d'arriver – mówił Pierre szybko, zupełnie zapomniawszy o swej roli. – *C'est un fou, un malheureux qui ne savait pas ce qu'il faisait.*

Oficer podszedł do Makara Aleksieicza i schwycił go za kołnierz.

Makar Aleksieicz odął wargi, jakby zasypiał, i kiwał się oparty o ścianę.

– *Brigand, tu me la payeras* – rzekł Francuz odejmując rękę.

Nous autres nous sommes clements apres le wictoire: mais nous ne pardonnons pas aux traitres – dodał z wyrazem twarzy ponurym i uroczystym i z pięknym, energicznym gestem.

Pierre nadal po francusku prosił oficera, by nie karał tego pijanego, szalonego człowieka. Francuz słuchał w milczeniu, nie zmieniając ponurego wyrazu twarzy, lecz nagle z uśmiechem zwrócił się do Pierre'a. Przez kilka sekund w milczeniu patrzył na niego. Jego ładna twarz przybrała wyraz tragicznej tkliwości i wyciągnął rękę.

Vous m'avez sauve la vie! Vous etes Franfais – oświadczył. Dla Francuza taki wniosek był niewątpliwy. Dokonać wielkiego czynu mógł tylko Francuz, ocalenie zaś życia jemu, *m-r Ramballe capitaine du 13-eme leger*²⁰⁸ było bez wątpienia czynem wielkim.

Aczkolwiek wniosek ów i oparte na nim przeświadczenie oficera były niewątpliwe, Pierre uważał za konieczne rozczarować go.

– *Je suis Russe*²⁰⁹ – rzekł Pierre szybko.

– *Ti-ti-ti, a d'autres!* – rzekł Francuz machając palcem przed nosem i uśmiechając się. – *Tout a l'heure vous allez me conter tout fa* – oświadczył. – *Charme de rencont rer un compatriote. Eh bien! qu'allons nous faire de cet homme?*²¹⁰ – dodał zwracając się do Pierre'a już jak do brata. Gdyby nawet Pierre nie był Francuzem, skoro już raz usłyszał tę najwyższą na świecie nazwę, nie mógł się jej wyrzec: świadczyły o tym wyraz twarzy i ton francuskiego oficera. Na ostatnie pytanie Pierre jeszcze raz wyjaśnił, kim był Makar Aleksieicz, wyjaśnił, że tuż przed jego przybyciem ów pijany, zwariowany człowiek porwał nabity pistolet, którego nie zdążono mu odebrać, i prosił, żeby go nie karać.

Francuz wypiął pierś i uczynił królewski gest dłonią.

– *Vous m'avez sauve la vie. Vous etes Francais. Vous me demandez sq grace? Je vous l'accorde. Qu'on emmene cet homme*²¹¹ – mówił prędko i energicznie oficer francuski, ujął pod rękę Pierre'a, którego za ocalenie sobie życia awansował na Francuza, i poszedł z nim do pokoju.

²⁰⁶ Nie jest pan ranny?

²⁰⁷ Zdaje się, że nie... ale tym razem mało brakowało... Co to za człowiek? „ Ach, doprawdy, jestem w rozpacz z powodu tego, co się zdarzyło... To nieszczęsny wariat, nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi.

²⁰⁸ Ocaliłeś mi pan życie!

²⁰⁹ Jestem Rosjaninem.

²¹⁰ Akurat, powiedz pan to komu innemu... Zaraz mi pan to opowie... Bardzo mi miło spotkać się z rodakiem. No i co zrobimy z tym człowiekiem?

²¹¹ Uratował mi pan życie. Jest pan Francuzem. Prosi pan o łaskę dla niego? Daruj; mu. Wyprowadzić tego człowieka.

Gdy żołnierze będący na podwórzu usłyszeli strzał, weszli do sieni, zapytali, co się stało, i wyrazili gotowość ukarania winnych, ale oficer powstrzymał ich surowo.

– *On vous demandera quand on aura besoin de vous* – oświadczył. Żołnierze wyszli. Ordynans, który tymczasem zdążył już być w kuchni, podszedł do oficera.

– *Capitaine, ils ont de la soupe et gigot de mouton dans la cuisine* – powiedział. – *Faut-il vous l'apporter?*²¹²

– *Oui, et le vin*²¹³ – odpowiedział kapitan.

²¹² Jak będzie trzeba, zawołam was.

²¹³ Tak, i wina.

XXIX

Kiedy francuski oficer i Pierre weszli do pokoju, Pierre uważał za swój obowiązek jeszcze raz zapewnić kapitana, że nie jest Francuzem, i chciał odejść, ale francuski oficer nie chciał nawet o tym słyszeć. Był tak uprzejmy, miły, dobroduszny i szczerze wdzięczny za ocalenie życia, że Pierre nie miał serca mu odmówić, siadł więc razem z nim w salonie, w pierwszym pokoju, do którego weszli. Na zapewnienia Pierre'a, że nie jest Francuzem, kapitan, najwidoczniej nie rozumiejąc, że można się wyrzekać tak pochlebnego miana, wzruszył ramionami i powiedział, że jeśli Pierre koniecznie chce uchodzić za Rosjanina, niech tak będzie, ale on mimo to jest na wieki z nim związany uczuciem wdzięczności za ocalenie życia.

Gdyby ów człowiek miał choć jaką taką zdolność rozumienia uczuć innych ludzi i domyślałby się uczuć Pierre'a, prawdopodobnie Pierre by go opuścił; ale Pierre poczuł się zwyciężony ożywieniem i nieprzenikalnością tego człowieka wobec wszystkiego, co nie było nim samym.

– *Français ou prince russe incognito* – powiedział Francuz przyjrząwszy się brudnej, ale delikatnej bieliźnie Pierre i pierścieniowi na jego ręce. – *Je vous dois la vie et je vous offre mon amitie. Un Français n'oublie jamais ni un service. Je vous offre mon amitie. Je ne vous dis que ça.*²¹⁴

W brzmieniu głosu, w wyrazie twarzy, w gestach tego oficera było tyle dobroduszności i szlachetności (w sensie francuskim), że Pierre nieświadomie odpowiedział uśmiechem na uśmiech Francuza i uściśnął wyciągniętą rękę.

– *Capitaine Ramballe du 13-eme leger, decore pour l'af-faire du Sept*²¹⁵ przedstawił się z uśmiechem niepohamowanego zadowolenia z siebie, który marszczył jego usta pod wąsami. – *Voudrez-vous bien me dire d present, d qui j'ai l'honneur de parler aussi agreblement au lieu de rester d l'ambulance avec la balie de ce fou dans le corps.*²¹⁶

Pierre odpowiedział, że nie może wymienić swego nazwiska, i zaczerwieniony, mówiąc o przyczynach, dla których nie może go wymienić, próbował wymyślić jakieś nazwisko, ale Francuz przerwał mu z pośpiechem:

– *De grace* – oświadczył. – *Je comprends vos raisons, vous etes officier... officier superieur, peut-etre. Vous avez porte les armes contre nous. Ce n'est pas mon affaire. Je vous dois la vie. Cela me suffit. Je suis tout d vous. Vous etes gentilhomme* – dodał z odcieniem pytania. Pierre skłonił głowę. – *Votre nom de bapteme, s'il vous plait? Je ne demande pas davantage. M-r Pierre, dites vous... Parfait. C'est tout ce que je desire savoir.*²¹⁷

²¹⁴ Francuz czy rosyjski książę incognito... Zawdzięczani panu życie i proponuj? panu przyjaźń. Francuz nigdy nie zapomina ani zniewagi, ani przysługi. Proponuję panu przyjaźń. Nic więcej nie mówię.

²¹⁵ W dniu 7 września (26 sierpnia st. stylu) odbyła się bitwa pod Borodinem.

²¹⁶ Kapitan Ramballe z 13 pułku lekkiej kawalerii odznaczony za sprawę 7 września... Czy teraz będzie pan łaskawy powiedzieć mi, z kim mam przyjemność rozmawiać tak mile zamiast być w ambulansie z kulą, którą ten wariat wpakowałby we mnie.

²¹⁷ Dostyc, jeśli łaska... Rozumiem pana, jesteś oficerem, może nawet wyższym oficerem. Walczyłeś pan przeciw nam. To nie moja rzecz. Zawdzięczam panu żyde. To mi wystarczy. Jestem panu oddany. Jest pan szlachcicem?...

Kiedy przyniesiono baraninę, jajecznicę, samowar, wódkę i wino z rosyjskiego puzdra, które Francuzi przywieźli ze sobą, Ramballe poprosił Pierre'a, by wziął udział w tym obiedzie, i natychmiast zabrał się do jedzenia chciwie i szybko, jak zdrowy i głodny człowiek, prędko żuł zdrowymi zębami, nieustannie cmokał i dogadywał: „*Excellent, exquis*”²¹⁸ Twarz się zaczerwieniła i spotniała. Pierre był głodny i z zadowoleniem zasiadł do obiadu. Ordynans Morel przyniósł rondel z ciepłą wodą i wstawił do niej butelkę czerwonego wina. Poza tym przyniósł butelkę z kwasem, wziętą z kuchni na spróbowanie. Francuzi już poznali ten napój i dali mu nazwę. Nazywali go limonade de cochon (świńską lemoniadą) i Morel chwalił tę limonade de cochon znaną w kuchni. Ponieważ jednak kapitan miał wino, które zdobył w przemarszu przez Moskwę, zostawił więc kwas dla Morela, a sam zabrał się do butelki bordeaux. Aż po szyjkę owinał butelkę w serwetkę i nalał wina sobie i Pierre'owi. Zaspokojenie głodu i wino jeszcze bardziej ożywiły kapitana, toteż podczas obiadu mówił bez przerwy.

– Oui, mon cher m-r Pierre, je vous dois une fiere chan-delle de m'avoir sauve... de cet enrage... J'en ai assez, voyez-vous, de balles dans le corps. En voild une (pokazał na bok) a Wagrom et deux a Smoleńsk – pokazał szramę na policzku. – Et cette jambe, comme vous yoyez, qui ne veut pas marcher. C'est a la grande bataille du 7 a Moskova que j'ai repu fa. Sacre Dieu, c'etait beau. Il fallait voir ca, c'etait im delu ge de feu. Vous nous avez taille une rude besogne, vous pouvez vous en vanter, nom d'un petit bonhomme. Et, ma parole, mal-gre l'atout que j'y ai gagne, je serais pret a recommencer. Je plains ceux qui n'ont pas vu ca.²¹⁹

– *J'y ai ete*²²⁰ powiedział Pierre.

Bah! Vraiment? Eh bien, tant mieux – ciągnął Francuz. – Vous etes de fiers ennemis, tout de nieme. La grande redoute a etę tonęce, nom d'une pipe. Et vous nous l'avez fait cranement payer. J'y suis alle trois fois, tel que vous me voyez. Trois fois nous etions sur les canons et trois fois on nous a cul-bute et comme des capucins de cartes. Ohf c'etait beau, m-r Pierre. Vos grenadiers ont etę superbes, tonnerre de Dieu. Je les ai vu six fois de suite serrer les rangs, et marcher comme d une revue. Les beaux hommes! Notre roi de Naples, qui s'y connait, a crie: „Bravo!” Ah, ah, soldat comme nous autres! – rzekł po chwili milczenia.

Tant mieux, tant mieux, m-r Pierre. Terribles en bataille... galants... – mrugnął z uśmiechem – avec les belles, voila les Francais, m-r Pierre, n'est ce pas?²²¹

Kapitan był tak naiwnie i dobrodusznie wesoły, bezpośrednio i zadowolony z siebie, że Pierre omal sam nie mrugnął, wesoło patrząc na niego. Prawdopodobnie słowo palant naprowadziło kapitana na myśl o sytuacji Moskwy.

– A propos, dites donc, est-ce vrai que toutes les femmes ont quitte Moscou? Une drole

Pańskie imię? O nic więcej nie pytam. Pan Pierre, mówisz pan? Doskonale. To wszystko, co mi trzeba.

²¹⁸ Wspaniałe, wyborne.

²¹⁹ Tak, kochany m-r Pierre, wiele panu jestem winien za uratowanie mnie... od tego szaleńca... Widzi pan, mam dość kul w ciele. Ta oto... pod Wagram, a po tych dwóch pod Smoleńskiem... A ta noga, jak pan widzi, nie chce chodzić. Podczas wielkiej bitwy, siódmego, pod Moskwą, tam to dostałem. Do diabła, było to piękne. Trzeba było to widzieć, prawdziwy potop ognia. Twardy mieliśmy orzech do zgryzienia, możecie się tym szczycić, słowo daję. I słowo honoru, że mimo upominku, który tam dostałem, gotów bym jeszcze raz zacząć. Żałuję tych, którzy tego nie widzieli.

²²⁰ Byłem tam.

²²¹ Istotnie? Tym lepiej. Trzeba przyznać, że jesteście dzielnymi przeciwnikami. Do diabła, wielka reduta dobrze się trzymała. Drogość kazali nam za nią zapłacić. Byłem tam trzy razy, jak mnie pan widzi. Trzy razy byliśmy na działach, trzy razy nas odrzucano niby żołnierzyków z papieru. O, to było piękne, panie Pierre. Wasi grenadierzy byli wspaniali, jak mi Bóg miły. Widziałem, jak sześć razy zwierali szeregi i szli jak na paradzie. Wspaniali ludzie! Nasz król Neapolu, który zęby na tym zjadł, krzyczał im: „Brawo!” Ha, więc jesteś pan bratem żołnierzem!... Tym lepiej, panie Pierre. Straszni w bitwie, mili dla pięknych pań, oto francuzi, panie Pierre. Czyż nie tak?

d'idee! Qu'avaient-elles a craindre?

– Est-ce que les dames francaises ne quitteraient pas Paris si les Russes y entraient?²²² – rzekł Pierre.

– *Ah, ah, ah!*... – Francuz roześmiał się wesoło, sangwinicznie i poklepał Pierre'a po ramieniu.

– *Ah, el-le est forte celle-la* – wyrzekł. – *Paris?... Mais Paris...Paris...*²²³

– *Paris la capitale du monde.*²²⁴ – powiedział Pierre kończąc jego zdanie.

Kapitan popatrzył na Pierre'a. Miał zwyczaj zamilknąć wśród rozmowy patrząc badawczo roześmianymi, łagodnymi oczami.

– Eh bien, si vous ne m'aviez pas dit que vous etes Russe, j'aurai parie que vous etes Parisien. Vous avez ce je ne sais quoi, ce...²²⁵ – i powiedziawszy ten komplement znów w milczeniu popatrzył na Pierre'a.

– J'ai ete a Paris, j'y ai passe des annees²²⁶ – powiedział Pierre.

– Oh, ca se voit bien. Parisf... Un homme qui ne con-nait pas Paris, est un sauvage. Un Parisien, ca se sent a deux lieux. Paris, c'est Talma, la Duchesnois, Potier, la Sorbonne, les boulevards. – A spostrzegłszy, że zakończenie jest słabsze niż początek, dodał spiesznie: – Il n'y a qu'un Paris au monde. Vous avez ete a Paris et vous etes reste Russe. Eh bien, je ne vous en estime pas moins.²²⁷

Pod wpływem wypitego wina i po dniach spędzonych w samotności z ponurymi myślami Pierre mimo woli doznawał zadowolenia z rozmowy z tym wesołym i dobrodusznym człowiekiem.

– Pour en revenir a vos dames, on les dit bien belles. Qu-elle fichue idee d'aller s'enterrer dans les steppes, quand l'armee francaise est a Moscou. Quelle chance elles ont manque celles-Id. Vos moujiks c'est autre chose, mais vous autres gens civilises vous devriez nous connaitre mieux que a. Nous avons pris Vienne, Berlin, Madrid, Naples, Rame, Varsovie, toutes les capitales du monde... On nous craint, mais on nous aime. Nous sommes bons d connaitre. Et puis L'Empereur²²⁸ – zaczął, lecz Pierre przerwał mu.

– *L'Empereur* – powtórzył Pierre, a jego twarz przybrała nagle wyraz smutku i zażenowania. – *Est-ce que L'Empereur...*²²⁹ *L'Empereur...*”

– L'Empereur? C'est la generosite, la clemence, la justice, '. l'ordre, le genie, voila l'Empereur! C'est moi, Ramballe, qui vous le dit. Tel que vous me voyez, j'étais son ennemi ii y a encore huit ans. Mon pere a etę comte emigre... Mais ii m'a vaincu, cet homme. II m'a empoigne. Je n'ai pas pu resister au spectade de grandeur et de gloire dont U couvrait la France. Quand j'ai compris ce qu'il voulait, quand j'ai vu qu'il nous faisait une litiere de lauriers, voyez vous, je me suis dit: „Voila un souverain”, et je me suis donné a lui... Eh voila! Oh, oui, mon

²²² Ale, ale powiedz pan, czy to prawda, że wszystkie kobiety opuściły Mos kwę? Dziwny pomysł, czegoż się obawiały? – A czy panie francuskie nie wyjechałyby z Paryża, gdyby Rosjanie tam wkroczyli?

²²³ Cha! cha! cha!... A to niezłe! Paryż?... No, Paryż... Paryż.

²²⁴ Paryż stolica świata...

²²⁵ Gdybyś pan nie był mi powiedział, żeś Rosjanin, to bym się założył, żeś paryżanin Masz pan w sobie coś takiego.

²²⁶ Byłem w Paryżu, spędziłem tam cale lata.

²²⁷ Och, to od razu widać. Paryż!... Człowiek, który nie zna Paryża – to dzikus. Paryżanina poznaje się o milę. Paryż to Talma, Duchesnois, Potier, Sorbona, bulwary... Na całym świecie jest tylko jeden Paryż. Byłeś pan w Paryżu i pozostałeś Rosjaninem. Nie umniejsza to mego szacunku dla pana.

²²⁸ Wracając jednak do waszych pań; powiadają, że są one bardzo piękne. Co za głupi pomysł zagrzebać się w stepie, gdy w Moskwie jest francuska armia! Straciły wspaniałą okazję. Wasi chłopci, rozumiem, ale wy – ludzie wykształceni, powinniście nas znać lepiej. Zdobyliśmy Wiedeń, Berlin, Madryt, Neapol, Rzym, Warszawę, wszystkie stolice świata. Nas boją się, ale i kochają. Zyskujemy przy bliższym poznaniu. A co do cesarza...

²²⁹ Cesarz... Czy cesarz...

cher, c'est le plus grand homme des siecles passes et a venir.²³⁰

– *Est-il a Moscou?*²³¹ – zapytał Pierre, zmieszany, z miną przestępcy.

Francuz popatrzył na występłą twarz Pierre'a i uśmiechnął się.

– *Non, Il fera son entree demain*²³² – powiedział i ciągnął dalej swe opowiadanie.

Ich rozmowa została przerwana krzykiem kilku głosów przy bramie i przybyciem Morela, który przyszedł zameldować kapitanowi, że przyjechali huzarzy wirtemberscy i chcą umieścić konie w tym samym podwórzu, gdzie stoją konie kapitana. Trudność polegała przede wszystkim na tym, że huzarzy nie rozumieli, co do nich mówiono.

Kapitan kazał wezwać do siebie starszego podoficera i zapytał go surowym głosem, do jakiego należy pułku, kto jest jego dowódcą i na jakiej zasadzie pozwala sobie zajmować kwaterę, która już jest zajęta. Na pierwsze dwa pytania Niemiec, kiepsko rozumiejący po francusku, wymienił swój pułk i swego dowódcę, ale na ostatnie pytanie, którego nie zrozumiał, wstawiając łamane słowa francuskie w swą niemczyznę odpowiadał, że jest kwatermistrzem pułkowym i że pułkownik kazał mu zajmować wszystkie domy po kolei. Pierre, umiejący po niemiecku, przetłumaczył kapitanowi to, co mówił Niemiec, i odpowiedź kapitana zakomunikował po niemiecku wirtemberskiemu huzarowi. Kiedy Niemiec zrozumiał, co mu mówiono, skapitulował i wyprowadził swych ludzi. Kapitan wyszedł na ganek i donośnym głosem wydawał jakieś rozkazy.

Kiedy wrócił do pokoju, Pierre siedział na tym samym miejscu, gdzie siedział przedtem, trzymając się rękami za głowę. Jego twarz wyrażała cierpienie. Istotnie, cierpiał w tej chwili. Kiedy kapitan wyszedł i Pierre został sam, wtedy nagle ocknął się i uświadomił sobie swoje położenie. I w obecnej chwili nie to go dręczyło, że Moskwa została zdobyta, i nie to, że ci szczęśliwi zwycięzcy gospodarowali w niej i okazywali mu względy, choć Pierre bardzo ciężko to odczuwał. Dręczyła go świadomość własnej słabości. Kilka wypitych szklanek wina, rozmowa z tym dobrodusznym człowiekiem rozproszyły ponury i skupiony nastrój ducha, w jakim Pierre żył w ciągu ostatnich kilku dni i jaki był niezbędny do wykonania zamiaru. Pistolet, sztylet i kaftan były przygotowane, a Napoleon wjeżdżał nazajutrz. Pierre nadal uważał za rzecz pożyteczną i godziwą zabić zbrodniarza, jednak czuł, że teraz tego nie robi. Dlaczego? – nie wiedział, lecz jak gdyby przeczuwał, że nie wykona swego zamiaru. Walczył ze świadomością swej słabości, ale czuł niewyraźnie, że nie pokona jej, że jego dawny, posępny tok myśli o zemście, zabójstwie i poświęceniu rozpadał się w proch w zetknięciu z pierwszym lepszym człowiekiem.

Kapitan, lekko kulejąc i coś pogwizdując, wszedł do pokoju.

Paplanina Francuza, która przedtem Pierre'a bawiła, teraz wydała mu się wstrętą. Teraz wszystko wydawało się Pierre'owi ubliżające – i pogwizdywana piosenka, i sposób chodzenia, gesty i pokręcanie wąsa.

„Zaraz wyjdę i już ani słowa z nim nie zamienię” – myślał Pierre. Myślał tak, a przecie siedział ciągle na tym samym miejscu. Jakieś dziwne uczucie słabości przykuwało go do tego

²³⁰ Cesarz? To wspaniałomyślność, łaskawość, sprawiedliwość, porządek, geniusz – oto czym jest cesarz! Ja, Ramballe, mówię to panu. Jeszcze osiem lat temu byłem jego wrogiem, jak mnie pan tu widzi. Mój ojciec był hrabią emigrantem. Ale ten człowiek mnie podbił. Zawładnął mną. Nie mogłem się oprzeć widokowi wielkości i sławy, jaką okrywał Francję. Kiedym zrozumiał, czego on chce, kiedym spostrzegł, że gotuje dla nas łożę z wawrzynu, powiedziałem sobie:

„Oto monarcha”, i oddałem mu się. I oto! Tak, mój drogi, to największy człowiek wieków przeszłych i przyszłych.

²³¹ Czy on jest w Moskwie?

²³² Nie, wjazd odbędzie jutro.

miejsca: chciał wstać i wyjść, a jednak nie mógł.

Kapitan, przeciwnie, wydawał się bardzo wesoły. Przespacerował się dwa razy po pokoju. Jego oczy błyszczały, a wąsy lekko drgały, jak gdyby uśmiechał się do jakiejś zabawnej myśli.

– Charmant – rzekł nagle – le colonel de ces Wwtem-bourgeois! C'est un Allemand; mais brave garfon, s'il en fut. Mais Allemand.²³³

Usiadł naprzeciwko Pierre'a.

– A propos, vous savez dane l'allemand, vous?²³⁴ Pierre spojrzał na niego w milczeniu.

– Comment dites-vous: asile, en allemand?²³⁵

– Asile? – powtórzył Pierre. – Asile en allemand Unterkunft.²³⁶

– Comment dites-vous²³⁷ – nieufnie i prędko zapytał kapitan.

– Unterkunft – powtórzył Pierre.

– *Onterkoff* – powiedział kapitan i przez kilka sekund patrzył na Pierre'a roześmianymi oczami. – *Les Allemands sont de fieres betes. N'est ce pas, m-r Pierre?*²³⁸ – zakonkludował.

– Eh bien, encore une bouteille de ce bordeaux moscovite, n'est-ce-pas? Morel va nous chauffer encore une petite bouteille. Morel!²³⁹ – wesoło krzyknął kapitan.

Morel podał świece i butelkę wina. Przy świetle kapitan przyjrzał się Pierre'owi i widocznie zdziwiła go rozstrojona twarz rozmówcy. Ramballe ze szczerym smutkiem i współczuciem na twarzy zbliżył się do Pierre'a i pochylił nad nim.

– Eh bien, nous sommes tristes – powiedział dotykając ręki Pierre'a. – Vous aurais-je fait de la peine? Non, vrai, avez-vous quelque chose contre moi – dopytywał się. – Peut-etre rapport d la situation?²⁴⁰

Pierre nic nie odpowiedział, tylko łagodnie popatrzył w oczy Francuzowi. To wyrażenie współczucia było dla niego miłe.

– Parole d'honneur, sans parler de ce que je vous dois, j'ai de l'amitie pour vous. Puis-je faire quelque chose pour vous? Disposez de moi. C'est d la vie et d la mort. Gest la main sur le coeur que je vous le dis²⁴¹ – oświadczył uderzając się w pierś.

– *Merci*²⁴² – odpowiedział Pierre. Kapitan popatrzył na Pierre'a tak samo badawczo, jak patrzył, gdy się dowiedział, jak po niemiecku nazywa się „schronienie”, i z nagłą twarz mu się rozjaśniła.

– *Ah! dans ce cas je bois d notre amitie!*²⁴³ – zawołał wesoło nalewając wina do dwóch szklanek. Pierre wziął pełną szklankę i wypił. Ramballe również wypił, jeszcze raz ucisnął Pierre'owi rękę i w pozie melancholijnego zamyślenia oparł się łokciami o stół.

– Oui, mon cher ami, void les caprices de la fortune – zaczął. – Qui m'aurait dit que je serai soldat et capitai-ne de dragnos au service de Bonaparte, comme nous l'appellions jadis. Et cependant me voila a Moscou avec lui. Il f aut vous dire, mon cher – ciągnął smutnym,

²³³ Czarujący jest ten pułkownik Wirtemberczyków! Niemiec, ale mimo to dzielny chłopak. Jednakowoż Niemiec.

²³⁴ Ale, ale, więc pan umie po niemiecku?

²³⁵ Jak jest po niemiecku: schronienie?

²³⁶ Schronienie? Schronienie po niemiecku – Unterkunft.

²³⁷ Jak pan powiada?

²³⁸ Ależ ci Niemcy głupi. Prawda, monsieur Pierre?

²³⁹ No, jeszcze buteleczkę tego moskiewskiego bordeaux, nieprawda? Morel ogrzeje nam jeszcze buteleczkę, Morel!

²⁴⁰ Jesteśmy smutni?... – Może zrobiłem panu przykrość? Nie, czy naprawdę nic pan do mnie nie ma? Może to ze względu na sytuację?

²⁴¹ Słowo honoru, nie mówiąc już o tym, com panu winien, czuję dla pana przyjaźń. Czy mogę coś dla pana zrobić? Proszę mną dysponować. To przyjaźń na śmierć i życie. Oświadczam to panu z ręką na sercu.

²⁴² Dziękuję.

²⁴³ Ach, wobec tego piję za naszą przyjaźń!

miarowym głosem człowieka, który zamierza opowiedzieć długą historię – que notre nom est l'un des plus andens de la France.²⁴⁴

I z łatwą i naiwną szczerością Francuza kapitan opowiedział Pierre'owi historię swych przodków, swe dzieciństwo, młodość i wiek męski, wszystkie swe koneksje majątkowe i rodzinne. Oczywiście, że i „ma pazcure merę” odgrywała w tym opowiadaniu poważną rolę.

– Mais tout ca n'est que la misę en scęne de la vie, le fond c'est l'amour. Uamour! N'est ce pas, m-r Pierre? – rzekł ożywiając się. – Encore un verre.²⁴⁵

Pierre znów wypił i nalał sobie trzecią szklanę.

– *Oh! les femmes, les femmes*²⁴⁶ – i kapitan, patrząc na Pierre'a maślanymi oczyma, zaczął prawić o miłości i o swych miłosnych przygodach. Miał ich bardzo dużo, w co łatwo można było uwierzyć patrząc na zadowoloną z siebie, ładną twarz oficera i na entuzjastyczne ożywienie, z jakim mówił o kobietach. Mimo że wszystkie historie miłosne Ramballe'a miały ów sprośny charakter, w czym Francuzi widzą wyjątkowy urok i poezję miłości, kapitan opowiadał swe przygody z tak szczerym przekonaniem, że tylko on jeden doświadczył wszystkich rozkoszy miłości i poznał je, i tak ponętnie opisywał kobiety, że Pierre słuchał go z ciekawością.

Widać było, że l'amour, którą Francuz tak lubi, nie była ani tego rodzaju niższą, pospolitą miłością, jaką Pierre żywił niegdyś dla swej żony, ani też rozdmuchiwaną przez niego romantyczną miłością, jaką odczuwał do Nataszy (tymi obydwoma rodzajami miłości Ramballe jednakowo gardził – jedna była l'amour des charretiers, druga *l'amour des nigauds*²⁴⁷ *l'amour*, do której skłaniał się Francuz, polegała przede wszystkim na nienaturalności stosunku do kobiety i na kombinacji szkaradzieństw, które stanowiły główny urok uczucia.

A więc kapitan opowiedział wzruszającą historię swej miłości do pewnej czarującej trzydziestopięcioletniej markizy, a jednocześnie do uroczego, niewinnego, siedemnastoletniego dziecięcia, córki czarującej markizy. Walka wielkoduszności między matką a córką zakończona tym, że matka, czyniąc z siebie ofiarę, zaproponowała kochankowi swą córkę za żonę, jeszcze i teraz, choć to było wspomnienie przeszłości, wzruszała kapitana. Potem opowiedział pewien epizod, w którym mąż odgrywał rolę kochanka, a on (kochanek) rolę męża, i kilka komicznych epizodów z *souvenirs d'Allemagne, gdzie asile znaczy Unterkunft, gdzie les maris mangent de la choucroute i gdzie les jeunes filles sont trop blondes*²⁴⁸.

Wreszcie ostatni epizod z Polski, jeszcze świeży w pamięci kapitana, epizod, który opowiadał z gwałtownymi gestami i z rozpaloną twarzą, polegał na tym, że kapitan ocalił życie pewnemu Polakowi (w ogóle w opowiadaniach kapitana epizod ocalenia życia ciągle się powtarza) i ów Polak powierzył mu swą czarującą żonę Parisienne de coeur), a sam wstąpił do służby francuskiej. Kapitan był szczęśliwy, czarująca Polka chciała z nim uciekać; jednak kapitan, kierując się wspaniałomyślnością, oddał mężowi żonę mówiąc mu przy tym: *Je vous ai sauve la me et je sauve votre honneur*²⁴⁹ Powtórzywszy te słowa kapitan otarł oczy i wstrząsnął się, jak gdyby odpędzał od siebie słabość, która go ogarniała przy wzruszającym wspomnieniu.

Jak to często bywa późnym wieczorem i pod wpływem wina, Pierre słuchając opowiadań

²⁴⁴ Tak, mój drogi, fortuna kołem się toczy. Kto by mi powiedział, że będę żołnierzem i kapitanem dragonów w służbie Bonapartego, jakeśmy go kiedyś nazywali... A przecie jestem z nim w Moskwie. Bo musi pan wiedzieć, mój drogi... że nasze nazwisko jest jednym z najstarszych nazwisk we Francji.

²⁴⁵ Ale to wszystko to tylko fasada życia, a istotą jego jest miłość. Miłość! Prawda, m-r Pierre?... Jeszcze szklaneczkę.

²⁴⁶ Och, kobiety, kobiety!

²⁴⁷ Miłość... miłość furmanów... miłość durniów

²⁴⁸ Wspomnień z Niemiec... gdzie mężowie jadają kiszoną kapustę i gdzie panny są zbyt jasnymi blondynkami.

²⁴⁹ Paryżanka sercem...Uratowałem panu życie i teraz ratuję pański honor!

kapitana uważał na wszystko, co mówi kapitan, wszystko rozumiał, a jednocześnie szedł za własnymi wspomnieniami, które z nagłą nie wiadomo czemu stanęły mu w wyobraźni. Kiedy słuchał miłosnych opowieści kapitana, przypomniła mu się nagle jego miłość do Nataszy i przerzucając w wyobraźni obrazy tej miłości porównywał je w myśli z opowiadaniem Ramballe. Słuchając opowieści o walce między obowiązkiem a miłością, przypomniawszy sobie wszystkie najmniejsze szczegóły ostatniego spotkania z przedmiotem swej miłości koło Sucharowej baszty. Wówczas to spotkanie nie wywarło na nim wrażenia, nawet ani razu o nim nie wspomniawszy. Ale teraz wydawało mu się, że miało ono w sobie coś istotnego i poetycznego.

„Piotrze Kiryłyczu, proszę tutaj, poznałam pana” – słyszał teraz wypowiedziane przez nią słowa, widział przed sobą jej oczy, uśmiech, czepeczek podróżny, wysuwające się pasmo włosów... i w tym wszystkim dopatrywał się czegoś wzruszającego, rozrzewniającego.

Skończywszy opowiadanie o czarującej Polce kapitan zadał Pierre'owi pytanie, czy doznał kiedyś podobnego uczucia ofiary na rzecz miłości i uczucia zazdrości o ślubnego męża.

Wezwany tym zapytaniem, Pierre podniósł głowę i poczuł konieczność wypowiedzenia pochłaniających go myśli, jął tłumaczyć, że nieco inaczej pojmuje miłość do kobiety. Oświadczył, że przez całe życie kochał i kocha tylko jedną kobietę i że ta kobieta nigdy nie będzie mogła do niego należeć.

– *Tiens!*²⁵⁰ – rzekł kapitan.

Potem Pierre wytłumaczył, że kochał tę kobietę od najwcześniejszej młodości, ale nie śmiał myśleć o niej, była bowiem zbyt młoda, on zaś był nieprawym synem bez nazwiska. Potem, kiedy już otrzymał nazwisko i majątek, nie śmiał o niej myśleć, gdyż zbyt ją kochał, zbyt wysoko stawiał ponad wszystkim na świecie, a tym bardziej ponad sobą. Kiedy Pierre doszedł do tego miejsca swego opowiadania, zadał kapitanowi pytanie, czy to rozumie.

Kapitan uczynił gest wyrażający, że choćby nawet nie rozumiał, prosi o dalsze opowiadanie.

– *L'amour platonique, les nuances.*²⁵¹ – wymamrotał. Wypite wino czy też potrzeba szczerości, a może myśl, że ów człowiek nie zna i nie pozna nikogo z osób występujących w jego opowiadaniu, a może wszystko to razem rozwiązało Pierre'owi język. Patrząc gdzieś w dal maślanymi oczyma opowiedział sepleniącymi wargami całą swą historię: i swój ożenek, i historię miłości Nataszy do jego najlepszego przyjaciela, i jej zdradę, i cały swój nieskomplikowany stosunek do niej. Naprowadzony pytaniami Ramballe'a, powiedział nawet i to, co przedtem ukrywał: swą pozycję w świecie, a nawet wyznał mu swe nazwisko.

Najbardziej ze wszystkiego w opowiadaniu Pierre'a zaskoczyło kapitana to, że Pierre był bardzo bogaty, że miał w Moskwie dwa pałace, że wszystko porzucił i nie wyjechał z Moskwy, lecz pozostał w mieście ukrywając swój stan i nazwisko.

Już późną nocą obaj wyszli na ulicę. Noc była ciepła i widna. Na lewo od domu jaśniała luna pierwszego pożaru w Moskwie na Pietrowce. Na prawo tkwił wysoko młody sierp księżyca, po przeciwnej zaś stronie świeciła owa jasna kometa, która w duszy Pierre'a łączyła się z jego miłością. Przed bramą stali: Gierasim, kucharka i dwaj Francuzi. Rozległ się ich śmiech i słysząc było rozmowę w języku wzajemnie dla nich niezrozumiałym. Patrzyli na lunę widniejącą w mieście.

Nie było nic strasznego w tym niedużym dalekim pożarze w olbrzymim mieście.

Patrząc na wysokie rozgwieżdżone niebo, na księżyc, na kometa i na lunę, Pierre doznawał radosnego roztkliwienia. „Ach, jak dobrze, czegoż więcej trzeba?” – pomyślał. I nagle, kiedy sobie przypomniał swój zamiar, w głowie mu się zakręciło, zrobiło mu się słabo, oparł się więc o

²⁵⁰ A to dopiero!

²⁵¹ Miłość platoniczna, obłoki.

płot, żeby nie upaść.

Nie pożegnawszy się ze swym nowym przyjacielem Pierre niepewnym krokiem odszedł od bramy, wrócił do swego pokoju, położył się na kanapie i natychmiast usnął.

XXX

Na łunę pierwszego pożaru, który wybuchł 2 września, z różnych dróg i z różnymi uczuciami patrzyli mieszkańcy, uciekający i wyjeżdżający, i cofające się wojska.

Tej nocy tabor Rostowów stał w Mytiszcach, odległych o dwadzieścia wiorst od Moskwy, 1 września wyjechali tak późno, droga była tak zapchana pojazdami i wojskiem, zapomnieli tyle rzeczy, po które posyłano ludzi, że tej nocy postanowili zanocować o pięć wiorst za Moskwą. Nazajutrz obudzili się późno, znów było tyle postojów, że dojechali tylko do Wielkich Mytiszc. O dziesiątej Rostowowie i jadący z nimi ranni rozlokowali się w zagrodach i chałupach dużej wsi. Ludzie, stangreci Rostowów oraz ordynansi, usłużwszy państwu, powiecerzali, zadali koniom paszy i wyszli na ganek.

W sąsiedniej chacie leżał ranny adiutant Rajewskiego, miał strzaskaną dłoń, i straszny ból, jaki czuł, zmuszał go do żalosego, nieprzerwanego jęku, który strasznie rozbrzmiewał w jesiennej ciemności nocy. Pierwszą noc ów adiutant spędził w tym samym domu co i Rostowowie. Hrabina mówiła, że od jego jęków nie mogła zmrużyć oka, w Mytiszcach więc zatrzymała się w gorszej chałupie, byle tylko być dalej od ranego.

W ciemności nocy jeden z ludzi zauważył spoza wysokiego pudła karety, stojącej przed gankiem, jeszcze jedną niedużą łunę pożaru. Jedną łunę już dawno było widać i wszyscy wiedzieli, że to się palą Małe Mytiszcze, podpalone przez kozaków Mamonowa.

– Przecie to, bracia, już inny pożar – powiedział ordynans

Wszyscy zwrócili uwagę na łunę.

– Przecie powiadano, że kozacy Mamonowa podpalili Małe Mytiszcze.

– Oni! Ale to nie Mytiszcze, to dalej.

– Popatrz no, zupełnie jakby w Moskwie. Dwaj ludzie zeszli z ganku, poszli za karete i usiedli na stopniu.

– To bardziej na lewo! Przecie Mytiszcze są tu, a to całkiem w innej stronie.

Kilku ludzi przyłączyło się do nich.

– Widzisz, gore – powiedział jeden – to, panowie, w Moskwie pożar: albo na Suszczewskiej, albo na Rogoskiej. Nikt nie odpowiedział na tę uwagę. I dość długo ci ludzie patrzyli w milczeniu na daleki rozpalający się płomień nowego pożaru.

Staruszek kamerdyner hrabiego (jak go nazywano), Daniło Terenticz, zbliżył się do gromady i zawołał Miskę.

– Jeszcześ tego nie widział, obiboku... Hrabia zawoła, a tu nikogo nie ma; idź, sprzątnij ubrania.

– Alem ja tylko wybiegł po wodę – powiedział Miska.

– A wy, Daniło Terenticzu, jak myślicie, czy to w Moskwie łuna? – rzekł jeden z lokajów.

Daniło Terenticz nic nie odpowiedział i znów wszyscy długo milczeli. Łuna stawała się coraz większa i wznosiła się coraz wyżej.

– Boże, bądź miłościwi... Wiatr i susza... – znów odezwał się jakiś głos.

– Patrz no, jak się rozeszło. O Boże, aż kawki widać, Boże, bądź miłościw nam grzesznym!

- Na pewno ugaszą.
- Kto będzie gasił? – odezwał się głos Daniły Terenticza, dotąd milczącego. Jego głos był spokojny i powolny.
- Moskwa, bracie, to – powiedział – matka bielutka.²⁵² – głos mu się urwał i stary nagle zaszłochał. I wszyscy jak gdyby na to czekali, by pojąć sens, jaki miała dla nich widniejąca luna. Rozległy się westchnienia, słowa modlitwy i pochlipywania starego hrabiowskiego kamerdynera.

²⁵² Zapewne od ludowego określenia Moskwy: biatokamienna.

XXXI

Wróciwszy kamerdyner zameldował hrabiemu, że Moskwa się pali. Hrabia włożył szlafrok i wyszedł popatrzeć. Razem z nim wyszła Sonia, która jeszcze się nie rozebrała, i madame Schoss. Tylko Natasza i hrabina zostały w izbie. (Pieti już nie było z rodziną: ruszył naprzód za swym pułkiem udającym się do Troicy.)

Hrabina rozplakała się usłyszawszy o pożarze Moskwy. Natasza, blada, ze zneruchomiałymi oczami, siedziała na ławce pod ikonami (na tym samym miejscu, gdzie usiadła po przyjeździe), nie zwróciła nawet uwagi na słowa ojca. Przysłuchiwała się nie milknącemu jękowi adiutanta, który było słyhać z trzeciego domu.

– Ach, jakie to straszne! – rzekła Sonia wróciwszy z dworu zziębnięta i przestraszona. – Myślę, że cała Moskwa się spali, straszna łuna! Natasza, popatrz teraz, stąd, z okienka, widać – powiedziała do siostry, widocznie pragnąc czymś ją rozerwać. Lecz Natasza spojrziała na nią, jakby nie rozumiała, czego od niej żądano, i znów utkwiała oczy w róg pieca. Natasza znajdowała się w tym stanie odrętwienia od samego rana, od czasu kiedy Sonia, ku zdziwieniu i gniewowi hrabiny, uważała za konieczne – trudno pojąć, dlaczego – powiedzieć Nataszy o ranie księcia Andrzeja i o jego obecności w ich taborze. Hrabina rozgniewała się na Sonię, jak rzadko się gniewała. Sonia płakała, prosiła o przebaczenie i teraz, jakby chcąc okupić swą winę, nie przestawała troszczyć się o siostrę. – Popatrz, Natasza, jak strasznie się pali – powiedziała Sonia.

– Co się pali? – zapytała Natasza. – Aha, Moskwa. I jakby tylko dlatego, aby nie obrazić Soni odmową i pozbyć się jej, odwróciła głowę do okna i popatrzyła tak, że oczywiście nic zobaczyć nie mogła, i znów usiadła w dawnej pozycji.

– Przecież nic nie widziała?

– Widziałam, naprawdę – odpowiedziała głosem błagającym, by zostawiono ją w spokoju.

I dla hrabiny, i dla Soni było zrozumiałe, że ani Moskwa, ani pożar Moskwy, ani nic innego nie mogło mieć żadnego znaczenia dla Nataszy.

Hrabia znów poszedł za przepierzenie i położył się. Hrabina podeszła do Nataszy i wierzchem dłoni dotknęła jej głowy, jak to robiła, gdy córka była chora, potem dotknęła wargami jej czoła, jakby chciała sprawdzić, czy ma gorączkę, i pocałowała ją.

– Zziębłaś? Cała drzysz. Położyłabyś się – powiedziała.

– Położyć się? Tak, dobrze, położę się. Zaraz się położę – odpowiedziała Natasza.

Od chwili kiedy tego rana powiedziano Nataszy, że księżę Andrzej jest ciężko ranny i jedzie z nimi, tylko z początku dopytywała się, kiedy? jak? czy niebezpiecznie ranny? czy może się z nim widzieć?

Ale kiedy jej powiedziano, że nie może się z nim widzieć, że jest ranny ciężko, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, oczywiście, nie uwierzyła w to, a przekonawszy się, że cokolwiek by mówiła, będą jej odpowiadać jedno i to samo, przestała pytać i w ogóle mówić. Przez całą drogę siedziała nieruchomo w kącie karety, z szeroko otwartymi oczyma, które hrabina знаła dobrze i których wyrazu tak bardzo się lękała. Teraz Natasza siedziała tak samo nieruchomo na

ławce, na której usiadła. Że coś tam zamyślała, że coś postanawiała, a może już postanowiła, to hrabina wiedziała, ale nie wiedziała, co by to mogło być i tego się lękała, i to strasznie ją męczyło.

– Natasza, złotko, rozbierz się, połóż się na moim łóżku. (Tylko dla hrabiny posłano łóżko, m-me Schoss i obydwie panny musiały spać na podłodze na sianie.)

– Nie, mamu, położę się na podłodze – rzekła gniewnie Natasza, podeszła do okna i otworzyła je. Przez otwarte okno wyraźniej rozlegały się jęki adiutanta. Wysunęła głowę w wilgotne powietrze nocy i hrabina widziała, jak jej cienka szyja drżała od łkań i uderzała o ramę. Natasza wiedziała, że to nie księżę Andrzej jęczy. Wiedziała, że księżę Andrzej leży w tej samej zagrodzie, gdzie oni byli, w sąsiedniej izbie przez sień; ale ten straszny, nie milnący jęk przyprawił ją o łkanie. Hrabina wymieniła spojrzenie z Sonia.

– Połóż się, złotko, połóż, kochanie – rzekła hrabina dotykając lekko ramienia Nataszy. – No, połóżże się.

– Ach, prawda... Zaraz, zaraz się położę – powiedziała Natasza rozbierając się spieszenie i obrywając tasiemki u spódnicy. Zrzuciła suknię, włożyła kaftanik i podwinawszy nogi usiadła na pościeli rozłożonej na podłodze, a przerzuciwszy przez ramię niedługi, cienki warkocz, jęła go splatać. Cienkie, długie palce, ruchem nawykłym, szybko i zręcznie rozgarniały włosy i splatały warkocz. Głowa Nataszy z nawyku obracała się to w jedną, to w drugą stronę, ale oczy, nieprzytomnie rozwarte, patrzyły prosto, nieruchomo. Gdy toaleta wieczorna była ukończona, Natasza cicho osunęła się na prześcieradło, przykrywające siano, z brzoza, blisko drzwi.

– Natasza, połóż się w środku – rzekła Sonia.

– Ja tu – powiedziała Natasza. – Kładźcież się – dodała gniewnie. I zanurzyła twarz w poduszce.

Hrabina, m-me Schoss i Sonia rozebrały się spieszenie i położyły. Jedna nie zgaszona lampka paliła się w pokoju. Ale na dworze było widno od płonących o dwie wiorsty Małych Mytiszczy i huczały nocne krzyki ludzi w karczmie na skrzyżowaniu dróg, którą rozbili kozacy Mamonowa, i wciąż było słychać nie milnący jęk adiutanta.

Natasza długo się przysłuchiwała wewnętrznym i zewnętrznym dźwiękom dochodzącym do niej i nie ruszała się. Z początku słyszała modlitwę i westchnienia matki, trzeszczenie łóżka pod nią, znajome świszczące chrapanie m-me Schoss, cichy oddech Soni. Potem hrabina przywołała Nataszę. Natasza nie odpowiedziała jej.

– Zdaje się, mamu, że śpi – cicho rzekła Sonia. Po chwili milczenia hrabina znów zawołała, ale już nikt jej nie odpowiedział.

Wkrótce potem Natasza usłyszała równy oddech matki., Natasza nie ruszała się, choć jej mała bosa noga wysunęła się spod kołdry i ziębła na gołej podłodze.

Jakby ogłaszając zwycięstwo nad wszystkimi, w szparze odezwał się świerszcz. Gdzieś daleko zapiął kogut, odpowiedział mu bliżej drugi. W karczmie ucichły krzyki, rozlegały się tylko jęki adiutanta. Natasza uniosła się.

– Soniu, śpisz? Mamu? – wyszeptęła. Nikt nie odpowiedział. Natasza wstała powoli i ostrożnie, przeżegnała się i ostrożnie stąpnęła wąską i sprężystą bosą stopą na brudną, zimną podłogę. Deski skrzypnęły. Szybko przebijając nogami przebiegła jak kot kilka kroków i ujęła zimną klamkę drzwi.

Zdawało się jej, że coś ciężkiego, uderzając miarowo, stuka we wszystkie ściany izby: to było jej serce zamierające ze strachu, rozdzierane miłością i przerażeniem.

Uchyliła drzwi, przekroczyła próg i stąpnęła na wilgotną zimną polepę w sieni. Ogarnął ją orzeźwiający chłód. Bosą nogą dotknęła śpiącego człowieka, przeszła przez niego i otworzyła drzwi do izby, gdzie leżał księżę Andrzej. W tej izbie było ciemno. W rogu, w głębi, przy łóżku,

na którym coś leżało, stała na ławce świeca łożowa opłynięta dużym grzybem.

Natasza już rankiem, kiedy jej powiedziano o ranie i obecności księcia Andrzeja, zdecydowała, że musi go zobaczyć. Nie wiedziała, dlaczego tak powinno być, jednak wiedziała, że to widzenie będzie męczące, i tym bardziej była przeświadczona, że jest konieczne.

Przez cały dzień żyła tylko nadzieją, że w nocy go zobaczy. Lecz obecnie, kiedy nastąpiła ta chwila, ogarnęło ją przerażenie przed tym, co ujrzy. Czy był zeszepecony? Co z niego zostało? Czy jest taki, jak ów nie milknący jęk adiutanta? Tak, cały jest taki. W jej wyobraźni był uosobieniem tego przerażającego jęku. Gdy ujrzała w kącie niewyraźną masę, a jego podkurczone pod prześcieradłem kolana wzięła za ramiona, wyobraziła sobie jakieś straszne ciało i, przerażona, stanęła. Jednak niepohamowana siła pchała ją naprzód. Ostrożnie postawiła jeden krok, drugi i znalazła się na środku niedużej, zastawionej izby. W tej samej izbie na ławach od ikonami leżał drugi człowiek (był to Timochin), a na podłodze leżeli jeszcze jacyś dwaj ludzie (to byli lekarz i kamerdyner).

Kamerdyner uniósł się i coś szepnął. Timochin, czując ból w rannej nodze, nie spał i szeroko otwartymi oczami patrzył na niezwykle zjawienie się panienki w białej koszuli, kaftaniku i nocnym czepeczku. Senne i przestraszone słowa kamerdynera: „Czego pani, po co?” – kazały Nataszy czym prędzej podejść do tego, co leżało w kącie. Jakkolwiek to ciało było okropnie niepodobne do człowieka, powinna je zobaczyć. Minęła kamerdynera, natomiast grzyb świeczki spadł i wyraźnie ujrzała księcia Andrzeja leżącego z rękami wyciągniętymi na kołdrze, takiego, jakim go zawsze widziała.

Był taki sam jak zawsze; ale cera jego rozpalonej gorączką twarzy, błyszczące oczy utkwione w nią z zachwytem, a osobliwie delikatna, dziecięca szyja, wychylająca się z odwiniętego kołnierza koszuli, nadawały mu osobliwy, niewinny, dziecięcy wygląd, jakiego przecie nigdy nie widziała w księciu Andrzeju. Podeszła do niego i uklękła prędkim, gibkim, młodym ruchem.

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

XXXII

Minęło siedem dni od czasu, kiedy księżę Andrzej ocknął się w lazarecie na polu borodinskim. Przez cały ten czas był nieprzytomny. Stan gorączkowy i zapalenie kiszek, które zostały uszkodzone, zdaniem doktora jadącego z rannym, powinny go były wysłać na tamten świat. Ale siódmego dnia z zadowoleniem zjadł kęs chleba z herbatą, doktor zaś zauważył, że gorączka spadła. Rano księżę Andrzej wrócił do przytomności. W pierwszą noc po wyjeździe z Moskwy było dość ciepło, na noc pozostawiono więc księcia Andrzeja w kolasce, ale w Mytiszczech ranny sam zażądał, żeby go wyniesiono i dano mu herbaty. Ból, jaki mu sprawiło przenoszenie do izby, zmusił go do głośnego jęku i znów pozbawił go przytomności. Gdy go ułożono na łóżku polowym, długo leżał z zamkniętymi oczami, nieruchomo. Potem otworzył je i szepnął cicho: „A herbata?” Doktora zaskoczyła skoczyła ta pamięć o drobiazgach życiowych. Dotknął pulsu i, ku swemu zdziwieniu i niezadowoleniu, zauważył, że puls był lepszy. Doktor zauważył to ku swemu niezadowoleniu z tego względu, iż wiedział z doświadczenia, że księżę Andrzej żyć nie może, że jeśli nie umrze teraz, to umrze w jakiś czas później wśród większych cierpień. Razem z księciem Andrzejem wieziono majora z jego pułku, Timochina, z czerwonym noskiem, rannego w nogę również w bitwie pod Borodinem, który przyłączył się do nich w Moskwie. Jechał z nimi doktor, kamerdyner księcia, jego stangret i dwaj ordynansi.

Księżciu Andrzejowi dano herbaty. Pił chciwie, rozgorączkowanymi oczami patrzył przed siebie na drzwi, jak gdyby usiłował coś zrozumieć i coś sobie przypomnieć.

– Już nie chcę. Timochin tutaj? – zapytał. Timochin podpełzł do niego po ławce.

– Jestem tu, wasza książęca mość.

– Jak rana?

– Moja? Niczego. Ale jak księżę? – Księżę Andrzej znów się zamyślił, jakby sobie coś przypomniiał.

– Czy nie można by dostać książki? – powiedział.

– Jakiej książki?

– Ewangelii! Ja nie mam.

Doktor obiecał się postarać i jął wypytywać księcia, co czuje. Księżę Andrzej niechętnie, lecz rozsądnie odpowiadał doktorowi na wszystkie pytania i potem powiedział, że należałoby podłożyć mu wałek, bo tak jest niewygodnie i bardzo boli. Doktor i kamerdyner podnieśli płaszcz, którym był nakryty, i krzywiąc się od ciężkiego zapachu zgniłego mięsa unoszącego się z rany, jeli oglądać to straszne miejsce. Doktor okazał się z czegoś niezadowolony, coś tam zrobił inaczej, obrócił rannego tak, że ten znów jęknął i podczas przewracania znów stracił z bólu przytomność, i zaczął majaczyć. Ciągłe mówił, by jak najprędzej postarano mu się o tę książkę i podłożono ją.

– I cóż to wam szkodzi! – mówił. – Ja jej nie mam, postarajcie się, bardzo proszę, podłóżcie na chwilkę – mówił żalonym głosem.

Doktor wyszedł do sieni umyć ręce.

– Ależ jacy niegodziwi – mówił doktor do kamerdynera, który mu lał wodę na ręce. – Chwilę tylko nie dopilnowałem. Przecie to taki ból, dziwię się, jak on to znosi.

– Chryste Panie, zdaje się, żeśmy podłożyli! – mówił kamerdyner.

Po raz pierwszy książę Andrzej zrozumiał, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje, przypomniał sobie, że jest ranny i że kiedy kolaska zatrzymała się w Mytiszczach, poprosił o zabranie go do izby. Zamroczony bólem, ocknął się po raz drugi w izbie, kiedy pił herbatę, i wtedy znów – powtórzywszy sobie w wyobraźni wszystko, co się z nim działo, najdokładniej przypomniał sobie chwilę w lazarecie, gdy na widok cierpień człowieka nienawistnego przyszedł mu te nowe myśli, obiecujące szczęście. I owe myśli, choć niewyraźne i nieokreślone, znów opanowały jego duszę. Przypomniał sobie, że teraz ma nowe szczęście i że to szczęście miało coś wspólnego z Ewangelią. Jednakowoż zła pozycja, w jakiej znalazła się jego rana, i nowe obracanie go znów zmąciły jego myśli, więc po raz trzeci obudził się do życia już w zupełnej ciszy nocy. Wszyscy dokoła spali. Przez sień ćwierkał świerszcz, na ulicy ktoś krzychał i śpiewał, na stole szeleściły karaluchy, duża, gruba mucha trzepotała się po stole, po obrazach i koło ścian, i u jego wezłowania, i koło świeczki łojowej ze stopionym dużym grzybem, która stała obok niego.

Jego dusza nie znajdowała się w zwyczajnym stanie. Człowiek zdrowy myśli zazwyczaj i wspomina jednocześnie o niezliczonej ilości przedmiotów, ma jednakowoż władzę i siłę, by – wybrawszy pewną liczbę myśli lub zjawisk – na tej liczbie zjawisk skupić całą uwagę. Człowiek zdrowy w chwili najgłębszego rozmyślenia odrywa się, by powiedzieć uprzejme słowo człowiekowi wchodzącemu, i znów wraca do swych myśli. Pod tym względem dusza księcia Andrzeja nie była w normalnym stanie. Wszystkie jego siły duchowe były czynniejsze, jaśniejsze niż kiedykolwiek, jednak działały poza obrębem jego woli. Opanowywały go jednocześnie nasprzeczniesze myśli i wyobrażenia. Czasami myśl jego zaczynała nagle pracować, i to z taką siłą, z taką jasnością i głębią, z jaką nigdy nie pracowała, gdy był zdrow, lecz raptem, wśród pracy, urywała się, zastępowało ją jakieś niespodziewane wyobrażenie i nie było siły, by do niej powrócić.

„Tak, odłoniło się przede mną nowe szczęście, które człowiekowi nie może być odjęte – myślał leżąc w na pół ciemnej izbie i patrząc przed siebie szeroko rozwartymi, nieruchomymi oczyma. – Szczęście znajdujące się poza obrębem materialnym sił, poza obrębem zewnętrznych materialnych wpływów na człowieka, szczęście samej duszy, szczęście miłości! Zrozumieć je może każdy człowiek, ale uznać je i nakazać może tylko sam Bóg. Ale jakże Bóg nakazał to prawo? Dlaczego Syn?...” I nagle bieg myśli urwał się, a książę Andrzej usłyszał (nie wiedząc, czy w malignie, czy też na jawie) jakiś cichy, szepczący głos, powtarzający niemilknąco, do taktu: „I piti-piti-piti” i znów „i ti-ti”, i znów „i piti-piti-piti” i „ti-ti”. A jednocześnie w harmonii z tą szepczącą muzyką książę Andrzej czuł, że nad jego twarzą, nad samym jej środkiem wznosi się jakiś dziwny powietrzny budynek z cienkich igiełek czy trzasek. Czuł (choć to sprawiało mu trudność), że musi starannie zachowywać równowagę, aby wznoszący się budynek nie zawalił się; a jednak walił się i znów powoli wznosił przy dźwiękach miarowo szepczącej muzyki. „Ciągnie się, ciągnie! rozciąga się i dalej ciągnie” – mówił do siebie książę Andrzej. Przysłuchując się szepceniom i odczuwając to ciągnięcie się i wznoszenie budynku z igiełek, książę Andrzej jednocześnie widział chwilami i czerwony krąg płomienia świeczek i słyszał szelest karaluchów i szmer muchy obijającej się na poduszce i po jego twarzy. I za każdym razem, gdy mucha dotykała jego twarzy, wywoływała uczucie klucia; a jednocześnie zadziwiał go, że mucha, obijając się w samym obwodzie budowli wznoszącej się na jego twarzy, nie burzyła jej. Ale jeszcze poza tym było coś ważnego. Było to coś białego przy drzwiach, był to posąg sfinksa, który również go dławił.

„A może to moja koszula na stole – myślał książę Andrzej – a to moje nogi, a to drzwi, ale czemu tak ciągle ciągnie się i wyłania i piti-piti-piti, i ti-ti, i piti-piti-piti... Dosyć, przestań, proszę” – książę Andrzej z wysiłkiem prosił kogoś. I myśl, i czucie znów wypływały z nagła z niezwykłą wyrazistością i siłą.

„Tak, miłość (myślał znów z doskonałą jasnością), ale nie ta miłość, która kocha za cośkolwiek, dla czegokolwiek i nie wiadomo czemu, ale ta miłość, którą odczułem po raz pierwszy, gdy umierając ujrzałem swego wroga, a jednak pokochałem go. Doznałem tego uczucia miłości, która jest samą istotą duszy i która nie potrzebuje przedmiotu. I teraz doznaję tego błędnego uczucia. Kochać swych bliźnich, kochać swych wrogów. Wszystko kochać – to kochać Boga we wszystkich Jego przejawach. Człowieka drogiego można kochać miłością ludzką, ale tylko wroga można kochać miłością boską. I właśnie dlatego doznałem takiej radości, gdy poczułem, że kocham tego człowieka. Co się z nim dzieje? Czy żyje?... Kochając miłością ludzką, można od miłości przejść do nienawiści, ale miłość boska nie może się zmienić. Nic jej nie może unicestwić, nic, nawet śmierć. Ona jest istotą duszy. A jakże wielu ludzi nienawidziłem w swym życiu. A ze wszystkich ludzi nikogo bardziej niż jej nie kochałem, nikogo bardziej nie nienawidziłem.” I żywo wyobraził sobie Nataszę, nie tak, jak sobie ją wyobrażał przedtem, jedynie z jej powabem, tak dlań radosnym, lecz po raz pierwszy wyobraził sobie jej duszę. I zrozumiał jej uczucie, cierpienia, wstyd, skruchę. Dopiero teraz zrozumiał okrucieństwo swej odmowy, widział okrucieństwo swego z nią zerwania. „Gdybym mógł zobaczyć ją choć jeszcze raz. Jeden raz, by patrząc w te oczy powiedzieć...”

– I piti-piti-pi-ti, i ti-ti, i piti-piti – bum, uderzyła mucha... I jego uwaga od razu przeniosła się w inny świat rzeczywistości i majaków, w którym się działo coś osobliwego. W tym świecie wciąż się wznosiła jakaś budowla i nie zawałała się, coś się wciąż ciągnęło, tak samo płonęła świeca z czerwonym kręgiem, ta sama koszula-sfinks leżała przy drzwiach, mimo to wszystko – coś skrzypnęło, powiało chłodnym wiatrem i nowy biały sfinks, stojący, zjawił się przed drzwiami. I głowa tego sfinksa miała bladą twarz i błyszczące oczy tej właśnie Nataszy, o której teraz myślał.

„Och, jakie ciężkie jest to nieustanne majaczenie!” – pomyślał książę Andrzej usiłując wygnać tę twarz ze swej wyobraźni. Ale ta twarz stała przed nim z całą siłą rzeczywistości i ta twarz zbliżała się. Książę Andrzej chciał wrócić do poprzedniego świata czystej myśli, ale nie mógł, majaczenie wciągało go w swój krąg. Cichy, szepczący głos ciągnął swe miarowe gaworzenie, coś dławilo, ciągnęło i dziwna postać stała przed nim. Książę Andrzej zebrał wszystkie siły, aby oprzytomnieć, poruszył się, w uszach nagle mu zadzwoniło, w oczach zaćmiło i niby człowiek, który się rzucił w wodę, stracił przytomność. Kiedy się ocknął, Natasza, ta właśnie żywa Natasza, którą pragnął najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie kochać tą nową, czystą, boską miłością, jaka mu się teraz objawiła, klęczała przed nim. Zrozumiał, że to była żywa, prawdziwa Natasza, więc się nie zdziwił, zaznajac spokojnej radości. Natasza, klęcząc, z przerażeniem, lecz jak gdyby przykuta (nie mogła się ruszyć), patrzyła na niego i powstrzymywała łkanie. Twarz jej była blada i nieruchoma. Tylko w dolnej części twarzy coś drgało.

Książę Andrzej westchnął z ulgą, uśmiechając się, i wyciągnął rękę.

– To pani? – powiedział. – Jakie szczęście! Natasza ruchem szybkim, lecz ostrożnie przysunęła się do niego na kolanach, ujęła ostrożnie jego rękę, pochyliła się nad nią i zaczęła ją całować ledwie dotykając jej ustami.

– Proszę mi przebaczyć! – rzekła szeptem podniósłszy głowę i spoglądając na niego. – Proszę przebaczyć!

– Kocham panią – rzekł książę Andrzej.

– Proszę przebaczyć...

– Co przebaczyć? – zapytał książę Andrzej.

– Proszę mi przebaczyć to, com zro...biła – rzekła Natasza ledwie dosłyszalnym, urywanym szeptem i ledwie dotykając wargami jęła jeszcze częściej całować jego rękę.

– Kocham cię bardziej, lepiej niż przedtem – rzekł książę Andrzej i podniósł ręką jej twarz, aby móc patrzeć jej w oczy.

Te oczy, pełne łez szczęścia, patrzyły na niego nieśmiało, współczująco, radośnie i z miłością. Chuda i blada twarz Nataszy z obrzmiałymi wargami była więcej niż nieładna: była straszna. Ale książę Andrzej nie widział tej twarzy, widział promienne oczy, a one były prześliczne. Z tyłu rozległy się głosy.

Kamerdyner Piotr, który teraz całkiem ocknął się ze snu, obudził doktora. Timochin, który z powodu bólu w nodze przez cały czas nie spał, już dawno widział, co się dzieje, i starannie nakrywając prześcieradłem swe nie odziane ciało, kulił się na ławce.

– Co to jest? – rzekł doktor uniósłszy się na swym posłaniu. – Łaskawa pani zechce wyjść.

W tej chwili do drzwi zastukała dziewczyna wysłana przez hrabinę, która się spostrzegła, że córki nie ma.

Natasza niby lunatyczka, którą obudzono w połowie snu, wyszła z pokoju, a kiedy wróciła do swej izby, szlochając rzuciła się na posłanie. Od tego dnia, przez cały czas dalszej podróży Rostowów, na wszystkich postojach i noclegach Natasza nie odstępowała rannego Bołkońskiego, doktor zaś musiał przyznać, że się nie spodziewał po niej ani takiej stałości, ani takiej umiejętności pielęgnowania rannego.

Jakkolwiek hrabinie straszna wydawała się myśl, że książę Andrzej mógł (co było bardzo prawdopodobne, sądząc ze słów doktora) umrzeć w drodze, na rękach jej córki, jednak nie mogła sprzeciwiać się Nataszy. Choć teraz, ze względu na obecne zbliżenie między rannym księciem Andrzejem a Nataszą, przychodziło jej do głowy, że w wypadku wyzdrowienia dawne stosunki między narzeczonymi odżyją, nikt, a tym bardziej Natasza i książę Andrzej nie mówili o tym: nie rozstrzygnięta kwestia życia i śmierci, wisząca nie tylko nad księciem Andrzejem, ale i nad całą Rosją, przesłaniała wszystkie projekty.

XXXIII

3 września Pierre obudził się późno. Bolała go głowa, ubranie, w którym spał nie rozbierając się, uciskało ciało, w duszy miał mętną świadomość czegoś sromotnego, co się stało wczoraj; tą sromotą była wczorajsza rozmowa z kapitanem Ramballe'em.

Zegar wskazywał jedenastą, ale powietrze wydawało się osobliwie mroźne. Pierre wstał, przetarł oczy, a gdy zobaczył pistolet z rzeźbioną kolbą, który Gierasim znów położył na biurku, przypomniał sobie, gdzie jest i co ma dzisiaj do zrobienia.

„Czy aby się nie spóźniłem? – pomyślał Pierre. – Chyba nie, on prawdopodobnie urządzi wjazd do Moskwy nie wcześniej niż o dwunastą.” Pierre nie pozwalał sobie zastanawiać się nad tym, co go czeka, lecz śpieszył do tym szybszego działania. Poprawił na sobie ubranie, wziął pistolet i już zamierzał wyjść. I wtedy po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że nie wie, gdzie trzymać broń, bo przecież idąc ulicą nie będzie niósł jej w ręce. Nawet i pod szerokim kaftanem trudno było ukryć duży pistolet. Nie można go było umieścić ani za pasem, ani pod pachą, aby był niewidoczny. Poza tym pistolet był wystrzelony, a Pierre nie zdążył go nabić. „Wszystko jedno, sztylet” – powiedział sobie Pierre, choć nieraz zastanawiając się nad wykonaniem swego zamiaru stwierdzał, że główny błąd studenta w roku 1809 polegał na tym, że student chciał zabić Napoleona sztyletem. Ale jak gdyby główny cel Pierre'a polegał nie na tym, by wykonać rzecz zamierzoną, lecz na tym, by udowodnić sobie, iż nie odstępował od swego zamiaru i robi wszystko, aby go spełnić. Pierre wziął z pośpiechem tępy, wyszczerbiony sztylet w zielonej pochwie, który był kupił wraz z pistoletem koło Sucharowej baszty, i schował go pod kamizelkę.

Przepasał kaftan, nasunął czapkę i starając się nie robić hałasu i nie spotkać się z kapitanem, przeszedł przez korytarz i wyszedł na ulicę.

Pożar, na który wczoraj wieczorem patrzył tak obojętnie, w ciągu nocy znacznie się zwiększył... Moskwa paliła się już w różnych stronach. Płonęły jednocześnie i Hale Karetowe, Zamoskworeczje, Hale Targowe, Powarska, barki na rzece Moskwie i targ drzewny przy moście Dorogomiłowskim.

Droga Pierre'a prowadziła zaułkami do Powarskiej, a stamtąd do Mikoły Objawionego, na Arbat, gdzie w swej wyobraźni dawno już oznaczył miejsce, na którym powinien dokonać swego czynu. W większości domów bramy i okiennice były zamknięte. Ulice i zaułki były puste. W powietrzu pachniało spalenizną i dymem. Z rzadka spotykało się Rosjan z twarzami niespokojnymi i zalęknionymi i Francuzów wyglądających nie po miejsku, lecz po obozowemu, idących środkiem ulicy. I jedni, i drudzy ze zdziwieniem patrzyli na Pierre'a. Niezależnie od wysokiego wzrostu i otyłości, niezależnie od dziwnie ponurego, posępnego i męczeńskiego wyrazu jego twarzy i całej postaci, Rosjanie przyglądali się Pierre'owi, gdyż nie rozumieli, do jakiego stanu należy ten człowiek. Francuzi ze zdziwieniem wodzili za nim oczami szczególnie dlatego, że Pierre, przeciwnie niż inni Rosjanie, którzy patrzyli na Francuzów ze strachem i ciekawością, wcale nie zwracał na nich uwagi. Przy bramie jednego domu trzech Francuzi, którzy tłumaczyli coś Rosjanom nie mogącym ich zrozumieć, zatrzymali Pierre'a i zapytali, czy nie

umie po francusku?

Pierre przecząco pokręcił głową i poszedł dalej. W drugim zaułku krzyknął na niego wartownik stojący obok zielonej skrzyni, lecz Pierre dopiero na powtórny groźny okrzyk i dźwięk karabinu zrozumiał, że powinien być pójść drugą stroną ulicy. Nic nie słyszał dokoła siebie i nic nie widział. Niósł w sobie swój zamiar z pośpiechem i przerażeniem, jak coś strasznego i dlań obcego, bojąc się – nauczony doświadczeniem minionej nocy – by w jakiś sposób go nie stracić. Ale nie sądzone było Pierre'owi dojść w tym nastroju do owego miejsca, do którego zmierzał. Poza tym, gdyby go nawet nic nie zatrzymywało w drodze, nie mógłby wykonać swego zamiaru już choćby dlatego, że Napoleon przeszło cztery godziny temu przejechał z przedmieścia Dorogomiłowskiego przez Arbat na Kreml i teraz w jak najbardziej ponurym usposobieniu siedział w cesarskim gabinecie kremłowskiego pałacu i wydawał szczegółowe rozkazy w sprawie kroków, które niezwłocznie należało podjąć w celu ugaznienia pożaru, przeciwdziałania maruderstwu i uspokojenia mieszkańców. Lecz Pierre tego nie wiedział, pogrążony całkowicie w tym, co miało nastąpić, męczył się, jak męczą się ludzie podejmujący z uporem sprawę niemożliwą – nie ze względu na trudności, lecz na sprzeczność z ich naturą; męczył się obawą, że w decydującej chwili osłabnie i wskutek tego straci dla siebie szacunek. Choć nic nie widział i nie słyszał dokoła, instynktem odnajdywał drogę i szedł pewnie zaułkami, które wyprowadziły go na Powarską.

W miarę jak Pierre zbliżał się do Powarskiej, dym stawał się coraz silniejszy i robiło się ciepło od ognia pożaru. Z rzadka spod dachów wzbijały się języki ognia. Na ulicach coraz więcej spotykało się ludzi, a ludzie ci byli jeszcze bardziej zatrwożeni. Ale choć Pierre już czuł, że dokoła dzieje się coś niezwykłego, nie zdawał sobie sprawy, że zbliża się do pożaru. Idąc ścieżką przez duży nie zabudowany plac, przylegający jedną stroną do Powarskiej, drugą aż do ogrodów przy domu księcia Gruzińskiego, Pierre usłyszał nagle tuż koło siebie rozpaczliwy płacz kobiety. Przystanął, jakby się zbudził ze snu, i podniósł głowę.

W bok od ścieżki, na uschniętej zakurzonej trawie, leżał zwalony na kupę dobytek: pierzyny, samowar, ikony i kufry. Na ziemi obok kufrów siedziała niemłoda, chuda kobieta z długimi, wystającymi górnymi zębami, ubrana w czarną salopę i czepek. Kiwając się i coś pogadując kobieta żałośnie płakała. Dwie dziewczynki, od dziesięciu do dwunastu lat, ubrane w brudne, króciutkie sukienki i salopki, patrzyły na matkę z wyrazem zdziwienia na bladych, przestraszonych twarzach. Młodszy chłopiec, siedmioletni, w czujce i cudzym wielkim kaszkiecie, płakał na rękach starej niańki. Bosa, brudna służąca siedziała na kufrze i rozpuściwszy jasny warkocz wyrywała opalone włosy i wachała je. Mąż, niewysoki, pochylony mężczyzna w mundurowym fraku, z bokobrodami w kształcie kótek i włosami gładko przyczesanymi na skroniach, widocznymi spod równo włożonego kaszkietu, z nieruchomą twarzą rozsuwał kufry postawione jeden na drugim i wyciągał spod nich jakąś odzież.

Kiedy kobieta ujrzała Pierre'a, niemal rzuciła mu się do nóg.

– Ojczulku rodzony, prawosławny chrześcijaninie, ratuj, pomóż, kochany!... niech ktoś pomoże – mówiła wśród łkań. – Dziewczynkę!... Córkę!... Zostawili moją najmłodszą córkę!... Spaliła się! O-o-o! po tom cię hołubi... O-o-o!

– Dosyć, Mario Nikołajewno – cichym głosem zwrócił się mąż do żony, widocznie tylko dlatego, by się usprawiedliwić przed obcym. – Siostrzyczka pewno ją wyniosła, gdzież by miała być! – dodał.

– Bałwanie, łotrze! – krzyknęła kobieta ze złością i nagle przestała płakać. – Serca nie masz, własnego dziecka d nie żal. Inny by z ognia wydobył. To bałwan, nie człowiek, nie ojciec. Jest pan człowiekiem szlachetnym – pochlipując mówiła szybko do Pierre'a. – Zapaliło się obok, przerzuciło się do nas. Służąca krzyknęła: „Gore!” Rzuciliśmy się do ratowania. Wyskoczyliśmy

w tym, cośmy mieli na sobie... Tyleśmy unieśli... Łaskę boską i wyprawową pośdeł, a wszystko inne przepadło. Patrę na dzieci, Katieńki nie ma. O-o-o! O Boże!... – i znów się rozszlochała. – Spaliło się moje dzieciątko! spaliło!

– Ale gdzie ona została, gdzie? – zapytał Pierre. Z wyrazu jego ożywiającej się twarzy kobieta zrozumiała, że ten człowiek mógł jej pomóc.

– Ojczulku! Ojczu! – krzyknęła obejmując go za nogi. – Dobroczyńco, choć ty uspokój moje serce... Aniska, idź, przebrzydła, prowadź! – krzyknęła na służącą, gniewnie rozdziawiając usta i tym ruchem jeszcze bardziej pokazując swe długie zęby.

– Prowadź, prowadź, ja... ja... zrobię – spiesznie powiedział Pierre urywanym głosem.

Bрудna dziewczka wylazła zza kufra, uporządkowała warkocz, westchnęła i bosymi nogami poszła ścieżką naprzód. Pierre jak gdyby ocknął się nagle do życia po ciężkim omdleniu. Wyżej podniósł głowę, oczy zajaśniały blaskiem życia, szybkimi krokami szedł za dziewczką, przegonił ją i wyszedł na Powarską. Cała ulica była przesłonięta chmurą czarnego dymu. Z tej chmury wysuwały się gdzieniegdzie języki płomieni. Wielka ciżba ludzi stłoczyła się przed pożarem. Na środku ulicy stał generał francuski i mówił coś do otaczających go ludzi. Pierre, prowadzony przez dziewczkę, zbliżył się do miejsca, gdzie stał generał; zatrzymali go francuscy żołnierze.

– *On ne passe pas!*²⁵³ – krzyknął do niego głos.

Tędy, wujaszku – krzyknęła dziewczka – pójdziemy zaułkiem przez podwórze Nikulinów.

Pierre zawrócił i poszedł, od czasu do czasu biegnąc skokami, aby za nią nadążyć. Dziewka przebiegła przez ulicę, skręciła na lewo w zaułek i, minawszy trzy domy, skręciła do bramy na prawo.

– O, tu zaraz – powiedziała dziewczka, przebiegła przez podwórze, otworzyła furtkę w parkanie z desek i zatrzymała się. Pokazała Pierre'owi niedużą drewnianą oficynę, która paliła się jasnym płomieniem, aż żar bił od niej. Jedna strona oficyny zawałiła się, druga płonęła i jasny płomień wydobywał się z otworów okiennych i spod dachu.

Kiedy Pierre wszedł w furtkę, owionął go żar, więc mimo woli zatrzymał się.

Który, który to wasz dom? – zapytał.

– O-o-och! – zawyla dziewczka pokazując na oficynę. – To tu, tu było nasze pomieszkowanie. Spaliłaś się, nasz skarbie, Katieńko, panienko moja śliczna, o-och! – zawodziła Aniska na widok pożaru, czując potrzebę wypowiedzenia swych uczuć.

Pierre przecisnął się do oficyny, ale żar był tak wielki, że mimo woli obszedł z daleka oficynę i znalazł się przy dużym domu, który palił się dopiero z jednej strony, od dachu, i przy którym roił się tłum Francuzów. Z początku Pierre nie rozumiał, co robili ci Francuzi, którzy coś dźwigali, ale zobaczywszy przed sobą Francuza bijącego chłopca tępym tasakiem i wyrwijącego mu lisią szubę, pojął mętnie, że grabią, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tym.

Odgłosy trzasku i huku walących się ścian i sufitów, świstu i syku płomieni, i ożywionych okrzyków ludzi, widok kołyszających się gęstych, czarnych chmur dymu – to kłębiących się, to wzbijających – z błyszczącymi iskrami, tu i ówdzie gęstego, podobnego do snopów, tu i ówdzie łuskowato złotego, wspinającego się po ścianach płomienia, wrażenie gorąca i dymu oraz szybkość ruchu – wszystko to działało na Pierre'a podniecająco, jak zazwyczaj działają pożary. Ów wpływ na Pierre'a był szczególnie silny, bo Pierre nagle na widok tego pożaru poczuł się uwolniony od ciężących mu myśli. Poczul się młody, wesoły, zręczny i stanowczy. Obiegł oficynkę od strony domu i już chciał wbiec do tej części, która jeszcze stała, gdy tuż nad jego głową rozległ się krzyk kilku głosów, a zaraz potem trzask i odgłos czegoś ciężkiego, co upadło obok niego.

²⁵³ Nie ma przejścia!

Pierre obejrzał się i w oknach domu ujrzał Francuzów wyrzucających szufladę komody pełną jakichś metalowych przedmiotów. Inni żołnierze francuscy, którzy stali na dole, podeszli do szuflady.

– *Eh, bien, qu'est-ce qu'il veut celui-la?*²⁵⁴ – krzyknął na Pierre'a jeden z Francuzów.

– *Un enfant dans cette maison. N'avesi-vous pas vu un enfant?*²⁵⁵ – zapytał Pierre.

– *Tiens, qu'est-ce qu'il chante celui-la. Va te promener*²⁵⁶ – rozległy się głosy, a jeden z żołnierzy, widocznie bojąc się, by Pierre nie zechciał odbierać im sreber i brązów znajdujących się w szufladzie, ruszył na niego groźnie.

– *Un enfant?* – krzyknął Francuz na górze. – *J'ai en-tendu piailler quelque chose au jardin. Peut-etre c'est son mou-tard au bonhomme. Faut etre humain, voyez-vous...*²⁵⁷

– *Ou est-il? Ou est-il?*²⁵⁸ – dopytywał się Pierre.

– *Par ici! Par ici!* – krzyknął na niego Francuz z okna pokazując na ogród za domem. – *Attendez, je vais descendre.* 274

Istotnie, po chwili z okna na parterze wyskoczył Francuz, czarnooki chłopak z jakąś plamą na policzku, w samej tylko koszuli, i poklepawszy Pierre'a po ramieniu pobiegł z nim do ogrodu. – *Depechez vous, vous autres* – krzyknął do kolegów – *commence a faire chaud.*²⁵⁹

Wybiegłszy za dom na dróżkę wysypaną piaskiem, Francuz pociągnął Pierre'a za rękę i pokazał mu klomb. Pod ławką leżała trzyletnia dziewczynka w różowej sukience.

– *Voila votre moutard. Ah, wie petite, tant mienx* – powiedział Francuz. – *Au revoir, mañ gros. Faut etre humain. Nów sommes tous mortels, voyez-vous*²⁶⁰ – i Francuz z plamą na policzku pobiegł z powrotem do swych kolegów.

Pierre, zasapany z radości, pobiegł do dziewczynki i chciał ją wziąć na ręce. Ale dziewczynka, chora na skrofuły, podobna do matki i niemila z wyglądu, ujrawszy obcego człowieka krzyknęła i zaczęła uciekać. Pierre złapał ją i wziął na ręce; zaskowyczała rozpaczliwym, złym głosem i jęła swymi malutkimi rączkami odrywać ręce Pierre'a i gryźć je zaślinionymi ustami. Pierre'a ogarnęło uczucie strachu i obrzydzenia, jakiego doznawał przy dotknięciu jakiegoś małego zwierzątka. Zadał sobie jednak wysiłek, by nie rzucić dziecka, i pobiegł z nim z powrotem do dużego domu. Ale już nie można było tędy przejść, dziewczki Aniski już nie było i Pierre, z uczuciem litości i wstrętu, jak można najczulej przytulał do siebie rozpaczliwie pochlipującą i mokrą dziewczynkę i biegł przez ogród, by znaleźć inne przejście.

²⁵⁴ A ten czego chce?

²⁵⁵ Dziecko w tym domu. Nie widzieliście dziecka?

²⁵⁶ A ten co tu wygaduje? Idź do diabła.

²⁵⁷ Dziecko?... Słyszałem, że coś tam w ogrodzie piszczało. Może to jego dzieciak. Przecie trzeba być ludzkim...

²⁵⁸ Gdzie ono? Gdzie ono?

²⁵⁹ A wy tam śpieszcie się... zaczyna się robić gorąco²⁷⁵

²⁶⁰ Oto pański smyk. Ach, dziewczuszka, tym lepiej... Do widzenia, tłuściochu. Trzeba być ludzkim. Bo to, widzisz pan, wszyscyśmy śmiertelni²⁷⁶

XXXIV

Kiedy Pierre, przebiegłszy podwórza i zaułki, znalazł się ze swym ciężarem w ogrodzie Gruzińskiego, na rogu Powarskiej, w pierwszej chwili nie poznał tego miejsca, z którego wyszedł na poszukiwanie dziecka: tak było zatłoczone ludźmi i wyciągniętym z domów dobytkiem. Oprócz rodzin rosyjskich ze swym mieniem, ratujących się tutaj przed pożarem, znajdowało się kilku żołnierzy francuskich w różnej odzieży. Pierre nie zwrócił na nich uwagi. Śpieszył się, by znaleźć rodzinę urzędnika i oddać matce córkę, a potem iść, by jeszcze kogoś ocalić. Pierre'owi zdawało się, że jeszcze wiele musi zrobić, i to jak najprędzej. Rozgrzany gorącem i biegiem, Pierre jeszcze silniej doznawał w tej chwili uczucia młodości, ożywienia i zdecydowania, jakie go ogarnęło, gdy biegł ratować dziecko. Dziewczynka teraz ucichła i trzymając się rączkami kaftana Pierre'a siedziała na jego ręce i niby dzikie zwierzątko rozglądała się dokoła. Pierre spoglądał na nią od czasu do czasu i uśmiechał się lekko. Wydawało mu się, że w tej twarzyczce wystraszonej i chorobliwej widzi coś wzruszająco niewinnego. Na dawnym miejscu już nie było ani urzędnika, ani jego żony. Pierre szybkimi krokami chodził wśród ludzi, przyglądał się różnym twarzom, które mu się nasuwały. Mimo woli zauważył rodzinę gruzińską czy może ormiańską, składającą się z pięknego starego człowieka o wschodnich rysach, ubranego w nowy pokryty kozuch i nowe buty, oraz ze staruszki również o wschodnich rysach i z młodej kobiety. Ta bardzo młoda kobieta z wyrazistymi, łukowato nakreślonymi czarnymi brwiami, z podłużną, piękną, o niezwykle delikatnym rumieńcu twarzą, bez żadnego wyrazu, wydała się Pierre'owi szczytem wschodniej urody. W tłumie na placu, wśród rozrzuconych gratów, w swej bogatej atlasowej salopie i jasnofioletowej chusteczce na głowie, przypominała delikatną roślinę cieplarnianą wyrzuconą na śnieg. Siedziała na tobołkach trochę za staruszką i patrzyła w ziemię nieruchomymi, dużymi, czarnymi, podłużnymi oczyma z długimi rzęsami. Widocznie wiedziała o swej urodzie i lękała się o nią. Ta twarz zaskoczyła Pierre'a, toteż idąc pośpiesznie wzdłuż parkanu obejrzał się kilkakrotnie. Gdy doszedł do parkanu i mimo to nie znalazł ludzi, których szukał, przystanął i zaczął się rozglądać.

Postać Pierre'a z dzieckiem na ręku teraz bardziej niż przedtem zwracała uwagę, toteż wokół niego zebrało się kilkoro Rosjan, mężczyzn i kobiet.

– Czyś zgubił kogo, miły człeczko? Chybaście ze szlachty, co? Czyje to dziecko? – dopytywano się.

Pierre odpowiadał, że dziecko należy do kobiety w czarnej salopie, która siedziała z dziećmi w tym miejscu, i pytał, czy ktoś nie wie, gdzie się przeniosła.

– Przecie to chyba Anfierowowie – powiedział stary diakon zwracając się do dziobatej kobiety. – Boże, bądź miłościw Boże, bądź miłościw – z przyzwyczajenia dodał basem.

– Gdzie tam Anfierowowie! – rzekła kobieta. – Anfierowowie z samego rana wyjechali. A to będzie albo Marii Nikołajewny, albo Iwanowów.

– On powiada, że kobieta, a przecie Maria Nikołajewna to pani – rzekł sługa dworski.

– Chyba ją znacie, zęby ma długie, chuda – mówił Pierre.

– No właśnie, Maria Nikołajewna. Uciekli do ogrodu, jak tylko te wilki tu wpadły – rzekła niewiasta wskazując francuskich żołnierzy.

– Boże, bądź miłosierny – znów dodał diakon.

– Tam idźcie, tam oni są. To właśnie ona. A tak się zamartwiała, płakała – znów powiedziała kobieta. – To właśnie ona. Tędy.

Ale Pierre nie słuchał kobiet. Już od kilku sekund nie spuszczać oczu patrzył na to, co się działo o kilka kroków od niego. Patrzył na rodzinę ormiańską i dwóch żołnierzy francuskich, którzy podeszli do Ormian. Jeden z tych żołnierzy, człowiek niziutki i ruchliwy, był w niebieskim płaszczu przepasanym sznurkiem. Na głowie miał szlafmycę, a nogi były bose. Drugi, który osobliwie zdumiał Pierre'a, był długi, pochylony, jasnowłosy i chudy, z powolnymi ruchami i idiotycznym wyrazem twarzy. Ubrany był w bajowy szlafrok, granatowe spodnie i duże podarte botforty. Mały Francuz, bez butów, w niebieskim płaszczu, podszedłszy do Ormian od razu coś powiedział i sięgnął do nóg starego, a stary jął pośpiesznie zdejmować buty. Drugi, w szlafroku, stanął naprzeciwko urodziwej Ormianki i w milczeniu, nieruchomo, z rękami w kieszeniach, patrzył na nią.

– Weź, weź dziecko – rzekł Pierre rozkazująco i prędko, zwracając się do kobiety i podając dziewczynkę. – Oddaj im, oddaj! – niemal krzyknął na kobietę sadzając na ziemi dziewczynkę, która zaczęła krzyczeć, i znów obejrzał się na Francuzów i na rodzinę Ormian uderzał jednym butem o drugi. Stary mówił coś pochlipując, ale Pierre widział to tylko przelotnie, całą uwagę skierował na Fran. Stary już siedział boso. Mały Francuz zdjął z niego drugi but ncuzał się do młodej kobiety, wyjął ręce z kieszeni i sięgnął do jej szyi. w szlafroku, który tymczasem kołysząc się powoli zbliży

Urodziwa Ormianka siedziała tak samo bez ruchu, ze spuszczoneymi długimi rzęsami, jak gdyby nie widząc i nie czując tego, co żołnierz z nią robi.

Zanim Pierre przebiegł kilka kroków dzielących go od Francuzów, długi maruder w szlafroku już zrywał z Ormianki naszyjnik, który miała na sobie, a młoda kobieta, chwytając się rękami za szyję, krzyczała przenikliwym głosem.

– *Laissez cette femme!*²⁶¹ – zachrypiał Pierre rozjuszonym głosem i chwycił długiego, pochylonego żołnierza za ramiona i odrzucił. Żołnierz upadł, podniósł się i uciekł. Ale jego kolega, rzuciwszy buty, sięgnął po tasak i groźnie ruszył na Pierre'a.

– *Voyons, pas de batises!*²⁶² – krzyknął.

Pierre znajdował się w takiej ekstazie szaleństwa, w której na nic był niepomny i w której jego siły zwielokrotniały się. Rzucił się na bosego Francuza i zanim ów zdążył wydobyć tasak, już zwałił go z nóg i grzmocił pięściami. Rozległ się aprobujący krzyk otaczającego tłumu, a w tym samym czasie spoza węgła ukazał się konny patrol francuskich ułanów. Ułani kłusem podjechali do Pierre'a i Francuza i otoczyli ich. Pierre nic nie pamiętał z tego, co było dalej. Pamiętał, że bił kogoś, że jego bito, że ma związane ręce, że otacza go tłum francuskich żołnierzy i że obszukują mu ubranie.

– *Il a un poignard, lieutenant!*²⁶³ – to były pierwsze słowa, które Pierre zrozumiał.

– *Ah, une arme!*²⁶⁴ – rzekł oficer i zwrócił się do bosego żołnierza, który został wzięty wraz z Pierre'em.

– *C'est bon, vous direz tout cela au conseil de guerre* – rzekł oficer. A następnie znów zwrócił

²⁶¹ Zostaw pan tę kobietę!

²⁶² Tylko bez głupstw!

²⁶³ Ma sztylet, poruczniku.

²⁶⁴ Ach, broń!

się do Pierre'a: *Parlez-vous francais, vous?*²⁶⁵

Pierre rozglądał się dokoła oczami nabiegłymi krwią i nie odpowiadał. Prawdopodobnie jego twarz wydała się straszna, gdyż oficer powiedział coś szeptem i jeszcze czterech ułanów stanęło po obu stronach Pierre'a.

– *Parlez-vous franfais?* – powtórzył pytanie oficer trzymając się od niego z dala. – *Faites venir l'interprete.*²⁶⁶

Spoza szeregów wyjechał mały człowieczek w cywilnym rosyjskim ubraniu. Po odzieży i mowie Pierre od razu poznał w nim Francuza z jednego z moskiewskich magazynów.

– *Il n'a pas l'air d'un homme de peuple*²⁶⁷ – oświadczył tłumacz przyjrawszy się Pierre'owi.

– Oh, oh! ca m'a bien fair d'un des incendiaires – powiedział oficer. – *Demandez lui ce qu'il est*²⁶⁸ – dodał.

– Kto ti? – zapytał tłumacz. – Ti musi odpowiadaj władzy – rzekł.

– Je ne vous dirai pas qui je suis. Je suis votre prisonnier. Emmenez-moi²⁶⁹ – odezwał się nagle Pierre po francusku.

– *Ah! Ah!* – rzekł oficer zasepiwszy się. – *Marchons!*”

Wokół ułanów zebrał się tłum. Najbliżej Pierre'a stała dziobata kobieta z dziewczynką, kiedy patrol ruszył, wysunęła się naprzód.

– Gdzie to cię prowadzą, kochasiu? – rzekła.

– A dziewczynka? Gdzie dziewczynkę podzieję, jak nie je-ich? – mówiła kobieta.

– *Qu'est ce qu'elle veut, cette femme?*²⁷⁰ – zapytał oficer. Pierre był jak pijany. Jego podniecenie jeszcze się spotęgowało na widok dziewczynki, którą ocalił.

– *Ce qu'elle dit?* – powtórzył. – *Elle m'apporte ma filie que je viens de sauver des flammes* – rzekł. – *Adieu!*²⁷¹ – i sam nie wiedząc, jak mu się wyrwało to bezcelowe kłamstwo, stanowczym, uroczystym krokiem poszedł między Francuzami.

Był to jeden z tych patroli francuskich, które na rozkaz Duronela zostały wysłane na różne ulice Moskwy, aby zapobiec maruderstwu, a zwłaszcza w celu chwytania podpalaczy, którzy – wedle mniemania, jakie owego dnia powstało wśród Francuzów wyższych rang – byli sprawcami pożarów. Objechawszy kilka ulic patrol zabrał jeszcze pięciu podejrzanych Rosjan – jednego sklepikarza, dwóch seminarzystów, chłopca i jakiegoś służącego, oraz kilku maruderów. Ale ze wszystkich podejrzanych Pierre wydawał się najbardziej podejrzany. Kiedy ich wszystkich przyprowadzono na nocleg do wielkiego domu na Zubowskim Wale, gdzie był urządzony odwach, Pierre'a umieszczono oddzielnie i pod surową strażą.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

²⁶⁵ Dobrze, opowiesz pan to wszystko na sądzie wojennym. Mówisz po francusku?

Mówisz po francusku?...

²⁶⁶ Nie wygląda na człowieka z ludu.

²⁶⁷ Och, patrzy mi na podpalacza. Spytaj go pan, kto on taki.

²⁶⁸ Nie powiem wam, kim jestem. Jestem waszym jeńcem. Prowadźcie mnie.

²⁶⁹ Och, Och! Marsz!

²⁷⁰ Czego chce ta kobieta?

²⁷¹ Co ona mówi?... Przynosi mi moją córkę, którą wyratowałem z płomieni. Żegnaj!

Tom czwarty
CZĘŚĆ PIERWSZA

I

W Petersburgu w wyższych sferach toczyła się z większym niż kiedykolwiek zapalem zawiła walka partii Rumiancewa, Francuzów, Marii Fiodorowny, następcy tronu i innych, tłumiona jak zawsze brzęczeniem dworskich trutki. Ale życie petersburskie – spokojne, zbytkowne, zaprzątnięte tylko urojeniami, odbiciem życia – szło po staremu, i wskutek biegu tego życia trzeba było wielkich wysiłków, aby rozumieć niebezpieczeństwo i tę trudną sytuację, w jakiej znajdował się lud rosyjski. Te same były wizyty, bale, ten sam teatr francuski, te same sprawy dworów, te same sprawy urzędowe oraz intrygi. Tylko w najwyższych sferach usiłowano przypominać trudności rzeczywistego stanu rzeczy. Opowiadano szeptem, jak sprzecznie postąpiły w tak trudnych okolicznościach obie cesarzowe. Cesarzowa Maria Fiodorowna, troszcząc się o los pozostających pod jej opieką zakładów dobroczynnych i wychowawczych, zarządziła przeniesienie wszystkich instytucji do Kazania i rzeczy tych zakładów były już spakowane. A cesarzowa Elżbieta Aleksiejewa²⁷², zapytana, jakie zechce wydać rozporządzenia, raczyła odpowiedzieć z właściwym jej rosyjskim patriotyzmem, że nie może wydawać rozkazów instytucjom państwowym, gdyż to należy do cesarza; jeżeli zaś o nią chodzi, to, jak raczyła oświadczyć, wyjedzie z Petersburga ostatnia.

U Anny Pawłowny 26 sierpnia, w sam dzień bitwy pod Borodinem, odbył się wieczór, którego ozdobą miało być odczytanie listu metropolity, napisanego w związku z przesłaniem cesarzowi obrazu świętobliwego męża Sergiusza²⁷³. List ten uważano za wzór patriotycznego, religijnego krasomówstwa. Miał go przeczytać sam książę Wasilij, znany ze sztuki lektorskiej (czytywał też u cesarzowej). Artyzm czytania polegał na tym, ażeby głośno, śpiewnie, między rozpaczliwym zawrotem i pieszczotliwym szmerem przelewać słowa zupełnie niezależnie od ich znaczenia, toteż zupełnie przypadkiem na jedno słowo wypadało zawrocie, na inne – szmer. Czytanie to, jak i wszystkie wieczory u Anny Pawłowny, miało znaczenie polityczne. Na tym wieczorze miało być kilka ważnych osób, w których należało obudzić wstyd za bywanie w teatrze francuskim i ożywić nastrój patriotyczny. Zebranie było już dość liczne, lecz Anna Pawłowna nie widziała jeszcze w salonie wszystkich tych, którzy byli jej potrzebni, toteż nie rozpoczynając czytania inicjowała rozmowy ogólne

Nowością dnia w tym dniu w Petersburgu była choroba hrabiny Bezuchow. Hrabina kilka dni temu niespodziewanie zachorowała, opuściła kilka zebrań, których była ozdobą, i mówiono, że nie przyjmuje nikogo i że zamiast znakomitych doktorów petersburskich, którzy zwykle ją

²⁷² Maria Fiodorowna – wdowa po Pawle I; Elżbieta Aleksiejewa – żona Aleksandra I. Według świadectw historyków Elżbieta, z urodzenia Niemka, w r. 1812 okazała uczucia patriotyczne, skromność i dobroczynność²⁸⁹

²⁷³ Sergiusz Rodoneżski (1314–20, zm. 1392–97) – pustelnik, mnich, następnie założyciel kilku monasterów, które odegrały wielką rolę w dziejach prawosławia. Świętobliwość Sergiusza była powszechnie znana; Dymitr Doński przed bitwą na Polu Kulikowym przybył do Sergiusza po błogosławieństwo. Wspomniane tu posłanie ikony z wizerunkiem św. Sergiusza miało znaczenie symboliczne.

leczyli, powierzyła się jakiemuś włoskiemu doktorowi, leczącemu ją jakimś nowym i niezwykłym sposobem.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że choroba ślicznej hrabiny wynikała z niedogodności zamążpójścia od razu za dwóch mężów i że leczenie Włocha polegało na usunięciu tej niedogodności, ale w obecności Anny Pawłowny nie tylko nikt nie śmiał myśleć o tym, lecz jakby nawet nikt o tym nie wiedział.

– On dit que la pauvre comtesse est tres mai. Le medecin dit que c'est l'angine pectorale.

– L'angine? Oh, c'est wie maladie terrible!

– On dit que les rivaux se sont reconcilies grace d l'angine...²⁷⁴

Słowo anginę powtarzano z dużą przyjemnością.

– Le vieux comte est touchant a ce qu'on dit. Il a plewe comme un enfant quand le medecin lui a dit que le cas etait dangereux.

– Oh, ce serait une perte terrible. C'est wie femme ravis-sante.

– Vous parlez de la pauvre comtesse – rzekła Anna Pawłowna zbliżając się. – J'ai envoye savoir de ses nouvelles. On m'a dit qu'elle allait un peu mieux. Oh, sans doute, c'est la plus charmante femme du monde – rzekła Anna Pawłowna uśmiechając się z własnego uniesienia. – Nous appartenons a des comps differents, mais cela ne m'empeche pas de l'estimer, comme elle le merite. Elle est hien malheureuse²⁷⁵ – dodała Anna Pawłowna.

Sądząc, że tymi słowami Anna Pawłowna z lekka podnosiła zasłonę tajemnicy nad chorobą hrabiny, pewien nieopatrny młody człowiek pozwolił sobie wyrazić zdziwienie, że nie wezwano znanych lekarzy i że hrabinę leczy szarlatan, który może zastosować niebezpieczne środki.

– Vos informations peuvent etre meilleures que les miennes – jadowicie wpadła naraz Anna Pawłowna na niedoświadczonego młodego człowieka. – Mais je sais de bonne sówce que ce medecin est un homme tres savant et tres habile. C'est le mediom intime de la reine d'Espagne.²⁷⁶

I unicestwiwszy w ten sposób młodzieńca Anna Pawłowna zwróciła się do Bilibina, który w drugim kółku, zmarszczywszy skórę twarzy, widocznie szykował się do jej wygładzenia, by powiedzieć *un mot*²⁷⁷; mówił o Austriakach.

– *Je trouve que c'est charmant* – mówił o nocie dyplomatycznej, z którą odesłano do Wiednia sztandary austriackie zdobyte przez Wittgensteina, *le heros de Petropol*²⁷⁸ (jak go nazywano w Petersburgu).

– Jak, jak to? – zwróciła się do niego Anna Pawłowna wywołując milczenie, by można było usłyszeć mot, które już znała.

I Bilibin powtórzył następujące oryginalne słowa depeszy dyplomatycznej ułożonej przez niego:

²⁷⁴ Mówią, że biedna hrabina bardzo źle się czuje. Doktor powiedział, że to dusznica.

Dusznica? O, to okropna choroba! Mówią, że rywale pogodzili się dzięki dusznicy.

²⁷⁵ Stary hrabia jest wzruszający, jak mówią. Rozpłakał się jak dziecko, gdy doktor powiedział, że przypadek jest niebezpieczny.

O, to byłaby wielka strata. Taka śliczna kobieta!

Mówicie o biednej hrabinie?... Posyłałam po wiadomości o jej zdrowiu. Powiedziano mi, że jej nieco lepiej. O, bez wątpienia, to najpowabniejsza kobieta w świecie... Należymy do różnych obozów, ale to nie przeszkadza mi oceniać jej, jak na to zasługuje. Ona jest taka nieszczęśliwa.

²⁷⁶ Pańskie wiadomości mogą być lepsze niż moje. ale ja wiem z dobrych źródeł, że ten doktor to człowiek bardzo wykształcony i zręczny. To lekarz osobisty królowej hiszpańskiej.293

²⁷⁷ Powiedzonko

²⁷⁸ Uważam, że to jest czarujące!... bohater Petropola.

– L'Empereur renvoie les drapeaux autrichiens – powiedział Bilibin – drapeaux amis et egares, qu'il a trouvee hors de la route²⁷⁹ dokończył Bilibin wygładzając czoło.

– *Charmant, charmant!* – powiedział książę Wasilij.

– *C'est la route de Varsovie peut-etre*²⁸⁰ – głośno i nieoczekiwanie rzekł książę Hipolit. Wszyscy spojrzeli na niego nie rozumiejąc, co chciał przez to powiedzieć. Książę Hipolit również rozglądał się dokoła z wesołym zdziwieniem. On również, jak inni, nie rozumiał, co znaczyły wypowiedziane przez niego słowa. W czasie swej kariery dyplomatycznej zauważył nieraz, że takim sposobem wypowiedziane słowa okazywały się nagle bardzo dowcipne, i na wszelki wypadek powiedział te słowa, pierwsze, jakie przyszły mu na myśl. „Może wyjdzie bardzo dobrze – myślał – a jeżeli nie wyjdzie, oni tam będą umieli to urządzić”. Rzeczywiście, w czasie gdy zapanowało to krępujące milczenie, weszła owa niedostatecznie patriotyczna osobistość, której Anna Pawłowna oczekiwała, by ją nawrócić, więc pani domu, uśmiechając się i grożąc Hipolitowi palcem, wskazała księciu Wasi-liowi miejsce przy stole, a przyniosłszy mu świece i manuskrypt poprosiła go o rozpoczęcie. Zapanowała cisza.

„Najmiłościwszy Monarcho Imperatorze! – zaczął surowo książę Wasilij i spojrzął na publiczność, jakby pytając, czy kto nie chciałby powiedzieć coś przeciw temu. Ale nikt nic nie powiedział. – Pierwszy stołeczny gród Moskwa, Nowe Jeruzalem, przyjmie Chrystusa swego – nagle położył nacisk na słowo swego» – jako matka gorliwych synów swoich w objęcie, a poprzez unoszące się mgły przenikające wspaniałą sławę państwa Twego, śpiewa w zachwycie: Hosanna, błogosławion, który nadchodziło” – książę Wasilij wypowiedział ostatnie słowa głosem płaczliwym.

Książę Wasilij ciągnął dalej:

Niechaj Goliat zuchwały a czelny od kresów Francji roznosi po krańce Rosji śmiercionośne zgrozy, koma wiara, owa proca rosyjskiego Dawida, porazi z nagłą łeb krwiożerczej jego pychy. Ten obraz błogosławionego Sergiusza, odwiecznego orędownika naszej ojczyzny, składamy Waszej Cesarskiej Mości. Boleję, że słabnące me siły przeszkadzają mi nacieszyć się widokiem najukochańszego oblicza Waszego. Wznoszę do nieba gorące modlitwy, niech Wszechmocny wywyższy ród prawych i spełni miłościwie pragnienia Waszej Cesarskiej Mości.

– *Quelle force! Quel style!*²⁸¹ – posypały się pochwały dla czytającego i dla autora. Ożywieni tą przemową goście Anny Pawłowny długo jeszcze rozmawiali o położeniu ojczyzny i wygłaszali różne domysły co do wyniku bitwy, która miała się w najbliższych dniach odbyć.

– *Vous verrez*²⁸² – powiedziała Anna Pawłowna – że jutro, w dniu urodzin cesarza, otrzymamy wiadomości. Mam dobre przecucie.

²⁷⁹ Cesarz odsyła austriackie sztandary, sztandary sojusznicze i zabłąkane, które znalazł nie na właściwej drodze.

²⁸⁰ Może to droga do Warszawy.

²⁸¹ Coza siła. Co za styl!

²⁸² Zobaczycie.

II

Przecucie Anny Pawłowny rzeczywiście się sprawdziło. Następnego dnia, podczas nabożeństwa w pałacu z powodu urodzin cesarza, wywołano z cerkwi księcia Wołkońskiego i wręczono mu kopertę od księcia Kutuzowa. Było to zawiadomienie Kutuzowa napisane w Tatarinowej w dniu bitwy. Kutuzow pisał, że Rosjanie ani na krok się nie cofnęli, że Francuzi ponieśli znacznie większe straty niż my, że pisze w pośpiechu z pola bitwy, nie zdążywszy jeszcze zebrać ostatnich wiadomości. A więc było to zwycięstwo. I natychmiast, nie wychodząc ze świątyni, złożono hołd dziękczynny Stwórcy za pomoc i za zwycięstwo.

Przecucie Anny Pawłowny sprawdziło się, i w mieście przez cały poranek panował radosno-święteczny nastrój. Wszyscy uważali, że zwycięstwo jest zupełne, i niektórzy mówili już o wzięciu samego Napoleona do niewoli, jego zdetronizowaniu i wybraniu nowego władcy dla Francji.

Z dala od wojny, wśród warunków życia dworskiego, jest rzeczą bardzo trudną, żeby wypadki odzwierciedlały się w całej swojej pełni i sile. Mimo woli wydarzenia ogólne grupują się wokół jakiegoś zdarzenia natury osobistej. Toteż i teraz największa radość dworzan polegała tyle samo na tym, żeśmy zwyciężyli, jak i na tym, że wiadomość o tym zwycięstwie nadeszła właśnie w dniu urodzin cesarza. Była to niby udana niespodzianka urodzinowa. W liście Kutuzowa mówiło się również o stratach rosyjskich, a w ich liczbie wymienieni byli Tuczkow, Bagration, Kutajsov. Również i smutna strona wydarzenia mimowolnie zgrupowała się w tutejszym petersburskim świecie koło jednego wypadku – śmierci Kutajsova. Zнали go wszyscy, cesarz go lubił, był młody, interesujący. W tym dniu wszyscy spotkali się ze słowami:

– Jaki zadziwiający wypadek! W samo nabożeństwo! Ach, jaka szkoda – Kutajsov! Ach, jakie to smutne!

– A co ja wam mówiłem o Kutuzowie? – mówił teraz książę Wasilij z dumą proroka. – Zawsze mówiłem, że on jeden zdolny jest zwyciężyć Napoleona.

Ale nazajutrz nie otrzymano wiadomości z armii i opinia powszechna była zaniepokojona. Dworzanie cierpieli z powodu cierpień niepewności, w której znajdował się cesarz.

Jakież jest położenie najjaśniejszego pana! – mówili dworzanie i już nie wychwalali jak onegdaj, lecz potępiali Kutuzowa, który był przyczyną niepokoju cesarza. Książę Wasilij w tym dniu nie chwalił się już więcej swoim protege Kutuzowem, lecz milczał gdy była mowa o wodzu naczelnym. Poza tym pod wieczór tego dnia wszystko jakby się sprzysięgło, aby mieszkańców Petersburga pogrążyć w trwodze i niepokoju, rozeszła się jeszcze jedna straszna wieść: hrabina Helena Bezuchow zmarła nagle na tę okropną chorobę, którą tak przyjemnie było wymawiać. Oficjalnie w wielkim świecie wszyscy mówili, że hrabina Bezuchow umarła na straszny atak anginy pectorale, ale w kółkach wtajemniczonych opowiadano szczegóły o tym, jak *le medecin intime de la reine d'Espagne*²⁸³ zaordynował Helene niewielkie dozy jakiegoś lekarstwa celem wywołania wiadomego skutku, lecz Helene dręcząc się, że stary hrabia ją podejrzewał i że mąż,

²⁸³ Dusznicy... lekarz ołohisty królowej hiszpańskiej.

do którego pisała (ten nieszczęsny rozpustnik Pierre), nie odpowiadał, zażyła nagle wielką dawkę przepisanej jej leku i zmarła w męczarniach, nim nadeszła pomoc. Opowiadano, że książę Wasilij i stary hrabia zabrali się do Włocha, ale Włoch pokazał takie bileciki od nieszczęśliwej zmarłej, że go natychmiast zwolniono.

Ogólna rozmowa ześrodkowała się około trzech smutnych wydarzeń: niepewności cesarza, śmierci Kutajsowa i zgonu Helene.

Trzeciego dnia po wiadomościach od Kutuzowa przyjechał do Petersburga ziemianin z Moskwy i po całym mieście rozeszła się wieść o oddaniu Moskwy Francuzom. To było straszne! W jakiej sytuacji znalazł się cesarz! Kutuzow był zdrajcą, a książę Wasilij w czasie *visites de condolance*²⁸⁴ które mu składano z powodu śmierci córki, mówił o wychwalanym poprzednio przez siebie Kutuzowie (można mu wybaczyć, że w smutku zapomniał, co mówił przedtem), że nie sposób było spodziewać się niczego innego po ślepym i rozpustnym starcu.

– Dziwię się tylko, jak można było poruczyć los Rosji takiemu człowiekowi.

Dopóki wiadomość ta nie była jeszcze oficjalna, dopóty można jej było jeszcze nie dowierzać, lecz nazajutrz nadszedł od hrabiego Rastopczyna następujący raport:

Adiutant księcia Kutuzowa przywiózł mi list, w którym książę żąda ode mnie przysłania oficerów policji celem przeprowadzenia armii na drogę rizańską. Mówi, że z ubolewaniem opuszcza Moskwę. Miłościwy Panie! Postępek Kutuzowa rozstrzyga o losie stolicy oraz Twego cesarstwa. Rosja wzdrygnie się na wieść o oddaniu miasta, gdzie skupiona jest wielkość Rosji, gdzie spoczywają prochy przodków Twoich. Pójdę za armią. Wszystko wywozłem, pozostaje mi płacz nad losem mojej ojczyzny.

Otrzymawszy tę wiadomość cesarz posłał przez księcia Wołkońskiego następujący reskrypt Kutuzowowi:

Książę Michale Iarionowiczu! Od 29 sierpnia nie mam żadnych wiadomości od Pana. Tymczasem 1 września otrzymałem przez Jarosława od wojskowego gubernatora Moskwy smutną wiadomość, że zdecydowałeś opuścić z armią Moskwę. Możesz sobie wyobrazić, jak podziałała na mnie ta wiadomość, a milczenie Pańskie pogłębia moje zdziwienie. Wyprawiam z niniejszym generał-adiutanta księcia Wołkońskiego, aby się wywiedział od Pana o położeniu armii i o motywach, które skłoniły Pana do tak smutnej decyzji.

²⁸⁴ Wizyt kondolencyjnych.

III

W dziewięć dni po opuszczeniu Moskwy przyjechał do Petersburga wysłaniec od Kutuzowa z oficjalnym zawiadomieniem o opuszczeniu Moskwy. Wysłaócem tym był Francuz Michaud, nie mówiący po rosyjsku, ale *quoique etranger, Russe de coeur et d'ame*²⁸⁵, jak sam o sobie mówił.

Cesarz zaraz przyjął posłańca w swym gabinecie w pałacu na Kamiennej Wyspie. Michaud, który nigdy nie widział Moskwy przed kampanią i który nie mówił po rosyjsku, czuł się jednak wzruszony, gdy stanął przed *notre tres gracieux souverain*²⁸⁶ (jak pisał) z wieścią o pożarze Moskwy dont les flammes eclairaient sa rout.

Choć obcokrajowiec, Rosjanin całym sercem i całą duszą.

Chociaż źródło *chagrin*²⁸⁷ Michauda musiało być inne niż to, z którego wypływał ból narodu rosyjskiego, Michaud miał tak zatroskane oblicze, gdy go wprowadzano do gabinetu cesarza, że cesarz natychmiast zapytał:

– M'apportez-vous de tristes nouvelles, colonel?²⁸⁸

– *Bien tristes, Sire* – odparł Michaud spuszczać oczy z westchnieniem – *l'abandon de Moscou*.²⁸⁹

– *Aurait-on livre mcm andenne capitale sans se battre?*²⁹⁰ – powiedział szybko cesarz czerwieniejąc nagle.

Michaud z uszanowaniem przekazał to, co mu zlecił Kutuzow przekazać, a mianowicie, że nie było możliwe walczyć pod Moskwą, a ponieważ zostawało do wyboru – stracić armię i Moskwę albo tylko Moskwę, feldmarszałek winien był wybrać to ostatnie.

Cesarz słuchał w milczeniu, nie patrząc na Michauda.

– *L'ennemi est'il en vile?*²⁹¹ – zapytał.

– *Oui, Sire et elle est en cendres a l'heure qu'il est. Je l'ai laissee toute en flammes*²⁹² – powiedział Michaud z determinacją, ale spojrzawszy na cesarza przestraszył się tego, co uczynił. Cesarz ciężko, pośpiesznie oddychał, dolna warga mu drgała, a piękne niebieskie oczy momentalnie zwilżyły się łzami.

Ale trwało to tylko chwilę. Cesarz zachmurzył się nagle, jakby potępiając sam siebie za swą słabość, i podniósłszy głowę, zwrócił się do Michauda twardym głosem:

– *Je vois, colonel, par tout ce qui nous arrive – powiedział – que la Providence exige de grands sacrifices de nous... Je suis pret a me soumettre d toutes Ses volcmtes: mais ditesmoi, Michaud, comment avez-vous laisse l'armee, en voyant cansi, sans coup ferir, abandonner mon*

²⁸⁵ Choć obcokrajowiec, Rosjanin całym sercem i całą duszą.

²⁸⁶ Najmiłościwszym władcą... której płomienie oświecały jego drogę.

²⁸⁷ Zmartwienia.

²⁸⁸ Przywiózł mi pan smutne wieści, pułkowniku?

²⁸⁹ Bardzo smutne, najjaśniejszy panie... opuszczenie Moskwy.

²⁹⁰ Czyżby oddano moją starą stolicę bez bitwy?

²⁹¹ Nieprzyjaciel zajął miasto?

²⁹² Tak, najjaśniejszy panie, i jest ono obecnie w popiołach. Zostawiłem je cale w płomieniach.

andenne capitale? N'avez-vous pas aperçu du découragement?²⁹³

Ujrawszy, że jego tres gracieux souverain odzyskał spokój, Michaud uspokoił się również, ale na proste, rzeczowe pytanie cesarza, wymagające również prostej odpowiedzi, nie zdążył przygotować odpowiedzi.

– Sire, me permettez-vous parler franchement en loyal militaire?²⁹⁴ – powiedział, żeby wygrać na czasie.

– Colonel, je l'exige toujours – rzekł cesarz. – Ne me cachez rien, je veux savoir absolument ce qu'il en est.²⁹⁵

– Sire! – powiedział Michaud z delikatnym, ledwo dostrzegalnym uśmiechem, zdążywszy przygotować odpowiedź w formie lekkiej i pełnej szacunku jeu de mots. – Sire! j'ai laisse toute l'armee depuis les chefs jusqu'au demier soldat, sans exception, dans me crainte epowentable, effray-ante.²⁹⁶

– Comment ca? – przerwał cesarz surowo zachmurzony. – Mes Russes se laisseront-ils dbatre par le malheur... Jamais!²⁹⁷

Na to tylko czekał Michaud ze swą grą słów.

– Sire! – powiedzą! z hołdowniczą swawolnością – ils craignent seulement que Votre Majeste par bonte de coeur ne se laisse persuader de faire la paix. lis brulent de combattre – mówił pełnomocnik narodu rosyjskiego – et de prower a Votre Majeste par le sacrifice de leur me combien ils lui sont devoues.²⁹⁸

– Ach! – z przyjaznym blaskiem oczu powiedział cesarz uspokojony, klepiąc Michauda po ramieniu. – Vous me tranquilisez, colonel.²⁹⁹

Cesarz opuściwszy głowę milczał chwilę.

– Eh hien, retournez d l'armee – powiedział prostując się na całą wysokość i zwrócił się do Michauda z gestem łaskawym a majestatycznym – et dites a nos braves, dites a tous mes bons sujets partout ou vous passerez, que quand je n'aurai plus aucun soldat, je me mettrai, moi-meme, a la tete de ma chore noblesse, de mes bons paysans et fuserai ainsi jusgud la derniere ressource de mon empire. Il m'en reste encore plus que mes ennemis ne pensent – mówił cesarz ożywiając się coraz bardziej. – Mais si jamais U fut escrit dans le decrets de la Divine Providence – powiedział wznosząc swe piękne, łagodne i błyszczące uczuciem oczy do nieba – que ma dynastie dut cesser de regner sur le trône de mes ancetres, alors, apres avoir epuise tous les moyens qui sont en mon pouvoir, je me laisserai croire la barbe jusqu'ici (cesarz wskazał ręką na pół piersi) et j'irai manger des pommes de terre avec le demier de mes paysans plutót, que de signer la honte de ma patrie et de ma chere nation, dont je sais apprecier les sacrifices³⁰⁰ –

²⁹³ Widzę, pułkowniku, po wszystkim, co nas spotyka, że Opatrzność wymaga od nas wielkich ofiar... Jestem gotów poddać się we wszystkim Jej woli, ale niech mi pan powie, Michaud, jak zostawiłeś armię, opuszczając bez wystrzału moją starą stolicę? Czy nie zauważyłeś w niej upadku ducha?

²⁹⁴ Najjaśniejszy panie, czy pozwolisz mówić szczerze, jak uczciwemu żołnierzowi?

²⁹⁵ Pułkowniku, zawsze tego żądam... Niech pan nie ukrywa niczego, chcę bezwarunkowo wiedzieć całą prawdę.

²⁹⁶ Gry słów... Najjaśniejszy panie! Zostawiłem całą armię, poczynając od dowódców do ostatniego żołnierza, bez wyjątku strasznie przerażoną.

²⁹⁷ Jak to?... Czyż moich Rosjan może zgębnąć niepowodzenie... Nigdy!

²⁹⁸ Najjaśniejszy panie... oni boją się tylko tego, by najjaśniejszy pan w dobroci swego serca nie dał się skłonić do zawarcia pokoju. Oni płoną żądzą walki i pragną dowieść najjaśniejszemu panu ofiarą swego żyda, jak dalece są mu oddani.

²⁹⁹ Pan mnie uspokaja, pułkowniku.

³⁰⁰ No, wracaj pan do armii... i powiedz pan naszym zuchom, powiedz pan wszystkim moim dobrym poddanym, wszędzie, gdzie pan pojedzie, że gdy nie będę miał ani jednego żołnierza, sam stanę na czele mojej ukochanej szlachty i poczciwych chłopów i tak wyzyskam aż do końca wszelkie środki ratunku mego państwa. Więcej ich, niż myślą moi wrogowie... Ale jeżeliby Opatrzność boska zrzędziła... że dynastia moja przestanie panować na tronie

Wypowiedziawszy te słowa wzruszonym głosem, cesarz nagle odwrócił się, jakby chcąc skryć przed pułkownikiem łzy w oczach, i poszedł w głąb gabinetu. Postawszy tam przez kilka chwil, wrócił do Michauda wielkimi krokami i silnym ruchem uściśnął mu rękę poniżej łokcia. Piękne, dobrotliwe oblicze cesarza poczerwieniało, oczy zaś pałały blaskiem determinacji i gniewu.

– Colonel Michaud, n'oubliez pas ce que je vous dis id; peut-etre qu'un jour nous nous le rappellerons avec plaisir... Napoleon ou moi – powiedział cesarz z ręką na piersi. – Nous ne pouvons plus regner ensemble. J'ai appris a le connaitre, U ne me trompera plus... – I cesarz zachmurzywszy się umilkł. Usłyszawszy te słowa i ujrzawszy wyraz stanowczej decyzji w oczach cesarza, Michaud, quoique etr angor, mais Russe de coeur et d'ame, poczuł się w tej uroczystej chwili enthousiasme par tout ce qu'il venait d'entendre³⁰¹ (jak mówił później) i wyraził zarówno swe uczucia, jak i uczucia narodu rosyjskiego, którego czuł się pełnomocnikiem, w następujących słowach:

– Sire! – powiedział. – Votre Majeste signe dans ce moment la gloire de sa nation et le salut de l'Europe!³⁰² Cesarz odprawił Michauda pochyleniem głowy.

moich przodków, wtedy, wyczerpawszy wszystko, co w mojej mocy, zapuszczę brodę dotąd... i prędzej pójde jeść kartofle z ostatnim z moich chłopów, niż zdecyduje się podpisać hańbę mej ojczyzny i mojego drogiego ludu, którego ofiary umiem cenić.

³⁰¹ Pułkowniku Michaud, nic zapomnij pan, co powiedziałem tutaj; być może, kiedyś wspomnimy o tym z przyjemnością... Napoleon albo ja... Nie możemy dalej panować razem. Poznałem go teraz i już mnie więcej nie szuka... choć obcokrajowiec, ale Rosjanin sercem i duszą... rozentuzjasmowany tym wszystkim, co usłyszał.

³⁰² Najjaśniejszy panie! Podpisujesz w tej chwili sławę swego narodu i zbawienie Europy.

IV

Gdy Rosja była na pół zawojowana, a mieszkańcy Moskwy zbiegli do dalekich guberni, gdy pospolite ruszenia, jedno za drugim, stawały do obrony ojczyzny, mimo woli przedstawiamy sobie, my nie żyjący w tamtych czasach, że wszyscy Rosjanie, od małego do dużego, zajęci byli tylko tym, żeby nieść w ofierze swe życie i ratować ojczyznę albo płakać nad jej zgubą.

Opowiadania, opisy tego czasu – wszystkie bez wyjątku mówią tylko o poświęceniu, miłości ojczyzny, rozpacz, cierpieniu i bohaterstwie Rosjan. A w rzeczywistości tak nie było. Wydaje nam się to tak tylko dlatego, że widzimy w przeszłości wyłącznie ogólne historyczne sprawy tego czasu, a nie widzimy wszystkich tych osobistych spraw, które ludzie mieli. A tymczasem te osobiste sprawy terażniejszości są o tyle ważniejsze niż sprawy ogólne, że spoza nich nigdy nie odczuwa się (nie zauważa się nawet zupełnie) spraw ogólnych. Większość ówczesnych ludzi nie zwracała uwagi na ogólny bieg spraw, lecz kierowała się tylko osobistymi interesami terażniejszości. I ludzie ci byli w owym czasie najpotężniejsi.

Ci zaś, którzy próbowali zrozumieć ogólny bieg spraw i z poświęceniem i bohaterstwem chcieli brać w nim udział, byli najbardziej bezużytecznymi członkami społeczeństwa; widzieli wszystko na odwrót i wszystko, co robili dla pożytku, okazywało się bezużytecznym głupstwem, jak pułki Pierre'a, Mamonowa, grabiące wsie rosyjskie, jak szarpie skubane przez panie i nigdy nie dochodzące do rannych itp. Nawet ci, którzy lubią pomędrkować i wyrazić swe uczucia dyskutowali o rzeczywistym położeniu Rosji, mimo woli wnosili w swoje słowa odbicie albo obłądy i zakłamania, albo bezużytecznych potępień i złośliwości wobec ludzi oskarżonych o to, co nie mogło być niczyją winą. W wydarzeniach historycznych najlepiej widać zakaz pożywania owocu z drzewa poznania. Jedynie nieświadoma działalność przynosi owoce i człowiek, grający rolę w historycznych wypadkach, nigdy nie rozumie ich znaczenia. Jeżeli próbuje je zrozumieć, poraża go bezpłodność.

Sens tego, co dokonywało się wtedy w Rosji, tym bardziej był niedostrzegalny, im bliższy w tym był udział człowieka. W Petersburgu i w guberniach oddalonych od Moskwy panie i mężczyźni w mundurach pospolitego ruszenia oplakiwali Rosję i stolicę, mówili o poświęceniu się itp., ale w armii, która odstępowała od Moskwy, prawie nie mówiono i nie myślano o Moskwie, i patrząc na jej zgliszcza nikt nie przysięgał zemsty Francuzom, lecz myślano o kolejnej wypłacie żołdu za tercję, o kolejnym postoju, o Matrioszcze-markietancę i temu podobnych.

Mikołaj Rostow nie po to bynajmniej, by się poświęcić, lecz przypadkowo, ponieważ wojna zastała go w wojsku, brał bliski udział w długotrwałej obronie ojczyzny i dlatego bez rozpacz i posepnych wniosków patrzył na to, co działo się wtedy w Rosji. Jeżeli by go zapytano, co myśli o obecnym położeniu kraju, powiedziałby, że nie potrzebuje myśleć, że od tego jest Kutuzow i inni, ale że słyszał, iż kompletują pułki, że najwidoczniej długo jeszcze będą się bić i że w obecnych warunkach w ciągu dwóch lat nietrudno mu będzie otrzymać dowództwo pułku.

Dlatego że tak patrzył na sprawę, nie tylko przyjął bez żalu zawiadomienie o odkomenderowaniu go do Woroneża po remonty dla dywizji, co uniemożliwiało mu wzięcie

udziału w rozstrzygającej bitwie, ale przeciwnie – przyjął je z wielkim zadowoleniem, którego nie ukrywał i które bardzo dobrze rozumieli jego towarzysze.

Na kilka tygodni przed bitwą pod Borodinem Mikołaj otrzymał pieniądze, papiery i wysławszy naprzód huzarów pojechał pocztowymi końmi do Woroneża.

Tylko ten, kto tego doświadczył, czyli ten, kto przebywał kilka miesięcy bez przerwy w atmosferze wojennego, bojowego życia, może zrozumieć tę przyjemność, jakiej doświadczył Mikołaj wyjechawszy z rejonu, do którego sięgały wojska swym furazowaniem, dowozem prowiantów, szpitalami, gdy zamiast żołnierzy, fur, brudnych śladów obozu zobaczył wsie z chłopami i babami, dwory, pola z pasącym się bydłem, stacje pocztowe z zaspanymi poczmistrzami – odczuł taką radość, jakby po raz pierwszy to wszystko zobaczył. To, co go szczególnie długo zadziwiało i cieszyło, to kobiety, młode, zdrowe, z których żadna nie miała koło siebie dziesięciu amantów oficerów, a które cieszyły się i czuły się pochlebione, że przejeżdżający oficer żartuje z nimi.

Mikołaj przyjechał w najlepszym nastroju nocą do zajazdu w Woroneżu, zamówił wszystko, czego był długo pozbawiony w armii, i nazajutrz, ogoliwszy się starannie i przyodziawszy się w galowy, dawno nie używany mundur, pojechał zameldować się władzom.

Naczelnikiem pospolitego ruszenia był generał w służbie cywilnej, człowiek stary, który, widać było, bawił się swoim wojskowym tytułem i rangą. Gniewnie (myśląc, że to wojskowa właściwość) przyjął Mikołaja i znacząco, jakby miał do tego prawo i jakby osądzając ogólny bieg sprawy, chwalać lub ganiać, wypytywał go. Mikołaj był tak wesoły, że wydało mu się to zabawne.

Od naczelnika pospolitego ruszenia pojechał do gubernatora. Gubernator był maleńkim, ruchliwym człowieczkiem, nadzwyczaj miłym i prostym. Wskazał Mikołajowi stadniny, w których mógł kupić konie, rekomendował mu handlarza w mieście i ziemianina w majątku oddalonym o dwadzieścia wiorst od miasta, którzy mieli najlepsze konie, i obiecał wszelką pomoc.

– Czy pan jest synem liii Andrejewicza? Moja żona bardzo się przyjaźniła z pańską matką. W czwartki przyjmuję; dziś mamy czwartek, uprzejmie proszę do mnie, bez ceremonii – powiedział gubernator przy pożegnaniu.

Zaraz po wizycie u gubernatora Mikołaj wziął bryczkę pocztową i zabrawszy ze sobą wachmistrza popędził dwadzieścia kilometrów do owego ziemianina. W tym początkowym okresie przebywania w Woroneżu wszystko było dla Mikołaja wesołe i łatwe i wszystko, jak to bywa, gdy człowiek jest dobrze nastrojony, szło składnie i szybko.

Dziedzic, do którego Mikołaj przyjechał, był starym bezzennym eks-kawalerzystą. Był to koniarz, myśliwy, właściciel kilimiami, stuletniej przepalania, starego węgryzyna i wspaniałych koni.

Mikołaj bez targu kupił za sześć tysięcy siedemnaście ogierów na wybór (jak mówił), na pokazowe zakończenie remontu. Zjadłszy obiad i popiwszy nieco nad miarę węgryzyna, Rostow wycalowałszy się z dziedzicem, z którym zdążył już przejść na „ty”, w najradośniejszym nastroju popędził z powrotem okropną drogą, ponaglając nieustannie woźnicę, aby zdążyć na przyjęcie do gubernatora.

Przebrany, uperfumowany, zlawszy głowę zimną wodą, Mikołaj, choć nieco późno, w myśl zdania: „*Vaut mieux tard que jamais*”³⁰³, stawiał się u gubernatora.

Nie był to bal i nie zapowiadano, że będą tańce, ale wszyscy wiedzieli, że Katarzyna Pietrowna będzie grać na klawikordzie walce i ecossaise'y i że będzie się tańczyć, więc wszyscy,

³⁰³ lepiej późno niż nigdy.

licząc na to, zjechali się w strojach balowych.

Życie gubernialne w roku 1812 było ściśle takie samo jak zawsze, z tą tylko różnicą, że w mieście panowało ożywienie wobec przybycia licznych bogatych rodzin z Moskwy i że – jak we wszystkim co działo się wtedy w Rosji – widoczny był jakiś szczególny rozmach: wszystko furda, raz się żyje. Poza tym te płaskie rozmowy, niezbędne między ludźmi, które przedtem prowadzono o pogodzie i o wspólnych znajomych, teraz dotyczyły Moskwy, wojska i Napoleona.

Towarzystwo zebrane u gubernatora było najlepsze w Woroneżu.

Pań było bardzo dużo, było kilka znajomych Mikołaja z Moskwy, ale z mężczyzn nikt nie mógł w żadnej mierze współzawodniczyć z kawalerem Orderu Św. Jerzego, huzarem, przybyłym po remonty, a jednocześnie z dobrodusznym i dobrze wychowanym hrabią Rostowem.

Wśród mężczyzn był jeniec, Włoch, oficer francuskiej armii, i Mikołaj odczuwał, że obecność tego jeńca jeszcze bardziej podnosiła jego znaczenie – bohatera rosyjskiego. Było to jakby trofeum. Mikołaj odczuwał to i zdawało mu się, że wszyscy tak samo patrzyli na Włocha, i Mikołaj potraktował tego oficera uprzejmie, ale godnie i powściągliwie.

Gdy tylko Mikołaj wszedł w swym huzarskim mundurze rozsiewając wkoło zapach perfum i wina, powiedział sam i usłyszał kilka razy skierowane do siebie zdania: „*Vaut mieux tard que jamais*” – natychmiast otoczono go, wszystkie oczy spoczęły na nim, poczuł, że staje się ulubieńcem wszystkich, co było dla niego i tu w guberni, i zawsze przyjemne, ale teraz po długich wyrzeczeniach stawało się oszałamiającą rozkoszą. Nie tylko na stacjach, w zajazdach i w kilimiami ziemianina były dziewczyny zaszczyczone uwagą, ale tu, na przyjęciu u gubernatora, była (jak się wydawało Mikołajowi) niezliczona ilość młodziutkich dam i ładniutkich panien, które z niecierpliwością czekały tylko, żeby zwrócił na nie uwagę. Kokietowały go i panie, i panny, a starsi już od pierwszego dnia zaczęli myśleć o tym, jak by ożenić i ustatkować tego huzara, zucha i zbereźnika. W ich liczbie była i żona gubernatora, która przyjęła Rostowa jak krewnego i zwracała się do niego „Nicolas” i na „ty”.

Katarzyna Pietrowna rzeczywiście zaczęła grać walce, ecossaise'y i rozpoczęły się tańce, w których Mikołaj jeszcze bardziej podbijał swą zręcznością całe gubernialne towarzystwo. Wszystkich nawet zadziwił swą osobliwą, nonszalancką manierą w tańcu na tym wieczorze. W Moskwie nigdy tak nie tańczył i uważałyby nawet za nieprzyzwoitość i *mauvais genre*³⁰⁴ taki zbyt nonszalancki sposób tańczenia, ale tu czuł potrzebę zadziwienia ich wszystkich czymś niezwykłym, czymś takim, co powinno być przyjęte za zwyczajne w stolicach, ale nie znane jeszcze na prowincji.

W ciągu całego wieczoru Mikołaj zwracał główną uwagę na niebieskooką, pulchną i powabną blondynkę, żonę jednego z urzędników gubernialnych: z naiwnym przekonaniem rozbawionych młodych ludzi, że cudze żony stworzone są dla nich, Rostow nie odchodził od tej pani i przyjaźnie, nieco tajemniczo traktował jej męża, jak gdyby oboje – czyli Mikołaj i żona tego męża – wiedzieli, że świetnie się porozumiewają. Mąż jednak, zdawało się, nie podzielał tego przekonania i starał się traktować Rostowa chłodno. Ale dobroduszna naiwność Mikołaja była tak bezgraniczna, że czasem mąż mimo woli poddawał się wesołemu nastrojowi Mikołaja. Jednak pod koniec wieczoru, w miarę jak oblicze żony stawało się coraz bardziej rumiane i ożywione, twarz jej męża stawała się coraz smutniejsza i poważniejsza, jakby porcja ożywienia była wspólna dla obojga, i w miarę tego jak się powiększała część przypadająca na żonę, zmniejszała się część przypadająca na męża.

³⁰⁴ W złym guście.

V

Mikołaj wciąż z uśmiechem na twarzy, nieco przechylony w fotelu, siedział blisko, pochylając się nad blondynką i prawiąc jej mitologiczne komplementy.

Zmieniając dziarsko położenie nóg w napiętych rajtuzach, rozprzestrzeniając wokoło zapach perfum, lubując się swą damą i sobą, i pięknymi kształtami swych nóg w obcisłych rajtuzach, Mikołaj mówił blondynce, że chce tu, w Woroneżu, porwać pewną panią.

– Któraż to?

– Rozkoszną, boską. Ma oczy (spojrzał na rozmówczynię) niebieskie, usta jak korale, białość (popatrzył na ramiona) i talia – Diany...

Mąż podszedł do nich i posepnie zapytał żonę, o czym mówi.

– O! Nikita Iwanycz – rzekł Mikołaj podnosząc się grzecznie. I jakby pragnąc, żeby Nikita Iwanycz wziął udział w jego żartach, zaczął i jemu opowiadać o swym zamiarze uprowadzenia pewnej blondynki.

Mąż uśmiechnął się ponuro, żona wesoło. Zaczna gubernatorowa podeszła do nich z wyrazem dezaprobaty.

– Anna Ignatiewna chce cię widzieć, Nicolas – powiedziała, takim głosem wymawiając słowa: „Anna Ignatiewna, że Rostow natychmiast zrozumiał, że Anna Ignatiewna to dama bardzo poważna. – Pójdziemy, Nicolas. Przecież pozwoliłeś mi tak się nazywać?

– O tak, ma tante. Któż to taki?

– Anna Ignatiewna Malwincew. Słyszała o tobie od swej siostrzenicy, jak ją uratowałeś... Zgadujesz?...

– Wcale ich tam nie ratowałem! – powiedział Mikołaj.

– Jej siostrzenicę, księżniczkę Bołkońską. Jest tu w Woroneżu, z ciotką. Oho, jak poczerwieniał! Co, może?...

– Nie myślałem nawet, ma tante.

– No, dobrze, dobrze... Już ja ciebie znam! Gubernatorowa zaprowadziła go do wysokiej i bardzo tegiej starszej damy w niebieskim toczku, która dopiero co skończyła partię kart z najważniejszymi osobami w mieście. Była to pani Malwincew, ciotka księżniczki Marii ze strony matki, bogata, bezdzietna wdowa, mieszkająca w Woroneżu. Stała regulując należności karciane, gdy Mikołaj podszedł do niej. Surowo i poważnie przymrużyła oczy, spojrzała na niego i dalej łajała generała, który od niej wygrał.

– Bardzo się cieszę, mój kochany – powiedziała wyciągnąwszy do niego rękę. – Proszę łaskawie wstąpić do mnie.

Porozmawiawszy o księżniczce Marii i o jej zmarłym ojcu, którego widocznie pani Malwincew nie lubiła i zapytawszy, co Mikołaj wie o księciu Andrzeju, który również widać nie cieszył się jej uznaniem, matrona pożegnała go, powtórzywszy zaproszenie.

Mikołaj obiecał i znowu poczerwieniał, gdy żegnał panią Malwincew. Na wspomnienie księżniczki Marii Rostow doświadczał niezrozumiałego dla siebie uczucia nieśmiałości, a nawet

strachu.

Odszedłszy od pani Malwincew Rostow chciał wrócić do tańców, ale mała gubernatorowa położyła swą pulchną rączkę na rękawie Mikołaja i powiedziawszy, że chce z nim pomówić, poprowadziła go do bawialni, z której obecni tam zaraz wyszli, żeby nie przeszkadzać gubernatorowej.

– Wiesz, mm cher – powiedziała gubernatorowa z wyrazem powagi na małej, poczciwej twarzą – to dla ciebie naprawdę świetna partia. Chcesz, wyswatam cię?

– Z kim, ma tante! – zapytał Mikołaj.

– Z księżniczką. Katarzyna Pawłowna mówi, że Liii, a moim zdaniem – księżniczka. Chcesz? Jestem przekonana, że twoja mama mi podziękuje. Naprawdę cudowna dziewczyna! I wcale nie jest taka brzydka!

– Wcale nie – powiedział Mikołaj, jakby obrażony.

– Ja, ma tante, jak przystoi żołnierzowi, nigdy się nie narzucam i od niczego się nie wymawiam – powiedział szybciej, nim zdążył pomyśleć, co mówi.

– Więc pamiętaj: to nie żarty.

– Jakie żarty!

– Tak, tak – rzekła gubernatorowa, jakby do siebie.

– A wiesz, mon cher, entre autres. Vous etes trop assidu aupres de l'autre, la blonde.³⁰⁵ Mąż taki zgnębiony, naprawdę...

– Ależ nie, jesteśmy przyjaciółmi – odpowiedział Mikołaj w prostocie ducha; nawet mu do głowy nie przychodziło, że takie wesołe dla niego spędzanie czasu mogłoby być dla kogoś przykre.

„Jakież głupstwo powiedziałem gubernatorowej – nagle przypomniał sobie Mikołaj przy kolacji. – Ona rzeczywiście zacznie mnie swatać. A Sonia?...” I żegnając się z gubernatorową gdy z uśmiechem jeszcze raz mu powiedziała:

„No, więc pamiętaj”, odprowadził ją na bok.

– Prawdę mówiąc, ma tante...

– Co, co, mój drogi? Chodźmy, o tu siądziemy. Mikołaj poczuł nagle chęć i konieczność wypowiedzenia wszystkich swych intymnych myśli (takich, których by nie powiedział matce, siostrze, przyjacielowi) tej prawie zupełnie obcej kobiecie. Potem, gdy wspominał ów niczym nie umotywowany poryw niezrozumiałej szczerości, który miał jednak dla niego bardzo poważne następstwa, zdawało mu się (jak to zawsze ludziom się zdaje), że opanował go taki głupi nastrój, a tymczasem ów poryw szczerości razem z innymi drobnymi zdarzeniami miał i dla niego, i dla całej rodziny ogromne następstwa.

– Więc tak, ma tante. Maman dawno już chce mnie bogato ożenić, ale sama myśl o tym jest mi wstrętna – żenić się dla pieniędzy.

– O tak, rozumiem – powiedziała gubernatorowa.

– Ale księżniczka Bołkońska – to inna sprawa; po pierwsze, powiem cioci prawdę, ona mi się bardzo podoba i przypadła mi do serca, a następnie, po tym, gdy ją spotkałem w takim położeniu, dziwne to, często mi do głowy przychodziło: to los. Zwłaszcza, proszę pomyśleć: maman dawno o tym myślała, ale przedtem nie zdarzyło mi się jej spotkać, jakoś wszystko się tak składało – nie spotkaliśmy się. A wtedy, kiedy moja siostra Natasza była narzeczoną jej brata, przecież nie mógłbym myśleć o małżeństwie z nią. Trzeba było, żebym ją spotkał właśnie teraz, kiedy małżeństwo Nataszy zostało zerwane, no i wszystko... Tak... Nikomu tego nie mówiłem i nie powiem. Tylko pani...

³⁰⁵ Mój miły, między innymi. Zbyt się zalecasz do tej blondynki.

Gubernatorowa uściśliła mu z wdzięcznością łokieć.

– Czy pani zna kuzynkę Sophie? Kocham ją, obiecałem, że się ożenię z nią, i ożenię się... Dlatego, widzi pani, nie może być mowy o tym – czerwieniąc się mówił bezładnie Mikołaj.

– Mon cher, mon cher, jakże ty rozumujesz? Przecież Sophie nic nie ma, a sam mówiłeś, że interesy twego papy. bardzo źle stoją. A twoja maman? To ją zabije – to jedno. Następnie Sophie: jeżeli to dziewczyna z sercem, jakież ją czeka życie? Matka w rozpacz, interesy w ruinie... Nie, mon cher, powinniście to zrozumieć: i ty, i Sophie.

Mikołaj milczał. Przyjemnie mu było słuchać tych wywodów.

– A jednak, ma tante, to nie może się stać – powiedział, wzdychając, po chwili milczenia. – A czy księżniczka wyszłaby za mnie? Teraz znowu jest w żałobie. Jak można tym myśleć!

– A czy ty myślisz, że cię zaraz będą żenić? *Il y a maniere et maniere*³⁰⁶ – powiedziała gubernatorowa.

Ależ z pani swatka, ma tante... – powiedział Mikołaj całując jej pulchną rączkę

³⁰⁶ Różne są sposoby.

VI

Przyjechawszy do Moskwy po spotkaniu z Rostowem księżniczka Maria zastała tam swego bratanka z guwernerem i list od księcia Andrzeja, który zalecał im marszrutę do Woroneża, do ciotki Malwincew. Przygotowania do drogi, niepokój o brata, urządzenie życia w nowym domu, nowi ludzie, wychowanie bratanka – wszystko to przytłumiło w duszy księżniczki Marii to uczucie niby pokusy, które męczyło ją w czasie choroby i po śmierci ojca, a zwłaszcza po spotkaniu się z Rostowem. Ogarnął ją smutek. Wrażenie wywołane stratą ojca, łączące się w jej duszy z klęską Rosji, teraz, po miesiącu, który minął w warunkach spokojnego życia, odczuwała coraz silniej. Trwożyła się: myśl o niebezpieczeństwach, na jakie narażał się jej brat, jedyny, bliski człowiek, który jej pozostał, nękała ją bezustannie. Troszczyła się o wychowanie bratanka, do czego stale czuła się niezdolna, ale w głębi duszy była w zgodzie z sobą, co wynikało ze świadomości, że stłumiła w sobie osobiste marzenia i nadzieje powstałe w związku ze zjawieniem się Rostowa.

Nazajutrz po swym wieczorze gubernatorowa przyjechała do pani Malwincew i odbyła z nią rozmowę o swych planach (zrobiwszy zastrzeżenie, że chociaż w obecnych warunkach nie można myśleć o formalnych swatach, jednak trzeba urządzić spotkanie młodych, dać im możliwość poznania się ze sobą), otrzymawszy zgodę ciotki, gubernatorowa zaczęła w obecności księżniczki Marii mówić o Rostowie, chwalać go i opowiadając, jak poczerwieniał, gdy wspomniała o księżniczce – ale księżniczka Maria doświadczyła uczucia nie tyle radości, ile bólu: jej wewnętrzna równowaga przestała istnieć i znowu zrodziły się pragnienia, wątpliwości, wyrzuty i nadzieje.

W ciągu dwóch dni, które upłynęły od czasu otrzymania tej wiadomości aż do wizyty Rostowa, księżniczka Maria nie przestawała myśleć o tym, jak powinna się zachować wobec Rostowa. Postanowiła, że nie wyjdzie do salonu, gdy on przyjedzie do ciotki, że jej w głębokiej żałobie nie wypada przyjmować gości; albo uważała, że to byłoby niegrzeczne po tym, co on zrobił dla niej, to znów przychodziło jej na myśl, że ciotka i gubernatorowa mają jakieś widoki na nią i Rostowa (ich spojrzenia i słowa czasem jak gdyby potwierdzały to przypuszczenie); to znów mówiła sobie, że tylko ona, będąc złym człowiekiem, mogła tak o nich myśleć: nie mogły przecie zapomnieć, że w jej sytuacji, kiedy nie zdjęła jeszcze żałoby, takie swatanie byłoby obrażające i dla niej, i dla pamięci jej ojca. Przypuszczając, że wyjdzie do Rostowa, księżniczka Maria wymyślała sobie słowa, które on jej powie i które ona jemu powie; i znowu słowa te wydawały się jej to niezasłużenie chłodne, to znów mające zbyt wielką wymowę. Najbardziej bała się przy widzeniu z nim zmieszania, które, czuła to, na pewno nią owładnie i zdradzi ją, gdy tylko go zobaczy.

Ale kiedy w niedzielę po nabożeństwie lokaj zameldował w salonie, że przyjechał hrabia Rostow, księżniczka nie okazała zmieszania; tylko lekki rumieniec wystąpił na jej policzki i oczy błysnęły nowym, promienistym światłem.

– Ciocia go widziała? – spytała księżniczka Maria spokojnym głosem, sama nie wiedząc, jak mogła być zewnętrznie tak spokojna i naturalna.

Kiedy Rostow wszedł do pokoju, księżniczka spuściła na chwilę głowę, jakby dawała gościowi czas na przywitanie się z ciotką, a potem, w chwili gdy Mikołaj zwrócił się do niej, podniosła głowę i błyszczącymi oczami spotkała jego wzrok. Ruchem pełnym godności i gracji wstała z radosnym uśmiechem, wyciągnęła do niego szczupłą, delikatną rękę i przemówiła głosem, w którym po raz pierwszy brzmiały nowe, kobiece, głębokie dźwięki. M-lle Bourienne, będąca w pokoju, ze zdziwieniem patrzyła na księżniczkę Marię. Najbardziej wyrobiona kokietka, ona sama, nie mogłaby lepiej manewrować przy spotkaniu z człowiekiem, któremu chciałyby się podobać.

„Albo jej w czerni tak do twarzy, albo rzeczywiście tak wypiękniała, a ja tego nie zauważyłam. A przede wszystkim – ten takt i gracja” – myślała m-lle Bourienne.

Jeżeliby księżniczka Maria mogła myśleć w tej chwili, bardziej niż m-lle Bourienne zdziwiłaby się przemianą, jaka się w niej dokonała. Od chwili gdy zobaczyła tę miłą, kochaną twarz, jakaś nowa siła życia nią zawładnęła i zmuszała ją, mimo jej woli, do mówienia i działania. Twarz jej, od chwili gdy wszedł Rostow, zmieniła się nagle. Jak wówczas, gdy po zapaleniu światła w rzeźbionej i malowanej latarni, na szybkach widnieje w całej swojej piękności owa zawila i artystycznie doskonała robota, która przedtem wydawała się prostacka, niezrozumiała i bezmyślna, tak nagle przemieniła się twarz księżniczki Marii. Po raz pierwszy cały ów jasny, duchowy, wewnętrzny nurt, który dotychczas ją ożywiał, wystąpił na zewnątrz. Cała jej wewnętrzna praca, z której była tak niezadowolona, jej cierpienia, dążność ku doskonaleniu się, pokora, miłość, ofiarność – wszystko to jaśniało teraz w tych promiennych oczach, w subtelnym uśmiechu, w każdym rysie jej delikatnej twarzy.

Rostow zobaczył to wszystko tak wyraziście, jakby znał całe jej życie. Czuł, że istota stojąca przed nim jest zupełnie inna, lepsza niż wszystkie, które dotychczas spotykał, i co najważniejsze, lepsza niż on sam.

Rozmowa była najprostsza i mało znacząca. Mówili o wojnie, mimo woli, jak wszyscy, wyolbrzymiając swój smutek z tego powodu, mówili o ostatnim spotkaniu, przy czym Mikołaj starał się przejść na inny temat, mówili o zacnej gubernatorowej, o krewnych Mikołaja i księżniczki Marii.

Księżniczka Maria nie mówiła o bracie, przechodząc w rozmowie na inne sprawy, skoro tylko ciotka wspomniała o Andrzeju. Widoczne było, że o nieszczęściach Rosji może mówić z udaniem, ale brat był zbyt bliski jej sercu, nie chciała i nie mogła lekko o nim mówić. Zauważył to Mikołaj, jak w ogóle z niezbyt właściwą mu przenikliwością dostrzegał wszystkie odcienie charakteru księżniczki Marii, które całkowicie potwierdzały jego przekonanie, że była ona całkiem osobliwą i niezwykłą istotą. Mikołaj, tak samo jak księżniczka Maria, mieszał się i rumienił, gdy mu mówiono o księżniczce, a nawet kiedy myślał o niej, ale w jej obecności czuł się zupełnie swobodny i mówił zupełnie nie to, co sobie przygotował, ale to, co błyskawicznie i zawsze w porę przychodziło mu do głowy.

W czasie krótkiej wizyty Mikołaj, jak zawsze, gdzie są dzieci, w chwili przerwy w rozmowie zwracał się do małego syna księcia Andrzeja, pieszcząc go i pytając, czy chciałby być huzarem. Wziął chłopca na ręce, jał go wesoło obracać i spojrzał na księżniczkę Marię. Serdeczny, miłosny i lękliwy wzrok śledził kochanego chłopca w rękach kochanego człowieka. Mikołaj zauważył to spojrzenie i jakby zrozumiał, co ono znaczy, poczerwieniał z zadowolenia i z dobroduszną wesołością zaczął całować chłopca.

Księżniczka Maria z powodu żałoby nie bywała nigdzie, a Mikołaj nie uważał za stosowne bywać u nich, ale gubernatorowa wciąż odgrywała rolę swatki i powtórzywszy Mikołajowi pochlebne zdania, które powiedziała o nim księżniczka Maria, i odwrotnie, nalegała, by Rostow oświadczył się księżniczce Marii. Dla tych oświadczyń urządziła młodym spotkanie u archijereja

przed nabożeństwem.

Chociaż Rostow powiedział, że oświadczać się księżniczce nie będzie, jednak obiecał przyjechać.

Jak w Tylży Rostow nie pozwolił sobie powątpiewać, czy dobre jej i prawdziwej walce między próbą urzędzenia sobie życia st to, co wszyscy uważają za dobre, tak samo teraz, po krótkieweł swego życzenia a kornym podporządkowaniem się warunkom, wybrał to ostatnie i oddał się do dyspozycji tej władzy, ktougra go (czuł to) nieprzewyciężenie dokądś ciągnęła. Wiedział, że po przyrzeczeniu złożonym Soni oświadczenie uczuć księżniczce Marii byłoby tym, co nazywał podłością. I wiedział, że się podłości nie dopuści. Ale wiedział również (i nie tylko wiedział, ale czuł w głębi duszy), że oddając się teraz we władzę warunków i ludzi nim kierujących, nie tylko nie czyni nic złego, lecz, przeciwnie, robi coś bardzo, bardzo ważnego, tak ważnego, że nic podobnego nie czynił w swym życiu.

Po spotkaniu z księżniczką Marią, chociaż tryb jego życia zewnętrznie się nie zmienił, wszystkie poprzednie przyjemności straciły dla niego swój czar i często myślał o księżniczce Marii; ale nigdy nie myślał o niej tak, jak myślał o wszystkich bez wyjątku pannach, spotykanych w towarzystwie, nie tak, jak kiedyś długo i z zachwytem myślał o Soni. O każdej z panien, jak prawie każdy uczciwy młodzieniec, myślał jak o swej przyszłej żonie, przymierzał do nich w swej wyobraźni wszystkie okoliczności małżeńskiego pożycia – biały szlafrok, żona przy samowarze, karetą żony, dzieci, maman i papa, ich stosunek do niej itd., itd., i te wyobrażenia o przyszłości sprawiały mu przyjemność, ale gdy myślał o księżniczce Marii, z którą go swatano, nigdy nie mógł sobie nic wyobrazić z przyszłego małżeńskiego życia. Jeżeli nawet próbował, to wszystko wychodziło nieskładnie i fałszywie. I tylko czuł się nieswojo.

VII

Straszna wiadomość o bitwie pod Borodinem, o naszych i stratach w zabitych i rannych, a jeszcze bardziej straszna wiadomość o utracie Moskwy doszły do Woroneża w połowie września. Księżniczka Maria, dowiedziawszy się tylko z gazet o ranie brata i nie mając o nim żadnych wieści, zdecydowała, jak słyszał Mikołaj (sam jednak jej nie widział), jechać na poszukiwanie księcia Andrzeja.

Otrzymałszy wiadomość o bitwie pod Borodinem i oddaniu Moskwy, Rostow nie to, żeby odczuwał rozpacz, nienawiść albo chęć zemsty i temu podobne uczucia; ale zrobiło mu się nagle nudno w Woroneżu, wszystko jakoś stało się nieprzyjemne i wstyd mu było tu pozostawać. Wszystkie rozmowy, które słyszał, wydawały mu się nieszczerze, nie wiedział, co sądzić o tym wszystkim, i czuł, że tylko w pułku wszystko znowu stanie się jasne. Śpieszył się z ukończeniem zakupu koni i często niesłusznie wpadał w gniew wobec swego sługi i wachmistrza.

Na kilka dni przed wyjazdem Rostowa odbyło się w soborze nabożeństwo z powodu zwycięstwa odniesionego przez rosyjskie wojska – i Mikołaj pojechał na nie. Stał nieco za gubernatorem i ze służbową powagą, rozmyślając o najróżnorodniejszych sprawach, wytrzymał całe nabożeństwo. Gdy się nabożeństwo skończyło, gubernatorowa wezwała go do siebie.

– Widziałeś księżniczkę? – powiedziała wskazując głową damę w czerni, stojącą za chórem.

Mikołaj natychmiast poznał księżniczkę Marię, nie tyle po profilu widocznym spod kapelusza, ile po owym uczuciu tkliwej ostrożności, bojaźni, współczucia, które go natychmiast opanowywało. Księżniczka Maria, pogrążona widocznie w myślach, robiła ostatnie znaki krzyża przed wyjściem z cerkwi.

Mikołaj ze zdziwieniem patrzył na jej twarz. To była ta sama twarz, którą widział przedtem, taki sam był w niej ogólny wyraz subtelnej, wewnętrznej, duchowej pracy, ale teraz była zupełnie inaczej rozświetlona. Był w niej wzruszający wyraz smutku, błagania i nadziei. Jak to i przedtem bywało z Mikołajem w jej obecności, nie czekał na radę gubernatorowej, czy podejść, czy nie podejść do niej, ale podszedł do niej i powiedział, że słyszał o jej cierpieniu i całą duszą jej współczuje. Na sam dźwięk jego głosu twarz jej rozpromieniła się blaskiem oświetlającym jednocześnie jej smutek i radość.

– Chcę pani tylko jedno powiedzieć – rzekł Rostow. – Gdyby księżę Andrzej Nikołajewicz nie żył, byłaby o tym wiadomość w gazetach ze względu na to, że dowodzi pułkiem.

Księżniczka patrzyła na niego nie rozumiejąc jego słów, lecz radując się wyrazem współczującego cierpienia na jego twarzy.

Znam tyle przykładów, że rana od odłamka (w gazetach powiedziano o granacie) bywa albo śmiertelna od razu, albo przeciwnie, bardzo lekka – mówił Mikołaj. – Trzeba mieć nadzieję, i jestem przekonany...

Księżniczka Maria przerwała mu.

– O, to byłoby tak strasz... – zaczęła i nie dokończywszy ze wzruszenia słowa, ruchem pełnym gracji (jak wszystko, co czyniła w jego obecności) pochyliła głowę, spojrzała na niego z

wdzięcznością i poszła za ciotką.

Wieczorem tego dnia Mikołaj nigdzie nie pojechał z wizytą i został w domu, żeby skończyć niektóre rachunki ze sprzedawcami koni. Gdy skończył, było już za późno, żeby gdziekolwiek jechać, ale było za wcześnie iść spać, i Mikołaj długo chodził tam i z powrotem po pokoju, rozmyślając nad swym życiem, co rzadko mu się zdarzało.

Księżniczka Maria pod Smoleńskiem wywarła na nim przyjemne wrażenie. To, że spotkał ją wtedy w tak osobliwych warunkach, i to, że w swoim czasie matka wskazywała mu właśnie na nią jako na bogatą partię, sprawiło, że zwrócił na nią szczególną uwagę. W Woroneżu, w czasie jego wizyty, wrażenie to było nie tylko przyjemne, lecz i silne. Mikołaja uderzyła ta osobliwa duchowa piękność, którą tym razem w niej zauważył. Jednak szykował się do odjazdu i ani mu do głowy przychodziło żałować, iż wyjeżdżając z Woroneża pozbawia się możliwości widywania księżniczki. Ale dzisiejsze spotkanie z księżniczką Marią w cerkwi (Mikołaj czuł to) głębiej go poruszyło, niż to przewidywał, i głębiej, niżby chciał dla swego spokoju. Ta blada, delikatna, smutna twarz, to promienne spojrzenie, te spokojne, pełne gracji ruchy, a zwłaszcza ów głęboki, tkliwy smutek, przejawiający się w jej rysach, trwożyły go i zmuszały do współczucia. U mężczyzn Rostow nie znosił przejawów wyższego, duchowego życia (dlatego nie lubił księcia Andrzeja), nazywał to pogardliwie filozofią, rojeniem, ale w księżniczce Marii właśnie ów smutek, ukazujący całą głębię obcego

Mikołajowi świata duchowego, miał dla niego nieodparty powab.

„To musi być cudowna dziewczyna! Istny anioł! – mówił do siebie. – Dlaczego nie jestem wolny, dlaczego pośpieszyłem się z Sonią?” I mimo woli porównywał: ubóstwo w jednej i bogactwo w drugiej tych duchowych darów, których sam nie posiadał i które dlatego tak wysoko cenił. Spróbował sobie wyobrazić co by było, gdyby był wolny. Jakim sposobem oświadczyłby się jej i czy zostałaby jego żoną? Nie, nie mógł sobie tego wyobrazić. Robiło mu się nieswojo i nic jasnego nie otwierało się przed nim. Dawno już skomponował obraz przyszłości z Sonią i wszystko było jasne i proste właśnie dlatego, że wszystko było obmyślane i znał wszystko, co było w Soni; ale z księżniczką Marią nie mógł sobie wyobrazić przyszłego życia dlatego, że nie rozumiał jej, lecz tylko ją kochał.

Marzenia o Soni miały w sobie coś wesołego, zabawnego. A myśl o księżniczce Marii zawsze była trudna i trochę napawała lękiem.

„Jak ona się modliła! – myślał. – Widać było, że oddawała się modlitwie całą duszą. Tak, to taka modlitwa, która porusza góry, i jestem przekonany, że będzie wysłuchana. Dlaczego ja nie modlę się o to, co mi potrzebne – myślał. – Czego mi potrzeba? Wolności, rozstania z Sonią. Ona słusznie mówiła – przypomniał sobie słowa gubernatorowej. – Prócz nieszczęścia nic z tego nie wyjdzie, gdy się z nią ożenię. Płatanina, zmartwienie mamany... interesy... głupota, straszna głupota. A ja nawet jej nie kocham. Tak, nie kocham tak, jak trzeba. Boże mój! wywiedź mnie z tego okropnego położenia bez wyjścia! – zaczął się nagle modlić. – Tak, modlitwa poruszy góry, ale trzeba wierzyć i modlić się nie tak, jak my w dzieciństwie z Nataszą, żeby się śnieg zmienił w cukier, i wybiegaliśmy na dwór próbować, czy robi się ze śniegu cukier. Nie, ja przecież nie o głupstwa teraz proszę” – powiedział odkładając fajkę i złożony rękę stanął przed obrazem. Roztkliwiony wspomnieniem księżniczki Marii, zaczął się modlić tak, jak już dawno się nie modlił. Miał łzy w oczach i w gardle, gdy wszedł Ławruszka z jakimiś papierami.

– Durniu! Dlaczego się pchasz, gdy cię nie wzywają! – powiedział Mikołaj zmieniając szybko pozycję.

– Od gubernatora – powiedział Ławruszka zaspanym głosem – kulier przyjechał, list do jaśnie pana.

– No, dobrze, dziękuję, idź!

Mikołaj otrzymał dwa listy. Jeden był od matki, drugi od Soni. Poznał je po charakterze pisma i otworzył najpierw list od Soni. Nie zdążył przeczytać kilku wierszy, gdy twarz mu zbladła, a oczy rozwarły się z przestraczeniem i radością.

– Nie, to być nie może! – powiedział głośno. Nie mogąc usiedzieć, z listem w ręku, czytając go, zaczął chodzić po pokoju. Przebiegł go oczami raz, później przeczytał go jeszcze raz, jeszcze raz i rozkładając podniesione ręce stanął na środku pokoju z otwartymi ustami i znieruchomiałymi oczami. To, o co przed chwilą się modlił, będąc pewny, że Bóg spełni jego prośbę, zostało wysłuchane! ale Mikołaj był zdziwiony tym tak, jakby to było coś nadzwyczajnego i jakby tego nigdy nie oczekiwał, i jakby właśnie to, że się tak szybko urzeczywistniło, dowodziło, że stało się to nie z woli Boga, którego prosił, lecz drogą zwykłego przypadku.

Ten wydający się nie do rozwiązania węzeł, który wiązał wolność Rostowowi, został rozwiązany nieoczekiwanym (jak wydawało się Mikołajowi), niczym nie spowodowanym listem Soni. Pisała, że ostatnie nieszczęśliwe okoliczności, utrata prawie całego majątku Rostowów w Moskwie i kilkakrotnie wypowiedane życzenie hrabiny, żeby Mikołaj ożenił się z księżniczką Bołkońską, jego milczenie i chłód w ostatnich czasach – wszystko to razem zmusiło ją do decyzji zwrócenia mu słowa i dania mu zupełnej swobody.

Zbyt ciężko było mi myśleć, że mogę się stać przyczyną cierpienia lub rozterek w rodzinie, której tyle dobrodziejstw zawdzięczam – pisała – i miłość moja żyje jednym celem: szczęścia dla tych, których kocham; dlatego błagam Pana, Nicolas, byś uważał się za wolnego i wiedział, że mimo wszystko nikt bardziej nie może Pana kochać niż Pańska Sonia. Oba listy przyszły z Troicy. Drugi był od hrabiny. W liście tym opisywała ostatnie dni w Moskwie, wyjazd, pożar i utratę całego majątku. W liście tym między innymi hrabina pisała, że księżę Andrzej wśród innych rannych jechał razem z nimi. Stan jego był bardzo niebezpieczny, ale teraz doktor mówi, że jest więcej nadziei. Pielęgnują go Sonia i Natasza.

Mikołaj nazajutrz pojechał z tym listem do księżniczki Marii. Ani Mikołaj, ani księżniczka Maria nie powiedzieli ani słowa o tym, co mogło znaczyć zdanie: „Pielęgnuje go Natasza”, ale dzięki temu listowi Mikołaj nagle zbliżył się do księżniczki na stopie niemal rodzinnej.

Nazajutrz Rostow odwiózł księżniczkę Marię do Jarosławia, a po kilku dniach sam pojechał do pułku.

VIII

List Soni do Mikołaja, będący spełnieniem jego modlitwy, napisany był z Troicy. Oto co go spowodowało. Myśl o ożenku Mikołaja z bogatą panną coraz bardziej zajmowała starą hrabinę. Wiedziała, że Sonia była tu główną przeszkodą. I życie Soni w domu hrabiny, zwłaszcza po liście Mikołaja opisującym jego spotkanie w Boguczarowie z księżniczką Marią, stawało się ostatnio coraz cięższe. Hrabina nie ominęła ani jednej okazji, by nie robić obraźliwych lub przykrych aluzji wobec Soni.

Ale na kilka dni przed wyjazdem z Moskwy hrabina poruszona i rozdrażniona wszystkim, co się działo, wezwała do siebie Sonię i zamiast wymówek i żądań, ze łzami zwróciła się do niej z błaganiami, żeby poświęcając się odpłaciła za wszystko, co dla niej zrobiono, i zerwała z Mikołajem.

Nie uspokoję się poty, póki mi nie przyrzekniesz. Sonia rozplakała się histerycznie, mówiła szlochając, że zrobi wszystko, że jest na wszystko gotowa, ale nie dała jasnej obietnicy i w duszy nie mogła się zdecydować na to, czego od niej żądano. Trzeba się było poświęcić dla szczęścia rodziny, która ją utrzymywała i wychowała. Sonia nawykła poświęcać się dla szczęścia innych. Jej sytuacja w domu była taka, że tylko drogą poświęceń mogła wykazać swe zalety, więc przywykła do tego i lubiła się poświęcać. Ale przedtem we wszystkich wypadkach poświęcania się uświadamiała sobie z radością, że poświęcając się podnosi swą wartość w oczach własnych i otoczenia i staje się bardziej godna Nicolas, którego kochała ponad wszystko w życiu, teraz poświęcenie jej miało polegać na tym, żeby się zrzec tego, co dla niej stanowiło całą nagrodę za ofiary, cały sens życia. I po raz pierwszy odczuła żal do tych ludzi, którzy świadczyli jej dobrodziejstwa po to, aby ją tym boleśniej umęczyć, odczuła zazdrość względem Nataszy, która nie doświadczyła nigdy czegoś podobnego, nie potrzebowała się poświęcać i zmuszała innych, by poświęcali się dla niej, a jednak była kochana przez wszystkich. I po raz pierwszy Sonia poczuła, jak jej skromna, czysta miłość do Nicolas nagle zaczyna się zmieniać w namiętne uczucie, górujące i nad zasadami, i nad cnotą, i nad religią, i pod wpływem tego uczucia Sonia, która, będąc całe życie zależna od innych, instynktownie nauczyła się skrytości, w ogólnych, nieokreślonych słowach odpowiedziała hrabinie, unikała z nią rozmów i postanowiła czekać na spotkanie z Mikołajem, aby na tym spotkaniu nie tylko nie uwolnić go, lecz, przeciwnie, na zawsze z sobą związać.

Kłopoty i okropności ostatnich dni pobytu Rostowów w Moskwie zagłuszyły w Soni ciężące jej czarne myśli. Była rada, że może ratować się przed nimi w zajęciach praktycznych. Ale kiedy dowiedziała się o obecności w domu księcia Andrzeja, mimo całego szczerzego współczucia, które żywiła dla niego i dla Nataszy, ogarnęło ją radosne i zabobonne uczucie, że Bóg nie chce tego, by ona była rozłączona z Nicolas. Wiedziała, że Natasza kochała tylko księcia Andrzeja i nie przestała go kochać. Wiedziała, że teraz, będąc razem w tak strasznych okolicznościach, na nowo pokochają się wzajemnie i że wtedy Mikołaj wskutek powinowactwa, w które z nimi wejdzie, nie będzie mógł się ożenić z księżniczką Marią. Mimo całej okropności wszystkiego, co

się działo w ostatnich dniach i w czasie pierwszych dni podróży, to uczucie i świadomość, że Opatrzność wmieszała się w jej sprawy osobiste, radowały Sonię.

W Troickiej Ławrze Rostowowie urządzili pierwszy postój w swej podróży.

W zajeździe Ławry Rostowom dano trzy duże pokoje, z których jeden zajął książę Andrzej. Ranny czuł się tego dnia znacznie lepiej. Była przy nim Natasza. W sąsiednim pokoju przebywali hrabia i hrabina, z szacunkiem rozmawiając z ihumenem, który odwiedził dawnych znajomych i dobroczyńców. Sonia była obok i męczyła ją ciekawość, o czym mówi książę Andrzej z Nataszą. Słyszała spoza drzwi dźwięk ich głosów. Drzwi do pokoju księcia Andrzeja otworzyły się. Wyszła stamtąd wzruszona Natasza i nie zauważywszy podnoszącego się na jej przywitanie i chwytającego się za szeroki rękaw prawej ręki mnicha, podeszła do Soni i wzięła ją za rękę.

– Natasza, co ci jest? Chodźże tu – powiedziała hrabina.

Natasza podeszła po błogosławieństwo, a ihumen radził zwrócić się o pomoc do Boga i do świętych.

Zaraz po wyjściu mnicha Natasza ujęła pod ramię swą przyjaciółkę i weszła z nią do pustego pokoju.

– Soniu, więc tak? Będzie żył? – powiedziała. – Soniu, jaka jestem szczęśliwa i jak nieszczęśliwa! Soniu, kochanie, wszystko po staremu. Żeby tylko żył! On nie może... dlatego że, dlatego... że.. – i Natasza rozplakała się.

– Tak! Wiedziałam o tym! Bogu dzięki – odpowiedziała Sonia. – Będzie żył!

Sonia była wzruszona nie mniej niż przyjaciółka, i jej trwogą, i bólem, i swoimi nie zwierzonymi nikomu myślami. Szlochając całowała, pocieszała Nataszę. „Żeby tylko żył!” – myślała. Popłakawszy, porozmawiawszy i otarłszy łzy obie przyjaciółki podeszły do drzwi księcia Andrzeja. Natasza otworzyła ostrożnie drzwi i zajrzała do pokoju. Sonia stała obok niej w na pół otwartych drzwiach.

Książę Andrzej leżał z głową opartą wysoko na trzech poduszkach. Jego blada twarz była spokojna, oczy miał zamknięte i widać było, że równo oddycha.

– Ach, Natasza! – nieomal krzyknęła nagle Sonia, biorąc pod rękę kuzynkę i odchodząc od drzwi.

– Co? Co? – spytała Natasza.

– To, że... – powiedziała Sonia drżącymi wargami, blednąc. Natasza cicho przymknęła drzwi i poszła z Sonia do okna, nie rozumiejąc jeszcze, co do niej mówiono.

– Pamiętasz – mówiła Sonia z zaleknionym i uroczystym wyrazem twarzy – pamiętasz, jak za ciebie patrzyłam w lustro... W Otradnem, w czasie świąt... Pamiętasz, co widziałam?

– Tak, tak! – otwierając szeroko oczy powiedziała Natasza, mglisto przypominając sobie, że wtedy Sonia powiedziała coś o księciu Andrzeju, którego widziała leżącego.

– Pamiętasz? – ciągnęła dalej Sonia – widziałam go wtedy i powiedziałam wszystkim: i tobie, i Duniaszy. Widziałam, że leży na posłaniu – mówiła podnosząc rękę z wyciągniętym palcem przy każdym szczególe – i że zaniknął oczy, i że jest przykryty właśnie różową kołdrą, i że złożył ręce – mówiła Sonia przekonując się, w miarę jak opisywała szczegóły widziane przez siebie teraz, że te same szczegóły widziała i wtedy. Wtedy nic nie widziała, ale mówiła, że widziała to, co jej przyszło do głowy, ale to co wtedy wymyśliła, przedstawiało się jej tak rzeczywiste jak wszelkie inne wspomnienie. To, co wtedy powiedziała: że spojrział na nią i uśmiechnął się i przykryty był czymś czerwonym, nie tylko pamiętała, ale była przekonana, że wtedy powiedziała i że widziała, że był przykryty różową, właśnie różową kołdrą i że miał oczy zamknięte.

– Tak, tak, właśnie różową – powiedziała Natasza, która teraz również rzekomo pamiętała, że

powiedziano „różową”, i w tym właśnie upatrywała szczególną osobliwość i tajemniczość przepowiedni.

– Ale co to znaczy? – spytała Natasza w zamyśleniu.

– Ach, nie wiem! Jakie to wszystko niezwykle! – odpowiedziała Sonia chwytając się za głowę.

W kilka minut potem księżę Andrzej zadzwonił i Natasza weszła do niego, a Sonia, doświadczając rzadko przez nią doznawanego wzruszenia i tklivości, została przy oknie wciąż rozmyślając nad niezwykłością tego, co się stało.

Owego dnia była okazja wysłania listów do armii i hrabina zaczęła pisać do syna.

– Soniu – powiedziała hrabina podnosząc głowę znad listu, gdy krewniaczka przechodziła obok niej – Soniu, nie napiszesz do Nikoleńki? – spytała hrabina cichym, wzruszonym głosem. I w spojrzeniu jej zmęczonych oczu, patrzących przez okulary, Sonia wyczytała wszystko, co hrabina wkładała w te słowa. Spojrzenie to wyrażało błaganie i bojaźń odmowy, i wstyd, że trzeba było prosić, i gotowość do nieprzebląganej nienawiści w razie odmowy.

Sonia podeszła do hrabiny i klękawszy pocałowała ją w rękę.

– Napiszę, maman – powiedziała.

Sonia była wzburzona i roztkliwiona wszystkim, co się działo tego dnia, zwłaszcza tym tajemniczym spełnieniem się wróżby, które przed chwilą widziała. Teraz, gdy wiedziała, że z powodu wznowienia stosunków między Nataszą a księciem Andrzejem Mikołaj nie może ożenić się z księżniczką Marią, z radością uczuła powrót nastroju poświęcenia, w którym lubiła żyć i do którego tak przywykła. I ze łzami w oczach, w radosnej świadomości dokonania wspaniałomyślnego czynu, kilka razy przerywając z powodu łez, które zasłaniały mgłą jej aksamitne, czarne oczy, napisała ów wzruszający list, który tak zdumiał Mikołaja.

IX

Na odwachu, gdzie wprowadzono Pierre'a, oficer i żołnierze, którzy go zabrali, traktowali go wrogo, ale jednocześnie z szacunkiem. Czuło się jeszcze w ich stosunku wobec niego niepewność, co on za jeden (czy czasem aby nie jakiś ważny człowiek), i wrogość z powodu świeżej jeszcze, osobistej z nim walki.

Ale gdy nazajutrz rano nastąpiła zmiana warty, Pierre odczuł, że dla nowej straży – dla oficerów i żołnierzy – nie ma on już tego znaczenia, jakie miał dla tych, którzy go zatrzymali. Rzeczywiście, w tym wielkim, tęgim człowieku w chłopskim kaftanie wartownicy, którzy przyszli następnego dnia, nie widzieli już tego dzielnego człowieka, który walczył tak rozpaczliwie z maruderami i z konwojem i powiedział uroczyste zdanie o uratowaniu dziecka, lecz widzieli tylko siedemnastego z Rosjan zatrzymanych z jakiegoś tam powodu na rozkaz wyższego dowództwa. Jeżeli nawet byłoby w nim coś osobliwego, to tylko jego odważny, skupiony, zamyślony wygląd i język francuski, którym ku zdziwieniu Francuzów dobrze władał. Mimo to tego samego dnia przyłączyli Pierre'a do innych ujętych podejrzanych ludzi, gdyż osobna izba, którą zajmował, potrzebna była dla oficera.

Wszyscy Rosjanie, siedzący z Pierre'em, byli ludźmi najniższego stanu. I wszyscy poznawszy w nim pana stronili od niego, tym bardziej że mówił po francusku. Pierre ze smutkiem słyszał, iż drwią sobie z niego.

Nazajutrz wieczorem Pierre dowiedział się, że wszyscy zatrzymani (a prawdopodobnie i on w tej liczbie) będą oddani pod sąd za podpalanie. W trzecim dniu zaprowadzono Pierre'a wraz z innymi do jakiegoś domu, gdzie siedział francuski generał z białymi wąsami, dwaj pułkownicy i inni Francuzi z opaskami na rękawach. Pierre'owi, tak samo jak innym zadawano z tą niby przewyższającą ludzkie słabości ścisłością i dokładnością, z jaką zwracają się zwykle do podsądnych, pytania: kim jest? gdzie był? w jakim celu? itp.

Pytania te, pomijając całkiem istotę spraw życiowych i wyłączając możliwość ujęcia tej istoty, jak wszystkie pytania zadawane w sądach, podstawiły tylko takie korytko, którym według życzenia sędzących miały spływać odpowiedzi podsądnego i doprowadzić do celu, tj. do oskarżenia. Gdy tylko podsądny zaczął mówić coś, co nie uwzględniało celu oskarżenia, wtedy usuwano korytko i woda mogła ciec gdzie się jej podobało. Prócz tego Pierre doświadczył tego uczucia, jakiego we wszystkich sądach doświadcza podsądny: zdziwienia, po co zadają mu te wszystkie pytania. Czuł, że tylko z łaskawości albo jakby z grzeczności używano wybiegu z podstawianiem korytka. Wiedział, że znajduje się we władzy tych ludzi, że tylko ich władza go tu przywiodła, że tylko władza dawała im prawo żądać odpowiedzi na pytania, że jedyny cel tego zebrania polegał na tym, żeby go oskarżyć. I dlatego, ponieważ była władza i była chęć oskarżenia, nie trzeba było pułapki pytań i sądu. Było widoczne, że wszystkie odpowiedzi powinny były doprowadzić do ustalenia winy. Na pytanie, co robił, gdy go ujęto, Pierre odpowiedział z pewnym tragizmem, że niósł do rodziców dziecko, *qu'il avait sauve des*

*flammes*³⁰⁷. Dlaczego się bil z maruderem? Pierre odpowiedział, że bronił kobiety, że obrona znieważonej kobiety jest obowiązkiem każdego człowieka, że... Przerwano mu: to nie dotyczyło sprawy. Po co był w podwórzu palącego się domu, gdzie widzieli go świadkowie? Odpowiedział, że szedł popatrzeć, co się dzieje w Moskwie. Przerwano mu znowu, nie pytając go, dokąd szedł, lecz dlaczego znajdował się koło pożaru. Kim jest? – powtórzono mu pierwsze pytanie, na które odparł, że nie chce odpowiedzieć. Podkreślił znowu, że tego nie może powiedzieć.

– Proszę zapisać. To niedobrze. Bardzo niedobrze surowo rzekł generał z białymi wąsami i rumianą twarzą. Czwartego dnia zaczęły się pożary na Zubowskim Wale. Pierre'a z trzynastoma innymi odprowadzono na Krymski Bród do wozowni kupieckiego domu. Idąc ulicami Pierre krztusił się dymem, który jak gdyby ogarniał całe miasto. Z różnych stron widać było łuny. Pierre wtedy nie rozumiał jeszcze znaczenia faktu, że Moskwa się pali, i z przerażeniem patrzył na te pożary.

W wozowni domu przy Krymskim Brodzie Pierre przebył jeszcze cztery dni i w tym czasie z rozmów francuskich żołnierzy dowiedział się, że wszyscy tu trzymanym czekają z dnia na dzień decyzji marszałka. Jakiego marszałka – Pierre nie mógł się dowiedzieć od żołnierzy. Żołnierzowi, oczywiście, marszałek przedstawiał się jako wysokie i nieco tajemnicze ogniwo władzy.

Te pierwsze dni do 8 września, dnia, w którym jeńców poprowadzono na powtórne badanie, były najcięższe dla Pierre'a.

³⁰⁷ Które uratował z płomieni.

X

8 września do jeńców w wozowni wszedł, sądząc z szacunku, z jakim go traktowali wartownicy, bardzo ważny oficer. Oficer ów, prawdopodobnie sztabowy, ze spisem w rękę sprawdził imiennie wszystkich Rosjan nazwawszy Pierre'a:

„*Celui, qui n'avoue pas son nom*”³⁰⁸. Obejrząwszy obojętnie i leniwie wszystkich jeńców, nakazał oficerowi warty porządknie ich odziać i oporządzić, nim zaprowadzi ich do marszałka. Po godzinie przybyła kompania żołnierzy i Pierre'a z trzynastoma innymi poprowadzono na Dziewicze Pole. Dzień był jasny, pogodny, po deszczu, a powietrze nadzwyczaj czyste. Dym nie płynął dołem jak tego dnia, kiedy Pierre'a prowadzono z odwachu na Zubowskim Wale, dym podnosił się słupami w czystym powietrzu. Łuny pożarów nigdzie nie było widać, ale ze wszystkich stron podnosiły się słupy dymu, i cała Moskwa, wszystko, jak daleko Pierre mógł sięgnąć wzrokiem, było jednym zgliszczem. Ze wszystkich stron widziało się spopielone miejsca z piecami i kominami, a gdzieniegdzie opalone mury kamienic. Pierre przyglądał się zgliszczom i nie poznawał znanych mu dzielnic miasta. Tu i ówdzie widać było ocalałe cerkwie. Nie zniszczony Kreml biał z daleka swymi wieżami i Iwanem Wielkim. W pobliżu urzekająco błyszczała kopuła Nowodziewiczego monasteru i szczególnie dźwięcznie rozlegał się głos dzwonów, wzywających na nabożeństwo. Dzwony przypominały Pierre'owi, że jest niedziela i święto Narodzenia Matki Boskiej. Ale wydawało się, że nie ma kto obchodzić tego święta: wszędzie były ruiny i zgliszcza, a z Rosjan widziało się tylko z rzadka oberwanych, wystraszonych ludzi, którzy kryli się na widok Francuzów.

Oczywiście, rosyjskie gniazdo zostało zniszczone i zburzone, ale Pierre, prócz tego, iż uświadamiał sobie unicestwienie tego rosyjskiego życia, instynktownie czuł, że w zniszczonym gnieździe zapanował swoisty, zupełnie inny, ale twardy francuski porządek. Czuł to na widok żołnierzy raźnie i wesoło idących w regularnych szeregach, którzy konwojowali jego i innych przestępców, czuł to na widok mijającego go jakiegoś wysokiego francuskiego urzędnika w dwukonnej kolasce, powożonej przez żołnierza. Czuł to słysząc radosne dźwięki pułkowej muzyki płynącej z lewej strony pola, a zwłaszcza odczuł to i zrozumiał z tej listy, którą przeczytał przybyły francuski oficer, wywołując jeńców. Pierre'a wzięli jacyś żołnierze, odprowadzono go najpierw w jedno, potem w drugie miejsce z dziesiątkami innych ludzi; zdawałoby się, mogliby zapomnieć o nim, mieszać go z innymi, ale nie! Odpowiedzi jego przy badaniu wróciły do niego w postaci nazwy: „*Celui qui n'avoue pas son nom*”. I pod tą nazwą, groźną dla Pierre'a, prowadzono go teraz dokądś z niewątpliwą pewnością wypisaną na twarzach, że wszyscy pozostali jeńcy i on sam byli tymi, których szukano, i że prowadzą ich tam, dokąd trzeba. Pierre czuł się nędzną szczapką, która dostała się w koło nie znanej mu, lecz prawidłowo działającej maszyny.

Pierre'a wraz z innymi przestępcami przyprowadzono na prawą stronę Dziewiczego Pola, w pobliżu monasteru, do wielkiego białego domu z ogromnym ogrodem. Był to dom księcia

³⁰⁸ Ten, co nie zdradza swego nazwiska.

Szczerbatowa, gdzie Pierre często przedtem bywał, a w którym teraz, jak się dowiedział z rozmowy żołnierzy, stał marszałek, książę Eckmuhl. Podprowadzono ich przed ganek i po jednym wprowadzano do domu. Pierre był szósty. Przez oszkloną galerię, sień, przedpokój, znane Pierreowi, wprowadzono go do długiego, niskiego gabinetu, gdzie przy drzwiach stał adiutant.

Davout siedział w końcu pokoju przy stole, w okularach na nosie. Pierre podszedł do niego blisko. Davout nie podniósł głowy, widocznie przeglądał jakieś pismo leżące przed nim. Wciąż nie podnosząc głowy zapytał cicho: „*Qui etes-vous?*”³⁰⁹

Pierre milczał dlatego, że nie miał sił wymówić słowa. Davout dla Pierre'a nie był po prostu francuskim generałem; dla Pierre'a Davout był człowiekiem znanym ze swego okrucieństwa. Patrząc na spokojną twarz Davouta, który niby surowy nauczyciel zgadzał się do czasu mieć cierpliwość i czekać na odpowiedź, Pierre czuł, że każda sekunda zwłoki może kosztować go życie, ale nie wiedział, co powiedzieć. Nie decydował się, by powiedzieć to samo, co mówił na pierwszym badaniu; ujawnić zaś swoje nazwisko i tytuł było niebezpiecznie i wstyd. Pierre milczał. Ale zanim zdążył zdecydować się na coś, Davout podniósł głowę, przesunął okulary na czoło, przymrużył oczy i wpatrywał się w Pierre'a.

– Ja znam tego człowieka – powiedział miarowym, chłodnym głosem, oczywiście z wyrachowaniem, żeby przstraszyć Pierre'a. Chłód przenikający przedtem plecy Pierrea objął jak szczypcami jego głowę.

– *Mon general, vous ne pouvez pas me connaitre, je ne vous ai jamais vu...*³¹⁰

– *C'est un espion russe*³¹¹ – przerwał mu Davout zwracając się do obecnego w pokoju drugiego generała, którego Pierre nie zauważył. Davout odwrócił się. Z nieoczekiwaną siłą w głosie Pierre nagle zaczął szybko mówić:

– Non, Monseigneur – powiedział przypomniawszy sobie nagle, że Davout jest księciem. – Non, Monseigneur, vous n'avez pas pu me connaitre. Je sws un officier militionnaire et je n'ai pas guitte Moscou.³¹²

– *Votre nom?*³¹³ – powtórzył Davout.

– Besouhof.

– *Qu'est-ce qui me provera que vous ne mentez pas?*³¹⁴

– *Monseigneur!*³¹⁵ – wykrzyknął Pierre głosem nie obrażonym, lecz błagalnym.

Davout podniósł oczy i badawczo popatrzył na Pierre'a. Patrzyli na siebie kilka sekund i to uratowało Pierre'a. W tym spojrzeniu, mimo wszelkich okoliczności wojny i sądu, między tymi dwoma ludźmi nawiązały się ludzkie stosunki. Obaj w tej chwili niejasno odczuli niezliczone mnóstwo spraw i zrozumieli, że obaj są dziećmi ludzkości, że są braćmi.

W pierwszym spojrzeniu Davouta, który podniósł tylko głowę znad swej listy, gdzie ludzkie sprawy i życie oznaczano numerami, Pierre był tylko okolicznością, i nie obciążając sumienia złym postępkami, Davout kazałby go zastrzelić, ale teraz widział już w nim człowieka. Zastanowił się przez chwilę.

– *Comment me prouvez-vous la verite de ce que vous me aites?*³¹⁶ – rzekł Davout chłodno.

³⁰⁹ Kto pan jest?

³¹⁰ Generale, pan nie może mnie znać, ja pana nigdy nie widziałem...

³¹¹ To rosyjski szpieg.

³¹² Nie, wasza wysokość, pan nie mógł mnie znać. Jestem oficerem pospolitego ruszenia i nic opuściłem Moskwy.

³¹³ Pańskie nazwisko?

³¹⁴ Jak się przekonam, że pan nie kłamiesz?

³¹⁵ Wasza książęca mość!

³¹⁶ Jak dowiedziesz, że mówisz prawdę?

– Pierre przypomniał sobie Ramballe'a i wymienił jego pułk oraz nazwisko i ulicę, przy której stał dom.

– Vous n'etes pas ce que vous dites ³¹⁷ – znowu powiedział Davout.

Pierre drżącym, urywanym głosem zaczął przytaczać dowody prawdziwości swego zeznania.

Ale w tej chwili wszedł adiutant i coś Davoulowi zakomunikował. Davout rozjaśnił się, zadowolony z wiadomości przekazanej mu przez adiutanta, i zaczął zapinać mundur. Widocznie zupełnie zapomniał o Bezuchowie.

Gdy adiutant przypomniał mu o jeńcu, zachmurzywszy się skinął w stronę Pierre'a i powiedział, żeby go odprowadzono. Ale dokąd miano go odprowadzić, Pierre nie wiedział: czy z powrotem do wozowni, czy na przygotowane miejsce egzekucji, które, idąc przez Dziewicze Pole, pokazywali mu towarzysze.

Odwrócił głowę i zobaczył, że adiutant powtórnie pyta o coś.

– *Oui, sans doute!*³¹⁸ – powiedział Davout: ale co znaczyło „tak”, Pierre nie wiedział.

Pierre nie pamiętał, ani jak, ani jak długo, ani dokąd szedł. W stanie zupełnej bezmyślności i ośpienia, nic wkoło siebie nie widząc, przestawiał nogi razem z innymi tak długo, aż wszyscy stanęli, a wtedy zatrzymał się i on.

Przez cały ten czas jedna tylko myśl plątała mu się po głowie, myśl o tym: kto, któż wreszcie skazał go na stracenie? Nie byli to ci ludzie, którzy go badali w komisji, bo z nich ani jeden nie chciał i, oczywiście, nie mógł tego zrobić.

Nie był to Davout, który tak po ludzku spojrział na niego. Jeszcze chwila i Davout zrozumiałby, że postępuje źle, ale właśnie przeszkodził mu adiutant, który wszedł. I adiutant też, oczywiście, nie chciał nic złego, ale mógłby był nie wchodzić. Któż to, wreszcie, jego – Pierre'a, tracił, zabijał, pozbawiał życia ze wszystkimi jego wspomnieniami, dążnościami, nadziejami, myślami?

Był to układ, zbieg okoliczności.

Jakiś układ zdarzeń zabijał jego – Pierre'a, pozbawiał go życia, wszystkiego, unicestwiał go.

³¹⁷ Nie jesteś pan tym, za kogo się podajesz.

³¹⁸ Tak, oczywiście.

XI

Z domu księcia Szczerbatowa poprowadzono jeńców prosto w dół Dziewiczym Polem, w lewo od Dziewiczego monasteru, i doprowadzono do ogrodu, w którym stał słupek. Za słupem był wykopany duży dół, z ziemią świeżo wyrzuconą, a wokoło dołu i słupa półkolem stał wielki tłum ludzi. Tłum składał się z niewielu Rosjan i dużej liczby żołnierzy napoleońskich stojących luzem: Niemców, Włochów i Francuzów w rozmaitych mundurach. Po prawej i lewej stronie słupa stało szeregiem francuskie wojsko w niebieskich mundurach z czerwonymi naramiennikami, w getrach i kiwiorach.

Przestępców rozstawiono w pewnym porządku, zgodnie z listą (Pierre stał szósty), i doprowadzono do słupa. Nagle z dwóch stron uderzono w kilka werbli i Pierre uczuł, że z tym dźwiękiem jakby oderwała się część jego duszy. Stracił zdolność myślenia i rozważania. Mógł tylko widzieć i słyszeć. I miał tylko jedno życzenie – aby jak najprędzej stało się to coś straszliwego, co się miało stać. Pierre oglądał się na swych towarzyszy i przypatrywał się im.

Dwaj ludzie z brzegu byli to ostrzyżeni kryminaliści. Jeden – wysoki, chudy, drugi – czarny, kędzierzawy, muskularny, z przyplaszczonym nosem. Trzeci był to służący, lat czterdziestu pięciu, z siwiejącymi włosami i z ciałem pełnym, dobrze odżywionym. Czwarty – chłop bardzo piękny, z rozłożystą jasną brodą i czarnymi oczami. Piąty był robotnikiem fabrycznym – żółty, chudy, mały, lat osiemnaście, w kaftanie.

Pierre słyszał, że Francuzi naradzali się, jak rozstrzeliwać: po jednym czy po dwóch. „Po dwóch” – chłodno, spokojnie odpowiedział starszy oficer. Nastąpiło przegrupowanie w szeregach żołnierzy i widać było, że się wszyscy śpieszą, a śpieszyli się nie tak, jak się śpieszą ludzie, by wykonać zrozumiałą dla wszystkich robotę, ale tak, jak się śpieszą, żeby skończyć sprawę konieczną, ale nieprzyjemną i niezrozumiałą.

Urzędnik-Francuz z szarfą podszedł do prawego rzędu przestępców i przeczytał wyrok po rosyjsku i po francusku.

Następnie dwie dwójki Francuzów podeszły do przestępców i chwyciły wedle wskazówki oficera dwóch kryminalistów stojących z brzegu. Kryminaliści podszedłszy do słupa zatrzymali się i zanim przyniesiono worki, milcząc rozglądali się dokoła, jak patrzy ranne zwierzę na zbliżającego się myśliwca. Jeden wciąż się żegnał, drugi drapał się w plecy i poruszał wargami jakby w uśmiechu. Żołnierze pośpiesznie zaczęli zawiązywać im oczy, nakładać worki i wiązać do słupa.

Dwunastu strzelców z karabinami wyszło spoza szeregów miarowym twardym krokiem i zatrzymało się w odległości ośmiu kroków od słupa. Pierre odwrócił się, żeby nie widzieć tego, co będzie. Nagle rozległ się trzask i łoskot, który wydał się Pierre'owi głośniejszy niż najsilniejsze uderzenie pioruna. Obejrzał się. Widać było dym, a Francuzi, z bladymi twarzami i drżącymi rękami, coś robili przy dole. Podprowadzono następnych dwóch. Tak samo, takim samym wzrokiem i ci dwaj patrzyli na wszystkich, daremnie, milcząco, jedynie wzrokiem

prosząc o ratunek, i widocznie nie rozumieli i nie wierzyli temu, co się stanie. Nie mogli wierzyć dlatego, że tylko oni wiedzieli, czym było dla nich życie, i dlatego nie rozumieli i nie wierzyli, żeby można było je zabrać.

Pierre nie chciał patrzeć i znowu się odwrócił, ale znowu jakby straszliwy wybuch poraził jego słuch. Jednocześnie z tym hukiem ujrzał dym, czyjąś krew i blade, przestraszone twarze Francuzów, znowu coś robiących przy słupie i popychających się wzajemnie drżącymi rękami. Ciężko dysząc Pierre oglądał się wkoło siebie, jakby zapytywał: co to takiego? To samo pytanie było we wszystkich spojrzeniach, z którymi spotykało się spojrzenie Pierre'a.

Na wszystkich twarzach Rosjan, na twarzach żołnierzy francuskich, oficerów, na wszystkich bez wyjątku widział taki sam strach, przerażenie i walkę, jakie odczuwał w swym sercu. „Więc kto to, ostatecznie, robił? Wszyscy oni tak samo cierpią jak ja. Kto to? Kto?” – błysnęło w duszy Pierre'a na sekundę.

– *Tirailleurs du 86-me, en mant!*³¹⁹ – krzyknął ktoś. Podprowadzono piątego, który stał obok Pierre'a – samego. Pierre nie zrozumiał, że jest ocalony, że jego i wszystkich pozostałych przyprowadzono tu tylko po to, aby byli obecni przy egzekucji. Z coraz bardziej wzrastającym przerażeniem patrzył na to, co się działo, nie czując ani radości, ani uspokojenia. Piątym był robotnik fabryczny w kaftanie. Zaledwie go dotknęto, odskoczył przerażony i uchwycił Pierre'a. (Pierre wzdrygnął się i oderwał się od niego.) Robotnik nie mógł iść. Wleczono go pod ręce, a on coś krzy czał. Gdy go podprowadzono do słupa, nagle zamilkł. Jakby w tym momencie coś zrozumiał. Czy rozumiał, że na próżno krzyczy? Czy że niemożliwe, aby go ludzie zabili. Stał pod słupem, oglądając się dokoła błyszczącymi oczami, jak postrzelone zwierzę, i czekał, aż mu przewiążą oczy.

Pierre już nie miał siły odwrócić się i zamknąć oczu. Ciekawość i wzburzenie jego i całego tłumu przy tym piątym morderstwie doszły do szczytu. Tak samo jak inni, ten piąty wydawał się spokojny: otulał się kaftanem i drapał jedną bosą nogą drugą.

Gdy mu zawiązywano oczy, sam poprawił na tyle głowy węzeł, który go uciskał, następnie, gdy go oparto o zakrwawiony słup, odchylił się w tył, a że w tym położeniu było mu niewygodnie, zmienił pozycję i wyprostowawszy nogi, spokojnie wsparł się o słup. Pierre nie spuszczał z niego wzroku, nie przeoczył najmniejszego jego ruchu.

Chyba słyhać było komendę, chyba po komendzie huknęła salwa ośmiu karabinów. Ale Pierre później w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, czy słyszał choć najśłabszy trzask wystrzałów. Zobaczył tylko, jak dłaczegoś nagle robotnik zawisnął na sznurach, jak ukazała się krew w dwóch miejscach i jak sznury pod ciężarem zwisającego ciała same się rozluźniły i robotnik, opuściwszy nienaturalnie głowę i podwinawszy nogę, usiadł. Pierre podbiegł do słupa. Nikt go nie zatrzymywał. Przy robotniku coś robili przestraszeni, bladzi ludzie. Jakiemuś staremu, wąsatemu Francuzowi drżała dolna szczeka, gdy odwiązywał sznury. Ciało się osunęło. Żołnierze niesprawnie i pośpiesznie zawlekli je za słup i zaczęli spychać do dołu.

Wszyscy, oczywiście, na pewno wiedzieli, że są przestępcami i że muszą jak najprędzej ukryć ślady swego przestępstwa.

Pierre zajrzał do dołu i zobaczył, że robotnik leży w nim kolanami do góry, blisko głowy, a jedno ramię ma wyżej niż drugie. Ale już łopaty zasypywały ziemią całe ciało. Jeden z żołnierzy krzyknął na Pierre'a gniewnie, ze złością, boleśnie, żeby odszedł. Ale Pierre nie rozumiał go i stał przy słupie, a nikt nie kazał mu odejść.

Gdy dół całkowicie już zasypano, rozległa się komenda. Pierre'a odprowadzono na miejsce, a żołnierze francuscy, stojący szeregami po obu stronach słupa, dokonali półobrotu i zaczęli

³¹⁹ Strzelcy 86 pułku, naprzód!

przechodzić miarowym krokiem koło słupa. Dwudziestu czterech strzelców z rozładowanymi karabinami, stojących w środku koła, zajmowało biegiem swe miejsca, w chwili gdy przechodziły obok nich kompanie.

Pierre patrzył teraz bezmyślnie na strzelców, którzy dwójkami wybiegali z koła. Młody żołnierz z trupioblada twarzą, z kiwiolem zsuniętym na ciemię, wciąż jeszcze stał przed dołem na tym miejscu, z którego strzelał. Zataczał się jak pijany, idąc to naprzód, to w tył kilka kroków, żeby podtrzymać swe upadające ciało. Stary żołnierz, podoficer, wybiegł z szeregów i chwyciwszy za ramię młodego żołnierza, wciągnął go do kompanii. Tłum Rosjan i Francuzów zaczął się rozchodzić. Wszyscy szli w milczeniu z opuszczonymi głowami.

– *Ca leur apprendra a incendier*³²⁰ – powiedział ktoś z Francuzów. Pierre obejrzał się na mówiącego i zobaczył, że był to żołnierz, który chciał czymkolwiek usprawiedliwić to, co zrobiono, ale nie mógł. Nie dokończywszy zdania machnął ręką i odszedł

³²⁰ To ich oduczysz podpalać.

XII

Po egzekucji odłączono Pierre'a od innych podsądnych i pozostawiono samego w niewielkiej, zniszczonej cerkwi.

Przed wieczorem wszedł do cerkwi podoficer warty z dwoma żołnierzami i powiadomił Pierre'a, że go ułaskawiono i że przejdzie teraz do baraków jeńców wojennych. Nie rozumiejąc tego, co mu powiedziano, Pierre wstał i poszedł z żołnierzami. Przyprawiono go do baraków, zbudowanych na wzniesieniu z opalonych desek, belek i gładkiej tarcicy, i wprowadzono do jednego z nich. Otoczyło go w ciemności około dwudziestu różnych ludzi. Pierre patrzył na nich nie rozumiejąc, kim są ci ludzie, po co tu są i czego chcą od niego. Słyszał słowa, z którymi zwracano się do niego, ale nie wyciągał z nich żadnego wniosku lub zastosowania: nie rozumiał ich znaczenia. Odpowiadał na to, o co go pytano, ale nie orientował się, kto go słucha i jak rozumieją jego odpowiedzi. Patrzył na twarze i postacie i wszystkie wydawały mu się jednakowo bezmyślne.

Od chwili gdy Pierre zobaczył to straszne morderstwo dokonane przez ludzi, którzy nie chcieli tego zrobić, z duszy jego jak gdyby wyrwano sprężynę, na której wszystko się trzymało i wydawało się żywe, i wszystko zważyło się w kupę bezsensownego śmiecia. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, zaważyła się w nim wiara w porządek świata i w duszę ludzką, i we własną duszę, i w Boga. Tego doświadczał Pierre i przedtem, ale nigdy z taką siłą jak teraz. Dawniej, gdy go opanowywały tego rodzaju zwątpienia, źródłem ich była jego własna wina. I w głębi duszy Pierre czuł wtedy, że lekarstwo na tę rozpacz i zwątpienia znajdzie w sobie. Ale teraz czuł, że nie ponosi winy za to, iż świat runął w jego oczach i pozostały tylko bezsensowne ruiny. Czuł, że powrót do wiary w życie nie zależy od niego.

Dokoła w ciemnościach stali ludzie: zapewne coś bardzo ich w nim interesowało. O czymś mu opowiadano, o coś pytano, potem dokądś go poprowadzono i w końcu znalazł się w kącie baraku obok jakichś ludzi, którzy śmieli się i nawoływali z różnych stron.

– No i, ludzie kochane... ten sam książę, który... – słowo „który” ze szczególnym akcentem wypowiedział czyjś głos z przeciwległego kąta baraku.

Milczący, siedząc bez ruchu na słomie pod ścianą, Pierre to otwierał, to zamykał oczy. Ale gdy tylko je zamknął, widział przed sobą tę samą straszną, szczególnie straszną w swej postaci twarz robotnika i jeszcze bardziej straszne w swym niepokoju twarze mimowolnych morderców. I znowu otwierał oczy, i bezmyślnie patrzył w ciemnościach wkoło.

Obok niego siedział, pochylony, jakiś mały człowiek, którego obecność Pierre zauważył od początku po ostrym zapachu potu, jaki bił od niego przy każdym ruchu. Człowiek ten robił coś po ciemku przy swych nogach i mimo że Pierre nie widział jego twarzy, czuł, że tamten nieustannie na niego spogląda. Rozejrzawszy się w ciemności Pierre zrozumiał, że ten człowiek się rozzuwa. A to, jakim sposobem to robił, zainteresowało Pierre'a. Rozmotawszy sznurki, którymi obwiązana była jedna noga, starannie je zwinął i natychmiast wziął się do drugiej nogi

spoglądając na Pierre'a. Gdy jedna ręka wieszała sznurki, druga już zaczynała rozmotywać drugą nogę. W ten sposób starannie, okrągłymi, szybkimi, bez przerwy następującymi po sobie ruchami rozzuwszy się, człowiek rozwiesił obuwie na kółeczkach wbitych nad głową, wyjął kozik, oberżnął coś, złożył kozik, włożył go pod głowę i usiadłszy wygodniej, objął swe zgięte kolana obiema rękami i skierował wzrok prosto na Pierre'a. Pierre odczuł coś przyjemnego, uspokajającego i krągłego w tych szybkich ruchach, w tym dobrze urządzonym w jego kącie gospodarstwie, a nawet w zapachu tego człowieka, i nie spuszczał z niego oczu.

– A dużoście biedy zażyli, panie, co? – odezwał się nagle mały człowieczek. I tyle delikatności i prostoty było w śpiewnym głosie tego człowieczka, że Pierre chciał odpowiedzieć, ale zadrgała mu szczęka i poczuł łzy. Mały człowiek natychmiast – nie pozwalając, by Pierre okazał wzruszenie – zaczął mówić podobnie przyjemnym głosem.

– E, sokoliku, nie martw się – mówił tym tkliwie śpiewnym i serdecznym głosem, jakim mówią stare baby rosyjskie – nie martw się, kochasiu: godzina bólu, a cały wiek życia! Tak, mój miły. A żyjemy sobie tu, Bogu dzięki, bez krzywdy. Ludzie też i źli, i dobrzy są – powiedział. Mówiąc jeszcze, giętkim ruchem przegiął się na kolana, wstał i pokaszując poszedł gdzieś.

– Widzisz go, przyszedł, szelma! – usłyszał Pierre w końcu baraku ten sam miły głos. – Przyszedł, szelma, pamięta! No, no, dosyć. – I żołnierz, odpychając od siebie psiaka skaczącego mu do piersi, wrócił na swoje miejsce i usiadł. W rękach miał coś zawiniętego w szmacie.

– No, pojedzcie sobie, panie – powiedział wracając do poprzedniego, pełnego szacunku tonu i odwijając szmatkę podał Pierre'owi kilka pieczonych kartofli. – Na obiad była polewka. Ale kartofle ważniejsze.

Pierre przez cały dzień nic nie jadł i zapach kartofli wydawał mu się nadzwyczaj przyjemny. Podziękował żołnierzowi i zaczął jeść.

– Cóż, jakże to? – uśmiechając się rzekł żołnierz i wziął jeden kartofel. – Widzisz, ot tak. – Wyjął znowu kozik, rozkroił na dłoni kartofel na dwie równe części, posypał solą ze szmatki i podał Pierre'owi.

– Kartofle najważniejsze – powtórzył. – Jedz, o tak. Pierre'owi wydawało się, że nigdy nie jadł nic smaczniejszego.

– Nie, wszystko to nic – powiedział Pierre – ale dlaczego oni rozstrzelali tych nieszczęsnych!... Ostatni – dwadzieścia lat.

– Ts... ts... – powiedział mały człowieczek. – Grzechy nasze, to nasze grzechy... – szybko dodał i jakby miał słowa zawsze gotowe w ustach, skąd niespodzianie wylatywały, ciągnął dalej:

– Cóż to, panie, zostaliście się tak w Moskwie?

– Nie myślałem, że oni tak prędko wejdą. Nie chciałem zostać.

– A jakże oni cię wzięli, sokoliku, z twego domu?

– Nie, poszedłem do pożaru i tam mnie schwytano i sądzono za podpalenie.

– Gdzie sąd, tam i bezprawie – wtrącił mały człowieczek.

– A ty tu dawno? – zapytał Pierre dojadając ostatniego kartofla.

– Ja? W tę niedzielę wzięli mnie ze szpitala w Moskwie.

– Któż ty jesteś? Żołnierz?

Żołnierz Apszerońskiego pułku. Na febrę umierałem. Nawet nam nic nie powiedzieli. Naszych ludzi leżało ze dwudziestu. Aniśmy się spodziali.

– Cóż, bardzo ci się tu przykrzy? – spytał Pierre.

– Jakże ma się nie przykrzyć, sokoliku! Na imię mam Platon, nazwisko Karatajew – dodał, dlatego widocznie, żeby Pierre'owi ułatwić zwracanie się do niego. – „Sokolikiemna służbie przezwali. Jakże się ma nie przykrzyć, sokoliku! Moskwa – ona przecie matka miast. Jakże bez przykrości na to patrzeć. Tak, czerw kapustę zżera, a sam wcześniej umiera, tak starzy powiadali

– dodał szybko.

– Jak, jakżeś to powiedział? – zapytał Pierre.

– Ja? – spytał Karatajew. – Ja mówię: nie naszym rozumem, jeno boskim sądem – rzekł myśląc, że powtarza, co powiedział, i natychmiast ciągnął dalej: – Toć pewno macie, panie, i dziedzictwo? I dom macie? Znaczy, pełna miska! I gospodynię macie? A starzy rodzice żyją? – pytał. I chociaż Pierre nie widział w ciemności, czuł, że żołnierzowi ścigały się wargi wstrzymywanym, przyjaznym uśmiechem, w czasie gdy go wypytywał. Karatajew widocznie był zmartwiony, że Pierre nie miał rodziców, a szczególnie matki.

– Żona do rady, teściowa do zwady, nic miłszego od rodzonej matki! – powiedział. – No, a dzieciątka macie? – pytał dalej. Przecząca odpowiedź Pierre'a znowu go widocznie zmartwiła, więc pośpieszył dodać: – Cóż, ludzie młodzi; Bóg da, jeszcze będą. Byle tylko w zgodzie żyć...

– Przecie teraz wszystko jedno – mimo woli powiedział Pierre.

– Ech, człowieku kochany – sprzeciwił się Platon – torby i więzienia nigdy się nie zarzekaj. – Usiadł wygodniej, odkaszlnął, widocznie przygotowując się do dłuższej opowieści. – Tak to, druhu kochany, byłem jeszcze w domu – rozpoczął. – Wieś nasza bogata, dużo ziemi, dobrze chłopci żyją i nasz dom też – chwała Bogu. W siedmiu ojciec chodził kosić. Żyliśmy dobrze. Prawiśmy chrześcijanie byli. Zdarzyło się... – I Platon Karatajew opowiedział długą historię, jak pojechał do cudzego lasu po drzewo i wpadł w ręce gajowego, jak go ćwiczyli różgami, zasądzał i posłał do wojska. – Cóż, sokoliku – mówił głosem zmienionym od uśmiechu. – Myśleli – cierpienia, a wyszła radość! Brat by musiał iść, żeby nie mój grzech. A młodszy brat ma pięcioro dzieci, a po mnie to tylko żołnierka ostała. Była dziewczynka, to ją Bóg zabrał jeszcze przed żołnierstwem. Przyszedłem do domu pogościć, powiadam ci. Patrzą – lepiej żyją jak dawniej. Gadziny pełne podwórze, baby w domu, dwaj bracia na zarobku. Jeden Michajło, najmłodszy, w domu. Ojciec mówi: „Mnie – powiada – wszystkie dzieci równe: w który by palec nie ukąszono, zawsze boli. A jakby wtenczas nie wzięli Platona, poszedłby Michajło”. Zwołał nas wszystkich – czy uwierzysz – ustawił przed obrazami. „Michajło – mówi – chodź tu, kłaniaj mu się nisko i ty, babo, pokłoń się, kłaniajcie się, wnuczeta. Zrozumieliście?” – mówi. Tak to, druhu kochany. Los głowy szuka. A my wciąż osądzamy: to niedobrze, to nie w porządku. Nasze szczęście, kochaneczku, jak woda w wiecierzu: ciągniesz – nadeło się, a wyciągniesz – nic nie ma. Tak, tak. – I Platon przesiadł się na swojej słomie. Pomilczawszy jakiś czas Platon wstał.

– Cóż, na pewno chcesz spać? – powiedział i zaczął się szybko żegnać powtarzając:

– Panie Jezu Chryste, Nikoła, wybrańcze Pański, Froła i Ławra! Panie Jezu Chryste, Nikoła, wybrańcze Pański, Froła i Ławra! Jezu Panie Chryste, zmiłuj się nad nami i zbaw nas! – zakończył, złożył pokłon do ziemi, wstał, westchnął i usiadł na swojej słomie. – Ach, tak, tak. Połóż Boże, kamykiem, podnieś kołaczykiem – powiedział i legł naciągając na siebie płaszcz.

– Jakaś ty modlitwę odmawiał? – spytał Pierre.

– Hę? – mruknął Platon (zdążył już zasnąć). – Co odmawiałem? Modliłem się. A czy ty się nie modlisz?

– Tak, i ja się modlę – powiedział Pierre. – Ale dlaczegoś ty mówił: Froła i Ławra?

– No, a jakże? – szybko odrzekł Platon – końskie święto. I żywinę trzeba uważać – powiedział Karatajew. – Widzisz, jak się to szelma zwinęła. Ugrzała się, pieska córka – powiedział pomacawszy psa u swych nóg i odwróciwszy się znowu, zaraz zasnął.

Na dworze słyhać było skądś z daleka płacz i krzyki, a przez szczeliny baraku widać było płomienie, ale w baraku było cicho i ciemno. Pierre długo nie mógł zasnąć, leżał z otwartymi oczami na swym miejscu w ciemnościach, przysłuchując się miarowemu chrapaniu Platona leżącego blisko niego, i czuł, że świat, zrujnowany poprzednio, teraz porusza się w jego duszy w

nowej krasie, na jakichś nowych, niezachwianych podstawach.

XIII

W baraku, w którym się znalazł Pierre i w którym przebył cztery tygodnie, siedziało dwudziestu trzech jeńców żołnierzy, trzech oficerów i dwóch urzędników.

Wszystkich ich Pierre przypominał sobie potem jak we mgle, tylko Platon Karatajew pozostał mu zawsze w duszy jako najsilniejsze i najdroższe wspomnienie i ucieleśnienie wszystkiego, co rosyjskie, co dobre, co krągłe. Gdy nazajutrz o świcie Pierre zobaczył swego sąsiada, pierwsze wrażenie czegoś krągłego potwierdziło się w zupełności. Cała postać Platona we francuskim płaszczu, podpasanym postronkiem, w czapce i łapciach, była krągła. Głowę miał zupełnie okrągłą; plecy, piersi, ramiona, nawet ręce, trzymane jakby w gotowości objęcia czegoś, były okrągłe, przyjemny uśmiech i duże, piwne, łagodne oczy były okrągłe.

Platon Karatajew był chyba po pięćdziesiątce, sądząc z jego opowiadań o kampaniach, w których brał udział jako dawny żołnierz. Sam nie wiedział i w żaden sposób nie potrafił określić, ile ma lat. Ale zęby jego, białe i mocne, które wylaniały się dwoma półkolami w uśmiechu (co się często zdarzało), były piękne i zdrowe, nie miał ani jednego siwego włosa w brodzie i włosach, a całe jego ciało wyglądało gibko, silnie i wytrzymałe.

Twarz jego, mimo drobnych, okrągłych zmarszczek, miała wyraz niewinny i młodzieńczy, głos był przyjemny, śpiewny. Ale główna osobliwość w jego mowie polegała na bezpośredniości i pośpiechu. Nigdy, widocznie, nie myślał o tym, co powiedział i co powie; i stąd w szybkości i szczerości jego intonacji była szczególna, nieodparta dobitność i siła przekonywania.

Jego fizyczne siły i ruchliwość w początku niewoli były takie, że wydawało się, iż nie rozumie, co to jest zmęczenie i choroba. Codziennie wieczorem kładąc się mówił:

„Połóż mnie, Panie, kamykiem, a podnieś kołaczykiem”;

wstając rano zawsze jednako poruszał ramionami i mówił:

„Legł – zwinął się, wstał – wstrząsnął się”. Rzeczywiście, wystarczyło, by się położył, a natychmiast zasypiał kamiennym snem, i wystarczyło, by się ocknął, a zaraz bez chwili zwłoki zajmował się jakąś pracą, jak dzieci, które zaczynają się bawić, gdy tylko wstaną. Wszystko umiał zrobić, nie bardzo dobrze, ale też i nie źle. Piekł, gotował, szył, strugał, naprawiał buty. Zawsze był zajęty i tylko nocami pozwalał sobie na rozmowy i śpiew, które lubił. Śpiewał piosenki nie tak, jak śpiewają pieśniarze, którzy wiedzą, że ich słuchają; śpiewał jak ptaki, widocznie dlatego, że wydawanie tych dźwięków było mu tak samo niezbędne, jak niezbędne bywa przecignięcie się lub rozprostowanie nóg, i dźwięki te zawsze były wysokie, delikatne, prawie kobiece, tęskliwe, a twarz miał przy tym bardzo poważną.

Dostawszy się do niewoli, obrószszy na nowo brodą, widocznie zrzucił z siebie wszystko obce, co mu narzuciło obce, żołnierskie życie, i instynktownie wrócił do poprzedniego chłopskiego, ludowego życia.

– Żołnierz na urlopie – koszula na portki – mawiał. Niechętnie opowiadał o swym żołnierskim życiu, chociaż nie narzekał i często powtarzał, że przez całą służbę ani razu nie był

bity. Gdy opowiadał, to przeważnie o swych starych i widocznie drogich mu wspomnieniach „krześcijańskiego”, jak wymawiał, chłopskiego bytu³²¹. Przysłowia, którymi szafował, nie były nieprzyzwoite i zuchwałe, jakie przeważnie opowiadają żołnierze, lecz – ludowe pogaduszki, które wydają się tak mało znaczące w oderwaniu, a które nagle, gdy się je powie w stosownej chwili, nabierają głębokiej mądrości.

Często wypowiadał rzeczy zupełnie sprzeczne z tymi,

które mówił poprzednio, ale i to, i tamto było słuszne. Lubił mówić i mówił dobrze, upiększając swą mowę przymilnymi pochlebstwami i przysłowiami, które, jak się wydawało Pierre'owi, sam tworzył; ale główne piękno jego opowiadań polegało na tym, że w jego opowiadaniu najprostsze wydarzenia, często te same, na jakie Pierre patrzył nie zauważywszy ich, nabierały charakteru uroczystej solenności. Lubił słuchać bajek, które opowiadał wieczorami (wciąż te same) jeden z żołnierzy, ale najbardziej lubił słuchać opowiadania o prawdziwym życiu. Uśmiechał się radośnie, słuchając takich opowiadań, wtrącając swoje słowa i zadając pytania w tym celu, żeby sobie wyjaśnić piękno tego, o czym mu opowiadano. Przywiązana przyjaźni, miłości, jak je Pierre rozumiał, Karatajew nie czuł wcale, ale kochał i żył w miłości ze wszystkim, z czym go łączyło życie, a zwłaszcza z człowiekiem – nie z jakimś określonym człowiekiem, lecz z tymi ludźmi, których miał przed oczami. Kochał swego kundla, kochał towarzyszy, Francuzów, kochał Pierre'a, który był jego sąsiadem, ale Pierre czuł, że Karatajew, mimo całej swej uprzejmej delikatności w stosunku do niego (którą mimowolnie oddawał daninę duchowemu życiu Pierre'a), ani na chwilę nie zmartwiłby się rozłąką z nim. I Pierre zaczynał doświadczać takiego uczucia względem Karatajewa.

Platon Karatajew był dla wszystkich jeńców najwykolejszym żołnierzem; nazywano go „sokolikiem” lub Płatoszem, podrwiwano dobrodusznie z niego, używano do posyłek. Ale dla Pierre'a został na zawsze takim, jak przedstawił się pierwszej nocy: niedoścignionym, krągłym i wiecznym ucieleśnieniem ducha prostoty i prawdy.

Platon Karatajew nic nie umiał na pamięć prócz swego pacierza. Gdy zaczynał opowiadać, wydawało się, że nie wiedział, na czym skończy.

Niekiedy Pierre, uderzony sensem jego opowiadania, prosił, by mu je powtórzył, jednak Platon nie mógł sobie przypomnieć, co powiedział przed chwilą, podobnie jak w żaden sposób nie mógł Pierre'owi powtórzyć tekstu swej ulubionej piosenki. Było w niej: „kochana, brzozeńka”, i „smutno mi”, ale powiedziane słowami, nie miało to żadnego sensu. Nie rozumiał i nie mógł zrozumieć znaczenia słów, wziętych oddzielnie z opowiadania. Każde jego słowo i każdy czyn były przejawem nie znanego mu działania, którym było jego życie. Ale życie jego, jak sam na nie patrzył, nie miało sensu jako życie indywidualne. Miało ono sens tylko jako cząstka całości, którą stale odczuwał. Jego mowa i czyny wpływały z niego tak miarowo, nieuchronnie i bezpośrednio, jak wydziela się zapach z kwiatka. Nie mógł zrozumieć ani wartości, ani znaczenia czynu albo słowa, wziętych oddzielnie.

³²¹ Trudna do przetłumaczenia gra słów. Krest'jamn – chtop; christyanin – chrześcijanin.

XIV

Otrzymałszy wiadomość od Mikołaja, że brat jej znajduje się z Rostowami w Jarosławiu, księżniczka Maria, chociaż ciotka jej odradzała, natychmiast przygotowała się do wyjazdu, i to nie sama, lecz z bratankiem. Było to trudne czy nietrudne, możliwe czy niemożliwe, nie pytała i nie chciała o tym słyszeć: jej obowiązkiem było nie tylko być przy bracie, może umierającym, ale i uczynić wszystko, żeby przywieźć mu syna, więc zdecydowała się jechać. Brak wiadomości od księcia Andrzeja księżniczka Maria wyjaśniała tym, że albo jest zbyt słaby, żeby pisać, albo że uważał tę długą drogę dla niej i dla syna za zbyt ciężką i niebezpieczną.

W ciągu kilku dni księżniczka Maria była gotowa do drogi. Zaprzęg jej stanowiła ogromna książęca karetka, w której przyjechała do Woroneża, bryczki i wozy. Wyjeżdżali z nią m-lle Bourienne, Nikołuszka z guwernerem, stara niania, trzy dziewczyny, Tichon, miody lokaj i hajduk, którego ciotka dała jej w drogę.

Jazda zwykłym szlakiem na Moskwę była nie do pomyślenia, a droga okólna, którą powinna była jechać księżniczka Maria – na Lipieck, Riazan, Władimir, Szuję – była bardzo długa ze względu na brak wszędzie koni pocztowych i bardzo trudna, a pod Riazaniem, gdzie (jak mówiono) pokazywali się Francuzi, nawet niebezpieczna.

W czasie tej trudnej podróży m-lle Bourienne, Dessales i służba księżniczki Marii byli zdziwieni jej siłą ducha i energią. Najpóźniej ze wszystkich szła spać, najwcześniej wstawiała i żadne przeszkody nie mogły jej zatrzymać. Dzięki jej zaradności i energii, które ożywiały jej towarzyszy podróży, w końcu drugiego tygodnia dojeżdżali do Jarosławia.

Pod koniec swego pobytu w Woroneżu księżniczka Maria doświadczyła największego szczęścia w życiu. Miłość jej do Rostowa już jej nie męczyła i nie wzburzała. Miłość ta przepelniła całą jej duszę, stała się nierozłączną częścią jej samej, więc już z nią nie walczyła. Księżniczka Maria ostatnio przekonała się – chociaż nigdy jasno, wyraźnie nie mówiła sobie tego – że była kochana i kochała. Przekonała się o tym podczas ostatniego spotkania z Mikołajem, kiedy przyjechał powiadomić ją, że brat jej jest z Rostowami. Mikołaj ani słowem nie wspomniał, że teraz (w razie wyzdrowienia księcia Andrzeja) poprzednie stosunki między nim a Nataszą mogą się wznowić, ale księżniczka Maria widziała w jego twarzy, że wie i myśli o tym. I mimo to jego stosunek do niej, uprzedzający, delikatny, pełen miłości, nie tylko się nie zmienił, lecz wydawało się, że Mikołaj cieszy się z tego, iż pokrewieństwo między nim i księżniczką Marią pozwoli mu na większą swobodę wyrażenia jej swej miłosnej przyjaźni, jak niekiedy myślała księżniczka Maria. Księżniczka Maria wiedziała, że kocha po raz pierwszy i ostami była więc szczęśliwa w życiu, i czuła, że jest kochana i spokojna.

Ale to szczęście, które odczuwała w głębi duszy, nie tylko nie przeszkadzało jej cierpieć z powodu brata, przeciwnie, ów spokój duszy pozwalał jej całkowicie oddać się temu uczuciu. Uczucie to było tak silne w pierwszej chwili wyjazdu z Woroneża, że odprowadzający ją byli przekonani, patrząc na jej umęczoną, przejętą rozpaczą twarz, że na pewno zachoruje w drodze,

lecz właśnie trudności i kłopoty podróży, którymi się tak dzielnie zajęła księżniczka Maria, ratowały ją chwilowo od cierpień i dodały jej siły.

Jak to zawsze bywa w czasie podróży, księżniczka Maria myślała tylko o niej, zapominając, co było jej celem. Ale gdy podjeżdżała do Jarosławia, gdy wyobraziła sobie znowu to, co mogła ujrzeć, i to nie za jakiś tam czas, ale dzisiaj wieczorem, księżniczka Maria zaczęła odczuwać najwyższy niepokój.

Kiedy hajduk wysłany naprzód, żeby się dowiedzieć w Jarosławiu, gdzie zjechali Rostowowie i w jakim stanie znajduje się książę Andrzej, spotkał na rogatce wielką wjeżdżającą karetę, przestraszył się zobaczywszy niezmiernie bladą twarz księżniczki Marii, która wychyliła się z okna.

– Wszystkiego się dowiedziałem, jaśnie pani: rostowscy państwo stoją na placu, w domu kupca Bronnikowa. Niedaleczko, nad samą Wołgą – powiedział hajduk.

Księżniczka Maria patrzyła na niego z przestachem i pytając, nie rozumiejąc, dlaczego nie odpowiada na główne pytanie: co z bratem? M-lle Bourienne wyręczyła księżniczkę.

– Co z księciem? – spytała.

– Jaśnie pan stoją z nimi w tymże domu.

– A więc żyje. – pomyślała księżniczka i spytała cicho:

– Jak się czuje?

– Ludzie gadają: ciągle to samo.

Co znaczyło „ciągle to samo”, księżniczka nie pytała i przelotnie tylko, niepostrzeżenie, spojrzawszy na siedmioletniego Nikołuszkę, siedzącego przed nią i cieszącego się widokiem miasta, pochyliła głowę i nie podniosła jej do chwili, aż ciężka karetą hucząc, trzęsąc się i przechylając zatrzymała się. Rozległ się trzask opuszczanych stopni.

Otworzono drzwiczki. Z lewej strony była woda, wielka rzeka, z prawej – ganek. Na ganku stali ludzie – służba i jakaś rumiana, z dużym czarnym warkoczem dziewczyna, która, jak się zdawało księżniczce Marii, nieprzyjemnie, obłudnie się uśmiechała (była to Sonia). Księżniczka wbiegła po schodach, obłudnie uśmiechając się panna powiedziała:

„Tutaj, tutaj!”, i księżniczka znalazła się w przedpokoju przed starą kobietą o wschodnim typie, która ze wzruszeniem szła szybko na jej spotkanie. Była to stara hrabina. Objęła księżniczkę Marię i zaczęła ją całować.

– Mon enfant! – powiedziała. – Je vous aime et vous connais depuis longtemps.³²²

Mimo oszołomienia księżniczka Maria zrozumiała, że to była hrabina i że trzeba jej coś powiedzieć. Sama nie wiedząc jak, powiedziała jakieś grzeczne francuskie słowa w takim samym tonie, w jakim do niej mówiono, i spytała: „Co z nim?”

– Doktor mówi, że nie ma niebezpieczeństwa – odpowiedziała hrabina, ale gdy to mówiła, z westchnieniem spojrzała w górę, i w ruchu tym wyraziła się sprzeczność z jej słowami.

– Gdzie on jest? Można go zobaczyć, można? – zapytała księżniczka.

– Zaraz, księżniczko, zaraz, kochanie. To jego syn? – powiedziała zwracając się do Nikołuszki, który wchodził z Dessales'em. – Wszyscy się zmieścimy, dom duży. O, jaki piękny chłopiec!

Hrabina wprowadziła księżniczkę do bawialni. Sonia rozmawiała z m-lle Bourienne. Hrabina pieściła chłopca. Do pokoju wszedł stary hrabia witając księżniczkę. Stary hrabia nadzwyczaj się zmienił od czasu, kiedy go ostatni raz widziała księżniczka. Wtedy był to dzielny, wesoły, pewny siebie starzec; teraz wydawał się żalonym, zagubionym człowiekiem. Mówiąc z księżniczką nieustannie oglądał się, jakby pytał wszystkich, czy tak postępuje, jak trzeba. Po

³²² Moje dziecko! Kocham panią i znam panią od dawna.

zniszczeniu Moskwy i jego majątku, wyrzucony ze zwykłej kolej, widocznie stracił świadomość swego znaczenia i czuł, że nie ma już dla niego miejsca w życiu.

Księżniczka, choć pragnęła tylko jak najprędzej zobaczyć brata, i mimo przykrości, że w chwili kiedy trzeba jej było tylko jednego – zobaczyć go, zajmują jej czas i chwałą nieszczerze jej bratanka, widziała wszystko, co się działo dokoła, i czuła, że musi poddać się na jakiś czas temu nowemu porządkowi, w jakim się znalazła. Wiedziała, że wszystko to jest niezbędne, i było jej z tym ciężko, ale nie narzekała.

– To moja siostrzenica – powiedział hrabia przedstawiając Sonię. – Pani jej nie zna?

Księżniczka zwróciła się do niej i starając się stłumić wzburzone w jej duszy wrogie uczucie do tej dziewczyny, pocałowała ją. Ale było jej ciężko na duszy, gdy nastrój wszystkich otaczających był tak daleki od tego, co się w niej działo.

– Gdzie on jest? – zapytała jeszcze raz, zwracając się do wszystkich.

– Na dole, Natasza jest z nim – odpowiedziała Sonia czerwieniąc się. – Poszli się dowiedzieć... Myślę, że księżniczka jest zmęczona.

Oczy księżniczki napęły się łzami przykrości. Odwróciła się i chciała znowu zapytać hrabinę, jak dojsć do niego, gdy w drzwiach rozległy się lekkie, szybkie, jakby wesołe kroki. Księżniczka obejrzała się i zobaczyła prawie wbiegającą

Nataszę, tę Nataszę, która podczas dawniejszego spotkania w Moskwie bardzo jej się nie podobała.

Ale nie zdążyła spojrzeć w oczy Nataszy, a już zrozumiała, że to była jej szczerą towarzyszką w cierpieniu, a więc – przyjaciółką. Podbiegła ku niej i objąwszy ją, zaczęła płakać na jej ramieniu.

Gdy tylko Natasza, siedząca u wezłowania księcia Andrzeja, dowiedziała się o przyjeździe księżniczki Marii, cicho wyszła z jego pokoju tym szybkim i, jak wydawało się księżniczce Marii, jakby wesołym krokiem i pobiegła do niej.

Gdy wbiegła do pokoju, na jej wzruszonej twarzy był tylko jeden wyraz – wyraz miłości, bezgranicznej miłości do niego, do niej, do wszystkiego, co było bliskie kochanemu człowiekowi, wyraz litości, cierpienia za drugich i namiętnej żądzy całkowitego poświęcenia się, aby im pomóc. Widać było, że w tej chwili Natasza nie myśli ani o sobie, ani o swoim stosunku względem księcia Andrzeja.

Wrażliwa księżniczka Maria od pierwszego wejrzenia Nataszy zrozumiała to wszystko i z bolesną rozkoszą płakała na jej ramieniu.

– Chodźmy, chodźmy do niego, Marie – powiedziała Natasza prowadząc ją do drugiego pokoju.

Księżniczka Maria podniosła głowę, otarła łzy i zwróciła się do Nataszy. Czuła, że wszystkiego się od niej dowie i że wszystko zrozumie.

– Jak... – zaczęła pytać i zaraz przerwała. Uczuła, że słowami nie można ani zapytać, ani odpowiedzieć. Twarz i oczy Nataszy powinny były odpowiedzieć na wszystko rozumiałej i głębiej.

Natasza patrzyła na nią, ale wydawało się, że się boi i waha – powiedzieć czy nie powiedzieć wszystkiego, co wie, jakby czuła, że tym promienistym oczom, przenikającym do głębi jej serca, nie można nie powiedzieć całej prawdy, jak ją widziała. Wargi Nataszy nagle drgnęły, wokół ust utworzyły się brzydkie zmarszczki i rozplakawszy się ukryła twarz w dłoniach.

Księżniczka Maria zrozumiała wszystko.

Mimo to miała nadzieję i spytała słowami, w które nie wierzyła:

– Ale jak jego rana? W ogóle, w jakim jest stanie?

– Pani, pani... zobaczy – tyle mogła powiedzieć Natasza.

Posiedziały jakiś czas na dole koło jego pokoju, by przestać płakać i wejść do niego ze spokojnymi twarzami.

– Jak przebiegała choroba? Kiedy mu się pogorszyło? Kiedy się to stało? – pytała księżniczka Maria.

Natasza opowiedziała, że z początku było niebezpieczeństwo z powodu stanu gorączkowego i cierpień, ale przeszło to w Troicy, a doktor bał się tylko jednego – gangreny. Ale i to niebezpieczeństwo minęło. Gdy przyjechali do Jarosławia, rana zaropiała (Natasza wiedziała wszystko, co dotyczyło ropienia itp.) i doktor powiedział, że ropienie może przejść normalnie. Przyszła gorączka. Doktor mówił, że gorączka nie jest zbyt niebezpieczna.

– Ale przed dwoma dniami – zaczęła Natasza – nagle zrobiło się to... – Wstrzymała płacz. – Nie wiem od czego, lecz pani zobaczy, co się z nim stało.

– Oslabł? schudł?... – pytała księżniczka.

Nie, nie to, gorzej. Zobaczy pani. Ach, Marie, on jest zbyt dobry, on nie może, nie może żyć, dlatego że...

XV

Gdy Natasza zwykłym ruchem otworzyła drzwi puszczając przed sobą księżniczkę, księżniczka Maria poczuła już skurcz w gardle. Mimo przygotowań i starań, by się opanować, wiedziała, że nie będzie mogła na jego widok powstrzymać się od płaczu.

Księżniczka Maria pojmowała to, co Natasza rozumiała przez słowa: „Zdarzyło się to z nim przed dwoma dniami”. Pojmowała, iż znaczyło to, że on nagle nabrał miękkości i że ta miękkość, rozczulenie były oznakami śmierci. Podchodząc do drzwi widziała już w wyobraźni twarz Andriuszki, tę, którą знаła w dzieciństwie: delikatną, łagodną, szlachetną, jaką tak rzadko miewał, i dlatego widok tej twarzy tak na nią działał. Wiedziała, że odezwie się do niej cicho, tkliwie, jak ojciec przed śmiercią, i że ona nie wytrzyma i zacznie płakać. Ale wcześniej czy później musiało się to stać, więc weszła do pokoju. Dławiący płacz coraz mocniej uciskał jej gardło, gdy swymi krótkowzrocznymi oczyma coraz wyraźniej widziała jego kształt i odszukiwała rysy twarzy, i wreszcie zobaczyła jego twarz, i spotkały się ich spojrzenia.

Leżał na kanapie, obłożony poduszkami, w futrzanym szlafroku podbitym popielicami. Był wychudzony i blady. Jedną szczupłą, przezroczyście białą ręką trzymał chusteczkę, drugą – powolnymi ruchami dotykał rzadkich, dorosłych wąsów. Patrzył na wchodzące.

Zobaczywszy twarz brata i spotkawszy się z jego wzrokiem księżniczka Maria nagle zwolniła kroku i uczuła, że łzy niespodzianie wyschły i wstrzymał się napór płaczu. Pochwyciwszy wyraz jego twarzy i wzroku, nagle zawstydzila się i poczuła się winna.

„Ale w czym ja tu zawiniłam?” – spytała siebie. „Bo ty żyjesz i myślisz o żywym, a ja...” – odpowiadało jej chłodne, poważne spojrzenie.

W głębokim, nie na zewnątrz, lecz ku wewnątrz skierowanym spojrzeniu przejawiała się prawie wrogość, gdy powoli spojrzał na siostrę i Nataszę.

Pocałował się z siostrą z ręką w jej ręce, ich zwyczajem.

– Witaj, Marie, jakżeś się tu dostała? – powiedział głosem tak samo obojętnym i obcym, jak jego spojrzenie. Gdyby rozpaczliwie zaczął krzyżeć, krzyk taki mniej by przeraził księżniczkę Marię niż dźwięk tego głosu.

– I Nikołuszkę przywiozłaś? – powiedział równie spokojnie i wolno, przypominając coś sobie z widocznym wysiłkiem.

– Jak twoje zdrowie teraz? – pytała księżniczka Maria dziwiąc się, że o to pyta.

– O to, moja droga, należy pytać doktora – powiedział; robił jeszcze wysiłek, żeby być tkliwym, i mówił wyłącznie ustami (widać było, że zupełnie nie myśli o tym, co mówi).

– Merci, chere omie, d'etre venue.³²³

Księżniczka Maria uścisnęła mu rękę. Zmarszczył się nieznacznie od tego uścisku. Milczał, a i ona nie wiedziała, co mówić. Zrozumiała to, co się stało z nim przed dwoma dniami. W

³²³ Dziękuję, moja droga, żeś przyjechała.

słowach, w intonacji, a zwłaszcza w spojrzeniu chłodnym, prawie wrogim spojrzeniu – dawało się wyczuwać ciężkie dla żywego człowieka wyobcowanie od wszystkiego, co jest z tego świata. Najwidoczniej z trudem rozumiał żywych, nie dlatego że był pozbawiony zdolności rozumienia, lecz dlatego że rozumiał coś innego, coś takiego, czego nie rozumieli i nie mogli rozumieć żywi, a co pochłaniało go całkowicie.

– Tak, oto jak dziwnie urządził nam los spotkanie! – powiedział przerywając milczenie i wskazując Nataszę.

– Ona wciąż mnie pielęgnuje.

Księżniczka Maria słuchała i nie rozumiała, co mówił. Wrażliwy, delikatny książę Andrzej – jak mógł tak mówić przy tej, którą kochał i która jego kochała! Jeżeliby chciał żyć, nie powiedziałby tego takim chłodno obraźliwym tonem. Jeżeliby nie wiedział, że umrze, to jakżeby nie było mu jej żal, jak mógł przy niej to mówić! Mogło być tylko jedno wytłumaczenie: że było mu wszystko jedno, a wszystko jedno było mu dlatego, że odkryło się przed nim coś innego, ważniejszego.

Rozmowa była chłodna, bez związku, z częstymi przerwami.

– Marie jechała przez Riazan – powiedziała Natasza. Książę Andrzej nie zauważył, że nazwała jego siostrę

„Marie”. A Natasza, nazwawszy ją tak przy nim, pierwszy raz sama to zauważyła.

– No i cóż? – powiedział.

– Opowiadano jej, że Moskwa cała spalona, do cna, że podobno... – Natasza urwała: nie można było mówić dalej.

Chory, oczywiście, robił wysiłki, żeby słuchać, a mimo to nie mógł.

– Tak, spaliła się, mówią – powiedział – to bardzo przykre – i zaczął patrzeć przed siebie, przyglądając z roztargnieniem wąsy.

– A spotkałaś się, Marie, z hrabią Mikołajem? – spytał nagle książę Andrzej, widocznie chcąc zrobić im przyjemność. – Pisał tu, żeś mu bardzo przypadła do gustu – ciągnął prosto i spokojnie, widocznie nie mając siły zrozumieć skomplikowanego znaczenia swych słów dla żywych ludzi. – Gdybyś ty go również pokochała, to byłoby bardzo dobrze... żebyście się pożenili – dodał nieco prędzej, jakby uradowany ze słów, których długo szukał i które w końcu znalazł. Księżniczka Maria słyszała jego słowa, ale nie miały one dla niej żadnego innego znaczenia prócz tego, że dowodziły, jak bardzo daleki był teraz od wszystkiego, co żywe.

– Co tu o mnie mówić – powiedziała spokojnie i spojrzała na Nataszę. Natasza czując na sobie jej wzrok nie patrzyła na nią. Znowu wszyscy zamilkli.

– Andre, ty chce... – powiedziała nagle księżniczka Maria wzruszonym głosem – chcesz widzieć Nikołuszkę? Wciąż cię wspomina!

Książę Andrzej pierwszy raz uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie, ale księżniczka Maria, tak dobrze znająca jego twarz, z przerażeniem zrozumiała, że nie był to uśmiech radości, czułości dla syna, lecz łagodnej, spokojnej drwiny z tego, co księżniczka Maria, według jego zdania, użyła jako ostatniego środka, by go przywrócić do przytomności.

– Tak, bardzo się cieszę. Czy zdrowy?

Gdy przyprowadzono Nikołuszkę, który z przestachem patrzył na ojca, ale nie płakał, dlatego że nikt nie płakał, książę Andrzej pocałował go i najwidoczniej nie wiedział, o czym z nim mówić.

Gdy Nikołuszkę zabierano, księżniczka Maria jeszcze raz podeszła do brata, pocałowała go i nie mogąc zapanować nad sobą, rozplakała się.

Spojrzał na nią bacznie.

– Myślisz o Nikołuszcze? – zapytał.

Księżniczka Maria, płacząc, potakująco schyliła głowę.

– Marie, ty znasz ewan... – i zamilkł.

– Co ty mówisz?

– Nic. Nie trzeba tu płakać – powiedział patrząc na nią wciąż tym zimnym wzrokiem.

Gdy księżniczka Maria rozplakała się, księżę zrozumiał, że płacze, iż Nikołuszka zostanie bez ojca. Z dużym wysiłkiem postarał się wrócić do życia i zajął ich stanowisko.

„Tak, dla nich to na pewno przykre! – pomyślał.

– A jakie to proste!

„Ptaki niebieskie nie sieją, nie orzą, a Ojciec nasz karmi je – powiedział do siebie i chciał to powiedzieć księżniczce. Ale nie, one rozumieją to po swojemu, one nie rozumieją! Tego nie mogą zrozumieć, że wszystkie te uczucia, tak drogie dla nich, wszystkie te myśli, które wydają się nam tak ważne, są niepotrzebne. Nie możemy się wzajemnie zrozumieć!” I zamilkł.

Mały syn księcia Andrzeja miał siedem lat. Zaledwie umiał czytać, nie wiedział nic. Dużo przeżył po tym dniu, zdobywając wiedzę, umiejętność obserwacji, doświadczenie; ale, jeżeliby władał już wtedy tymi wszystkimi później nabytymi umiejętnościami, nie mógłby lepiej, głębiej zrozumieć całego znaczenia tej sceny, rozgrywającej się między ojcem, księżniczką Marią i Nataszą, niż ją rozumiał teraz. Wszystko rozumiał, wyszedł z pokoju nie płacząc, milcząc podszedł do Nataszy, która wyszła za nim, i nieśmiało spojrzał na nią smutnymi, pięknymi oczami, jego lekko podniesiona, czerwona górna warga drgnęła, przypadł do Nataszy i rozplakał się.

Od tego dnia unikał Dessales'a, unikał pieszczącej go hrabiny i albo siedział sam, albo nieśmiało podchodził do księżniczki Marii, do Nataszy, którą jak gdyby pokochał jeszcze bardziej niż ciotkę, i spokojnie, nieśmiało garnał się do nich.

Księżniczka Maria wyszedłszy od księcia Andrzeja rozumiała wszystko, co powiedziała jej twarz Nataszy. Nie mówiła więcej z Nataszą o nadziei uratowania go. Na zmianę z nią pielęgnowała brata i już nie płakała, lecz modliła się nieustannie, zwracając duszę ku temu Wiekuistemu, Nieogarnionemu, którego obecność tak odczuwało się teraz przy umierającym człowieku.

XVI

Książę Andrzej nie tylko wiedział, że umrze, ale czuł, że umiera, że już jest na pół martwy. Doświadczał świadomości wyobcowania ze wszystkiego, co ziemskie, i radosnej, dziwnej lekkości istnienia. Nie śpiesząc się i nie lękając czekał na to, co miało nadejść. To straszliwe, wieczne, nieznanne i dalekie, którego obecności nie przestawał odczuwać w ciągu całego swego życia, teraz było mu bliskie i – sądząc z tej dziwnej lekkości istnienia, której doświadczał – prawie zrozumiałe i dotykalne...

Dawniej bał się końca. Dwa razy doświadczył tego niesłychanie męczącego uczucia strachu przed śmiercią, przed końcem, ale teraz już nie rozumiał tego.

Pierwszy raz zaznał tego uczucia, gdy granat kręcił się przed nim jak bąk, a on patrzył na ściernisko, na krzaki, na niebo i wiedział, że śmierć stoi przy nim. Gdy ocknął się po zranieniu i gdy w jego duszy błyskawicznie, jakby uwolniony z ucisku życia rozkwitł kwiat miłości wiecznej, wolnej, niezależnej od tego życia, nie bał się już śmierci i nie myślał niej.

Im więcej w tych godzinach samotnego cierpienia i półprzytomności, które przeżył po zranieniu, zagłębiał się myślą w nowe, odkryte mu źródło wiecznej miłości, tym bardziej – nie czując tego – wyrzekał się życia na ziemi. Wszystko, wszystkich kochać, zawsze poświęcać się dla miłości – znaczyło to nikogo nie kochać, znaczyło – nie żyć tym ziemskim życiem. A im bardziej wnikał w to źródło miłości, tym bardziej wyrzekał się życia i tym zupełnie niszczył tę straszną przegrodę, która (bez miłości) stoi między życiem a śmiercią. Gdy z początku myślał, że będzie musiał umrzeć, mówił sobie: „No cóż, tym lepiej”.

Ale po owej nocy w Mytiszcach, kiedy półprzytomny ujrzał tę, której pragnął, i kiedy przycisnąwszy do swych warg jej rękę, rozplakał się rzewnymi, radosnymi łzami, miłość do kobiety niepostrzeżenie zakradła się do jego serca i znowu związała go z życiem. Opanowywały go myśli i radosne, i trwożne. Wspominając chwile na punkcie opatrunkowym, gdy zobaczył Kuragina, nie mógł wrócić do uczucia, którego wówczas zaznał. Męczył się zagadnieniem, czy on żyje. I nie śmiał o to pytać. Choroba jego szła zwykłym fizycznym torem, ale to, o czym Natasza mówiła: „Zrobiło się to z nim”, nastąpiło na dwa dni przed przyjazdem księżniczki Marii. Była to ostatnia walka moralna między życiem i śmiercią, w której śmierć zwyciężyła. Było to nieoczekiwane uświadomienie sobie, że życie, przedstawiające mu się jako miłość do Nataszy było mu jeszcze drogie, i ostatni przewyciężony akt przerażenia przed niewiadomym.

Stało się to wieczorem. Książę Andrzej był, jak zwykle po obiedzie, w stanie podgorączkowym i myślał nadzwyczaj jasno. Sonia siedziała przy stole. Zdrzemnął się. Wtem opanowało go uczucie szczęścia.

„Ach, to ona weszła!” – pomyślał.

Rzeczywiście, na miejscu Soni siedziała Natasza, która dopiero co weszła bezszelestnie.

Od czasu gdy zaczęła go pielęgnować, zawsze doświadczał tego fizycznego uczucia jej

bliskości. Siedziała w fotelu, bokiem do niego, zasłaniając go sobą od blasku świecy, i robiła pończochę. (Nauczyła się roboty na drutach po tym, gdy pewnego razu księżę Andrzej powiedział jej, że nikt tak nie umie opiekować się chorymi, jak stare niańki, które robią pończochy, i że w tej czynności jest coś uspokajającego.) Delikatne palce szybko przebierały drutami, które z rzadka się zderzały, i księżę Andrzej dokładnie widział profil jej zamyślonej twarzy. Poruszyła się i kłębek stoczył się z jej kolan. Wzdrygnęła się, spojrzała na niego i zasłaniając świecę dłonią, pochyliła się ostrożnie, i gibkim pewnym ruchem podniosła kłębek i siadła jak przedtem.

Patrzył na nią nie poruszając się i widział, że powinna była po tych ruchach odetchnąć całą piersią, ale nie zdecydowała się na to i ostrożnie wstrzymywała oddech.

W Troickiej Ławrze rozmawiali o przeszłości i powiedział jej, że gdyby wyżył, dziękowałby wiecznie Bogu za ranę, która połączyła go z nią znowu, ale od tego czasu nigdy nie mówili o przyszłości.

„Mogłoby to czy nie mogłoby być?” – myślał teraz patrząc na nią i przysłuchując się delikatnemu odgłosowi stalowych drutów. – Czy dlatego tylko tak dziwnie połączył mnie z nią los, żebym umarł?... Czy dlatego odkryłem istotę życia, abym żył w kłamstwie? Kocham ją bardziej niż wszystko w świecie. Ale cóż mam robić, gdy ją kocham?” – powiedział i nagle mimo woli jęknął z przyzwyczajenia, którego nabył w czasie swych cierpień.

Słyszając to Natasza odłożyła robotę, zwróciła się ku niemu i zauważywszy jego błyszczące oczy, cicho podeszła do niego i pochyliła się nad nim.

– Pan nie śpi?

– Nie, dawno patrzę na panią, czułem, jak weszłaś.

– Nikt poza panią nie darzy mnie taką miękką ciszą... tego świata. Chce mi się płakać z radości.

Natasza przysunęła się do niego bliżej. Twarz jej jaśniała radością zachwytu.

– Natasza, za bardzo panią kocham. Bardziej niż wszystko na świecie.

– A ja? – odwróciła się na chwilę. – Dlaczego za bardzo? – spytała.

– Dlaczego za bardzo?... No, jak pani sądzi, jak pani czuje w duszy, w głębi duszy, będę żył? Jak się pani zdaje?

– Jestem tego pewna, jestem pewna! – prawie krzyknęła Natasza chwytając namiętym ruchem obie jego ręce.

Zamilkł.

– Jak by to było pięknie! – I ująwszy jej rękę pocałował ją.

Natasza była szczęśliwa i wzruszona; i natychmiast przypomniała sobie, że tak nie można, że potrzebny mu spokój.

– Ale pan nie spał – mówiła tłumiąc swą radość – proszę postarać się zasnąć... bardzo proszę.

Uściskawszy jej rękę, puścił ją, a Natasza podeszła do świecy i znowu usiadła jak przedtem. Dwukrotnie spojrzała ku niemu, jego oczy jaśniały patrząc ku niej. Wyzaczyła sobie zadanie na robótce i przyrzekła sobie, że na niego nie spojrzy, dopóki nie skończy pończochy.

Rzeczywiście, wkrótce potem zamknął oczy i usnął. Spał krótko i nagle, obłany zimnym potem, obudził się z lękiem.

Zasypiając, wciąż myślał o tym, o czym myślał przez cały ten czas – o życiu i śmierci. Więcej o śmierci. Czuł się jej bliższy.

„Miłość? Cóż to takiego: miłość? – rozmyślał. – Miłość przeszkadza śmierci. Miłość jest życiem. Wszystko, wszystko, co rozumiem, rozumiem tylko dlatego, że kocham. Wszystko jest, wszystko istnieje tylko dlatego, że kocham. Wszystko tylko nią jest związane. Miłość jest Bogiem, umrzeć – to znaczy, że ja, cząstka miłości, wrócę do wspólnego, wiecznego źródła”.

Myśli te wydawały mu się pocieszające. Ale były to tylko myśli. Brakowało w nich czegoś, było tu coś jednostronnie osobistego, wyrozumowanego – nie było oczywistości. Pozostawał uprzedni niepokój i niejasność. Zasnął.

Widział we śnie, że leży w tym samym pokoju, w którym leżał rzeczywiście, że nie jest ranny, lecz zdrow. Dużo różnych osób, marnych, obojętnych, staje przed księciem Andrzejem. On rozmawia z nimi, dyskutuje o czymś niepotrzebnym. Oni wybierają się w jakąś podróż. Książę Andrzej zdaje sobie mglisto sprawę, że wszystko to marność i że on ma inne, ważniejsze kłopoty, ale w dalszym ciągu wypowiada, zadziwiając ich, jakieś puste, dowcipne zdania. Po trochu, nieznacznie wszystkie te osoby zaczynają znikać i wszystko zmienia się w jedno zagadnienie zamkniętych drzwi. Wstaje i idzie ku drzwiom, żeby zasunąć zasuwkę i zamknąć je. Od tego, czy zdąży, czy nie zdąży ich zamknąć, zależy wszystko. Idzie, śpieszy się, nogi odmawiają mu posłuszeństwa i wie, że nie zdąży drzwi zamknąć, ale mimo to napręży boleśnie wszystkie swe siły. Obejmuje go rozpaczliwy strach. A ten strach – to strach przed śmiercią: za drzwiami stoi tamto. Ale jednocześnie, gdy ciężko, bezsilnie podpełza do drzwi, to coś przerażające z drugiej strony już naciska, już puka w nie. Coś nieludzkiego

– śmierć – kołaczy we drzwi i trzeba ją zatrzymać. Chwyta się drzwi, napręży resztki sił – zamknąć już nie można, żeby ją choć zatrzymać; ale siły jego za słabe, nieskładne i drzwi, naciskane przez tamto przerażające, otwierają się i znowu zamykają.

Jeszcze raz tamto pchnęło drzwi. Ostatnie nadludzkie wysiłki – daremne, i oba skrzydła drzwi otwierają się bezgłośnie. Tamto weszło, a tamto – to śmierć. I książę Andrzej umarł.

Ale jednocześnie, w chwili gdy umierał, książę Andrzej przypomniał sobie, że śpi, i w tej chwili, gdy umarł, przemagając się, obudził się.

„Tak, to była śmierć. Umarłem – przebudziłem się. Tak, śmierć to przebudzenie”. Nagle rozjaśniło się w jego duszy i zasłona, okrywająca dotychczas niewiadome, uniosła się przed jego duchowym wzrokiem. Poczuli, jak gdyby siła poprzednio z nim związana oswobodziła się, a zarazem poczuł tę dziwną lekkość, która go od tej chwili nie opuszczała.

Kiedy ocknął się, zlany zimnym potem, i poruszył się na kanapie, podeszła do niego Natasza i zapytała, jak się czuje. Nie odpowiedział i nie rozumiejąc jej popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.

To właśnie stało się z nim przed dwoma dniami, przed przyjazdem księżniczki Marii. Od tego dnia, jak mówił doktor, wyczerpująca gorączka przybrała złośliwy charakter, ale Natasza nie interesowała się tym, co mówił doktor: widziała te straszne, bardziej dla niej niewątpliwe symptomy duchowe.

Od tego dnia zaczęło się dla księcia Andrzeja razem z przebudzeniem ze snu – przebudzenie z życia. I w stosunku do długości życia nie wydawało mu się ono bardziej powolne niż przebudzenie ze snu w stosunku do trwania snu.

Nie było nic strasznego ani gwałtownego w tym stosunkowo powolnym przebudzeniu.

Ostatnie dni i godziny jego minęły zwyczajnie i prosto. I księżniczka Maria, i Natasza nie odchodząc od niego odczuwały to. Nie płakały, nie drżały i gdy umierał, same, czując to, nie pielęgnowały jego (jego już nie było, odszedł od nich), tylko najbliższe wspomnienia o nim – jego ciało.

Uczucia obu były tak silne, że nie działała na nie zewnętrzna straszna strona śmierci i nie potrzebowały rozjątrzać swego bólu. Nie płakały ani gdy były przy nim, ani gdy przy nim nie były, ale nigdy też nie rozmawiały o nim między sobą. Czuli, że nie można wyrazić słowami tego, co rozumiały.

Obie widziały, jak coraz głębiej, powoli i spokojnie pogrążał się, odchodził od nich dokądś tam, i obie wiedziały, że to tak być powinno, że to dobrze.

Wyspowiadał się, przyjął ostatnie namaszczenie, wszyscy przychodzili do niego z pożegnaniem. Gdy mu przyprowadzono syna, dotknął go wargami i odwrócił się, nie dlatego, żeby mu było ciężko czy żałośnie (księżniczka Maria i Natasza-rozumiały to), ale tylko dlatego, iż sądził, że to już wszystko, czego od niego żądano, lecz gdy go proszono, aby pobłogosławił dziecko, spełnił żądanie i popatrzył, jakby pytając, czy nie trzeba jeszcze czegoś uczynić.

Przy ostatnich drganiach ciała, opuszczanego przez duszę, były obecne księżniczka Maria i Natasza.

– Umarł?! – powiedziała księżniczka Maria, gdy ciało jego już kilka minut leżało przed nimi nieruchome, stygnące. Natasza podeszła, spojrzała w martwe oczy i spiesznie je zamknęła. Zamknęła je i nie pocałowała, lecz przyłgnęła do tego, co było najbliższym o nim wspomnieniem.

„Dokąd on odszedł? Gdzie on teraz?...”

Gdy odziane, umyte ciało leżało w trumnie na stole, wszyscy podchodzili do niego, by się pożegnać, i wszyscy płakali.

Nikołuszką płakał z bolesnego zdumienia, rozrywającego mu serce. Hrabina i Sonia płakały przez współczucie dla Nataszy i dlatego, że go już nie ma. Stary hrabia płakał, gdyż czuł, że i on niedługo musi zrobić ten straszny krok.

Natasza i księżniczka Maria płakały teraz również, ale nie z powodu osobistego bólu – płakały z nabożnego wzruszenia, ogarniającego ich dusze wobec świadomości prostej a uroczyściej tajemnicy śmierci, jaka się przy nich dokonała.

CZEŚĆ DRUGA

I

Dla ludzkiego rozumu niedostępny jest całokształt przyczyn zjawisk. Ale potrzeba odnajdywania przyczyny tkwi w duszy ludzkiej. I rozum człowieka, nie wnikający w bezlik i zawilość warunków zjawisk, z których każde oddzielnie może się wydawać przyczyną, chwytą się pierwszego, najbardziej zrozumiałego przybliżenia i mówi: oto przyczyna. W wydarzeniach historycznych (gdzie przedmiotem obserwacji są czyny ludzi) najbardziej elementarne przybliżenie stanowi wola bogów, potem wola tych ludzi, którzy stoją na najbardziej widocznych miejscach historii – bohaterów dziejowych. Ale wystarczy wniknąć w istotę każdego zdarzenia historycznego, tj. w działalność mnóstwa ludzi biorących udział w zdarzeniu, aby się przekonać, że wola bohatera-historycznego nie tylko nie wpływa na działalność mas, ale sama stale jest kierowana. Zdawałoby się, że to wszystko jedno, jak pojmuje się znaczenie historycznego wydarzenia. Ale między człowiekiem, który mówi, że narody Zachodu poszły na Wschód dlatego, że Napoleon tego chciał, a człowiekiem, który mówi, że stało się to dlatego, że musiało się stać, istnieje taka sama różnica, jaka istniała między ludźmi dowodzącymi, że ziemia jest nieruchoma i planety krążą wokół niej, a tymi, którzy mówili, że nie wiedzą, na czym się ziemia opiera, ale wiedzą, że istnieją prawa rządzące ruchem i jej, i innych planet. Nie ma i nie może być innych przyczyn wydarzenia historycznego, prócz jedynej przyczyny wszystkich przyczyn. Ale są prawa rządzące wydarzeniami, częściowo nieznanne, częściowo odnajdywane przez nas po omacku. Odkrycie tych praw możliwe jest tylko wtedy, kiedy przy poszukiwaniu przyczyn całkiem odrzucimy myśl o woli jednego człowieka – zupełnie tak samo, jak odkrycie praw ruchu planet stało się możliwe wtedy, gdy ludzie odrzucili wyobrażenie o niewzruszalności Ziemi.

Po bitwie pod Borodinem, po zajęciu przez nieprzyjaciela Moskwy i spaleniu jej, za najważniejszy epizod wojny 1812 roku historycy uważają przemarsz armii rosyjskiej z drogi riazanskiej na kałuską i do obozu w Tarutinie – tak zwany skrzydłowy marsz za Krasną Pachrą. Historycy przypisują sławę tego genialnego czynu różnym ludziom i sprzeczą się, kto go właściwie dokonał. Nawet obcy historycy, nawet historycy francuscy uznają genialność rosyjskich dowódców, gdy mówią o tym oskrzydłującym marszu. Ale dla czego historycy wojen, a za nimi wszyscy, sądzą, że ten skrzydłowy marsz, który uratował Rosję, a zgubił Napoleona, jest wnikliwym odkryciem jakiegoś jednego człowieka – nadzwyczaj trudno zrozumieć. Po pierwsze, trudno zrozumieć, na czym polega przenikliwość i genialność tego ruchu, gdyż na to, żeby się domyślić, że najlepsze położenie armii (gdy jej nie atakują) jest tam, gdzie znajduje się więcej żywności, nie trzeba dużego wysiłku umysłowego, i każdy, nawet głupi trzynastoletni chłopiec, bez wysiłku mógłby się domyślić, że w roku 1812 najdogodniejszym terenem dla armii po opuszczeniu Moskwy była droga kałuską. A więc nie można pojąć, po pierwsze, na zasadzie jakiego rozumowania dochodzą historycy do tego, żeby w tym manewrze widzieć jakąś głęboką

przenikliwość. Po drugie, jeszcze trudniej zrozumieć, z jakiej racji historycy widzą w tym manewrze ratunek dla Rosjan, a zgubę dla Francuzów; gdyż ten skrzydłowy marsz przy innych poprzedzających go, towarzyszących mu i następujących po nim okolicznościach mógł być zgubny dla wojskarosyjskiego, a zbawienny dla Francuzów. Jeżeli od czasu dokonania tego manewru położenie wojska rosyjskiego zaczęło się poprawiać, to z tego bynajmniej nie wynika, żeby przyczyną tego był ów manewr.

Ten skrzydłowy marsz nie tylko mógłby być niekorzystny, ale mógłby zgubić rosyjską armię, gdyby nie towarzyszyły temu inne okoliczności. Co by było, gdyby się Moskwa nie spaliła? Gdyby Murat nie stracił Rosjan z oczu? Gdyby Napoleon nie tracił czasu bezczynnie? Gdyby pod Krasną Pachrą armia rosyjska za radą Bennigsena i Bardaya wydała bitwę? Co byłoby, gdyby Francuzi zaatakowali Rosjan w marszu za Pachrą? Co by było, gdyby Napoleon, podszedłszy do Tarutina, zaatakował Rosjan chociażby z jedną dziesiątą częścią tej energii, z jaką prowadził atak w Smoleńsku? Co by było, gdyby Francuzi poszli na Petersburg?... Przy wszystkich supozycjach takiego działania zbawienność marszu skrzydłowego mogła się okazać zgubą.

Po trzecie: najbardziej niezrozumiałe jest to, że ludzie, studiujący historię, celowo nie chcą wiedzieć, że marszu flankowego nie można przypisać żadnemu pojedynczemu człowiekowi, że nikt go nie przewidział, że manewru tego, tak samo jak odwrotu w Piłach, współcześnie nikt nigdy nie przedstawiał sobie w całości, lecz krok za krokiem, wydarzenie po wydarzeniu, chwila po chwili wypływał on z niezliczonej ilości najróżnorodniej szych warunków, i dopiero wtedy przejawiał się w pełni, gdy został dokonany i stał się przeszłością.

Na naradzie w Piłach według przeważającego zdania rosyjskich dowódców był sam przez się zrozumiały odwrót w prostym kierunku, tj. drogą niżniegorodzka. Dowodzi tego większość głosów na radzie wypowiadających się za tą opinią i, co najważniejsze, znana rozmowa po naradzie naczelnego wodza z Łańskojem, kierownikiem działu prowiantowego. Łańskoj doniósł naczelnemu wodzowi, że żywność dla armii nagromadzono głównie wzdłuż Oki, w guberniach tulskiej i kałuskiej, i że w razie odwrotu na Niżnij zapasy żywności dla armii pozostaną nad Oką, wielką rzeką, przez którą przewóz w początkach zimy bywa niemożliwy. To był powód nieuniknionego zбочenia z prostego kierunku na Niżnij, wydającego się poprzednio najwłaściwszym. Armia skierowała się bardziej ku południowi drogą rizańską, bliżej prowiantu. Wskutek bezczynności Francuzów, nie wiedzących nawet, gdzie jest armia rosyjska – wskutek kłopotów związanych z obroną fabryki w Tulę³²⁴, a głównie wskutek dogodności przybliżenia się do zapasów trzeba było armię skierować jeszcze bardziej na południe, na drogę tulską. Przeszedłszy zuchwałym marszem za Pachrą na drogę tulską, dowództwo rosyjskiej armii chciało pozostać pod Podolskiem i nie myślano o pozycji pod Tarutinem, ale niezliczone okoliczności i pojawienie się znowu wojsk francuskich, nie wiedzących uprzednio, gdzie są Rosjanie, projekty wydania bitwy i, co najważniejsze – obfitość prowiantu w Kałudze skłoniły naszą armię do zбочenia jeszcze bardziej ku południowi i przejścia ku centralnym szlakom własnego zaprowiantowania z drogi tulskiej na kałuską – ku Tarutinowi.-Jak nie można odpowiedzieć na pytanie, kiedy opuszczono Moskwę, tak samo nie można odpowiedzieć i na to, kiedy mianowicie i kto zdecydował przejście ku Tarutinowi.-Dopiero gdy wojska przybyły już do Tarutina wskutek działania niezliczonych i zróżnicowanych sił, wtedy ludzie zaczęli sami się upewniać, że chcieli tego i dawno to przewidywali.

³²⁴ Cesarska fabryka broni.

II

Słynny marsz skrzydłowy polegał tylko na tym, że rosyjskie wojsko cofając się wciąż pod naporem nieprzyjaciela, gdy ofensywa francuska ustała, zboczyło z przyjętego początkowo prostego kierunku i nie widząc za sobą pogoni, w sposób naturalny skierowało się w tę stronę, dokąd go ciągnęła obfitość prowiantu.

Gdyby sobie przedstawić na czele armii rosyjskiej nie genialnych wodzów, lecz tylko armię bez wodzów, wówczas i ta armia nie mogłaby uczynić nic innego niż powrotny ruch ku Moskwie, tworząc łuk z tej strony, w której żywności było więcej i kraj był bogatszy.

Przejsie to z drogi niżniegorodzkiej na drogę riazańską, tulską i kałuską było tak naturalne, że w tym samym kierunku uciekali maruderzy armii rosyjskiej i że z Petersburga żądano, aby Kutuzow przeprowadził swą armię w tym samym kierunku. W Tarutinie Kutuzow otrzymał prawie naganę od cesarza za to, że skierował armię na drogę riazańską, zwracano mu uwagę na tę samą pozycję naprzeciwko Kaługi, na której już był wówczas, gdy otrzymał list cesarza.

Kula rosyjskiego wojska tocząca się w kierunku pchnięcia, które otrzymała w czasie całej kampanii i w bitwie pod Borodinem, gdy siła pchnięcia się wyczerpała, a nowych pchnięć nie było – zajęła takie miejsce, które było dla niej najwłaściwsze.

Zasługa Kutuzowa nie polegała na jakimś genialnym, jak mówią, strategicznym posunięciu, lecz na tym, że tylko on rozumiał znaczenie dokonywanego się wydarzenia. Tylko on rozumiał już wtedy znaczenie bezczynności armii francuskiej; tylko on powtarzał twierdzenie, że bitwa pod Borodinem była zwycięstwem, on tylko – ten, który, wydawałoby się, jako wódz naczelny powinien był ponaglać do atakowania – jedynie on użył wszystkich swych sił, żeby powstrzymać armię rosyjską od bitew bezużytecznych.

Zwierzę ranione pod Borodinem leżało tam, gdzie je zostawił odbiegający myśliwy; ale czy jeszcze żyje, czy jest silne, czy tylko się przyczaiło – myśliwy tego nie wiedział. Nagle rozległy się jęki tego zwierza.

Jękiem tego rannego zwierza, armii francuskiej, unaocznieniem jej zguby było wysłanie Lauristona do obozu Kutuzowa z prośbą o pokój.

Napoleon przekonany, że nie to jest dobre, co dobre, lecz to, co mu przyszło do głowy, napisał do Kutuzowa nie mające żadnego sensu pierwsze lepsze zdania, jakie mu przyszły na myśl.

Monsieur le prince Koutouzoff – pisał – j'envoie pres de vous un de mes aides de camps-generaux pour vous entretenir de plusieurs objets interessants. Je desire que votre Altesse ajoutefoi d ce qu'il lui dira, surtout lorsqu'il exprimera les sentiments d'estime et de particuliere conside-ration que j'ai depuis longtemps pour sa personne. Cette lettre n'etant d autre fin, je prie Dieu, Monsieur le prin-ce Koutouzoff, qu'il vous ait en Sa sainte et digne garde.

Moscou, le 30 Octobre, 1812.

Signe:
Napoleon³²⁵

– Je serais maudit par la posterite si Von me regardait comme le premier moteur d'un accommodement quelconque. Tel est l'esprit actuel de ma nation³²⁶ – odpowiedział Kutuzow i nadal używał wszelkich sił, by powstrzymać wojska od natarcia.

W miesiącu pustoszenia Moskwy przez wojska francuskie i spokojnego postoju wojska rosyjskiego pod Tarutinem-dokonała się zmiana w stosunku sił obu wojsk (ducha bojowego i liczebności), w której skutku przewaga okazała się po stronie Rosjan. Mimo że położenie wojska francuskiego i jego liczebność były Rosjanom nie znane, gdy tylko zmienił się stosunek sił, niezliczone oznaki zaczęły natychmiast wskazywać na konieczność natarcia. Oznakami tymi były: i przysłanie Lauristona, i obfitość prowiantu w Tarutinie,-i wiadomości napływające ze wszystkich stron o bezczynności i nieporządku wśród Francuzów, i uzupełnianie naszych pułków rekrutami, i piękna pogoda, i przedłużający się odpoczynek rosyjskich żołnierzy, i zwykle pojawiający się w wojsku, które wypoczęło, niecierpliwy pęd do spełnienia tej czynności, do której wszystkich powołano, i zaciekawienie tym, co się działo w armii francuskiej, którą tak dawno stracono z oczu, i śmiałość, z jaką teraz uwijały się rosyjskie straże przednie koło Francuzów, stojących w Tarutinie i wiadomości o łatwych zwycięstwach chłopów i partyzantów nad Francuzami, i zazdrość tym wzbudzona, i uczucie zemsty, tkwiące w duszy każdego poty, póki Francuzi byli w Moskwie, i przede wszystkim – mglista, powstała w duszy każdego żołnierza świadomość, że stosunek sił zmienił się teraz i przewaga jest po naszej stronie. Zmienił się istotny stosunek sił i natarcie stało się konieczne. I natychmiast, z taką dokładnością, z jaką rozlega się uderzenie i głos kurantów w zegarach, gdy wskazówka dokona pełnego obrotu – w sferach wyższych owa istotna zmiana sił odbiła się we wzmożonym ruchu, syku sprężyn i grze kurantów.

³²⁵ Posyłam Panu jednego z mych generałów-adiutantów, aby powiadomił Pana o wielu ważnych rzeczach. Proszę, by Wasza Dostojność wierzyła wszystkiemu, co powie, zwłaszcza kiedy będzie wyrażał Panu uczucia poważania i szczególnego szacunku, które żywię dla Pana od dawna. List ten to jedynie ma na celu, proszę więc Boga, by Pana zachował w zdrowiu i Swej opiece. Moskwa, 30 października 1812. Napoleon.

³²⁶ Przekląłaby mnie potomność, gdyby mnie uważano za pierwszego sprawcę jakiegokolwiek ugody. Taki nastrój panuje w tej chwili w moim narodzie.

III

Armią rosyjską dowodzili: Kutuzow ze swym sztabem i cesarz z Petersburga. W Petersburgu, jeszcze przed otrzymaniem wiadomości o oddaniu Moskwy, sporządzono szczegółowy plan kampanii i przesłano go Kutuzowowi do wykonania. Mimo iż plan ten sporządzono w mniemaniu, że Moskwa pozostaje jeszcze w naszych rękach, sztab zatwierdził go i przyjął do wykonania. Kutuzow napisał tylko, że dalekie dywersje trudno wykonać. Toteż do pokonania powstających trudności przysłano mu nowe instrukcje oraz osoby, których obowiązkiem było dopilnować ich wykonania i komunikować o tym.

Poza tym zmienił się teraz w armii rosyjskiej cały sztab. Obsadzono stanowisko po zabitym Bagrationie i po urażonym Barciayu, który ustąpił. Bardzo poważnie rozmyślano, co będzie lepiej: czy A. przesunąć na stanowisko B., a B. na miejsce D., czy odwrotnie: D. na miejsce A. itd.; jak gdyby cokolwiek od tego zależało prócz przyjemności dla A. i B.

W sztabie armii z powodu wrogich stosunków, panujących między Kutuzowem i jego szefem sztabu Bennigsenem, -obecności pełnomocników cesarza i tych zmian toczyła się bardziej niż zwykle zawila gra partyj: A. kopał dołki pod B., D. – pod C. itd. we wszystkich możliwych zmianach i połączeniach. Przy tych wszystkich podkopywaniach przedmiotem intryg była przeważnie sprawa wojny, którą chcieli kierować wszyscy ci ludzie, ale sprawa ta toczyła się niezależnie od nich, tak mianowicie, jak miała się toczyć, tj. nigdy nie zbiegając się z tym, co projektowali ludzie, lecz wyływała z istoty współzależności wielkich mas. Wszystkie te koncepcje krzyżując się i płacząc przedstawiały w sferach wyższych tylko prawdziwe odbicie tego, co miało się być dokonywać.

Książę Michale Ilarionowiczu! – pisał cesarz w liście z dnia 2 października, który nadszedł po bitwie pod Tarutinem- – Od 2 września Moskwa jest w rękach nieprzyjaciela. Ostatnie raporty Pana są z 20 i w ciągu całego tego czasu nie tylko nie przedsięwzięto nic przeciw nieprzyjacielowi, by uwolnić naszą pierwszą stolicę, ale nawet się Pan cofnął, jak mówią ostatnie Pańskie raporty. Sierpuchow jest już zajęty przez nieprzyjaciela, a Tuła ze swymi znakomitymi i tak ważnymi dla armii zakładami – zagrożona. Z raportów generała Wintzingerode widzę, że dziesięcioletni korpus nieprzyjacielski posuwa się ku drodze petersburskiej. Inny, kilkudziesięcioletni, także zmierza ku Dmitrowowi. Trzeci posunął się naprzód drogą wladymirską. Czwarty, dość znaczny, stoi między Ruzą i Możajskiem. A sam Napoleon do dwudziestego piątego znajdował się w Moskwie. Wziąwszy pod uwagę wszystkie te wiadomości, gdy nieprzyjaciel rozdrobnił swe siły na silne oddziały, gdy Napoleon pozostaje jeszcze w Moskwie ze swą gwardią, czyż jest możliwe, żeby siły nieprzyjacielskie znajdujące się przed Panem były znaczne i nie pozwalały Panu działać zaczepnie? Przeciwnie, z wszelkim prawdopodobieństwem można przypuszczać, że to Pana ścigają oddziały, a co najwyżej korpus nieprzyjaciela, znacznie słabszy od armii Panu powierzonej. Wydawałoby się, że wyzyskując te okoliczności mógłby Pan skutecznie zaatakować nieprzyjaciela słabszego od Pana i zniszczyć go

albo co najmniej, zmuszając go do cofnięcia się, zachować w naszych rękach znaczną ilość guberni, zajętych obecnie przez nieprzyjaciela, i przez to samo odwrócić niebezpieczeństwo od Tuły i innych naszych miast. Na Pana spadnie odpowiedzialność, jeżeli nieprzyjaciel zdoła wysłać znaczny korpus na Petersburg zagrażając tej stolicy, w której nie mogło zostać wiele wojska, albowiem mając powierzoną sobie armię, działając ze zdecydowaniem i energią, masz wszystkie środki, aby odwrócić to nowe nieszczęście. Proszę pamiętać, że musi jeszcze Pan zdać sprawę przed obrażoną ojczyzną za utratę Moskwy. Doświadczył Pan mej gotowości do nagradzania. Owa gotowość nie osłabnie we mnie, ale ja i Rosja mamy prawo oczekiwać z Pańskiej strony usilnej gorliwości, stanowczości i sukcesów, które Pański rozum, Pańskie wojskowe talenta i waleczność wojsk dowodzonych przez Pana nam zapowiada.

Ale gdy list ten, dowodzący, że istotny stosunek sił odbija się i w Petersburgu, był w drodze, Kutuzow nie mógł powstrzymać dowodzonej przez siebie armii od akcji zaczepnej i bitwę już wydano.

2 października Kozak Szapowałow wysłany na zwiady zastrzelił z fuzji jednego zająca i postrzelił drugiego. Zapędziwszy się za postrzelonym zającem Szapowałow zabrnął głęboko w las i natknął się na lewe skrzydło armii Murata stojące bez zachowania jakichkolwiek ostrożności. Kozak, śmiejąc się, opowiedział kamratom, jak o mało go nie wzięli Francuzi do niewoli. Chorąży usłyszawszy to opowiadanie powtórzył je dowódcy.

Kozaka wezwano, wybadano; dowódcy Kozaków chcieli wykorzystać ten wypadek, by zagarnąć konie, ale jeden z naczelników, który znał się z wyższymi szarżami armii, zakomunikował wiadomość generałowi sztabowemu. Ostatnio w sztabie armii stosunki były naprężone do najwyższego stopnia. Jermołow, przyszedłszy kilka dni przedtem do Bennigsen, błagał go o użycie swego wpływu na naczelnego wodza, by zarządził natarcie.

– Gdybym pana nie znał, pomyślałbym, że nie chcesz tego, o co prosisz. Dość, bym coś doradził, by jego dostojność uczynił coś zupełnie przeciwnego – odpowiedział Bennigsen.

Wiadomość od Kozaków, potwierdzona przez wysłane patrole, dowiodła zupełnej dojrzałości sytuacji. Naciągnięta struna puściła, zegar zazgrzytał i rozległy się kuranty. Mimo całej swej mniemanej władzy, mimo rozumu, doświadczenia, znajomości ludzi, Kutuzow, wzięwszy pod uwagę zapiskę Bennigsen, wysyłającego osobiście raport cesarzowi, i wyrażane przez wszystkich generałów to samo żądanie oraz przypuszczalne wymaganie cesarza i wiadomość od Kozaków, nie mógł już zatrzymać nieuniknionego ruchu i zarządził to, co uważał za bezużyteczne i szkodliwe – pobłogosławił fakt dokonany.

IV

Notatka Bennigsena o konieczności natarcia i wiadomość od Kozaków o nie ubezpieczonym lewym skrzydle Francuzów były tylko ostatecznymi oznakami konieczności wydania rozkazu do natarcia, które wyznaczono na 5 października.

Z rana 4 października Kutuzow podpisał dyspozycję. Toll przeczytał ją Jermołowowi, proponując mu, by zajął się dalszymi rozporządzeniami.

– Dobrze, dobrze, teraz nie mam czasu – powiedział Jermołow i wyszedł z izby. Dyspozycja, ułożona przez Tol-la, była bardzo dobra. Tak samo jak w dyspozycji austerlitzkiej, chociaż nie po niemiecku, napisane w niej było:

– „*Die erste Kolonne marschirt tam a tam, die zweite Kolonne marschirt*³²⁷ tam a tam” itd. I wszystkie te kolumny na papierze przychodziły w oznaczonym czasie na swe miejsce i unicestwiałały nieprzyjaciela. Wszystko było, jak we wszystkich dyspozycjach, świetnie obmyślane i jak bywa z wszystkimi dyspozycjami, ani jedna kolumna nie przyszła we właściwym czasie na oznaczone miejsce.

Kiedy dyspozycję przygotowano w potrzebnej ilości egzemplarzy, wezwano oficera i wysłano go do Jermołowa, żeby mu wręczył rozkazy do wykonania. Młody oficer ordynansowy-Kutuzowa, kawalergard, zadowolony z danego mu polecenia, ruszył do kwatery Jermołowa.

– Wyjechał – odpowiedział ordynans Jermołowa. Kawaler gwardii poszedł do generała, u którego bywał często Jermołow.

– Nie ma, i generała nie ma.

Oficer, kawaler gwardii, dosiadł konia i pojechał do następnego.

– Nie ma, wyjechał.

„Żeby tylko nie odpowiadał za zwłokę! To dopiero!” – pomyślał oficer. Objechał cały obóz. Ktoś mówił, że widziano, jak Jermołow jechał dokądś z innymi generałami: ktoś inny – że jest na pewno już w domu. Oficer, bez obiadu, szukał go do szóstej wieczorem. Jermołowa nigdzie nie było i nikt nie wiedział, gdzie jest. Oficer przegryzł coś szybko u kolegi i pojechał znowu ku przednim strażom do Miłoradowicza. Miłoradowicza również nie było, ale powiedziano mu, że Miłoradowicz jest na balu u generała Kikina i że prawdopodobnie jest tam też Jermołow.

– A gdzie to jest?

– A tam, w Jeczkinie – powiedział kozacki oficer wskazując w oddali dwór ziemiański.

– A jakże to tam, za linią?

– Wysłano dwa pułki naszych w linię, tam teraz taka hulanka, że strach! Dwie orkiestry, trzy chóry pieśniarzy.

Oficer pojechał za linię do Jeczkinia. Z oddali jeszcze, podjeżdżając do dworu, usłyszał harmonijne, wesołe głosy żołnierskiej tanecznej piosenki.

³²⁷ Pierwsza kolumna maszeruje... druga kolumna maszeruje...

„Oj, łączki, te łączki!...” – z przygwizdywaniem i przy akompaniamencie teorbenu dochodziło do niego, z rzadka zagłuszane okrzykami. Oficerowi wesoło się zrobiło na duszy od tych dźwięków, ale jednocześnie nękał go niepokój, że zawinił, nie doręczając tak długo ważnego, zleconego mu rozkazu. Była już dziewiąta. Zsiadł z konia i wszedł na ganek dużego, zachowanego w całości dworu, stojącego między Rosjanami a Francuzami. W kredensowym i w przedpokoju kręcili się lokaje z winem i potrawami. Pod oknami stali pieśniarze. Oficera wprowadzono w drzwi i nagle zobaczył znakomitych generałów armii wszystkich razem, a w ich liczbie wysoką charakterystyczną postać Jermołowa. Wszyscy generałowie mieli rozpięte mundury, czerwone, ożywione twarze i głośno się śmieli stojąc półkołem. Pośrodku sali przystojny, niewysoki generał, z czerwoną twarzą, dziarsko i sprawnie tańczył trepaka.

– Cha, cha, cha. Brawo, Mikołaju Iwanowiczu! Cha, cha, cha...

Oficer czuł, że wchodząc w tej chwili z ważnym rozkazem staje się podwójnie winny, i chciał poczekać, lecz zobaczył go jeden z generałów i dowiedziawszy się, z czym przybył, powiedział o tym Jermołowowi. Jermołow wyszedł do oficera z nachmurzoną twarzą i wysłuchawszy go, wziął od niego papier i nic mu nie powiedział.

– Myślisz, że on nieumyślnie wyjechał? – powiedział tego wieczora kolega ze sztabu oficerowi o Jermołowie

– To sztuczki, to wszystko naumyślnie. Konownicyzna chcą podkopać. Zobaczysz, nawarzą jutro piwa.

V

Zgrzybiały Kutuzow wstał nazajutrz wczesnym rankiem, zmówił pacierz, ubrał się i z przykrą świadomością, że będzie musiał dowodzić bitwą, której nie akceptował, wsiadł do kolaski i wyjechał z Letaszewki, oddalonej o pięć wiorst od Tarutina, w miejsce, gdzie powinny się były zebrać kolumny do natarcia. Kutuzow jechał zasypiając i budząc się, nasłuchując, czy nie słychać z prawej strony strzałów, czy sprawa się nie rozpoczęła. Ale panowała jeszcze cisza. Świtał dopiero wilgotny, pochmurny dzień jesienny. Podjeżdżając do Tarutina Kutuzow zauważył kawalerzystów-prowadzących do wodopoju konie drogą, którą jechała kolaska. Kutuzow przyjrzał się im, zatrzymał kolaskę i zapytał, z jakiego są pułku. Kawalerzy ści byli z tej kolumny, która dawno już powinna była być daleko na przedzie, w zasadzce. „Omyłka, być może” – pomyślał stary wódz. Ale ujechawszy jeszcze dalej, Kutuzow zobaczył pułki piechoty, karabiny w kozłach, żołnierzy w gatkach-jedzących kaszę lub niosących drzewo. Wezwano oficera. Oficer oświadczył, że żadnego rozkazu do wymarszu nie było.

– Jak to nie by... – zaczął Kutuzow, lecz natychmiast zamilkł i kazał wezwać do siebie starszego oficera. Wylazłszy z kolaski, z opuszczoną głową i ciężko dysząc, czekał w milczeniu, chodząc tam i z powrotem. Gdy przyszedł wezwany oficer sztabu generalnego, Eichen, Kutuzow poczerwieniał – nie dlatego, że ten oficer był winowajcą, ale dlatego, że był obiektem odpowiednim do wyrażenia gniewu. Trzęsąc się i dusząc starzec, doprowadzony do tego stanu wściekłości, do którego był zdolny, gdy tarzał się z gniewu po ziemi, rzucił się na Eichena grożąc mu rękami, krzycząc i wymyślając ordynarnie. Drugiego oficera, który się nawinał, kapitana Brozina, zupełnie niewinnego, spotkał podobny los.

– Cóż to znowu za kanalia? Rozstrzelać! Łotry! – krzyczał ochryple, wymachując rękami i zataczając się. Doświadczał fizycznych cierpień. On, wódz naczelny, jego dostojność, którego wszyscy przekonują, że nikt nigdy nie miał w Rosji takiej władzy jak on, znalazł się w takim położeniu – narażony na śmiech całej armii. „Na próżno modliłem się w trosce o dzień dzisiejszy, na próżno całą noc nie spałem i wciąż układałem plany! – myślał o sobie. – Gdybym jeszcze był porucznikiem, nikt by nie śmiał tak drwić ze mnie... A teraz!” Doświadczał fizycznego cierpienia, jakby z powodu kary cielesnej, i nie mógł nie wyrażać go gniewnymi, pełnymi bólu okrzykami, ale wkrótce osłabł i czuł oglądając się, że nagadał dużo rzeczy niepotrzebnych, wsiadł do kolaski i milcząc pojechał z powrotem.

Wyładowany gniew nie wrócił więcej i Kutuzow, mrugając powoli oczami, słuchał usprawiedliwień, słów obrony (Jermolow osobiście zameldował mu się dopiero następnego dnia) i nalegań Bennigsena, Konownicyna i Tolla, aby tę samą nieudaną akcję powtórzyć nazajutrz. I Kutuzow musiał zgodzić się znowu.

VI

Nazajutrz wojska już wieczorem zajęły wyznaczone stanowiska i ruszyły do bitwy w nocy. Była jesienna noc, z czamofioletowymi-chmurami, ale bez deszczu. Ziemia była wilgotna, lecz błota nie było, i wojska szły cicho, tylko z rzadka słyszało się słabe szczękanie dział. Zabroniono głośnych rozmów, palenia fajek, krzesania ognia, konie powstrzymywano od rżenia. Tajemniczość przedsięwzięcia powiększała jego urok. Ludzie szli ochoczo. Niektóre kolumny zatrzymały się, ustawiono karabiny w kozły i ludzie ułożyli się na zimnej ziemi sądząc, że przyszedł tu, gdzie było trzeba; niektóre (większość) kolumny szły całą noc i oczywiście przyszły nie tu, dokąd trzeba było.

Hrabia Orłow-Denisow z Kozakami (najmniejszy oddział ze wszystkich) dotarł na swe miejsce w wyznaczonym czasie. Oddział ten zatrzymał się na skraju lasu, na ścieżce ze wsi Stromiłowej do Dmitrowskiego.

Przed świtaniem obudzono drzemiącego hrabiego Orłowa.-Przyprowadzono dezertera z francuskiego obozu. Był nim polski podoficer z korpusu Poniatowskiego. Podoficer ten opowiedział po polsku, że zbiegł dlatego, iż go skrzywdzono w służbie, gdyż powinien był dawno już być oficerem, jako waleczniej szy niż wszyscy inni, i dlatego uciekł, by ich ukarać. Mówił, że Murat nocuje zaledwie o wiorstę od nich, i jeżeli mu dadzą stuosobowy konwój, weźmie go żywcem. Hrabia Orłow-Denisow poradził się swych towarzyszy. Propozycja była zbyt ponętna, by ją odrzucić. Wszyscy chcieli jechać, wszyscy doradzali, aby spróbować. Po długich sporach i rozważaniach zdecydował się jechać z dwoma kozackimi pułkami i owym podoficerem generał--major Greków.

– Ale pamiętaj – powiedział hrabia Orłow-Denisow podoficerowi odprawiając go – jeżeliś skłamał, każę cię jak psa powiesić, a jeżeli prawda – sto czerwonych.

Podoficer, z wyrazem zdecydowania, nie odpowiedział nic na te słowa, dosiadł konia i pojechał z gotowym już do drogi Grekowem. Zniknęli w lesie. Hrabia Orłów, kuląc się od chłodu rozpoczynającego się świtania, zaniepokojony tym, co zamyślił na własną odpowiedzialność, odprowadziwszy Grekova wyszedł z lasu i zaczął przypatrywać się nieprzyjacielskiemu obozowi, widniejącemu teraz zwodniczo w świetle rozpoczynającego się poranka i dopalających się ognisk. Z prawej strony od hrabiego Orłowa-Denisowa, na odsłoniętym stoku, powinny się były ukazać nasze kolumny. Hrabia Orłów patrzył tam, ale mimo to, że byłyby z dala widoczne, kolumn tych nie było widać. W obozie francuskim, jak się zdawało hrabiemu Orłowowi-Denisowowi, a zwłaszcza jego bardzo bystrowzrocznemu adiutantowi, zaczął się ruch.

– Ach, doprawdy, zbyt późno – powiedział hrabia Orłow-popatrzawszy na obóz. Nagle, jak to często bywa, gdy człowieka, któremuśmy uwierzyli, nie mamy już przed oczami, zobaczył z całą oczywistością, że ten podoficer to oszust, że nakłamał i że brak tych dwóch pułków, które Bóg wie gdzie powiedzie, popsuje całą sprawę. Czy można z takiej masy wojska wyrwać naczelnego

wodza?

– W rzeczy samej, kłamie, a to szelma – powiedział hrabia.

– Można ich zawrócić – powiedział ktoś ze świty, kto, tak samo jak hrabia Orłow-Denisow, patrząc na obóz zwątpił o przedsięwzięciu.

– A, doprawdy?... Jak pan sądzi, a może zostawić? Albo nie?

– Rozkaże generał zawrócić?

– Zawrócić, zawrócić! – stanowczo powiedział hrabia Orłow patrząc na zegarek. – Za późno będzie, już zupełnie widno.³²⁸

I adiutant ruszył w las śladem Grekowa. Gdy Greków wrócił, hrabia Orłow-Denisow, rozdrażniony tym odwołanym przedsięwzięciem i próżnym oczekiwaniem kolumn piechoty, które wciąż nie nadchodziły, i bliskością nieprzyjaciela (wszyscy ludzie z jego oddziału doświadczyli tego samego), postanowił atakować.

Zakomenderował szeptem: „Na koń!” Zajęto miejsca, przeżegnano się...

– Z Bogiem!

– Huraaaaa! – huknęło w lesie i sotnia za sotnią, wysypując się niby z worka, polecieeli ochoczo Kozacy z nastawionymi pikami przez strumień na obóz.

Rozpaczliwy krzyk przerażenia pierwszego Francuza, który zobaczył Kozaków – i wszyscy w obozie nie odziani, zaspani, zostawili armaty, karabiny, konie i uciekali, gdzie oczy niosły.

Gdyby Kozacy ścigali Francuzów nie zwracając uwagi na to, co się działo za nimi i wkolo nich, wzięliby i Murata, i wszystko, co tu było. Dowódcy tego właśnie chcieli. Ale nie można było ruszyć z miejsca Kozaków, gdy się dorwali do zdobyczy i jeńców. Nikt nie słuchał rozkazów. Wzięto tutaj półtora tysiąca ludzi do niewoli, trzydzieści osiem armat, sztandary i co najważniejsze dla Kozaków – konie, siodła, derki i najrozmaitsze przedmioty. Wszystkim tym trzeba się było zająć: zabezpieczyć jeńców, armaty, podzielić zdobycz, pokrzyzczyć, nawet pobić się między sobą, wszystkim tym zajęli się Kozacy.

Tymczasem według dyspozycji: „Die erste Kolonne marschieret-itd., piechota spóźnionych kolumn, którymi dowodził Bennigsen, a kierował Toll, ruszyła, jak trzeba i jak to zawsze bywa, przybyła gdzieś, ale nie na miejsce jej wyznaczone. I jak to zawsze bywa, ludzie wyszli ochoczo, ale z czasem zaczęli się zatrzymywać, słychać było głosy niezadowolenia, świadomi zamieszania ruszyli gdzieś z powrotem. Pędzący galopem adiutanci i generałowie krzyczeli, złościли się, sprzeczali, mówili, że to zupełnie nie tam i że się spóźniono, komuś wymyślano itd., a w końcu wszyscy machnęli ręką i poszli jedynie dlatego, żeby dokądkolwiek iść. „Dokądś tam zajdziemy”. Rzeczywiście przyszli, ale nie tam, gdzie należało, a niektórzy nawet na wyznaczone miejsca, ale spóźnili się tak, że przyście ich nie przyniosło żadnej korzyści, przyszli chyba tylko po to, żeby w nich strzelano. Toll, który w bitwie grał rolę Weihrothera pod Austerlitz, przykładowo galopował z miejsca na miejsce i wszędzie znajdował wszystko zrobione na odwrót. Gdy było już zupełnie widno, wpadł w lesie na korpus Baggovouta, a korpus ten powinien był już dawno być przy Orłowie-Denisowie.- Rozdrażniony i zmartwiony niepowodzeniem i sądząc, że ktoś musiał być za to odpowiedzialny, Toll popędził do dowódcy korpusu i robił mu ostro zarzuty mówiąc, że za to należy rozstrzeliwać. Baggovout, bojowy, stary, spokojny generał, również zmęczony wszystkimi przeszkodami, chaosem, sprzecznościami, ku zdziwieniu wszystkich i zupełnie wbrew swemu charakterowi wpadł we wściekłość i nagadał Tollowi nieprzyjemności.

Ja pouczeń nie potrzebuję od nikogo, a umierać ze swymi żołnierzami umiem nie gorzej niż inni – powiedział i z jedną dywizją poszedł naprzód.

Wyszędłszy na pole pod francuski ostrzał, rozdrażniony a mężny Baggovout, nie biorąc pod uwagę, czy pożyteczna, czy szkodliwa będzie jego akcja z jedną tylko dywizją, ruszył naprzód i poprowadził swe wojska pod kule. Niebezpieczeństwo, pociski armatnie, kule, wszystko to było mu potrzebne w jego gniewnym nastroju. Padł od jednej z pierwszych kul, od następnych poległo wielu żołnierzy. I dywizja stała w ogniu jakiś czas zupełnie bezużytecznie.

VII

Tymczasem inna kolumna powinna była zaatakować Francuzów z frontu, ale przy tej kolumnie był Kutuzow. Wiedział dobrze, że nic prócz płataniny nie wyjdzie z tej bitwy rozpoczętej wbrew jego woli, i na ile to tylko było w jego władzy, powstrzymywał wojska. Nie szedł do ataku.

Kutuzow jechał w milczeniu na swym siwym koniku odpowiadając opieszale na propozycje, by atakował.

– Macie na języku tylko „atakować”, a nie widzicie, że nie umiemy dokonywać złożonych manewrów – powiedział Miłoradowiczowi, który prosił o marsz naprzód.

– Nie umieliście z rana wziąć żywcem Murata i przyjść na miejsce w oznaczonym czasie, teraz nie ma co robić! – odpowiedział drugiemu.

Gdy Kutuzowowi zameldowano, że na tyłach Francuzów, gdzie – według doniesień Kozaków – poprzednio nikogo nie było, teraz stoją dwa bataliony Polaków, spojrział z ukosa na Jermołowa (nie rozmawiał z nim od dnia wczorajszego).

– Patrzcie, rwą się do ataku, mają różne projekty, rozpoczynasz akcję – a tu nic nie przygotowane, gdy tymczasem uprzedzony nieprzyjaciel zastosował odpowiednie środki.

Jermołow przymrużył oczy i uśmiechnął się z lekka słysząc te słowa. Zrozumiał, że burza przeszła koło niego i że Kutuzow ograniczy się do tego napomknięcia.

– Zabawia się na mój rachunek – rzekł cicho Jermołow, trąciwszy lekko kolaniem Rajewskiego, który stał przy nim.

Wkrótce potem Jermołow wysunąwszy się naprzód zaraportował-Kutuzowowi z szacunkiem:

– Mamy jeszcze czas na akcję, wasza dostojność, nieprzyjaciel nie odszedł. Czy rozkaże pan atakować? Inaczej gwardia nawet dymu nie zobaczy.

Kutuzow nie odpowiedział, ale gdy mu doniesiono, że wojska Murata cofają się, rozkazał atakować; lecz co sto kroków zatrzymywał się na trzy kwadransy.

Cała bitwa sprowadzała się tylko do tego, czego dokonali Kozacy Orłowa-Denisowa, pozostałe wojska straciły tylko kilkuset ludzi na próżno.

Za tę bitwę Kutuzow otrzymał order z brylantami, Bennigsen— również brylanty i sto tysięcy rubli, inni, stosownie do szarż, otrzymali również podarunki. Po tej bitwie nastąpiły jeszcze nowe przeniesienia w sztabie.

„Oto jak robi się u nas zawsze, wszystko na odwrót!” – mówili po tarutińskiej bitwie rosyjscy oficerowie i generałowie, zupełnie tak samo, jak i teraz mówią, dając do zrozumienia, że ktoś tam głupi robi tak opacznie, a my zrobiliśmy inaczej. Ale ludzie tak mówiący albo nie znają sprawy, o której mówią, albo okłamują się umyślnie. Żadna bitwa pod Tarutinem, Borodinem czy pod Austerlitz – nie dokonywa się tak, jak przewidywali jej projektodawcy. Jest to istotna okoliczność.

Niezliczona ilość wolnych sił (gdyż człowiek nigdzie nie bywa tak wolny, jak w czasie bitwy,

gdy idzie o życie lub śmierć) wpływa na kierunek bitwy i ten kierunek nigdy nie może być z góry przewidziany i nigdy nie odpowiada kierunkowi jakiegokolwiek jednej siły.

Jeżeli liczne siły, jednocześnie i różnorodnie skierowane, oddziałują na jakiegokolwiek ciało, to kierunek ruchu tego ciała nie może być zgodny z żadną z tych sił, lecz będzie zawsze kierunkiem średnim, najkrótszym – tym, co w mechanice wyraża się przekątną równoległoboku sił.

Jeżeli w opisach historyków, zwłaszcza francuskich, znajdujemy, że ich wojny i bitwy toczą się według planu z góry określonego, to jedyny wniosek, jaki możemy z tego wyciągnąć – że opisy te nie są prawdziwe.

Bitwa tarutińska, oczywiście, nie osiągnęła tego celu, który miał na widoku Toll: po kolei, według dyspozycji, wprowadzić wojska do akcji, ani tego celu, który mógł mieć hrabia Orłów: wziąć do niewoli Murata, ani celu zniszczenia jednym ciosem całego korpusu, który mogli mieć Bennigsen i inni oficerowie; albo celu owego oficera pragnącego znaleźć się w bitwie i odznaczyć się; albo Kozaka, który chciał wziąć więcej zdobyczy, niż wziął itd. Jeżeli jednak celem było to, czego rzeczywiście dokonano, i to, co było wtedy ogólnym pragnieniem wszystkich Rosjan (wypędzenie Francuzów z Rosji i zniszczenie ich armii), to będzie zupełnie zrozumiałe, że bitwa pod Tarutinem, właśnie wskutek jej niekonsekwencji, była tym, co potrzebne było w owym okresie kampanii. Trudne i niemożliwe jest przedstawienie sobie jakiegoś innego rozwiązania tej bitwy, bardziej celowego niż to, które nastąpiło. Przy bardzo małym wysiłku, przy wielkim zamieszaniu i znikomych stratach osiągnięto większe rezultaty niż w całej kampanii, dokonano przejścia od cofania się do akcji zaczepnej, ujawniono słabość Francuzów i zadano owo pchnięcie, na które tylko czekało wojsko napoleońskie, żeby rozpocząć ucieczkę.

VIII

Napoleon wkracza do Moskwy po wspaniałym zwycięstwie de la Moskova; zwycięstwo jest niewątpliwe, gdyż pole walki pozostało przy Francuzach. Rosjanie cofają się i oddają stolicę. Moskwa pełna żywności, broni, amunicji i niezliczonych bogactw – w rękach Napoleona. Wojsko rosyjskie, dwa razy słabsze niż francuskie, w ciągu miesiąca nie czyni ani jednej próby natarcia. Położenie Napoleona – najświetniejsze. - Do tego, aby z dwukrotnie większymi siłami runąć na resztki rosyjskiej armii i zniszczyć ją; do tego, żeby zawrzeć korzystny pokój albo, na wypadek odmowy, zrobić manewr zagrażający Petersburgowi, do tego, żeby nawet w wypadku niepowodzenia wrócić do Smoleńska albo Wilna lub pozostać w Moskwie, do tego, słowem, żeby utrzymać to wspaniałe położenie, w jakim znajdowało się wówczas wojsko francuskie, wydawałoby się, nie trzeba szczególnego geniuszu. Do tego trzeba było zrobić najprostszą i najłatwiejszą rzecz: nie pozwolić wojsku, aby grabiło, przygotować zimową odzież, której wystarczyłoby w Moskwie dla całej armii, i we właściwy sposób zmagazynować prowiant znajdujący się w Moskwie, który mógł wystarczyć na dłużej niż pół roku (według danych historyków francuskich) dla całego wojska. Napoleon, ten geniusz nad geniuszami, władca armii, jak twierdzą historycy, nic takiego nie zrobił.

Nie tylko nic takiego nie zrobił, lecz gorzej, użył całej swej władzy na to, aby ze wszystkich znanych mu dróg działania wybrać taką, która była najgłupsza i najbardziej zgubna. Ze wszystkiego, co mógł Napoleon uczynić: zimować w Moskwie, iść na Petersburg, iść na Niżni Nowogród, cofać się, iść bardziej na północ albo na południe tą drogą, którą poszedł później Kutuzow, słowem, o jakimkolwiek by wyjściu pomyśleć – nic bardziej głupiego i zgubniejszego niż to, co przedsięwziął Napoleon, tj. pozostawać w Moskwie do października, pozwalając wojsku grabić miasto, potem wahając się, zostawić garnizon w Moskwie, wyjść z niej, zbliżyć się do Kutuzowa, nie wydać bitwy, pójść na prawo, dojść do Małojarsławca, znowu nie próbując się przebić, pójść nie tą drogą, którą szedł Kutuzow, lecz wrócić na Możajsk spustoszoną drogą smoleńską – nic głupszego i bardziej zgubnego dla wojska nie można było wymyślić, jak to potwierdziły następstwa. Niech najbardziej umiejętni strategowie – zakładając, że Napoleon chciał zgubić swą armię – pokażą jakąś inną kolejność działania, która by tak niechybnie i niezależnie od wszystkiego, co przedsięwzięły wojska rosyjskie, tak całkowicie zniszczyła całą armię francuską, jak to zrobił Napoleon!

Genialny Napoleon zrobił to. Ale powiedzieć, że Napoleon dlatego zniszczył swą armię, że tego chciał albo dlatego, że był bardzo głupi, byłoby również tak samo niesłuszne, jak twierdzenie, że Napoleon doprowadził swe wojska pod Moskwę dlatego, że chciał, i dlatego że był bardzo mądry i genialny.

W pierwszym i drugim wypadku osobiste jego działanie, nie mające większego znaczenia niż osobiste działanie każdego żołnierza, było tylko zgodne z tymi prawami, według których dokonywało się zjawisko.

Zupełnie fałszywie (tylko dlatego, że skutki nie usprawiedliwiły działania Napoleona) przedstawiają nam historycy, że siły Napoleona osłabły w Moskwie. Zupełnie tak samo jak poprzednio, jak później, w roku trzynastym, Napoleon zużył całą swą umiejętność i siły, żeby uczynić wszystko, co mógł najlepszego, dla siebie i dla swej armii. Działanie Napoleona w tym czasie jest nie mniej zadziwiające niż w Egipcie, we Włoszech, w Austrii i Prusach. Nie wiemy ściśle, w jakim stopniu geniusz Napoleona przejawiał się w Egipcie, gdzie czterdzieści wieków patrzyło na jego wielkość³²⁹, ponieważ wszystkie te wielkie zwycięstwa przedstawiają nam tylko Francuzi. Nie możemy należycie ocenić jego geniuszu w Austrii i Prusach, gdyż dane o jego tam działaniu musimy czerpać ze źródeł francuskich i niemieckich, a niepojęte przejście do niewoli korpusów bez bitwy i poddawanie się twierdz bez oblężenia musiały skłaniać Niemców do uznania jego geniuszu, jedyne usprawiedliwienie takiej wojny, którą prowadzono w Niemczech. Ale my, chwała Bogu, nie mamy potrzeby uznawania jego geniuszu, aby ukryć swój wstyd. Zapłaciliśmy za to, żeby mieć prawo patrzeć na sprawę prosto i prawdziwie, i nie wyrzekniemy się tego prawa.

Jego działanie w Moskwie jest również zdumiewające i genialne, jak wszędzie. Rozkazy za rozkazami i plany za planami sypią się od czasu zajęcia Moskwy aż do wyjścia z niej. Nieobecność mieszkańców, brak delegacji i pożar miasta nie zaniepokoiły go. Nie spuszcza z oka ani dobra swej armii, ani działań nieprzyjaciela, ani pomyślności narodów Rosji, ani kierownictwa sprawami Paryża, ani dyplomatycznych rozmyślań o przyszłych warunkach pokoju.

³²⁹ Aluzja do słynnego zdania Napoleona: „Lx, szczytu tych piramid czterdzieści-wieków na nas patrzył”, wypowiedzianego przed bitwą pod piramidami 21 lipca 1798 r.

IX

Co się tyczy spraw wojskowych, Napoleon natychmiast po zajęciu Moskwy surowo nakazuje generałowi Sebastianemu śledzić ruchy rosyjskiej armii, rozsyła korpusy w różnych kierunkach i rozkazuje Muratowi odnaleźć Kutuzowa. Potem starannie obmyśla umocnienie Kremla, potem układa genialny plan przyszłej kampanii na całej mapie Rosji. Co się tyczy spraw dyplomatycznych, Napoleon wzywa do siebie ograbionego i oberwanego kapitana Jakowlewa, który nie wie, jak się wydostać z Moskwy, przedstawia mu szczegółowo całą swą politykę i swą wielkoduszność, po czym napisawszy list do cesarza Aleksandra, w którym uważa za swój obowiązek zakomunikować swemu przyjacielowi i bratu, że Rastopczyn źle rządził w Moskwie, wysłał Jakowlewa do Petersburga. Przedstawivszy równie szczegółowo swe zamiary i wielkoduszność Tutołminowi, wysłał i tego staruszka do Petersburga na pertraktacje.

Co się tyczy spraw jurystycznych, natychmiast po pożarach rozkazano znaleźć winnych i stracić ich. A złoczyńcę Rastopczyna ukarano spaleniem jego domów.

Co się tyczy spraw administracyjnych, Moskwie nadano konstytucję. Utworzono urząd municypalny i ogłoszono, co następuje:

Mieszkańcy Moskwy!

Nieszczęścia wasze są okrutne, ale jego cesarska i królewska mość chce przerwać tok onych. Srogie przykłady nauczyły was, w jaki sposób karze on nieposłuszeństwo i zbrodnie. Stosuje się surowe środki, aby ukrócić nieład i przywrócić ogólne bezpieczeństwo. Ojcowiska administracja, wybrana przez was samych, stanowić będzie waszą municypalność, czyli zarząd miejski. On to będzie sprawował pieczę nad wami i dbał o wasze potrzeby i interesy. Członkowie owego zarządu wyróżniają się czerwoną wstęgą, którą nosić będą przez ramię, a prezydent będzie miał na wierzchu onej pas biały. Ale poza godzinami urzędowania będą oni nosić tylko czerwoną opaskę na lewej ręce.

Policja miejska została ustanowiona według dawnych zasad, a dzięki jej działalności panuje już lepszy porządek. Rząd wyznaczył dwóch generalnych komisarzy, czyli policmajstrów, i dwudziestu komisarzy, czyli dzielnicowych przystawów ustanowionych dla wszystkich dzielnic miasta. Poznacie ich po białej opasce, którą będą nosić na lewej ręce. Kilka świątyń różnych wyznań otworzono i w nich bez przeszkody odprawiają się nabożeństwa. Wasi współobywatele powracają codziennie do swych domów i wydano rozkazy, aby znajdowali w nich pomoc i opiekę, odpowiednie do ich nieszczęścia. Takie są środki, których rząd użył, żeby przywrócić porządek i ulżyć waszemu położeniu. Ale żeby to osiągnąć, trzeba, abyście i wy dołożyli starań, żebyście zapomnieli, w miarę możności nieszczęściach, które was spotkały, abyście oddali się nadziei, że zły los przeminie, byście byli pewni, że nieunikniona i haniebna śmierć czeka tych, którzy odważą się napaść na was i na wasze mienie; a wreszcie, abyście nie wątpili, że mienie

owo będzie zachowane – albowiem taka jest wola największego i najsprawiedliwszego ze wszystkich monarchów. Żołnierze i mieszkańcy, jakiegokolwiek jesteście nacji! Przywróćcie powszechne zaufanie, źródło pomyślności państwa; żyjcie jak bracia; jednoczcie się, żeby udaremnić złe zamiary; dochowujcie posłuszeństwa władzom wojskowym i cywilnym, a szybko przestaną się łać lzy wasze.

Co się tyczy zaopatrzenia wojska, Napoleon polecił wszystkim jednostkom wojskowym kolejno przybywać do Moskwy *a la maraude*³³⁰, celem zaopatrzenia się w prowiant, żeby tym sposobem zabezpieczyć armię na przyszłość.

Co się tyczy spraw religijnych, Napoleon nakazał *ramener les popes*³³¹ i wznowić nabożeństwa w cerkwiach.

W sprawach handlu i zaprowiantowania armii rozplakatowano wszędzie, co następuje:

Obwieszczenie

Wy, spokojni mieszkańcy Moskwy, rzemieślnicy i robotnicy, których nieszczęście wyгнаło z miasta, i wy, rozproszeni rolnicy, których bezpodstawny strach zatrzymuje jeszcze w polach, słuchajcie! Spokój wraca do stolicy i wznowia się w niej porządek. Wasi rodacy śmiało wychodzą ze swych kryjówek, widząc, że się ich szanuje. Wszelki gwałt przeciw nim i ich własności podlega natychmiastowej karze. Jego cesarska i królewska mość opiekuje się nimi i nikogo z was nie uważa za swego wroga prócz tych, którzy nie słuchają jego rozkazów. Chce położyć kres waszym nieszczęściom i powrócić was waszym domom i waszym rodzinom. Pomagajcież jego dobroczynnym zamiarom i przychodźcie do nas bez bojaźni. Mieszkańcy! powracajcie z ufnością do waszych domów: znajdziecie wkrótce możliwość zaspokojenia swych potrzeb! Rzemieślnicy i pracowita czeladzi! Wracajcie do rękodzielni: czekają na was domy, sklepy, straże porządkowe, a za pracę otrzymacie odpowiednią zapłatę! I wreszcie wy, chłopci, wyjdźcie bez obawy do waszych chat z całkowitą wiarą, że znajdziecie opiekę. Otworzono spichlerze w mieście, dokąd chłopci mogą przywozić zbyteczne zapasy i produkty rolne. Rząd, aby zabezpieczyć wolność sprzedaży, postanowił, co następuje: 1) Poczynając od dnia dzisiejszego chłopci, rolnicy i mieszkańcy okolic Moskwy mogą bez żadnej obawy przywozić do miasta swe zapasy, jakiegokolwiek by one były, do dwóch wyznaczonych spichrzów, tj. na Machowa i do Ochotnego Riadu. 2) Owe produkty będą kupowane od nich po takiej cenie, na jaką kupujący i sprzedawca zgodzą się między sobą; jeżeliby sprzedający nie otrzymał żądanej przez siebie sprawiedliwej zapłaty, może zawieźć produkty z powrotem na wieś, przy czym nikt pod żadnym pozorem przeszkodzić mu w tym nie może. 3) Niedziela i środa w każdym tygodniu wyznaczone są na wielkie targi; dlatego we wtorki i soboty rozstawiona będzie dostateczna liczba wojska na wszystkich wielkich traktach, w takiej odległości od miasta, aby ochraniać jadące wozy. 4) Takie same środki będą przewidziane, żeby w drodze powrotnej chłopcom z ich wozami i końmi nie czyniono przeszkód. 5) Niezwłocznie ustanowi się sposoby wznowienia zwyczajowych targów. Mieszkańcy miasta i wsi i wy, robotnicy i rzemieślnicy, jakiegokolwiek jesteście nacji! Wzywa się was do wykonywania ojcowskich zamierzeń jego cesarskiej i królewskiej mości i do współdziałania z nim w dążności do powszechnego szczęścia. Nieście do jego stóp cześć i ufność i nie zwlekajcie połączyć się z nami!

W celu podniesienia ducha w wojsku i wśród ludu nieustannie odbywały się parady,

³³⁰ Na rabunek.

³³¹ Sprowadzić z powrotem popów.

rozdawano nagrody. Cesarz, jeżdżąc konno ulicami, dodawał otuchy mieszkańcom, i mimo kłopotów państwowych odwiedzał teatry otwarte z jego rozkazu.

Co się tyczy dobroczynności, największej chwały głów koronowanych, Napoleon czynił również wszystko, co od niego zależało. Na zakładach dobroczynnych kazał napisać:

„*Maison de ma Mere*”³³², łącząc tym aktem serdeczne synowskie uczucie z wielkością monarszej dobroci. Odwiedził przytułek i pozwoliwszy ucałować sobie białe ręce uratowanym przez siebie sierotom, łaskawie rozmawiał z Tutołminem Potem, według krasomówczej relacji Thiersa, kazał wypłacić swym wojskom żołd rosyjskimi podrobionymi przezeń pieniędzmi. „*Relevant femploi de ces moyens par un acte digne de lui et de l'armee francaise, U fit distribuer des secours aux incendies. Mais les vivres etant trop precieux pour etre donnes a des etrangers la plupart ennemis, Napoleon aima mieux lew fournir de l'argent a fin qu'ils se fournissent au dehors, et U lew fit distribuer des roubles papier's.*”³³³

Co się tyczy dyscypliny armii, wydawano nieustannie zarządzenia o surowych karach za niewypełnienie obowiązków służbowych i o zaprzestaniu grabieży.

³³² Dom mojej matki.

³³³ Podnosząc znaczenie użycia tych środków czynem godnym jego i armii francuskiej, rozkazał rozdać zapomogę pogorzelncom. Ponieważ żywność była zbyt droga, żeby dawać ją cudzoziemcom, przeważnie wrogo nastrojonym, Napoleon wolał dać im pieniądze, żeby się zaopatrywali w żywność poza miastem, i kazał rozdawać im ruble papierowe.

X

Ale dziwna rzecz, wszystkie te zarządzenia, zabiegi i plany, zupełnie nie gorsze od innych, wydawanych w podobnych wypadkach, nie poruszały istoty sprawy, lecz jak wskazówki na tarczy zegara oderwanej od mechanizmu kręciły się dowolnie i bezcelowo, nie zahaczając o kółko.

Co się tyczy wojny, genialny plan kampanii, o której mówił Thiers: „*que son genie n'avait jamais rien imagine de plus profond, de plus habile et de plus admirable*”³³⁴, i w związku z którym Thiers, polemizując z panem Fainem, dowodzi, że datą napisania tego genialnego planu jest nie 4, lecz 15 października – plan ten nigdy nie był i nie mógł być wykonany, dlatego że nie miał nic wspólnego z rzeczywistością

Umocnienie Kremla, do czego trzeba było zburzyć la Mosquee (tak nazywał Napoleon cerkiew Wasilia Błogosławionego), okazało się zupełnie bezużyteczne. Założenie min pod Kremlem tylko pomogło do spełnienia życzeń cesarza przy wyjściu z Moskwy, żeby Kreml wysadzono, tj. żeby zbito tę podłogę, o którą uderzyło się dziecko. Ściganie armii rosyjskiej, które tak pochłaniało Napoleona, przedstawia zjawisko niesłychane. Francuscy wodzowie zgubili sześćdziesięcioletnią armię rosyjską i tylko, według zdania Thiersa, dzięki biegłości i, zdaje się, także dzięki geniuszowi Murata udało się odszukać, jak szpilkę, tę sześćdziesięcioletnią armię rosyjską.

Co się tyczy dyplomacji, wszystkie wywody Napoleona o jego wielkoduszności i sprawiedliwości, czynione wobec Tutołmina i Jakowlewa, którzy myśleli głównie o nabyciu powozów i płaszcza, okazały się bezużyteczne: Aleksander nie przyjął tych posłów i nie odpowiedział na ich poselstwo.

Co się tyczy wymiaru sprawiedliwości, to po straceniu rzekomych podpalaczy spłonęła druga połowa Moskwy.

Co się tyczy spraw administracyjnych, ustanowienie rządu municypalnego nie wstrzymało grabieży i przyniosło tylko korzyść niektórym osobom, zasiadającym w nim i pod pozorem przestrzegania porządku grabiącym Moskwę albo ochraniającym swoje dobro przed grabieżą.

Co się tyczy spraw religijnych, sprawa tak gładko załatwiona w Egipcie przez odwiedzenie meczetu, tu nie przyniosła żadnego rezultatu. Dwóch czy trzech kapłanów odnalezionych w Moskwie próbowało spełnić wolę Napoleona, ale jednego z nich spoliczkował żołnierz francuski przy odprawianiu nabożeństwa, a o drugim donosił urzędnik francuski, co następuje:

Le pretre, que j'avais decouvert et uwite d recommencer d dire la messe, a nettoye et ferme l'eglise. Cette mat on est venu de nouveau enfonce les portes, casser les cadenas, dechi-rer les

³³⁴ że geniusz jego nigdy nie stworzył nic głębszego, zręczniejszego i bardziej zadziwiającego”. Zapewne cytat z Historii Konsulatu i Cesarstwa Thiersa.

limes et commetre d'autres desordres.³³⁵

Co się tyczy handlu, na wezwanie do pracowitych rzemieślników i wszystkich chłopów zupełnie nie odpowiedziano. Pracowitych rzemieślników nie było, a chłopci wyłapywali i uśmiercali komisarzy, którzy zbyt daleko jechali z tym wezwaniem.

Co się tyczy bawienia ludu i wojska przedstawieniami teatralnymi, to również się nie udało. Otwarte w Kremlu i w domu Pozniakowa teatry zostały wkrótce zamknięte, dlatego że aktorki i aktorów ograbiono.

Nawet dobroczynność nie przyniosła pożądaných rezultatów. Podrabiane i nie podrabiane pieniądze zasypały Moskwę i nie miały żadnej wartości. Francuzom, zbierającym zdobycz, potrzebne było tylko złoto. Nie tylko podrabiane asygnaty, które Napoleon tak miłościwie rozdawał nieszczęśliwym, nie miały wartości, lecz i srebro oddawano poniżej jego wartości za złoto.

Ale najbardziej uderzającym zjawiskiem nierealności ówczesnych rozporządzeń były daremne wysiłki Napoleona, by usunąć grabieże i przywrócić dyscyplinę.

Oto co komunikowali urzędnicy armii:

W mieście trwają grabieże mimo rozkazu ich zaprzestania. Porządek jeszcze nie został przywrócony i me ma ani jednego kupca prowadzącego handel legalnie. Tylko markietani pozwalają sobie na sprzedaż, ale też rzeczy nagrabionych.

La partie de mon arrondissement continue a etre en proie au pillage des soldats du 3 corps, qui, non contents d'arracher aux malheweux refugies dans des souterrains le peu qui leur reste, ont meme la ferocite de les blesser a coups de sabre, com-me j'en ai vu plusieurs exemples³³⁶.

Rien de nouveau outre que les soldats se permettent de voler-et de piller. Le 9 Octobre.³³⁷

Le vol et le pillage continuent. Il y a wie bandę de voleurs dans notre district qu'il faudra faire arreter par de fortes gardes-Le 11 Octobre.³³⁸

Cesarz nadzwyczaj jest niezadowolony, że mimo surowych rozkazów usunięcia grabieży, wciąż widzi się oddziały maruderów-gwardzistów wracających do Kremla. W starej gwardii nieład i grabieże silniej niż kiedykolwiek przejawiały się wczoraj, ostatniej nocy i dzisiaj. Cesarz z ubolewaniem widzi, że wyborowi żołnierze, wyznaczeni do ochrony jego osoby, którzy winni być przykładem subordynacji, do takiego stopnia posuwają nieposłuszeństwo, że rozbijają piwnice i magazyny przygotowane dla armii. Inni poniżyli się tak dalece, że nie usłuchali straży i oficerów wart, których znieważono i bito.

Le grand marechal du palais se plaint vivement – pisał gubernator – que malgre les defenses

³³⁵ Kapłan, którego znalazłem i skłoniłem, aby wrócił do odprawiania mszy, uprzątnął i zamknął cerkiew. Dziś w nocy znowu wyważono drzwi, rozbito kłódki, podarto księgi i dopuszczono lię innych czynów tego rodzaju.

³³⁶ Część mego okręgu w dalszym ciągu podlega grabieżom żołnierzy trzeciego korpusu, którzy nie zadowalają się tym, że wydzierają nędzne resztki dobytku nieszczęśliwcom, ukrywającym się w piwnicach, lecz jeszcze tak są krwiożerczy, że zadają im rany szablami, jak sam wiele razy widziałem.

³³⁷ Nic nowego poza tym, że żołnierze pozwalają sobie grabić i kraść. 9 października.

³³⁸ Złodziejstwo i grabieże trwają dalej. W naszym dystrykcie istnieje szajka złodziei, którą trzeba będzie aresztować z pomocą silnych oddziałów. 11 października.

reiterees, les soldats continuent a faire leurs besoins dans toutes les cours et meme jusque sous les fenetres de l'Empereur.³³⁹

Wojsko to, niby rozpuszczone stado, depcząc paszę, która mogłaby je uratować od głodowej śmierci, rozpadało się i ginęło codziennie w czasie niepotrzebnego przebywania w Moskwie.

Ale nie ruszało się z miejsca.

Uciekło dopiero wtedy, gdy ogarnął je paniczny strach po utracie taborów na drodze smoleńskiej i po bitwie pod Tarutinem. Ta właśnie wiadomość o bitwie tarutińskiej, nieoczekiwanie otrzymana przez Napoleona na przeglądzie, wzbudziła w nim chęć, aby ukarać Rosjan, jak mówił Thiers, i Napoleon wydał rozkaz wymarszu, którego pragnęło całe wojsko.

Uciekając z Moskwy żołnierze ci zabrali ze sobą wszystko, co nagrabili. Napoleon również wiózł z sobą swój osobisty *tresor*³⁴⁰. Ujrawszy tabor obciążający armię, Napoleon przeraził się (jak mówi Thiers). Ale przy swym doświadczeniu wojennym nie nakazał spalić wszystkich zbytecznych podwód, jak to uczynił z pojazdami marszałka zbliżając się do Moskwy, popatrzył na te kolaski i karety, w których jechali żołnierze, i powiedział, że to bardzo dobrze, bo ekwipaże przydadzą się pod prowiant oraz dla chorych i rannych.

Stan całego wojska podobny był do stanu ranionego j zwierzęcia, które czuje swą zgubę i nie wie, co robi. Bada-) nie przemyślnych manewrów i celów Napoleona i jego woj- ska od chwili zajęcia Moskwy aż do chwili zniszczenia tego wojska to tyle, co badanie znaczenia przedśmiertnych drga- wek i skoków śmiertelnie ranionego zwierzęcia. Bardzo często ranne zwierzę słysząc szelest rzuca się wprost pod strzał myśliwego, biegnie naprzód, w tył i samo przyspiesza swój koniec. To samo robił Napoleon pod naporem całego swego wojska. Szmer bitwy pod Tarutinem spłoszył zwierzę, które rzuciło się naprzód, pod strzały, dobiegło do myśliwego, zawróciło i w końcu, jak każde zwierzę, pobiegło drogą najtrudniejszą i najbardziej niebezpieczną, ale za to znanym, starym śladem.

Napoleon, który wydaje się nam kierownikiem całego tego ruchu (jak postać wyrzeźbiona na dziobie okrętu wydawała się dzikim siłą kierującą okrętem), przez cały ten czas przypominał dziecko, które trzymając się tasiemek przytwierdzonych wewnątrz karety, wyobraża sobie, że powozi.

³³⁹ Marszałek dworu bardzo się uskarża na to, że mimo wszystkich zakazów żołnierze w dalszym ciągu załatwiają się na wszystkich dziedzińcach i nawet pod oknami cesarza.

³⁴⁰ Skarb.

XI

6 października, wczesnym rankiem, Pierre wyszedł z baraku, a wróciwszy zatrzymał się przy drzwiach, bawiąc się z długim, fioletowawym pieskiem o krótkich, krzywych nóżkach, kręcącym się koło niego. Piesek ten przebywał w baraku nocując z Karatajewem, ale niekiedy wybiegał gdzieś na miasto i znowu wracał. Widocznie nigdy do nikogo nie należał, a i teraz był niczyj i nie miał żadnego imienia. Francuzi wołali na niego Azor, żołnierz-bajarz zaś – Femgałka,-Karatajew i inni nazywali go Szarek, a czasem Kłapouch.-Fioletowawemu pieskowi było obojętne, że do nikogo nie należy, nie ma imienia, rasy, a nawet określonej maści. Puszysty ogon mocno i koliście sterczał w górę, krzywe nogi służyły mu tak dobrze, że często, jakby lekceważąc sobie użycie czterech nóg, podnosząc z gracją tylko jedną tylną, bardzo sprawnie i szybko biegł na trzech. Wszystko było dla niego przedmiotem zadowolenia. To skowycząc z radości tarzał się na grzbiecie, to grzał się w słońcu, zamyślony i poważny, to swawolił bawiąc się szczapką lub słomką.

Odzież Pierre'a składała się teraz z brudnej, podartej koszuli, jedynej resztki jego poprzedniego ubrania, z żołnierskich portek, dla ciepła zawiązanych, za poradą Karatajewa, przy kostkach sznurkami, z kaftana i chłopskiej czapki. Pierre bardzo się zmienił fizycznie. Nie wydawał się już otyły, chociaż wciąż zachował wygląd tęgi i silny, dziedziczny w rodzinie. Broda i wąsy obrosły mu dolną część twarzy, odrosłe splątane włosy na głowie, pełne wszy, wyglądały teraz jak strzecha. Wyraz oczu miał stanowczy, spokojny, pełen życia i determinacji, taki, jakiego nigdy przedtem nie miał. Jego poprzednie niezdyscyplinowanie, wyrażające się we wzroku, zmieniło się teraz w pełne energii opanowanie, gotowe do akcji i oporu. Chodził boso.

Pierre spoglądał teraz to w dół na pole, które dzisiejszego ranka wypełniły pojazdy i jeźdźcy, to dalej, za rzekę, to na pieska udającego, że wcale nie żartem chce go ukąsić, to na swe bose nogi, które z zadowoleniem ustawiał w różnych pozycjach, poruszając brudnymi, grubymi, wielkimi palcami. I za każdym razem, gdy spojrzał na swe bose nogi, po twarzy jego przebiegał uśmiech ożywienia i zadowolenia z siebie. Widok tych bosych nóg przypominał mu wszystko, co przeżył i zrozumiał, i to wspomnienie sprawiało mu przyjemność.

Już od kilku dni było bezwietrznie, jasno, z lekkimi porannymi przymrozkami – tak zwane babie lato.

Na dworze w słońcu było ciepło, i to ciepło zmieszane z ożywczym chłodem rannego przymrozku, dającego się jeszcze odczuć w powietrzu, było szczególnie przyjemne.

Na wszystkim, na dalszych i bliższych przedmiotach lśnił ów czarująco kryształowy blask, który widzi się tylko w tej porze jesieni. W dali widać było Worobiowe Góry ze wsią, cerkwią i dużym białym domem. I ogołocone drzewa, i piasek, i kamienie, i dachy domów, zielona kopuła cerkwi i węgły dalekiego białego domu – wszystko to z nienaturalną wyrazistością najdelikatniejszymi liniami rzeźbiło się w przezroczystym powietrzu. W pobliżu wznosiły się znajome ruiny na pół spalonego dworu, zajętego przez Francuzów, z ciemnozielonymi jeszcze

krzakami bzu, rosnącego przy ogrodzeniu. I nawet ten rozwalony i zanieczyszczony dom, podczas pochmurnej pogody odpychający swą szpetotą, teraz w jasnym, nieruchomym blasku wydawał się czymś uspokajająco pięknym.

Francuski kapral, po domowemu rozpięty, w kołpaku, z króciutką fajką w zębach, wyszedł spoza węgła baraku i mrugnawszy przyjacielsko okiem, podszedł do Pierre'a.

– *Quel soleil, hein, Monsieur Kirii?* (Tak zwali Pierre'a wszyscy Francuzi.) *On dirait le printemps*³⁴¹ – I kapral wsparłszy się o odrzwia, zaproponował Pierre'owi fajkę nie zważając na to, że choć stale ją proponował, Pierre stale odmawiał.

– *Si Von marchait par un temps comme celui-la...*³⁴² – zaczął.

Pierre zapytał go, co słyhać o wymarszu, i kapral powiedział mu, że prawie wszystkie wojska wychodzą i że teraz powinien być wydany rozkaz o jeńcach. W baraku, w którym przebywał Pierre, jeden z żołnierzy. Sokolów, był śmiertelnie chory i Pierre powiedział kapralowi, że należy zaopiekować się tym żołnierzem. Kapral odpowiedział, że Pierre może być spokojny, że do tego jest ruchomy i stały szpital i że w sprawie chorych będzie rozporządzenie, i że w ogóle wszystko, co się tylko może zdarzyć, zostało przewidziane przez dowództwo.

– *Et puis, M. Kirii, vous n'avez qu'd dire un mot au capitaine, vous savez. Oh, c'est un... qui n'oublie jamais rien. Dites au capitaine quand U f era są toumee, U f era tout pour vous...*³⁴³

Kapitan, o którym mówił kapral, często i długo rozmawiał z Pierre'em i okazywał mu życzliwość.

– *Vois-tu, St. Thomas, qu'il me disait l'autrejour: Kirii c'est un homme qui a de l'instruction, qui parle francais; c'est un seigneur russe, qui a eu des malheurs, mais c'est un homme. Et ii s'y entend le... S'il demande quelque chose, qu'il me dise, ii n'y a pas de refus. Quand on a fait ses etudes, voyez-vous, on aime l'instruction et les gens comme ii f aut. C'est pour vous que je dis cela, M. Kirii. Dans l'affaire de l'autre jour, si ce n'etait grace a vous, ca aurait fini mal.*³⁴⁴

I porozmawiawszy jeszcze jakiś czas, kapral odszedł. (Sprawa, która zdarzyła się kilka dni temu, a o której wspomniał kapral, była to bójka między jeńcami i Francuzami, w której Pierre'owi udało się uspokoić swych towarzyszy.) Kilku jeńców słyszało rozmowę Pierre'a z kapralem i zaraz zaczęły wypytywać, co on powiedział. Gdy Pierre komunikował swym towarzyszom, co kapral powiedział o wymarszu, do drzwi baraku podszedł mizerny, żółty i oberwany francuski żołnierz. Szybkim i nieśmiałym ruchem podnosząc palce ku czołu na znak pozdrowienia, zwrócił się do Pierre'a i zapytał go, czy w tym baraku przebywa żołnierz Platoche, któremu oddał koszulę do szycia.

Tydzień temu Francuzi otrzymali skórę na buty oraz płótno i oddawali to jeńcom do roboty.

Karatajew, ze względu na ciepło i dla wygody w pracy, był tylko w portkach i w czarnej jak ziemia, podartej koszuli. Włosy, jak to robią rzemieślnicy, owiązał łykiem i jego okrągła twarz wydawała się jeszcze okrągłjsza i milsza.

– Powiedziane – zrobione. Powiedziałem, że na piątek, i zrobiłem – mówił Platon

³⁴¹ Jakie sionce, co, panie Cyrylu?... Zupełna wiosna.

³⁴² Maszerować by przy takiej pogodzie.

³⁴³ A zresztą, panie Cyrylu, wystarczy panu powiedzieć słowo kapitanowi, pan wie... To taki... co niczego nigdy nie zapomina. Powiedz pan kapitanowi, gdy będzie robił obchód, on wszystko dla pana zrobi...

³⁴⁴ Widzisz, Sw. Tomasz, powiedział mi kilka dni temu: Cyryl to człowiek wykształcony, mówi po francusku; to rosyjski wielki pan, którego spotkało nieszczęście, ale to – człowiek. I zna się na tym... Jeżeli mu co potrzeba, niech mnie poprosi, nie odmówię. Widzisz, ten, co pobierał nauki, lubi wykształcenie i ludzi dobrze wychowanych. Mówię panu to, panie Cyrylu. Niedawno, gdyby nie pan, sprawa smutnie by się skończyła. Gotowa, gotowa, sokoliku! – powiedział Karatajew wychodząc z porządnie złożoną koszulą.

uśmiechając się i rozwijając uszytą przez siebie koszulę.

Francuz obejrzał się niespokojnie i jakby przezwyciężywszy wątpliwość, szybko zdjął mundur i włożył koszulę. Pod mundurem nie miał koszuli, lecz na gołe, chude, żółte ciało włożył długą, brudną jedwabną kamizelę w kwiatki. Francuz widocznie bał się, żeby jeńcy się nie śmiali, patrząc na niego, i spieszenie wsunął głowę w koszulę. Nikt z jeńców nie wymówił słowa.

– Widzisz, jak ulał – mówił Platon obciągając koszulę. Francuz przesunawszy głowę i rękę, nie podnosząc oczu oglądał na sobie koszulę i badał szew.

– Cóż, sokołiku, to nie szwalnia, nie mam statku, jak potrzeba; a mówią: bez narzędzia nawet wszy nie zabijesz – mówił Platon uśmiechając się mile i widocznie ciesząc się z własnej roboty.

– C'est bien, c'est hien, merci, mais vous devez cmoir de, la toile de restei³⁴⁵ – powiedział Francuz.

Będzie jeszcze ładniejsza, jak ją włożysz na gołe ciało – mówił Karatajew ciesząc się w dalszym ciągu ze swego dzieła. – Dopiero ci będzie i dobrze, i przyjemnie...

– *Merci, merci, mañ vieux, le reste...* – powtórzył Francuz uśmiechając się i sięgnawszy po paperek dał go Karatajewowi. – *Mais le reste.*³⁴⁶

Pierre widział, że Platon nie chciał zrozumieć, co mówi Francuz, i nie wtrącając się patrzył na nich. Karatajew podziękował za pieniądze i dalej się zachwycał swą robotą. Francuz żądał resztek i poprosił Pierre'a o przetłumaczenie tego, co mówił.

– Co mu przyjdzie z resztek? – rzekł Karatajew.

– Nam wyszłyby z tego piękne onuce. Ale Bóg z nim.

I Karatajew ze zmienioną nagle, smutną twarzą wy dostał zza pazuchy zwitek ścinków i podał Francuzowi nie patrząc na niego. – Ech! – rzekł Karatajew i odszedł. Francuz popatrzył na płótno, zamyślił się, spojrział pytająco na Pierre'a, jakby mu oczy jego coś powiedziały.

– *Platoche, dites donc, Platoche!* – zaczerwieniwszy się nagle, krzyknął Francuz piskliwym głosem. – *Gardez pour vous*³⁶³ – powiedział podając ścinki, obrócił się i wyszedł.

– No, patrzcie – powiedział Karatajew kiwając głową.

– Mówią – nie krześcijany, a też mają Boga w sercu. Tak to, tak starzy mawiali: „Spocona ręka – szczodra, a sucha skąpa”. Sam goły, a z drugim się dzieli. – Karatajew uśmiechając się w zamyśleniu i patrząc na ścinki, milczał chwilę. – A onucki, kochanku, wyjdą śliczności – powiedział i wrócił do baraku.

³⁴⁵ Dobrze, dobrze, dziękuje, ale płótna chyba zostało?

³⁴⁶ Dziękuję, dziękuję, mój drogi, resztki... Ale resztki?...

XII

Upłynęły cztery tygodnie od czasu, gdy Pierre dostał się do niewoli. Mimo że Francuzi proponowali mu przejście z żołnierskiego baraku do oficerskiego, został w tym, w którym przebywał od początku.

W Moskwie, zniszczonej i spalonej, doświadczył nędzy dochodzącej do szczytu wytrzymałości ludzkiej; ale dzięki mocnej budowie i zdrowiu, którego nie uświadamiał sobie dotychczas, a zwłaszcza dzięki temu, że braki pojawiły się tak nieznacznie, że nie można było powiedzieć, kiedy się rozpoczęły, Pierre znosił je nie tylko lekko, ale i radośnie. I wtedy właśnie stał się spokojny i zadowolony z siebie, o co starał się przedtem daremnie. Od dawna w swym życiu szukał różnych stron tego spokoju, zgody z sobą samym, tego, co tak mocno go uderzało w żołnierzach w bitwie pod Borodinem, szukał tego w filantropii, w masonerii, w rozrywkach światowego życia, w winie, w bohaterskim czynie poświęcenia się, w romantycznej miłości do Nataszy; szukał tego poprzez rozmyślanie – i wszystkie te poszukiwania i próby go zawiodły. A teraz, nie myśląc o tym, zdobył ów spokój i ową zgodę z samym sobą jedynie przez groźbę śmierci, przez nędzę i przez to, co zrozumiał w Karatajewie. Te straszne chwile, które przeżył podczas egzekucji, jakby zmyły na zawsze z jego wyobraźni i wspomnień trwożne myśli i uczucia, wydające mu się przedtem tak ważne. Teraz nawet nie myślał o Rosji, ani o wojnie, ani o polityce, ani o Napoleonie. Widoczne się dlań stało, że to wszystko nie dotyczyło jego, że nie on jest powołany, aby o tym wszystkim sądzić. „Lata i Rusi – do sojuszu nie zmusi”³⁴⁷ powtarzał słowa Karatajewa i słowa te dziwnie go uspokajały. Wydawały mu się teraz niezrozumiałe, a nawet śmieszne: zamiary zabicia Napoleona i obliczenia kabalistycznej cyfry, i myśli o bestii apokaliptycznej. Zawziętość przeciw żonie i obawa, że może być zhańbione jego nazwisko, wydawały mu się teraz nie tylko nieważne, ale i zabawne. Co go to obchodziło, że ta kobieta prowadziła gdzieś tam takie życie, jakie się jej podobało? Co kogo, a zwłaszcza jego obchodziło, czy dowiedzą się, czy się nie dowiedzą, że nazwisko ich jeńca brzmi hrabia Bezuchow?

Często teraz wspominał swą rozmowę z księciem Andrzejem i zupełnie się z nim zgadzał, tylko nieco inaczej rozumiał myśl księcia. Książę Andrzej myślał i mówił, że szczęście bywa tylko negatywne, ale mówił to z odcieniem ironii i goryczy. Mówiąc to, jakby wypowiadał inną myśl, że wszystkie istniejące w nas dążności do szczęścia pozytywnego istnieją tylko po to, żeby, nie zaspokajając nas, dręczyły. Ale Pierre bez żadnej ukrytej myśli uznawał słuszność tego zdania. Brak cierpień, zaspokojenie potrzeb, a wskutek tego dowolny wybór zajęć, tj. sposobu życia, uważał teraz Pierre za niewątpliwe i najwyższe szczęście człowieka. Dopiero tu po raz pierwszy Pierre w pełni ocenił rozkosz jedzenia – gdy się chce jeść, picia – gdy się ma pragnienie, snu – gdy się chce spać, ciepła – gdy jest chłodno, rozmowy z człowiekiem – gdy się chce mówić i posłuchać ludzkiego głosu. Zaspokojenie potrzeb – dobre jedzenie, czystość,

³⁴⁷ W oryginale; Rossii da letu – sojusza nietu.

wolność – teraz, gdy był pozbawiony tego wszystkiego, wydawało się Pierre'owi pełnym szczęściem, a wybór zajęcia, tj. sposobu życia, teraz, gdy ten wybór był tak ograniczony, wydawał mu się taką prostą sprawą, że zapomniał, iż nadmiar wygod niszczy przyjemność zaspokajania potrzeb, a duża dowolność wyboru zajęć, ta wolność, którą mu w jego życiu dawały wykształcenie, bogactwo, stanowisko w świecie, że ta wolność właśnie sprawia w wyborze zajęć trudności nie do pokonania i niszczy samą potrzebę i możliwość zajęcia.

Wszystkie marzenia Pierre'a zmierzały teraz do owej chwili, kiedy będzie wolny. A tymczasem później i w ciągu całego życia Pierre z zachwytem myślał i mówił o tym miesiącu niewoli, o tych bezpowrotnych silnych i radosnych doznaniach, a zwłaszcza o tym całkowitym spokoju ducha, o całkowitej wewnętrznej wolności, których wówczas doświadczał.

Gdy pierwszego dnia, wstawszy wczesnym rankiem, wyszedł o świcie z baraku i zobaczył najpierw ciemne kopuły i krzyże w Nowodziewiczym monasterze, gdy zobaczył przymrozkową rosę na zapyłonej trawie. Góry Worobiowe i wijący się wśród lasu brzeg rzeki, ginący w liliowej dali, gdy poczuł dotyk chłodnego powietrza i usłyszał głosy kawek lecących z Moskwy ponad polem, i gdy potem, nagle bryznęło światło ze wschodu i uroczyście wypłynął skraj słońca spoza chmury, a kopuły i krzyże, i rosa, i dal, i rzeka – wszystko zaczęło się ożywiać w radosnym świetle – Pierre doznał nowego, nie doświadczonego nigdy dotąd uczucia radości i siły życia.

I to uczucie nie tylko nie opuszczało go przez cały czas niewoli, ale, przeciwnie, wzrastało w nim w miarę, jak powiększały się trudności jego położenia.

Uczucie to – gotowości na wszystko, duchowego skupienia – jeszcze bardziej podtrzymywało w nim owo wysokie mniemanie, które ustaliło się o nim między jego towarzyszami wkrótce po przybyciu do baraku. Pierre ze swą znajomością języków, z tym szacunkiem, który okazywali mu Francuzi, ze swą prostotą, z jaką oddawał wszystko, o co go proszono (otrzymywał trzy ruble tygodniowo, jako oficer), ze swą siłą, którą pokazał żołnierzom, wpychając gwoździe w ścianę baraku, z uprzejmością względem towarzyszy, ze swą niezrozumiałą dla nich zdolnością nieruchomego siedzenia i beczynnego rozmyślenia – wydawał się żołnierzom nieco tajemniczą i wyższą istotą. Te same przymioty, które w tym świecie, gdzie żył dawniej, były dla niego jeżeli nie szkodliwe, to krępujące – jego siła, lekceważenie wygod życiowych, roztargnienie, prostota – tu, między tymi ludźmi, stwarzały mu sytuację, prawie bohatera. I Pierre czuł, że to go obowiązywało.

XIII

W nocy z 6 na 7 października rozpoczął się ruch wychodzących Francuzów: rozwalano kuchnie, baraki, ładowano wozy, wyruszyły wojska i tabory.

O siódmej rano konwój Francuzów w polowych mundurach, w kiwiorach, z karabinami, tornistrami i ogromnymi workami stał przed barakiem i ożywiona rozmowa francuska, przetykana wymyślaniami, toczyła się w szeregach.

W baraku wszyscy byli gotowi, odziani, podpasani, obuci i czekali tylko rozkazu do wyjścia. Chory żołnierz Sokołów, blady, chudy, z sinymi kręgami wokół oczu, jedyny nie obuty i nie odziany, siedział na swym miejscu, patrzył pytająco wylupiastymi z wychudzenia oczyma na towarzyszy, którzy nie zwracali na niego uwagi, i monotonicznie, cicho stękał. Widać nie tyle cierpienia (chorował na krwawą biegunkę), co strach i żal, że zostanie sam, zmuszały go do stękania.

Pierre obuty w trzewiki, uszyte dla niego przez Karatajewa z koziej skóry, którą przyniósł był Francuz do żelowania, i podpasany sznurkiem, podszedł do chorego i przykucnął przy nim.

– Cóż, Sokołów, oni przecież nie ze wszystkim wychodzą! Mają tu szpital. Może ci być lepiej niż nam – powiedział Pierre.

– Boże i Panie! O śmierć moja! O Panie! – głośniejszostękał żołnierz.

– A ja zaraz ich zapytam – powiedział Pierre i podniósłszy się podszedł do drzwi baraku. W chwili gdy Pierre zbliżał się ku drzwiom, z zewnątrz podchodził z dwoma żołnierzami ów kapral, który wczoraj częstował Pierre'a fajką. I kapral, i żołnierze byli w polowych mundurach, z tornistrami, w kiwiorach z zapiętymi paskami, co zmieniło ich znajome twarze.

Kapral szedł do drzwi, by z rozkazu dowódcy zamknąć je. Przed wyjściem trzeba było przeliczyć jeńców.

– *Caporal, que fera-t-on du malade?*³⁴⁸ – zaczął Pierre. Ale w tej chwili, kiedy to mówił, zaczął powątpiewać, czy to jest ten jego znajomy kapral, a nie inny nieznany człowiek: tak niepodobny był do siebie kapral w tej chwili. Prócz tego w momencie, gdy Pierre to mówił, z dwóch stron gruchnęły werble. Kapral zachmurzył się na słowa Pierre'a i zakławszy bezmyślnie, zatrzasnął drzwi. W baraku zaległ półmrok; z dwóch stron donośnie huczały werble, głuszac jęki chorego.

„Znowu to!... Wciąż to!” – rzekł do siebie Pierre i chłód przebiegł mu po plecach. W zmienionej twarzy kaprala, w brzmieniu jego głosu, w podniecającym i głuszącym huku werbli Pierre poznał tę tajemniczą, bezduszną siłę, która zmuszała ludzi, by wbrew własnej woli uśmiercali innych podobnych sobie ludzi, tę siłę, której działanie widział na miejscu stracenia. Bać się, starać się unikać tej siły, zwracać się z prośbami albo napomnieniami do ludzi, którzy byli jej narzędziem, było bezcelowe. O tym wiedział teraz Pierre. Należało czekać i być

³⁴⁸ Kapralu, co zrobisz z chorym?

cierpliwym. Pierre nie podszedł więc do chorego i nie spojrział na niego. Milcząc, chmurny, stał przy drzwiach baraku.

Gdy się drzwi baraku otworzyły i jeńcy, jak stado baranów, gniotąc się wzajemnie zatarasowali wyjście, Pierre przebił się naprzód i podszedł do owego kapitana, który według zapewnień kaprała gotów był wszystko zrobić dla Pierre'a. Kapitan również był w polowym mundurze, a z chłodnych rysów jego twarzy patrzyło również „owo”, ta siła, którą Pierre poznał w słowach kaprała i w biciu werbli.

– *Filez, filez!*³⁴⁹ – powtarzał kapitan chmurząc się gniewnie i patrząc na tłumnie przechodzących koło niego jeńców. Pierre wiedział, że jego próba nie odniesie skutku, ale podszedł do niego.

– *Eh bien, qu'est-ce qu'il y a?*³⁵⁰ – spojrzawszy chłodno powiedział oficer, jakby nie poznał Pierre'a. Pierre powiedział o chorym.

– *Il pourra marcher que diable!* – rzekł kapitan. – *Filez, filez!*³⁵¹ – poganiał w dalszym ciągu, nie patrząc na Pierre'a.

– *Mais mm, ii est a l'agonie...*³⁵² – rozpoczął Pierre.

– *Voulez-votis bien!...*³⁵³ – krzyknął kapitan zachmurzywszy się gniewnie.

– *Tram-ta-ta-tam, tam-tam* – huczały werble. I Pierre zrozumiał, że tajemnicza siła już zupełnie opanowała tymi ludźmi i że teraz mówić jeszcze cokolwiek – byłoby bezcelowe.

Jeńców-oficerów oddzielono od żołnierzy i kazano im iść na przedzie. Oficerów, w których liczbie był Pierre, było trzydziestu, żołnierzy z trzystu.

Oficerowie-jeńcy, wyprowadzeni z innych baraków wszyscy byli obcy, znacznie lepiej odziani niż Pierre i patrzyli na niego i jego trzewiki z niedowierzaniem, obco. Blisko Pierre szedł tęgi major w kazańskim chałacie, podpasany ręcznikiem, z opuchłą, żółtą, gniewną twarzą, widocznie cieszący się ogólnym szacunkiem swych towarzyszy jeńców. Jedną rękę z kapciuchem trzymał za pazuchę, drugą wspierał na cybuchu. Major, sapiąc i fukając, burczał i złościł się na wszystkich o to, że jak mu się zdawało, popychają go, że wszyscy się śpieszą, gdy nie ma do czego, i że wszyscy czemuś się dziwią, gdy dziwić się nie ma czemu. Inny mały, chudy oficer zaczepiał wszystkich wyrażając przypuszczenia, dokąd ich teraz prowadzą i jak daleko zdążą dojść w ciągu dzisiejszego dnia. Urzędnik w walonkach, w mundurze intendenty, podbiegał z różnych miejsc i oglądał spaloną Moskwę, komunikując głośno swe spostrzeżenia o tym, co się spaliło i jaka to jest ta albo inna – widoczna z dala – dzielnica miasta. Trzeci oficer, sądząc z akcentu Polak z pochodzenia, sprzeczał się z komisarzem urzędnikiem, dowodząc mu, że się myli w ustalaniu dzielnic Moskwy.

– O co się sprzeczacie? – ze złością pytał major.

– Wszystko jedno, Nikoły czy Włosa; widzicie, wszystko się spaliło, i basta... Po co się popychacie, mało wam drogi? – zwrócił się gniewnie do idącego za nim kolegi, który go bynajmniej nie popychał.

– Oj, oj, oj, to dopiero narobili! – słyszało się jednak to z jednej, to z drugiej strony głosy jeńców oglądających zgliszcz. – I Zamoskworiecze, i Zubowo, i na Kremlu... Patrzcie, połowy nie ma. Mówiłem wam przecie, że całe Zamoskworiecze! Widzicie, tak jest.

– No więc wiecie, co się spaliło, o czym tu mówić! – rzekł major.

Przechodząc przez Chamowniki (jedną z niewielu nie spalonych dzielnic Moskwy), koło

³⁴⁹ Przechodźcie, przechodźcie!

³⁵⁰ No więc co takiego?

³⁵¹ Będzie mógł iść, do diabła!... Przechodząc, przechodźcie.

³⁵² Ależ nie, on umiera...

³⁵³ Idźże pan do...

cerkwi, cały tłum jeńców nagle zbił się w jednym miejscu i słyhać było okrzyki przerażenia i wstrętu.

– Widzisz, łotry! To niechrześcijanie. Co trup, to trup... Umazali go czymś.

Pierre również zbliżył się do cerkwi, przy której było to, co powodowało okrzyki, i mglisto zobaczył coś wspartego na ogrodzeniu cerkwi. Ze słów towarzyszy, którzy widzieli lepiej, dowiedział się, że jest to trup ustawiony pionowo przy ogrodzeniu, z twarzą ucziemioną szablami.

– Marchez, sacre nam... Filez... trenie mille diables!...³⁵⁴ – słyhać było wymyślania konwojentów i żołnierze francuscy z nową wściekłością rozproszyli tasakami tłum jeńców patrzących na trupa.

³⁵⁴ Idźcie, diabli nadali... Przechodźcie... do kroket tysięcy diabłów...

XIV

Uliczkami Chamownik jeńcy szli sami ze swym konwojem, z kolaskami i furami, należącymi do konwojentów i jadących w tyle, ale gdy doszli do magazynów prowiantowych, dostali się w środek ogromnego, w ścisiku posuwającego się taboru artylerii, zmieszanego z prywatnymi pojazdami.

Przy samym moście wszystko się zatrzymało czekając, aż posuną się jadący na przedzie. Na moście jeńcy zobaczyli z tyłu i na przedzie nieskończone szeregi posuwających się innych taborów. Z prawej strony – tam gdzie skręcała droga kałuska koło Nieskuczno, ginąc w dali – ciągnęły nieskończone szeregi wojska i taborów. Były to wojska korpusu Beauharnais'go, które wyszły pierwsze, na tyłach, pobrzeżem i przez most Kamienny, szły wojska i tabory Ney'a.

Wojska Davouta, do których należeli jeńcy, szły przez Krymski Bród i już częściowo wchodziły w ulicę Kałuską.

Ale tabory tak się rozciągnęły, że ostatnie tabory Beauharnais'go jeszcze nie wyszły z Moskwy na ulicę Kałuską, a czoło wojsk Ney'a już wychodziło z Wielkiej Ordynki.

Po przejściu Krymskiego Brodu jeńcy robili kilkanaście kroków, zatrzymywali się i znowu szli, a nadciągający ze wszystkich stron ludzie i wozy coraz bardziej się tłoczyły. Idąc te kilkaset kroków między mostem i ulicą Kałuską więcej niż godzinę, gdy doszli do placu, gdzie się schodzi Zamoskworoczje z Kałuską, jeńcy zatrzymali się stłoczeni i stali na tym skrzyżowaniu przez kilka godzin. Ze wszystkich stron słychać było nie milknący jak szum morza turkot kół, tupot nóg i gniewne krzyki i przekleństwa. Pierre stał przyciśnięty do ściany wypalonego domu, słuchając tych odgłosów, zlewających się w jego wyobraźni z dźwiękami werbla.

Kilku jeńców-oficerów, żeby lepiej widzieć wdrapało się na mur wypalonego domu, koło którego stał Pierre.

– Ale ludzi! Ech, ile ludzi!... I na armaty napakowali! Patrz, futra... – mówili. – Widzisz, ścierwa, nagrabili... O, u tego z tyłu na wozie... Przecież to z ikony, jak Boga Kocham!... Niemcy pewno. I nasz chłop, na Boga... Ach, dranie!... Patrz, jak ten się obłowił! ledwo idzie. A to dopiero, nawet dorożki zabrali! widzisz, siedzi na kufrach. Wszysey święci! Pobili się!...

– Wal go w pysk, wal dobrze! Tak to i wieczoru się nie doczekasz. Patrz, patrzcie... to pewno samego Napoleona. Widzisz, jakie konie! Z monogramami, z koroną. A to domek składany. Spadł mu worek, nie widzi. Znowu się pobili... Kobieta z dzieckiem, i niebrzydka. Tak, a jakże, zaraz cię przepuszczą... Patrzcie, nie widać końca. Dziewczyny rosyjskie, jak Boga Kocham, dziewczyny. W kolaskach się tak wygodnie rozsiadły.

Znowu fala ogólnego zaciekawienia, jak koło cerkwi w Chamownikach, popchnęła wszystkich jeńców ku drodze, a Pierre dzięki swemu wzrostowi zobaczył ponad głowami to, co spowodowało zaciekawienie jeńców. W trzech kolaskach, zaplątanych między jaszce artyleryjskie, jechały siedząc stłoczone jedna przy drugiej, wystrojone w jasne suknie, uróżowane kobiety, wykrzykując coś piskliwymi głosami.

Od chwili gdy Pierre uświadomił sobie zjawienie się tajemniczej siły, nic nie wydawało mu się dziwne czy straszne: ani trup uczemiony dla zabawy sadzami, ani te kobiety dokądś

śpieszące, ani zgłiszczą Moskwy. Wszystko, co widział teraz, nie wywarło na nim prawie żadnego wrażenia, jakby jego dusza, przygotowując się do trudnej walki, nie chciała przyjmować wrażeń, które mogły ją osłabić.

Tabor kobiet przejechał. Za nim ciągnęły znowu wozy, żołnierze, fury, żołnierze, karety, żołnierze, jaszczce, żołnierze, z rzadka kobiety.

Pierre nie widział pojedynczych ludzi, lecz widział ogólny ruch.

vWszystkich – i ludzi, i konie – pędziła jakby jakaś niewidoczna siła. Wszyscy przez godzinę obserwacji Pierre'a wypływali z różnych ulic z tym samym pragnieniem, aby jak najszybciej przejść, wszyscy jednak, zderzając się z innymi, zaczęli się złościć, bić: wyszczerzały się białe zęby, nastraszają brwi, przelatywały wciąż te same przekleństwa i wszystkie twarze miały ten sam wyraz determinacji i srogiego chłodu, który uderzył Pierre'a w twarzy kaprała rano, przy biciu werbli.

Już przed wieczorem dowódca konwoju zebrał swych podkomendnych i z krzykiem, i z klótniami wcisnął się w tabory, i jeńcy otoczeni ze wszystkich stron wyszli na drogę kałuską.

Szli bardzo szybko, bez odpoczynku i zatrzymali się, gdy już słońce zaczęło zachodzić. Tabory skupiły się jedne przy drugich i ludzie zaczęli przygotowywać się do noclegu. Wszyscy wydawali się gniewni i niezadowoleni. Długo z różnych stron słychać było wymyślenia, gniewne krzyki i bójki. Kareta, jadąca za konwojem, najechała na pojazd konwojentów i przebiła go dyszlem. Zbiegło się z różnych stron do kolaski sporo żołnierzy, jedni bili po łbach konie zaprzężone do karety, spychając je na bok, drudzy bili się między sobą i Pierre ujrzał, że jakiegoś Niemca ciężko raniono tasakiem w głowę.

Wydawało się, że wszyscy ci ludzie, gdy się zatrzymali wśród pól, w chłodnym zmierzchu jesiennego wieczoru, doświadczali teraz wspólnego nieprzyjemnego uczucia, jakby ocknęli się z pośpiechu i gwałtownego dokądś pędu, który ogarnął ich przy wyjściu. Zatrzymawszy się, jakby zrozumieli, że nie wiadomo jeszcze, dokąd idą, i że ta droga będzie bardzo ciężka i trudna.

Na tym postoju konwojenci postępowali z jeńcami jeszcze gorzej niż przy wyruszaniu. Na tym postoju po raz pierwszy wydano jeńcom koninę, zamiast zwykłego mięsa.

We wszystkich, od oficerów do ostatniego żołnierza, widać było jakby osobistą urazę do każdego z jeńców, która tak nieoczekiwanie zmieniła poprzednie przyjacielskie stosunki.

Jeszcze bardziej poczęto się srożyć, gdy przy liczeniu jeńców okazało się, że w czasie zamieszania przy wyjściu z Moskwy jeden z rosyjskich żołnierzy, udający chorego na żołądek, uciekł. Pierre widział, jak Francuz obił rosyjskiego żołnierza za to, że odszedł za daleko od drogi, i słyszał, jak kapitan, jego przyjaciel, wytykał podoficerowi ucieczkę rosyjskiego żołnierza i groził mu sądem. Gdy podoficer tłumaczył się, że żołnierz był chory i nie mógł iść, oficer powiedział, że kazano strzelać do tych, którzy będą zostawać. Pierre czuł, że ta straszliwa siła, która go gniotła w czasie egzekucji, i która była niewidoczna w niewoli, teraz znowu zawładnęła jego istotą. Było mu straszno, ale czuł również, że w miarę jak owa fatalna siła rosła, aby go zgnieść, rosła mu w duszy i umacniała się niezależna od niej siła życia.

Fierre zjadł na kolację polewkę z żytniej mąki z końskim mięsem i porozmawiał z towarzyszami.

Ani Pierre, ani nikt z jego towarzyszy nie mówili ani o tym, co widzieli w Moskwie, ani o brutalności Francuzów, ani o rozkazie strzelania, o którym ich uwiadomiono: wszyscy byli, jakby na przekór pogarszającej się sytuacji, szczególnie ożywieni i weseli. Mówiono o osobistych wspomnieniach, o śmiesznych scenach widzianych w czasie marszu i unikano rozmowy o obecnym położeniu.

Słońce dawno zaszło. Tu i ówdzie zapaliły się na niebie jasne gwiazdy, czerwone, podobne do pożaru, zorze wschodzącego księżyca w pełni rozlały się po krawędzi nieba i wielka czerwona

kula kołysała się zadziwiająco w północnej mgle. Robiło się widno. Wieczór się kończył, lecz noc jeszcze się nie zaczęła. Pierre odszedł od swych nowych towarzyszy i przeszedł między ogniskami na drugą stronę drogi, gdzie, jak mu powiedziano, stali jeńcy-żołnierze. Chciał z nimi pomówić. Na drodze zatrzymał go francuski wartownik i kazał mu zawrócić.

Pierre wrócił, ale nie do towarzyszy przy ognisku, tylko do wyprężonej kolaski, przy której nie było nikogo. Podwinąwszy nogi i opuściwszy głowę, siadł na zimnej ziemi przy kole pojazdu i długo siedział nieruchomo, rozmyślając. Upłynęła więcej niż godzina. Nikt Pierre'owi nie przeszkadzał. Nagle roześmiał się swym grubym, dobrodusznym śmiechem tak głośno, że zewsząd spojrzano w jego stronę dziwiąc się temu dziwacznemu, osamotnionemu śmiechowi.

– Cha-cha-cha! – śmiał się Pierre i zaczął mówić głośno do siebie: – Nie puścił mnie żołnierz. Ujęli mnie, zatknęli mnie, trzymają mnie w niewoli. Kogo „mnie”? Mnie? Mnie – moją nieśmiertelną duszę! Cha-cha-cha!... cha-cha-cha!... – śmiał się, aż w oczach stanęły mu łzy.

Jakiś człowiek wstał i podszedł zobaczyć, z czego się śmieje ten dziwny, wysoki człowiek. Pierre przestał się śmiać, wstał, odszedł od ciekawskiego i rozejrzał się wkoło.

Ogromny, nie kończący się biwak, przedtem głośno szumiący trzaskiem ognisk i gwarem ludzkim, zacichał; czerwone płomienie ognisk przygasały i bladły. Wysoko na jasnym niebie stał księżyc w pełni. Lasy i pola, niewidoczne przedtem poza obozem, wyłaniały się teraz w dali. A jeszcze dalej, za polami i lasami, widniała jasna, falująca, wabiąca ku sobie dal. Pierre spojrzął w niebo ku dalekim, migającym gwiazdom. „I wszystko to moje, i wszystko to jest we mnie, i wszystko to ja! – myślał Pierre. – A wszystko to oni ujęli i wsadzili do baraku ogrodzonego deskami!” Uśmiechnął się i poszedł, by ułożyć się do snu między towarzyszami.

XV

W pierwszych dniach października przyjechał do Kutuzowa jeszcze jeden parlamentariusz z listem od Napoleona i propozycją pokoju, oszukańczo datowaną z Moskwy, gdy Napoleon był już niedaleko przed Kutuzowem na starej drodze kałuskiej. Kutuzow odpowiedział na ten list tak samo jak na pierwszy, przysłany przez Lauristona: odpowiedział, że o pokoju nie ma mowy.

Wkrótce potem partyzancki oddział Dorochowa, operujący w lewo od Tarutina, przesłał raport, że w Fomińskim ukazały się wojska, że wojska te składają się z dywizji Broussiera i że dywizja ta, odosobniona od innych wojsk, łatwo mogła być zniszczona. Żołnierze i oficerowie znowu domagali się wszczęcia działań. Generałowie sztabowi, pobudzeni wspomnieniem łatwego zwycięstwa pod Tarutinem, nalegali na Kutuzowa, by przyjął propozycję Dorochowa

Kutuzow nie uważał, że potrzebna jest jakakolwiek akcja. Wypadło coś pośredniego, co wynikło z sytuacji: wysłano do Fomińskiego niewielki oddział, który miał zaatakować Broussiera.

Dziwnym trafem na akcję tę, najtrudniejszą i najważniejszą, jak się następnie okazało, wyznaczono Dochturowa, tego właśnie skromnego, malutkiego Dochturowa, którego nam nikt nie opisał ani układającego plany bitew, ani biegającego przed pułkami, ani rzucającego krzyże na baterie itp., którego uważano za niezdecydowanego i nieprzewidującego, ale to jest właśnie ten Dochturow, którego widzimy dowodzącego podczas wszystkich wojen z Francuzami, od Austerlitz do roku 1813, wszędzie tam, gdzie sytuacja była ciężka. Pod Austerlitz zostaje jako ostatni przy grobli w Augest, zbierając pułki, ratując, co można, gdy wszystko ucieka i ginie i w ariergardzie nie ma ani jednego generała. Chory, w gorączce, idzie do Smoleńska z dwudziestu tysiącami bronić miasta przeciw całej armii napoleońskiej. W Smoleńsku ledwo się zdrzemnął w Małachowskich Wrotach, w paroksyzmie gorączki, budzi go bombardowanie miasta i Smoleńsk trzyma się cały dzień. W bitwie pod Borodinem, gdy padł Bagration, a wojska naszego lewego skrzydła ginęły w stosunku 9:1 i wszystkie siły francuskiej artylerii tu zostały skierowane, wysłał się nie kogo innego, lecz właśnie niezdecydowanego, nieprzewidującego Dochturowa, a Kutuzow, który posłał był tam innego, stara się najrychlej naprawić błąd. I mały, skromny Dochturow jedzie tam, i Borodino staje się największą chwałą rosyjskiej armii. Dużo bohaterów opisano nam wierszem i prozą, ale o Dochturowie nie ma prawie ani słowa.

Znowu posyła się Dochturowa tam, do Fomińskiego, a stąd do Małojarosławca, na miejsce ostatniej bitwy z Francuzami, na to miejsce, z którego widoczna już jest klęska Francuzów, i znowu opisuje się nam wielu geniuszów i bohaterów z tego okresu kampanii, ale o Dochturowie ani słowa albo bardzo mało, albo z powątpiewaniem. To właśnie przemilczenie najbardziej uwidacznia zasługi Dochturowa.

Naturalnie, że człowiekowi nie rozumiejącemu biegu maszyny na widok jej działania wydaje się, że najważniejszą częścią maszyny jest ta szczapka, która wpadła do niej przypadkowo i

kręcąc się przeszkadza jej trybom. Człowiek nie znający budowy maszyny nie może zrozumieć, że nie ta psująca i przeszkadzająca szczapka, lecz maleńki transmisyjny trybik, który się kręci bezgłośnie, jest jedną z podstawowych części maszyny.

10 października, tego samego dnia, kiedy Dochturow przeszedł pół drogi do Fomińskiego i zatrzymał się we wsi Aristowie, przygotowując się do ścisłego wypełnienia danego mu rozkazu, całe wojsko francuskie w swym gorączkowym ruchu, gdy doszło do pozycji Murata, żeby jak się zdawało, wydać bitwę, nagle bez przyczyny zboczyło na lewo, na nową drogę kałuską i zaczęło wchodzić do Fomińskiego, gdzie poprzednio stał tylko Broussier. Dochturow miał wtedy pod swą komendą prócz Dorochowa dwa niewielkie oddziały Fignera i Siesławina.

Wieczorem 11 października Siesławin przyjechał do Aristowa, do dowództwa, z ujętym jeńcem francuskim, żołnierzem gwardii. Jeniec mówił, że wojska, które weszły teraz do Fomińskiego, stanowiły awangardę całej wielkiej armii, że jest w niej Napoleon, że cała armia już pięć dni temu wyszła z Moskwy. Tego samego dnia wieczorem dworski chłop, który przyszedł z Borowska, powiedział, że widział, jak ogromne wojska weszły do miasta. Kozacy z oddziału Dorochowa donieśli, że widzieli francuską gwardię idącą drogą na Borowsk. Wszystkie te wiadomości mówiły, że tam, gdzie spodziewano się znaleźć jedną dywizję, była teraz cała armia Francuzów idąca z Moskwy w nieoczekiwanym kierunku – starą drogą kałuską. Dochturow nic nie chciał przedsięwziąć, gdyż niejasne było dla niego teraz, na czym polega jego zadanie. Kazano mu zaatakować Fomińskie. Ale w Fomińskim był przedtem tylko Broussier, a teraz była cała francuska armia. Jermołow chciał działać według swego uznania, ale Dochturow domagał się rozkazu jego dostojności. Zdecydowano przesłać raport do sztabu.

W tym celu wybrano roztropnego oficera Bołchowitinowa, który prócz doręczenia raportu pisemnego powinien był słownie przedstawić całą sprawę. O dwunastej w nocy Bołchowitinow, otrzymawszy kopertę i ustny rozkaz, pogalopował do sztabu głównego w towarzystwie Kozaka z zapasowymi końmi.

XVI

Noc była ciemna, ciepła, jesienna. Już czwarty dzień padał deszczyk. Zmieniwszy dwa razy konie i przejechawszy w półtorej godziny trzydzieści wiorst błotnistą, grząską drogą, Bołchowitinow o drugiej w nocy znalazł się w Letaszewce. Zeskoczywszy przy chacie z plecionym płótem, na którym był napis: „Sztab główny”, i zostawiwszy konia, wszedł do ciemnej sieni.

– Do dyżurnego generała, prędzej! Bardzo ważne! – powiedział komuś wstającemu i sapiącemu w ciemnościach sieni.

– Od wieczora bardzo słabuje, trzecią noc nie śpi. – wyszeptał tonem obrony ordynans. – Lepiej kapitana obudzić najpierw.

– Bardzo ważne, od generała Dochturowa – powiedział Bołchowitinow wchodząc omackiem w otwarte drzwi.

Ordynans wyprzedził go i zaczął kogoś budzić. – Wasza wielmożność, wasza wielmożność – kulier.

– Co? co? od kogo? – powiedział ktoś zaspanym głosem.

– Od Dochturowa i od Aleksego Pietrowicza. Napoleon w Fomińskim – powiedział Bołchowitinow nie widząc w ciemności tego, kto pytał, ale po dźwięku głosu sądząc, że to nie był Konowniczn.

Przebudzony człowiek przeciągał się i ziewał.

– Nie bardzo chce mi się go budzić – powiedział szukając czegoś po omacku. – Słabutki! Może to tylko tak, pogłoska.

– Oto raport – powiedział Bołchowitinow. – Rozkazano natychmiast oddać dyżurnemu generałowi.

– Poczekaj pan, zapalę. Gdzie ty, przeklęty, zawsze to wściubisz? – mówił przeciągający się człowiek do ordynansa. Był to Szczerbinin, adiutant Konowniczn. – Znalazłem, znalazłem – dodał.

Ordynans skrzesał ogień, Szczerbinin szukał po omacku lichtarza.

– Ach, obrzydlistwo! – powiedział ze wstrętem. Przy świetle iskier Bołchowitinow zobaczył młodą twarz Szczerbinina ze świecą, a w przednim kącie – śpiącego człowieka. Był to Konowniczn.

Gdy z początku niebieskim, a następnie czerwonym płomieniem zapłonęła siarka od hubki, Szczerbinin zapalił lojówkę w lichtarzu, z którego rozbiegły się ogryzające świeczkę prusaki, i przyjrzał się wysłańcowi. Bołchowitinow był cały obłocony, a obcierając się rękawem, zamazywał sobie twarz.

– Ale kto donosi? – pytał Szczerbinin biorąc kopertę.

– Wiadomość pewna – powiedział Bołchowitinow. – I jeńcy, i Kozacy, i zwiadowcy – wszyscy jednogłośnie mówią jedno.

Nie ma co gadać, trzeba budzić – powiedział Szczerbinin wstając i podchodząc do człowieka w szlafinicy okrytego płaszczem. – Piotrze Pietrowiczu! – rzekł. Konownicyn nie poruszył się. – Do sztabu głównego! – powiedział uśmiechając się, gdyż wiedział, że te słowa na pewno go rozbudzą. Rzeczywiście, głowa w szlafinicy podniosła się natychmiast. Na pięknym, stanowczym obliczu Konownicyna, z gorączkowymi wypiekami na policzkach, przez chwilę jeszcze widniało odbicie marzeń sennych, dalekich od obecnego położenia, ale potem generał wzdrygnął się nagle: twarz przybrała zwykły spokojny i zdecydowany wyraz.

– No, co takiego? Od kogo? – powoli, ale natychmiast zapytał mrużąc oczy od światła. Słuchając meldunku oficera Konownicyn rozpieczętował i przeczytał list. Zaledwie przeczytał, spuścił nogi w wełnianych skarpetkach na polepę i zaczął się obuwać. Potem zdjął szlafmycę i przczesał włosy na skroniach, włożył czapkę.

– Prędko dojechałeś? Pójdziemy do jego dostojności. Konownicyn natychmiast zrozumiał, że przywieziona wiadomość jest bardzo ważna i że nie można zwlekać. Czy to było dobre, czy złe, nie myślał i nie zastanawiał się. To go nie interesowało. Patrzył na całą sprawę wojny nie rozumując, nie rezonując, lecz jakoś inaczej. W głębi duszy był głęboko przekonany, że wszystko będzie dobrze, ale że temu wierzyć nie można, a tym bardziej nie można tego mówić, lecz trzeba wykonywać swą pracę. I tę pracę wykonywał, oddając jej wszystkie swoje siły.

Piotr Pietrowicz Konownicyn, tak samo jak Dochturow, jedynie jakby dla przyzwoitości wniesiony na listę tak zwanych bohaterów w roku 1812 – Bardayów, Rajewskich, Jemołowów, Płatowów, Miłoradowiczów – tak samo jak Dochturow miał reputację człowieka o zbyt ograniczonych zdolnościach i wiedzy i tak samo jak Dochturow nigdy nie układał planów bitew, ale zawsze był tam, gdzie było najtrudniej; od chwili mianowania go dyżurnym generałem spał zawsze przy drzwiach otwartych, nakazując budzić się, gdy przybędzie jakikolwiek wysłannik; w czasie bitwy zawsze był w ogniu. Kutuzow zwracał mu uwagę z tego powodu i bał się go wysyłać, Konownicyn był też, podobnie jak Dochturow, jednym z tych nie zauważonych trybików, które nie trzeszczą i nie hałasując stanowią najbardziej istotną część maszyny.

Wychodząc z izby w wilgotną, ciemną noc, Konownicyn zachmurzył się, częściowo od wzmagającego się bólu głowy, częściowo pod wpływem przykrej myśli o tym, jak się teraz na tę wiadomość poruszy to całe gniazdo wpływowych sztabowców, a zwłaszcza Bennigsen, będący po Tarutynie na noże z Kutuzowem, jak będą projektować, sprzeczać się, rozkazywać, odwoływać. I nieprzyjemne mu było to przecucie, chociaż wiedział, że bez tego się nie obejdzie.

Rzeczywiście Toll, do którego Konownicyn wstąpił z nową wieścią, natychmiast zaczął wyluszczać swoje plany generałowi mieszkającemu z nim, aż zmęczony Konownicyn, słuchając w milczeniu, przypomniał mu, że trzeba iść do jego dostojności.

XVII

Kutuzow, jak wszyscy starzy ludzie, mało sypiał w nocy. We dnie często nieoczekiwanie zdrzemnął się, ale nocą, przeważnie nie śpiąc, rozmyślał leżąc na posłaniu ubrany. Tak też leżał i teraz na swym łóżku, opierając ciężką, dużą, oszpeconą głowę na pulchnej ręce, i myślał wpatrując się w ciemność jednym okiem.

Od czasu gdy Bennigsen, korespondujący z cesarzem i rozporządzający największym wpływem w sztabie, unikał go, Kutuzow był spokojniejszy, że nie będą go znowu zmuszali, by wraz z wojskiem brał udział w bezcelowych działaniach. Lekcja, jaką otrzymano w bitwie pod Tarutinem, i dzień, który ją poprzedzał, boleśnie pamiętny Kumzowowi, również powinien był podzielać – myślał.

„Powinni zrozumieć, że działając zaczepnie możemy tylko przegrywać. Cierpliwość i czas – oto moi wojacy!” – myślał Kutuzow. Wiedział, że nie trzeba zrywać jabłka, póki jest zielone, samo spadnie, jak dojrzeje, a zrywając niedojrzałe psuje się jabłko i drzewo i zęby cierpną. Wiedział, jako doświadczony myśliwy, że zwierzę jest ranione tak, jak mogły go ranić wszystkie rosyjskie siły, ale czy śmiertelnie, czy nie – to było jeszcze nie wyjaśnione. Teraz, po kolejnym przybyciu Lauristona i Berthelemy'ego i według wiadomości od partyzantów, Kutuzow niemal wiedział, że rana jest śmiertelna. Ale potrzebne były jeszcze dowody, należało czekać.

„Chcą biec obejrzeć, jak zabili. Poczekajcie, zobaczycie. Wciąż manewrowania, wciąż natarcia! – myślał. – Po co? Byle się tylko odznaczyć! Jakby coś radosnego było w tym, żeby się bić. Niczym dzieci, od których trudno się dowiedzieć, jak wyglądała sprawa, gdyż wszyscy chcą dowieść, jak umieją się bić. A przecież teraz nie o to idzie. I jakie wymyślne manewry proponują mi ci wszyscy! Wydaje się im, że jeżeli obmyślili dwa, trzy wypadki (przypomniał sobie o ogólnym planie z Petersburga), to obmyślili wszystkie. A wszystkich nie policzy!”

Nie rozstrzygnięte pytanie, czy śmiertelna, czy też nie, jest rana zadana pod Borodinem, dręczyło Kutuzowa przez cały miesiąc. Z jednej strony – Francuzi zajęli Moskwę, z drugiej – Kutuzow całą swą istotą niewątpliwie odczuwał, że ten straszliwy cios, który zadał, wraz z całym rosyjskim narodem wyężdżając wszystkie swe siły, powinien być śmiertelny. Ale w każdym razie niezbędne były dowody i czekał na nie od miesiąca, a im więcej upływało czasu, tym bardziej się niecierpliwił. Spędzając na swym posłaniu bezsenne noce robił to samo, co robili ci młodzi generałowie, to samo, za co robił im wyrzuty. Przedstawiał sobie wszystkie możliwe wypadki, podobnie jak młodzież, z tą tylko różnicą, że nic nie budował na tych przypuszczeniach i że miał ich nie dwa, trzy, lecz tysiące. Im dłużej myślał, tym więcej ich sobie wyobrażał. Wymyślał wszelkiego rodzaju ruchy napoleońskiej armii, całej albo tylko jej części – to ku Petersburgowi, to na niego, to oskrzydlające go, myślał (a tego najbardziej się obawiał) i o takim wypadku, że Napoleon zacznie walczyć z nim jego bronią, że zostanie w Moskwie i będzie czekał na niego. Kutuzow myślał nawet o cofnięciu się armii napoleońskiej na Miedyn i Juchnow; ale jednego tylko nie mógł przewidzieć: tego, co się stało, tego obłądnego,

konwulsyjnego miotania się wojsk napoleońskich w ciągu pierwszych jedenastu dni od wyjścia z Moskwy – miotania się, które umożliwiałoby to, o czym jednak nie śmiał myśleć Kutuzow: zupełne wytepienie Francuzów. Raport Dorochowa o dywizji Broussiera, wiadomości o przygotowaniach do wyjścia z Moskwy – wszystko to potwierdzało przypuszczenie, że armia francuska jest rozbita i gotuje się do ucieczki; ale były to tylko przypuszczenia, które wydawały się ważne młodzieży, ale nie Kutuzowowi. Wiedział ze swojej sześćdziesięcioletniej praktyki, jaką wagę należy przypisywać wieściom, wiedział, jak ludzie, pragnąc czegoś, umieją łączyć wiadomości tak, że one jakby potwierdzają ich życzenia, i wiedział, jak w tym wypadku chętnie pomija się wszystko, co zaprzecza tym życzeniom. I im bardziej pragnął tego Kutuzow, tym mniej pozwalał sobie w to wierzyć. Zagadnienie to zajmowało wszystkie jego siły duchowe, reszta dla niego – to tylko zwykły tok życia. Takim zwykłym tokiem i podporządkowaniem się życiu były jego rozmowy ze sztabowcami, listy do m-me de Stael³⁵⁵, które pisał z Tarutina, czytanie powieści, rozdawanie odznaczeń, korespondencja z Petersburgiem itp. Ale klęska Francuzów, którą on jedynie przewidział, to było jego jedyne duchowe pragnienie.

W nocy 11 października leżał z głową opartą na ręce i myślał o tym.

W sąsiednim pokoju wszczął się ruch i słychać było kroki Tolla, Konownicina i Bołchowitinowa.

– Hej, kto tam? Wejdźcie, wejdźcie! Co tam nowego? – okrzyknął ich feldmarszałek.

Gdy lokaj zapalał świeczkę, Toll komunikował treść wiadomości.

– Kto przywiózł? – spytał Kutuzow z wyrazem twarzy, który po zapaleniu świecy uderzył Tolla swą chłodną powagą.

– Nie ma wątpliwości, wasza dostojność.

– Wezwij, wezwij go tu!

Kutuzow siedział na łóżku opuściwszy jedną nogę i wsparłszy duży brzuch na drugiej zgiętej nodze. Przymrużył swe widzące oko, żeby lepiej zobaczyć wysłannika, jakby chciał wyczytać z jego rysów to, co go zajmowało.

– Mów, mów, przyjacielu – powiedział do Bołchowitinowa swym cichym starczym głosem, zapinając rozchełstana na piersi koszulę. – Podejź, podejź bliżej. Jakież to przywiozłeś mi nowinki? Co, Napoleon uciekł z Moskwy? Naprawdę, tak? Co?

Bołchowitinow szczegółowo mówił z początku wszystko to, co mu nakazano.

– Mów, mów prędzej, nie dręcz mnie – przerwał mu Kutuzow.

Bołchowitinow powiedział wszystko i zamilkł czekając na rozkaz. Toll zaczął coś mówić, ale Kutuzow mu przerwał. Chciał coś powiedzieć, lecz nagle twarz jego się zmarszczyła, zmiękła, machnąwszy ręką na Tolla, odwrócił się ku paradnemu kątowni izby, czerniejącemu od obrazów.

– Panie Boże, Stworzycielu mój! Wysłuchałeś błagania nasze – mówił drżącym głosem, złożony rękę. – Rosja uratowana. Dzięki Ci, Boże jedyny! – I rozplakał się.

³⁵⁵ Pani de Stael, która początkowo sprzyjała Napoleonowi, po zamachu stanu 18 Brumaire'a stała się jednym z najzaciętszych wrogów Napoleona. Chroniąc ile przed prześladowaną ją policją cesarską czas jakiś przebywała w Polsce i w Rosji.

XVIII

Od czasu otrzymania wiadomości, że Francuzi opuścili Moskwę, i do końca kampanii cała działalność Kutuzowa polegała tylko na tym, żeby swą władzą, przebiegłością i prośbami powstrzymać wojska od bezcelowych ataków, manewrów i starć z ginącym wrogiem. Dochturow idzie do Małojarsławca, ale Kutuzow zwleka z całą armią i daje rozkaz oczyszczenia Kaługi; cofnięcie się za nią wydaje mu się bardzo możliwe.

Kutuzow wciąż się cofa, ale nieprzyjaciel, nie czekając na jego odwrót, ucieka w przeciwnym kierunku.

Historycy Napoleona opisują nam jego świetny manewr na Tarutino i Małojarsławiec i robią przypuszczenia, co by było, gdyby Napoleon zdążył wejść do bogatych południowych guberni.

Ale nie mówiąc o tym, że nic nie przeszkadzało Napoleonowi wkroczyć do tych południowych guberni (gdyż armia rosyjska otwierała mu tę drogę), historycy zapominają, że armii Napoleona nic nie mogło uratować, dlatego że już wtedy tkwił w niej zarodek nieuniknionej klęski. Dlaczego ta armia, znalazłszy obfite zaopatrzenie w Moskwie, nie mogła go spożytkować, lecz stratowała wszystko, dlaczego ta armia, która wszedłszy do Smoleńska, nie pobierała żywności, lecz ją grabiła, miałaby zmienić swoje postępowanie w guberni kałuskiej, zaludnionej przez takich samych Rosjan jak w Moskwie, i z tą właściwością ognia palić to, co podpalone?

Armia nigdzie nie mogła się zmienić. Poczynając od bitwy pod Borodinem i grabieży Moskwy, miała już w sobie jakby chemiczne elementy rozkładu.

Żołnierze tej byłej armii uciekali ze swymi prowodyrami, sami nie wiedząc dokąd, pragnąc (Napoleon i każdy żołnierz) tylko jednego: wyplątać się osobiście jak można najprędzej z tego położenia, które było bez wyjścia, co, choć mglisto, wszyscy sobie uświadamiali.

Tylko dlatego na radzie wojennej w Małojarsławcu, kiedy generałowie, udając, że się naradzają, wyrażali różne zdania, głos prostodusznego żołnierza Moutona, który powiedział to, o czym wszyscy myśleli: że należy tylko odejść jak najprędzej – zamknął wszystkim usta i nikt, nawet Napoleon, nie mógł nic powiedzieć przeciw tej prawdzie, z której wszyscy zdawali sobie sprawę.

Ale chociaż wszyscy wiedzieli, że należy odejść, pozostawał jeszcze wstyd przyznania się, że trzeba uciekać. Potrzebny był zewnętrzny bodziec, który przewyciężyłby ten wstyd. I bodziec ów nastąpił w odpowiedniej chwili. Było to tak zwane przez Francuzów *le hourra de l'Empereur*³⁵⁶

Nazajutrz po naradzie, wczesnym rankiem, Napoleon udając, że chce obejrzeć wojsko i pola byłej i przyszłej bitwy, ze świtą marszałków i eskorty jechał po przekątnej linii biwaków wojskowych. Kozacy snujący się za zdobyczą natknęli się na cesarza i omal go nie schwytali. I

³⁵⁶ Cesarskie hura.

jeżeli nie schwytali Napoleona wtedy, to uratowało go to, co zgubiło Francuzów: zdobycz, na którą i w Tarutynie, i tutaj rzucali się Kozacy, nie troszcząc się o ludzi. Nie zwracając uwagi na Napoleona, rzucili się na zdobycz i Napoleon zdążył uciec.

Gdy już-już *les enfants du Don*³⁵⁷ mogli byli wziąć samego cesarza spośród jego armii, stało się jasne, że nie ma nic więcej do zrobienia, tylko uciekać, jak można najprędzej najbliższą znaną drogą. Napoleon, ze swym brzuszkiem czterdziestolatka, nie czując już w sobie dawnej sprawności i śmiałości, zrozumiał to napomknięcie. I pod wpływem strachu, jakiego mu napędzili Kozacy, natychmiast zgodził się z Moutonem i wydał, jak mówią historycy, rozkaz cofania się na drogę smoleńską.

To, że Napoleon zgodził się z Moutonem i wojska zaczęły się cofać, nie dowodzi, że on to nakazał, ale że siły, działające na całą armię w kierunku cofania się drogą możajską, oddziaływały zarazem i na Napoleona.

³⁵⁷ Synowie Donu.

XIX

Gdy człowiek jest w ruchu, zawsze wynajdzie sobie cel tego ruchu. Dlatego aby przejść tysiąc wiorst, koniecznie musi sobie wyobrazić, że znajdzie coś dobrego po tym tysiącu wiorst. Trzeba mieć w głowie obraz ziemi obiecanej, żeby mieć siłę do poruszania się.

Ziemią obiecaną w marszu Francuzów była Moskwa, w cofaniu się – ojczyzna. Ale ojczyzna była zbyt daleko, i człowiek, który ma przejść tysiąc wiorst, koniecznie musi sobie powiedzieć, zapominając o celu głównym, że dzisiaj przejdę czterdzieści wiorst do miejsca noclegu i odpoczynku, we wstępnym marszu to miejsce wytchnienia zasłania cel ostateczny i ogniskuje w sobie wszystkie pragnienia i nadzieje. Te dążności, które przejawiają się w jednostce, zawsze się potęgują w tłumie.

Dla Francuzów, cofających się starą drogą smoleńską, cel ostateczny – ojczyzna – był zbyt oddalony, a najbliższym, tym, w którym koncentrowały się wszystkie pragnienia i nadzieje proporcjonalnie rosnące w tłumie – był Smoleńsk. Nie dlatego, żeby ludzie wiedzieli, iż w Smoleńsku jest dużo prowiantu i nowego wojska, nie dlatego, żeby im mówiono o tym (przeciwnie, wyższe szarże i sam Napoleon wiedzieli, że tam prowiantu mało), ale dlatego, że tylko to jedno mogło im dać siłę do drogi i przewycięzania realnych trudności. I ci, co to wiedzieli, i ci, co nic nie wiedzieli, łudząc się jednakowo, dążyli do Smoleńska, jak do ziemi obiecanej.

Po wyjściu na trakt główny Francuzi z nadzwyczajną energią, niesłuchanie szybko pobiegli do swego zmyślnego celu. Prócz przyczyny wynikającej z powszechnej dążności, zespalającej w jedną całość tłumy Francuzów i dającej im pewną energię, była jeszcze inna wiążąca ich przyczyna. Przyczyna ta polegała na ich liczebności. Ogromna ich masa, jak w fizycznym prawie ciężenia, przyciągała do siebie oddzielne atomy – ludzi. Szli swą stutysięczną masą niby całe państwo.

Każdy z nich tylko pragnął jednego – być wziętym do niewoli, uwolnić się od wszystkich okropności i nieszczęść. Ale, z jednej strony, siła powszechnej dążności do celu – Smoleńska, porywała każdego w tym samym kierunku, z drugiej strony, cały korpus nie mógł się oddać do niewoli jednej rocie i mimo iż Francuzi wyciskiwali każdą możliwość, by się odczepić jeden od drugiego i przy najmniejszym pozorze oddać do niewoli, pozory nie zawsze się zdarzały. Sama liczebność i szybki zmasowany ruch pozbawiały ich tej możliwości, a Rosjanie nie tylko mieli trudności, ale w ogóle nie mogli zatrzymać tego ruchu, na który składała się cała energia masy Francuzów. Mechaniczne rozrywanie ciała mogło przyspieszyć tylko do pewnego stopnia dokonujący się proces rozkładu.

Bryły śniegu nie można roztopić błyskawicznie. Istnieje pewna ilość czasu, przed którym żadna siła ciepła nie może tego dokonać. Przeciwnie, im więcej ciepła, tym bardziej twardnieje pozostały śnieg.

Z rosyjskich dowódców nikt oprócz Kutuzowa tego nie rozumiał. Gdy ustalił się kierunek

ucieczki armii francuskiej traktem smoleńskim, zaczęło się wtedy dziać to, co przewidywał Konownicyn w nocy 11 października. Wszyscy wyżsi oficerowie armii chcieli się odznaczyć: odciąć, przejąć, zabrać do niewoli, powalić Francuzów i wszyscy żądali natarcia.

Tylko Kutuzow użył wszystkich sił (sił tych bardzo niewiele posiada każdy wódz naczelny), żeby przeciwdziałać tym dążnościom.

Nie mógł powiedzieć im tego, co my mówimy teraz: po co bitwy, zagradzanie drogi i strata naszych ludzi, i nieludzkie dobijanie nieszczęśliwych? Po co to wszystko, gdy między Moskwą a Wiaźmą bez bitwy stopniała jedna trzecia tego wojska? Ale mówił im, wywodząc ze swej starczej mądrości to, co mogliby zrozumieć – mówił im o złotym moście, a oni go wyśmiewali, obmawiali, szarpali i chełpili się już nad zabitym zwierzęciem.

Pod Wiaźmą Jermołow, Miłoradowicz, Płatów i inni, znalazłszy się w pobliżu Francuzów, nie mogli się powstrzymać, by nie odciąć i nie rozbić dwóch korpusów francuskich. Kutuzowowi, powiadamiając go o swych zamiarach, zamiast raportu przysłali w kopercie arkusz czystego papieru.

I mimo wszelkich usiłowań Kutuzowa wojska nasze atakowały starając się przeciąć drogę Francuzom. Pułki piechoty, jak opowiadano, szły do ataku z muzyką i biciem w werble i niszczyły, i traciły tysiące ludzi.

Ale odciąć – nic nie odcięli i nie rozbili. I wojsko francuskie, silniej zespolone niebezpieczeństwem, w dalszym ciągu równomiernie topniejąc, wciąż szło zgubnym marszem ku Smoleńskowi.

CZEŚĆ TRZECIA

I

Bitwa pod Borodinem z następującym po niej zajęciem Moskwy i ucieczka Francuzów bez nowych bitew – jest jednym z najbardziej pouczających zjawisk historii.

Wszyscy historycy zgadzają się, że zewnętrzna działalność państw i narodów w ich starciach między sobą wyraża się w wojnie, że bezpośrednio, wskutek mniejszych czy większych powodzeń wojennych, zwiększa się albo zmniejsza siła polityczna państw i narodów.

Jakkolwiek dziwne bywają historyczne opisy, jak to pewien król albo cesarz, posprzeczawszy się z innym cesarzem albo królem, zebrał wojsko, starł się z wojskiem wroga, odniósł zwycięstwo, zabił trzy, pięć, dziesięć tysięcy ludzi i w rezultacie podbił państwo i cały kilkumilionowy naród; jakkolwiek niezrozumiałe jest, dlaczego klęska jednej armii, setnej części wszystkich sił narodu, zmusiła naród do poddania się – wszystkie fakty historyczne (o ile są nam znane) potwierdzają słuszność tego, że większe lub mniejsze powodzenie wojska jakiegoś narodu w wojnie przeciw wojsku innego narodu jest przyczyną albo przynajmniej istotnym przejawem zwiększenia albo zmniejszenia siły narodów. Wojsko odniosło zwycięstwo i natychmiast powiększyły się prawa zwycięskiego narodu z krzywdą zwyciężonego. Wojsko poniosło klęskę i natychmiast, zależnie od stopnia klęski, naród zostaje pozbawiony praw, a po zupełnej klęsce swego wojska całkowicie się poddaje.

Tak było (według historii) od najdawniejszych czasów do dnia dzisiejszego. Wszystkie wojny Napoleona potwierdzają tę zasadę. W zależności od stopnia przegranej wojsk austriackich Austria traci swe prawa, a powiększają się prawa i siła Francji. Zwycięstwo Francuzów pod Jena i Auerstaeedtem znosi samodzielność istnienia Prus.

Ale nagle w roku 1812 Francuzi odnieśli zwycięstwo pod Moskwą, Moskwę wzięto, po czym, bez nowych bitew, przestała istnieć nie Rosja, lecz – sześciusettyśmiczna armia, a potem napoleońska Francja. Nie można naciągać faktów do zasad historii i mówić, że pole bitwy pod Borodinem pozostało w ręku Rosjan i że po wzięciu Moskwy były bitwy, które zniszczyły armię Napoleona.

Po zwycięstwie Francuzów pod Borodinem nie było ani jednej bitwy, nie tylko generalnej, ale w jakimkolwiek stopniu znacznej, i armia francuska przestała istnieć. Co to znaczy? Gdyby to był przykład z historii Chin, moglibyśmy powiedzieć, że to nie jest zjawisko historyczne (wykręt historyków, gdy jakieś zjawisko nie pasuje do ich zasad), gdyby sprawa dotyczyła niewielkiego starcia, w którym by brały udział małe ilości wojsk, moglibyśmy przyjąć to zjawisko jako wyjątek, ale wydarzenie to działo się na oczach naszych ojców, dla których rozstrzygało się zagadnienie życia lub śmierci ojczyzny i była to wojna największa ze wszystkich znanych wojen...

Okres kampanii 1812 roku od bitwy pod Borodinem do wygnania Francuzów dowiódł, że wygranie bitwy nie tylko nie może być przyczyną podboju, ale nie jest nawet stałym jego objawem, dowiódł też, iż siłą decydującą o losie narodów nie są zdobywcy, nawet nie armie i bitwy, lecz coś innego.

Historycy francuscy, opisując stan wojska francuskiego przed wyjściem z Moskwy, dowodzą, że w Wielkiej Armii wszystko było w porządku z wyjątkiem kawalerii, artylerii i taborów i że nie było paszy dla koni i bydła. Tego nieszczęścia nic nie mogło zażegnać, dlatego że okoliczni chłopci palili swe siano i nie dawali go Francuzom.

Wygrana bitwa nie spowodowała zwykłych skutków, dlatego że chłopci Karp i Włas, którzy po wyjściu Francuzów przyjechali do Moskwy wozami na rabunek i w ogóle nie przejawiali osobiście bohaterskich uczuć, jak i cała niezliczona ilość takich samych chłopów, nie przywozili siana do Moskwy mimo proponowanej im dobrej zapłaty, lecz je palili.

Wyobraźmy sobie dwóch ludzi, którzy stanęli do pojedynku na szpady według wszelkich zasad sztuki szermierczej; pojedynek trwał dość długo; wtem jeden z przeciwników, czując, że jest ranny, i zrozumiał, że to nie żarty, lecz że tu idzie o jego życie, rzucił szpadę i chwycił pierwszą lepszą pałkę, która mu wpadła pod rękę, zaczął nią wywijać. Ale wyobraźmy też sobie, że przeciwnik, który tak rozumnie użył najprostszego środka do osiągnięcia celu, jednocześnie jest ożywiony rycerskimi tradycjami, chciałby ukryć istotę sprawy i obstawałby przy tym, że zwyciężył na szpady według wszelkich zasad fechtunku. Możemy sobie przedstawić, jakie zamieszanie i niejasność wprowadziłby taki opis odbytego pojedynku!

Szermierzem, żądającym walki według zasad sztuki szermierczej – byli Francuzi; jego przeciwnikiem, który rzucił szpadę, a chwycił dębczak, byli Rosjanie; ludźmi, którzy usiłowali wyjaśnić wszystko według zasad fechtunku – historycy, którzy pisali o tym wydarzeniu.

Od chwili spalenia Smoleńska rozpoczęła się wojna niepodobna do żadnej z wojen poprzednich, które znamy z opowiadań. Palenie miast i wsi, cofanie się po bitwach, uderzenie pod Borodinem i znowu wycofanie się, pożar Moskwy, wylapywanie maruderów, przejmowanie transportów, wojna partyzancka – wszystko to było odstępstwem od zasad.

Napoleon czuł to i od czasu gdy w przepisowej pozycji fechtunku zajął Moskwę i zamiast szpady przeciwnika ujrzał nad sobą podniesiony dębczak, nie przestawał uskarżać się Kutuzowowi i cesarzowi Aleksandrowi, że prowadzą wojnę wbrew wszelkim zasadom (jakby istniały jakieś zasady zabójstwa ludzi). Nie zważając na skargi Francuzów, że nie stosują się do zasad, nie zważając, że Rosjanie na wyższych stanowiskach wstydzili się z jakiegoś powodu używać w walce dębczaka, lecz według wszelkich zasad chcieli stać w pozycji en quarte albo en nerce, zrobić umiejętny wypad en prime itp. – dębczak narodowej wojny podniesiono z całą jego groźną, majestatyczną siłą i nie zważając na niczyje gusta i reguły, z głupią prostotą, lecz i celowością, nie badając niczego, dębczak podnosił się, spadał i grzmocił Francuzów dopóty, dopóki nie rozbito całego najazdu.

I szczęśny to naród, który nie tak jak Francuzi w roku 1813, odsalutowawszy według wszystkich zasad sztuki i odwróciwszy szpadę rękojeścią, grzecznie i z gracją przekazuje ją wspaniałomyślnemu zwycięzcy, ale szczęśny to naród, który w godzinie próby, nie zastanawiając się, według jakich zasad w podobnych warunkach postępowali inni, po prostu i swobodnie bierze pierwszy lepszy dębczak, który mu wpada w ręce, i wali nim dopóty, dopóki w jego duszy uczucie obrazy i zemsty nie ustąpi pogardzie i litości.

II

Jednym z najbardziej namacalnych i wygodnych odstępstw od tak zwanych reguł wojny jest działanie ludzi w rozsypce przeciw ludziom skupiającym się w ciżbie. Dzieje się to zawsze w wojnie przybierającej charakter ludowy. Działania te polegają na tym, że zamiast stawać masą przeciw masie – ludzie rozsypują się, napadają w pojedynkę i natychmiast uciekają, gdy nacierają na nich większe siły, a później, gdy się nadarzy sposobność, znowu napadają. Robili to gerylasi w Hiszpanii, robili górale kaukascy i wreszcie Rosjanie w 1812 roku.

Wojnę tego rodzaju nazwano partyzancką i sądzono, że nazwa tłumaczy jej znaczenie. Tymczasem tego rodzaju wojny nie tylko nie można podporządkować jakimkolwiek regułom, lecz przeciwstawia się ona znanej i uważanej za bezbłędną zasadzie taktycznej, według której atakujący winie tak koncentrować swe wojska, by w czasie bitwy być silniejszym od przeciwnika.

Wojna partyzancka (zawsze pomyślna w skutkach, jak wykazuje historia) całkowicie jest sprzeczna z tą zasadą.

Sprzeczność ta wpływa stąd, że wiedza wojskowa określa siłę wojska jako identyczną z jego liczebnością. Wiedza ta mówi, że im więcej wojska, tym większa siła. *Les gros bataillons mit toujours raison.*³⁵⁸

Mówiąc to wiedza wojskowa upodabnia się do mechaniki, która, określając siły tylko na podstawie wielkości mas, powiedziałyby, że siły są równe lub nierówne zależnie od tego, czy równe lub nierówne są ich masy.

Siła (ilość ruchu) jest iloczynem masy przez prędkość.

W sprawach wojny siła wojsk jest także iloczynem masy przez coś innego, przez jakieś niewiadome „x”.

Wiedza wojskowa mająca w historii niezliczoną ilość przykładów, że masa wojska nie jest wykładnikiem jego siły, że małe oddziały zwyciężają duże, uznaje mgliście istnienie tego niewidzialnego mnożnika i usiłuje znaleźć go to w układzie geometrycznym, to w uzbrojeniu, to – najczęściej – w geniuszu dowódców. Ale zastosowanie któregośkolwiek z tych mnożników nie daje rezultatów zgodnych z faktami historycznymi.

A tymczasem wystarczy tylko wyrzec się ustalonego, dla dogodzenia bohaterom, błędnego poglądu na realność rozkazów władz wyższych w czasie wojny, by znaleźć tę niewiadomą „x”.

Tym „x” jest duch wojska, tj. większa czy mniejsza chęć do walki i do narażania się na niebezpieczeństwo wszystkich jednostek stanowiących wojsko, zupełnie niezależnie od tego, czy ludzie biją się pod dowództwem geniuszów czy niegeniuszów, w trzech czy w dwóch liniach, dębczakami czy karabinami strzelającymi trzydzieści razy na minutę.

Ludzie, mający wielką chęć do bicia się, zawsze znajdą najlepsze warunki do walki.

³⁵⁸ Wielkie oddziały zawsze mają słuszość.

Duch wojska jest mnożnikiem masy i daje w iloczynie siłę. Określić i wyrazić znaczenie w wojsku ducha, tego nieznanego mnożnika, jest zadaniem nauki.

Zadanie to może być wykonane tylko wtedy, jeżeli przestaniemy dowolnie podstawiać – zamiast znaczenia całego niewiadomego „x” – te warunki, przy których przejawia się siła, a mianowicie: rozkazy dowódców, uzbrojenie itd., przyjmując je za mnożnik, lecz weźmiemy owo niewiadome w jego pełni, tj. jako większą lub mniejszą chęć do walki i do narażania się na niebezpieczeństwo. Wtedy tylko, wyrażając równaniami znane fakty historyczne, porównując stosunkowe znaczenie tego niewiadomego, można mieć nadzieję, że określi się samą niewiadomą.

Dziesięciu ludzi, dziesięć batalionów albo dywizji, bijąc się z piętnastoma ludźmi, batalionami lub dywizjami, zwyciężyło, tj. zabiło i wzięło do niewoli wszystkich bez wyjątku, a straciło czterech ludzi; a więc zginęło z jednej strony czterech, a z drugiej strony – piętnastu. To znaczy, że czterej równali się piętnastu, i dalej $4x = 15y$, a więc $x:y=15:4$. Równanie to nie daje znaczenia niewiadomego, ale określa stosunek między dwiema niewiadomymi. I sprowadzając do takich równań historyczne, dowolnie wzięte odcinki (bitwy, kampanie, okresy wojen), otrzymujemy szeregi cyfr, w których powinny istnieć i z których mogą być odkryte prawa.

Taktyczna zasada, że należy działać masami przy natarciu, a przy cofaniu się w rozsypce, nieświadomie potwierdza tylko tę prawdę, że siła wojska zależy od jego ducha. Na to, by prowadzić ludzi pod kule, trzeba więcej dyscypliny, osiągalnej tylko w ruchu masowym, niż na to, aby się bronić przed atakującymi. Ale ta zasada, przy której nie bierze się pod uwagę ducha wojska, okazuje się stale niesłuszna, a zwłaszcza uderzająco przeczy rzeczywistości tam, gdzie się przejawia silny wzrost lub upadek ducha wojsk – we wszystkich wojnach narodowych.

Francuzi cofając się w roku 1812, chociaż zgodnie z taktyką powinni się byli bronić w rozsypce, skupiają się w ciżbę, dlatego że tak upadł duch wojska, iż tylko w masach trzyma się ono razem. Rosjanie, przeciwnie, według zasad taktyki powinni byli nacierać masą, a w rzeczywistości rozdrabniają się, dlatego że duch podniósł się tak, iż jednostki biją Francuzów bez rozkazu i niepotrzebny im przymus, żeby narażać się na trudy i niebezpieczeństwa.

III

Tak zwana wojna partyzancka rozpoczęła się od zajęcia Smoleńska przez nieprzyjaciela.

Zanim nasz rząd uznał oficjalnie wojnę partyzancką, już tysiące żołnierzy z armii nieprzyjacielskiej – zostający maruderzy, furażerowie – zginęło z rąk Kozaków i chłopów, którzy zabijali tych ludzi tak nieświadomie, jak nieświadomie psy zagryzają przybłąkanego wściekłego psa. Denis Dawydow³⁵⁹ swym rosyjskim wycuciem pierwszy zrozumiał znaczenie owej groźnej broni, która nie dbając o zasady sztuki wojennej zgubiła Francuzów, i jemu należy się chwała za zrobienie pierwszych kroków do uprawomocnienia tego rodzaju wojny.

24 sierpnia powstał pierwszy oddział partyzancki Dawydowa, a następnie powstawały inne. Im dłużej przeciągała się kampania, tym bardziej powiększała się liczba tych oddziałów.

Partyzanci niszczyli wielką armię częściami. Zbierali te opadłe liście, które same sypały się z zeschniętego drzewa – wojska francuskiego, a nieraz trzęśli tym drzewem. W październiku, gdy Francuzi uciekali ku Smoleńskowi, były setki tych partii różnych wielkości i charakteru. Były oddziały, które przejęły wszystkie formacje regularnej armii: piechota, artyleria, sztaby, udogodnienia; były oddziały wyłącznie kozackie, kawaleryjskie, były drobne, mieszane, piesze i konne, były chłopskie i szlacheckie, nikomu nie znane. Był dowódcą partii diak, który w ciągu miesiąca wziął kilkuset jeńców, była sołtysicha Wasilisa, która wytepiła setki Francuzów.

Ostatnie dni października stanowiły okres największego ożywienia wojny partyzanckiej. Już minął pierwszy okres tej wojny, kiedy sami partyzanci, dziwiąc się swej odwadze, wciąż bali się pojmania i osaczenia przez Francuzów, nie rozsiodlując koni i prawie nie schodząc z nich, ukrywali się w lasach i nieustannie oczekiwali pogoni. Teraz wojna już skryształizowała się, wszyscy dobrze wiedzieli, co można było przedsięwziąć. Teraz już tylko ci dowódcy oddziałów, którzy ze swymi sztabami według przepisów trzymali się z dala od Francuzów, uważali jeszcze wiele rzeczy za niemożliwe. Lecz drobni partyzanci, którzy już dawno rozpoczęli swą robotę i którzy wypatrywali Francuzów z bliska, uważali za możliwe to, o czym nawet myśleć nie śmieli dowódcy dużych oddziałów. A Kozacy i chłopci, włóczący się między Francuzami, sądzili, że teraz wszystko już jest możliwe.

22 października Denisow, jeden z partyzantów, znajdował się ze swym oddziałem w pełni partyzanckiej pasji. Od samego rana był ze swą partią w akcji, cały dzień śledził w lasach, przylegających do głównej drogi, duży francusk transport jeńców i zaopatrzenia kawalerii. Transport ten oddzielił się od innych i szedł pod mocnym ubezpieczeniem, jak powiadali wywiadowcy i jeńcy prowadzeni ku Smoleńskowi. Wiedział o nim nie tylko Denisow i Dołochow (również partyzant z niewielkim oddziałem) działający w pobliżu Denisowa, ale i dowódcy dużych oddziałów ze sztabami, wszyscy wiedzieli o tym transporcie i, jak mówił Denisow, wszyscy ostrzyli sobie na niego zęby. Dowódcy dwóch takich wielkich oddziałów – jeden Polak, drugi Niemiec – prawie jednocześnie nadesłali Denisowowi propozycję, aby

³⁵⁹ Denis Dawydow (1781–1839) – poeta, adiutant ks. Bagrationa w r. 1807, pierwszy przedłożył w r. 1812 projekt prowadzenia wojny partyzanckiej na tyłach armii francuskiej.

przyłączył się do jednego z nich w celu zaatakowania transportu.

– Nie, bracie, ja sam nie dudek – powiedział Denisow przeczytawszy listy i odpisał Niemcowi, że mimo szczyrych chęci, by działać pod dowództwem tak walecznego i sławnego generała, zmuszony jest pozbawić się tego szczęścia, gdyż poddał się pod komendę generała Polaka. Generałowi zaś Polakowi napisał to samo, zawiadamiając go, że już przeszedł pod komendę Niemca.

Urządziwszy się w taki sposób Denisow miał zamiar bez komunikowania o tym wyższym dowódcem razem z Dołochowem zaatakować i zdobyć ów transport własnymi niewielkimi siłami. Transport szedł 22 października drogą z Mikulina do wsi Szamszewo. Po lewej stronie drogi z Mikulina do Szamszewa ciągnęły się wielkie lasy, podchodzące miejscami do samej drogi, miejscami zaś oddalone od niej na wiorstę i więcej. Tymi to lasami Denisow jechał z oddziałem cały dzień, to zagłębiając się w nie, to wychodząc na ich brzegi, i nie spuszczał oka z posuwających się Francuzów. Z samego rana w pobliżu Mikulina, tam gdzie las podchodził blisko drogi. Kozacy z oddziału Denisowa zdobyli dwa francuskie wozy z kawaleryjskimi siodłami, ugrzęzłe w błocie, i uprowadzili je do lasu. Od tej chwili do samego wieczora oddział nie napadając śledził ruch Francuzów. Trzeba było, nie strasząc ich, pozwolić im dojść spokojnie do Szamszewa i wtedy dopiero połączywszy się z Dołochowem, który powinien był pod wieczór przyjechać na naradę do wartowni leśnej (o wiorstę od Szamszewa), o świtaniu spaść na nich z dwóch stron jak śnieg na głowę, pobić ich i wziąć wszystkich razem.

Na tyłach, w odległości dwu wiorst od Mikulina, tam gdzie las podchodził do samej drogi, zostawiono sześciu Kozaków, którzy mieli natychmiast dać znać o ukazaniu się francuskich kolumn.

Przed Szamszewem Dołochow miał zbadać drogę, by wiedzieć, w jakiej odległości pozostają jeszcze inne wojska francuskie. Przypuszczano, że z transportem idzie tysiąc pięciuset ludzi. Denisow miał dwustu, Dołochow mógł mieć również tylu. Lecz przewaga liczby nie wstrzymywała Denisowa. Jednego jeszcze tylko chciał się dowiedzieć – tego mianowicie, jakie to było wojsko; w tym celu Denisow musiał dostać języka (tj. żołnierza z kolumny nieprzyjacielskiej). W porannym napadzie na wozy działano tak spiesźnie, że wszyscy Francuzi przy wozach ponieśli śmierć, wzięto żywcem tylko chłopca-dobosza, który pozostawał na tyłach i nie mógł powiedzieć dokładnie, z jakiego wojska składa się kolumna.

Denisow obawiał się drugiego napadu, aby nie zaalarmować całej kolumny, dlatego wysłał naprzód do Szamszewa Tichona Szczerbatego, chłopca ze swego oddziału, by ujął, jeżeli można, choć jednego z przebywających tam francuskich kwatermistrzów, wyprzedzających oddział.

IV

Był jesienny, ciepły, deszczowy dzień. Niebo i horyzont miały tę samą barwę mętnej wody. To jakby mgła opadała, to nagle zaciął ulewny deszcz.

Denisow jechał na rasowym, chudym, z zakłęśniętymi bokami koniu, był w burce i papasze, z których ciurkiem lała się woda. Podobnie jak jego koń, pochylający łeb i tulący uszy, krzywił się przed zacinającym deszczem i niespokojnie patrzył przed siebie. Twarz wychudzona, obrośnięta gęstą, krótką czarną brodą, wydawała się gniewna.

Obok Denisowa, również w burce i papasze, jechał na odkarmionym, ciężkim dońcu pomocnik Denisowa, esauł kozacki.

Esauł Łowajski, trzeci z nich, również w burce i papasze, był to człowiek wysoki, płaski jak deska, jasny blondyn z białą cerą i z wąskimi jasnymi oczami, ze spokojnym, zadowolonym z siebie wyrazem i w twarzy, i w postawie. Mimo iż nie można było nawet powiedzieć, na czym polegała osobliwość konia i jeźdźca, przy pierwszym spojrzeniu na esauła i Denisowa widać było, że Denisow przemókł i czuje się nieswojo, że Denisow jest człowiekiem, który dosiadł konia, patrząc zaś na esauła widać było, że jest mu tak wygodnie i dobrze jak zawsze i że nie jest człowiekiem, który siedzi na koniu, lecz człowiekiem stanowiącym razem z koniem jedną istotę o zdwojonej sile.

Nieco przed nimi szedł zupełnie przemoczony chłopak-przewodnik w szarym kaftanie i białym kołpaku.

Nieco z tyłu, na chudym, drobnym kirgiskim koniku z dużym ogonem i grzywą, i z wargami poszarpanymi do krwi, jechał młody oficer w niebieskim francuskim płaszczu.

Obok niego jechał huzar wioząc za sobą na zadzie końskim chłopaka we francuskim podartym mundurze i niebieskim kołpaku. Chłopak trzymał się huzara czerwonymi z zimna rękoma, poruszał bosymi nogami dla rozgrzewki i podniósłszy brwi patrzył wokół ze zdziwieniem. Był to francuski dobosz, ujęty rano.

W tyle, wąską, rozlazłą i zjeżdżoną leśną drogą ciągnęli trójkami, czwórkami huzarzy, następnie Kozacy, ów w burce, inny we francuskim płaszczu, jeszcze inny w czapraku narzuconym na głowę. Konie – i bułane, i gniade wszystkie wydawały się karę od ściekającego z nich deszczu. Karki koni ze zlepionymi grzywami wydawały się dziwnie cienkie. Z koni unosiła się para. I odzież, i siodła, i uzdy – wszystko było mokre, oślizgłe i rozmiękłe, podobnie jak ziemia i opadłe liście, którymi była wymoszczona droga. Ludzie siedzieli nastroszeni, bez ruchu, pragnąc ogrzać wodę, która przenikła do ciała, i nie przepuścić świeżej, zimnej, zaciekającej pod siedzenie, pod kolana i za szyję. W środku rozciągniętej linii Kozaków dwie fury z zaprzęgiem francuskim i podprzążką osiodłanych koni kozackich klekotały po pniach i sękach i pluskały wodą w koleinach.

Koń Denisowa, omijając kałużę na drodze, zboczył i jeździec stuknął kolanem o drzewo.

– Do diabła! – gniewnie krzyknął Denisow i wyszczerzywszy zęby uderzył konia trzy razy

nahajem, opryskując błotem siebie i towarzyszy. Denisow nie był w dobrym nastroju i z powodu deszczu, i z głodu (od rana nic nie jadł), ale głównie dlatego, że od Dołochowa dotychczas nie było wiadomości i chłop, wysłany po języka, nie wracał.

„Trudno czekać na drugą taką okazję jak dzisiaj, aby napaść na transport. W pojedynkę zaatakować – zbyt ryzykowne, a jeśli odłożyć do jutra – spod nosa ściągnie zdobycz ktokolwiek z dużych partyzantów” – myślał Denisow, nieustannie patrząc przed siebie z nadzieją, że ujrzy wysłańca od Dołochowa.

Wyjechawszy na dukt, z którego było widać daleko okolice na prawo, Denisow zatrzymał się.
– Ktoś jedzie – powiedział.

Esauł popatrzył w kierunku wskazanym przez Denisowa.

– Jedzie dwóch – oficer i Kozak. Tylko nieprzypuszczalnie, żeby to był sam podpułkownik – mówił esauł lubiący używać słów niezrozumiałych dla Kozaków.

Jeźdźcy, zjechawszy w dół, zniknęli z oczu i dopiero po kilku minutach ukazali się znowu. Na przedzie ociężałym galopem, ponaglając nahajką konia, jechał oficer, rozczochrany, przemoknięty do nitki, z podwiniętymi za kolana pantalonami. Za nim, stojąc w strzemionach, kłusował Kozak. Oficer ten, młodziutki chłopiec, z szeroką, rumianą twarzą i żywymi, wesołymi oczami podjechał do Denisowa i podał mu przemoczoną kopertę.

– Od generała – powiedział oficer – przepraszani) że nie całkiem suche...

Denisow zachmurzywszy się wziął kopertę i zaczął ją otwierać.

A wszyscy mówili, że niebezpiecznie, niebezpiecznie – powiedział oficer zwracając się do esauła, gdy Denisow czytał list. – Co prawda, przygotowaliśmy się z Komarowem – wskazał Kozaka. – Mamy po dwa pisto... A co to takiego? – zapytał zobaczywszy francuskiego dobosza. – Jeniec? Byliście już w bitwie? Można z nim porozmawiać?

– Rostow! Pietia! – wykrzyknął Denisow przejrawszy pobieżnie list. – Jakżeś mógł nie powiedzieć, kim jesteś? – i Denisow z uśmiechem, odwróciwszy się, wyciągnął rękę do oficera.

Oficerem tym był Pietia Rostow.

Całą drogę Pietia przygotowywał się do tego, jak wypada jemu, człowiekowi dorosłemu i oficerowi, nie napomykając o znajomości, zachować się wobec Denisowa. Ale gdy tylko Denisow uśmiechnął się do niego, Pietia natychmiast się rozpromienił, poczerwieniał z radości i zapominając o oficjalnej postawie, którą zamierzał być przybrać, zaczął opowiadać, jak przejechał obok Francuzów i jaki jest zadowolony, że mu dano takie zlecenie, że był już w bitwie pod Wiaźmą i że odznaczył się tam pewien huzar.

– No, cieszę się, że cię widzę – przerwał mu Denisow i twarz jego znowu nabrała wyrazu troski.

– Michale Feoklityczu – zwrócił się do esauła – to znowu od Niemca. On jest do niego przydzielony. – I Denisow opowiedział esaułowi, że treścią listu, doręczonego teraz, jest powtórzone przez generała żądanie przyłączenia się do ataku na transport. – Jeżeli go jutro nie weźmiemy, spod nosa nam wyrwie – zakończył.

Gdy Denisow rozmawiał z esaułem, Pietia, zmieszany chłodnym tonem Denisowa, sądząc, że przyczyną tego jest stan jego pantalonów, zaczął je pod płaszczem obciążać, tak aby nikt tego nie zauważył, i starał się przybrać postawę jak najbardziej wojskową.

Czy otrzymam od waszej wielmożności jakiś rozkaz? – spytał Denisowa salutując i znowu powracając do zabawy w generalskiego adiutanta, do której się przygotował czy też powinienem zostać przy waszej wielmożności?

– Rozkaz?... – powiedział w zamyśleniu Denisow.

– A czy mógłbyś tu zostać do jutra?

– Ach, bardzo proszę... Mógłbym przy panu zostać? – wykrzyknął Pietia.

– A jak ci rozkazał generał – zaraz masz wrócić? – zapytał Denisow. Pietia poczerwieniał.

– Ależ on nic nie rozkazał. Myślę, że można będzie? – powiedział pytająco.

– No, dobrze – odrzekł Denisow. I zwróciwszy się do podkomendnych rozkazał, by oddział szedł ku wyznaczonemu miejscu odpoczynku w leśnej budzie i żeby oficer na kirgiskim koniu (oficer ten pełnił funkcję adiutanta) pojechał szukać Dołochowa, dowiedzieć się, gdzie jest i czy nadejdzie wieczorem. Denisow zaś z esaulem i Pietia miał zamiar wyjechać na skraj lasu pod Szamszewem, żeby zobaczyć miejsce rozlokowania się Francuzów, na które miano dokonać jutrzejszego napadu.

– No, brodaczu – zwrócił się do chłopca-przewodnika – prowadź do Szamszewa.

Denisow, Pietia i esaul w towarzystwie kilku Kozaków i huzara wiozącego jeńca ruszyli w lewo przez wąwóz na skraj lasu.

V

Deszcz przeszedł, tylko opadała mgła i krople wody z gałęzi drzew. Denisow, esauł i Pietia jechali w milczeniu za chłopem w kołpaku, który, lekko i bezszelestnie krocząc w łapciach po korzeniach i mokrych liściach, prowadził ich na skraj lasu.

Po wyjściu na wzniesienie leśne chłop zatrzymał się, obejrzał i poszedł ku rzadziejcej ścianie drzew. Stał pod dużym dębem, nie obnażonym jeszcze z liści, i wezwał jeźdźców tajemniczym ruchem ręki.

Denisow z Pietia podjechali do niego. Z miejsca, na którym się chłop zatrzymał, widać było Francuzów. Tuż za lasem rozciągało się w dół pagórkowate pole jarowizny. Po prawej stronie przez spadzisty wąwóz widać było niewielką wioskę i dworek z rozwalonymi dachami. W tej wiosce i we dworze, i na całym wzgórzu, w sadzie, przy studniach i przy stawie, i na całej drodze w górę od mostku ku wsi, w odległości nie większej niż dwieście sążni, widać było w falującej mgłę tłumy ludzi. Słysząc było wyraźnie, jak nie po rosyjsku pokrzykują na wdzierające się na górę konie w zaprzęgu i jak wzajemnie się nawołują.

– Dajcie tu jeńca – powiedział cicho Denisow nie spuszczać z oka Francuzów.

Kozak zsiadł z konia, zdjął chłopca i razem z nim podszedł do Denisowa. Denisow, wskazując na Francuzów, pytał, jakie to wojsko. Chłopiec włożył swe zziębnięte ręce w kieszenie i podniósłszy brwi patrzył wystraszony na Denisowa, i mimo że widać było, iż chciał powiedzieć wszystko, co wie, plątał się w odpowiedziach i tylko potwierdzał to, o co pytał Denisow. Denisow, zachmurzony, odwrócił się od niego do esauła, komunikując mu swe przypuszczenia.

Pietia, obracając głowę szybkimi ruchami, patrzył to na dobosza, to na Denisowa, to na esauła, to na Francuzów we wsi i na drodze, starając się nie przeoczyć czegoś ważnego.

– Przyjedzie czy nie przyjedzie Dołochow, trzeba braci Co? – powiedział Denisow błysnąwszy wesoło oczami.

– Miejsce wygodne – odpowiedział esauł.

– Piechotę wyprawimy dołem, błotami – ciągnął Denisow – podejdzie do sadu, pan zajędzie z Kozakami stamtąd – Denisow wskazał na las za wsią – a ja stąd ze swymi huzarami. I po wystrzale...

W tym czasie, gdy tak półgłosem rozmawiali, na dole, w kotlinie, w której leżał staw, trzasnął strzał, za nim drugi, zabielił się dymek i słysząc było zgodny, jakby wesoły krzyk setek Francuzów znajdujących się na pochyłości wzgórza. W pierwszej chwili i Denisow, i esauł odchylił się w siodłach. Byli tak blisko, iż wydawało się im, że to oni spowodowali te strzały i krzyki. Ale strzały i krzyki nie były z ich powodu. Dołem po błotach biegł człowiek w czymś czerwonym. Widocznie do niego strzelali i na niego krzyczeli Francuzi.

– Przecież to nasz Tichon – powiedział esauł.

– On! on! naprawdę!

– A to szelma! – rzekł Denisow.

– Ucieknie! – powiedział esauł mrużąc oczy. Człowiek, którego nazwali Tichonem, podbiegł do rzeczki i buchnął w nią tak, aż bryznęło, i zniknąwszy na chwilę, czarny od wody, wy dostał się na czworakach i pobiegł dalej. Francuzi, biegnący za nim, stanęli.

– Ale zwinny – powiedział esauł

– Co za bestia! – wciąż z niezadowoleniem powiedział Denisow. – I co on robił do tej pory?

– Któż to? – zapytał Pietia.

– To nasz zwiadowca. Posłałem go po języka.

– Ach, tak – powiedział Pietia, kiwając głową od chwili, gdy Denisow zaczął mówić, jakby wszystko zrozumiał, choć naprawdę nie rozumiał ani słowa.

Tichon Szczerbaty był jednym z ludzi najbardziej potrzebnych w partii. Był to chłop z Pokrowskiego pod Gżatią. Gdy w początku swej działalności Denisow przyszedł do Pokrowskiego i, jak zawsze, wezwawszy sołtysa zapytał, co wiedzą o Francuzach, sołtys odpowiedział, jak odpowiadali wszyscy sołtysi, jakby się broniąc, że wiedzieć nic nie wiedzą i słyszeć nic nie słyszeli. Ale gdy mu Denisow wytłumaczył, że jego celem jest – bić Francuzów, i gdy zapytał, czy nie przywałaszali się do nich Francuzi, sołtys odpowiedział, że mirodery, owszem, bywali, ale że w ich wsi tylko Tiszka Szczerbaty zajmuje się tymi sprawami. Denisow kazał zawołać do siebie Tichona i pochwaliwszy go powiedział przy sołtysie kilka zdań o wierności cesarzowi i ojczyźnie i o nienawiści do Francuzów, którą winni zachować synowie ojczyzny.

– My Francuzom zła nie robimy – powiedział Tichon przestraszywszy się widocznie mowy Denisowa. – My tylko tak, znaczy się, z dobrej chęci bawili się z chłopakami.

– Mirodarów, tak jest, uprzątneliśmy ze dwudziestu, ale złego to my nic nie robili... – Nazajutrz, gdy Denisow, zupełnie zapomniawszy o tym chłopie, wyszedł z Pokrowskiego, zawiadomiono go, że Tichon przyłączył się do oddziału i prosi, żeby pozwolono mu w nim zostać. Denisow zgodził się.

Tichon pełnił z początku funkcję obozowego ciury: przygotowywał ogniska, nosił wodę, zdejmował skórę z koni itp., lecz wkrótce przejawiał wielką chętkę i zdolności do wojny partyzanckiej. Chodził nocami po zdobycz i za każdym razem przynosił ze sobą odzież i broń francuską, a na rozkaz przyprowadzał też jeńców. Denisow zwolnił Tichona od robót, zaczął go brać z sobą na zwiady i zaliczył do Kozaków.

Tichon nie lubił jeździć konno i zawsze chodził pieszo, nigdy nie pozostając w tyle. Uzbrojenie jego składało się z muszkietu, który nosił raczej dla śmiechu, z piki i siekiery, którą władał, jak wilk włada zębami, jednakowo sprawnie wyłapując nimi pchły z kudłów i przegryzając grube kości. Tichon jednakowo pewnie, z całego rozmachu rozłupywał siekierą kloce, jak też ujawszy siekiere za obuch wystrugiwał nią cienkie kołeczki i wycinał łyżki. W oddziale Denisowa Tichon zajmował szczególne, wyjątkowe miejsce. Gdy trzeba było wykonać coś specjalnie trudnego i wstrętnego – wydostać wóz z błota, wyciągnąć za ogon z topieli konia, zdjąć z niego skórę, wleźć w sam środek Francuzów lub przejść w ciągu dnia pięćdziesiąt wiorst – wszyscy wskazywali, podśmiewając się, na Tichona.

– Wszystko mu się, diabłu, udaje, zdrowy koń – mawiano o nim.

Pewnego razu Francuz, którego Tichon chciał ująć, strzelił do niego z pistoletu i zranił go w miękką część pleców. Rana ta, leczona przez Tichona tylko wódką – wewnątrz i zewnątrz – była w całym oddziale przedmiotem najweselszych żartów, które Tichon przyjmował z zadowoleniem.

– Co, bracie, nie będziesz? Skręciło cię? – śmiali się z niego Kozacy, a Tichon krzywiąc się umyślnie i strojąc miny udawał, że się złości, i wymyślał Francuzom najbardziej śmiesznymi

przekleństwami. Wypadek ten miał na niego tylko taki wpływ, że po tym zranieniu rzadko przyprowadzał jeńców.

Tichon był najpożyteczniejszym i najodważniejszym człowiekiem w partii. Nikt poza nim nie wskazał tylu sposobności do napadu, nikt nie wziął więcej jeńców niż on i nie zabił więcej Francuzów, ale mimo to został błaznem dla wszystkich Kozaków, huzarów i sam z zadowoleniem przyjmował ten urząd. Teraz Denisow wysłał jeszcze w nocy Tichona do Szamszewa, by tam ujął języka. Ale czy dlatego, że nie zadowolili się jednym Francuzem, czy dlatego, że przespał noc, o świcie wlaź w krzaki, w sam środek Francuzów, i, jak widział ze wzgórza Denisow, został przez nich wykryty.

VI

Porozmawiawszy jeszcze przez jakiś czas z esaulęm o jutrzejszym napadzie, na który teraz, patrząc na bliskość Francuzów, zdecydował się, zda się, ostatecznie, Denisow zawrócił konia i pojechał z powrotem.

No, bracie, teraz pojedziemy osuszyć się – powiedział do Pieti.

Podjeżdżając do leśnej budy Denisow zatrzymał się patrząc w las. Lasem, między drzewami, szerokim, lekkim krokiem szedł na długich nogach, z długimi, rozkołysanymi rękami, człowiek w kurtce, w łapciach i kazańskim kapeluszu, ze strzelbą na ramieniu i z siekierą za pasem.

Zobaczywszy Denisowa człowiek ów z pośpiechem rzucił coś w krzaki i zdjawszy mokry kapelusz z opuszczonymi brzegami, podszedł do komendanta. Był to Tichon. Zryta przez ospę i zmarszczki jego twarz, z małymi, wąskimi oczami, promieniowała radością i zadowoleniem. Podniósł wysoko głowę, jakby wstrzymując się od śmiechu, i stanął przed Denisowem.

– No, gdzieżeś ty przepadał? – rzekł Denisow.

– Gdziem przepadł? Francuzów szukałem – śmiało, z pośpiechem odpowiedział Tichon ochryplym, lecz śpiewnym basem.

– Po co żeś się dniem włóczył! Bydlak! No cóż, i nie wzięłeś?

– Wziąć to wzięłem – rzekł Tichon.

– Gdzie go masz?

– Toć go wzięłem z samego początku, świtaniem jeszcze – ciągnął dalej Tichon rozstawiając szerzej płaskie, wykręcone stopy, zawiązane w łapcie – no i ściągnąłem go do lasu. Patrzę – do niczego. Myślę sobie, pójdę, może się co lepszego weźmie.

– Widzisz, szelma, co zrobił – powiedział Denisow do esaula. – Dlaczegożeś go nie przyprowadził?

– A po cóż go ta prowadzić – przerwał Tichon spiesznie i ze złością – kiedy do niczego. A bo to nie wiem, jakich panu trzeba?

– A to bestia!... No?...

– Poszedłem po drugiego – ciągnął Tichon. – Podpełzłem w taki sposób do lasu i ległem. – Tichon nieoczekiwanie gibko legł na brzuchu, pokazując naocznie, jak on to zrobił. – Napatoczył się jeden – ciągnął dalej. – Ja go cap w ten sposób. – Tichon zerwał się szybko i zwinnie. – „Pójdziemy, mówię, do pułkownika”. Jak nie zaczną krzyczeć! A ich już tu czworo. Lecą na mnie ze szpadkami. A ja na nich tym sposobem, siekierą: „Co wy, mówię. Bóg z wami!” – wykrzyknął Tichon wymachując rękoma i groźnie chmurząc się wystawił pierś.

– No, no, widzieliśmy z góry, jakżeś po błocie dawał drapaka – powiedział esaul mrużąc swe błyszczące oczy.

Pieti bardzo się chciało śmiać, ale widział, że wszyscy wstrzymują się od śmiechu. Szybko przenosił wzrok z twarzy Tichona na twarze esaula i Denisowa, nie rozumiejąc, co to wszystko znaczy.

– Ty nie odgrywaj mi durnia – powiedział Denisow, gniewnie pokasłując. – Dlaczegoś pierwszego nie przyprowadził?

Tichon zaczął się drapać jedną ręką po plecach, drugą po głowie, nagle cała jego gęba rozciągnęła się w radosnym głupim uśmiechu, który ujawnił brak zęba (stąd też nazwano go Szczerbatym). Denisow uśmiechnął się, a Pietia zaniósł się wesołym śmiechem, do którego przyłączył się też i Tichon.

– A po co, zupełnie ciemęga – mówił Tichon. – Szmaty na nim lichutkie, gdzież takiego wodzić. A przy tym grubianin, wielmożny panie. „Jakże? mówi. Ja sam ginieralski syn, nie pójdę”, mówi.

– Co za bydlę! – rzekł Denisow. – Powinienem wybadać...

– Toć ja go pytałem – mówił Tichon. – Powiedział:

„Małom obznajmiony. Naszych, mówi, nawet dużo, ale wszystkie słabe, tylko, mówi, nazwa jedna. Hukniecie, mówi, dobrze, to wszystkich zabierzecie” – zakończył Tichon spojrzawszy wesoło i zdecydowanie w oczy Denisowa.

Jak ja ci wsypię setkę odlewanych, dopiero będziesz durnia stroić – powiedział Denisow poważnie.

– A po co się złościć? – powiedział Tichon. – Cóż to, nie widziałem tych pana Francuzów? Niech no tylko ściemnieje, ja, ile chcecie, choćby nawet trzech przywiode.

– No, jedziemy – rzekł Denisow. I do samej wartowni Jechał gniewnie zachmurzony, milcząc.

Tichon szedł z tyłu i Pietia słyszał, jak się śmiali i z nim, i z niego Kozacy z powodu butów, które rzucił w krzaki.

Gdy przeszedł śmiech, który nim zawładnął przy słowach i uśmiechu Tichona, Pietia zrozumiał nagle, że Tichon zabił człowieka, i zrobiło mu się nieprzyjemnie. Obejrzał się na jeńca-dobosza i coś ukłuło go w serce. Ale ta przykrość trwała tylko chwilę. Poczł, że musi podnieść wyżej głowę, nabrać śmiałości i wpytać esauła z poważną miną o jutrzejsze przedsięwzięcie, żeby być godnym towarzystwa, w którym się znajdował.

Wysłany oficer spotkał Denisowa na drodze z wiadomością, że sam Dołochow zaraz przyjedzie i że jeśli chodzi o niego, wszystko idzie pomyślnie.

Denisow nagle poweselał i wezwał do siebie Pietię.

– No, opowiedz mi o sobie – rzekł.

VII

Pietia, wyjeżdżając z Moskwy po rozstaniu z rodziną, przyłączył się do swego pułku i wkrótce potem został oficerem ordynansowym generała dowodzącego dużym oddziałem. Od chwili nominacji na oficera, a zwłaszcza od chwili zaliczenia do armii czynnej i udziału w bitwie pod Wiaźmą, Pietia znajdował się wciąż w stanie uszcześliwienia i radości, że jest już dorosły, i w entuzjastycznym pogotowiu, żeby nie przeoczyć jakiegokolwiek wypadku, w którym można by przejawić rzeczywiste bohaterstwo. Był bardzo uszcześliwiony tym, co widział i czego doświadczał w armii, ale jednocześnie wciąż mu się wydawało, że tam, gdzie go nie ma, tam właśnie teraz dokonują się najbardziej bohaterskie czyny. I śpieszył się, by zdążyć tam, gdzie go teraz nie było.

Gdy 21 października generał jego wyraził chęć wysłania kogoś do oddziału Denisowa, Pietia tak gorąco prosił, by go posłano, że generał nie mógł odmówić. Ale wysyłając go, generał – przypomniawszy sobie szalony postępek Pieti w bitwie pod Wiaźmą, gdy Pietia zamiast jechać drogą tam, dokąd go posłano, popędził na tyralierę pod ogień Francuzów i dwa razy strzelił ze swego pistoletu – zabronił mu brać udział w jakiegokolwiek akcji Denisowa. Z tego powodu Pietia zmieszał się i poczerwieniał, gdy Denisow zapytał, czy pozwolono mu zostać. Do chwili wyjazdu na skraj lasu Pietia uważał, że powinien, spełniając ściśle swój obowiązek, natychmiast wracać, ale gdy zobaczył Francuzów, gdy zobaczył Tichona i dowiedział się, że w nocy nastąpi atak, z łatwością właściwą młodzieży, przechodzącej od jednego poglądu do drugiego, doszedł do wniosku, że jego generał, którego dotąd bardzo szanował, to nicpoń, Niemiec, a Denisow – to bohater, i esaul – to bohater, i że Tichon – to bohater, i że byłoby wstyd odjechać od nich w trudnej chwili.

Zmierzchało już, gdy Denisow z Pietia i esaulem podjechali do budy leśnej. W półmroku widać było osiodłane konie. Kozaków, huzarów, ustawiających szałas na polanie (żeby Francuzi nie zobaczyli dymu) i rozpalających ognisko w leśnym wąwozie. W sieni małej chaty Kozak zakasawszy rękawy rąbał baraninę. W izbie było trzech oficerów z oddziału Denisowa narządzających stół z wyjętych drzwi. Pietia zdjął i oddał do wysuszenia swe mokre odzienie i natychmiast zaczął pomagać oficerom w budowie stołu.

W ciągu dziesięciu minut stół był gotów i nakryty serwetką. Na stole stała wódka, rum w manierce, biały chleb i pieczona baranina z solą.

Siedząc razem z oficerami przy stole i rozrywając rękami, z których ciekł tłuszcz, wonną tłustą baraninę, Pietia był w entuzjastycznym, dziecinnym nastroju tkliwej miłości do wszystkich ludzi, a wskutek tego był pewien, że i jego wszyscy kochają.

– A więc jak pan myśli, Wasiliu Fiodorowiczu – zwrócił się do Denisowa – to nic, że zostanę z panem na jeden dzień? – I nie czekając na odpowiedź sam sobie odpowiedział: – Przecież kazano mi się dowiedzieć, więc się dowiaduję... Tylko pozwólcie mi być w samym... w głównym... Nie potrzebuję odznaczeń... Chcę tylko... – Pietia zacisnął zęby i obejrzał się

potrząsając podniesioną głową i wymachując ręką.

– W najgłówniejszym... – powtórzył Denisow uśmiechając się.

– Tylko już bardzo proszę, dajcie mi oddział... żebym mógł w pełni dowodzić – ciągnął Pietia. – No, co to panu szkodzi?... Ach, panu potrzebny nożyk? – zwrócił się do oficera, chcącego odkroić sobie baraniny, i podał mu swój scyzoryk.

Oficer pochwalił scyzoryk.

– Proszę bardzo wziąć go sobie. Mam dużo takich... – powiedział Pietia czerwieniąc się. – Ojej! Zupełnie zapomniałem – wykrzyknął – przecież ja mam rodzinę, wspaniałe, wiecie, takie bez pesteczek. Mamy nowego markietanta i takie wspaniałe rzeczy. Kupiłem dziesięć funtów. Przywykłem do czegoś słodkiego. Chcecie?... – I Pietia pobiegł do sieni do swego Kozaka i przyniósł torebki, w których było z pięć funtów rodzynek. – Jedzcie, panowie, jedzcie.

– A może potrzebny panu imbryk do kawy? – zwrócił się do esaula. – Kupiłem u naszego markietana, doskonały! On ma wspaniałe rzeczy! I jest bardzo rzetelny. To najważniejsze. Przyślę go panu koniecznie! A może wyczerpały się panu lub obiły krzemienie? Przecie się to zdarza. Wziąłem ze sobą, mam tutaj... – wskazał na torbę – sto krzemieni. Bardzo tanio kupiłem. Weź pan, bardzo proszę, ile trzeba, a nawet wszystkie... – I przestraszywszy się nagle, czy się nie przechwala, Pietia zamilkł i poczerwieniał. Zaczął rozmyślać, czy nie popełnił jeszcze jakichś innych głupstw. I przebierając w pamięci wydarzenia dnia dzisiejszego przypomniał sobie Francuza-dobosza. „Nam tu świetnie, a jak jemu? Gdzie go umieszczono? Dano mu choć jeść? Nie skrzywdzono?” – pomyślał. Ale zmiarkowawszy, że przesadził z krzemieniami, bał się mówić.

„Zapytać by można – myślał – ale powiedzą: sam chłopak i nad chłopcem się lituje. Pokażę im jutro, jaki ja chłopak! Czy to wstyd, jeżeli się pytam? – myślał. – Ach, już wszystko jedno!” I natychmiast, zaczerwieniony, z lękiem patrząc na oficerów, czy nie zobaczy na ich twarzach drwiącego uśmiechu rzekł:

– A czy można by wezwać tego chłopca, jeńca? Dać mu coś do jedzenia... Może...

– Tak, biedny chłopak – powiedział Denisow, nie znalazłszy widocznie nic żenującego w tym przypomnieniu.

– Wezwijcie go tu. Nazywa się Vincent Bosse. Zawołać go.

– Ja go zawołam – rzekł Pietia.

– Zawołaj, zawołaj. Biedny chłopak – powtórzył Denisow.

Pietia był przy drzwiach, gdy Denisow to mówił. Pietia precyzyjnie się między oficerami i podszedł blisko do Denisowa. – Pozwól się pan ucałować, drogi – powiedział.

– Ach, jak tu dobrze, jak pięknie! – I pocałował Denisowa i pobiegł na dwór.

– Bosse! Vincent! – krzyknął Pietia zatrzymawszy się przy drzwiach.

– Kogo panu trzeba? – spytał głos z ciemności. Pietia odpowiedział, że tego chłopca Francuza, którego wzięto dzisiaj.

– A! Wiosennego? – zapytał Kozak. Imię Vincent przerobili już Kozacy na Wiosennego, a chłopci i żołnierze na Wisienkę. W obu przeróbkach przypomnienie wiosny łączyło się z wyobrażeniem młodziutkiego chłopca.

vGrzał się tam przy ogniu. Hej! Wisienka! Wisienka! Wiesenny! – słychać było w ciemności nawoływania i śmiech.

– A to żwawy chłopczyzna – mówił huzar stojący blisko Pieti. – Daliśmy mu niedawno jeść. Głodny był aż strach.

– W ciemności rozległy się kroki i człapiąc bosymi nogami po błocie, dobosz podszedł do drzwi.

– Ah, c'est vous! – rzekł Pietia. – Voulez-vous man-ger? N'ayez pas peur, m ne vous f era pas

de mai – dodał dotykając jego ręki z nieśmiałą serdecznością. – Entrez, entrez.³⁶⁰

Merci, monsieur – odpowiedział dobosz drżącym, prawie dziecięcym głosem i zaczął wycierać o próg swe zabłocone nogi. Pietia chciałby doboszowi wiele powiedzieć, ale nie śmiał. Przystępując z nogi na nogę stał przy nim w sieni. Potem w ciemności ujął jego rękę i uścisnął ją.

Entrez, entrez – powtórzył tylko tkliwym szeptem. „Ach, co by tu dla niego zrobić!” – powiedział sam do siebie Pietia i otworzywszy drzwi przepuścił przed sobą chłopca.

Gdy dobosz wszedł do izby, Pietia siadł jak najdalej od niego, uważając za poniżające dla siebie zwracanie nań uwagi. Dotykał tylko w kieszeni pieniędzy i miał wątpliwości, czy wypada dać je doboszowi.

³⁶⁰ Ach, to pan! Chce pan jeść? Proszę; się nic bać, nie zrobię panu nic złego... Proszę wejść, proszę wejść.

VIII

Z dobosza, któremu na rozkaz Denisowa dano wódki, baraniny i którego Denisow kazał odziać w rosyjski kaftan i nie odsyłać z innymi jeńcami, ale zostawić przy partii, uwaga Pieti przeszła na przyjazd Dołochowa. Pietia słyszał w armii dużo opowiadań o jego nadzwyczajnej waleczności i okrucieństwie względem Francuzów, toteż gdy tylko Dołochow wszedł do izby, Pietia nie spuszczał go z oczu, patrzył na niego i coraz bardziej dodawał sobie animuszu potrząsając wzniesioną głową, żeby być godnym nawet takiego towarzystwa, jak Dołochow.

Wygląd zewnętrzny Dołochowa dziwnie uderzył Pietię swą prostotą.

Denisow miał na sobie czekman, zapuścił brodę, a na piersiach nosił wizerunek Mikołaja Cudotwórcy, i sposobem mówienia oraz całym zachowaniem podkreślał niezwykłość swego położenia. Dołochow, przeciwnie, przedtem w Moskwie ubierał się po persku, teraz zaś miał wygląd najbardziej wymuskanego oficera gwardii. Twarz miał starannie ogoloną, odziany był w gwardyjski pikowany mundur z Orderem Św. Jerzego w kłapie, na głowie miał zwykłą furazerkę, prosto włożoną. Zdjął w kącie mokrą burkę, podszedł do Denisowa i nie witając się z nikiem, od razu zaczął mówić o sprawie. Denisow opowiedział mu o zamiarach wielkich oddziałów na ich transport, o przysłaniu Pieti i o tym, co odpowiedział obu generałom. Potem zakomunikował mu wszystko, co wiedział o położeniu francuskiego oddziału.

– No tak, ale trzeba wiedzieć, ile wojsk i jakie – powiedział Dołochow. – Trzeba będzie pojechać. Nie wiedząc ściśle, ile ich jest, nie można rozpoczynać akcji. Lubię załatwiać sprawy dokładnie. A czy nie chciałby ktoś z panów pojechać ze mną do ich obozu? Mam ze sobą mundur.

– Ja, ja... ja pojedę z panem! – wykrzyknął Pietia.

Wcale nie musisz tam jechać – powiedział Denisow zwracając się do Dołochowa. – A jego za nic nie puszcze.

– Bardzo pięknie! – wykrzyknął Pietia. – A dlaczegoż to mam nie jechać?

– A dlatego że nie ma po co.

– No, pan wybaczy, dlatego że... dlatego że... Pojadę, i basta. Pan mnie zabierze? – zwrócił się do Dołochowa.

– Dlaczegoż nie? – odpowiedział Dołochow z roztargnieniem, wpatrując się w twarz francuskiego dobosza.

– Dawno masz tego zucha? – pytał Denisowa.

– Dzisiaj go wzięto, ale nic nie wie. Zostawiłem go przy sobie.

– No, a innych gdzie podziewasz? – pytał Dołochow.

– Jak to gdzie? Odsyłam za pokwitowaniem! – zarumieniwszy się nagle, wykrzyknął Denisow. – I śmiało powiem, że nie mam na sumieniu ani jednego człowieka. Czyż ci trudniej odesłać trzydziestu czy trzystu ludzi pod konwojem do miasta niż płamić – po prostu rzeknę – honor żołnierski?

– Widzisz, młodziutkiemu szesnastoletniemu hrabiątku pasowałyby tego rodzaju grzeczne słówka – z chłodnym uśmiechem powiedział Dołochow – ty jednak powinienes dać już temu spokój.

– Cóż, ja nic nie mówię, ja tylko mówię, że bezwarunkowo pojedę z panem – nieśmiało mówił Pietia.

– A my, bracie, powinniśmy już dać spokój tym czułościom – ciągnął dalej Dołochow, jakby doznawał szczególnej przyjemności, by mówić o tym, co rozdrażniało Denisowa. – No, po co żeś go wziął? – mówił kiwając głową.

– Dlatego że ci go żal? Przecież znamy te twoje pokwitowania. Poślesz stu ludzi, a przyjdzie trzydziestu. Poumierają z głodu albo ich wybiją. Czyż nie wszystko jedno nie brać ich wcale?

Esauł, mrużąc jasne oczy, potakująco kiwał głową.

– To wszystko jedno, nie ma tu co rozumować. Ja na swe sumienie brać tego nie chcę. Ty mówisz: poumierają. No, dobrze. Byle tylko nie przeze mnie.

– Dołochow roześmiał się. Któż im broni złapać mnie dwadzieścia razy? A przecież jeżeli złapią mnie i ciebie z twą rycerskością jednakowo na gałąź! – Zamilkł. – Jednak trzeba swoje robić. Posłać mego Kozaka z jukami! Mam dwa francuskie mundury. Cóż, jedziemy razem? – spytał Pietię.

– Ja? Tak, tak, bezwarunkowo – wykrzyknął Pietia, zaczerwieniwszy się prawie do łez, i popatrzył na Denisowa.

Gdy Dołochow dyskutował z Denisowem o tym, co należy robić z jeńcami, Pietia znowu poczuł w sobie jakowąś niezręczną skwapliwość, ale znowu nie zdążył zrozumieć dobrze tego, o czym mówili. „Jeżeli tak myślą dorośli, znamienici, to znaczy, że tak trzeba, to znaczy, że to jest dobre – myślał. – A najważniejsze, żeby Denisow nie śmiał mniemać, że go usłucham, że może mną komenderować.

– Bezwarunkowo pojedę z Dołochowem do francuskiego obozu. On może, to i ja mogę”.

Na wszelkie przekonywania Denisowa, żeby nie jechać, Pietia odpowiadał, że on również przywykł wszystko robić dokładnie, a nie na łapu-capu, i że on o własnym bezpieczeństwie nigdy nie myśli.

– Bo – pan się zgodzi – jeżeli się nie wie na pewno, ilu tam... od tego zależy życie może setek ludzi, a tu tylko my. A poza tym bardzo tego pragnę i bezwarunkowo, bezwarunkowo pojedę; pan mnie już nie zatrzyma – mówił – gorzej tylko będzie...

IX

Przyodziawszy francuskie płaszczki i kiwiory, Pietia z Dołochowem pojechali na ten dukt, z którego Denisow patrzył na obóz, i wyjechawszy z lasu w zupełnej ciemności, spuścili się do wąwozu. Zjechawszy na dół Dołochow kazał towarzyszącym mu Kozakom czekać i pojechał dobrym kłusem drogą do mostu. Pietia, zamierając ze wzruszenia, jechał obok niego.

– Jeżeli wpadniemy, nie poddam się żywy – mam pistolet – wyszeptał Pietia.

– Nie mów po rosyjsku – szybkim szeptem odpowiedział Dołochow i w tym momencie z ciemności doleciał okrzyk: „*Qui vive?*”³⁶¹, i szczęk karabinu.

Krew uderzyła Pieti do głowy, chwycił za pistolet

– *Lanciers de 6-me*³⁶² – odpowiedział Dołochow nie zwalniając i nie przyspieszając jazdy. Czarna postać wartownika stała na moście.

– *Mot d'ordre?*³⁶³ – Dołochow wstrzymał konia i jechał stępą.

– *Dites donc, le colonel Gerard est id?*³⁶⁴ – zapytał.

– *Mot d'ordre!* – nie odpowiadając rzekł wartownik zagradzając drogę.

– *Quand un officier fait sa ronde, les sentinelles ne demanndent pas le mot d'ordre!...* – krzyknął Dołochow z nagłym wzburzeniem, najeżdżając koniem na wartownika. – *Je vous demande si le colonel est id?*³⁶⁵ – i nie czekając na odpowiedź wartownika, który mu zszedł z drogi, pojechał stępą w górę.

Zauważywszy czarny cień człowieka przechodzącego przez drogę, Dołochow zatrzymał go i zapytał, gdzie jest dowódca i oficerowie. Człowiek ten z workiem na ramieniu, żołnierz, przystanął, podszedł blisko do konia Dołochowa, dotykając go ręką, i prosto, przyjaźnie odpowiedział, że dowódca i oficerowie są wyżej, na górze, z prawej strony, na podwórzu fermy (tak nazwał dwór szlachecki).

Przejechawszy drogę, po której obu stronach przy rozpalonych ogniskach rozbrzmiewała francuska mowa, Dołochow skręcił na podwórze dworu. Wjechawszy w bramę zsiadł z konia i podszedł do wielkiego płonącego ogniska, wkoło którego, głośno rozmawiając, siedziało kilka osób. W kociołku na skraju ogniska coś się gotowało, a żołnierz w kołpaku i niebieskim płaszczu, jasno oświetlony płomieniem, klęcząc mieszał stemplem w kociołku.

– *Oh, c'est un dur a cuire*³⁶⁶ – powiedział jeden z oficerów siedzących w cieniu po przeciwnej stronie ogniska.

³⁶¹ Kto idzie?

³⁶² Ułani 6 pułku.

³⁶³ Hasło?

³⁶⁴ Powiedźcie, czy pułkownik Gerard jest tutaj?

³⁶⁵ Gdy oficer objeżdża strażę, wartownicy nie pytają o hasło!... Pytam, czy tu jest pułkownik?

³⁶⁶ Ech, tej podeszwy nie ugotujesz.

– *Il les fera marcher les lapins...*³⁶⁷. – ze śmiechem powiedział drugi.

Obaj zamilkli, wpatrując się w ciemności, na odgłos kroków Dołochowa i Pieti, którzy zbliżali się do ogniska ze swymi końmi.

– *Bonjour, messieurs!*³⁶⁸ – głośno, dobitnie powiedział Dołochow.

Oficerowie poruszyli się w cieniu ogniska, a jeden z nich, wysoki, z długą szyją, obszedłszy ognisko podszedł do Dołochowa.

– *C'est vous Clement?* – powiedział. – *D'ou diable.*³⁶⁹ – ale nie skończył, poznawszy swą omyłkę, i zachmurzywszy się lekko, przywitał się z Dołochowem jak z obcym, zapytując, czym mu może służyć. Dołochow powiedział, że wraz z towarzyszem usiłuje dopędzić swój pułk, i zapytał zwracając się do wszystkich w ogóle, czy oficerowie nie wiedzą czegoś o 6 pułku. Nikt nic nie wiedział, a Pieti wydawało się, że oficerowie wrogo i podejrzliwie zaczęli się przyglądać jemu i Dołochowowi. Jakiś czas wszyscy milczeli.

– *Si vous comptez sur la soupe du soir, vous venez trop tard*³⁷⁰ – powiedział ktoś zza ogniska, wstrzymując śmiech.

Dołochow odpowiedział, że są syci i że muszą nocą jechać dalej.

Oddał konie żołnierzowi mieszającemu w kociołku i przykucnął przy ognisku, obok oficera z długą szyją. Oficer nie spuszczał z Dołochowa oczu i zapytał jeszcze raz, z którego jest pułku. Dołochow nie odpowiadał, jakby nie słyszał pytania, i zapalając króciutką francuską fajkę, którą wyciągnął z kieszeni, zapytał oficerów, czy droga przed nimi jest bezpieczna od Kozaków.

– *Les brigands sont partout*³⁷¹ – odpowiedział oficer zza ogniska.

Dołochow zauważył, że Kozacy są niebezpieczni tylko dla takich opóźnionych jak on z towarzyszem, ale na duże oddziały prawdopodobnie nie mają odwagi napadać, dodał pytająco. Nikt nic nie odpowiedział.

„No, teraz już odjedzie” – co chwila myślał Pietia stojąc przy ognisku i słuchając jego rozmowy.

Ale Dołochow na nowo rozpoczął przerwana rozmowę i zaczął po prostu wypytywać, ilu mają ludzi w batalionie, ile jest batalionów, ilu jeńców. Pytając o jeńców rosyjskich, których prowadził oddział, Dołochow powiedział:

– *La vilaine affaire de trainer ces cadavres apres soi. Vaudrait mieux fusiller cette canaille*³⁷² – i roześmiał się głośno takim dziwnym śmiechem, że Pieti wydawało się, iż Francuzi zaraz poznają podstęp, i mimowolnie cofnął się o krok od ogniska. Nikt nie odpowiedział na słowa i śmiech Dołochowa, a francuski oficer, którego nie było widać (leżał okręciwszy się płaszczem), podniósł się i szepnął coś towarzyszowi. Dołochow wstał i wezwał żołnierza z końmi.

„Podadzą czy nie podadzą?” – myślał Pietia, mimo woli zbliżając się do Dołochowa.

– Konie podano.

– *Bonjour, messieurs*³⁷³ – powiedział Dołochow. Pietia chciał powiedzieć: „Bonsoir”, i nie mógł wymówić słowa. Oficerowie coś szeptem mówili między sobą. Dołochow długo wsiał na konia, który nie mógł ustać; potem wolno wyjechał z bramy. Pietia jechał obok niego, chcąc, a nie mając odwagi, obejrzeć się, czy gonią ich Francuzi

³⁶⁷ On i z piasku bicz ukreści...

³⁶⁸ Witajcie, panowie!

³⁶⁹ Czy to pan, Clement?... Skąd diabli...

³⁷⁰ Jeżeli liczycie na kolację, toście się spóźnili.

³⁷¹ Ci zbóje są wszędzie.

³⁷² Paskudna rzecz ciągnąć za sobą te trupy. Lepiej by rozstrzelać to draństwo.

³⁷³ Żegnajcie, panowie.

Wyjechawszy na drogę Dołochow nie zawrócił na pole, lecz ruszył przez wieś. W pewnym punkcie zatrzymał się nasłuchując.

– *Słyszysz?* – powiedział.

Pietia poznał dźwięk rosyjskich głosów i ujrzał przy ogniskach ciemne postacie rosyjskich jeńców. Zjechawszy w dół do mostu Pietia i Dołochow minęli wartownika, który nie powiedziawszy ani słowa chodził zasępiony po moście, i wjechali w wąwóz, gdzie czekali Kozacy.

– No, teraz żegnaj. Powiedz Denisowowi, że o świtaniu, po pierwszym strzale – powiedział Dołochow i chciał odjechać, ale Pietia schwycił go ręką.

– Nie! – krzyknął – z pana taki bohater! Ach, jak pięknie! Jak wspaniale! Jak ja pana kocham.

– Dobrze, dobrze – powiedział Dołochow. Ale Pietia go nie puścił i w ciemnościach Dołochow dojrzał, że Pietia pochyła się ku niemu. Chciał go pocałować. Dołochow pocałował go, roześmiał się i zawróciwszy konia znikł w ciemności.

X

Wróciwszy do wartowni Pietia zastał w sieni Denisowa, który oczekiwał go wzburzony, zaniepokojony i zły na siebie, że go puścił.

– Bogu dzięki! – krzyknął. – No, Bogu dzięki! – powtórzył słuchając entuzjastycznego opowiadania Pieti. – Niech cię diabli, nie spałem przez ciebie! – rzekł Denisow. – No, Bogu dzięki, teraz kładź się spać. Zdrzemniemy się jeszcze do rana.

– Tak... nie... – mówił Pietia. – Nie chce mi się jeszcze spać. A i znam siebie: jeżeli zasnę, to już skończone. A zresztą, przywykłem już nie spać przed bitwą.

Pietia posiedział jakiś czas w izbie, radośnie wspominając szczegóły swej wycieczki i przedstawiając sobie żywo to, co będzie jutro. Potem zauważywszy, że Denisow zasnął, wstał i wyszedł na dwór.

Na dworze było jeszcze zupełnie ciemno. Deszczyk przeszedł, ale z drzew spadały jeszcze krople. W pobliżu budy leśnej widać było czarne zarysy kozackich szałasów i powiązanych ze sobą koni. Za chatką czerniały dwa wozy, przy których stały konie, a w wąwozie czerwienilo się dogasające ognisko. Nie wszyscy Kozacy i huzarzy spali: tu i ówdzie było słychać, razem z dźwiękami spadających kropel i niedalekim odgłosem końskiego żucia, ciche, jakby szepczące głosy.

Pietia wyszedł z sieni, rozejrzał się w ciemności i podszedł do wozów. Pod wozami ktoś chrapał, a wkoło nich stały osiodłane konie, żując owies. Pietia poznał w ciemnościach swego konia, którego nazywał Karabach, choć był to koń małoruski, i podszedł do niego.

– No, Karabach, jutro się postaramy – powiedział wachając jego nozdrza i całując go.

– Co, panie, nie śpicie? – odezwał się Kozak siedzący pod wozem.

– Nie. A... zdaje się, nazywasz się Lichaczow? Przecież tylko co przyjechałem. Jeździliśmy do Francuzów.

I Pietia opowiedział Kozakowi szczegółowo nie tylko o swej wyprawie, ale i o tym, dlaczego pojechał i dlaczego uważa, że lepiej zaryzykować swe życie niż działać bez zastanowienia.

– Cóż, przespaliłyście się, panie – rzekł Kozak.

– Nie, przyzwyczailem się – odpowiedział Pietia.

– A jak tam, nie otłukły się wam krzemienie w pistoletach? Przywiozłem ze sobą. Nie trzeba? Weź sobie.

Kozak wysunął się spod wozu, żeby z bliska zobaczyć Pietię.

– Dlatego, że przyzwyczailem się wszystko robić dokładnie – mówił Pietia. – Inni to byle jak, nie przygotowują się, a później żałują. Ja tak nie lubię.

– To prawda – rzekł Kozak.

– I jeszcze coś: bądź łaskaw, mój drogi, naostrz mi szablę; stępi... (ale Pietia bał się skłamać) nigdy nie była naostrzona. Możesz to zrobić?

– Dlaczego nie? Można.

Lichaczow podniósł się, pogrzebał w tłumokach i Pietia wkrótce usłyszał wojowniczy dźwięk stali i oselki. Wszedł na wóz i siadł na jego brzegu. Kozak ostrzył szablę pod wozem.

– No, cóż, śpią zuchy? – rzekł Pietia.

– Jeden śpi, a drugi tak sobie.

– No, a jak chłopak?

– Ten Wiesenny? Tam w sieni się ułożył. Ze strachu śpi. Ale się ucieszył.

Długo potem Pietia milczał wsłuchując się w różne odgłosy. W ciemności rozległy się kroki i ukazała się czarna postać.

– Co ostrzysz? – pytał człowiek podchodząc do wozu.

– Ano panu naostrzę szablę.

Ważna robota – powiedział człowiek, który wydał się Pieti huzarem. – U was tu może został kubek?

A tam, przy kole. Huzar wziął kubek.

– Zdaje się, zaraz będzie świtać – powiedział ziewając i gdzieś odszedł.

Pietia powinien był wiedzieć, że jest w lesie, w oddziale Denisowa, o wiorstę od drogi; że siedzi na wozie zdobytym na Francuzach, do którego przywiązano konie; że pod nim siedzi Kozak Lichaczow i ostrzy mu szablę; że duża czarna plama na prawo – to wartownia, a czerwona, jasna w dole, na lewo – to dogasające ognisko; że człowiek, który przyszedł po kubek, to huzar, któremu chciało się pić; ale on nic nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Był w zaczarowanym królestwie, gdzie nic nie przypominało rzeczywistości. Duża czarna plama może rzeczywiście była budą leśną, a może – tylko jaskinią prowadzącą w głąb ziemi. Czerwona plama może to ognisko, a może – oko olbrzymiego potwora. Może on rzeczywiście siedzi teraz na wozie, ale bardzo możliwe, że nie na wozie, lecz na baszcie ogromnie wysokiej, z której – gdyby się spadło – to trzeba by lecieć na ziemię cały dzień, cały miesiąc – wciąż lecieć i nigdy nie dolecieć. Może pod wozem siedzi zwyczajny Kozak Lichaczow, ale bardzo też być może, że to najlepszy, najwaleczniejszy, najcudowniejszy, najwspanialszy człowiek na świecie, którego nikt nie zna. Może to rzeczywiście szedł tędy huzar po wodę i poszedł do wąwozu, a może dopiero co znikł z widoku zupełnie znikł, i wcale go nie było.

Cokolwiek by zobaczył teraz Pietia, nic by go nie zdziwiło. Przebywał w zaczarowanym królestwie, w którym wszystko było możliwe.

Popatrzył na niebo. I niebo też było podobnie zaczarowane jak ziemia. Niebo się rozjaśniło, nad koronami drzew szybko płynęły obłoki, jakby odsłaniając gwiazdy. Czasem zdawało się, że niebo podnosi się wysoko, wysoko nad głową, czasem – opuszczało się zupełnie, tak że ręką można je było dosięgnąć.

Pietia zaczął przymykać oczy i kiwać się.

Spadały krople. Słychać było cichy gwar. Konie zarżały i gryzły się. Ktoś chrapał.

„Ozyg, zyg, ozyg, zyg...” – piszczała ostrzona szabla. I nagle Pietia usłyszał zgraną orkiestrę, wykonującą jakiś nieznaną, uroczyście słodki hymn. Pietia był muzykalny, podobnie jak Natasza i bardziej niż Mikołaj, ale nigdy nie uczył się muzyki, nie myślał o muzyce i dlatego motywy przychodzące mu nieoczekiwanie do głowy były szczególnie dla niego nowe i pociągające. Orkiestra grała coraz głośniejsze. Melodia rozrastała się przechodząc z jednego instrumentu na drugi. Powstawało to, co się nazywa fugą, chociaż Pietia nie miał najmniejszego pojęcia, co to jest fuga. Każdy instrument, bądź podobny do skrzypiec, bądź do trąbki każdy instrument grał swój motyw i nie skończywszy, zlewał się z drugim, rozpoczynającym prawie to samo, i z trzecim, i z czwartym, i wszystkie tony zlewały się w jedno, i znowu się rozpraszały, znowu zlewały, to w uroczyście cerkiewne, to w jasno błyszczące i zwycięskie.

„Ach, przecież to sen – kiwnąwszy się naprzód, powiedział sobie Pietia. – To w uszach mi

gra? A może – to moja muzyka? No, znowu. Różnij, moja kapelo! No!...”

Zamknął oczy. I z różnych stron, jakby z daleka, leciały dźwięki, zaczęły się harmonizować, rozbiegać, zlewać się i znowu się wszystko sprzęgło w ten sam słodki, uroczysty hymn. „Ach, to cudo, coś takiego! Ile chcę i jak chcę” – powiedział sobie Pietia. Spróbował kierować tym ogromnym zespołem instrumentów.

„No ciszej, ciszej, teraz zamierajcie. – I dźwięki były mu posłuszne. –No, teraz pełniej, weselej. Jeszcze, jeszcze radośniej. – Iz nieznannej głębi wydobywały się, potężniejąc, uroczyste dźwięki. – No, głosy, dołączajcie się!” – rozkazał Pietia. I z początku z daleka rozległy się głosy męskie, potem kobiece. Głosy rosły, wzmagaly się w równomiernym uroczystym wysiłku. Pietia z lękiem i radością wsłuchiwał się w ich niezwykłą piękność.

Z uroczystym zwycięskim marszem zlewała się pieśń i kapały krople, i „wzyg, zyg, zyg...” gwizdała szabla, i znowu zarzały i gryzły się konie, nie naruszając harmonii chóru, lecz łącząc się z nią.

Pietia nie wiedział, jak to długo trwało: zachwycał się, przez cały czas dziwił się swemu zachwytowi i żałował, że nie ma się z kim nim podzielić. Rozbudził go przyjazny głos Lichaczowa.

Gotowe, wielmożny panie, na pół Chrancuza rozsieczecie.

Pietia się ocknął.

– Już świta, naprawdę świta! – wykrzyknął. Niewidoczne przedtem konie widać już było do ogonów i poprzez obnażone gałązki przebijała się wodnista jasność. Pietia otrząsnął się, zeskoczył z wozu, wyjął z kieszeni rubla i dał Lichaczowowi, machnąwszy szablą wypróbował ją i włożył do pochwy. Kozacy odwiązywali konie i podciągali popręgi.

– Jest i dowódca – powiedział Lichaczow. Z budy leśnej wyszedł Denisow i wezwawszy Pierię kazał mu się przygotować.

XI

Szybko w półmroku odwiązali konie, podciągnęli popręgi i ustawili się plutonami. Denisow stał przed wartownią wydając ostatnie rozkazy. Piechota oddziału, człapiąc setką nóg, poszła naprzód drogą i szybko znikła między drzewami we mgle przedświt. Esauł coś nakazywał Kozakom. Pietia trzymał swego konia za uzdę i czekał z niecierpliwością na rozkaz wsiadania. Obmyta zimną wodą twarz jego, a zwłaszcza oczy płonęły, dreszcz przebiegał mu po plecach, a w całym ciele coś szybko i równomiernie drżało.

– No, wszyscyście gotowi? – rzekł Denisow. – Dawajcie konie.

Konie podano. Denisow rozgniewał się na Kozaka za to, że popręgi są słabe, i zwymyślawszy go, dosiadł konia. Pietia ujął strzemień. Koń z przyzwyczajenia chciał złapać go zębami za nogę, lecz Pietia, nie odczuwając swej wagi, szybko wskoczył na siodło i oglądając się na ruszających z tyłu w ciemnościach huzarów, podjechał do Denisowa. Wasiliu Fiodorowiczu, czy otrzymam jakieś zlecenie? Bądź pan łaskaw... na Boga... – powiedział. Denisow jak gdyby zapomniał był o istnieniu Pieti. Spojrzał na niego.

– O jedno cię proszę – powiedział surowo – słuchać mnie i nie pchać się nigdzie.

Przez cały czas przejazdu Denisow ani słowa więcej nie zamienił z Pietią i jechał w milczeniu. Gdy wyjechali na skraj lasu, na polu rozjaśniło się już wyraźnie. Denisow pomówił o czymś szeptem z esaułem i Kozacy zaczęli przejeżdżać koło Pieti i Denisowa. Gdy wszyscy przejechali, Denisow spiął konia i pojechał w dół. Przysiadając na zadach i ześlizgując się, konie schodziły ze swymi jeźdźcami do wąwozu. Pietią jechał obok Denisowa. Dreszcze w całym jego ciele wciąż się wzmagaly. Stawało się coraz jaśniej, tylko mgła zasłaniała oddalone przedmioty. Zjechawszy na dół i obejrzawszy się, Denisow skinął głową Kozakowi stojącemu w pobliżu niego.

– Sygnał! – powiedział.

Kozak podniósł rękę, huknął strzał. I natychmiast rozległ się tupot pędzących naprzód koni, krzyki z różnych stron i dalsze strzały.

W tym momencie, gdy rozległ się pierwszy odgłos tupotu i krzyk, Pietią uderzył swego konia i puściwszy mu cugle, nie słuchając Denisowa, który krzyczał na niego, popędził naprzód. Pieti zdawało się, jakby w chwili gdy padł strzał, nagle, jak w środku dnia, jasno się rozświetliło. Przygalopował do mostu. Przed nim drogą pędzili Kozacy. Na moście zderzył się z Kozakiem, który pozostał w tyle, i galopował dalej. Na przedzie jacyś ludzie – prawdopodobnie Francuzi – przebiegali z prawej strony na lewą. Jeden z nich upadł w błoto pod nogi konia Pieti.

Koło jednej chaty stłoczyli się Kozacy, coś tam czyniąc. Ze środka tłumu rozległ się straszliwy krzyk. Pietią podjechał do tego tłumu i pierwsze, co zobaczył, to bladą, z trzęsącą się dolną szczęką twarz Francuza, chwytającego za drzewce piki skierowanej w niego.

– Hura!... Chłopcy... nasi... – krzyczał Pietią i popuściwszy cugli rozgorączkowanemu koniowi, popędził naprzód ulicą.

Na przedzie słyhać było strzały. Kozacy i huzarzy, i oberwani jeńcy rosyjscy, biegnący po obu stronach drogi, wszyscy krzyczeli coś głośno i niewyraźnie. Zuchowaty, bez czapki, z czerwoną chmurną twarzą Francuz w niebieskim płaszczu odpierał bagnetem huzarów. Gdy Pietią podjechała Francuz już upadł. „Znowu się spóźniłem” – błysnęło w głowie Pieti i pocwałował tam, skąd słyhać było gęste strzały. Strzelano na podwórzu tego dworu, gdzie był wczoraj w nocy z Dołochowem. Francuzi usadowili się za płotem, w gęstym, zarośniętym krzakami sadzie, i strzelali do Kozaków skupionych przy bramie. Podjeżdżając do bramy Pietią w dymie prochowym zobaczył Dołochowa z bladą, aż zielonkawą twarzą, krzyczącego coś do żołnierzy. „Objeżdżać! Czekać na piechotę!” – krzyczał w chwili, gdy Pietią do niego podjeżdżał.

– Czekać?... Huraaa!... – krzyknął Pietią i nie zwlekając ani chwili popędził ku miejscu, skąd rozlegały się strzały i gdzie dym był gęściejszy. Huknęła salwa, zagwizdały pusto kule i w coś plusnęły. Kozacy i Dołochow wjeżdżali śladem Pieti w bramę dworu. W falującym, gęstym dymie jedni Francuzi rzucali broń i wybiegali z krzaków ku Kozakom, inni uciekali z góry do stawu. Pietią pędził na swym koniu przez podwórze, lecz zamiast trzymać cugle, dziwnie i szybko machał obiema rękami i coraz bardziej zsuwał się z siodła na jedną stronę. Koń, wpadłszy w tłące się w porannym świetle ognisko, nagle osadził się i Pietią zwałił się ciężko na mokrą ziemię. Kozacy widzieli, jak zaczął trzepać rękami i nogami, mimo że głowa się nie poruszała. Kula mu ją przebiła. Pomówiwszy ze starszym francuskim oficerem, który wyszedł do niego spoza domu z chusteczką na szpadzie i oświadczył, że się poddają, Dołochow zsiadł z konia i podszedł do Pieti leżącego nieruchomo z rozłożonymi rękami.

– Gotów – powiedział zachmurzywszy się i wszedł w bramę, naprzeciw jadącemu Denisowowi.

– Zabity!?! – krzyknął Denisow zobaczywszy już z daleka to znane mu, niewątpliwie śmiertelne położenie ciała Pieti.

– Gotów – powtórzył Dołochow, jakby mu sprawiało przyjemność wymawianie tego słowa, i szybko poszedł ku jeńcom, których otoczyli Kozacy.

– Brać nie będziemy! – krzyknął do Denisowa.

Denisow nie odpowiedział, podjechał do Pieti, zsiadł z konia i drżącymi rękami zwrócił ku sobie pokryte krwią i błotem, już pobladłe oblicze Pieti.

„Przywykłem do czegoś słodkiego. Doskonałe rodzynki, bierzcie wszystkie” – przypomniał sobie. I Kozacy ze zdziwieniem obejrzeni się na dźwięki przypominające szczekanie psa. Denisow szybko się odwrócił, podszedł do płotu i uchwycił się go.

W liczbie rosyjskich jeńców odbitych przez Denisowa i Dołochowa był Pierre Bezuchow.

XII

Względem tej partii jeńców, w której był Pierre, w czasie całej drogi od Moskwy dowództwo francuskie nie wydało żadnego zarządzenia. Partia ta 22 października nie była już z tymi wojskami i taborami, z którymi wyszła z Moskwy. Połowę taboru z prowiantem, posuwającego się z nimi w pierwszych etapach, zagarnęli Kozacy, druga połowa pojechała naprzód: ze spieszonych kawalerzystów, którzy szli na przedzie, nie było już ani jednego: wszyscy zniknęli. Zamiast artylerii, która początkowo ciągnęła na przedzie, szły teraz ogromne tabory marszałka Junota, konwojowane przez Westfalczyków. Za jeńcami szedł tabor z bagażami kawalerii.

Od Wiązmy wojska francuskie, idące poprzednio trzema kolumnami, szły zbitą masą. Te objawy dezorganizacji, które Pierre zauważył na pierwszym postoju za Moskwą, doszły teraz do najwyższego stopnia.

Droga, którą szli, z obu stron zarzucona była trupami koni; oberwani żołnierze różnych oddziałów, pozostających na tyłach, zmieniając nieustannie miejsca w marszu to łączyli się z kolumną, to znowu pozostawali za nią.

Kilka razy w czasie marszu wszczął się fałszywy alarm i żołnierze konwojowi chwyтали za karabiny, strzelali i uciekali, gdzie oczy poniosą, tratując jedni drugich, ale potem skupiali się znowu i wymyślali sobie wzajemnie za niepotrzebną trwogę.

Te trzy skupiska idące razem – tabor kawaleryjski, jeńcy i tabor Junota – wciąż jeszcze stanowiły jakąś wydzieloną całość, chociaż i jedno, i drugie, i trzecie szybko topniało.

W taborze, w którym było z początku sto dwadzieścia wozów, pozostało teraz nie więcej niż sześćdziesiąt; resztę utracono lub porzucono. Z taboru Junota również porzucono lub utracono kilka wozów. Trzy wozy zagrabili żołnierze z korpusu Davouta, wlokący się na tyłach. Z rozmów Niemców Pierre dowiedział się, że tabor ten miał więcej konwojentów niż jeńcy i że jednego z ich towarzyszy, żołnierza Niemca, rozstrzelano na rozkaz samego marszałka za to, że znaleziono przy nim srebrną łyżkę należącą do marszałka.

Najbardziej jednak z tych trzech skupisk stopniał transport jeńców. Z trzystu trzydziestu ludzi, którzy wyszli z Moskwy, pozostało teraz niecałe sto. Jeńcy jeszcze bardziej niż siodła kawaleryjskiego taboru i niż tabor Junota obciążali konwojujących żołnierzy. Rozumieli, że siodła i łyżki Junota mogą się na coś przydać, ale po co mieli głodni i zziębnięci żołnierze stać na warcie i pilnować podobnie głodnych i zziębniętych Rosjan, którzy marli i nie nadawali w marszu i do których kazano strzelać – było to nie tylko niezrozumiałe, ale i przykre. I konwojenci, jakby bojąc się, że w tym żalosnym położeniu, w jakim sami pozostawali, poddadzą się tkwiącemu w nich współczuciu do jeńców i tym pogorszą swój stan, traktowali ich szczególnie nieprzyjaźnie i surowo.

W Drohobużu, gdy konwojenci, zamknąwszy jeńców w stajni, poszli rabować własne magazyny, kilku jeńców żołnierzy podkopało się pod ścianę i uciekło, ale Francuzi pochwycili ich i rozstrzelali.

Wprowadzony poprzednio przy wyjściu z Moskwy porządek, żeby jeńcy-oficerowie szli osobno, już dawno przestał obowiązywać; wszyscy, którzy mogli iść, szli razem i Pierre po trzecim etapie pochodu znowu połączył się z Karatajewem i liliowym krzywonogim psem, który obrał sobie Karatajewa na swego pana.

W trzecim dniu po wyjściu z Moskwy chwyciła Karatajewa zimnica, z której leczył się w moskiewskim szpitalu, i w miarę jak słabł, Pierre'a coś oddalało od niego. Pierre nie wiedział dlaczego, ale od czasu gdy Karatajew zaczął tracić siły, musiał zadawać sobie przymus, żeby pójść do niego. A podchodząc i słysząc te ciche jęki, z jakimi Karatajew zwykle kładł się na postojach, i czując coraz mocniejszy teraz zapach, który wydzielał Karatajew, Pierre odchodził od niego jak najdalej i nie myślał o nim.

W niewoli, w baraku, Pierre pojął nie rozumem, lecz całą swą istotą, swoim życiem, że człowiek stworzony jest do szczęścia, że szczęście tkwi w nim, w zaspokojeniu zwykłych ludzkich potrzeb, i że nieszczęście pochodzi nie z braku, lecz z nadmiaru; ale teraz, podczas ostatnich trzech tygodni marszu, pojął jeszcze jedną nową, pocieszającą prawdę – poznał, że na świecie nie ma nic strasznego. Zrozumiał, że podobnie jak nie ma na świecie położenia, w którym by człowiek był szczęśliwy i zupełnie wolny, nie ma też i stanu, w którym by był całkowicie nieszczęśliwy i pozbawiony wolności. Zrozumiał, że jest granica cierpień i granica wolności i że granica ta jest bardzo bliska; że człowiek cierpiący z tego powodu, iż w jego pościeli z płatków róż zwinął się listek, cierpi tak samo, jak cierpiał teraz on zasypiając na gołej, mokrej ziemi i ziębnać z jednej strony, a ogrzewając drugą; że kiedy czasem wkładał swe wąskie balowe pantofle, cierpiał tak samo jak teraz, gdy szedł już zupełnie bosi (obuwie jego dawno już się rozleciało), z pokaleczonymi stopami. Zrozumiał, że kiedy z własnej, jak mu się zdawało, woli ożenił się ze swą żoną, nie był bardziej wolny niż teraz, gdy go zamykano na noc w stajni. Z tego wszystkiego, co później sam nazywał cierpieniem, ale czego wtedy prawie nie odczuwał, najważniejsze były nogi bose, poobcierane, pokryte strupami. (Końskie mięso było smaczne i pożywne, saletrzany osad prochu, używany zamiast soli, był nawet przyjemny; nie było bardzo zimno, w dzień podczas marszu zawsze było gorąco, a w nocy paliły się ogniska, wszy, gryzące go, ogrzewały mu ciało.) Jedno było ciężkie z początku – nogi.

W drugim dniu marszu, obejrzawszy przy ognisku swe rany, Pierre sądził, że nie będzie mógł zrobić kroku, ale gdy wszyscy się podnieśli, poszedł i on kulejąc, a potem, gdy się rozgrzał – szedł bez bólu, chociaż ku wieczorowi jeszcze boleśniej było patrzeć na nogi. Ale nie patrzył na nie i myślał o czym innym.

Dopiero teraz Pierre zrozumiał całą żywotność człowieka i zbawczą siłę odwracania uwagi, którą człowiek posiada na podobieństwo kłapy bezpieczeństwa w maszynach parowych, przez które ulatnia się zbyteczna para, gdy tylko jej ciśnienie przewyższa zwykłą normę.

Nie widział i nie słyszał, jak strzelano do jeńców, którzy nie nadążali, chociaż więcej niż stu zginęło w ten sposób. Nie myślał o Karatajewie, który słabł nieustannie i widać niedługo już powinien był ulec podobnemu losowi. Jeszcze mniej myślał Pierre o sobie. Im trudniejsze stawało się jego położenie, im cięższa przyszłość, tym bardziej niezależnie od tego położenia, w którym się znajdował, nawiedzały go radosne i uspokajające myśli, wspomnienia i obrazy.

XIII

Dwudziestego drugiego w południe Pierre szedł pod górę błotnistą, śliską drogą, patrząc na swe nogi i na nierówności gruntu. Od czasu do czasu spoglądał na znajomy otaczający go tłum i znowu na swe nogi. I jedno, i drugie było jednakowo swojskie i znane. Liliowy krzywonogi Szarek radośnie biegł skrajem drogi, z rzadka, w dowód sprawności i zadowolenia, podkurczając tylną łapę i skacząc na trzech, a potem znowu na wszystkich czterech i rzucając się ze szczekaniem na wrony siedzące na padlinie. Szarek był weselszy i gładszy niż w Moskwie. Wszędzie leżało mięso różnych stworzeń – od ludzkiego do końskiego – w różnym stopniu rozkładu, a że wilków nie dopuszczali idący ludzie, Szarek mógł najadać się do woli.

Od rana padał deszczyk i wydawało się, że jeszcze chwila, a przejdzie i niebo się rozjaśni, a tymczasem po krótkiej przerwie zaczął kropić mocniej. Droga, przesycona deszczem, nie pochłaniała więcej wody i koleinami ciekły strumyki.

Pierre szedł spoglądając na wszystkie strony, a licząc kroki, po każdym trzech zaginał palec u ręki. Zwracając się do deszczu dogadywał w myśli: „No, ruszaj, no, jeszcze, jeszcze lepiej”.

Wydawało mu się, że o niczym nie myśli, ale gdzieś daleko i głęboko o czymś ważnym i pocieszającym myślała jego dusza. To coś było najdelikatniejszym wnioskiem duszy z wczorajszej rozmowy z Karatajewem.

Wczoraj na noclegu, zziębnięwszy przy zagasłym ognisku, Pierre wstał i podszedł do najbliższego, lepiej palącego się ognia. Przy ognisku, do którego podszedł, siedział Platon, okryty całkowicie z głową płaszczem, niby ryżą, i opowiadał żołnierzom swym dobrym, przyjemnym, lecz słabym, chorowitym głosem znaną Pierre'owi historię. Było już po północy. Była to pora, kiedy Karatajew ożywiał się zwykle pod wpływem gorączki i był szczególnie podniecony. Podszedłszy do ogniska, usłyszawszy słaby, chorowity głos Platona i zobaczywszy jego mizerną twarz, oświetloną jasno ogniem, Pierre uczył, że coś przykro ukłuło go w serce. Przestraszył się swej litości dla tego człowieka i chciał odejść, ale innego ogniska nie było, i Pierre starając się nie patrzeć na Platona usiadł przy ogniu.

– Co, jak tam zdrowie? – zapytał.

– Cóż zdrowie? Skarż się na chorobę – Pan Bóg śmierci nie da – odpowiedział Karatajew i natychmiast wrócił do rozpoczętego opowiadania.

– ...I oto widzisz, bracie – ciągnął Platon z uśmiechem na wychudzonej, bladej twarzy i ze szczególnym, radosnym blaskiem w oczach – otóż widzisz, bracie kochany...

Pierre znał tę historię od dawna, Karatajew ze sześć razy mu ją opowiadał i zawsze z osobliwym radosnym uczuciem.

Ale choć tak dobrze znał tę historię, przysłuchiwał się jej teraz jak czemuś nowemu, a cichy entuzjazm, jaki, opowiadając, widocznie odczuwał Karatajew, udzielił się i Pierreowi. Była to opowieść o starym kupcu, przywoicie i bogobośnie żyjącym z rodziną, który pojechał pewnego razu z towarzyszem, bogatym kupcem, na makariewski jarmark.

Zatrzymawszy się w zajeździe obaj kupcy zasnęli, a nazajutrz towarzysza kupca znaleziono zamordowanego i ograbionego. Okrwawiony nóż znalazł się pod poduszką starego kupca. Kupca oddano pod sąd, ukarano chłostą i po wyrwaniu mu nozdrzy – „jak wypada po porządku” – mówił

– Karatajew – zesłano na katorgę.

– I widzisz, bracie kochany (Pierre trafił na to miejsce opowiadania), minęło od tego czasu dziesięć років, a może więcej. Żyje sobie dziadek na katordze, jak się należy, pokornie, nic złego nie robi. Tylko Pana Boga o śmierć prosi. Dobrze... I zeszli się kiedyś nocną porą te katorzniki, tak nie przymierzając jak my z tobą; i dziadek z nimi. I zaczęli mówić, kto za co cierpi, czym Pana Boga obraził. Zaczęli opowiadać: ten zabił człowieka, ten – dwóch, ten podpalił, ten uciekł, tak, nie wiadomo za co. Zaczęli dziadka pytać:

„Ty, dziadku, za co tu cierpisz?” – „Ja, bracia mili, mówi, za swoje i za ludzkie grzechy cierpię. Ja anim nie zabił, anim cudzego nie wziął, tyle żem biedną brać opatrywał. Ja, bracia moi mili, kupiec; i bogaty byłem”. Tak i tak, mówi. I opowiedział im, znaczy się, po porządku, jak prawda wygląda. „Ja, powiada, o siebie się nie trapię. Mnie, znaczy się. Pan Bóg nawiedził. Jenó, mówi, żal mi starej i dzieci”. I dziadek zapłakał. A tu między nimi akurat ten człowiek jest, znaczy się, co kupca zabił. „Gdzie to, mówi, dziadku, było? Kiedy, w jakim miesiącu?” O wszystko wypytał. Serce go zabolalo. Podchodzi takim prawem do dziadka – i rymnął mu do nóg. „Za mnie, ty, mówi, dziadku, giniesz. Sprawiedliwa prawda; niewinnie i na próżno, mówi, braciszku, człowiek się ten męczy. Ja, mówi, ten uczynek zrobiłem i nożam ci, śpiącemu, pod głowę podłożył. Wybacz mi, mówi, dziadku, na rany Pana Jezusa”.

Karatajew zamilkł, uśmiechając się radośnie, patrząc na ogień, i poprawił polana.

A dziadek mówi: „Pan Bóg ci, powiada, wybaczy, a my wszyscy, mówi, grzeszni jesteśmy przed Bogiem. Ja cierpię za swoje grzechy” – i sam zalał się gorącymi łzami. Cóż myślisz, sokoliku – coraz jaśniej promieniejąc radosnym uśmiechem mówił Karatajew, jakby w tym, co miał teraz powiedzieć, kryło się największe piękno i całe znaczenie opowiadania – coż myślisz, sokoliku: stawiał się ten zabójca sam przed naczelnikiem. „Ja, powiada, sześć dusz zgubiłem (wielkim zbrodniarzem byłem), ale nikogo mi nie żal tak, jak tego staruszka. Niechże na mnie nie płacze”. Przyznał się: spisali, posłali papiery, jak się należy. Miejsce dalekie, póki sąd i sprawa, póki spisali wszystkie papiery, jak należy, według urzędów, znaczy się. Do cesarza dochodziło. Póki co, przyszedł rozkaz cesarza: wypuścić kupca, dać mu nagrody, ile tam przysądzili. Przyszedł papier, zaczęli staruszka szukać: „Gdzie taki staruszek niewinnie, na próżno cierpiał? Od cesarza papier przyszedł!” Zaczęli szukać. – Dolna szczęka Karatajewa drgnęła. – A jemu już Pan Bóg wybaczył – umarł. Tak to, sokoliku – zakończył Karatajew i długo, milcząc i uśmiechając się, patrzył przed siebie.

Nie samo opowiadanie, lecz tajemniczy jego sens, pełna zachwyty radość, którą promieniowała twarz Karatajewa podczas opowiadania, tajemnicze znaczenie tej radości – to właśnie przepełniało teraz duszę Pierre'a smutkiem i radością.

XIV

– *A vos places*³⁷⁴ – rozległ się nagle czyjś głos.

Wśród jeńców i konwojentów powstało radosne zamieszanie i oczekiwanie czegoś dobrego i uroczystego. Ze wszystkich stron słyhać było okrzyki i komendy, a z lewej, objeżdżając kłusem jeńców, ukazali się kawalerzyści, dobrze odziani i na dobrych koniach. Na wszystkich twarzach widać było wyraz napięcia, który się widuje u ludzi przy zbliżaniu się wyższych władz. Jeńcy stłoczyli się, odepchnięto ich z drogi, konwojenci stanęli w szyku.

– *L'Empereur! L'Empereur! Le marechal! Le duc!*³⁷⁵,

I zaledwie przejechała dobrze odżywiona eskorta, gdy zagrzmiała kareta z cugiem siwych koni. Pierre na mgnienie zobaczył spokojne, piękne, pełne, białe oblicze człowieka w trójgraniastym kapeluszu. Był to jeden z marszałków. Wzrok marszałka przyciągnęła tęga, barczysta postać Pierrea i w wyrazie twarzy, z jakim marszałek zachmurzył się i odwrócił głowę, Pierre dostrzegł, jak mu się zdawało, współczucie i chęć, by je ukryć.

Generał, który prowadził tabor, z czerwoną wystraszoną twarzą, poganiając swego chudego konia, pędził za kareta. Zeszło się kilku oficerów, okrążyli ich żołnierze. Wszyscy mieli zaniepokojone z napięcia twarze.

– *Qu'est-ce qu'il a dit? Qu'est-ce qu'il a dit?*³⁷⁶ – słyszał Pierre.

W czasie przejazdu marszałka jeńcy ścisnęli się i Pierre zobaczył Karatajewa, którego nie widział jeszcze dzisiejszego ranka. Karatajew siedział w swym szyneliku opierając się o brzozę. W twarzy jego, prócz wyrazu wczorajszego radosnego wzruszenia przy opowiadaniu o cierpieniach niewinnego kupca, jaśniał jeszcze wyraz spokojnego triumfu.

Karatajew patrzył na Pierre'a swymi dobrymi, okrągłymi oczami, przymglonymi teraz łzą, i widocznie wzywał go, by mu coś powiedzieć. Ale Pierre zbyt się bał o siebie. Zachował się tak, jakby nie widział jego spojrzenia, i pośpiesznie odszedł.

Gdy jeńcy znowu ruszyli, Pierre spojrzął za siebie. Karatajew siedział na brzegu drogi przy brzozie, a dwaj Francuzi coś nad nim mówili. Pierre nie obejrzał się więcej. Szedł, kulejąc, pod górę.

Z tyłu, z miejsca, gdzie siedział Karatajew, dobiegł strzał. Pierre słyszał wyraźnie ten strzał, ale w tej chwili, gdy go usłyszał, przypomniał sobie, że nie skończył rozpoczętego przed przejazdem marszałka wyliczenia, ile dni marszu było jeszcze do Smoleńska. Zaczął liczyć. Dwaj francuscy żołnierze, z których jeden trzymał w ręku dymiący karabin, przebiegli koło Pierre'a. Obaj byli bladzi i w wyrazie ich twarzy – jeden z nich nieśmiało spojrzął na Pierre'a – było coś podobnego do tego, co widział u młodego żołnierza podczas egzekucji. Pierre spojrzął na żołnierza i przypomniał sobie, jak przed trzema dniami, susząc przy ognisku koszulę, żołnierz

³⁷⁴ Na miejsca.

³⁷⁵ Cesarz! Cesarz! Marszałek! Książę!

³⁷⁶ Co on powiedział? Co on powiedział?

ten spalił ją sobie i jak śmiano się z niego.

Pies zawył z tyłu, w miejscu, gdzie siedział Karatajew.

„Co za głupek, dlaczego on wyje?” – pomyślał Pierre.

Żołnierze-kamraci, idący obok Pierre'a, nie oglądali się, podobnie jak on, na miejsce, skąd rozległ się strzał, a potem wycie psa; ale na wszystkich twarzach widniał wyraz surowości.

XV

Wozy i jeńcy, i tabor marszałka zatrzymały się we wsi Szamszewie. Wszyscy skupili się przy ogniskach. Pierre podszedł do jednego z nich, zjadł pieczonego końskiego mięsa, ułożył się plecami do ognia i natychmiast zasnął. Spał znowu tak, jak spał w Możajsku po Borodynie.

Znowu wypadki rzeczywiste zlewały się ze snami i znowu ktoś – czy on sam, czy ktoś inny – podpowiadał mu myśli, nawet te same myśli, które nasuwały mu się w Możajsku.

„Życie jest wszystkim. Życie jest Bogiem. Wszystko się zmienia, porusza i ten ruch jest Bogiem. I póki istnieje życie, istnieje rozkosz uświadamiania sobie bóstwa. Kochać życie to kochać Boga. Rzecz najtrudniejsza i najszcześniejsza to kochać życie we własnych cierpieniach, cierpieniach bez winy”.

„Karatajew!” – wspomniał Pierre.

I nagle stanął przed Pierre'em jak żywy, dawno już zapomniany, skromny starszy nauczyciel, który uczył Pierre w Szwajcarii geografii. „Poczekaj” – powiedział starszy i pokazał Pierre'owi globus. Globus ten był żywą, poruszającą się kulą, bez wymiarów. Cała powierzchnia kuli składała się z kropeł ściśle spojonych ze sobą. I wszystkie te krople poruszały się i przesuwwały z miejsca na miejsce, to zlewając się po kilka w jedną, to dzieląc się z jednej na wiele. Każda kropla dążyła do rozlania się, do objęcia jak największej przestrzeni, ale inne, dążąc do tego samego, naciskały na nią, czasem niszczyły, czasem zlewały się z nią.

– Oto życie – powiedział starszy nauczyciel. „Jakie to proste i zrozumiałe – pomyślał Pierre. – Jakże mogłem nie wiedzieć o tym wcześniej?”

W środku jest Bóg, a każda kropla chce się rozszerzyć, by Go odzwierciedlić w jak największych rozmiarach. I rośnie, i zlewa się z inną, i ciśnie, i znika z powierzchni wchodząc w głąb, i znowu wypływa. Oto Karatajew; rozlał się i znikł. *Vous omez compris, mon enfant?* – powiedział nauczyciel.

– *Vous avez compris, sacre nom!*³⁷⁷ – rozległo się i Pierre się przebudził.

Podniósł się i usiadł. Przy ognisku siedział w kucki Francuz, który przed chwilą odepchnął rosyjskiego żołnierza, i piekł mięso nadziane na stempel. Żyłaste, z podwiniętymi rękawami, obrośnięte włosami, czerwone ręce o krótkich palcach sprawnie obracały stempel. Brązowa, posepna twarz z nastroszonymi brwiami widniała jasno w świetle żaru.

– *Ca lui est bien egal* – warknął zwracając się szybko do żołnierza, za nim stojącego – *...brigand, Va!*³⁷⁸

I żołnierz, obracając stempel, ponuro spojrział na Pierrea. Pierre odwrócił się i wpatrywał w cienie. Jeden z rosyjskich żołnierzy, jeniec, ten, którego odepchnął Francuz, siedział przy ognisku i poklepywał coś ręką. Przypatrzawszy się bliżej Pierre poznał liliowego pieska, który,

³⁷⁷ Zrozumiałeś, moje dziecko?

³⁷⁸ Jemu wszystko jedno... bandyta! Naprawdę!

machając ogonem, siedział obok żołnierza.

– A, przyszedłeś? – rzekł Pierre. – A Pla... – zaczął i nie domówił. W jego wyobraźni nagle, jednocześnie, wiążąc się ze sobą, powstało wspomnienie oczu Platona, którymi patrzył na niego siedząc pod drzewem, huku strzału, tego miejsca, wycia psa, zbrodniczych twarzy dwóch Francuzów, którzy przebiegli koło niego, dymiącego, zdjętego z ramienia karabinu, nieobecności Karatajewa na tym postoju – i gotów był już zrozumieć, że Karatajew jest zabity; ale w tym momencie w duszy jego Bóg wie skąd wstało wspomnienie wieczoru spędzonego z piękną Polką latem na balkonie kijowskiego domu. I mimo to, nie powiązawszy wspomnień dnia dzisiejszego i nie wyciągnąwszy z nich wniosku, Pierre zamknął oczy i obraz letniej przygody zmieszał się ze wspomnieniem o kąpieli, o płynnej, kołyszącej się kuli – i opadł gdzieś w wodę, i woda zamknęła się nad jego głową.

Przed wschodem słońca obudziły go donośne, gęste strzały i krzyki. Koło Pierre'a przebiegli Francuzi.

– *Les Cosaques!*³⁷⁹ – krzyknął jeden z nich i po chwili otoczył Pierre'a tłum Rosjan.

Długo Pierre nie mógł zrozumieć, co się z nim działo. Ze wszystkich stron słyszał okrzyki radości towarzyszy.

– Bracia! Kochani moi! Serdeńka! – z płaczem i krzykiem starzy żołnierze obejmowali Kozaków i huzarów. Huzarzy i Kozacy otaczali jeńców i z pośpiechem proponowali ten ubranie, ów buty, inny chleb. Pierre szlochał siedząc wśród nich i nie mógł wymówić słowa, płacząc objął i całował pierwszego żołnierza, który do niego podszedł.

Dołochow stał w bramie zrujnowanego domu, przepuszczając koło siebie rozbrojonych Francuzów. Francuzi, wzburzeni wszystkim, co się stało, głośno ze sobą rozmawiali; ale gdy przechodzili obok Dołochowa, który lekko uderzał nahajką po butach i patrzył na nich swym chłodnym, szklanym, nic dobrego nie rokującym wzrokiem, rozmowy milkły. Z drugiej strony stał Kozak Dołochowa i liczył jeńców, znacząc setki kredową kreską na bramie.

– Druga setka – odpowiedział Kozak.

– *Filez, filez* – powtarzał Dołochow, nauczywszy się tego wyrażenia od Francuzów, i gdy spotykał się ze spojrzeniem przechodzących jeńców, oczy jego nabierały blasku okrucieństwa.

Denisow z posępną twarzą, zdjawszy papachę, szedł za Kozakami niosącymi do wykopanego w ogrodzie dołu ciało Pieti Rostowa.

³⁷⁹ Kozacy!

XVI

Od 28 października, kiedy rozpoczęły się mrozy, ucieczka Francuzów nabrała tylko bardziej tragicznego charakteru: żołnierze zamarzali lub smażyli się na śmierć przy ogniskach, a cesarz, królowie i książęta jechali w futrach, kolasach, ze zrabowanymi skarbami; ale w swej istocie proces ucieczki i rozkładu armii francuskiej od chwili opuszczenia Moskwy w niczym się nie zmienił.

Od Moskwy do Wiaźmy z siedemdziesięciotrytyściennej armii francuskiej, nie licząc gwardii (która w ciągu całej wojny nic nie robiła poza grabieżą), z siedemdziesięciu trzech tysięcy pozostało trzydzieści sześć tysięcy (z tej liczby nie więcej niż pięć tysięcy zabrały bitwy). Oto pierwszy człon progresji, który z matematyczną ścisłością określa następne.

Armia francuska topniała i niszczała w tej samej proporcji w drodze z Moskwy do Wiaźmy, z Wiaźmy do Smoleńska, ze Smoleńska do Berezyny, od Berezyny do Wilna, niezależnie od większego czy mniejszego zimna, napadów, odcięcia drogi i wszystkich innych warunków wziętych osobno. Za Wiaźmą wojska francuskie zamiast iść trzema kolumnami stłoczyły się w jedną masę i tak szły aż do końca. Berthier pisał o tym swemu cesarzowi (wiadomo, jak oddalają się od prawdy dowódcy, gdy pozwalają sobie opisywać położenie armii). Pisał:

Je crois devoir faire connaitre d Votre Majeste l'etat de ses troupes dans les differents corps d'armee que j'ai ete a meme d'observer depuis deux ou trois jours dans differents passages. Elles sont presque debandees. Le nombre de soldats qui suvent les drapeaux est en proportion du quart au plus dans presque tous les regiments, les autres marchent isolement dans differentes directions et pour leur compte, dans l'esperance de trouver des subsistances et pour se debarrasser de la discipline. En general ils regardent Smoleńsk comme le point ou ils dowent se refaire. Ces derniers jours on a remarque que beaucoup de soldats jettent leurs cartouches et leurs armes. Dans cet etat de choses, l'interet du service de Votre Majeste exige, quelles que soient ses vues ulterieures qu'on railie l'armee a Smoleńsk en commençant a la debarrasser des non-combattants, tels que hommes demontes et des bagages inutilises et du materiel de l'artillerie qui n'est plus en proportion avec les forces actuelles. En outre les jours de repos, des subsistances sont necessaires aux soldats qui sont extenués par la faim et la fatigue; beaucoup sont morts ces derniers jours sur la route et dans les bivacs. Cet etat de choses va toujours en augmentant et donnę lieu a craindre que si Von n'y prete un prompt remede on ne soit plus meatre des troupes dans un combat. Le 9 Novembre, a 30 verstes de Smoleńsk³⁸⁰

³⁸⁰ We wszystkich niemal pułkach co najwyżej czwarta część żołnierzy idzie za sztandarami, reszta rozchodzi się pojedynczo w różnych kierunkach według własnego widzimisię, w nadziei znalezienia żywności i aby uwolnić się od dyscypliny. Smoleńsk uważają na ogół za miejsce, gdzie powinni wrócić do sił. W ostatnich dniach dało się zauważyć, że wielu żołnierzy rzucało naboje i broń. W tym stanie rzeczy interes służby Waszej Cesarskiej Mości wymaga, aby niezależnie od dalszych Jego planów, scalić od nowa armię w Smoleńsku, przystępując do uwolnienia

Uważam za swój obowiązek zaznajomić Waszą Cesarską Mość ze stanem Jego wojsk w różnych korpusach, które miałem okazję obserwować w ostatnich dwu, trzech dniach w rozmaitych punktach. Panuje w nich zupełnie prawie rozprężenie.

Zwaliwszy się do Smoleńska, który zdawał im się ziemią obiecaną, Francuzi zabijali się wzajemnie, walcząc o prowiant, rabowali własne magazyny i gdy wszystko zostało rozgrabione, szybko ruszyli dalej.

Wszyscy szli, sami nie wiedząc dokąd i po co idą. Jeszcze mniej niż inni wiedział o tym geniusz Napoleona, gdyż nikt mu nie rozkazywał. W każdym razie on i jego otoczenie zachowali swe dawne nawyki: pisano rozkazy, listy, raporty, ordre du jour, zwracano się do siebie wzajemnie: „Sire, Mon Cousin, Prince d'Eckmuhl, roi de Naples”³⁸¹ itd. Ale rozkazy i raporty pozostawały tylko na papierze, nie wykonywano ich dlatego, że nie można ich było wykonywać, i chociaż tytułowano się wzajemnie najjaśniejszymi, wysokościami i kuzynami, wszyscy czuli się ludźmi nędznymi, bezecnymi, którzy spowodowali wiele zła, za które trzeba było teraz odpowiadać. I mimo że udawali, iż troszczą się o armię, każdy myślał tylko o sobie i o tym, jakby jak najprędzej uciec i uratować się.

jej od ludzi nie nadających się do walki jak spieszeni kawalerzyści, od zbyt ciężkich bagaży i amunicji artyleryjskiej, której ilość pozostaje w dysproporcji do obecnych sił. Prócz odpoczynku trzeba żołnierzom koniecznie żywności, gdyż są wycieńczeni głodem i zmęczeniem; wielu z nich zmarło w ostatnich dniach w drodze i na popasach. Ten stan rzeczy idzie wciąż ku gorszemu i budzi obawy, że jeżeli szybko nie zastosuje się środków zaradczych, nie będziemy panować nad wojskiem w razie bitwy. 9 listopada, trzydzieści wiorst od Smoleńska.

³⁸¹ Rozkaz dzienny... Najjaśniejszy panie, kuzynie, księżę d'Eckmuhl, królu neapolitański.

XVII

Działania rosyjskich i francuskich wojsk w czasie kampanii odwrotowej od Moskwy do Niemna upodobniają się do gry w ślepią babkę, gdy dwojgu bawiącym się zawiązują oczy i jeden z nich od czasu do czasu dzwoni dzwoneczkiem, żeby dać znać o sobie temu, kto go łapie. Z początku ten, kogo łapia, dzwoni nie bojąc się nieprzyjaciela, ale gdy zaczyna być w opałach, stara się po cichu uciec przed przeciwnikiem, lecz często, chcąc uciec, wpada prosto w jego ręce.

Z początku wojska napoleońskie dawały jeszcze o sobie znać – było to w pierwszym okresie ich marszu traktem kałuskim, ale później, gdy się wydostały na drogę smoleńską, uchodziły przytrzymując ręką serce dzwoneczka i często, myśląc, że uciekają, wpadały prosto na Rosjan.

Wobec szybkości Francuzów i ścigających ich Rosjan i wskutek wyczerpania koni – nie stosowano głównego środka zdobywania wiadomości o przypuszczalnym położeniu nieprzyjaciela – patroli kawalerii. Prócz tego, wskutek częstych i szybkich zmian położenia obu armii, zdobyte wiadomości nie mogły dojść na czas. Jeżeli jednego dnia nadchodziła wieść o tym, że armia nieprzyjacielska była wczoraj tam i tam, to nazajutrz, kiedy można było coś przedsięwziąć, armia ta przesunęła się już o dwa przemarsze i znajdowała się zupełnie gdzie indziej.

Jedna armia uciekała, druga – goniła. Od Smoleńska Francuzi mieli do wyboru wiele różnych dróg; i wydawałoby się, że stojąc tu cztery dni mieli możliwość dowiedzieć się, gdzie jest nieprzyjaciel, wymyślić coś pożytecznego i przedsięwziąć coś nowego. Jednak po czterech dniach odpoczynku tłumy ich znów pobiegły nie w prawo i nie w lewo, lecz bez żadnego manewru i namysłu starą, najgorszą drogą na Krasne i Orszę, po wydeptanych śladach.

Spodziewając się wroga z tyłu, nie z przodu, Francuzi uciekali rozciągnięci i przedzieleni między sobą na dystans dwudziestu czterech godzin. Na czele wszystkich uciekał cesarz, potem królowie, potem książęta. Myśląc, że Napoleon ruszy w prawo za Dniepr, co było jedynie rozumne, armia rosyjska skierowała się również w prawo i wyszła na trakt ku Krasnemu. I tutaj, jak w grze w ślepią babkę, Francuzi natknęli się na naszą awangardę. Zobaczywszy nieoczekiwanie wroga Francuzi, zmieszani, przystanęli z nagłego przestachu, ale później znowu popędzili, opuszczając swych towarzyszy idących za nimi. Tutaj, w ciągu trzech dni, jak chłostany żołnierz przez szyk, trzy armie francuskie szły między szeregami rosyjskich wojsk jedna za drugą; najpierw armia wicekróla, później Davouta, później Ney. Wszyscy opuścili się nawzajem, porzucili wszystkie swe bagaże, artylerię, połowę ludzi i uciekali, tylko nocami obchodząc Rosjan półkołem z prawej strony.

Ney, który szedł ostatni, gdyż (mimo ciężkiego położenia albo raczej wskutek tego położenia) chciał ukarać podłogę, na której nabili sobie guza, zaczął wysadzać nie przeszkadzające nikomu mury Smoleńska – Ney, jako ostatni ze swym dziesięcioletnim korpusem, dotarł do Orszy, do Napoleona, zaledwie z tysiącem żołnierzy, porzuciwszy na drodze i wszystkich ludzi, i wszystkie armaty, przekradając się chyłkiem przez Dniepr nocą, lasami.

Z Orszy uciekali dalej drogą do Wilna, bawiąc się podobnie w ślepią babkę ze ścigającą armią. Nad Berezyną znowu powstało zamieszanie, wielu utonęło, wielu się poddało, ale ci, co przeprawili się przez rzekę, uciekali dalej. Ich zwierzchnik włożył futro, wsiadł do sani i popędził sam, opuszczając swych towarzyszy. Kto mógł – pojechał również, kto nie mógł – poddawał się albo umierał.

XVIII

Zdawałoby się, że w tej kampanii ucieczki, gdy Francuzi robili wszystko, co tylko można, by siebie zgubić, gdy w każdym poruszeniu tego tłumu, poczynając od zawrócenia na drogę kałuską aż do ucieczki dowódcy, nie było żadnego sensu – zdawałoby się, że w tym okresie kampanii nie mogli już historycy, przypisujący działanie mas woli jednego człowieka, przedstawiać tego odwrotu we właściwy sobie sposób. Ale nie! Historycy napisali stopy książek o tej kampanii i wszędzie opisano rozkazy Napoleona, jego głęboko obmyślane plany, jego manewry, kierujące ruchem wojsk, i genialne zarządzenia jego marszałków.

Odwrót spod Małojarosławca wtedy, gdy przed Napoleonem stała otworem droga do kraju obfitującego w żywność i druga równoległa, którą następnie nacierał Kutuzow, niepotrzebne cofanie się drogą spustoszoną wyjaśniają nam, twierdząc, iż Napoleon miał po temu ważne powody. Równie ważnymi powodami uzasadnia się odwrót Napoleona spod Smoleńska w kierunku Orszy. Potem przedstawia się bohaterstwo Napoleona pod Krasnem, gdzie jakoby gotował się do przyjęcia bitwy, w której miał sam dowodzić, a gdzie chodził z brzoźową laską i mówił:

– *J'ai assez fait l'Empereur, U est temps de faire le general*³⁸² – i mimo to zaraz potem uciekał dalej, zostawiając własnemu losowi armię idącą za nim w rozsypce.

Potem opisują nam wielkoduszność marszałków, zwłaszcza Ney'a – wielkoduszność polegającą na tym, że nocą przedostał się, obchodząc lasami, za Dniepr i bez sztandarów, artylerii i dziewięciu dziesiątych wojska stanął w Orszy.

I w końcu ostatni odjazd wielkiego cesarza, porzucającego bohaterską armię, przedstawiają nam historycy, jako coś wielkiego i genialnego. Nawet ten ostatni postępek, ucieczka, nazywany w mowie ludzkiej najwyższym stopniem podłości, którego wstydzicie uczy się każde dziecko – nawet ten postępek historycy usprawiedliwiają.

Wtedy gdy już nie można bardziej rozciągnąć tak elastycznych nici historycznych rozważań, gdy działanie jawnie już przeczy temu, co cała ludzkość uważa za dobre, a nawet sprawiedliwe, historycy wysuwają zbawcze pojęcie wielkości. Wielkość jakoby wyłącza możliwość oceny dobra i zła. Dla wielkości nie ma zła. Nie ma okropności, którą by można obciążyć tego, kto wielki.

„C'est grand!”³⁸³ – mówią historycy i wtedy nie ma już ani dobra, ani zła, lecz jest „grand” albo „nie-grand”. Grand – dobrze, nie-grand – źle. Grand, według ich pojęć, to cecha jakichś wyjątkowych istot, które nazywają bohaterami. Więc i Napoleon uciekając w ciepłej szubie do domu od ginących nie tylko towarzyszy, ale (w jego mniemaniu) ludzi, których tu przyprowadził, czuje que c'est grand i jest spokojny.

„Du sublime (widzi on coś sublime w sobie) au ridicule il n'y a qu'un pas” – mówi. I cały

³⁸² Dość już byłem cesarzem, nadszedł czas być generałem.

³⁸³ To wielkie!

świat pięćdziesiąt lat powtarza: „*Sublime! Grand! Napoleon le Grand! Du sublime au ridicule U n'y a qu'un pas!*”³⁸⁴”

I nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że uznanie wielkości, niewymiernej miarą dobra i zła, jest tylko uznaniem własnej nikczemności i niezmierzonej niskości.

Dla nas, którym Chrystus dał miarę dobra i zła, nie ma zjawisk niewymiernych. I nie ma wielkości tam, gdzie nie ma prostoty, dobra i prawdy.

³⁸⁴ Od wzniosłości do śmieszności tylko krok... Wzniosłość! Wielkość! Napoleon Wielki! Od wielkości do śmieszności tylko krok.

XIX

Kto z Rosjan, czytając opisy ostatniego okresu kampanii 1812 roku, nie doświadczał przykrego uczucia gniewu, niezadowolenia i niejasności? Kto nie zadawał sobie pytania: dlaczego nie wzięto do niewoli i nie unicestwiono wszystkich Francuzów, gdy okrążyły ich wszystkie trzy armie, liczebnie większe, kiedy zdezorganizowani Francuzi, głodni i przemarznięci, poddawali się tłumnie i gdy (jak nam mówi historia) celem Rosjan było zatrzymać, odciąć i wziąć do niewoli wszystkich Francuzów?

Dlaczego to wojsko rosyjskie, które, słabsze liczebnie od Francuzów, wydało bitwę pod Borodinem, dlaczego to wojsko, okrążające Francuzów z trzech stron, aby ich wziąć do niewoli, nie osiągnęło swego celu? Czyżby tak wielką przewagę nad nami mieli Francuzi, że okrążywszy ich przeważającymi siłami, nie mogliśmy ich pobić? Jak się to mogło stać?

Historia (ta, którą się nazywa tym słowem) odpowiadając na te pytania, mówi, że stało się to dlatego, iż Kutuzow i Tormasow, i Czyczagow, i tamten, i ów nie wykonali takich a takich manewrów.

Ale dlaczego nie dokonali tych wszystkich manewrów? Dlaczego, jeżeli z ich winy nie osiągnięto zamierzonego celu, nie oddano ich pod sąd i nie stracono? Ale jeżeli nawet przyjąć, że winę za niepowodzenie Rosjan ponosi Kutuzow i Czyczagow itp., to i tak nie można zrozumieć, dlaczego i w tych warunkach, w jakich znajdowały się wojska rosyjskie pod Krasnem i nad Berezyną (w obu wypadkach Rosjanie mieli przewagę sił), nie wzięto do niewoli francuskiego wojska z marszałkami, królami i cesarzem, jeżeli to było celem Rosjan?

Tłumaczenie tego dziwnego zjawiska (jak to czynią rosyjscy historycy wojen) tym, że Kutuzow przeszkodził natarciu, nie ma podstaw, dlatego że wiemy, iż wola Kutuzowa nie mogła wstrzymać wojsk od ataku pod Wiaźmą i pod Tarutinem.

Dlaczego to rosyjskie wojsko, które, będąc słabsze, zwyciężyło pod Borodinem w bitwie z nieprzyjacielem będącym w pełni sił, teraz pod Krasnem i nad Berezyną, mając przewagę, zostało zwyciężone przez zdezorganizowane tłumy Francuzów?

Jeżeli celem Rosjan było odcięcie i wzięcie do niewoli Napoleona i marszałków, a celu tego nie tylko nie osiągnięto, ale nawet wszystkie próby osiągnięcia go ciągle były unicestwiane w sposób najbardziej zawstydzający, to Francuzi zupełnie słusznie uważają, iż ostatni okres kampanii był szeregiem ich zwycięstw, a historycy rosyjscy zupełnie niesłusznie uważają go za zwycięski.

Rosyjscy historycy wojen o tyle, o ile obowiązuje ich logika, mimo woli dochodzą do takiego wniosku i nie zważając na liryczne wylewy o męstwie, poświęceniu itd., powinni z konieczności przyznać, że odwrót Francuzów z Moskwy jest szeregiem zwycięstw Napoleona, a porażek Kutuzowa.

Ale pozostawiając zupełnie na boku narodowe ambicje, wyczuwa się, że wywód taki zawiera w sobie sprzeczność, gdyż szereg zwycięstw Francuzów przywiódł ich do zupełnego

zniszczenia, a szereg porażek Rosjan doprowadził do zupełnego zniszczenia wroga i oczyszczenia swojej ojczyzny od niego.

Źródłem tej sprzeczności jest to, że historycy, badający wydarzenia według listów cesarzy i generałów, według relacji, raportów, planów itp., założyli błędny, nigdy nie istniejący cel ostatniego okresu wojny 1812 roku – cel polegający jakoby na tym, by odciąć i schwytać Napoleona z marszałkami i armią.

Cel taki nigdy nie istniał i nie mógł istnieć, dlatego że nie miał sensu i wcale nie można go było urzeczywistnić.

Cel ten nie miał żadnego sensu po pierwsze dlatego, że rozbita armia Napoleona uciekała z Rosji, jak mogła najszybciej, tj. robiła właśnie to, czego mógł sobie życzyć każdy Rosjanin. Po cóż było dokonywać różnych operacji przeciw Francuzom, którzy uchodzili tak szybko, jak mogli?

Po drugie, było bezmyślnością stawać na drodze ludziom, którzy całą swą energię zużywali na ucieczkę.

Po trzecie bezmyślnością było tracić swe wojska na niszczenie armii francuskich, które niszczały same, bez zewnętrznych przyczyn, z taką szybkością, że bez wszelkiego zagradzania drogi nie mogły przejść przez granicę w większej liczbie, niż to zrobiły w grudniu, tj. w jednej setnej całego wojska.

Po czwarte, bezmyślnością było pragnienie, by wziąć do niewoli cesarza, królów, książąt – ludzi, których niewola przeszkadzałaby w najwyższym stopniu działaniu Rosjan, jak to stwierdzili najbardziej wytrawni dyplomaci tego czasu (J. de Maistre³⁸⁵ i inni). Jeszcze bardziej bezmyślna była chęć zagarniania całych korpusów francuskich, gdy własne wojska stopniały do połowy przed Krasnem, a dla konwojowania korpusu jeńców należałoby wydzielić dywizję, gdy własni żołnierze nie zawsze otrzymywali pełne zaprowiantowanie, a wzięci już jeńcy umierali z głodu.

Cały głęboko przemyślany plan, żeby odciąć i wziąć do niewoli Napoleona z armią, przypominał plan ogrodnika, który wypędzając z ogrodu bydło, deptające mu grządki, podbiegłby ku wrotom i zaczął bić zwierzęta po łbach. To tylko można by powiedzieć na usprawiedliwienie ogrodnika, że się bardzo rozgniewał, lecz nie można by tego nawet powiedzieć o twórcach projektu, gdyż nie oni byli poszkodowani wskutek zniszczenia grządek.

Ale prócz tego, że odcięcie Napoleona i armii było bezmyślnością, było ono też niemożliwe.

Niemożliwe było to po pierwsze dlatego, że – jak z doświadczenia widać – ruch kolumn na przestrzeni pięciu wiorst w jakiejś bitwie nigdy nie zgadza się z planami, więc prawdopodobieństwo, że Czyczagow, Kutuzow, Wittgenstein zejdą się w oznaczonym miejscu i czasie, było tak znikome, że równało się niemożliwości. Tak też myślał Kutuzow, który otrzymując plan powiedział już, że dywersje na wielkich przestrzeniach nie przynoszą pożądaných rezultatów.

Po drugie, niemożliwe to było dlatego, że aby sparaliżować siłę inercji, z którą poruszało się w odwrocie wojsko Napoleona, trzeba było mieć bez porównania więcej wojska, niż mieli go Rosjanie.

Po trzecie, niemożliwe było to dlatego, że termin wojskowy „odciąć” nie ma żadnego sensu. Odciąć można kawałek chleba, ale nie armię. Odciąć armię – zagrozić jej drogę – tego zrobić nie można, gdyż wokoło zawsze jest dużo miejsc, któredy można obejść, i jest noc, podczas

³⁸⁵ Józef de Maistre (1753–1821) przebywał przez wiele lat w Petersburgu, początkowo jako ambasador króla Wiktora Emanuela (1802). Był przeciwnikiem zarówno rewolucji francuskiej, jak i Napoleona. Wybitny pisarz, teoretyk ultramontaizmu.

której nic nie widać, o czym mogliby się przekonać uczeni wojskowi choćby z przykładu w Krasnem lub nad Berezyną. A wziąć do niewoli również nie można, jeżeli ten, kogo biorą, nie zgodzi się na to, jak nie można złapać jaskółki, chociaż można ją ująć, gdy siądzie na ręce. Można wziąć do niewoli tego, kto się poddaje, jak Niemcy, według reguły strategii i taktyki. Ale nie dogadzało to, zupełnie słusznie, wojskom francuskim, gdyż jednaka śmierć z głodu i zimna oczekiwała je zarówno podczas ucieczki, jak i w niewoli.

Po czwarte, i to jest najważniejsze, było to niemożliwe dlatego, że nigdy jeszcze, jak świat światem, nie prowadzono wojny w tak ciężkich warunkach jak w roku 1812, a rosyjskie wojska, wyężdżając wszystkie swe siły w pościgu za Francuzami, nie mogły zrobić więcej, nie niszcząc siebie.

W marszu rosyjskiej armii z Turatina do Krasnego pięćdziesiąt tysięcy pozostało w tyle lub odpadło z powodu chorób; była to ilość równa mieszkańcom dużego gubernialnego miasta. Połowa ludzi ubyła z armii bez bitew.

I mówiąc o tym okresie kampanii, kiedy wojska bez butów i kozuchów, niedostatecznie zaprowiantowane, bez wódki, miesiącami nocują w śniegu przy piętnastu stopniach mrozu, kiedy dzień ma tylko siedem-osiem godzin, reszta to noc, która nie sprzyja dyscyplinie, kiedy, nie tak jak w bitwie, tylko na parę godzin żołnierze włączają się w krąg śmierci – gdzie już nie ma dyscypliny – lecz całe miesiące żyją z minuty na minutę, walcząc ze śmiercią z głodu i chłodu, gdy w ciągu miesiąca ginie połowa armii mówiąc o tym okresie kampanii historycy powiadają nam, że Miłoradowicz powinien był dokonać skrzydłowego marszu do takiego to punktu, Tormasow do takiego, Czyczagow powinien był przesunąć się tam a tam (przesunąć się w śniegu powyżej kolan), i jak ów rozproszył i odciął itd., itd.

Rosjanie, z których połowa wymarła, uczynili wszystko, co można i trzeba było uczynić, by osiągnąć cel godny narodu, i nie odpowiadają za to, że inni Rosjanie, siedzący w ciepłych pokojach, planowali dokonanie tego, co było niemożliwe.

Cała ta dziwna, niezrozumiała teraz sprzeczność faktu z opisami historycznymi wypływa tylko stąd, że historycy, piszący o tym wydarzeniu, pisali historie pięknych uczuć i słów różnych generałów, nie zaś dzieje wydarzeń.

Wydają się im bardzo zajmujące słowa Miłoradowicza, nagrody, które otrzymał ten i ów generał, i ich przypuszczenia, a sprawa owych pięćdziesięciu tysięcy, które pozostały w szpitalach i mogiłach, całkiem ich nie interesuje, gdyż nie to jest przedmiotem ich badań.

A tymczasem wystarczy zaniechać badania raportów, generalnych planów i wnikać w poruszenia tych setek tysięcy ludzi biorących prosty, bezpośredni udział w wydarzeniu i wszystkie zagadnienia, które wydawały się przedtem nie do rozwiązania, zostają rozwiązane z miejsca niezwykle prosto i łatwo.

Cel odcięcia Napoleona i jego armii istniał chyba tylko w wyobraźni dziesięciu ludzi. Nie mógł istnieć realnie dlatego, że był bezmyślny i osiągnięcie go było niemożliwe.

Naród miał jeden cel: uwolnić swą ziemię od najazdu. Cel ten osiągało się, po pierwsze, samo przez się, gdyż Francuzi uciekali, i dlatego należało tylko nie zatrzymywać tego ruchu; po drugie, cel ten osiągało się przez wojnę narodową niszczącą Francuzów i, po trzecie, przez to, że wielka armia rosyjska szła za Francuzami, gotowa do użycia siły, gdyby Francuzi się zatrzymali.

Armia rosyjska winna była działać jak bat na uciekające zwierzę. A doświadczony poganiacz wiedział, że najdogodniej będzie trzymać bat wzniesiony i grozić nim, lecz nie uderzać uciekającego zwierzęcia po łbie.

CZEŚĆ CZWARTA

I

Gdy człowiek patrzy na umierające zwierzę, ogarnia go lęk: to, co jest nim – jego istota – w jego oczach jawnie ginie, przestaje istnieć. Ale gdy umiera człowiek, i to człowiek kochany, wtedy prócz lęku, jaki odczuwamy wobec odchodzącego życia, czujemy uraz i ranę duszy, która, podobnie jak rana fizyczna, czasem zabija, czasem goi się, ale zawsze boli i obawia się zewnętrznego podrażniającego dotknięcia.

Natasza i księżniczka Maria jednakowo odczuwały śmierć księcia Andrzeja. Przytłoczone moralnie, mrużąc oczy przed groźnym, zwisającym nad nimi obłokiem śmierci, nie śmiały spojrzeć w oblicze życia. Chroniły pieczołowicie swe odkryte rany od znieważających, bolesnych dotknięć. Wszystko: szybko jadący ulicą powóz, przypomnienie o obiedzie, pytanie dziewczyny, jakie suknie przygotować, a co najgorsze – nieszczerze słowa słabego współczucia, boleśnie podrażniało ranę, wydawało się obrażą i naruszało tę niezbędną ciszę, w której obie starały się przysłuchiwać nie milknącemu chórowi, i przeszkadzało wpatrywać się w tajemnicze, nieskończone dale, które otworzyły się przed nimi na chwilę.

Tylko gdy były razem, nie było im przykro i boleśnie. Mało z sobą mówiły. A jeżeli mówiły, to o najbardziej błahych sprawach. I jedna, i druga jednakowo unikały wzmianki o czymkolwiek, co miało związek z przyszłością.

Uznawać, że może być przyszłość, wydawało się im obrażą jego pamięci. Jeszcze ostrożniej omijały w swych rozmowach wszystko, co mogło mieć jakikolwiek związek ze zmarłym. Wydawało się im, że tego, co przeżyły i odczuły, nie można wyrazić słowami. Wydawało się im, że wszelkie wyrażenie słowami szczegółów jego życia narusza wielkość i świętość tajemnicy, która się w ich oczach dokonała.

Stałe wstrzymywanie się od rozmowy, ciągle staranne pomijanie wszystkiego, co mogło naprowadzić na wspomnienia o nim – owe zatrzymywania się w różnych miejscach na granicy tego, o czym nie można było mówić, jeszcze plastyczniej i wyraźniej uwydatniały w ich wyobraźni to, co odczuwały.

Ale całkowity, wyłączny smutek jest niemożliwy, podobnie jak całkowita, wyłączna radość. Księżniczkę Marię, ze względu na jej położenie niezależnej pani swego losu, opiekunki i wychowawczyni bratanka, pierwszą zmusiło życie do opuszczenia tego świata smutku, w jakim pozostawała od dwóch tygodni. Otrzymała listy od krewnych, na które trzeba było odpowiedzieć, pokój, w którym umieścili Nikołuszkę, był wilgotny i chłopiec zaczął kasłać, Alpatycz przyjechał do Jarosławia ze sprawozdaniem, propozycjami i radą, aby przenieść się do Moskwy, do domu na Wozdwiżence, który ocalał i wymagał tylko niewielkich napraw. Życie nie zatrzymało się i trzeba było żyć. Choć ciężko było księżniczce Marii wyjść z tego świata

odosobnionej kontemplacji, w którym żyła dotychczas, choć przykro było i jakby żenująco zostawić Nataszę samą – troski życia wymagały jej udziału, więc oddała się im z konieczności. Sprawdzała rachunki z Alpatyczem, naradzała się z Dessales'em nad wychowaniem bratanka, wydawała polecenia i czyniła przygotowania do odjazdu do Moskwy.

Natasza została sama i od chwili gdy księżniczka Maria zaczęła się zajmować przygotowaniami do odjazdu, nawet jej unikała.

Księżniczka Maria zaproponowała hrabinie, że weźmie Nataszę z sobą do Moskwy, i matka, i ojciec przyjęli tę propozycję z radością, widząc z dnia na dzień wzrastający upadek fizycznych sił córki i sądząc, że i zmiana miejsca, i pomoc moskiewskich lekarzy będą dla niej korzystne.

– Nigdzie nie pojedę – odpowiedziała Natasza, gdy jej zakomunikowano tę propozycję – tylko, bardzo proszę, dajcie mi spokój – powiedziała i wybiegła z pokoju, z wysiłkiem wstrzymując łzy nie tyle bólu, ile niezadowolenia i gniewu.

Od chwili gdy uczuła się porzucona przez księżniczkę Marię i osamotniona w swym strapieniu, przeważnie spędzała czas sama w swym pokoju, siedząc z podwiniętymi nogami w rogu kanapy, szarpiąc lub mnąc co bądź swymi długimi, cienkimi palcami i patrząc uporczywie i nieruchomo na to, na czym zatrzymał się jej wzrok. Samotność ta nużyła ją i dręczyła, ale była dla niej niezbędna. Gdy ktokolwiek tylko wchodził do jej pokoju, szybko podnosiła się zmieniając pozycję i wyraz oczu i brała książkę czy robótkę oczekując z widoczną niecierpliwością, aż ten, kto jej przeszkadza, wyjdzie z pokoju.

Wciąż się jej zdawało, że jeszcze chwila – a zrozumie i przeniknie to, na co ze strasznym ponad jej siły zapytaniem kierował się jej duchowy wzrok.

W końcu grudnia Natasza w czarnej wełnianej sukni, z niedbale związanym warkoczem, chuda i blada, siedziała z podwiniętymi nogami w rogu kanapy, gniotąc z napięciem i wygładzając końce paska, i patrzyła we framugę drzwi.

Patrzyła tam, dokąd odszedł on, na tamtą stronę życia. I tamta strona życia, o której dawniej nigdy nie myślała, która wydawała się jej przedtem tak daleka, nieprawdopodobna, teraz była bliższa, dostępniejsza i zrozumialsza niż ta strona życia, w której wszystko było albo próżnością i ruiną, albo cierpieniem i krzywdą.

Patrzyła tam, gdzie, jak wiedziała, był on; ale nie mogła go widzieć inaczej, tylko takim, jakim był tutaj. Widziała go znowu takim, jakim był w Mytiszcach, w Troicy, w Jarosławiu.

Widziała jego twarz, słyszała jego głos i powtarzała jego słowa i słowa, które do niego mówiła, a niekiedy wymyślała za siebie i za niego nowe słowa, które wtedy mogły być powiedziane.

Oto Andrzej leży w fotelu w swej aksamitnej szubce, oparłszy głowę na wychudzonej, bladej ręce. Pierś ma strasznie zapadniętą, a ramiona wzniesione. Wargi mocno zaciśnięte, oczy błyszczą, a na bladym czole zjawia się i znika zmarszczka. Jedna noga ledwo dostrzegalnie drga szybko. Natasza wie, że on walczy z dręczącym go bólem. „Co to za ból? Dlaczego ten ból? Co on odczuwa? Jak go boli?” – myśli Natasza. On spostrzegł, że go obserwuje, podniósł wzrok i nie uśmiechając się zaczął mówić.

„Jedno jest straszne – powiedział – związać się na wieki z cierpiącym człowiekiem. To wieczna męka”. I spojrział na nią badawczo. Natasza, jak zawsze, odpowiedziała wtedy prędzej, niż zdążyła pomyśleć, co odpowiada; powiedziała: „To nie może się tak ciągnąć, tak nie będzie, pan będzie zdrow – zupełnie”.

Teraz znowu widziała go i przeżywała na nowo wszystko to, co odczuwała wtedy. Przypomniała sobie jego przeciągłe, smutne, poważne spojrzenie przy tych słowach i zrozumiała znaczenie wyrzutu i rozpacz tego przeciągłego spojrzenia.

„Zgodziłam się – mówiła teraz Natasza – że byłoby straszne, gdyby został na zawsze

cierpiący. Powiedziałam to wtedy tylko dlatego, że byłoby to dla niego okropne, a on zrozumiał to inaczej. Pomyślał, że to dla mnie mogło być straszne. Chciał wtedy jeszcze żyć – bał się śmierci. A ja tak brutalnie, głupio mu odpowiedziałam. I nie myślałam tak. Myślałam zupełnie co innego. Gdybym powiedziała to, co myślałam, rzekłabym: niechby umierał, niechby wciąż umierał przy mnie, a byłabym szczęśliwa w porównaniu z tym, co mam teraz. Teraz... Nic i nikogo nie ma. Czy wiedział o tym? Nie. Nie wiedział i nigdy się nie dowie. I teraz nigdy, nigdy już nie można tego naprawić”. Znowu mówił te same słowa, ale teraz Natasza w wyobraźni odpowiadała mu inaczej. Przerывała mu i mówiła: „Straszne to dla pana, ale nie dla mnie. Pan wie, że bez pana nie ma dla mnie życia, i cierpieć z panem – to największe dla mnie szczęście”. A on chwycił jej rękę i ścisnął ją tak jak w ten straszny wieczór, na cztery dni przed śmiercią. W wyobraźni swej mówiła jeszcze inne tkliwe, miłosne zdania, które mogła była wypowiedzieć wtedy. „Kocham cię!... Ciebie... Kocham, kocham...” – mówiła ścisnąjąc kurczowo rękę i zaciskając zęby w okrutnym wysiłku.

I obejmowało ją rozkoszne cierpienie, i już do oczu napływały łzy, gdy nagle pytała siebie: do kogo to mówi? Gdzie on jest i kim on jest teraz? I znowu się wszystko pokrywało szorstkim, oschłym zdziwieniem, i znowu zmarszczywszy brwi, z natężeniem patrzyła tam, gdzie on był. I już, już zdawało się jej, że przeniknie tajemnicę... Ale w momencie gdy, zda się, otwierało się już przed nią niepojęte, boleśnie poraziło jej słuch głośnie stuknięcie kłamki. Szybko i nieostrożnie, z wyrazem przestachu w twarzy weszła do pokoju pokojówka Duniasza.

Panienka będzie łaskawa do ojczulka, prędzej – powiedziała Duniasza ze szczególnym ożywieniem i wzburzeniem. – Nieszczęście, Piotr Ilicz... list – powiedziała chlipiąc.

II

Prócz ogólnego uczucia oderwania się od wszystkich ludzi Natasza w tym czasie odczuwała szczególne uczucie oderwania się od swojej rodziny. Wszyscy swoi: ojciec, matka, Sonia, byli jej tak bliscy, tacy codzienni, tacy zwykli, że wszelkie ich zdania, uczucia wydawały się jej obrazą tego świata, w którym żyła ostatnio, i nie tylko byli jej obojętni, lecz nawet wrogo na nich patrzyła. Usłyszała słowa Duniaszy o Piotrze Iliczu, o nieszczęściu, ale ich nie zrozumiała.

„Jakie tam może ich spotkać nieszczęście, jakie może być nieszczęście? U nich wszystko swoje, stare, zwykłe i spokojne” – myślała Natasza.

Gdy weszła do salonu, ojciec szybko wychodził z pokoju hrabiny. Twarz miał zmarszczoną i mokrą od łez. Widocznie wybiegł z tego pokoju, aby pofolgować dławiącym go łkaniami. Zobaczywszy Nataszę, z rozpaczą załamał ręce i zaniósł się bolesnym, kurczowym szlochem, który wykrzywił jego okrągłą, miękką twarz.

Pie... Pietia... Idź, idź, ona... ona... wzywa... – Szlochając jak dziecko i szybko drepcąc osłabłymi nogami podszedł do krzesła i prawie upadł na nie zasłaniając twarz rękoma.

Nagle jakby prąd elektryczny wstrząsnął całą istotą Nataszy. Coś niewymownie bolesnego uderzyło w jej serce. Poczła wielki ból, wydawało się jej, że coś odrywa się w niej i że umiera. Ale jednocześnie poczuła, że uwalnia się od niechęci do życia, którą była opanowana. Zobaczywszy ojca i słysząc spoza drzwi straszny, przeraźliwy krzyk matki, momentalnie zapomniała o sobie i o swym cierpieniu. Podbiegła do ojca, ale on, machając bezsilnie ręką, wskazywał drzwi do pokoju matki. Księżniczka Maria, blada, z drżącą dolną szczęką, wyszła stamtąd i ujęła Nataszę za rękę, mówiąc coś do niej. Natasza jej nie widziała i nie słyszała. Szybkim krokiem weszła w drzwi, zatrzymała się na chwilę, jakby w walce z sobą, i podbiegła do matki.

Hrabina leżała w fotelu, dziwnie nieskładnie wyprężona, i biła głową o ścianę. Sonia i pokojówki trzymały ją za ręce.

– Natasza, Natasza!... – krzyczała hrabina. – Nieprawda, nieprawda... On kłamie... Natasza! – krzyczała odpychając od siebie otaczające ją kobiety. – Idźcie precz wszyscy, nieprawda! Zabity!... Cha, cha, cha!... Nieprawda!

Natasza oparła kolano o fotel, pochyliła się nad matką, objęła ją, podniosła z nieoczekiwaną siłą, zwróciła jej twarz ku sobie i przytuliła się do niej.

– Mamo!... Kochana!... Jestem tu, droga. Mamo... szeptała nie milknąc ani na moment.

Nie puszczała matki, tkliwie z nią walczyła, żądała poduszki, wody, rozpięła i rozrywała na niej odzież.

– Droga moja, kochaneczko... Mamuśka... kochana nie przestawała szeptać całując ją w głowę, ręce, twarz i czując, jak niepowstrzymanie, strumieniami, łaskocząc nos i policzki, płynęły jej łzy.

Hrabina ścisnęła rękę córki, przymknęła oczy i uspokoiła się na chwilę. Nagle niezwykle

szybko się podniosła, obejrzała się bezmyślnie i zobaczywszy Nataszę zaczęła ze wszystkich sił ścisnąć jej głowę. Potem zwróciła ku sobie jej skrzywioną od bólu twarz i długo się w nią wpatrywała.

– Natasza, kochasz mnie – powiedziała cichym, ufnym szeptem. – Natasza, ty mnie nie oszukasz? Powiedz mi całą prawdę.

Natasza patrzyła na nią oczami pełnymi łez, a twarz jej wyrażała tylko miłość i prośbę o przebaczenie.

– Kochanie moje, mamusiu – powtarzała natężając wszystkie siły swej miłości na to, żeby obciążyć jakoś siebie nadmiarem bólu dławiącego matkę.

I znowu w bezsilnej walce z rzeczywistością matka, nie wierząc w to, że mogłaby żyć, gdy został zabity jej kochany, kwitnący życiem chłopiec, chroniła się przed rzeczywistością w świat szaleństwa.

Natasza nie pamiętała, jak przeszedł ten dzień, noc, dzień następny i następna noc. Nie spała i nie odchodziła od matki. Miłość Nataszy, uporczywa, cierpliwa, nie jak wyznanie, nie jak pociecha, lecz jak wezwanie do życia, otaczała hrabinę nieustannie, jakby ze wszystkich stron. Trzeciej nocy hrabina uspokoiła się na chwilę i Natasza, zaniknąwszy oczy, oparła głowę na poręczu fotela. Zaskrzypiało łóżko, Natasza otworzyła oczy. Hrabina siedziała na łóżku i mówiła cicho.

– Jak się cieszę, żeś przyjechał. Zmęczony jesteś, chcesz herbaty? – Natasza podeszła do niej.
– Wypiękniałeś i zmężniałeś – ciągnęła dalej hrabina ująwszy rękę córki.

– Mamusiu, co mówisz!

– Natasza, jego nie ma, nie ma go już. – I ująwszy córkę hrabina pierwszy raz zaczęła płakać.

III

Księżniczka Maria odłożyła swój wyjazd. Sonia, hrabia starali się zastąpić Nataszę, ale nie mogli. Widzieli, że ona jedynie może powstrzymać matkę od szaleńczej rozpacz. Trzy tygodnie bez przerwy pozostawała Natasza przy matce, spała w fotelu w jej pokoju, poila, karmiła ją i nieustannie z nią rozmawiała, dlatego że tylko jej tkliwy, pieśczośliwy głos uspokajał hrabinę.

Duchowa rana matki nie mogła się zagoić. Śmierć Pieti odcięła jej połowę życia. W miesiąc po wiadomości o śmierci Pieti, która zastała ją jako świeżą i rześką pięćdziesięcioletnią kobietę, wyszła ze swego pokoju jako na wpół martwa, nie biorąca udziału w życiu staruszka. Ale rana, która zabrała hrabinie pół życia, ta nowa rana przywołała do życia Nataszę.

Duchowa rana, pochodząca z rozdarcia istności duchowej, chociaż wydaje się to dziwne, powoli zasklepia się zupełnie tak samo jak rana fizyczna. A jak głęboka rana fizyczna goi się przez zrastanie się obu brzegów, tak rana duchowa – jak i fizyczna – goi się tylko siłą życia, napierającą z wewnątrz.

Podobnie zagoiła się rana Nataszy. Myślała, że jej życie się skończyło. Ale nagle miłość do matki wskazała jej, że istota jej życia – miłość – jeszcze w niej żyje. Przebudziła się miłość – i przebudziło się życie.

Ostatnie dni księcia Andrzeja związały Nataszę z księżniczką Marią. Nowe nieszczęście jeszcze bardziej je zbliżyło. Księżniczka Maria odłożyła swój wyjazd i przez ostatnie trzy tygodnie opiekowała się Nataszą jak chorym dzieckiem. Ostatnie tygodnie, które Natasza spędziła w pokoju matki, poderwały jej siły fizyczne.

Pewnego razu księżniczka Maria zauważywszy w południe, że Natasza drży jak w febrze, zaprowadziła ją do siebie, i ułożyła na swoim łóżku. Natasza położyła się, ale gdy księżniczka Maria opuściwszy rolety chciała wyjść, Natasza wezwała ją do siebie.

– Nie jestem śpiąca, Marie, posiedź ze mną.

– Jesteś zmęczona, postaraj się usnąć.

– Nie, nie. Dlaczegoś mnie zabrała? Ona będzie pytała.

– Jej znacznie lepiej. Dzisiaj tak rozsądnie mówiła – odrzekła księżniczka Maria.

Natasza leżała w łóżku i w półmroku pokoju przyglądała się twarzy księżniczki Marii.

„Podobna do niego? – myślała Natasza. – Tak, podobna i niepodobna. Ale jest osobliwa, obca, zupełnie nowa, nieznana. I kocha mnie. Co ona ma w duszy? Wszystko dobre. Ale jak, jak ona myśli? Jak patrzy na mnie? Tak, ona jest wspaniała”.

– Masza – rzekła nieśmiało pociągnawszy ku sobie jej rękę – Masza, nie myśl, że jestem zła. Nie? Masza, kochaneczko. Jak ja cię kocham. Bądźmy w pełni, w pełni przyjaciółkami.

I Natasza obejmując księżniczkę Marię zaczęła całować jej ręce i twarz. Księżniczka Maria wstydziła się i radowała takim wyrazem uczuć Nataszy.

Od tego dnia księżniczkę Marię i Nataszę połączyła ta namiętna i tkliwa przyjaźń, która bywa tylko między kobietami. Nieustannie się całowały, mówiły sobie wzajemnie czułe słowa i

większą część czasu spędzały razem. Jeżeli jedna wychodziła, druga niepokoiła się o nią i śpieszyła, by połączyć się z nią. Razem odczuwały większą zgodność między sobą niż oddzielnie, każda sama ze sobą. Zawiązało się między nimi uczucie głębsze niż przyjaźń: było to wyjątkowe poczucie, że mogą żyć tylko, gdy są razem.

Czasem milczały całymi godzinami, czasem zaczynały mówić leżąc już w łóżkach i rozmawiały do rana. Rozmawiały przeważnie o dalekiej przeszłości. Księżniczka Maria opowiadała o swym dzieciństwie, o matce, o ojcu, o swych marzeniach; i Natasza, która przedtem z obojętnym niezrozumieniem odwracała się od życia pełnego oddania, pokory, od poezji chrześcijańskiego poświęcenia się, teraz, czując więzy miłości łączące ją z księżniczką Marią, pokochała również i jej przeszłość i rozumiała tę stronę życia, której dawniej nie pojmowała. Nie myślała stosować w swym życiu pokory i poświęcenia się, dlatego że przyzwyczała się szukać innych radości, ale rozumiała i lubiła w księżniczce Marii tę niezrozumiałą dawniej cnotę. Księżniczce Marii, słuchającej opowiadań o dzieciństwie i pierwszej młodości Nataszy, też ukazywała się niezrozumiała dawniej strona życia: wiara w życie, w rozkosze życia.

Nadal, jak uprzednio, nigdy nie rozmawiały o nim dlatego, żeby, jak im się wydawało, nie naruszyć rozmową tego głębokiego uczucia, które żywiły, ale to niewspominanie go sprawiało, że po trochu, nie zdając sobie z tego sprawy, zapominały o nim.

Natasza wychudła, zbladła i stała się fizycznie tak słaba, że wszyscy wciąż mówili o jej zdrowiu, a jej sprawiało to przyjemność. Czasem jednak ogarniał ją nieoczekiwanie nie tylko lęk przed śmiercią, ale i lęk przed chorobą, niemocą, utratą urody i mimo woli oglądała niekiedy uważnie swą obnażoną rękę, dziwić się, że tak wychudła, albo oglądała rankami w lustrze swą wydłużoną, żalną, jak się zdawało, twarz. Zdawało się jej, że tak powinno być, a jednocześnie ogarniał ją lęk i smutek.

Pewnego razu szybko weszła na górę i mocno się zadyszała. Natychmiast mimowolnie wymyśliła sobie jakąś sprawę na dole, a stamtąd znowu wbiegła na górę, obserwując się i próbując sił.

Innym razem wezwała Duniaszę i głos jej zadrżał. Zawołała ją powtórnie i mimo że słyszała już jej kroki, zawołała tym głosem piersiowym, którym dawniej śpiewała, i wsłuchiwała się.

Nie wiedziała, nie uwierzyłaby, lecz spod warstwy ładu, wydającego się jej nieprzenikalnym, który zamulił jej duszę, przebijały się już cienkie, delikatne, młode źdźbła trawy, które miały się zakorzenić i tak zasłać swymi żywymi pędami dławiający ją ból, że wkrótce nie będzie go można ani widzieć, ani zauważyć. Rana goiła się od wewnątrz.

W końcu stycznia księżniczka Maria wyjechała do Moskwy i hrabia osiągnął to, że Natasza wyjechała z nią, aby zasięgnąć porady doktorów.

IV

Po starciu pod Wiaźmą, gdzie Kutuzow nie mógł powstrzymać swych wojsk od chęci rozbicia, odcięcia itd., dalsza droga uciekających Francuzów i ścigających ich Rosjan odbywała się aż do Krasnego bez bitew. Ucieczka była tak szybka, że ścigająca Francuzów armia rosyjska nie nadążała za nimi, że ustawały kawaleryjskie i artyleryjskie konie i że wiadomości o ruchu Francuzów zawsze były niepewne.

Żołnierze rosyjscy byli tak zmęczeni tym nieustannym marszem po czterdzieści wiorst na dobę, że nie mogli iść prędzej.

Żeby zrozumieć stopień wyczerpania wojska rosyjskiego, trzeba tylko dobrze pojąć znaczenie tego faktu, iż straciwszy w ciągu całego marszu od Tarutina nie więcej niż pięć tysięcy w zabitych i rannych i nie straciwszy nawet stu ludzi w jeńcach, armia rosyjska, która wyszła z Tarutina w sile stu tysięcy, przyszła do Krasnego w liczbie pięćdziesięciu tysięcy.

Szybki pościg Rosjan działał na armię rosyjską zupełnie tak samo demoralizująco jak ucieczka na Francuzów. Różnica polegała tylko na tym, że armia rosyjska szła z własnej woli, bez groźby zagłady, która zawisła nad armią francuską, i na tym, że nie nadążający i chorzy Francuzi wpadali w ręce wroga, a pozostający na tyłach Rosjanie byli u siebie w domu. Główną przyczyną zmniejszania się armii Napoleona była szybkość poruszania się, a niewątpliwym dowodem tego jest odpowiednie zmniejszenie się wojsk rosyjskich.

Cała energia Kutuzowa, podobnie jak to było pod Tarutinem i pod Wiaźmą, skierowana była tylko na to, żeby – o ile to było w jego mocy – nie zatrzymywać tego zgubnego dla Francuzów ruchu (jak chcieli w Petersburgu i w armii generałowie rosyjscy), lecz pomagać mu i ułatwić ruch własnych wojsk.

Ale prócz tego, od czasu gdy w wojsku ujawniło się przemęczenie i wielkie straty, spowodowane szybkością ruchu, jeszcze jedna przyczyna zmuszała Kutuzowa do zwolnienia marszu wojsk i do wyczekiwania. Celem wojsk rosyjskich był pościg za Francuzami. Szlak Francuzów był nie znany, toteż im bardziej nasze wojska deptały po piętach Francuzom, tym większą przechodziły odległość. Tylko w marszu na pewien dystans można było najkrótszą drogą przecinać zygzaki, które robili Francuzi. Wszelkie zawile manewry, proponowane przez generałów, polegały na przegrupowaniach wojsk, na powiększeniu przemarszów, a jedynym rozumnym celem było ich skrócenie. I do tego celu zmierzała działalność Kutuzowa w ciągu całej kampanii od Moskwy do Wilna – nie przypadkiem, nie tymczasowo, lecz tak konsekwentnie, że nie sprzeniewierzył się jej ani razu.

Kutuzow wiedział – nie rozumowo lub dzięki nauce, lecz całą swą istotą Rosjanina – wiedział i odczuwał to, co odczuwał każdy rosyjski żołnierz: że Francuzi są pobici, że wróg ucieka i trzeba go wykurzyć; ale jednocześnie odczuwał razem z żołnierzami cały ciężar tego niesłychanego ze względu na szybkość i porę roku marszu.

Ale generałom – zwłaszcza nie-Rosjanom, chcącym się odznaczyć, zadziwić kogoś, wziąć do

niewoli dla czegoś tam, jakiegokolwiek księcia albo króla – wydawało się teraz, gdy każda bitwa była ohydą i bezsensowną, że teraz właśnie najlepsza pora, by wydawać bitwy i zwyciężać kogoś. Kutuzow wzruszał tylko ramionami, gdy mu jeden po drugim przedstawiali projekty manewrów z tymi źle obutymi, bez kożuszków, na pół głodnymi żołnierzami, którzy w ciągu miesiąca, bez bitew, stopnieli do połowy i z którymi w najlepszych warunkach przeciągającej się ucieczki trzeba było przejść do granicy drogą dłuższą niż ta, którą przebyli.

Dążność ta: odznaczyć się, manewrować, rozbijać i odcinać, przejawiała się szczególnie wtedy, gdy wojska rosyjskie natykały się na wojsko Francuzów.

Tak się stało pod Krasnem, gdzie spodziewano się znaleźć jedną z trzech kolumn Francuzów, a natknięto się na samego Napoleona z szesnastoma tysiącami żołnierzy. Mimo wszelkich środków, użytych przez Kutuzowa, żeby nie dopuścić do tego zgubnego starcia i żeby zachować swe wojska, trzy dni pod Krasnem ciągnęło się dobijanie rozbitych skupień francuskich przez wymęczonych żołnierzy rosyjskich.

Toll napisał dyspozycję: „Die erste Kolonne marschieret.³⁸⁶..” itp. I jak zawsze, wszystko poszło nie według dyspozycji. Książę Eugeniusz Wirtemberski ostrzeliwał ze wzgórza uciekające obok tłumy Francuzów i żądał posiłków, które nie nadchodziły. Francuzi, obchodząc Rosjan nocami, rozsypywali się, ukrywali się w lasach i przedostawali się dalej, jak kto mógł

Miłoradowicz, który mówił, że nic nie chce wiedzieć o gospodarczych sprawach oddziału, i którego nigdy nie można było znaleźć, gdy był potrzebny, „*chevalier sans peur et sans reproche*”³⁸⁷, jak się sam nazywał, amator rozmów z Francuzami, posyłał parlamentariuszy żądając poddania się, tracił czas i nie robił tego, co mu kazano.

Daruję wam, chłopcy, tę kolumnę – mówił podjeżdżając do wojska i pokazując kawalerzystom Francuzów. I kawalerzyści na ledwie poruszających się koniach, z wielkim wysiłkiem podjeżdżali do darowanej im kolumny, czyli do gromady zmarzniętych, skostniałych i wygłodzonych Francuzów, podarowana kolumna rzucała broń i poddawała się, czego już dawno pragnęła.

Pod Krasnem wzięto dwadzieścia sześć tysięcy jeńców, setki armat, jakąś łaskę, którą nazywano buławą marszałkowską, i spierano się o to, kto się tam odznaczył; byli z tego zadowoleni, ale bardzo żalowali, że nie wzięli do niewoli Napoleona, albo choć jakiegokolwiek bohatera, marszałka, i robili sobie z tego powodu wzajemne zarzuty, a szczególnie obciążali Kutuzowa.

Ludzie ci, miotani swymi namiętnościami, byli tylko ślepymi wykonawcami najsmutniejszego prawa konieczności, ale uważali się za bohaterów i wyobrażali sobie, że to, co robią, jest najdosłowniej i najszlachetniejszą czynnością. Oskarżali Kutuzowa i mówili, że od samego początku kampanii przeszkadzał im zwyciężyć Napoleona; że myśli jedynie o zaspokojeniu swych namiętności, że nie chciał opuścić Zgomonu³⁸⁸ dlatego, że miał tam spokój; że pod Krasnem zatrzymał ruch wojsk dlatego, iż dowiedziawszy się o obecności Napoleona, zupełnie stracił głowę; że można przypuszczać, iż jest z Napoleonem w zмовie, że tamten go przekupił³⁸⁹ itd., itd.

³⁸⁶ Pierwsza kolumna pomaszeruje..

³⁸⁷ Rycerz bez zmazy i bojaźni.

³⁸⁸ W orygu. Polotnianyje Zawody, wł. Polomianij Zawód, inaczej Zgomon, w gub. kałuskiej. Nazwa od założonej tu w końcu w. XVIII skarbowej fabryki żagli.

³⁸⁹ Notatki Wilsona. Tołstoj powołuje się tu najpewniej na wydane w r. 1861 piwom diary (2 t.) Roberta Tomasza Wilsona, dotyczące lat 1812–14. Wil-son (1777–1849), generał angielski, był wraz z gen. Hutchinsonem wysłany w misji specjalnej do cesarza Aleksandra. Jako ochotnik wstąpił do armii rosyjskiej, i brał udział w wojnie 1806–07 r. W r. 1812 ponownie przybył do Rosji i brał udział w kampanii.

Nie dość, że mówili tak współcześni miotani namiętnościami – potomność i historia uznały, że Napoleon jest grand, a Kutuzowa cudzoziemcy nazwali przebiegłym, rozpustnym, słabym starcem-dworakiem; Rosjanie zaś – czymś nieokreślonym, jakąś kukłą, użyteczną tylko ze względu na swe rosyjskie nazwisko.

V

W roku 1812 i 1813 Kutuzowa oskarżano wprost o błędy. Cesarz był z niego niezadowolony. A w historii, napisanej niedawno z najwyższego rozkazu, powiedziano, że Kutuzow był przebiegłym nadwornym kłamcą, bojącym się imienia Napoleona, i swymi błędami pod Krasnem i nad Berezyną pozbawił wojska rosyjskie chwały zupełnego zwycięstwa nad Francuzami.³⁹⁰

Taki jest los ludzi nie wielkich, nie grand-homme³⁹¹, których rosyjski umysł nie uznaje, lecz los tych rzadkich, zawsze samotnych ludzi, którzy, pojawiwszy wolę Opatrzności podporządkowują jej swą osobistą wolę. Nienawiść i pogarda tłumu karzą tych ludzi za przewidzenie praw wyższych.

Dla rosyjskich historyków (dziwne to i straszne powiedzieć!) Napoleon – najnikczemniejsze narzędzie historii, nigdy i nigdzie, nawet na wygnaniu, nie przejawiający ludzkiej godności – jest przedmiotem zachwytu i entuzjazmu; on jest grand. Kutuzow natomiast – człowiek, który od początku do końca swej działalności w 1812 roku, od Borodina do Wilna, ani razu, ani jednym czynem, ani jednym słowem nie sprzeniewierzając się sobie, przejawia niezwykle w historii przykład poświęcenia i zrozumienia w teraźniejszości przyszłych konsekwencji wydarzeń – wydaje się im czymś nieokreślonym, żalonym i mówią o Kutuzowie i roku dwunastym zawsze jakby z odrobiną wstydu.

A tymczasem trudno sobie przedstawić postać historyczną, której działalność byłaby tak niezmiennie i stale skierowana ku jednemu celowi. Trudno sobie wyobrazić cel bardziej godny i bardziej odpowiadający woli całego narodu. Jeszcze trudniej znaleźć drugi przykład w historii, gdzie by cel postawiony sobie przez postać historyczną był tak całkowicie osiągnięty jak ów cel, na którego osiągnięcie skierowana była cała działalność Kutuzowa w roku 1812.

Kutuzow nigdy nie mówił o czterdziestu wiekach, które patrzą z piramid, o ofiarach, które składa ojczyźnie, o tym, czego zamierza dokonać albo dokonał; w ogóle nic nie mówił o sobie, nie grał żadnej roli, wydawał się zawsze najbardziej prostym i zwykłym człowiekiem i mówił o najprostszych, zwykłych rzeczach. Pisał listy do swych córek i do m-me de Stael, czytał powieści, lubił towarzystwo pięknych kobiet, żartował z generałami, oficerami i żołnierzami i nigdy nie bronił mówić ludziom, którzy chcieli mu cokolwiek dowieść. Gdy hrabia Rastopczyń na moście Jauzkim podjechał do Kutuzowa z osobistymi zarzutami, kto winien, że Moskwa padła, i powiedział: „Jak pan mógł obiecać, że pan nie opuści Moskwy bez bitwy?” Kutuzow odpowiedział:

„Ja nie opuszczę Moskwy bez bitwy”, mimo że Moskwa była już oddana. Gdy Arakcejew,

³⁹⁰ Historia 1812 roku Bogdanowicza Historia wojny vi obronie ojczyzny 1812 r. (Istorija Otieczestmermoj wojny 1812 g.) Modesta Bogdanowicza (1805–1882); charakterystyka Kutuzowa i rozważania o niezadowolających rezultatach walk pod Krasnem.

³⁹¹ Wielkiego człowieka.

który przyjechał do niego od cesarza, powiedział, że należałoby Jermołowa mianować dowódcą artylerii, Kutuzow odpowiedział: „Właśnie sam dopiero co o tym mówiłem”, chociaż przed chwilą mówił zupełnie co innego. Co go obchodziło – rozumiejącego wtedy olbrzymi sens wydarzeń, jedyne wśród bezmyślnego tłumu, który go otaczał – co go obchodziło, czy sobie, czy jemu przypisze hrabia Rastopczyń klęskę stolicy? Jeszcze mniej go interesowało, kogo mianują dowódcą artylerii.

Nie tylko w tych wypadkach, ale nieustannie ten stary człowiek, który doświadczeniem życiowym doszedł do przekonania, że myśli i słowa, służące do ich wyrażenia, nie poruszają ludzi, wypowiadał zdania zupełnie bezmyślne – pierwsze lepsze, jakie przychodziły mu do głowy.

Ale ten człowiek, tak lekceważący swe słowa, ani razu w ciągu całej swej działalności nie powiedział zarazem nic, co by się nie zgadzało z tym jedynym celem, do którego osiągnięcia dążył w ciągu całej wojny. Oczywiście, wbrew woli i z głębokim przekonaniem, że go nie rozumieją, wypowiadał swe myśli niejednokrotnie w najróżniejszych okolicznościach. Poczynając od bitwy pod Borodinem, od której rozpoczął się jego rozdzwięk z otoczeniem, jedynie on mówił, że bitwa borodińska jest zwycięstwem, i powtarzał to ustnie i w raportach, i w sprawozdaniach do samej śmierci. On jedynie powiedział, że utrata Moskwy nie jest upadkiem Rosji. W odpowiedzi na propozycję pokoju powiedział Lauristonowi, że nie może być pokoju dlatego, że taka jest wola narodu; on jedyny w czasie odwrotu Francuzów mówił, że wszystkie nasze manewry są niepotrzebne, że wszystko zrobi się samo przez się lepiej, niż sobie tego życzymy, że nieprzyjacielowi trzeba dać złoty most, że bitwy czy pod Tarutinem, czy pod Wiazmą, czy pod Krasnem nie były potrzebne, że z czym bądź trzeba przejść nad granicę, że za dziesięciu Francuzów nie odda jednego Rosjanina.

I tylko on jeden, ten dworak, jak nam go przedstawiają, człowiek, który kłamie Arakcejewowi dla dogodzenia monarsze – tylko on jeden, dworak, mówił w Wilnie, że dalsza wojna za granicą jest szkodliwa i bezużyteczna, czym zasłużył sobie na niełaskę cesarza.

Lecz same słowa nie dowiodłyby, że rozumiał on wtedy znaczenie wypadków. Działania jego – wszystkie, bez najmniejszego wyjątku – wszystkie skierowane są ku jednemu i temu samemu celowi, składającemu się z trzech spraw:

1) natężyć wszystkie siły do starcia z Francuzami, 2) zwyciężyć ich i 3) wygnać z Rosji, zmniejszając, o ile to możliwe, niedolę ludu i wojska.

On, ten kunktator Kutuzow, którego dewizą jest cierpliwość i czas, wróg zdecydowanych działań, wydaje bitwę pod Borodinem czyniąc przygotowania w sposób bezprzykładnie uroczyście. On, ów Kutuzow, który pod Austerlitz, zanim się bitwa zaczęła, mówi, że będzie przegrana – pod Borodinem, mimo dowodzeń generałów, że bitwa przegrana, mimo niesłychanego w historii przykładu, że po wygranej bitwie wojsko się wycofuje, on jedynie, wbrew wszystkim, do samej śmierci twierdzi, że bitwa pod Borodinem – to zwycięstwo. Jedynie on przez cały czas odwrotu nalega, żeby nie wydawać bitew, bezużytecznych teraz, żeby nie rozpocząć nowej wojny i nie przekraczać granic Rosji.

Teraz, jeżeli tylko nie będziemy przypisywać masom ludzkim zamiaru osiągnięcia tych celów, które miało na myśli może dziesięciu ludzi, łatwo rozumiemy znaczenie wydarzenia, gdyż widzimy je przed sobą całe, wraz z jego konsekwencjami.

Ale jakim sposobem ten stary człowiek, sam jeden, wbrew opinii wszystkich, mógł wówczas tak dokładnie odgadnąć znaczenie narodowego sensu wydarzenia, że ani razu mu się nie sprzeniewierzył w ciągu całej działalności?

Źródło tej niezwykłej siły wnikania w sens dokonujących się zjawisk leży w poczuciu narodowym, które Kutuzow posiadał w całej jego sile i czystości.

Tylko uznanie w nim tego poczucia zniewoliło naród, wbrew cesarzowi, takimi dziwnymi drogami uznać starca, pozostającego w niełasce, za przedstawiciela wojny narodowej. I tylko to poczucie wyniosło go na taką najwyższą dostępną człowiekowi wyżynę, z której on, wódz naczelny, kierował wszystkie siły nie na to, żeby zabijać i niszczyć ludzi, ale na to, by ich ratować i oszczędzać.

Ta prosta, skromna i dlatego naprawdę wspaniała postać nie mogła się zmieścić w wymyślonej przez historię, kłamliwej formie europejskiego bohatera, rzekomo kierującego ludźmi.

Dla lokaja nie ma wielkiego człowieka, dlatego że lokaj posiada własne pojęcie o wielkości.

VI

5 listopada był pierwszym dniem tak zwanej bitwy krasneńskiej. Przed wieczorem, kiedy już – po licznych dysputach i błędach generałów, którzy prowadzili wojska nie tam, gdzie trzeba, po rozesłaniu adiutantów z kontrozkazami – kiedy już było widoczne, że nieprzyjaciel wszędzie uchodzi i bitwy nie może być i nie będzie, Kutuzow wyjechał z Krasnego i pojechał do Dobrego, dokąd przeniesiono tego dnia kwaterę główną.

Dzień był jasny, mroźny. Kutuzow, z ogromną swiątą niezadowolonych z niego, szepczących za jego plecami generałów, jechał na swym siwym, spasionym koniku ku Dobremu. Wzdłuż całej drogi tłoczyły się, grzejąc się przy ogniskach, gromady wziętych w dniu dzisiejszym jeńców francuskich (wzięto ich w tym dniu siedem tysięcy). W pobliżu Dobrego ogromny tłum obdartych, poobwiązywanych i pookręcanych czym się dało jeńców huczał gwarem, stojąc na drodze obok długiego szeregu wyprzężonych dział francuskich. Ze zbliżaniem się naczelnego wodza rozmowy umilkły i wszystkie oczy skierowały się na Kutuzowa, który w swej białej czapce z czerwonym otokiem i watowanym płaszczu, tworzącym garb na jego pochyłych ramionach, wolno posuwał się drogą. Jeden z generałów raportował Kutuzowowi, gdzie wzięto armaty i jeńców.

Kutuzow wydawał się czymś zatroskany i nie słyszał słów generała. Z niezadowoleniem mrużył oczy i uważnie, uporczywie wpatrywał się w postaci jeńców, które przedstawiały szczególnie nędzny widok. Twarze francuskich żołnierzy były przeważnie oszpecone odmrożonymi nosami i policzkami, a prawie wszyscy mieli oczy czerwone, opuchnięte i zaropiałe.

Jedna grupa Francuzów stała blisko przy drodze i dwaj żołnierze – twarz jednego z nich była pokryta strupami – rozrywali rękoma kawałek surowego mięsa. Było coś strasznego i zwierzęcego w tym przelotnym spojrzeniu, które rzucili na przejeżdżających, i w tym złowrogim wyrazie, z jakim żołnierz ze strupami, spojrzawszy na Kutuzowa, natychmiast odwrócił się, nie przestając wykonywać swej czynności.

Kutuzow długo, uważnie patrzył na tych dwóch żołnierzy; zmarszczywszy się jeszcze bardziej, zmrużył oczy i pokiwał głową w zamyśleniu. W innym miejscu zauważył żołnierza rosyjskiego, który śmiejąc się i klepiąc po ramieniu Francuza coś przyjaźnie do niego mówił. Kutuzow znowu z tym samym wyrazem pokiwał głową.

– Co mówisz? – zapytał generała raportującego dalej i zwracającego uwagę naczelnego wodza na zdobyte francuskie sztandary, ustawione przed frontem pułku Preobrażeńskiego. – A, sztandary! – powiedział Kutuzow, widocznie z trudnością odrywając się od przedmiotu zajmującego jego myśli. Obejrzał się z roztargnieniem. Tysiące oczu ze wszystkich stron, oczekując jego słów, patrzyły na niego.

Zatrzymał się przed pułkiem Preobrażeńskim, ciężko westchnął i przymknął oczy. Ktoś ze świty skinął, żeby żołnierze trzymający sztandary podeszli i ustawili je drzewcami wokół

naczelnego wodza. Kutuzow po chwili milczenia, widocznie niechętnie, podporządkowując się obowiązkom swego stanowiska, podniósł głowę i zaczął mówić. Otoczyli go tłumnie oficerowie. Uważnym spojrzeniem objął grupkę oficerów, poznawszy w niej niektórych.

– Dziękuję wszystkim! – powiedział zwracając się do żołnierzy i znowu do oficerów. W ciszy, która zapanowała wokół niego, wyraźnie było słychać powoli wypowiedane przez niego słowa. – Dziękuję wszystkim za ciężką i wierną służbę. Zwycięstwo zostało osiągnięte i Rosja nie zapomni o was. Chwała wam na wieki! – Zamilkł rozglądając się.

– Zegnij, zegnijże mu głowę – powiedział do trzymającego francuskiego orła żołnierza, który przypadkowo opuścił go przed sztandarem preobrażeńców. – Niżej, niżej, o tak, tak. Hura, chłopcy! – powiedział zwracając się nagłym ruchem podbródka do żołnierzy.

– Hura-ra-ra! – huknęło tysiące głosów. Gdy żołnierze krzyczeli, Kutuzow, pochyliwszy się w siodle, opuścił głowę, a oko jego błysnęło łagodnym, jakby drwiącym blaskiem.

– Wiecie co, bracia... – rzekł, gdy krzyki umilkły. I nagle zmienił się jego głos i wyraz twarzy; przestał mówić wódz naczelnny, a przemówił zwykły stary człowiek, chcąc widocznie zakomunikować swym towarzyszom coś bardzo ważnego.

W tłumie oficerów i w szeregach żołnierzy powstał ruch; chcieli wyraźniej słyszeć to, co powie teraz Kutuzow.

– Ot co, bracia. Wiem, ciężko wam, ale cóż robić! Pociępcie, już niedługo. Jak odprowadzimy gości, wtedy odpoczniemy. Służby waszej cesarz wam nie zapomni. Ciężko wam, a przecież jesteście w domu: a oni – patrzcie do czego doszli – mówił wskazując jeńców. – Gorzej im niż ostatnim żebrakom. Dopóki byli silni, nie żałowaliśmy ich, ale teraz można się nad nimi uzalić. Oni też ludzie. Prawda, chłopcy?

Patrzył dokoła i w uporczywych, pełnych szacunku i zdziwienia oczach, wpatrzonych w niego, widział zrozumienie dla swych słów: starczy, łagodny uśmiech, od którego zmarszczki promieniście rozchodziły się w kątach oczu i warg, coraz bardziej rozjaśniał jego twarz. Zamilkł i jakby w niepewności opuścił głowę.

A i to trzeba powiedzieć – kto ich do nas prosił? To im się należy, pyskiem wg... – powiedział nagle podnosząc głowę. I machnąwszy nahajką odjechał galopem, po raz pierwszy przez cały czas kampanii, od śmiejących się wesoło żołnierzy, którzy wybiegali z szeregów i krzyczeli: „Hura!”

Wątpliwe, czy wojska zrozumiały słowa Kutuzowa. Nikt nie umiałby przekazać treści przemówienia feldmarszałka, uroczystego z początku i prostodusznie starczego w zakończeniu; jednak serdeczny sens tego przemówienia nie tylko rozumiano, ale to uczucie wspaniałego triumfu w połączeniu z litością dla wroga i świadomością swej słuszności, wyrażone właśnie w tej starczej, jowialnej zniewadze, to uczucie tkwiło w duszy każdego żołnierza i wyraziło się w długo nie milknących okrzykach. Gdy potem jeden z generałów zwrócił się do naczelnego wodza z pytaniem, czy nie każe podać sobie kolaski, Kutuzow, odpowiadając, zachlipał nieoczekiwanie, głęboko widocznie wzruszony.

VII

8 listopada, w ostatnim dniu walk pod Krasnem, zapadł już zmrok, gdy wojska stanęły na miejscu noclegu. Cały dzień był bezwietrzny, mroźny, padał lekki, rzadki śnieg; pod wieczór zaczęło się rozjaśniać. Przez płatki śniegu widać było czamofioletowe gwiaździste niebo i mróz zaczął się wzmagać.

Pułk muszkietarów, który wyszedł z Tarutina w sile trzech tysięcy, teraz licząc dziewięciuset ludzi, przyszedł jeden z pierwszych na miejsce wyznaczonego noclegu we wsi przy głównym trakcie. Kwatermistrze spotkawszy pułk oświadczyli, że wszystkie chaty są zajęte przez chorych i zmarłych Francuzów oraz przez kawalerię i sztaby. Została tylko jedna chata dla dowódcy pułku.

Dowódca pułku podjechał do swej chaty. Pułk przeszedł przez wieś i na drodze, przy ostatnich chałupach, ustawił broń w kozły.

Jak ogromne, wielocłonowe zwierzę pułk zaczął przygotowywać swe legowisko i pożywienie. Część żołnierzy rozsypała się, po kolana w śniegu, w brzozowym lesie stojącym na prawo od wsi i natychmiast rozległ się w lesie stuk siekier, tasaków, trzask łamanych gałęzi i wesołe głosy, część kręciła się koło centrum pułkowych furgonów i koni, spędzonych do kupy, wyjmowała kotły, suchary, zadawano paszę koniom, część rozsypała się po wsi, wyszukując kwatery dla sztabu, wyciągając martwe ciała Francuzów, leżące w izbach, i zabierając deski, suche drwa i słomę ze strzech na ogniska i plecione płoty na osłonę.

Piętnastu żołnierzy za chałupami, na skraju wsi, z wesołym pokrzykiwaniem kołysało wysoką uplecioną z gałęzi ścianę szopy, z której zabrano już dach.

No, no, razem, hop! – rozlegały się głosy i w ciemności nocy kołysała się trzaskając na mrozie ogromna, oprószona śniegiem pleciana ściana. Coraz mocniej trzeszczały dolne kołki i w końcu ściana upadła razem z napierającymi na nią żołnierzami.

– Brać! Po dwóch! Dawaj tu drag! Tak, tak! Gdzie się pchasz?

– No, razem... Czekaście no, chłopcy!... Zakrzyknijmy!

Wszyscy zamilkli i ktoś zaczął niegłośnie śpiewać aksamitnym, przyjemnym głosem. W końcu trzeciej strofki razem z ostatnim dźwiękiem dwadzieścia głosów zgodnie krzyknęło: „Uuuu! Idzie! Razem! Mocno, chłopcy!...” Ale mimo zgodnych wysiłków ściana mało się posunęła i w ciszy, która zapanowała, słychać było ciężkie sapanie.

– Hej, wy, z szóstej roty! Diabły jedne! Pomóżcie... i my się przydamy.

Dwudziestu ludzi z szóstej roty, idących na wieś, przyłączyło się do ciągnących; i ściana, pięć sążni długa i sążeń szeroka, zgiąwszy się, uciskając i wpijając się w ramiona sapiących żołnierzy, sunęła ulicą wsi.

– Ruszaj czy jak... Naprzyj no, widzicie go... Czegoś stanął? Ho, ho!...

Wesołe szpetne wyzwiska nie ustawały.

– A wy co? – rozległ się nagle władczy głos żołnierza, który wpadł na niosących.

– Tutaj, panowie! W chacie sam giniał, a wy, diabły, szatany, tu maciujecie! Ja wa! – krzyknął feldfebl i uderzył z rozmachem w plecy pierwszego żołnierza, który mu się nawinął. – Czy po cichu nie smożna?

Żołnierze umilkli. Żołnierz, uderzony przez feldfebla zaczął postępując obcierać twarz, którą rozdrapał do krwi padając na ścianę.

– Widzicie go, jak bije, diabeł! Aż mi całą gębę rozkrwawił – powiedział lęklwym szeptem po odejściu feldfebla.

– Nie podoba ci się? – powiedział ktoś ze śmiechem i żołnierze, ściszywszy rozmowy, poszli dalej. Gdy wydostali się ze wsi, znowu zaczęli mówić równie głośno, przeplatając rozmowę tymiż bezcelowymi przekleństwami.

W chacie, koło której przechodzili żołnierze, zebrało się wyższe dowództwo i przy herbacie rozmawiano z ożywieniem o minionym dniu i o przypuszczalnych manewrach na jutro. Zamierzano oskrzydlać marsz na lewo, odciąć wicekróla i wzięcie go do niewoli.

Gdy żołnierze przyciągnęli ścianę, już rozpały się z różnych stron ogniska pod kuchniami. Trzeszczały drwa, topniał śnieg, a czarne cienie żołnierzy snuły się tu i tam po całej zajętej przestrzeni udeptanego śniegu.

Siekiry, tasaki pracowały wszędzie. Wszystko się odbywało bez niczyjego rozkazu. Znoszono drwa na nocny zapas, grodzono szłasiki dowództwa, gotowano w kociołkach, porządkowano broń i amunicję.

Przyciągniętą przez ósmą rotę plecioną ścianę ustawiono półkolem od strony północnej, umocniono ją kozłami i rozpalono przy niej ognisko. Po capstrzyku odbyto apel, sprawdzono stan, zjedzono wieczerzę i rozłożono się na noc przy ogniskach, ci naprawiali buty, owi palili fajki, a tamci, do naga rozebrani, tępili wszy przy ognisku.

VII

Wydawałoby się, że w tych prawie nie do pojęcia ciężkich warunkach egzystencji, w jakich znajdowali się wówczas żołnierze rosyjscy – bez ciepłych butów, bez kożuszków, bez dachu nad głową, w śniegu, przy osiemnastu stopniach mrozu, bez pełnego nawet wyżywienia, nie zawsze nadążającego za armią – wydawałoby się, że żołnierze powinni byli przedstawiać bardzo żalony i przygnębiający obraz.

Przeciwnie, nigdy, w najlepszych nawet warunkach materialnych, wojsko nie przedstawiało bardziej wesołego i ożywionego widoku. Pochodziło to stąd, że codziennie odpadali ci, co zaczęli tracić otuchę albo słabli. Wszystko, co było fizycznie i moralnie słabe, dawno pozostało na tyłach, a pozostał sam kwiat wojska – pod względem sił ducha i ciała.

W ósmej rocie, osłoniętej plecioną ścianą, zebrało się najwięcej ludzi. Dwóch feldfebli przysiadło się do nich i ognisko ich paliło się jaśniej niż inne: za prawo siedzenia pod ścianą żądano przynoszenia drewna.

– Hej, Makiejew, cóż to... zawieruszyłeś się czy cię wilki zjadły? Dawaj no drewno! – krzyczał jakiś rudy żołnierz z czerwoną gębą, mrużąc oczy i mrugając nimi od dymu, ale nie odchodząc od ognia. – Idź no choć ty, gawronie, przynieś drewno – zwrócił się do drugiego. Rudy nie był ani podoficerem, ani gefrajtrem, ale był żołnierzem na schwał i dlatego rozkazywał tym, którzy byli słabsi. Chudziutki, mały, ze spiczastym noskiem żołnierz, którego przezwano gawronem, wstał posłusznie i poszedł spełnić rozkaz, ale w tej chwili w świetle ogniska ukazała się już szczupła, piękna postać młodego żołnierza, niosącego naręcz drewna.

– Dawaj tu! Dobra!

Nałamano drewno, przyciśnięto, rozdmuchano ustami i połamami szynelów, ogień zasyczał i drwa zaczęły trzeszczeć. Żołnierze przysunęli się bliżej, zapalili fajki. Młody, piękny żołnierz, który przyniósł drewno, podparł się pod boki i zaczął szybko i sprawnie tupać w miejscu zziębniętymi nogami.

– „Ach, matusiu, rosa chłodna, lecz nadobna i dla muszkietera – przyśpiewywał, jakby czkając przy każdej sylabie piosenki.

– Hej! zelówki zgubisz! – krzyknął rudy zauważywszy, że tancerzowi klekoce zelówka. – Jaki pies na tańcowanie!

Tancerz przystanął, oderwał klapiącą skórę i rzucił w ogień.

– Dobrze, bracia – powiedział i siadłszy wyciągnął z tornistra skrawek francuskiego niebieskiego sukna i zaczął owijać nim nogę. – Odparzyły mi się – dodał wyciągając nogi do ognia.

– Niedługo nowe wyfasują. Gadają, że jak wybijemy do końca, każdy podwójny fasunek dostanie.

– A patrzcie, Pietrow, psu brat taki, przecie został – powiedział feldfelbel.

– Już dawno miałem go na oku – dodał drugi.

– No cóż, żołnierzyk...

– A w trzeciej rocie, gadali, wczoraj nie mogli się dziewięciu doliczyć.

– A jak nogi odmrożisz, to jak pójdziesz?

– E, zwracanie głowy – rzekł feldfebel.

– Czy aby i tobie nie zachciało się – powiedział stary żołnierz, z wymówką zwracając się do tego, który mówił, że nogi odmroził.

– A cóż ty myślisz? – podniósłszy się nagle zza ogniska zaczął mówić głosem piskliwym i drżącym żołnierz ze spiczastym nosem, którego nazywano gawronem. – Tłusty schudnie, a chudy zdechnie. Ot, choćby i ja. Już nie mam siły – powiedział zdecydowanie, zwracając się do feldfebla.;

– Każ odesłać do szpitala, frybra mnie łamie, tak czy tak się ostanę...

– No, dosyć, dosyć – powiedział spokojnie feldfebel. Żołnierzyk zamilkł i rozmowa toczyła się dalej.

– A bo to dziś mało tych Francuzów nabrali, a butów, można powiedzieć, prawdziwych ani na jednym nie uświadczysz, tak, tylko dla formy – jeden z żołnierzy rozpoczął na nowo rozmowę.

– Wszystkich Kozaki rozzuli. Oczyszczali izbę dla pułkownika, wynosili ich. Żal patrzeć, chłopcy – powiedział tancerz. – Przetrzęsali ich! to jeden żywy, wierzcie mi, coś po swojemu szwargocze.

– Piękny naród, chłopcy – powiedział pierwszy.

– Biali, o, jak brzoza biali, i dzielni są, co tu gadać, szlachetni.

– A cóż ty myślisz? On ze wszystkich stanów nabrał.

– A nic nie umięją po naszymu – z uśmiechem zdziwienia powiedział tancerz. – Ja mówię: „Z jakiej korony?”, a on po swojemu gada. Cudaczny naród!

– To trudno, bracia – ciągnął ten, co dziwił się ich białości. – Opowiadali chłopci pod Możajskiem, jak zaczęli sprzątać zabitych, tam gdzie boje były, to wiecie co? Liczyć, miesiąc cały leżały jeich trupy. Cóż, mówi, leży, mówi, jeich człowiek jak papier biały, czysty, nie śmierdzi ani krztyny.

– To z zimna czy jak? – pyta ktoś.

Jakiś ty mądrała! Z zimna! Gorąc przecie był. Żeby od chłodu, to i nasi by nie śmierdzieli. A tu, mówi, podejdiesz do naszego, cały, mówi, przegnił, roi się od robaków. To, mówi, chustkami się obwiążem, odwrócim głębę i ciągniemy; siły nie staje. A jeich człowiek, mówi, jak papier biały; ani krztyny nie śmierdzi.

Wszyscy zamilkli.

– Widać od strawy – powiedział feldfebel – pańskie jadło żarli.

Nikt nie przeczył.

Gadał chłop, ten pod Możajskiem, gdzie boje były, zegnali ich z dziesięciu wsi, dwadzieścia dni wozili, nie zwieźli wszystkich, znaczy się, martwych. Wilków tych ile, mówi...

– Tam były boje prawdziwe – powiedział stary żołnierz. – Jest o czym wspominać; bo to wszystko potem to tylko mordęga ludzi.

– Pewno, dziadku, napadliśmy przede wczoraj. To, gdzie tam, nie dopuszczają do siebie. Zaraz broń rzucili. Na kolanka. Pardon, mówi. To tylko jeden przykład. Mówili – samego Poliona Płatów dwa razy brał. Słowa nie rozumie. Wziąć – weźmie, a tu patrzeć – w rękach przemieni się w ptaka, polecą, i tyle. A zabić też nie ma sposobu.³⁹²

³⁹² Por. Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, ks. I, w. 524:

U nas w pułku gadano, jak szli na Francuza,

- Ale łgarz z ciebie. Kisielów, niech cię diabli!
- Jakie tam łganie, czysta prawda.
- A gdyby tak na mnie przyszło, ja bym go, uchwyciwszy, w ziemię zakopał. I osinowym kołem! Tyle ludzi wygubił.
- Wszystko jedno, zrobimy koniec, nie będzie chodził – mówił stary żołnierz ziewając.
- Rozmowa ucichła, żołnierze zaczęli się układać do snu.
- Patrzcie, tyle gwiazd świeci, aż strach! Powiedz: jakby baby płótna rozłożyły – mówił żołnierz podziwiając Drogę Mleczną.
- To, bracie, na urodzaj.
- Drzewa to jeszcze trzeba będzie...
- Plecy zagrzejesz, to brzuch zamarznie. To dopiero.
- O Boże!
- Co się rozpychasz, sam jeden jesteś przy ogniu czy jak? Widzisz... rozwalił się.
- W ciszy, która zapadła, rozległo się chrapanie niektórych śpiących, inni obracali się i grzali, z rzadka wymieniając słowa. Od ogniska oddalonego o jakie sto kroków dolatywał zgodny wesoły śmiech.
- Widzisz, rechoczą w piątej rocie – powiedział jeden z żołnierzy. – I ludzi, aż się roi!
- Jeden z żołnierzy podniósł się i poszedł ku piątej rocie.
- Śmiechu a śmiechu – powiedział wracając. – Dwa Chrancuzy podeszły. Jeden całkiem przemarzł, a drugi taki chwacki, ech! Piosenki śpiewa.
- O-o? Chodźmy zobaczyć... – Kilku żołnierzy skierowało się ku piątej rocie.

Że Bonapart czarował...

Do tych stów objaśnienie poety: „Mnóstwo krąży powieści między prostym ludem rosyjskim o czarach Bonapartego i Suworowa”.

IX

Piąta rota stała pod samym lasem. Ogromne ognisko paliło się jasno wśród śniegu, oświetlając gałęzie drzew, uginające się pod szronem. północy żołnierze piątej rotacji usłyszeli w lesie kroki po śniegu i trzask chrustu.

– Chłopcy, niedźwiedź – powiedział jeden z żołnierzy. Wszyscy podnieśli głowy, nasłuchiwali; z lasu, w jaskrawe światło ogniska, podtrzymując się nawzajem weszły dwie dziwnie przyrodziane postacie.

Byli to dwaj kryjący się w lesie Francuzi. Mówiąc coś ochryple, niezrozumiałym dla żołnierzy językiem, podeszli do ogniska. Jeden z nich wyższy, w oficerskim kapeluszu, wydawał się zupełnie osłabły. Gdy podeszedł do ogniska, chciał usiąść, ale upadł na ziemię. Drugi, mały, przysadzisty żołnierz z policzkami obwiązanymi chustką był silniejszy.

Podniósł towarzysza i wskazując na swe usta, coś mówił. Żołnierze otoczyli Francuzów, podesłali choremu płaszcz i obydwóm przynieśli kaszy i wódki.

Oslabionym francuskim oficerem był Ramballe, obwiązanym chusteczką jego ordynans – Morel.

Gdy Morel napił się wódki i dojadł z menażki kaszę, nagle rozweselił się chorobliwie i zaczął coś mówić nie rozumiejącym go żołnierzom. Ramballe nie chciał jeść i milcząc leżał przy ognisku, wsparty na łokciu, bezmyślnie patrząc na żołnierzy rosyjskich zaczerwienionymi oczami. Od czasu do czasu jęczał przeciągle i znowu milkł. Morel, wskazując na ramiona, przekonywał żołnierzy, że to oficer i że należy go rozgrzać. Rosyjski oficer, który podeszedł do ogniska, posłał zapytać do pułkownika, czy nie wzięłyby do siebie francuskiego oficera, aby się rozgrzał, gdy wysłańcy wrócili i powiedzieli, że pułkownik kazał go przyprowadzić, powiedziano Ramballe'owi, żeby się zbierał. Wstał i chciał iść, ale się zatoczył i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymał stojący przy nim żołnierz.

– Co? Nie pójdziesz? – mrugnawszy drwiąco powiedział jeden z żołnierzy zwracając się do Ramballe'a.

E, głupi! Ruszył rozumem. Od razu widać – chłop, prawdziwy chłop – słyhać było ze wszystkich stron słowa nagany dla drwiącego żołnierza. Ramballe'a otoczono, dwaj żołnierze wzięli go pod ręce, skrzyżowawszy je, i ponieśli do chaty. Ramballe objął żołnierzy za szyję i gdy go niesiono, żałośnie powtarzał:

– Oh, mes braves, oh, mes bons, mes bons amis! Voila des hommes! Oh, mes braves, mes bons amis!³⁹³ – i jak dziecko skłonił głowę na ramię jednego z żołnierzy.

Morel tymczasem siedział na poczesnym miejscu, otoczony żołnierzami.

Malutki, przysadzisty Francuz Morel ze łzawiącymi i rozpalonymi oczami, obwiązany po kobiecemu chustką przez czapkę, odziany był w damską szubkę. Widocznie podchmielony objął

³⁹³ Och, moi dzielni, och, moi dobrzy, moi dobrzy przyjaciele. Oto ludzie! Och, moi dzielni, moi dobrzy przyjaciele.

ręką żołnierza siedzącego przy nim i śpiewał ochryplym, urywanym głosem francuską piosenkę. Żołnierze patrzyli na niego, trzymając się za boki.

– No, no, naucz, jak? Ja od razu uchwyć. Jak?... – mówił zartowniś-pieśniarz, którego Morel obejmował.

Vive Henri Quatre,
Vive ce roi vaillant!

zaśpiewał Morel mrugając okiem.

Ce diable a quatre³⁹⁴ ...

– Wiwarika! Wiw seruwaru! Sidiablaka... – powtórzył żołnierz machnąwszy ręką i rzeczywiście uchwycił motyw.

– Widzisz, sprawnie! Cha, cha, cha, cha, cha!... – rozległ się zewsząd mocny, radosny śmiech. Morel, zmarszczywszy się, śmiał się również.

– No, różnij jeszcze, jeszcze!

Qui eut le triple talent
De boire, de battre
Et d'etre un vert galant!³⁹⁵

– A przecież i to składne. No, no, Zaletajew!...

– Kiu... – z wysiłkiem wymówił Zaletajew. – Kiu-ju-ju – wyciągnął starannie wydymając wargi – letrip tała de bu de ba i de trawagala – prześpiewał.

– Oj, jak dobrze! To ci Chrancuz! Oj... cha, cha, cha! Cóż, zjadłbyś co jeszcze?

– Dajże mu kaszy; głodu tak prędko nie zaspokoisz! Znowu dano mu kaszy i Morel ze śmiechem wziął się do trzeciej menażki. Widać było radosne uśmiechy na wszystkich twarzach młodych żołnierzy, patrzących na Morela. Starzy żołnierze, uważający, że nie przystoi im zajmować się takimi głupstwami, leżeli z drugiej strony ogniska, ale niekiedy unosili się na łokciu, z uśmiechem spoglądając na Morela.

– Też ludzie – powiedział jeden z nich zawijając się w płaszcz. – I piołun na swym korzeniu rośnie.

– Oo! Boże, Boże! Jakie gwiazdziska, aż strach! Na mróz... – I wszystko ucichło.

Gwiazdy, jakby wiedząc, że teraz nikt ich nie zobaczy, rozjarzyły się na czarnym niebie. To zapalając się, to gasnąc, to mrugając, szeptały między sobą poufnie o czymś radosnym, lecz tajemniczym.

³⁹⁴ Niech żyje Henryk IV! Niech żyje ten waleczny król! itd.

³⁹⁵ Co miał potrójny talent: do picia, do walki i do galanterii... (Vert galom – dziarski galant: przezwisko Henryka IV).

X

Wojska francuskie topniały równomiernie, ze ścisłością postępu matematycznego. I to przejście przez Berezynę, o którym dużo napisano, było tylko jednym ze stopni zniszczenia francuskiej armii, a bynajmniej nie decydującym epizodem kampanii. Jeżeli o Berezynie tak dużo napisano i jeszcze się pisze, to nastąpiło to tylko dlatego, że na zerwanym moście na Berezynie klęski, które przedtem spadały na armię francuską kolejno, tutaj zgrupowały się nagle w jednym momencie i w jednym tragicznym widowisku, które pozostało w pamięci wszystkich. Ze strony zaś rosyjskiej tyle mówiono i pisano o Berezynie dlatego, że daleko od teatru wojny, w Petersburgu, opracowano plan (opracował Pfuell] ujęcia Napoleona w strategiczną pułapkę nad Berezyną. Wszyscy byli przekonani, że wszystko będzie się dziać tak jak w planie, i dlatego dowodzili potem, że właśnie przeprawa przez Berezynę zgubiła Francuzów. W rzeczywistości zaś rezultaty berezyńskiej przeprawy były, jak to pokazują cyfry, znacznie mniej zgubne dla Francuzów stratami armat i jeńców niż bitwa pod Krasnem.

Jedynie znaczenie przeprawy berezyńskiej polega na tym, że ta przeprawa jasno i niewątpliwie dowiodła fałszywości wszelkiego planowego odcinania i słuszności jedynie możliwego sposobu działań, tak jak tego chciał Kutuzow: ścigania nieprzyjaciela. Tłum Francuzów uciekał ze wzrastającą szybkością, z całą energią skierowaną do osiągnięcia celu. Uciekał jak postrzelone zwierzę i nie można mu było stawać na drodze. Tego dowiodła nie tyle organizacja przeprawy, co atak na mosty. Gdy mosty zerwano, bezbronni żołnierze, mieszkańcy Moskwy, kobiety z dziećmi, przebywający w taborze Francuzów – wszystko to pod wpływem siły inercji nie poddawało się, lecz uciekało naprzód do łodzi i w lodowatą wodę.

Była to dążność rozumna. Położenie i uciekających, i ścigających było jednakowo ciężkie. Pozostając ze swymi, każdy w nieszczęściu mógł liczyć na pomoc towarzysza i na określone, zajmowane przez siebie miejsce między swymi. A poddawszy się Rosjanom, był tak samo w ciężkim położeniu, ale schodził na niższy stopień w podziale środków do zaspokojenia potrzeb życia. Francuzi nie musieli mieć ścisłych wiadomości o tym, że połowa jeńców, z którymi nie wiadano, co robić, ginęła od chłodu i głodu, mimo że Rosjanie pragnęli ich uratować; czuli, iż nie mogło być inaczej. Najbardziej współpracujący i najżyczliwsi Francuzom dowódcy rosyjscy – Francuzi w rosyjskiej służbie – nic nie mogli uczynić dla jeńców. Francuzów gubiła nędza, w której znalazło się wojsko rosyjskie. Nie można było odbierać chleba i odzieży głodnym, a potrzebnym żołnierzom, żeby je oddać nieszkodliwym, nie nienawistnym, nie winnym, ale po prostu niepotrzebnym Francuzom. Niektórzy i to robili, były to jednak tylko wyjątki.

Na tyłach czekała jawna śmierć; na przedzie była nadzieja. Okręty spalono; nie było innego ocalenia, prócz wspólnej ucieczki i na tę wspólną ucieczkę Francuzi poświęcili wszystkie swe siły.

Im dalej Francuzi uciekali, im żałośniej wyglądały ich niedobitki, zwłaszcza po bitwie nad Berezyną, w której to bitwie skutek petersburskiego planu pokładano szczególne nadzieje, tym

mocniej rozpalały się namiętności rosyjskich dowódców, oskarżających się wzajemnie, a szczególnie winiących Kutuzowa. Uważali, że niepowodzenie berezyńsko-petersburskiego planu jemu będzie przypisane, i okazywali mu coraz większe niezadowolenie, lekceważenie i drwiny. Pokpiwanie to i pogarda wyrażały się, oczywiście, w formie pełnej szacunku, w takiej formie, że Kutuzow nie mógł nawet zapytać, co i dlaczego mu się zarzuca. Nie rozmawiano z nim poważnie, raportując i prosząc o decyzję przybierano postawę ludzi spełniających przykry obrządek, a za plecami mrugano do siebie porozumiewawczo i starano się oszukiwać go na każdym kroku.

Wszyscy ci ludzie uznali – właśnie dlatego, że nie mogli go zrozumieć – iż ze starcem nie ma co rozmawiać; że nigdy nie zrozumie głębi ich planów; że będzie odpowiadał frazesami (wydawało się im, że to tylko frazesy) o złotym moście, o tym, że za granicę nie można pójść z tłumem włóczęgów itp. Wszystko to już od niego słyszeli. I wszystko, co mówił, na przykład, że trzeba poczekać na prowiant, że ludzie są bez butów – wszystko to było tak pospolite, a wszystko, co oni proponowali, tak złożone i rozumne, iż było dla nich oczywiste, że on jest głupi i stary, oni zaś byli genialnymi wodzami, pozbawionymi władzy.

Zwłaszcza po przyłączeniu się armii świetnego admirała oraz bohatera Petersburga, Wittgensteina, nastroje i plotki sztabowe dosięgły zenitu. Kutuzow to widział i wzdychając wzruszał tylko ramionami. Tylko raz, po Berezynie, rozgniewał się i napisał do Bennigsen, składającego cesarzowi osobiste raporty, następujący list:

Ze względu na stan Pańskiego zdrowia zechce Ekscelencja po otrzymaniu niniejszego wyjechać do Kaługi, gdzie proszę oczekiwać na dalsze rozkazy i nominację od Najjaśniejszego Pana.

Ale zaraz po odjeździe Bennigsen przyjechał do armii wielki książę Konstanty Pawłowicz, który rozpoczął kampanię i został usunięty z armii przez Kutuzowa. Przyjechawszy do armii, wielki książę zakomunikował Kutuzowowi niezadowolenie cesarza ze słabych osiągnięć naszych wojsk i powolności działań. Jego cesarska mość zamierzał przybyć do armii osobiście w najbliższych dniach.

Stary człowiek, tyleż doświadczony w sprawach dworskich, co w wojennych, ten Kutuzow, który w sierpniu tegoż roku został mianowany wodzem naczelnym wbrew woli cesarza, ten, który oddalił następcę tronu, wielkiego księcia, z armii, ten, który swą władzą wbrew woli cesarza zarządził oddanie Moskwy – ten Kutuzow teraz zrozumiał natychmiast, że czas jego się skończył, że rolę swą odegrał i nie posiada już owej rzekomej władzy. Zrozumiał to nie tylko poprzez swe stosunki z dworem. Z jednej strony widział, że sprawa wojenna, ta, w której grał swą rolę, jest skończona, i czuł, że wypełnił swe zadanie. Z drugiej strony zaczął odczuwać wówczas fizyczne wyczerpanie swego starczego ciała i konieczność fizycznego odpoczynku.

29 listopada Kutuzow wjechał do Wilna – do swego poczciwego Wilna, jak mówił. Dwukrotnie w czasie swej służby Kutuzow był w Wilnie gubernatorem³⁹⁶. W bogatym ocalałym Wilnie oprócz wygód, których od dawna był już pozbawiony, Kutuzow znalazł starych przyjaciół i wspomnienia. I odwróciwszy się nagle – na tyle, na ile pozwalały mu namiętności kipiące wokół niego – od wszystkich wojennych i państwowych kłopotów, rozpoczął spokojne, zwykłe życie, jakby wszystko, co się stawało teraz i miało się stawać w świecie historycznych wydarzeń, zupełnie go nie dotyczyło.

Czyczagow, jeden z najbardziej namiętnych odcinaczy i obalaczy, Czyczagow, który chciał z początku robić dywersję w Grecji, a później w Warszawie, ale nigdy nie chciał iść tam, gdzie mu

³⁹⁶ Kutuzow był general-gubernatorem wileńskim od grudnia 1799 r. do lipca 1801 r. i od lipca 1809 r. do kwietnia 1812 r. Wg świadectwa autorów polskich (Frank, Skibiński) miał być przychylny względem ludności.

kazano, Czyczagow, znany ze swych śmiałych rozmów z cesarzem, Czyczagow, uważający się za dobroczyńcę Kutuzowa z tego powodu, że gdy go wysłano w roku 1811 do zawarcia pokoju z Turcją z pominięciem Kutuzowa, przekonawszy się, że pokój już zawarty, oświadczył cesarzowi, że zasługa zawarcia pokoju należy do Kutuzowa – ten właśnie Czyczagow pierwszy przywitał Kutuzowa w Wilnie przed zamkiem, w którym miał Kutuzow się zatrzymać. W mundurze admirałskim, z kordzikiem, trzymając czapkę pod pachą, Czyczagow złożył Kutuzowowi raport i podał klucze miasta. Ów stosunek pogardliwego szacunku młodzieży do człowieka starego, tracącego władze umysłowe, wyraził się w całej pełni w zachowaniu się Czyczagowa, który znał już zarzuty stawiane Kutuzowowi.

Rozmawiając z Czyczagowem Kutuzow powiedział mu między innymi, że zabrane mu w Borysowie wozy z zastawą ocalały i będą mu zwrócone.

– C'est pour me dire que je n'ai pas sur quoi manger... Je puis au contraire vous fournir de tout dans le cas meme ou wus youdriez donner des diners³⁹⁷ – odpowiedział czerwieniąc się Czyczagow, pragnąc w każdym słowie okazać swą słusność i dlatego sądził, że i Kutuzowowi szło o to samo. Kutuzow, wzruszywszy ramionami, odparł ze swym delikatnym, przenikliwym uśmiechem:

– Ce n'est que pour vous dire ce que je vous dis.³⁹⁸

W Wilnie Kutuzow zatrzymał większą część wojska wbrew woli cesarza. Kutuzow, jak mówili jego zaufani, opuścił się niezwykle i osłabł fizycznie w czasie swojego pobytu w Wilnie. Sprawami armii zajmował się niechętnie, pozostawiał wszystko swym generałom i, oczekując cesarza, prowadził życie rozproszone.

Wyjechawszy 7 grudnia z Petersburga ze swą świtą – hrabią Tolstojem, księciem Wołkońskim, Arakczajewem i innymi – 11 grudnia cesarz przyjechał do Wilna i w podróżnych saniach podjechał prosto do zamku. Przed zamkiem mimo silnego mrozu stało około stu generałów i oficerów sztabu w pełnej gali oraz honorowa warta Siemionowskiego pułku.

Kurier przygalopował pod zamek zgrzaną trójką, poprzedzając cesarza, i krzyknął: „Jedzie!” Konownicyn popędził do sieni, by powiadomić Kutuzowa, oczekującego w małym pokoiku szwajcara.

Po chwili ciężka, wysoka postać starca w pełnej gali, ze wszystkimi odznaczeniami pokrywającymi piersi i wstęgą orderową podtrzymującą brzuch, kołysząc się poszła ku wyjściu. Kutuzow nałożył kapelusz przepisowo, wziął rękawiczki i boczkiem, z wysiłkiem schodząc po stopniach, zszedł z nich i wziął do ręki raport, przygotowany dla cesarza.

Bieganina, szepty, błyskawiczny przelot jeszcze jednej trójki i wszystkie oczy skierowały się na podskakujące sanie, w których widoczne już były postaci cesarza i Wołkońskiego. Wszystko to z przyzwyczajenia lat pięćdziesięciu podnieciło starego generała, zafrasowany, obciągnął mundur śpiesznie poprawił kapelusz i jednocześnie, w chwili gdy cesarz wysiadłszy z sań spojrział na niego – zebrał się w sobie, wyprostował, podał raport i zaczął mówić miarowym, pochlebczym głosem.

Cesarz szybkim spojrzeniem obrzucił Kutuzowa od stóp do głów, zachmurzył się na mgnienie, ale natychmiast się przezwyciężył, podszedł i rozłożywszy ręce objął starego generała. Znowu pod wrażeniem zadawnionego nawyku, związku z jego intymnymi myślami, uścisk ten, jak zwykle, wzruszająco podziałał na Kutuzowa: starzec chlipnął.

Cesarz powitał oficerów, wartę siemionowców i uściskawszy jeszcze raz rękę starca wszedł z

³⁹⁷ Chce mi psa powiedzieć, że nie mam na czym jeść. Przeciwnie, mogę panu służyć wszystkim, nawet gdybyś zechciał robić przyjęcia.

³⁹⁸ Chcę powiedzieć to, co mówić, nic więcej.

nim do zamku.

Gdy zostali sami, cesarz wyraził feldmarszałkowi swe niezadowolenie z powolności pościgu, z błędów w Krasnem i nad Berezyną i zakomunikował swój pogląd na przyszły marsz za granicę. Kutuzow ani nie przeczył, ani nie czynił uwag. Ten sam wyraz pokory i bezmyślności, z którym siedem lat temu słuchał rozkazu cesarza na polu pod Austerlitz, widniał teraz na jego twarzy.

Gdy Kutuzow wyszedł z gabinetu i swym ciężkim, chwiejnym krokiem, z opuszczoną głową, kroczył po sali, zatrzymał go jakiś głos.

– Wasza dostojność – powiedział ktoś.

Kutuzow podniósł głowę i długo patrzył w oczy hrabiemu Tołstojowi, który z jakimś maleńkim przedmiotem na srebrnej tacy stał przed nim. Kutuzow zdawał się nie rozumieć, czego od niego chciał.

Nagle jakby sobie przypomniał: ledwo widoczny uśmiech przemknął po jego pulchnej twarzy. Pochylił się nisko, z szacunkiem i wziął przedmiot leżący na tacy. Był to Sw. Jerzy pierwszego stopnia.

XI

Nazajutrz odbył się u feldmarszałka obiad i bal, które cesarz zaszczylił swą obecnością. Kutuzowa odznaczono Orderem Św. Jerzego pierwszego stopnia; cesarz okazywał mu najwyższe honory, ale wszyscy wiedzieli, że cesarz nie jest zadowolony z feldmarszałka. Zachowywano pozory przyzwoitości i cesarz dał przykład pierwszy, ale wszyscy wiedzieli, że stary zawinił i że nie nadaje się do niczego. Gdy na balu – według starego obyczaju z czasów Katarzyny – Kutuzow kazał przy wejściu cesarza na salę rzucić mu do stóp zdobyte sztandary, cesarz skrzywił się nieprzyjemnie i wypowiedział słowa, między którymi usłyszano: „Stary komediant”.

Niezadowolenie cesarza z Kutuzowa wzrosło w Wilnie szczególnie dlatego, że Kutuzow widocznie nie chciał czy nie mógł zrozumieć znaczenia przysłej kampanii.

Gdy nazajutrz rano cesarz powiedział zebranim u niego oficerom: „Uratowaliście nie tylko Rosję – uratowaliście Europę”, wtedy już wszyscy zrozumieli, że wojna nie jest skończona.

Tylko Kutuzow nie chciał tego zrozumieć i otwarcie wyrażał swe zdanie, że nowa wojna nie może poprawić położenia i zwiększyć sławy Rosji, lecz może tylko pogorszyć to położenie i obniżyć ten najwyższy stopień sławy, na którym, jego zdaniem, stała teraz Rosja. Starał się przekonać cesarza o niemożliwości powołania nowych wojsk; mówił o ciężkim położeniu ludności, o możliwości niepowodzeń itp.

W takim nastroju feldmarszałek, naturalnie, stawał się tylko przeszkodą i hamulcem w przysłej wojnie.

Dla uniknięcia zatargów ze starcem znaleziono wyjście polegające na tym, żeby, jak pod Austerlitz i jak w początku kampanii za Barciaya, usunąć spod naczelnego wodza – nie niepokojąc go i nie mówiąc mu o tym – ów fundament władzy, na którym stał, i przenieść go pod samego cesarza.

W tym celu stopniowo zreorganizowano nieco sztab i całą istotną władzę sztabu Kutuzowa unicestwiono i przeniesiono na cesarza. Toll, Konownicyn i Jermołow otrzymali inne stanowiska. Wszyscy głośno mówili, że feldmarszałek bardzo osłabł i podupadł na zdrowiu.

Trzeba było, by mu zdrowie nie dopisywało, po to, by przekazać jego stanowisko temu, kto go zastępował. I rzeczywiście zdrowie jego podupadało.

Jak naturalnie i prosto, i stopniowo przeszedł Kutuzow z Turcji do Izby Skarbowej Petersburga, by organizować pospolite ruszenie, a potem – do armii, mianowicie wtedy, gdy był tam niezbędny, tak samo naturalnie, stopniowo i prosto – teraz, gdy rolę swą odegrał – na jego miejsce przyszedł nowy działacz, którego potrzebowano. Wojna 1812 roku prócz swego narodowego znaczenia, drogiego rosyjskiemu sercu, powinna była mieć jeszcze inne znaczenie – europejskie.

Po ruchu narodów z Zachodu na Wschód powinien był nastąpić ruch narodów ze Wschodu na Zachód, a do tej nowej wojny potrzebny był nowy działacz, mający inne niż Kutuzow

właściwości, poglądy, inne pobudki do czynu.

Aleksander I dla ruchu narodów ze Wschodu na Zachód i dla restytucji granic narodów był tak samo niezbędny, jak niezbędny był Kutuzow dla uratowania Rosji i jej sławy.

Kutuzow nie rozumiał tego, co znaczy: Europa, równowaga, Napoleon. Nie mógł tego zrozumieć. Gdy wróg został unicestwiony, gdy wolna Rosja stanęła na najwyższym stopniu sławy, Rosjanin, jako Rosjanin, nie miał nic więcej do zrobienia. Przedstawicielowi wojny narodowej nie pozostawało nic prócz śmierci. I umarł.

XII

Pierre, jak to przeważnie bywa, poczuł cały ciężar fizycznych cierpień i wysiłków, doświadczonych w niewoli, dopiero wtedy, gdy się te wysiłki i cierpienia skończyły. Po uwolnieniu z niewoli przyjechał do Orła i na trzeci dzień po przyjeździe, gdy miał pojechać do Kijowa, zachorował i przeleżał w Orle trzy miesiące, zapadł, jak mówili doktorzy, na żółciową gorączkę. Mimo że doktorzy leczyli go, puszczały mu krew i dawali lekarstwa, wyzdrowiał.

Wszystko, co się z nim działo od czasu uwolnienia aż do choroby, nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Pamiętał tylko szarą, mroczną, to deszczową, to śnieżną pogodę, wewnętrzną melancholię fizyczną, ból w nogach, w boku, pamiętał ogólne wrażenie nieszczęść i cierpień ludzi, pamiętał niepokojącą go ciekawość oficerów i generałów, którzy zadawali mu pytania, trudności w znalezieniu kolaski i koni i najważniejsze, pamiętał o braku zdolności myślenia i odczuwania w tym czasie. W dniu swego uwolnienia widział ciało Pieti Rostowa. Tegoż dnia dowiedział się, że księżę Andrzej żył przeszło miesiąc po bitwie pod Borodinem i dopiero niedawno zmarł w Jarosławiu w domu Rostowów. Tegoż dnia Denisow, komunikujący mu tę wiadomość, wspominał o śmierci Héléne, przypuszczając, że Pierre już dawno wie o tym. Wszystko to wydawało mu się tylko dziwne, czuł, że nie może zrozumieć znaczenia tych wiadomości. Śpieszył się tylko, aby jak najprędzej wyjechać z tych miejsc, gdzie się ludzie wzajemnie zabijali, do jakiejś cichej przystani i tam przyjść do siebie, odpocząć i przemyśleć wszystko to dziwne i nowe, czego się dowiedział w tym czasie. Ale zaraz po przyjeździe do Orła zachorował. Ocknąwszy się po swej chorobie, Pierre ujrzał koło siebie dwóch swych służących, którzy przyjechali z Moskwy Terentia i Waškę – i starszą księżniczkę, która mieszkała w Jelcu, majątku Pierre'a, i dowiedziawszy się o jego uwolnieniu i chorobie, przyjechała, by go pielęgnować.

W czasie rekonwalescencji Pierre powoli tylko odzwyczajał się od wspomnienia wrażeń, do jakich przywykł w czasie ostatnich miesięcy, i przyzwyczajał się do tego, że go nikt jutro nie popędzi, że mu nikt nie zabierze ciepłej pościeli i że na pewno będzie miał obiad i herbatę, i kolację. Ale we śnie długo jeszcze widział się w warunkach niewoli. Również z wolna zaczął pojmować te nowiny, o których się dowiedział po wyjściu z niewoli: śmierć księcia Andrzeja, śmierć żony, klęska Francuzów.

Radosne poczucie wolności, tej pełnej, nie do odebrania, właściwej człowiekowi wolności, którą uświadomił sobie pierwszy raz na pierwszym postoju po wyjściu z Moskwy przepelniało duszę Pierre'a w czasie rekonwalescencji. Dziwił się, że tej wewnętrznej wolności, niezależnie od wszelkich zewnętrznych warunków, towarzyszy teraz jakby z nadmiarem, z przepychem wolność zewnętrzna. Był samotny w obcym mieście, bez znajomych. Nikt niczego od niego nie żądał, nigdzie go nie posyłano. Miał wszystko, co mu było potrzebne; pozbył się stałych, przedtem nękających go myśli o żonie, bo i jej już nie było.

„Ach, jak dobrze! Jak świetnie! – mówił sobie, gdy mu przysuwano czysto nakryty stół z

wonnym bulionem, gdy się kładł na spoczynek w miękką, czystą pościel albo gdy sobie przypominał, że nie ma już żony i Francuzów.

– Ach, jak dobrze, jak cudownie! – Iz dawnego przyzwyczajenia zadawał sobie pytanie: – No, a co potem? Co będę robił? – I zaraz sobie odpowiadał: – Nic. Będę żył. Ach, jak cudownie!”

To, co go dawniej dręczyło, czego nieustannie szukał cel życia, przestało istnieć dla niego. Ten poszukiwany cel życia teraz nie istniał dla niego nieprzypadkowo, w obecnej chwili, lecz czuł, że go nie ma i być nie może. Właśnie to nieistnienie celu dawało mu tę pełną radosną świadomość wolności, która stanowiła w tym czasie jego szczęście.

Nie mógł mieć celu, dlatego że wierzył – wierzył nie w jakiekolwiek zasady albo słowa, albo myśli, ale wierzył w żywego, stale odczuwanego Boga. Przedtem szukał Go w celach, które sobie stawiał. To poszukiwanie celu było tylko poszukiwaniem Boga. I niespodzianie poznał w niewoli nie ze słów, nie rozumowaniem, lecz bezpośrednim uczuciem to, co dawno mu już mówiła niania: że Bóg w Karatajewie jest bardziej wielki, nieskończony i niepojęty niż w uznawanym przez masonów Budowniczym wszechświata. Doświadczał uczucia człowieka, który znalazł pod swymi nogami to, czego szukał, wtedy gdy wyteżał wzrok, patrząc daleko przed siebie. Całe życie patrzył gdzieś tam nad głowami otaczających go ludzi, a nie trzeba było wcale nateżać wzroku, lecz tylko patrzeć przed siebie.

Przedtem w niczym nie umiał dojrzeć tego, co wielkie, niepojęte, nieskończone. Odczuwał tylko, że powinno ono być gdzieś, i poszukiwał go. We wszystkim, co bliskie i zrozumiałe, widział tylko ograniczenie, małość, powszedniość. Uzbierał się w umysłową lunetę i patrzył daleko, tam gdzie ta małość, powszedniość, zacierając się w mglistej dali, wydawały mu się wielkie i nieskończone tylko dlatego, że były niewyraźne, mgliste. Tak mu się przedstawiało życie Europy, polityka, masoni, filozofia, filantropia. Ale i wtedy – w chwilach, które uważał za słabość – rozum jego przenikał w tę dal i widział w niej tę samą poziomość, powszedniość, bezmyślność. Teraz nauczył się znajdować we wszystkim wielkość, wieczność i nieskończoność i dlatego, naturalnie, żeby to widzieć, żeby się tym rozkoszować – odrzucił lunetę, przez którą patrzył dotychczas ponad głowami ludzi i radośnie obserwował wkoło siebie wiecznie zmienne, wiecznie wielkie, niepojęte i nieskończone życie. A im bliżej patrzył, tym bardziej był spokojny i szczęśliwy. Dręczące pytanie: „Po co?”, które przedtem oblało wszystkie jego umysłowe konstrukcje, teraz nie istniało dla niego. Obecnie na pytanie: „Po co?”, miał w duszy zawsze gotową prostą odpowiedź: „Po to, że istnieje Bóg, ten Bóg, bez którego woli nie spada włos z głowy ludzkiej”.

XIII

Pierre prawie się nie zmienił w swym zachowaniu. Na oko był zupełnie taki sam jak przedtem. Podobnie jak dawniej był roztargniony i wydawał się pochłonięty nie tym, co miał przed oczami, lecz czymś swoim, szczególnym. Różnica między poprzednim a obecnym jego zachowaniem polegała na tym, że dawniej, gdy zapominał, co było przed nim i co do niego mówiono, boleśnie marszczył czoło, jakby próbował, ale nie mógł dojrzeć czegoś, co się daleko odsunęło. Teraz również zapominał, co mu mówiono, i nie widział tego, co było przed nim, ale teraz z ledwie widocznym, jakby drwiącym uśmiechem wpatrywał się w to właśnie, co było przed nim, słuchał, co mu mówiono, chociaż oczywiście widział i słyszał coś zupełnie innego. Dawniej wydawał się nawet dobrym człowiekiem, lecz nieszczęśliwym, i dlatego mimio woli ludzie oddalali się od niego. Teraz uśmiech radości życia stale igrał wkoło jego ust, a w oczach jaśniała życzliwość dla ludzi i pytanie, czy są zadowoleni podobnie jak on? I ludziom przyjemnie było w jego obecności.

Dawniej dużo mówił, mówiąc gorączkował się i mało słuchał, teraz z rzadka dawał się porwać rozmowie i umiał słuchać tak, iż ludzie chętnie zwierzali mu się z najgłębszych tajemnic.

Księżniczka, która nigdy nie lubiła Pierre'a i żywiła do niego szczególnie nieprzyjemne uczucia od czasu, gdy po śmierci starego hrabiego uczuła się zobowiązana wobec niego, ku swemu niezadowoleniu i zdziwieniu, po krótkim pobycie w Orle, dokąd przyjechała z zamiarem przekonania Pierre'a, że mimo jego niewdzięczności uważa sobie za obowiązek pielęgnować go – wkrótce poczuła, że go kocha. Pierre niczym nie starał się pozyskać jej sympatii. Przyglądał się jej tylko z zaciekawieniem. Dawniej księżniczka czuła, że gdy na nią patrzył, w jego spojrzeniu wyrażały się obojętność i drwina, i jak przed innymi ludźmi zamykała się i przed nim i okazywała mu tylko swą bojową stronę charakteru, teraz, przeciwnie, czuła, że on jakby chciał wniknąć w najbardziej skryte zakątki jej życia, i z początku z niedowierzaniem, a później z wdzięcznością okazywała mu dobre strony swego charakteru.

Najprzebiegły człowiek nie mógłby zręczniejsz w kraść się w zaufanie księżniczki, wywołując wspomnienia z najlepszych czasów jej młodości i okazując w nich współudział. A tymczasem cała przebiegłość Pierre'a polegała na tym, że szukał własnej przyjemności wywołując w zgryźliwej, oschłej i po swojemu dumnej księżniczce ludzkie uczucia.

„Tak, to bardzo, bardzo dobry człowiek, jeżeli znajduje się pod wpływem nie złych ludzi, lecz takich jak ja” – mówiła sobie księżniczka.

Przemianę, jaka w nim nastąpiła, zauważyli po swojemu i jego słudzy – Terentij i Waśka. Zauważyli, że stał się znacznie prostszy. Często Terentij, rozebrawszy pana, z butami i ubraniem w rękach, życząc dobrej nocy, zwłóczył z odejściem, oczekując, że pan się do niego odezwie. I Pierre przeważnie zatrzymywał Terentia, zauważywszy, że Terentij chciałby sobie pogadać.

No, powiedzże mi... jakżeście tam zdobywali żywność? – pytał. I Terentij zaczynał opowiadać o zniszczeniu Moskwy, o nieboszczyku hrabim i długo stał z ubraniem opowiadając,

a czasem słuchając opowiadań Pierre'a i z przyjemną świadomością zbliżenia się z panem i życzliwością dla niego wychodził do przedpokoju.

Doktor, leczący Pierre'a i odwiedzający go codziennie, mimo że wedle lekarskiego zwyczaju uważał sobie za obowiązek mieć wygląd człowieka, którego każda minuta jest cenna dla cierpiącej ludzkości, przesiadywał u niego godzinami, opowiadając swe ulubione historyjki i obserwacje nad obyczajami chorych w ogóle, a dam w szczególności.

– Tak, przyjemnie pogadać z takim człowiekiem, nie to co u nas na prowincji... – mówił.

W Orle mieszkało kilku jeńców francuskich, oficerów, i doktor przyprowadził jednego z nich, młodego włoskiego oficera.

Oficer ten zaczął bywać u Pierre'a i księżniczka śmiała się z tych tkliwych uczuć, jakie Włoch okazywał Pierre'owi.

Włoch widocznie czuł się szczęśliwy tylko wtedy, gdy mógł przyjść do Pierre'a, rozmawiać z nim i opowiadać mu o swej przeszłości, o swym życiu domowym, o swej miłości i wylewać przed nim swe oburzenie na Francuzów, a zwłaszcza na Napoleona.

Jeżeli wszyscy Rosjanie są choć trochę podobni do pana – mówił do Pierre'a – *c'est un sacrilege que de faire la guerre d'un peuple comme le vtre*³⁹⁹. Tyleście znieśli od Francuzów i nie czujecie nawet nienawiści do nich

A namiętną miłość Włocha Pierre wywołał tylko przez to, że budził w nim wyższe skłonności duszy i sam lubował się nimi.

Pod koniec pobytu Pierre'a w Orle przyjechał do niego stary znajomy, mason – hrabia Willarski – ten, który wprowadzał go do loży w roku 1807. Willarski ożenił się z bogatą Rosjanką, mającą duże majątki w guberni orłowskiej, i zajmował w mieście czasowo jakieś stanowisko w wydziale prowiantowym.

Dowiedziawszy się, że Bezuchow jest w Orle, Willarski, chociaż nigdy nie był z nim na poufalej stopie, przyjechał do niego z takimi wynurzeniami przyjaźni i życzliwości, jakie zwykle wyrażają sobie wzajemnie ludzie spotykając się na pustyni. Willarski nudził się w Orle i był uszczęśliwiony spotkawszy człowieka swej sfery, z jednakowymi, jak sądził, zainteresowaniami.

Ale ku swemu zdziwieniu zauważył niebawem, że Pierre bardzo się oddalił od prawdziwego życia i wpadł, jak sam określał stan Pierre'a, w apatię i egoizm.

– *Vous vous encroutez, mon cher*⁴⁰⁰ – powiedział mu. Mimo to Willarskiemu było teraz przyjemniej z Pierre'em niż dawniej i bywał u niego codziennie. Pierre zaś, patrząc na Willarskiego i słuchając go teraz, dziwił się i nie mógł uwierzyć, że sam bardzo niedawno był do niego podobny.

Willarski był żonaty, miał dzieci, pochłaniały go sprawy majątku żony, urządowanie i rodzina. Uważał, że wszystkie te zajęcia są przeszkodą w życiu i że godne są pogardy dlatego, że celem ich jest jego osobiste dobro i dobro rodziny. Jego absorbowały stale sprawy wojskowe, administracyjne, polityczne, masońskie. I Pierre, nie starając się wpłynąć na zmianę jego poglądów, nie osądzając go, ze swym teraz stałym, radosnym, drwiącym uśmiechem lubował się tym dziwnym, tak bardzo znanym mu zjawiskiem.

W stosunkach swych z Willarskim, z księżniczką, z doktorem, ze wszystkimi ludźmi, z którymi się teraz spotykał, Pierre przejawiał nowy rys, jednający mu przychyłność wszystkich ludzi: przyznawał każdemu człowiekowi możność myślenia, odczuwania, patrzenia na rzeczy po swojemu, uznawał, że nie można słowami obalać przekonań drugiego człowieka. Ta naturalna właściwość każdego człowieka, która dawniej wzburzała i rozdrażniała Pierre'a, teraz stanowiła

³⁹⁹ Świętokradztwem jest wojować z talom narodem jak wasz.

⁴⁰⁰ Pan zasklepia się; w sobie, mój drogi.

podstawę udziału i zainteresowania we współżyciu z ludźmi. Różnica, czasem zupełna sprzeczność poglądów ludzi na życie i nawzajem na siebie, radowała Pierre'a i wywoływała. na jego twarzy łagodnie drwiący uśmiech.

W sprawach praktycznych Pierre teraz nieoczekiwanie poczuł, że posiada swój punkt ciężkości, którego nie miał dawniej. Przedtem każde pieniężne zagadnienie, zwłaszcza prośby o pieniądze, z którymi, jako człowiek bogaty, spotykał się bardzo często, wprawiały go w stan zdumienia i wzburzenia, z którego nie widział wyjścia. „Dać czy nie dać – pytał siebie. – Ja mam, a jemu są potrzebne. Ale inny jeszcze bardziej potrzebuje. Komu są bardziej potrzebne? A może obaj – to oszuci?” I z wszystkich tych wątpliwości dawniej nie znajdował wyjścia i dawał wszystkim dopóty, dopóki było co dawać. W podobne zakłopotanie wpadał dawniej przy każdym zagadnieniu tyczącym się jego majątku, gdy ktoś mówił, że należy postąpić tak, a inny – że inaczej.

Teraz, ku swemu zdziwieniu, widział, że we wszystkich tych zagadnieniach nie ma już więcej wątpliwości i zdumienia. Sam teraz stał się sędzią, decydującym według jakichś nie znanych mu praw, co trzeba i czego nie trzeba robić.

Był, podobnie jak przedtem, obojętny w sprawach pieniężnych. Ale teraz nie miał wątpliwości, co należy, a czego nie należy robić. Pierwszym zajęciem tego nowego sędziego była prośba francuskiego pułkownika-jeńca, który przyszedł do niego, dużo naopowiadał o swych czynach i na koniec wystąpił prawie z żądaniem, żeby mu Pierre dał cztery tysiące franków, by mógł je posłać swojej żonie i dzieciom. Pierre odmówił mu bez najmniejszego wysiłku i trudu, dziwiąc się następnie, jak było proste i łatwe to, co dawniej wydawało mu się trudne, nie do rozwiązania. Ale jednocześnie, odmawiając pułkownikowi, zdecydował, że należy koniecznie zastosować podstęp w tym celu, żeby przy wyjeździe z Orła zmusić włoskiego oficera do przyjęcia pieniędzy, które na pewno mu były potrzebne. Nowym dowodem dla Pierre'a, że ustalił się jego pogląd na sprawy praktyczne, było rozwiązanie zagadnienia długów żony i odbudowania czy nieodbudowania domów i willi w Moskwie.

Do Orła przyjechał do niego główny administrator i Pierre dokonał z nim ogólnego rachunku swych zmienionych dochodów. Pożar Moskwy kosztował Pierre'a, według obliczeń zarządzającego, około dwóch milionów.

Administrator dla pocieszenia po tych stratach przedstawił Pierre'owi zestawienie, że mimo tych strat dochody jego nie tylko się nie zmniejszyły, ale się powiększyły, jeżeli się odmówi spłaty długów zaciągniętych przez hrabinę, do czego Pierre nie jest zobowiązany, i jeżeli nie każe odbudowywać moskiewskich domów i podmoskiewskiej willi, które kosztowały rocznie osiemdziesiąt tysięcy i nic nie przynosiły.

– Tak, tak, to prawda – powiedział Pierre wesoło się uśmiechając. – Tak, tak, to wszystko mi niepotrzebne. Po zniszczeniu stałem się bogatszy,

Ale w styczniu przyjechał z Moskwy Sawielicz, opowiedział o jej położeniu, o kosztorysie, który zestawiał mu architekt, na odbudowanie domu i willi, mówiąc o tym jak o sprawie zdecydowanej. Wtedy też Pierre otrzymał list od księcia Wasilia i innych znajomych z Petersburga. W listach była mowa o długach jego żony. I Pierre zdecydował, że tak zadowolający go plan administratora jest błędny i że trzeba jechać do Petersburga, aby zlikwidować sprawę żony i odbudować się w Moskwie. Dlaczego było to konieczne, nie wiedział, ale wiedział bez wątplenia, że tak trzeba. Dochody jego na skutek tej decyzji zmniejszyły się o trzy czwarte. Ale to było potrzebne, czuł to.

Willarski jechał do Moskwy i umówili się, że pojedą razem.

Pierre doświadczał przez cały czas swej rekonwalescencji w Orle uczucia radości, wolności, życia, ale kiedy jadąc znalazł się na szerokim świecie, zobaczył setki nowych twarzy, uczucie to

jeszcze bardziej wzrosło. W ciągu całej podróży doznawał radości jak uczeń na wakacjach. Wszystkie osoby: stangret, poczmistrz, chłopci na drodze albo we wsi – wszyscy mieli dla niego nowy sens. Obecność i uwagi Willarskiego, który stale uskarżał się na biedę i zacofanie w stosunku do Europy, na nieuctwo Rosji, tylko wzmagaly radość Pierre'a. Tam, gdzie Willarski widział martwość, Pierre widział niezwykle potężną siłę życia, tę siłę, która na tej przestrzeni, wśród tych śniegów, podtrzymywała życie całego osobliwego i jedyne go narodu. Nie przeczył Willarskiemu i jakby zgadzając się z nim (pozorna zgoda była najkrótszą drogą uniknięcia rozważań, które do niczego by nie doprowadziły), słuchał go i uśmiechał się radośnie.

XIV

Podobnie, jak trudno jest określić, po co i dokąd śpieszą mrówki z rozrzuconego mrowiska, jedne unosząc z kopca żdźbła, jajka i martwe ciała, inne wracając do kopca, dlaczego się zderzają, prześcigają nawzajem, biją się – równie trudno było wyjaśnić przyczyny, które zmuszały Rosjan, by po wyjściu Francuzów skupili się w miejscu, które przedtem nazywało się Moskwą. Ale podobnie, jak patrząc na rozsypane wkoło zniszczonego mrowiska mrówki, mimo zupełnego zniszczenia kopczyka, widać po sile energii ogromnej liczby kłębiących się owadów, że zniszczono wszystko prócz czegoś, co się zniszczyć nie da, czegoś niematerialnego, stanowiącego całą siłę mrowiska – tak też i Moskwa w październiku, mimo że nie było ani władz, ani cerkwi, ani pamiątek, ani bogactw, ani domów, była tą samą Moskwą, która istniała w sierpniu. Wszystko było zniszczone prócz czegoś niematerialnego, lecz potężnego, nie do zniszczenia.

Pobudki ludzi, dążących ze wszystkich stron do Moskwy po wygnaniu z niej wroga, były najróżnorodniejsze, osobiste, a w pierwszym okresie – przeważnie dzikie, zwierzęce. Jedna tylko pobudka była wspólna wszystkim: dążenie do tego miejsca, które dawniej nazywało się Moskwą, aby rozwijać tam swą działalność.

Po tygodniu w Moskwie było piętnaście tysięcy mieszkańców, po dwóch – dwadzieścia pięć tysięcy itd. Wciąż wzrastając, liczba ta do jesieni roku 1813 przewyższyła liczbę mieszkańców z roku 1812.

Pierwszymi Rosjanami, którzy weszli do Moskwy, byli Kozacy z oddziału Wintzingerodego, chłopci z pobliskich wsi oraz mieszkańcy Moskwy ukrywający się w jej okolicach. Rosjanie wszedłszy do zniszczonej i ograbionej Moskwy jęli również grabić. Robili dalej to, co robili Francuzi. Tabory chłopskie przybywały do Moskwy, żeby wywieźć na wieś wszystko, co było porzucone w moskiewskich zniszczonych domach i na ulicach. Kozacy wywozili wszystko, co mogli, do swych stanic, właściciele domów zabierali wszystko, co znaleźli w innych domach, i przynosili do siebie pod pozorem, że to była ich własność.

Ale po pierwszych grabieżach przyjeżdżali drudzy i jeszcze trzeci i rabunek codziennie w miarę zwiększania się liczby grabieżców stawał się coraz trudniejszy i przyjmował bardziej określone formy.

Chociaż Francuzi zastali Moskwę wyludnioną, jednak ze Wszystkimi organicznymi formami prawidłowego życia miasta, z jego różnymi czynnościami handlowymi, rzemieślniczymi, luksusem, urzędami państwowymi, religią. Formy te były martwe, ale istniały. Były sklepy, magazyny, spichrze, bazary – przeważnie z towarami; były szpitale, więzienia, urzędy, cerkwie, sobory. Im dłużej pozostawali Francuzi, tym bardziej niszczały te formy miejskiego życia i w końcu wszystko się zlało w jedno niepodzielne, martwe pole grabieży.

Im dłużej trwała grabież Francuzów, tym bardziej niszczały bogactwa Moskwy i siły grabieżców. Im dłużej trwał rabunek Rosjan, im więcej ludzi brało w nim udział, tym prędzej

odbudowywało się bogactwo Moskwy i regularne życie miasta.

Prócz grabieżców – najróżnorodniejsi ludzie, jedni z ciekawości, drudzy z obowiązku służbowego, jeszcze inni z wyrachowania – właściciele domów, duchowieństwo, wyżsi i niżsi urzędnicy, kupcy, rzemieślnicy, chłopci – z różnych stron jak krew do serca napływali do Moskwy.

Po tygodniu już chłopci przyjeżdżający z pustymi wozami po to, żeby wywozić rzeczy, zatrzymywani byli przez władze i zmuszani do wywożenia trupów z miasta. Inni chłopci, słysząc o niepowodzeniu towarzyszy, przyjeżdżali do miasta z chlebem, owsem, sianem, obniżając cenę poniżej cen dawnych. Zespoły cieśli, mając nadzieję na wielkie zarobki, napływały codziennie do miasta i wszędzie budowano nowe domy i naprawiano stare, nadpalone. Kupcy otwierali sklepy w szopach. Szynki, zajazdy umieszczano w domach wypalonych. Duchowieństwo wznowiło nabożeństwa w wielu nie spalonych cerkwiach. Ofiarodawcy przynosili rozgrabione cerkiewne przedmioty. Urzędnicy umieszczali swe stoły kryte suknem i szafy z aktami w małych pokojkach. Wyższe władze i policja zarządziły rozdawanie rzeczy pozostałych po Francuzach. Właściciele tych domów, w których pozostawiono dużo rzeczy przywiezionych z innych domów, uskarżali się na niesprawiedliwość nakazu, by przewieźć wszystkie rzeczy do Granowitego Pałacu⁴⁰¹ inni, dowodząc, że Francuzi zwozili rzeczy z różnych domów w jedno miejsce, uważali, że byłoby niesprawiedliwością pozostawiać właścicielowi domu rzeczy, które u niego znaleziono. Złorzeczono policji, przekupywano ją; spisywano dziesięciokrotnie wyższe wykazy spalonych skarbowych rzeczy; żądano zapomóg. Hrabia Rastopczyń pisał swe proklamacje.

⁴⁰¹ W oryg.: Granowitaja Polata, budynek w obrębie Kremla, nazwany tak od szlifowanych kamiennych prostokątów, którymi są oblicowane jego ściany zewnętrzne (grań). Wzniesiony za panowania Iwana III, a przeznaczony do przyjęć, audiencji etc.

XV

Pierre przyjechał do Moskwy w końcu stycznia i zamieszkał w ocalonej oficynie. Złożył wizytę hrabiemu Rastopczynowi, niektórym znajomym, którzy wrócili do Moskwy, i po trzech dniach zaczął się szykować do wyjazdu do Petersburga. Wszyscy święcili zwycięstwo, wszystko wrzało życiem w zniszczonej i odżywiającej stolicy. Wszyscy radzi byli Pierre'owi. Wszyscy go chcieli widzieć i wszyscy wypytywali go o to, co widział. Pierre czuł się szczególnie przyjaźnie usposobiony do wszystkich ludzi, których spotykał, ale mimo woli teraz miał się wobec wszystkich ludzi na ostrożności, tak żeby się czymkolwiek nie związać. Na wszystkie pytania, które mu zadawano – poważne czy błahe – a więc czy go pytano, gdzie będzie mieszkał? czy będzie budował? kiedy pojedzie do Petersburga? czy podejmie się przewiezienia szkatułki? – odpowiadał: „Tak, być może, myślę, że tak” itd.

Słyszał, że Rostowowie są w Kostromie, i myśl o Nataszy nawiedzała go rzadko. Jeśli się zjawiała, to w formie przyjemnych wspomnień z dawnej przeszłości. Czuł się wolny nie tylko od konwencji życiowych, ale i od tego uczucia, które, jak mu się zdawało, umyślnie sam sobie wmówił.

Na trzeci dzień po swoim przyjeździe do Moskwy dowiedział się od Drubeckich, że księżniczka Maria jest w Moskwie. O śmierci, cierpieniach, ostatnich dniach księcia Andrzeja myślał często, a teraz myśli te ogarnęły go na nowo. Dowiedziawszy się przy obiedzie, że księżniczka Maria jest w Moskwie i mieszka w swym ocalałym domu na Wozdwiżence, tegoż wieczora pojechał do niej.

W drodze do księżniczki Marii Pierre nie przestawał myśleć o księciu Andrzeju, o swej przyjaźni z nim, o różnych z nim spotkaniach, a zwłaszcza o ostatnim – pod Borodinem.

„Czy umarł w tym gniewnym nastroju, w jakim był wtedy? Czy nie odkrył przed śmiercią znaczenia życia?” – myślał Pierre. Przypomniał sobie Karatajewa, jego śmierć i mimowolnie zaczął porównywać tych dwóch ludzi tak różnych, a jednocześnie tak dlań podobnych ze względu na przyjaźń, którą żywił dla obu, i dlatego że obaj żyli i obaj umarli.

W bardzo poważnym nastroju Pierre podjechał do domu starego księcia. Dom ten ocalał. Widoczne były na nim ślady zniszczenia, ale charakter domu pozostał ten sam. Wszedł do Pierre'a stary sługa z surową twarzą, jakby chcąc dać do zrozumienia przybyłemu, że nieobecność księcia nie zmienia porządku w domu, i powiedział, że księżniczka raczyła przejść do swych pokojów i przyjmuje w niedziele.

– Zamelduj, może zostaną przyjęty – powiedział Pierre.

– Słucham – odpowiedział sługa. – Pozwoli pan do sali portretowej.

Po kilku minutach wyszli do Pierre'a sługa i Dessales. Dessales w imieniu księżniczki zakomunikował Pierre'owi, że będzie rada go widzieć i prosi go, jeżeli wybaczy jej tę bezceremonialność, aby wszedł na górę do jej pokoju.

W niskim pokoju, oświetlonym jedną świeczką, siedziała księżniczka i ktoś jeszcze w czarnej

sukni. Pierre pamiętał, że księżniczka zawsze miała damy do towarzystwa, ale kim one były, te panny, Pierre nie wiedział i nie pamiętał. „To jedna z tych panien” – pomyślał spojrzawszy na panią w czerni.

Księżniczka szybko podniosła się i podała mu rękę.

– Tak – powiedziała wpatrując się w jego zmienioną twarz, gdy pocałował ją w rękę – oto jak się spotykamy. On i w ostatnich dniach często mówił o panu – powiedziała przenosząc wzrok z Pierre'a na swą towarzyszkę z nieśmiałością, która uderzyła Pierre'a na mgnienie.

– Jakże się ucieszyłam dowiedziawszy się o pańskim ocaleniu. Była to jedyna radosna wiadomość od dłuższego czasu. – Znowu, jeszcze niespokojniej, księżniczka spojrzała na swą towarzyszkę i chciała coś powiedzieć, ale Pierre jej przerwał.

– Proszę sobie wyobrazić, że nic o nim nie wiedziałem – powiedział. – Sądziłem, że poległ. Wszystko, czego się dowiedziałem, dowiedziałem się od innych, przez osoby trzecie. Wiem tylko, że trafił do Rostowów... Co za los!

Pierre mówił szybko, z ożywieniem. Popatrzył chwilę na twarz kompanionki, dostrzegł ciekawe i życzliwe spojrzenie skierowane na niego i, jak to często bywa w czasie rozmowy, nie wiadomo czemu odczuł, że ta panna w czarnej sukni – to miła, dobra, wspaniała istota, która nie przeszkodzi mu w serdecznej rozmowie z księżniczką Marią.

Ale kiedy wypowiedział ostatnie słowa o Rostowach, zmieszanie na twarzy księżniczki Marii wyraziło się jeszcze mocniej. Znowu przeniosła wzrok z twarzy Pierre'a na twarz pani w czerni i powiedziała:

– Czy pan nie poznaje?

Pierre spojrzał jeszcze raz na bladą, delikatną, z czarnymi oczyma i dziwnymi ustami twarz panny. Coś bliskiego, dawno zapomnianego i więcej niż miłego patrzyło nań z tych uważnych oczu.

„Ale nie, nie może być – pomyślał. – Ta poważna wychudzona, blada i postarzała twarz? To nie może być ona. To tylko wspomnienie!” Ale w tej chwili księżniczka Maria powiedziała: „Natasza”. I ta twarz o uważnych oczach z trudnością, wysiłkiem, jak otwierają się zardzewiałe drzwi, uśmiechnęła się, i z tych otwartych drzwi nagle wybiegło i ogarnęło Pierre'a dawno zapomniane szczęście, o którym, zwłaszcza teraz, nie myślał. Wybiegło, ogarnęło go i pochłonęło całkowicie. Gdy się uśmiechnęła, już nie mogło być wątpliwości: to była Natasza, i on ją kochał.

W tej pierwszej chwili Pierre mimo woli i jej, i księżniczce Marii, i co najważniejsze – sobie wypowiedział nie znaną tajemnicę. Poczzerwieniał radośnie, ale był to zarazem rumieniec cierpienia i bólu. Chciał ukryć swe wzruszenie. Ale im bardziej chciał je ukryć, tym wyraźniej – wyraźniej niż najwyraźniejszymi słowami – mówił sobie i jej, i księżniczce Marii, że ją kocha.

„Nie, to dlatego że to tak nieoczekiwanie” – pomyślał Pierre. Ale gdy chciał ciągnąć dalej rozmowę rozpoczętą z księżniczką Marią, znowu spojrzał na Nataszę i jeszcze mocniejszy rumieniec pokrył mu twarz i ogarnęło go jeszcze głębsze uczucie radości i lęku. Zaplątał się w słowach i przerwał w połowie zdania.

Pierre nie zauważył Nataszy, bo wcale nie spodziewał się, że ją tu zobaczy, ale nie poznał jej dlatego, że nastąpiła ogromna w niej przemiana od czasu, gdy ją ostatnio widział. Wychudła i pobladła. Ale nie to nie pozwoliło jej poznać; nie mógł jej poznać w pierwszej chwili, gdy wszedł, dlatego że w tej twarzy, w której dawniej oczy błyszczały zawsze utajonym uśmiechem radości życia, teraz, gdy wszedł i spojrzał na nią po raz pierwszy, nie było nawet cienia uśmiechu; były tylko oczy – uważne, dobre i smutno pytające oczy.

Natasza, widząc zmieszanie Pierre'a, nie zmieszała się i tylko ledwo widoczna radość rozjaśniła jej twarz.

XVI

– Przyjechała do mnie w gości – powiedziała księżniczka Maria. – Hrabia i hrabina będą w tych dniach. Hrabina jest ciężko chora. Ale i Natasza potrzebowała pomocy lekarza. Przemocą wysłano ją ze mną.

– A czyż jest rodzina, która nie cierpi? – powiedział Pierre zwracając się do Nataszy. – Wie pani, że było to w dniu naszego uwolnienia. Widziałem go. Jakież to był piękny chłopiec!

Natasza patrzyła na niego i w odpowiedzi na te słowa bardziej tylko rozszerzyły się i zaświeciły jej oczy.

– Cóż tu można powiedzieć lub pomyśleć na pocieszenie? – mówił Pierre. – Nic. Dlaczego umarł taki wspaniały, pełen życia chłopiec?

– Tak, w naszych czasach trudno by żyć bez wiary... – powiedziała księżniczka Maria.

– Tak, tak. To głęboka prawda – spiesznie przerwał Pierre.

– Dlaczego? – spytała Natasza uważnie patrząc w oczy Pierre'a.

– Jak to „dlaczego”? – rzekła księżniczka Maria.

– Sama myśl o tym, co nas tam... czeka.

Natasza, nie dosłuchawszy księżniczki Marii, znowu pytająco popatrzyła na Pierre'a.

– I dlatego – ciągnął Pierre – że tylko ten człowiek, który wierzy, że jest Bóg rządzący nami, może przenieść taką stratę jak jej i... pani – powiedział Pierre.

Natasza już otwierała usta, by coś powiedzieć, i zatrzymała się nagle. Pierre spiesznie odwrócił się od niej do księżniczki Marii i zapytał o ostatnie dni swego przyjaciela. Zmieszanie Pierre'a teraz prawie całkiem znikło, ale jednocześnie czuł, że zniknęła też cała jego poprzednia swoboda. Czuł, że każde jego słowo, każdy czyn podlega teraz sędziemu, którego sąd jest mu droższy niż sądy wszystkich ludzi w świecie. Mówił teraz i wypowiadając słowa obserwował wrażenie, jakie wywierają na Nataszy. Nie mówił celowo tego, co by się mogło jej podobać; ale o czymkolwiek by mówił, osądzał siebie z jej punktu widzenia.

Księżniczka Maria niechętnie – jak to zawsze bywa zaczęła opowiadać o stanie, w jakim znalazła księcia Andrzeja, ale pytania Pierre'a, jego ożywione, niespokojne spojrzenia, drżąca ze wzruszenia twarz zniewalały ją do mówienia o szczegółach, które bała się poruszać w wyobraźni.

– Tak, tak, więc tak... – mówił Pierre pochyliwszy się ku księżniczce Marii i chciwie słuchając jej opowiadania.

– Tak, tak, więc uspokoił się? złagodniał? On ze wszystkich sił swej duszy zawsze dążył do jednego: być zupełnie dobrym, więc nie mógł się bać śmierci. Wady, jakie miał, jeśli je miał – nie wpływały z niego. Więc złagodniał? – mówił Pierre. – Jakie szczęście, że się zobaczył z panią – powiedział do Nataszy zwracając się nagle do niej i patrząc na nią oczami pełnymi łez.

Twarc Nataszy drgnęła. Zachmurzyła się i na mgnienie spuściła oczy. Chwilę wahała się: mówić czy nie mówić.

– Tak, to było szczęście – powiedziała cichym, piersiowym głosem – dla mnie naprawdę było to szczęściem – umilkła. – A on... on... on mówił, że pragnął tego w chwili, gdy weszłam do niego...

Urwała. Zarumieniła się, zacisnęła dłonie na kolanach i nagle, zmuszając się, podniosła głowę i zaczęła szybko mówić:

– Nie wiedzieliśmy nic przy wyjeździe z Moskwy. Nie śmiałam pytać o niego. I nieoczekiwanie Sonia mówi mi, że jest z nami. Nie mogłam o niczym myśleć, nie mogłam sobie wyobrazić jego stanu, pragnęłam go tylko zobaczyć, być z nim – mówiła drżąc i chwytając oddech. I nie pozwoliwszy sobie przerwać, opowiedziała to, czego jeszcze nigdy nikomu nie mówiła: wszystko co przeżyła w ciągu tych trzech tygodni podróży i pobytu w Jarosławiu.

Pierre słuchał jej z rozchylonymi ustami, nie spuszczać z niej oczu pełnych łez. Słuchając jej nie myślał ani o księciu Andrzeju, ani o śmierci, ani o tym, co mówiła. Słuchał jej i tylko współczuł w tym cierpieniu, którego teraz doświadczała opowiadając.

Księżniczka, marszcząc twarz z wysiłku, by powstrzymać łzy, siedziała koło Nataszy i po raz pierwszy słuchała historii tych ostatnich dni miłości swego brata do Nataszy.

To bolesne i radosne opowiadanie widocznie niezbędne było dla Nataszy.

Mówiła mieszając najbliższe szczegóły z najbardziej skrytymi tajemnicami i wydawało się, że nigdy nie skończy. Powtarzała się kilka razy.

Za drzwiami rozległ się głos Dessales'a z zapytaniem, czy Nikołuszka może wejść, by się pożegnać przed snem. I to wszystko, wszystko... – powiedziała Natasza. W chwili gdy wchodził Nikołuszka, szybko wstała i prawie pobiegła ku drzwiom, uderzyła głową o drzwi zasłonięte portierą i z jękiem czy to bólu, czy smutku wybiegła z pokoju.

Pierre popatrzył na drzwi, przez które wyszła, i nie rozumiał, dlaczego został nagle sam na całym świecie.

Księżniczka Maria wyrwała go z roztargnienia zwracając jego uwagę na bratanka, który wszedł do pokoju.

Twarcą Nikołuszki, podobna do ojcowskiej, w chwili roztkliwienia duchowego, w jakim znajdował się teraz Pierre, tak na niego podziałała, że pocałowawszy Nikołuszkę wstał spiesźnie i wyjmując chusteczkę odszedł do okna.

Chciał pożegnać księżniczkę Marię, ale go zatrzymała.

– Nie, my z Nataszą nie śpimy czasem do trzeciej, proszę, niech pan jeszcze zostanie. Każę podać kolację. Proszę na dół, zaraz przyjdziemy.

I nim Pierre wyszedł, powiedziała:

– Pierwszy raz tak mówiła o nim.

XVII

Pierre'a zaprowadzono do oświetlonej, wielkiej jadalni, wkrótce rozległy się kroki i księżniczka z Natasza weszły do pokoju. Natasza była spokojna, chociaż na jej twarzy bez uśmiechu zapanował znowu wyraz surowości. Księżniczka Maria, Natasza i Pierre jednakowo doświadczyli uczucia zakłopotania, które zwykle następuje po skończeniu poważnej, serdecznej rozmowy. Przedłużać poprzedniej rozmowy nie można, trudno rozmawiać o błahostkach, a milczeć – nieprzyjemnie, dlatego że pragnie się mówić i milczenie byłoby jakby udawaniem. Podeszli do stołu w milczeniu. Lokaje odsunęli i podsunęli im krzesła. Pierre rozłożył chłodną serwetkę i zdecydowawszy się przerwać milczenie spojrzął na Nataszę i księżniczkę Marię. One widocznie w tej chwili zdecydowały się na to samo: z oczu obu promieniowało zadowolenie z życia i świadomość, że prócz cierpienia są też i radości.

– Napije się pan wódki, hrabio? – powiedziała księżniczka Maria i słowa te spłoszyły cienie przeszłości.

– Proszę opowiedzieć też o sobie – powiedziała księżniczka Maria. – Opowiadają o panu takie nieprawdopodobne dziwy.

– Tak – ze swym zwykłym teraz uśmiechem dobrotliwej drwiny rzekł Pierre. – Mnie nawet opowiadają takie cuda, o jakich mi się nie śniło. Maria Abramowna zapraszała mnie do siebie i wciąż opowiadała mi, co się ze mną działo lub co się powinno było dziać. Stiepan Stiepanycz również uczył mnie, jak należy opowiadać. W ogóle zauważyłem, jak wygodnie być człowiekiem interesującym (jestem teraz człowiekiem interesującym), zapraszają mnie i opowiadają.

Natasza uśmiechnęła się i chciała coś powiedzieć.

– Opowiadano nam – uprzedziła ją księżniczka Maria – że pan stracił w Moskwie dwa miliony. Czy to prawda?

– A stałem się trzykroć bogatszy – odpowiedział Pierre. Pierre, mimo że długi żony i konieczność odbudowy zmieniły stan jego interesów, w dalszym ciągu opowiadał, że stał się trzykroć bogatszy.

– Co bez wątpienia zyskałem – powiedział – to wolność... – rozpoczął poważnie, ale zaniechał tego, zauważywszy, że byłby to zbyt egoistyczny przedmiot rozmowy.

– Odbudowuje się pan?

– Tak, Sawielicz mi każe.

– Proszę powiedzieć, czy nie wiedział pan jeszcze o śmierci hrabiny, zostając w Moskwie? – rzekła księżniczka Maria i zaróżowiła się przy tym, zauważywszy, że pytając o to zaraz po jego powiedzeniu, że jest wolny, przypisuje takie znaczenie jego słowom, którego one może nie miały.

– Nie – odpowiedział Pierre nie znajdując widocznie nic niestosownego w interpretacji, jaką księżniczka Maria nadała jego wzmiance o wolności. – Dowiedziałem się w Orle i nie możecie

sobie panie wyobrazić, jaki to był dla mnie cios. Nie byliśmy wzorowym małżeństwem – powiedział szybko, spojrzawszy na Nataszę i zauważywszy w jej twarzy zaciekawienie, jak będzie mówił o swej żonie. – Ale śmierć ta strasznie mną wstrząsnęła. Gdy dwoje ludzi się kłóci, zawsze oboje są winni. I własna wina staje się nagle bardzo ciężka wobec człowieka, którego już nie ma. A przy tym taka śmierć... bez przyjaciół, bez pociechy. Bardzo, bardzo mi jej żal – kończył i zauważył z zadowoleniem radosną aprobatę na twarzy Nataszy.

– Jest pan zatem znowu kawalerem do wzięcia – rzekła księżniczka Maria.

Pierre nagle spłoszył i długo starał się nie patrzeć na Nataszę. Gdy zdecydował się spojrzeć na nią, twarz jej była chłodna, poważna, a nawet wzgardliwa, jak mu się wydawało.

– A czy to prawda, że pan się widział i rozmawiał z Napoleonem, jak nam opowiadano? – spytała księżniczka Maria.

Pierre roześmiał się.

– Ani razu, nigdy. Zawsze wszystkim się zdaje, że być w niewoli – to znaczy być gościem Napoleona. Nie tylko nie widziałem go, ale i nie słyszałem o nim. Przebywałem w towarzystwie znacznie gorszym.

Kolację kończono i Pierre, wymawiając się z początku od opowiadania o swej niewoli, stopniowo wciągał się.

– Ale przecież prawda, że pan został, by zabić Napoleona? – pytała Natasza z lekkim uśmiechem. – Domyśliłam się tego, gdyśmy się spotkali przy baszcie Sucharowej, pamięta pan?

Pierre przyznał, że to prawda, i od tego momentu powoli, kierowany pytaniami księżniczki Marii, a zwłaszcza Nataszy, wciągnął się do szczegółowego opowiadania o swych przygodach.

Z początku opowiadał z tym drwiącym, spokojnym spojrzeniem, jakie miał teraz wobec ludzi, a zwłaszcza wobec siebie; ale potem, gdy doszedł w opowiadaniu do okropności i cierpień, na które patrzył, sam nie wiedząc kiedy ożywił się i zaczął mówić z hamowanym wzruszeniem człowieka, który wspominając przeżywa silne wrażenia.

Księżniczka Maria patrzyła z dobrotliwym uśmiechem to na Pierre'a, to na Nataszę. W całym tym opowiadaniu widziała tylko Pierre'a i jego dobroć. Natasza, oparłszy się na łokciu, ze stale zmieniającym się, razem z opowiadaniem, wyrazem twarzy śledziła Pierre'a, ani na chwilę nie odrywając od niego wzroku, widocznie przeżywała razem z nim to, co opowiadał. Nie tylko jej wzrok, ale i wykrzykniki, i krótkie pytania, które zadawała, mówiły Pierre'owi, że z tego, co opowiadał, rozumiała właśnie to, co chciał powiedzieć. Widać było, że rozumiała nie tylko to, co opowiadał, ale i to, co chciałby, ale nie mógł wyrazić słowami. O epizodzie z dzieckiem i kobietą, za której obronę aresztowano go, Pierre opowiedział w ten sposób:

– Było to okropne widowisko... porzucone dzieci, niektóre w ogniu... Przy mnie wyciągnięto dziecko... Kobiety, z których ściągano odzież, którym wyrywano kolczyki...

Pierre poczerwieniał i zawahał się.

– Wtedy przyjechał patrol i wszystkich, którzy nie rabowali, wszystkich mężczyzn zabrano. I mnie.

– Pan pewno nie wszystko opowiada, pan pewno zrobił coś... – powiedziała Natasza i zamilkła – coś dobrego.

Pierre ciągnął dalej. Gdy opowiadał o rozstrzelaniu, chciał pominąć najstraszniejsze szczegóły, ale Natasza żądała, żeby nic nie opuszczał.

Pierre zaczął opowiadać o Karatajewie (podniósł się już był od stołu i chodził, Natasza śledziła go wzrokiem) i przerwał.

– Nie, panie nie rozumieją, czego nauczył mnie ten człowiek, niepiśmienny głupek.

– Nie, nie, proszę mówić – powiedziała Natasza. – Gdzież on jest?

– Zabito go, prawie przy mnie.

I Pierre zaczął opowiadać o ostatnich dniach odwrotu, o chorobie Karatajewa (głos drżał mu nieustannie) i o jego śmierci.

Pierre opowiadał o swych przygodach tak, jak nigdy jeszcze o nich nie mówił. Widział teraz jakby nowe znaczenie tego wszystkiego, co przeżył. Teraz, kiedy opowiadał to wszystko Nataszy, doznawał tej rzadkiej rozkoszy, jaką sprawiają kobiety słuchające mężczyzny – nie mądre kobiety, które słuchając starają się zapamiętać, co się im mówi, po to, żeby wzbogacić swój umysł i przy sposobności powtórzyć to albo dopasować opowiadanie do swego i wypowiedzieć jak najprędzej własne mądre zdania, wypracowane we własnym maleńkim umysłowym gospodarstwie, lecz tę przyjemność, którą dają prawdziwe kobiety, obdarzone umiejętnością wyboru i wchłaniania w siebie wszystkiego, co najlepsze z tego, co tylko przejawia mężczyzna. Natasza, sama o tym nie wiedząc, stała się całą uwagą: nie przepuszczała ani słowa, ani tonacji głosu, ani spojrzenia, ani drgnienia mięśni twarzy, ani gestu Pierre'a. W locie łowiła słowa nie wypowiedziane jeszcze i umieszczała je bezpośrednio w swoim otwartym sercu, domyślając się utajonego sensu całej duchowej pracy Pierre'a.

Księżniczka Maria rozumiała opowiadanie, współczuła Pierre'owi, ale teraz było coś innego, co pochłaniało całą jej uwagę: widziała możliwość miłości i szczęścia Nataszy z Pierre'em. I myśl ta, która nawiedziła ją po raz pierwszy, przepełniła jej duszę radością.

Była trzecia w nocy. Lokaje ze smutnymi, poważnymi twarzami przychodzili zmieniać świece, ale nikt na nich nie zwracał uwagi.

Pierre skończył swe opowiadanie. Natasza błyszczącymi, ożywionymi oczami w dalszym ciągu patrzyła uważnie na Pierre'a, jakby chcąc zrozumieć jeszcze tę resztę, której może nie dopowiedział. Pierre, szczęśliwy, zawstydzony, wzruszony, z zażenowaniem i szczęściem z rzadka spoglądał na nią i myślał, co teraz powiedzieć, żeby przejść w rozmowie na inny temat. Księżniczka Maria milczała. Nikomu nie przychodziło do głowy, że już trzecia w nocy i czas iść spać.

– Mówi się: nieszczęścia, cierpienia – powiedział Pierre.

A przecież gdyby mi teraz, w tej chwili, powiedziano:

czy chcesz pozostać taki, jaki byłeś przed niewolą, albo na nowo przeżyć to wszystko? – na Boga, jeszcze raz niewola i końskie mięso. Sądzymy, że jak los nas wyrzuci ze zwykłej ścieżki, wszystko przepadło; a tymczasem tu dopiero zaczyna się nowe, dobre. Póki jest życie, jest i szczęście. Mamy tyle przed sobą. Zapewniam panią – powiedział zwracając się do Nataszy.

– Tak, tak – rzekła mając na myśli zupełnie co innego. – I ja nic bym nie chciała, tylko przeżyć wszystko od początku.

Pierre popatrzył na nią uważnie.

– Tak, i więcej nic – potwierdziła Natasza.

– Nieprawda, nieprawda! – zawołał Pierre – nie jestem winien, że żyję i chcę żyć; i pani również.

Wtem Natasza spuściła głowę na rękę i rozplakała się.

– Co ci jest, Natasza? – powiedziała księżniczka Maria.

– Nic, nic – uśmiechnęła się do Pierre'a przez łzy.

– Do widzenia, czas spać.

Pierre wstał i pożegnał panie.

Księżniczka Maria i Natasza jak zawsze spotkały się w sypialni. Rozmawiały o tym, co opowiedział Pierre. Księżniczka Maria nie wypowiedziała swego zdania o Bezuchowie. Natasza również nie mówiła o nim.

– No, dobranoc, Marie – powiedziała Natasza.

– Wiesz, boję się często, że nie rozmawiamy o nim (o księciu Andrzeju); niby obawiamy się

obniżenia naszego uczucia i zapominamy.

Księżniczka Maria ciężko westchnęła i tym westchnieniem potwierdziła słusność zdania Nataszy, ale słowami nie wyraziła, że zgadza się z nią.

– Czyż można zapomnieć? – spytała.

Mnie tak przyjemnie było dzisiaj opowiedzieć wszystko. I ciężko, i boleśnie, i dobrze – powiedziała Natasza. – Jestem przekonana, że on kochał go rzeczywiście. Dlatego mu opowiadałam... Nie szkodzi, że mu opowiedziałam? – spytała nagle rumieniąc się.

– Pierre'owi? O, nie! Jaki on wspaniały! – powiedziała księżniczka Maria.

– Wiesz, Marie – rzekła nagle Natasza z figlarnym uśmiechem, którego dawno nie widziała księżniczka Maria na jej twarzy. – Zrobił się jakiś taki czysty, gładki, świeży, jakby wyszedł z łaźni; rozumiesz, z łaźni w sensie moralnym. Prawda?

– Tak – odpowiedziała księżniczka Maria – dużo zyskał.

– I surducik króciutki, i ostrzyżone włosy; zupełnie, no zupełnie jak z łaźni... papa czasem...

– Wiem, że on (książę Andrzej) nikogo tak nie kochał jak jego – powiedziała księżniczka Maria.

– Tak, a on jest zupełnie inny. Mówią, że mężczyźni przyjaźnią się wtedy, gdy są całkowicie różni. Widocznie tak jest. Zupełnie do niego niepodobny, zupełnie, prawda?

– Tak, i wspaniały.

– No, dobranoc – odpowiedziała Natasza.

I ten sam figlarny uśmiech, jakby przez zapomnienie, długo pozostawał na jej twarzy.

XVIII

Tego dnia Pierre długo nie mógł zasnąć, chodził po pokoju to zachmurzony, myśląc o czymś trudnym, to wzruszając nagle ramionami i wzdrygając się, to uśmiechając się szczęśliwie.

Myślał o księciu Andrzeju, o Nataszy i ich miłości, i albo odczuwał zazdrość o jej przeszłość, albo wyrzucał sobie tę zazdrość, albo wybaczał ją sobie. Była już szósta rano, a on wciąż chodził po pokoju.

„No, cóż robić; skoro już nie można bez tego? Cóż robić? Widocznie tak trzeba” – powiedział sobie i rozebrawszy się szybko, położył się do łóżka, szczęśliwy i wzruszony, ale już bez zwątpień i niepewności.

„Trzeba – chociaż tak dziwne i nieprawdopodobne jest to szczęście – trzeba zrobić wszystko, żebyśmy zostali mężem i żoną” – powiedział sobie.

Pierre jeszcze kilka dni przedtem wyznaczył na piątek swój wyjazd do Petersburga. Gdy się w czwartek obudził, Sawielicz przyszedł do niego w sprawie pakowania rzeczy na drogę.

„Jak to – do Petersburga? Cóż to jest Petersburg? Kto jest w Petersburgu? – mimowolnie zadał sobie pytanie.

– Tak, coś takiego było dawno, dawniej, nim się to stało, wybierałem się po coś do Petersburga – przypomniał sobie. – Dlaczego nie? Może i pojedę. Jaki on dobry, uważny, jak o wszystkim pamięta – pomyślał patrząc na starą twarz Sawielicza. – I jaki ma przyjemny uśmiech!” – pomyślał.

– Cóż, Sawieliczu, na wolność wciąż jeszcze nie chcesz⁴⁰² – spytał Pierre.

– Na cóż mi, jaśnie panie, wolność? Żyliśmy za nieboszczyka pana hrabiego, świeć. Panie, jego duszy, i przy jaśnie panu krzywdy nie doznajemy.

– No, a dzieci?

– I dzieci żyć będą, proszę jaśnie pana, przy takich panach można żyć.

– No, a moi spadkobiercy? – powiedział Pierre.

– Gdybym się ożenił... Może się przecież zdarzyć – dodał z mimowolnym uśmiechem.

– To, ośmielam się powiedzieć, bardzo dobra rzecz, jaśnie panie.

„Jak to, według niego, łatwo – pomyślał Pierre. – Nie wie, jak to ciężko, niebezpiecznie. Zbyt wcześniej albo zbyt późno... Straszne!”

– Co pan raczy rozkazać? Wyjeżdża pan jutro? – zapytał Sawielicz.

– Nie, jeszcze nie. Powiem, kiedy. Przepraszam cię za fatygę – powiedział Pierre i patrząc na uśmiech Sawielicza, pomyślał: „Jakie to dziwne jednak, że on nie wie, iż teraz nie ma żadnego Petersburga i że przede wszystkim to trzeba rozstrzygnąć. Zresztą, on na pewno wie, tylko udaje. Pogadać z nim? Co on myśli? – myślał Pierre. – Nie, później, kiedyś”.

– Przy śniadaniu Pierre oznajmił księżniczce, że był wczoraj u księżniczki Marii i zastał tam –

⁴⁰² Rerre proponuje Sawieliczowi uwolnienie z poddaństwa.

proszę sobie wyobrazić, kogo?! – Nataszę Rostow.

Księżniczka zachowała się tak, jakby w tej wiadomości nie widziała nic bardziej niezwykłego niż w tym, że Pierre spotkał Annę Siemionownę.

– Pani ją zna? – spytał Pierre.

– Widziałam księżniczkę – odpowiedziała. – Słyszałam, że ją swatali z młodym Rostowem. Byłoby to dla Rostowów bardzo dobre, mówią, że są zupełnie zrujnowani.

– Nie, hrabiankę Rostow pani zna?

– Słyszałam wtedy tylko o tej historii. Bardzo przykre.

„Nie, ona nie rozumie albo udaje – pomyślał Pierre. – Lepiej jej nie mówić”.

Księżniczka przygotowała Pierre'owi na drogę prowiant.

„Jacy oni dobrzy wszyscy – myślał Pierre – jak oni teraz, kiedy już na pewno to nie może przynieść im żadnych korzyści, zajmują się tym wszystkim. I to wszystko dla mnie, naprawdę zadziwiające!”

Tegoż dnia przyjechał do Pierre'a policmajster z propozycją wysłania pełnomocnika do Granowitego Pałacu w celu przyjęcia rzeczy rozdawanych dzisiaj właścicielom.

„I ten również – myślał Pierre patrząc na twarz policmajstra – jaki wspaniały, piękny oficer i jaki dobry! Teraz zajmować się takimi drobnostkami. A mówią, że nierzetelny i popełnia nadużycia. Co za bzdury! A zresztą, dlaczegoż by miał nie korzystać? Tak go wychowano. I wszyscy to robią. A taką ma przyjemną, dobrą twarz i uśmiecha się patrząc na mnie”.

Pierre pojechał na obiad do księżniczki Marii.

Przejeżdżając ulicami wśród zgliszcz domów, dziwił się pięknu tych ruin. Kominy domów i zwalone mury, przypominając malowniczością Ren i Koloseum, zasłonięte jedne drugimi ciągnęły się wzdłuż całych wypalonych dzielnic. Spotykani woźnice i konni, stawiający zręby cieśle, przekupki i sklepikarze – wszyscy z wesołymi, promiennymi twarzami spoglądali na Pierre'a, jakby mówili: „A oto i on! Zobaczmy, co z tego wyniknie”.

Przy wejściu do domu księżniczki Marii Pierre'a ogarnęło zwątpienie, czy rzeczywiście był tu wczoraj, widział się z Nataszą i rozmawiał z nią. „Czy aby nie wymyśliłem sobie tego? Może wejść i nikogo nie zobaczę”. Ale nie zdążył jeszcze wejść do pokoju, a już – tracąc momentalnie swobodę – całą swą istotą odczuł jej obecność. Była w tej samej czarnej sukni o miękkich fałdach i tak samo jak wczoraj uczesana, ale stała się zupełnie inna. Gdyby taka była wczoraj, kiedy wszedł do pokoju, nie mógłby jej nie poznać nawet przez chwilę.

Była taka, jaką ją znał prawie od dziecka, a potem – jako narzeczoną księcia Andrzeja. Wesoły, pytający blask bił jej z oczu; twarz jej miała wyraz życzliwy i dziwnie swawolny.

Pierre zjadł obiad i siedziałby cały wieczór, ale księżniczka Maria jechała na wieczorne nabożeństwo i Pierre pojechał razem z nimi.

Nazajutrz Pierre przyjechał wcześniej, był na obiedzie i został na cały wieczór. Mimo że księżniczka Maria i Natasza, oczywiście, rade były gościowi, mimo że całe zainteresowanie Pierre'a ześrodkowało się teraz na tym domu, pod wieczór obgadano wszystkie sprawy i rozmowa nieustannie przechodziła z jednego błahego przedmiotu na drugi, a często rwała się zupełnie. Pierre zasiedział się tego wieczoru tak długo, że księżniczka Maria i Nataszą spoglądały na siebie, jawnie czekając na to, kiedy on wyjdzie. Pierre to widział, ale nie mógł wyjść. Było mu przykro i nieswojo, ale wciąż siedział, dlatego że nie mógł wstać i wyjść.

Księżniczka Maria, nie spodziewając się rychłego końca wizyty, pierwsza wstała i narzekając na migrenę zaczęła się żegnać.

– Więc pan jutro jedzie do Petersburga? – zapytała.

– Nie, nie jadę – ze zdziwieniem i jakby urażony, spieszenie odpowiedział Pierre. – Tak, nie, do Petersburga? Jutro; nie żegnam się jednak. Wstąpię po zlecenia – powiedział stojąc przed

księżniczką Marią, czerwieniąc się i nie wychodząc.

Natasza podała mu rękę i wyszła. Księżniczka Maria, przeciwnie, zamiast wyjść siadła w fotelu i swymi promiennymi, głębokimi oczami surowo i z uwagą popatrzyła na Pierre'a. Zmęczenie, które przedtem wyraźnie okazywała, teraz całkiem przeszło. Głęboko, przeciągle westchnęła, jakby przygotowując się do długiej rozmowy.

Całe zmieszanie i skrępowanie Pierre'a po odejściu Nataszy natychmiast zniknęło i zamieniło się w pełne niepokoję ożywienie. Szybko przysunął fotel do księżniczki Marii.

Właśnie chciałem pani powiedzieć – rzekł odpowiadając na jej spojrzenie jak na słowa. – Księżniczko, proszę mi pomóc. Co mam robić? Czy mogę mieć nadzieję? Księżniczko, droga przyjaciółko, proszę mnie wysłuchać. Wiem wszystko. Wiem, że nie jestem jej wart, wiem, że teraz nie można by o tym mówić. Ale chcę być dla niej bratem. Nie, nie to... nie chcę, nie mogę...

Zamilkł, przetarł dłońmi twarz i oczy.

– Tak więc – ciągnął dalej, widocznie zrobiwszy wysiłek, żeby mówić dorzecznie. – Nie wiem, odkąd ją kocham, ale tylko ją jedną kochałem całe życie i kocham tak, że bez niej nie mogę sobie wyobrazić życia. Prosić o rękę jej teraz nie mam odwagi; ale myśl, że może mogłaby zostać moją, a ja tej możliwości... możliwości zaniecham... myśl o tym... jest straszna. Proszę mi powiedzieć, czy mogę mieć nadzieję i co ja mam robić? Droga księżniczko! – mówił po chwili milczenia, dotykając jej ręki, gdyż księżniczka Maria nie odpowiadała.

– Myślę o tym, coś mi, hrabio, powiedział – odrzekła księżniczka Maria. – Oto co powiem panu. Masz słuszność: teraz mówić jej o miłości...

Księżniczka nie dokończyła. Chciała powiedzieć: mówić jej o miłości teraz jest rzeczą niemożliwą, ale urwała dlatego, że już od trzech dni widziała po nagłej zmianie w Nataszy, że nie tylko nie byłoby to dla niej obrazą, gdyby jej Pierre wyznał swą miłość, ale że na to tylko czekała.

– Mówić jej teraz... nie można – powiedziała jednak księżniczka Maria.

– Ale cóż mam zrobić?

– Proszę to mnie poruczyć – rzekła księżniczka Maria. – Ja wiem...

Pierre popatrzył księżniczce Marii w oczy.

– Ale, ale... – mówił.

– Wiem, że ona kocha... pokocha pana – poprawiła się księżniczka Maria.

Nie zdążyła dokończyć tych słów, gdy Pierre zerwał się z przerażoną twarzą i ujął dłoń księżniczki Marii.

– Dlaczego pani tak myśli? Sądzi pani, że mogę mieć nadzieję? Pani tak myśli?!

– Tak myślę – z uśmiechem mówiła księżniczka Maria. – Proszę napisać do rodziców i mnie to poruczyć. Powiem jej, gdy będzie można. Pragnę tego. I serce moje czuje, że się tak stanie.

– Nie, to niemożliwe! Jaki ja jestem szczęśliwy! Ale to niemożliwe! Jaki ja jestem szczęśliwy. Nie! To być nie może! – mówił Pierre całując rękę księżniczki Marii.

– Najlepiej proszę jechać do Petersburga. A ja napiszę panu – powiedziała.

– Do Petersburga? Jechać? Tak, dobrze, jechać. Ale jutro mógłbym przyjechać do pani?

Nazajutrz Pierre przyjechał się pożegnać. Natasza była mniej ożywiona niż poprzednio, ale gdy od czasu do czasu w tym dniu spojrzął w jej oczy, czuł, że ginie, że nie ma jego i jej nie ma, a jest tylko uczucie szczęścia. „Naprawdę? Nie, niemożliwe” – mówił sobie przy każdym jej spojrzeniu, geście, słowie, przepełniającym jego duszę radością.

Gdy przy pożegnaniu ujął jej szczupłą, wychudzoną dłoń, mimo woli przetrzymał ją nieco dłużej.

„Czy naprawdę ta ręka, ta twarz, te oczy, cały ten obcy mi skarb kobiecego wdzięku – czy

naprawdę to wszystko będzie wiecznie moje, takie zwykłe, jak ja jestem dla siebie? Nie, to niemożliwe!”...

– Do widzenia, hrabio – powiedziała głośno. – Bardzo będę na pana czekać – dodała szeptem.

Te proste słowa oraz towarzyszące im spojrzenie i wyraz twarzy – w ciągu dwóch miesięcy były dla Pierre'a niewyczerpanym przedmiotem wspomnień, dociekań i marzeń o szczęściu. „Bardzo będę na pana czekać...” Tak, tak, jak ona powiedziała? Tak: Bardzo będę na pana czekać». Ach, jaki jestem szczęśliwy! Cóż to takiego, że jestem taki szczęśliwy!” – mówił sobie Pierre.

XIX

W duszy Pierre'a teraz nie działo się nic, co by przypominało cokolwiek z tego, co się działo w podobnych okolicznościach, w czasie gdy swatano go z Helene.

Nie powtarzał, jak wtedy, z bolesnym wstydem wypowiedzianych przez siebie słów, nie mówił sobie: „Ach, po co to powiedziałem i po co, po co, dlaczego powiedziałem wtedy: *Je vous aime*»V Teraz, przeciwnie, każde jej słowo i swoje powtarzał w wyobraźni ze wszystkimi szczegółami wyrazu twarzy, uśmiechu i nic nie chciał ani dodać, ani odjąć, chciał tylko powtarzać. Nie było teraz ani cienia wątpliwości, czy to, co przedsięwziął, jest dobre, czy złe. Jedną tylko straszna wątpliwość przychodziła mu do głowy. „Czy aby to wszystko nie sen? Czy księżniczka Maria nie myliła się? Czy nie jestem zbyt dumny i pewny siebie? Wierzę, a wtem – to musi się stać – księżniczka Maria powie jej, a ona uśmiechnie się i odpowie: *Dziwne! On się pewno omylił!* Czyż nie wie, że jest człowiekiem, po prostu człowiekiem, a ja?... Ja jestem zupełnie czymś innym – wyższym

Tylko taka wątpliwość często nawiedzała Pierre'a. Nie robił też teraz żadnych planów. Przyszłe szczęście wydawało mu się tak nieprawdopodobne, że wystarczyłoby jego urzeczywistnienie, a już więcej nic nastąpić nie mogło. Wszystko się kończyło.

Pierre'a opanowało radosne, nieoczekiwane szaleństwo, do którego, jak sądził, jest niezdolny. Wydawało mu się, że cały sens życia, nie dla niego osobiście, lecz dla całego świata, tkwi w jego miłości i w tym, że Natasza może i jego pokochać. Niekiedy wydawało mu się, że wszyscy ludzie zajęci są tylko jednym – jego przyszłym szczęściem. Wydawało mu się czasem, że wszyscy cieszą się tak jak on, tylko starają się ukryć tę radość, udając, że są zajęci innymi sprawami. W każdym słowie i ruchu widział aluzję do swego szczęścia. Często zadziwiał ludzi, których spotykał, spoglądając na nich znacząco lub uśmiechając się w sposób wyrażający ukryte szczęście. Ale kiedy pojmował, że ludzie mogli nie wiedzieć o jego szczęściu, żałował ich z całej duszy i pragnął jakoś wyjaśnić im, że wszystko, czym się zajmują, to bzdura, głupstwa, niewarte uwagi.

Gdy mu proponowano urząd albo gdy mówiono o wojnie, o sprawach państwowych w mniemaniu, że od takiego lub innego przebiegu wydarzeń zależy szczęście wszystkich ludzi, słuchał z współczującym, delikatnym uśmiechem i zadziwiał rozmawiających z nim ludzi swymi dziwacznymi uwagami. Ale zarówno ci ludzie, którzy według Pierre'a rozumieli prawdziwy sens życia, jak i ci nieszczęśliwi, którzy go nie rozumieli – wszyscy w owym okresie przedstawiali mu się w tak mocnym świetle promieniującego w nim uczucia, że bez najmniejszego wysiłku, od razu, spotykając się z jakimkolwiek człowiekiem, widział w nim wszystko, co było dobre i godne miłości.

Badając sprawy i papiery swej zmarłej żony, nie odczuwał na jej wspomnienie żadnego uczucia prócz litości, że nie zaznała takiego szczęścia, jakiego on obecnie doznawał. Księżę Wasilij, szczególnie dumny teraz z otrzymania nowego stanowiska i gwiazdy, wydawał mu się

wzruszającym, dobrym i godnym współczucia starcem.

Pierre często wspominał potem ów okres szczęśliwego szaleństwa. Wszystkie sądy, które sobie wówczas ustalił o ludziach i okolicznościach, pozostały dla niego prawdziwe już na zawsze. Nie tylko nie odstępował od tych poglądów na ludzi i rzeczy, ale, przeciwnie, w wątpliwościach i sprzecznościach wewnętrznych powracał do tego poglądu na rzeczy, którym kierował się w czasie szaleństwa, i pogląd ten zawsze okazywał się słuszny.

„Może – myślał – wydawałem się wtedy dziwny i śmieszny, ale nie byłem wtedy tak szalony, jak się wydawało. Przeciwnie, byłem wtedy mądrzejszy i bardziej przenikliwy niż kiedykolwiek i rozumiałem wszystko, co należy rozumieć w życiu, dlatego że... byłem szczęśliwy”.

Szaleństwo Pierre'a polegało na tym, że po to, by kochać ludzi, nie oczekiwał, jak dawniej, aż dadzą mu oni do tego powody, które nazywał zaletami ludzi, lecz miłość przepęniała jego serce, i Pierre, kochając ludzi bez żadnych powodów, znajdował niewątpliwie powody, dla których warto ich było kochać.

XX

Od tego wieczora, kiedy Natasza po odjeździe Pierre'a powiedziała księżniczce Marii z radośnie drwiącym uśmiechem, że Pierre jest zupełnie, ale to zupełnie jakby wyszedł z łaźni, i surducik, i ostrzyżony, od tej chwili coś tajemniczego, co jej samej było niewiadome, ale nieodparte, zbudziło się w duszy Nataszy.

Wszystko: twarz, chód, spojrzenie, głos – wszystko zmieniło się w niej nagle. Nieoczekiwanie dla niej samej siła życia i nadzieja szczęścia wypłynęły na powierzchnię i domagały się zaspokojenia. Od tego wieczora Natasza jakby zapomniała o wszystkim, co się z nią działo. Od tego czasu ani razu nie uskarżała się na swoje położenie, ani słowa nie powiedziała o przeszłości i nie bała się już układać wesołych planów na przyszłość. Mało mówiła o Bezuchowie, ale gdy księżniczka Maria go wspominała, zapalał się w jej oczach dawno wygasły blask, a wargi stulał dziwny uśmiech.

Przemiana, która dokonana się w Nataszy, z początku dziwiła księżniczkę Marię, ale gdy zrozumiała jej znaczenie, zasmuciła ją. „Czyżby tak mało kochała mojego brata, że tak prędko mogła zapomnieć o nim?” – myślała księżniczka Maria, szukając przyczyn dokonanej przemiany. Ale gdy była z Nataszą, nie gniewała się na nią i nie robiła jej wyrzutów. Obudzona siła życia, która ogarnęła Nataszę, była, widać, tak niepowstrzymana i nieoczekiwana dla niej samej, iż księżniczka Maria w obecności Nataszy czuła, że nie miała prawa czynić jej wyrzutów nawet w głębi duszy.

Natasza tak całkowicie i szczerze oddała się nowemu uczuciu, że nawet nie próbowała ukrywać, że nie odczuwa już smutku, lecz radość i wesele.

Gdy po nocnej rozmowie z Pierre'em księżniczka Maria wróciła do swego pokoju, Natasza spotkała ją na progu.

– Powiedział? Tak? Powiedział? – powtarzała. I twarz Nataszy przybrała wyraz wesoły, a zarazem żalony, proszący o przebaczenie za radość.

– Chciałam podsłuchiwać pod drzwiami, ale wiedziałam, że mi powiesz.

Jakże zrozumiała, jakże wzruszające było dla księżniczki Marii to spojrzenie Nataszy, jakie współczucie wywołało w niej jej wzruszenie, a jednak słowa Nataszy w pierwszej chwili boleśnie dotknęły księżniczkę Marię. Myślała o bracie i jego miłości.

„Ale cóż robić, ona nie może inaczej” – pomyślała księżniczka Maria. I ze smutną, nieco surową twarzą powtórzyła Nataszy wszystko, co powiedział jej Pierre. Usłyszawszy, że Pierre jedzie do Petersburga, Natasza zdumiała się.

– Do Petersburga! – powtórzyła, jakby nie rozumiejąc. Ale widząc smutek na twarzy księżniczki Marii, domyśliła się przyczyny smutku i rozplakała się nagle. – Marie powiedziała – naucz mnie, co mam robić. Boję się być niedobra. Co powiesz, to zrobię, pomóż mi...

– Kochasz go?

– Tak – szepnęła Natasza.

– Dlaczego płaczesz? Jestem szczęśliwa – powiedziała księżniczka Maria, za te łzy najzupełniej już wybacząc Nataszy jej radość.

– To będzie kiedyś, nieprędko. Pomyśl, co za szczęście, gdy ja będę jego żoną, a ty wyjdiesz za Nicolas.

– Natasza, prosiłam cię, być nie mówiła o tym. Będziemy mówiły o tobie. Zamilkły.

– Tylko dlaczego jedzie do Petersburga? – rzekła nagle Natasza i sama sobie spieszenie odpowiedziała:

– Nie, nie, tak trzeba... Tak, Marie? Tak trzeba...

EPILOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Minęło siedem lat. Wzburzone morze historii Europy uspokoiło się w swych brzegach. Wydawało się spokojnie; ale utajone siły, poruszające ludzkością (utajone dlatego, że prawa określające ich ruch są nam nie znane), nie przestawały działać.

Mimo że powierzchnia morza historii wydawała się nieruchoma, ludność poruszała się tak samo nieustannie, jak porusza się czas. Łączyły się i rozłączały rozmaite grupy ludzkich powiązań: powstawały przyczyny kształtowania się i upadku państw, przesuwania się narodów.

Morze historii nie falowało, jak dawniej, między brzegami: burzyło się w głębi. Postaci historyczne nie unosiły się jak dawniej niby fale od brzegu do brzegu: teraz jak gdyby krążyły w miejscu. Postaci historyczne, które dawniej na czele wojsk odzwierciedlały ruch mas, nakazując wojny, marsze, bitwy, teraz odzwierciedlały ten kipiący w głębi ruch działaniem politycznym i dyplomatycznym, prawami, traktatami...

Tę działalność postaci historycznych nazywają historycy reakcją.

Opisując działalność postaci historycznych, będących, ich zdaniem, przyczyną tego, co nazywają reakcją, historycy potępiają ich surowo. Wszyscy głośni ludzie owego czasu, od Aleksandra i Napoleona do m-me de Stael, Focjusza, Schellinga, Fichtego, Chateaubrianda i innych, stają przed ich surowym sądem i uniewinnia się ich lub osądza, zależnie od tego, czy współdziałali z postępem, czy z reakcją.

W Rosji, według opisów historyków, w tym okresie też powstawała reakcja i głównym winowajcą tej reakcji był Aleksander I, ów Aleksander I, który, również zgodnie z ich opisami, był w czasie swego panowania głównym sprawcą liberalnych poczynań i ocalenia Rosji.

We współczesnej literaturze rosyjskiej, począwszy od gimnazjalisty, a skończywszy na uczonym historyku, nie ma człowieka, który by nie rzucił swym kamyczkiem w Aleksandra za niesłuszne jego czyny w tym okresie panowania.

„Powinien był postąpić tak a tak. W tym wypadku postąpił dobrze, a w tym – źle. Pięknie postępował w początku panowania i w roku 1812; ale postąpił źle, nadając konstytucję Polsce, tworząc Święte Przymierze, dając władzę Arakczejewowi i popierając Golicyna i mistycyzm, a potem – Szyszkowa i Focjusza. Źle zrobił zajmując się liniową stroną służby wojskowej, źle postąpił rozwiązując pułk Siemianowski itd.

Trzeba by spisać z dziesięć arkuszy, żeby wyliczyć wszystkie zarzuty, jakie mu czynią historycy na podstawie tej wiedzy o szczęściu ludzkości, którą posiadają.

Co znaczą te zarzuty?

Te same postęпки, za które historycy chwala Aleksandra I – jak liberalne poczynania, walka z Napoleonem, stanowczość wykazana przez niego w roku 1812 i kampania roku 1813 – czyż nie

wypływają z jednych i tych samych źródeł – związków krwi, wychowania, życia, które urobiły osobowość Aleksandra taką, jaka była – z których wypływają i te postęпки, za które historycy ganią go, jak Święte Przymierze, odbudowa Polski, reakcja lat dwudziestych. Więc na czym polega istota tych wyrzutów? Na tym, że taka postać historyczna jak Aleksander I, stojąca na najwyższym z możliwych stopni ludzkiej władzy, jakby w ognisku oślepiającego światła wszystkich ześrodkowanych na niej historycznych promieni, postać podlegająca tym najsilniejszym w świecie wpływom intryg, oszustw, pochlebstw, samochwalstwa, które są nieodłączne od władzy; postać czująca w każdym momencie swego życia odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje w Europie; postać nie wymyślona, lecz żywa, jak każdy człowiek mająca osobiste przyzwyczajenia, namiętności, dążenia ku dobru, pięknu, prawdzie – że ta postać pięćdziesiąt lat temu nie tyle nie była cnotliwa (za to historycy nie czynią zarzutów), ile nie miała tych poglądów na szczęście ludzkości, które posiada teraz profesor, zajmujący się nauką od młodości, tj. czytaniem książek, prowadzeniem wykładów i zapisywaniem tych książek i wykładów do jednego zeszytu.

Ale jeśli nawet przypuścimy, że Aleksander I przed pięćdziesięcioma laty mylił się w swych zapatrywaniach na to, czym jest szczęście narodów, chcąc nie chcąc trzeba przyjąć, że i historyk sądzący Aleksandra również tak samo, PO upływie pewnego czasu, będzie miał mylny pogląd na to, czym jest szczęście ludzkości; tak, że to, co wydawało się szczęściem, po dziesięciu latach staje się złem, i na odwrót. Mało tego: znajdujemy w historii jednocześnie zupełnie przeciwne poglądy na to, co było złe, a co dobre: jedni daną Polsce konstytucję i Święte Przymierze uważają za zasługę, drudzy – za błąd Aleksandra. działalności Aleksandra i Napoleona nie można mówić, że jest pożyteczna lub szkodliwa, bowiem nie możemy powiedzieć, dlaczego była szkodliwa, a dlaczego pożyteczna. Jeżeli działalność ta nie podoba się komuś, to nie podoba się tylko na skutek jej niezgodności z ograniczonym jego rozumieniem tego, czym jest szczęście. Czy uważam za szczęście ocalenie w roku 1812 domu mego ojca w Moskwie, czy chwałę wojsk rosyjskich, czy rozkwit uniwersytetu petersburskiego i innych, czy wolność Polski, czy potęgę Rosji, czy równowagę Europy albo pewnego rodzaju oświecenie europejskie – postęp, powinienem uznać, że działalność każdej postaci historycznej miała na względzie, oprócz tych celów, jeszcze inne, bardziej ogólne i niedostępne mi cele.

Ale przypuścimy, że tak zwana nauka może pogodzić wszystkie sprzeczności i ma dla postaci historycznych i dla zdarzeń niezmienną miarę dobra i zła.

Przypuścimy, że Aleksander mógł postąpić we wszystkim inaczej. Przypuścimy, że mógł – według wskazań tych, którzy go oskarżają, tych, którzy głoszą, iż znają ostateczny cel, ku któremu dąży ludzkość – wydawać rozporządzenia według takiego programu ludowości, wolności, równości i postępu (nowsze programu, zdaje się, nie ma), który by mu dali dzisiejsi oskarżyciele. Przypuścimy, że ten program był możliwy i został napisany i że Aleksander działał według niego. Cóż by się stało wtedy z działalnością wszystkich tych ludzi, którzy przeciwdziałali ówczesnemu kierunkowi rządu – z działalnością, która według zdania historyków jest dobra i pożyteczna? Nie byłoby tej działalności, nie byłoby życia, nic by nie było.

Jeżeli przypuścimy, że życie ludzkie może być kierowane rozumem, wówczas zginie możliwość życia.

II

Jeżeli przyjąć, jak to robią historycy, że wielcy ludzie prowadzą ludzkość do osiągnięcia pewnych celów, polegających albo na wielkości Rosji czy Francji, albo na równowadze Europy, albo na upowszechnieniu idei rewolucyjnej, albo na ogólnym postępie, albo na czymkolwiek – to nie można wyjaśnić zjawisk historycznych bez pojęcia przypadku i geniusza.

Jeżeli cel wojen europejskich na początku obecnego stulecia polegał na wielkości Rosji, to ten cel mógł być osiągnięty bez wszelkich poprzednich wojen i bez najazdu. Jeżeli celem była wielkość Francji, to ten cel mógł być osiągnięty i bez rewolucji, i bez cesarstwa. Jeżeli celem było rozpowszechnienie idei, to drukowanie książek spełniłoby to znacznie lepiej niż żołnierze. Jeżeli celem był postęp cywilizacji, to bardzo łatwo wnioskować, że są inne, bardziej skuteczne drogi do szerzenia cywilizacji, poza niszczeniem ludzi i dóbr.

Dlaczegoż się to stało tak, a nie inaczej?

Dlatego że się tak stało. „Przypadek stworzył sytuację, geniusz ją wykorzystał” – mówi historia.

Ale cóż ta takiego przypadek? Cóż to jest geniusz?

Słowa przypadek i geniusz nie oznaczają nic, co by istniało rzeczywiście, i dlatego nie mogą być określone. Słowa te oznaczają jedynie pewien stopień rozumienia zjawisk. Nie wiem, dlaczego następuje takie oto zjawisko; myślę, że nie mogę wiedzieć, dlatego nie chcę wiedzieć i mówię: przypadek. Widzę siłę wywołującą działanie niewspółmierne z ogólnoludzkimi właściwościami; nie rozumiem, dlaczego się to dzieje, i mówię: geniusz.

Dla stada baranów ten baran, którego owczarz co wieczór zapędza do osobnej zagrody z dodatkową paszą i przez to baran staje się dwa razy grubszy, może się wydawać geniuszem. I ta okoliczność, że co wieczór ten właśnie baran idzie nie do ogólnej owczarni, lecz do wydzielonej zagrody z owsem i że tego właśnie, tego samego barana, obrośniętego tłuszczem, zarzyna się na mięso, może się wydawać uderzającym połączeniem genialności z całym mnóstwem niezwykłych przypadków.

Ale wystarczy, żeby barany przestały myśleć, że wszystko, co się im przydarza, dzieje się jedynie dla osiągnięcia ich baranich celów; wystarczy przypuścić, że wydarzenia ich dotyczące mogą również mieć cele niezrozumiałe dla nich, wówczas ujrzą jednolitość i konsekwencję w tym, co się dzieje z tuczonym baranem. Jeżeli nie będą wiedzieć, w jakim celu się go tuczy, przynajmniej będą wiedzieć, że wszystko, co się wydarzyło z baranem, wydarzyło się nieprzypadkowo, i już nie będzie potrzeby pojęć ani przypadku, ani geniusza.

Jedynie wyrzekając się poznania bliskiego, zrozumiałego celu i uznając, że cel ostateczny jest nam niedostępny, zobaczymy konsekwencję i celowość w życiu postaci historycznych; odsłoni się nam przyczyna tego niewspółmiernego z ogólnoludzkimi właściwościami działania, którego dokonują, i niepotrzebne nam będą słowa: przypadek i geniusz.

Wystarczy uznać, że nie znamy celu wzburzenia europejskich narodów, lecz znamy tylko

fakty, polegające na zabijaniu z początku we Francji, potem we Włoszech, w Afryce, w Prusach, w Austrii, w Hiszpanii, w Rosji, i że ruchy z Zachodu na Wschód i ze Wschodu na Zachód stanowią istotę i cel wydarzeń, a nie tylko niepotrzebna nam będzie wyjątkowość i genialność charakterów Napoleona i Aleksandra, lecz nie będziemy sobie mogli wyobrazić tych postaci inaczej niż jako ludzi takich jak wszyscy inni; i nie tylko nie trzeba będzie tłumaczyć przypadkowością tych drobnych wydarzeń, które uczyniły z tych ludzi to, czym byli, ale stanie się zrozumiałe, że wszystkie te drobne wydarzenia były niezbędne.

Gdy się wyrzekniemy poznania celu ostatecznego, zrozumiemy jasno, że jak roślinie nie można przeznaczyć innego, bardziej odpowiedniego dla niej kwiatu i innych nasion niż te, które wydaje, tak samo nie można sobie wyobrazić dwóch innych ludzi, z całą ich przeszłością, którzy by całkowicie odpowiadali w najdrobniejszych szczegółach temu przeznaczeniu, które mieli spełnić.

III

Podstawowym, istotnym faktem wydarzeń w Europie w początku bieżącego stulecia jest zbrojny ruch narodów europejskich z Zachodu na Wschód, a potem ze Wschodu na Zachód. Rozpoczęło się od ruchu z Zachodu na Wschód. Żeby narody Zachodu mogły dokonać tego zbrojnego ruchu w kierunku Moskwy, którego dokonały, było niezbędne:

1) żeby się zjednoczyły w zbrojną grupę takiej wielkości, która mogłaby wytrzymać zderzenie ze zbrojną grupą wschodu, 2) żeby się wyrzekły wszystkich ustalonych tradycji i przyzwyczajzeń i 3) żeby – dokonując tego zbrojnego ruchu – miały na czele człowieka, który by i wobec siebie, i wobec nich mógł usprawiedliwić mające się dokonać oszustwa, grabieże i zabójstwa, towarzyszące temu ruchowi.

I poczynając od rewolucji francuskiej ulega zniszczeniu stara, niedostatecznie wielka grupa, wyplenia się stare zwyczaje i tradycje; krok po kroku tworzy się grupę nowych rozmiarów, powstają nowe zwyczaje i tradycje, przygotowuje się tego człowieka, który ma stanąć na czele przyszłego ruchu i wziąć na siebie całą odpowiedzialność za to, co się ma dokonać.

Człowieka bez przekonań, bez przyzwyczajzeń, bez tradycji, bez nazwiska, nawet nie-Francuza, który, zda się, tylko dziwnymi przypadkami przebija się wśród wszystkich poruszających Francję partii i, nie łącząc się z żadną z nich, wysuwa się na główne miejsce,

Prymitywizm współtowarzyszy, słabość i nikczemność przeciwników, szczerłość kłamstwa i wspaniałe, pewne siebie ograniczenie tego człowieka wynoszą go na czoło armii. Świetny skład żołnierzy włoskiej armii, niechęć do walki u przeciwników, chłopięca zuchwałość i pewność siebie zdobywają mu sławę wojenną. Niezliczona ilość tak zwanych przypadków towarzyszy mu wszędzie. Niełaska, w którą wpada u ludzi kierujących Francuzami, wychodzi mu na korzyść. Próby zmiany przeznaczonej mu drogi nie udają się: nie zostaje przyjęty do służby rosyjskiej i nie otrzymuje stanowiska w Turcji. W czasie wojen we Włoszech kilkakrotnie znajduje się na skraju zguby i zawsze ratuje go nieoczekiwany przypadek. Wojska rosyjskie, te właśnie, które by mogły zburzyć jego chwałę, nie wkraczają z różnych dyplomatycznych względów do Europy, dopóki on tam jest.

Po powrocie do Włoch zastaje rząd w Paryżu w tym stanie rozkładu, gdy ludzie, wchodzący do tego rządu, nieuchronnie ścierają się i giną. I znowu samo przez się powstaje wyjście z tego niebezpiecznego położenia w postaci bezmyślnej, nieuzasadnionej ekspedycji do Afryki. Znowu towarzyszą mu tak zwane przypadki. Niedostępna Malta poddaje się bez strzału, najbardziej nieostrożne zarządzenia uwieńcza sukces. Flota nieprzyjacielska, która później nie przepuści nawet łodzi, przepuszcza całą armię. W Afryce względem bezbronných prawie mieszkańców dokonuje się mnóstwo zbrodni. A ludzie, którzy to czynią, zwłaszcza zaś ich dowódca, zapewniają sobie, że to jest piękne, że w tym jest chwała, że to przypomina Cezara i Aleksandra Macedońskiego.

Ten ideał chwały i wielkości, polegający na tym, aby nie tylko nic nie poczytywać sobie za

złe, ale pysznić się wszelką swą zbrodnią, przypisując jej niezrozumiałe, nadprzyrodzone znaczenie – ten ideał, który będzie kierował owym człowiekiem i ludźmi z nim związanymi, kształtuje się w Afryce. Czego by nie tknął, wszystko mu się udaje. Omija go dzuma. Okrutne mordowanie jeńców nie zostaje mu poczytane za zbrodnię. Chłopięco nieostrożny, nieuzasadniony i nieszlachetny odjazd jego z Afryki i porzucenie towarzyszy w niebezpieczeństwie poczytuje mu się za zasługę i znowu flota nieprzyjacielska dwukrotnie go przepuszcza. Gdy do reszty odurzony dokonanymi przez siebie zbrodniami, gotów do swej roli, bez żadnego celu przyjeżdża do Paryża, rozkład rządu republikańskiego, który mógł go zgubić przed rokiem, teraz doszedł do szczytu, i jego obecność, człowieka nowego i niezależnego od stronnictw, teraz może go tylko wywyższyć.

Nie ma żadnego planu; wszystkiego się boi; ale uczepiają się go stronnictwa i domagają się jego udziału.

Jedynie on ze swym wypracowanym we Włoszech i Egipcie ideałem chwały i wielkości, ze swym szaleństwem samouwielbienia, ze swym zbrodniczym zuchwalstwem, ze swą szczerością kłamstwa – jedynie on może usprawiedliwić to, co się ma dokonać.

Potrzebny jest na stanowisko, które go oczekuje, i dlatego – prawie niezależnie od jego woli i mimo jego niezdecydowania, braku programu, popełnionych błędów, zostaje wciągnięty do spisku, którego celem jest zdobycie władzy, i spisek uwieńczony zostaje powodzeniem.

Wpychają go na posiedzenie Izby. Przestraszony, chce uciekać, uważa się za zgubionego; udaje omdlenie. Wygłasza bezsensowne zdania, które powinny by go zgubić. Lecz władcy Francji dawniej przewidujący i dumni, teraz, czując, że rola ich jest skończona, jeszcze bardziej zmieszani niż on, mówią nie to, co powinni by mówić, by utrzymać władzę, a jego zgubić.

Przypadek, miliony przypadków dają mu władzę i wszyscy ludzie, jakby się zmówili, pomagają w umocnieniu tej władzy. Przypadki urabiają charaktery ówczesnych władców Francji, którzy mu się podporządkowują; przypadki urabiają charakter Pawła I, który uznał jego władzę, przypadkiem jest spisek przeciw niemu, nie tylko nieszkodliwy dla niego, ale umacniający jego władzę. Przypadek oddaje mu w ręce księcia d'Enghien i nieumyślnie każe go rozstrzelać, co mocniej niż wszelkie inne środki przekonywa tłum, że on ma prawo, gdyż posiada siłę. Przypadek czyni to, że Napoleon wyteża wszystkie siły na ekspedycję do Anglii, która oczywiście zgubiłaby go, i nigdy nie urzeczywistnia swego zamiaru, ale przypadkowo napada na Macka z Austriakami, którzy poddają się bez bitwy. Przypadek i genialność dają mu zwycięstwo pod Austerlitz i przypadkiem wszyscy ludzie, nie tylko Francuzi, lecz cała Europa – z wyjątkiem Anglii, która nie weźmie udziału w mających nastąpić zdarzeniach, wszyscy ludzie, mimo poprzedniego strachu i wstrętu z powodu jego zbrodni, teraz uznają jego władzę, tytuł, który sobie nadał, i jego ideał wielkości i sławy, który wydaje się wszystkim czymś pięknym i rozumnym.

Jakby próbując i przygotowując się do przyszłego ruchu, siły Zachodu kilkakrotnie w latach 1805, 1806, 1807, 1809 prą na Wschód, wzmacniając się i rozrastając. W roku 1811 grupa ludzi, powstała we Francji, zespala się w jedną olbrzymią grupę z narodami środka Europy. Jednocześnie z powiększeniem się tego zespołu ludzi rozwija się siła usprawiedliwiająca człowieka, stojącego na czele ruchu. W dziesięcioletnim przygotowawczym okresie, poprzedzającym ów wielki ruch, człowiek ten porozumiewa się ze wszystkimi koronowanymi głowami Europy. Zdemaskowani władcy świata nie mogą przeciwstawić żadnego rozumnego ideału napoleońskiemu ideałowi chwały i wielkości, nie mającemu żadnego sensu. Jeden za drugim dążą, by okazać mu swą nicość. Król pruski posyła żonę, by zabiegała o życzliwość wielkiego człowieka, cesarz Austrii uważa za laskę, że ten człowiek przyjmuje do swego łóża córkę cesarów; papież, strażnik świętości ludów, religią swą przyczynia się do wyniesienia

wielkiego człowieka⁴⁰³. Nie tyle sam Napoleon przygotowuje się do spełnienia swej roli, ile całe otoczenie sposobi go, by wziął na siebie całą odpowiedzialność za to, co się dokonywa i co się ma dokonać. Nie ma takiego czynu, nie ma zbrodni czy drobnego oszustwa, których by nie dokonał i którego by jego otoczenie natychmiast nie nazwało wielkim czynem. Największym świętem, jakie dla niego mogą wymyślić Niemcy, jest świętowanie rocznicy Jeny i Auerstaedu. Nie tylko on jest wielki, ale i jego przodkowie, jego bracia, jego pasierbowie i szwagrowie. Wszystko dokonywa się po to, by go pozbawić reszty rozumu i przygotować do straszliwej roli. I gdy on jest już gotów, gotowa jest też siła.

Najazd dąży na Wschód, dosięga ostatecznego celu – Moskwy. Stolica pada, wojsko rosyjskie jest bardziej zniszczone, niż kiedykolwiek były zniszczone wojska nieprzyjacielskie w poprzednich bitwach, od Austerlitz do Wagram. Ale nagle zamiast tych przypadków i genialności, które tak konsekwentnie wiodły go dotychczas z nieprzerwanym powodzeniem do wytkniętego celu, rozpoczyna się niezliczona ilość przeciwnych przypadków, od kataru pod

Borodinem aż do mrozów i do iskry, która podpałała Moskwę, i zamiast genialności przejawia się głupota i podłość bez miary.

Najazd uchodzi, wraca, znowu uchodzi i wszystkie przypadki teraz stale działają nie dla niego, lecz przeciw niemu.

Następuje ruch odwrotny, ze Wschodu na Zachód, z uwagi godnym podobieństwem do ruchu poprzedniego, z Zachodu na Wschód. Podobne próby ruchu ze Wschodu na Zachód, jak w latach 1805–1807–1809, poprzedzają ten wielki ruch; to samo gromadzenie sił w zespół ogromnych wymiarów; podobne łączenie się z ruchem narodów pośrednich, takie samo wahanie w pół drogi i taka sama szybkość w miarę zbliżania się do celu.

Paryż, cel ostateczny – osiągnięto. Rząd napoleoński i wojska są zniszczone. Sam Napoleon nie ma już sensu; wszystkie jego postępy są zdecydowanie nędzne i wstrętne, lecz znowu następuje niezrozumiały przypadek: sprzymierzeńcy nienawidzą Napoleona, w którym upatrują przyczynę swych nieszczęść; pozbawiony siły i władzy, zdemaskowany w swych przestępstwach i zdradach powinien był wydać się im takim, za jakiego miano go przed dziesięciu laty i w rok później – za rozbójnika poza prawem. Ale przez jakiś dziwny przypadek nikt tego nie widzi. Rola jego jest jeszcze nie skończona. Człowieka, którego dziesięć lat temu i w rok później uważano za rozbójnika poza prawem, wysyła się na wyspę – oddaloną o dwa dni drogi od Francji – i oddaje mu się ją we władanie z gwardią i milionami płaconymi nie wiadomo za co.

⁴⁰³ Mowa o małżeństwie Napoleona z Marią Luizą, córką cesarza Franciszka, i o koronacji Napoleona, której dokonał Pius VII.

IV

Ruch narodów zaczyna wchodzić w swe brzegi. Fale wielkiego ruchu odpłynęły i na ucichłym morzu tworzą się koła, po których krążą dyplomaci, wyobrażając sobie, że to oni spowodowali ten spokój.

Ale to spokojne morze znowu się podnosi. Dyplomatom wydaje się, że oni, ich nieporozumienia wywołują ten nowy napór sił, czekają na wojnę między swymi panującymi, położenie wydaje się im nie do rozwiązania. Ale fala, której wznoszenie się odczuwają, płynie nie stąd, skąd jej oczekują. Podobna fala napływa z tego samego punktu wyjścia – z Paryża. Następuje ostatnie pluśnięcie ruchu z Zachodu – pluśnięcie, które powinno rozstrzygnąć dyplomatyczne sprzeczności, wydające się nie do rozstrzygnięcia, i zakończyć zbrojny ruch tego okresu.

Człowiek, który spustoszył Francję, sam jeden, bez spisku, bez żołnierzy wraca do Francji. Mógłby go przytrzymać każdy strażnik, ale dziwnym przypadkiem nikt go nie tylko nie zatrzymuje, ale wszyscy witają z zachwytem tego człowieka, którego przeklinali wczoraj i będą przeklinać za miesiąc.

Człowiek ten jest jeszcze potrzebny, aby usprawiedliwić ostatnie zbiorowe posunięcie.

Posunięcia tego dokonano. Odegrano ostatnią rolę. Aktorowi kazano się rozebrać i zmyć szminkę: nie będzie już potrzebny.

Upływa kilka lat i przez ten czas ów człowiek w odosobnieniu, na swej wyspie, gra sam przed sobą nędzną komedię, intryguje i kłamie, usprawiedliwiając swoje postęпки, kiedy usprawiedliwiać ich już nie trzeba, i okazuje całemu światu, czym było to, co ludzie uważali za siłę, kiedy kierowała nim niewidzialna ręka.

Gdy dramat się skończył i gdy aktor zdjął kostium, reżyser pokazał nam aktora.

– Patrzcie, w coście wierzyli! Oto on! Czy widzicie nareszcie, że to nie on, lecz ja was wprowadziłem w ruch?

Ale, oślepieni siłą ruchu, ludzie długo tego nie rozumieli.

Jeszcze bardziej konsekwentne i konieczne było życie

Aleksandra I, tej postaci, która stała na czele przeciwnego ruchu ze Wschodu na Zachód.

Czego trzeba było temu człowiekowi, który zasłaniając innych, stałby na czele owego ruchu ze Wschodu na Zachód?

Trzeba mu było poczucia sprawiedliwości, udziału w sprawach Europy, ale dość odległego, nie zaciemnionego drobnymi sprawami; trzeba było przewagi poziomu moralnego nad współkolegami – panującymi tego czasu; trzeba indywidualności delikatnej i pociągającej osobowości; trzeba uczucia osobistego wzburzenia przeciw Napoleonowi.

Wszystko to ma Aleksander I, wszystko to zostało przygotowane przez niezliczone tak zwane przypadki całego jego minionego życia: i wychowanie, i liberalne poczyny, i otaczających go

doradców, i Austerlitz, i Tylżę, i Erfurt.

W czasie wojny narodowej postać ta jest bezczynna, tak właśnie trzeba. Ale gdy tylko nadchodzi konieczność wojny europejskiej, postać ta zjawia się we właściwym czasie na właściwym stanowisku i łącząc narody europejskie wiedzie je do celu.

Cel osiągnięto. Po ostatniej wojnie w roku 1815 Aleksander znajdzie się u szczytu władzy możliwej do osiągnięcia. Jakież z niej robi użytek?

Aleksander I – twórca pokoju europejskiego, człowiek od młodości dążący tylko do szczęścia swych narodów, pierwszy inicjator nowych, liberalnych poczynań w swojej ojczyźnie, teraz gdy, zdawałoby się, posiada największą władzę, a więc i możliwość uszczęśliwienia swych narodów, w tym czasie gdy Napoleon na wygnaniu układa dziecinne i kłamliwe plany, jakby to on uszczęśliwił ludzkość, gdyby miał władzę – Aleksander I, spełniwszy swe zadanie i czując na sobie rękę Bożą, nagle uznaje marność tej rzekomej władzy, odwraca się od niej, przekazuje ją w ręce wzgardzonych przezeń i godnych pogardy ludzi i tylko mówi:

„Nie dla nas, nie dla nas, lecz dla Imienia Twego!” Jestem człowiekiem takim jak i wy, pozwólcie mi żyć jak człowiekowi i myśleć o swej duszy i Bogu.

Jak słońce i każdy atom eteru są kulami zamkniętymi w sobie, a jednocześnie – tylko atomami niedostępnej człowiekowi, ze względu na swój ogrom całości, podobnie każda jednostka nosi w sobie swoje cele, jednak nosi je dlatego, żeby służyć celom ogólnym, nieosiągalnym dla jednego człowieka.

Pszczoła, siedząca na kwiatku, uządlila dziecko. I dziecko boi się pszczoł, i mówi, że celem pszczoły jest żądlić ludzi. Poeta zachwyca się pszczołą wpijającą się w kielich kwiatu i mówi, że cel pszczoły polega na upajaniu się wonią kwiatów. Pasiecznik zauważywszy, że pszczoła zbiera pyłek kwiatowy oraz słodki nektar i przynosi go do ula, mówi, że celem pszczoły jest zbieranie miodu. Inny pasiecznik, poznaawszy bliżej życie roju, mówi, że pszczoła zbiera pyłek i nektar na pokarm dla młodych pszczoł i wyhodowanie królowej, że cel jej polega na zachowaniu rodu. Botanik zauważywszy, że przelatując z pyłem dwulistnego kwiatka na słupek, pszczoła go zapładnia, w tym widzi cel pszczoły. Inny, obserwując wędrówki roślin, widzi, że pszczoła pomaga tym wędrówkom: ten nowy obserwator może powiedzieć, że na tym polega cel pszczoły. Ale istotny cel pszczoły nie wyczerpuje się ani w tym, ani w drugim, ani w trzecim celu, który może być wykryty przez rozum ludzki. Im wyżej sięga rozum ludzki w wykrywaniu tych celów, tym widoczniejsze się dlań staje, że cel istotny jest niedostępny.

Człowiekowi dostępna jest tylko obserwacja zgodności życia pszczoły z innymi objawami życia. To samo jest z celowością postaci historycznych i narodów.

V

Ślub Nataszy, która wyszła w roku 1813 za Bezuchowa, był ostatnim radosnym wydarzeniem w starej rodzinie Rostowów. W tym też roku umarł hrabia Ilia Andrejewicz i, jak to zawsze bywa, z jego śmiercią rozpadł się stary ród.

Wydarzenia ostatniego roku: pożar Moskwy i ucieczka z niej, śmierć księcia Andrzeja i rozpacz Nataszy, śmierć Pieti, cierpienia hrabiny – wszystko to jak cios za ciosem spadało na głowę starego hrabiego. Wydawało się, że nie rozumiał i nie czuł się na siłach zrozumieć znaczenia wszystkich tych wydarzeń, i schyliwszy – w sensie moralnym – swą starą głowę, jakby oczekiwał i prosił o nowe ciosy, które by go dobiły. Wydawał się to przestraszony i roztargniony, to nienaturalnie ożywiony i przedsiębiorczy.

Ślub Nataszy zajął go przez jakiś czas swą zewnętrzną stroną. Zamawiał obiady, kolacje i widać było, że chciał wyglądać wesoło, ale wesołość jego nie udzielała się jak dawniej, przeciwnie, wywoływała współczucie w ludziach, którzy go znali i kochali.

Po odjeździe Pierre'a z żoną przycichł i zaczął się uskarżać, że mu smutno. Po kilku dniach zachorował i położył się do łóżka. Od pierwszych dni choroby, mimo pocieszeń doktorów, zrozumiał, że już nie wstanie. Hrabina, nie rozbierając się, przez dwa tygodnie przesiedziała w fotelu u jego wezglowia. Za każdym razem, gdy mu podawała lekarstwo, płacząc całował jej rękę w milczeniu. W ostatnim dniu prosił, szlochając, żonę i nieobecnego syna, by mu przebaczyli, że zrujnował majątek – była to największa wina, do której się poczuwał. Po komunii i olejach świętych umarł spokojnie, a nazajutrz tłum znajomych, którzy przyjechali oddać mu ostatnią posługę, nappełnił wynajęte mieszkanie Rostowów. Wszyscy ci znajomi, tyle razy obiadujący i tańczący u niego, tyle razy śmiejący się z niego, teraz wszyscy z jednakowym uczuciem wewnętrznego wyrzutu i rozrzewnienia, jakby usprawiedliwiając się przed kimś, mówili: „Jak tam było, tak było – ale to był przemiły człowiek. Takich ludzi nie spotkać już teraz... A któż nie ma swych słabostek?...”

Właśnie wtedy, gdy interesy hrabiego tak się zaplątały, że nie sposób było sobie wyobrazić, jak się to wszystko skończy, gdyby stan ten potrwał jeszcze rok – hrabia nieoczekiwanie umarł.

Mikołaj przebywał z wojskami rosyjskimi w Paryżu, gdy dobiegła go wiadomość o śmierci ojca. Natychmiast podał się do dymisji i nie czekając na nią wziął urlop, i przyjechał do Moskwy. W miesiąc po śmierci hrabiego sytuacja finansowa odsłoniła się całkowicie, zadziwiając wszystkich wielkością sumy różnych drobnych długów, których istnienia nikt nie podejrzewał. Długów było dwa razy więcej niż majątku.

Krewni i przyjaciele radzili Mikołajowi, by się zrzekł spuścizny. Ale Mikołaj widział w takim zrzeczeniu się plamę na świętej dlań pamięci ojca i dlatego nie chcąc o tym słyszeć, przyjął spadek zobowiązując się do spłacenia długów.

Wierzycciele, którzy tak długo milczeli będąc skrepowani za życia hrabiego owym

nieokreślonym, lecz silnym wpływem jego rozrzutnej dobroci, teraz wszyscy zażądali swych należności. Rozpoczęło się, jak to zawsze bywa, współzawodnictwo – kto najpierw otrzyma – i ci sami ludzie, którzy, jak Mitińka i inni, posiadali rewersy-darowizny, stali się teraz najbardziej wymagającymi wierzycielami. Nie dawano Mikołajowi nawet odsapnąć, ci, którzy oszczędzali starca, będącego przyczyną ich strat (jeżeli były straty), teraz bezlitośnie rzucili się na młodego spadkobiercę, który nie ponosił wobec nich winy i dobrowolnie wziął na siebie spłatę.

Ani jeden z projektowanych przez Mikołaja planów nie udał się; majątek sprzedano z licytacji za połowę wartości, a połowa długów jednak nie została spłacona. Mikołaj przyjął zaofiarowane mu przez szwagra Bezuchowa trzydzieści tysięcy na spłatę tej części zobowiązań, które uważał za rzeczywiste długi pieniężne. Ażeby za nie spłacone długi nie dostać się do lochu – czym mu grozili wierzyciele – wziął znowu posiadłość.

Nie mógł wrócić do armii, gdzie był pierwszy w kolejności awansu na dowódcę pułku, bo matka chwyciła się go teraz jako ostatniej zachęty do życia. I chociaż nie chciał pozostać w Moskwie wśród ludzi, którzy go znali przedtem, mimo wstrętu do służby cywilnej przyjął jednak w Moskwie stanowisko w urzędzie cywilnym i, zdjawszy ukochany mundur, zamieszkał z matką i Sonią w małym mieszkaniu na Siwcowym Wrażku.

Natasza i Pierre mieszkali wówczas w Petersburgu, nie mając dokładnego pojęcia o sytuacji Mikołaja. Mikołaj, pożyczwszy od szwagra pieniędzy, starał się ukryć przed nim swe ciężkie położenie. Położenie Mikołaja było szczególnie złe dlatego, że mając tysiąc dwieście rubli pensji, musiał utrzymywać nie tylko siebie, Sanię i matkę, ale jeszcze tak utrzymywać matkę, by nie zauważyła, że są biedni. Hrabina nie mogła zrozumieć życia bez zbytku, do którego nawykła od dzieciństwa, i nieustannie, nie rozumiejąc, jakie trudności miał syn, żądała to powozu, którego nie posiadali, chcąc go posiać po znajomą, to drogich potraw dla siebie i wina dla Mikołaja, to pieniędzy, by kupić upominek-niespodziankę Nataszy, Sani i temuż Mikołajowi.

Sonia prowadziła gospodarstwo domowe, opiekowała się ciotką, czytała jej głośno, zносиła wszystkie jej kaprysy i zatajoną nieżyczliwość i pomagała Mikołajowi ukrywać przed starą hrabiną ten niedostatek, w którym się znajdowali. Mikołaj czuł niewypłacalny dług wdzięczności dla Sani za wszystko, co robiła dla jego matki, zachwycał się jej cierpliwością i oddaniem, ale starał się trzymać od niej z daleka.

W duszy swej robił jej jakby wyrzuty za to, że była zbyt doskonała, i za to, że nie można jej było nic zarzucić. Miała w sobie wszystko, za co się ceni ludzi; ale było za mało tego, co by zmuszało, by ją kochać. I Mikołaj czuł, że im bardziej ją ceni, tym mniej kocha. Pamiętał o jej liście, w którym pisała mu, że jest wolny, i teraz zachowywał się wobec niej tak, jakby wszystko, co było między nimi, dawno już zostało zapomniane i w żadnym wypadku nie mogło się powtórzyć.

Położenie Mikołaja stawało się coraz gorsze. Myśl, żeby odkładać oszczędności ze swej pensji, okazała się urojeniem. Nie tylko nie oszczędzał, ale zaspokajając potrzeby matki, robił drobne długi. Nie wyobrażał sobie żadnego wyjścia ze swego położenia. Myśl o ożenku z bogatą spadkobierczynią, którą mu podsuwały jego krewniaczki, była dlań wstrętą. Inne wyjście z tego położenia – śmierć matki – nie przychodziło mu nigdy do głowy. Niczego nie pragnął, niczego się nie spodziewał i w głębi duszy doświadczał posępnej, srogiej rozkoszy, że znosi swój los bez szemrania. Starał się unikać dawnych znajomych z ich współczuciem i propozycjami obrażającej go pomocy, unikał wszelkich rozrywek i przyjemności; nawet w domu nic nie robił, układał tylko z matką pasjansę, chodził, milcząc, po pokoju i palił fajkę za fajką. Jak gdyby starannie pielęgnował w sobie ów posępny nastrój, w którym jedynie czuł się na siłach znieść swoje położenie.

VI

Na początku zimy księżniczka Maria przyjechała do Moskwy. Z wieści krążących po mieście dowiedziała się o położeniu Rostowów i o tym, jak „syn poświęcił się dla matki” tak mówiono w mieście.

„Nie spodziewałam się po nim niczego innego” – mówiła sobie księżniczka Maria odczuwając radosne potwierdzenie swej miłości do niego. Przypominając sobie przyjacielskie i prawie rodzinne stosunki z całą rodziną, uważała za swój obowiązek odwiedzić ich. Ale wspominając znajomość z Mikołajem w Woroneżu, bała się tego. Jednak po kilku tygodniach przebywania w mieście, zadając sobie gwałt, pojechała do Rostowów.

Najpierw przywitał ją Mikołaj, gdyż do hrabiny można było przejść tylko przez jego pokój. Przy pierwszym spojrzeniu na nią twarz Mikołaja zamiast wyrazu radości, którego spodziewała się księżniczka Maria, przybrała nie widziany dawniej przez księżniczkę wyraz chłodu, oschłości i pychy. Mikołaj zapytał ją o zdrowie, zaprowadził do matki i posiedziawszy pięć minut, wyszedł z pokoju.

Gdy księżniczka wychodziła od hrabiny, Mikołaj znowu do niej wyszedł i w sposób szczególnie ceremonialny i oschły odprowadził ją do przedpokoju. Ani słowem nie odpowiedział na jej uwagi o zdrowiu hrabiny. „Co pani do tego? proszę mi dać spokój” – mówiły jego oczy.

– I czego się tu płacze? Czego ona chce? Nie znoszę tych pań i wszelkich takich grzeczności! – powiedział głośno przy Soni, widocznie nie mając sił, by opanować swoje niezadowolenie, gdy karetka księżniczki odjechała sprzed domu.

– Ach, jak można tak mówić, Nicolas – powiedziała Sonia, ledwo ukrywając swą radość. – Ona taka dobra i maman tak ją kocha.

Mikołaj nic nie odpowiedział i miał zamiar nie mówić więcej o księżniczce. Ale od czasu jej wizyty stara hrabina codziennie po kilka razy mówiła o niej.

Hrabina chwaliła ją, żądała, by syn do niej pojechał, wyrażała chęć widywania jej częściej, ale jednocześnie zawsze wpadała w zły humor, gdy o niej mówiła.

Mikołaj starał się milczeć, gdy matka wspominała o księżniczce, ale to milczenie rozdrażniało hrabinę.

– To szlachetna, wspaniała dziewczyna – mówiła – i powinienes do niej pojechać. W każdym razie zobaczysz kogoś, bo myślę, że chyba nudno ci z nami.

– Ależ wcale tego nie pragnę, mamo.

– Kiedyś chciałeś ją widywać, a teraz: „Nie pragnę”. Ja ciebie, mój kochany, naprawdę nie rozumiem. To się nudzisz, to nagle nikogo nie chcesz widzieć.

– Ja przecież nie mówiłem, że się nudzę.

– Jakże, sam przecież powiedziałeś, że nawet widzieć jej nie chcesz. To bardzo godna dziewczyna i zawsze ci się podobała; a teraz nagle jakiejś fochy. Wszystko przede mną

ukrywacie.

– Ależ nic a nic, mamó.

– Gdybym cię prosiła, żebyś zrobił coś niemiłego – ale proszę tylko, byś oddał jej wizytę. Zdaje się, grzeczność tego wymaga... Prosiłam, ale teraz nie mieszam się więcej. Skoro masz jakieś tajemnice przed matką...

– No to już pojedę, jeżeli mama sobie życzy.

– Mnie wszystko jedno; pragnę tego dla ciebie.

Mikołaj wzdychał przygryzając wąsy i kładł pasjansa starając się odciągnąć uwagę matki.

Rozmowa ta powtórzyła się drugiego, trzeciego, i czwartego dnia.

Po wizycie u Rostowów i po tym nieoczekiwanie chłodnym przyjęciu jej przez Mikołaja księżniczka Maria mówiła sobie, że miała rację nie chcąc pierwsza jechać do Rostowów.

„Niczego innego nie oczekiwałam – mówiła przywołując na pomoc swą dumę. – Nie mam z nim nic wspólnego i tylko chciałam zobaczyć staruszkę, która zawsze była dla mnie dobra i której wiele zawdzięczam.

Ale nie mogło jej uspokoić to rozumowanie, męczyło ją uczucie podobne do skruchy na wspomnienie tej wizyty. Mimo że zdecydowała stanowczo nie bywać więcej u Rostowów i zapomnieć o wszystkim, czuła wciąż, że jej sytuacja jest nieokreślona. I gdy pytała siebie, cóż to jest takiego, co ją nęka, musiała stwierdzić, że to właśnie jej stosunek do Rostowa. Jego chłodny, grzeczny ton nie wypływał z jego uczucia do niej (o tym wiedziała), lecz ton ów coś pokrywał. To coś trzeba było poznać; i czuła, że nie może się uspokoić, zanim to nie nastąpi.

W połowie zimy siedziała w pokoju szkolnym obserwując lekcje bratanka, gdy zameldowano jej wizytę Rostowa. Z mocnym postanowieniem, że nie zdradzi swej tajemnicy i nie okaże zmieszania, wezwała m-lle Bourienne i wraz z nią weszła do salonu. Przy pierwszym spojrzeniu na Mikołaja zrozumiała, że przyjechał tylko po to, żeby spełnić obowiązek grzeczności, i postanowiła utrzymać taki sam ton, w jakim on zwrócił się do niej.

Rozmawiano o zdrowiu hrabiny, o wspólnych znajomych, o ostatnich wiadomościach z wojny, a kiedy minęło wymagane przez dobry ton dziesięć minut, po których gość może wstać, Mikołaj wstał, aby się pożegnać.

Księżniczka z pomocą m-lle Bourienne zniosła tę rozmowę bardzo dobrze, ale w ostatniej chwili, w momencie gdy Mikołaj wstał, tak już była zmęczona rozmową o tym, co jej nie obchodziło, i tak ją pochłonięła myśl, dlaczego ją jedną spotyka tak mało radości w życiu, że w przystępie roztargnienia, skierowawszy przed siebie promienisty wzrok, siedziała nieruchomo i nie zauważyła, że wstał.

Mikołaj spojrzał na nią i chcąc udąć, iż nie zauważył jej roztargnienia, powiedział kilka słów do m-lle Bourienne i znowu spojrzał na księżniczkę, która siedziała wciąż nieruchoma, a jej delikatna twarz wyrażała cierpienie. Nagle zrobiło mu się jej żal i przedstawił sobie mgliście, że to może on jest przyczyną tego smutku, który się malował na jej twarzy. Zaprzagnął jej pomóc, powiedzieć coś przyjemnego; ale nie przychodziło mu na myśl, co by jej powiedzieć.

– Do widzenia, księżniczko – powiedział. Ocknęła się, zaczerwieniła i ciężko westchnęła.

– Ach, przepraszam – powiedziała, jakby się budząc. – Pan już odjeżdża, hrabio? No, do widzenia! A poduszka dla hrabiny?

– Proszę poczekać, zaraz ją przyniosę – powiedziała m-lle Bourienne i wyszła z pokoju.

Oboje milczeli, od czasu do czasu spoglądając na siebie.

– Tak, księżniczko – rzekł w końcu Mikołaj, uśmiechając się smutnie – wydaje się, że to niedawno, a ile wody upłynęło od czasu, jakiegośmy się z panią pierwszy raz widzieli w Boguczarowie. Jak nieszczęśliwi wydawaliśmy się wtedy, a dużo bym dał, żeby wróciły te czasy... ale nie wrócą.

Kiedy to mówił, księżniczka uważnie patrzyła mu w oczy swym promiennym wzrokiem. Jakby starała się zrozumieć ukryty sens jego słów, który by jej wyjaśnił jego uczucia do niej.

– Tak, tak – powiedziała – ale pan nie ma czego żałować przeszłości. O ile rozumiem pańskie obecne życie, będzie je pan zawsze z przyjemnością wspominał, gdyż poświęcenie, którym teraz żyjesz...

– Nie przyjmuję pani pochwał – przerwał jej spieszenie. – Przeciwnie, stale sobie wyrzucam... ale to wcale nie-interesująca i niewesoła rozmowa.

I znowu spojrzenie jego nabrało poprzedniego oschłego wyrazu. Ale księżniczka zobaczyła w nim już tego człowieka, którego znała i kochała, i rozmawiała teraz tylko z tym samym człowiekiem.

– Myślałam, że pan pozwoli mi to powiedzieć – rzekła. – Myśmy się tak zbliżyli z panem... i z pana rodziną, i myślałam, że pan nie weźmie mi za złe mojego współczucia, ale omyliłam się – powiedziała i głos jej nagle zadrżał. – Nie wiem dlaczego – ciągnęła opanowawszy się – był pan dawniej inny i...

– Jest tysiąc przyczyn dlaczego (zrobił specjalny nacisk na słowo dlaczego). Dziękuję, księżniczko – powiedział cicho – niekiedy bywa tak ciężko.

„A więc dlatego! Dlatego! – odezwał się wewnętrzny głos w duszy księżniczki Marii. – Nie, ja nie tylko pokochałam w nim to wesołe, dobre i szczerze spojrzenie, nie tylko piękną powierzchowność; odgadłam jego szlachetną, mocną, gotową do poświęceń duszę – mówiła sobie. – Tak, on jest teraz biedny, a ja bogata... Tak, to dlatego... Tak, gdyby nie to...” I wspominając poprzednią jego tkliwość, i patrząc teraz na jego dobrą, zasmuconą twarz, nagle zrozumiała przyczynę jego oziębłości.

– Dlaczego, hrabio, dlaczego? – nagle wykrzyknęła prawie, mimo woli zbliżając się do niego. – Dlaczego? Proszę mi powiedzieć. Pan powinien powiedzieć. – Milczał. – Nie rozumiem pańskiego dlaczego – ciągnęła. – Ale mi ciężko, ja... Przyznam się. Pan z jakiegoś powodu chce mnie pozbawić dawnej przyjaźni. Mnie to boli. – Łzy stanęły jej w oczach i głos załamał się. – Tak mało miałam szczęścia w życiu, że ciężka mi jest każda strata... Proszę mi wybaczyć, do widzenia. – Nagle rozplakała się i wyszła z pokoju.

– Księżniczko! Na Boga, proszę poczekać! – wykrzyknął starając się ją zatrzymać. – Księżniczko!

Obejrzała się. Kilka sekund patrzyli sobie w oczy w milczeniu i dalekie niemożliwe stało się nagle bliskie, możliwe i nieuniknione.

VII

Jesienią 1814 roku Mikołaj ożenił się z księżniczką Marią i zamieszkał z żoną, matką i Sonią w Łysych Górach.

W ciągu trzech lat, nie sprzedając dóbr żony, spłacił resztę długów i otrzymawszy niewielki spadek po zmarłej kuzynce zwrócił pożyczkę Pierre'owi.

Po następnych trzech latach, około roku 1820, Mikołaj tak uporządkował swe sprawy pieniężne, że dokupił niewielki majątek koło Łysych Gór i pertraktował o odkupienie ojcowskiego Otradnego, co było jego ukochanym marzeniem.

Zaczawszy gospodarować z koniecznością tak się wkrótce zapalił do gospodarki, że stała się ona dlań ulubionym, prawie wyłącznym zajęciem.

Mikołaj był gospodarzem zwykłym» nie lubił, nowości; zwłaszcza angielskich, które wtedy wchodziły w modę, śmiał się z teoretycznych dzieł o gospodarstwie, nie lubił tworzenia zakładów, kosztownych produkcji, zasiewów droższych gatunków zbóż i w ogóle nie zajmował się specjalnie ani jednym działem gospodarstwa. Miał na uwadze zawsze tylko całość majątku, nie jakąś tam specjalną jego część. W majątku zaś głównym przedmiotem był nie azot i nie tlen, znajdujące się w glebie i powietrzu, nie specjalny pług i nawóz, lecz to główne narzędzie, za którego pośrednictwem działają i azot, i tlen, i nawóz, i pług – czyli pracownik, chłop. Gdy Mikołaj zajął się gospodarstwem i zaczął wnikać w różne jego części, chłop szczególnie przyciągnął jego uwagę, chłop przedstawiał mu się nie tylko jako narzędzie, ale jako cel i sędzia. Z początku przypatrywał się chłopu, starając się zrozumieć, czego mu potrzeba i co on uważa za złe czy dobre, i tylko udawał, że rządzi i rozkazuje, w rzeczywistości uczył się tylko od chłopów i sposobów, i mówienia, i sądów o tym, co dobre i co złe. I dopiero wtedy, gdy zrozumiał gusty i dążności chłopu, gdy nauczył się mówić jego językiem i rozumieć ukryty sens jego mowy, gdy poczuł się jakby z nim spokrewniony, dopiero wtedy zaczął śmiało nim kierować, czyli spełniać w stosunku do chłopów te funkcje, których od niego żądano. I gospodarowanie Mikołaja przynosiło najświetniejsze rezultaty.

Przyjmując pod zarząd majątek, Mikołaj od razu, bezbłędnie, z jakimś darem przewidywania, wyznaczał na wójta, sołtysa czy ławnika tych ludzi, którzy by byli wybrani przez chłopów, gdyby chłopci mogli wybierać, i kierownicy jego nigdy się nie zmieniali. Zanim zaczął badać chemiczne właściwości nawozu, zanim się wdał w debet i credit (jak lubił drwiąco mówić), dowiadywał się o ilość bydła u chłopów i powiększał tę ilość wszystkimi możliwymi środkami. Utrzymywał jak najliczniejsze rodziny chłopskie, nie zezwalając na podział. Leniwych, rozpustnych i słabych prześladował jednakowo i starał się rugować ze społeczności.

Przy zasiewach i sprzątaniu siana i zbóż zupełnie jednakowo traktował swoje i chłopskie pola. Rzadko który z ziemian miał zasiane i sprzątnięte pola tak wcześnie i dobrze i rzadko który miał

take dochody jak Mikołaj.

Z czeladzią dworską nie lubił mieć do czynienia, nazywał ich darmozjadami i, jak wszyscy mówili, rozpuścił ich i rozpieścił, gdy trzeba było wydać jakieś zarządzenie w sprawie dworusa, zwłaszcza gdy trzeba było karać, bywał niezdecydowany i naradzał się ze wszystkimi w domu, tylko gdy można było oddać do wojska zamiast chłopą – dworusa, robił to bez najmniejszego wahania. Przy wszystkich zaś rozporządzeniach dotyczących chłopów nigdy nie doświadczał najmniejszej wątpliwości. Wiedział, że wszelkie jego zarządzenie będzie przyjęte przychylnie przez wszystkich przeciw jednemu lub kilku.

Nigdy nie pozwalał sobie dręczyć lub karać człowieka dlatego tylko, że mu się tak zachciało, podobnie nie robił ulg i nie nagradzał człowieka dlatego, żeby zaspokoić swe osobiste życzenie. Nie umiałby powiedzieć, na czym polegał miernik tego, co można i czego nie można, ale miernik ten działał w jego duszy stanowczo i niewzruszenie.

Często przy jakimś niepowodzeniu czy nieporządku mawiał z przykrością: „Z naszym rosyjskim ludem...”, i wyobrażał sobie, że nie cierpi chłopów.

Ale wszystkimi siłami duszy kochał ten „nasz rosyjski lud” i jego życie, i dlatego tylko rozumiał i przyswoił sobie tę jedyną drogę i sposób gospodarowania, przynoszące dobre rezultaty.

Hrabina Maria zazdrościła mężowi tej jego miłości i żałowała, że nie mogła brać w niej udziału; ale nie potrafiła zrozumieć radości i zmartwień, które mu przynosił ten osobliwy, obcy jej świat. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Mikołaj bywał tak szczególnie ożywiony i szczęśliwy, gdy wstawszy o świcie i spędziwszy całe rano w polu lub na gumnie, wracał do niej na herbatę z siewów, sianokosu lub od żniwa.

Nie rozumiała, czym się tak zachwyca opowiadając z zapalem o bogatym, gospodarnym chłopie Matwieju Jermiszynie, który całą noc z rodziną zwoził snopy, i gdy u innych nic jeszcze nie sprzątnięto, u niego już zboże w brogach. Nie rozumiała, dlaczego tak radośnie, przechodząc od okna ku balkonowi, uśmiechał się pod wąsem i mrugał, gdy na zasychający owies, który ledwie wschodził, padał ciepły, gęsty deszczyk, albo dlaczego, gdy podczas sianokosu lub żniw wiatr rozpędził groźną chmurę, on, czerwony, ogorzały i spocony, z zapachem piołunu i goryczki we włosach, przychodząc z gumna i zacierając z radości ręce mawiał: „No, jeszcze dzionek, a moje i chłopskie – wszystko będzie w stodołach”.

Jeszcze mniej mogła zrozumieć, dlaczego on, przy jego dobrym sercu, jego stałej gotowości uprzedzania jej życzeń, wpadał prawie w rozpacz, gdy mu przekazywała prośby jakichś bab lub chłopów, zwracających się do niej o zwolnienie ich od roboty, dlaczego on, dobry Nicolas, odmawiał jej uporczywie, prosząc ze złością, by się nie wtrącała do nie swoich spraw. Czuła, że on ma swój odrębny świat, namiętnie przez siebie kochany, świat z jakimiś prawami, których nie rozumiała.

Gdy nieraz, starając się go zrozumieć, mówiła mu o zasłudze polegającej na tym, że czyni dobrze swym poddanym, złościł się i odpowiadał: „Ależ bynajmniej, nigdy nawet do głowy mi to nie przychodzi, i dla ich szczęścia nic nie będę robił. Wszystko to poezja i babskie gadanie – wszelkie to dobro bliźniego. Chcę, żeby nasze dzieci nie poszły z torbami. Muszę zabezpieczyć nasz majątek, póki żyję, oto wszystko. A do tego potrzeba porządku, potrzeba surowości... ot co! – mówił zaciskając swoją pięść sangwinika. – I sprawiedliwości, rozumie się – dodał – dlatego że jeżeli chłop jest goły i głodny i ma jedną chabetę, to ani na siebie, ani na mnie nie zarobi”.

I pewno dlatego, że Mikołaj nie pozwalał sobie nawet na myśl, że czyni coś dla innych z dobroci – wszystko, co robił, było owocne: majątek jego szybko się powiększał, chłopci z sąsiedztwa przychodzili z prośbami, żeby ich odkupił, i długo po jego śmierci wspominał lud jego rządu. „Gospodarz był... najpierw chłopskie, później swoje. Ale bez pobłażania. Prawdziwy

gospodarz!”

VIII

Jedno tylko niekiedy dręczyło Mikołaja w związku z jego gospodarowaniem: była to wybuchowość w połączeniu ze starym huzarskim przyzwyczajeniem dawaniu folgi pięściom. Z początku nie widział w tym nic niegodziwego, ale w drugim roku małżeństwa jego pogląd na tego rodzaju załatwianie sprawy nagle się zmienił.

Kiedyś latem wezwano z Boguczarowa sołtysa, zastępującego zmarłego Drona, a oskarżonego o różne oszustwa i nieporządki. Mikołaj wyszedł do niego na ganek i zaraz po pierwszych odpowiedziach sołtysa słychać było w sieni krzyki i uderzenia. Wróciwszy do domu na śniadanie Mikołaj podszedł do żony, siedzącej przy krosienkach z głową nisko opuszczoną, i zaczął jej opowiadać jak zwykle wszystko to, co go zajmowało tego rana, a między innymi i o boguczarowskim sołtysie. Hrabina Maria, czerwieniąc się, blednąc i zaciskając wargi, wciąż siedziała z opuszczoną głową i nie odpowiadała mężowi ani słowa.

– Co za bezczelny hukaj – mówił gorączkując się na samo wspomnienie. – No, gdyby mi powiedział, że był pijany, że nie widział... Ale co się stało, Marie? – zapytał nagle.

Hrabina podniosła głowę, chciała coś powiedzieć, ale znowu pośpiesznie ją opuściła i zacisnęła wargi.

– Co takiego? Co się stało, kochana?...

Nieladna hrabina Maria zawsze piękniała w płaczu. Nigdy nie płakała z bólu lub gniewu, lecz zawsze ze smutku i ze współczucia. I gdy płakała, jej promienne oczy nabierały niewymownego uroku.

Gdy tylko Mikołaj ujął jej rękę, nie mogąc się opanować rozplakała się.

– Nicolas, widziałam... on jest winny, ale ty, dlaczegoś ty... Nicolas! – i zasłoniła twarz rękami.

Mikołaj zamilkł, spąsował i, odszedłszy od niej, zaczął chodzić po pokoju. Zrozumiał, dlaczego płakała; ale nie mógł się w swym sumieniu zgodzić z nią, że coś, z czym zżył się od dzieciństwa, co uważał za najzwyczajniejsze, było złe.

„To sentymenty, babskie gadanie, a może ona ma rację?” – pytał siebie. Nie znalazłszy odpowiedzi na to pytanie, jeszcze raz spojrzął na jej twarz wyrażającą cierpienie i miłość i nagle zrozumiał, że miała rację, a on dawno grzeszy sam wobec siebie.

– Marie – powiedział cicho, podszedłszy do niej tego już nigdy więcej nie będzie, dając ci słowo. Nigdy – powtórzył drżącym głosem, jak chłopiec proszący o przebaczenie.

Z oczu hrabiny popłynęły łzy jeszcze rześystsze. Ujęła rękę męża i pocałowała ją.

– Nicolas, kiedy stłukłeś tę kameę? – spytała, by zmienić przedmiot rozmowy, patrząc na rękę, na której był pierścień z głową Laokoona.

Dzisiaj, wciąż to samo. Ach, Marie, nie wspominaj mi już o tym – znowu się zaczerwienił. – Daję ci słowo honoru, że się to więcej nie powtórzy. I niech to na zawsze zostanie na pamiątkę – powiedział wskazując stłuczoną kameę.

Od tego czasu podczas przykrych rozmów z sołtysiem i rządcami, gdy tylko krew uderzała mu do głowy, a dłonie zaczynały się zaciskać w pięści, Mikołaj obracał na palcu potłuczony pierścień i spuszczał oczy wobec człowieka, który go rozgniewał. Jednakowoż zapominał się ze dwa razy w roku i wtedy, przyszedłszy do żony, przyznawał się i znowu obiecywał, że teraz to już ostatni raz.

– Marie, pewno gardzisz mną? – mówił. – Zasłużyłem na to.

– Odejdź, odejdź jak najprędzej, jeżeli czujesz, że nie możesz się opanować – ze smutkiem mówiła hrabina Maria starając się pocieszyć męża.

W środowisku ziemiańskim w guberni Mikołaja szanowano, ale nie lubiano. Nie interesowały go sprawy szlachty. I z tego powodu jedni mieli go za dumnego, inni – za głupiego człowieka. Cały czas latem, od wiosennych siewów do zakończenia żniw, spędzał przy gospodarstwie. Jesienią z podobnie energiczną powagą, z jaką gospodarował, oddawał się myślistwu, przebywając miesiąc i dwa na polowaniu. Zimą jeździł po innych wsiach albo zajmował się czytaniem. Czytał przeważnie książki historyczne, które sprowadzał co rok za pewną określoną sumę. Tworzył, jak mówił, poważną bibliotekę i miał sobie za obowiązek przeczytać wszystko to, co kupił. Siadywał z powagą w gabinecie do tego czytania, które z początku traktował jako obowiązek, a potem – zajęcie z przyzwyczajenia, które mu sprawiało szczególną przyjemność i przepełniało świadomością, że zajmuje się poważną sprawą. Z wyjątkiem wyjazdów za interesami, zimą większą część czasu spędzał w domu, zżywając się z rodziną i wnikając w drobne sprawy między matką i dziećmi. Z żoną był coraz bliżej, każdego dnia odkrywając w niej nowe skarby duchowe.

Sonia od czasu małżeństwa Mikołaja mieszkała w jego domu. Jeszcze przed ślubem Mikołaj, oskarżając siebie, a chwając ją, opowiedział żonie wszystko, co było między nim i Sonią. Prosił księżniczkę Marię o serdeczność i dobroć dla jego kuzynki. Hrabina Maria w zupełności odczuwała winę swego męża, czuła też swoją winę wobec niej, myślała, że jej majątek miał wpływ na wybór Mikołaja, nie mogła nic zarzucić Soni i chciała ją pokochać; ale nie tylko jej nie kochała, lecz często opanowywały ją względem niej złe uczucia i nie mogła się ich pozbyć.

Pewnego razu rozmawiała ze swą przyjaciółką Nataszą o Soni i swej niesprawiedliwości wobec niej.

– Wiesz co – powiedziała Nataszą – czytywałeś często Ewangelię; jest tam jedno miejsce wyraźnie o Soni.

– Co? – ze zdziwieniem spytała hrabina Maria.

„Mającemu będzie dane, a nie mającemu odjęte”, pamiętasz? Ona jest ta „nie mająca”. Dlaczego? Nie wiem. Ona może nie jest egoistką – nie wiem; ale jej „będzie odjęte”, i rzeczywiście wszystko jej odjęto. Bardzo mi jej żal niekiedy; gorąco chciałam dawniej, żeby Nicolas się z nią ożenił; ale zawsze jakbym przeczuwała, że z tego nic nie będzie. To kwiat bezpłodny, wiesz, jak na truskawkach. Niekiedy żal mi jej, a niekiedy myślę, że ona nie odczuwa tego tak, jak my byśmy odczuwały.

I mimo że hrabina Maria tłumaczyła Nataszy, że to ewangeliczne zdanie trzeba rozumieć inaczej, patrząc na Sonię, zgadzała się z interpretacją Nataszy. Rzeczywiście, wydawało się, że Sonia nie odczuwa przykrości swego położenia i zupełnie się pogodziła ze swym przeznaczeniem bezpłodnego kwiatu. Drodzy jej byli nie tyle ludzie, ile cała rodzina. Jak kot zżyła się nie z ludźmi, lecz z domem. Pielęgnowała starą hrabinę, pieściła i rozpuszczała dzieci, zawsze gotowa była do tych drobnych usług, które mogła wyświadczyć ale wszystko to przyjmowano mimowolnie ze zbyt słabą wdzięcznością...

Dwór w Łysych Górach odbudowano na nowo, ale już nie na tej stopie jak za czasów zmarłego księcia.

Budynki, które rozpoczęto budować w ciężkich czasach, były bardziej niż skromne. Ogromny dom na starym murowanym fundamencie był drewniany, tylko z zewnątrz otynkowany. Duży, obszerny dom, z nie malowanymi podłogami z desek, umeblowano najprostszymi, twardymi kanapami i fotelami, stołami, i krzesłami z miejscowej brzeziny, wykonanymi przez domowych stolarzy. Dom był obszerny, z pokojami dla służby i ze specjalnymi pomieszczeniami dla gości. Krewni Rostowów i Bołkońskich zjeżdżali się niekiedy całymi rodzinami w gościnę do Łysych Gór, ze swymi szesnastu końmi, z dziesiątkami służby i przebywali miesiącami. Poza tym cztery razy do roku, w dni urodzin i imienin gospodarzy, zjeżdżało się do stu osób na jeden-dwa dni. Przez resztę roku czas upływał na niezmiennym, regularnym życiu, ze zwykłymi zajęciami, z herbatą, śniadaniami, obiadami i kolacjami z domowych produktów.

IX

Była wilia św. Mikołaja, 5 grudnia 1820 roku. W tym roku Natasza z dziećmi i mężem gościła u brata od początku jesieni. Pierre był w Petersburgu, dokąd pojechał w swoich sprawach osobistych, jak mówił, na trzy tygodnie, a przebywał tam już – siódmy tydzień. Oczekiwano go lada chwila.

5 grudnia prócz rodziny Bezuchowów gościł jeszcze u Rostowów stary przyjaciel Mikołaja, dymisjonowany generał Wasilij Fiodorowicz Denisow.

Mikołaj wiedział, że szóstego, w dniu uroczystości, w którym zjadą się goście, będzie musiał zdjąć beszmet, włożyć surdut, obcisłe buty z wąskimi noskami i jechać do nowo zbudowanej przez siebie cerkwi, a później przyjmować życzenia, zapraszać do zakąsek i mówić o szlacheckich wyborach i o urodzaju. Ale uważał, że wilię ma prawo spędzić jeszcze jak zwykle. Do obiadu Mikołaj sprawdził rachunki rządcy ze wsi rizańskiej, należącej do bratanek żony, napisał dwa listy urzędowe i przeszedł się na gumno, do obór i stajni. Wydawszy zarządzenia przeciw spodziewanemu nazajutrz ogólnemu pijaństwu z racji dużego święta, przyszedł na obiad i nie zdążywszy sam na sam porozmawiać z żoną usiadł przy długim stole nakrytym na dwadzieścia osób, przy którym siedzieli wszyscy domownicy. Za stołem siedziała matka, mieszkająca przy niej staruszka Bielowa, żona, troje dzieci, guwernantka, guwerner, bratanek ze swym guwernerem, Sonia, Denisow, Natasza, jej troje dzieci, ich guwernantka i staruszek Michał Iwanycz, architekt księcia, przebywający w Łysych Górach jako rezydent.

Hrabina Maria siedziała na przeciwległym końcu stołu. Gdy tylko mąż usiadł na swym miejscu, po gościu, z jakim wziął serwetkę i energicznie przysunął stojącą przed nim szklankę i kieliszek, hrabina Maria domyśliła się, że jest w złym humorze, jak to z nim czasem bywało, zwłaszcza przed zupą albo gdy przychodził na obiad bezpośrednio od gospodarstwa. Hrabina Maria знаła dobrze ten jego nastrój i gdy sama była w dobrym humorze, ze spokojem oczekiwała, aż on zje zupę, a dopiero wtedy zaczynała rozmawiać z nim i zmuszała go, by się przyznał, że bez powodu był w złym humorze, ale dzisiaj zupełnie zapomniała o swym doświadczeniu: zabolęła ją, że mąż gniewa się na nią bez powodu, i poczuła się nieszczęśliwa. Zapytała go, gdzie był. Odpowiedział. Zapytała jeszcze, czy wszystko w gospodarstwie w porządku. Mikołaj skrzywił się nieprzyjemnie na jej nienaturalny ton i spieszenie odpowiedział.

„Więc się nie myliłam – pomyślała hrabina Maria. – I o co się złości na mnie?” W tonie, w którym jej odpowiadał, hrabina Maria słyszała nieżyczliwość i chęć przerwania rozmowy. Czując, że jej słowa są nienaturalne, ale nie mogła się powstrzymać od jeszcze kilku pytań.

Rozmowa przy obiedzie dzięki Denisowowi stała się ogólna i ożywiona i hrabina Maria nie rozmawiała z mężem.

Gdy wstano od stołu i dziękowano starej hrabinie, hrabina Maria pocałowała męża, podając mu rękę do pocałowania, i zapytała, o co się na nią gniewa.

– Zawsze masz dziwaczne myśli: ani myślałem o tym – odpowiedział.

Ale słowo „zawsze” odpowiedziało hrabinie Marii:

„Tak, złoścę się i nie powiem o co”.

Mikołaj żył z żoną tak dobrze, że nawet Sonia i stara hrabina, pragnące pod wpływem zazdrości niezgody między nimi, nie mogły znaleźć powodu do zarzutu, ale bywały między nimi chwile wrogości. Niekiedy, właśnie po najszczęśliwszym okresie, ogarniało ich uczucie obcości i wrogości; działo się to najczęściej w czasie ciąży hrabiny Marii, która teraz właśnie była w tym stanie.

– *No, messieurs et mesdames* – powiedział Mikołaj głośno i jakby wesoło (hrabinie Marii wydawało się, że to naumyślnie, by ją obrazić) – jestem od szóstej na nogach. Jutro trzeba już pocierpieć, ale dzisiaj idę wypocząć. – Nie powiedział nic więcej hrabinie Marii, poszedł do małej bawialni i położył się na kanapie.

„Zawsze tak z nim – myślała hrabina Maria. – Ze wszystkimi rozmawia, tylko nie ze mną. Widzę, widzę, że mu jestem wstrętna. Zwłaszcza w tym stanie”. Spojrzała na swój wydatny brzuch, a w lustro na swą żółtoblada i wychudzoną twarz z oczami większymi niż kiedykolwiek.

I wszystko stało się jej nieprzyjemne: i okrzyki, i śmiech Denisowa, i rozmowa Nataszy, i zwłaszcza to spojrzenie, które na nią spieszenie rzuciła Sonia.

Sonia zawsze stanowiła pierwszy powód rozdrażnienia hrabiny Marii.

Posiedziawszy z gośćmi i nie rozumiejąc nic z tego, o czym rozmawiano, hrabina Maria wyszła cichaczem do dziecinnego.

Dzieci jechały na krzesłach do Moskwy i zabrały ją z sobą. Siadła, pobawiła się z nimi, ale myśl o mężu i jego niezadowoleniu zadowoleniu bez powodu nie przestawała jej nękać. Wstała i z trudnością idąc na palcach, poszła do małej bawialni.

„Może nie śpi; pomówię z nim” – powiedziała sobie. Andriusza, najstarszy chłopiec, naśladując ją, poszedł za nią na palcach. Hrabina Maria nie zauważyła tego.

– *Chere Marie, ii dort, je crois; ii est si fatigüe*⁴⁰⁴ – powiedziała w dużym salonie Sonia, która wszędzie, jak się wydawało hrabinie Marii, wchodziła jej w drogę. – Żeby go tylko Andriusza nie obudził.

Hrabina Maria obejrzała się, zobaczyła za sobą Andriuszę, wiedziała, że Sonia ma rację, co właśnie ją wzburzyło, i ledwie powstrzymała szorstkie słowo. Nic nie odpowiedziała, żeby nie słuchać Soni, dała znak ręką Andriuszy, by nie hałasował idąc za nią, i podeszła do drzwi. Sonia wyszła innymi drzwiami. Z pokoju, w którym spał Mikołaj, słychać było jego miarowy oddech, znany żonie w najmniejszych odcieniach. Słyszając ten oddech, widziała przed sobą jego gładkie, piękne czoło, wąsy, całą twarz, której tak często długo się przyglądała, gdy spał w ciszy nocnej. Mikołaj poruszył się nagle i chrząknął. W tejże chwili Andriusza spoza drzwi wykrzyknął:

– Papciu, mamusia tu stoi!

Hrabina Maria zbladła z przestrawienia i zaczęła dawać synowi znaki. Zamilkł i przez chwilę trwało ciężkie dla hrabiny Marii milczenie. Wiedziała, jak Mikołaj nie lubił, gdy go budzono. Wtem za drzwiami rozległo się nowe chrząknięcie, poruszenie i niezadowolony głos Mikołaja rzekł:

– Ani minuty nie pozwolą odpocząć. Marie, to ty? Po coś go tu przyprowadziła?

– Podeszłam tylko popatrzeć, nie widziałam... wybacz...

Mikołaj zakasłał i zamilkł. Hrabina Maria odeszła od drzwi i odprowadziła syna do dziecinnego pokoju. Po pięciu minutach maleńka, czarnooka trzyletnia Natasza, ulubienica ojca, dowiedziawszy się od brata, że papcio śpi, a mamusia jest w salonie, nie zauważona przez matkę, pobiegła do ojca. Czarnooka dziewczynka śmiało skrzypnęła drzwiami, podeszła

⁴⁰⁴ Droga Mario, on, zdaje się śpi; jest zmęczony.

energicznie, miękkim kroczkiem do kanapy i przyjrząwszy się pozie ojca, leżącego plecami do niej, uniosła się na paluszkach i pocałowała ojca w rękę, podłożoną pod głowę. Mikołaj odwrócił się z tkliwym uśmiechem na twarzy.

– Natasza, Natasza! – słyhać było przez drzwi lękliwy szept hrabiny Marii. – Pappio chce spać.

– Nie, mammo, on nie chce spać – przekonywająco odpowiedziała maleńka Natasza – on się śmieje.

Mikołaj opuścił nogi, wstał i wziął córkę na ręce.

– Wejdz, Masza – powiedział do żony. Hrabina Maria weszła do pokoju i usiadła przy mężu.

– Nawet nie widziałam, jak pobiegł za mną – powiedziała nieśmiało. – Ja tak...

Mikołaj, trzymając jedną ręką córkę, patrzył na żonę i zauważywszy na jej twarzy wyraz skruchy, objął ją drugą ręką i pocałował w głowę.

– Można całować mamam? – spytał Nataszę. Natasza uśmiechnęła się wstydliwie.

– Jeszcze! – powiedziała, rozkazującym gestem wskazując to miejsce, w które Mikołaj pocałował żonę.

– Nie wiem, dlaczego sądzisz, że jestem w złym humorze – powiedział Mikołaj odpowiadając na pytanie, które, jak wiedział, stawiała mu w duchu żona.

– Nie możesz sobie wyobrazić, jaka jestem nieszczęśliwa, samotna, gdy ty jesteś taki. Wciąż mi się zdaje...

– Marie, dosyć tych głupstw. Jak ci nie wstyd – powiedział wesoło.

– Zdaje mi się, że nie możesz mnie kochać, że jestem taka brzydka... zawsze... a teraz... w tym stanie...

– Ach, jakaś ty śmieszna! Nie ten miły, kto piękny, lecz ten piękny, kto miły. To tylko Malvine i inne są kochane dlatego, że piękne, a czyż ja żonę kocham? Nie kocham, a tak, nie wiem nawet, jak ci to powiedzieć. Bez ciebie i gdy tak między nami cień jakiś zalegnie, to jakbym ginął i nic nie potrafię. No cóż, czy kocham swój palec? Nie kocham, a spróbuj go odciąć.

– Nie, nie o to idzie, ale ja rozumiem. Więc się nie gniewasz na mnie?

– Bardzo się gniewam – powiedział uśmiechając się. Wstał i poprawiwszy włosy zaczął chodzić po pokoju.

– Wiesz, Marie, o czym myślałem – zaczął teraz, gdy zawarto zgodę, rozpoczynając natychmiast myśleć głośno przy żonie. Nie pytał, czy chce go słuchać, było mu wszystko jedno. Przyszła mu do głowy myśl, a więc – i jej. I powiedział, że chce namówić Pierre'a, by został z nimi do wiosny.

Hrabina Maria wysłuchała go, zrobiła swoje uwagi i zaczęła sama z kolei wypowiadać głośno swe myśli. Myślała o dzieciach.

– Jak już teraz widać w niej kobietę – powiedziała po francusku, wskazując maleńką Nataszę.

– Wy, nam, kobietom, zarzucacie brak logiki. Proszę, oto nasza logika. Mówię: papa chce spać, a ona odpowiada: nie, on się śmieje. I ma rację – mówiła hrabina Maria uśmiechając się uszczęśliwiona.

– Właśnie, właśnie! – I ująwszy swą silną ręką córkę, Mikołaj, podniósł ją wysoko, posadził na ramieniu i trzymając za nóżki zaczął chodzić z nią po pokoju. I ojciec, i córka mieli tak samo bezmyślnie uszczęśliwione twarze.

– A wiesz, może jesteś niesprawiedliwy. Zbyt kochasz tę właśnie – powiedziała szeptem po francusku hrabina Maria.

– Tak, ale cóż robić?... Staram się nie okazywać... W tej chwili w sieni i przedpokoju rozległo się skrzypienie drzwi i odgłosy kroków, jakby ktoś przyjechał.

– Ktoś przyjechał.

– Jestem pewna, że Pierre. Pójdę, zobaczę – powiedziała hrabina Maria i wyszła z pokoju.

W czasie jej nieobecności Mikołaj pozwolił sobie galopem okrążyć z córką pokój. Zadyszawszy się, zrzucił z siebie śmiejącą się dziewczynkę i przycisnął ją do piersi. Własne podskoki przypominały mu tańce i patrząc na dziecięcą, okrągłą, uszczęśliwioną twarzyczkę Nataszy, myślał o tym, jaka ona będzie, gdy on jako stary człowiek zacznie z nią jeździć na wizyty i jak niegdyś nieboszczyk jego ojciec, który tańczył z córką „Danilę Kupora”, poprowadzi ją w mazurze.

– On, on, Nicolas – powiedziała po chwili hrabina Maria wracając do pokoju. – Ożyła teraz nasza Natasza. Trzeba było widzieć jej zachwyty i jak mu się dostało zaraz potem za to, że nie dotrzymał terminu przyjazdu. No chodźmy, chodźmy prędzej! Rozstańcież się nareszcie – powiedziała patrząc z uśmiechem na dziewczynkę tulącą się do ojca. Mikołaj wyszedł trzymając córkę za rękę.

Hrabina Maria została w bawialnym.

– Nigdy, nigdy bym nie uwierzyła – szeptała do siebie – że można być tak szczęśliwą. – Twarz jej promieniała uśmiechem; ale jednocześnie westchnęła i cichy smutek przejawiał się w jej głębokim wzroku. Jakby prócz tego szczęścia, którego doświadczała, było i inne, nieosiągalne w tym życiu szczęście, o którym mimo woli wspominała w tej chwili.

X

Natasza wyszła za mąż wczesną wiosną 1813 roku i już w roku 1820 miała trzy córki i syna, którego pragnęła, a teraz sama go karmiła. Zaokrągliła się i nabrała tuszy, tak iż trudno było poznać w tej silnej matce dawną szczupłą, ruchliwą Nataszę. Ustaliły się jej rysy i nabrały wyrazu spokojnej łagodności i pogody. W twarzy jej nie było, jak dawniej, tego nieustannie płonącego ognia ożywienia, stanowiącego jej urok. Teraz często widoczne były tylko twarz i ciało, a duszy nie można się było dopatrzeć. Widać było tylko silną, piękną i płodną samicę. Rzadko zapalał się w niej teraz dawny ogień. Bywało to tylko wtedy, gdy, jak dzisiaj, wracał mąż, gdy wyzdrowiało dziecko albo gdy z hrabiną Marią wspominała księcia Andrzeja (nigdy nie mówiła o księciu Andrzeju z mężem, sądząc, że jest zazdrosny o jego pamięć) i bardzo rzadko, gdy coś przypadkowo skłoniło ją do śpiewu, który zupełnie zaniedbała po zamążpójściu. W tych rzadkich chwilach, gdy dawny ogień zapalał się w jej rozkwitłym, pięknym ciele, stawała się jeszcze bardziej pociągająca niż dawniej.

Od czasu zamążpójścia Natasza mieszkała z mężem w Moskwie, w Petersburgu i na wsi podmoskiewskiej, i u matki, czyli u Mikołaja. Młodą hrabinę Bezuchow rzadko widywano w towarzystwie, a kto ją widział, był z niej niezadowolony. Nie była ani miła, ani uprzejma. Natasza nie tyle lubiła samotność (nie wiedziała, czy lubi ją, czy nie, zdawało jej się nawet, że nie), ile będąc brzemienną, rodząc i karmiąc dzieci i towarzysząc mężowi w każdym momencie jego życia, mogła spełnić te obowiązki jedynie wyrzekłszy się stosunków towarzyskich. Wszyscy, którzy znali Nataszę przed jej zamążpójściem, dziwili się zmianie, jaka w niej zaszła, jak czemuś nadzwyczajnemu. Jedynie tylko stara hrabina, zrozumiałwszy macierzyńskim instynktem, że wszystkie porywy Nataszy wyływały tylko z potrzeby posiadania rodziny, posiadania męża (jak nie tylko żartem, ale i na serio wołała w Otradnem), jedynie matka, zdumiona, że ludzie się dziwią i nie rozumieją Nataszy, powtarzała, że wiedziała zawsze, iż Natasza będzie wzorową żoną i matką.

Tyle tylko, że przesadza w miłości do męża i dzieci – mówiła hrabina – aż nawet głupio.

Natasza nie stosowała tej zbawiennej zasady, propagowanej przez mądrych ludzi, zwłaszcza przez Francuzów, a polegającej na tym, że dziewczyna, wychodząc za mąż, nie powinna się opuszczać, nie powinna zaniedbywać swych uzdolnień, powinna bardziej niż przed małżeństwem dbać o swą powierzchowność, powinna zachwycać męża, podobnie jak go zachwycała nie będąc żoną. Natasza, wbrew temu, odrzuciła wszystkie swe powaby, z których jeden śpiew – rozwinął się w niej w wysokim stopniu. Dlatego właśnie wyrzekła się go, że tak mocno czarował. Natasza nie troszczyła się ani o swe maniery, ani o wytworność mowy, ani o to, żeby się przedstawiać mężowi w pozach najkorzystniejszych, ani o swe toalety, ani o to, żeby nie krępować męża swymi wymaganiami. Wszystko czyniła wbrew tej zasadzie. Czuli, że te powaby, których użytkowania nauczył ją instynkt, teraz byłyby śmieszne w oczach jej męża, któremu od pierwszej chwili oddała się całkowicie, czyli całą duszą, nie pozostawiając ani

jednego zakątka zamkniętego przed nim. Czuła, że związek jej z mężem trzyma się nie na tych poetycznych uczuciach, które go do niej pociągały, lecz utrzymuje go coś innego, nieokreślonego, ale silnego, jak związek jej własnej duszy z ciałem.

Zawijać loki, wkładać robrony i śpiewać romanse dlatego, żeby przyciągać do siebie męża, wydawałoby się jej podobnie dziwne jak strojenie się, żeby być zadowoloną z siebie. Upiększać się zaś po to, żeby się podobać innym, to może by nawet sprawiało jej przyjemność – nie wiedziała – ale na to nie miała zupełnie czasu. Bo główna przyczyna, nie pozwalająca jej zajmować się ani śpiewem, ani toaletami, ani obmyślaniami swych słów, tkwiła w tym, że zupełnie brakowało jej na to czasu.

Wiadomo, że człowiek posiada zdolności całkowitego pogrążania się w jakimś przedmiocie, choćby nawet najbłahszy. I wiadomo, że nie ma tak błahego przedmiotu, który by przy ześrodkowanej na nim uwadze nie rozrósł się do nieskończoności.

Przedmiotem, w który pogrążyła się zupełnie Natasza, była rodzina, czyli mąż, którego trzeba było tak trzymać, by należał niepodzielnie do niej, do domu – oraz dzieci, które trzeba było nosić, rodzić, karmić i wychowywać.

A im bardziej wnikała, nie rozumem, lecz całą swą duszą, całą swą istotą w przedmiot, który ją zaprzętał, tym bardziej rozrastał się ten przedmiot i tym słabsze i błahsze wydawały się jej własne siły, toteż wszystkie ześrodkowała na tym jednym i mimo to nie nadążała robić wszystkiego, co wydawało się jej potrzebne.

Debaty i rozważania o prawach kobiet, o wzajemnym stosunku małżonków, o ich prawach i wolności, chociaż nie nazywano ich jeszcze jak teraz: zagadnieniami, były wówczas zupełnie takie same jak obecnie; lecz te zagadnienia nie tylko nie interesowały Nataszy, ale nawet stanowczo ich nie rozumiała.

Zagadnienia te i wtedy, jak i teraz, istniały tylko dla tych ludzi, którzy traktują małżeństwo jedynie jako przyjemność, którą darzą się małżonkowie, czyli tylko jeden z pierwiastków małżeństwa, a nie całe jego znaczenie, polegające na rodzinie.

Rozważania te i dzisiejsze zagadnienia, podobne do zagadnień, jakim sposobem można osiągnąć jak najwięcej przyjemności z obiadu, nie istniały wtedy, jak i teraz nie istnieją dla ludzi, dla których celem obiadu jest odżywianie się, a celem małżeństwa – rodzina.

Jeżeli celem obiadu jest odżywianie ciała, to ten, kto zje przypadkiem dwa obiady, będzie miał, może, większą przyjemność, ale nie osiągnie celu, gdyż żołądek nie strawi obu obiadów.

Jeżeli celem małżeństwa jest rodzina, to ten, komu się zechce wielu żon lub mężów, otrzyma może dużo przyjemności, ale w żadnym razie nie będzie miał rodziny.

Całe zagadnienie – jeżeli celem obiadu jest odżywianie się, a celem małżeństwa rodzina – rozwiązuje się tylko przez to, żeby nie jeść więcej, niż może strawić żołądek, i nie mieć więcej żon i mężów niż tyle, ile potrzebuje rodzina, czyli jedną i jednego. Nataszy potrzebny był mąż. Dano jej męża. A mąż dał jej rodzinę. I innego, lepszego męża nie tylko nie potrzebowała, ale – ponieważ wszystkie jej siły duchowe były skierowane na to, żeby służyć mężowi i rodzinie – nie mogła sobie wyobrazić i nie ciekawiło jej zupełnie wyobrazenie sobie, co by było, gdyby było inaczej.

Natasza w ogóle nie lubiła towarzystwa, ale tym bardziej ceniła towarzystwo rodziny – hrabiny Marii, brata, matki i Soni. Było jej drogie towarzystwo tych ludzi, do których, potargana, w szlafroku, mogła wyjść szerokim krokiem z pokoju dziecinnego z twarzą rozradowaną i pokazać pieluszkę z plamą żółtą zamiast zielonej i wysłuchać pocieszeń, że teraz dziecku znacznie lepiej.

Natasza tak się zaniedbała, że jej suknie, uczesanie, jej zdania wypowiedane nie do rzeczy, jej zazdrość – była zazdrosna o Sonię, o guwernantkę, o każdą piękną i niepiękną kobietę – były

zwykłym przedmiotem żartów wszystkich jej bliskich. Uważano powszechnie, że Pierre jest pod pantoflem żony, i tak było rzeczywiście. W pierwszych dniach ich małżeństwa Natasza przedstawiła swe wymagania. Pierre zdziwił się bardzo tym zupełnie nowym dlań poglądem żony, polegającym na tym, że każda chwila jego życia należy do niej i do rodziny, Pierre'a zdziwiły żądania żony, ale też pochlebiali mu, więc się im podporządkował.

Zależność Pierre'a polegała na tym, że nie wolno mu było nie tylko nadskakiwać, ale nawet rozmawiać z uśmiechem z inną kobietą, nie miał prawa jeździć do klubów, na obiady, tak sobie, dla spędzenia czasu, nie mógł wydawać pieniędzy na zachcianki, nie mógł wyjeżdżać na dłużej z wyjątkiem wyjazdów w interesach, do których żona zaliczała i jego zajęcia naukowe, z których nic nie rozumiała, ale którym przypisywała wielkie znaczenie. W zamian za to Pierre miał pełne prawo rozporządzać w swym domu, jak chciał, nie tylko sobą, ale i całą rodziną. Natasza u siebie w domu stawiała się niewolnicą męża; cały dom chodził na palcach, gdy Pierre pracował – czytał albo pisał w swym gabinecie. Wystarczyło Pierre'owi przejawić jakieś upodobanie, aby to, co lubił, było mu stale dostarczane. Wystarczyło, aby wyraził jakieś życzenie, a Natasza zrywała się i biegła je spełnić.

Cały dom kierował się tylko rzekomymi rozkazami męża, czyli życzeniami Pierre'a, które Natasza starała się odgadywać. Sposób życia, miejsce zamieszkania, znajomości, stosunki, zajęcia Nataszy, wychowanie dzieci – wszystko to było nie tylko zgodne z wyrażoną wolą Pierre'a, ale Natasza usiłowała odgadnąć i to, co mogło wypływać z myśli Pierre, wyrażonych w rozmowie. I trafnie odgadywała to, co było istotne w życzeniach Pierre'a, a gdy już odgadła, mocno się tego trzymała. Gdy Pierre sam chciał się wyrzec swego życzenia, Natasza walczyła z nim jego bronią.

I tak, w ciężkim okresie, na zawsze pamiętnym dla Pierre, po urodzeniu ich pierwszego, słabego dziecka, gdy wypadło im zmienić trzy mamki i Natasza zachorowała z rozpacz, Pierre pewnego razu przedstawił jej myśli Rousseau, które całkowicie podzielał: o sztuczności i szkodliwości korzystania z mamek. Przy drugim dziecku, pomimo sprzeciwu matki, doktorów i samego męża, występujących przeciw karmieniu piersią jako rzeczy wtedy niesłychanej i uznanej za szkodliwą, Natasza postawiła na swoim i od tej pory wszystkie dzieci karmiła sama.

Bardzo często w chwilach rozdrażnienia zdarzało się, że małżonkowie się sprzeczali, ale jeszcze długo po takim sporze Pierre ku swej radości i zdziwieniu znajdował nie tylko w słowach, ale i w działaniach żony swą myśl, przeciwko której oponowała. I nie tylko znajdował tę myśl, ale znajdował ją oczyszczoną od wszystkiego, co wywołała porywczosć dysputy i wyrażen.

Po siedmiu latach małżeństwa Pierre odczuwał radosną, głęboką świadomość, że nie jest złym człowiekiem, a odczuwał to dlatego, że widział swe odbicie w żonie. W sobie odczuwał wszystko dobre i złe, zmieszane i zaciemnione jedno przez drugie. Ale w żonie odbijało się tylko to, co istotnie było dobre: wszystko niezupełnie dobre było odrzucone. Odbicie to nastąpiło nie drogą logicznego myślenia, lecz inną, tajemniczą, bezpośrednią drogą.

XI

Przed dwoma miesiącami Pierre, goszcząc już u Rostowów, otrzymał list od księcia Fiodora zapraszający go do Petersburga celem omówienia ważnych zagadnień, zaprzatających w Petersburgu członków pewnego towarzystwa, do którego głównych założycieli należał Pierre.

Przeczytawszy ten list Natasza, jako że czytała wszystkie listy męża, sama zaproponowała mu wyjazd do Petersburga, mimo że ciężka była dla niej jego nieobecność. Wszystkiemu, co było umyslową, oderwaną pracą męża, przypisywała, nie rozumiejąc jej, wielką wagę i stale się obawiała, że może mu przeszkadzać w tej jego działalności. Na nieśmiałe, pytające spojrzenie Pierre'a po przeczytaniu listu odpowiedziała prosząc, by pojechał, byle tylko określił ściśle czas powrotu. Otrzymał urlop na cztery tygodnie.

Od czasu gdy przed dwoma tygodniami minął termin powrotu Pierre'a, Natasza żyła w ciągłym strachu, smutku i rozdrażnieniu.

Denisow, niezadowolony z obecnego położenia, dymisjonowany generał, który przyjechał podczas tych ostatnich dwóch tygodni, patrzył na Nataszę ze zdziwieniem i smutkiem, jak na portret niepodobny do kochanego niegdyś człowieka. Posępne, znudzone spojrzenie, odpowiedzi nie do rzeczy i rozmowy o dziecinnym pokoju – oto wszystko, co ujrzał i usłyszał od dawnej czarodziejki.

Natasza przez cały ten czas była smutna i rozdrażniona, zwłaszcza wtedy, gdy pocieszając ją, matka, brat, Sonia i hrabina Maria starali się usprawiedliwić Pierre'a i odgadnąć przyczyny jego opóźnienia.

Wszystko to głupstwo, wszystko kosałki opałki – mówiła Natasza – te wszystkie jego rozważania, które do niczego nie prowadzą, i wszystkie te idiotyczne towarzystwa – mówiła o tych sprawach, w których wielką ważność wierzyła mocno. I odchodziła do dziecinnego, żeby nakarmić swego jedynego chłopca, Pietię.

Nikt nic bardziej rozumnego i uspokajającego nie mógł jej powiedzieć niż ta trzymiesięczna istotka przytulona do jej piersi. Czowała poruszenie jego warg i sapanie noska. Istotka ta mówiła: „Złóścisz się, zazdrość cię nęka, chcesz się zemścić na nim, boisz się, a oto ja jestem nim. A ja jestem nim...” I nic jej nie pozostawało do powiedzenia. Było to więcej niż prawda.

Natasza w ciągu tych dwóch tygodni niepokoju tak często przychodziła do dziecka po pociechę, tak się nim zajmowała, że je przekarmiła i zachorowało. Przeraziła ją ta choroba, ale ona właśnie jej pomogła. Zajmując się dzieckiem, łatwiej zносиła niepokój o męża.

Karmiła je właśnie, gdy zaskrzypiał u podjazdu powóz Pierre'a, a niania, wiedząc, czym można uradować panią, cichutko, ale szybko stanęła w drzwiach z promieniejącą twarzą.

– Przyjechał? – spieszonym szeptem zapytała Natasza bojąc się poruszyć, by nie obudzić zasypiającego dziecka.

– Przyjechali, matuchno – wyszeptła niania. Krew uderzyła do głowy Nataszy i nogi poruszały się mimo woli, lecz nie można było poderwać się i biec. Dziecko znowu otworzyło

oczka, spojrzę. „Jesteś tu” – jakby powiedziało i znowu powoli zaczęło cmoktać.

Wolniuteńko cofnąwszy pierś, Natasza pohańczała dziecko, oddała je niani i poszła szybkim krokiem ku drzwiom. Ale zatrzymała się przy drzwiach, jakby uczuła wyrzuty sumienia, że z radości zbyt szybko zostawiła dziecko, i obejrzała się. Niania, uniósłszy łokcie, przenosiła dziecko przez poręcz łóżeczka.

– A idźcie, matuchno, idźcie, niech pani będzie spokojna – uśmiechając się szeptała niania z familiarnością powstała między nią a panią.

Natasza lekkimi krokami pobiegła do przedpokoju. Denisow, z fajką, idący z gabinetu do salonu, teraz dopiero poznał Nataszę. Jasny, promienny, radosny blask bił z jej zmienionej twarzy.

– Przyjechał! – rzekła do niego, biegnąc, i Denisow poczuł, że i on cieszy się, że przyjechał Pierre, którego niezbyt lubił. Wbiegłszy do przedpokoju Natasza ujrzęła wysoką postać w futrze, rozwiązującą szalik.

– „On! on! Prawda! Oto on!” – mówiła do siebie i wpadłszy na niego objęła go, przycisnęła do piersi jego głowę, a potem, odsunawszy, spojrzęła na jego oszronioną, rumianą i uszczęśliwioną twarz. „Tak, to on, szczęśliwy, zadowolony”...

I nagle przypomniała sobie całą mękę oczekiwania, którą przeżyła w ostatnich dwóch tygodniach: promieniejąca radość spłynęła z jej twarzy, zachmurzyła się i na Pierre'a spadł potok wymówek i złorzeczeń.

– Tak, tobie dobrze, bardzo zadowolony, bawiłeś się... A ja? Gdybyś choć o dzieciach pomyślał. Karmię, zepsuł mi się pokarm... Pietia omal nie umarł. A tobie bardzo wesoło. Tak, tobie wesoło...

Pierre wiedział, że nie jest winny, nie mógł przecież przyjechać wcześniej, wiedział, że ten wybuch z jej strony jest nieprzyzwoity, i wiedział, że to minie w ciągu dwóch minut, wiedział, co najważniejsze, że sam czuje się dobrze i radośnie. Chciałby się uśmiechnąć, ale nawet nie odważył się o tym pomyśleć. Zrobił żalostną, wystraszoną minę i pochylił się.

– Nie mogłem, przysięgam. A jak Pietia?

– Teraz już dobrze, chodźmy. Jak ci nie wstyd! Żebyś mógł widzieć, jak się czułam bez ciebie, jak się męczyłam...

– Jesteś zdrowa?

– Chodźmy, chodźmy – mówiła nie puszczając jego ręki. I poszli do swoich pokoi.

Gdy Mikołaj z żoną przyszedli szukać Pierre'a, był on w pokoju dziecięcym – trzymał na swej dużej prawej dłoni rozbudzonego syna i pieścił go. Na szerokiej twarzy z otwartymi, bezzębnymi ustami widniał wesoły uśmiech. Burza dawno już przeszła i jasne, radosne słońce świeciło na twarzy Nataszy, patrzącej z rozrzewnieniem na męża i syna.

– I dobrzeście wszystko omówili z księciem Fiodorem? – pytała Natasza.

– Tak, świetnie.

– Patrz, jak ją trzyma. (Natasza myślała o główce.) Ach, jak on mnie nastraszył... A księżniczkę widziałeś? Czy to prawda, że jest zakochana w tym?...

– Tak, wyobraź sobie...

W tej chwili wszedł Mikołaj z hrabiną Marią. Pierre, nie wypuszczając z rąk syna, nachyliwszy się pocałował się z nim i odpowiadał na pytania. Ale było widoczne, że mimo wielu interesujących rzeczy, o których trzeba było pomówić, dziecko w czepeczku z chwiejącą się główką, pochłaniało całą uwagę Pierre'a.

– Jaki on miły! – powiedziała hrabina Maria patrząc na dziecko i bawiąc się z nim. – Tego właśnie nie rozumiem, Nicolas – zwróciła się do męża – jak możesz nie rozumieć uroku tego cudu piękności.

– Nie rozumiem, nie potrafię – powiedział Mikołaj patrząc chłodno na dziecko. – Kawalek mięsa. Idziemy, Pierre.

– Najważniejsze, że jest takim tklwym ojcem – powiedziała hrabina Maria, usprawiedliwiając męża – ale dopiero wtedy, gdy dziecko ma rok albo też...

– Nie, Pierre doskonale je niańczy – powiedziała Natasza – mówi, że ma rękę zrobioną w sam raz według tyłeczka dziecka. Popatrzcie!

– No, nie tylko do tego – roześmiał się nagle, powiedział Pierre, ujmując dziecko i oddając je niani.

XII

Jak w każdej prawdziwej rodzinie, w domu Łysogórskim współżyło razem kilka zupełnie różnych światów, które utrzymując swą odrębność i ustępując sobie wzajemnie, zespały się w jedną harmonijną całość. Każde wydarzenie w domu, radosne czy smutne, było jednakowo ważne dla wszystkich tych światów, ale każdy świat miał wyłącznie swoje, niezależne od innych powody do radości lub smutku w każdym wydarzeniu.

Przyjazd Pierre'a był radosnym, ważnym wydarzeniem i taki sam oddźwięk znalazł we wszystkich.

Służba – najlepsi sędziowie panów, dlatego że sądzą nie według rozmów i uczuć, ale stosownie do czynów i sposobu życia – rada była z przyjazdu Pierre'a, ponieważ wiedziała, że przy nim hrabia przestanie codziennie obchodzić gospodarstwo, będzie weselszy i lepszy, i jeszcze dlatego, że wszyscy otrzymają sute prezenty na święta. Dzieci i guwernantki cieszyły się z przyjazdu Bezuchowa dlatego, że nikt jak on nie wciągał ich w ogólne życie. On tylko umiał grać na klawikordzie tego ecossaise'a (jedyna rzecz, jaką grał), przy którym można tańczyć, jak mówił, wszystkie możliwe tańce, i przywiózł na pewno dla wszystkich upominki.

Nikoleńka, piętnastoletni teraz, chudy, z kędzierzawymi blond włosami, pięknymi oczyma, słabowity, inteligentny chłopiec, cieszył się dlatego, że wujcio Pierre, jak go nazywał, był przedmiotem jego zachwyty i namiętnej miłości. Nikt nie wpajał Nikoleńce tej szczególnej miłości do Pierre – bardzo rzadko Nikoleńka go widywała. Wychowawczyni jego, hrabina Maria, wszystkich sił dokładała, żeby wzbudzić miłość Nikoleńki do swego męża, podobną do jej miłości, i Nikoleńka kochał wujka, ale kochał go z ledwo dostrzegalnym odcieniem wzgardy. A Pierre'a ubóstwiał. Nie chciał być ani huzarem, ani kawalerem Sw. Jerzego, jak wujek Mikołaj, chciał być uczonym, mądrym i dobrym, jak Pierre. W obecności Pierre'a twarz jego promieniała zawsze radością i rumienił się, i zapierało mu dech, gdy Pierre zwracał się do niego. Nie uronił ani jednego słowa z tego, co mówił Pierre, a później z Dessales'em lub sam przypominał sobie i rozważał znaczenie każdego słowa Pierre'a. Przeszłość Pierre'a, jego nieszczęścia do roku 1812 (o których z luźnie dosłyszanych słów utworzył sobie niejasny, poetyczny obraz), jego przygody w Moskwie, niewola. Platon Karatajew (o którym słyszał od Pierre'a), miłość Pierre do Nataszy (którą również szczególną miłością chłopiec kochał) i najważniejsze, jego przyjaźń z ojcem, którego Nikoleńka nie pamiętał – wszystko to czyniło z Pierre'a bohatera i świętość.

Z przypadkowych rozmów o ojcu i Nataszy, z tego wzruszenia, z którym Pierre mówił o zmarłym, z tej ostrożnej, pełnej uwielbienia tkliwości, z którą mówiła o nim Natasza, chłopiec, zaczynający się dopiero domyślać, czym jest miłość, wytworzył sobie pojęcie, że ojciec jego kochał Nataszę i umierając powierzył ją swemu przyjacielowi. Zaś ów ojciec, którego chłopiec nie pamiętał, wydawał mu się bóstwem, którego nie można sobie wyobrazić i o którym myślał tylko z zamierającym sercem, ze łzami smutku i zachwyty. I chłopiec był uszczęśliwiony przyjazdem Pierre'a.

Goście radzi byli Pierre'owi, jako człowiekowi, który zawsze ożywia i zespalą każde towarzystwo.

Dorośli domownicy, nie mówiąc o żonie, radzi byli przyjacielowi, przy którym lżej i spokojniej się żyło.

Staruszki cieszyły się z upominków, które przywiózł, 8 głównie z tego, że Natasza znowu odżyje.

Pierre odczuwał te różne na siebie zapatrywania różnych świadków i śpieszył dać każdemu to, czego odeń oczekiwano.

Pierre, najbardziej roztargniony i zapominający o wszystkim człowiek, kupił wszystko według listy sporządzonej przez żonę, nie zapomniawszy ani zleceń matki i brata, ani materiału na suknię dla Bielowej, ani zabawek dla bratanków. Dziwne mu się wydawało z początku małżeństwa to żądanie żony – spełnić i nie zapomnieć wszystkiego, co zobowiązał się kupić – i uderzyło go poważne jej zmartwienie, gdy przy pierwszym swym wyjeździe o wszystkim zapomniał. Ale później przyzwyczał się do tego. Wiedząc, że Natasza nic nie żądała dla siebie, a dla innych tylko wtedy, gdy sam się zaoferował, znajdował teraz nieoczekiwane dla siebie, dziecięce zadowolenie w tym kupowaniu upominków dla całego domu i nigdy nic nie zapominał. Jeżeli zasługiwał na wyrzuty Nataszy to jedynie za to, że kupował rzeczy niepotrzebne i zbyt drogie. Do wszystkich swych wad – według zdania większości – zaniedbania i nieporządku, czy też zalet, zdaniem Pierre'a, Natasza dołączyła jeszcze skąpstwo.

Od czasu gdy Pierre zaczął prowadzić dom otwarty, z rodziną wymagającą dużych wydatków, zauważył ku swemu zdziwieniu, że wydaje dwa razy mniej niż dawniej, a jego nadwerężone (zwłaszcza przez długi pierwszej żony) finanse zaczęły się poprawiać.

Utrzymanie kosztowało mniej, bo życie zostało ustalone:

Pierre przestał korzystać z najbardziej kosztownego zbytku, polegającego na takim rodzaju życia, że można go było zmienić w każdej chwili, ani nie chciał już z tego korzystać. Czuł, że tryb jego życia został określony raz na zawsze, do śmierci, że zmiana nie zależy od niego, i dlatego taki sposób życia był tani.

Pierre, uśmiechając się wesoło, rozkładał swoje zakupy.

– Zobacz! – mówił rozwijając sztukę materiału jak sklepikarz. Natasza, trzymając na kolanach starszą córkę i przenosząc szybko rozjaśniony wzrok z męża na to, co pokazywał, siedziała naprzeciw niego.

– To dla Bielowej? Bardzo dobry. – Wzięła materiał w palce.

– Po rublu chyba? Pierre wymienił cenę.

– Drogo – powiedziała Natasza. – Ale co za radość dla dzieci i mamany. Tylko to niepotrzebnie mi kupiłeś – dodała nie mogąc powstrzymać uśmiechu, patrząc z radością na złoty grzebień, wysadzany perłami, co właśnie zaczynało być modne.

– To Adele mi wmówiła: kupić a kupić – odpowiedział Pierre.

– Kiedyż to włożę? – Natasza wpięła grzebień w warkocz. – Może dla Maszeńki, gdy zacznie bywać, jeśli znowu będą modne. No, idziemy.

– I wzięwszy upominki poszli najpierw do dzieci, a potem do hrabiny.

Gdy Pierre i Natasza z zawiniątkami pod pachą weszli do bawialni, hrabina jak zwykle siedziała z Bielową przy pasjansie.

Hrabina przekroczyła już sześćdziesiątkę. Była zupełnie siwa i nosiła czepeczek, okalający rurkowaną falbanką całą twarz. Twarz miała pomarszczoną, z zapadniętą górną wargą i zamglonymi oczyma.

Po zgonie syna i męża, które tak szybko po sobie nastąpiły, czuła się istotą bez celu i sensu życia, przypadkowo zapomnianą na tym świecie. Jadła, piła, spała, czuwała, ale nie żyła. Życie

nie dawało jej żadnych wrażeń. Nic od życia nie wymagała prócz spokoju, a ten spokój mogła jej przynieść tylko śmierć. Ale dopóki śmierć nie nadchodziła, trzeba było żyć, czyli użytkować swe siły witalne. Widać w niej było w wysokim stopniu to, co się widzi u małych dzieci i bardzo starych ludzi. W życiu jej nie uwidaczniał się żaden cel zewnętrzny, lecz widoczna była tylko potrzeba korzystania z różnych skłonności i zdolności. Musiała zjeść, przespać się, pomyśleć, porozmawiać, popłakać, popracować, pozłościć się itd. tylko dlatego, że miała żołądek, mózg, mięśnie, nerwy i wątrobę. Jej postępki nie wywoływały przyczyny zewnętrzne, jak się to dzieje z ludźmi w pełni sił, którzy nie zużytkowują ich inaczej niż w dążności do jakiegoś celu. Mówiła tylko dlatego, że musiała popracować fizycznie płucami i językiem. Płakała jak dziecko, dlatego że musiała przeczyścić sobie nos itd. To, co dla ludzi w pełni sił jest celem, dla niej w sposób widoczny było pretekstem.

Zdarzało się rankami, zwłaszcza gdy poprzedniego dnia zjadła coś tłustego, że odczuwała potrzebę pozłoscienia się, i posługiwała się wtedy najbliższym pretekstem – głuchotą Bielowej.

Z przeciwległego końca pokoju zaczynała coś cicho do niej mówić.

Dzisiaj, zdaje się, cieplej, moja droga – mówiła szeptem. I gdy Bielową odpowiadała: „Jakże, przyjechali”, gderała ze złością: – Ach, Boże, jak ona głucha i głupia!

Innym powodem była tabaka, wydająca się jej to za sucha, to za wilgotna, to źle roztarta. Po takich rozdrażnieniach żółć wylewała się na jej twarzy i pokojówki wiedziały z nieomylnych oznak, kiedy znowu Bielowa będzie głucha, kiedy tabaka zwilgotnieje i kiedy jej twarz żółknie. Podobnie jak musiała zużytkować żółć, tak zużytkowywała czasem resztki zdolności myślenia i pretekstem do tego był pasjans. Gdy trzeba było popłakać, powodem był nieboszczyk hrabia. Gdy trzeba było się niepokoić, powodem stawał się Mikołaj i jego zdrowie, a gdy trzeba było mówić zjadliwości, dostarczała pretekstu hrabina Maria. Gdy trzeba było przeciwiczyć głos – odbywało się to przeważnie o godzinie siódmej, po sjeście w ciemnym pokoju – pretekstem było opowiadanie wciąż tych samych historii i zawsze tym samym słuchaczom.

Taki stan staruszki rozumieli wszyscy domownicy, chociaż nikt nigdy o tym nie mówił i wszyscy dokładali starań, by zaspokoić te jej potrzeby. Tylko niekiedy w rzadkich spojrzeniach i w smutnych półuśmiechach, zamienianych wzajemnie między Mikołajem, Pierre'em, Nataszą i hrabiną Marią, wyrażało się zrozumienie jej położenia.

Ale te spojrzenia wyrażały poza tym jeszcze i coś innego. Mówiły o tym, że hrabina spełniła już swe zadania w życiu, że to, co teraz w niej widać, nie jest jej całą osobowością; że i my wszyscy będziemy podobni do niej, i że jest rzeczą radosną ulegać i opanowywać się w stosunkach z istotą, niegdyś drogą, niegdyś, jak my dzisiaj, pełną życia, a teraz godną politowania. „Memento mmi” – mówiły te spojrzenia.

Spośród domowników jedynie zupełnie źli i głupi ludzie, a także małe dzieci nie rozumieli tego i stronili od niej.

XIII

Gdy Pierre z żoną weszli do bawialni, hrabina oddawała się zwykłej potrzebie zajmowania się pracą umysłową przy wielkim pasjansie. Mimo że z przyzwyczajenia wypowiedziała słowa, które zawsze mówiła po powrocie Pierre'a lub syna: „Czas, czas, mój drogi; wyczekaliśmy się. No, chwała Bogu”, a przy wręczaniu jej upominku powiedziała inne zwykłe słowa: „Nie o podarek idzie, kochanie. Dziękuję, że obdarzasz mnie, starą...” – widoczne było, że przyjscie Pierre'a w tej chwili nie było jej przyjemne, gdyż odrywało ją od nie dokończonego pasjansa. Dopiero gdy go dokończyła, zajęła się upominkami. Upominki składały się z futerału pięknej roboty do kart, z sewrskiego jasno szafirowego puzderka z przykrywką, na której wyobrażone były pasterki, i ze złotej tabakiery z portretem hrabiego, który Pierre zamówił w Petersburgu u miniaturzysty. (Hrabina dawno sobie tego życzyła.) Nie chciało się jej teraz płakać i dlatego obojętnie popatrzyła na portret, a bardziej zajęła się dużym futerałem.

– Dziękuję ci, mój drogi, uradowałeś mnie – powiedziała jak zawsze. – Ale najbardziej, żeś przywiózł siebie. No, bo do czego to podobne; musisz trochę nagadać swej żonie. Cóż to takiego? Bez ciebie jest jak pomieszana. Nic nie widzi, nic nie pamięta – wypowiadała zwykłe zdania. – Popatrz no, Anno Timofiejewno – dodała – jaki futerał syn nam przywiózł.

Bielowa chwaliła upominki i zachwycała się swym materiałem.

Pierre, Natasza, Mikołaj, hrabina Maria i Denisow wiele mieli do omówienia ze sobą, o czym się nie mówiło przy hrabinie, nie dlatego, żeby coś ukrywano przed nią, ale dlatego, że wielu rzeczy nie rozumiała, tak iż zacząwszy mówić o czymś przy niej, trzeba było odpowiadać na jej nedorzeczne pytania i powtarzać rzeczy kilkakrotnie już powiedziane: że ten umarł, tamten się ożenił, czego ona znowu nie potrafiła zapamiętać – ale wszyscy jak zwykle siedzieli w salonie przy herbacie, koło samowara, i Pierre odpowiadał na pytania hrabiny, jej samej niepotrzebne, które nikogo nie interesowały: że ksiązę Wasilij postarzał i że hrabina Maria Aleksiejewna przesyła ukłony i prosi, by o niej nie zapominano itd.

Taką rozmowę, nikogo nie interesującą, ale niezbędną, prowadzono przez cały czas przy herbacie. Wokół okrągłego stołu, przy samowarze, przy którym siedziała Sonia, zbierali się wszyscy dorośli członkowie rodziny. Dzieci, guwernerzy i guwernantki byli już po herbacie i rozmowę ich słychać było z sąsiedniej bawialni. Do herbaty wszyscy siadywali na swych miejscach; Mikołaj siadał koło pieca przy maleńkim stoliku i tam podawano mu herbatę. Stara charcica Miłka, córka pierwszej Miłki, z pyskiem zupełnie siwym, co jeszcze bardziej uwydatniało jej duże, czarne oczy, leżała koło niego na fotelu. Denisow, z kędzierzawymi, na pół osiwiałymi włosami, wąsami i bokobrodami, w rozpiętym generalskim mundurze siedział przy hrabinie Marii, Pierre – między żoną i starą hrabiną. Opowiadał to, co – jak wiedział – mogło zainteresować staruszkę i być dla niej zrozumiałe. Mówił o potocznych wydarzeniach towarzyskich i o tych ludziach, którzy niegdyś stanowili kółko rówieśników starej hrabiny, byli niegdyś rzeczywiście, żywym, osobnym kółkiem, ale którzy teraz, przeważnie rozsiani po

świecie, podobnie jak ona dożywali swych dni zbierając resztę z kłosów tego, co posiali w życiu. Ale właśnie oni, ci rówieśnicy, wydawali się starej hrabinie światem jedynie poważnym i rzeczywistym. Z ożywienia Pierre'a Natasza widziała, że podróż jego była interesująca, że wiele chciałby opowiedzieć, ale nie miał odwagi mówić przy hrabinie. Denisow, nie będąc członkiem rodziny i z tego powodu nie rozumiejąc ostrożności Pierre'a, poza tym jako malkontent interesujący się tym, co się w Petersburgu działo, nieustannie nagabywał Pierre'a o wiadomości, to o historii z pułkiem Siemionowskim, która niedawno miała miejsce, to interesował go Arakczejew, to Towarzystwo Biblijne. Pierre niekiedy dawał się porwać i zaczynał opowiadać, ale Mikołaj i Natasza za każdym razem skierowywali rozmowę na zdrowie księcia Iwana i hrabiny Marii Antonowny.

– No, jakże, czy całe to szaleństwo i Hosner, i Tatarinowa⁴⁰⁵ – pytał Denisow – czy to wszystko istnieje dalej?

– Jak to: istnieje! – wykrzyknął Pierre głośniejszym niż zwykle. – Towarzystwo Biblijne to teraz cały rząd!

– Cóż to takiego, mań cher ami? – spytała hrabina wypiwszy herbatę i widocznie szukając pozorów, by się nieco wyzłoczyć po posiłku. – Cóż to ty mówisz: „rząd”; nie mogę zrozumieć.

– Ach, maman – wtrącił się Mikołaj, umiejący tłumaczyć na język matki – to książę Aleksander Nikołajewicz Golicyn⁴⁰⁶ założył towarzystwo, ma teraz, jak mówią, wielkie wpływy.

– Arakczejew i Golicyn – powiedział nieostrożnie Pierre – to teraz cały rząd. I jaki! We wszystkim widzą spiski, wszystkiego się boją.

– Cóż, w czymże tu zawinił książę Aleksander Nikołajewicz? Bardzo godny człowiek. Widywałam się z nim wtedy u Marii Antonowny – mówiła hrabina z urazą i jeszcze bardziej urażona, że wszyscy zamilkli, ciągnęła dalej:

– Dziś wszystkich się potępia. Towarzystwo Ewangeliczne, cóż w tym złego? – Wstała (wszyscy wstali również) i z surową miną popłynęła do bawialni, ku swemu stołowi.

W czasie smętnego milczenia z sąsiedniego pokoju słychać było śmiech dzieci i głosy. Widocznie zaszło tam wśród dzieci jakieś radosne poruszenie.

– Gotowe, gotowe! – słychać było górujący nad wszystkimi okrzyk małej Nataszy. Pierre zamienił spojrzenie z hrabiną Marią i Mikołajem (na Nataszę stale patrzył) i uśmiechnął się, szczęśliwy.

– Oto mi wspaniała muzyka! – powiedział.

– To pewno Anna Makarowna dokończyła skarpety – powiedziała hrabina Maria.

– O, pójdę zobaczyć – zrywając się powiedział Pierre.

– Wiesz – dodał zatrzymując się przy drzwiach – dlaczego szczególnie lubię tę muzykę? To dla mnie pierwszy znak, że wszystko jest dobrze. Jadę dzisiaj; im bliżej domu, tym więcej lęku. Po wejściu do przedpokoju słyszę, że Andriusza się z czegoś zaśmiewa, no, myślę, wszystko dobrze...

– Znam, znam to uczucie – potwierdził Mikołaj.

⁴⁰⁵ Rozwiązanie pułku Siemionowskiego, Arakczejew, Towarzystwo Biblijne – szczegóły z okresu panowania Aleksandra I, wskazujące, iż cesarz oddala się od uprzedniego liberalizmu. Johann Hosner (1773–1858) – pastor niemiecki. W r. 1820 był dyrektorem Towarzystwa Biblijnego w Petersburgu. Katarzyna Tatarinow (1783–1856), w r. 1817 założyła w Petersburgu sektę chłystów.

⁴⁰⁶ Książę Aleksander Golicyn był w r. 1816 ministrem oświecenia; należał do kręgu osób, którymi Aleksander I otoczył się; w okresie swojego odwrotu od liberalizmu.

– Nie mogę tam iść, przecież skarpety to niespodzianka dla mnie.
– Pierre wszedł do dzieci, a śmiech i krzyki jeszcze się wzmogły.
– No, Anno Makarowno – słysząc głos Pierre'a proszę tu na środek i na komendę: raz, dwa i – gdy powiem trzy, ty – tu stawaj. Biorę za ręce. No, raz, dwa... – mówił Pierre. Zapanowała cisza. – Trzy! – i w pokoju rozległ się jęk dziecięcego zachwyty.
– Dwie, dwie! – krzyczały dzieci.
Było to dwie skarpety, robione jednocześnie na drutach sposobem znanym tylko Annie Makarownie, które zawsze uroczyście przy dzieciach wyjmowała jedną z drugiej, gdy skarpetka była skończona.

XIV

Wkrótce potem dzieci przysły powiedzieć dobranoc. Pocałowały się ze wszystkimi, guwernantki i guwernerzy złożyli ukłony i wyszli. Pozostał tylko Dessales ze swym wychowankiem. Guwerner prosił go szeptem, by zszedł na dół.

– Non, M. Dessales, je demanderai a ma tante de rester⁴⁰⁷ – odpowiedział również szeptem Nikoleóka Bołkoński.

– Ma tante, proszę pozwolić mi zostać – powiedział Nikoleńka podchodząc do ciotki. Twarz jego wyrażała błaganie, wzruszenie i zachwyt. Hrabina Maria spojrzała na niego i zwróciła się do Pierre'a.

– Gdy ty jesteś, oderwać się nie może – powiedziała.

– *Je vous le ramenerai tout a l'heure, M. Dessales; bonsoir*⁴⁰⁸ – powiedział Pierre podając Szwajcarowi rękę i z uśmiechem zwrócił się do Nikoleńki: – Zpełniemy się nie widzieli z sobą. Marie, jakież on staje się podobny – dodał zwracając się do hrabiny Marii.

– Do ojca? – zapytał chłopiec czerwieniejąc purpurowo i patrząc z dołu na Pierre'a pełnymi zachwytem, błyszczącymi oczami. Pierre skinął głową i ciągnął dalej opowiadanie, przerwane przez dzieci. Hrabina Maria wyszywała na kanwie, Natasza nie spuszczała oczu z męża. Mikołaj i Denisow wstawali, wołali o fajki, palili, brali herbatę z rąk Soni, siedzącej posepnie i z uporem przy samowarze, i wypytywali Pierre'a. Kędzierzawy, wąty chłopiec, z błyszczącymi oczyma, siedział nie zauważony przez nikogo w kąci i tylko zwracał kędzierzawą głowę na cienkiej szyi, wyłaniającej się z wykładanego kołnierzyka, w tę stronę, gdzie siedział Pierre. Wzdrygał się od czasu do czasu i coś sobie szeptał, widocznie doświadczając jakiegoś nowego i silnego uczucia.

Rozmowa obracała się koło aktualnej plotki o wyższych sferach rządowych, w której większość ludzi upatruje zwykle najważniejszy przejaw polityki wewnętrznej. Denisow, niezadowolony z rządów z powodu swych niepowodzeń w służbie, z uciechą dowiadywał się o wszystkich głupstwach, które, jego zdaniem, popełniano teraz w Petersburgu, i w mocnych, ostrych słowach dorzucał uwagi do słów Pierre'a.

Dawniej trzeba było być Niemcem, teraz trzeba tańczyć z Tatarinową i m-me Krudener, czytać... Eckharsthausena z bracią. Och, puściłbym znowu na nich naszego zucha Bonapartego! Wybiłbym im głupstwa z głowy. No, do czego to podobne, żeby żołnierzowi Szwajcarowi dać Siemionowski pułk?⁴⁰⁹ – krzyczał Mikołaj, chociaż nie pragnął jak Denisow, by wszystko było

⁴⁰⁷ Nie, panie Dessales, poproszę ciocię, żebym mógł zostać.

⁴⁰⁸ Zaraz go panu odprowadzę; dobranoc

⁴⁰⁹ Baronowa Julia Krudener (1764–1825). Od r. 1821 zbliżona do kół mistyków rosyjskich. Miała wielki wpływ na Aleksandra I.

Karol Eckhartshausen (1752–1803) – niemiecki mistyk. Pułkownik Fiodor S z war c, pochodzenia niemieckiego, był mianowany przez Aleksandra I dowódcą pułku Siemionowskiego, jednego z najstarszych, o wielkiej tradycji

złe, uważał również, że rezonowanie na temat spraw rządowych jest rzeczą godną i ważną, oraz sądził, iż to, że A. mianowano ministrem tego a tego, a B. – generał-gubernatorem tam a tam, i że cesarz powiedział tak a tak, a minister to a to, wszystko to są sprawy dużego znaczenia. Interesował się więc tymi sprawami i wypytywał o nie Pierrea. Na skutek ich pytań rozmowa nie wybiegała poza obręb zwykłych plotek o najwyższych sferach rządowych.

Ale Natasza, znając zachowanie się i myśli swego męża, widziała, że Pierre dawno już chciał, a nie mógł, sprowadzić rozmowę na inny tor i wypowiedzieć swe najgłębsze myśli, te właśnie, które go pobudziły do wyjazdu do Petersburga i do narad ze swym nowym przyjacielem, księciem Fiodorem, toteż pomogła mu, pytając, jak załatwił sprawę z księciem Fiodorem.

– O co idzie? – zapytał Mikołaj.

Wciąż o jedno i to samo – powiedział Pierre oglądając się dokoła. – Wszyscy widzą, że sprawy przedstawiają się tak źle, iż nie można ich tak zostawić, i że jest obowiązkiem wszystkich prawych ludzi przeciwdziałać temu w miarę ich sił.

– Cóż tu prawi ludzie mogą zrobić? – powiedział Mikołaj, lekko zachmurzony. – Co można zrobić?

– A ot co...

– Chodźmy do gabinetu – powiedział Mikołaj. Natasza, dawno już domyślając się, że wezwą ją do karmienia, usłyszawszy głos niani poszła do dziecinnego. Poszła z nią hrabina Maria. Mężczyźni przeszli do gabinetu, a Nikoleńka Bołkoński, nie zauważony przez wujka, również poszedł i usiadł w cieniu, obok okna, przy biurku.

– No, coż ty zrobisz? – pytał Denisow.

– Wiecznie fantazje – powiedział Mikołaj.

– A ot co – zaczął Pierre nie siadając i to chodząc po gabinecie, to przystając, sepleniąc i gestykulując rękami, mówił: – Widzicie, położenie w Petersburgu jest takie: cesarz nie wtrąca się do niczego. Cały ugrzązł w mistycyzmie (Pierre nie przebaczał teraz nikomu mistycyzmu). Szuka tylko spokoju, a spokój mogą mu dać tylko ci ludzie sans foi ni loi, którzy rąbią na odlew i duszą wszystko: Magnicki, Arakczejew i tutti quanti⁴²⁸... Zgodzisz się, że gdybyś sam nie zajmował się gospodarstwem i pragnął tylko spokoju, to im okrutniejszy by był twój rządca, tym prędzej osiągnąłbyś cel zwrócił się do Mikołaja.

– Tak, ale do czego prowadzisz? – spytał Mikołaj.

– No, a wszystko przepada. W sądownictwie – złodziejstwo, w armii tylko pałka: musztra, zesłania, lud dręczą, oświatę duszą. Niszczą to, co młode i szlachetne! Wszyscy widzą, że nie może być tak dalej. Wszystko jest zbyt napięte i bezwarunkowo pęknie – mówił Pierre (jak z dawna mówią ludzie od czasu istnienia rządów, przyjrząwszy się działaniu jakiegokolwiek rządu). – Jedno im tylko w Petersburgu mówiłem.

– Komu? – zapytał Denisow.

– No, wiecie komu – odpowiedział Pierre znacząco spoglądając spod oka – księciu Fiodorowi i im wszystkim. Współzawodniczyć w szerzeniu oświaty i dobroczynności wszystko to dobre, oczywiście. Piękny cel i to wszystko; ale w dzisiejszych okolicznościach trzeba czegoś innego.

W tej chwili Mikołaj zauważył bratanka. Twarz mu spochmurniała, podszedł do niego.

– Dlaczego tu jesteś?

– No, coż takiego! Dajże mu spokój – powiedział Pierre wzięwszy za rękę Mikołaja i ciągnął dalej: – Tego mało, mówię im: teraz trzeba czegoś innego. Kiedy wy stoicie i czekacie, że już, już, a pęknie ta napięta struna, kiedy wszyscy czekają nieuniknionego przewrotu, trzeba, by jak

historycznej. Nominacja ta wywołała gwałtowny sprzeciw.

najwięcej ludzi połączyło się jak najściślej, ręka w rękę, aby się przeciwstawić ogólnej katastrofie. Wszystko, co młode, silne, przyciąga się tam i demoralizuje. Jednego uwodzą kobiety, drugiego zaszczyty, trzeciego fałszywa duma, pieniądze, i dlatego przechodzą do tamtego obozu. Niezależnych, wolnych ludzi, jak wy i ja, całkiem nie ma. Mówię: rozszerzcie krąg towarzystwa, *mot d'ordre*⁴¹⁰ niechaj będzie nie tylko dobroczynność, ale i niezależność i aktywność.

Mikołaj, odszedłszy od bratanka, gniewnie przesunął fotel, siadł w nim i, słuchając Pierre'a, pokasływał z niezadowoleniem i coraz bardziej się chmurzył.

– A jakież cel tej działalności? – wykrzyknął. – I jaki będzie wasz stosunek do rządu?

– Oto jaki! Będziemy jego pomocnikami. Towarzystwo nie musi być tajne, jeżeli rząd na nie pozwoli. Ono nie tylko nie jest wrogiem rządowi, ale jest to towarzystwo prawdziwych konserwatystów. Towarzystwo dżentelmenów w pełnym znaczeniu tego słowa. Jesteśmy po to jedynie, żeby Pugaczow nie przyszedł wyrząć i moich, i twoich dzieci i żeby Arakcejew nie wysłał mnie do osady wojskowej⁴¹¹ – tylko dlatego łączymy się ramię w ramię dla powszechnego dobra i powszechnego bezpieczeństwa.

Tak, ale tajne towarzystwo – a więc wrogiem i szkodliwym, które może zrobić tylko zło.

Dlaczego? Czyż Tugendbund, który uratował Europę (wtedy jeszcze nie śmiano myśleć, że Rosja uratowała Europę), dokonał czegoś szkodliwego? Tugendbund to związek cnoty, to miłość, pomoc wzajemna, to – czego nauczał Chrystus z krzyża...

Natasza, która weszła do pokoju wśród rozmowy, radośnie patrzyła na męża. Nie cieszyła się tym, co mówił. Nie interesowało jej to nawet, dlatego że wydawało się jej, że wszystko to jest nadzwyczaj proste i dawno jej znane (wydawało się jej, że to wszystko zna, dlatego że знаła to wszystko, z czego to wypływało – całą duszę Pierre'a), ale radowała się patrząc na ożywienie Pierre'a.

Z jeszcze większym zachwytem i radością patrzył na Fierre'a zapomniany przez wszystkich chłopiec z cienką szyją, wylaniającą się z wykładanego kołnierzyka. Słowa Pierre'a paliły mu serce i nerwowym ruchem palców łamał, nie wiedząc o tym, leżące na biurku lak i pióra, które mu wpadały pod rękę.

– Całkiem nie to, co myślisz: to, co ja proponuję, to byłoby coś takiego jak niemiecki Tugendbund.

– No, bracie, Tugendbund to dobre dla kielbaśników – a ja tego nie rozumiem, a nawet nie wymówię – rozległ się głośny, zdecydowany głos Denisowa. – Wszystko jest złe i obrzydliwe, zgadzam się, tylko Tugendbundu nie rozumiem, a skoro się coś nie podoba – to bunt; to rozumiem. *Je sids votre homme!*⁴¹²

Pierre uśmiechnął się, Natasza się roześmiała, ale Mikołaj jeszcze bardziej zmarszczył brwi i zaczął przekonywać Pierre'a, że nie przewiduje się żadnego przewrotu i że całe niebezpieczeństwo, o którym mówi, istnieje tylko w jego wyobraźni. Pierre dowodził, że jest przeciwnie, a że jego zdolność rozumowania była większa i myśli sprawniejsze, Mikołaj poczuł się w ślepej uliczce. To rozdrażniło go jeszcze bardziej, gdyż w głębi duszy, nie przez rozumowanie, ale przez coś silniejszego niż rozumowanie, odczuwał niewątpliwą słusność swego zdania.

⁴¹⁰ Bez wstydu i sumienia... im podobni.

⁴¹¹ Osady wojskowe wojennyje posielenija) zostały wprowadzone w r. 1817. Ich organizację i zarząd powierzono Arakcejewowi, który początkowo był im przeciwny, lecz potem, przystąpiwszy do ich organizacji, okazał niezwykłą gorliwość. Były to całe pułki, a nawet brygady, osiedlane i utrzymywane w najsurowszej dyscyplinie w wielu guberniach.

⁴¹² Należę do was

– Wiesz, co ci powiem – rzekł wstając i nerwowymi ruchami ustawiając w kącie fajkę, którą w końcu rzucił

– Dowieść ci nie mogę. Mówisz, że wszystko jest u nas złe i że będzie przewrót; nie widzę tego, ale ty też mówisz, że przysięga – to rzecz umowna, a na to muszę ci powiedzieć: jesteś najlepszym moim przyjacielem, wiesz o tym, ale niechbyś zorganizował tajne towarzystwo, niechbyś zaczął przeciwdziałać rządowi, jakikolwiek by on był, wiem, że moim obowiązkiem byłoby podporządkować się rządowi. I niech mi Arakczejew rozkaże ruszyć na was ze szwadronem i rąbać, pójdę nie namyślając się ani sekundy. A ty sobie sądz o tym, jak ci się podoba.

Po tych słowach zapanowała przykra cisza. Natasza zaczęła mówić pierwsza, broniąc męża i atakując brata. Obrona jej była słaba i niezręczna, ale osiągnęła swój cel. Rozmowa potoczyła się dalej i już nie w tym nieprzyjemnym wrogim tonie, w jakim były utrzymane ostatnie słowa Mikołaja.

Gdy wszyscy wstali na kolację, Nikoleńka Bołkoński podszedł do Pierre'a błądy, z błyszczącymi, promienistymi oczami.

– Wujku Pierre... wuj... nie... Gdyby papa żył... czy zgadzałby się z wujkiem? – zapytał.

Pierre nagle zrozumiał, jaka szczególna, niezależna, skomplikowana i silna praca uczucia i umysłu musiała się odbywać w tym chłopcu podczas ich rozmowy, i gdy sobie przypomniał wszystko, co mówił, zrobiło mu się przykro, że chłopiec go słyszał. Jednak trzeba mu było odpowiedzieć.

– Myślę, że tak – powiedział niechętnie i wyszedł z gabinetu.

Chłopiec pochylił głowę i teraz dopiero jakby zauważył nieład na biurku. Zaczerwienił się i podszedł do Mikołaja.

– Wujku, proszę mi wybaczyć, zrobiłem to nieumyślnie – powiedział wskazując połamany lak i pióra. Mikołaj wzdrygnął się gniewnie.

– Dobrze, dobrze – powiedział rzucając pod biurko kawałki laku i pióra. I widocznie z wysiłkiem opanowując gniew, odwrócił się od chłopca.

– Tyś tu zupełnie niepotrzebnie siedział – rzekł.

XV

Przy kolacji nie rozmawiano więcej o polityce i towarzystwach, lecz przeciwnie, zaczęła się rozmowa najprzyjemniejsza dla Mikołaja – wspomiano rok 1812, na co naprowadził Denisow, a Pierre był wtedy szczególnie miły i zajmujący. Rodzina rozeszła się w nastroju najbardziej przyjaznym.

Gdy po kolacji Mikołaj, rozebrawszy się w gabinecie i wydawszy dyspozycję rządcy, który nie mógł się tego doczekać, przyszedł w szlafroku do sypialni, zastał żonę przy stoliku, coś pisała.

– Co ty piszesz, Marie? – zapytał Mikołaj. Hrabina Maria spłoszyła. Bała się, że to, co pisała, nie będzie zrozumiane i zaakceptowane przez męża.

Chciałaby ukryć przed nim to, co napisała, ale zarazem była zadowolona, że ją zastał przy pisaniu i że trzeba mu będzie powiedzieć. To dziennik, Nicolas – powiedziała podając mu niebieski zeszytek, zapisany jej dużym, energicznym pismem.

– Dziennik?... – rzekł Mikołaj z odcieniem drwiny i wziął zeszyt. Napisane było po francusku:

4 grudnia. Dzisiaj Andriusza (starszy syn) po przebudzeniu nie chciał się ubrać i m-lle Louise przystała po mnie. Był rozkapryszony i upierał się. Próbowałam grozić, ale to zgniewało go jeszcze bardziej. Wówczas przemogłam się, odeszłam od niego i zaczęłam z nianią ubierać inne dzieci, a jemu powiedziałam, że go nie kocham. Długo milczał, jakby zdziwiony, potem przypadł do mnie w samej koszulce i rozplakał się tak, że długo nie mogłam go uspokoić. Widać było, że najbardziej męczyło go, iż mnie zasmucił; potem, gdy dałam mu wieczorem bilecik, znowu się żałośnie rozplakał, całując mnie. Wszystko z nim można zrobić delikatnością.

– A co to za bilecik? – zapytał Mikołaj.

– Zaczęłam wręczać starszym dzieciom wieczorami notatki, jak się zachowały.

Mikołaj spojrział w promieniste oczy, patrzące na niego, i dalej przewracał kartki i czytał. W dzienniku zapisywano to wszystko z życia dzieci, co wydawało się matce interesujące, co wyrażało charakter dzieci albo naprowadzało na ogólne myśli o sposobach wychowania. Były to przeważnie błahostki, ale nie wydawały się takie ani matce, ani ojcu, gdy teraz po raz pierwszy czytał ten dziennik o dzieciach.

5 grudnia napisano:

Mitia swawolił przy stole. Ojciec nie pozwolił mu dać deseru. Nie dano mu; ale jakże żałośnie i pożądliwie patrzył na innych, gdy jedli. Myślę, że kara pozbawienia słodczy rozwija tylko chciwość. Powiedzieć Nicolas.

Mikołaj odłożył książeczkę i popatrzył na żonę. Promieniste oczy pytająco (akceptował czy nie akceptował dziennik?) patrzyły na niego. Nie było wątpliwości nie tylko co do akceptowania, ale i co do tego, że Mikołaj zachwycony był swą żoną.

„Może nie trzeba było robić tego tak pedantycznie; może to wcale niepotrzebne” – myślał

Mikołaj, ale zachwycało go to nieustanne, wieczne, duchowe napięcie, mające na celu tylko moralne dobro dzieci. Gdyby Mikołaj mógł uświadomić sobie swe uczucie, zrozumiałby, że główną podstawą jego niewzruszonej, tkliwej i dumnej miłości do żony było uczucie podziwu dla jej uduchowienia, dla tego prawie niedostępnego Mikołajowi wzniesłego świata moralnego, w którym jego żona stale żyła.

Był dumny, że ona jest taka mądra, i dobrze uświadamiał sobie swą nicość w porównaniu z jej duchowym światem, i tym bardziej się cieszył, że ona ze swą duszą nie tylko należy do niego, ale jest jego częścią.

– Nie było cię w gabinecie. Dysputowaliśmy z Pierre'em i uniosłem się. Ale to niemożliwe. To takie dziecko. Nie wiem, co by się z nim stało, gdyby go Natasza nie trzymała na wodzy. Czy możesz sobie wyobrazić, po co jeździł do Petersburga?... Oni tam założyli...

– Tak, wiem – powiedziała hrabina Maria – mówiła mi o tym Natasza.

– No, więc wiesz – ciągnął dalej Mikołaj gorączkując się na samo wspomnienie dyskusji. – Chcę mnie przekonać, że obowiązkiem każdego uczciwego człowieka jest iść przeciw rządowi, wtedy gdy przysięga i obowiązek... Żałuję, że debie nie było. Bo wszyscy na mnie napadli: i Denisow, i Natasza... Boki zrywać! Jakżeż ona go trzyma pod pantoflem, a gdy tylko wchodzi w grę rozumowanie, nie ma własnego sądu – mówi tylko jego słowami – dodał Mikołaj, poddając się nieprzewyciężonej chęci, która zmusza do wypowiedzania sądów o ludziach najdroższych i najbliższych. Mikołaj zapominał, że to samo, słowo w słowo, co mówią o Nataszy, można było powiedzieć o nim w stosunku do jego żony.

– Tak, zauważyłam to – powiedziała hrabina Maria.

– Gdy mu powiedziałem, że najważniejsze to obowiązek i przysięga, zaczął dowodzić Bóg wie co. Szkoda, że ciebie nie było, co też byś ty na to powiedziała?

– Według mnie, masz zupełną rację. Tak właśnie powiedziałam Nataszy. Pierre mówi, że wszyscy cierpią, męczą się, upadają moralnie i że naszym obowiązkiem jest pomóc bliźnim. Rozumie się, ma rację – mówiła hrabina Maria – ale zapomina, że mamy inne, bliższe obowiązki, które sam Bóg nam wskazał, i że możemy ryzykować sobą, ale nie dziećmi.

– podchwycił Mikołaj, któremu się rzeczywiście wydawało, że mówił to samo. – A oni swoje: że miłość bliźniego i chrześcijaństwo... i wszystko to przy Nikoleńce, który właśnie znalazł się w gabinecie i wszystko połamał.

– Ach, wiesz, Nicolas, Nikoleńka często mnie martwi – powiedziała hrabina Maria. – To taki niezwykły chłopiec! Obawiam się, że go zaniedbuję przy swoich. Wszyscy mamy dzieci, wszyscy mamy rodzinę, a on – nikogo. Wiecznie sam ze swymi myślami.

– No, już chyba ty nie powinnaś robić sobie wyrzutów z jego powodu. Wszystko, co może uczynić najbardziej tkliwa matka dla swego syna, robiłaś i robisz dla niego. Rozumie się, bardzomu temu rad. Wspaniały chłopiec, wspaniały! Dzisiaj słuchał Pierre'a z nadzwyczajnym podnieceniem. Możesz sobie wyobrazić: wychodzimy na kolację, patrzę, a on połamał wszystko na mym biurku w kawałeczki i natychmiast powiedział mi o tym. Nie znam wypadku, żeby skłamał. Wspaniały, wspaniały chłopiec! – powtórzył Mikołaj, któremu w głębi duszy Nikoleńka się nie podobał, ale którego zawsze chciał uważać za wspaniałego chłopca.

– Ale to nie to samo co matka – powiedziała hrabina Maria – czuję, że nie to samo, i to mnie dręczy. Cudowny chłopiec; ale bardzo się boję o niego. Dobrze by mu zrobiło towarzystwo.

– Cóż, już niedługo; latem odwiozę go do Petersburga – powiedział Mikołaj. – Tak, Pierre zawsze był i pozostanie marzycielem – ciągnął dalej wracając do rozmowy w gabinecie, która widocznie bardzo go poruszyła. – No, cóż mnie to wszystko obchodzi – że Arakcejew niedobry i inne sprawy? Co mi do tego, gdym się żenił, a miałem tyle długów, że małym się w lochu nie znalazł, i matkę, która tego nie umiała dostrzec i zrozumieć. A potem – ty, dzieci, interesy. Czyż

dla swej przyjemności siedzę przy pracy od rana do wieczora? Tak, wiem, że powinienem pracować, żeby matka była spokojna, odwdziżyć się tobie i nie zostawić dzieci w takiej nędzy, w jakiej sam byłem.

Hrabina Maria chciała mu powiedzieć, że człowiek nie tylko chlebem żyje, że zbyt duże znaczenie przypisuje interesom; ale wiedziała, że mówić tego nie trzeba i że byłoby to bezużyteczne. Ujęła tylko i pocałowała jego rękę. Mikołaj przyjął ten gest żony jako aprobatę i potwierdzenie swych rozumowań i pomyślawszy chwilę w milczeniu, ciągnął głośno swe myśli.

– Wiesz, Marie – zaczął – dzisiaj przyjechał Ilia Mirofanycz (był to zarządzający majątkiem) ze wsi tambowskiej i powiada, że za las dają już osiemdziesiąt tysięcy.

I Mikołaj z ożywieniem zaczął opowiadać o możliwości wykupienia Otradnego w bardzo krótkim czasie. – Jeszcze dziesięć latek życia i zostawię dzieciom... w doskonałym stanie.

Hrabina Maria słuchała męża i rozumiała wszystko, co jej mówił. Wiedziała, że gdy tak głośno myślał, niekiedy pytał ją o to, co mówił, i gniewał się, gdy zauważył, że myślała czym innym. Ale robiła wielkie wysiłki, gdyż zupełnie jej nie interesowało to, o czym mówił. Patrzyła na niego i nie tyle myślała o czym innym, co odczuwała. Odczuwała korną, tkliwą miłość wobec tego człowieka, który nigdy nie zrozumie wszystkiego, co ona rozumie, i dlatego kochała go jakby jeszcze mocniej, z odcieniem namiętnej tkliwości. Prócz tego uczucia, pochłaniającego ją całkowicie i przeszkadzającego jej wnikać w szczegóły planów męża, błyskały jej w głowie myśli nie mające nic wspólnego z tym, co mówił. Myślała o bratanku (opowiadanie męża o jego wzruszeniu w czasie perory Pierre'a bardzo ją uderzyło) i przedstawiała sobie rozmaite przejawy jego delikatnego, uczuciowego charakteru; myśląc o bratanku, myślała o swych dzieciach. Nie porównywała go ze swymi dziećmi, ale porównywała swe uczucia do nich i ze smutkiem widziała, że w jej uczuciu do Nikoleńki czegoś brakowało.

Niekiedy przychodziło jej na myśl, że do tej różnicy przyczynia się wiek; ale czuła się winna wobec niego i obiecywała sobie w duszy, że się poprawi i uczyni rzecz niemożliwą, czyli będzie w tym życiu kochać i swego męża, i dzieci, i Nikoleńkę, i wszystkich bliźnich, tak jak Chrystus kochał ludzkość. Dusza hrabiny Marii zawsze dążyła w nieskończoność, ku wieczności i doskonałości, dlatego nigdy nie mogła być spokojna. Na twarzy jej pojawił się surowy wyraz utajonego, wzniosłego cierpienia duszy, której ciążyło ciało. Mikołaj popatrzył na nią.

„Mój Boże! co się z nami stanie, gdy ona umrze; zawsze o tym myślę, gdy na jej twarzy zjawia się ten wyraz!” – pomyślał i stanąwszy przed obrazem, zaczął odmawiać wieczorny pacierz.

XVI

Natasza, pozostawszy sam na sam z mężem, również rozmawiała z nim tak, jak mogą rozmawiać tylko żona i mąż, czyli rozumiejąc i komunikując sobie wzajemnie myśli nadzwyczaj wyraźnie i szybko, sposobem przeciwnym wszelkim zasadom logiki, bez pośrednictwa sądów, wniosków i wywodów, lecz zupełnie osobliwą drogą. Natasza tak przywykła rozmawiać z mężem tym sposobem, że najpewniejszym przejawem, iż coś między nimi jest nie w porządku, był dla niej logiczny tok myśli Pierre'a. Gdy zaczął dowodzić, mówić z rozwagą i spokojnie i gdy ona, pociągnięta jego przykładem, zaczęła czynić to samo, wiedziała, że to bezwarunkowo doprowadzi do zwady.

Od chwili gdy zostali sami i Natasza z szeroko otwartymi, uszczęśliwionymi oczyma podeszła do niego cicho i nagle, szybko chwytając jego głowę i przyciskając ją do piersi, powiedziała: „Teraz całkowicie, całkowicie jesteś mój! Nie uciekniesz!” – od tej chwili rozpoczęła się ta rozmowa, sprzeczna z wszystkimi zasadami logiki, sprzeczna już z tego powodu, że jednocześnie mówiło się o zupełnie różnych sprawach. To jednoczesne omawianie wielu rzeczy nie tylko nie przeszkadzało jasności pojmowania, lecz przeciwnie, było najpewniejszym przejawem tego, że zupełnie się rozumieją.

Jak w marzeniu sennym wszystko bywa nieprawidłowe, bezmyślne i sprzeczne, prócz uczucia kierującego snem, tak i w tym porozumiewaniu się, sprzecznym ze wszystkimi zasadami rozsądku, logiczne i wyraźne były nie słowa, lecz uczucie, które nimi kierowało.

Natasza opowiadała Pierre'owi o tym, jak się bratu żyje, o tym, jak cierpiała, a nie żyła bez męża, i o tym, jak jeszcze bardziej pokochała Marie, i o tym, że Marie jest lepsza od niej pod każdym względem. Mówiąc to, Natasza szczerze przyznawała się, że widzi wyższość Marie, ale jednocześnie, gdy to mówiła, wymagała od Pierre'a, żeby mimo wszystko przekładał ją nad Marie i wszystkie inne kobiety, żeby teraz znowu jej to powtórzył, zwłaszcza po tym, gdy widział tyle kobiet w Petersburgu.

Pierre, odpowiadając Nataszy, opowiedział jej, jak nieznośne były dlań w Petersburgu wieczory i obiady w towarzystwie pań.

Całkiem zapomniałem, jak się rozmawia z damami – powiedział – po prostu nuda. Zwłaszcza że tak byłem zajęty.

Natasza, popatrzwszy nań badawczo, ciągnęła:

– Marie jest zachwycająca! – rzekła. – Jak ona potrafi rozumieć dzieci. Jakby tylko dusze ich widziała. Wczoraj, na przykład, Mitińka zaczął kaprysić...

– A jaki on podobny do ojca – przerwał Pierre. Natasza zrozumiała, dlaczego mąż wtrącił tę uwagę o podobieństwie Mitińki do Mikołaja; przykre mu było wspomnienie dyskusji ze szwagrem i chciałby wiedzieć, jakie jest zdanie Nataszy w tej sprawie.

Nikoleńka ma tę słabostkę, że jeżeli coś nie wszyscy uznają, to i on nie zgodzi się w żadnym

wypadku. A ja rozumiem, że ty cenisz właśnie to, żeby *ouvrir wie carrière*⁴¹³ – powiedziała powtarzając zdanie wypowiedziane kiedyś przez Pierre'a.

– Nie, najważniejsze to, że dla Mikołaja – powiedział Pierre – myślenie i rozumowanie to zabawa, niemal marnotrawienie czasu. Oto zakłada bibliotekę i przyjął jako zasadę nie kupować nowej książki, póki nie przeczyta poprzednio kupionej – i Sismondi, i Rousseau, i Montesquieu – mówił z uśmiechem Pierre. – Wiesz przecie, jak ja go... – zaczął łagodzić swe zdanie, ale Natasza przerwała mu, dając do zrozumienia, że to zbyteczne.

– Więc mówisz, że dla niego myśli – to zabawa...

– Tak, a dla mnie wszystko pozostałe – to zabawa. Cały czas w Petersburgu widziałem wszystkich jak we śnie. Gdy mnie zajmuje jakaś myśl, to wszystko pozostałe – zabawa.

– Ach, jaka szkoda, że nie widział twego przywitania z dziećmi – powiedziała Natasza. – Która się najbardziej ucieszyła? Prawda, że Liza?

– Tak – odpowiedział Pierre i mówił dalej o tym, co go zajmowało. – Mikołaj mówi, że nie powinniśmy myśleć. A ja tak nie mogę. Nie mówiąc już o tym, że w Petersburgu czułem (tobie mogę to powiedzieć), że beze mnie wszystko to się rozpadało, każdy ciągnął w swoją stronę. Ale udało mi się wszystko zjednoczyć, a i myśl moja jest tak prosta i zrozumiała. Przecież nie mówię, że powinniśmy przeciwdziałać temu a temu. Możemy się mylić. Ale mówię: podajcie sobie ręce, ci, którzy kochacie dobro, i stańmy pod jednym sztandarem – czynnej cnoty. Książę Sergiusz to znakomity człowiek, mądry.

Natasza nie wątpiła o tym, że myśl Pierre'a była myślą wielką, ale niepokoiło ją jedno: to, że był jej mężem. „Czyż ten człowiek tak poważny i potrzebny społeczeństwu jest zarazem i moim mężem? Dlaczego to się tak zdarzyło?” Chciałaby mu powiedzieć o tej wątpliwości. „Któż to, kto są ci ludzie, którzy mogliby stwierdzić, że on rzeczywiście jest mądrzejszy od wszystkich?” – pytała siebie i szukała w pamięci tych ludzi, których Pierre bardzo szanował. Nikogo ze wszystkich ludzi, sądząc z jego opowiadań, tak nie považał jak Platona Karatajewa.

– Czy wiesz, o czym myślę? – powiedziała. – O Platonie Karatajewie. Jak myślisz? Pochwaliliby cię teraz?

– Pierre'a zupełnie nie zdziwiło to pytanie. Zrozumiał tok myśli żony.

– Platon Karatajew? – spytał i zamyślił się, widocznie starając się szczerze przedstawić sobie sąd Karatajewa w tym przedmiocie. – Nie rozumiałby, a zresztą, może tak.

– Strasznie cię kocham! – powiedziała nagle Natasza. – Strasznie, strasznie!

– Nie, nie przytaknałby – powiedział Pierre po namyśle. – Co by pochwalił, to nasze życie rodzinne. On tak pragnął widzieć we wszystkim zdrowy ład, szczęście, spokój, i z dumą pokazałbym mu nas. Ty mówisz – rozłąka. A nie uwierzysz, jakie szczególne uczucie żywię do ciebie po rozłące.

– No, a jeszcze... – zaczęła Natasza.

– Nie, nie to. Nigdy nie przestaję cię kochać. I bardziej kochać nie można; a to zwłaszcza... No tak... – nie skończył, gdyż resztę dopowiedziały ich oczy.

– Jakie to głupstwa – powiedziała Natasza – miodowy miesiąc i to, że najwięcej szczęścia z początku. Przeciwnie, teraz jest najwięcej. Gdybyś tylko nie wyjeżdżał. Pamiętasz nasze kłótnie? I zawsze ja byłam winna. Zawsze ja. A o co nam chodziło, nawet nie pamiętam.

– Zawsze o jedno – rzekł Pierre z uśmiechem – zaz...

– Nie mów, nie znoś! – wykrzyknęła Natasza; chłodny, gniewny blask zajaśniał w jej oczach. – Widziałeś ją? – dodała po chwili milczenia.

– Nie; a gdybym nawet widział, nie poznałbym.

⁴¹³ Rozpocząć działalność w nowej dziedzinie.

– Zamilkli na chwilę.

– Ach, wiesz? Patrzyłam na ciebie, gdyś mówił w gabinecie – zaczęła Natasza, starając się widocznie rozpedzić nadciągającą chmurę. – Jesteście podobni do siebie z chłopcem (tak nazywała syna) jak dwie krople wody. Ach, czas już pójść do niego... Czas... A szkoda odchodzić.

Zamilkli na chwilę. Potem znowu jednocześnie zwrócili się do siebie i zaczęli coś mówić. Pierre zaczął z zapałem, zadowolony z siebie; Natasza – z łagodnym, szczęśliwym uśmiechem. Zderzywszy się słowami, przystanęli, ustępując sobie wzajemnie z drogi.

– Nie. Cóż? Mów, mów.

– Nie, ty mów; ja tak, głupstwa – powiedziała Natasza.

Pierre wypowiedział to, co rozpoczął. Był to ciąg dalszy pełnych zadowolenia wywodów o jego powodzeniu w Petersburgu. Wydawało mu się w tej chwili, że jest powołany do wskazania nowej drogi całemu społeczeństwu rosyjskiemu i całemu światu.

– Chciałem tylko powiedzieć, że wszystkie myśli, które powodują wielkie skutki, są zawsze proste. Cała moja myśl na tym polega, że jeżeli ludzie występni związani ze sobą stanowią siłę, to ludziom uczciwym wypada zrobić to samo. Jakie to proste!

– Tak.

– A ty co chciałaś powiedzieć?

– Tak sobie, głupstwa.

– No, a przecie...

– Ależ nie, głupstwa – powiedziała Natasza promieniejąc jeszcze bardziej radosnym uśmiechem – chciałam tylko powiedzieć o Pieti: dzisiaj przychodzi niania, żeby go wziąć ode mnie, a on roześmiał się, zmrużył oczy i przytulił się do mnie... widocznie myślał, że się schował. Strasznie miły. O, płacze. No, dobranoc! – I wyszła z pokoju.

Tymczasem na dole, na stronie Nikoleńki Bołkońskiego, w jego sypialni, jak zawsze paliła się lampka. (Chłopiec bał się ciemności i nie można było wykorzenić tej wady.) Dessales spał z głową ułożoną wysoko na czterech poduszkach i jego rzymski nos wydawał równomierne dźwięki chrapania. Nikoleńka, przebudziwszy się przed chwilą w zimnym pocie, siedział na łóżku z szeroko rozwartymi oczyma i patrzył przed siebie. Obudził go straszny sen. Widział we śnie siebie i Pierre'a w hełmach – takich, jakie były narysowane w wydaniu Plutarcha. Szedł z wujkiem Pierre'em na czele ogromnego wojska. Wojsko to składało się z białych, skośnych linii, wypełniających przestrzeń na podobieństwo tej pajęczyny, która unosi się jesienią i którą Dessales nazywał le fil de la Yierge.⁴³² Przed nimi była sława, taka sama jak te nici, tylko nieco bardziej gęsta. Obaj – on i Pierre – płynęli lekko i radośnie, wciąż bliżej celu. Nagle nici, które ich niosły, zaczęły się osłabiać, płątać, zrobiło się ciężko. A przed nimi stanął wuj Mikołaj Ilicz w groźnej, surowej postawie.

„Wyście to zrobili? – powiedział wskazując na połamane pióra i lak. – Kochałem was, lecz Arakczejew mi tak rozkazał i zabiję każdego, kto się ruszy naprzód”. Nikoleńka obejrzał się na Pierre'a, ale Pierre'a już nie było. Z Pierre'a zrobił się ojciec, księżę Andrzej. Ojciec nie miał kształtów i formy, ale był, i widząc go, Nikoleńka poczuł miłosne osłabienie – poczuł się bezsilny, bezkostny i rozrzedzony. Ojciec go pieścił. Ale wuj Mikołaj Ilicz podchodził do nich coraz bliżej. Nikoleńkę ogarnęło przerażenie i przebudził się

„Ojciec – myślał. – Ojciec (mimo że w domu były dwa bardzo podobne portrety, Nikoleńka nigdy sobie nie wyobrażał księcia Andrzeja w ludzkiej postaci), ojciec był ze mną i pieścił mnie. Pochwalał mnie i pochwalał wujka Pierre'a. Wszystko, co on powie, wykonam. Mucjusz Scewola spalił sobie rękę. Ale czemuż by i w moim życiu nie mogło zdarzyć się coś podobnego? Wiem, chcę, żebym się uczył. I ja będę się uczył. Ale to się kiedyś skończy, i wtedy będę działał. O

jedno tylko Boga proszę: żeby się ze mną stało to, co było z ludźmi Plutarcha, i ja będę robił to samo. Zrobię lepiej. Wszyscy mnie poznają, wszyscy mnie pokochają, wszyscy będą się mną zachwycać”. I nagle Nikoleńka poczuł, że dusi go łkanie, i rozplakał się.

– *Etes-vous indispose?*⁴¹⁴ – rozległ się głos Dessales'a.

Non – odpowiedział Nikoleńka i położył się. „On jest dobry i miły, kocham go – myślał o Dessallesie. – A wujek Pierre? O, jaki to wspaniały człowiek! A ojciec? Ojciec! Ojciec! Tak, zrobię to, z czego nawet on byłby zadowolony...”

⁴¹⁴ Czy źle się czujesz?

CZEŚĆ DRUGA

I

Przedmiotem historii jest życie narodów i ludzkości. Ująć bezpośrednio i ogarnąć słowami – opisać życie nie tylko ludzkości, ale jednego narodu, wydaje się niemożliwe.

Starożytni historycy używali prostego sposobu, żeby opisać i uchwycić wydające się nieuchwytnym życie narodu. Opisywali działalność osób rządzących narodem, i ta działalność utożsamiała się dla nich z działalnością całego narodu.

Na pytanie, jakim sposobem jednostki według swej woli zmuszały narody do działania i co kierowało wolą tych jednostek, historycy odpowiadali: na pierwsze pytanie – uznaniem woli bóstwa, podporządkowującego narody woli jednej wybranej jednostki, a na pytanie drugie – uznaniem tegoż bóstwa, które kieruje wolą człowieka wybranego do osiągnięcia wyznaczonego celu.

Starożytni rozwiązywali te zagadnienia wiarą w bezpośredni udział bóstwa w sprawach ludzkości.

Historia nowożytna w teorii swej odrzuciła oba te założenia.

Wydawałoby się, że odrzuciwszy wiarę starożytnych w zależność ludzi od bóstwa i w określony cel, do którego prowadzone są narody, historia nowożytna powinna by była badać nie przejawy władzy, lecz przyczyny, które ją formowały. Lecz tego nie uczyniła. Odrzuciwszy w teorii poglądy starożytnych, kieruje się nimi w praktyce.

Zamiast ludzi obdarzonych boską władzą, którymi bezpośrednio kieruje wola bóstwa, historia nowożytna wysunęła albo bohaterów obdarzonych niezwykłymi, nadludzkimi zdolnościami, albo po prostu ludzi o najróżnorodniejszych właściwościach, od monarchów do dziennikarzy, kierujących masami. Zamiast dawnych, miłych bóstwu dążeń narodów: żydowskiego, greckiego, rzymskiego, które starożytnym wydawały się celami ruchu ludzkości, historia nowożytna wysunęła swoje cele – szczęście Francuzów, Niemców, Anglików, a w najogólniejszej abstrakcji – dobro cywilizacji całej ludzkości, przez którą rozumie się zwykle narody zajmujące maleńki północno-zachodni kącik wielkiego lądu.

Historia nowożytna odrzuciła dawne wierzenia, nie dając na ich miejsce nowych zasad, a logika dziejów zmusiła historyków, którzy rzekomo odrzucili boską władzę cesarzy i fatum starożytnych, by nową drogą doszli do tego samego: do uznania, że 1) narodami kierują jednostki, 2) że istnieje określony cel, do którego dążą narody i ludzkość.

We wszystkich pracach najnowszych historyków, od Gibbona do Buckle'a, mimo ich pozornych różnic i pozornie nowych poglądów, widać w osnowie te dwie stare, nie do uniknięcia zasady.

Po pierwsze, historyk opisuje działalność jednostek, według jego zdania, kierujących ludzkością: jeden zalicza do nich tylko monarchów, wodzów, ministrów; drugi prócz monarchów – mówców, uczonych, reformatorów, filozofów, poetów. Po drugie, cel, do którego

zmierza ludzkość, jest znany historykowi: dla jednego tym celem jest wielkość rzymskiego, hiszpańskiego, francuskiego państwa, dla innego – to wolność, równość, cywilizacja określonego rodzaju w małym zakątku świata, nazywanym Europą.

W roku 1789 w Paryżu zaczyna się ferment, rośnie, rozlewa się i przejawia się w ruchu narodów z Zachodu na Wschód. Kilkakrotnie ten kierunek się na Wschód, ściera się z ruchem przeciwnym – ze Wschodu na Zachód, w roku 1812 dochodzi do krańcowego punktu – Moskwy, i z symetrią, godną uwagi, następuje ruch przeciwny: ze Wschodu na Zachód, zupełnie jak w pierwszym wypadku, pociągając za sobą narody pośrednie. Przeciwny ruch dochodzi do punktu wyjścia na Zachodzie, do Paryża i zanika.

W tym dwudziestoletnim okresie ogromnej liczby pól nie zaorano, domy spalono, handel zmienia kierunek, miliony ludzi ubożeją, wzbogacają się, przesiedlają, a miliony ludzi, chrześcijan, uznających miłość bliźniego, zabijają się wzajemnie.

Co to wszystko znaczy? Czym to zostało spowodowane?

Co zmusiło tych ludzi, by palili domy i zabijali podobnych sobie? Jakie są przyczyny tych wydarzeń? Jaka siła kazała tym ludziom postępować w taki sposób? Oto mimowolne, prostoduszne i najbardziej uzasadnione pytania, które stawia sobie człowiek natknąwszy się na pomniki i podania ruchu minionego okresu. Rozwiązanie tych zagadnień zwracamy się do nauki historii, której celem jest samowiedza narodów i ludzkości.

Gdyby historia kierowała się poglądami starożytnych, powiedziałyby: bóstwo, nagradzając albo karząc swój naród, dało Napoleonowi władzę i kierowało jego wolą, aby osiągnąć swe boskie cele. Odpowiedź byłaby pełna i zrozumiała. Można było wierzyć lub nie wierzyć w boskie przeznaczenie Napoleona, kto wierzył w niego, ten wszystko by rozumiał w historii tego okresu i nie mogłoby być żadnej sprzeczności.

Ale historia nowożytna nie może w ten sposób odpowiadać. Nauka nie uznaje poglądów starożytnych o bezpośrednim mieszanym się bóstwa w sprawy ludzkie i dlatego winna odpowiedzieć inaczej.

Historia nowożytna odpowiadając na te pytania mówi: chcecie wiedzieć, co znaczy ten ruch, skąd wypłynął i jaka siła dokonała tych wydarzeń? Posłuchajcie:

„Ludwik XIV był człowiekiem bardzo dumnym i pewnym siebie, miał takie a takie kochanki i takich a takich ministrów i głupio rządził Francją. Następcy Ludwika również byli ludźmi słabymi i źle rządzili Francją. I oni mieli takich a takich faworytów i takie a takie kochanki. Prócz tego pewni ludzie pisali w tym czasie książki. W końcu XVIII stulecia Paryż skupił około dwudziestu ludzi, którzy zaczęli mówić, że wszyscy ludzie są równi i wolni. Z tego powodu ludzie w całej Francji zaczęli się wzajemnie wyrzynać⁴¹⁵ i topić. Ludzie ci zabili króla i wielu innych. W tym samym czasie był we Francji człowiek genialny – Napoleon, który wszędzie wszystkich zwyciężał, czyli zabijał dużo ludzi, dlatego że był bardzo genialny. Pojechał zabijać dla czegoś tam Afrykańczyków i tak znakomicie ich zabijał, i taki był przebiegły i mądry, że przyjechawszy do Francji, nakazał, by mu się wszyscy podporządkowali. I wszyscy uznali w nim władzę. Zrobiwszy się cesarzem, znowu poszedł zabijać ludzi we Włoszech, Austrii i Prusach. I tam dużo pozabijał. A w Rosji był cesarz Aleksander, który postanowił przywrócić porządek w Europie i dlatego wojował z Napoleonem. Ale w roku 1807 nagle zawarł z nim przyjaźń, a w 1811 znowu się rozeszli i znowu zaczęli zabijać dużo ludzi. Napoleon przywiódł do Rosji sześćset tysięcy żołnierzy i zawojował Moskwę, a później spieszenie uciekł z Moskwy i

⁴¹⁵ Mowa o rewolucji francuskiej. Carrier w Nantes wprowadził w czasie Terroru tzw. noyades (kary śmierci przez topienie), stosując je do osób podejrzanych o wrogość względem władz rewolucyjnych.

wtedy cesarz Aleksander za radą Steina⁴¹⁶ i innych zjednoczył Europę do pospolitego ruszenia przeciw burzycielowi pokoju. Wszyscy sojusznicy Napoleona zrobili się od razu jego wrogami i to pospolite ruszenie poszło przeciw Napoleonowi, który zebrał nowe siły. Sprzymierzeńcy zwyciężyli Napoleona, zajęli Paryż, zmusili Napoleona do zrzeczenia się tronu i zesłali go na wyspę Elbę, nie pozbawiając go tytułu cesarza i okazując mu wszelki szacunek, mimo że przed pięciu laty i w rok później wszyscy go uważali za zbrojnego zdrajcę. A panować zaczął Ludwik XVIII, z którego dotychczas Francuzi, i sprzymierzeńcy śmiali się tylko. Zaś Napoleon, lejąc łzy przed starą gwardią, zrzekł się tronu i pojechał na wygnanie. Potem doświadczeni mężowie stanu i dyplomaci (zwłaszcza Talleyrand, który zdążył wcześniej niż inni zająć miejsce w pewnym fotelu i tym rozszerzył granice Francji) rozmawiali w Wiedniu i uszczęśliwiali albo unieszczęśliwiali tymi rozmowami narody. Wtem dyplomaci i monarchowie omal się nie pokłócili i już gotowi byli rozkazać znowu swym wojskom zabijać się wzajemnie, ale tymczasem Napoleon z batalionem wojska przybył do Francji i Francuzi, nienawidzący go, natychmiast mu się podporządkowali. Ale sprzymierzeni monarchowie rozgniewali się o to i znowu ruszyli wojować z Francuzami. Genialnego Napoleona zwyciężyli i wywieźli na Wyspę Św. Heleny, nagle uznawszy go za zbrojnego zdrajcę. I tam wygnaniec, rozłączony z miłymi sercu ludźmi i z ukochaną przez niego Francją, umierał na skale powolną śmiercią i przekazał swe wielkie czyny potomnym⁴¹⁷. A w Europie zapanowała reakcja i wszyscy panujący zaczęli znowu krzywdzić swe ludy”.

Na próżno byście pomyśleli, że to drwina, karykatura opisów historycznych. Przeciwnie, to najbardziej delikatny wyraz tych sprzecznych odpowiedzi, które nie odpowiadają na pytania, a które daje nam cała historia, począwszy od autorów pamiętników i dziejów poszczególnych państw do historii powszechnej i nowego rodzaju historii kultury tego czasu.

Dziwaczność i komizm tych odpowiedzi wypływają z tego, że historia nowożytna podobna jest do głuchego człowieka, odpowiadającego na pytania, których nikt nie zadawał.

Jeżeli celem historii jest opisanie ruchu ludzkości i narodów, to niezbędna jest odpowiedź na pierwsze pytanie: jaka siła porusza narodami, inaczej wszystko inne będzie niezrozumiałe. Na to pytanie historia nowożytna z zakłopotaniem odpowiada albo to, że Napoleon był bardzo genialny, albo też, że Ludwik XIV był bardzo dumny, albo jeszcze to, że tacy to pisarze napisali takie to książki.

Wszystko to bardzo możliwe i ludzkość gotowa się z tym zgodzić; ale ona o to nie pyta. Wszystko to mogłoby być interesujące, gdybyśmy uznawali władzę boską ugruntowaną na samej sobie i zawsze jednakową, a rządzącą swymi narodami za pośrednictwem Napoleonów, Ludwików i pisarzy; ale władzy tej nie uznajemy i dlatego, zanim zacznie się mówić o Napoleonach, Ludwikach i pisarzach, trzeba ukazać istotny związek między tymi postaciami i ruchem narodów.

Jeżeli zamiast władzy boskiej nastąpiła inna siła, trzeba wyjaśnić, na czym polega ta nowa siła, bo właśnie w tej nowej sile zawiera się cała istota historii.

Historia jakby sądziła, że siła ta rozumie się sama przez się i wszystkim jest znana. A jednak mimo wszelkie wysiłki, by tę nową siłę przedstawić jako znaną, ten, kto przeczyta wiele dzieł historycznych, mimo woli zwątpi, aby ta nowa siła, tak różnie rozumiana przez samych historyków, była wszystkim całkowicie znana.

⁴¹⁶ Henryk Fryderyk Karol Stein (1757–1831) – minister pruski, wypędzony z Niemiec przez Napoleona, przebywał w Rosji w r. 1809–12; w r. 1814 był w Paryżu jako członek świty króla pruskiego i zabiegał o narzucenie Francji jak najsurowszych warunków pokojowych.

⁴¹⁷ Mowa o Memorial de Samte Helene Las Casy, czyli o zapiskach sekretarza Napoleona, prowadzonych w ciągu 18 miesięcy, dzień po dniu, z Napoleonem.

II

Jaka siła porusza narody?

Biografowie poszczególnych postaci i historycy poszczególnych narodów rozumieją tę siłę jako władzę właściwą bohaterom i władcom. Według ich opisów wydarzenia następują wyłącznie z woli Napoleonów, Aleksandrów albo w ogóle tych postaci, które opisuje taki historyk. Odpowiedzi, udzielane przez tego rodzaju historyków na pytanie, jaka siła kieruje wydarzeniami, zadowolają do czasu, dopóki istnieje jeden tylko historyk dla każdego wydarzenia. Ale gdy tylko historycy różnych narodowości i poglądów zaczynają opisywać to samo wydarzenie, odpowiedzi, dawane przez nich, natychmiast tracą wszelki sens, gdyż siłę tę każdy z nich rozumie nie tylko różnie, ale często zupełnie przeciwnie. Jeden historyk twierdzi, że pewne wydarzenie nastąpiło z woli Napoleona, drugi dowodzi, że z woli Aleksandra; trzeci – że z woli jakiejś trzeciej postaci. Prócz tego historycy tego rodzaju przeczą sobie wzajemnie nawet w przedstawianiu tej siły, na której się opiera władza tej samej osobistości. Thiers, bonapartyista, twierdzi, że władza Napoleona opierała się na jego cnotach i genialności. Lanfrey, republikanin, mówi, że opierała się na jego łotrystwie i na okłamywaniu ludu. Toteż historycy tego rodzaju, niszcząc wzajemnie zasady, niszczą przez to samo pojęcie siły tworzącej wydarzenia i nie dają żadnej odpowiedzi na istotne pytania historii.

Historycy zajmujący się dziejami wszystkich narodów odmawiają niby słuszności poglądom historyków poszczególnych narodów na siłę tworzącą wydarzenia. Nie uznają tej siły jako władzy właściwej bohaterom i władcom, lecz uważają ją za rezultat wielu sił różnorodnie skierowanych. Opisując wojnę albo podbicie narodu, badacz historii powszechnej poszukuje przyczyny wydarzenia nie we władzy jednej postaci, lecz we współdziałaniu wielu postaci związanych z wydarzeniem.

Według tego poglądu władza postaci historycznych będąc iloczynem wielu sił nie może już być, zdawałoby się, rozpatrywana jako siła sama przez się dokonująca wydarzeń. Tymczasem historycy dziejów powszechnych w większości wypadków używają pojęcia władzy znowu jako siły, która sama przez się tworzy wydarzenia i jest ich przyczyną. Według ich wywodów dana postać historyczna jest wytworem swego czasu, a jej władza jest tylko iloczynem różnych sił, władza jej jest siłą tworzącą wydarzenia. Gervinus, Schlosser, na przykład, i inni albo dowodzą, że Napoleon jest produktem rewolucji, idei 1789 roku itd., albo mówią wprost, że kampania 1812 roku i inne nie podobające się im wydarzenia są tylko rezultatem błędnie skierowanej woli Napoleona i że sam rozwój idei 1789 roku został wstrzymany w swym rozwoju przez samowolę Napoleona. Idee rewolucyjne i nastrój powszechny oddały władzę Napoleonowi. A on znowu zdławił idee rewolucyjne i nastrój powszechny.

Dziwna ta sprzeczność nie jest przypadkowa. Nie tylko spotyka się ją na każdym kroku, ale z logicznego ciągu takich sprzeczności zestawiono wszystkie opisy historyków dziejów powszechnych. Sprzeczność ta pochodzi stąd, że przystąpiwszy do analizy, historycy owi zatrzymują się w połowie drogi.

Ażeby składniki dawały wypadkową wiadomą albo równodziałającą, niezbędne jest, żeby suma składników równała się wynikowi wypadkowej. Tego to właśnie warunku historycy dziejów powszechnych nigdy nie uwzględniają i dlatego, żeby wyjaśnić siłę wypadkową, koniecznie muszą uznawać prócz niedostatecznych składników jeszcze nie wyjaśnioną siłę, działającą według linii wypadkowej.

Historyk jednego narodu, opisując kampanię 1813 roku albo powrót na tron Burbonów, mówi po prostu, że wydarzenia te powstały z woli Aleksandra. Ale historyk dziejów powszechnych, Gervinus, obalając ten pogląd stara się dowieść, że przyczyną kampanii roku 1813 i restauracji Burbonów były, prócz woli Aleksandra, działalność Steina, Metternicha, m-me de Stael, Talleyranda, Fichtego, Cha-teaubrianda i innych. Historyk widocznie rozłożył władzę Aleksandra na składniki: Talleyranda, Chateaubrianda itd., a suma tych składników, wzajemne oddziaływanie Chateaubrianda, Talleyranda, m-me Stael i innych, widocznie nie równa się całej sile wypadkowej, tj. temu zjawisku, że miliony Francuzów poddały się Burbonom. I dlatego, żeby wyjaśnić, jakim sposobem z tych składników wynikło ujarzmienie milionów ludzi, czyli jak z sił składników, równających się jednemu A, wypłynęła wypadkowa równa tysiącowi A, historyk znowu musi uznać tę samą siłę władzy, której przeczy, i uznać ją za rezultat sił, tj. musi uznać nieznaną siłę, działającą jako składnik. To samo robią historycy dziejów powszechnych. I wskutek tego przeczą nie tylko historykom poszczególnych narodów, lecz i sobie.

Mieszkańcy wsi, zależnie od tego, czy chcą deszczu, czy pogody, nie mając pojęcia o przyczynach deszczu, mówią:

„Wiatr rozpedził chmury”, i „Wiatr przygnał chmury”. Podobnie historycy dziejów powszechnych: niekiedy, gdy tego potrzebują, gdy to zgadza się z ich teorią, mówią, że władza to rezultat wydarzeń, a czasem, gdy chcą dowieść czego innego, mówią, że władza jest przyczyną wydarzeń.

Trzeci rodzaj historyków, nazywających się historykami kultury, idąc śladem historyków dziejów powszechnych, którzy uznają niekiedy pisarzy oraz damy za siły wywołujące wydarzenia, rozumieją tę siłę jeszcze inaczej. Widzą ją w tak zwanej kulturze, w działalności umysłowej.

Historycy kultury są zupełnie logiczni w stosunku do swych poprzedników – historyków dziejów powszechnych, bo jeśli wydarzenia historyczne można wyjaśniać przez to, że pewni ludzie tak a tak ustosunkowali się do siebie, to czemu by nie można wyjaśniać przyczyny wydarzeń przez to, że tacy to ludzie napisali takie to a takie książki? Historycy ci z całej ogromnej liczby oznak, towarzyszących wszelkiemu żywemu przejawowi, wybierają oznaki działalności umysłowej i mówią, że te symptomy są przyczyną wydarzeń historycznych. Ale mimo wszystkich ich wysiłków, by dowieść, że przyczyna wydarzeń wypływała z działalności umysłowej, tylko przy dużej ustepliwości można przyjąć, że między działalnością umysłową a ruchami narodów jest coś wspólnego, ale w żadnym wypadku nie można się zgodzić, że działalność umysłowa kieruje działalnością ludzi; gdyż takie zjawiska jak okrutne morderstwa rewolucji francuskiej, wypływające z propagandy równości ludzi, oraz najokrutniejsze wojny i rozstrzeliwania, wynikające z krzewienia miłości bliźniego, nie potwierdzają tego.

Ale przypuściwszy nawet, że słuszne są wszystkie chytrze splecione rozumowania, którymi przepelnione są te dzieła, przypuściwszy, że narodami rządzą jakieś nieokreślone siły, nazywane ideami, to i tak istotne zagadnienie historii albo zupełnie nie będzie rozwiązane, albo do dawnej władzy monarchów i do wprowadzonego przez historyków dziejów powszechnych wpływu doradców i innych postaci dodamy jeszcze nową siłę – siłę idei, której związek z masami wymaga jeszcze wyjaśnienia. Można zrozumieć, że Napoleon miał władzę i dlatego dokonywało

się jakieś wydarzenie; ale jakim sposobem książka *Contrat social*⁴¹⁸ dokonała tego, że Francuzi zaczęli jeden drugiego topić, nie można zrozumieć bez wyjaśnienia związku przyczynowego tej nowej siły z wydarzeniem.

Niewątpliwie istnieje związek między wszystkim, co żyje w jednym czasie, i stąd wynika możliwość znalezienia pewnego związku między działalnością umysłową ludzi a ich działalnością historyczną, podobnie jak można znaleźć związek między ruchem ludzkości i handlem, rzemiosłami, ogrodnictwem i czym tylko chcecie. Ale dlaczego działalność umysłowa ludzi wydaje się historykom kultury przyczyną albo wyrazem całego historycznego ruchu, trudno jest zrozumieć. Do takiego wniosku mogły historyków doprowadzić tylko następujące rozważania:

1) że historię piszą uczeni i dlatego jest dla nich naturalna i przyjemna myśl, że działalność ich warstwy jest podstawą ruchu całej ludzkości, tak samo jak naturalną i przyjemną wydawałaby się taka myśl kupcom, rolnikom, żołnierzom (nie mówi się o tym tylko dlatego, że kupcy i żołnierze nie piszą historii), i 2) że działalność umysłowa, oświata, cywilizacja, kultura, idea – wszystko to są pojęcia niejasne, nieokreślone, pod których osłoną bardzo łatwo można używać słów o znaczeniu jeszcze bardziej niejasnym i dlatego łatwych do zastosowania we wszelkich teoriach.

Ale nie mówiąc o wewnętrznej wartości tego rodzaju dzieł (może są one potrzebne dla kogoś i dla czegoś) o historii kultury, do których zaczynają się sprowadzać coraz bardziej wszystkie historie powszechne, odznaczające się tym, że szczegółowo i poważnie analizując różne religijne, filozoficzne, polityczne teorie jako przyczyny wydarzeń, za każdym razem, gdy tylko zaczynają opisywać jakieś rzeczywiste wydarzenie historyczne, jak na przykład kampanię 1812 roku, opisują ją mimowolnie jak twór władzy, mówiąc po prostu, że kampania ta jest rezultatem woli Napoleona. Mówiąc tak, historycy kultury mimowolnie sami sobie przeczą i dowodzą, że ta nowa siła, którą wymyślili, nie tłumaczy historycznych wydarzeń i że jedynym środkiem zrozumienia historii jest ta władza, której jakoby nie uznają.

⁴¹⁸ Umowa społeczna.

III

Jedzie parowóz. Pytanie: co go porusza? Chłop mówi:

„Diabeł go pędzi”. Drugi powiada, że parowóz posuwa się dlatego, że poruszają się w nim koła. Trzeci dowodzi, że przyczyną ruchu jest dym, unoszony przez wiatr.

Twierdzenie chłopca jest nie do obalenia. Żeby je obalić, trzeba, aby ktoś dowiódł mu, że diabła nie ma, albo żeby inny chłop wyjaśnił, że to nie diabeł, lecz Niemiec porusza parowóz. Dopiero wtedy przez te sprzeczności dostrzegą, że obaj nie mają racji. Ale ten, co mówi, że przyczyną jest ruch kół, zbije własne zdanie, gdyż zacząwszy analizować, musi to czynić coraz dalej, musi poznać przyczynę ruchu kół. I dopóki nie dojdzie do ostatniej przyczyny ruchu parowozu, tj. do sprężonej w kotle pary, nie będzie miał prawa zatrzymać się w poszukiwaniu przyczyny. Ten zaś, co wytłumaczył ruch parowozu unoszącym się dymem, prawdopodobnie postąpił tak: zauważywszy, że koła nie są przyczyną ruchu, wziął pierwszy lepszy objaw i podał go od siebie jako przyczynę.

Jedynym pojęciem, które może wytłumaczyć ruch parowozu, jest pojęcie siły równającej się sile ruchu.

Jedynym pojęciem, za pomocą którego może być wytłumaczony ruch narodów, jest pojęcie siły równającej się całkowitemu ruchowi narodów.

Tymczasem tym pojęciem różni historycy obejmują siły zupełnie odmienne i wcale nierówne widocznemu ruchowi. Jedni widzą w nim siłę bezpośrednio właściwą bohaterom, jak chłop – diabła w parowozie; inni – siłę pochodną z niektórych innych sił, jak ruch kół, jeszcze inni – wpływ umysłów, jak dym unoszony wiatrem.

Dopóty, dopóki pisze się dzieje poszczególnych władców – choćby to byli Cesarowie, Aleksandrzy albo Lutrzy i Wolterowie – a nie dzieje wszystkich bez wyjątku, wszystkich ludzi biorących udział w wydarzeniu, zupełnie nie można przedstawić ruchu ludzkości bez pojęcia siły zmuszającej ludzi, by kierowali swą działalność ku jednemu celowi. A jedyne takie znane historykom pojęcie – to władza.

Pojęcie to jest jedyną korbką, z której pomocą można panować nad materiałem historii w obecnym jej ujęciu, i ten, kto by odłamał tę korbkę, jak to uczynił Buckle, nie poznawszy innego sposobu użytkowania materiału historycznego, pozbawiłby się tylko ostatniej możliwości posługiwania się nim. Konieczności pojęcia władzy do wytłumaczenia zjawisk historycznych najlepiej dowodzą sami historycy dziejów powszechnych i historycy kultury, którzy odrzucają to pojęcie, a z konieczności stale się nim posługują.

W stosunku do zagadnień ludzkości dotychczasowa nauka historii upodabnia się do obiegu pieniędzy, do asygnat i brzęczącej monety. Biografie i historie poszczególnych narodów podobne są do asygnat. Mogą one być w obiegu, spełniając swe zadanie bez szkody dla kogokolwiek, a nawet z korzyścią, dopóty, dopóki nie powstaje pytanie: co gwarantuje ich wartość. Wystarczy tylko zapomnieć, w jaki sposób wola bohaterów dokonuje wydarzeń, a

historie Thiersów będą interesujące, pouczające, mając poza tym odcień poezji. Ale tak samo jak wątpliwość o rzeczywistej wartości papierków powstaje stąd, że je łatwo robić i można ich narobić dużo, albo stąd, że ludzie będą je chcieli wymienić na złoto – tak samo powstaje wątpliwość o rzeczywistym znaczeniu tego rodzaju dzieł historycznych: albo że ich powstaje zbyt dużo, albo że ktoś prostodusznie zapyta: „Jaką siłą dokonał tego Napoleon?”, czyli będzie chciał wymienić obiegowy papierek na czyste złoto rzeczywistego pojęcia.

A historycy dziejów powszechnych i historycy kultury podobni są do ludzi, którzy, uznawszy niedogodność asygnat, postanowiliby zamiast papierków robić brzęczącą monetę z metalu nie mającego ciężaru gatunkowego złota. Moneta rzeczywiście byłaby brzęcząca, ale tylko brzęcząca. Papierek mógł jeszcze okłamywać nieświadomych; moneta brzęcząca, lecz bez wartości, nie może oszukać nikogo. Tak jak złoto wtedy tylko jest złotem, gdy można go używać nie tylko do wymiany, lecz i do produkcji, tak samo historycy dziejów powszechnych tylko wtedy zostaną złotem, gdy będą mogli odpowiedzieć na istotne pytania historii: co to jest władza? Historycy dziejów powszechnych odpowiadają na to pytanie sprzecznie, a historycy kultury zupełnie je pomijają, odpowiadając na coś zupełnie innego. Jak żetony, podobne do złota, mogą być używane tylko w zespole ludzi zgadzających się uznawać je za złoto lub między tymi, którzy nie znają właściwości złota, podobnie historycy dziejów powszechnych i historycy kultury, nie odpowiadając na istotne pytania ludzkości, dla jakichś tam osobistych celów służą za obiegową monetę dla uniwersytetów i tłumu czytelników – amatorów poważnych książek – jak oni to nazywają.

IV

Wyzwoliwszy się z poglądów starożytnych o boskim podporządkowaniu woli narodu jednemu wybrańcowi i o podporządkowaniu tej woli bóstwu, historia nie może uczynić ani jednego kroku bez sprzeczności, jeżeli nie wybierze jednego z dwojga: albo powróci do dawnej wiary w bezpośredni udział bóstwa w sprawach ludzkich, albo ściśle wytłumaczy znaczenie siły, dokonującej wydarzeń historycznych, która nazywa się władzą.

Powrócić do pierwszego nie można: wiarę tę zburzono i dlatego koniecznie trzeba wyjaśnić znaczenie władzy.

Napoleon rozkazał zebrać wojska i iść na wojnę. Do takiego przedstawienia sprawy przywykliśmy tak bardzo, tak dalece zżyliśmy się z takim poglądem, że pytanie: dlaczego sześćset tysięcy ludzi idzie na wojnę, gdy Napoleon wyrzekł takie to a takie słowa, wydaje się nam bezmyślne. Miał władzę i dlatego zostało spełnione to, co rozkazał.

Odpowiedź taka zupełnie wystarcza, jeżeli wierzymy, że Bóg dał mu władzę. O ile jednak tego nie uznajemy, musimy określić, na czym polega władza jednego człowieka nad drugimi.

Władza nie może być tą bezpośrednią władzą płynącą z fizycznej przewagi istoty silnej nad słabą – przewagi opartej na użyciu lub na groźbie użycia siły fizycznej – jak władza Herkulesa, nie może też być oparta na przewadze siły moralnej, jak to prostodusznie sądzą niektórzy historycy, mówiąc, że postacie historyczne są bohaterami, tj. ludźmi obdarzonymi szczególną siłą duszy i rozumu, nazywaną genialnością. Władza ta nie może być oparta na przewadze siły moralnej, gdyż – nie mówiąc o ludziach-bohaterach, jak Napoleon, o zaletach moralnych, co do których zdania są podzielone – historia unaoczni nam, że ani Ludwikowie XI, ani Metternichowie, władający milionami ludzi, nie mieli żadnych szczególnych właściwości siły duchowej, lecz, przeciwnie, byli przeważnie słabsi moralnie niż każdy spośród milionów ludzi, którymi kierowali.

Jeżeli źródłem władzy nie są ani fizyczne, ani moralne właściwości władcy, to jest oczywiste, że źródło tej władzy znajduje się poza nim, znajduje się w tych stosunkach z masami, w których pozostaje władca.

Tak właśnie określa władzę nauka prawa – ów kantor wymiany historii, który obiecuje wymienić historyczne pojmowanie władzy na czyste złoto.

Władca jest skupieniem woli mas, przeniesionej wyrażoną lub milczącą zgodą na wybranych przez masy władców.

Wszystko to jest oczywiste w dziedzinie nauki prawa, powstałej z rozważań o tym, jak by trzeba było utworzyć państwo i władzę, jeżeliby je można utworzyć, ale w zastosowaniu do historii to określenie władzy wymaga wyjaśnień.

Nauka prawa bada państwo i władzę, tak jak starożytni badali ogień: jako coś absolutnie istniejącego. Dla historii zaś państwo i władza są zjawiskami, tak samo jak dla fizyki naszych

czasów ogień nie jest żywiołem, lecz zjawiskiem.

Z tej właśnie podstawowej różnicy zapatrywań historii i nauki prawa pochodzi to, że nauka prawa może odpowiedzieć szczegółowo, jak – według jej zdania – należałoby zorganizować władzę i co to jest władza, statycznie istniejąca poza czasem, ale na pytanie historii o znaczeniu władzy, której rodzaje zmieniają się w czasie, nauka prawa nic odpowiedzieć nie może.

Jeżeli władzą jest przeniesione na władcę skupienie woli mas, to czy Pugaczow jest przedstawicielem woli mas? Jeżeli nie jest, to dlaczego jest nim Napoleon I? Dlaczego Napoleon III, gdy go schwytano w Boulogne, był przestępcą, a potem zostali przestępcami ci, których on schwytał?⁴¹⁹

Czy w rewolucjach pałacowych, w których biorą udział niekiedy dwie, trzy osoby, wola mas również przechodzi na nową postać historyczną? Czy w stosunkach międzynarodowych przenosi się wola mas narodu na zaborcę? Czy w roku 1808 wola Związku Reńskiego⁴²⁰ przeniesiona została na Napoleona? Czy wola mas narodu rosyjskiego przeniesiona została na Napoleona w roku 1809, gdy nasze wojska w przymierzu z Francuzami szły na wojnę przeciw Austrii?

Na takie pytania można odpowiedzieć trojako:

Albo 1) uznać, że wola mas zawsze i bezwarunkowo przechodzi na tego lub na tych władców, którzy zostali przez nie wybrani, i że dlatego wszelkie powstanie nowej władzy, wszelka walka przeciw już przekazanej władzy winna być traktowana tylko jako naruszenie prawdziwej władzy.

Albo 2) uznać, że wola mas przechodzi na władców warunkowo, po czym pokazać, że wszystkie przeszkody, starcia, a nawet zniesienie władzy następują z powodu niedotrzymania przez władców tych warunków, na jakich przekazano im władzę.

Albo 3) uznać, że wola mas przechodzi na władców warunkowo, ale na warunkach nieznanych, nieokreślonych, i że powstanie wielu władz, walka między nimi i upadek następuje tylko z powodu mniej lub bardziej całkowitego spełnienia przez władców tych nieznanych warunków, za których pośrednictwem wola mas przenosi się z jednych władców na drugich.

Tak też trojako określają historycy stosunek mas do władców.

Jedni historycy nie rozumiejąc w prostocie ducha pytania o znaczenie władzy – ci właśnie historycy poszczególnych narodów i biografowie, o których była mowa wyżej – niby uznają, że skupiona wola mas przechodzi na osoby historyczne bezwarunkowo, i dlatego, opisując jakąkolwiek władzę, historycy ci sądzą, że ta władza jest jedyna, absolutna i prawdziwa, a każda inna siła, przeciwdziałająca tej prawdziwej władzy, nie jest władzą, lecz że jest to walka z władzą – gwałt.

Teoria ich, przydatna do pierwotnych, pokojowych okresów historii, w zastosowaniu do skomplikowanych i burzliwych okresów życia narodów, w których powstają jednocześnie i walczą ze sobą różne władze, ma tę wadę, że historyk toryk-legitymista będzie dowodził, że Konwent, Dyrektoriat i Bonaparte byli tylko naruszeniem władzy, a republikanin i bonapartysta będą twierdzili: pierwszy, że prawdziwą władzą był Konwent, a drugi – że cesarstwo, a wszystko pozostałe było łamaniem prawa. Oczywiście, że w taki sposób, przecząc sobie wzajemnie, historycy ci nie mogą dać wytłumaczenia władzy i to, co głoszą, nadaje się tylko dla najmłodszych dzieci.

Uznając błędność tego poglądu na historię, drugi rodzaj historyków mówi, że władza zbudowana jest na warunkowym przekazaniu władcom zbiorowej woli mas i że postaci

⁴¹⁹ Napoleon III przed wstąpieniem na tron jako księżę Ludwik Napoleon przebywał na wygnaniu. W r. 1840 wylądował wraz z garstką ludzi w Boulogne. Schwytany, został zamknięty w twierdzy Ham, skąd uciekł w r. 1846. W chwili wybuchu rewolucji 1848 r. wrócił do Francji. Uzyskawszy tytuł cesarski w r. 1852, tłumił ostro wszelkie ruchy opozycyjne.

⁴²⁰ Związek Reński powstał w lipcu 1808 r. Książęta niemieccy dostarczyli Napoleonowi przeszło 60000 żołnierzy.

historyczne mogą utrzymać władzę tylko pod warunkiem wykonywania programu, który za pomocą milczącej zgody poleciła im wola narodu. Ale na czym polega ten program, historycy ci nie mówią, albo jeżeli nawet mówią, to stale przeczą sobie wzajemnie.

Każdemu historykowi zależnie od jego poglądu na to, co stanowi cel ruchu narodów, przedstawia się ten program jako potęga, bogactwo, wolność, oświata dla obywateli Francji albo innego państwa. Ale nie mówiąc już o sprzeczności historyków co do tego, jaki to ma być program, przypuściwszy nawet, że istnieje jeden wspólny dla wszystkich program – fakty historyczne prawie zawsze przeczą tej teorii. Jeżeli warunki, na których przekazuje się władzę, polegają na bogactwie, wolności, oświacie narodu, to dlaczego Ludwikowie XIV i Iwanowie IV spokojnie kończą swe panowanie, a Ludwika XVI i Karola I narody skazują na śmierć? Na pytanie to historycy ci odpowiadają, że działalność Ludwika XIV, sprzeczna z programem, odbiła się na Ludwiku XVI. Ale dlaczego nie odbiła się na Ludwikach XIV i XV, dlaczego mianowicie powinna się była ona odbić na Ludwiku XVI? I w jakim terminie to odbicie następuje? Na to pytanie nie ma i nie może być odpowiedzi. Tak samo tłumaczy się przy tym poglądzie przyczynę tego, że łączna wola mas przez kilka stuleci nie przenosi się z władców na ich następców, a potem nagle w ciągu pięćdziesięciu lat przenosi się na Konwent, na Dyrektoriat, na Napoleona, na Aleksandra, na Ludwika XVIII, znowu na Napoleona, na Karola X, na Ludwika Filipa, na rząd republikański i na Napoleona III. Przy tłumaczeniu tych szybko następujących przenoszeń woli z jednej osoby na drugą, zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych, podbojach i przymierzach, historycy ci mimo woli muszą uznać, że część tych przejawów nie jest już prawidłowym przenoszeniem owej woli, lecz są to przypadki, zależne czy to od przebiegłości, czy to omyłki lub przewrotności albo słabości dyplomaty, monarchy lub przywódcy partii. Toteż przeważną część przejawów historii – walki wewnętrzne, rewolucje, podboje – ci historycy przedstawiają już nie jako skutki przenoszenia wolnej woli mas, lecz jako skutek błędnie skierowanej woli jednego albo kilku ludzi, tj. znowu jako łamanie władzy. I dlatego wydarzenia historyczne tego rodzaju historycy ci tłumaczą jako odchylenie od teorii.

Historycy ci podobni są do botanika, który zauważywszy, że niektóre rośliny wyrastają z nasienia jako dwulistne, dowodziłby, że wszystko, co rośnie, rośnie tylko rozdwarzając się na dwa liście i że palma i grzyb, a nawet dąb, rozgałęziając się w swym pełnym rozwoju i nie będąc już podobne do owej dwulistnej rośliny, są odstępstwem od teorii.

Trzecia grupa historyków uznaje, że wola mas przechodzi na postaci historyczne warunkowo, ale że warunki te są nam nie znane. Twierdzą, że postaci historyczne posiadają władzę tylko dlatego, że spełniają wolę mas, przeniesioną na nich.

Ale w takim razie, jeżeli siła wprawiająca w ruch narody nie spoczywa w postaciach historycznych, lecz w samych narodach, to na czym polega znaczenie tych historycznych postaci?

Postaci historyczne, mówią ci historycy, wyrażają sobą wolę mas, działalność postaci historycznych jest wyrazem działalności mas.

Ale w tym wypadku powstaje pytanie: czy cała działalność postaci historycznych jest wyrażeniem woli mas, czy tylko pewna jej część? Jeżeli wyrazem woli mas jest cała działalność postaci historycznych, jak właśnie myślą niektórzy, to biografie Napoleonów, Katarzyn, ze wszystkimi szczegółami dworskich plotek, są wyrazem życia narodów, co jest oczywistym nonsensem; skoro zaś tylko jedna strona działalności postaci historycznej stanowi wyraz życia narodów, jak to myślą inni rzekomi filozofowie-historycy, to żeby określić, jaka część działalności postaci historycznej wyraża życie narodu, trzeba wiedzieć przedtem, na czym polega życie narodu.

Natknąwszy się na tę trudność, historycy tego rodzaju wymyślają sobie najmętniejszą, najmniej uchwytą, uogólnioną abstrakcję, pod którą można podciągnąć największą liczbę wydarzeń, i mówią, że ta abstrakcja jest celem ruchu ludzkości. Najzwyczajniejszymi, przyjętymi przez wszystkich prawie historyków, ogólnymi abstrakcjami są: wolność, równość, oświata, postęp, cywilizacja, kultura. Postawiwszy jako cel dążeń ludzkości którąś z abstrakcji, historycy badają życie ludzi, którzy pozostawili po sobie największą ilość szczegółów biograficznych, a więc królów, ministrów, wodzów, twórców, reformatorów, papieży, dziennikarzy, w miarę tego, jak te wszystkie postacie, wedle ich zdania, współdziałały albo przeciwdziałały rozwojowi danego pojęcia abstrakcyjnego. Ponieważ niczym nie dowiedziono, że celem ludzkości jest wolność, równość, oświata albo cywilizacja, i ponieważ związek mas z władzami i reformatorami polega tylko na dowolnym przypuszczeniu, że zbiorowa wola mas zawsze przechodzi na osoby, które dostrzegamy, więc działalność milionów ludzi, przesiedlających się, podpalających domy, porzucających uprawę roli, niszczących się wzajemnie, nigdy się nie wyrazi w opisywaniu działalności dziesiątek osób, które nie podpalają domów, nie zajmują się rolnictwem, nie zabijają podobnych sobie ludzi.

Dowodzi tego historia na każdym kroku. Czy ferment narodów Zachodu w końcu ubiegłego wieku i dążenie ich na Wschód tłumaczy się działalnością Ludwików XIV, XV i XVI, ich kochanek i ministrów, życiem Napoleona, Rousseau, Diderota, Beaumarchais'go i innych?

Czy ruch narodu rosyjskiego na wschód, na Kazań i na Syberię, wyraża się w szczegółach chorobliwego charakteru Iwana IV i jego korespondencji z Kurbskim?

Czy studiowanie życia i czynów Gotfrydów, Ludwików i ich dam wyjaśni nam ruch narodów w czasie wypraw krzyżowych? Niezrozumiałe jest dla nas ruch narodów z Zachodu na Wschód bez żadnego celu, bez dowództwa, z tłumem włóczędów, z Piotrem Pustelnikiem na czele. A jeszcze bardziej niezrozumiałe jest, że ruch ten ustał wtedy, gdy postaci historyczne wyraźnie wskazywały rozumny, święty cel wypraw – wyzwolenie Jerozolimy. Papieże, królowie i rycerze pobudzali lud do wyzwolenia Ziemi Świętej; ale lud nie poszedł, dlatego że ta nieznana przyczyna, która go dawniej pobudzała do wyprawy, teraz już nie istniała. Historia Gotfrydów i minnesangerów, widocznie nie może zmieścić w sobie życia narodów. Historia Gotfrydów i minnesangerów pozostała historią Gotfrydów i minnesangerów, a historia życia narodów i jego pobudek pozostała nieznana.

Jeszcze mniej nam wyjaśni życie narodów historia pisarzy i reformatorów. Historia kultury wyjaśnia nam bodźce, warunki życia i myśli pisarzy i reformatorów. Dowiadujemy się, że Luter miał charakter wybuchowy i wygłaszał takie a takie mowy, dowiadujemy się, że Rousseau był nieufny i pisał takie a takie książki, ale się nie dowiadujemy, dlaczego po reformacji narody się wyrzynały i dlaczego w czasie rewolucji francuskiej ludzie skazywali na śmierć jeden drugiego.

Jeżeli połączymy obie te historie, jak to właśnie czynią najnowsi historycy, będzie to historia monarchów i pisarzy, lecz nie historia życia narodów.

V

Życie narodów nie mieści się w życiu kilku ludzi, gdyż nie odkryto związków między tymi kilkoma ludźmi a narodami. Teoria, że związek ten polega na przenoszeniu zbiorowej woli na postaci historyczne, jest hipotezą, której nie potwierdziły doświadczenia dziejowe. Teoria o przenoszeniu zbiorowej woli mas na postaci historyczne bardzo dużo może wyjaśniać w dziedzinie nauk prawnych i może jest niezbędna dla swych celów, ale w zastosowaniu do historii, gdy tylko mowa o rewolucjach, podbojach, walkach wewnętrznych, gdy tylko rozpoczynają się dzieje – teoria ta niczego nie wyjaśnia.

Teoria ta wydaje się nie do obalenia właśnie dlatego, że akt przenoszenia woli narodu nie może być sprawdzony.

Jakiegokolwiek by nastąpiło wydarzenie, ktokolwiek stałby na czele wydarzenia, teoria zawsze może powiedzieć, że owa postać stała na czele wydarzenia dlatego, że wola zbiorowości była na nią przeniesiona.

Odpowiedzi, które daje ta teoria na zagadnienia historyczne, podobne są do odpowiedzi człowieka, który patrząc na posuwające się stado i nie biorąc pod uwagę ani niejednakiej wartości pastwiska w różnych punktach pola, ani popędzania pastucha, szukałby przyczyny takiego lub innego kierunku ruchu stada według tego, jakie zwierzę idzie na przedzie stada.

„Stado idzie w tym kierunku dlatego, że prowadzi je zwierzę idące na przedzie, a zbiorowa wola wszystkich innych zwierząt przeszła na tego przewodnika stada”. Tak odpowiada pierwszy rodzaj historyków uznających bezwarunkowe przekazywanie władzy.

„Jeżeli zwierzęta idące na przedzie stada zmieniają się, pochodzi to stąd, że zbiorowa wola wszystkich zwierząt przechodzi z jednego przewodnika na drugiego, zależnie od tego, czy zwierzę-przewodnik prowadzi w tym kierunku, jaki wybrało całe stado”. Tak odpowiadają historycy uznający, że zbiorowa wola mas przechodzi na władców pod warunkami, które oni uważają za znane. (Przy takim sposobie obserwacji bardzo często bywa, że obserwator, stosując się do obranego przez siebie kierunku, uważa za przewodników tych, którzy z powodu zmiany kierunku mas nie idą już na przedzie, lecz z boku, a niekiedy z tyłu.)

„Jeżeli zwierzęta idące na czele zmieniają się nieustannie i nieustannie zmienia się kierunek całego stada, pochodzi to stąd, że chcąc osiągnąć ów kierunek, który znamy, zwierzęta przekazują swą wolę tym zwierzętom, które obserwujemy; i dlatego, ażeby studiować ruch stada, trzeba obserwować wszystkie widoczne nam zwierzęta idące ze wszystkich stron stada”. Tak mówią historycy trzeciej grupy, uznający za wyrazicieli swego czasu wszystkie postaci historyczne, zaczynając od monarchów, a kończąc na dziennikarzach.

Teoria przenoszenia woli mas na postaci historyczne jest tylko peryfrazą – tylko wyrażeniem słów pytania innymi słowami.

Co jest przyczyną historycznych wydarzeń? Władza.

Co to jest władza? Władza jest to zbiorowa wola przeniesiona na jedną osobę. W jakich

warunkach przechodzi wola mas na jedną osobę? W warunkach, gdy ta osoba wyraża wolę wszystkich ludzi. Znaczy to, że władza jest władzą. Znaczy to, że władza jest słowem, którego znaczenia nie rozumiemy.

Gdyby krąg wiedzy ludzkiej ograniczał się tylko do abstrakcyjnego myślenia, to poddawszy krytyce pojęcie władzy, jakie daje nauka, ludzkość doszłaby do wniosku, że władza jest tylko słowem i że w rzeczywistości nie istnieje. Ale do poznawania zjawisk, prócz abstrakcyjnego myślenia, człowiek posiada narzędzie w postaci doświadczenia, którym sprawdza rezultaty myślenia. A doświadczenie mówi, że władza to nie słowo, lecz rzeczywistość, zjawisko istniejące.

Nie mówiąc o tym, że bez pojęcia władzy nie może się obejść ani jeden spis zbiorowej działalności ludzkiej, istnienia władzy dowodzi i historia, i obserwacja współczesnych wydarzeń.

Gdy się dokonywa jakieś wydarzenie, zjawia się zawsze człowiek albo zjawiają się ludzie, z których woli wydarzenie zostaje dokonane. Napoleon III postanawia – i Francuzi wyruszają do Meksyku. Król pruski i Bismarck postanawiają – i wojska wyruszają do Czech. Napoleon I rozkazuje i wojska wyruszają na Rosję. Aleksander I rozkazuje i Francuzi korzą się przed Burbonami. Doświadczenie wykazuje, że jakiegokolwiek by się dokonywało wydarzenie, zawsze związane jest ono z wolą jednego lub kilku ludzi, którzy je nakazali.

Historycy, którzy starym zwyczajem uznają udział Boga w sprawach ludzkich, chcą widzieć przyczynę wydarzenia w przejawie woli osoby obdarzonej władzą, ale wniosku tego nie potwierdza ani rozumowanie, ani doświadczenie.

Z jednej strony rozumowanie wykazuje, że przejaw woli człowieka – jego słowa – są tylko częścią ogólnej działalności wyrażającej się w wydarzeniu, jak na przykład w wojnie lub rewolucji, i dlatego bez uznania niepojętej, nadprzyrodzonej siły – cudu – nie można przyjąć, że słowa mogą być bezpośrednią przyczyną ruchu milionów ludzi, z drugiej strony, jeżeli się nawet przypuści, że słowa mogą być przyczyną wydarzenia, to historia wykazuje, iż przejaw woli postaci historycznych w większości wypadków nie wywołuje żadnego działania, tj. że ich rozkazy często nie tylko nie są wykonywane, ale że niekiedy następuje nawet przeciwieństwo tego, co chciał rozkaz.

Nie uznając boskiej interwencji w sprawy ludzkie, nie możemy uważać władzy za przyczynę wydarzeń.

Ze stanowiska doświadczenia władza jest tylko zależnością między przejawem woli jednostki i spełnieniem jej przez innych ludzi.

Dlatego, żeby sobie wyjaśnić warunki tej zależności, powinniśmy przede wszystkim zrekonstruować pojęcie wyrażania woli w odniesieniu do człowieka, a nie bóstwa.

Jeżeli bóstwo wydaje rozkaz, wyraża tym swą wolę, jak nam mówi historia narodów starożytnych, to przejaw tej woli nie zależy od czasu i niczym nie został wywołany, gdyż bóstwo nie jest niczym związane z wydarzeniem. Ale, mówiąc o rozkazach – wyrazie woli ludzi działających w określonym czasie i powiązanych ze sobą – i chcąc sobie wyjaśnić związek rozkazów z wydarzeniami, powinniśmy ustalić: 1) warunek wszystkiego, co się dokonywa: ciągłość ruchu w czasie zarówno wydarzeń, jak rozkazującej osoby i 2) warunek konieczności związku między jednostką rozkazującą i ludźmi, którzy wykonują rozkazy.

VI

Tylko przejaw woli bóstwa, niezależny od czasu, może się odnosić do szeregu wydarzeń, które się mają dokonać w ciągu kilku lat lub stuleci, i tylko bóstwo bez jakiegokolwiek powodu, z własnej woli może określić kierunek ruchu ludzkości; człowiek natomiast działa w czasie i sam bierze udział w wydarzeniu.

Wprowadzając pierwszy pominięty warunek – warunek czasu – zobaczymy, że żaden rozkaz nie może być wykonany bez tego, żeby nie było rozkazu poprzedzającego, który umożliwia wykonanie następnego.

Nigdy żaden rozkaz nie zjawia się samoistnie, nie łączy w sobie szeregu wydarzeń; każdy rozkaz wypływa z innego i nigdy nie odnosi się do szeregu wydarzeń, lecz zawsze tylko do jednego momentu wydarzenia.

Gdy mówimy na przykład, że Napoleon rozkazał wojskom iść na wojnę, łączymy w jeden jednocześnie wyrażony rozkaz szereg logicznych rozkazów, wzajemnie od siebie zależnych. Napoleon nie mógł nakazać wyprawy na Rosję i nigdy takiego nakazu nie dawał. Rozkazał jednak napisać dzisiaj pewne listy do Wiednia, do Berlina i do Petersburga; jutro – pewne dekryty i rozkazy do armii, marynarki, intendencji itd., itd. – miliony rozkazów, z których powstał szereg rozkazów odpowiadający szeregowi wydarzeń, które przywiodły wojska francuskie do Rosji.

Jeżeli Napoleon w ciągu całego swego panowania wydaje rozkazy dotyczące wyprawy na Anglię i na żadne ze swych innych przedsięwzięć nie traci tyle wysiłków i tyle czasu, a mimo to w ciągu całego panowania nie próbuje nawet ani razu spełnić swego zamiaru, lecz organizuje wyprawę na Rosję, z którą – według niejednokrotnie wypowiedzanego przekonania – uważa za korzystne być w sojuszu, to dzieje się tak dlatego, że pierwsze rozkazy nie odpowiadały, a drugie odpowiadały szeregowi wydarzeń.

Dlatego, żeby rozkaz na pewno wykonano, trzeba, żeby człowiek wydał taki rozkaz, który mógłby być wykonany. Nie sposób zaś wiedzieć, co można, a czego nie można wykonać, i to nie tylko gdy myślimy o napoleońskiej wyprawie na Rosję, w której brały udział miliony ludzi, ale nawet gdy idzie o najprostsze wydarzenie, gdyż przy wykonywaniu tego i owego zawsze można się spotkać z milionami przeszkód. Na każdy wykonany rozkaz zawsze przypada mnóstwo nie wykonanych. Wszystkie rozkazy niemożliwe do wykonania pozostają bez związku z danym wydarzeniem i nie bywają wykonane. Tylko te, które są możliwe do wykonania, wiążą się w logiczne szeregi rozkazów odpowiadających szeregom wydarzeń, i te bywają wykonane.

Błędne nasze wyobrażenie, że rozkaz poprzedzający wydarzenie jest przyczyną wydarzenia, pochodzi stąd, że kiedy się wydarzenie dokonało i kiedy z tysięcy rozkazów wykonano tylko te, które się wiązały z wydarzeniami, zapominamy o tych, które i nie mogły być wykonane, i nie zostały wykonane. Prócz tego główna przyczyna naszych błędów w tym względzie tkwi w tym, że w przedstawieniu historycznym szereg niezliczonych różnorodnych, najdrobniejszych

wydarzeń, jak na przykład to wszystko, co przywiodło wojska francuskie do Rosji, uogólnia się w jednym wydarzeniu, według wyniku, który powstał z tego szeregu wydarzeń; i odpowiednio do tego uogólnienia uogólnia się szereg rozkazów w jednym wyrazie woli.

Mówimy: Napoleon chciał i dokonał wyprawy na Rosję. W rzeczywistości zaś nigdy nie znajdziemy w całej działalności Napoleona nic, co by było podobne do wyrażenia tej woli, ale zobaczymy szereg rozkazów albo wyrazów jego woli, skierowanych w sposób najbardziej różnorodny i nieokreślony. Z niezliczonego mnóstwa nie wykonanych rozkazów Napoleona zestawiono wiele wykonanych rozkazów kampanii 1812 roku nie dlatego, by te rozkazy różniły się czymkolwiek od innych, nie wykonanych, lecz dlatego, że wiele tych rozkazów odpowiadało wydarzeniom, które przywiodły wojska francuskie do Rosji; zupełnie tak samo jak przy używaniu szablonu powstaje taka czy inna odbitka nie dlatego, że w określonym kierunku, określonym sposobem nacieramy szablon farbą, lecz dlatego, że nacieramy go ze wszystkich stron.

Tak więc rozpatrując w czasie stosunek rozkazów do wydarzeń, widzimy, że rozkaz w żadnym wypadku nie może być przyczyną wydarzenia, lecz że między jednym a drugim istnieje pewna określona zależność.

Dlatego, żeby zrozumieć, na czym polega ta zależność, konieczne jest przywrócenie drugiego pominiętego warunku wszelkiego rozkazu, pochodzącego nie od bóstwa, lecz od człowieka, i polegającego na tym, że człowiek rozkazujący również bierze udział w wydarzeniu. Ów stosunek rozkazującego do tych, którym rozkazuje, jest właśnie tym, co się nazywa władzą. Stosunek ten polega na tym:

Dla wspólnego działania ludzie łączą się zawsze w pewne zespoły, w których mimo różnicy celu, jaki się stawia owemu wspólnemu działaniu, stosunki między ludźmi biorącymi udział w działaniu zawsze bywają jednakowe.

Łącząc się w owe zespoły, ludzie zawsze pozostają między sobą w takim stosunku, że bardzo wielka ilość ludzi bierze bardzo wielki udział bezpośredni, a bardzo mała ilość ludzi – bardzo mały udział bezpośredni w tym wspólnym działaniu, dla którego się zespoleli.

Ze wszystkich tych zespołów, jakie ludzie tworzą dla dokonania wspólnych działań jednym z najbardziej ścisłych i określonych jest wojsko.

Każde wojsko składa się z najniższych rangą członków – szeregowców, których zawsze jest najwięcej, z kolejnych w wojskowej organizacji, wyższych rangą – kaprali, podoficerów, których jest mniej niż pierwszych; jeszcze wyższych – których jest jeszcze mniej, itd. aż do najwyższej władzy wojskowej, która się skupia w jednej osobie.

Organizacja wojskowa może być przedstawiona zupełnie ściśle za pomocą stożka, którego podstawę mającą największą średnicę stanowią szeregowcy, przekroje równoległe do podstawy – to wyższe rangi armii, itd. aż do wierzchołka stożka, który jako punkt najwyższy przedstawia wodza.

Żołnierze, których jest najwięcej, stanowią najniższe punkty stożka i są jego podstawą. Żołnierz sam bezpośrednio kłuje, rżnie, pali, rabuje i zawsze do wykonania tych czynów otrzymuje rozkazy od osób wyżej stojących, sam nie rozkazuje nigdy. Podoficer (ilość podoficerów jest mniejsza) rzadziej niż żołnierz działa bezpośrednio, ale już rozkazuje. Oficer jeszcze rzadziej działa bezpośrednio i jeszcze częściej rozkazuje. Generał już tylko daje rozkaz do marszu, wskazuje cel i prawie nigdy nie używa broni. Wódz zaś nigdy nie może brać bezpośredniego udziału w walce i wydaje tylko ogólne zarządzenia o ruchu mas. Taki sam stosunek ludzi między sobą panuje we wszelkim zespole ludzi, których celem jest wspólna działalność – w rolnictwie, handlu i w ogóle w kierowaniu ludźmi.

A więc nie dzieląc sztucznie wszystkich zbiegających się punktów stożka – rang w armii albo

tytułów i stanowisk w jakimkolwiek zarządzie czy przedsiębiorstwie, od najniższych do najwyższych, spostrzegamy, że istnieje prawo, według którego ludzie dla dokonania wspólnych działań łączą się zawsze ze sobą w takim stosunku, że im bardziej bezpośrednio biorą udział w działaniu, tym mniej mogą rozkazywać i tym większa jest ich liczba; i że im mniejszy jest bezpośredni udział ludzi w działaniu, tym częściej rozkazują i tym jest ich mniej; w ten sposób wznosimy się od najniższych warstw do jednego, ostatniego człowieka, biorącego najmniej bezpośredni udział w wydarzeniu i bardziej niż wszyscy obracającego swe działanie na wydawanie rozkazów.

Ów właśnie stosunek osób rozkazujących do tych, którym rozkazują, stanowi pojęcie nazywane władzą.

Rekonstruując warunki czasu, w którym powstają wydarzenia, widzimy, że rozkaz bywa wykonywany tylko wtedy, gdy się odnosi do odpowiedniego szeregu wydarzeń. Włączając zaś niezbędny warunek związku między rozkazodawcą i wykonawcą, dochodzimy do wniosku, że – choćby ze względu na swe właściwości – rozkazodawcy biorą najmniejszy udział w samym wydarzeniu i że działalność ich skierowana jest wyłącznie na wydawanie rozkazów.

VII

Gdy dokonywa się jakieś wydarzenie, ludzie wyrażają swe opinie i swe pragnienia związane z wydarzeniem, a ponieważ wydarzenie wypływa ze wspólnego działania wielu ludzi, więc jedna z wyrażonych opinii lub jedno z pragnień bezwarunkowo się spełnia, chociażby w przybliżeniu. Gdy jedna z wyrażonych opinii spełni się, opinia ta wiąże się w naszym umyśle z wydarzeniem jako poprzedzający je rozkaz.

Ludzie niosą belkę. Każdy wypowiada swój pogląd na to, jak i dokąd ją nieść. Przynoszą belkę i okazuje się, że zrobiono to tak, jak jeden z nich orzekł. On rozkazał. Oto rozkaz i władza w swej pierwotnej postaci.

Ten, co bardziej przykładął ręce, mógł mniej myśleć o tym, co robi, wyobrazić sobie, co może wyniknąć ze wspólnego działania, i mniej rozkazywać. Ten, co więcej rozkazywał, na skutek swego działania mową mógł mniej dziać rękami. W większym zbiorowisku ludzi skierowujących swe działania do jednego celu, jeszcze wyraźniej wyodrębnia się kategoria ludzi, którzy tym mniej bezpośredniego udziału biorą we wspólnym działaniu, im bardziej działanie ich jest skierowane na wydawanie rozkazów.

Gdy człowiek działa sam, zawsze ma w sobie pewien zasób wyobrażeń, które, jak mu się wydaje, kierowały jego poprzednim działaniem, służą jako uzasadnienie jego obecnego działania i kierują jego przypuszczeniami o tym, jak postąpi w przyszłości. Ściśle tak samo postępują zespoły ludzi, pozostawiając tym, którzy nie biorą udziału w działaniu, obmyślanie, usprawiedliwianie i przewidywanie ich wspólnego działania.

Ze znanych czy nie znanych nam przyczyn Francuzi zaczynają nawzajem topić się i zarzynać. Temu zjawisku odpowiada i towarzyszy uzasadnienie owego zjawiska, wyrażające się w woli i poglądach ludzi, że jest to niezbędne dla dobra Francji, dla wolności, dla braterstwa. Ludzie przestają się wzajemnie zabijać i wydarzeniu temu towarzyszy uzasadnienie, iż niezbędna jest jednolita władza i że trzeba stawić opór Europie itd. Ludzie idą z Zachodu na Wschód, zabijając podobnych sobie, i wydarzeniu temu towarzyszą słowa o chwale Francji, o nikczemności Anglii itd. Historia wykazuje nam, że te uzasadnienia wydarzeń nie mają żadnego ogólnego sensu, pęczą same sobie, jak np. zabicie człowieka na skutek uznania jego praw i mordowanie milionów ludzi w Rosji – dla poniżenia Anglii. Ale uzasadnienia te w sensie współczesnym mają niezbędne znaczenie.

Uzasadnienia te zdejmują odpowiedzialność moralną z ludzi tworzących wydarzenia. Takie tymczasowe cele podobne są do szczotek sunących dla oczyszczenia szyn na przedzie pociągu, oczyszczają one drogę moralnej odpowiedzialności ludzi. Bez takich uzasadnień nie można by odpowiedzieć na najprostsze pytanie, stawiane przy rozpatrywaniu niu każdego wydarzenia: dlaczego miliony ludzi dopuszczają się zbiorowych przestępstw, wojny, morderstwa itd.?

Czy przy istniejących złożonych formach państwowego i społecznego życia w Europie można sobie wyobrazić jakiegokolwiek wydarzenie, które nie byłoby zalecone, wskazane i nakazane przez królów, ministrów, parlamenty, gazety? Czyż jest jakiegokolwiek zbiorowe działanie, które nie znalazłoby uzasadnienia w zachowaniu całości państwa, w patriotyzmie, w równowadze Europy, w cywilizacji? Toteż wszelkie dokonujące się wydarzenie bezwzględnie zgadza się z jakimś wyrażonym pragnieniem i otrzymując uzasadnienie przedstawia się jako produkt woli jednego albo kilku ludzi.

W jakąkolwiek stronę skierowałby się płynący okręt, zawsze przed nim będzie widoczna bruzda rozcinanych fal. Dla ludzi, znajdujących się na okręcie, ruch tej bruzdy będzie jedynym widocznym ruchem.

Tylko obserwując z bliska, chwila po chwili, ruch tej bruzdy i porównując ten ruch z ruchem okrętu, przekonujemy się, że każdy moment ruchu bruzdy jest określony ruchem okrętu i że wprowadziło nas w błąd to, że nie widzimy, iż sami jesteśmy w ruchu.

To samo zobaczymy śledząc, chwila po chwili, posunięcie postaci historycznych (tj. uwzględniając niezbędny warunek wszystkiego, co się dokonywa – warunek nieustannego ruchu w czasie) i nie tracąc z oczu niezbędnego związku postaci historycznych z masami.

Kiedy okręt płynie w jednym kierunku – to przed nim znajduje się tylko jedna bruzda, gdy często zmienia kierunek – często też zmieniają się biegnące przed nim bruzdy, dokąd by jednak się zwrócił – zawsze przed nim utworzy się bruzda, poprzedzająca jego ruch.

Cokolwiek by się działo, zawsze okaże się, że to właśnie było przewidziane i nakazane. Dokądkolwiek kierowałby się okręt, bruzda – nie kierując nim, nie wzmagając jego ruchu – bulgocze na jego przedzie i będzie się nam wydawać daleka, że bruzda nie tylko tworzy się dowolnie, ale i kieruje ruchem okrętu.

Rozpatrując te tylko przejawy woli postaci historycznych, które odnosiły się do wydarzeń jako rozkazy, historycy sądzili, że wydarzenia są zależne od rozkazów. Rozpatrując zaś wydarzenia i ów związek z masami, w którym pozostają postaci historyczne, stwierdziliśmy, że postaci historyczne i ich rozkazy pozostają w zależności od wydarzeń. Jako niewątpliwy dowód słuszności tego twierdzenia może służyć to, że ile by rozkazów było, wydarzenie nie nastąpi, jeżeli nie będą działały inne przyczyny, ale gdy tylko wydarzenie się dokona – jakiegokolwiek by było – to w liczbie wszystkich nieustannie przejawianych woli rozmaitych postaci znajdą się takie, które zgodnie z ich znaczeniem i czasem, w jakim były przejawiane, będą się odnosić do wydarzenia jak rozkazy.

Doszedłszy do tego wniosku, możemy wprost i pozytywnie odpowiedzieć na dwa istotne pytania historii:

Co to jest władza?

Jaka siła powoduje ruchy narodów?

Władza jest to taki stosunek określonej jednostki do innych jednostek, w którym owa jednostka bierze tym mniejszy udział w działaniu, im więcej wypowiada opinii, przypuszczeń i uzasadnień dokonywającego się zbiorowego działania.

Ruch narodów powoduje nie władza, nie działalność umysłowa, nawet nie połączenie obu razem, jak myśleli historycy, ale działanie wszystkich ludzi biorących udział w wydarzeniu i łączących się zawsze tak, iż ci, którzy biorą największy bezpośredni udział w wydarzeniu, biorą na siebie najmniej odpowiedzialności, i na odwrót.

W moralnym sensie przyczyną wydarzenia jest władza, w sensie fizycznym – ci, którzy poddają się władzy. Ale ponieważ działalność moralna jest nie do pomyślenia bez fizycznej, więc przyczyną wydarzenia nie będzie ani władza, ani ludzie jej podlegli, lecz oba te czynniki razem.

Czyli innymi słowami: do zjawiska, które rozpatrujemy, nie można zastosować pojęcia przyczyny.

W ostatecznej analizie dochodzimy do kręgu wieczności, do tego skrajnego punktu, do którego dochodzi rozum ludzki we wszelkiej dziedzinie myślenia, gdy nie igra się dowolnie przedmiotem rozważań. Elektryczność wytwarza ciepło – ciepło wytwarza elektryczność. Atomy się przyciągają atomy się odpychają.

Mówiąc o najprostszym oddziaływaniu ciepła i elektryczności i o atomach, nie możemy powiedzieć, dlaczego odbywa się to działanie i mówimy, że tak jest dlatego, iż inaczej być nie może, dlatego że taka jest właściwość zjawisk takie są ich prawa. To samo możemy powiedzieć o zjawiskach historycznych. Dlaczego wybuchają wojny i rewolucje? Nie wiemy, wiemy tylko, że dla dokonania tego czy innego działania ludzie łączą się w pewne grupy, w których wszyscy biorą udział, mówimy wtedy, że tak jest, że taka jest natura ludzka, że takie jest prawo.

VIII

Gdyby historia zajmowała się zjawiskami zewnętrznymi, wystarczyłoby to proste i oczywiste prawo i moglibyśmy skończyć nasze rozumowanie. Ale prawo historii dotyczy człowieka. Częstka materii nie może nam powiedzieć, że zupełnie nie odczuwa potrzeby przyciągania i odpychania i że to nieprawda, by te zjawiska miały miejsce, człowiek tymczasem, który jest przedmiotem historii, mówi po prostu: jestem wolny i dlatego nie podlegam prawom.

Obecność choć i nie wypowiedzianego zagadnienia wolnej woli człowieka wyczuwa się w historii na każdym kroku.

Wszyscy poważnie myślący historycy mimowolnie dochodzili do tego zagadnienia. Wszystkie sprzeczności, niejasności historii, owa błędna droga, którą kroczy nauka, polegają tylko na nierozwiązaniu tego zagadnienia.

Jeżeli każdy człowiek ma wolną wolę, tj. może postępować, jak mu się podoba, to cała historia jest mnóstwem przypadków bez związku.

Jeżeli spośród milionów ludzi choć jeden człowiek w tysiącleciu mógł postępować dowolnie, tj. tak, jak by mu się zachciało, to oczywiste, że jeden swobodny postępek tego człowieka, sprzeczny z prawami, unicestwia możliwość istnienia jakichkolwiek praw dla całej ludzkości.

Jeżeli zaś jest choć jedno prawo rządzące działaniami ludzi, to nie może istnieć wolna wola, gdyż wola ludzi musi podlegać temu prawu.

W tej sprzeczności zawiera się zagadnienie wolnej woli, od najdawniejszych czasów zajmujące największe umysły ludzkości i od najdawniejszych czasów postawione w całym swym ogromnym znaczeniu.

Zagadnienie polega na tym, że patrząc na człowieka jako na przedmiot obserwacji z jakiegokolwiek punktu widzenia – teologii, historii, etyki, filozofii – dostrzegamy ogólne prawo konieczności, któremu człowiek podlega tak samo jak wszystko, co istnieje. Patrząc zaś na niego od wewnątrz siebie, jak na to, co sobie uświadamiamy, czujemy się wolni.

Świadomość jest to zupełnie samoistne i niezależne od rozumu źródło poznania samego siebie. Przy pomocy rozumu człowiek sam siebie obserwuje: ale poznaje siebie tylko przez świadomość.

Bez świadomości siebie samego jest nie do pomyślenia jakakolwiek obserwacja i zastosowanie rozumu.

Ażeby rozumieć, obserwować, wnioskować, człowiek musi przede wszystkim czuć, że żyje. A człowiek, który żyje, zna siebie tylko jako ten, który chce, czyli jako świadomy swojej woli. Swoją zaś wolę, która stanowi istotę jego życia, człowiek uświadamia sobie, i nie może uświadomić jej sobie inaczej, tylko jako wolną.

Jeżeli poddając się własnej obserwacji, człowiek widzi, że wola jego kieruje się zawsze według tego samego prawa czy obserwuje konieczność przyjmowania pożywienia, czy działalność mózgu, czy jakakolwiek inną, wówczas nie może rozumieć owego zawsze

jednakiemu kierunkowi swej woli inaczej niż jako jej ograniczenie. To, co nie byłoby wolne, nie mogłoby być ograniczone. Wola wydaje się człowiekowi ograniczona właśnie dlatego, że człowiek uświadamia ją sobie nie inaczej niż jako wolną.

Mówicie: nie jestem wolny. A ja podniosłem i opuściłem rękę. Każdy rozumie, że ta nielogiczna odpowiedź jest niezbitym dowodem wolności.

Odpowiedź ta jest przejawem świadomości nie podlegającej rozumowi.

Jeżeliby świadomość wolności nie była odrębnym i niezależnym od rozumu źródłem poznania siebie samego, podlegałaby rozumowaniu i doświadczeniu; ale w rzeczywistości taka zależność nigdy nie istnieje i jest nie do pomyślenia.

Szereg doświadczeń i refleksji dowodzi każdemu człowiekowi, że jako przedmiot obserwacji podlega on znanym prawom i że człowiek poddaje się im i nigdy nie walczy z uznanym już przez niego prawem ciężenia albo nieprzenikalności ciała. Ale ten sam szereg doświadczeń i rozumowań dowodzi mu, że zupełna wolność, którą człowiek sobie uświadamia, jest niemożliwa, że wszelki jego czyn zależy od jego organizmu, od jego charakteru i działających na niego motywów, ale człowiek nie podda się nigdy wnioskowi wynikającemu z tych doświadczeń i rozmyślań.

Dowiedziawszy się z doświadczenia i refleksji, że kamień spada, człowiek wierzy w to niewątpliwie i oczekuje działania uznanego prawa we wszystkich wypadkach.

Ale poznawszy również niewątpliwie, że wola jego podlega prawom, nie wierzy w to i nie może wierzyć.

Bez względu na to, ile razy doświadczenie i rozumowanie wskazywałoby człowiekowi, że w takich samych warunkach, mając taki sam charakter, zrobił to samo co dawniej, człowiek przystępując tysiącny raz w takich samych warunkach, mając ten sam charakter, do działania, które zawsze kończyło się w jeden i ten sam sposób, niewątpliwie czuje się tak samo pewny, że może postępować, jak mu się podoba, jak był tego pewny przed doświadczeniem. Każdy człowiek, dziki czy filozof, chociażby rozumowanie i doświadczenie dowodziły mu nieodparcie, że niepodobna sobie wyobrazić dwóch odmiennych postępów w jednych i tych samych warunkach, czuje, że bez tego bezmyślnego wyobrażenia (stanowiącego istotę wolności) nie mógłby sobie wyobrazić życia. Czuje, że choćby to było niemożliwe – jednak tak jest, gdyż bez tego wyobrażenia wolności nie tylko nie rozumiałby życia, ale nie mógłby żyć nawet chwili.

Nie mógłby żyć dlatego, że wszystkie dążenia ludzi, wszystkie impulsy do życia są tylko dążeniem do powiększenia wolności. Bogactwo – ubóstwo, sława – pozostawanie nieznanym, władza – zależność, siła – słabość, zdrowie – choroba, wykształcenie – nieuctwo, praca – wywczas, sytość – głód, cnota – występki są tylko większym lub mniejszym stopniem wolności.

Nie można inaczej sobie wyobrazić człowieka nie mającego wolności niż jako pozbawionego życia.

Jeżeli pojęcie o wolności przedstawia się rozumowi taką samą bezmyślną sprzecznością, jak możliwość dokonywania dwóch odmiennych postępów w jednych i tych samych warunkach albo jako działanie bez przyczyny, to dowodzi to tylko tego, że świadomość nie podlega rozumowi.

Ta właśnie niewzruszona, nie do obalenia, nie podlegająca doświadczeniu ani rozumowaniu świadomość wolności, uznawana przez wszystkich myślicieli i odczuwana przez wszystkich ludzi bez wyjątku, świadomość, bez której nie do pomyślenia jest żadne wyobrażenie o człowieku, stanowi drugą stronę zagadnienia.

Człowiek jest tworem wszechmocnego, dobrego i wszechwiedzącego Boga. Czymże więc jest grzech, którego pojęcie wypływa z uświadomienia sobie wolności przez człowieka? Oto

zagadnienie teologii.

Działania ludzi podlegają ogólnym, niezmiennym prawom, wyrażanym przez statystykę. Na czym więc polega odpowiedzialność człowieka przed społeczeństwem, odpowiedzialność, której pojęcie wypływa z uświadomienia sobie wolności? Oto zagadnienie prawa.

Postępki człowieka wypływają z jego wrodzonego charakteru i motywów działających na niego. Czym jest sumienie i pojęcie dobrych i złych postępów, wpływających z uświadomienia sobie wolności? Oto zagadnienie etyki.

Człowiek związany z ogólnym życiem ludzkości czuje się podległy prawom określającym to życie. Ale ten sam człowiek, niezależnie od tego związku, czuje się wolny. Jak należy rozpatrywać przeszłość narodów i ludzkości – jako wytwór wolnego czy niewolnego działania ludzi? Oto zagadnienie historii.

Tylko w naszych przesadnie pewnych sobie czasach popularyzacji wiedzy, dzięki najmocniejszej broni ciemnoty – rozpowszechnieniu druku książek, zagadnienie wolności woli sprowadzono na taki grunt, na którym nawet samo zagadnienie nie może istnieć. W naszych czasach większość tak zwanych przodujących ludzi, tj. tłum nieuków, uznała prace przyrodników, zajmujących się jedną stroną zagadnienia, za rozwiązanie całego zagadnienia.

Ani duszy, ani wolności nie ma dlatego, że życie człowieka przejawia się ruchami mięśni, a ruchy mięśni zależą od czynności nerwów, nie ma duszy i wolności dlatego, żeśmy w niewiadomym okresie czasu powstałi z małp – tak mówią, piszą i drukują, zupełnie nie podejrzewając, że przed tysiącami lat wszystkie religie, wszyscy myśliciele nie tylko uznali, ale nigdy nie przeczyli prawu konieczności, którego z takim zapałem starają się dowieść teraz fizjologia i zoologia porównawcza. Nie widzą, że rola nauk przyrodniczych w tym przedmiocie polega tylko na tym, żeby być narzędziem służącym do oświecenia jednej strony zagadnienia. Gdyż to, że z punktu widzenia obserwacji rozum i wola są tylko wydzielinami (secretion) mózgu, i to, że człowiek w myśl ogólnego prawa mógł się rozwinąć z niższych zwierząt w niewiadomym okresie czasu, wyjaśnia tylko z nowej strony prawdę uznaną przez wszystkie religie i teorie filozoficzne przed tysiącami lat: że z punktu widzenia rozumu człowiek podlega prawu konieczności, ale to ani na włos nie zbliża rozwiązania zagadnienia mającego inną jeszcze, przeciwną stronę, opartą na uświadomieniu sobie wolności.

Jeżeli ludzie powstałi z małp w nieznanym okresie czasu, to jest to równie zrozumiałe jak to, że ludzie pochodzą z garści ziemi w znanym okresie czasu (w pierwszym wypadku x jest to czas, w drugim – pochodzenie), i zagadnienie, jakim sposobem łączy się świadomość wolności człowieka z prawem konieczności, któremu człowiek podlega, nie może być rozwiązane przez fizjologię i zoologię porównawczą, gdyż w żabie, króliku i małpie możemy zaobserwować tylko mięśniowo-nerwowe czynności, a w człowieku zarówno mięśniowo-nerwowe czynności, jak i świadomość.

Badacze przyrody i ich zwolennicy, pragnący rozwiązać to zagadnienie, podobni są do tynkarzy, których by postawiono do otynkowania ściany cerkwi z jednej strony, a którzy, korzystając z nieobecności kierownika robót, w porywie gorliwości pokrywaliby tynkiem i okna, i obrazy, i rusztowania, i nie dokończone jeszcze mury i cieszyliby się, że – z ich tynkarskiego punktu widzenia – wszystko wychodzi równo i gładko.

IX

Rozstrzygnięcie zagadnienia wolności i konieczności w historii –przed innymi gałęziami wiedzy, w których rozpatrywano to zagadnienie – ma tę wyższość, że dla historii zagadnienie to nie dotyczy samej woli człowieka, lecz wyobrażenia o przejawach tej woli w przeszłości i w warunkach określonych.

Po rozwiązaniu tego zagadnienia historia zajmuje względem innych nauk położenie nauki doświadczalnej względem nauk spekulatywnych.

Przedmiotem historii nie jest sama wola człowieka, lecz nasze pojęcie woli.

I dlatego dla historii nie istnieje – jak dla religii, etyki i filozofii – nierozwiązalna tajemnica związku wolności z koniecznością. Historia rozpatruje poglądy na życie człowieka, w których dokonało się już połączenie tych dwu sprzecznych pojęć. W rzeczywistym życiu każde wydarzenie historyczne, każde działanie człowieka jest zrozumiałe w sposób bardzo jasny i określony, bez odczucia najmniejszej sprzeczności, mimo że każde wydarzenie wydaje się częściowo wolne, częściowo konieczne.

Aby rozwiązać zagadnienie, jak łączy się wolność z koniecznością i co stanowi istotę tych dwóch pojęć, filozofia historii może i powinna iść drogą przeciwną niż ta, którą szły inne nauki. Zamiast żeby określiwszy jako takie pojęcie wolności i konieczności, podciągać pod gotowe określenia przejawy życia – historia z ogromnej liczby podlegających jej wydarzeń, widzianych zawsze w zależności od wolności i konieczności, powinna wyprowadzić określenie samych pojęć o wolności i konieczności.

Jakiegokolwiek rozpatrywalibyśmy poglądy na działanie wielu ludzi albo tylko jednego człowieka, rozumiemy je nie inaczej niż jako rezultat częściowo wolności człowieka, częściowo zaś praw konieczności.

Czy mówimy o wędrowności ludów albo najazdach barbarzyńców, albo o rozporządzeniach Napoleona III, albo o postępku człowieka dokonanym przed godziną, a polegającym na tym, iż z kilku kierunków spaceru wybrał jeden – nie widzimy najmniejszej sprzeczności. Miara wolności i konieczności, kierująca postępkami tych ludzi, wyraźnie jest dla nas określona.

Bardzo często wyobrażenie o większej czy mniejszej wolności jest różne, zależnie od różnego punktu widzenia, z którego obserwujemy wydarzenie, zawsze jednak każdy czyn człowieka przedstawia się nam nie inaczej niż jako pewne połączenie wolności z koniecznością. W każdym rozpatrywanym działaniu widzimy pewną część wolności i pewną część konieczności. I zawsze, im więcej w jakimś czynie widzimy wolności, tym mniej konieczności, a im więcej konieczności, tym mniej wolności.

Stosunek wolności do konieczności zmniejsza się lub powiększa zależnie od tego punktu widzenia, z którego rozpatrujemy postępek, ale stosunek ten jest zawsze odwrotnie proporcjonalny.

Człowiek tonący, który chwyta się drugiego człowieka i topi go, albo wycieńczona karmieniem dziecka głodna matka, która kradnie pożywienie, albo człowiek przyuczony do karności, który na rozkaz zabija w szeregu bezbronnych ludzi, przedstawiają się jako mniej winni, czyli mniej wolni i bardziej podlegający prawu konieczności, temu, kto zna warunki, w których znajdowali się ci ludzie, bardziej zaś wolnymi wydadzą się temu, kto nie wiedział, że ów człowiek tonął, że matka była głodna, a żołnierz stał w szeregu itd. Podobnie człowiek, który przed dwudziestu laty dokonał zabójstwa, a potem spokojnie i uczciwie żył w społeczeństwie, przedstawia się mniej winny, postępek jego wyda się bardziej podległy prawu konieczności temu, kto rozpatrywał jego postępek po upływie dwudziestu lat, a bardziej wolny i mniej konieczny temu, kto rozpatrywał ten postępek nazajutrz po jego dokonaniu. I podobnie każdy postępek człowieka obłąkanego, pijanego lub silnie wzburzonego przedstawia się jako mniej wolny i bardziej konieczny temu, kto zna duchowy stan człowieka, który dokonał postępków, bardziej zaś wolny i mniej konieczny temu, kto go nie zna. We wszystkich tych wypadkach zwiększa się lub zmniejsza pojęcie wolności i odpowiednio do tego zmniejsza się lub zwiększa pojęcie konieczności, zależnie od punktu widzenia, z którego rozpatruje się postępek. A więc im większa jest konieczność, tym mniejsza wolność. I na odwrót.

Religia, zdrowy rozsądek ludzkości, nauki prawnicze i sama historia jednakowo rozumieją ten stosunek między koniecznością a wolnością.

Wszystkie bez wyjątku wypadki, w których zwiększa się i zmniejsza nasze pojęcie wolności i konieczności, mają tylko trzy założenia: stosunek człowieka, który dokonał danego czynu, do otaczającego świata, stosunek w czasie, stosunek do przyczyn, które doprowadziły do danego czynu.

Pierwsze założenie stanowi bardziej czy mniej widoczny dla nas stosunek człowieka do świata zewnętrznego, bardziej lub mniej jasne pojęcie o tym określonym miejscu, jakie zajmuje każdy człowiek w stosunku do wszystkiego, co istnieje jednocześnie z nim. To jest owo założenie, które uwidacznia, że człowiek tonący jest mniej wolny i bardziej podlega konieczności niż człowiek stojący na lądzie; to założenie, według którego działania człowieka żyjącego w ścisłym związku z innymi ludźmi, w gęsto zaludnionej miejscowości, działania człowieka, związanego z rodziną, pracą, przedsiębiorstwami, są niewątpliwie mniej wolne i bardziej podlegające konieczności niż działania człowieka samotnego, odosobnionego.

Gdy bierzemy człowieka samego, nie uwzględniając jego stosunku do wszystkiego, co go otacza, to każdy jego czyn wyda się nam wolny. Ale jeżeli widzimy jakkolwiek jego stosunek do tego, co go otacza, jeżeli widzimy jego związek z czymkolwiek: z człowiekiem, który z nim mówi, z książką, którą czyta, z pracą, którą się zajmuje, nawet z powietrzem, które go otacza, nawet z światłem, które pada na otaczające go przedmioty – widzimy, że każda z tych okoliczności wywiera na niego wpływ i kieruje choć pewną stroną działania. I o ile widzimy ten wpływ, o tyle zmniejsza się nasze pojęcie o jego wolności i powiększa się pojęcie o konieczności, od której ów człowiek zależy.

Drugie założenie stanowi: bardziej lub mniej widoczny stosunek człowieka do świata w czasie; mniej lub bardziej jasne pojęcie o miejscu, jakie w czasie zajmuje postępek owego człowieka. Jest to założenie, z którego wynika, iż upadek pierwszego człowieka, co w rezultacie spowodowało powstanie rodu ludzkiego, wydaje się oczywiście mniej wolny niż wstąpienie w związek małżeński człowieka współczesnego. Jest to założenie, z którego wynika, iż życie i działalność ludzi żyjących przed wiekami, a związane ze mną w czasie, nie mogą mi się wydawać tak wolne, jak życie współczesne, którego skutki są mi jeszcze nie znane.

Stopniowość nabierania pojęcia o większej lub mniejszej wolności i konieczności zależy tu od większego lub mniejszego odstępu czasu między dokonaniem czynem a sądem o nim.

Gdy myślę o tym, czego dokonałem przed chwilą w warunkach w przybliżeniu tych samych, w jakich się znajduję obecnie, czyn mój przedstawia mi się niewątpliwie jako wolny. Jeżeli jednak myślę o tym, czego dokonałem przed miesiącem, to znajdując się obecnie w innych warunkach, mimo woli przyznaję, że jeżelibym tego nie zrobił, wiele rzeczy pożytecznych, przyjemnych i nawet niezbędnych, które wynikły z tego, co zrobiłem, nie miałyby miejsca. Jeżeli przeniosę się pamięcią do tego, co zrobiłem jeszcze dawniej, przed dziesięciu laty i więcej, to skutki mego postępowania przedstawia mi się jeszcze wyraźniej; i trudno mi będzie przedstawić sobie, co by było, gdybym nie postąpił tak, jak postąpiłem. Im dalej wstecz będę się przenoślił pamięcią albo, co na jedno wychodzi, wybiegnę naprzód ze swym sądem, tym bardziej wątpliwa będzie moja ocena o swobodzie mojego czynu.

Zupełnie tak samo przekonanie o udziale wolnej woli w ogólnych sprawach ludzkich wzrasta stopniowo w historii. Dokonane współczesne wydarzenie przedstawia się nam niewątpliwie jako rezultat działania wszystkich znanych ludzi; ale w wydarzeniu bardziej oddalonym widzimy już tylko jego nieuniknione skutki, poza którymi nic innego przedstawić sobie nie możemy. Im dalej przenosimy się wstecz w rozpatrywaniu wydarzeń, tym mniej wydają się nam one dowolne. Wojna austriacko-pruska przedstawia się nam jako niewątpliwy skutek działań przebiegłego Bismarcka itp.

Wojny napoleońskie – chociaż z zastrzeżeniami przedstawiają się nam jeszcze jako rezultat woli bohaterów. Ale w wyprawach krzyżowych widzimy już tylko wydarzenia, bez których historia nowożytna Europy byłaby nie do pomyślenia, chociaż dla kronikarzy wypraw krzyżowych wydarzenia te przedstawiały się również jako rezultat woli niektórych osób. Gdy mówimy o wędrówkach ludów, nikomu już w naszych czasach nie przyjdzie do głowy, że to wolna wola Attyli spowodowała odnowienie świata europejskiego. Im dalej wstecz przenosimy w historii przedmiot obserwacji, tym wątpliwsza staje się wolność ludzi dokonujących wydarzeń i tym lepiej widzimy prawo konieczności.

Trzecie założenie to jest większa lub mniejsza dostępność dla nas tego nieskończonego związku przyczyn, stanowiącego nieuchronny postulat rozumu, w którym każde zrozumiałe zjawisko – wskutek tego i każde działanie człowieka – powinno mieć swe określone miejsce jako skutek poprzednich i jako przyczyna następnych wydarzeń.

Jest to założenie, z którego wynika, iż działania nasze oraz innych ludzi przedstawiają się nam, z jednej strony, tym bardziej wolne i mniej podlegające konieczności, im bardziej znane są nam te – wysnute z obserwacji – prawa fizjologiczne, psychologiczne i historyczne, jakim podlega człowiek, i im ściślej określimy fizjologiczne, psychologiczne albo historyczne przyczyny działania, z drugiej strony

im prostsze jest samo obserwowane działanie, im mniej skomplikowany jest charakter i umysł człowieka, którego działanie badamy.

Gdy zupełnie nie rozumiemy przyczyn działania: bez różnicy, czy zachodzi wypadek złego, czy dobrego albo nawet w sensie dobra i zła obojętnego czynu, uznajemy w takim działaniu największą dowolność. W wypadku złego czynu żądamy przede wszystkim kary; w wypadku czynu szlachetnego – cenimy przede wszystkim ten czyn. W wypadku obojętnym – uznajemy mocną indywidualność, oryginalność, swobodę. Ale jeśli choć jedna z niezliczonych przyczyn jest nam znana, dopuszczamy już pewien stopień konieczności i mniej żądamy odpłaty za przestępstwo, mniej widzimy zasługi w czynie szlachetnym, mniej dowolności w postępku wydającym się nam oryginalnym. To, że przestępca był wychowany w środowisku złoczyńców, już zmniejsza jego winę. Poświęcenie się matki, ojca, poświęcenie się, gdy możliwa jest nagroda, będzie bardziej zrozumiałe niż poświęcenie się bez przyczyny i dlatego uważa się je za mniej zasługujące na pochwałę, mniej dowolne. Założyciel sekty, partii, wynalazca mniej nas

zadziwia, gdy wiemy, jak i przez co była przygotowana jego działalność. Jeżeli posiadamy dużo doświadczeń, jeżeli nasze obserwacje stale są skierowane na odnalezienie związku między przyczynami a skutkami w działaniu ludzi, to działania te przedstawiają się nam tym bardziej konieczne, tym mniej dowolne, im ściślej wiążemy skutki z przyczynami. Jeżeli rozpatrywane działania są proste i mogliśmy zaobserwować ich wielką ilość, to nasze pojęcie o ich konieczności będzie jeszcze pełniejsze. Nieuczciwy postępek syna nieuczciwego ojca, złe prowadzenie się kobiety wciągniętej w pewne środowisko, powrót pijaka do pijaństwa itd. – są postępkami, które tym mniej przedstawiają się nam dowolnymi, im bardziej zrozumiałe są dla nas ich przyczyny. Jeżeli zaś człowiek, którego czyny rozpatrujemy, znajduje się na najniższym stopniu rozwoju umysłowego – jak np. dziecko, obłąkany, idiota – to znając przyczyny postępku i ograniczoność umysłu i charakteru, widzimy już tak dużą porcję konieczności i tak małą – wolności, iż gdy znamy przyczynę, która musi spowodować taki czyn, możemy przewidzieć postępki.

Tylko na tych trzech założeniach opiera się istniejące we wszystkich prawodawstwach pojęcie niepoczytalności w przestępstwach i pojęcie okoliczności, które łagodzą winę.

Uznaje się większą lub mniejszą poczytalność, zależnie od większej czy mniejszej znajomości warunków, w jakich znajdował się człowiek, którego postępki jest sądzony, zależnie od większego lub mniejszego odstępu czasu między dokonaniem postępku a sądem nad nim i według lepszego lub gorszego zrozumienia przyczyn postępku.

X

A więc nasze pojęcie o wolności i konieczności stopniowo zwężają się i rozszerzają, zależnie od większego lub mniejszego związku z otaczającym światem, od większego lub mniejszego oddalenia w czasie i od większej lub mniejszej zależności od przyczyn, które bierzemy pod uwagę przy rozpatrywaniu zjawisk życia człowieka.

Toteż jeżeli rozpatrujemy takie położenie człowieka, w którym związek jego ze światem zewnętrznym jest najbardziej znany, okres zaś czasu między dokonaniem postępuku i sądem jak najdłuższy i przyczyny postępuku najbardziej udostępnione, wówczas otrzymujemy wyobrażenie o maksymalnej konieczności i minimalnej wolności. Jeżeli zaś rozpatrujemy sprawę człowieka o najmniejszej zależności od warunków zewnętrznych, jeżeli dokonanie czynu miało miejsce w najbliższym nam czasie i nie znamy przyczyn, wówczas otrzymujemy wyobrażenie o minimum konieczności i maksimum wolności.

Lecz ani w tym, ani w tamtym wypadku, jakkolwiek byśmy zmieniali nasz punkt widzenia, jakkolwiek byśmy wyjaśniali sobie związek człowieka ze światem zewnętrznym albo jakkolwiek dostępny nam by się on wydawał, jakkolwiek byśmy przedłużali lub skracali czas, jakkolwiek by zrozumiałe lub nieuchwytnie były dla nas przyczyny – nigdy nie możemy sobie przedstawić ani pełnej wolności, ani pełnej konieczności.

Choćbyśmy wyobrażali sobie człowieka izolowanego od wpływów świata zewnętrznego, nigdy nie urobimy sobie pojęcia wolności w przestrzeni. Wszelka działalność człowieka jest nieuchronnie uwarunkowana własnym jego ciałem i tym, co go otacza. Podnoszę i opuszczam rękę. Działanie moje wydaje mi się dowolne, ale zapytując siebie, czy mógłbym we wszystkich kierunkach podnieść rękę, widzę, że podniosłem ją w tym kierunku, w którym było dla tego działania najmniej przeszkód, zarówno ze strony ciał otaczających mnie, jak i w budowie mego ciała. Jeżeli ze wszystkich możliwych kierunków wybrałem jeden, to wybrałem go dlatego, że ten kierunek natrafiał na mniej przeszkód. Aby działanie moje było swobodne, niezbędne jest, żeby nie napotykało żadnych przeszkód. Aby wyobrazić sobie człowieka wolnego, musimy wyobrazić go sobie poza przestrzenią, co, oczywiście, jest niemożliwe.

Jakkolwiek skracalibyśmy czas pomiędzy oceną postępuku a postępkim, nigdy nie urobimy sobie pojęcia wolności w czasie. Nawet gdy rozpatruję postępek dokonany przed sekundą, nie mogę uznać wolności postępuku, bowiem postępek skuwa ten właśnie moment czasu, w którym go dokonano. Czy mogę podnieść rękę? Podnoszę ją, ale zapytuję siebie: czy mógłbym nie podnieść ręki w tym minionym już momencie czasu? Żeby się przekonać o tym, nie podnoszę ręki w następnym momencie. Ale nie podniosłem ręki nie w tym pierwszym momencie, gdy zadawałem sobie pytanie o swobodzie działania. Upłynął czas, którego zatrzymać nie miałem mocy, i ta ręka, którą wtedy podniosłem, i to powietrze, w którym wtedy dokonałem owego działania, już nie są ani tym powietrzem, które mnie teraz otacza, ani tą ręką, którą teraz nie poruszam. Ten moment, w którym dokonał się pierwszy ruch, jest niepowrotny, i w tym

momencie mogłem zrobić tylko jeden ruch i jakikolwiek zrobiłbym wtedy ruch, ruch ten mógł być tylko jeden. To, że w następnej chwili nie podniosłem ręki, nie dowodzi, że mogłem jej nie podnieść. A że ruch mój mógł być tylko jeden w jednym momencie czasu, nie mógłby więc być inny. Aby przedstawić go sobie wolnym, trzeba przedstawić go sobie w terażniejszości, na granicy przeszłości i przyszłości, tj. poza czasem, co jest niemożliwe.

Jakkolwiek by powiększała się trudność uchwycenia przyczyn, nigdy nie dojdziemy do wyobrażenia sobie zupełnej wolności, tj. nieistnienia przyczyn.

Choćby nieuchwytna była dla nas przyczyna wyrażenia woli w jakimkolwiek naszym postępku lub postępku innych, głównym postulatem rozumu jest założenie, że istnieje przyczyna, i poszukiwanie jej, bez czego nie do pomyślenia jest żadne zjawisko. Podnosząc rękę po to, żeby dokonać czegoś niezależnego od wszelkiej przyczyny, ale to, że chcę dokonać czegoś bez przyczyny, jest przyczyną mego postępku.

Nawet gdyby sobie przedstawić człowieka zupełnie izolowanego od wszystkich wpływów, to rozpatrując tylko jego chwilowy postępek bieżącego momentu i zakładając, że nie jest wywołany żadną przyczyną, przypuścilibyśmy nieskończenie małą dążność konieczności, równą zeru, ale nawet i wtedy nie doszlibyśmy do pojęcia zupełnej wolności człowieka, gdyż istota nie przyjmująca wpływów świata zewnętrznego, pozostająca poza czasem i niezależna od przyczyn, już nie jest człowiekiem. Zupełnie tak samo nigdy nie będziemy mogli przedstawić sobie działania człowieka, które by się odbywało bez udziału wolnej woli i podlegało jedynie prawu konieczności.

Jakkolwiek powiększałyby się nasza wiedza o warunkach przestrzennych, w jakich znajduje się człowiek, wiedza ta nigdy nie będzie całkowita, gdyż ilość tych warunków jest nieskończenie wielka, podobnie jak nieskończona jest przestrzeń. I dlatego – ponieważ nie wszystkie warunki wpływu na człowieka określono, więc nie ma też całkowitej konieczności, lecz pozostaje pewna doza wolności.

Jakkolwiek byśmy przedłużali okres czasu od powstania tego zjawiska, które rozpatrujemy, do chwili jego oceny, okres ów będzie skończony, a czas – nieskończony, a więc w tym stosunku nigdy nie może być zupełnej konieczności.

Jakkolwiek dostępny byłby nam łańcuch przyczyn jakiegokolwiek bądź postępku, nigdy nie poznalibyśmy całego łańcucha, gdyż jest on nieskończony, i znowu nigdy nie będzie zupełnej konieczności.

Ale poza tym, zakładając, że najmniejsza doza wolności jest równa zeru, uznając w jakimkolwiek wypadku – jak na przykład u człowieka umierającego, u embriona, u idioty – zupełny brak wolności, unicestwilibyśmy przez to samo pojęcie człowieka, które rozpatrujemy! gdyż bez wolności nie ma też człowieka. I dlatego pojęcie o działaniu człowieka podlegającego jedynie prawu konieczności, bez najmniejszej resztki wolności, jest tak samo niemożliwe jak pojęcie zupełnie dowolnego działania człowieka.

A więc chcąc przedstawić sobie działanie człowieka, podlegające wyłącznie prawu konieczności, musielibyśmy znać nieskończoną ilość warunków przestrzennych, nieskończenie długi okres czasu i nieskończony szereg przyczyn.

Ażeby sobie przedstawić człowieka zupełnie wolnego, nie podlegającego prawu konieczności, winniśmy przedstawić go sobie zamego poza przestrzenią, poza czasem i poza zależnością od przyczyn.

W pierwszym wypadku, jeżeliby możliwa była konieczność bez wolności, doszlibyśmy do określenia prawa konieczności tą koniecznością, tj. doszlibyśmy wyłącznie do formy bez treści.

W drugim wypadku, jeżeliby możliwa była wolność bez konieczności, doszlibyśmy do bezwarunkowej wolności poza przestrzenią, czasem i przyczynami, która z tego właśnie

powodu, że byłaby bezwarunkowa i niczym nie ograniczona, byłaby niczym albo tylko treścią bez formy.

Doszliśmy w ogóle do tych dwóch założeń, z których się składa cały światopogląd człowieka: do niepojętej istoty życia i do praw określających tę istotę.

Rozum mówi: 1) Przestrzeń ze wszystkimi formami, które pozwalają ją widzieć – materia – jest nieskończona i nie można jej sobie wyobrazić inaczej. 2) Czas jest nie kończącym się ruchem bez chwili przerwy i nie można go sobie wyobrazić inaczej. 3) Związek przyczyn i skutków nie ma początku i nie może mieć końca.

Świadomość mówi: 1) Ja jestem sam i wszystko, co istnieje, jest tylko moim ja, a więc włączam przestrzeń. 2) Ja mierzę biegnący czas nieruchomym momentem teraźniejszości, w którym jedynie uświadamiam sobie, że żyję, a więc jestem poza czasem. 3) Ja jestem poza przyczyną, gdyż czuję się przyczyną wszelkich przejawów swego życia.

Rozum wyraża prawa konieczności. Świadomość wyraża istotę wolności.

Wolność niczym nie ograniczona jest w świadomości człowieka istotą życia. Konieczność bez treści jest rozumem człowieka w jego trzech formach.

Wolność jest tym, co rozpatrujemy. Konieczność jest tym, co rozpatruje. Wolność jest treścią. Konieczność jest formą.

Tylko przy rozdzieleniu jedności dwóch źródeł poznawania, odnoszących się do siebie jak forma do treści, osobno otrzymujemy wzajemnie wyłączające się i nieuchwytnie pojęcia o wolności i konieczności.

Tylko przy ich połączeniu otrzymujemy przejrzysty obraz życia człowieka.

Poza tymi dwoma wzajemnie określającymi się w swym połączeniu – jak forma z treścią – pojęciami niemożliwe jest żadne wyobrażenie życia.

Wszystko, co wiemy o życiu ludzi, jest tylko określonym stosunkiem wolności do konieczności, tj. świadomości do praw rozumu.

Wszystko, co wiemy o zewnętrznym świecie przyrody, jest tylko określonym stosunkiem sił przyrody do konieczności albo istoty życia do praw rozumu.

Siły życia przyrody pozostają poza nami i nie uświadamiamy sobie ich, lecz nazywamy te siły ciężeniem, inercją, elektrycznością, siłą witalną itd., ale siłę życia człowieka uświadamiamy sobie i nazywamy ją wolnością.

Ale ściśle tak samo jak niepojęta jest sama w sobie siła ciężenia, odczuwana przez każdego człowieka, o tyle tylko zrozumiała, o ile rozumiemy prawa konieczności, której ona podlega (od pierwszej wiedzy, że wszystkie ciała mają ciężar, aż do prawa Newtona), zupełnie tak samo niepojęta jest sama w sobie siła wolności, odczuwana przez wszystkich, o tyle tylko zrozumiała, o ile znamy prawa konieczności, którym podlega (poczynając od tego, że każdy człowiek umiera, a kończąc na znajomości najbardziej złożonych praw ekonomicznych albo historycznych).

Wszelka wiedza jest tylko podporządkowaniem istoty życia prawom rozumu.

Wolność człowieka różni się od wszelkiej innej siły tym, że człowiek ją sobie uświadamia, ale dla rozumu niczym się ona nie różni od wszelkiej innej siły. Siły ciężenia, elektryczności czy łączenia się pierwiastków tylko tym różnią się od siebie, że je rozum rozmaicie określił. Zupełnie tak samo siła wolności człowieka – dla rozumu różni się od innych sił przyrody tylko tym określeniem, które jej daje rozum. Lecz wolność bez konieczności, tj. bez określających ją praw rozumu, niczym się nie różni od ciężenia albo ciepła, albo siły wegetacyjnej – jest dla rozumu tylko przelotnym, nieokreślonym odczuciem życia.

Podobnie jak nieokreślona istota siły poruszającej ciała niebieskie, nieokreślona istota siły ciepła, elektryczności albo siły łączenia się pierwiastków czy siły witalnej stanowią treść

astronomii, fizyki, chemii, botaniki, zoologii itd. – tak istota siły wolności stanowi treść historii. Ale zupełnie tak samo jak przedmiot każdej nauki jest przejawem tej nieznannej istoty życia, a sama istota może być tylko przedmiotem metafizyki – podobnie objaw siły wolności u ludzi w przestrzeni, czasie i w zależności od przyczyn stanowi przedmiot historii, a sama wolność jest przedmiotem metafizyki.

W naukach o ciałach żywych to, co nam jest znane, nazywamy prawami konieczności; to, czego nie znamy, nazywamy siłą witalną. Siła witalna jest tylko wyrazem niewiadomej reszty tego, co wiemy o istocie życia.

Tak samo w historii to, co znamy, nazywamy prawami konieczności; to, czego nie znamy – wolnością. Wolność dla historii jest tylko wyrazem niewiadomej reszty tego, co wiemy o prawach życia człowieka.

XI

Historia rozpatruje przejawy wolności człowieka w związku ze światem zewnętrznym w czasie i w zależności od przyczyn, tj. określa tę wolność prawami rozumu, i dlatego historia tylko o tyle jest nauką, o ile ta wolność jest określana tymi prawami.

Uznanie wolności ludzi jako siły mogącej wpływać na wydarzenia historyczne, tj. nie podlegającej prawom, jest dla historii tym samym, czym dla astronomii uznanie wolnej siły ruchu ciał niebieskich.

Uznanie takiej unicestwienia możliwość istnienia praw, tj. jakiegokolwiek wiedzy. Jeżeli istnieje choć jedno ciało, poruszające się swobodnie, to nie istnieją prawa Keplera i Newtona i nie istnieje żadne pojęcie o ruchu ciał niebieskich. Jeżeli istnieje choć jeden wolny postępek człowieka, to nie istnieje ani jedno historyczne prawo, ani jedno pojęcie, dotyczące wydarzeń historycznych.

Dla historii istnieją linie ruchu woli człowieczej, których jeden koniec kryje się w niewiadomym, a na drugim końcu porusza się – w przestrzeni, w czasie i w zależności od przyczyn – świadomość swobody ludzi w czasie obecnym.

Im bardziej rozszerza się przed naszymi oczyma to pole ruchu, tym widoczniejsze są prawa tego ruchu. Ujęcie i określenie tych praw stanowi zadanie historii.

Z tego punktu widzenia, z jakiego nauka patrzy teraz na swój przedmiot, na drodze, jaką idzie, odszukując przyczyny zjawisk w wolnej woli – ujęcie praw naukowych jest niemożliwe, gdyż jakkolwiek byśmy ograniczali wolność ludzi, skoro raz uznaliśmy ją za siłę nie podlegającą prawom, istnienie prawa jest niemożliwe.

Tylko ograniczając tę wolność do nieskończoności, tj. rozpatrując ją jako wielkość nieskończenie małą przekonamy się o całkowitej niedostępności przyczyn, a wtedy zamiast wykrywania przyczyn historia postawi sobie zadanie wykrywania praw.

Wykrywanie tych praw dawno już rozpoczęto, a nowe metody myślenia, które powinna sobie historia przyswoić, wytwarzają się wraz z samounicestwieniem, do którego zmierza stara historia rozdrabniając i rozdrabniając coraz bardziej przyczyny zjawisk.

Tą drogą szły wszystkie nauki ludzkie. Doszedłszy do wielkości nieskończenie małych, matematyka, najściślejsza z nauk, porzuca proces rozdrabniania i rozpoczyna nowy proces sumowania niewiadomych, nieskończenie małych. Odstępując od pojęcia przyczyn, matematyka odnajduje prawo, tj. właściwości wspólne wszystkim niewiadomym, nieskończenie małym elementom.

Aczkolwiek w innej formie, ale tym samym torem myślenia szły również inne nauki. Gdy Newton sformułował prawo ciężenia, nie powiedział, że Słońce lub Ziemia posiadają właściwości przyciągania; powiedział, że każde ciało, od największego do najmniejszego, ma jakby właściwości

przyciągania się wzajemnego, tj. pozostawiając na boku zagadnienie o przyczynie ruchu ciał,

wyraził właściwość wspólną wszystkim ciałom od nieskończenie wielkich do nieskończenie małych. Tak samo czynią nauki przyrodnicze: pozostawiając na uboczu zagadnienie przyczyny, poszukują praw. Historia postępuje tak samo. I jeżeli przedmiotem jej ma być badanie ruchów narodów i ludzkości, a nie opisywanie epizodów z życia ludzi, to powinna, odsunawszy pojęcie przyczyn, wykrywać prawa wspólne wszystkim równym i nierozzerwalnie ze sobą związanym, nieskończenie małym elementom wolności.

XII

Od czasu gdy został odkryty i dowiedziony system Kopernika, samo uznanie, że porusza się Ziemia, nie Słońce, obaliło całą kosmografię starożytnych. Można było, obaliwszy system, pozostawić stary pogląd na ruch ciał, ale nie obalając go, nie można było, zdawało się, prowadzić nadal badań Ptolemeuszowych światów. Ale i po odkryciu Kopernika światy Ptolemeusza długo jeszcze były przedmiotem badań.

Od czasu gdy ogłoszono i dowiedziono, że ilość urodzeń czy przestępstw podlega prawom matematycznym i że pewne geograficzne i polityczno-ekonomiczne warunki określają taki lub inny rodzaj rządów i że pewien określony stosunek ludności do ziemi powoduje ruch narodu – od tego czasu unicestwione zostały w swej istocie te podstawy, na których budowano historię.

Można było, obaliwszy nowe prawa, trzymać się starych poglądów na historię; ale nie obaliwszy ich, nie można było, jak się wydawało, w dalszym ciągu badać wydarzeń historycznych jako rezultatu wolnej woli ludzi. Jeżeli bowiem ustalil się jakiś sposób rządzenia albo dokonał się jakiś ruch narodu wskutek takich a takich geograficznych, etnograficznych albo ekonomicznych warunków, to wola tych ludzi, którzy, jak się nam wydaje, ustanowili formę rządu lub wywołali ruch narodu, nie może już być rozpatrywana jako przyczyna.

A jednocześnie dotychczasowe dziejopisarstwo bywa uprawiane przy wykorzystaniu praw statystyki, geografii, ekonomii politycznej, filologii porównawczej i geologii, chociaż nauki te są całkowicie sprzeczne z jej założeniami.

Długo i uporczywie ciągnęła się walka w filozofii przyrody między starymi i nowymi poglądami. Teologia stała na straży starych poglądów i oskarżała nowe o obalenie Objawienia. Ale gdy prawda zwyciężyła, teologia ustaliła się równie mocno na nowym gruncie.

Tak samo długo i uporczywie toczy się obecnie walka między starym a nowym poglądem na historię i tak samo teologia stoi na straży starych poglądów i oskarża nowe – o obalenie Objawienia.

Jak w pierwszym, tak i w drugim wypadku walka wywołuje namiętności u obu stron i zaciemnia prawdę. Z jednej strony powstaje uczucie bo jaźni i bólu o całą przez wieki tworzoną budowlę; z drugiej – widać namiętności niszczenia.

Ludziom walczącym z powstającą prawdą filozofii przyrody wydawało się, że gdyby tylko uznali tę prawdę, to runie wiara w Boga, w stworzenie świata, w cuda Chrystusa. Obrońcom praw Kopernika i Newtona, na przykład Wolterowi, wydawało się, że prawa astronomii niszczą religię, więc walczył z nią prawami ciężenia.

Zupełnie tak samo wydaje się teraz: wystarczy uznać prawo konieczności, a runą pojęcia duszy, dobra i zła i wszystkie instytucje państwowe i kościelne zbudowane na tych pojęciach.

Zupełnie tak samo teraz, jak Wolter w swoim czasie, niepowołani obrońcy prawa konieczności używają tego prawa konieczności jako broni przeciw religii; wówczas gdy tak samo jak prawo Kopernika w astronomii, prawo konieczności w historii nie tylko nie obala, ale

nawet umacnia grunt, na którym buduje się instytucje państwowe i kościelne.

Jak wtedy w zagadnieniu astronomii, tak teraz w zagadnieniu historii całą różnicę poglądu oparto na uznaniu lub nieuznaniu absolutnej jedności, będącej miarą widocznych zjawisk. W astronomii była nią nieruchomość Ziemi; w historii niezależność jednostki – wolność.

Jak dla astronomii trudność uznania ruchu Ziemi polegała na tym, żeby się wyrzec bezpośredniego odczucia bezruchu Ziemi i takiego samego odczucia ruchu planet, tak i w historii trudność, która nie pozwala uznać podporządkowania jednostki prawom przestrzeni, czasu i przyczynowości, polega na tym, że trzeba się wyrzec swego poczucia niezależnej osobowości. Ale jak w astronomii nowy pogląd mówił: „Prawda, nie odczuwamy ruchu Ziemi, ale zakładając jej bezruch dochodzimy do nonsensu; uznając zaś ruch, którego nie czujemy, dochodzimy do praw” – tak w historii nowy pogląd mówi: „Prawda, nie odczuwamy naszej zależności, ale zakładając naszą wolność dochodzimy do nonsensu; uznając zaś swą zależność od świata zewnętrznego, czasu i przyczynowości, dochodzimy do praw”.

W pierwszym wypadku trzeba było się wyrzec odczucia bezruchu w przestrzeni i uznać istnienie ruchu nie odczuwanego przez nas; w mniejszym wypadku tak samo niezbędne jest zrzeczenie się uświadamianej sobie wolności i uznanie istnienia nieodczuwanej przez nas zależności.

KONIEC

Przegląd treści podług rozdziałów

TOM I CZĘŚĆ PIERWSZA

I Petersburg. Świetne przyjęcie u frejliny Anny Pawłowny Scherer. Pani domu i dygnitarz, księżę Wasilij Kuragin. Rozmowa o Napoleonie. Projekt Anny Pawłowny ożenienia syna księcia Wasilia, Anatola, z bogatą księżniczką Marią Bołkońską.

II Goście m-me Scherer. Córka księcia Wasilia, piękna Helene, i syn jego, Hipolit. Mała księżna Liza Bołkońska.

Emigrant-Francuz, wicehrabia Mortemart, i l'abbe Morio. Ceremonia witania się z ciocią pani domu. Przybycie Pierre'a Bezuchowa na przyjęcie.

Wg wyd. Bibl. russk. romana, L. N. Tołstoj, Wojna i mir, t. I–II, III–IV. Gosudarstwiennoj Izdatielstwo Chudożestwiennoj Lidcratury, Moskwa 1949.

III Rozmowa o straceniu księcia d'Enghien przez Napoleona. Opowiadanie wicehrabiego o spotkaniu księcia z Napoleonem u aktorki George. Dysputa Pierre'a Bezuchowa z księdzem o równowadze politycznej. Zjawienie się w salonie księcia Andrzeja Bołkońskiego. Jego spotkanie z Pierre'em. Odjazd księcia Wasilia z córką Helene na bal u posła angielskiego.

IV Księżna Anna Michajłowna Drubecka prosi księcia Wasilia o wstawiennictwo u cesarza w sprawie przeniesienia jej syna Borysa do gwardii. Rozmowa w salonie i spór o Napoleona; Pierre broni rewolucji oraz Napoleona, stąd napaść na niego gości Anny Pawłowny. Poparcie Pierre'a przez księcia Andrzeja. Księżę Hipolit opowiada „po rosyjsku” anegdotę o skąpej damie moskiewskiej.

V Charakterystyka Pierre'a Bezuchowa. Odjazd gości Anny Pawłowny. Hipolit Kuragin odprowadza księżnę Bołkońką. Przyjazd Pierre'a do domu Bołkońskich. Rozmowa Pierre'a z księciem Andrzejem o wyborze kariery.

VI Pierre u Bołkońskich. Scena małżeńska między małą księżną a księciem Andrzejem w związku z jego wyjazdem na wojnę. Kolacja Pierre'a Bezuchowa z księciem Andrzejem. Rozważania Andrzeja Bołkońskiego o sobie, o małżeństwie i kobietach. Pierre Bezuchow jedzie na nocną hulanekę do Anatola Kuragina. Določow i jego zakład z Anglikiem Stevenssem. VII Moskwa. Księżna Anna Michajłowna Drubecka w domu Rostowów. Hrabia i hrabina Rostowowie. Przyjmowanie wizyt z życzeniami u Rostowów z okazji imienin dwu Natalii – matki i córki. Wizyta pań Karagin, matki i córki. Rozmowa o ostatniej nowinie w mieście – chorobie starego hrabiego Bezuchowa, o jego nieprawym synu, Pierre, wydalonym z Petersburga za awanturowanie się, i o losie olbrzymiego spadku, który zostanie po śmierci starego

Bezuchowa.

VIII Młodzież w domu Rostowów: Natasza, Mikołaj, Pietia, Sonia i Borys Drubecki w salonie. Historia lalki Mimi.

IX W salonie. Krewniaczka hrabiego, Sonia. Rozmowa hrabiego z gośćmi o wstąpieniu Mikołaja do służby wojskowej; rozmowa hrabiny o wychowaniu dzieci. Mikołaj i Sonia. Wiera Rostow.

X Natasza Rostow chowa się w ogrodzie zimowym. Scena zazdrości i pocałunek Mikołaja i Soni. Natasza wywołuje Borysa do ogrodu zimowego. Jej propozycja, by Borys pocałował lalkę. Natasza całuje Borysa. Ich rozmowa o miłości.

XI Zakochane pary w bawialni: Sonia z Mikołajem i Natasza z Borysem. Ich sprzeczka z Wierą. Rozmowa dwu przyjaciółek z lat dziecińczych: hrabina Rostow skarży się na złą sytuację majątkową, księżna Anna Michajłowna Drubecka opowiada o przeniesieniu swego syna do gwardii i uskarża się na złe położenie materialne – nie ma za co wyekwipować Borysa. Jej nadzieje na spadek po hrabim Bezuchowie.

XII Anna Michajłowna Drubecka jedzie z synem Borysem odwiedzić chorego hrabiego Bezuchowa. Spotkanie tam z księciem Wasiliiem Kuraginem. Anna Michajłowna postanawia pielęgnować chorego.

XIII Pierre Bezuchow w Moskwie, w domu swego ojca. Jego przyjazd i spotkanie z księżniczkami po wydaleniu z Petersburga. Przybycie Borysa Drubeckiego do pokoju Pierre'a, rozmowa i wzajemne wyjaśnienia. Powrót Drubeckich, matki i syna, do Rostowów. Ich rozmowa o testamencie hrabiego Bezuchowa.

XIV Hrabina Rostow prosi męża o 500 rubli i po powrocie Anny Michajłowny wręcza jej przyjaciółce na ekwipunek dla Borysa. Obie płaczą.

XV Przed obiadem imieninowym u Rostowów. Oczekiwanie chrestnej matki Nataszy, Marii Dmitriewny Achrosimow. Rozmowa Szynszyna z Bergiem w gabinecie hrabiego. Pierre Bezuchow w salonie Rostowów.

Przybycie Marii Achrosimow. Goście siadają do stołu. Obiad.

XVI Rozmowa podczas obiadu o manifeście i o wojnie z Bonapartem. Pułkownik huzarów. Odpowiedź Mikołaja Rostowa. Swawola Nataszy. XVII Śpiew młodzieży. Łzy Soni z powodu miłości do Mikołaja i jego wierszy napisanych dla niej. Wyjaśnienia pomiędzy nią a Nataszą. Natasza, Borys, Sonia i Mikołaj śpiewają Źródło. Tańce. Hrabia Ilia Andrejewicz Rostow tańczy „Danilę Kupora” z Marią Dmitriewną Achrosimow.

XVIII W domu hrabiego Bezuchowa. Przygotowania do ostatniego namaszczenia. Rozmowy obecnych. Doktor Lorrain. Sekretne zmywy księcia Wasilia z księżniczką Catiche o zatajenie testamentu hrabiego. XIX Powrót do domu Pierre'a Bezuchowa z Anną Michajłowną Drubecką. Pierre w sali przyjęć umierającego ojca, który chce go zobaczyć. Stosunek obecnych do niego.

XX Pierre u chorego ojca. Hrabia Bezuchow. Ostatnie namaszczenie. Obecni: księżniczki, Drubecką, księżę Wasilij, doktorzy, służba i inni. Najstarsza księżniczka zabiera testament.

XXI Księżę Wasilij Kuragin i księżniczka Catiche. Pierre i Anna Michajłowna. Kłótnia i walka o pugilares z testamentem. Śmierć Bezuchowa.

XXII Majątek Bołkońskich – Łyse Góry. Stary księżę Mikołaj Andrejewicz Bołkoński. Jego córka, księżniczka Maria. Lekcja geometrii. List Julie Karagin i odpowiedź księżniczki Marii.

XXIII Przyjazd do Łysych Gór księcia Andrzeja Bołkońskiego z żoną. Spotkanie z księżniczką Marią i jej panną do towarzystwa, Francuzką Bourienne. Spotkanie starego księcia z synem i rozmowa o wojnie i polityce.

XXIV Obiad w Łysych Górach. Sprzeczka starego księcia z synem o Suworowa i Bonapartego. Architekt Michał Iwanycz.

XXV Przygotowania księcia Andrzeja do odjazdu do armii. Księżniczka Maria błogosławi brata i daje mu obrazek. Pożegnanie księcia Andrzeja z ojcem, żoną i siostrą. Wyjazd.

CZEŚĆ DRUGA

I Wojska rosyjskie w październiku 1805 r. w Austrii, pod Braunau. Jeden z pułków piechoty przygotowuje się do przeglądu, którego ma dokonać wódz naczelny. Zarządzenia dowódcy pułku w sprawie przebrania się żołnierzy. Generał łaje kapitana Timochina

za niebieski płaszcz zdegradowanego Dołochowa. Generał nakazuje Dołochowowi przebrać się.

II Przegląd pułku przez Kutuzowa. Zatrzymanie się naczelnego wodza przed trzecią rotą i rozmowa z Timochinem. Kutuzow wzywa Dołochowa. Radość generała po przeglądzie i rozmowa z Timochinem. Pogwarki żołnierzy. Pieśniarze. Rozmowa Żerkowa z Dołochowem.

III Rozmowa Kutuzowa z austriackim generałem, członkiem austriackiego hofkriegsratu. Książę Andrzej Bołkoński w sztabie Kutuzowa. Przybycie austriackiego generała Macka do sztabu naczelnego wodza. Żerkow gratuluje austriackim generałom:

Strauchowi i członkowi hofkriegsratu, przybycia Macka.

IV Mikołaj Rostow, junkier Pawłogradzkiego pułku huzarów, w czasie postoju jego szwadronu pod Braunau wraca z furazowania. Epizod z Niemcem. Powrót do domu Denisowa po przegranej w karty. Przybycie oficera Tielanina. Denisow pisze list „do niej”. Przyjście rachmistrza po pieniądze i ujawnienie zaginięcia sakiewki Denisowa z pieniędzmi. Rostow udowadnia Tielaninowi kradzież sakiewki.

V Ożywiona rozmowa oficerów szwadronu Denisowa o zajściu z Tielaninem, co wywołało spór Mikołaja Rostowa z dowódcą pułku. Przybycie Żerkowa z wieścią o klęsce Macka i o wymarszu. VI Cofanie się wojsk rosyjskich w kierunku Wiednia. Przeprowa przez rzekę Enns. Nieswicki częstuje oficerów. Generał, dowodzący ariergardą, posyła Nieswickiego z powtórnyim rozkazem, by huzarzy przeszli ostatni i podpalili most.

VII Przejście ostatnich oddziałów rosyjskich przez most na rzece Enns. Ścisk na moście. Pogwarki przechodzących żołnierzy. Niemiecka fura z kobietami i krową wzbudza powszechną uwagę. Nieswicki spotyka się na moście z Denisowem. Przejście szwadronu Denisowa na drugi brzeg rzeki. VIII Zbliżenie się wojsk francuskich do mostu. Artyleria francuska strzela do huzarów. Denisow przed swoim szwadronem. Przejście szwadronu przez most ku swoim. Żerkow, a następnie oficer sztabowy i Nieswicki przywożą pułkownikowi Pawłogradzkiego pułku rozkaz dowódcy ariergardy, by się zatrzymać i podpalić most. Huzarzy pod ostrzałem francuskich kartaczy podpalają most. Przeżycia Mikołaja Rostowa podczas podpalania mostu. IX Odwrót armii Kutuzowa wzdłuż dolnego biegu Dunaju. Zwycięstwo Rosjan w bitwie pod Krems. Naczelnny wódz posyła księcia Andrzeja na dwór austriacki z wieścią o zwycięstwie. Książę Andrzej w drodze i w Brnie. Obojętne przyjęcie go przez ministra wojny i zmiana nastroju Bołkońskiego. X Książę Andrzej zatrzymuje się w Brnie u swego znajomego, dyplomaty Bilibina. Charakterystyka Bilibina. Rozmowa Bołkońskiego z Bilibinem o oddaniu Francuzom Wiednia, o bitwie pod Krems, o sojuszu z Prusami, o zdradzie Austrii oraz o nowym triumfie Bonapartego. XI Książę Andrzej u Bilibina w kotku młodych dyplomatów rosyjskich. Bilibin „raczy” Bołkońskiego

Hipolitem Kuraginem. Książę Andrzej udaje się do pałacu.

XII Książę Andrzej na audiencji u cesarza austriackiego, Franciszka. Odznaczenie Bołkońskiego Orderem Marii Teresy. Ogólne zainteresowanie i uwaga okazana mu przez cały dwór. Powrót księcia Andrzeja do Bilibina. Opowiadanie Bilibina o wzięciu mostu wiedeńskiego przez marszałków francuskich. Książę Andrzej postanawia natychmiast wrócić do armii.

XIII Książę Andrzej wśród cofających się wojsk rosyjskich. Widok spiesznego i bezładnego

odwrotu armii. Zatarg Bołkońskiego z oficerem taborowym z powodu pojazdu wiozącego żonę lekarza. Obawa i niepokój w sztabie naczelnego wodza. Kutuzow wysyła Bagrationa z oddziałem wojsk dla powstrzymania natarcia Francuzów.

XIV Wiadomość otrzymana przez Kutuzowa o beznadziejnym położeniu armii rosyjskiej, ściganej przez ogromne siły Francuzów. Kutuzow wysyła czterotysięczną awangardę Bagrationa do Hollanbrunn celem zatrzymania armii nieprzyjacielskiej. Murat, wzięwszy oddział Bagrationa za całą armię rosyjską, proponuje Rosjanom zawieszenie broni. List Napoleona do Murata w sprawie zerwania rozejmu. XV Książę Andrzej w oddziale Bagrationa. Botkoński w towarzystwie dyżurnego oficera objeżdża pozycje. Scena w namiocie markietana i kapitan Tuszyn. Obraz wojsk rosyjskich. Scena chłosty żołnierza w plutonie grenadierów. Na przedniej linii. Dyskusja Dołochowa z francuskim grenadierem. Rozmowa żołnierza Sidorowa „po francusku” i śmiech rosyjskich żołnierzy i Francuzów.

XVI Książę Andrzej z baterii Tuszyna ogląda i kreśli plan rozmieszczenia wojsk rosyjskich i nieprzyjacielskich. Bołkoński niechętnie podsłuchuje rozmowę w szałasie o lęku przed śmiercią. Pierwszy

strzał Francuzów. Ukazanie się Tuszyna przed szałasem.

XVII Początek bitwy pod Schóngraben. Książę Andrzej przyłącza się w Grund do świty Bagrationa. Audytor i Żerkow. Bagration przy baterii Tuszyna. Zarządzenia i rozkazy Bagrationa dla dowódców i jego rola w bitwie.

XVIII Bagration na prawym skrzydle swojego oddziału. Bliskość pola bitwy. Ranni. Staruszek, dowódca pułku, melduje Bagrationowi o odparciu ataku konnicy francuskiej i o stratach, prosi Bagrationa, by się nie narażał na niebezpieczeństwo. Widok posuwającej się kolumny francuskiej i dwóch rosyjskich batalionów. Bagration prowadzi Rosjan do ataku. Opinia Thiersa i Napoleona o tym ataku. ;

XIX Odwrot prawego skrzydła wojsk rosyjskich. Żerkow jedzie do generała, dowódcy lewego skrzydła, z rozkazem wycofania się. Wzajemna wrogość dowódców lewego skrzydła: dowódcy pułku piechoty, który pod Braunau prezentował się Kutuzowowi, i dowódcy Pawłogradzkiego pułku huzarów. Turniej męstwa między generałem i pułkownikiem. Atak szwadronu Denisowa. Mikołaj Rostow podczas ataku. Kontuzja Rostowa.

XX Pułki piechoty zaskoczone zniemacka przez Francuzów w lesie. Dowódca pułku, prezentującego się Kutuzowowi pod Braunau, usiłuje powstrzymać uciekających żołnierzy. Natarcie roty Timochina. Rosjanie chwilowo odpierają Francuzów. Bohaterstwo Dołochowa. Działanie zapomnianej baterii Tuszyna. Radosne ożywienie artylerzystów na skutek pomyślnej strzelaniny i odpierania ataków Francuzów. Przyjazd do baterii oficera sztabowego z rozkazem natychmiastowego wycofania się i spieszny jego odjazd. Przyjazd księcia Andrzeja z takim samym rozkazem.

XXI Wycofanie się baterii Tuszyna i spotkanie dowództwa i adiutantów. Tuszyn zabiera na działo rannego Mikołaja Rostowa. Zapada noc. Postój wojsk. Tuszyn i Rostow przy ognisku. Wezwanie Tuszyna do generała. Bagration na obiedzie w chałupie. Dowódca pułku piechoty opowiada o natarciu swojego pułku i o bohaterstwie zdegradowanego Dołochowa. Żerkow opowiada o ataku pawłogradców. Wejście Tuszyna. Jego onieśmienie na widok dowództwa. Bagration zapytuje o pozostawione działa. Ingerencja księcia Andrzeja i obrona przezeń Tuszyna. Mikołaj Rostow nocą przy ognisku.

CZEŚĆ TRZECIA

I Książę Wasilij zamierza ożenić Pierre'a Bezuchowa ze swą córką. Pierre w Petersburgu w domu Kuraginów. Zmiana w ustosunkowaniu się do Pierre'a krewnych, znajomych i całego towarzystwa po tym, gdy został bogaczem i hrabią Bezuchowem. Książę Wasilij w roli

przewodnika Pierre'a. Pierre Bezuchow na przyjęciu wieczornym u Anny Pawłowny Scherer. Helene i Pierre w kąciu z ciotką pani domu. Pierre postanawia, że Helene musi zostać jego żoną.

II Pierre, który postanowił wyjechać i unikać Helene, przez półtora miesiąca przebywa w domu Kuraginów i coraz bardziej w oczach ludzkich jest z nią związany. Przyjęcie u księcia Wasilia w dniu imienin Helene. Anegdota księcia Wasilia o Sergiuszu Kuźmiczu. Pierre i Helene. Ich odosobnienie w małym saloniku. Niezdecydowanie Pierre'a. Książę Wasilij błogosławi narzeczonych. Ślub Pierre z Helene.

III Stary książę Mikołaj Andrejewicz Bołkoński otrzymuje wiadomość o przyjeździe księcia Wasilia z synem do Łysych Gór. Szczególne niezadowolenie i rozdrażnienie starego księcia w dniu przyjazdu Kuraginów. Stary książę irytuje się na rządcę Alpatczyna za oczyszczenie ze śniegu alei wjazdowej i każe zarzucić drogę śniegiem. Obiad. Życie małej księżnej w Łysych Górach w ciągłym uczuciu lęku i antypatii do teścia. Mała księżna nie przychodzi na obiad. Odwiedziny księcia w jej apartamentach. Przyjazd gości. Rozmowa księcia Wasilia z synem przed spotkaniem z gospodarzami. Nastrój księżniczki Marii przed wyjściem do gości.

IV Księżniczka Maria wychodzi do gości. Anatol. Ogólna rozmowa – „wspominanie wydarzeń, które nigdy nie miały miejsca”. Zainteresowanie się Anatola m-lle Bourienne. Stary książę ubiera się rozmyślając o nie rozstrzygniętej sprawie małżeństwa księżniczki Marii. Stary książę wychodzi do gości. Wymówki robione córce za ubiór i nową fryzurę. Rozmowa starego księcia z Anatolem. Książę Wasilij wyjaśnia staremu księciu na osobności swoje pragnienia i nadzieje. Podniecenie wszystkich trzech kobiet w związku z przybyciem Anatola. Marzenia księżniczki Marii i Francuzki Bourienne. W bawialni. Księżniczka Maria przy klawikordzie. Zalecanki Anatola do Bourienne.

V Nastrój księżniczki Marii, Bourienne u małej księżny ny przed zaślubieniami. Nastrój starego księcia po propozycji wydania za mąż księżniczki Marii za Anatola. Spotkanie się księcia Anatola i Bourienne w ogrodzie zimowym. Rozmowa starego księcia z córką o oświadczeniach. Księżniczka Maria, przechodząc przez ogród zimowy, natyka się na Anatola obejmującego Francuzkę. Jej stanowcza odmowa wobec księcia Wasilia. Radość starego księcia. Marzenia księżniczki Marii o poświęceniu się: postanawia za wszelką cenę połączyć małżeństwem Anatola i Bourienne.

VI Rostowowie otrzymują list od Mikołaja z zawiadomieniem o odniesionej ranie i awansie na oficera. Radość starego hrabiego. Anna Michajłowna przygotowuje hrabinę na tę wiadomość. Natasza domyśla się nowiny i zapoznawszy się z treścią listu zawiadamia o nim Sonię. Opinia Pieti o bracie i o siostrach. Rozmowy Nataszy z Sonią o Nikoleńce. Anna Michajłowna wręcza hrabinie list syna. Hrabina czyta list; cały dom układa odpowiedź.

VII Obóz pod Ołomuńcem. Wyjazd Mikołaja Rostowa do obozu gwardzistów, by odebrać od Borysa Drubeckiego pieniądze i listy przesłane z domu. Spotkanie Mikołaja z Borysem i Bergiem. Rostow czyta list z domu. Rozmowa Borysa z Mikołajem o służbie adiutanckiej. Opowiadanie gwardzistów o przemarszu gwardii i opowiadanie Rostowa o natarciu pawłogradców. Książę Andrzej Bołkoński odwiedza Drubeckiego. Starcie Rostowa z Bołkońskim. VIII Przegląd wojsk rosyjskich i austriackich przez obu cesarzy, Aleksandra I i Franciszka. Uczucie miłości i uwielbienia Mikołaja Rostowa do cesarza.

IX Wyjazd Borysa Drubeckiego do Ołomuńca, do Bołkońskiego, w sprawie urzędującego na stanowisku adiutanta znacznej osobistości. Scena w pokoju przyjęć naczelnego wodza – rozmowa księcia Andrzeja ze starym generałem rosyjskim. Postanowienie Borysa, by na przyszłość służyć jedynie według nie pisanej subordynacji. Bołkoński i Borys u księcia Dołgorukowa. Opowiadanie Dołgorukowa o posiedzeniu rady wojennej i o zwycięstwie partii

młodych – zwolenników natarcia, o liście Napoleona i historyjka o Napoleonie i hrabim Markowie. Książę Andrzej prosi Dołgorukowa o poparcie dla Borysa. Podniecenie Drubeckiego na myśl o zbliżeniu się do wyższej władzy.

X Szwadron Denisowa, w którym służył Mikołaj Rostow, pozostawiony w rezerwie. Zwycięstwo Rosjan nad Francuzami w bitwie pod Wischau. Zmartwienie Rostowa z powodu niewzięcia udziału w bitwie. Rostow kupuje od Kozaków konia francuskiego dragona, wziętego do niewoli. Przejazd cesarza Aleksandra. Entuzjazm Rostowa. Jego nowe spotkanie z cesarzem w Wischau. Denisow obchodzi awans na majora. Marzenia Rostowa, by umrzeć za cesarza.

XI Choroba cesarza Aleksandra w Wischau. Przyjazd francuskiego parlamentariusza Savary'ego z propozycją spotkania się cesarza Aleksandra z Napoleonem. Wysianie księcia Dołgorukowa do Napoleona. „Ruch” w kwaterze głównej w dniu 19 listopada na rzecz decyzji, by wydać bitwę pod Austeriitz. Książę Andrzej Bołkoński u księcia Dołgorukowa. Opowiadanie tegoż o spotkaniu z Napoleonem i jego obawie przed walną bitwą. Dołgorukow przedstawia plan skrzydłowego natarcia Weihrothera. Sprzeciw księcia Andrzeja i przedłożenie swojego planu. Przewidywania Kutuzowa, że bitwa zostanie przegrana.

XII Posiedzenie rady wojennej. Charakterystyka Weihrothera. Kutuzow zasypia podczas posiedzenia. Weihrother czyta dyspozycję bitwy pod Austeriitz. Generałowie podczas czytania dyspozycji. Zarzuty Langerona. Kutuzow zamyka posiedzenie. Rozmyślenia księcia Andrzeja w noc przed bitwą austerlitzką. Ambitne marzenia księcia Andrzeja o swoim „Tuleniu”.

XIII Mikołaj Rostow na linii pikiet. Marzenia Rostowa. Okrzyki w armii nieprzyjacielskiej. Książę Bagration i książę Dołgorukow obserwują dziwne zjawisko ognisk i okrzyków we francuskiej armii. Bagration posyła Rostowa, by sprawdził, czy Francuzi cofnęli linię pikiet. Francuzi strzelają do Rostowa. Bagration zatrzymuje przy sobie Rostowa jako oficera ordynansowego. Rozkaz Napoleona do swoich wojsk.

XIV Wymarsz oddziałów rosyjskich. Świadomość nieładu i zamętu. Niezadowolenie z Austriaków. Początek bitwy nad rzeczką Goldbach. Napoleon przed rozpoczęciem bitwy pod Austeriitz.

XV Marsz czwartej kolumny wojsk rosyjskich pod dowództwem Kutuzowa. Nastrój i marzenia księcia

Andrzeja przed rozpoczęciem bitwy. Kutuzow zagniewany na generała. Kutuzow wysyła księcia Andrzeja z rozkazem zatrzymania trzeciej dywizji i wysłania naprzód tyraliery. Cesarze, rosyjski i austriacki, w otoczeniu świty objeżdżają wojska. Pytanie Aleksandra I i odpowiedź Kutuzowa, dlaczego nie zaczynają bitwy. Rozkaz Kutuzowa do natarcia. Miloradowicz prowadzi swoją kolumnę do boju.

XVI Starcie czwartej kolumny z Francuzami. Ucieczka wojsk rosyjskich. Rana Kutuzowa. Książę Andrzej ze sztandarem w rękę rzuca się na czele batalionu na Francuzów. Książę Andrzej ranny; jego przeżycia.

XVII Na prawym skrzydle wojsk rosyjskich u Bagrationa. Książę Bagration wysyła Mikołaja Rostowa do naczelnego wodza lub cesarza po zarządzenie, czy rozpocząć natarcie. Jazda Rostowa wzdłuż frontu wojsk rosyjskich. Atak kawalergardów. Przejeżdżając obok gwardyjskich pułków piechoty Rostow spotyka Borysa Drubeckiego i Berga. Spotkanie Rostowa z uciekającymi żołnierzami rosyjskimi i austriackimi.

XVIII Rostow w pobliżu wsi Pratzen. Tłumy wojsk rosyjskich w rozsypce. Wieści, że cesarz i wódz naczelny są ranni. Pole, na którym leżą ranni i polegli. Artyleria francuska strzela do Rostowa. Rostow widzi cesarza za wsią Hostienradek i nie decyduje się zwrócić do niego.

Kapitan von Toll rozmawia z cesarzem. Ubolewanie Rostowa nad swym niezdecydowaniem i poszukiwanie Kutuzowa. Przegranie przez Rosjan bitwy pod Austerlitz. Odwrót kolumn rosyjskich w rozsypanie. Obstrzał przez francuską artylerię grobli pod Augest. Dołochow na grobli Augest.

XIX Książę Andrzej leży ranny na wzgórzu Pratzen. Napoleon objeżdża pole bitwy. Spostrzega, że książę Andrzej żyje, i każe go zanieść na punkt opatrunkowy. Francuzi wynoszą rannych oficerów rosyjskich, aby ich pokazać Napoleonowi. Rozmowa Napoleona z księciem Repninem i porucznikiem Suchtelenem. Rozmyślenia księcia Andrzeja o Napoleonie, o nicości potęgi, o nicości życia i śmierci. Epizod z obrazkiem, zdjętym z szyi księcia Andrzeja przez żołnierzy francuskich i założonym mu na nowo. Książę Andrzej zostawiony wraz z innymi rannymi pod opieką ludności.

TOM II

CZEŚĆ PIERWSZA

I Wyjazd Mikołaja Rostowa i Denisowa na urlop do Moskwy. Zniecierpliwienie Mikołaja w miarę zbliżania się do Moskwy i do domu. Powitanie z rodziną i z Sonią. Przyjęcie Denisowa przez Rostowów. Rozmowa Mikołaja z Nataszą nazajutrz rano. II Pobyt Mikołaja w Moskwie. Kłopoty starego hrabiego Ilii Andrejewicza Rostowa w związku z urządzeniem obiadu w Klubie Angielskim na cześć księcia Bagrationa. Rozmowa starego hrabiego z synem i Anną Michajłowną na temat Pierre'a. Opis nastrojów w Moskwie po otrzymaniu wieści o bitwie pod Austerlitz. Powody wyboru Bagrationa na bohatera Moskwy.

III W Klubie Angielskim przed obiadem na cześć Bagrationa. Członkowie klubu i goście. Denisow, Rostow,

Nieswicki, Pierre. Pogawki w kółkach starszych panów. Przyjazd i powitanie Bagrationa. Czytanie wierszy ułożonych na cześć bohatera. Obiad. Toasty.

IV Posępny nastrój Pierre'a Bezuchowa podczas obiadu i rozmyślenia o zdradzie żony. Wesołe ożywienie Mikołaja Rostowa w czasie obiadu. Starcie Pierre'a z Dołochowem i wyzwanie na pojedynek. Rozmowa Dołochowa z Rostowem o tajnikach pojedynku. Nastrój Pierre'a. Próby sekundanta Pierre – Nieswickiego, i sekundanta Dołochowa – Denisowa, by pogodzić przeciwników, pozostają bez rezultatu.

V Pojedynek. Strzał Pierre'a i rana Dołochowa. Rostow i Denisow wiozą rannego Dołochowa do matki.

VI Nastrój Pierre'a po pojedynku. Jego myśli o małżeństwie i o wzajemnych stosunkach z żoną. Postanowienie wyjazdu do Petersburga. Przyjście Helene do Pierre'a i scena z powodu pojedynku. Wybuch gniewu Pierre'a i zerwanie z żoną.

VII Otrzymanie w Łysych Górach wieści o bitwie pod Austerlitz i o śmierci księcia Andrzeja. Stary książę zawiadamia o tym księżniczkę Marię. Księżniczka Maria przygotowuje małą księżnę do wiadomości o śmierci księcia Andrzeja.

VIII Początek porodu małej księżnej. Nastrój księżniczki Marii. Przyjście do niej niani Praskowii Sawiszny.

Nastrój starego księcia i domowników łysogórskich. Niespodziewany przyjazd księcia Andrzeja do Łysych Gór. Spotkanie z księżniczką Marią.

IX Książę Andrzej w apartamencie żony. Nastrój księcia Andrzeja. Narodziny syna i śmierć małej księżnej. Spotkanie księcia Andrzeja z ojcem. Nabożeństwo żałobne za księżnę. Chrzest małego księcia Mikołaja.

X Służba Mikołaja Rostowa jako adiutanta wojskowego gubernatora Moskwy. Zbliżenie się Mikołaja do Dołochowa podczas jego rekonwalescencji po pojedynku. Opinia matki Dołochowa o synu i mniemanie Dołochowa o sobie. Atmosfera kochliwości w domu Rostowów. Dołochow

zakochuje się w Soni. XI Obiad u Rostowów w trzeci dzień Bożego Narodzenia 1806 r. Szczególne napięcie miłosnej atmosfery w domu. Nataszą zawiadamia Mikołaja, że Dolochow oświadczył się Soni i że Sonia dała mu rekuzę. Rozmowa Mikołaja z Sonią o oświadczeniach Dolochowa.

XII Bal „podlotków” u Johela. Osobliwe ożywienie Nataszy i Soni na balu. Denisow i Natasza tańczą polskiego mazura.

XIII Pożegnalna zabawa u Dolochowa przed wyjazdem! do armii. Spotkanie Mikołaja Rostowa z Dolochowem, który dostał kosza od Soni. Dolochow ma bank. Mikołaj siada do kart. Początek jego przegranej do Dolochowa.

XIV Gra skupia się wyłącznie na Rostowie. Rozmyślenia Rostowa o przegranej. Koniec gry. Mikołaj przegrał do Dolochowa czterdzieści trzy tysiące rubli. Rozmowa Rostowa z Dolochowem o terminie spłaty pieniędzy.

XV Przyjazd Mikołaja do domu. Młodzież domu Rostowów przy klawikordzie. Denisow śpiewa ułożony przez siebie utwór Czarodziejka. Domownicy spostrzegają ponury nastrój Mikołaja. Śpiew Nataszy i myśli Mikołaja pod wrażeniem jej śpiewu.

XVI Rozmowa Mikołaja Rostowa z ojcem w związku z przegraną. Natasza oznajmia starej hrabinie o oświadczeniach Denisowa. Odmowa hrabiny i odjazd Denisowa do armii. Życie Mikołaja w domu przed wyjazdem do armii.

CZEŚĆ DRUGA

I Pierre po scenie z żoną jedzie do Petersburga. Postój na stacji w Torzku. Pospępane myśli Pierre'a. Przybycie na stację masona Bazdiejewa. II Rozmowa z Pierre'em.

III Pierre w Petersburgu. Osamotnienie; lektura książek masonskich. Przyjazd hrabiego Willarskiego. Próba, jakiej podlega Pierre, i ceremonia przed wstąpieniem do loży masonskiej.

IV Zebranie loży masonskiej z okazji wstąpienia Pierre do masonerii.

V Przyjazd księcia Wasilia do Pierre'a w celu naprawy jego życia z Helene. Pierre wypędza księcia Wasilia. Wyjazd Pierre'a do swoich majątków.

VI Potępienie Pierre'a przez sfery towarzyskie za zerwanie z żoną i kordialne przyjęcie Helene po jej powrocie do Petersburga. Przyjęcie wieczorne u Anny Pawłowny Scherer pod koniec 1806 r. Przybycie Borysa Drubeckiego na wieczór. Jego charakterystyka. Helene okazuje zainteresowanie opowiadaniem Borysa.

VII Hipolit Kuragin opowiada dowcip o królu pruskim. Rozmowa o odznaczeniach. Helene zaprasza do siebie Drubeckiego. Zbliżenie się Borysa i Helene.

VIII Działalność starego księcia Bołkońskiego jako dowódcy pospolitego ruszenia. Życie księcia Andrzeja po kampanii 1805 r. Choroba małego Nikohiszki. Księżę Andrzej i księżniczka Maria w dzieciennym pokoju. List starego księcia do syna.

IX List Bilibina do księcia Andrzeja o kampanii 1806 r. Kryzys w chorobie Nikohiszki i radość księcia Andrzeja.

X Pierre w Kijowie. Wezwanie wszystkich zarządzających majątkami i oznajmienie im o zamiarze uwolnienia chłopów od poddaństwa. Budżet Pierre. Jego prace z głównym administratorem. Niefrasobliwe życie Pierre'a w Kijowie. Wiosną 1807 roku Pierre objeżdża swoje majątki. Spotkania Pierre'a z chłopami, przygotowane przez głównego administratora. Naiwny zachwyt Pierre'a nad dobrem wyświadczonym chłopom.

XI Pierre u Bolkońskiego w Boguczarowie. Spotkanie z księciem Andrzejem. Zmiany zaszczytu w księciu Andrzejem. Intymna rozmowa Pierre'a z księciem Andrzejem o życiu i przeznaczeniu człowieka.

XII Podróż księcia Andrzeja i Pierre'a do Łysych Gór. Pierre wyklada księciu Andrzejowi ideę masonerii. Rozmowa przyjaciół na promie.

XIII Książę Andrzej i Pierre w Łysych Górach. Odwiedziny księżniczki Marii i rozmowa z „ludźmi bożymi”.

XIV Opowiadanie pątniczki. Wypowiedź księżniczki Marii o księciu Andrzeju. Przyjazd starego księcia. Spór Pierre'a ze starym księciem. Przyjazne stosunki Pierre'a z całą rodziną Bolkońskich.

XV Powrót Mikołaja Rostowa do pułku. Spokój Rostowa po wejściu w ustalone tryby pułkowego życia. Postój pułku Pawłogradzkiego w pobliżu Bartenstein. Głód i choroby wśród żołnierzy pułku Pawłogradzkiego. Żołnierze odżywiają się „korzeniem Maszki”. Przyjaźń Rostowa z Denisowem. Mikołaj ratuje od głodu starego Polaka i jego córkę z dzieckiem. XVI Denisow i Rostow ze swym pułkiem na forpocztach. Oficerska ziemianka. Denisow siłą odbija u swoich transport żywności, przeznaczony dla pułku piechoty. Wyjazd Denisowa do sztabu w celu załatwienia tej sprawy i opowiadanie o spotkaniu się tam z Tielaninem, o pobiciu Tielanina i innych funkcjonariuszy sztabu. Pociągnięcie Denisowa do odpowiedzialności za odbicie transportu i awanturę w sztabie. Rana Denisowa i jego wyjazd do szpitala.

XVII Rozejm między Rosjanami i Francuzami po bitwie pod Friedlandem. Wyjazd Mikołaja Rostowa do Denisowa do szpitala. Rozmowa Mikołaja z doktorem. Rostow ogląda sale żołnierskie. Przygnębienie Rostowa na widok chorych i rannych.

XVIII Rostow w salach oficerskich. Spotkanie z rannym Tuszyńcem. Stan rany Denisowa. Denisow czyta swoją odpowiedź na pismo komisji śledczej w sprawie zajścia z funkcjonariuszami prowiantury. Denisow postanawia wysłać przez Rostowa prośbę do cesarza o łaskę.

XIX Wyjazd Rostowa do Tylży w sprawie Denisowa. Spotkanie cesarza Aleksandra I z Napoleonem z Tylży. Borys Drubecki w świcie cesarza. Jego powodzenie w służbie. Hrabia Żyliński, mieszkający razem z Borysem, urządza kolację dla znajomych Francuzów. Rostow przychodzi do Borysa podczas kolacji. Rozmowa Mikołaja z Borysem o sprawie Denisowa.

XX Mikołaj Rostow w cywilnym ubraniu chodzi po ulicach miasta. Jego myśli o spotkaniu z cesarzem i wręczeniu mu prośby Denisowa. Rostow w pokoju przyjęć cesarza. Spotkanie Mikołaja ze znajomym generałem kawalerii i prośba, by wręczył pismo. Wyjście Aleksandra I. Entuzjazm Rostowa na widok cesarza.

XXI Przyjacielskie spotkanie cesarzy: rosyjskiego i francuskiego. Napoleon odznacza Orderem Legii Honorowej żołnierza pułku Preobrażeńskiego Łazariewa.

Batalion francuskiej gwardii wydaje obiad dla batalionu przeobrażeńskiego. Gwałtowny wybuch Rostowa w związku z poglądem oficerów na pokój i sojusz z Francuzami.

CZEŚĆ TRZECIA

I Zbliżenie się Napoleona i Aleksandra w latach 1808–1809. Życie i praca księcia Andrzeja Bołkońskiego na wsi. Podróż księcia Andrzeja do dóbr syna w guberni rizańskiej. Wiosna w lesie. Posępne myśli księcia Andrzeja na widok starego dębu. II Wyjazd księcia Andrzeja do Rostowów do Otradnego. Spotkanie z Nataszą. Książę Andrzej i Natasza. Książę Andrzej mimo woli podsłuchuje intymną rozmowę Nataszy z Sonią.

III Powrót księcia Andrzeja do domu. Przyptyw radości i rzeźkości w duszy księcia Andrzeja na widok odradzającego się starego dębu. Bołkoński wierzy w możliwość powrotu do życia czynnego, w szczęście i miłość i postanawia wyjechać jesienią do Petersburga.

IV Przyjazd księcia Andrzeja do Petersburga. Okres reform i apogeum sławy Sperańskiego. Książę Andrzej na audiencji u Arakczewewa. V Sprawy księcia Andrzeja w Petersburgu i uwielbienie jego dla Sperańskiego. Kordialne przyjęcie Bołkońskiego przez najrozmaitsze koła towarzystwa petersburskiego. Książę Andrzej u hrabiego Koczubeja. Spotkanie i rozmowa ze Sperańskim.

VI Pobyt księcia Andrzeja w Petersburgu. Wrażenie, jakie wywarł na nim Sperański. Charakterystyka Sperańskiego. Nominacja księcia Andrzeja na członka komisji do opracowania statutów wojskowych i komisji ustawodawczej.

VII Pierre na czele masonerii petersburskiej. Niezadowolenie Pierre'a z działalności masonerii. Wyjazd Pierre'a za granicę celem uzyskania wyższego wtajemniczenia masońskiego. Powrót do Petersburga. Uroczyste posiedzenie loży masońskiej. Przemówienie Pierre'a i wzburzenie, jakie ono wywołało w loży. Zerwanie Pierre'a z petersburskimi masonami. VIII Melancholia Pierre'a. Wyjazd do Moskwy, do Józefa Aleksiejewicza. Dziennik Pierre'a. Pojednanie z żoną.

IX Koła wyższego towarzystwa petersburskiego. Kółko francuskie związku napoleońskiego – hrabiego Rumiancewa i Caulaincourta. Helene w centruij tego kółka. Jej salon. Rola Pierre'a w salonie żony. Zbliżenie się Helene z Borysem Drubeckim. Sto-;

sunek Pierre'a do Borysa. X Dziennik Pierre'a Bezuchowa.

XI Przyjazd Rostowów do Petersburga. W Petersburgu Rostowowie należą do mieszanego i niezbyt określonego towarzystwa. Berg oświadcza się Wierze. Sukcesy Berga w służbie. Rozmowa Berga ze starym hrabią w sprawie posagu.

XII Natasza w Petersburgu. Przyjazd Borysa Drubeckiego do Rostowów. Spotkanie z Nataszą i wrażenie, jakie na nim zrobiła. Borys czuje skłonność do Nataszy.

XIII W sypialni hrabiny Rostow. Nocne odwiedziny Nataszy i rozmowa matki z córką. Myśli Nataszy o sobie.

XIV Noworoczny bal u dygnitarza z czasów Katarzyny. Zjeżdżanie się zaproszonych gości. Przygotowania Rostowów do balu. Podniecenie Nataszy przed wyjazdem na pierwszy wielki bal. Przygotowania do balu starej frejliny Perońskiej. XV Przyjazd Nataszy na bal. Wrażenie, jakie Natasza wywiera na pani domu i niektórych gościach. Perońska wymienia Rostowom ważniejsze osobistości będące na balu. Pierre i księżę Andrzej na balu.

XVI Przyjazd na bal Aleksandra. Cesarz otwiera bal. Rozpacz Nataszy, że nie tańczy wśród pierwszych par. Walc. Księżę Andrzej zaprasza Nataszę do tańca. Ożywienie księcia Andrzeja. XVII Wesole usposobienie Nataszy i jej tańce podczas całego wieczoru. Wrażenie, jakie Natasza wywiera na księciu Andrzeju. Posępny nastrój Pierre'a na balu.

XVIII Nastrój księcia Andrzeja po balu. Opowiadanie Bickiego o posiedzeniu Rady Państwa. Obojętność księcia Andrzeja w związku z tym posiedzeniem. Bolkoński na obiedzie u Sperańskiego. Rozczarowanie księcia Andrzeja do Sperańskiego i do swej działalności.

XIX Wizyty księcia Andrzeja u Rostowów. Śpiew Nataszy. Rozmyślenia księcia Andrzeja po odwiedzinach u Rostowów.

XX Berg zaprasza Pierre'a do siebie na wieczór. Berg i Wiera w swoim mieszkaniu oczekują gości. Przyjazd Pierre'a, Borysa i innych gości.

XXI Natasza i księżę Andrzej na przyjęciu u Bergów. Pierre obserwuje ich oboje. Rozmowa Wiery

z księciem Andrzejem o uczuciach, o Nataszy i o dziecinnej miłości Nataszy do Borysa. Ożywienie księcia Andrzeja. XXII Księżę Andrzej spędza cały dzień u Rostowów.;

Lęk w domu Rostowów przed czymś ważnym, co musi się stać. Rozmowa Nataszy z matką o księciu S Andrzeju i o swoich uczuciach. Raut u Helene.;

Posępny nastrój Pierre'a. Księżę Andrzej oznajmia

Pierre'owi o swej miłości do Nataszy i o decyzji poślubienia jej. Pierre cieszy się szczęściem swego przyjaciela.

XXIII Wyjazd księcia Andrzeja do ojca, by zawiadomić go o zamierzonym ożenku. Stary księżę stawia jako warunek swojej zgody odłożenie ślubu na rok. Natasza daremnie oczekuje

przyjścia księcia Andrzeja. Natasza zakochana w sobie i pełna zachwytu nad sobą. Przyjazd księcia Andrzeja. Oświadczyzny. Wzruszenie i łzy Nataszy. Jej zmartwienie z powodu odroczenia wesela.

XXIV Wzajemny stosunek księcia Andrzeja i Nataszy po I zaręczynach. Rodzina Rostowów przyzwyczajają się do Bołkońskiego. Stosunek domowników do narzeczonych. Rozstanie się Nataszy z księciem Andrzejem.

XXV Pogorszenie się zdrowia i usposobienia starego księcia Bołkońskiego. Spotęgowanie rozdrażnienia względem księżniczki Marii. List księżniczki Marii do Julie Karagin.

XXVI Księżniczka Maria otrzymuje list od brata z zawiadomieniem o zaręczynach z Nataszą Rostow i z prośbą o wstawiennictwo u ojca, by skrócił wyznaczony termin. Irytacja starego księcia na syna i zamiar ożenienia się z m-lle Bourienne. Tajemne marzenia i nadzieje księżniczki Marii, że uda się jej porzucić rodzinę oraz troski o dobra światowe i zostać pątniczką.

CZEŚĆ CZWARTA

I Rozważania autora o próżnowaniu. Służba Mikołaja Rostowa w pułku Pawłogradzkim. Listy rodziny do niego o pogorszeniu się interesów i prośba o przyjazd do domu. Lęk Mikołaja przed utratą warunków życia, do których przywykł. List starej hrabiny i postanowienie Mikołaja, że weźmie urlop. Pożegnanie Rostowa przez kolegów. Przyjazd Mikołaja do Otradnego. Rozmowa Mikołaja z Nataszą o księciu Andrzeju.

II Ingerencja Mikołaja w sprawy majątkowe, pobicie Mitińki. Rozmowa starego hrabiego z synem. Mikołaj niszczy weksel Anny Michajłowny. III Doskonała pogoda do polowania. Mikołaj wybiera się na polowanie. Rozmowa z Danilem. Natasza oznajmia bratu, że postanowiła jechać na polowanie. IV Polowanie Rostowów w polu. Spotkanie z wujaszkiem.

Stary hrabia na polowaniu. V Mikołaj oczekuje na zwierza. Modlitwa Rostowa.

Szczucie wilka.

VI Dalszy ciąg polowania. Szczucie lisa. Starcie strzelca Rostowów ze strzelcem Iłagina. Spotkanie Mikołaja z sąsiadem Iłaginem. Wzajemne opinie myśliwych o psach. Wspólne szczucie zająca. Podniecenie myśliwych.

VII Mikołaj i Natasza u wujaszka. Anisja Fiodorowna. Wujaszek Michał Nikanorycz. Gra Mit'ki na bałajce. Wujaszek gra na gitarze. Tańce Nataszy. Śpiew wujaszka. Powrót Mikołaja i Nataszy do domu.

VIII Ruina majątkowa Rostowów. Pogłoski o sprzedaży

rodowego pałacu i posiadłości podmoskiewskiej. Projekt starej hrabiny, by dla poprawienia interesów Mikołaj ożenił się z bogatą panną. Rozmowa starej hrabiny z synem o jego ożenku z Julie Karagin. Odmowa Mikołaja i zbliżenie jego z Sonią. IX Boże Narodzenie w domu Rostowów. Nastrój Na

taszy – tęsknota za narzeczonym. X Mikołaj, Sonia i Natasza w bawialni. Wspomnień! przeszłości. Śpiew i łzy Nataszy. Przybycie prze bierańców i ich tańce. Mikołaj, Natasza, Sonia i Pietia przebierają się i postanawiają jechać do sąsiadów. Spotkanie z Mikołajem. Jazda trójkami d Mielukowów.

XI Młodzież domu Rostowów i Mielukowów. Tańce zabawy przebierańców. Rozmowy o zapustnych wróżbach. Szczególne ożywienie Soni. Sonia idzie do spichrza na wróżby. Spotkanie z Mikołajem na podwórzu.

XII Powrót młodych Rostowów do domu. Rozmowa Mikołaja z Nataszą o decyzji poślubienia Soni;

zgoda Nataszy. Marzenia przyjaciółek o przyszłym szczęściu. Wróżby Nataszy i Soni.

XIII Mikołaj oznajmia matce, że postanowił ożenić się z Sonią. Sprzeciw hrabiny i wymówki

robione Soni. Wyjaśnienia i sprzeczka Mikołaja z matką. Ingerencja Nataszy. Wyjazd Mikołaja do pułku. Wyjazd starego hrabiego, Nataszy i Soni do Moskwy.

CZEŚĆ PIĄTA

I Zmiany w życiu Pierre'a po zaręczynach księcia Andrzeja z Nataszą: odsunięcie się od masonerii, bywanie w klubie, zbliżenie się do kompanów z czasów kawalerskich. Wyjazd Pierre'a do Moskwy. Serdeczne przyjęcie go przez moskiewskie towarzystwo – jego życie w Moskwie. Pierre rozmyśla o swoim niezadowoleniu z życia.

II Przyjazd do Moskwy starego księcia Bołkońskiego z córką. Księżę odgrywa rolę przywódcy moskiewskiej opozycji wobec rządu. Ciężkie życie księżniczki Marii w Moskwie. Jej osamotnienie. Zbliżenie się starego księcia z m-lle Bourienne. Stary księżę gniewa się na córkę za to, że krzyczała na Francuzkę.

III Dzień imienin księcia Mikołaja Andrejewicza. Odwiedziny doktora, Francuza Metiviera. Księżę wypędza Metiviera. Gniew starego księcia. Obiad imieninowy. Goście: Rastopczyn, księżę Łopuchin, Pierre, Borys Drubecki. Rozmowa o nowinach politycznych. IV Rozmowa Pierre'a z księżniczką Marią o Borysie

Drubeckim i jego małżeńskich zamiarach. Mimowolna szczerłość w wypowiedzi księżniczki Marii o sobie. Pierre wypytuje się o Nataszę.

V Niezdecydowanie Borysa co do wyboru jednej z dwu bogatych panien: Julie i księżniczki Marii. Julie Karagin. Melancholijny nastrój Borysa i Julie. Wiersze. Anna Michajlowna zbiera informacje

posagu. Borys oświadcza się Julie. VI Przyjazd hrabiego Ilii Andrejewicza Rostowa z Nataszą i Sonia do Moskwy. Przyjęcie ich przez Marię Dmitriewnę Achrosimow. Rozmowa Marii Dmitriewny z Nataszą.

VII Wizyta starego hrabiego i Nataszy u księcia Mikołaja Andrejewicza Bołkońskiego. Przyjęcie ich przez księżniczkę. Ilija Andrejewicz zostawia Nataszę z księżniczką Marią. Natasza czuje się obrażona przyjęciem. Przyjście starego księcia w szlafroku. Odjazd Rostowów. Łzy Nataszy.

VIII Rostowowie wybierają się do opery. Rozmyślenia Nataszy o księciu Andrzeju i o swej miłości do niego. Przyjazd do teatru. Zainteresowanie, jakie wzbudziły Natasza i Sonia w teatrze. Znajomi. Borys z Julie i Anna Michajlowna. Dolochow. Szynszyn

w łoży Rostowów. Helene. IX Początek opery. Wrażenie, jakie opera wywiera na Nataszy. Anatol Kuragin w łoży Helene. Pierre w łoży Rostowów. Wrażenie, jakie Natasza wywiera na Kuraginie. Rozmowa Helene ze starym hrabią. Natasza przechodzi do łoży Helene. Trzeci akt opery.

X Helene przedstawia Nataszy brata. Anatol. Rozmowa Anatola z Nataszą. Uczucie bliskości z Kuraginem. Odjazd Rostowów z teatru. Niepokój Nataszy i jej rozmyślenia w domu o tym, co zaszło. XI Życie Anatola Kuragina w Moskwie. Charakterystyka Anatola. Jego rozmowa z Dolochowem o Nataszy.

XII Niepokój Nataszy po wizycie u Bolkońskich i po spektaklu w teatrze. Maria Dmitriewna jedzie do starego księcia Bolkońskiego. Przyjazd Helene do Nataszy i zaproszenie jej na wieczorne przyjęcie. Powrót Marii Dmitriewny.

XIII Stary hrabia z Nataszą i Sonią na przyjęciu u hrabiny Bezuchow. Deklamacja aktorki George. Zaloty Anatola do Nataszy. Tańce. Pocałunek. Po powrocie do domu Nataszą zadaje sobie pytanie, kogo kocha: księcia Andrzeja czy Anatola.

XIV Maria Dmitriewna opowiada Nataszy i staremu hrabiemu o wizycie u Bolkońskiego i radzi im jechać na wieś, by tam oczekiwać powrotu księcia Andrzeja. List księżniczki Marii do Nataszy. Nie rozstrzygnięte pytanie Nataszy. Nataszą otrzymuje miłosny list od Anatola.

XV Sonia czyta list Anatola do Nataszy. Rozmowa przyjaciółek. Nataszą mówi Soni o swej miłości do Kuragina. List Nataszy do księżniczki Marii, że zrywa z księciem Andrzejem. Rozmowy między Nataszą i Sonią po spotkaniu się z Anatolem u Kuraginów i zamiar ucieczki z nim. Wzburzenie Soni podejrzewającej Nataszę o planowanie ucieczki.

XVI Anatol w mieszkaniu Dołochowa. Plan porwania hrabianki Rostow. Rozmowa Dołochowa z Anatolem o jego zamiśle. Przyjazd woźnicy Balagi i rozmowa z nim.

XVII Przygotowania Anatola do odjazdu. Pożegnanie z towarzyszami. Epizod z futrem. Wyjazd. Nieudana próba porwania Nataszy.

XVIII Zdemaskowanie zamiarów Nataszy. Scena między Marią Dmitriewna a Nataszą. Powrót starego hrabiego z podmoskiewskiej posiadłości. Rozpacz Nataszy.

XIX Maria Dmitriewna wzywa listownie Pierre'a do siebie. Spotkanie Pierre'a z Anatolem. Maria Dmitriewna oznajmia Pierre'owi o zerwaniu Nataszy z księciem Andrzejem i o próbie porwania jej przez Anatola oraz prosi go, by nakazał Kuraginowi wyjechać z Moskwy. Pierre zawiadamia Nataszę, że

Anatol jest żonaty.

XX Pierre poszukuje Anatola w mieście i spotyka go u swojej żony. Scena między Pierre'em i Anatolem.

XXI Pierre u Marii Dmitriewny. Próba otrucia się Nataszy i jej choroba. Pogłoski w mieście o porwaniu hrabianki Rostow. Przyjazd księcia Andrzeja i wręczenie mu przez ojca listu Nataszy z zawiadomieniem o zerwaniu zaręczyn. Pierre u Bołkońskich. Rozmowa księcia Andrzeja z Pierre'em o odmowie Nataszy. Ożywienie starego księcia i radość księżniczki Marii z powodu rozchwiania się małżeństwa księcia Andrzeja.

XXII Pierre u Rostowów. Spotkanie i rozmowa z Nataszą. Współczucie i miłość Pierre'a do Nataszy. Pierre zdradza się mimo woli. Łzy Nataszy. Pierre w drodze do domu. Kometa roku 1812 i nastrój

Pierre'a.

TOM III

CZEŚĆ PIERWSZA

I Myśli autora o przyczynach wydarzeń historycznych w ogóle i o przyczynie ruchu narodów europejskich z Zachodu na Wschód w związku z wojną

1812 roku. Fatalizm w historii. II Wyjazd Napoleona z Drezna, przybycie do armii znajdującej się w Polsce. Rozkaz przejścia Niemna i wkroczenie do Rosji. Entuzjastyczny stosunek wojsk do Napoleona. Pułk ułanów polskich przepływa Wilię.

III Pobyt cesarza rosyjskiego Aleksandra w Wilnie. Brak ogólnego planu działań i nieprzygotowanie Rosji do wojny. Obiad i bal wydany przez general--adiutantów na cześć Aleksandra. Helene Bez-uchow i Borys Drubecki na balu. Wiadomość o wkroczeniu wojsk francuskich do Rosji. List Aleksandra I do Napoleona.

IV Aleksander I wzywa Bałaszewa i nakazuje mu odwieźć i osobiście wręczyć list Napoleonowi. Bałaszew na forpocztach Francuzów. Spotkanie i rozmowa Bałaszewa z Muratem.

V Przyjęcie Bałaszewa przez marszałka Davout. Czterodniowy pobyt Bałaszewa w obozie francuskim i przyjazd jego do Wilna zajętego przez Francuzów.

VI Przyjęcie Bałaszewa przez Napoleona. Rozmowa z cesarzem Francuzów. Wybuch gniewu Napoleona.

VII Nieoczekiwane zaproszenie Bałaszewa na obiad do Napoleona. Uprzejme zachowanie się Napoleona wobec niego. Rozmowa podczas obiadu i przy kawie. Zręczne odpowiedzi Bałaszewa na pytania Napoleona o Moskwę. Odjazd Bałaszewa. VIII Księżę Andrzej poszukując Anatola Kuragina jedzie do Petersburga, a potem do armii w Turcji, gdzie pozostaje

przy sztabie Kutuzowa. W r. 1812 po otrzymaniu wiadomości o wojnie Bołkoński przenosi się do armii zachodniej. Wyjazd księcia Andrzeja do Łysych Gór. Kłótnia z ojcem z powodu siostry i Francuzki Bourienne. Odjazd księcia Andrzeja do armii.

IX Przyjazd Bołkońskiego do obozu armii rosyjskiej nad Dryssą. Sztab cesarskiej kwatery głównej. Różne kierunki i partie w armii: partia niemiecka – Pfuella i jego zwolennicy – teoretycy wojny;

partia Rosjan – Bagration, Jermolow; partia dworska – Arakcejew i inni; kierunek wielkiego księcia i Rumiancewa, zwolenników pokoju, stronnicy Barciaya de Tolly, partia Bennigsen, partia ludzi stojących przy cesarzu – Szyszkowa i innych, którzy wystosowali pismo do Aleksandra I. X Aleksander I, Bennigsen i Paulucci dokonują przeglądu obozu nad Dryssą. Charakterystyka Pfuella. XI Paulucci w rozmowie z Aleksandrem I krytykuje obóz nad Dryssą. Rada wojenna. Pfuella przedstawia swój plan. Dyskusja. Rozmyślenia księcia Andrzeja o wiedzy wojskowej. Postanowienie księcia Andrzeja, by służyć w armii, a nie w sztabie.

XII Mikołaj Rostow otrzymuje list od rodziców z prośbą, by podał się do dymisji. List Mikołaja do Soni. Jego marzenia o spokojnym życiu na wsi. Niemożność podania się do dymisji w związku z początkiem kampanii. Życie huzarów pułku Pawlogradzkiego w czasie marszu przez Polskę. Mikołaj Rostow i Ilin. Wiadomość o bohaterstwie Rajewskiego. Rostow rozmyśla o czynie Rajewskiego.

XIII W karczmie: zaloty oficerów do żony lekarza, Marii Henrykowny, picie herbaty, gra w durnia.

XIV Wymarsz szwadronu Mikołaja Rostowa do Ostrowna.

Nastrój Rostowa przed bitwą. Początek bitwy pod Ostrownem.

XV Dragoni francuscy ścigają rosyjskich ułanów. Mikołaj Rostow ze swoim szwadronem atakuje Francuzów. Niejasne, zagmatwane uczucia, jakich doznaje Mikołaj Rostow po wzięciu do niewoli oficera, i jego myśli o swoim bohaterskim czynie i odwadze.

XVI Życie Rostowów w Moskwie. Choroba Nataszy po zerwaniu z księciem Andrzejem. Zmartwienie hrabiego i hrabiny z powodu choroby córki, konsylium lekarskie i leczenie Nataszy. XVII Przygnębianie Nataszy. Rozdzwięk- z rodziną i zbliżenie się z Pierre'em. XVIII Ogłoszenie w Moskwie odezwy i manifestu o wojnie. Natasza z matką w domowej cerkwi Razumowskich. Nastrój Nataszy w czasie nabożeństwa. Kapłan odmawia modlitwę na intencję ocalenia Rosji od najazdu wroga.

XIX Apokaliptyczne wyliczenia Pierre'a i myśli o bohaterskim czynie, którego dokonanie jest mu przeznaczone. Pierre przesyła list Mikołaja do Rostowów. XX Pierre przyjeżdża do Rostowów na obiad. Spotkanie i rozmowa Pierre'a z Nataszą. Czytanie manifestu o wojnie. Pietia prosi rodziców, by mu pozwolili wstąpić do wojska. Pierre, przekonawszy się o swoich uczuciach do Nataszy, postanawia nie być więcej u Rostowów.

XXI Łzy Pieti, któremu nie pozwalają wstąpić do wojska. Przyjazd Aleksandra I do Moskwy. Pietia postanawia przedstawić się cesarzowi i prosić go o przyjęcie do służby wojskowej. Pietia wśród tłumu na Kremlu. Entuzjazm Pieti. Pietia w stłoczonej cizbie. Obiad Aleksandra na Kremlu. Epizod z biskopem.

XXII Zebranie szlachty i kupiectwa w pałacu Słobodzkim.

Odczytanie manifestu i komentarze szlachty. Przemówienie Pierre'a. Napaść szlachty na Pierre'a za jego zbyt śmiało przemówienie.

XXIII Przyjazd Rastopczyzna, a po nim cesarza na zebranie szlachty.

CZEŚĆ DRUGA

I Rozważania autora o wydarzeniach historycznych i o roli postaci historycznych. Rola Aleksandra i Napoleona w wypadkach 1812 roku i krótki przegląd działań wojennych od

początku wojny do oddania Smoleńska.

II Łyse Góry. Stary książę po kłótni z synem odsuwa od siebie Francuzkę. List Julie Drubeckiej do księżniczki Marii. Listy księcia Andrzeja o przebiegu wojny i o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Rozmowa Dessales'a ze starym księciem o wojnie. Stary Bołkoński nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa zbliżania się teatru wojny.

III Stary książę w gabinecie czyta swoje remargues. Wysłanie Ałpatycza do Smoleńska. Rozmowa księcia z Tichonem o liście księcia Andrzeja. Wspomnienia starego księcia o swej młodości.

IV Wyjazd Ałpatycza do Smoleńska. Ałpatycz zatrzymuje się w Smoleńsku u kupca Fierapontowa. Ruch wojsk rosyjskich w mieście. Ałpatycz u gubernatora. Bombardowanie Smoleńska. Zranienie kucharki Fierapontowa. Spotkanie Ałpatycza z księciem Andrzejem, który pisze do ojca, by bezzwłocznie wyjechał z Łysych Gór do Moskwy. Berg jako szef sztabu robi uwagę księciu Andrzejowi.

V Książę Andrzej ze swoim pułkiem w marszu. Nastrój księcia Andrzeja. Książę Andrzej wstępuje do opustoszałych Łysych Gór. Rozmowa z Ałpatyczem – książę Andrzej na skutek nieporozumienia przypuszcza, że ojciec, siostra i syn wyjechali do Moskwy, gdy tymczasem wszyscy oni są w Boguczarowie. Kąpiel żołnierzy w stawie. Myśli Bolkońskiego

„mięsie armatnim”. List Bagrationa do Arakczejewa z oskarżeniem ministra wojny i naczelnego wodza Barciaya de Tolly.

VI Petersburg. Światowe salony i kółka polityczne:

francuskie, Rumiancewowskie, kółko Helene i kółko Anny Pawłowny Scherer oraz ich stosunek do wojny. Rozmowy w salonie Anny Pawłowny o mianowaniu nowego wodza naczelnego. Ostra ujemna opinia księcia Wasilia o Kutuzowie. Nominacja Kutuzowa

na pełnomocnego wodza naczelnego armii rosyjskiej i całego kraju, zajętego przez wojska. Rozmowa w salonie Anny Pawłowny o tej nominacji. Książę Wasilij szybko zmienia swój stosunek do Kutuzowa, gorąco opowiadając się za nim.

VII Francuzi wyruszają ze Smoleńska do Moskwy. Ławruszka

dostaje się do niewoli francuskiej. Rozmowa Napoleona z Ławruszką. Napoleon uwalnia Ławruszkę.

VIII Stary książę zostaje sparaliżowany; jego choroba. Zmiana stosunku starego Bolkońskiego do córki. Nastrój księżniczki Marii. Przygotowania do wyjazdu do Moskwy. Rozmowa księżniczki Marii z ojcem. Śmierć starego księcia.

IX Charakterystyka chłopów boguczarowskich. Sołtys Dron. Chłopi odmawiają dostarczenia podwód pod rzeczy księżniczki Marii.

X Smutek księżniczki Marii po śmierci ojca. Francuzka Bourienne przynosi księżniczce Marii odezwę francuskiego generała Rameau do mieszkańców wzywającą ich, by nie opuszczali swoich domów, i radzi jej zostać w Boguczarowie. Uczucie dumy narodowej w księżniczce Marii. Postanowienie bezzwłocznego wyjazdu. Rozmowa księżniczki Marii z sołtysem Dronem.

XI Dron zwołuje boguczarowskich chłopów. Przemówienie księżniczki Marii skierowane do tłumu. Chłopi nie godzą się na wyjazd księżniczki Marii z Boguczarowa.

XII Myśli księżniczki Marii o ojcu, jego chorobie i śmierci.

XIII Mikołaj Rostow, Ilin i Ławruszką w poszukiwaniu prowiantu przyjeżdżają do Boguczarowa. Ałpatycz zawiadamia Rostowa o buncie chłopów i o tym, że chłopi nie chcą pozwolić na wyjazd księżniczki z majątku. Spotkanie Rostowa z księżniczką Marią.

XIV Gniew Mikołaja Rostowa na buntujących się chłopów. Rostow tłumi bunt. Ładowanie rzeczy i wyjazd księżniczki Marii z Boguczarowa. Wrażenie, jakie wywarli na siebie wzajemnie Mikołaj i księżniczka Maria.

XV Kutuzow wzywa księcia Andrzeja do kwatery głównej. Przyjazd Bolkońskiego do Carewa-Zajmiszcza.

Kutuzow dokonuje przeglądu wojsk. Serdeczne przyjęcie księcia Andrzeja przez wodza naczelnego. Denisow przedkłada Kutuzowowi swój plan wojny partyzanckiej. Osobowość Kutuzowa.

XVI Intymna rozmowa Kutuzowa z księciem Andrzejem o wojnie. Jego propozycja, by Bolkoński pozostał przy nim, i odmowa księcia Andrzeja. Charakterystyka Kutuzowa. Księżę Andrzej po rozmowie z Kutuzowem uspokaja się co do ogólnego biegu spraw.

XVII Moskwa przed wkroczeniem Francuzów. Afisze Rastopczyna. Przyjęcie u Julie Drubeckiej. Kary za używanie języka francuskiego. Przyjazd Pierre'a na przyjęcie wieczorne u Julie.

XVIII Pierre u siebie w domu. Pierre zamierza wyjechać do armii. Księżniczka przychodzi do Pierre'a; rozmowa o niebezpieczeństwie pozostania w Moskwie. Pierre jedzie na wieś, do Woroncowa, celem obejrzenia balonu Leppicha. Wracając do domu Pierre jest świadkiem chłosty francuskiego kucharza. Wyjazd Pierre'a do Możajska, do wojska. XIX Rozważania autora o bitwach pod Szewardinem i pod Borodinem. Opis bitwy pod Borodinem. Przepuszczalny a rzeczywisty plan rozmieszczenia wojsk rosyjskich i francuskich podczas bitwy. XX Pierre jedzie z Możajska do armii i spotyka transport rannych. Spotkanie Pierre'a ze znajomym doktorem. Pospolite ruszenie.

XXI Pierre ogląda pozycje wojsk rosyjskich pod Borodinem. Cerkiewna procesja. Kutuzow ze świtą uczestniczy w modłach.

XXII Spotkanie Pierre'a z Borysem Drubeckim, Kajsarowem i innymi znajomymi ze świty naczelnego wodza. Kutuzow w przededniu bitwy pod Borodinem. Zdegradowany Dolochow u naczelnego wodza. Rozmowa Kutuzowa z Pierre'em. Dolochow godzi się z Pierre'em przed bitwą. Pierre w świetle Bennigsen'a jedzie na pozycje.

XXIII Zarządzenie Bennigsen'a. Pierre powątpiewa w swoje zdolności zrozumienia spraw wojskowych.

XXIV Andrzej Bolkoński w przededniu bitwy pod Borodinem

Nastrój i myśli księcia Andrzeja. Przyjście do niego oficerów z jego pułku, a następnie Pierre'a. XXV Rozmowa Pierre'a z księciem Andrzejem i oficerami o rozmieszczeniu wojsk rosyjskich, o naczelnym wodzu, o wojnie i mającej się odbyć bitwie. Wzburzenie i rozdrażnienie księcia Andrzeja. Jego poglądy na wojnę. Rozmyślania o Nataszy.

XXVI Napoleon przed bitwą pod Borodinem. Poranna toaleta cesarza Francuzów. Napoleon przyjmuje prefekta pałacu Beausseta. Scena z portretem syna. Rozkaz Napoleona do armii. XXVII Napoleon ogląda pole mającej się odbyć bitwy. Dyspozycje Napoleona. Rozważania autora o niemożliwości wykonania tych dyspozycji. XXVIII Rozmyślania autora o roli postaci historycznych w historycznych wydarzeniach.

XXIX Rozmowa Napoleona z Beaussetem o Paryżu. Bezsensowność Napoleona. Rozmowa z Rappem. Nocny spacer przed namiotem. Początek bitwy pod Borodinem.

XXX Pierre na kurhanie. Widok pola bitwy. Artyleryjska kanonada.

XXXI Pierre przejeżdża wśród żołnierzy pierwszej linii. Ranni. Bateria Rajewskiego. Obserwacje Pierre'a na baterii. Bitwa w toku. Zabici. Ataki Francuzów. XXXII Francuzi atakują baterię Rajewskiego. Walka Pierre z oficerem francuskim. Kontratak Rosjan, którzy odbijają baterię. Przerażenie Pierre'a na widok zabitych i rannych.

XXXIII Napoleon podczas bitwy pod Borodinem. Jego rola jako kierującego bitwą.

XXXIV Marszałkowie Napoleona proszą go o posiłki. Nieugiętość wojsk rosyjskich. Wątpliwości i wahania Napoleona co do zwycięstwa. Przejazdka wzdłuż linii pola bitwy.

XXXV Kutuzow jako kierujący bitwą pod Borodinem. Wiara w zwycięstwo. Epizod z Wolzogenem. Rozkaz ataku na dzień następny.

XXXVI Pułk księcia Andrzeja wśród rezerw pod silnym ogniem artylerii francuskiej. Księżę Andrzej ranny.

Punkt opatrunkowy.

XXXVII Księżę Andrzej w namiocie na punkcie opatrunkowym spostrzega ранego Anatola Kuragina. Nastrój księcia Andrzeja.

XXXVIII Wrażenia Napoleona na widok pola bitwy pod Borodinem. Charakterystyka Napoleona jako moralnego ślepeca.

XXXIX Rozważania autora o skutkach i znaczeniu bitwy pod Borodinem.

CZEŚĆ TRZECIA

I Rozważania autora o siłach poruszających historii. II Rozważania o ruchach i działaniach wojsk rosyjskich i francuskich w roku 1812 i o zależności naczelnych wodzów od zachodzących wydarzeń. III Kutuzow i generałowie na Górze Pokłonnej. Rozmowy o planie dalszych działań. IV Rada wojenna w Piłach. Generałowie rosyjskiej armii. Zatarg Benningsena z Kutuzowem. Dyskusja. Kutuzow wydaje rozkaz odwrotu. V Rozmyślenia autora o opuszczeniu Moskwy przez

mieszkańców i jej spaleniu.

VI Helene Bezuchow w Petersburgu. Jej zbliżenie się z dygnitarzem i cudzoziemskim księciem i pragnienie utrzymania bliskich stosunków z obydwoma. Przejście Helene na katolicyzm.

VII Dążenie Helene do nowego małżeństwa. Przygotowanie przez nią opinii towarzystwa. Ustosunkowanie się rodziców do małżeństwa Helene. List Helene do Pierre'a z prośbą o rozwód.

VIII Pierre po bitwie pod Borodinem wraca do Możajaska.

Spotkanie Pierre'a z żołnierzami. IX Nocleg Pierre'a w zajeździe w Możajsku. Rozmyślenia Pierre'a o „nich” – o żołnierzach, pragnienie, by być prostym żołnierzem. Sen Pierre'a. X Powrót Pierre'a do Moskwy. Pierre w poczekalni

hrabiego Rastopczyzna. Historia Wereszczagina. XI Rozmowa Pierre'a z hrabią Rastopczyzmem o masonerii i o sprawie Kluczerewa i Wereszczagina. Nastrój Pierre'a. Jego zniknięcie z domu. XII Rostowowie. Moskwa przed wkroczeniem Francuzów. Przygotowywanie się Rostowów do wyjazdu z Moskwy.

XIII Natasza w czasie szykowania się do wyjazdu. Transport rannych. Natasza stara się o pozostawienie rannych w ich domu.

XIV Przygotowania do wyjazdu w domu Rostowów. Praca Nataszy przy pakowaniu rzeczy. Powóz z rannym księciem Andrzejem zatrzymuje się w domu Rostowów.

XV Ostatni dzień Moskwy przed oddaniem jej Francuzom. Ranni proszą hrabiego Ilię Andrejewicza, by zabral ich na wozy. Rozmowa w związku z tym między hrabią i hrabiną.

XVI Przyjazd Berga do Rostowów. Irytacja Nataszy na matkę w związku z wozami dla rannych. Wyładowanie rzeczy i rozlokowanie rannych. XVII Wyjazd Rostowów. Powóz z rannym Andrzejem Bolkońskim w taborze Rostowów. Spotkanie Rostowów z Pierre'em, przebranym w furmański kaftan.

XVIII Pierre po powrocie z Możajaska do Moskwy doznaje uczucia rozterki i beznadziejności. Pierre zamieszkuje w domu wdowy po masonie Bazdiejewie.

XIX Wojska rosyjskie opuszczają Moskwę. Napoleon spogląda na Moskwę z Góry Pokłonnej

i na próżno oczekuje deputacji „bojarów”. XX Opustoszała Moskwa – porównanie jej z ułem pozbawionym matki.

XXI Przemarsz wojsk rosyjskich przez opuszczoną Moskwę. Rabunek sklepów. Tłok na moście Moskworeckim.

XXII W opustoszałym domu Rostowów. Marfa Kuźminiszna daje oficerowi dwudziestopięciorublową asygnatę.

XXIII Moskwa przed wkroczeniem nieprzyjaciela. Sceny na ulicach. Zamieszki wśród robotników. Bójka kowali z szynkarzem. Pochód tłumu przez ulicę. Czytanie w tłumie afisza Rastopczyzna. Scena z policmajstrem.

XXIV Rozważania autora o działalności Rastopczyzna w Moskwie. Rastopczyzn, niezadowolony i zirytowany z powodu Kutuzowa i biegu spraw, wydaje ostatnie zarządzenia.

XXV Tłum przed domem Rastopczyzna. Rastopczyzn każe wyprowadzić Wereszczagina i oddaje go na pastwę tłumu. Odjazd Rastopczyzna do Sokolnik. Jego myśli i nastrój. Pogoń obłąkańca za powozem Rastopczyzna. Rozmowa Rastopczyzna z Kutuzowem o oddaniu Moskwy.

XXVI Wkroczenie wojsk francuskich do Moskwy. Epizod obrony Kremla przez gromadkę Rosjan. Rozlokowanie się wojsk francuskich w mieście. Rabunki. Maruderzy. Pożar Moskwy i jego przyczyny. XXVII Nastrój Pierre'a w czasie jego pobytu w mieszkaniu Bazdiejewa. Rozmyślenia o zabiciu Napoleona. Pijany Makar Aleksieicz przychodzi do pokoju

Pierre'a. XXVIII Zjawienie się w domu Bazdiejewa kapitana

Ramballe'a. Pierre ratuje go przed strzałem obłąkanego Makara Aleksieicza. Rozmowa Pierre'a z Francuzem.

XXIX Pierre wieczerza z Ramballe'em. Opowiadanie Ramballe'a

swoich przygodach miłosnych. Wynurzenia Pierre'a o sobie. XXX Tabor Rostowów na noclegu w Mytiszczach. Luna

pożaru Moskwy. XXXI Rostowowie komentują pożar Moskwy. Nastrój Nataszy, gdy dowiedziała się, że księżę Andrzej jest ranny i przebywa w ich transporcie. Spotkanie Nataszy z księciem Andrzejem.

XXXII Księżę Andrzej. Opis jego choroby po odniesionej ranie. Przewrót moralny w Bołkońskim. Natasza pielęgnuje rannego księcia Andrzeja.

XXXIII Pierre wałęsa się po ulicach Moskwy. Uratowanie dziecka z płonącego domu.

XXXIV Pierre szuka matki uratowanej przez siebie dziewczynki. Francuscy żołnierze grabią rodzinę ormiańską. Pierre staje w obronie Ormianki. Patrol Francuzów aresztuje Pierre'a.

TOM IV

CZEŚĆ PIERWSZA

I Petersburg. Walka partii politycznych w sferach towarzyskich. Przyjęcie w salonie A. P. Scherer 26 sierpnia – w dniu bitwy pod Borodinem. Rozmowa o chorobie Helene. Księżę Wasilij czyta list metropolity Platona do Aleksandra I.

II Otrzymanie w Petersburgu raportu Kutuzowa o bitwie pod Borodinem, skomentowanej jako zwycięstwo. Odświeżony nastrój w mieście. Brak dalszych wiadomości. Niezadowolenie z Kutuzowa wśród kół dworskich. Nagła śmierć Helene Bezuchow.

Wiadomość o oddaniu Moskwy w ręce Francuzów. Raport Rastopczyzna o oddaniu Moskwy Francuzom. Reskrypt Aleksandra I do Kutuzowa z wyrażeniem niezadowolenia z powodu jego poczynań.

III Przyjazd do Petersburga pułkownika Michaud, przysłanego przez Kutuzowa z oficjalnym zawiadomieniem o oddaniu Moskwy. Rozmowa Aleksandra I z Michaudem i słowa Aleksandra o nieprzejednanej walce z Napoleonem do końca.

IV Rozważania autora o tym, że w krytycznych okresach, jakie przeżywa kraj, większość ludzi nie zwraca uwagi na dobro ogólne, lecz żyje prywatnym życiem i kieruje się wyłącznie względami na sprawy bieżące. Nastrój Mikołaja odkomenderowanego z armii do Woroneża. Mikołaj pomyślnie dokonuje zakupu koni dla swego pułku. Przyjęcie u gubernatora. Powodzenie Rostowa w towarzystwie gubernialnym.

V Zaloty Mikołaja do blondynki – żony urzędnika gubernialnego.

Rostow poznaje panią Malwinę – ciotkę księżniczki Marii Bołkońskiej. Rozmowa gubernatorowej

z Mikołajem o księżniczce Marii i propozycja wyswatania go z nią. Mikołaj wyraża zgodę. VI Księżniczka Maria mieszka z bratankiem u ciotki w Woroneżu. Nastrój księżniczki Marii. Spotkanie z Rostowem. Wzajemne zainteresowanie i początek zbliżenia się Rostowa i księżniczki Marii.

VII Księżniczka Maria i Mikołaj Rostow po otrzymaniu w Woroneżu wiadomości o bitwie pod Borodinem, o oddaniu Moskwy i o raniu księcia Andrzeja. Spotkanie Mikołaja z księżniczką Marią podczas nabożeństwa w soborze. Rozmyślenia Mikołaja o księżniczce Marii i Soni. Duchowa rozterka na wspomnienie obietnicy danej Soni. Modlitwa Mikołaja o zerwanie z Sonią. Mikołaj otrzymuje niespodziewanie listy od rodziny: od Soni ze zwróceniem mu słowa i od matki z wiadomością o spaleniu Moskwy, o utracie ich majątku i o stanie zdrowia jadącego z nimi księcia Andrzeja.

VIII Okoliczności, które spowodowały list Soni do Mikołaja. Stara hrabina błaga Sonię o zerwanie z Mikołajem. Życie Soni w domu Rostowów. Radosne uczucia Soni – jeżeli Natasza wyjdzie za mąż za księcia Andrzeja, Mikołaj nie będzie mógł ożenić się z księżniczką Marią. Soni zdaje się, że widzi spełnienie swoich zapustnych wróżb o księciu Andrzeju. List Soni.

IX Pierwsze dni pobytu Pierre'a w niewoli. Przesłuchanie. Pierre, oczekując na wyrok, zostaje umieszczony wraz z trzynastoma innymi oskarżonymi w wozowni na Krymskim Brodzie. X Pierre razem z innymi jeńcami zostaje wyprowadzony na Dziewicze Pole. Widok moskiewskiego pogorzelniska. Pierre czuje się niby nic nie znaczące ziarno piasku, które dostało się w tryby prawidłowo działającej maszyny. Marszałek Davout przesłuchuje Pierre'a. Pierre jest podejrzany o szpiegostwo. Moment ludzkiego stosunku między marszałkiem Davout a Pierre'em. Rezultat przesłuchania go przez Davouta jest dla Pierre'a niejasny. XI Jeńców prowadzą na miejsce egzekucji. Scena rozstrzeliwania. Przeżycia Pierre'a. Pierre na razie nie rozumie, że został uratowany.

XII Pierre w baraku jeńców wojennych. Stan wewnętrzny Pierre'a po egzekucji. Spotkanie Pierre'a z Platonem Karatajewem. Pierwsze wrażenie i rozmowa z nim. Opowiadanie Karatajewa o sobie. XIII Charakterystyka Platona Karatajewa. XIV Wyjazd księżniczki Marii z Woroneża do Jarosławia do rannego księcia Andrzeja. Miłość księżniczki Marii do Mikołaja Rostowa i pewność, że on ją kocha. Niepokój księżniczki Marii o brata. Przyjazd do Jarosławia i przyjęcie przez Rostowów. Spotkanie z Nataszą. Nagłe zbliżenie się księżniczki Marii i Nataszy podczas rozmowy o księciu Andrzeju. XV Spotkanie księżniczki Marii z bratem. Głębokie wrażenie wywołane tym spotkaniem. Wszyscy myślą, że zbliża się kres życia księcia Andrzeja. Widzenie się Nikołuszki z ojcem.

XVI Książę Andrzej czuje, że umiera. Świadomość wyobcowania z życia. Jego miłość do Nataszy. Sen księcia Andrzeja. Zmiana w jego stanie fizycznym. Śmierć.

CZEŚĆ DRUGA

I Rozważania autora o przyczynach wydarzeń historycznych. Krótki przegląd działań wojsk rosyjskich od opuszczenia Moskwy do zajęcia pozycji pod Tarutinem.

II Słynny marsz skrzydłowy wojsk rosyjskich. Rozważania autora o przyczynach tego marszu i o roli Kutuzowa. List Napoleona do Kutuzowa i wysłanie Lauristona. Odpowiedź Kutuzowa. Zmiana stosunku sił wojsk rosyjskich i francuskich.

III Próba kierowania armią rosyjską przez Petersburg; plan powszechnej wojny, przysłanie nowych osobistości, przesunięcia w sztabie. Skomplikowana gra partii w sztabie armii. List Aleksandra I do Kutuzowa z żądaniem, by rozpoczął natarcie.

IV Memoriał Bennigsen o konieczności natarcia. Dyspozycja bitwy pod Tarutinem i jej realizacja. Bal u generała Kikina, na którym są obecni wszyscy znakomitsi generałowie.

V Kutuzow jedzie z Letaszewki na miejsce bitwy i po drodze spotyka oddziały, które miały być w zasadzce. Wybuch gniewu Kutuzowa z powodu nieudanego manewru.

VI Natarcie wojsk rosyjskich nazajutrz. Ruchy kolumn. Oddział Orłowa-Denisowa i jego udany atak na Francuzów. Nie wyzyskana okazja wzięcia do niewoli Murata. Zamieszanie wśród oddziałów piechoty, które poszły nie tam, gdzie należało. Starcie Tolla z Baggovoutem.

VII Ruchy kolumn pod dowództwem Kutuzowa. Ustosunkowanie się naczelnego wodza do natarcia. Odznaczenia za bitwę pod Tarutinem. Rozważania autora o skutkach bitwy pod Tarutinem.

VIII Analiza działań Napoleona od chwili wkroczenia do Moskwy.

IX Akcja Napoleona w kierunku przywrócenia porządku w armii i w Moskwie. Odezwa do mieszkańców Moskwy.

X Bezowocność przedsięwzięć Napoleona: plany dalszej kampanii, zabiegi dyplomatyczne, zarządzenia administracyjne, uruchomienie handlu, teatrów itd. Upadek dyscypliny w armii francuskiej. Meldunki dowódców o rabunkach i maruderstwie. Rozkład i klęska armii francuskiej podczas pobytu w Moskwie. Jej ucieczka z Moskwy z zagrabionym mieniem po bitwie pod Tarutinem.

XI Pierre w niewoli. Przygotowania Francuzów do opuszczenia Moskwy. Przyjazna rozmowa francuskiego kaprała z Pierre'em. Platon Karatajew szyje koszulę żołnierzowi francuskiemu. XII Opis wewnętrznej przemiany Pierre'a w czasie pobytu w niewoli. Spokój ducha i zgoda z samym sobą po przeżytych lęku śmierci, po niewygodach i po zrozumieniu Karatajewa. Stosunek Francuzów i jeńców do Pierre'a.

XIII Ucieczka Francuzów z Moskwy. Pierre odczuwa znowu działanie tajemniczej siły. Grupa jeńców. Widok spalonej Moskwy.

XIV Pochód jeńców przez ulice Moskwy. Ruchy cofających się wojsk francuskich. Sceny na drodze. Zawziętość Francuzów. Pierwszy nocleg jeńców. Rozmyślenia Pierre'a.

XV Przysłanie przez Napoleona nowego parlamentariusza do Kutuzowa z propozycją pokoju i powtórna odpowiedź odmowna Kutuzowa. Wysłanie oddziału Dochturowa do wsi Fomińskie w celu zaatakowania dywizji Broussiera. Dochturow spotyka całą armię francuską, która wyszła z Moskwy, i przesyła raport o tym do naczelnego wodza. XVI Przyjazd wysłanego przez Dochturowa oficera do sztabu generalnego armii rosyjskiej. Rozmowa Bołchowitinowa

z Szczerbininem i Konownicynem. Charakterystyka Konownicyna.

Wojna i pokój

XVII Bezsenna noc Kutuzowa. Rozmyślenia o nie rozstrzygniętym pytaniu, czy rana, którą odnieśli Francuzi pod Borodinem, jest śmiertelna. Przybycie Tolla, Konownicyna i Bołchowitinowa. Ożywienie Kutuzowa na wiadomość o wyjściu armii francuskiej z Moskwy, co oznaczało przełom wojny. XVIII Działalność Kutuzowa celem zapobieżenia bezużytecznym

natarciom wojsk rosyjskich na ginącego wroga. Przyczyny klęski armii Napoleona. Napoleon omal nie zostaje wzięty do niewoli przez Kozaków pod Małojarosławcem. Rozkaz Napoleona do odwrotu drogą smoleńską.

XIX Bezlądna ucieczka armii francuskiej do Smoleńska zniszczoną drogą smoleńską. Dalsze rozprężenie w armii francuskiej. Dążenie dowódców rosyjskich do zagrodzenia drogi uciekającej armii francuskiej. Kutuzow i jego plan: nie przeszkadzać zgubnej dla niej ucieczce armii Napoleona.

CZEŚĆ TRZECIA

I Rozważania autora o narodowym charakterze wojny 1812 r. II Partyzantka jako jeden ze sposobów prowadzenia

wojny narodowej. Rozważania o sile armii. III Partyzantka w roku 1812. Partyzanckie oddziały Denisowa i Dołochowa przygotowują się do napadu na duży francuski transport sprzętu kawaleryjskiego i rosyjskich jeńców.

IV Denisow ze swoimi partyzantami. Pietia Rostow przyjeżdża do oddziału Denisowa z propozycją od generała – Niemca, by Denisow przyłączył się do niego w celu wspólnego napadu na tabor francuski. Radosne spotkanie Pieti z Denisowem. Pietia zostaje w oddziale.

V Denisow, Pietia i esaul jadą, by wypatrzeć Francuzów i spotkać się z Dołochowem. Zwiadowca Tichon

Szczerbaty. Francuzi strzelają do niego. Jego charakterystyka.

Rozmowa Denisowa z Tichonem o „języku”. Opowiadanie Tichona, jak brał Francuza do niewoli.

Służba Pieti Rostowa jako oficera. Wysianie go do oddziału Denisowa. Obiad w budzie leśnej. Entuzjastyczny nastrój Pieti. Zainteresowanie Pieti wziętym do niewoli francuskim chłopcem-doboszem. Przyjazd Dołochowa. Rozmowa Denisowa z Dołochowem o zamierzonym napadzie i o jeńcach francuskich. Zamiar Dołochowa, by w przebraniu pojechać na zwiady do obozu Francuzów. Pietia, nie zważając na odmowę Denisowa, napiera się, by jechać z Dołochowem.

Dołochow z Pietia w obozie Francuzów. Rozmowa Dołochowa z oficerami francuskimi. Niepokój Pieti. Ich szczęśliwy powrót.

Powrót Pieti Rostowa do oddziału Denisowa. Pietia nie może zasnąć ze wzruszenia i wszczyną rozmowę z Kozakiem, który ostrzy mu szablę. Pólsen Pieti przed świtaniem.

Oddział Denisowa rusza do boju. Napad na transport i tabor Francuzów. Pietia w zapamiętaniu rzuca się naprzód. Salwa Francuzów. Śmierć Pieti. Zagarnięcie transportu i gromady jeńców rosyjskich; wśród jeńców – Pierre Bezuchow. Pierre w grupie jeńców podczas marszu Francuzów z Moskwy do Smoleńska. Platon Karatajew choruje znowu na febrę. Przeżycia i nastrój Pierre'a Bezuchowa. Pierre wspomina opowiadanie Karatajewa na poprzednim nocnym postoju o kupcu, który został niewinnie zesłany na Syberię i umarł tam potem, gdy wyjaśniono, że nie on był winien. Przejazd francuskiego marszałka obok transportu i jeńców. Platon Karatajew, który nie może iść, zostaje zastrzelony przez Francuzów.

XV Nocleg taboru i jeńców w Szamszewie. Sen Pierre, w którym zdarzenia rzeczywiste mieszają się z sennymi widziadłami. Wyswobodzenie Pierre'a z niewoli.

XVI Rozważania autora o zgubnych skutkach ucieczki francuskiej armii. Raport Berthiera do Napoleona

położeniu armii.

XVII Analiza działań wojsk rosyjskich i francuskich w ostatnim okresie wojny. Ucieczka armii francuskiej.

XVIII Polemika autora z historykami, którzy w bezładnej i bezmyślnej ucieczce Francuzów dopatrują się głęboko przemyślanych planów – manewrów Napoleona i jego marszałków.

XIX Rozważania autora o celach Rosjan w ostatnim okresie kampanii 1812 roku.

CZEŚĆ CZWARTA

I Nastrój Nataszy i księżniczki Marii po śmierci księcia Andrzeja. Samotność Nataszy i jej oderwanie się od ludzi i życia. Rozmyślania o księciu Andrzeju. II Wiadomości o śmierci Pieti. Rozpacz hrabiny. Natasza

pociesza matkę.

III Pielęgnując matkę, Natasza powraca do życia. Zacieśnienie przyjaźni między Nataszą i księżniczką Marią. Jej wyjazd z księżniczką Marią do Moskwy, do lekarzy.

IV Wojska rosyjskie ścigają Francuzów. Działalność Kutuzowa skierowana na ułatwienie ruchu swoich wojsk i na to, by dopomóc Francuzom w ucieczce, a nie zatrzymać ich. Przeciwnie dążenie innych rosyjskich generałów. Bitwa pod Krasnem. Obwinianie Kutuzowa, jakoby przeszkadzał w zwycięstwie nad Napoleonem.

V Ocena działalności i historycznego znaczenia Kutuzowa jako wodza wojny narodowej.

Kutuzow pod Krasnem. Jego przemówienie do wojska.

Nocleg pułku muszkieterskiego na otwartym biwaku pod Krasnem. Żołnierze ciągną pleciana ścianę do ogniska.

Żołnierskie sceny i rozmowy przy ognisku ósmej roty.

Przy ognisku piątej roty. Przyjście z lasu Ramballea i jego ordynansa. Uprzejme obchodzenie się z nimi rosyjskich żołnierzy. Morel śpiewa piosenkę o Henryku IV. Wesół śmiech żołnierzy. Przeprowadzenie przez Berezynę. Nieudanie się petersburskiego planu akcji pod Berezyną. Nasilenie się dworskich i sztabowych intryg przeciw Kutuzowowi. Niezadowolenie z niego na dworze i wśród dowódców armii. Kutuzow odsyła z armii Bennigsen. Przyjazd do armii wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza uwidacznia Kutuzowowi, że jego rola się skończyła. Kutuzow w Wilnie. Epizod z Czyczagowem. Przyjazd Aleksandra I do Wilna. Niezadowolenie cesarza z feldmarszałka. Odznaczenie Kutuzowa Orderem Św. Jerzego I stopnia. Obiad i bal u feldmarszałka. Niezadowolenie cesarza z Kutuzowa przy zachowaniu zewnętrznych oznak łaskawości. Kutuzow nie jest człowiekiem odpowiednim wobec nowych zadań wojny europejskiej. Usunięcie go w sposób nieznaczny od dowodzenia armią. Śmierć Kutuzowa. Pierre Bezuchow po wyswobodzeniu z niewoli. Jego długa choroba w Orle. Rekonwalescencja. Radosne poczucie wolności. Pierre odczuwa wielką wewnętrzną przemianę. Nowy pogląd na życie i na ludzi. Stosunek do księżniczki, do służących, do jeńca – oficera Włocha, do masona Willarskiego. Postanowienie Pierre'a, by jechać do Moskwy dla załatwienia swoich spraw. Opis odradzania się Moskwy po wyjściu nieprzyjaciela i po pożarze.

XV Przyjazd Pierre'a do Moskwy. Wizyta u księżniczki Marii. Nieoczekiwane spotkanie z Nataszą, której Pierre na razie nie poznaje. Przebudzenie się miłości Pierre'a do Nataszy.

XVI Rozmowa księżniczki Marii, Pierre'a i Nataszy o księciu Andrzeju. Opowiadanie Nataszy o spotkaniu z rannym księciem Andrzejem i o swoich przeżyciach podczas jego choroby i śmierci.

XVII Przy kolacji. Opowiadanie Pierre'a o pobycie w niewoli. Wzrastające zbliżenie się Pierre'a i Nataszy. Rozmowa księżniczki Marii z Nataszą o Bezuchowie.

XVIII Nastrój Pierre'a po ostatnim widzeniu się z Nataszą. Miłość do niej i decyzja poślubienia jej. Pierre odkłada wyjazd do Petersburga i codziennie bywa w domu księżniczki

Marii. Pierre opowiada księżniczce o swoich uczuciach do Nataszy i prosi ją o pośrednictwo.

XIX Radosny nastrój Pierre'a po rozmowie z księżniczką Marią i Nataszą.

XX Zmiana, jaka zaszła w Nataszy po zjawieniu się Pierre'a. Zbudzona w niej siła życia i nadzieja szczęścia. Rozmowa Nataszy z księżniczką Marią o oświadczeniach Pierre'a.

EPILOG CZĘŚĆ PIERWSZA

I Rozważania autora o poruszających siłach historii w związku z rolą Aleksandra I i Napoleona.

II Rozważania o przypadku i geniuszu.

III Rozważania o przyczynach ruchu narodów europejskich z Zachodu na Wschód i ze Wschodu na Zachód. O przypadkowej roli Napoleona w tym

ruchu. IV Koniec przypadkowej roli Napoleona. Aleksander I i jego rola w ruchu mas ze Wschodu na Zachód.

Rozmyślenia o roli jednostki w służbie dla celów ogólnych.

V Ślub Nataszy z Pierre'em. Śmierć starego hrabiego Rostowa. Ruina Rostowów. Mikołaj podaje się do dymisji, wstępuje do służby cywilnej i z trudem utrzymuje matkę i Sonię.

VI Przyjazd księżniczki Marii do Moskwy. Jej wizyta u Rostowów. Spotkanie z Mikołajem. Jego odsunięcie się od niej. Rozgoryczenie księżniczki Marii. Rewizyta Mikołaja. Zaręczyny księżniczki Marii z Mikołajem.

VII Małżeństwo Mikołaja z księżniczką Marią i życie w Łysych Górach. Gospodarowanie Mikołaja.

VII Życie rodzinne Mikołaja. Scena z hrabiną Marią z powodu pobicia sołtysa. Sytuacja Soni w domu. Natasza dokonuje charakterystyki Soni. IX Wigilia św. Mikołaja 1820 roku w Łysych Górach. Mikołaj i hrabina Maria. Ich sprzeczka i pogodzenie się. Dzieci. Szczęście hrabiny Marii. X Natasza jako mężatka. Jej życie z mężem u brata na wsi. Zmiana, jaka zaszła w zewnętrznym wyglądzie i charakterze Nataszy. Stosunek do Pierre'a. XI Natasza oczekuje powrotu Pierre'a z Petersburga. Przyjazd Pierre'a. Ożywienie Nataszy. Pierre i Natasza w pokoju dziecięcym.

XII Rodzinne sprawy mieszkańców łysogórskiego domu. Prezenty. Stara hrabina Rostow.

XIII Pierre z żoną w bawialni. Rozmowa domowników ze starą hrabiną o nowinach petersburskich. Pierre wśród dzieci.

XIV Nikoleńka Bołkoński. Denisow. Rozmowy o nastrojach w Petersburgu i o sytuacji Rosji. Oburzenie na reakcję i arakcejejszczyznę. Rozmyślenia Pierre'a o społeczeństwie. Poglądy Mikołaja Rostowa i jego ostry sprzeciw wobec Pierre'a. Wzburzenie Nikoleńki Bołkońskiego, wywołane sporem dorosłych.

XV Mikołaj i hrabina Maria. Jej dziennik. Mikołaj zachwycony żoną. Ich rozmowa o sprzeczce w gabinecie i o Nikoleńce.

XVI Natasza i Pierre. Ich rozmowa o dzieciach, o sprzeczce z Mikołajem, o Platonie Karatajewie. Wewnętrzny stosunek Pierre'a do Nataszy. Sen Nikoleńki Bołkońskiego. Rozmyślenia o ojcu i o Bezuchowie.

CZĘŚĆ DRUGA

I Rozważania autora o badaniu przez historyków życia ludzkości.

II O sile, która wprawia w ruch i kieruje narodami. Polemika z historykami pojmującymi tę siłę jako władzę, którą posiadają bohaterowie. III Rozważania o sile kształtującej wydarzenia historyczne. Polemika z historykami opisującymi dzieje poszczególnych postaci.

IV Rozważania o znaczeniu władzy. Władza jako zespolenie woli mas. Sprzeczne sądy

historyków o zagadnieniu władzy.

V Rozważania autora o tym, że „życie narodów nie mieści się w życiu kilku ludzi” i że władza postaci historycznych nie może być uważana za przyczynę historycznych wydarzeń.

VI Rozważania o stosunku rozkazów do wydarzeń i o ich zależności. Wojsko jako zjednoczenie ludzi do wspólnego działania i wzajemny stosunek dowódców i podwładnych.

VII O związku postaci historycznych z masami i o zbieżności zachodzących wydarzeń z pragnieniem jednostki lub grupy ludzi. Określenie władzy i siły powodującej ruchy narodów.

VIII Wolność woli. Zależność woli człowieka od jego

charakteru i oddziałujących na niego motywów. IX Przedmiot historii. Zagadnienie wolności i konieczności.

X Wolność i konieczność.

XI Określenie przez historię wolności w myśl praw rozumu. Autor krytykuje to określenie. Przedmiotem historii – poszukiwanie praw ruchów narodów. XII O walce między starym a nowym poglądem na historię. Prawo konieczności w historii. Uznanie zależności postaci historycznej od świata zewnętrznego, czasu i przyczynowości jako podstawa do opracowania praw historii.

ŻYCIE I ŚMIERĆ WEDŁUG LWA TOŁSTOJA

Przyjemności czytania tej książki nie da się z niczym porównać; słowo honoru.

Jest to zanurzenie się w samym życiu, odległym ale i bliskim, bo nieustającym. Zostajemy w nie wciągnięci natychmiast i nieodwołalnie, tracąc właściwie poczucie, że czytamy książkę. Bole, intrygi, zaloty, polowania, pochody, bitwy, narady, śmierci, narodziny i wszystko inne spełnia się jakby z naszym udziałem. Co chwila dowiadujemy się o tym, dzięki Tołstojowskiemu wszechwidzeniu i wszechrozumieniu. Widzimy co dziesiątki postaci robią ale wiemy też, co w tym momencie myślą, jak wyglądają i kim są w oczach innych. W momentach dziejowych napięć, kiedy ważą się losy, pisarz zwraca naszą uwagę na śmieszny szczegół, skrzyżowanie przypadków, jak na owe wiejskie dziewczyny, kradnące pańskie śliwki, które kątem oka spostrzeżga książę Andrzej, gdy do jego majątku zbliża się napoleońska nawała. Wszystko zda się widziane i wiedzione na równi; cały świat jest Wojną i pokojem i odwrotnie. Nic nie jest bezwzględnie pewne ani określone, jak się to wydaje doktrynerom, których pisarz z przyjemnością wyszydza; myśli mijają się ze słowami, słowa z czynami, skutki z pobudkami, działania splatają się w kłęb sprzeczności, z których wynika coś zgoła nieoczekiwanego. Nikt nie pozostaje niezmienny, ani fizycznie ani duchowo; dzieci zostają żołnierzami, wiotkie i uduchowione dziewczę – tłustą matroną, demonstrującą ślady na pieluchach, dawni przyjaciele – potencjalnymi przeciwnikami, nie spełnieni kochankowie sławy – odległymi wspomnieniami.

Tołstoj jest w tej arcyepopei Panem Bogiem. Tworzy wszystko, wie wszystko, potrafi wszystko. Sięga w bezmiar, wybierając określone fragmenty i odcinki czasowe, według własnego porządku. Dzieją się całe sekwencje scen, wypełnione wielosłownymi dialogami w czasie niemal naturalnym; znaczy to, że czytanie o nich trwa tyleż, ile musiałyby, dziejąc się, trwać one same. Zaraz potem następuje zupełna zmiana rytmu i perspektywy; widzimy skróty i syntezy, przeskakujemy miesiące i lata. Wkracza rozmach obrazów masowych; widzimy zachowania armii, dywizji i pułków; ale oto i tutaj, raz po raz pisarz wprawia w osłupienie zbliżeniem, szczególnie tak nieodparcie i jedynie trafnym, że wzdrygamy się w zaskoczeniu myśląc: „Skąd on to wie?”. Za tym idzie obszerna, historiozoficzna refleksja, a tuż po niej znowu kameralna, nasycona psychologicznie, zwolniona, drobiazgowa rozmowa w salonie czy alkowie. Jest to zasada swoistego kontrapunktu: nieomylnego prowadzenia wielu wątków i porządków, zderzających się, oplatających, odchodzących i powracających znowu.

Zatem: kunszt tak wielki, iż pozwalający o sobie zapomnieć. Izaak Babel pisał o Tołstoj: „Jego książki wyglądają tak, jakby istnienie wielkiej ilości najróżniejszych ludzi i nie tylko ludzi, także zwierząt, roślin, obłoków, gór, gwiazdozbiorów przelało się przez pisarza na papier”.

Być może są tu fragmenty słabsze. Przy entuzjastycznym, choć stopniowym, w różnych krajach w różnym rytmie przebiegającym przyjęciu całości – krytycy zgłaszali rozmaite zastrzeżenia. Cóż robić, świat wokół nas też ma lepsze i gorsze partie. Proponuję wszakże w tym

wyjatkowym wypadku dać krytycznej refleksji wychodne i zaufać Tołstojowi. Ze wszystkim, nawet ze słynnymi historiozoficznymi rozmyślaniami na temat daremności wysiłków jednostkowego zmieniania świata. To też ma swój smak. Owszem, są z gruntu inne sposoby tworzenia literatury; cały wiek dwudziesty świadkiem. Ale dobrze jest czasem zawrócić ku klasyce, choćby na parę dni i na ponad dwa tysiące tych właśnie stron.

Nie wydaje się też, by należało nadmiernie rozbudowywać komentarz. Wojnę i pokój analizowano wszechstronnie. Wiadomo, ile znaczą tu doświadczenia wojenne autora, zdobyte w czasie Wojny Krymskiej, co zaś związane jest z latami powstawania epepei i odnosi się do aktualnej sytuacji Rosji. Opisano sposoby, jakimi Tołstoj kształtował swe postacie, przydając im skontaminowane cechy ludzi bliskich. Uwzględniano udział jego niepokoju wewnętrznego, nieczystego sumienia, poglądów politycznych. Wiadomo, skąd wziął się tytuł. Dla potrzeby naszych czytelników omówiono także motywy polskie, podawane w tonacji lekkiej uszczypliwości, nie nadmiernej wszakże (w późniejszym okresie Tołstoj będzie czuł do nas zdecydowaną sympatię). Wszystko to jest istotne dla filologów, natomiast normalnemu czytelnikowi wystarczy chyba wiedza skromniejsza, taka, która nie przeszkodzi w żywej lekturze. Resztę załatwi sam Tołstoj.

Oto więc informacje podstawowe. Wojnę i pokój pisał Tołstoj w latach 1863–1869, niejako na przekór powszechnemu wówczas zainteresowaniu rosyjskimi aktualnościami czasu reformy. Zaczynał gigantyczną pracę jako zakochany i szczęśliwy żonkoś – trzydziestopięcioletek, nadzieja ojczystej literatury. Zamierzał początkowo pisać o dekabrystach, ale poczuł konieczność cofnięcia się w głąb i wstępny zamiar pozostał ostatecznie nie spełniony. Młoda małżonka. Sofia Andrejewna, siedmiokrotnie przepisywała epepeję. „Mieszkaliśmy wciąż na wsi – zanotowała w pamiętniku – nie ruszając się na krok, nie chcąc nic wiedzieć o świecie i prawie nikogo nie przyjmując. W istocie bowiem całkiem nam wystarczały postacie Wojny i pokoju. Kochałam je i zajmowały mnie ich losy, jak gdyby byli to ludzie istniejący naprawdę.”

Przyjęcie dzieła, mimo ostrej krytyki radykałów, było entuzjastyczne; wkrótce potem zaczął się triumfalny pochód księgi po świecie. Stała się głównym tytułem do chwały autora, a jej atrakcyjność okazała się nieprzemijająca, opierając się zwycięsko wszelkim odmianom mód literackich. Znanie są liczne i konkurencyjne wobec siebie adaptacje filmowe i teatralne. W swojej ojczyźnie Wojna i pokój przeżyła szczególnie wyrazisty renesans w latach 1941–1945, kiedy szukano w niej pokrzepienia serc. Po wojnie rozległ się też chór głosów, żądających od pisarzy, by dali rzecz analogiczną. Nie było to możliwe do spełnienia w latach stalinizmu, natomiast powstała nieco później znakomita powieść Grossmana Życie i los zrodziła się wyraźnie z Tołstojowskiej inspiracji i wytrzymuje porównanie z wielką poprzedniczką. Kolejnym dowodem na to, jak niesłychanie trudno zostać współczesnym Tołstojem, stała się honorowa klęska epickiego zamysłu Sołżenicyna, cyklu Czerwone koło.

I tak będzie to zapewne szło, póki literatura literaturą i dopóty komukolwiek będzie się chciało sięgnąć po książkę. Spoza wszystkich odmian mód i zerwań z przeszłością Wojna i pokój będzie świeciła spokojnym blaskiem, niewzruszona i niedosiężna. Nowe polskie wydanie z pewnością to potwierdzi. Wśród wielkich mistrzów słowa Tołstoj pełni misję szczególną; gdy wielu z nich szarpie nasze sumienia, zakłóca równowagę, oszałamia niezwykłością, prowadzi w obszary specjalne – on jeden daje poczucie wszechogarniającej pełni, w której wszystko się równoważy, przyciąga i odmienia, dowodzi i powstaje. W swoim dziele jest panem życia i śmierci. Więcej nie można.

Andrzej Drawicz